



Każdy cień
skrywa
tajemnicę...

Okaleczone oko
BRENT
WEEKS

Autor Czarnego pryzmatu - bestsellera z listy New York Times

BRENT WEEKS

OKALECZONE OKO

POWIERNIK ŚWIATŁA – KSIĘGA 3

PRZEŁOŻYŁA MAŁGORZATA STRZELEC



**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2015**

Tytuł oryginału:

The Broken Eye

Copyright © 2014 by Brent Weeks

Copyright for the Polish translation © 2015

by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Urszula Okrzeja

Korekta:

Magdalena Górnicka

Projekt okładki:

Lauren Panepinto

Ilustracja na okładce:

Silas Manhood

Fotografia postaci:

Shirley Green

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-533-9

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel 228134743, fax 228134760 e-mail kurz@mag.com.pl www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A. ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów

Maz. tel. 227213000 www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:

Opolgraf S.A.

*Kristi, która nieustannie staje się coraz lepsza
i sprawia, że chcę iść za jej przykładem,
i Mamie – wzięła siedmiolatka, który nie cierpiał czytać,
i rozpalila w nim miłość na całe życie.*

„Człowiek, którego zadowala samotne życie, jest albo zwierzęciem, albo bogiem”.

Arystoteles

ROZDZIAŁ 1

Dwóch Czarnogwardzistów podeszło do komnaty Bieli. Młodszy, ze zdenerwowania rytmicznie wyłamywał knykcie prawej pięści. Bracia Greylingowie przystanęli przed drzwiami pełni wahania. Pstryk, pstryk, pstryk. Pstryk, pstryk, pstryk.

Starszy brat, Gill, spojrzał na młodszego, jakby próbował naśladować miażdżące spojrzenie ich dowódcy. Gavin nie cierpiał, kiedy Gill to robił, ale przestał wyłamywać knykcie.

– Nic nie zyskamy, czekając – rzekł Gill. – Zrób użytek z tej pięści.

Był wczesny ranek. Normalnie Biel nie opuściłaby komnat przez co najmniej dwie następne godziny. Przez wzgląd na jej słabnące zdrowie Czarna Gwardia robiła, co mogła, żeby ulżyć jej w tych ostatnich miesiącach życia.

– Dlaczego to zawsze ja... – zaczął Gavin.

Dziewiętnastoletni Gill był dwa lata starszy, ale mieli ten sam stopień i zostali pełnoprawnymi gwardzistami w tym samym czasie.

– Jeśli przez ciebie Biel to przegapi, bo musisz się ze mną kłócić... – Gill nie dokończył groźby. – Pięść – warknął.

To był rozkaz.

Krzywiąc się, Gavin Greyling zapukał do drzwi. Odczekał przyjęte pięć sekund, zanim otworzył drzwi. Bracia weszli do środka.

Biel nie leżała w łóżku. Ona i jej osobista niewolnica modliły się, wyciągnięte na podłodze mimo wieku, twarzą ku słońcu wpadającemu przez otwarte wschodnie drzwi balkonowe. Zimny wiatr owiewał dwie starsze kobiety.

– Najszlachetniejsza pani – odezwał się Gili – proszę o wybaczenie. Jest coś, co musi pani zobaczyć.

Spojrzała na nich i natychmiast rozpoznała. Niektórzy arystokraci i światłowładcy nie traktowali najmłodszych pełnoprawnych Czarnogwardzistów poważnie. Wynikało to z krytycznego osądu, który ranił, ponieważ był po części zasłużony. Gavin wiedział, że jeszcze rok temu nie awansowałby na pełnoprawnego gwardzistę w wieku lat siedemnastu. Biel jednak nigdy nie traktowała go jak gorszego od innych. Z radością oddałby za nią życie, nawet gdyby ktoś mu powiedział, że Biel i tak umrze następnego dnia ze starości.

Przerwała modlitwę, młodzieńcy pomogli jej usiąść w fotelu na kółkach, ale kiedy stara niewolnica podreptała kaczym chodem spowodowanym chorobą bioder, żeby zamknąć balkonowe drzwi, Gili ją powstrzymał.

– Biel musi spojrzeć z balkonu, caleen – wyjaśnił Gavin.

Okrył Biel kocami delikatnie, lecz sprawnie. Obaj nauczyli się, ile delikatności zniesie jej duma, a ile bólu jej ciało. Wypchnął fotel na balkon. Nie narzekała, upierając się, że może to zrobić sama. Jeszcze do niedawna rzeczywiście była w stanie.

– W zatoce – powiedział Gili.

Zatoka Małego Jaspisu w dole wyglądała olśniewająco. Dzisiaj było Święto Światła i Ciemności, równonoc, i rano zapowiadał jeden z tych jesiennych dni, na które człowiek miał nadzieję: powietrze już rześkie, ale niebo oślepiająco niebieskie, tafla wody gładka, a nie jak zwykle pofalowana. Sama zatoka była wyjątkowo opustoszała. Flota nadal nie wróciła; odplynęła walczyć z Księciem Barw w Ru i powstrzymać jego przemarsz. Gavin też powinien tam być, ale jego i trójkę innych Czarnogwardzistów odesłano z powrotem ślizgaczem w przededniu bitwy, by złożyli raport o rozmieszczeniu i planach floty.

Z pewnością do tej pory bitwa już się odbyła i pozostało tylko czekać na wieści, czy powinni się cieszyć ze zwycięstwa, czy też szykować na wojnę, która rozbije Siedem Satrapii. Pewnie dlatego Biel się modliła, pomyślał Gavin. Czy można modlić się o wynik zdarzenia już po fakcie? Czy modlitwy mają wtedy jakąś wartość?

Czy w ogóle mają jakąkolwiek wartość?

Biel siedziała w milczeniu, patrząc na zatokę. Patrząc na nic, jak obawiał się Gavin. Czyżby za późno jej przeszkodzili? Jednak Biel im zaufała, nie pytała o nic, tylko czekała, podczas gdy minuty się przeciągały.

I wtedy wreszcie kształt nadpłynął zza Wielkiego Jaspisu. Początkowo trudno było ogarnąć jego rozmiar. Wynurzył się sto kroków od wysokich, okalających cały Wielki Jaspis murów, na których ludzie tłoczyli się, żeby coś zobaczyć. Początkowo morski demon był widoczny tylko dzięki kilwaterowi, jaki ciągnął się za nim, kiedy rozorywał wodę na prawo i lewo.

Morski demon przyśpieszał, w miarę jak się zbliżał. Morze wpadało przez na wpół otwartą paszczę w kształcie krzyża do pierścieniowego wola i wytryskiwało skrzelami wzdłuż całego ciała, teraz otwartymi. Z każdym wielkim haustem paszcza otwierała się szerzej, woda strzelała na boki i do tyłu potężnymi wachlarzami co jakieś pięćdziesiąt kroków, a potem, gdy potężne mięśnie kurczyły się, za cielskiem z sykiem wylatywała wodna piana.

Morski demon zbliżał się do wału nadmorskiego, który chronił Zachodnią Zatokę. Jedna z galer uciekała w stronę przesmyku w wale, próbując się wydostać. Zważywszy na

szybkość, z jaką morski demon się poruszał, kapitan nie mógł wiedzieć, że obrał niewłaściwy kierunek.

– Biedny głupiec – mruknął Gill.

– To zależy, czy to zbieg okoliczności, czy atak – odpowiedziała Biel z upiornym spokojem. – Jeśli potwór przedostanie się za wał nadmorski, mogą być jedynymi, którzy mu się wymkną.

Galernicy wyciągnęli wiosła z wody jak jeden mąż, starając się jak najmniej burzyć wody. Morskie demony to stworzenia terytorialne, nie drapieżniki.

Stwór minął galerę i popłynął dalej. Gavin Greyling odetchnął z ulgą i usłyszał, że pozostali też wypuścili powietrze. Wtedy jednak morski demon zanurkował, znikając w nagłej chmurze mgły.

Kiedy się wynurzył, był rozgrzany do czerwoności. Woda gotowała się wokół niego. Zawrócił z powrotem ku otwartemu morzu.

Nie mogli nic zrobić. Morski demon wypłynął na morze, a potem zawrócił, przyspieszając. Celował dokładnie w dziób galery, jakby chciał doprowadzić do zderzenia czołowego z rywalem.

Ktoś zaklął pod nosem.

Morski demon staranował galerę z potworną prędkością. Kilku żeglarzy wyleciało z pokładu, niektórzy do morza, inny szybował, aż uderzył z chrzęstem o guzowatą, kolczastą głowę demona.

Przez chwilę wydawało się, że jakimś cudem statek wytrzyma, ale, niestety, zaraz rozpadł się dziób. Drewno eksplodowało odłamkami na wszystkie strony. Maszty popękały.

Cała galera – a właściwie połowa, która jeszcze się ostała – była pchana do tyłu, dziesięć kroków, dwadzieścia, trzydzieści; wyrzucała potężne wachlarze wody w powietrze. Parcie naprzód morskiego demona osłabło tylko na chwilę. Galera została wepchnięta pod wodę, kiedy wielki nos w kształcie młota wynurzył się jeszcze bardziej z wody i naparł mocniej. Utworzony w ogniu drewniany kadłub statku roztrzaskał się jak gliniany garnek, gdy cisnąć nim o mur.

Morski demon zanurkował. Z kolczastym łbem oplątanym linami, pociągnął za sobą statek.

Sto kroków dalej na powierzchnię wypłynął ogromny bąbel powietrza – ostatni z pokładów pękł pod naporem wody. Jednak sam wrak nigdy nie wypłynął. Zostały tylko unoszące się na wodzie nieliczne szczątki okrętu, który po prostu zniknął. Kilku członków z liczącej setki ludzi załogi młóciło kończynami fale. Większość nie umiała pływać. Gavin Greyling nauczył się pływać w ramach szkolenia Czarnogwardzisty, ale fakt, że większość

żeglarzy nie potrafiła pływać, zawsze uważał za krańcowe szaleństwo.

– Tam – powiedział Gill, wskazując palcem. – Widać smugę bąbelków.

Morski demon nie uwiązł za wałem nadmorskim, dzięki niech będą Orholamowi. Jednakże kierunek, w którym najwyraźniej zmierzał, był jeszcze gorszy.

– Najszlachetniejsza pani – rozległ się głos za ich plecami.

To był Światłowładca Carver Czarny, człowiek odpowiedzialny za przyziemne szczegóły zarządzania Chromerią, które nie podlegały Bieli. Był wysokim łysiejącym mężczyzną o oliwkowej cerze, odzianym w ilytańskie rajtuzy i dublet. To, co zachowało się z jego długich ciemnych włosów, szczerze przetykała siwizna. Gavin go nie zauważył. Czarnogwardzista, a mimo to go nie zauważył.

– Proszę o wybaczenie, pukałem, ale nikt nie odpowiadał. Potwór okrąża Jaspisy, już piąty raz. Wydałem rozkaz, żeby działa na Armatniej Wyspie nie strzelały, o ile nie zaatakuje. Chcą wiedzieć, czy mają to uznać za atak.

Obrona Małego Jaspisu teoretycznie leżała w jego gestii, ale Światłowładca Czerń był ostrożnym administratorem i wolał unikać odpowiedzialności, o ile tylko było to możliwe.

Co zdołała kula armatnia przeciwko takiej bestii?

– Powiedz im, żeby poczekali – odpowiedziała Biel.

– Słyszałeś panią! – ryknął Czerń, przykładając do ust zwiniętą dłoń ozdobioną licznymi pierścieniami.

Na dachu, piętro wyżej nad balkonem Bieli, stał sekretarz i trzymał szerokie na krok polerowane zwierciadło. Wychylał się nad krawędzią, żeby słyszeć.

– Tak jest, najszlachetniejszy panie! – Mężczyzna pośpiesznie posłał sygnał świetlny i młodsza kobieta zastąpiła go na krawędzi, starając się słuchać i jednocześnie nie sprawiać wrażenia, że podsłuchuje.

Morski demon trzymał się teraz blisko wybrzeża, pływał po wodach tak płytkich, że widać mu było grzbiet. Staranował pirs przy kapitanacie portu, nawet tego nie zauważając. Wreszcie dotarł do północnego krańca Wielkiego Jaspisu.

– Psiakrew.

Wszyscy tak pomyśleli, ale głos należał do Bieli. Do Bieli? Od kiedy Biel przeklinała? Gavin Greyling nie podejrzewał nawet, że znała jakieś przekleństwa.

Ludzie na Łodydze Lilii stracili z oczu potwora, kiedy zbliżył się do Wielkiego Jaspisu, a teraz morski demon ruszył na most, nim ktokolwiek z tłumu mógł zareagować.

Most unosił się dokładnie na wysokości fal. Żółty i niebieski luksyn tworzył kratownicę bez żadnych podpór, która wyglądała jakby była zielona. Znosił smaganie fal morskich przez setki lat, chromaturgia potrzebna do stworzenia czegoś podobnego wykraczała teraz nawet poza możliwości samego Gavina Guile. Więcej niż raz służył za falochron dla

statków uwieczonych poza wałem nadmorskim w czasie sztormów i ocalił setki ludzi. Pierwsze przypadkowe zderzenie morskiego demona z mostem zachybotowało całą konstrukcją. Mnóstwo ludzi się przewróciło.

Ogromny kształt sunął wzdłuż luksynu przez odcinek dziesięciu, dwudziestu kroków, a potem zwolnił, jakby ogłupiały. Jednakże konsternacja trwała tylko chwilę, gdyż zaraz wokół demona uniosły się świeże kłęby pary. Głowa potwora zanurzyła się w fale i stwór śmignął na otwarte morze, uderzając ogromnym ogonem w wody obok Łodygi Lilii, aż na całej jego długości buchnęły gejzery.

A potem, na morzu, znowu zawrócił.

– Każ Armatniej Wyspie strzelać! – krzyknęła Biel.

Armatnia Wyspa znajdowała się w zatoce po drugiej stronie Łodygi Lilii. Prawdopodobieństwo, że artylerzyści trafią, było niewielkie.

Jednakże lepsza niewielka szansa odwrócenia uwagi demona niż żadna.

Pierwsza kolubryna wystrzeliła natychmiast. Załoga musiała już czekać na rozkaz. Strzelali jednak z odległości co najmniej tysiąca kroków. I spudłowali o co najmniej sto. Pozostałe pięć dział z wyspy wycelowanych we właściwym kierunku przemówiło po kolei, a huk rozlegał się z opóźnieniem po rozbłysku, docierając do wieży mniej więcej w tym samym czasie, w którym widać było rozbryzg wody. Najbliższa fontanna pojawiła się jakieś pięćdziesiąt kroków od celu. Żaden strzał nie powstrzymał morskiego demona.

Załogi artyleryjskie zaczęły przeładowywać działa z szybkością i sprawnością, jaką dawało jedynie nieustające szkolenie. Mimo to nie mieli szansy oddać następnej salwy na czas. Morski demon był zwyczajnie za szybki.

Na Łodydze Lilii zapanował chaos. Końskie zaprzęgi poprzewracały się, zwierzęta panikowały i obracały się bokiem z wozami w ciasnej przestrzeni mostu, blokując i tak cieniutką stróżkę ludzi, którzy chcieli wrócić na Wielki Jaspis. Ludzie przechodzili nad i pod końmi, a te młóciły powietrze kopytami i gryzły.

Przy drugim końcu ludzie rzucili się w popłochu do ucieczki, przewracali się, tratowali. Niewielu zdążyło uciec.

– Carverze – rzuciła krótko Biel – idź już, zorganizuj pomoc dla ofiar, zmarłych i rannych. Poruszasz się szybciej ode mnie, a ja muszę zobaczyć, jak to się zakończy.

Światłowładca Czernь wybiegł, zanim skończyła mówić.

Czteryście kroków od mostu. Trzysta.

Biel wyciągnęła rękę, jakby mogła odeprzeć atak morskiego demona siłą woli. Szeptła gorączkowo słowa modlitwy.

Dwieście kroków. Sto.

Drugi ciemny kształt śmignął pod mostem z przeciwnej strony i w potężnym zderzeniu z

morskim demonem fontanny wody wystrzeliły w powietrze na sto stóp. Morski demon wyleciał w powietrze obrócony bokiem. Ciemny kształt, potężny, ale drobny w porównaniu z morskim demonem, uderzył stwora od spodu. Oba runęły z powrotem do wody raptem dwadzieścia kroków od Łodygi Lili.

Ogromny pęd morskiego demona sprawił, że całą swoją masą uderzył w most, a ściana wody uderzyła w luksynową rurę i przelała się nad nią. Konstrukcja zakołysała się, ale wytrzymała.

Pośród rozbryzgów wody wynurzył się czarny ogon z poziomą płetwą. Ogon uderzył w cielsko morskiego demona, a potem wieloryb rzucił się ku Zatoce Małego Jaspisu. Oddalał się od mostu.

– Wieloryb – wyszeptała Biel. – Czy to był...

– Kaszalot, najszlachetniejsza pani – potwierdził Gill. Uwielbiał opowieści morskich zabijaków. – Czarny olbrzym. Długi na co najmniej trzydzieści kroków, łeb ma jak taran. Nigdy nie słyszałem o tak wielkim.

– Nie było kaszalotów na Morzu Lazurowym od...

– Czterystu lat. Odkąd zamknięto Wrota Mroku. Chociaż kilka uparcie tu trwało przez jakieś kolejne sto albo... Proszę o wybaczenie. – Gill nagle się stropił.

Nie zauważyła. Wszystkich zbyt pochłonęło widowisko. Morski demon ewidentnie został ogłuszony. Jego rozpalone do czerwoności ciało stało się niebieskie i zakryły je fale, ale kiedy morze uspokoiło się po wstrząsie zderzenia, widać było, że znowu rozjarza się czerwienią. Wody zasyczały.

Wielkie cielsko zafalowało pod wodą, odwróciło się i zaczęło płynąć – morski demon ścigał wieloryba.

– Ten gatunek wieloryba jest podobno dość agresywny... – zaczęła Biel.

Czterysta kroków od brzegu nastąpiła kolejna erupcja wody, kiedy dwa lewiatany znowu się zderzyły.

Kaszaloty były jedynymi naturalnymi wrogami morskich demonów na Morzu Lazurowym. Jednakże demony wybiły je wszystkie dawno, dawno temu. Podobno.

Patrzyli, jak olbrzymy znowu się zderzyły, tym razem dalej na morzu. Patrzyli w milczeniu, podczas gdy ratownicy na dole pracowali nad oczyszczeniem Łodygi Lili.

– Myślałam, że zwykle te wieloryby są... niebieskie? – zapytała Gilla Biel, nie odrywając wzroku od morza.

– Ciemnoniebieskie albo szare. Wspominano też o białych, podobno to stworzenia mityczne.

– Ten wyglądał na czarnego, prawda? Czy wzrok mnie zawodzi?

Bracia spojrzeli po sobie.

– Rzeczywiście był czarny – potwierdził Gill.

– Bez wątpienia – przytaknął Gavin.

– Bilhah! – zawołała Biel, zwracając się do osobistej niewolnicy po imieniu po raz pierwszy, odkąd Gavin sięgał pamięcią. – Jaki mamy dzisiaj dzień?

– Święto Światła i Ciemności, moja pani. Dzień, w którym światło i ciemność walczą o to, kto posiadzie niebo.

Biel nadal się nie odwracała.

– I w tę równonoc – odezwała się cicho – kiedy wiemy, że światło musi umrzeć, kiedy zwycięstwo nie jest możliwe, zostajemy ocaleni... nie przez białego wieloryba, lecz czarnego.

Pozostali pokiwali mądrze głowami, a Gavin poczuł, że omija go jakaś niezwykle znacząca chwila. Popatrzył po pozostałych.

– No i? – zapytał. – Co to znaczy?

Gill zdzielił go po głowie.

– To jest dopiero pytanie, co?

ROZDZIAŁ 2

Dłonie Gavina Guile krwawiły ciepłą, gęstą szarością wokół gładkiego drzewca wiosła. Myślał, że ma przyzwoicie stwardniałą dłoń jak na człowieka, który pracuje głównie ze słowami, ale nic go nie przygotowało na dziesięć godzin dziennie przy wiosle.

– Chłosta! – zawołał numer siódmy do nadzorczyńni. – Więcej bandaży dla Jego Świątobliwości.

To wywołało parę bladych uśmiezków, ale galernicy nie zwolnili. Wielkie bębny z cielecej skóry wygrywały wielorybi rytm. To było tempo, jakie doświadczeni ludzie byli w stanie utrzymać cały dzień, chociaż z pewnym wysiłkiem. Na każdej ławce siedziało trzech mężczyzn, a dwóch mogło utrzymać wymagane tempo dostatecznie długo, żeby trzeci galernik mógł się napić, zjeść coś albo skorzystać z wiadra.

Chłosta podeszła ze zwiłkiem materiału. Gestem wskazała na Gavina, żeby pokazał ręce. Nigdy w życiu nie widział równie krzepkiej kobiety, a znał wszystkie Czarnogwardzistki z ostatnich dwudziestu lat. Oderwał zakrwawione szpony od wiosła. Nie był w stanie otworzyć ani zacisnąć palców, a jeszcze nie nadeszło południe. Będą wiosłować aż do zmroku. Jeszcze pięć godzin o tej porze roku. Chłosta odwinęła płótno. Wyglądało na pokryte strupami.

Gavin przypuszczał, że są gorsze zmartwienia niż zakażenie. Kiedy jednak owinęła mu dłonie ruchami sprawnymi, chociaż pozbawionymi delikatności, poczuł intensywny zapach, jakby żywicy z dodatkiem aromatu podobnego do goździków, i usłyszał brzękliwy trzask łamanego nadfioletowego luksynu.

Na chwilę powrócił stary Gavin, jego umysł już szukał sposobu wykorzystania ich głupoty. Trudno jest krzesać bezpośrednio z rozpadającego się luksynu, ale trudność to pestka dla Gavina Guile. Był Pryzmatem. Nie istniało nic, czego nie mógł...

Nie było czegoś, co by mógł zrobić. Nie teraz. Nie, kiedy oślepl na kolory. Nie mógł krzesać. W słabiutkim świetle powoli kołyszących się latarni świat pogrążał się w odcieniach szarości.

Chłosta skończyła zawiązywać supły na grzbiecie jego dłoni i warknęła. Gavin odebrał to jako sygnał dla niego i przeniósł zmęczone ręce na wiosło.

– Z-z-zwalcza zakażenie – powiedział jeden z jego towarzyszy, numer ósmy, ale niektórzy wołali na niego Kukurwa. Gavin nie miał pojęcia dlaczego. Wykształciła się

luźna społeczność z własnym slangiem i prywatnymi żarcikami, ale Gavin do niej nie należał. – Tu na dole zakażenie zabija błyskawicznie jak kopniak.

Nadfioletowy luksyn zwalczał infekcję? W Chromerii tego nie uczono, ale to nie znaczy, że ten człowiek się mylił. A może po prostu to było nowe odkrycie od czasu wojny i nikt mu nie powiedział? Powędrował myślami do swojego brata Dazena, który rozciął sobie pierś. Jak to się stało, że Dazen nie uległ zakażeniu w piekle, jakie Gavin dla niego stworzył?

Czyżby szaleństwo, które przekonało Gavina, żeby zabić uwięzionego brata, nie było wcale szaleństwem, tylko gorączką?

Teraz już za późno. Przypomniawszy sobie znowu krew i strzępy mózgu, które wyleciały z czaszki Dazena, malując ścianę celi po tym, jak Gavin do niego strzelił.

Położył zabandażowane ręce z powrotem na wyslizganym wiośle, drzewcu wygładzonym potem, krwią i łojem z wielu dłoni.

– Nie garb się, Szóstka – pouczył go numer ósmy. – Lumbago cię wykończy, jeśli będziesz pracował tylko plecami.

No, no, tak wiele słów bez przekleństwa to po prostu cud.

Ósemka w pewnym sensie go adoptował. Gavin wiedział, że żyłasty Angarczyk pomaga mu nie tylko z dobrego serca. Gavin był trzecim przy wiosle. Im mniej pracy wykonywał, tym więcej musieli pracować Siódemka i Ósemka, żeby utrzymać rytm, a kapitan Artylerzysta poważnie traktował kwestię tempa. Nie palił się, żeby zostać dłużej w pobliżu miejsca upadku Ru.

W następnym tygodniu Chromeria roześle pirackich łowców – korsarzy, którzy otrzymali oficjalny rozkaz polowania na handlarzy niewolników grasujących wśród wraków floty inwazyjnej. Ratowali ludzi, żeby potem siłą wcielić ich do marynarki. Będą szukali okazji, by wymienić za okup tych, którzy mają majątnych krewnych, ale bez wątpienia wielu trafi z powrotem prosto na wielkie targowiska niewolników Ilyty, gdzie bezkarnie można pozbyć się żywego towaru. Inni poszukają bliższych targów niewolników, gdzie pozbawieni skrupułów urzędnicy podrobiją dokumenty stwierdzające, że ci niewolnicy pochodzą z legalnych źródeł w odległych portach. Wielu niewolników straci języki, żeby nie mogli niczego powiedzieć.

Oto, ku czemu poprowadziłem swoich ludzi, Karris. Ku śmierci i zniewoleniu.

Gavin zabił boga i mimo to przegrał bitwę. Kiedy mara powstała z głębin, zmiażdżyła flotę Chromerii, a ich wszystkie nadzieje wylądowały za burtą jak zmyte przez wodę rupiecie.

Nie doszłoby do tego, gdyby ogłoszono mnie promachosem.

Prawda była taka, że Gavin nie powinien był zabić tylko swojego brata. Powinien też zabić ojca. Nawet pod sam koniec, gdyby pomógł Kipowi dźgnąć Androssa Guile, zamiast

próbować ich rozdzielić, Andross by nie żył, a Gavin byłby teraz w ramionach żony.

– Myślisz czasem, że nie byłeś dość twardy? – zagadnął Siódemkę.

Mężczyzna trzy razy pociągnął za wiosło, zanim w końcu odpowiedział:

– Wiesz, jak mnie nazywają?

– Chyba słyszałem, jak ktoś wołał na ciebie Orholam. To dlatego, że masz siedzenie numer siedem?

Tak jak sześć to cyfra człowieka, tak siedem to cyfra Orholama.

– Nie dlatego.

Przyjazny jegomość.

– To dlaczego?

– Nie otrzymujesz odpowiedzi na swoje pytania, bo nie czekasz na nie – odparł Orholam.

– Stary, już dość się naczekałem – odparł Gavin.

Dwa kolejne mocne pociągnięcia i Orholam powiedział:

– Nie. Na wszystkie trzy pytania. Trzy razy nie. Niektórzy ludzie uważają, kiedy coś pojawia się po trzykroć.

Nie ja. Idź do diabła, Orholamie. I niech idzie do diabła ten, na którego cześć cię przewano.

Gavin skrzywił się, czując znajomy ból wiosłowania, i wszedł z powrotem w rytm – zamach i rozciągnięcie, zaparcie się o stopień dla stóp i pociągnięcie. Wredna Szkapa miała stu pięćdziesięciu wiosłarzy, osiemdziesięciu ludzi na niższym pokładzie i siedemdziesięciu na wyższym. Prześwity między pokładami pozwalały dźwiękom bębnow i wykrzykiwanym rozkazom wędrować między górnym i dolnym pokładem galery.

Jednakże nie tylko dźwięk wędrował między pokładami. Gavin myślał, że jego powonienie umarło po kilku dniach, ale zawsze znalazł się jakiś nowy odór, który go atakował. Angarczycy uważają się za czystych ludzi i może rzeczywiście tacy byli – Gavin nie widział ani śladu dyzenterii ani chorobliwych potów wśród galerników, a każdej nocy wędrowały wśród niewolników wiadra, pierwsze z mydlinami, żeby się obmyć, a potem drugie z czystą wodą morską do spłukania. Cokolwiek z siebie spłukali, skapywało, rzecz jasna, na niewolników na dolnym pokładzie, a potem jeszcze brudniejsze mydliny trafiały do zęzy. Pokłady zawsze były śliskie, panowały tam upał i wilgoć, galernicy ciągle się pocili, iluminatory nie zapewniały odpowiedniej wentylacji, chyba że mocno wiało, a strużki płynów, które skapywały Gavinowi na głowę i plecy z górnego pokładu, były podejrzanie cuchnące.

Na schodach rozległy się kroki – lekki chód doświadczonego żeglarza. Ktoś pstryknął palcami w pobliżu Gavina, ale on nawet nie zerknął. Teraz był niewolnikiem, musiał zachowywać się jak niewolnik, bo inaczej dostawał cięgi za bezczelność. Za to nie musiał

kulić się ze strachu. Nadal jednak musiał wiosłować, a to wymagało wszystkich jego sił.

Chłosta oderwała ręce Gavina od wiosła, rozpięła okowy i zagwizdała do numeru dwa. Numer jeden i dwa znajdowali się na szczycie zmiennej hierarchii niewolników. Wolno im było siedzieć z przodu i odpoczywać, powierzano im różne zadania, które wykonywali bez łańcuchów, i musieli wiosłować tylko wtedy, gdy inny wiosłarz zachorował albo zemdłał z wyczerpania.

Kiedy Chłosta skuliła mu ręce za plecami, Gavin spojrział na kapitana Artylerzystę, który stał na szczycie schodów. Artylerzysta był Ilytaninem o skórze czarnej jak noc i zmierzwionej kędzierzawej brodzie. Wspaniały brokatowy dublet wkładał na nagi tors, a poza tym nosił luźne żeglarskie spodnie. Miał wyrazistą urodę szaleńców i proroków. Mówił do siebie. Mówił do morza. Uważał, że nikt nie dorównuje mu ani na niebie, ani na ziemi, i dopóki szło o strzelanie z broni palnej dowolnych rozmiarów, miał słuszość. Nie tak dawno temu Artylerzysta wyskoczył ze statku, który Gavin podpalił i podziurawił jak rzeszoto. Gavin dla kaprysu darował mu życie.

Twoje dobre uczynki w końcu cię zabiją.

– Chodź na górę, mały Guile'u – powiedział kapitan Artylerzysta. – Zaczyna mi brakować powodów, żeby trzymać cię przy życiu.

ROZDZIAŁ 3

Dłonie Kipa krwawiły żywym szkarłatem wokół gładkiego drzewca wiosła. Ręce miał w pęcherzach. Pęcherze napełniły się bezbarwnym płynem. Delikatna skóra pod nimi popękała. Krew wymieszała się z płynem niczym czerwony luksyn. Przez nieustanne ocieranie o wiosło pęcherze popękały, krwawiły. Kip chwycił mocniej drzewce. Powstawały nowe pęcherze, bezbarwne. Napełniały się szkarłatem. Pękały.

Nie widział jednak koloru. Niczego nie widział. Tylko wyobrażał sobie kolory czekające na niego, kiedy tylko zrzuci opaskę na oczy, którą założył mu Zymun, by uniemożliwić krzesanie. Zymun, polichromata, który popierał Księcia Barw. Zymun, który próbował zabić Kipa w Rektionie i zamordować Gavina w Garristonie. Zymun, który nawet teraz celował w głowę Kipa z pistoletu. Zymun, jego przyrodni brat.

Zymun, którego Kip zabije.

– Co tak szczerzysz zęby? – zapytał Zymun.

Łódka wiosłowa kołysała się na falach tak samo, jak to robiła od dwóch dni. Nie mogąc korzystać ze wzroku, Kip nie ogarniał chaosu fal, nie wiedział, kiedy powinien wiosłować, a kiedy przestać. Od czasu do czasu pociągał za jedno wiosło i czuł, że się wynurza z wody. Szamotał się z nim, dopóki Zymun warknięciem nie podpowiadał mu kierunku. Robili to od dwóch dni. Dwa dni męczarni.

Pierwszego dnia opaska na oczy była przesadą – Kipowi tak zapuchły powieki, że nie mógł otworzyć oczu. W czasie walki niechcący się uderzył, a potem Zymun zdzielił go pięścią w twarz. Miał tuzin drobnych rozcięć na lewej stronie twarzy i na lewej ręce, po tym jak ząb blanek zielonej mary został trafiony kulą armatnią i rozpadł się, siejąc odłamkami. Andross Guile dźgnął go w ramię i ciął przez żebra.

Gdyby nie szkolił się na Czarnogwardzistę w ostatnich miesiącach i gdyby nie fakt, że celowano do niego z broni, nie byłby w stanie się ruszyć. A tak, to całkiem nowe ćwiczenie zredukowało jego mięśnie do rozdygotanej nieporadności. Konał z powodu pleców. Przednia część nóg, cały czas napięta, bo starał się zachować równowagę w rozkołysanej łódce, zwyczajnie go dobijała. Ręce i ramiona jakimś cudem bolały go jeszcze bardziej. A dłonie! Dobry Orholamie, jakby je zanurzył w boleści. Poparzona lewa ręka, która powoli się goiła, teraz wygięła się w szpon. Bolało, gdy ją napinał, bolało, gdy rozluźniał, bolało, gdy ją zostawiał w spokoju.

Kip był gruby, przerażony i skończony.

– Bardziej na bakburtę – rzucił znudzonym głosem Zymun.

Nie przejmował się Kipem na tyle, by dociekać, czemu się uśmiecha. Był zbyt sprytny, żeby zbliżyć się z powodu błahej prowokacji, a fale były dzisiaj zbyt duże, żeby ryzykować utratę równowagi dla chwili przyjemności.

Ani razu nie zaproponował, że teraz on wiosłuje.

Jedynym, co sprawiało, że Kip dalej wiosłował, był strach. To było wyczerpujące bać się dwa dni z rzędu i zaczynało to Kipa doprowadzać do furii.

Tylko co ja mogę? Jestem ślepy i tak osłabiony, że nie dałbym sobie rady z kociakiem, na pewno dostałbym skurczu mięśni albo padłbym przy pierwszej próbie ruchu. Zymun przygotował pole rozgrywki. Miał karty: sześć kolorów i broń.

Jednakże, kiedy tylko Kip dostrzegł, że to gra w Dziewięć Króli, przerażenie osłabło. Wyobraził sobie, jak analizuje rozgrywkę z cierpliwością błękitu. Czy Zymun mógł być choć w przybliżeniu równie przerażającym przeciwnikiem jak Andross Guile? Nie. Jeżeli jednak masz słabe karty, nadal możesz przegrać nawet z kiepskim przeciwnikiem.

Zymun mógł w każdej chwili zabić Kipa, z łatwością i bez obawy, że przyjdzie mu za to zapłacić, bo nikt nigdy się nie dowie.

Tak, tak, to już ustaliliśmy, ale co z tego?

Najlepszą kartą Kipa było lenistwo przeciwnika. Zymun wiedział, że muszą wiosłować, inaczej padną ofiarą piratów i trafią do niewoli. I nie chciał samemu wiosłować, więc Kip był bezpieczny, dopóki nie zirytuje go w takim stopniu, że Zymun przezwycięży swoje lenistwo albo dopóki nie przestanie mu być potrzebny.

Zymun miał świetne karty, ale świetna karta, którą nigdy nie zagrasz, to nic niewarta karta.

Zymun miał wręcz niedorzecznie wysokie mniemanie o sobie – już niezwykle obszernie opowiedział o wszystkich rzeczach, które zrobi, kiedy dotrze do Chromerii. Kip nie pojawiał się w tych opowieściach, a to powiedziało mu wszystko na temat jego przyszłości. Jednakże wysokie mniemanie o sobie oznaczało, że Zymun miał proporcjonalnie złe zdanie o innych. Kip zachowywał się jak pokonany, a Zymun w to wierzył. Oczywiście, że był lepszy. Oczywiście, że Kip musiał być zdruzgotany tym faktem i zdawał sobie sprawę z własnej bezradności.

– Naprawdę spodziewałem się, że rekiny cię dopadną w Garristonie – powiedział Kip z niechętnym podziwem w głosie.

Zymun nie był idiotą mimo jego arogancji. Kiedy słońce zaszło, tracił swoją luksynową przewagę. Zostawały mu wtedy tylko trzy karty: pistolet, obrażenia Kipa i własne mięśnie nieudręczone kilkunastoma godzinami wyczerpującej harówki. Za każdym razem kiedy

Kip obracał się we śnie, leżąc na dziobie ich łódki pod ławką, Zymun natychmiast się budził z zamkiem skałkowym już odciągniętym i wycelowaną bronią.

Ryzyko, że Kip zostanie niechcący zastrzelony, kiedy Zymun drgnie przez sen, były przygnębiająco duże.

– Nie była to miła kąpiel – przyznał Zymun. A po chwili dodał: – Spodziewałem się, że wodospad w Rekton cię załatwi.

Poirytowany Kip Pyskacz omal nie napomknął o ich następnym spotkaniu, tym w obozie buntowników, kiedy Zymun go nie rozpoznał.

Jednakże szydzenie z człowieka, który dysponuje kilkunastoma pewnymi metodami zabicia cię nie jest najrozsądniejszą rzeczą na świecie.

– Chyba łączy nas coś jeszcze – orzekł Kip. – Trudno nas zabić.

Nie powinien zwracać sobie głowy próbą stworzenia iluzorycznej więzi. Zymun był podłym gadem. Kip uznał, że chłopak musiał to ukrywać przez większość czasu. Jednak nie przy Kipie. Kolejny znak, jak niewiele czasu zostało Kipowi.

– Płynie w nas krew Guile'ów – powiedział Zymun – ale ty zawsze będziesz bękartem. Udowodnię swoją wartość dziadkowi i zostanę spadkobiercą. Spadkobiercą!

Kip wiosłował.

– Jesteś pewien? – zapytał. – Że Karris to twoja matka? Nigdy nie słyszałem żadnych szeptów na ten temat.

Nie cierpiał przepaski na oczach, bo musiał odczytywać ton głosu Zymuna, zamiast szukać przelotnych grymasów czy drgnień, które zdradziłyby prawdę.

– Była zaręczona z Pryzmatem, kiedy mnie poczęli. Dzięki temu jestem prawowitym potomkiem, przynajmniej dla większości ludzi. On zerwał zaręczyny, a ona wyjechała i zatrzymała się u krewnych.

– W Tyrei?! – zdumiał się Kip.

Tam pierwszy raz zobaczył Zymuna, gdy sprzeciwił się mistrzowi i ciskał pociskami ogniowymi w Kipa, zmuszając go do skoku z wodospadu.

– W Krwawej Puszczy. W małym miasteczku zwanym Jabłoniowy Zagajnik. Potem wyjechałem do Tyrei. To było jedyne miejsce poza Chromerią, gdzie można było uczyć się krzesać.

– Pomysł dziadka? – zapytał Kip.

To brzmiało mu jak pomysł Androssa Guile. Kazać chłopaka wykształcić i wyszkolić, nie wykładając jego karty na stół. Idealna ukryta karta. Zymun przygotowywany do roli broni doskonałej nie mógł jednocześnie zdobywać sobie sprzymierzeńców w Chromerii. Idealnie nadawałby się jako broń przeciwko Gavinowi lub Spektrum, ale zarazem nie stanowiłby zagrożenia dla samego Androssa. Chłopak nawet nie zdawał sobie sprawy, jak cynicznie

Andross go wykorzystywał.

Chyba sam stałem się nieco cyniczny, skoro widzę to tak wyraźnie. A może jestem cyniczny tylko w kwestiach dotyczących Androssa Guile?

Zymun nie odpowiedział. A może pokiwał głową.

W ciągu dwóch dni Zymun ani razu nie zapytał o Karris. Najwyraźniej uważał, że dzięki jej pozycji w Czarnej Gwardii może ją zaakceptować jako matkę, ale sama w sobie nie miała żadnej władzy i w związku z tym nie była interesująca. Zachowywał swoje pytania, żeby uzbroić się na spotkanie z Androssem Guile. Kip chciałby przy tym być.

Następnym razem, kiedy wiosło Kipa zsunęło się z fali, rozkaszał się. Krztusząc się, zasłonił usta ręką i przesunął odrobinę opaskę na oczy w górę nosa. Kaszel, nawet udawany, bolał jak diabli. Kip nabrał w płuca mnóstwo wody morskiej, kiedy skoczył do Morza Lazurowego ratować Gavina Guile.

Kiedyś myślał o sobie jako o żółwio-niedźwiedziu obdarzonym nadzwyczajną zdolnością przyjmowania kar. Naprawdę będzie musiał wymyślić sobie jakiś inny szczególny dar. Ten był okropny.

Wrócił do wiosłowania. Zymun kazał mu zdjąć koszulę, żeby widzieć, czy Kip nie próbuje upchnąć w sobie luksynu, i żeby samemu się zagrzać. Przy zachmurzeniu i jesiennym wietrze było chłodno przez większość ranka i wieczoru. Wiosłując i pocąc się, Kip nieszczęśliwie odczuwał brak koszuli.

Pod koniec każdego pociągnięcia, kiedy głowa w naturalny sposób mu się odchyłała, Kip nabierał maleńki łycalek błękitu spod opaski. W słabym, szarym świetle sącącym się przez chmury, morze było jak zupa, a rzęsy i opaska przesłaniały większość koloru, on jednak nie potrzebował dużo. Nie mógł wziąć dużo naraz, bo Zymun mógłby zauważyć. Brał odrobinę za każdym razem, a jego skóra była dostatecznie ciemna, żeby ukryć luksyn, kiedy wędrował z oczu, przez twarz ukrytą pod opaską, po plecach i odkładał się w nogach i na pośladkach, w miejscach zasłoniętych. Zymun już kilka razy sprawdzał mu skórę głowy i twarz pod opaską, więc nadmiar ostrożności był jak najbardziej na miejscu.

Zymun – przekonany, że Kip nie może krzesać – spodziewał się ataku w nocy, kiedy miał najmniej sił. Jednakże jako polichromata z pełnym spektrum Kip wiedział, że słabości nie mierzy się w kolorach. Nie było różnicy między Zymunem dysponującym tuzinem niezawodnych narzędzi śmierci a mającym tylko jedno, jeśli czas był dostatecznie ograniczony. Co więcej, jeśli Zymuna można bardziej zaskoczyć, kiedy dysponuje tuzinem metod zabicia Kipa, niż kiedy ma tylko jedną, wtedy te dodatkowe metody czynią go tylko słabszym.

Niektórzy ludzie myślą, że w Dziewięć Króli gra się przeciwko człowiekowi, a nie kartom. To brzmi sensownie, ale rzadko jest prawdą.

Nim nadeszło późne popołudnie, Kip miał już dostatecznie dużo luksynu. Potrzebował całej koncentracji, żeby wiosłować i odsuwać od siebie ból, powoli przenosząc luksyn po plecach, przez kark, na skórę czaszki. Żeby krzesać, luksyn musi mieć kontakt z krwią. Większość krzesicieli decyduje się rozerwać skórę na nadgarstkach lub pod paznokciami. Po jakimś czasie formuje się tam tkanka bliznowata, ciało się dostosowuje. Jednak nie trzeba przepychać luksynu przez to samo miejsce co do tej pory, a Kip nie miał takiego zamiaru. Każdy ułamek straconej sekundy zwiększał prawdopodobieństwo jego śmierci.

Łyczki błękitu sprawiały, że wszystko wydawało się takie logiczne. Zmysły Kipa były wyostrzone, odfiltrowały wiatr i jego własny oddech. Kip odgadywał, że Zymun siedzi zwrócony twarzą do niego. Wiedział, gdzie znajduje się ławeczka, zorientował się, że Zymun siedzi pośrodku, czując, jak łódka leży na wodzie. Słyszał, że Zymun czasem się przesuwa, oglądając się albo zerkając w stronę brzegu.

Błękit nie potrafił jednak wyciszyć dźwięków, a jedynie odcedzić właściwe. Nieregularne powiewy wiatru zacierały wiele informacji, z których Kip mógłby skorzystać. Niebieski nie wygaszał też bólu w ciele. Kip gospodarował malejącymi zasobami najoszczędniej jak mógł, odgrywając odrobinę bardziej wycieńczonego niż był, żeby odpoczywać chwilę między każdym pociągnięciem wiosłem, balansując między lenistwem Zymuna i zagrożeniem dla własnego życia.

To musiało stać się dzisiaj. Wkrótce. Nie zostało mu już zbyt wiele sił.

Kip zgarbił się, jęknął z bólu, wypuścił wiosła i udał, że złapał go skurcz w nodze. Ruch był dostatecznie nagły, żeby Kip zapracował sobie na kulkę z muszkietu między oczy. Masował nogę obiema rękami, oceniając, sprawdzając, rozciągając nie tylko nogi, ale i dłonie oraz ręce.

Rozległo się nagłe prychnięcie, a po nim cichy okrzyk.

Rozkładając nogi szerzej niż do tej pory, przez co były mniej pomocne przy wiosłowaniu, ale – jak miał nadzieję – bardziej użyteczne przy nagłym skoku, Kip usadowił się z powrotem i zaczął na oślep szukać wiosła. Udawał, że tego nie zauważył, ale omal nie wyzionął ducha.

Zymun musiał przysnąć. Kip obudził wroga. Dysponując błękitem, który wyostrzał mu zmysły, gdyby Kip poczekał jeszcze kilka chwil...

Niestety, nie poczekał. Koniec kropka. Dowódca Żelazna Pięść powiedział im kiedyś: „Oglądanie się za siebie nie pomaga. Roztrząsajcie swoje błędy, kiedy będziecie bezpieczni. Najpierw zapewnijcie sobie bezpieczeństwo”.

-Jeśli myślisz, że ci pomogę, to chyba ci odbiło – powiedział Zymun.

Kip jęknął z powodu bólu w rękach. Nie wiedział, czy będzie miał dość sił, żeby chociaż rzucić się przez łódkę. Macał na oślep, szukając wiosła, które wypuścił.

– Im dłużej szukam wiosła, tym dłużej odpoczywam – powiedział.

– Prawa ręka. W górę i do przodu. Wyżej. Wykorzystaj łańcuch, głupku.

Wiosło w dulce podskakiwało i kołysało się na falach. Uderzyło Kipa w paznokcie, aż chłopak jęknął. Zgiął nadgarstki, żeby sięgnąć do okowów, i po łańcuchu powędrował do wiosła. Wcale nie zapomniał, że tak można. Po prostu wołał wyjść na głupka.

Lepiej, żeby nie było widać, że ocenia, jak dokładnie długi jest łańcuch. Kip złapał wiosło. Potem to samo zrobił lewą ręką i znowu zaczął wiosłować.

– Bardziej na bakburtę – polecił znudzonym głosem Zymun. – O, właśnie.

Istniał tylko jeden sensowny sposób. Kip musiał zrzucić Zymuna do wody i samemu do niej nie wpaść. Gdy już Zymun wylądował w wodzie, pistolet na nic mu się nie zda. Będzie miał dość czasu, żeby tylko raz cisnąć czymś w Kipa. Ponieważ każdy luksyn miał swoją wagę, to działanie – bez względu na wybrany kolor – wywoła reakcję, która wepchnie Zymuna głębiej pod wodę.

Jeśli Zymun spudłuje przy tym pierwszym uderzeniu, Kip będzie miał szansę. Będzie musiał wiosłować jak szalony. Kiedy zobaczy, jak daleko znajdują się od brzegu, zdecyduje, czy może zaryzykować i zawrócić, żeby zabić Zymuna, czy też zostawi go na łaskę morza. Po ostatniej graniczącej z cudem ucieczce przez wody pełne rekinów Kip zamierzał go dla pewności zabić.

Jeżeli Kip okaże się za wolny, Zymun go zastrzeli. Nie mając pojęcia, w jakim kierunku wiosłować i będąc tak osłabionym, Kip umrze. Jeśli zrzuci ich obu do wody, też umrze. Zymun był lepszym pływakiem, nawet kiedy Kip był zdrowy.

Będzie miał tylko jedną niewielką szansę. Kip musiał być na nią gotowy. Jego źrenice, osłaniane przed światłem przez przepaskę, z natury rzeczy były rozszerzone. Próbował je świadomie zwęzić, to sztuczka znana każdemu doświadczonemu krzesicielowi. Jeśli światło go oślepi, spudłuje. A jeżeli...

Ciężar Zymuna się przesunął.

– Orholamie – mruknął.

Właściwa chwila nadeszła tak nagle, że Kip omal jej nie przegapił.

– Galera – powiedział Zymun.

Niebieski luksyn, który Kip trzymał w sobie, podpowiedział mu, że głos Zymuna jest przytłumiony, bo chłopak obrócił się w bok, żeby spojrzeć.

– Myślę, że to piraci.

Teraz! Niebieski luksyn wyrwał się przez skórę Kipa na skroniach. Palcami niebieskiego luksynu zerwał opaskę z głowy – i skoczył.

ROZDZIAŁ 4

– Niech poczuję smrodek choćby żywicznego pierdnięcia, a pomaluję pokład mięchem, mały Guile’u. Na czerwono, szaro i w kolorze kości, rozumiesz? Znam luksynynowe zapachy – powiedział Artylerzysta, prowadząc go na pokład Wrednej Szkapy. – A raczej maluję go na brązowo i sraczkowato, racja? Racja?

Gavin wyszedł na światło z ciężkim sercem.

– Racja – odpowiedział.

Bo niby ma kał zamiast mózgu. Przezabawne.

– Luksynynowe? Luksowe? Luksyjne? – zapytał Artylerzysta.

Ten człowiek kochał język tak samo, jak maltretujący mąż kocha swoją żonę.

– Luksynowe, ale twoja wersja bardziej mi się podoba.

– Mowa!

Zbliżało się południe, wzburzone morze podrzucało lekką galerą bardziej, niż Gavin się spodziewał. Te angarskie statki były inne. A to, co było najistotniejszym faktem w całym jego życiu – światło – nagle wydało mu się nieważne. Dzień był pochmurny, ale dla Pryzmata światła było mnóstwo. Jednakże to światło całowało jego skórę jak kochanka przeciągająca rozstanie. Odcienie szarości, bieli i czerni wywoływały rozpacz, tam gdzie wcześniej mieniące się widma oferowały mu niewyobrażalną moc. Myślał, że pogodził się z utratą kolorów, ale stawiać czoło tej stracie w ciemności więzienia to jedno, a przekonać się, że więzieniem stał się cały świat, to całkiem co innego. A Artylerzysta to wiedział. Spojrzał raz w oczy Gavina, w noc, kiedy go pojmał, i wiedział.

Zatem dlaczego teraz zachowywał się jak paranoik?

Bo Artylerzysta to Artylerzysta, taki już jest.

– Na klęczki – rozkazał.

Gavin uklęknął, rozstawiając kolana szeroko na pokładzie, żeby nie stracić równowagi z powodu kołysania. Nie potrafił powiedzieć, czy takie rozciąganie wywoływało dobry ból, czy zły, ale dopóki nie tracił głowy ani żadnej innej ważnej dla niego kończyny, każda przerwa w wiosłowaniu była dobra.

Artylerzysta spojrzał na niego.

– Co się stało z Gavinem Guile, którego zachciewanki stanowiły punkt podparcia dla balansującego świata?

W pewnym sensie to było najbardziej klarowne zdanie, jakie do tej pory Artylerzysta wypowiedział, ale Gavin już mu mówił, że nie jest Gavinem. Pewnie to była jedna z najdurniejszych rzeczy, jakie uczynił w ostatnim roku, chociaż mnóstwo innych czynów kandydowało do tego tytułu.

– Nie żyje.

To powinno wystarczyć, niezależnie od tego, którego Gavina Artylerzysta miał na myśli.

– Tragedia. W jaki sposób?

Cała sztuka w rozmowie z wariatami to nigdy nie zdradzać zaskoczenia. Ani nigdy się go nie spodziewać. Mętność wypowiedzi była bronią, którą Gavin też potrafił się posługiwać.

– Skończyło mi się całe miłosierdzie i została już tylko łaska kuli z muszkietu. Stuku stuk. Stuku stuk. Bach, bach. Łaska martwego mięcha. Żółta cela czerwienieje, żywy umiera.

Artylerzysta skrzyżował ręce. Popatrzył na Gavina, jakby był bardzo zagadkowy.

– Majaczenia.

– Z łaknienia.

– Ty nikczemniku.

– Raczej: niewolniku.

– Przynajmniej ocalałeś.

– Bo tędy przepływałeś.

– I sam mi to oddałeś – powiedział Artylerzysta i gestem wskazał wielki biały muszkiet oparty o framugę drzwi kilka kroków dalej.

Gavin zamilkł, żeby Artylerzysta wygrał. Rzeczywiście chciał lepiej przyjąć się temu dziwnemu przedmiotowi, ale kapitan na przemian chciał się bronią pochwalić, to znowu ogarniała go paranoja, że ktoś mu ją ukradnie. Gavin nie mógł zwracać zbyt dużej uwagi na to, co Artylerzysta uważał za swój skarb. Ani też zbyt małej.

Artylerzysta roześmiał się, przypieczętowując swoje zwycięstwo, odbierając wahanie Gavina jako wycofanie się pokonanego. Grali już wcześniej w tę grę. Wiele, wiele lat temu. Gdyby życie Gavina nie leżało całkowicie w rękach tego człowieka i gdyby Artylerzysta nie był skończonym wariatem, Gavin chyba mógłby go polubić.

– Nie bardzo wierzę w szczerłość ludzi, którzy spoczywali na piersi Ceres. Od tych słonych pocałunków ludzie wariują, a już od samego początku Guile’owie byli z lekka szurnięci. Mów prosto jak w mordę strzelił. Jesteś Dazen Guile, powróciłeś z martwych? Gadaj wszystko, od początku do końca.

To znaczyło coś trochę innego niżby sugerowały słowa – Artylerzysta nie sływał z cierpliwości. Dlatego Gavin odpowiedział krótko:

– Nigdy nie umarłem. Pojmałem brata pod Strzaskaną Skałą i zająłem jego miejsce. Jego przyjaciele wyglądali lepiej niż moi, więc zabrałem mu ubrania, zabrałem mu miejsce w świecie. Jednak niecały miesiąc temu uznałem, że mój uwięziony brat kompletnie oszalał, więc go zabiłem.

Gavin myślał, że nie da się wypowiedzieć prawdy, przy której ukrywaniu mozolił się tak długo. Mimo to niczego nie poczuł. A powinien coś poczuć, prawda?

– Morze przysłała mi tajemnice dla rozerwania – orzekł Artylerzysta.

Gavin był pewien, że tym razem Artylerzysta celowo użył niewłaściwego słowa.

– A rozrywać to ty potrafisz. Nic dziwnego, że jesteś ulubieńcem Ceres.

Artylerzysta splunął do wody, ale Gavin zauważył, że był zadowolony.

– Jesteś więc Dazenem? Szczerze jak w mordę strzelił?

– Strzelałem na oślep od tak dawna, że nie wiem już, czym jestem. Byłem jednak Dazenem. Szczerze jak w mordę strzelił.

Gavin nie bardzo wiedział, dlaczego to zrobił, dlaczego naśladował paplaninę rozmówców. Jednakże zawsze tak robił, podłapywał akcenty i dziwną frazeologię, kiedy przebywał w jakimś miejscu zbyt długo.

– Mówisz tak, bo wiesz, że Artylerzysta pracował dla Dazena – odparł kapitan. – Kłamiesz. Liczysz, że mnie przeważysz.

Liczę, że go przeważę? Ach, że zyskam przewagę.

– Pewnie. A zanim zabiłem brata, powiedział mi, że tak naprawdę to nazywasz się Uluch Assan. Byłeś dla niego tak ważny, że to były jego ostatnie słowa.

Oczy Artylerzysty błyszczały niebezpiecznie.

– Pryzmat mógł poznać stare imię.

– Zanim wiele lat temu zgodziłeś się dla mnie pracować, dla Dazena, nakłamałeś mi, jak to niby zabiłeś morskiego demona. Siedzieliśmy wtedy w kwaterach dla niewolników i piliśmy paskudną brzoskwiniową nalewkę. A kiedy oświadczyłeś, że nie wierzysz w istnienie czegoś takiego jak nadfioletowy luksyn, zagraliśmy w małą grę z rajerem, żeby rozproszyć twoje wątpliwości.

Na twarzy pirackiego kapitana odmalował się niepokój.

– Artylerzysta musiał trzy razy strzelić, żeby trafić. Ale strzelałem do czapłego pióra, a nie frajera.

Nie było sensu wdawać się w wyjaśnienia, więc Gavin mówił dalej:

– Bałem się, że tak się na mnie wściekłeś, że nie będziesz chciał dla mnie pracować. Pozwoliłem ci trafić... za szóstym razem, przeklęty łgarzu.

Artylerzysta zeszytniał. Psiakrew. Ten człowiek wygadywał tak wiele kłamstw, żeby przydać sobie blasku, że mógł nawet wierzyć w prawdziwość swojej wersji. Nie ma co się

spierać, Gavinie. Artylerzysta ruszył nagle w kierunku śródkręcia.

Gavin został na swoim miejscu, na obolałych kolanach. Teraz rozciąganie nie było zdrowe, miał co do tego pewność. Dwaj żeglarze, którzy mu towarzyszyli, popatrzyli po sobie zdumieni, nie bardzo wiedząc, co powinni teraz zrobić.

– Uwolnić mu graby! – krzyknął Artylerzysta. Grzebał w beczce.

Żeglarze uwolnili mu ręce, ale nie pozwolili wstać.

Artylerzysta znalazł coś w beczce i rzucił to Gavinowi. Przedmiot podskoczył w jego obandażowanych, sztywnych rękach i spadł na pokład. Żeglarz złapał go i podał Gavinowi. Duże, pomarszczone jabłko.

– Zabrać go na dziób – rozkazał Artylerzysta marynarzom. – I pilnować go jak Abornejczycy owsianki. Osaczony Guile jest jak morski demon w balii.

A ja już myślałem, że wy w ogóle się nie myjecie. Gavin nie powiedział jednak tego na głos. Niewiele zyska, kpiąc ze swojego porywacza, swojego pana, a mógł wiele zachować. Zęby na przykład.

Żeglarze podnieśli go szarpnięciem i zaciągnęli na dziób. Obrócili go, zmusili do ponownego klęknięcia. Artylerzysta znajdował się teraz czterdzieści kroków dalej, na samym końcu statku, na rufie. Trzymał lśniący biały muszkiet. A może raczej miecz-muskiet? Broń miała pojedyncze ostrze o dwóch bliźniaczych splotach, krzyżujących się na klindze i otaczających błyszczące klejnoty. W ostrzu osadzono mały muszkiet, zajmujący prawie całą długość tylca z wyjątkiem ostatniego odcinka długiego na szerokość dłoni.

Gavin jak przez mgłę przypominał sobie ten przedmiot, ale wspomnienie mu umykało. Coś w związku z tamtą nocą, z potyczką z ojcem, Grinwoodym i Kipem. Zdarzało mu się już wychodzić z poważnych walk i tracić z powodu obrażeń wspomnienia z kilku godzin, i doskonale wiedział, że wielu wojowników traciło pamięć z powodu uszkodzeń ciała. Ale czy chodziło o to, że Artylerzysta wyłowił go z wody, a potem obił płazem ostrza? Tak, to musiało być to. Gavin nadal dochodził do siebie po siniakach, ale raczej nie otrzymał żadnej rany kłutej, bo w przeciwnym wypadku już by nie żył.

A jednak to straszny pomysł. Żeby lufa muszkietu była dostatecznie mocna, by wytrzymać siłę, z jaką wybucha proch, ostrze musiałoby być zdecydowanie za grube i za ciężkie, by spełniać swoją funkcję miecza. Czy to jakiś dziwaczny żart?

– Jeśli jesteś Dazenem, to będziesz pamiętał naszą małą demonstrację! – krzyknął Artylerzysta.

To była, rzecz jasna, ta część spotkania Dazena i Artylerzysty, o której Gavin Guile – prawdziwy Gavin Guile – na pewno by słyszał. „Pamiętanie” demonstracji niczego nie udowodni. Jednak najwyraźniej Artylerzysta nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Morze było spokojne tamtego dnia, a ty stałeś tylko dwadzieścia kroków od celu – powiedział Gavin.

Tamtego dnia chłopiec okrętowy zmoczył się, trzymając jabłko w dygocącej wyciągniętej dłoni nad głową. Potem Gavin słyszał opowieści, że jabłko leżało na głowie chłopca. Nikt nie wyjaśnił, jak chłopak miał utrzymać jabłko na głowie, stojąc na rozkołysanym statku. Ale ta nowa wersja brzmiała lepiej.

Dwadzieścia kroków brzmiało dobrze, czterdzieści zakrawało na samobójstwo. Artylerzysta może i był najlepszym strzelcem na świecie, ale to nie miało znaczenia. Nawet przy identycznym ładunku prochu, przybitce, która zapewniała dokładnie takie samo ciśnienie, i idealnie okrągłej kuli, bez żadnych niedoskonałości powstałych przy odlewaniu, w przypadku muszkietu margines błędu przy odległości czterdziestu kroków był pewnie wielkości mniej więcej głowy Gavina. Niektórzy ludzie mogli wierzyć w coś innego, ale prawda była taka, że jeśli trafisz w mniejszy cel z takiej odległości, to musi być to czysty fart. Gavin wiedział, jak świetnym strzelcem jest Artylerzysta. Nie wierzył w jego przechwałki o zabiciu morskiego demona, ale jeśli ktokolwiek na świecie był w stanie tego dokonać dzięki samej celności, to właśnie Artylerzysta.

No i jest jeszcze kłopot z arogancją, idącą w parze z doskonałością i szaleństwem – w trójkącie już jest za tłoczno. Wtręty rzeczywistości tym bardziej nie są mile widziane. Artylerzysta przez ostatnie dwadzieścia lat przekonywał innych, że nie może spudłować. Teraz najwyraźniej udało mu się przekonać też samego siebie.

– Artylerzyście dostała się lepsza broń niż, niż, niż... – Pirat zaklął siarczyście, zły, że nie wpadł na lepsze porównanie od słów „niż miał dwadzieścia lat temu”.

To nie była prawdziwa wściekłość, jedynie wyraz frustracji, ale Gavin widział, jak Artylerzysta zastrzelił człowieka, bo był po prostu głodny. Artylerzysta zamierzał przeprowadzić swoją demonstrację.

Gavina ścisnęło w dołku. Co mógł zrobić bez krzesania? Może ogłuszyć obu żeglarzy obok niego... I co potem? Wskoczyć ze statku? Nie było żadnego brzegu w zasięgu wzroku. Po prostu zawróciliby i znowu go odłowili. A przekonanie, że jego ciało jest dostatecznie mocne, żeby zdołał załatwić dwóch żeglarzy i wyskoczyć, zanim Artylerzysta zdąży go zastrzelić, było w najlepszym razie bardzo optymistyczne. Możliwe, że nawet nie dałby rady pływać, zważywszy na to, ile ostatnio zniosło jego ciało.

Zmęczenie pokonało go nie tylko na poziomie czysto fizycznym. Zatem co? To miał być jego koniec?

Gavin brał udział w zbyt wielu bitwach, żeby wierzyć w istnienie jakiejś siły chroniącej ludzi, którzy powinni przeżyć. Jeden z największych fehmistrzów świata zginął u jego boku, będąc poza polem widzenia wroga – dziwaczny rykoszet trafił go w nerkę. Ogier

wart kilku satrapii potknął się o ciało po zakończonej bitwie i złamał nogę. Generał zachorował na dyzenterię, ponieważ wolał spożywać tę samą wodę i mięso co jego ludzie, zamiast stołować się lepiej. Tysiące poniżeń, tysiące opowieści, które kończyły się tylko śmiercią, bez morału czy sensu.

Wojna jest przyczyną, wszystko inne jest skutkiem.

Gavin odgryzł kawałek jabłka. Było słodkie i cierpkie. W życiu nie jadł lepszego jabłka.

Dumo, chciałaś kawałek mnie? To masz. Oto cała moja przeklęta osoba. Gavin przemówił swoim głosem mówcy:

– Kapitanie Artylerzysto, wątpię, żeby ktokolwiek na świecie zdołał trafić z takiej odległości. Uważasz, że jesteś aż tak dobry? Ja nie. Myślę, że jesteś lepszy. Traf, a staniesz się wieczną legendą. Spudłuj, a zostaniesz kolejnym piratem, który lubi przechwałki.

Włożył jabłko w usta, przytrzymał zębami i obrócił się w bok, profilem do Artylerzysty.

Cały ruch na pokładzie zamarł.

Zatem umrę z jabłkiem w ustach. Mój ojciec bez wątpienia skomentowałby to w kilku niewybrednych słowach. A Karris byłaby wściekła i miałyby rację.

Ponieważ Gavin się obrócił, nie mógł widzieć reakcji Artylerzysty – czy był wściekły, czy rozbawiony. Nie mógł też widzieć reakcji żadnego z żeglarzy. Widział tylko szare morze i szare niebo. Jedyne dane mu światło było ohydne. Zaczynał żałować, że jego ostatnie słowa były drwiną z pirata, kiedy coś mokrego rozbryzgnęło mu się na twarzy.

Zastanawiał się, czy to jego własne zęby. Ból uderza z opóźnieniem, podczas którego człowiek zastanawia się, co się stało. Nie żył? Ten rozbłysk to może była eksplozja jego czaszki? Nie słyszał strzału z muszkietu, ale to się czasem zdarza.

Na pokładzie ludzie zaczęli wiwatować. Jabłko zniknęło.

Jeden z żeglarzy podniósł kilka kawałków mięszu. Złożył je razem, podniósł wysoko.

– Kapitan Artylerzysta idealnie wykroił gniazdo nasienne!

Artylerzysta nie zważał na wiwaty. Przewiesił miecz-muskiet przez plecy i podszedł dumnym krokiem do Gavina. Ten chód bardziej przeraził Gavina niż zwykle szaleństwo Artylerzysty. To znaczyło, że Artylerzysta też się dziwił, że udało mu się trafić. Na jaja Orholama.

– Żaden człowiek na świecie nie mógłby tak strzelić – ogłosił Artylerzysta. – A kapitan Artylerzysta tego dokonał!

– Kapitan Artylerzysta! – ryknęła załoga.

Pirat stanął nad Gavinem. Triumfował. Skręcał pasemka skołtunionej brody i przeżuwał.

– Kajdany! – warknął do żeglarzy obok Gavina.

Znowu zakuli go w łańcuchy, ale Gavin prawie tego nie spostrzegł.

Orholamowi niech będą dzięki. Gdyby dał się zabić, Karris nigdy by mu nie wybaczyła. Właściwie to, jeśli odzyska wolność, tej historii jej nie opowie.

Artylerzysta położył miecz-muszkiet na dłoniach. Chwalił się nim teraz, więc Gavin uznał, że to chyba bezpieczne, a może nawet wskazane, żeby okazał podziw. Ostrze było dziełem sztuki, pokryte je swoistą białą laką, jak zgadywał Gavin, i ozdobiono klejnotami tak dużymi, że musiały być półszlachetne. Nie znał się szczególnie na płatnerstwie, ale dla niego bardziej wyglądało to na broń paradną niż narzędzie wojownika. Klejnoty przechodziły przez całą szerokość ostrza, osłabiając jego strukturę. I żeby pomalować ostrze na białą z czarnymi zawijasami? Trzeba by trzymać rzemieślnika pod ręką, żeby ciągle odnawiał malunek. Pojedyncze wycięcie w ostrzu, pozwalające trzymać pewnie rękę podczas strzału z muszkietu, osłabiało klingę jeszcze bardziej. Jednakże Gavin nie widział krzesiwa, panewki, kurka, niczego, co równoważyłoby ciężar kolby, zapewniając minimum celności czy amortyzacji odrzutu. Czy to żart? Zresztą, lufa była za cienka jak na muszkiet.

– Nawet go nie naładowałem – powiedział Artylerzysta. Wiedział, że Dazen będzie podzielał jego podziw dla takiego arcydzieła pośród broni palnej. – Robi własne kule, a są one celniejsze niż... Zresztą sam widziałeś. Spust wyskakuje tutaj, kiedy jest naładowany.

– Jak... Jak? – zapytał Gavin.

To było niemożliwe, rzecz jasna. Właśnie trafiono w jabłko w jego ustach z odległości czterdziestu kroków na rozkołysanym statku. Poczuł, że w tej chwili może uwierzyć we wszystko.

Artylerzysta złapał za głowicę, obrócił ją i odciągnął. Ukazała się mała, zadymiona komora. Artylerzysta wsypał do niej proch z rogu, upchnął go, a potem wyciągnął głowicę mocniej, tworząc małą kolbę. Wyszczrzył zęby jak dyscypuł na pierwszym roku, któremu upiekł się psikus.

I znowu ta sugestia, że jego szaleństwo było co najmniej w połowie na pokaz. Artylerzysta mówił bezbłędnie. To natychmiast nabrało sensu, kiedy Gavin się zastanowił. Artylerzysta był ekscentrykiem. Zawsze źle dobierał słowa. Jednakże jako ekscentryk lub głupiec zawsze byłby celem szyderstw wśród twardzieli, którymi dowodził, więc zamiast tego musiał być kompletnie szalony. Ludzie denerwują się w kontakcie z szaleństwem, zastanawiają się, czy to nie jest zaraźliwe, zachowują bezpieczną odległość. Idealne rozwiązanie dla nowego kapitana, który nie tylko nadal chce być kapitanem, ale i pragnie stać się legendą.

– Jak celny? – zapytał Gavin.

– Trafia w skurkowańca z odległości czterystu kroków. Kula się nie chybcze. To lepsza magia od tej, którą kiedyś uważałeś za swoją, Gapowaty Guile'u. – Artylerzysta podniósł

muszkiet do ramienia i zaczął mierzyć do lecącej mewy z odległości dwustu kroków. Strzelił, w tej samej chwili kiedy ptak zanurkował, i spudłował. – Oczywiście, wszystkiego za ciebie nie załatwi. Tym bardziej go szanuję. Wymaga doskonałości, jak morze.

Gavin nie obserwował strzału. Przyglądał się muszkietowi. Na rozłożonej kolbie było widać gałki i tarcze podpisane maleńkimi runami. To, że Artylerzysta nie zwrócił mu na nie uwagi, podpowiadało Gavinowi, że pirat jeszcze nie rozgryzł ich przeznaczenia.

– Mogę? – poprosił Gavin.

Artylerzysta spojrział na niego. Roześmiał się.

– Może i jesteś byłym Pryzmatem, ale Artylerzysta nie jest takim głupcem, żeby wkładać ci do rąk magię. – Splunął do morza, a potem wziął szmatę i zaczął ścierać pozostałości prochu z ostrza. – Z tą bronią trzeba obchodzić się bardzo ostrożnie. Jest niebezpieczna jak sama Ceres.

Zamyślił się, a Gavin zaczął się zastanawiać, czy wyprowadzono go na pokład tylko po to, żeby Artylerzysta mógł się popisać.

Oczywiście nie miał nic przeciwko. Każdy odpoczynek od wioseł to odpoczynek. Wolałby, rzecz jasna, żeby nie strzelono w jego kierunku z muszkietów podczas tego odpoczynku, ale jak się nie ma, co się lubi, i tak dalej.

– Jakiego okupu powinienem za ciebie zażądać? – zapytał Artylerzysta.

Ach, kazał mnie wyprowadzić, żeby porozmawiać? I nie mógł się powstrzymać, żeby nie strzelić mi w głowę, chociaż myślał o okupie? Może jednak nie całe szaleństwo było na pokaz.

– Mój ojciec wierzy, że nie żyję. Do diabła, sam uwierzyłem w swoją śmierć.

I nagle powróciło wspomnienie, gorące i przenikliwe: Grinwoody wpadający na nich, dwa ostrza i czterech mężczyzn, a Gavin dostrzegł, że nie ma sposobu, by ocalić Kipa z płataniny rąk i dziwnych kątów... poza tym, żeby przyjąć ostrze na własną pierś.

Co mnie opętało? Och, Karris, czyżbym zrobił tę jedyną rzecz, dzięki której mogłabyś być ze mnie dumna?

Jednakże myśli o Karris były dla niego zbyt bolesne. Była całym kolorem w świecie, który poszarzał.

A jego ojciec pragnął tylko sztyletu. Teraz miecza-muszkietu, jak przypuszczał Gavin. Oślepiający Nóż, tak go nazwał Andross. Zastanawiać się, czy twojemu ojcu bardziej zależy na złocie i pozycji niż na tobie to jedno. Każdy syn potężnego i bogatego człowieka musi się tego obawiać, ale jaki ojciec zabiłby syna dla sztyletu? Jego własny ojciec?

– Chłopak – powiedział Gavin. – Gdzie on jest?

– Wyrzuciłem go za burtę dla Ceres. W ramach podziękowania. Teraz jesteśmy z Ceres kwita. – Artylerzysta wyszczerzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu. – Ile, mały Guile'u?

Na pięć piekieł, jak mam cię nazywać? Dazen? Zupełnie jakbym rozmawiał z duchem.

– Możesz mówić na mnie Gavin. Tak jest łatwiej. Możesz zażądać dowolnego okupu. Im bardziej będzie absurdalny, tym lepiej. Będzie odwlekał sprawę, aż jego szpiedzy potwierdzą, że mnie masz. Prawda jest taka, że umyślnie zawali sprawę, żebyś mnie zabił, a wtedy zaczną cię ścigać. Załatwi to tak, żebyś wyszedł na krwiożerczego pirata, a on nie będzie ponosił żadnej winy za to, że doprowadził cię do zabicia mnie. On mnie nie chce.

Artylerzysta wyszczerzył zęby, jakby spodobało mu się to wyzwanie, i wróciła maska.

– Skoro on chce ciebie jak portki francy, to czemu Artylerzysta miałby cię trzymać, żebyś sobie odpoczywał obok jego klejnotów radości?

Psiamać. Jednak złote usta Gavina już przemawiały:

– Jeśli mnie zabijesz, Andross może w ogóle darować sobie udawanie, że chce mnie wykupić. To znaczy, że nie wyładuje statku klejnotami. Po prostu przybędzie z okrętami wojennymi.

Artylerzysta się skrzywił. Skoczył na krawędź burty, przykucnął, trzymając się jedną ręką takielunku, i zamyślił się.

– Niemiłosiernie żeś pomocny. – Artylerzysta znowu splunął w morze. – Zabawna rzecz z tymi Angarczykami. Karmią galerników jak wolnych ludzi. Rozumiesz? Trzeba ich naprawdę dobrze traktować. Najlepsi niewolnicy w załodze są zabierani do portu, karmieni prawdziwym żarciem, nawet się ich bierze na panienki. Od czasu do czasu tracą przy tej okazji człowieka, ale dzięki temu cała załoga naprawdę ciężko pracuje. Dobre jedzenie sprawia, że są silni. Ogranicza to ilość ładunku, bo musisz zabierać dużo żarcia. Ale ta tu mała galeryjka może płynąć dwa, a nawet trzy razy szybciej od wszystkiego innego na Morzu Lazurowym. Niewiele galeasów zdołałoby mnie dogonić przy dobrych wiatrach, ale jeśli mam miejsce, mogę ruszyć pod wiatr i zostawić ich w tyle. Przeskoczyli Wrota Mroku na tym statku. Jest lekki jak korek i szybki jak jaskółka. Idealny statek dla pirata, o ile dorwiesz dość ładunku. Piękny mały stateczek. I ma tylko cztery obrotowe falkonety i jedną kolubrynę. To najlepsza galera z najlepszą załogą na całym morzu... – Artylerzysta zniżył głos do szeptu. – A ja jej nienawidzę. Jedna kolubryna! Jedna. Powinienem zażądać okrętu Pasha Vecchio... Jak go zwać?

– Gargantua?. – odpowiedział pytająco Gavin.

– Właśnie!

-To może być trudne...

– Twój ojciec jest Czerwienią. Jest bogatszy od Orholama. Ty jesteś Pryzmatem. Zwróć dziewczęctwo starym dziwkom, byle cię odzyskać.

– Zatopiłem Gargantuję. Przed bitwą w porcie Ru.

Artylerzysta wyciągnął pistolet zza pasa, odciągnął kurek, przystawił do skóry nad

prawym oczodołem Gavina. Mordercza furia zapłonęła w jego oczach. Jakakolwiek część jego szaleństwa była na pokaz, to z pewnością nie ta. Z trudem zwolnił kurek z powrotem.

– Ten więzień jest prezentujazmowany – orzekł Artylerzysta. – Posadzić go z powrotem za wiosłem, aż mu przejdzie.

ROZDZIAŁ 5

Teia i paru Czarnogwardzistów zakończyli poranną gimnastykę na rufowym kasztelu Wędrowca, kiedy słońce wspięło się nad horyzont. Ona, Cruixer i pięciu innych najlepszych kadetów byli jedynymi z ich klasy na statku. Pozostali znaleźli się na drugim wraz z drugą połową ocalałych Czarnogwardzistów. Chociaż nieustannie przypominano im, że nie złożyli jeszcze ostatecznego ślubowania i w związku z tym nadal nie są pełnoprawnymi Czarnogwardzistami, to nie znaczyło, że upraszczano ćwiczenia przez wzgląd na żółtodzioby. Cruixer mężnie naśladował Czarnogwardzistów, a pozostali z jego drużyny starali się jak mogli brać z niego przykład i brnąć przez skomplikowane figury, które widzieli, ale których nigdy się nie uczyli.

Dowódca Żelazna Pięść, który im przewodził, nie zwracał uwagi na maruderów. Legendarny wojownik zawsze był zagadką, ale przez ostatni tydzień był jeszcze bardziej zasadniczy niż zwykle. Teia nie wiedziała, czy ćwiczenia (tudzież ich własna fatalna wersja tych ćwiczeń) to kolejna technika pedagogiczna, czy też przywódca Czarnej Gwardii zwyczajnie ich nie dostrzega. W każdym razie, po gimnastyce dowódca wyszorował dla ochłody skórę głowy mokrą szmatką. Porosła już szczeciną szorstkich włosów. Przestał golić się na łyso i namaszczać ją olejkim od bitwy o Ru, a ściślej od Cudownego Strzału – modlitwy, odległości sześciu tysięcy kroków i bezpośredniego trafienia w nowo narodzonego boga. Zerknął na wschodzące słońce – dysk nie wynurzył się jeszcze całkowicie zza horyzontu – spojrzał gniewnie, zawinął ghotrę na głowie i zszedł po stopniach na śródokręcie.

Próbując rozruszać obolałą kostkę, po tym jak ją skręciła, bo potknęła się o sznur – znaczy linę, na statku najwyraźniej były same liny – naśladowując nieznaną figurę, Teia podeszła do burty, w miejscu gdzie Kip i Gavin Guile wpadli do morza tydzień temu.

– Trudno w to uwierzyć, co? – zagadnął ją Cruixer, stając obok niej przy relingu.

Razem z nim przydreptał mały Daelos, cień przy blasku Cruixera.

Cruixer mógł mieć na myśli setkę rzeczy. Trudno uwierzyć, że wzięli udział w bitwie? Że przegrali? Że walczyli z prawdziwym bogiem? Trudno uwierzyć, że Gavin Guile nie żyje? Jednak nie mówił o żadnej z tych rzeczy, Teia to wiedziała.

– Nie sposób – odpowiedziała beznamiętnie.

– Jak sobie radzisz? – zapytał.

Z łokciami opartymi na relingu odwróciła się do niego, nie dowierzając. Czasem Cruixer był najdoskonalszą istotą ludzką, jaką poznała. A czasem był zwyczajnym kretyńcem.

– To kłamstwo, Cruixer. To wszystko kłamstwa.

– Ale Czerwień nie skłamałby – odpowiedział słabo Cruixer.

Może to nie była jego wina. Cruixer dorastał wśród autorytetów, którzy byli też dobrymi ludźmi, i sam był niezwykle uczciwy, więc nie odnajdywał w sobie instynktownego braku szacunku i nieufności wobec tych, którzy mają władzę.

– Daj spokój, Teia – odezwał się Daelos. – Wiesz, że Łamacz winił Androssa Guile za próbę zablokowania mu wstępu do Czarnej Gwardii. I wiemy, że Łamacz był pijany tej nocy. A wiedząc, jaki był pochopny, nie rozumiem, dlaczego tak trudno...

– Jest – wtrąciła Teia.

-Co?

-Jak śmiesz skreślać Kipa? Zostawcie mnie obaj. Mam was dość.

Daelos przewrócił oczami, jakby była nierozsądną kobietą. A ona pomyślała o tym, co by zrobiła, gdyby naprawdę była nierozsądna. Z kolei Cruixer po prostu zbladł. Odepchnął się od relingu. Teia wiedziała, że podszedł tylko po to, żeby sprawdzić, jak się trzyma, tak jak przystało na dobrego dowódcę. Jednak dobre intencje nie usprawiedliwiają wszystkiego. Odeszli bez słowa.

Jesteś niegrzeczna, niesprawiedliwa i powinnaś przeprosić, T.

Nie zrobiła tego.

Andross Guile powiedział, że kpił tamtego wieczoru z Kipa, tak jak zawsze. Przyznał, że nie przepadał za chłopakiem. Może nie powinien był odzywać się po bitwie. Skąd jednak mógł wiedzieć, że Kip jest pijany? Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie, że Kip go zaatakuje.

Gavin Guile i niewolnik Androssa próbowali interweniować. Kip dźgnął niechcący Gavina, a kiedy Pryzmat wypadł za burtę, Kip był tak zrozpaczony, że rzucił się za nim.

I tak się sprawy miały. Kapitan straży Białodąb – a może teraz, kiedy wyszła za Gavina, kapitan straży Guile? – wpadła w szal, wykrzykiwała, że muszą się mylić, że Andross kłamie. Teia myślała, że Karris rzuci się na Androssa, ale dowódca Żelazna Pięść wtrącił się i dosłownie zniósł ją z pokładu. Od tamtej pory nie wyszła.

Nikt inny nie zaprzeczył słowom Czerwieni. Odbyło się więcej niż kilka rozmów w napiętej atmosferze między dowódcą Żelazną Pięścią a Czarnogwardzistami wyznaczonymi do ochrony Gavina tamtego wieczoru. Pryzmat rozkazał im iść do łóżka, a kto by pomyślał, że znajdzie się w niebezpieczeństwie tego samego wieczoru, którego już zdążył udowodnić swój heroizm? Przecież zabił boga!

Nie, próbowała powiedzieć Teia, to Kip go zabił.

Z jakiegoś powodu sprawiało to wrażenie małosłownego, wyjaśnianie tego teraz, kiedy

stracili Pryzmata i ludzie patrzyli na nią, jakby pluła na jego grób. Uwielbiano tego człowieka i wszyscy w ocalałej flocie udowodnili swoją lojalność wobec niego tego samego dnia, walcząc u jego boku.

To nie zmniejszyło poczucia winy ciężącego na Czarnogwardzistach. Zawiedli. Wracali do domu, podczas gdy ich podopieczny nie żył. Tej plamy nigdy nie zmyją.

Pomruk głosów poniżej odpędził jej dalsze myśli. Teia rozejrzała się Po żeglarzach. Żeglarze, w większości mężczyźni, starali się zachować dyskrecję, gdy pozerali wzrokiem Czarnogwardzistki, a w każdym razie nabrali ostrożności, odkąd Essel złamała jednemu nos, ale nadal się gapili. Jednak nie na Teię. Bez bioder, piersi, niska i z krótkimi włosami, o ile nie była zupełnie niewidzialna, to mogła liczyć najwyżej na to, że trafi pod męskie skrzydła jako maskotka. Dziewięciu z dziesięciu złałaby na kwaśne jabłko, ale oni tego nie wiedzieli. W tej chwili cieszyła się, że jest ignorowana.

Kajuta znajdująca się dokładnie pod nią należała do Androssa Guile. Teia podsłuchiwała przy każdej nadarzającej się okazji przez ostatni tydzień. Urozmaicała sobie szpiegowanie wspinaczkami po olinowaniu i przyjmowaniem wskazówek od żeglarzy, ucząc się trochę ich pracy. Udawała też, że się tu modli, siedząc zupełnie nieruchomo. I udawała, że pogrąża się w żałobie. Stąd skoczył Kip albo został zepchnięty do morza. Udawane łzy zamieniły się raz w prawdziwe. Lubiła Kipa bardziej niż myślała.

Kiedy siedziała na pokładzie, podszedł do niej dowódca Żelazna Pięść. Zaczęła wstawać, ale dał jej znać, żeby siedziała.

Stał obok niej przez długą minutę, a ona doceniałaby to milczące towarzystwo, gdyby się nie obawiała, że dowódca zorientuje się, dlaczego wybrała właśnie to miejsce.

Wreszcie odezwał się:

– Kip... Łamacz poprosił mnie, żebym dopilnował przygotowania dokumentów zwracających ci wolność. I tak zrobię. Wiesz, że jesteś jednym z najlepszych kadetów. Wiesz, że Czarna Gwardia potrzebuje dobrych ludzi. Jednak wybór należy do ciebie. Kiedy byłem w twoim wieku, złożyłem śluby, ponieważ tego ode mnie oczekiwano, a nie dlatego, że tego chciałem albo uważałem, że to słuszne. Nie narażę ciebie na coś podobnego.

I odszedł.

Skrzyżowała nogi i zadumała się nad swoim wyzwoleniem. I co potem? Ma wrócić do domu? Wyjść za mąż za sklepikarza? Nauczyć się zawodu? Jakiego zawodu? To było zbyt dziwne, zbyt dalekie od tego, czego doświadczała w ostatnich miesiącach. Odłożyła na później rozważenie tych kwestii, a teraz nadstawiła uszu, żeby wychwycić głos Androssa Guile. Początkowo nigdy nie otwierał okna, ale przez kilka ostatnich dni było otwarte przez cały czas. Ranki dawały jej największą szansę usłyszenia czegokolwiek. Kiedy zaczynało wiać, podsłuchiwanie stawało się niemożliwe. Jednak jak na razie przez siedem

dni niczego nie usłyszała. W większości były to niewinne rozkazy dla osobistego niewolnika, Grinwoody ego, starego Paryjczyka, któremu najwyraźniej Andross Guile głęboko ufał.

To był kolejny zmarnowany dzień. Teia niewiele usłyszała. Andross i Grinwoody współpracowali od tak dawna, że ich rozmowy były pełne luk, zrozumiałych tylko dla nich elips.

– Jakież dowody, że sam się nie oszukuje?

– Żadnych. Oczywiście, kiedy zdobędziemy dowody, dla jednego z nas będzie już za późno.

– Tak czy inaczej, dla nas będzie za późno. Niech to diabli – zaklął Andross. Jego głos zabrzmiał mocniej; pewnie stanął przy iluminatorze. – Tak niewiele brakowało, Grinwoody. Rękojeść prawie znalazła się w moich rękach.

– To moja wina, mój panie.

– Nie, ocaliłeś mi życie. Znowu.

– Moje siły nie są już takie jak kiedyś, mój panie. Dałem się zaskoczyć.

Teia skrzywiła się i szczerzej otuliła się szarym płaszczem kadeta. Grinwoody dał się zaskoczyć? Przez Kipa? Czyli Kip naprawdę ich zaatakował? Czy to możliwe? Kip nie zrobiłby czegoś równie głupiego, prawda?

Oczywiście, że zrobiłby. Jednak próba zabójstwa? Nie, to nie Kip. Zraniony potrafił zaatakować, ale nie po to, żeby okaleczyć, nie, by zabić, a ona widziała go już wściekłego.

– Proszę spojrzeć na to z drugiej strony, mój panie: nie zostanie pan Uwolniony w tym roku.

Grinwoody rzucił to żartobliwym tonem, ale słowa zmroziły Teię. Czy Andross Guile zamierzał doprowadzić do pęknięcia halo? Dlaczego Grinwoody oznajmił to tak niefrasobliwie?

Dłoń wynurzyła się przez iluminator i gołąb pocztowy skoczył w powietrze wśród łopotu piór, zaskakując Teię. Na szczęście, nikt nie zwrócił uwagi ani na jej zaskoczenie, ani na ptaka – w ostatnich dniach sporo ich wysłano.

Potem głosy przycichły, bo Andross zamknął okno. Teia chciała wstać i natychmiast odejść, ale dobrze zdawała sobie sprawę, że siedzi na pokładzie dokładnie nad kajutą Androssa. Nawet przy jej niewielkiej wadze drewno mogło zaskrzypieć, kiedy przeniesie ciężar ciała. Poczekała jeszcze kilka minut, udając medytację. Kip był jej partnerem treningowym. Postawił coś – nie wiedziała co – żeby wygrać dokumenty od Androssa Guile. A potem natychmiast próbował ją wyzwolić. Słuchał jej, kiedy omawiali strategię, sprawiał, że po raz pierwszy w życiu czuła, że może, będąc niewolnicą, mieć coś mądrego do powiedzenia.

Teia zdała sobie sprawę, że zaciska pięść na małej fiołce oliwy, którą nosiła na szyi. Zaciskała ją, jakby od tego zależało jej życie. Rozluźniła palce, wypuszczając symbol jej niewoli. Podarek ten był groźbą i przypomnieniem od Aglaii Crassos: oliwa, rzekomo dla ułatwienia jej pracy w burdelu dla niewolników. Oliwa, żeby przeżyła trzydziestu do pięćdziesięciu mężczyzn dziennie. Za każdym razem, kiedy Teia myślała, że nie ma już siły, dotykała tego małego przypomnienia o niewoli. Czym zniewolenie mogło być. I od czego Kip obiecał wybawić ją raz na zawsze.

W krótkich miesiącach wspólnych treningów Kip stał się więcej niż partnerem, stał się jej najlepszym przyjacielem.

Nie zdawała sobie z tego sprawy aż do tej chwili. Zabrakło jej, kiedy jej potrzebował. Nie mógł naprawdę umrzeć. Jeżeli nie spanikował, mógł dryfować aż do rana. Teia nie słyszała żadnych historii o rekinach, chociaż to nie miało wielkiego znaczenia. Ocaleni nie chcieli rozwodzić się nad tym, co równie dobrze mogło się im przytrafić.

A jeśli przetrwał do świtu, to pewnie zgarnął go handlarz niewolnikami. Po tym, ile Kip krzeszał poprzedniego dnia, musiała go dopaść choroba świetlna, nie wspominając już o innych odniesionych obrażeniach. Zostawił na koi nawet okulary. Był bezbronny.

Jeśli żył, to pewnie właśnie siedział przykuty do wiosła.

I ani Teia, ani nikt inny, nie mogli mu w żaden sposób pomóc.

ROZDZIAŁ 6

Zymun stał, ocieniając oczy jedną ręką, a drugą trzymając ciężki pistolet, z którego celował prosto w pokład. Kip rzucił się do przodu, wyrывая wiosła przez otwarte dulki. Nagły plusk wiosła o wodę w pierwszej kolejności przyciągnął uwagę Zymuna, który spojrzał w stronę dźwięku zamiast na Kipa.

Ręce Kipa były za słabe, żeby zdołał je wyrzucić przed siebie, póki trzymał w nich cały ciężar wiosel. Nie obchodziło go jednak, czy wyjdzie to ładnie. Ręce mu opadły, a on wbił ramię w bok Zymuna. Trafił młodszego, drobniejszego młodzieńca na wysokości łokcia, docisnął mu do boku rękę z bronią, zanim Zymun zdążył ją unieść w chwili zderzenia. Potężna postura Kipa mówiła: „Oto cały mój pęd, bracie. Prawdziwy dar”.

Zymun wyleciał w powietrze. Kostkami zahaczył o nadburcie i fiknął do góry nogami w nad wyraz satysfakcjonujący sposób. Kiedy rozległ się plusk, w pewnej odległości od łodzi, Kip upadł. Uderzył policzkiem o pokład. Mając ręce za sobą, zakotwiczone ciężarem wiosel, nie mógł się podeprzeć.

Jednakże padł na pokład łodzi i tylko to się liczyło.

Znajdując w sobie siłę, o którą siebie nie podejrzewał, zdołał się podnieść. Już krzesał niebieski luksyn, a przyływ przyjemności z krzesania widok prześladowcy w wodzie sprawiły, że omal tego nie przegapił łódź była otoczona luksynem. Czerwonym i żółtym. Łączyły się długą smyczą z Zymunem.

Zymun wypłynął na powierzchnię i Kip zobaczył nagle ogromną lufę pistoletu. Celowała prosto w Kipa. Kurek uderzył o krzesiwo, kiedy Zymun pociągnął za spust. Nic się nie stało. Woda zalała broń. Zymun zniknął za falą.

Pośpiesznie krzesząc do obu rąk błękitne ostrza, Kip przeciął okowy z zielonego luksynu, którymi przykuto mu ręce do wiosel.

Zymun zamachnął się ręką, kreśląc z pluskiem szerokie koło. Kip wiedział, że sięga po smycz.

Dał nura do wody po drugiej stronie łodzi.

Kiedy tylko uderzył w fale, zrozumiał, że źle zrobił. Zamiast krzesać, żeby uwolnić się od łodzi, czemu nie przeciął linki Zymuna?

Błąd, Kip, głupi błąd.

Nadal był pod wodą, wymachiwał kończynami i starał się jak najbardziej oddalić od

Zymuna, kiedy poczuł się tak, jakby morski demon spoliczkował morze. Kip wynurzył się i zobaczył wznoszącą się wieżę czarnego dymu i czerwono-pomarańczowe płomienie w miejscu, w którym była łódź. Nie widział Zymuna. Łódź znajdowała się między nimi.

Zymun był lepszym pływakiem, nawet gdy Kip był w doskonałej formie, cały i zdrowy. Kip nie weźmie dziś odwetu. Jeśli Zymun go zobaczy, rzuci się za nim. A jeżeli rzuci się w pogoń, to go utopi.

Kip unosił się na wodzie jeszcze przez kilka chwil. Nie mógł pływać. Ręce miał jak z łożowiu, a chociaż nogi jeszcze nie całkiem mu zdrętwiały, to wkrótce tak się stanie. Dzięki tłuszczowi zdoła dryfować, o ile nie spanikuje, ale, dryfując, nie oddali się od Zymuna, już nie wspominając o pirackiej galerze. Kip rozejrzał się, ale z wody nie widział statku.

Piraci nie będą mieli problemu ze znalezieniem ich, zwłaszcza że Zymun zrobił ognisko z ich łodzi.

Och. To proste.

Kip wciągnął tyle błękitu, ile był w stanie utrzymać, i wykrzesał dysze-słomki wokół rąk. Słomki sprawiały, że woda przepływała obok jego palców. Potem Kip wystrzelił w nie luksyn, wypychając z nich wodę. Jak odrzut w muszkiecie, odepchnięcie wody pchnęło Kipa do przodu. Wykrzesał słomki tak, żeby wcisnąć je sobie pod pachy, wziął głęboki wdech i skierował głowę w stronę brzegu.

A najlepsze ze wszystkiego było to, że Zymun nigdy tego nie widział.

Poruszał się dużo wolniej niż Gavin Guile podczas walki z morskim demonem. Kip wiedział, że coś robi źle, ale nie wiedział co. Mimo to poruszał się trzy, może cztery razy szybciej, niż byłby w stanie płynąć.

I wkrótce zdał sobie sprawę, że jego względnie nieduża prędkość była błogosławieństwem. Nie zostawiał kilwateru, który mógłby zdradzić piratom jego położenie.

Godzinę później – a może tylko wydawało mu się, że to trwało tak długo – wyszedł chwiejnie na brzeg. Musiał ukryć się wśród drzew. Jeśli padnie na widoku i zaśnie, cała ucieczka zda się na nic. Dlatego szedł, a pod stopami zgrzytał mu jasny od słońca piasek. Ataskie wybrzeże było usłane takimi ślicznymi plażami jak ta. Palmy kołysały się bezgłośnie. Doszedł wreszcie do cienia i odwrócił się, żeby rozejrzeć się za Zymunem.

Płonąca łódź zniknęła, zatoneła, nawet czarny dym się rozwiewał. Jednak galera dotarła do miejsca, w którym wcześniej znajdowała się łódka. Kip nie znał się na galerach, ale ta była mała. Miała może ze trzydzieści kroków długości. Trudno było orzec z takiej odległości. Nie miała flagi. Nie była to więc galera Artylerzysty.

Zatrzymała się i Kip widział, jak ludzie zrzucają linę do wody za przeciwległą burtę.

Zatem Zymun żył. Kipowi serce podeszło do gardła. Gdyby Kip został schwytany przez

piratów, a nawet zwykłych żeglarzy, obawiałby się, że trafi do niewoli. Uważałby, że ma mizerne szanse przetrwania. Jednak w przypadku Zymuna nie miał ani takich obaw, ani nadziei. Zymun pewnie zostanie kapitanem galery jeszcze przed upływem tygodnia.

Niech Orholam go trafi. Niech go oślepi. Niech Orholam odbierze światło jego życiu i śmierci.

Na razie jednak Kip był bezpieczny. Potrzebował wody. Potem jedzenia. Wreszcie drogi do domu. I nic nie stanie mu na drodze. To wszystko były błahostki. Jego życie było błahostką. Ale nie jego wieści. Ludzie na statku tamtej nocy widzieli, jak Gavin Guile wypadł za burtę po tym, jak przebito go mieczem. Musieli uznać, że nie żyje. Kip wiedział swoje, i tylko on wiedział, że Artylerzysta ma Gavina.

I choćby sami bogowie stanęli na jego drodze, Kip odzyska ojca.

ROZDZIAŁ 7

Pistolet był na nic. Gorzej, że, poirytowany, wyrzucił go do wody. Teraz chłopak unosił się na wodzie, patrząc, jak zbliża się piracki statek. Bez wątpienia myśleli, że zrobią z niego niewolnika. I niewątpliwie spróbują.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Człowiek ma tak niewiele okazji w życiu, żeby zabić, nie ponosząc żadnych konsekwencji.

Wolałby mieć dostęp do większej liczby kolorów, ale niebieski będzie musiał wystarczyć. Zgromadził niebieski luksyn w zasłoniętych przez tunikę ramionach i plecach. Nie najlepiej radził sobie z upakowywaniem luksynu. Było to niewygodne i nigdy nie potrafił do końca oczyścić z niego skóry; bladoniebieski odcień utrzymywał się, przez co Zymun wyglądał, jakby przemarzył na śmierć. Potrafił tysiące rzeczy wykonać doskonale, ale ukrywanie własnej doskonałości do nich nie należało.

Wreszcie płomienie pożarły dość kadłuba, by ostatnia belka zanurzyła się w wodzie z sykiem. Miał nadzieję, że piraci nie będą się zastanawiać, jak łódka wiosłowa mogła dać tak dużo dymu. Może pomyślą, że przewoził w niej smołę albo proch.

Przynajmniej wszystko wskazywało na to, że Kip nie żyje. Po wybuchu Zymun go nie widział, ani nie słyszał, i wątpił, żeby chłopakowi udało się oddalić. Sam zanurkował pod wodę, żeby schować się przed siłą wybuchu i lecącymi odłamkami. Szkoda, że stracił łódź. Powinien był wiedzieć, że Kip czegoś spróbuje. Szczwany typ i szybszy, niż można by się spodziewać po grubym dzieciaku z przepaską na oczach.

To nie miało już znaczenia. Piraci wyłowią go z wody i wyłowiliby niezależnie od tego, czy miałby łódkę, czy też nie. Musiał tylko zaczekać. Pływanie nie stanowiło kłopotu; w Jabłoniowym Zagajniku, gdzie dorastał, każdy chłopiec i dziewczyna pływali dla zabawy, skakali z wielkiej sznurowej huśtawki albo zjeżdżali po gładkich kamieniach wodospadu.

Galera podpłynęła w kilka minut. Rzucono mu linę, a potem przez burtę przewieszono sieć i bezzębny żeglarz krzyknął, żeby się wspinał.

A co innego mam zrobić, kretynie? Zostać w wodzie?

Zymun się wspinał. Dziarsko przeskoczył przez reling, ignorując wyciągnięte w jego kierunku ostrza czterech mężczyzn. Nikt nie celował z muszkietu. Dobrze. Zymun nie podnosił jednak wzroku, czekając, kto się odezwie.

– Młody – powiedział oficer. To był ten bezzębny żeglarz, brzydki jak długi jest dzień

przy wiosłach. – Chudy, ale nie za miękki. W tym wieku szybko nabierze krzepy. Świetnie się nada. Trench kaszlał wczoraj krwią. Będziemy mogli go zluzować. Orholam się do nas uśmiechnął.

– Chcecie zrobić ze mnie galernika? – zapytał Zymun tonem przestraszonego chłopca.

Teraz odezwał się kapitan. Był to Atashanin o zaplecionej w warkoczyki brodzie, lecz o piwnych, a nie jak u większości jego krajan niebieskich oczach.

– Galernik to takie brutalne określenie. Wszyscy tu pracujemy. Czyż Orholam nie mówi, że wszyscy ludzie są braćmi? Będziesz pracował u boku swoich braci przy wiosłach.

– A jeśli odmówię? – zapytał Zymun.

Przesunął niebieski luksyn w dół, po wewnętrznej stronie ręki. Dopóki będzie trzymał ręce przy bokach, luksyn pozostanie niewidoczny.

– Wszyscy pracujemy – odparł beznamiętnie kapitan. – Mój statek, mój świat.

Zymun mógł przedstawić teraz swoją propozycję. Mógł ujawnić, że jest polichromatą. Kapitan nie robił wrażenia szczególnie agresywnego. Nie uderzył Zymuna, chociaż miał okazję.

– Mam lepszy pomysł – odparł Zymun. – Co powiecie na...

Przestrzelił kolcem z niebieskiego luksynu twarz najbliższego mężczyzny. Ostry luksyn przeszedł prosto przez orli nos do mózgu. Zymun obrócił się z powodu odrzutu po wystrzeleniu tak dużego pocisku i wykorzystał ten obrót, żeby wysunąć kolejne ostrze z niebieskiego luksynu. Odciał rękę drugiego mężczyzny na wysokości nadgarstka i wystrzelił stępiony kamień z luksynu w jego pierś, zwalając go z nóg. Natychmiast w lewej ręce Zymuna pojawił się następny kłębiący się kolec, obracający się wolno i wycelowany w kapitana.

Jego działanie, tak nagłe i szybkie, a potem błyskawicznie przerwane, zaszokowało handlarzy niewolnikami. Nie zareagowali. Zymun również się nie poruszył. Gdyby to zrobił, wystraszyłby ich. Gdyby cały statek go zaatakował, może zdołałby wszystkich zabić, ale nie dałby rady sam nim dowodzić. Nie wiedział, jak się pływa na takim statku. Wykorzystał tę krótką przerwę na uzupełnienie zapasu luksynu.

– Co powiecie na to – powtórzył Zymun – żebym na pewien czas dołączył do załogi? Jestem polichromatą, kapitanie. A przed chwilą... Przed chwilą posłużyłem się tylko jednym kolorem. Potrafię korzystać z sześciu. Dajcie mi oficerską kajutę, a będę walczył dla was przez trzy miesiące albo w trzech bitwach, zależy, co prędzej się wydarzy. Moja magia wszystko zmieni. To trzy bitwy, które z pewnością wygracie. A potem, kiedy spłacę dług, zabierzecie mnie na Wielki Jaspis i pozwolicie mi wyjść na ląd z taką częścią łupu, jaką waszym zdaniem zarobiłem. Nadal pozostaniesz kapitanem, a ja nie odbiorę ci niczego. Rozstaniemy się jak przyjaciele.

– Albo? – zapytał kapitan.

Ręka nerwowo mu drgała w kierunku pistoletu w torbie przy pasku.

– Albo zabiję cię i zaproponuję tę samą umowę pierwszemu oficerowi. Może nie rzuci się tak szybko tobie na ratunek, jeśli będzie wiedział, że dzięki temu sam się wzbogaci.

– Barrick był dobrym człowiekiem – powiedział kapitan, patrząc na martwego mężczyznę.

Drugi żeglarz, pozbawiony dłoni, zemdlął z powodu utraty krwi. Nadal można było go uratować.

– Musisz wiedzieć – mówił Zymun, ignorując słowa kapitana – że wkrótce będę najważniejszym człowiekiem w Siedmiu Satrapiach i w przyszłości może mi się przydać żeglarz o twoich talentach.

Kapitan popatrywał to na Zymuna, to na oficera o kamiennej twarzy. Zanurzył palce w sakiewce i wyjął trochę tytoniu. Włożył go pod wargę, dopatrywał na krwawiącego mężczyznę na pokładzie.

– Rawl, opatrz mu rękę.

Oficer wypełnił polecenie. Kapitan nie odezwał się słowem do Zymuna.

Zymun nie naciskał, śmierć kapitana nadal powoli wirowała w jego ręce.

Kapitan splunął brązowym sokiem na pokład. Trafił w kałużę krwi. Skrzywił się.

– Umowa stoi – orzekł wreszcie. – Mam kilka rachunków do wyrównania i możesz w tym pomóc. Jeśli pomożesz mi załatwić jednego pirata, wypuszczę cię po jednej bitwie, przysięgam na mój honor syna flądry i żeglarza. – Wyciągnął rękę z pewną ostrożnością.

Ten przebłysk strachu ogromnie pocieszył Zymuna. Człowiek, który boi się go tak bardzo, prawie nie znając jego możliwości, nie spróbuje go zbyt szybko zdradzić. Doskonale.

– Kim jest ten pirat? – zapytał Zymun.

– Uważa się za kanoniera. Każe siebie nazywać kapitanem Artylerzystą.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy Wędrowiec przybił do pomostu, Teia już czekała na swoim miejscu przy relingu. Poza typowym tłumem żeglarzy, dokerów, kupców, rybaków i pojedynczych arystokratów, nabrzeża Wielkiego Jaspisu były zapchane pospółstwem. Ludzie rozpaczliwie chcieli się przekonać, czy ich ukochani wrócili do domu.

Jednocześnie tłum ruthgarskich żołnierzy ładował statki, by dołączyć do walki, z której Teia i jej przyjaciele właśnie wracali.

Pasażerowie statku tłoczyli się na śródkręciu, gdzie miał zostać zrzucony trap. Teia przeskoczyła przez reling, jedną ręką trzymając się dla równowagi olinowania. Stała za relingiem, złapała się obiema rękami konopnej sieci i przekoziółkowała. Poczowała przelotny rozbłysk radości, spowodowanej faktem, że pamiętała, jak to się robi. Jej pierwsze lekcje obejmowały codzienne ćwiczenia akrobatyczne, ale zarzuciła je, odkąd zaczęła trenować z Czarną Gwardią.

Dopiero trzymając się sieci, Teia zobaczyła, że na pomoście stoi mnóstwo ludzi, rozpaczliwie czekających na wieści. Flagowy okręt Androssa Guile jako pierwszy ze zdziesiątkowanej floty powrócił do domu. Wieść o klęsce już dotarła na Jaspisy, niesiona przez pocztowego gołębia, ale ludzie wyczekiwali szczegółów. Statek zatrzymał się przy nabrzeżu z łoskotem. Żeglarz balansujący na sieci obok Teii wyszczerzył do niej zęby i pierwszy zeskoczył; pobiegł, żeby umocować liny na potężnych knagach. Teia zeskoczyła chwilę później i zanurkowała w spiętrzony tłum plotek, przyjaciół i rodzin, ulicznych sprzedawców jedzenia i wina, ochoczo szukających tych, którzy chcieliby splukać podniebienie ze smaku sucharów i zastałej wody.

Połknięcie przez nieczuły tłum przyniosło jej przedziwną ulgę. Teia była dość niska, by w nim zniknąć. Jej nauczycielka akrobatyki i walki w Abornei była tylko odrobinę wyższa od Tei i zachęcała ją do badania tłumów, poznawania ich nastrojów – od wściekłej ciżby wylewającej się z hipodromu po porażce faworyta w konnym wyścigu, po ochoczy tłum, witający przybywających tancerzy i egzotyczne menażerie na uroczystości z okazji Dnia Słońca w Odess.

Pewien rodzaj świadomości można wytrenować tylko w szponach takiej bestii. Tysiące, nawet dziesiątki tysięcy ciał może się ruszać, ale ty jesteś w stanie rejestrować ruch najwyżej tuzina osób w twoim bezpośrednim otoczeniu, zwłaszcza jeśli jesteś drobną

dziewczyną. A nade wszystko ważna jest świadomość własnych ruchów. Chodziło o tę subtelną granicę, kiedy twój ruch może być asertywny, a nawet niegrzeczny, nadal jednak nie będzie odbierany jako agresywny. Chodziło o wycucie chwili – przelotną irytację można zignorować, jeśli znikniesz, zanim osoba, którą pchnęłaś zbyt mocno, odwróci się, by cię odszukać. Teia uskakiwała, przepychała się, napierała i prześlizgiwała między ciałami, a jej ruchy były płynne, umysł całkowicie skupiony na własnym ciele.

Jej trenerka, preceptorka Lillyfield, o ciele młodej kobiety i twarzy pobrużdżonej jak Czerwone Klify, chciała nawet zabrać Teię i córkę jej właściciela, żeby doświadczyły tłumu w czasie zamieszek w Pomroce, koszmarne biednym angarskim getcie, które od wieków uparcie istniało w Odess, ale pan Teii nigdy by się na to nie zgodził.

Znajome piękno błyszczących w słońcu chromeryjskich siedmiu wież nie wywołało dzisiaj w Teii radości. Donikąd nie musiała iść. Dowódca Żelazna Pięść powiedział tylko swoim ludziom: „Macie wolny dzień. Jutro jak zwykle widzimy się o świcie na dziedzińcu”.

Teię rozpierała energia. Musiała trochę się powłóczyć. To dobre ćwiczenie. Im lepiej pozna miasto, tym łatwiejsze będzie jej czarnogwardyjskie szkolenie. Dzisiaj jednak musiała coś załatwić. Zauważyła, że znowu ściska przekłętą fioletową, zajmując tym cenną rękę, która mogłaby jej pomóc manewrować w tłumie.

Za dużo myślisz, T.

Prawie wyszła z portu, kiedy wpadł na nią mężczyzna. Uskoczyła na tyle, że tylko się otarła. To musiało być umyślne.

Mężczyzna zniknął, a Teia trzymała coś w dłoni.

Odwróciła się, a kiedy znieruchomiała, straciła pęd, zgubiła rytm. Tłum wypluł ją na bazar przylegający do portu. Nawet nie widziała tego człowieka. Zauważyła ciemny płaszcz, może szarą tunikę... Do diabła, nie pamiętała. Zachowywała się jak amatorka. Wyszła ze strumienia ludzi i spojrzała na to, co miała w ręku. List.

Od razu wiedziała, że nie spodoba jej się to, co tam wyczyta.

„Teia, spójrz w parylu. Teraz”.

Formalne kształcenie Teii w parylu trwało bardzo krótko, ale preceptorka Marta Martaens wbijała jej do głowy, że widok kobiecych źrenic rozszerzających się tak bardzo, że znikają nawet białka oczu, nie jest dla innych jedynie niepokojący. Jest przerażający. Taka zmiana oczu była potrzebna, żeby widzieć paryl, który znajdował się w widmie równie daleko od podczerwieni, jak podczerwień znajdowała się daleko od widzialnej czerwieni. W przeszłości Teia rozszerzała źrenice i zaraz szybko zwężała, ale to było męczące. Teraz założyła przyciemniane okulary, które dostała od dowódcy Żelaznej Pięści, i rozluźniła oczy, bardziej, jeszcze bardziej.

Pierwszym miejscem, w którym zobaczyła paryl, była pierś barczystego chromeryjskiego

strażnika. Wypisano tam słowa, drżące, szybujące, lżejsze od powietrza, delikatne i błyszczące: „Przekupiony”.

Jak? Dlaczego? Nagle przystanęła, jak cel, z rozdziawionymi ustami, niczym nowo przybyły na Jaspisach, który więcej się gapi niż porusza, pracuje, planuje.

– Mogę w czymś pomóc panience? – zapytał strażnik, zauważając jej spojrzenie.

Teia pokręciła głową i przemknęła obok niego. Przeszła przez targ, gdzie herold stojący na małej skrzynce spojrział na nią. Nad jego głową szybowało jedno słowo: „Nasz”. Gapił się na nią?

Kim byli? Co robili? Dlaczego pokazywali jej to wszystko? Było oczywiste, że mają paryłowego krzesiciela. Zdolnego. Bardziej uzdolnionego niż Teia, jeśli potrafił stworzyć tak wytrzymałe słowa. Albo takiego, który znajdował się tuż obok niej i umieszczał świetlne znaki tuż przed jej przybyciem.

Na ścianie w zaułku widniały słowa: „Tędy, Teio”.

Zamarła.

Na kolejnej ścianie widniał napis: „Nie zrobimy ci krzywdy”.

Na następnej rozbłysnął tylko obłoczek uwolnionego światła, kiedy mężczyzna oparł rękę o mur w miejscu, gdzie umieszczono efemeryczne słowa: „Tylko my możemy...”. Reszta zniknęła, a zaraz i te słowa, które się zachowały, rozpadły się, kiedy mężczyzna przesunął rękę.

Serce Teii waliło młotem.

Oddychaj, Teio.

Właśnie w taki sposób ludzie wariują. Widząc rzeczy, których inni nie widzą, wyobrażając sobie spiski.

Jednakże szaleńcy są szaleni, ponieważ widzą rzeczy, które nie istnieją.

Teia zetknęła się w swoim życiu tylko z dwojgiem paryłowych krzesicieli. Preceptorką Martaens, która udzieliła jej garści lekcji na życzenie jej dawnej właścicielki, Aglaii Crassos, i mężczyzną, który dźgnął kobietę parylem w szyję i zostawił, by umarła w konwulsjach.

Zaułek znajdował się tuż przed nią – „Tędy, Teio”.

Tamten mężczyzna, tamten zabójca, posłużył się stałym parylem do morderstwa, zupełnie jak w opowieściach. Preceptorką Martaens przysięgała, że stały paryl nie istnieje. A przynajmniej ona nie potrafiła go krzesać. Gdyby Teia nauczyła się krzesać stały paryl, mogłaby się też przed nim bronić, prawda? Ci ludzie mogliby ją nauczyć.

Sparalizowana, niezdecydowana, bierna i nienawidząca się za to zerknęła w zaułek. Największą siłą parylu było to, że nie mógł go widzieć nikt poza garstką ludzi na całym świecie. Gdyby ktoś jeszcze mógł widzieć ich morderstwa, ci zabójcy straciliby swoją

najwspanialszą broń.

A to znaczyło, że Teia stanowiła zagrożenie dla ich siły. Widziała zabójstwo. Może obawiali się, że widziała też zabójcę.

A zatem, Teio, czy spotkasz się sam na sam z człowiekiem, o którym już wiesz, że zabił niewinną osobę i któremu zagrażasz samym swoim istnieniem?

Kiedy postawiła tę kwestię w taki sposób, wszelkie resztki jej zaciekawienia skurczyły się z dużego, soczystego winogrona do wstrętnego małego rodzyńka. Teia nie cierpiała rodzyńków. Uwielbiała winogrona. To wcale nie było to samo, niezależnie od tego co mówili ludzie.

Gdyby ten człowiek chciał ją po prostu zabić, z łatwością już mógł to załatwić. Za pomocą parylowych wiadomości udowodnił, że może poruszać się w pobliżu, a ona nawet go nie zauważy. Chciał ją najpierw odseparować od ludzi. Dlaczego?

Powody nie mogły być dobre. Ten człowiek był mordercą. Jeśli twój wróg czegoś chce, nie daj mu tego.

Pobiegła.

Przyciągnęła kilka zdumionych spojrzeń, kiedy nagle rzuciła się do biegu, ale nic jej to nie obchodziło. Dopóki nie rozlegnie się okrzyk „złodziej!”, nikt nie zwróci szczególnej uwagi na biegnącą młodą dziewczynę. Wpadła na następne ruchliwe skrzyżowanie, prześlizgnęła się przez tłum najszybciej, jak to możliwe. Wsunęła się między jarzmo wołów i wóz pełen siana, zanim woźnica zdążył choćby wrzasnąć. Przebiegła wzdłuż krawędzi małej fontanny pośrodku skrzyżowania i przemknęła przez kolejkę po wodę. Pobiegła ku następnej ulicy, przystanęła, cofnęła się kilka kroków i uskokzyła w zaułek. Przebiegła dalej, prawie się poślizgnęła na śmieciach i pomyjach, skręciła w przeciwną stronę, w następną ulicę i skręciła w następny zaułek.

Zaczęło mżyć. Teia nawet nie zauważyła, że się zachmurzyło. Zdjęła ciemne okulary, upuściła plecak pod nogi, wywinęła pelerynę szaronie-bieską stroną na zewnątrz, założyła plecak z powrotem, ale na brzuch i zasłoniła go peleryną. Naciągnęła kaptur i dołączyła do strumienia ludzi śpieszących się z powodu deszczu. Trudniej zmienić krok, kiedy się śpieszysz. Zarzucanie biodrami, żeby udawać krągłęjszą kobietę, było dla niej łatwe przy normalnym kroku – wystarczyło, żeby szła, stawiając stopy bliżej, jak na linie. Jednak robić to w półbiegu, jakby chciała uciec przed deszczem? Aż tak dobra nie była.

Po drodze zaczęła grzebać w plecaku. Nie było w nim zbyt wiele tego, co mogłaby wykorzystać jako przebranie, miała jednak jasnożółty szal i chustkę. Na skrzyżowaniu dała nura do kramu, jakby chciała skrócić sobie drogę do następnego zaułka. Zrzuciła kaptur, wyjęła czerwoną chustkę... A może zieloną? Drużyna lubiła robić sobie kawały, a ponieważ znali jej kłopoty z kolorami, nikt nie powiedziałby jej prawdy.

Zawiązała chustkę na włosach i zarzuciła szal na ramiona. Opuściła brodę i wyszła tą samą drogą, którą weszła, owijając się płaszczem, przez co plecak na brzuchu wyglądał, jakby była w ciąży. Położyła na nim rękę dla dopełnienia iluzji.

Nie cierpiała spowalniających przebrań. Nie lubiła, kiedy nie mogła szybko zniknąć. To jednak było typowe dla wszystkich i dlatego tego typu przebranie było tak użyteczne przy ucieczce. Minęła się z wysokim mężczyzną w szarym płaszczu, który przeszedł przez stragan i ruszył do zaułka. Może to był zbieg okoliczności? Może po prostu śpieszył się do domu, by uciec przed deszczem?

Po dwóch męczących kwartałach rozmyślnie powolnego, ale nie za bardzo kaczego kroku z ręką na wydętym brzuchu, Teia znowu pobiegła – ale nie do domu. Pobiegła do browaru, gdzie Marta Martaens wynajmowała pokój.

Browar o nazwie „Pocałunek Dziewczęcia” znajdował się w przysadzistym, kwadratowym budynku. Był pobielony i jak niemal wszystkie inne budowle na Wielkim Jaspisie zadaszony kopułą. Ta miała kolor żywego rózu. Drewniane drzwi były proste, nie licząc stylizowanego dziewczęcego profilu z ustami złożonymi do pocałunku. Nie było żadnego napisu. Teia zdecydowanie zapukała do drzwi.

Drzwi otworzyła czeladniczka, dziewczynka mająca nie więcej niż dziesięć lat.

– Czy to tutaj wynajmuje pokój Marta Martaens? – zapytała Teia.

Duże oczy dziewczynki zrobiły się jeszcze większe. Zawahała się.

– Możesz tu poczekać? Wrócę za dwa machnięcia jagnięcym ogonem, dobrze?

Dziwne. A Teia nie lubiła, kiedy ludzie dziwnie się zachowywali, jeśli jej życie było w niebezpieczeństwie. Nadal coś ścisnęło ją w gardle.

Przeniosła jednak to napięcie na resztę ciała, przygotowując się na atak. Wiedziała, że bycie przygotowanym, ale rozluźnionym, pozwalała reagować szybciej. Niestety, za żadne skarby nie mogła w sobie znaleźć takiego spokoju.

Rozejrzała się na deszczu, mierząc wzrokiem każdego, ale teraz na ulicach było niewielu ludzi, a padało coraz mocniej. Ostatnia rozmowa z preceptorką Martaens nie wypadła najlepiej. Starsza kobieta uważała, że nawet rozmowa o możliwości zabójstwa za pomocą parylu prowokuje polowanie na wszystkich parylowych krzesicieli. A Teia straciła możliwość dalszej nauki u preceptorki, wkrótce po tym, jak Andross Guile w jakiś sposób zmusił Aglaię Crassos do przepisania tytułu własności Teii. Od tamtej pory nie widziała się z Martaens.

Drzwi znowu się otworzyły i żyłasta kobieta w fartuchu zaprosiła gestem Teię do środka.

– Bel! – warknęła. – Kazałaś gościowi czekać na deszczu? Gdzie twoje dobre wychowanie, dziewczyno?

Dziewczynce zrzęda mina. Czmychnęła.

– Płaksa z niej – powiedziała piwowarka i westchnęła.

Nosiła chustkę dość podobną do męskiej ghotry, która przytrzymywała imponująco wielką koronę ciemnych włosów podczas pracy. A ewidentnie pracowała – pot pokrywał jej skórę, żyły wystąpiły na szczupłych przedramionach.

– Muszę pilnować brzezki, więc wybacz moją obcesowość, ale jak się nazywasz i czego chcesz?

– Teia. Adrasteia. Przyszłam sprawdzić, czy znajdę tu moją dawną preceptorkę Martę Martaens.

Teia zdjęła mokrą chustkę z głowy i otrząsnęła płaszcz, odsłaniając plecak na brzuchu.

– Ha, myślałam, że jesteś w szóstym miesiącu, i uznałam, że wspomnieliby o tym, gdy tak było – powiedziała piwowarka, kiwając głową i patrząc na niby-brzuch Teii. – Marta wyjechała. Nie ty pierwsza o nią pytasz. Powiem to samo, co tamtemu, bo taka jest prawda. Porządna lokatorka. Trochę humorzasta, ale dobra kobieta. Nie wiem, dokąd się udała. Straciła pracę w Chromerii, a to był jedyny powód, żeby tu być, więc nie widziałam niczego dziwnego w jej wyjeździe. – Piwowarka podeszła do kontuaru i sięgnęła pod niego. – Ale powiem ci też to. Zostawiła list, który miałam oddać tylko dziewczynie imieniem Teia. I chcę, żebyś wiedziała, że mężczyzna, który przyszedł się rozpytywać, zaproponował mi zapłatę za zatrzymanie ciebie.

Teia była gotowa walczyć. Przeniosła wzrok z twarzy kobiety na jej tułów. Ruch zaczyna się w środku ciała, niech widzenie peryferyczne zajmie się resztą.

– Nie wzięłam pieniędzy. Nie jestem dzikusiem, a w nim było coś zabawnego. Resztką rudych włosów wokół łysiny, dziwny naszyjnik. Ledwie go widziałam, ale mój papa wyrywał kiedyś zęby. Ten naszyjnik był z ludzkich zębów. Było w tym coś ohydneho, w co wolałam nie wnikać. Przeczytaj swój list szybko i znikaj. Nie zdziwiłabym się, gdyby nadal obserwował browar. Ach, i nie składaj listu. Marta bardzo to podkreślała. Możesz wyjść tylnymi drzwiami, jeśli chcesz.

Żeby dotrzeć do tylnych drzwi, Teia musiałaby przejść przez nieznany budynek, z dala od ludzi, odseparowana i odsłonięta. Może ta kobieta naprawdę starała się być pomocna. W końcu nie musiała mówić o tamtym mężczyźnie. Jednak Teia zbyt długo była niewolnicą. Nie zamierzała zdawać się na niczyją łaskę.

Ostrożnie wzięła list i powoli go otworzyła, nie spuszczając oka z piwowarki.

– Możesz go spalić, jeśli chcesz – powiedziała kobieta. – Muszę zająć się brzezką. Niech Orholam czuwa nad tobą, dziewczyno.

Odwróciła się i odeszła do swoich zajęć.

„Teia” – napisano w liście – „moja praca tutaj dobiegła końca. Dowiedziałam się, że mój

brat ciężko zachorował, więc wracam na rodzinną farmę w Maelans. Wybacz, że odjeżdżam tak nagle, ale nasza pani na pewno się Tobą zajmie. Niech Orholam Cię błogosławi”.

To wszystko. List skrupulatnie podpisano jej imieniem i precyzyjnie płożono. Na ile Teia się orientowała, Marta Martaens nawet nie miała brata. Natychmiast rozszerzyła oczy do parylu.

Rzeczywiście napisano coś w parylu, a odsłonięte słowa już się rozpadały. Nic dziwnego, że Marta nie chciała, by list było jak złożono. To zniszczyłoby ukrytą wiadomość.

„To wszystko prawda. Zabójstwa i cała reszta. Zakon Złamanego Oka naprawdę istnieje i teraz Cię szuka. Niech Orholam mi wybaczy, że zostawiam Cię samą, ale z tymi ludźmi nie da się walczyć. Uciekaj, Teio. Marta Martaens”.

ROZDZIAŁ 9

Karris Guile, urodzona jako Karris Białodąb, wlekła się po schodach, wspinając się z ostatniego piętra Wieży Pryzmata na dach. Przyszła prosto z portu i tylko rzuciła torby na podłogę w swoim nowym pokoju – pokoju Gavina – kiedy jego osobista niewolnica Marissia nieśmiało wręczyła jej list. To dziwne, że Biel wzywała ją na dach w czasie deszczu.

Karris wyjrzał zza drzwi i zobaczyła Biel otuloną licznymi kocami w fotelu na kółkach, zwróconą twarzą do wiatru i zacinającego deszczu. Świetnie się bawiła. Po obu jej stronach stało dwóch potężnie zbudowanych młodych mężczyzn, Gill i Gavin Greylingowie. Tak samo jak Karris należeli do Czarnej Gwardii, przysięgli chronić i bronić Biel oraz Pryzmata. Różnica polegała na tym, że oni wypełnili swój obowiązek. Każdy trzymał parasol z nawoskowanego materiału, osłaniając Biel przed deszczem. Jednak starej kobiecie najwyraźniej sprawiał przyjemność wiatr chłuszczący jej twarz deszczem mimo najszczerszych wysiłków Czarnogwardzistów.

– Pani kapitan straży – powitali ją bracia, kiwając do niej głowami, zamiast zaszalutować, bo mieli zajęte ręce.

– Możecie odejść – odprawiła ich Biel. – Proszę, poczekajcie na mnie na schodach. Teraz Karris będzie mnie strzegła.

Gill podał Karris parasol i obaj odeszli. Karris wzięła parasol w obie ręce, żeby jak najlepiej osłaniać Biel. Na twarzy staruszki malowała się jednak dziecięca radość. Oczy wszystkich krzesicieli nabierały kolorów, których używali, ale wzór, jaki tworzyły, był niepowtarzalny. U Karris to były czerwone gwiazdki na zielonym polu. Jasnoszare oczy Orei Pullawr wypełniły się dwoma łukami: niebieskim na górze i zielonym pod spodem. W ostatnich latach, kiedy przestała krzesać dla przedłużenia życia, kolory wyblakły, straciły na intensywności. Jednak po próbie zamachu na jej życie w jej własnych komnatach, niebieski łuk znowu nabrał życia, napierając na same brzegi tęczy. Akurat tego Karris się spodziewała. Tyle że zielony łuk też się ożywił, a to podpowiadało Karris, że Biel krzesła także zieleni. Nie zostało jej dużo czasu.

– Miałam nadzieję, że to ponownie zrównoważy wpływ obu kolorów – wyjaśniła Biel – ponieważ dzikość zieleni równoważyła we mnie powolną logikę błękitu przez wiele lat. Odkryłam po ataku, że wystarczy, bym siedziała, patrzyła i czekała. A skończył się już

czas, by siedzieć, patrzeć i czekać, prawda, dziecko?

– Nie zostawiaj mnie, proszę – powiedziała Karris.

Ścisnęło ją w żołądku, ale zdusiła szloch. Zaskoczona, odetchnęła głęboko. Myślała, że bardziej nad sobą panuje.

– Niestety, tak to już jest na tym świecie, prawda? – zapytała Biel. – Idziemy naprzód samotnie albo pozostajemy w tyle osamotnieni. Wszyscy moi drodzy przyjaciele z młodości już nie żyją. Tylko jeden mój stary wróg trwa przy życiu. Prawie nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Karris, dźwigając brzemień cięższe, niż myślimy, że zdołamy unieść, stajemy się silniejsi. Jesteś gotowa?

– Nie możesz poddać się i umrzeć – odparła z gniewem Karris. – Jesteś najlepszym, co mamy. Nikt cię nie zastąpi.

Niespodziewanie Biel zachichotała.

– Takie słowa pragnie usłyszeć każdy megaloman, ale są prawdziwe tylko w przypadku naprawdę złych i monumentalnie wielkich. Ja nie jestem ani jednym, ani drugim. Jestem zaledwie kompetentna, a moje porażki są znaczące i niestety, częste. To, że nie jestem zła, może czyni mnie lepszą od wielu Bieli przede mną, ale dobry i wielki to dwa odrębne obozy, które rzadko znajdują część wspólną.

Karris westchnęła, nie bardzo wiedząc, czy zdołałaby mówić o Gavinie i nie rozpaść się. Odwróciła wzrok, nie potrafiąc przyjąć współczucia? widocznego w oczach Bieli.

– Czuję się zdradzona.

– Przez Gavina? Bo umarł?

Chromeria tego nie orzekła, jeszcze nie. Nie, kiedy Gavin tyle znaczył dla wszystkich. Poza tym nie wiedzieli, czy nie żyje. Jednak Biel mówiła o strachu i gniewie, a takie odczucia nie opierają się na dowodach i cnotach błękitu.

– Trzecie Oko. Powiedziała, że jeśli Gavin przetrwa bitwę, przeżyje przynajmniej do dnia przed Dniem Słońca. Myślałam... Myślałam, że nam się udało. Bitwa się zakończyła, prawda? Położyłam się spać, wierząc, że obudzą mnie pocałunki.

A zamiast tego były krzyki i śmierć. Kip próbował zabić Androssa Guile; tak mówiono. Gavin wtrącił się, przypadkiem został raniony i wypadł za burtę. Kip skoczył w ślad za nim. Statek nie zdołał odnaleźć w ciemności Kipa i ciała Gavina.

– Nawet jeśli Trzecie Oko bezbłędnie dostrzega prawdę, co do czego nie jestem przekonana, skąd mamy wiedzieć, że musi zawsze mówić prawdę na temat tego, co widzi – odparła Biel. – Być może, okłamując cię, pomogła światu uniknąć większej tragedii.

– Uwierzyłam jej – odpowiedziała Karris.

Czuła pustkę. Wpadła w pułapkę. Chciała trzymać się nadziei, bo nie widziała jego śmierci i ponieważ miała wrażenie, że zdradziłaby go, gdyby się poddała. Z drugiej strony,

widziała rezygnację w każdej twarzy. Nie żył, a zostało wiele pracy do wykonania. Pojawiła się straszliwa próżnia i grupy gotowe ją wypełnić, heretycy do zwalczania i tak dalej, i tak dalej. Nie mogła pograć się w żalobie, dopóki nie będzie wiedzieć na pewno. Ale być może nigdy się nie dowie.

– Słyszałam, że tutaj też pojawiły się znaki – powiedziała Karris. – Coś o morskim demonie walczącym z wielorybem?

– Dwa tygodnie temu. W dzień bitwy. – Biel nie rozwinęła wątku. Wiedziała, kiedy Karris próbuje zmienić temat.

Uderzył w nie deszcz. Robiło się zimno.

– Powinam zabrać cię do środka – uznała Karris.

Uniknąć tego. Odłożyć na później. Stawić temu czoło później, w samotności.

– Nie. – Pojedyncze słowo Bieli cięło jak bicz. Przemówiła i oczekiwała całkowitego posłuszeństwa. – Pokaż mi swoje tęczęwki, dziewczyno.

Karris spojrzała staruszcze w oczy. Kiedyś była dumna ze swoich oczu, teraz się ich wstydziła. Była dumna z ich urody, z rubinowych gwiazd rozkwitających na szmaragdowym polu, kolorów czystych, jasnych i potężnych. Teraz dominowały gwiazdy, a oczy zdradzały kobietę, której zostało już niewiele lat. Kobietę, której brakowało samokontroli, by dożyć czterdziestki.

– Masz przestać krzesać. Całkowicie i natychmiast – orzekła Biel.

To jakby kazać jej przestać oddychać.

– Wiem, o co proszę – dodała Biel. Oczywiście, że wiedziała, sama tego dokonała. Niestety, to niczego nie ułatwiało Karris. – I nie proszę, j To rozkaz.

– Tak, najszlachetniejsza pani – odpowiedziała sztywno Karris.

Myślała, że Biel okaże jej trochę współczucia z powodu śmierci męża.

Najwyraźniej nie powinna była spodziewać się żadnej czułości. Zaciśnęła zęby, ale starała się zachować beznamiętny wyraz twarzy.

– Pozwoli pani, że odejdę – powiedziała i odwróciła się.

– Nie pozwolę – odparła ostro Biel.

Karris przystanęła. Była Czarnogwardzistką. Wiedziała wszystko o posłuszeństwie. Nie odwróciła się, zbierając siły.

– Poślubiłaś Gavina Guile, Pryzmata – powiedziała Biel. – W związku z tym zostałaś zwolniona ze wszystkich obowiązków Czarnogwardzistki. Masz złożyć rezygnację w trybie natychmiastowym.

Karris wstrzymała oddech. Kolana się pod nią ugięły. Podmuch wiatru wyrwał parasolkę z jej słabych palców i zrzucił z dachu, zanim zdążyła mrugnąć. Stała, godząc się na piekące smaganie. Zmrożona od zewnątrz i od wewnątrz. Wszystko, czym była, odkąd

porzuciła tę głupią dziewczynę, której podobało się, że chłopcy się o nią biją, wszystko, czym się stała dzięki własnej pracy, to Czarnogwardzistka. Ledwie dopuszczono, żeby starała się o przyjęcie do tej elitarnej jednostki, a potem zdobyła stopień kapitana straży i odkryła, że znajduje w tym satysfakcję. przez dwa dni miała wszystko: mężczyznę i pracę, które kochała, trudny cel i sposób osiągnięcia go, a otaczali ją ludzie, których podziwiała... Których kochała. Siostry i nowi bracia – zastąpili tych, którzy zginęli w ogniu w jej młodości. A potem straciła Gavina i myślała, że gorzej już być nie może. A teraz Biel – ze wszystkich ludzi właśnie Biel! – wykopywała spod niej ostatnią nogę stołka.

– Nie do końca rozumiem, skąd to zaskoczenie – odezwała się spokojnie Biel. – Czarnogwardzistka żoną Pryzmata? Musiałaś wiedzieć, że to najbardziej prawdopodobne zakończenie. Tak się dałaś porwać namiętności, że w ogóle nie pomyślałaś?

– Powiedziałaś... Powiedziałaś, że mój przypadek to wyjątek potwierdzający regułę! – wypaliła Karris.

– Miałam na myśli, że zezwalam ci pójść za głosem serca i złożyć rezygnację, zamiast wyrzucić cię okrytą hańbą.

– A co to za różnica?! – krzyknęła Karris.

Gill Greyling wychylił się zza drzwi i obaj z Gavinem wyszli na zewnątrz, ale zostali w miejscu, skąd Biel mogła ich przywołać gestem. Stali niewzruszeni w deszczu, lecz Karris знаła tę postawę – jak u ogarów na smyczy, gotowych do ataku na komendę.

– Jedno to wstyd, drugie to zaszczyt, i jeśli nie widzisz różnicy, to masz większy problem niż zdołamy rozwiązać.

– Ale, ale... ale jego nie ma! Nie żyje! To jałowa dyskusja. Myślałam... Myślałam, że...

Karris myślała, że reguły nie dotyczą Gavina, i skoro wyszła za niego, on ją poprze i ten jeden raz reguły nie będą dotyczyć także jej. Myślała, że może zasłużyła na tę odrobinę szczęścia, że może wreszcie Orholam się nad nią ulitował.

– Zaginął. To nie to samo. Na razie i dla moich celów. Oczywiście, niektórzy ze Spektrum będą chcieli natychmiast uznać go za martwego, ale pojawią się inne problemy z wyznaczeniem nowego Pryzmata. Niemniej nowy Pryzmat elekt musi zostać wybrany przed Dniem Słońca. Musimy go znaleźć do tego czasu. – Odwróciła się do deszczu, ciesząc się wilgocią na twarzy i najwyraźniej odprawiając Karris.

– To wszystko? – zapytała ostro Karris. – Teraz, kiedy odwaliłam swoją robotę, można mnie wyrzucić na śmietnik?

– W tym życiu nie jesteśmy szatami, które można uprać i ponownie włożyć. Jesteśmy świecami, które dają światło, aż zupełnie się wypalą. Płonęłaś jaśniej niż większość. To ma swoją cenę. Miernoty takie jak ja? Słabe płomyki dłużej płoną.

– Jeszcze się nie wypaliłam – odparła z gniewem Karris.

– Może więc nie jesteś takim delikatnym kwiatuszkiem, jak uważałaś – odpowiedziała Biel.

Nie powiedziała nic więcej, nie spojrzała na nią. Karris pomyślała, że powinna wybiec ze łzami, przeklinając. Zamiast tego stała w deszczu, pozwalając, żeby ostudził jej gniew, opanował jej dzikość, w miarę jak przemaczał włosy. Odgarnęła mokre pasma z oczu. Potrzebowała dwóch prób, zanim zdołała się odezwać.

– Przez długi czas zamierzałam do tego nie wracać, ale... Dlaczego wysłałaś mnie, właśnie mnie, żebym przeniknęła do armii Raska Garadula?

– W Tyrei?

– To nie było aż tak dawno. Rask był we mnie zakochany. Nie miałam pojęcia. Wysłałaś mnie tam bez słowa ostrzeżenia. Zostałam pojmana. Mogłam zginąć.

Biel otaksowała ją wzrokiem.

– Zdarzało ci się sięgnąć po broń w trakcie bitwy? Może po tym, jak straciłaś własną?

– Raz, po muszkiet w Garristonie. Kiedy spróbowałam się nim posłużyć, nie strzelił.

– Hm. Zdarza się.

Biel nie powiedziała nic więcej.

– Ja? Byłam bronią, po którą sięgnęłaś? Nie wiedząc, jak się sprawdzę? To... To brednie. Znasz mnie! Trudno uznać, że stanowią dla ciebie zagadkę. I trudno porównać tę sytuację do gorączki bitewnej. Mogłaś posłać dowolnego Czarnogwardzistę, dowolną inną osobę spośród setki żołnierzy i niewolników. Połowa sprawdziłaby się równie dobrze jak ja.

– Moim celem nie było zwyciężyć w walce; chciałam przetestować broń.

– Co?

– Masz wiele zalet, Karris Guile, ale sięgasz po te same raz za razem. Boisz się wystawić siebie na próbę. Dawałam ci szansę wypełnić inne zadania, które łatwo można było załatwić dzięki odrobinie pochlebstwa lub łapówek, ale ty zawsze obierałaś najprostszą drogę, opierając się na władzy i hierarchii. A kiedy już byłam gotowa odciąć cię, zrobiłaś coś błyskotliwego, co udowodniło mi, że jednak jesteś zdolna myśleć samodzielnie. Ty zwyczajnie lubisz, kiedy inni wydają ci rozkazy. Postawiłam cię więc w sytuacji z zadaniem najwyższej wagi, ale bez wskazówek co do jego wykonania. Wiedziałam, że mogłaś zginąć, i bardzo by mi twoja śmierć ciążyła, przez świadomość, że źle cię oceniłam. Zamiast tego jednak zdałaś egzamin i teraz zyskałam coś lepszego niż twoje zaufanie. Karris się skrzywiła.

– A mianowicie?

– Sama zaufałaś sobie. Przynajmniej trochę bardziej.

Karris pokręciła głową.

– Dlaczego więc pozbawiasz mnie pozycji? Rozumiem, że Andross Guile chciałby odebrać

mi coś, co kocham, ale ty? Dlaczego nie walczyłaś o mnie?

I znowu gorące łzy zagroziły popłynięciem. Ścisnęło ją w gardle.

Biel zamruwała, a jej twarz zmieniła się w jednej chwili, gdy emocje ją odmłodziły.

– Posłuchaj mnie, Karris Guile. Nigdy nie przestanę o ciebie walczyć! – Odsunęła się na oparcie i znowu wyglądała staro. – Marznę na tym deszczu. Zabierz mnie do środka.

Wcześniej jednak wyznaczę ci nowe zadanie. Odpowiednie dla twojego nowego statusu.

– Mojego nowego statusu? Wdowy? Byłej Czarnogwardzistki?

– Kobiety, która nie ma pracy i dysponuje wolnym czasem w nadmiarze.

To było jak policzek. W Karris zapłonął gniew.

– Mam dziergać sweterki i przeklęte skarpety, najszlachetniejsza pani?

– Straciłam mobilność. Przez to o wiele łatwiej wytropić, z kim się spotykam. Karris, zajmiesz się moimi szpiegami.

ROZDZIAŁ 10

Teia nie przeszła Łodygą Lili do Chromerii, dopóki nie zobaczyła wracającej grupy Czarnogwardzistów. Płynęli razem z nią statkiem. Naprawdę nie było jej tak krótko, że pozostałe szczawie dopiero docierały do mostu? Rozejrzała się po zaułkach i mimo deszczu znowu założyła na chwilę ciemne okulary. Otworzyła oczy szeroko, szerzej, aż całe stały się źrenicami. Spojrzała na prawo, w lewo i w głąb skrzyżowania. Zerknęła za siebie, dalej w zaułek, szukając śladu parylu albo zabójcy. Nic.

Schowała okulary do kieszeni i pośpiesznie dołączyła do tłumu przepływającego przez most. Minęła chromeryjskich strażników stojących w lustrzanych zbrojach w zwykłe pustych budkach strażniczych. Wojna. Wojna naprawdę się zaczęła i byli przygotowani na atak. Tutaj. To nie mieściło się w głowie.

– To prawda? – zagadnął Czarnogwardzistę jeden ze strażników. – Ze Pryzmat nie żyje?

– Zaginął.

– Zaginął? Co? Jakby był drobną monetą? Zaginiony na morzu to nie jest po prostu zaginiony. Słyszałem, że całymi dniami przeczesywaliście wybrzeże w poszukiwaniu Pryzmata. Nie powinniście chronić go przed zaginięciem?

Jeden z czarnogwardyjskich kadetów, Ferkudi, warknął i skoczył na strażnika. Inni odciągnęli go i pohołowali w stronę wieży.

– Dopuściliście do śmierci naszego Pryzmata! – krzyczał strażnik. – Jaki z was pożytek, skoro Pryzmat utonął, kiedy byliście na służbie? Żaden z was nawet za nim nie skoczył?

Ferkudi zaklął, a Cruxer przyskoczył prosto do strażnika. Powiedział coś, czego Teia nie usłyszała, ale nawet go nie tknął. Strażnik nie odezwał się już słowem, a po twarzy popłynęły mu łzy.

Ci ludzie kochali Gavina. Ledwie go znali, ale go opłakiwali.

Nie, może nie miała racji. Nie znali go osobiście, ale Gavin był wszędzie widoczny, dłużej niż Teia żyła. I był dobrym Pryzmatem. Plotki krążyły po całych Jaspisach, a oficjalne wieści były żałośnie niepełne, żadne to stanowisko, w gruncie rzeczy. „Zaginiony”.

„Zaginiony”. To nie jest słowo, jakie chcesz rzucać lekko na początku wojny, w której wyniki dwóch bitew okazały się... niekorzystne dla Chromerii.

Gavin był dla tych ludzi niemal bogiem, a przegrali w dwóch bitwach, chociaż walczył u ich boku. Co poczną bez niego?

To było pytanie, które Czarnogwardziści zadawali sobie od kilku dni. Przy czym własna porażka także nie uszła ich uwagi.

Teia nic nie powiedziała, przeszła ze spuszczoną głową.

Chociaż Łodyga Lilii była przykryta kopułą z niebieskiego i żółtego luksynu, przezroczystą i niewiarygodnie wytrzymałą, Teia przeszła dwadzieścia, może trzydzieści kroków, nim zdjęła kaptur. Zaczął się przypływ i wiatr sprawiał, że na falach bieliły się grzywy. Łodyga Lilii przecinała linię wody, więc teraz fale uderzały o most. To był symbol samej Chromerii. Cały tumult i ryk świata wspinał się i uderzał o nią, a ona trwała, niezmienna, nieporuszona, nieczuła.

Jednakże to zawsze było upiorne – iść przez świetlny tunel i patrzeć, jak rozbryzgi wody sięgają wysoko nad twoją głowę, czasem przewalając się na drugą stronę. Zdarzały się już wcześniej próby wysadzenia mostu beczkami z prochem. Przynajmniej trzem zapobieżono. Jeden wóz zdołał się dostać na most, tellarski separatysta wykrwawiał się na nim na śmierć z powodu ran, szaleńczo próbując podpalić ładunek.

Podmuch po wybuchu ograniczonym przez luksynową rurę uderzył oboma końcami, jakby to był muszkiet strzelający z dwóch końców.

Dziesiątki ludzi zginęły, ale most wytrzymał. Ahhana Zręczna była żółtą superchromatką, główną krzesicielką pracującą nad mostem ponad dwieście lat temu. Nawet teraz niektórzy inżynierowie chełpili się tym, że wywodzą się z długiej linii nauczycieli sięgającej aż do tej kobiety, taka była sławna.

Teia starała się pamiętać o tym, jak wytrzymały jest most, kiedy fala rozbiła się o ścianę i przelała górą.

Unikała pozostałych – Ferkudiego i jego przyjaciół z wcześniejszych czarnogwardyjskich klas. Przez chwilę, kiedy się śmiali, raptem dwie minuty po tym jak rozpaczali i byli gotowi walczyć, Teia zobaczyła ich takimi, jakimi musieli ich widzieć instruktorzy – dzieciaki, szesnasto-siedemnastoletnie, śmiejące się z czyjejś niezręcznej próby pocałunku, a mimo to wojownicy, śmiertelnie niebezpieczni i rozleniwieni, nieustępliwi i niemądrzy, mężczyźni i dzieci.

Za dużo myślisz, T.

Jakoś udało jej się wsiąść do windy i nie dać się zauważyć w tłumie. Bycie drobną czasem się przydaje. Bywa, że wolisz, żeby cię przeoczono. Nie miała ochoty na rozmowę, ale martwiła się, czy nie uznają jej za niekoleżeńską. Nie, za bardzo byli zajęci sobą.

Została w windzie, kiedy kadeci wyszli, i wysiadła dopiero na poziomie pokoju Kipa. Urzędnicy byli za bardzo zajęci w dniach poprzedzających wypłynięcie floty, żeby zajmować się zwykłymi sprawami. To oznaczało, że Teia i Kip nie mogli od razu załatwić formalności. Zatem teoretycznie nadal była niewolnicą. Kiedy Kipa zabrakło, musiała

natychmiast dopełnić formalności. Gdyby stary Andross Guile przypomniał sobie o niej, z pewnością przechwyciłby ją jako własność wnuka, choćby na złość Kipowi.

Kip, ty idioto, dlaczego zaatakowałeś Androssa Guile? Ze wszystkich ludzi, czemu właśnie jego?

I gdzie teraz podziewał się Kip? Czy kiedykolwiek wróci do domu?

Do domu? Gdzie czekał na niego Andross Guile i stryżek?

Kip mógł żyć, ale Teia i tak pewnie więcej go nie zobaczy. Był jej partnerem raptem przez kilka miesięcy, ale intensywnie spędzili ten czas.

Razem byli wyrzutkami, razem walczyli, zarówno w przenośni, jak i dosłownie. Serce jej pękało.

Pociągnęła za fiolkę oliwy, którą nadal nosiła na szyi. Będzie ją nosiła, aż otrzyma potwierdzenie od sekretarzy, że załatwiono wszystkie formalności związane z jej uwolnieniem i odzyskała wolność, w pełni i nieodwołalnie. Wtedy ją rozbije. Już niedługo, miała nadzieję.

Klucz łatwo obrócił się w zamku, Teia otworzyła drzwi i szybko weszła do środka.

– Witaj, gołąbeczko – rozległ się w ciemności głos mężczyzny. – Odwróć się.

Teia zamarła na chwilę, a potem odwróciła się, zostawiając rękę na zasuwce.

– Kim pan jest? – zapytała. – Co pan tu robi?

– Dwa... doskonałe... pytania – powiedział mężczyzna.

Miał jasną skórę, pasmo rudych włosów zaczesane w próżnym wysiłku ukrycia guzowatej łysiny. Nosił zamożne szaty kupca pod cienkim czarnym płaszczem, w ręku trzymał obrębiony aksamitem petasos, ale najbardziej uderzające były jego oczy. Miały kolor bursztynu. Nie od krzesania żółtego czy pomarańczowego luksynu, ale z natury. Uśmiechnął się, odsłaniając olśniewająco białe zęby.

– W miejscach publicznych możesz nazywać mnie pan Sharp.

Co pociągało za sobą oczywiste pytanie:

– A na osob...

– Morderca.

– Słucham?

Ogarnął ją strach. Nie mogła tego znieść.

– Morderca. To bardziej tytuł niż imię. Morderca Sharp. Miałem kiedyś prawdziwe imię, rzecz jasna. Porzuciłem je.

Co pociągało za sobą kolejne oczywiste pytanie. Ale do diabła z nim.

– Co pan tu robi?

– Werbuje.

– Bez skutku. Wynoś się.

Werbuje?

Nawet nie drgnął.

– Podjęłaś słuszną decyzję w porcie, chociaż to trochę utrudniło mi życie. Bystra z ciebie dziewczyna, co? Zobaczyć paryl, ale go zignorować? Zobaczyłaś wroga o nieznanym zdolnościach, proszącego o spotkanie na jego terenie i postanowiłaś nie podejmować tej walki. To było... mądrzejsze, niżby wskazywał twój wiek. Tym bardziej chcę cię zwerbować. Mam dla ciebie robotę. Jeśli ją wykonasz, dam ci twoje papiery.

– Jakie papiery? – zapytała Teia, udając, że nie wie o co chodzi.

– Naprawdę? – spytał figlarnie. – Po tym jak pochwaliłem cię za inteligencję? Dzieciak z ciebie, co? I nieoszlifowany klejnot. Jeśli wykonasz dzisiaj moje zadanie, dam ci dokumenty, przysięgam na swoją duszę i nadzieję na oświecenie. W przeciwnym wypadku przekażę je Androssowi Guile, dla którego pracowałem w przeszłości. Małe przypomnienie, kim i czym jesteś, wystarczy, żeby bardzo utrudnić ci życie, nie uważasz? Myślisz, że dokumenty dające ci wolność, kiedykolwiek ujrzą światło dzienne, jeśli zaniosę je do Najwyższego Światłowładcy Guile'a?

Odpowiedź była oczywista.

– Skąd mam wiedzieć, że pan mi je odda?

– Przysięgi są dla mnie święte. Jeśli jednak znowu postanowisz pokrzyżować mi plany, zwracając się do innych władz...

Teia go zaatakowała, uderzając pięścią w gardło.

I natychmiast padła odrętwiała w jego ramiona. Podniósł ją z łatwością i położył na łóżku Kipa delikatnie jak kochanek. Niczego nie czuła. Jej ciało po prostu zniknęło w okamgnieniu, nie odbierała go zmysłami. Czuła zapach dziwnego człowieka o imieniu Morderca. Pachniał skórą pomarańczową, imbirem i miętą, orzeźwiająco, wręcz ponętnie. Nienawidziła go za to.

Uśmiechnął się, szczerząc najbielsze, najbardziej idealne zęby, jakie w życiu widziała. Ułożył jej kończyny. Położył dwa palce na jej górnej wardze, nie żeby ją uciszyć, ale żeby sprawdzić jej oddech, i zabrał je, wyraźnie zadowolony.

– Możesz mówić? – zapytał.

Otworzyła usta, ale nie panowała na oddechem aż tak, by krzyknąć, nie mogła nawet szepnąć. Coś było z nią bardzo, bardzo nie tak. Dezorientacja groziła przemianą w panikę.

– Ciało to taka zagadka, zgodzisz się ze mną? Już sama liczba rzeczy, które muszą nieustannie dobrze działać, chwila po chwili, żeby to mięso jakoś działało. – Podniósł jej bezwładną rękę i upuścił. Poleciała zupełnie jak bez życia. – Pozwól, że powiem ci coś niezmiernie ciekawego: im więcej wiesz, tym bardziej pojmujesz, jaka to tajemnica. Najmędrsi konsyliarze w satrapiach nadal wierzą, że krew trwa w bezruchu w naszych

kończynach, że odpływa i przy pływa jak pływy morskie, może nawet zależnie od księżyca. Z kolei moi ludzie od wieków wiedzą, że krew krąży w ciele, że to serce ją pompuje. Wiemy to, bo to widzimy. A jednak nawet dla nas, którzy widzimy jak na dłoni to, czego setka pokoleń konsyliarzy jeszcze nie odkryła, istnieją tajemnice. W końcu nie jesteśmy od nich dużo znakomitsi. Różnimy się stopniem, a nie rodzajem. Wiem, że uszczypnięcie tu albo krysztalek tam spowoduje, przy odrobinie szczęścia, taki albo inny efekt. Rzuciłaś się tak szybko. Tak szybko. Czujesz już mrowienie w stopach? Mrugnij raz na tak, dwa na nie.

Teia nie czuła niczego. Niczego. Była więźniem zamkniętym w nieposłusznym ciele. Poczwała napływające łzy. A potem mrowienie, najpierw w jednej, potem w drugiej stopie. Zamrugowała niemal odruchowo.

– Dobrze. Za chwilę powinno zacząć się mrowienie w palcach rąk.

Miał rację. Mimo niby swojej rzekomej niewiedzy, doskonale wiedział. Doświadczenie nie było przez to mniej przerażające, po prostu było trochę inaczej przerażające.

– Przestań myśleć o swoim strachu – powiedział Morderca. – Wróci ci całe czucie. Jestem bardzo dobry w tym, co robię. Zanim będziesz w stanie mówić, chcę, żebyś zgadła, jak tego dokonałem.

Teia nienawidziła się za to, że jest tak uległa, ale było coś odurzającego w tym człowieku. Co więcej, miał rację. Wzięła głęboki wdech i zdała sobie sprawę, że czuje go w swojej piersi. Dzięki niech będą Orholamowi.

Potrzebowała jeszcze paru oddechów i kilku chwil frustracji, zanim zdołała się rozluźnić na tyle, by w pełni otworzyć oczy na paryl. To, co zobaczyła, zaparło jej dech.

Cały pokój był napełniony parylem. Gazowa, błyszcząca chmura parylu wypełniała każdy kącik i załom. Więcej nawet – paryl nasycił też jej ciało i ciało Mordercy. Przenikał ich oboje. Morderca wykorzystał tę właściwość, żeby sięgnąć w głąb jej ciała i czymś szarpnąć. Jej szkolenie w Czarnej Gwardii dopiero zaczęło zagłębiać się w to, jakie rodzaje ran jakie szkody powodują. Wiedziała, że tego uczą się pełnoprawni Czarnogwardziści. A jej własne doświadczenia z walki, widok zmarłych, umierających i rannych nadal były zbyt świeże, żeby zdołała je przeanalizować i zastanawiać się nad tym, jaka rana co powoduje. Widziała jednak zwierzęta zarzynane w majątku lady Lucigari, kiedy dorastała. Kozy, świnię i bydło. Kucharka wołała głębokie rozcięcie gardła i wykrwawienie zwierzęcia, ale jej mąż, Amos, lubił posługiwać się siekierą.

Był jednym z tych mężczyzn, co to nigdy nie byli na wojnie, ale lubili opowiadać, jak wspaniale by się wykazali w prawdziwej walce. Zarżnięcie zwierzęcia to największe przybliżenie wojny, na jakie mógł liczyć. Teia widziała, jak jego topór opadał, a wół padał bez życia, wiotki, kiedy ostrze przecinało kręgosłup. Widziała, jak Amos popełnił błąd po pijanemu i jedynie zmiażdżył kręg niezręcznym ciosem, widziała, że tylne nogi krowy

uginały się pod nią bezwładne, a przednie nadal stały.

– Uszczypnął pan mój kręgosłup – powiedziała Teia.

Morderca czule pogłaskał ją po policzku.

– Bystra. Masz rację, w pewnym sensie. Jednak nie polecam ci podszczypywania kręgosłupów na oślep jako sposobu rozgryzienia tej sztuki. Zrób to niewłaściwie, a zatrzymasz serce albo płuca. Potrzebowałem sześciu prób, zanim zrobiłem to dobrze. A potem, kiedy już myślałem, że opanowałem tę metodę po mistrzowsku, trwale sparaliżowałem chłopca. Musiałem tak to zaaranżować, żeby wydawało się, że wpadł do studni. Przeżył sześć miesięcy, aż ktoś zapomniał podać mu wodę i zgasł.

– Ilu was jest? – zapytała Teia.

– Na tyle mało, żebyśmy zawsze szukali nowych. Dostatecznie dużo, byśmy nie przyjmowali tych, którzy się nie nadają. Możesz się już ruszać?

– Tak. Mogę?

Teia nienawidziła się za to, że pyta, ale Morderca był jak dzikie zwierzę, każdy nagły ruch mógł wywołać gwałtowną reakcję.

– Otwórz usta – powiedział. Zrobiła to. – Grzeczna dziewczynka.

Dwoma palcami rozsunął jej wargi, jakby była koniem. Cofnęła głowę.

– Nie ruszaj się! – syknął.

Zamarła.

Odsuwał jej wargi to w górę, to w dół, żeby lepiej przyjrzeć się wnętrzu ust. A potem długim delikatnym palcem pomacał po kolei zęby, wyszukując wszelkie niedoskonałości, przesuwał się od przodu ku tyłowi. W jego oczach malowała się dziwna przyjemność.

Teię ogarnęła nagła, dzika chęć odgryzienia mu palca. Nie miała pojęcia, dlaczego ten dotyk wydawał jej się takim gwałtem, ale poczuła się brudna, a źrenice Mordercy rozszerzyły się z powodu pożądania, a nie magii.

I nagle skończył. Wyjął palec z jej ust. Był mokry. Powąchał go, a potem podsunął jej pod nos.

– Nać pietruszki – powiedział. – Żuj pietruszkę, a twój oddech nie będzie taki wstrętny.

– Potem oblizał palec. – Powąchaj.

Znowu podsunął jej palec pod nos.

Powąchała. Dla niej pachniał śliną. Fuj. Dlaczego go słuchała?

– O wiele lepiej, nie uważasz? – zapytał pan Sharp.

Teia nie odpowiedziała. Żołądek jej się zaciskał i nie ufała własnemu głosowi. Nagle nabrała pewności, że kusił ją, by go ugryzła. Co by zrobił, gdyby dała mu pretekst? To było jak koszmar, z którego nie mogła się obudzić.

Wstał.

– Bystra. I młoda. Będziesz budzić postrach, Adrasteio. O ile przeżyjesz. jeśli nie trafisz do właściciela, który postanowi złamać twojego ducha w najbardziej skuteczny sposób, w jaki można złamać ducha młodej kobiety. Wiem, myślisz, że jesteś taka silna, że nic cię nie złamie. To pocieszające kłamstwo, ale go nie weryfikuj. Uwierz mi, nikt nie jest tak silny. Nie proszę jednak, żebyś żyła w strachu. Sugeruję tylko, byś posłużyła się mądrością, którą wykazałaś się wcześniej. Pomyśl nie tylko o tym, co może przytrafić się tobie, jeśli komuś się zwierzysz. Zastanów się, co się stanie z dowódcą Żelazną Pięścią, jeżeli zajmie się twoją sprawą. Może wszystko dobrze by się ułożyło, gdybym zamierzał przekazać twoje dokumenty zwykłemu właścicielowi niewolników. Jednak, jeżeli wystawisz dowódcę do walki z Androssem Guile? Jak myślisz, kto zwycięży w tym pojedynku? Żelazna Pięść to dobry człowiek i gotów ściągnąć na siebie nieszczęście, jeśli poprosisz go o pomoc.

Teia chciała go zabić. Jak śmiał grozić Żelaznej Pięści?

– A może mogłabyś pójść do Karris? W końcu z nią trenowałaś.

Teia nawet o tym nie pomyślała, chociaż teraz, kiedy o tym wspomniał, była pewna, że mogłaby spróbować. Karris była kobietą w Czarnej Gwardii, Łuczniczką, która znała ciężące na nich brzemie i była dobrym człowiekiem. Jednak fakt, że pan Sharp też o tym pomyślał, sprawił, że serce jej zamarło. Wiedział o wszystkim i był szybki, szybszy niż miał prawo. Oczywiście przygotowywał się do tego spotkania.

Za tym faktem stała ważna myśl, tyle że Teia nie była w stanie do niej dotrzeć, blokowana przez własny strach.

– Co by się z nią stało?

– Może nic. Najwyższy Światłowładca Guile już jej nienawidzi. Oczywiście teraz, kiedy jest żoną Gavina, czy raczej wdową po nim, stali się jedną rodziną. Wyobrażam więc sobie, że Biel będzie naciskała, żeby Karris pogodziła się ze staruszką. Karris może nie rwać się do podjęcia kolejnej sprawy, która zmusi ją do bezpośredniego przeciwstawienia się człowiekowi, który słynie we wszystkich Siedmiu Satrapiach z pamiętliwości i chowania urazy. Jak bardzo Karris cię lubi? A może zajmie się twoim przypadkiem. Ty pozbawisz ją szansy na rozejm, ale on i tak wygra. Prawo stoi po jego stronie, więc wygra. A co zrobi z tobą, żeby dopiec Karris?

Teia oblizwała usta.

– Wie pan, on też może szukać porozumienia. Może mnie oddać, żeby okazać swoją dobrą wolę.

– Dobrą wolę? – Zarechotał, jakby to było przezabawne. – Androssowi Guile nie brakuje woli, zaręczam, ale niewiele znajdziesz w niej dobra.

Kaprysy wielkich niszczyły życie tych, którzy się pod nimi mozolili. Zwracanie na siebie ich uwagi zawsze jest ryzykowne. Teia była zgubiona.

– Oczywiście masz rację – powiedział pan Sharp. – Logicznie rzecz biorąc, istnieje taka możliwość. Będziesz musiała rozważyć tego prawdopodobieństwo. Na razie radzę ci się nie wychylać. Przekażemy ci rozkazy już wkrótce. Jedno proste zadanie i będziesz wolna. Wybacz, pozwól, że się poprawię: jedno proste zadanie, jedno spotkanie potem, jeśli sprawisz się dobrze, bo moi przełożeni zechcą osobiście rzucić kostką, decydując, czy cię zwerbować. – Podeszedł do drzwi. – Przemyśl dobrze wszelkie koszty pochopnego działania. Masz taki potencjał. – Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Ostatnie, co Teia zobaczyła, to znak na plecach jego płaszcza, nocny łowca, sowa z rozłożonymi skrzydłami, rozwartymi szponami, niemal niewidoczna, wyszyta czarną nicią na czarnym materiale.

Zerwała się na równe nogi i pobiegła do drzwi, po drodze zrywając z haka na ścianie sztylet. Położyła rękę na zasuwie, żeby otworzyć drzwi z impetem i... zamarła.

Sekundy upływały. Otwórz drzwi, Teia! Biegnij za nim i wbij mu ten sztylet w plecy!

Zamknęła drzwi. Klapnęła ciężko na łóżko. Ciężar maleńkiej fiołki z oliwą ciągnął ją w dół niczym kotwica. Znowu była niewolnicą, kiedy wolność znajdowała się już tak blisko. To gorsze niż śmierć. Wsunęła się pod przykrycia i zwinęła w kłębek. Jednak nie płakała.

Z oczu coś jej ciekło, ale przecież nie płakała. Niech to lichy.

ROZDZIAŁ 11

Wiosłowanie. Ból stał się albo znośny, albo tak znajomy, że już nie był w stanie zatrzymać uwagi Gavina.

Dziesięć dni po tym, jak za pomocą kuli z muszkietu Artylerzysta usunął gniazdo nasienne z jabłka w ustach Gavina, bębniarze zagrali dziwny rytm w odpowiedzi na jakieś rozkazy, których niewolnicy nie słyszeli.

Gavin zerknął na towarzyszy przy wiosle.

Niczego nie spodziewał się po mężczyźnie obok, Orholamie. Przewisko zawdzięczał swojemu numerowi, siódemce, ale Gavin powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, że angarscy niewolnicy wykazywali mroczniejsze poczucie humoru, nadając przewiska. Siódemka promieniuje dobrocią, ale prawie nigdy nic nie mówi, a kiedy już mówi, jego słowa rzadko są pomocne. Właśnie z powodu tych cech nadano mu przewisko Orholam – pomysł tak bluźnierczy i pozbawiony szacunku, że Gavin, jako Najwyższy Luksjat i głowa kultu Orholama na świecie, śmiał się przez bite dziesięć minut, kiedy w końcu to zrozumiał.

Prawie otrząsnął się z ataku śmiechu, kiedy Kukurwa go sklął i wtedy zrozumiał również jego przewisko. To zaowocowało kolejnym napadem śmiechu.

Nadzorczyńi Chłosta wykorzystwała wreszcie swoją znacznie bardziej oczywistą imienniczkę, żeby go uspokoić.

Wiosłowanie. Ból można by skatalogować, ale nawet katalog był nużący. Inni wiosłarze byli znacznie ciekawszy niż otarcia, pęcherze, kurcze i nadwężenia mięśni.

Kukurwa był bardziej pomocny od Orholama, nawet bardziej wygadany. Gavin słyszał, że żeglarze nieustannie przeklinają, ale tak się tylko mówi. Kukurwa miał coś z głową i strumienie przekleństw płynęły z jego ust bez jego woli, dzień i noc.

Wyszczrzył zęby do Gavina.

– Bitwa – powiedział. Odchrząknął. Tik szarpnął kilka razy jego zuchwą i szyją. – Dają nam znać, żebyśmy wykorzystali naszą siłę, kiedy będziemy musieli. – I powrócił do przeklinania pod nosem, jakby to przynosiło mu ulgę.

– Odepną nam łańcuchy? – zapytał Gavin, wiosłując i wiosłując. – No wiesz, na wypadek gdybyśmy zaczęli tonąć?

Żartował. W pewnym sensie.

– Zwycięstwo albo śmierć! – krzyknęła Chłosta.

– Wiosłuj do diabła! – odkrzyknęli niewolnicy.

– Podrap po grzbiecie Czarnego Jacka! – krzyknęła.

– Wiosłuj do diabła!

– I z powrotem! – krzyknęła.

Pociągnęli mocniej, zgodnie z rytmem bębnow.

– Ciągnąć! – pokrzykiwała w rytm ich wysiłków.

– Do diabła i z powrotem!

– Ciągnąć!

Po niecałej minucie już lecieli ponad falami. Nadzorczyńni pobiegła na górę. Po chwili wróciła.

– Zbliżyliśmy się na trzy mile. Wiatr nam nie sprzyja. Dwadzieścia minut, jeśli nie przestaną uciekać. – Zarechotała. – Trójka, Czwórka i Piątka, jeśli nie schowacie całkowicie wiosł przed zderzeniem, każdy oberwie pięć razy.

– Musisz ostrzec nas dostatecznie wcześniej – gderał Trójka.

Gavin spodziewał się, że za to oberwie, ale nadzorczyńni była w dobrym humorze.

– Jaki to statek? – zapytał Trójka.

– Abornejska galera.

Pomruki. Zła nowina.

– Jak wyładowana? – zapytał ktoś inny.

– Siedzi wysoko.

Przekleństwa. Jeśli abornejski kapitan zna się na rzeczy, pościg sprowadzi się do kwestii, którzy niewolnicy są w lepszej formie... albo są bardziej zmotywowani. Motywacją przeważnie jest bat. Fakt, że statek ma małe zanurzenie, oznacza, że popłynie szybciej niż zwykle i że galera nie ma pełnego ładunku, który będą mogli złupić, jak ją dorwą. To najgorsze wieści z możliwych dla załogi.

– Rybki gotowe pływać?! – krzyknęła Chłosta.

– Prosto do diabła i z powrotem! – odkrzyknęli, ale w ich tonie było zdecydowanie mniej entuzjazmu.

– Ciągnąć! – krzyknęła.

W pewnym momencie bębny przyśpieszyły.

Gavin mozolił się przy wiosłach. Przy każdym ruchu wiosłarze wstawali, kiedy ciągnęli i siadali przy odepchnięciu, i tak w kółko. Angarczycy dodali drobiazg, o którym jeden z wiosłarzy, który był wcześniej galernikiem na ruthgarskim statku, powiedział, że nigdy o nim nie słyszano na Morzu Lazurowym – pochyłe oparcie dla stóp, ułatwiające niewolnikom wykorzystanie całej siły nóg przy wiosłowaniu. Mówił, że to pomaga. Dzięki

temu byli szybsi, pomyślał Gavin.

– To wyścigowce! – zawołała wesoło Chłosta. – Zobaczymy, czy zdołają nas prześcignąć, chłopcy!

Utrzymali szybkość.

Dwie minuty później znowu zesła.

– Doganiamy ich. Nie ma mowy, żeby nam się wymknęli.

Słaby radosny okrzyk przetoczył się wśród niewolników.

– D-d-dwie m-miarki mocnego w-wina dla pierwszych sz-sześciu ławek dziś wieczorem!

– powiedział Kukurwa. Zaklął dwanaście razy, na głos, jakby powstrzymywał przyływ przekleństw, żeby wypowiedzieć całe zdanie. – Albo śmierć! – Roześmiał się.

Tylko dla pierwszych sześciu ławek, więc mężczyźni z dalszych mieli powód, żeby dobrze się zachowywać w nadziei na awans. To była jedna z wielu angarskich tradycji, które Artylerzysta zachował po przejęciu statku i załogi. Znali najróżniejsze sposoby motywowania niewolników. Gavin zastanawiał się, czy Angarczycy byli bardziej przyzwoitymi ludźmi, sprytniejszymi, czy po prostu brakowało im niewolników.

Karris, mozę się między szaleńcami i mordercami.

Czyli prawie jak w domu, co? – odpowiedziała pytaniem w jego myślach.

Tak bardzo ją kochał.

Karris, nie wyręczyłabyś mnie na chwilę przy wiośle?

Chciałabym, kochany.

Widział, jak jej twarz krzywi się z litości, i ten obraz przeszył go do głębi. Czym był teraz? Brudny, spocony, śmierdzący, brodaty, ostrzyżony, służył na statku niewolniczym. Zamrugnął, odpędzając obraz. Skupił się na wiośle.

– Leonus, wody – powiedziała Chłosta. – Nie chcę, żeby teraz ktoś mi zemdłał.

Leonus był żeglarzem o pokrzywionych plecach i wiecznym szyderczym uśmieszku, który miał czarną skórę Ilytanina, ale ani śladu ilytańskiego akcentu. Golił szorstkie włosy na bokach głowy, a reszcie pozwalał rosnać w splątanej koronie. Myślał, że niewolnicy nienawidzą go z powodu jego ułomności, więc wyżywał się na nich przy każdej sposobności, dając im mnóstwo prawdziwych powodów do nienawiści. Przechodził między nimi z kubkiem na długiej rączce. To zadanie wymagało dużej zręczności – podawanie wody komuś, kto nieustannie wstaje, siada, rusza się, rusza, rusza, przy długim wiośle i rozlicznych rękach co rusz wchodzących w drogę. Leonus wykorzystywał każdą okazję, kiedy myślał, że nadzorczy nie patrzy, żeby zamachnąć się kubkiem w twarz niewolnika, rozbić komuś wargi i czasem połamać zęby. Jednak galernicy tak rozpaczliwie potrzebowali wody, że woleli to, niż się odwrócić. Leonus należał do tego typu gnid, które to najbardziej cieszyło.

W dawnym życiu Gavina jednym z największych brzemion przywództwa było wynajdowanie i usuwanie takich ludzi z wszelkich porcji dowodzenia. Jakikolwiek krótkoterminowe korzyści płynące ze wzbudzanego strachu ostatecznie niszczyło to, że odbierał ludziom morale i wszelką chęć do przejęcia inicjatywy.

Gavin usłyszał trzask bata i krzyk Leonusa za plecami. Chłosta ryknęła:

– Nie pogrywaj z nimi, Leonus! Masz pilnować, żeby moi chłopcy wiosłowali, bo przeszoruję ci tyłek pąklami z kadłuba. Słyszysz?

Nawet Orholam wyszczerzył wtedy zęby, lecz gdy Leonus dotarł do ich ławki, każdy niewolnik pilnował, żeby mieć spokojną twarz. Chłosta była szeroka jak morze, obrzydliwa jak latryna i miała więcej tatuaży niż czterech żeglarzy razem wziętych, a Leonus bał się jej słusznie. Zdeformowany mężczyzna szybko podał im wodę, nie kryjąc nienawiści.

Kiedy zwiększyli tempo, niewolnicy zaczęli się mocno pocić, a na wiecznie skwarnym i wilgotnym pokładzie zrobiło się jeszcze goręcej i bardziej duszno. Jeden niewolnik krzyknął z powodu skurczu w nodze i padł. Jego towarzysze starali się utrzymać tempo bez niego.

Chłosta natychmiast go dopadła i zaczęła bezlitośnie okładać biczem. Po sześciu może ośmiu uderzeniach, rozpięła mu kajdany i cisnęła go w przejście. Na jego miejsce zapędzono numer dwa.

Nadzorczyńni sprawiała wrażenie zadowolonej z tego, że nie zwolnili. Wędrowała przejściem, sprawdzając, czy nikt nie zdradza oznak wyczerpania. Gavin słyszał krzyki niewolnika i trzask bicia, uderzenia pięści i stóp o ciało. To było szaleństwo bić człowieka za coś, nad czym nie miał kontroli, i przez kilka długich pociągnięć wiosłem zastanawiał się, dlaczego poza tym rozsądna kobieta robi coś takiego.

Ach, brutalność zapobiegawcza. Zbij człowieka, który nic nie poradzi na kurcz, żeby inni nie udawali skurczy dla chwili odpoczynku.

Niesprawiedliwe, ale pewnie skuteczne. Gavin nie wiedział, czy podziwia, czy raczej nienawidzi za to Chłosty.

Drzwi z głównego pokładu dwa poziomy wyżej uchyliły się, wpuszczając dzienne światło na mokre od potu schody. Nadzorczyńni wspina się po stopniach i Leonus zajął jej miejsce na dole, żeby powtórzyć rozkazy, jeśli Chłosta jakieś wykrzyczy.

– Sto kroków! Żadnych skrętów! – krzyknęła nadzorczyńni.

– Sto kroków! – wrzasnął Leonus. – Bębniarze na miejsca!

Nikt nie wyjaśnił Gavinowi, co powinien robić ani co się dzieje po którym rozkazie, ale drugi bębniarz dołączył do pierwszego, dodając głośny, głuchy rytm do poprzedniego. Wybijał dokładnie takie samo tempo, ale stał przed niewolnikami przy bakburcie.

– O, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, słuchaj naszego bębniarza, nie ich – wyjaśnił

Kukurwa. – W ostatniej... – Na chwilę porwały go przekleństwa i pochrząkiwanie. Kukurwa był coraz bardziej sfrustrowany, że nie może normalnie mówić. Wreszcie mu się udało: – W ostatniej chwili chowamy wiosła. Po sp-sp-sprincie, rzecz jasna.

– Zwrot na bakburtę, siedemdziesiąt kroków! – wrzasnęła nadzorczy.

Stłumiony huk kolubryny na dziobie Wrednej Szkapy wstrząsnął pokładem jak cios w pierś. Krzyki na pokładzie w górze. Tupot. Wystrzał z muszkietu, a potem wrzask Artylerzysty. Nie pozwoliliby, żeby ktokolwiek na pokładzie strzelał na taką odległość. Nie zaufałby nikomu prócz siebie, że trafi w cel z tak daleka.

Gavin zacisnął zęby, nogi mu dygotały, ręce płonęły, pot zalewał mu oczy. Przy tym tempie galernicy prawie nie dotykali tyłkami ławek.

Wysoki, głośny huk rozległ się z jakiegoś muszkietu, którego Gavin nie potrafił umiejscowić, ale brzmiał zupełnie inaczej niż... Och, to musiał być muszkiet Artylerzysty.

Wredna Szkap obróciła się na sterburtę. Gavin zorientował się, że pewnie próbują ustawić się tuż za rufą drugiej galery, uniemożliwiając jej salwę burtową. Uda im się tylko wtedy, jeśli ich statek będzie znacząco szybszy.

– Sterburta, tempo bitewne! – krzyknęła Chłosta.

– Sterburta, tempo bitewne! – ryknął Leonus.

Bębniarz po prawej stronie przyśpieszył, wybijając trzy uderzenia w czasie dwóch po lewej. To sprawiło, że Wredna Szkap zaczęła skręcać na bakburtę, prawie nie tracąc przy tym prędkości.

– Obie burty tempo bitewne! – krzyknęła Chłosta.

– Obie burty tempo bitewne! – ryknął Leonus.

Pędzili po falach, wkładając wszystkie siły w każde pociągnięcie wiosłami. Nie było już zaśpiewów. Mężczyźni nie mieli dość oddechu.

Skwar był nie do wytrzymania. Gavin słyszał trzask bicia, ale jego własny świat ograniczył się do bólu w ramionach i w płucach, i w nogach, i w plecach, i w łydkach, i w rękach...

– Na mój znak, schować wiosła na bakburcie! – wrzasnęła nadzorczy.

Zanim Leonus zdążył powtórzyć rozkaz, nadzorczy krzyknęła:

– Teraz!

Bębniarze trzy razy załomotali i gwałtownie przerwali.

Wioślarze pchnęli wiosła w dół, wyciągając pióra z wody, a potem wciągnęli je do środka, ręka za ręką, aż schowały się całe, dzięki czemu nie połamią się w czasie zderzenia.

Przez chwilę, kiedy bębny milczały, niewolnicy z trudem łapali oddech i wszyscy szykowali się na wstrząs, nie było słyhać niczego poza spokojnym szumem fal.

A potem rozpętało się piekło.

ROZDZIAŁ 12

Kip przez godzinę szedł bosy plażą, zanim dorobił się pęcherzy na stopach. Szedł mimo pęcherzy pół godziny, zanim mu popękały i zaczęły krwawić. Szedł mimo krwawienia niecałą minutę, zanim dotarł do niego oczywisty fakt.

Klapnął ciężko na piasek i westchnął. Od ilu miesięcy już krzesał? Chromeria uczyła, że nie powinno się w pierwszej kolejności myśleć o krzesaniu jako sposobie rozwiązania swoich problemów, ale całkowicie się myliła.

Magia była użyteczna we wszystkim. Tyle, że jej używanie zabijało. Zawsze powinieneś pomyśleć o tym w pierwszej kolejności. Potem zdecydować, czy kropelka śmierci jest tego warta.

W pewnym sensie na to samo wychodziło, pod warunkiem, że człowiek pomyśli o tym, zanim wykrwawi się na śmierć na jakiejś plaży w odległym zakątku satrapii, ponieważ jest tak skończonym durniem.

Posługując się zielenią koron drzew w dżungli wykrzesał zieloną, elastyczną podeszwę do chodzenia, pomyślał chwilę i wykrzesał całe buty z zielonego luksynu. Ponieważ stopy już mu krwawiły, zostawił otwartą łączność między stopą a najbardziej spodnią warstwą podeszwy, dzięki czemu był w stanie natychmiast zmieniać jej przyczepność. To było bliskie wykorzystywania magii w taki sposób, że stawała się częścią twojego własnego ciała, bliskie wcielenia. Jednak nie było preceptorów. Kip ruszył, poprawiając buty tak długo, aż był z nich zadowolony i starając się zapamiętać projekt, na wypadek gdyby znowu ich potrzebował.

Wszyscy krzesiciele tak robili, zdał sobie sprawę. Wpadali na użyteczne projekty i zapamiętywali je, żeby potem szybko z nich skorzystać. Rzecz w tym, że głupki wymyślały buty, podczas gdy erudyci ślizgacze. Liczba projektów, jakie możesz wymyślić w miarę jak rozszerzają się twoje kolory, musi rosnać wykładniczo. Czy Gavin Guile nauczył się na pamięć tysiąca projektów, czy też pojmował magię tak głęboko, że nie musiał uczyć się ich na pamięć? Po prostu tworzył to, co miało sens. Tak samo jak nie trzeba myśleć o tym, w jaki sposób wchodzisz po schodach, które są nieco bardziej strome niż te, do których przywykłeś. Po prostu idziesz.

Im więcej Kip dowiadywał się na temat magii, tym bardziej był pod wrażeniem tych, którzy korzystali z niej pomysłowo.

Z drugiej strony, sam kiedyś przemienił się w golema, czysto instynktownie.

Masz potencjał, Kip.

A wiesz, co znaczy potencjał? – zadał sobie w myślach pytanie.

– Że jeszcze niczego nie dokonałem.

Właściwie to było wręcz pocieszające usłyszeć własny głos.

Szedł dalej. Niezależnie od tego, czy dzięki wiosłom, czy żaglom, galery potrafiły przepłynąć trzydzieści pięć do czterdziestu pięciu mil dziennie. Większość mogła płynąć tylko cztery dni, zanim musiały uzupełnić zapasy. W miarę jak galer było coraz mniej – zastępowały je statki o dalszym zasięgu – wiele przybrzeżnych miasteczek, które żyły z ruchu galerowego, teraz z trudem się utrzymywało. Wymrą w ciągu pokolenia lub dwóch, ale jeszcze nie zniknęły. Zatem w najgorszym wypadku jakieś miasto musiało znajdować się w promieniu stu osiemdziesięciu mil.

Zakładając, że nie wylądował dokładnie między dwoma miasteczkami, Kip z pewnością natrafi na to bliższe, jeśli pójdzie we właściwym kierunku. Jednakże płynął wcześniej z przepaską na oczach. Najbliższe miasteczko mogło znajdować się parę mil na południe, podczas gdy on szedł na północ.

Oczywiście, pomiędzy też powinny znajdować się małe miasteczka, tak jak ta rybacka osada tak blisko czubka Półwyspu Ruckiego, gdzie wieloryby oszalały, i ludzie też.

O ile wszystkie miasteczka nie zostały opuszczone przez ludzi bojących się nadciągającej armii koloraków, bo wtedy może iść aż do śmierci i...

To nie pomaga, Kip.

Był głodny. Nie myśl o tym. Myśl o wszystkim innym.

W najgorszym wypadku Kip był w stanie przejść dwadzieścia pięć mil dziennie, więc w siedem dni powinien dotrzeć do miasteczka. W najgorszym. Da radę. Potrzebował tylko wody. Może przeżyć na własnych zapasach tłuszczu naprawdę długo, teoretycznie, chociaż będziesz szedł coraz wolniej, w miarę jak będzie słabł. Złapał się na tym, że w myślach przesuwając koraliki liczydła, wyliczając sobie to wszystko. Zabawne, to pomagało.

To znaczy pomagało mu w obliczeniach. Bystrzejsza osoba pewnie wyłączyłaby mózg i szła. Kip zawsze był tak dobry w odcinaniu myślenia, jak był dobry w trzymaniu gęby na kłódkę.

Matka zawsze mówiła, że te dwie rzeczy łączy u niego prosta rura.

Zakładał, że może przejść dwadzieścia pięć mil dziennie. Tu, na czystych plażach, wydawało się to całkowicie prawdopodobne, ale Kip wiedział, że istnieją też inne rejony wybrzeża, skaliste, gdzie morze było obwiedzione klifami albo dzungla przylegała niemal bezpośrednio do linii brzegowej. Cypel wychodził na całe mile w morze. Jeśli Kip będzie dokładnie trzymał się wybrzeża, pokona znacznie więcej niż sto osiemdziesiąt mil, jakie

przemierzał statek między miasteczkami. Jeżeli nie będzie się trzymał wybrzeża, zaryzykuje, że zgubi się w nieznannej dżungli czy lesie.

Przez kilka minut skupiał się na oddychaniu. W gardle go ścisnęło, na piersi czuł ciężar, który próbował go przydusić.

Kip nie przestał jednak iść. Jego umysł zaciął się na odmowie stanięcia, jak szczęki buldoga. Był żółwio-niedźwiedziem, a żółwio-niedźwiedzia nie da się powstrzymać. Co najgorszego może się stać? Mógł zawieść? Zawiodł już wiele razy. Mógł umrzeć? Mnóstwo razy był o włos od śmierci. Czasem to było przerażające, czasem straszne, czasem emocjonujące i często nie miało się nad tym żadnej kontroli, bez względu na to, co zrobiło się dobrze, a co źle. Nie zatrzymujesz się i nie sprawiasz, że śmierć staje się pewnikiem, tylko dlatego że parcie przed siebie może doprowadzić do twojej śmierci. Kip był grubym żalonym rozczarowaniem, ale nie poddawał się łatwo.

Nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu. Grube żalony rozczarowanie, które – chociaż należałoby tu dodać sporo uściśleń – zabiło króla, uratowało Pryzmata, zabiło boga. Nieźle jak na grubasa. Do diabła, raz nawet przechytrył Androssa Guile.

To dziwne, że uznał przechytrzenie Androssa Guile za rzecz bardziej imponującą niż zabicie boga.

Jednakże w przypadku boga Kip miał poczucie, że sprzyjało mu szczęście albo że Orholam szukał właściwego narzędzia, by zachować Pryzmata przy życiu, a nie znalazłszy niczego lepszego, wybrał Kipa, bo znajdował się najbliżej.

Kip przystanął.

Traktuję siebie naprawdę w gówniany sposób, pomyślał. Nigdy w życiu nie pozwoliłbym, żeby ktoś w taki sposób traktował mojego przyjaciela.

Godzinę później znalazł strumień. Napił się, mając nadzieję, że woda jest dobra. Prawda była taka, że nie miał wyboru. Powoli wypił więcej, odczekał i sprawdził, czy nie zacznie wymiotować, a potem napił się jeszcze trochę. Wstał, żałując, że nie ma bukłaka.

Zauważył swoje buty z zielonego luksynu. Rety, gdyby tylko potrafił zrobić bukłak!

Westchnął i wykrzesał zieloną torbę. Magia pierwsza, magia zawsze, Kip. Nabrał sporo wody, a potem uginał zielony luksyn, aż ułożył mu się wygodnie na plecach. Wykrzesał ramiączka i pas.

Magia. Taka użyteczna, po prostu... magiczna.

– Od gadania z tym wariatem całkiem mi się pomieszało w głowie! – powiedział Kip.

Zabawne. Człowiek wie, że jest skończony, kiedy zapomni, że to ma być ironiczne.

Idąc, uznał, że mógłby nadrobić zaległości w practica, które go ominęły. Niestety, na obecnym poziomie szkolenie czarnogwardyjskie sprowadzało się niemal wyłącznie do walki wręcz, zgodnie z założeniem, że to stanowi fundament dla całego ich późniejszego

treningu. Na statkach płynących na Półwysep Rucki nauczono ich podstawowych chwytów i cięć w szermierce oraz ładowania muszkietu. Inni kadeci Czarnej Gwardii już to wszystko znali. Niektórzy z nich od lat ćwiczyli walkę z bronią. Niektórzy biegle radzili sobie z łukami lub inną bronią, którą Kip miał właściwie pierwszy raz w ręku. Był daleko, daleko w tyle.

Ale potrafię zamienić się w zielonego golema.

A ile dobrego mi to dało.

Miał wrażenie, że wybrzeże odgina się ku cyplowi, ale obserwując tylko słońce, nie miał dość danych, żeby potwierdzić to podejrzenie. Jego kumpel z klasy, Benhadad, powiedział raz, że nauczył się krzesać sekstans, żeby nigdy się nie zgubić. Oczywiście, nadal był potrzebny kompas i chociaż można wykrzesać obudowę i ośrodek, w którym pływa kawałek kamienia filozoficznego, to nie istnieje nic takiego jak magnetytowy luksyn. Pewne rzeczy nadal trzeba robić w tradycyjny sposób.

Łatwe czy trudne – Kip nie posiadał żadnych umiejętności, które mogły go ocalić. Oto cena przegrania jednej z partyjek Dziewięciu Króli – dziadek zabronił mu brać udział w practicum.

Kip próbował intuicyjnie dojść do tego, czego inni uczyli się od pokoleń. No i? Jestem geniuszem magii czy nie?

Czekaj! Czemu zawracam sobie głowę sekstansami, kompasami i bukłakami? Powinienem zrobić ślizgacz. W końcu widział, jak to się robi. Nawet pomagał jeden napędzać.

Jednakże porażka w przypadku tak skomplikowanego urządzenia jak ślizgacz może sprawić, że Kip wyląduje pośrodku morza, bez wyjścia. Mógłby dryfować, ale nie dotrze w ten sposób do Wielkiego Jaspisu, a gdyby spróbował posłużyć się sztuczką Gavina z odrzutowym pływaniem, halo by mu pękło, zanimby przebył połowę drogi.

Potrafię krzesać te wszystkie kolory. Jakbym dysponował skrzynką z wszelkimi wyobrażalnymi narzędziami i był za głupi, żeby z nich skorzystać.

Może nie tyle za głupi, ile nieprzygotowany, podpowiedział zyczliwszy głos w jego głowie.

Taka była prawda. Nie obwiniasz dzikusa za to, że nie potrafi czytać.

Ale też nie powierzyłbyś mu swoich listów.

Światło zaczęło słabnąć i Kip skupił się na innych problemach. Znalazł kawałek czystej plaży, sam skraj, gdzie palmy zapewniły osłonę. Zdjął plecak z wodą. Patrząc na ciemniejące niebo, zebrał dość błękitu, żeby wykrzesać pudełko z dziurą na górze z niebieskiego luksynu. Potem, stojąc na plaży i patrząc na tonące słońce, zebrał tyle czerwieni, ile zdołał, cierpliwie i powoli. Namiętność czerwieni przepłynęła przez niego, ale

zignorował ją i zwyczajnie zapełnił niebieskie pudełko. Napełnił je całe czerwonym luksynem w postaci zwanej ogniozelem.

Nie myślał zbyt przytomnie i kiedy pudełko się napełniło, słońce nie dawało już dość żaru, żeby Kip uzyskał podczerwień. Musiał rozpalić ogień ręcznie. Potrzebował pół godziny, żeby znaleźć w słabnącym świetle kamień, który wyglądał na krzemień.

Przez kolejne pół godziny uderzał o siebie kamieniami. Żadnych iskier. Chciało mu się krzyczeć. Podciągnął spodnie i usiadł, trąc twarz. Zacisnął mocniej pasa i zobaczył, że minął ostatnią dziurkę – bardziej pasa nie dało się zacisnąć. Niecałe pół roku temu zapinał się na pierwszą, najluźniejszą dziurkę, modląc się, żeby nie utył bardziej, bo nie wiedział, skąd weźmie pieniądze lub skórę na nowy pasek. Pozostałe elementy stroju dostarczyła mu Chromeria, ale wyrzucenie paska wydawało mu się marnotrawstwem. Poza tym dała mu go matka w czasie jednego z krótkich okresów trzeźwości.

Kip zdjął pasek. Jeden z krzemieni miał ostry koniec, którym może da się zrobić nową dziurkę.

Spojrzał na sprzączkę. Metalową sprzączkę. Gdyby mógł przywalić swojej głupocie, okładałby ją do Dnia Słońca. Kip podrapał sprzączką o znaleziony krzemień i – cud nad cudami – pojawiła się iskra. Zapalił ogniozel bez kłopotu. Ładnie płonął. Kip usiadł i przyciągnął do siebie bukłak. Gwiazdy wschodziły. Może woda złagodzi trochę głód.

Bukłak z zielonego luksynu był zapieczętowany. Kip nie wykrzesał sposobu otwierania. Gdyby miał światło, wykrzesałby jeszcze trochę zieleni, zwyczajnie otworzyłby zielony luksyn i zamknął z powrotem. A on potraktował bukłak jak zwykły przedmiot.

Chciało mu się płakać. Albo krzyczeć. Albo wpaść w szal. Zamiast tego w końcu wydrapał dziurę w bukłaku ostrym krzemieniem. Trzymając bukłak nad głową, pił ciepłą wodę, aż się nasycił.

Lampa Kipa zamigotała i zgasła, kiedy ogniozel wypalił się poniżej poziomu dziury. Bez knota, który wyciągałby żel na powietrze, ogień obumarł. Oczywiście, Kip mógł stłuc lampę z ogniozelem. Luksyn nie był gruby. Jednak wtedy ogniozel wypaliłby się w jakieś pół godziny. Gdyby Kip miał okulary, mógłby wykorzystać światło ogniska, ale ich nie miał. Zostały na statku. Nie założył sakiewki z okularami w noc, kiedy Gavin prawie zginął.

Gavin wziął na siebie cios tamtym sztyletem. Kip już wtedy myślał, że Gavin go lubi, a probuje, jak się a probuje dobrze wyszkolone zwierzę. Zdrowy na umyśle człowiek mógłby narazić się na niebezpieczeństwo, żeby ratować psa, ale tylko idiota zginąłby za psa, prawda? Gavin Guile nie był idiotą. Znał swoją wartość w ogólnym planie wydarzeń, a sprawy układały się dla niego idealnie – właśnie ożenił się z Karris, dopiero co zamienił miażdżącą porażkę, którą ponieśli z rąk Księcia Barw, w zwycięstwo, chociaż dość

wątle. Kip dostrzegł to w jego oczach, gdy ujawnił, że Andross jest czerwonym kolorakiem, i rzucił się do ataku. Gavin wiedział. Wiedział o swoim ojcu. To go nie zaskoczyło. Trzymał tę kartę w ręku, żeby zagrać nią we właściwym czasie. A Kip wykrzyczał to światu, Kip Pyskacz, który mówi dokładnie to, co myśli, mówi bez zastanowienia i naraża na niebezpieczeństwo plany, których nie jest w stanie zgłębić.

Jednakże Gavin wiedział też – w tamtej chwili Kip to dostrzegł – kiedy się przepychali, czterej mężczyźni walczący nad dwoma ostrzami, że Kip nie ma szansy obronić się przed Androssem i Grinwoodym. Czego Kip nie widział, ale teraz pojmował, to że przy sposobie, w jaki ich ręce się przeplatały, jedyny kierunek, w którym Gavin mógł szarpnąć nóż, unikając blokady, to ku sobie. Zrobił to celowo. Oczywiście nie nabił się na ostrze, nie był samobójcą, ale kiedy nóż zmienił kierunek, Grinwoody i Andross natychmiast pchnęli mocniej, nie wiedząc, nie będąc w stanie zatrzymać się albo nie troszcząc się o to.

Dlaczego Gavin ratowałby mnie, wiedząc, że zapłaci za to własnym życiem?

Gavin oddał za mnie życie. Sam Pryzmat, najlepszy Pryzmat od stuleci, może w całej historii. Co to znaczyło? Co to mówiło o wartości Kipa?

Ta myśl była zbyt wielka. Emocje wzbierające za nią zbyt przerażające. Kip był zagubionym dzieciakiem, którego matka zamknęła w szafie pełnej szcurów i o nim zapomniała. Nie był...

Łza spłynęła mu po policzku i uderzyła o wystający brzuch. Skąd to się wzięło?

Otarł łzy brudną ręką i wziął się w garść.

I co, u diabła, stało się właściwie z tamtym nożem? Oślepiający Nóż, tak nazwał go Andross Guile. Nóż, który nie zabił Gavina, ale zamiast tego w nim urósł. I jakim cudem moja matka zdobyła coś takiego?

To było lepsze, bezpieczniejsze, wymagające wysiłku intelektualnego. Kip mógł o tym myśleć. Jednak niezbyt długo, jak się okazało. Był wyczerpany. Nie wykrzesał sobie siennika do spania, koca – da się zrobić koc z luksynu? – ani żadnej koszuli. Nie przygotował sobie też żadnego zwykłego pośłania, dzięki czemu spałoby mu się wygodniej. Oderwał wierzchnią część lampy z niebieskiego luksynu i wykrzesał do środka iskrę.

Mój ojciec mnie kocha. Ze wszystkich ludzi właśnie Gavin Guile uważa, że jestem wart ratowania.

Luksyn zapalił się z hukiem i Kip poczuł fale ciepła odpierające chłód nocy. Ogień nie będzie płonął zbyt długo, ale Kip uznał, że do tego czasu zaśnie.

Miał rację. Kiedy tylko jego nagie ramię dotknęło piasku, zaczął śnić o zwierzętach i bogach.

ROZDZIAŁ 13

– Były Kapłan

– Wojna jest zawsze pretekstem do potworności – mówi mi Auria.

Wspięliśmy się dostatecznie wysoko, żeby nie widzieć już pochodni jeźdźców. Światło sączące się przez mgłę na przylądku jest słabe, ale narasta.

– Każdy, kto zabija Angarczyków, wykonuje pracę dla Orholama – odpowiadam.

– Darjanie, wszyscy są jego dziećmi, nawet nieposłuszni, a to, co planujesz, jest zakazane – odpowiada Auria.

Jej ciemne loki są pozlepiane krwią, twarz jej pobladła, tracąc zwykły mahoniowy odcień – mam nadzieję, że to wina słabego światła, a nie utraty krwi. Wiem, że to nie strach. Auria nigdy w życiu się nie bała. Istnieje setka powodów, dla których powinienem jej posłuchać. Sama Karris Wróg Cieni – wdowa po Lucidoniuse i jego następczyni – wyżej oceniała Aurię niż mnie w czasie naszego szkolenia. Jest starsza ode mnie. I mądrzejsza.

Za to ja jestem silniejszy.

– Nie cierpię czekać na światło – mówię.

Mam parę cudownych okularów Lucidoniusa, stworzonych jego własną ręką. Od jego śmierci można by uznać je za relikwie, zważywszy, jak wszyscy je traktują. Jednakże są dobrze zrobione, to trzeba przyznać.

I stanowią prawdziwą rewolucję. Oczywiście, już wcześniej ktoś wpadł na to, żeby wtopić rudy metali do płynnego szkła i w ten sposób je zabarwić, tyle że nikt nie potrafił uzyskać odpowiednio wysokiej temperatury ani odpowiednio czystych rud. Lucidonius rozwiązał te problemy, udowadniając, że jest geniuszem zarówno w magii, jak i w kwestiach niemagicznych. Był ogromnie irytujący pod tym względem, ale okulary wszystko zmieniły dla krzesicieli na całym świecie. Szlifierz soczewek z tego ich potężnego Lucidoniusa. Nie wspominając o masie innych rzeczy. Zmienił nasze życie na tysiąc sposobów. Porwał nas za sobą, jak wichura liście.

I zostawił potworny bałagan po przejściu tej burzy.

– Jak Duma jest pierwszym grzechem, tak Potęga jest pierwszą pokusą – recytuję.

Lucidonius tak nauczał i stał się potężny, potężniejszy od pogańskich kapłanów i proroków. Pogańskich kapłanów takich jak ja. Zaczynam krzesać.

Byłem kaptan formacji ahdar qassis gwardjan. Słowa Lucidoniusa w jakiś sposób zmieniły moje serce, ale nadal zastanawiam się, czy kiedykolwiek zmieniły mój umysł. A może było na odwrót. Jego słowa wystarczyły, żebym porzucił wygody, pozycję, swoje miejsce, prestiż, ale teraz, kiedy patrzę w stronę mojego nowego domu, gdzie bez wątpienia ulice spływają czerwienią krwi moich nowych sąsiadów i jedynych przyjaciół, myślę, że może Orholam nie zmienił mnie dostatecznie.

Każdy kolor pochodzi od Orholama, powiedział Lucidonius, trzymając pryzmat nad głową i nauczając o pokoju i braterstwie między kolorami i krajami. To miało sens dla wielu, ale chyba szczególnie dla takich jak ja, którzy potrafią krzesać więcej niż jeden kolor. W moim kraju zawsze wychwalano mnie za mistrzowskie opanowanie zieleni, ale posługiwanie się błękitem było potępiane przez bratnich qassisin. Nawet jeśli dzięki temu byłem lepszym gwardjan.

Może nic z tego nie miało sensu. Może Lucidonius miał tylko więcej racji niż ci, którzy go poprzedzali. Może to, co zamierzałem zrobić, nie było grzechem przeciwko Orholamowi, temu dziwnemu pustynnemu bogowi, który mieszka w niebie i wszędzie, niewidzialny, zamiast chadzać po ziemi jak przystało na porządnego boga. A może było. Będzie musiał mi wybaczyć, bo chociaż nie jestem już dłużej ahdar qassis gwardjan, nie mogę przestać być gwardjan. Oto kim jestem. Kim uczynił mnie Orholam, jeśli Lucidonius mówił prawdę.

Wciążam światło i moja zielona jinniyah już tam jest, znana mi jak twarze moich zmarłych żon – moich ukochanych żon, które musiały spłonąć dla odkupienia wstydu i zbrodni mojej apostazji.

– Tęskniłam – szepcze Aeshma na całej powierzchni mojej skóry, a jej dotyk to pieszczota.

Ja też za nią tęskniłem. Oczywiście, że tak. Ale ona to wie.

Spodziewam się, że będzie rozgniewana i wyniosła, by ukarać mnie za to, że odwróciłem się do niej plecami. Ona jednak jest na to za sprytna. Najpierw wbije we mnie swoje haki. Później mnie ukaze. Nie odwołuje też się do mojego libido, kiedyś tak potężnego, a teraz zdawałoby się, że martwego, odkąd 'Annaiah i Siana spłonęły. Zamiast tego czeka. Być może wyczytuje z mojej twarzy, że jedyna przyjemność, jakiej szukam, to przyjemność walki, czerwieni zemsty. Być może, mimo że upłynęło tyle czasu, nadal czuje mnie bezpośrednio.

– Uczyniłabym cię następnym wcieleniem Atirat – mówi z żalem. Kładzie dłoń na moim nadgarstku, kiedy zaczynam wylewać tamtędy luksyn. – Miałeś być bogiem.

– Demon w twoich oczach – odzywa się Auria – widzisz ją naprawdę czy widzisz ją taką, jaką ona chce ci się pokazać?

Przypomniałem sobie, jak Lucidonius pochylił pryzmat ku mnie, kiedy moja jinniyah

stała przed moimi oczami, wykrzykując mi bluźnierstwa do uszu. W nagłym zalewie innych kolorów pokazał mi, co kapłani innych barw widzą, kiedy na nią patrzą. W każdym innym kolorze Aeshma była grozą. Nic dziwnego, że inni qassisin kuluri walczyli z nami, nazywali nas czcicielami demonów. A potem Lucidonius obrócił lustro i w świetle obejmującym całe widmo ujrzałem, że nawet zieleń była cieniutką maską.

Aeshma nie była pięknnością. Była samą chorobą i brzydota.

Stłukłem pryzmat, stłukłem lustro, przeklinając Lucidoniusa za to, że rzucił na nie urok, że mnie oszukał, że pokazał mi kłamstwa. Jednak myliłem się. Później wykonałem tę samą sztuczkę, kiedy natrafiłem na inne dzinny na tyle głupie, by ukazać się w oczach swoich kapłanów. Pryzmat, jakim się posłużyliśmy, był zwykłym pryzmatem, lustro zrobiono ze zwykłego srebra i szkła. W końcu Dwustu nauczyło się, że możemy ich zdemaskować. Wymyślili wyrafinowane kłamstwa dla złapanych we wnyki, dlaczego w ogóle przestali się ukazywać – obwiniali skazę, jaką ściągnął na świat Lucidonius. A prawda była taka, że nie chcieli dać się tak łatwo zdemaskować.

Aeshma już nic nie mówi. Wiem, że była jedną z najważniejszych z Dwustu, prawie jedną z Dziewiątki. Nowe wcielenie Atirat nie rodzi się tylko dzięki temu, że jeden człowiek zwycięży wszystkich ludzkich rywali. Jego partnerka jinniyah musi także zwyciężyć wszystkich swoich rywali.

Zbroja otacza moje ciało. Zostawiam otwarty luksyn tylko przy stawach. Zbroja nie jest tak skuteczna i giętka jak ta, którą tworzyłem kiedyś, nie reaguje równie dobrze jak wtedy, gdy każdy por, każdy gruczoł potowy, każda cebulka włosowa była miejscem kontaktu. Wtedy pozwalałem, żeby moja jinniyah kontrolowała zbroję, przesuwała ją, reagowała na niebezpieczeństwo, którego nawet nie widziałem, by jej nieśmiertelna wola uzupełniała moją śmiertelną wolę. My dwoje stawaliśmy się jednym w sposób, jakiego nie mogłem osiągnąć nawet z żonami.

Krzeszę błękit, patrząc na jaśniejące niebo nad oprawką zielonych okularów. Niebieski jest dla mnie bezpieczny. Nigdy nie związałem swojej woli z błękitem. Dla mnie to tylko narzędzie, chociaż takie, które schładza moje namiętności. Moja jinniyah nigdy nie pozwoliłaby mi krzesać dużo niebieskiego. Była zbyt zazdrosna. Myślałem, że to zwyczajnie leży w jej naturze, ale teraz widzę, że potrzebuje mnie tylko dla siebie, jeśli chce wygrać z pozostałymi dzinnami. W dodatku Atirat, który nie jest czystą zielenią? Niemożliwe.

Jak Duma jest twoim pierwszym grzechem, tak Potęga jest pierwszą pokusą.

Zabawne, że Lucidonius mówi to w czasie terażniejszym, chociaż opowiada historię o stworzeniu. Nie mówi, że Duma była pierwszym grzechem. Dzięki temu to odnosi się do nas w równym stopniu, jak do Pierwszego Światła. Niezła sztuczka.

– Moje serce należy do ciebie, Darjanie, ale nie ocalę cię, jeśli nie pozwolisz mi sobie pomóc – mówi Aeshma.

Mówi głosem tak podobnym do głosu nieżyjącej 'Annaiah, że wiem, że nawet to ukradła. Cwana, cwana dziewczka.

– Nie możesz słuchać tego, co ona mówi, Darjanie – odzywa się Auria w zwykłym świecie słabnącym głosem. – Wiesz, że ona kłamie.

Wiem.

– Pokaż, że mogę ci zaufać – mówię na głos.

Mam nadzieję, że Auria pomyśli, że mówię do niej; mam nadzieję, że moja jinniyah pomyśli, że mówię do niej.

Światło jest już dobre. Zaczynam biec w stronę wioski. Inny kolor pewnie zakradłby się, mając nadzieję, że najeżdźcy śpią, wycieńczeni długą nocą pełną morderstw i gorszych rzeczy. Jednak zieleń działa inaczej. Moja jinniyah wyśpiewuje bitewną furie i żądzę krwi, a ja wiem, że zna mnie aż za dobrze.

Furia płonie nie tylko w czerwieni. Krzeszę dość niebieskiego, żeby dodać ostre brzegi do ciernistych mieczy, które wyrastają mi z rąk. Moje nogi pokrywają się luksynem, który chroni kolana, dodaje sprężystości każdemu krokowi, siły woli do każdego ruchu, pozwala mi skakać dalej niż śmiertelnikom, lądować bezpiecznie, biec szybciej niż szarżujący grizzly. Stałem się zwierzęciem.

Widzę martwych: młodą kobietę, Luzię Martaenus, leżącą na boku z głową rozłupaną jak jajko, po jej nabrzmiałym ciężą brzuchu przejechano tuzin razy. Jej młodsza siostra nie żyje, zabito ją bliżej miasteczka. Próbowaly razem uciekać. Ruy Garos leży zwrócony twarzą w stronę miasteczka, jego widły wylądowały w lepkiej kałuży krwi. Może próbował osłaniać ucieczkę Luzii? Zawsze kochał tę dziewczynę, chociaż wyszła za miejscowego pijaka.

Zwykle angarscy piraci traktowali ludzi z Miasta Atana jak uprawę. Plewili mężczyzn zdolnych do walki, odcinali kciuk prawej ręki młodzieńcom, żeby nadal mogli pracować i nadal mogli się mnożyć, zabierali najładniejsze kobiety na niewolnice i konkubiny. Wracali po kilku latach, odczekawszy dostatecznie długo, żeby ludzie nieco się wzbogacili, ale nie na tyle długo, by zgromadzili trochę sił i narobili trudności najeżdźcom. Oczywiście, piraci zabijali także tych, którzy ich irytowali. Czasem zabijali dla sportu. Czasem okaleczali dla zabawy. Ale to... To było coś innego. To była kara, masakra.

Wszyscy nie żyli. Widzę małego Gonzalo, przygłupiego syna kowala. Nabito go na pikę przez odbyt, czubek piki wychodził przez otwarte usta celując w niebo.

Wyję, budząc cały przeklęty obóz, a moja Aeshma znowu jest ze mną, wstrętna i piękna, chora dziwka. Jest równie brzydka jak to, co planuję, a moja dusza to niewielka cena za

zemstę. Czyni mnie potworem. Staję się zwierzęciem. Staję się bogiem. Zemsta należy do mnie.

ROZDZIAŁ 14

Galery się zderzają, potężny wstrząs sprawia, że połowa niewolników spada do tyłu z ławek. Jeden galernik krzyczy, gdy kajdany wrywają mu rękę ze stawu. Wredna Szkapa zanurza się w falach, uderzywszy w środek drugiej galery, a potem oba statki unoszą się i Wredna Szkapa zaczyna się przesuwać wzdłuż burty drugiego statku.

Wiosła drugiej galery, unieruchomione, pokrzyżowane i wyszarpnięte z rąk wioślarzy trzaskają jak podpałka, kiedy Wredna Szkapa skrobie wzdłuż jej kadłuba. Falkonety strzelają z głównych pokładów obu statków, muszkiety przerywają krzyki wściekłości, krzyki strachu i krzyki bólu.

Gavin wstał, chwytając się wiosła nad głową. Myślał, że jego udział w bitwie się już zakończył, ale Angarczycy inaczej załatwiali sprawę.

– W górę! – wrzasnęła Chłosta.

Ramię przebiła jej na wylot drzazga szersza niż kciuk Gavina. Wydawało się, że nawet tego nie zauważyła. Na brodę Orholama, była twarda.

– Do wiosła! Powalcie tych...

Przerwały jej huk i wybuch odłamków drewna. Kobieta zniknęła w nagłym ostrym świetle, kiedy działo wroga wyrwało dziurę w pokładzie, a zaraz za nim wpadł gęsty kłęb czarnego dymu, dusząc wszystkich siarką. Światło słoneczne przemieszało się z dymem. Huk ogłuszył Gavina. Był tylko świadom wiosła poruszających się w jego dłoniach.

Mrugając, łapiąc gwałtownie powietrze, kaszląc z powodu płonących oparów, pomagał towarzyszom przy wiosłach i powoli docierało do niego, co robią. Dźgali wiosłami – Kukurwa kierował, Orholam unosił, a Gavin głównie przeszkadzał.

Poprzez dym zobaczył niecałe pięć kroków od nich, na wodzie, kołyszące się postacie żeglarzy na drugiej galerze. Próbowali naprostować działa po zderzeniu. Naładowane działa. Celowali prosto w ławki galerników. Niewolnicy – a przynajmniej ci, którzy walczyli już wcześniej i nie byli ranni – posługiwali się wiosłami, żeby uniemożliwić żeglarzom odpalenie dział, nie dać im rzygnąć śmiercią na Wredną Szkapę.

Gavin pomógł Orholamowi i Kukurwie wbić wiosło w twarz Abornejczyka, która wyłoniła się z dymu. To był chłopiec okrętowy, mający nie więcej niż dwanaście lat. Chłopak padł ze zmiażdżoną twarzą, wolnopalny lont wypadł mu z ręki.

Kukurwa próbował wykrzykiwać rozkazy, ale z powodu presji sytuacji porwał go atak

przekleństw. Orholam miał najlepszy widok, więc Gavin dźgał i dźgał, próbując zorientować się, czego Orholam od niego chce, wkładając w ten wysiłek wszystkie malejące siły. Co rusz czuł, że wiosło wbija się z chrzęstem w coś miększego niż drewno.

Wiatr rozwiał dym na tyle, że Gavin widział sieci abordażowe zwieszające się w szparze między statkami, dostrzegł wspinających się ludzi. Wydawało mu się, że słyszy gdzieś śmiech Artylerzysty ogarniętego szaleństwem walki.

Druga galera była wyższa od Wrednej Szkapy, a Gavin widział, że jej wioślarze tłoczą się pod ławkami, kulą ze strachu, mając nadzieję, że piraci, którzy wejdą na statek, ominą ich. Niektórzy rzeczywiście mijali. Niektórzy cięli bezradnych niewolników w przelocie, zostawiając otwarte głowy, rozcięte ramiona, odcinając chude, słabe z wygłodzenia ręce. Bo mogli. Bo człowiek uwielbia zabijać.

– O, kurwa – powiedział Kukurwa.

– O, kurwa – zgodził się Gavin.

Kiedy dym się rozwiał, Gavin zobaczył dziewczynę, która wybiegła z jednej z kajut na drugiej galerze. Nosila męskie spodnie i kamizelkę, ale jej długie ciemne włosy unosiły się i rozsypywały, kiedy biegła. Chwilę potem pojawił się ten, kto ją ścigał. To był jeden z ludzi Artylerzysty. Jedną ręką trzymał w garści spodnie. Musiała dopiero co mu uciec.

Walcząca, drobna, zaciekła i niedoceniona przypominała mu Karris, kiedy po raz pierwszy się zakochali. To nie do przyjęcia, że ktoś mógłby...

– Jesteście ze mną? – zapytał Gavin towarzyszy przy wiosle.

Nie miał czasu czekać na ich reakcję. Młoda kobieta przebiegła obok, kierując się do dziury wybitej w galerze. Gavin i Kukurwa pchnęli wiosło. Orholam nim kierował. Trafili ścigającego ją pirata w szczękę. Padł, skręcając się w fontannie potu i zębów.

Młoda kobieta przebiegła obok. Kiedy biegła do szczeliny między statkami i ku morzu, na jej drodze znikąd pojawił się żeglarz. Nie zwolniła, nie zrobiła uniku. Zamiast tego przyspieszyła i wpadła prosto na chudzielca. Zderzyli się, a jej pęd sprawił, że oboje wpadli do morza. Zniknęli im z oczu.

Gavin spojrział na Orholama. Wyciągnął szyję najdalej jak zdołał, ale potem wzruszył ramionami. Niczego nie mógł wypatrzeć.

Walka trwała jeszcze przez kilka minut, ale wydawało się, że ich zadanie zostało wykonane. Zmagania przeniosły się na drugą galerę, a wyczerpani wioślarze Wrednej Szkapy zaczęli padać na ławki. Niektórzy wymiotowali. Gavin rozejrzał się za Chłostą. Nie było niczego prócz krwi, cała ławka galerników po stronie bakburty wraz z jednym niewolnikiem za przejściem została rozerwana na strzępy, w sterburcie widniała tylko dziura wylotowa po kuli. Zobaczył wytatuowaną rękę, która mogła należeć do Chłosty.

Przygarbiona postać Leonusa pokuśtykała do rozbryzanych szczątków.

– Bogowie są dobrzy – powiedział i zarechotał. – Dla niektórych z nas.

Pochylił się z bólem i coś podniósł. To był bat Chłosty, z dłonią nadal zaciśniętą na uchwycie w śmiertelnym skurczu. Leonus rozwarł palce i wyrzucił wytatuowaną rękę do morza.

– Wygląda na to, moi śliczni, że macie nowego nadzorcę. Chyba że chcecie iść w ślady poprzedniego?

ROZDZIAŁ 15

Kip stąpił ostrze upływających godzin krzesaniem. Emocjonalna burza krzesania różnych kolorów, kiedy słońce kuśtykało po kopule nieba, na jakiś czas go zajęła. Na kilka godzin. Dzień. Jednakże głód był bardziej przenikliwy niż luksyn.

Wola to nóż z ołowiu, ostatecznie ciało zawsze wygrywa.

Tego drugiego dnia bez jedzenia krzesał tylko to, co niezbędne. Naprawił już plecak, poprawił buty, wykrzesał osłonę dla spalonej słońcem skóry, kiedy uznał, że nie potrafi wymyślić, jak wykrzesać ubranie z luksynu.

Trzeciego dnia musiał zejść z plaży, bo dotarł do skalistego cypla pełnego grani i klifów. Poszedł dzunglą. Wspinając się na kopce korzeni, wchodząc na wzgórza, próbując nadrobić wcześniejsze próby nadrobienia nadłożonej drogi, zgubił się. Korony drzew odcinały światło, a jego własna głupota i wyczerpanie skwarem uniemożliwiły mu dokonanie czegoś więcej niż to, że znalazł strumień i położył się w nim.

Obudził się, kiedy coś otarło mu się o rękę. Siedziała na niej maleńka czarnopomarańczowa żabka. Skóra paliła go w miejscu, gdzie dotykał go jej brzuch, palił go kwasowy śluz. Wzdrygnął się i żabka odskoczyła. Potem spojrzał w dół, a pojmowanie podążało za jego wzrokiem niczym powolne osuwisko.

Cały był w pijawkach. Dziesiątkach pijawek. Kręciło mu się w głowie. Przeturlał się na czworaki i zwymiotował wodę i kwasy żołądkowe prosto na rękę. Wstał i zatoczył się w dzunglę, zapominając o swoich rzeczach, zrywając z siebie spodnie, padając. Świat zamienił się w gorącą mgłę. Znowu zwymiotował. Zatracił się, nie był nieprzytomny, ale stracił świadomość, był jak zwierzę, jak bestia.

Odnalazł się jakiś czas potem. Siedział nagi w przesuwającej się plamie słońca. Gapił się na bezchmurne, bezlitosne niebo. Nie mógł spojrzeć na siebie, nie był w stanie znieść widoku tych wijących się, grubych czarnych pijawek przyczepionych do skóry, wysysających z niego krew do swoich wydętych brzuchów. Wciągały jego krew, krzesaly ją dla swojej krwawej magii.

Szszszuu, szumiał wiatr wśród gałęzi. Szszu.

Zassał niebieskie światło, niebieską krew tworzenia. Światło to życie. Pił łyżkami błękit, aż go napełnił, aż Kip stał się samą myślą.

Kołaczące się szaleńczo serce zwolniło. Kip zamknął oczy i pozwolił, żeby błękit w nim

krażył. Napełnił go świadomością. Trzydzieści jeden par przyssawek znajdujących się z przodu i z tyłu wzdętych ciał pijawek przyczepionych do jego skóry. Cztery pojedyncze, bo druga połówka odpadła od skóry Kipa pod wpływem jego ruchów. Dzięki błękitowi w ciele Kip przypominał sobie dawno zapomnianą radę, jak usuwać pijawki. Nie ogniem, alkoholem ani sokiem z cytryn, bo reagowały na to gniewnie, wymiotując obrzydliwymi do ran, kiedy się cofały. Zamiast tego paznokciem, żeby oderwać ich paszcze od skóry, z przodu i z tyłu. Paznokcie i cierpliwość.

Kipowi znowu żołądek podszedł do gardła, ale spojrzał jeszcze raz na niebo, aż jego umysł odzyskał spokój, znieruchomiał jak staw. Nie mógł tego znieść. Nie sześćdziesiąt kilka razy. Znowu stracił błękit i omal nie stał się ponownie zwierzęciem, uwięzionym, uwięzionym w jego skórze z pijawkami, jak był uwięziony w szafie pełnej szczurów...

W ten sposób.

Spokojnie. Delikatnie. Wziął w siebie błękit, i jeszcze trochę błękitu. Ledwie zostało mu dość woli, żeby się otworzyć, ledwie rozumiał, co wirujący kolor robił niemal z własnej woli. Napełnił jego ciało, znalazł każdy ząb, każde nacięcie w kształcie „Y”.

Zbierz całą wolę.

Nie miał woli. Sięgnął po podczerwień dla pasji i po zieleń dla dzikości.

Nie, własną wolę. Luksyn to twoje narzędzie, to nie ty jesteś jego narzędziem. Wstań.

Kip nadal nie zebrał ani krztyny woli, ale wstał. Wiedział, co robić, ale w tym wypadku wiedzieć, co należy zrobić, było jak świadomość, że jedyne, co trzeba zrobić, by wspiąć się na górę, to iść. Orholamie, dodaj mi siłę.

Już ci ją dał. Posłuż się nią.

Z wyciągniętymi rękami i nogami Kip zacisnął pięści i pochylił głowę. Moc nie przepływała przez niego wrzaskiem wściekłości i onnipotencji, ale kapłała cichymi łzami. Popłynęła za jego krwią, odnajdując maleńkie paszcze, zamykając je, odrzucając, odcinając go od trującej krwi i wypychając ją z niego.

Jedna po drugiej pijawki odpadały. Odpadły z rąk. Odpadły z nóg. Odpadły z piersi. Odpadły z pleców. Opadły z pośladków. Odpadły – dobry Orholamie! – z pachwin. Odpadły z twarzy.

Z sześćdziesięciu dwóch małych ran płynęła krew. Trucizna pijawek sprawiła, że płynęła, nie krzepnąc. Kip zastanawiał się, ile krwi stracił. Kilka pijawek trącało jego stopy, szukając nowego miejsca do przyssania. Odsunął się. Nie zostało w nim już nic z odrazy. Pozostały tylko problemy i szukanie rozwiązań.

Och, jakie to proste. Wykrzesał niebieskie osłonki na każdym rozcięciu. Kiedy tylko zrobił krok, jedna czwarta osłonek przesunęła się. Oczywiście. Niebieski był zbyt sztywny. Poruszając się, pogubi opatrunki.

Oparł się o drzewo, usiadł, wykrzeszał wokół siebie niebieski kokon, zapieczętował go, zamknął rany i zasnął.

Obudził się dwa razy, żeby zwymiotować; nie był pewien, czy pamiętał, żeby na nowo wykrzesać bandaże lub kokon.

Śnił albo miał wizje, albo robił rzeczy, których był ledwie świadomy. Cicho łkająca kobieta w szarym porannym świetle o włosach tworzących wielką skręconą aureolę.

– Dlaczego płaczesz? – Kip usłyszał głos zadający to pytanie i dopiero kiedy słowa padły, zdał sobie sprawę, że to jego głos.

– Płaczę, ponieważ cierpisz, a tylko drudzy synowie Ama mają prawo litować się beznamiętnie. A nawet oni nie za życia. – Wstała i jej aspekt zmienił się nagle, migocząc pomiędzy dostojną kobietą a czymś zupełnie innym. – Śpij – powiedziała, promieniejąc łagodnie. – Nie umrzesz na mojej warcie.

Wszystko zbladło w gorączkę i koszmary, pot i drżenie z zimna, w grzmot i zimną wodę. Słyszał wrzaski ptaków, wycie małą, coś jak szczekanie psa, ale to wszystko było szybkie, zbyt szybkie, przeskakiwało po powierzchni czasu, jakby siedział w ślizgaczu ojca, światło rozbłyskiwało na jego twarzy i znikało, jakby to wszystko rozegrało się w kilka sekund, a wiedział, że to musiały być dni. Pamiętał, jak trzymał szeroki liść przy twarzy, wlewając sobie wodę do ust, kiedy potężna ulewa wstrząsnęła niebem i ziemią.

Kiedy obudził się znowu, był sobą.

Czuł się czysty, lecz słaby. Rozpuścił niebieski kokon, znowu prawie zwymiotował pod wpływem dotyku luksynu, z powodu choroby świetlnej. Widział odciski łap w błocie wokół kokonu, wielkie, jednak nie wilków, bo znał odciski wilczych łap z dzieciństwa w Tyrei. Kobieta musiała być halucynacją, snem w gorączce.

Ile, z tego co doświadczył, było snem i urojeniem? Odetchnął głęboko, sprawdzając ciało, sprawdzając otoczenie. Żadnych pijawek, żab, burz. W każdym razie nie teraz.

Stanął na słabych nogach. Nie potrafił powiedzieć, ile czasu tu spędził. Jediną wskazówką upływu czasu były ugryzienia pokryte strupami. Zatem pijawki były naprawdę. Sprawdził ranki. Ugryzienia pijawek zwykle goją się wolniej od innych ran, ale wzięwszy pod uwagę pomoc niebieskiego luksynu, Kip musiał trwać w ledwie przytomnym stanie mniej niż tydzień.

Głód przestał być tak naglący. Kip czuł dziwną czystość, spokój świętych i ascetów oraz kompletne szaleństwo. Może klarowność duszy odrywającej się od cielesnego domu. Szedł przez godzinę, zanim zdał sobie sprawę, że jest nagi. Pierwszą rzeczą, jaka się pojawiła, kiedy zdał sobie z tego sprawę, nie było zakłopotanie, ale chęć ochrony. Skóra stanowiła nędzną osłonę przed trudami podróży przez dżunglę.

Zaczął krzesać, idąc. Najpierw spróbował zieleni. Wokół była jej taka obfitość, że wydała

się najbardziej oczywistym wyborem. Jednak szybko sobie darował. Za ciężka, zbyt szorstka, żeby nosić ją bezpośrednio na skórze. Przystanął, kiedy przechodził obok kępy oszalałymi żółtych kwiatów o trąbkowatym kształcie. Próbował utkać materiał z żółci, ale ciągle tracił ten idealny, subtelny punkt, gdzie żółty luksyn pozostawał stały, zanim zdążył utkać większy kawałek. Im mniej stałego żółtego luksynu starał się wykrzesać, tym łatwiejsze to było.

Zachodzące słońce oświetliło pajęczynę, a Kipa zahipnotyzowało jej piękno. Maleńka ćma wpadła w nią i utknęła. Pająk ruszył, by ją zabić, ale Kipa urzekła sama pajęczyna. Wyciągnął ku niej nadfioletowy luksyn – palce o niebo delikatniejsze niż jego własne. Nitki mocujące były jak stalowe liny, ale nici pułapki pokrywały maleńkie kropelki mazi, na które nawinięto więcej nici. Dzięki nim nić była częściowo napięta, ale zachowywała też luz. Dzięki temu pajęczyna nie pękała, kiedy ofiara zaczynała z nią walczyć.

Nadfiolet. Nadfiolet był odpowiedzią. Nie na to, ale...

Miał wrażenie, że fragmenty układanki krążą w jego głowie tuż poza zasięgiem. Słońce zaszło i Kipowi zrobiło się zimno. Nie wykrzesał sobie nawet schronienia. Przesiedział odrętwiały całą noc. Kiedy słońce wzeszło, już wiedział.

Utkał nadfiolet w maleńkie ogniwa, jak pojedynczy łańcuch, ale zamiast skuwać każde ogniwo jak płatnerz, po prostu krzesał idealne kółka, jedno po drugim, dzięki czemu łańcuch nie miał żadnych słabych punktów. Potem zalał tę formę żółtym luksynem, a jego wola dotknęła każdego ogniwa i zapieczętowała luksyn. Potrzebował pół godziny. Nie ma sprawy.

Drugi łańcuch był znacznie trudniejszy. Musiał przepleść każde ogniwo przez dwa inne z pierwszego łańcucha. W godzinę uzyskał dwa połączone pasma kolczej plecionki z żółtego luksynu. Dwa połączone niemożliwie krótkie pasma żółtego luksynu. Wtedy omal się nie poddał. Zamiast tego usiadł. Prawie nie myślał. Wody strumienia przepływały obok, śpiesząc się do morza, a Kip patrzył. Otwarty luksyn nadal lał się przez jego opuszki, a on dotknął wody, jakby to był przepływający otwarty luksyn, krew ziemi.

Przez chwilę czuł samego Orholama, stwórcę większego niż ten świat, to dzieło stworzenia, ale działającego poprzez nie, jakby cały wszechświat był otwartym luksynem w Jego dłoniach. Rozbłysk, oślepiająco jasne białe światło, wrażenie życia, światła, kiedy Kip został wciągnięty przez wodę do morza i do każdej wody, która styka się z morzem, rozbłyskując w tysiącach żył, rzecznych arterii, promieniejąc mocą. Wszędzie naraz, nie tylko w siateczce linii na mapie, ale też w głębi. Woda posłuszna wezwaniu słońca zamieniała się w mgłę, unosiła, stawała się chmurami. Woda w głębinach, jej brzuch ocierał się o zatopione miasta. Wieloryby i morskie demony ledwie dość duże, żeby musnąć jego świadomość, olbrzymy jak błyski śmigające wszędzie, życie zbyt drobne dla ludzkiego

oka, pławiące się w świetle Orholama, nieświadome życie śpiewające hymny pochwalne samym swoim istnieniem.

Kip stracił przytomność.

Kiedy się obudził, pasmo materiału leżało na jego kolanach, szerokie na dwadzieścia łańcuchów. Wyprostował nogi, rozmasował skurcze po siedzeniu ze skrzyżowanymi nogami. Spojrzał na pasma, jakby z niego kpiły. Nie wykrzesał tych dodatkowych pasm, prawda? Nie był sobą, ale myślał, że pamięta wszystko, co robił.

Spojrzał na wodę, znowu jej dotknął, otwierając wolę. Ale to była tylko woda.

– Chcę ocalić mojego ojca – szepnął.

Cisza.

– Zapłacę każdą cenę – powiedział.

Światło nie znosi kłamstwa. Niczego nie usłyszał.

Kip od małego czuł, że jest mu przeznaczona wielkość. Może każdy to czuł. Nie miało znaczenia, jak wyglądał z zewnątrz, że jego matka bezmyślnie pogrzyżyła się w nałogu, że był gruby i brzydki. Niezależnie od tego, jak bardzo sobą pogardzał, jakaś jego część uważała, że pewnego dnia, pewnego dnia, wstrząśnie filarami świata. Że coś niesamowitego w nim zostanie wypuszczone na zewnątrz. Że miał przeznaczenie.

Każdy kamień, którym w niego rzucono, akceptował i wykorzystał do zbudowania sobie małego ołtarza. Andross Guile mówiący mu ze śmiechem o Powierniku Światła. „Stare słowo, które mówi, że od młodości będzie »wielkim« człowiekiem, może być kalamburem w oryginalnym paryskim: drugie znaczenie słowa »wielki« to »gruby«. A to... sam rozumiesz”.

Miał zabijać bogów i królów.

Dokonałem tego.

Miał być geniuszem magii.

A jeśli nim jestem?

Gavin powiedział raz: „Nie doprowadź do własnej zguby z powodu tej bzdury, chłopcze, nie ma żadnego Powiernika Światła”.

A jednak Kip wierzył. Chciał wierzyć. Potrzebował.

„Próbuję narysować cię jako następnego Pryzmata i nie mogę”, powiedziała mu Janus Borig, Zwierciadło. A kiedy umierała, powiedziała: „Wiem teraz, kim jest Powiernik Światła”.

Miała na myśli mnie. Musiała mieć na myśli mnie.

A jednak odpowiedziała mu tylko cisza.

Kip wstał. Ruszył wzdłuż strumienia do brzegu, skręcił na północ.

O zachodzie słońca znalazł samotny wiejski dom. Starsza kobieta w prostej chłopskiej

sukience stała na zewnątrz, śpiewając piosenkę zachodzącemu słońcu w języku, którego Kip nie rozpoznał. Zobaczyła go z daleka, uśmiechnęła się i przywołała, machając jedną ręką i nie przestając śpiewać. Dźwięk przypominał rzeki i wiatry, i głębiny morza, ciepło i światło ognia odpierającego dziecięce obawy przed ciemnością. Niósł obietnicę poranka i pocieszenie bijącego serca matki.

Dla Kipa, który od wielu dni nie słyszał wypowiedzanego słowa, miłe dla ucha unoszenie się i opadania obcych sylab nieobciążonych tłumaczeniem było idealnym, delikatnym przejściem od surowej grozy dżungli do świata skąpych, mozolnie wypracowanych wygod wiejskiego domu na pustkowiu.

– Zatem to ty – powiedziała niskim głosem, poruszając się powoli, jakby był dzikim zwierzęciem. Mówiła łagodnym tonem, a jej piosenka ucichła. Uśmiechnęła się. – Myślałam, że źle usłyszałam. „Odziany w światło”? – zapytała, zwracając się do nieba.

Roześmiała się serdecznie i ten doskonale ludzki dźwięk sprawił, że Kip obudził się jakby ze snu.

Ale nie od razu.

Zdał sobie sprawę, że nadal jest nagi. Zasłonił się z przodu materiałem, ale bez pośpiechu, bez zakłopotania. Naszła go myśl, a jednocześnie wiedział, że jest bardzo dziwna: miejscowi mają pewien zwyczaj, ten zwyczaj ubierania się, chociaż nie ma tu cierni, które pokaleczą skórę; powinienem się dostosować.

Miejscowi? Masz na myśli ludzi, Kip?

Ach, wrócił. Znowu był sobą, Kipem Pyskaczem. Jakaś część jego osoby cieszyła się, że Kip nie przepadł na dobre.

Przyjrzała się jego oczom, widząc, że doszedł do siebie, a jej szorstka, piegowata twarz zmarszczyła się w wyrazie rozbawienia.

– Powiedział mi, żebym dziś spodziewała się czegoś. Siedziałam jak na szpilkach podczas prania i tkania. Ta fraza „odziany w światło” wpadła mi do głowy. – Pokręciła głową. – Przekonałam siebie, że chodziło o „odziany świetnie”. Cóż, a teraz wszystko się zgadza, prawda? Dobrze, że Dobry zesłał cię teraz, paniczu. Zemdlałam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam mojego męża nago. Żadnego wyrthig, przysięgam. Jemu to od razu popsuło całą zabawę, tyle ci powiem, a w następnych latach wcale nie radziłam sobie dużo lepiej. Pan Światła lubi czasem szturchnąć mnie lekko łokciem, przypominając mi o tym. Wejdz, pozwól, że się tobą zajmę.

I zajęła się. Zabrała go do domu, nakarmiła zupą, którą miała już przygotowaną, chociaż dała mu tylko wywar, wykąpała go potem, zajęła się ranami, położyła do łóżka. Kiedy obudził się dwa dni później, znowu go nakarmiła. Coreen była wdową, ale kilkoro jej synów i córek mieszkało w pobliżu, raptem kawałek spacerkiem, i codziennie odwiedzało

ją przynajmniej jedno z nich. Kiedy Kip powiedział jej, że musi udać się do Chromerii, dowiedziała się, że kupiec ma wyruszyć za dwa dni i zrobi miejsce dla Kipa. Za darmo. Kip spędził jeszcze jeden dzień w łóżku i potem wstał.

Szybko nawiązali dobry kontakt. Żartowali, droczyli się, jakby znali się od lat. Przypominała mu matkę Sansona w Rektonie. Tamta kobieta zawsze przygotowywała dodatkowe ciasteczka, przysmaki i łakocie, a potem grali w nieoficjalną grę, kiedy to Kip próbował podkraść jedno czy dwa tak, żeby ona nie zauważyła. Prawie nigdy mu się nie udawało, a nawet jeśli, to zadawała mu jakieś pytanie, żeby musiał odpowiedzieć, mając pełne usta.

Opiekowała się mną, wiedząc, że moja matka tego nie robi, i czyniła to w sposób, który nigdy mnie nie zawstydział. Dla mnie zrobiła z tego zabawę. Kip już wcześniej dostrzegał w tym zabawę, ale dopiero teraz dostrzegł dobroć.

A teraz nie żyła. Jak oni wszyscy.

Może żarty Coreen i śmiech też były dobrocią. Widziała, że Kip z trudem utrzymuje się przy zdrowych zmysłach; słyszała, jak zlany potem budził się z krzykiem, i traktowała go, jak matka potraktowałaby niepoprawnego przyjaciela swojego syna. Kip dowiedział się, że jej nieżyjący mąż był znanym weteranem Wojny Pryzmatów, chociaż nigdy nie powiedziała, po której stronie walczył, a Kip nie pytał. To wiele tłumaczyło, bo Coreen miała w sobie coś z poczucia humoru wojowników, czerń i światło, lekceważyła śmierć, jak śmierć lekceważyła wszystko inne.

Miała też w sobie wiele ciepła, i to było ogromnie pociągające. Jakaś część Kipa chciała tam zostać na zawsze.

Ostatniego pełnego dnia, ubrany w odzież jej zmarłego męża, która dobrze pasowała dzięki wysiłkom Coreen z igłą i nitką, Kip naprawił wszystko, co potrafił w jej chacie. Wykrzesał kilka żółtych luksynowych pochodni, zrobił kilka ogniowych kamieni, żeby łatwiej rozpalało się ogień, spróbował wykrzesać trochę zieleni do ogrodów warzywnych jej dwóch córek i naprawił złamaną oś w wozie drabiniastym, pokrywając ją stałym żółtym luksynem – zrobił coś użytecznego, czego nauczył się ni mniej, ni więcej tylko podczas lekcji. Kto by pomyślał?

Tego ranka, kiedy odchodził, Coreen powiedziała:

– Nie mogę cię puścić, nie powiedziawszy tego, co mam ci do powiedzenia. Zasłużyłam sobie na to?

– Oczywiście.

Wzięła głęboki wdech.

– Kip, Pan nie chce, żebyś uważał siebie za nic niewartego, ale może chcesz, byś myślał, że jesteś wart mniej, niż teraz uważasz. Chce, żebyś miał całe oczy, dzięki czemu będziesz

miał trafny obraz samego siebie. Robi to z miłości, rozumiesz? Kiedy godzisz się z tym, na co nie masz wpływu, nie oddajesz korony, oddajesz jarzmo. Opowiadałam ci o mojej pruderyjności w młodości. Byłam piękną dziewczyną i chociaż nigdy bym tego nie powiedziała, uważałam, że jestem bardziej cnotliwa od samego Orholama. Moja fałszywa cnota, nie skromność, lecz duma, odebrała całą radość mojemu małżeńskiemu łożu. Walczyłam, by zachować cnotliwość, i myślałam, że skoro muszę walczyć tak bardzo, to jest to najwyższe dobro. Porzucenie pretensji do patrzenia z góry na tych, których nie aprobowalam, było jak utrata kończyny. Tylko, czy wiesz, jak to jest chodzić na trzech nogach?

Jej słowa były niebezpiecznie bliskie celu i Kip bał się tego, co Coreen zaraz powie.

– Widziałas mnie nago, więc wiesz, że wiem – odparł i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Pokręciła głową, jakby wiedziała, że tak powie. Podsunęła chochlę pod nos Kipa.

– Kip, bądź poważny albo skomentuję twoją męskość tak, że nigdy tego nie zapomnisz.

Kip przełknął ślinę.

– Tak, proszę pani. Przepraszam.

– Poprawa była dla mnie jak utrata kończyny, ale warto było. Dobry ojciec nie pozwoli, żeby jego dzieci utknęły. Orholam jest dobrym ojcem, Kip.

– W tej chwili bardziej martwię się tym, żeby być dobrym synem.

Zmiana tematu, zmiana tematu, nie pozwól jej zapytać, co ja powinienem porzucić.

– Zatem jesteś mądrzejszy niż wskazują twoje lata – odpowiedziała, a Kip zaczął się zastanawiać, czy nie martwił się niepotrzebnie.

A może łatwo mu odpuściła? W jej oczach pojawił się błysk.

– Och, i jeszcze jedno, Kip...

– Nie. Proszę, nie. Proszę.

– To nie jest noga. Może solidna podpórka. Za to mój mąż... o, ten to miał nogę.

Powiedzmy tylko, że skromność może nie była jedynym powodem, dla którego zemdlałam.

– Powiedziałem, że przepraszam – biadolił Kip.

Uszczypnęła go w policzek.

– Wiem, ale zasłużyłeś sobie. Nie martw się. Masz więcej niż dość, żeby zadowolić.

Więcej niż moi własni synowie i, jeśli moje córki mówią prawdę, więcej niż ich mężowie.

– Ach! Muszę poznać tych ludzi!

ROZDZIAŁ 16

Karris w milczeniu sączyła kofi w Rozdrożu. Środek pobudzający był kiepskim wyborem, zważywszy na jej niepokój. Siedziała pod clerestorium naprzeciwko wielkich okien z pięknymi witrażami, które kiedyś były chlubą tyrejskiej ambasady. Zastanawiała się, w jaki sposób właściciel Rozdroża zdołał kupić budynek i ile go to kosztowało. W latach po upadku Tyrei Rozdroże stało się najmodniejszą pijalnią kofi, restauracją, browarem, palarnią i – na dole, poza zasięgiem wzroku tych o większej wrażliwości – czołowym burdelem w mieście.

Skoro już o tym mowa, ciekawiło ją, kim jest właściciel.

To jedna z tego rodzaju rzeczy, których mistrzyni szpiegów powinna być w stanie się dowiedzieć, prawda?

Nie musiała długo czekać. Podejrzewała, że to jedna z dodatkowych korzyści jej nowej pozycji. Teraz była prawą ręką Bieli, a nikt nie każe czekać Bieli. Mężczyzna, który usiadł naprzeciwko niej, był ilytańskim bankierem, potomkiem jednej z wielkich bankierskich rodzin, Onesto. Miał dwadzieścia pięć lat i pewnie dopiero zaczęto go traktować jak dorosłego; sprowadzono do domu po nauce fachu w jednej z satrapii i powierzono mu teraz spotkanie ze świeżo poślubioną oblubienicą Pryzmata tudzież wdową po nim. Można go było traktować jak dzieciaka w wieku dwudziestu pięciu lat, ponieważ nadal czekało go jakieś pięćdziesiąt lat życia. Jakież inny jest żywot miernoty.

Turgal Onesto włożył najlepsze odświętne ubranie, pachniał świetnymi perfumami, które Karris byłaby w stanie rozpoznać, gdyby przez ostatnie przekłęte szesnaście lat była damą, a nie wojowniczką. Usiadł, przelękając ślinę. Minęło sporo czasu, odkąd oczekiwano od niego złożenia raportu. Biel zwerbowała go jako chłopca. Karris nie czuła się dużo lepiej. Nie nosiła sukienki od kiedy ten łajdak, król Garadul nie pojmał jej i nie zmusił do tego. Chciała włożyć strój Czarnogwardzistki, ale ten jej odebrano i zakazano noszenia go. Karris nie była pewna, czy zabrano go na rozkaz dowódcy Żelaznej Pięści czy Bieli. Żadne nie skomentowało tego słowem, więc wiedziała, że którekolwiek za tym stało, drugie to aprobowało.

I tak wylądowała tutaj, wysyłając bardzo publiczną wiadomość strojem, jaki zdecydowała się włożyć. Ponieważ jej mąż był Pryzmatem, wybrała elementy stroju ze wszystkich satrapii, żeby pokazać, że żadnej nie faworyzuje. Dzisiaj to oznaczało, że

włożyła luźną białą abaję z jedwabiu, subtelnie haftowaną nicią w kolorze indygo, ale dżilbab nosiła opuszczony – na Jaspisach nie ceniono skromności, tak jak wśród Paryjczyków w głębi lądu i na wyżynach. Wraz z tradycyjną żałobną bielą – ponieważ Paryjczycy wierzyli, że śmierć to przejście w światło, nie w ciemność – Karris wybrała kilka sugestii jasnych kolorów, zamiast samej czystej żałobnej bieli. Nosiła barwny szal, biały z dodatkiem niebieskim, czerwonym, fioletowym i zielonym, za to rozjaśniła sobie włosy na biało.

Mój mąż zaginął i dlatego jestem w żałobie – komunikowało jej ubranie – ale nie umarł. Bogactwo stroju mówiło, że oczekuje, że zostanie potraktowana poważnie, że zajmuje swoje miejsce kobiety zamożnej i wpływowej. Wzięła sobie nawet ochroniarza z Czarnej Gwardii. Fakt, że była to jej krępa przyjaciółka, Samite, sprawiał, że Karris czuła się odrobinę lepiej. Niestety, Samite traktowała swoje obowiązki poważnie, stała obok stołu, obserwując wszystko i wszystkich, traktując Karris, jakby była jeszcze jedną podopieczną, która bez wątplenia jest ślepa, głucha i tępa, jeśli idzie o rozpoznanie zagrożenia.

– Żebyś mogła w pełni skupić się na swoim zadaniu – wyjaśniła jej wcześniej Biel.

Karris skrzyżowała nogi, kiedy bankier usiadł. To thobe, nie sukienka, powiedziała sobie. Mimo to czuła się naga i narażona na atak. Gorzej, nie mogła jej sobie sama wybrać. Marissia jej pomogła poprzedniego wieczoru, pytając o to, jakie ma życzenia względem stroju. Karris powiedziała, chociaż nie wyjawiała niewolnicy swojego zadania. Marissia pogodziła się z przemilczeniem tej kwestii i po prostu powiedziała Karris, że może iść spać; ona wszystkim się zajmie.

Kiedy Karris się obudziła, strój już czekał. Pasował idealnie.

– Jak...? – zapytała Marissię, kiedy niewolnica pomagała jej zasznurować suknię.

– Krawiec miał pani miarę.

Karris na nią spojrzała.

– Nie byłam u krawca od lat.

– A ja zauważyłam, że schudła pani nieco od tamtego czasu, więc zasugerowałam kilka zmian – odparła spokojnie Marissia.

Jej oko do szczegółów i pamięć – sama przeklęta kompetencja – mogły doprowadzić do szału. Zatem Gavin nie trzymał jej tylko po to, żeby grzała mu łóżko. Może przynajmniej w tym nie była dobra. Może on tylko...

Jakimi złudzeniami nabijasz sobie głowę, Karris? Marissia jest piękna, kompetentna, była osobistą niewolnicą Gavina od lat. Karris obiecała sobie, że nie będzie zazdrosna o to, co Gavin robił czasie, kiedy do niej nie należał. To nie było sprawiedliwe. To nie było w porządku... i nie zamierzało zniknąć. Powinna być szczęśliwa, że sypiał tylko z osobistą niewolnicą, a nie z każdą kobietą, która z radością by go przyjęła.

Jednakże świadomość, że Marissia była nadzwyczaj kompetentna, obudziła w Karris coś brzydkiego. Powinna ją doceniać. Na miłość boską, patrzyła na niewolnicę jak na rywalkę? To śmieszne! Mogła pozbyć się jej w okamgnieniu. To jednak też nie byłoby w porządku, prawda? Marissia starała się służyć dobrze i dyskretnie, ukrywała nawet to, jak dobrze służy, żeby nie zwracać na siebie uwagi Karris. Pewnie na wypadek gdyby Karris okazała się tak małostkowa... jak w gruncie rzeczy była.

Odebrałam kobiecie środki do życia i cel za co właściwie? Za to, że dobrze służyła Gavinowi?

Bez wątplenia dobrze mu służyła całymi nocami.

I co z tego? To jej życie, jej obowiązek. Czy byłabym szczęśliwsza, gdyby źle służyła swojemu panu w ramach małostkowego buntu, jak to czynią inni niewolnicy? Czy Gavin powiedział choćby jedno słowo na temat Parama albo Naelosa, których brałam do łóżka głównie po to, żeby zrobić mu na złość? Kazała Paramowi kochać się z nią w całkowitych ciemnościach, żeby mogła wyobrazić sobie, że to Dazen. Ale oni przynajmniej odeszli.

I co? Ze niby nie wiedziałam o Marissii?

On odszedł, Karris. Odszedł.

Fala rozpaczy nadeszła znikąd. Karris ścisnęło w gardle, oczy napełniły się łzami.

Wypuściła powietrze z sykiem, odwróciła wzrok, zapanowała nad sobą. Turgal zamrugał i powtórzył:

– Potrzebujemy osłony zapewniającej nam prywatność?

– Tak, tak, oczywiście.

Karris przywołała piękną kobietę, która pełniła rolę hostessy witającej gości. Turgal nie mógł oderwać od niej oczu. Nie był szczególnie dyskretny jak na bankiera. Przez chwilę Karris czuła się stara i pominięta. Turgal patrzył tak na hostesę, a nie na...

Skłęła się w duchu. Ubrała się skromnie właśnie po to, żeby sprawiać wrażenie skromnej, a teraz... Wracaj do sprawy, Karris.

Gestem poprosiła hostesę, żeby wykrzesła im osłonę. Podała jej opłatę.

– Napije się pani jeszcze kawy? A pan, życzy pan sobie czegoś?

Karris zgodziła się na kawę, a bankier zamówił ale. Hostessa zniknęła w kuchni i wróciła niemal natychmiast. Postawiła ale Turgala oraz filiżankę kofi dla Karris ze spodkiem, wykrzesła niewidzialną nadfioletową bańkę, która wyciszy ich rozmowę, oraz wiatraki, żeby zapewnić przepływ powietrza. Posłała młodemu bankierowi szeroki idealny uśmiech, skłoniła się dostatecznie nisko przed obojgiem, żeby błysnąć rowkiem między pierściami, i wróciła na swoje miejsce.

Pewnie wieczorami pracuje na dole.

Od kiedy stałam się taka pruderyjna? Niby moi bracia z Czarnej Gwardii byli tacy

czyści jak łaża?

Kiedy Turgal wypił trochę swojego piwa, Karris powiedziała:

– Muszę przejąć kontrolę nad kontami mojego męża.

– Jak zapewne doskonale pani wie, rodzina Onesto nigdy nie komentuje statusu ani istnienia kont. Które ma pani na myśli? – Uśmiechnął się nieprzekonująco.

– Co masz na myśli, pytając, które konta? Wszystkie – odpowiedziała Karris.

Wiedziała, że to nie będzie łatwe. Oficjalnym celem spotkania było przejęcie kontroli nad kontami Gavina. Po co innego mogła spotykać się z bankierem? To, że Turgal Onesto był także jednym ze szpiegów Bieli, czyniło to spotkanie zaledwie potencjalnie podwójnie korzystnym.

– Niestety, nie zakładamy kont na nazwiska, stosujemy tylko numery. Dzięki temu wrodzy arystokraci, królowie, rodzice i inni nie mogą przejąć kont, które założono na prywatny użytek – odparł Turgal. Uśmiechnął się miło.

Może i był fircykiem, ale z pewnością odbywał już podobne rozmowy.

Więcej nawet, to było kłamstwo. Karris była przekonana. Nie było możliwości, żeby rodzina Onesto nie prowadziła zapisków z nazwiskami właścicieli kont.

– A co się dzieje, kiedy właściciel konta umiera? – zapytała.

– Nic. Rodzina Onesto nawet nie wie, kiedy to się wydarza. Nie mamy skąd się tego dowiedzieć. Jak już powiedziałem, nie łączymy nazwisk z kontami.

– To co się dzieje z pieniędzmi?

– Pozostają na koncie, rzecz jasna.

– Yhm, a jak długo?

– Jeśli na koncie nic się nie dzieje przez trwanie jednego pokolenia, co zgodnie z tradycją, definiowane jest jako czterdzieści lat, fundusze stają się dostępne na inne pożyczki.

Co było podwójnie kłamstwem, a właściwie subtelną parą kłamstw. Po pierwsze, pieniądze nigdy nie były odkładane. Wpłacane fundusze użyczano innym jako pożyczki. A kiedy mówił „stają się dostępne”, miał na myśli, że wędrują do prywatnej szkatuły rodziny. Nie było to całkowicie nieuczciwe, uznała Karris. Gdy cała rodzina wymierała – a niewątpliwie działo się to wiele razy w czasie różnych wojen, które pustoszyły Siedem Satrapii, odkąd ród Onesto założył swój interes – i żaden spadkobierca się nie pojawiał, co mieli zrobić z pieniędzmi? Rozdać? To była dodatkowa korzyść z podejmowania ryzyka udzielania złych pożyczek.

Oczywiście, jeśli niezbyt sumiennie szukali spadkobierców, był to także szybki sposób wypchania sobie kieszeni. Jednak, gdyby za bardzo się w tym zapędzili, zagroziłoby to ich reputacji. A bank jest tyle wart, co jego reputacja. Zatem sprawianie wrażenia instytucji

nad wyraz skrupulatnej to rzecz najwyższej wagi. Oczywiście, całe pokolenia Onesto, teraz już od dawna martwe, wyniosły reputację banku na prawdziwe wyżyny i było całkiem możliwe, że Turgal i spółka uznali, że mogą skorzystać na niej, żeby się wzbogacić.

A jeśli tak myśleli, to pewnie mieli rację. Ich dzieci i wnukowie zapłacą za to, rzecz jasna, ale Karris już wtedy nie będzie, żeby dowieść swojej słuszności.

– Zanim tu przyszedłeś – powiedziała – sprawdziłeś wszystkie konta mojego męża, żeby zorientować się, o czym będę mówić. Przyniosłeś dokumenty?

Zamrugął zaskoczony.

– Nie mogę nic powiedzieć na temat istnienia i statusu...

– Zatem tak. I masz je przy sobie. Wszystko sobie zapisałeś.

W grę wchodziło, jak zgadywała Biel, sporo różnych liczb, a Turgal Onesto nie miał takiej głowy do liczb jak jego przodkowie. Biel powiedziała, że zapisanie numerów kont będzie bezpośrednim pogwałceniem polityki rodzinnej. Onesto uznawali tylko zapamiętywanie. Co jest w twojej głowie, tego nie da się ukraść, a przynajmniej nie bez twojej wiedzy.

Karris była zaskoczona, że Biel tyle wie o zwykłej kupieckiej rodzinie, ale Biel uznawała, że należy wiedzieć jak najwięcej na temat tych, którzy mają jakąkolwiek władzę. Za sto lat, powiedziała, rodzina Onesto pewnie będzie bardziej szanowana i utytułowana niż pozostałe osiemdziesiąt siedem i pół rodu arystokratycznego na setkę, jakie ostały się w Siedmiu Satrapiach.

To był żart, a Karris go nie zrozumiała. Dwanaście i pół procenta to typowa stopa procentowa rodziny Onesto. Gdy odjąć dwanaście i pół od stu... Ach. Zrozumiała. A już zaczęła się zastanawiać, czy w satrapiach naprawdę jest sto rodów arystokratycznych. Nawet żarty pokazywały Karris, ile jeszcze musi się nauczyć.

Turgal sięgnął po wąską tubę na zwój, którą niósł na plecach.

Oprócz tego, że Biel przekazała Karris kontrolę nad siatką oczu i uszu, oddała jej też kilka rąk. Niektóre z nich były niezwykle zręczne.

Turgal Onesto sięgnął do tuby i niczego nie znalazł. Obrócił ją do góry dnem. Nic. Pusta. Pobladł, a potem pozieleniał.

– Powiedz mi chociaż, że zapisałeś to szyfrem. Twoja rodzina musi dysponować tuzinem szyfrów.

– Oczywiście. Ależ oczywiście. To tylko komplikacja, nie katastrofa. Klucz mam...

Sięgnął do torby, z którą przyszedł. Pomacał. Znowu pobladł.

– Przyniosłeś klucz do szyfru razem z wiadomością? – Karris potarła czoło. – To nie jest jakiś kiepski żart, co?

Wytrzeszczone oczy Turgala mówiły wszystko.

– Twój dziadek będzie bardzo niezadowolony.

– Większość ludzi nawet nie wie, że to szyfr! – bronił się Turgal. – To tylko kawałek drewna, stożek. Jeśli człowiek nie ma dokładnie takiego samego... – Urwał. – To pani! Pani to zrobiła!

– Turgal, posłuchaj mnie.

Żyły nabrzmiały mu na szyi. Chłopak z temperamentem, co? No dobrze, niech tylko czegoś spróbuje. Karris przekona się wtedy, ile swobody ruchów zostawia jej thobe. I zważywszy na to, jak bardzo żenujące jest dla mężczyzny zebranie lania od Łuczniczki, to o ile bardziej żenujące będzie zostanie upokorzonym przez kobietę w thobe?

Z drugiej strony, dzięki strojowi Czarnej Gwardii Karris nie musiała brać udziału w bójkach. Brutalne osiłki nie chciały walczyć i przegrać. Nowe szaty, nowe reguły.

Wtedy zdała sobie sprawę, że jego niechęć do współpracy może mieć coś wspólnego z jej wyborem paryjskiego stroju. Rodzina Onesto wywodziła się z Ilyty, która toczyła długi spór z Parią. Konflikt rysował się szczególnie mocno wśród bogaczy, którzy uważali, że płacą niesprawiedliwe podatki, gdy podczas zim korzystali z lądowych szlaków handlowych przez Parię.

Wielu arystokratów, którzy wychowali się na Wielkim Jaspisie szczyliło się tym, że te małostkowe spory były dla nimi? przeszłością, ale Turgal nie wychowywał się tutaj. Wyglądał jak kolejny młody miejski fircyk, ale podzielał uprzedzenia starszych.

Karris nagle zastanowiła się, czy Marissia celowo ją tak ubrała. Tyle że Karris nic jej nie powiedziała o spotkaniu z Ilytaninem, prawda? Czyżby się z czymś zdradziła i Marissia sabotowała jej wysiłki, czy też nie, a Marissia pomogłaby jej, gdy Karris coś jej powiedziała?

– Turgal, mogłabym to rozegrać na tuzin różnych sposobów. Mogłabym opóźnić nasze spotkanie i pojawić się przed twoim ojcem ze wszystkimi prawidłowymi numerami. Mogłabym teraz ujawnić twój błąd i cię zniszczyć. Zamiast tego proszę.

Karris wyłowiła z torebki stożek wraz z kartką. Oddała mu obie rzeczy i wyjęła trzecią rzecz – kartkę z prawidłowo rozszyfrowaną notatką. Położyła ją przed nim. Wszystko to załatwiono w czasie, kiedy szedł na spotkanie.

– Nie chcę cię niszczyć – powiedziała Karris. – Oczekuję jednak twojego szacunku.

Natychmiast zmiękł.

– Ma go pani. Błagam, dziadek już traci do mnie cierpliwość. Wydziedzicz mnie. A jeśli to zrobi, nie będzie pani miała ze mnie żadnego pożytku, prawda? Prawda?

– Nie zamierzam cię niszczyć, Turgal. Chcę, żebyś przelał wszystkie fundusze na nowe konto, na wypadek gdyby ktoś jeszcze znał te numery. Załatwisz to jeszcze dzisiaj.

– Mogę to zrobić – zapewnił.

– Najwyższy Światłowładca Andross Guile może upomnieć się o te pieniądze.

– Mój dziadek osobiście go obsługuje. Jeżeli jednak fundusze znajdują się na nowym koncie, nawet Andross Guile ich nie wyciągnie.

Sprytne to ze strony dziadka. Turgal nie przetrwałby dwóch minut ze starym.

– Świetnie – powiedziała Karris. – A teraz gest dobrej woli z naszej strony: wasi starzy rywale, rodzina Adini, planuje przeniesienie swoich głównych abornejskich magazynów z Pomroki do Dzielnicy Wschodniej. Potrzebują więcej przestrzeni magazynowej, a tamtejsza przystań jest lepsza. Znaleźli dokładnie takie miejsce, jakiego potrzebują, i po cichu kupują akty własności. Kilku właścicieli się opiera, więc zaczęli ich nękać. Jeśli twoja rodzina zechce, możecie zwyczajnie kupić te nieruchomości. Wystarczy, że powiecie właścicielom hasło: „Słońce świeci posłusznym”. Biel oczekuje, że mimo to każdemu zapewnicie należyty zarobek, ponieważ na pewno dobiją z wami targu. Wy za to możecie odsprzedać te nieruchomości z ogromnym zyskiem rodzinie Adini, albo, jeśli tak zdecydujecie, odmówić sprzedaży, żeby im dopiec. Powiedz swojemu dziadkowi, że musi chronić rodziny, które sprzedadzą mu nieruchomości, przed zemstą Adinich, i że powinien wysłać tam najszybszy statek, niezależnie od swojej decyzji. Ta sprawa ma już trzy tygodnie.

Turgalowi oczy rozbłysły.

– Jeśli to prawda, stanę się niezbędny dziadkowi. To...

– ...ogromnie uprzejme z naszej strony. Prowadzisz z nami interesy, Turgal, i odkryjesz, że jesteśmy dobrymi partnerami. Leży w naszym interesie, żebyś robił karierę, ale pod warunkiem, że będziemy wzajemnie sobie pomagać.

– Tak. To zupełnie jasne.

– Zrozum mnie, Turgal. Niektórzy interpretują życzliwość jako brak woli. A jeśli jest coś, czego w Chromerii mamy aż w nadmiarze, to właśnie woli. Jeżeli z nami zadrzesz... Ale do tego nie dojdzie. Nie będziemy oczekiwać od ciebie niczego więcej, niż jesteś w stanie udźwignąć. Rozumiesz?

Rozumiał. Na przestrzeni minut zaobserwowała w jego oczach przemianę z człowieka przerażonego w ocalonego i wreszcie w wasala.

Żałowała tylko, że nie potrafiła załatwić żadnej z tych rzeczy samodzielnie. Zarówno punkty nacisku, jak i przekupstwo to były sugestie Bieli.

Ale z drugiej strony, tak właśnie nauczyciel uczy swoich uczniów, zgadza się?

Karris dała znać hostessie, że już skończyli, i chce, żeby usunięto osłonę. Kobieta natychmiast podeszła. Karris pożegnała się z Turgalem Onesto i dała hojny napiwek hostessie, która dyskretnie wsunęła jej zwitek ryżowego papieru – jej raporty.

Cała rozmowa z Turgalem Onesto – niezależnie od tego, jak dobrze ułożyła się dla

Karris – miała marginalne znaczenie dla Bieli; chodziło o zapewnienie sobie w przyszłości źródła i zabezpieczenie niezależności Karris. Tak naprawdę Turgal nie zdradził jednego z największych kont, o którym albo nie wiedział, albo którego numeru rzeczywiście wyuczył się na pamięć. To nie miało znaczenia, zostawmy mu to zwycięstwo, powiedziała Biel. To może być coś, co wykorzystają przeciwko niemu później, jeśli będą musiały przywołać go do porządku. Prawdziwym źródłem informacji były tu piękna hostessa i nadfioletowa krzesicielka, Mahshid Roshan, która widziała wszystkich, znała wszystkich i słyszała wszystko albo osobiście, albo poprzez innych służących i pracujących tam niewolników. Była jednym z najlepszych szpiegów Bieli i Karris jej potrzebowała.

Karris wstała, starając się nie przyglądać zbyt kobiecie, która powinna być dla niej tylko jedną z wielu służących, i wyszła. Przy drzwiach odprawiła Samite. Kobieta zacisnęła usta, ale odeszła.

Przynajmniej w następnej części dnia Karris wykorzysta część swojego starego czarnogwardyjskiego szkolenia – musiała się upewnić, że nikt jej nie śledzi między spotkaniami.

Prawie jej ulżyło, gdy okazało się, że ktoś ją jednak śledzi.

ROZDZIAŁ 17

Chociaż wielu kadetów Czarnej Gwardii dopiero co wróciło z prawdziwej wojny, natychmiast podjęto szkolenie, i trenerzy traktowali ich jakby prawie nic nie wiedzieli. Mogli mieć rację, ale to i tak bezmiernie irytowało Teię. Mijały tygodnie, a trenerzy zachowywali się, jakby nic się nie stało, jakby nic się nie zmieniło.

– Chcą zapewnić wam poczucie normalności – powiedział jej Ben--hadad po kolejnych ćwiczeniach, po których nie mogli złapać oddechu, a niektórzy wymiotowali.

Pozostali się rozeszli. Nowi Czarnogwardziści zawsze mieli zajęcie, zaległą pracę albo naukę.

– Normalny porządek. Trafiliście w miejsce, gdzie wszystko było szaleństwem i chaosem. Wróciliście i znowu wszystko jest pod kontrolą. To ma dawać pociechę. Świat zmienił się w jedną noc. Pryzmat zaginał, może nie żyje. Chromeria przegrała dwie ważne bitwy w wojnie, o której myśleliśmy, że będzie tylko drobną potyczką. Wszystko poszło w diabły i wszyscy są przerażeni. Normalność? To łaska. Dla nas to jest jeszcze gorsze.

– Hę? – bąknęła Teia.

– Dla tych, którzy nie popłynęli do Ru. Przycisnęli nas i każą nam ćwiczyć dwa razy ciężiej. Wiemy, że to głównie przez wzgląd na was. Wróciliście jako bohaterowie wojenni. Jesteś ledwie kadetem, a my już słyszeliśmy, jak poprowadziłaś atak na fort na Półwyspie Ruckim.

– Poprowadziłam? – zapytała, nie dowierzając własnym uszom. – Po prostu przez chwilę byłam w straży przedniej.

– Udawałaś żołnierza Krwawych Szat i wciągnęłaś ich patrol w zasadzkę, ratując całą jednostkę i misję, która zakończyła się zabiciem boga. Bez ciebie nie doszłoby do żadnej z tych rzeczy.

– To nie było tak.

– No to co wolisz? – zapytał Benhadad.

– Hę?

– Żeby wszyscy ignorowali to, co się stało, jeśli nie liczyć kilku szeptów, czy żeby wszyscy cię podziwiali, skoro wiesz, że to, co się wydarzyło, nie jest tak chwalebne, jak brzmi w opowieściach?

Teia się skrzywiła.

– Och.

Niech to diabli.

– Nie pierwszy raz Czarna Gwardia ma do czynienia z młodymi wojownikami – odparł Benhadad.

– Od kiedy to jesteś taki mądrała? – zapytała. – Wyjechaliśmy na niecały miesiąc, a teraz nawet twoje okulary działają!

Benhadad wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rozpoznano u mnie trzeci – pochwalił się.

– Co?! Trzeci kolor? – zdumiała się Teia.

Benhadad był dichromatą, który przybył do Chromerii wiosną – było za późno na rozpoczęcie nauki w szkole, ale dostał się na wcześniejsze szkolenie w Czarnej Gwardii. Jak potwierdzały jego okulary o podwójnych soczewkach, opuszczając jedną, zawsze był w stanie krzesać niebieski i żółty, i niewiele brakowało mu do zielonego.

– Ale...

Martwili się, że jeśli zostanie uznany za polichromatę, będzie zmuszony do odejścia z Czarnej Gwardii. Polichromaci byli zbyt cenni, żeby narażać ich na niebezpieczeństwo.

– Wojna wszystko zmienia. Wiesz, jak uszczuplone są szeregi Czarnej Gwardii. Nie pozwolą odejść Czarnogwardziście, skoro już zaczął się szkolić. Nawet jeśli jestem polichromatą. I to ledwo, ledwo.

– Od jak dawna wiesz?

Nie słyszało się, żeby czyjeś zdolność rozszerzały się, jeśli osiągnął już wiek dojrzewania. Większość dichromatów i polichromatów zaczynała od jednego koloru i poszerzała zdolności stopniowo, ale w tym, co powiedział Benhadad, było coś dziwnego.

– Potrafię krzesać rzetelny zielony już od trzech miesięcy.

– Ty łachudro! I nic mi nie powiedziałeś?

– Byłaś za bardzo zajęta Kipem. Cały czas, na służbie i po.

– To jest mój partner.

– Był. – Benhadad wytrzeszczył oczy, jakby się z czegoś wygadał.

– Co to miało znaczyć? – zapytała Teia.

Chłopak zacisnął zęby, skrzywił się i wreszcie powiedział:

– Wojna wszystko zmienia. Myślałem, że może zmieni i to. No wiesz...

– Co niby?

– Kip nie żyje, Teia. Minęły tygodnie. Gdyby lojaliści go znaleźli, już byśmy o tym usłyszeli. Gdyby znaleźli go handlarze niewolników, zażądałiby okupu. Nie trzymają takich zdobyczy jak synowie arystokratów.

– On żyje.

– Nawet jeśli masz rację, to dla nas wszystkich jest martwy. Nawet jeżeli przetrwał, zaatakował Czerwień. Nie może być Czarnogwardzistą.

– Czerwień kłamie. Nie ma mowy, żeby Kip...

– Bo Kip nigdy nie działał pochopnie, co? Jest taki rozsądny. Na jaja Orholama, Teia, to nawet nie ma znaczenia, co się naprawdę wydarzyło. Czerwień to Czerwień. I jest głową swojej rodziny. I, do diabła, jest Androssem Guile! Jeżeli Kip tu wróci, to będzie samobójstwo. Nie wróci już do twojego życia. Po prostu pomyślałem... – Sapnął, jakby uszło z niego całe powietrze. – Słuchaj, przepraszam, że cokolwiek powiedziałem. To było nie...

– Jakie? Jakie?! – dopytywała się Teia.

– Słuchaj, ja... Psiakrew! Zapomnij! – Wybiegł.

Dupek! Teia spojrzała gniewnie na małą niewolnicę, która się na nią gapiła.

– Przepraszam, proszę pani – powiedziała dziewczynka.

Przełknęła ślinę. Nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat, włosy nosiła związane w kitki. Nie było ostatnio żadnych wojen, w których mogła zostać pojmana, co oznaczało, że sprzedali ją rodzice. Zdradzili ją.

Teia przywdziała maskę spokoju. Nie ma sensu straszyć bezradnej dziewczynki gniewem, który nie ma z nią nic wspólnego.

– Tak, caleen?

– Przysłała mnie człowiek, żebym ci powiedziała, że musisz natychmiast się z nim spotkać. Czeka w pani pokoju.

– Człowiek? Jak wygląda?

– Wysoki, proszę pani. Rudy. Dużo się uśmiecha.

Teia zaklęła na głos, aż przestraszyła niewolnicę.

– Wybacz. Możesz odejść. Dziękuję.

Nadszedł czas. Pan Sharp miał dla niej zadanie. Jedno zadanie i będzie wolna. Jasne. Teia wiedziała, jak to działa. Jedno zadanie i bardziej się pograżysz. Za jak głupią ją uważał? Z drugiej strony, jaki miała wybór?

Jak okropne może być to zadanie?

Nie chciała o tym myśleć. Szybko poszła do swojego pokoju – a właściwie pokoju Kipa. Zawahała się przy drzwiach, a potem, uznając, że pan Sharp może zabić ją szybko, niepostrzeżenie i nie zostawiając śladu bez względu na to, co ona robi, otworzyła drzwi.

Pan Sharp siedział na jej łóżku z wdzięcznie założoną nogą na nogę i rękami skrzyżowanymi na kolanach. Obdarzył ją szerokim, pięknym, fałszywym uśmiechem.

– W ciągu godziny do portu wejdzie statek. Nazywa się Czerwona Mewa, płynie z Zielonej Przystani. Na jego pokładzie znajduje się człowiek, przeciętniak, Dravus Weir,

nosi charakterystyczny czerwono-żółto-zielony kapelusz. Będzie niósł plik dokumentów. Być może w tubie kurierskiej zdobionej srebrnymi wolutami na obu końcach. A może nie.

– Wie pan, że nie odróżniam zielonego i czerwonego. I jeśli dokumenty nie będą w tubie, to i tak ich nie zobaczę. Wie pan...

– Doskonale zdaję sobie sprawę z twoich ograniczeń. Próbuję zorientować się w twoich zdolnościach – odparł pan Sharp. – Oczekuje się, że... uwolnisz go od tych dokumentów, zanim dotrze do rezydencji ambasadora Krwawej Puszczy. Dravus Weir jest szpiegiem i będzie się miał na baczności. Cokolwiek się stanie, nie możesz pozwolić, żeby cię zidentyfikował. Wymienię te dokumenty na twoje. Rozumiesz? Twoja wolność za małą kradzież.

Oczywiście, że rozumiała. Bała się tego zadania od...

– Powiedział pan za godzinę?

Będzie potrzebowała właśnie tyle czasu, żeby dotrzeć na miejsce.

Posłał jej rekini uśmiech.

– Proszę wyjść – rozkazała.

– Słucham?

– Muszę się przebrać. Nie pójdę w stroju szczawia. Natychmiast. Nie mam czasu na te bzdury.

Spoliczkował ją mocno, przewracając na podłogę.

– Pamiętaj, kto tu wydaje rozkazy, caleen. Okaż szacunek, bo inaczej cię go nauczę.

Stała na drżących nogach, zaciskając pięści. Marnujesz czas, Teia.

Zdjęła szare spodnie i tunikę kadeta, rzuciła mściwe i mordercze spojrzenie panu Sharpowi, wkładając strój dyscypuła. Będzie się mniej rzucał w oczy niż strój kadeta, ale nadal bardziej niżby sobie życzyła. Niestety, nie była tak bogata, żeby mieć więcej niż dwie zmiany ubrań.

Pan Sharp tylko biernie patrzył.

– Co to za fiolka, którą nosisz? Oliwa? Perfumy?

– To nic takiego.

Nie wnikał.

– Będę czekać przed tawerną Rozdroże. Dwie godziny.

Kilka minut później Adrasteia szła szybko zatłoczonymi ulicami Wielkiego Jaspisu, wymazując strach działaniem. Raz przyuważył ją gang, ale zdołała go zgubić. Jednak straciła przez to kilka kolejnych minut. Raz wydawało jej się, że widziała Kipa, jak wychodził z maleńkiego sklepiku w poprzecznym zaułku, ale to była tylko jej wyobraźnia... Albo wyrzuty sumienia.

To jedno zadanie i będzie wolna.

Oczywiście, to nie będzie prawdziwa wolność. Wplącze się w coś gorszego. Jednak, gdy zdobędzie dokumenty, nie będzie można przekazywać jej z ręki do ręki. Nadal będzie niewolnicą, ale tylko nieoficjalnie – będzie niewolnicą pana Sharpa. Uwolnienie się od jednego człowieka będzie sto razy łatwiejsze niż uwolnienie się od wszystkich praw satrapii.

Jestem niewolnicą, a nie idiotką.

Czy wolała być związana z panem Sharpem, czy raczej z panią Aglaią Crassos? Morderca Sharp był brutalny, a Aglaię poważano. On krył się w cieniach, a ona chowała się na widoku. Teia woli zaryzykować z cieniami. Zrób swoje, Teia. Potrzebujesz do tego całego swojego sprytu.

To było niemożliwe. Nie miała czasu, żeby sięgnąć po narzędzia, po przebranie. Nie studiowała człowieka, którym miała się zająć. W tym zadaniu kryło się coś więcej. Możliwe, że Morderca Sharp po prostu nie wiedział, że prosi o niemożliwe. A może coś ukrywał?

Na pewno. Teia była tego pewna. Jeśli jednak chodziło o coś więcej, to o co właściwie? Chciał, żeby jej się nie udało? Dlaczego?

Nadal myślisz. Później będzie na to czas. Najpierw musiała dopilnować, żeby jej się udało. Chociaż ubrana w buro-białą sukienkę uczennicy Chromerii i z włosami związanymi złocistą chustką wyglądała o niebo mniej podejrzanie niż w stroju kadetki, to nadal było za mało.

Minęła dziesięć przecznic, zanim znalazła to, czego potrzebowała: chłopca, mającego ze dwanaście lat – ważne, żeby był młodszy – przed sklepem. Zamiatał, był sam, pracował pilnie odziany w strój czeladnika i prosty kapelusz o szerokim rondzie.

Idąc, zaczęła lekko kołysać biodrami. Zerknął na nią, zagapił się, odwrócił wzrok onieśmielony, znowu zerknął.

– Cześć, przystojniaku – powiedziała, idąc prosto do niego.

– Kto? – zdumiał się, rozglądając się na prawo i lewo. – Ja? Ehm...

Pocałowała go w usta, zdjęła mu kapelusz, otarła się o niego ciałem.

Cały zeszywniał. Wypuściła go z objęć.

– Dzięki – mruknęła, wkładając sobie jego kapelusz na głowę.

Stał z rozdziawionymi ustami. Odjęło mu mowę.

Obejrzała się, zanim skrzyła za róg, i posłała mu pocałunek. Trzymał uniesiony palec, ale nawet nie drgnął. Zapomniana miotła upadła na bruk u jego stóp.

Następne dwa kwartały Teia przebiegła, na wypadek gdyby chłopak się otrząsnął. Potem zaczęła zerkać na sznury z praniem, szukając czegoś w swoim rozmiarze. Pranie powinno suszyć się tylko w najgorętszej porze dnia, żeby promienie światła z Tysiąca

Gwiazd mogły bez przeszkód płynąć, gdyby okazały się potrzebne późnym popołudniem albo wieczorem, ale nie wszyscy, rzecz jasna, przestrzegali reguł. Oczywiście była przygotowana, że ukradnie coś niedopasowanego. Miała pasek, na wypadek gdyby spodnie okazały się za duże, i dopóki koszula albo tunika nie będą ogromne, powinno się udać. Tyle że workowate ubranie może się okazać utrudnieniem – nie chciała, żeby spodnie spadły jej z tyłka i zawinęły się wokół kostek, kiedy będzie uciekać.

Zwolniła, kiedy zobaczyła to, czego chciała. Chłopięce spodnie i tunika, razem na sznurze, jedno piętro wyżej, a pod nim stał wóz. Dziewczynka, może sześćioletnia, trzymała kuca, pilnując wozu, póki ojciec i matka byli w domu.

Teia zaczęła biec i wskoczyła na wóz, weszła na krawędź jak kot chodzący po płocie. Zerwała spodnie i tunikę, zeskoczyła, opierając stopę na siedzeniu woźnicy, i przekoziółkowała, lądując na ulicy.

Poderwała się niecałe pięć kroków od dziewczynki.

Mrugnęła do małej i uśmiechnęła się. A potem się ukloniła. Dziecko było tak zaszokowane, że Teia pomyślała, że może nic nie powie.

Niestety, wtedy dziewczynka wybuchnęła płaczem.

Teia odeszła tak szybko, jak potrafiła, i nie dotarła nawet do rogu, kiedy matka wybiegła z domu. Na szczęście, dziecko było tak zdenerwowane, że nie potrafiło wyjaśnić matce, że jakaś kobieta skoczyła z nieba. Teii udało się wymknąć.

Unikała głównych ulic, wołała niewielkie ryzyko od tłumów. Potem skoczyła w drzwi piekarni. O tak później porze była zamknięta, latarnie zgaszono.

Teia wciągnęła spodnie pod sukienkę, rozejrzała się po ulicy i dostrzegła tylko kilka kobiet, a te nie zwracały na nią uwagi, więc zrzuciła sukienkę. Włożyła tunikę, szybko złożyła sukienkę, przepasała spodnie i tunikę paskiem, ułożyła strój tak, żeby wisiał na niej luźno. Włożyła kapelusz, schowała pod niego włosy, a złożoną sukienkę upchnęła na brzuchu pod tunikę. Pasek trzymał ją w miejscu, a przy okazji sukienka ukryła jej skromne krągłości.

To było przygnębiające, jak niewiele musiała zrobić, żeby wyglądać jak chłopak.

W porcie znalazła się dziesięć minut później. Kiedy wchodzisz do portu z morza, cały twój podziw zagarniają kopuły miasta, gwiazdy i siedem błyszczących wież Chromerii. Wejście do niego od strony miasta to całkiem inne przeżycie. Nazwanie go rozległym było niedopowiedzeniem. Wielki Jaspis był jednym z największych miast świata i prawie wszystkie towary trzeba było sprowadzać do niego drogą morską. System sprawiał wrażenie chaotycznego dla niewtajemniczonych, ale Teia słyszała raz, jak pewien uczeń, którego ojciec jest dokerelh, rozplýwał się w zachwytach nad symetrią i artyzmem portu. Dla niej wyglądał jak mrowisko. Krzyżujące się drogi tysiąca ludzi, płatanina statków

wszelkich rozmiarów, wozy wylewające się i wlewające, kolejki krzepkich mężczyzn idących w jednym kierunku, kobiety z liczydłami przesuwające koraliki w celach, których Teia nie potrafiła nawet odgadnąć.

Podeszła prosto do człowieka, który odpowiadał na pytania robotników, wy kierowując ich w różne miejsca.

– Czerwona Mewa? – zapytała, obniżając głos o jedną oktawę.

– Przystań dwunasta, zielona strona.

Gdyby powiedziała mu, że informacja „zielona strona” nie pomaga daltoniście, zwróciłaby na siebie uwagę, więc zacisnęła usta i poszła.

Czerwona Mewa już przycumowała i zanim Teia dotarła do przystani dwunastej, zobaczyła eleganta w kapeluszu o szerokim rondzie, w kolorze żółtym i w różnych odcieniach szarości. Jej człowiek. Niesamowity fart.

Wyglądał na nieco umęczonego morską podróżą, z ulgą witał suchy ląd pod stopami. Pogwizdywał.

Teia wciągnęła paryl, złożyła dłoń i wykrzesła trochę niedoskonałego parylu, żeby szybko rozpadł się na parylowe światło. Rozluźniła oczy i pochyliła głowę, by rondo kapelusza jak najlepiej je osłaniało. Musiała zrobić to szybko. Za żadne skarby nie mogła założyć okularów, na które stać było tylko bogaczy, i nie zdradzić się. Jeśli jednak ktoś zauważy jej źrenice, pewnie zacznie krzyczeć.

Światło przebiło się przez ubranie i włosy mężczyzny, lecz nie było dostatecznie silne z tej odległości, żeby przebić się przez grube skórzane rękawice i buty. Patrzyła, jak mężczyzna przechodzi.

Sprzączka od pasa, miecz, monety schowane w kieszeni na piersi. Wszystko to rozbłysło bielą w jej oczach. Nie było jednak etui na dokumenty ze srebrnymi zdobieniami.

Jeśli miał przy sobie dokumenty, to albo schował je do butów lub rękawic, albo wsunął pod pas. Chyba że papier był tak cienki, że paryl przeszedł przez niego na wylot. Tak czy inaczej, nadal grała w ciemno.

Ruszyła za celem, trzymając się jakieś trzydzieści, czterdzieści kroków za nim. Jeśli dostarczał dokumenty ambasadzie Krwawej Puszczy, to miała jakieś piętnaście minut, żeby je przechwycić. Znała Wielki Jaspis całkiem dobrze, ale nie miała pojęcia, jak dobrze orientował się na nim szpieg. Okolice w pobliżu portu i Dzielnica Ambasad nie były tak ubogie jak te dalej na północy.

Szpieg szedł pewnym krokiem, ale czasem zerkał za siebie. Nie patrzył na mapę i nie pytał o drogę. Zatem znał miasto.

Teia nie mogła iść za nim ani skrócić dystansu, póki był tak ostrożny. Przebrana za chudego chłopaka w kapeluszu dobrze wtapiała się w tłum, ale ten człowiek był szpiegiem.

Z pewnością zauważy ją, zanim zdąży go dogonić i okraść.

Jeśli jednak znał miasto i szedł prosto do ambasady, musiał przeciąć dwa zaułki między głównymi arteriami w różnych punktach.

To było ryzykowne, ale Teia nie miała niczego lepszego.

Szpieg musnął lewą rękawicę, jakby się upewniał, że coś nadal tam jest. Czyli w rękawicy. Co za fart!

Teia oderwała się od celu i skręciła w lewo, kiedy doszła do miejsca, gdzie drogi się rozchodziły. Przeszła pół kwartału i zaczęła biec. To zwracało uwagę, ale niezbyt dużą.

Praktykanci często musieli biegać, kiedy wypełniali obowiązki wyznaczone przez mistrzów.

Obiegła kilka kwartałów, biegnąc szybko. Tłumy się przerzedziły, a ona skręciła w ulicę, żeby przeciąć drogę szpiegowi. Za późno. On już tam był, przechodził przed jej nosem przez ulicę. Teia zaklęła cicho i zawróciła po własnych śladach.

Ostatnia szansa. Tym razem popędziła najszybciej jak mogła do ostatniego zaułka. Była dostatecznie drobna, żeby wyglądać na chłopca, który się bawi. Starła się, żeby panika nie malowała się na jej twarzy. Została jej tylko jedna szansa.

Skręciła w przecznicę i dotarła do wylotu zaułka.

Dyszając ciężko, starając się uspokoić nerwy i powstrzymać drżenie rąk, pochyliła głowę nisko, by ukryć twarz, i weszła do zaułka. Mężczyzna był na drugim końcu i szedł w jej kierunku. Serce Tei waliło tak mocno, że kołysało całym ciałem. Nikogo innego nie było w Zaułku. Jeśli będzie szybka, zdoła przeciąć mu drogę, kiedy będzie mijał najwęższy punkt. Doskonale.

Teia szła z pochyloną głową, spuszczonego kapeluszem, osłaniając oczy. Nie załatwi tego ze szczególnym wdziękiem. Wpadnie na cel i zwędzi dokumenty, więc jeśli mężczyzna nie zorientuje się od razu, to na pewno w ciągu następnych kilku sekund. Nie było tu tłumu, niczego, co odwróciłoby jego uwagę. Miała tylko nadzieję, że uda jej się dostatecznie szybko uciec. Już obmyślała sobie drogę ucieczki, ale co będzie, to będzie. Skup się. Najpierw kradzież.

Znalazła się w przewężeniu w tym samym momencie co szpieg. Udała, że się potknęła. Uniósł ręce i ją odepchnął. Złapała za dokumenty, ale niezbyt czysto – pociągnęła też za rękaw. Szpieg się odwrócił, kiedy wyszarpnęła listy. Psiakrew!

I wtedy coś się wydarzyło. Zbyt szybko, by za tym nadążyła. Cień w przewężeniu zaułka ożył, oderwał się od ściany, której był częścią, i złapał ją za rękę.

Pchnął szybko jak smagnięcie batem ku szpiegowi. Coś ciepłego obryzgało jej usta i szyję. Szpieg uniósł ręce spanikowany – miał poderżnięte gardło; żyła szyjna opryskała Teię krwią.

Teia odepchnęła szpiega, który padł, łapiąc powietrze jak ryba. Zabójca spowity w cienie włożył jej coś do ręki. Zakrwawiony nóż.

Rozpoznała go po posturze, rozmiarach i oczach, bo poza tym był całkowicie zasłonięty, płaszcz ciasno osłaniał mu głowę, brzegi kaptura spięto ciasno, więc zasłaniały twarz jak maska i tylko oczy pozostały odkryte. Morderca Sharp.

Wypuścił ją, cofnął się szybko, przechodząc nad umierającym u jego stóp szpiegiem, jakby nie było niczego godnego uwagi w zamordowaniu człowieka.

-Teraz jesteś morderczynią – powiedział. – Uciekaj, bo będziesz miała przesrane.

Jego płaszcz zamigotał, poczynając od okolic oczu, światło zamrugało smugami podobnymi do dymu, które opadły po spirali wzdłuż jego ciała, i Sharp zniknął.

Usłyszała zgrzyt podeszew w zaułku, ale niczego nie było widać. Spróbowała spojrzeć w parylu, ale nie mogła nad sobą zapanować. Stała jak zmrożona. Spojrzała na siebie – była cała we krwi, stała z zakrwawionym nożem w ręku nad człowiekiem umierającym u jej stóp.

Przenikliwy dźwięk żeglarskiego gwizdka przeciął powietrze, trzy tony wezwania na pomoc. Nie dało się tego z niczym pomylić.

– Powodzenia – odezwało się powietrze.

Niemalże słyszała, jak Morderca Sharp uśmiecha się szeroko, chociaż tego nie widziała.

Stała sparaliżowana jeszcze przez chwilę. Zobaczyła strażnika dwieście kroków dalej w zaułku. On też ją zobaczył z zakrwawionym ostrzem w ręce, stojącą nad martwym człowiekiem. Uciekła.

ROZDZIAŁ 18

Gavin miał nadzieję, że wejście statku do portu da mu szansę ucieczki. A przynajmniej wysłania wiadomości. Albo chociaż – miał nadzieję – naturalne dla żeglarzy przechwałki sprawią, że wieść o nim dotrze do Chromerii. Jednakże Artylerzysta może i był szalony, ale nie był głupi. Po zajęciu ilytańskiej galery skierowali się prosto do portu. Ilytańskich żeglarzy, którzy przetrwali atak, przykuto do ich własnych wiosł w miejsce martwych galerników, dano im nowe wiosła z zapasów Wrednej Szkapy i trzymano z dala od załogi Artylerzysty.

Z dala od Gavina.

Wredna Szkapę stanęła na kotwicy spory kawał od najbliższego miasteczka – cokolwiek to było. Niewolnicy uważali, że to Corrath Zdrój, ale ponad połowa niewolników to byli Angarczycy, zatem ludzie nieznający Morza Lazurowego. Gavin uznał więc, że zgadują, nadają nazwę miejscu, żeby karmić się złudzeniami, że jakoś panują nad sytuacją. Drugą galerią, Szalem Mórz – górnolotna nazwa, ale Ilytanie nie słyną ze skromności – zawiadywali pierwszy oficer Artylerzysty, trzeci, który nienawidził pierwszego oraz Leonus, który nienawidził wszystkich.

Gavin uznał, że to sprytny ruch. Ludzie, którzy siebie nienawidzili, nie zmówią się. Jeśli oficerowie wrócą i ich odpowiedzi na pytanie, ile dostali za galerę i ładunek, będą się bardzo różniły, można zapytać Leonusa. Nie był to plan niezawodny, ale rozsądny, zwłaszcza jeśli następnym razem wyślesz innych ludzi.

Załoga, która została na statku, była nieszczęśliwa, bo nie miała okazji zejść na ląd, ale Artylerzysta uciszył ją krótkim rozkazem paru chłost.

Oficerowie i Leonus wrócili następnego ranka, sprzedawszy Szal Mórz z niewolnikami i bez wątpienia spędziwszy noc w burdelu, ale to jest podatek, który każdy kapitan gotów jest zapłacić. Podnieśli kotwicę i natychmiast wypłynęli. Jedyne zapasy, z jakimi ludzie wrócili, to beczki sucharów i beczki z brandy. Wszyscy galernicy dostali po miarce, a ci z pierwszych sześciu rzędów podwójną. Leonus wszystkim polał za mało, zostawiając dla siebie dość, żeby się gruntownie pochorować.

Było to także gruntownie głupie. Gdyby polał mniej tylko kilku z nich albo tym na tyłach, mógłby ukraść taką samą ilość alkoholu. A tak zjednoczył wszystkich niewolników przeciwko sobie.

Kiedy już płynęli od paru godzin, Gavin został zakuty, uwolniony od wiosła i wyholowany schodami. Zabrano go na rufę, gdzie Artylerzysta już czekał.

Znowu zmuszono go do ukłęknięcia, a łańcuchy wpięto do koła w pokładzie. Nie walczył, nie skrzywił się.

– Stanowisz problem – orzekł Artylerzysta.

Odprawił Leonusa i drugiego żeglarza, który przyprowadził Gavina. Trzymał swój osobliwy miecz-muszkiet na ramionach i oparł na nim rękę, jakby to było jarzmo.

– Bardzo przepraszam – odparł Gavin.

Zerkając szybko, znowu przyjrzał się ostrzu – białe i czarne, z siedmioma jaśniejącymi klejnotami. Gdyby widział kolory, z pewnością robiłoby większe wrażenie.

– He czasu upłynie, zanim wyznaczą twojego zastępcę?

– Ludzi takich jak ty czy ja nie da się zastąpić, po nas może jedynie nastąpić ktoś inny.

Szybki rozbłysk uśmiechu, ale zaraz po tym padło:

– Odpowiedz na pytanie, Szóstko.

– Zgodnie z tradycją, Pryzmatów i Pryzmatów elektów wyznacza się tylko w Dniu Słońca. Jeśli Pryzmat czy Pryzmatka umrze przed Dniem Słońca, wykonywanie większości ich obowiązków zostaje odroczone, a równowagę utrzymuje się ręcznie, to znaczy, krzesicielom na świecie mówi się, żeby nie krzesali jednego koloru, za to krzesali więcej innego.

– Wreszcie dobra nowina – powiedział Artylerzysta. Splunął na pokład. – „Zgodnie z tradycją”?

– W czasie wojen czterokrotnie wyznaczono Pryzmata wcześniej, odkładając ostateczne ceremonie do Dnia Słońca.

– Czyli to możliwe, że już cię zastąpiono? – zapytał Artylerzysta. – W takim razie chyba dobrze, że radzisz sobie przy wiosle.

Och, Artylerzysta martwił się, że jeśli nie dostanie okupu przed wyznaczeniem nowego Pryzmata, wartość Gavina spadnie. Na święte klejnoty Orholama, jakby Gavin był rzeczą. Myśl zabrzęczała dysonansowo, wibracje strąciły piasek z powierzchni, które były gładkie, ukazując pod nimi zardzewiałe gwoździe. Być zmuszonym do wiosłowania to jedno. Nawet bicie było trudne do zniesienia i doprowadzało go do szału, ale to nie było nic gorszego od tego, z czym miał do czynienia podczas szkolenia. Obolałe mięśnie? Miał takie przez pięćset dni z rzędu, kiedy projektował ślizgacz. Różni ludzie próbowali go zabić, obawiano się go i nienawidzono go, gdziekolwiek poszedł. Ale żeby być niewolnikiem?

Nie, to był tylko niemiły kraj, który odwiedzał. To nie był jego nowy dom. Dobry w wiosłowaniu? Mógł uciec albo zostać uratowany, nie było co do tego wątpliwości. Nie był galernikiem, po prostu przez pewien czas wiosłował.

Gavin miał własnych niewolników. Kiedy zauważał zabląkany wyraz twarzy – strach, rozpacz albo odrazę – zastanawiał się, czy stoi za tym próba zamachu. Jeśli nie, ignorował spostrzeżenie. Ignorował tych ludzi. Ponieważ nie zasługiwali na jego uwagę.

Jedynym niewolnikiem, którego traktował jak istotę ludzką, była Marissia. Był dla niej przynajmniej dobry. Więcej niż dobry. Był doskonałym właścicielem dla swojej najbliższej niewolnicy. To musiało się liczyć.

– Jesteś pewien, że twój ojciec nie chce cię odzyskać? – zapytał Artylerzysta.

– Widziałeś, gdzie był miecz, prawda?

Gavin miał na myśli moment, kiedy Artylerzysta wyłowił go z wody. Sam tego nie pamiętał, ale powiedziano mu, że przeklęte ostrze przebiło go na wylot.

– To robota mojego ojca.

To była prawda, do pewnego stopnia. Gavin przyjął cios na siebie, kiedy zorientował się, że albo on zginie, albo Kip. Dziwny gest, wyraz szaleńczego heroizmu. A potem Kip utonął. I to udowadniało, jaki jest pożytek z heroizmu.

– Czego chcesz? – zapytał Gavin.

Artylerzysta rozłożył ramiona, grzejąc się w słońcu. Kurtka rozchyliła się na muskularnej nagiej piersi. Z łatwością utrzymywał miecz – muskiet z kości i hebanu.

– Artylerzysta chce legendy.

– Masz dwie. Pogromca Morskiego Demona? Byłeś legendą od szóstego, może dziesiątego roku życia. No i pojmałeś mnie, to już kwintesencja legendy.

– Skoro tak mówisz – odparł kapitan, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Pomyślałem, że Artylerzysta nie uznaje fałszywej skromności – odparł Gavin.

Artylerzysta się zawahał.

– Owszem – przyznał. Zadumał się. Wreszcie wskazał na statek, załogę, nawet cudowny miecz. – To nie wystarczy. Rozumiesz? Z nich wszystkich ty jeden rozumiesz, prawda? Byłem chłopcem, kiedy dokonałem tamtego. To nie może być szczytowanie mojego życia, nie?

Gavin nie uśmiechnął się, słysząc ten malapropizm. Artylerzysta nie przełknąłby nawet sugestii kpiny w dobrej wierze, nie w tej chwili.

– Miałem szczęście – powiedział Artylerzysta. Pokręcił głową. – Człowiek to więcej niż jeden czyn, prawda? – Nie chciał jednak, żeby Gavin odpowiadał. Wskazał na horyzont z ponurym rozbawieniem. – Tam. Widzisz?

Gavin nie widział.

Artylerzysta chrząknął, patrząc na jego łańcuchy, ale postanowił je zostawić.

– Ściga nas galera. Należy do Mongalta Shalesa. Poprzysiągł mi zemstę. Dwa lata temu, kiedy byłem kanonierem u słynnego kapitana Gilesa Tannera. Znasz go?

Gavin pokręcił głową.

Artylerzysta odchrząknął, jakby to była szkoda, lecz dygresja odciągnęłaby ich zbyt daleko od tematu, żeby teraz opowiadać o Tannerze Gavinowi.

– To pirat, rzecz jasna. Natrafiliśmy na galere i zaczęliśmy pościg, strzeliłem z kolubryny. Nie zestrzeliłem po prostu pierwszego oficera przy sterze. Wysadziłem całe koło. Z trzystu kroków. Przyznaje miałem trochę szczęścia przy tym strzale. Galera nie mogła skręcić i już było po walce. Nikt więcej nie zginął.

– Oficer wysadzony przy sterze był krewniakiem Shalesa? – zgadywał Gavin.

– Jego siostrą. Od tego czasu mnie ściga. Znalazł mnie w zajeździe w Wiwurghu. Zaczął bójkę. Wybiłem mu połowę zębów. Znalazł mnie w burdelu w Smussato. Wyzwał mnie na pojedynek. Zasugerowałem pistolety. Wybrał miecze. Zostawiłem go z tuzinem ran i złamaną ręką. Znalazł mnie w tawernie w Odess. Znowu wyzwał mnie na pojedynek. Zapostałowałem, żebyśmy strzelali z pistoletów z odległości czterdziestu kroków. Nie trafił. Strzeliłem mu w krocze. Podciąłem mu skrzydła, ale nigdy nie słyszałem, czy rzeczywiście pozbawiłem go męskości. Przeżył, więc nie mogło być bardzo źle, ale widziałem krew. Myślałem, że to go zniechęci.

Uznałeś, że wykastrowanie faceta sprawi, że zarzuci myśl o zemście?

– Od tej pory mnie ściga. Zachowuję bezpieczną odległość, żeby się z nim podroczyć. Żeby myślał, że mnie złapie, jeśli wiatr mu będzie sprzyjał albo popełnię błąd. Nie bardzo wiem, jak motywuje swoją załogę. Myślę, że któregoś dnia się zbuntują.

– I pozwalasz, żeby ten śmiercionośny kłopot się jątrzył, bo...? Bo się nudzisz?

To, że Artylerzysta nie zabił prześladowcy, oznaczało, że albo jest lepszym człowiekiem, niż Gavin sądził, albo o niebo, niebo gorszym.

– Artylerzyście podoba się to słowo. Co znaczy?

Które...? Ach, jątrzyć.

– Zaogniać. Pogarszać. Jak, kiedy w ranę wdaje się gangrena i zaczyna się paskudzić.

– Wiedziałem, że to dobre słowo. Jesteś mądrym człowiekiem, Pryzmacie. Jadzie.

– Jątrzyć – poprawił go Gavin, zanim ugryzł się w język.

Przez chwilę twarz Artylerzysty wyrażała chęć mordy, ale to zaraz minęło.

– Jątrzyć – powtórzył ostrożnie. – Co by zrobił twój ojciec, gdybym wysłał mu twoje oczy?

Gavin stłumił nagłe uderzenie odrazy i strachu.

– To zależy.

– Ależ mów śmiało.

– Bez wątpienia wyraziłby publicznie swój żal. To byłoby przedstawienie, którego naprawdę bym żałował. A potem i tak by cię ścigał. Powiedz mi jednak, czy moje oczy

nadal są pryzmatyczne?

Pięść Artylerzysty pojawiła się znikąd i trafiła Gavina z boku w szczękę. Będąc w łańcuchach, na kolanach, nie mógł się bronić, więc padł ciężko na pokład. Usłyszał mechaniczny zgrzyt i podniósł wzrok, mimo krwi napływającej mu do ust, by zobaczyć, jak Artylerzysta ładuje miecz-muszkiet, odciąga kurek i celuje w jego głowę.

– Kpisz sobie ze mnie? – zapytał Artylerzysta.

Co?

– Moje oczy – powtórzył Gavin. – Czy wyglądają jak pryzmaty? Czy odbijają światło?

– Nie, są zwyczajnie niebieskie – odparł Artylerzysta, patrząc ponad lufą. – Ach, pryzmowe. Jasne. Wybacz. – Uniósł broń. – Pryzmowe?

– Zgadza się.

– Pryzmowe?

– Pryzmatyczne – przyznał Gavin.

– Pryzmatyczne. Zgadza się. Twoje oczy były kiedyś całe pryzmatyczne. Gdyby Artylerzysta je wyłupał i posłał papie, to on by pomyślał, że jednak nie mam jego synalka. Zdaje się, że zachowasz swoje patrzyłki. Oczywiście, mógłbym jedną wyłupać. Tak dla zasady.

Karris, czy mogłabyś przybyć i uratować mi tyłek? Póki jeszcze jest jakiś tyłek do ratowania? Proszę.

– Wiesz co, Artylerzysto, naprawdę bardzo cię lubię. Chociaż mnie przerażasz.

Artylerzysta uśmiechnął się szeroko i niebezpieczeństwo minęło. Znowu spojrzał na morze.

Gavin chciał się odezwać, ale potem uznał, że lepiej nie. Artylerzysta stał zadumany. Niech sobie pomyśli.

– Wspaniały muszkiet i niemożliwe zadanie – odezwał się po długiej minucie.

– Hm?

– Tego właśnie chcę. To wszystko. – Spojrzał na swój miecz-muszkiet, który wyciągnął z piersi Gavina, jakimś cudem go nie zabijając. – Kiedyś chciałem wykonać idealny muszkiet. Ta broń zniszczyła to marzenie. Nigdy nie stworzę czegoś równie doskonałego. Kiedyś chciałem przemknąć się przez Wrota Mroku. Ten statek zabił to marzenie. Wszystko już zrobiono. – Zatupał o pokład. – Artylerzysta za późno się urodził. Ostatnie niemożliwe zadanie na świecie wykonał w młodości.

Zapadł się w siebie, jasne słońce nie przenikało już jego ciemności.

– Nie sądzę, żeby to była prawda – powiedział Gavin. – Istnieje tuzin wyzwań godnych...

Kolba muszkietu śmignęła, uderzając Gavina w żołądek i aż mu zaparło dech w piersi.

– Nie waż się próbować mnie ugruchać, Guile! Nie jestem dzieciakiem, żebyś mnie próbował wykołkować. Zabrać go na dół! – ryknął. – Natychmiast! Zanim Artylerzysta odstrzeli łeb naszemu łupowi!

ROZDZIAŁ 19

Ledwie stopy Teii zaczęły uderzać o bruk, jej umysł się zamknął. Była jak zwierzę. Dotarła do wąskiego skrzyżowania w zaułku i zdała sobie sprawę, że nadal ma w rękach zakrwawiony nóż. Zatrzymała się z poślizgiem, odwróciła się, cisnęła nóż w głąb zaułka, a potem znowu się odwróciła i pobiegła w przeciwnym kierunku. Dzwonienie stali o kamienie odebrała jak kolejny dzwon bijący na alarm. Otarła twarz rękawem. Wybrudził się krwią.

Cała była we krwi. Dobry Orholamie, ratuj. Teia przebiegła kwartał, przy rogu zwołniła do spaceru, wyszła na główną ulicę i ruszyła do pierwszego sklepu. To był sklep dla gręplarzy i tkaczy; szerokie okiennice były otwarte, część towarów wystawiono na ulicę. Widząc w środku starą, bezzębną kobietę za kontuarem, Teia przykucnęła między wieszakami z tkanymi z koziej wełny ghotrami a zewnętrzną ścianą. Jeśli kobieta wyjdzie, otwarte drzwi zasłonią przed nią Teię.

Teia zdążyła się tylko zastanowić, czy popełniła straszny błąd, kiedy rozległy się gwizdy. Usłyszała, że jacyś ludzie przebiegają raptem dziesięć kroków od niej. Strażnicy, dmuchający w gwizdki przenikliwie i gniewnie. Biegli w stronę miejsca morderstwa, nie od niego. Na razie próbowali się zorientować, co się stało, a nie złapać tego, kto to zrobił.

To było straszne, nie móc niczego zobaczyć, ale Teia pozostała schowana i po paru sekundach drzwi zaskrzypiały. Ze sklepu wyszła nie tylko stara kobieta, ale i jakaś druga. Minęły Teię.

– Jak myślisz, o co chodzi tym razem? – zapytała młodsza.

Teia wskoczyła przez otwarte okno do sklepu i lekkim, szybkim krokiem wbiegła po potężnych schodach. Rozległe pomieszczenie na piętrze było po krokwie wypchane surową wełną, niestety, drzwi na dach zaryglowano i zamknięto zamek.

– Jofez? – rozległ się męski głos; najwyraźniej ktoś usłyszał jej kroki. – Jesteś na górze?

Niech to wszyscy diabli!

Usłyszała kroki na schodach, więc schowała się za stosem wełny. Mężczyzna nie niósł latarni, ale ona też nie miała żadnej, a jej wzrok nie przywykł do ciemności. Już raz tak zamarła i z powodu strachu nie mogła świadomie rozszerzyć źrenic. A jeśli zawsze tak robiła? A jeżeli jej przeznaczeniem było zawodzić zawsze, gdy to ważne? A jeśli...

Teia zamknęła oczy, odetchnęła i znowu je otworzyła. Poczowała rozciąganie, kiedy jej

żrenice rozszerzyły się, szerzej, jeszcze szerzej, żeby dobrze widzieć w ciemności i podczerwieni.

Ciepła plama mężczyzny stojącego na półpiętrze pojawiła się przed jej oczami. Więcej nie mogła uzyskać za pomocą podczerwieni. Najgorętsza twarz, ciepło wszędzie, gdzie skóra była odsłonięta, ciemniej tam, gdzie ubrania zasłaniały ciało, z wyjątkiem pach i krocza.

Chciała obejść mężczyznę, ale ponieważ patrzyła na niego zamiast na otoczenie, uderzyła stopą o drewnianą podstawę pod stertą surowej wełny. Rozległ się głuchy łoskot.

– Jofez? – powtórzył mężczyzna, podchodząc.

Podczerwień nie wystarczała. Z szybkością, o którą siebie nie podejrzewała, Teia rozluźniła oczy bardziej i wykrzesła parylową pochodnię, lecz paryl nie przebijał się na wylot przez ciężką wełnę. To na nic.

Dajże spokój! Desperacja nagięła jej wolę i parylowe światło wyostrzyło się i przebiło przez obrzeża stosów wełny. Oświetliło je słabo, ale to wystarczyło, żeby dostrzegła mężczyznę idącego przed siebie raptem stopę od niej. Ruszyła ostrożnie między stosami, widząc teraz z łatwością wszystkie szczegóły podłoża, nie wydając żadnego dźwięku.

– Melina, jeśli to ten twój przeklęty kot, to go zatłukę. Już tyle razy napędził mi strachu, a nawet nie łapie szczurów. – Mężczyzna marudził, schodząc na dół. – Co tu się, u diabła, dzieje? – zapytał, kiedy wreszcie usłyszał gwizdki.

I zniknął.

Adrasteia odetchnęła. Prawie skończył jej się paryl, więc dała światłu zgasnąć.

Nie miała wiele czasu. To był ślepy zaułek, musiała się stąd wynieść. Przemykała między stosami, aż znalazła upraną i wybieloną wełnę, sądząc po zapachu i dotyku. Wzięła trochę i otarła ręce. Nie miała lustra i nie miała pojęcia, gdzie dokładnie pobrudziła się krwią, ale musiała postarać się jak najlepiej, i zrobić to szybko. Zużyta wełnę wepchnęła głęboko w stos – może obwinia kota, pomyśla, że zabił tam szczura. Przykro mi.

Potem zdjęła skradzione chłopięce ubrania i tuniką otarła do czysta twarz, pierś i ręce, mając nadzieję, że usunęła całą krew. W ciemnościach włożyła sukienkę i zaczęła szukać sznurówek.

Pośpiesz się, Teia. Ruchy.

Zastanawiała się, czy nie porzucić tam zakrwawionych ubrań, ale już za kilka minut ktoś może tu wejść z latarnią, a jeśli poskładają fakty w całość, strażę zaczną pytać, czy ktoś nietypowy nie wychodził ze sklepu. Ktoś w sąsiedztwie powie, że widzieli dyscypuła i poszukiwania szybko się zawężą.

Będzie więc musiała przenieść zakrwawione ubrania – niech to diabli! – tuż pod nosem

ludzi. Złożyła je najciaśniej, jak się dało, zdjęła kapelusz, upchnęła rzeczy do środka i zeszła po schodach, starając się nie ujawniać niepokoju szalejącego w jej sercu.

Nikogo nie było w sklepie, ale sporo sklepikarzy i przechodniów szło w stronę zaułka zobaczyć, co się stało. Teia popatrzyła po sobie, szukając krwi. Wyglądało na to, że sukienka jest czysta – bała się, że krew, którą nasiąknęła halka, mogła poplamić sukienkę, ale z tego co widziała, miała szczęście. Rozejrzała się za lustrem. W sklepie nie było ani jednego.

Z sercem podchodzącym do gardła zaczęła wychodzić przez okno i mignęła jej przy tym własna ręka – miała krew pod paznokciami i przy wszystkich skórkach. Obu rąk.

Do diabła.

Wyszła na ulicę, przemykając za plecami starszej kobiety. Młodszy mężczyzna i kobieta już szli w stronę zaułka, zostawiając sklep pod opieką starszej.

Kiedy Teia oglądała się przez ramię, prawie wpadła na właściciela innego sklepu, który stał na ulicy, rozdarty, czy zająć się sklepem, czy pójść zobaczyć na własne oczy, co się stało.

– Mówią, że to morderstwo – powiedział do Teii.

– Niech Orholam nam błogosławi, to straszne – odpowiedziała. Mówiła szczerze. Wezbrała w niej fala emocji. Z trudem przełknęła ślinę, zaciskając pięści i zęby.

Nie teraz, Teia, nie teraz.

– Takie rzeczy tu się nie zdarzają – dodał. – My ufajemy porządni ludzied.

Mruknęła potakująco i poszła dalej. Ledwie zauważył jej odejście. To było straszne, iść pod prąd ciekawskich ze świadomością że jeśli będzie oglądać się przez ramię, to zrobi wrażenie winnej. Usłyszała, że ktoś biegnie.

– Z drogi! Z drogi! Miejsce dla straży!

Szła dalej. Przenikliwy gwizd dwadzieścia kroków za nią.

Nie biegnij. Wyglądasz jak bezradna dziewczynka. Strażnik nie rzuci się na ciebie, a tylko złapie cię za rękę. Wtedy wyprowadzisz kontratak. Jeśli zaczniesz biec, na pewno rzuci się i cię powali. Z jego wagą przeciwko twojej już jesteś trupem.

Gwizdek rozległ się niemal przy jej uchu. Gdy złapie cię za rękę, odwróć się i uderz go łokciem w głowę, żeby go ogłuszyć. Potem uciekaj. Dwie przecznice do podziemnego rynsztoka. Tam zastanowisz się co dalej.

Wtedy, słysząc dudnienie kroków zorientowała, że to nie jeden strażnik biegnie, lecz dwóch. Dwóch? Jej plan nie sprawdzi się przy dwóch. Zamarła.

Strażnicy przebiegli obok niej.

– Straż biegnie! Z drogi! – ryknął jeden z nich.

Biegli dalej i zniknęli w wieczornym tłumie.

Na wysokości następnego kwartału życie biegło normalnym torem, tłumy nie były świadome śmierci w sąsiedztwie. Teia przeszła do fontanny na targu, gdzie niektórzy kramarze zamykali już stragany. Usiadła na brzegu i zanurzyła palce w wodzie, jakby od niechcenia. Usiadła prosto, rozejrzała się, czy nikt nie patrzy, i potarła paznokciami o złożoną tunikę.

– Co robisz? – zapytał ją chłopczyk.

Był nieznośnie słodki. Pewnie synek jednego z kupców.

-Jestem krzesicielką. Zmykaj, bo cię podpalę.

Chłopiec wytrzeszczył oczy. Udała, że chce się na niego rzucić i maluch czmychnął. Otarła szybko drugą rękę i wstała. Musiała iść dalej, pozbyć się zakrwawionych ubrań.

Kilka przecnic dalej znalazła wielką błotnistą kałużę. Udała, że się potyka, i cisnęła złożone ubrania w sam środek, a potem je przydepnęła. Plamy z błota na plamach z krwi. Wyciągnęła zabłocone, ociekające rzeczy i z odrazą włożyła je z powrotem do kapelusza.

Chyba nikt nie zwrócił na to uwagi.

Przecnicę dalej wyrzuciła ubrania i kapelusz na stos śmieci. Okrążyła kilka kwartałów, żeby się upewnić, że nikt jej nie śledzi, przystanęła przy kolejnej fontannie, wyszorowała twarz i ręce. Zadowolona wreszcie ruszyła z powrotem do Chromerii.

Nikt jej nie zatrzymał. Nikt nie wiedział. Upiekło jej się. Nawet nadal miała listy. Jednakże jej umysł nie był jeszcze gotowy, żeby zmierzyć się z tym, co właśnie się wydarzyło.

Powrót do Chromerii był jak wkroczenie do innego świata. Świata bez morderstwa, bez cieni, które nagle ozywają. Bezpiecznego świata. Przeszła Łodygą Lili i ruszyła do wejścia do Wieży Pryzmata, gdzie znajdował się jej pokój.

Prawie przekroczyła próg, kiedy zauważyła młodzieńca, który bardzo przypominał Kipa – opierał się o ścianę i przeglądał karty do gry, jakby uczył się ich na pamięć. Jakby nie było w tym niczego dziwnego.

Nie podniósł wzroku.

– Kip? – powiedziała. – Kip! – Podbiegła do niego i go objęła. – Żyjesz!

Nie odpowiedział na jej objęcia i na chwilę ogarnęła ją straszna myśl, że to jednak nie jest Kip. Wpuściła go i odsunęła się. Rzeczywiście wyglądał inaczej – zrzucił ze trzy kolejne siódmeczki. Linia szczęki była mocniej zaznaczona, twarz nabrała twardych rysów, kiedy przestał je zmiękczać dziecięcy tłuszcz. Ale to był Kip. I coś jeszcze się w nim zmieniło. Myślała, że widziała go w mieście – i rzeczywiście widziała. Nagle strach złapał ją za gardło.

– Dopiero co przyjechałem. Tak się cieszyłem, że cię zobaczę – powiedział. Nie było radości w jego głosie. – Nie tak to sobie wyobrażałem.

Żołądek jej się zacisnął. Nie mogła oddychać. Poczucie winy zalało jej twarz. Kip to zauważył.

– Kip. – Wypowiedziała jego imię bez mała szeptem. Nie mogła oddychać. – Kip, jestem niewolnicą. Nie rozumiesz, co to znaczy.

– Nie jesteś niewolnicą.

– Jak długo mnie śledziłeś? – zapytała.

Nie mógł śledzić jej zbyt długo, skoro go nie zauważyła, prawda?

Wyraz twarzy Kipa zmienił się – z miny psiaka, którego skopano, przeskoczył do grymasu twardego mężczyzny, który ukrywa rany.

– Powinnaś zmienić tę zakrwawioną koszulkę, zanim ktoś jeszcze ją zauważy.

Spanikowała i ruszyła natychmiast, ale dzięki długim nogom Kip bez trudu dotrzymywał jej kroku. Kiedy tak wyrósł? Oczywiście nie był w stanie śledzić jej przez całe miasto. Co widział? Może śledził ją dość długo, żeby widzieć, jak ukradła ubrania. Źle, ale to nic potwornego, no i zauważył krew – gorzej, ale to nadal nic straszniego.

Z drugiej strony, jeśli widział wszystko z dobrej pozycji, to wiedział, że nie zabiła. A jeżeli widział prawie wszystko, może myśleć, że popełniła morderstwo.

A jaka byłaby cena wyjawienia mu prawdy? Jesteś niewolnicą, Teia, nie idiotką. Co to znaczy? Myśl!

Wsiadła do windy, którą jechał z nimi jeszcze jeden dyscypuł, więc Teia nie musiała wymyślać kolejnych kłamstw.

Pytanie nie brzmiało: „co ja robię?”, ale „co oni robią?”. W grę nie wchodził jeden wątek, tylko dwa.

Gdy wyszła z Kipem z windy, zaparło jej dech. To takie proste. Wszystko, co ukradła dla lady Verangheti (dla lady Aglaii Crassos tak naprawdę, chociaż wtedy tego nie wiedziała), było z metalu, więc mogła to wypatrzeć.

Zarazem każda z tych rzeczy była także łatwa do zidentyfikowania. Teia myślała, że chodziło o to, żeby wiedziała, co ma kraść. Jednak nie.

Zachowali wszystko, co ukradła, żeby ją potem szantażować – te wszystkie rzeczy stanowiły dowód, że jest złodziejką.

Kip złapał ją za rękę i obrócił do siebie. Nagle zdała sobie sprawę, jak wyrósł. Mięśnie wypełniały wszystkie przestrzenie, które wcześniej zajmował tłuszcz, ale tak wolno, że żadne z nich tego nie zauważyło aż do tej chwili, kiedy musiał głodować kilka tygodni i stracił aż tyle wagi.

– Teia, do diabła, powiedz mi prawdę!

To nie w porządku, pomyślała, że chłopcy to robią. W jednej chwili są wielkimi dziećmi, a w następnej wrywają ci rękę.

Spojrzała w twarz przyjaciela – nie, swojego pana, nadal, wbrew wszystkiemu; nadal był jej panem, dopóki dokumenty nie trafią na właściwie miejsce – i poczuła, że coś w niej pęka, ale to było cudowne uczucie; to był miód kapiący ze złamanego plastra. Wiedział. Musiała mu wszystko wyznać i zachować nadzieję. Nawet jeśli Kip się wzdrygnie, jeśli ucieknie, nie będzie już sama ze swoim brzemieniem. Sama ta perspektywa była światłem i nadzieją.

Kip chyba zdał sobie sprawę, jak mocno ściska jej rękę, bo ją puścił.

– Wdałaś się w jakąś bójkę, czy co? – zapytał.

Serce Teii znowu zaczęło bić. Nie wiedział. Ulga zalała ją falami.

Skrzywił się i Teia wiedziała, że zorientował się, że źle to rozegrał.

– Muszę się przebrać, potem musimy porozmawiać w miejscu, gdzie nikt nas nie podsłucha – powiedziała.

Znowu odzyskała panowanie nad sytuacją, grała na zwłokę, zdobywała odrobinę przestrzeni, żeby móc się zastanowić.

Z pewnością nie ona jedna chciała się dowiedzieć, że Kip wrócił. Z pewnością szpiedzy już donosili wszystkim u władzy o jego powrocie. Z pewnością przynajmniej Biel, Czerwień i dowódca Czarnej Gwardii pojawią się, kiedy tylko dowiedzą się o przybyciu Kipa. Właściwie, ile czasu potrzebowali tutejsi szpiedzy?

Z drugiej strony, najlepiej byłoby dla Teii, gdyby dotarła do toalet, zanim zetknie się z którymkolwiek sługą najpotężniejszych i najbardziej ciekawskich ludzi w Siedmiu Satrapiach.

– Najlepiej będzie dla nas obojga, jeśli najpierw się umyję, Kip – powiedziała, ruszając pośpiesznie.

Widziała osobistą niewolnicę Gavina, Marissię, nadchodzącą od strony pokoju Kipa, kiedy dotarli do koszar dla dziewcząt. Teia nie podnosiła głowy.

– Wrócę za pięć minut – powiedziała, nurkując do środka. – Może dziesięć.

Nie było żadnych dziewcząt w koszarach. Dzięki Orholamowi za drobne łaski. Większość uczyła się, pracowała albo jadła obiad – co przypomniało Teii, że nie jadła od śniadania. Zamknęła za sobą drzwi i poczekała, nasłuchując.

– Kip – odezwała się Marissia głosem zdradzającym napięcie – ogromnie cieszę się, widząc cię żywym. Czekają na ciebie na górze, w tej chwili...

– Przykro mi, ale jestem zajęty...

– ...na nadzwyczajnym posiedzeniu Spektrum. To nie jest prośba, Kip. Możesz pójść ze mną i może uda nam się wszystko naprostować, albo zostaniesz złapany przez strażników Czerni, pewnie pobity i Czerwień dostanie to, czego chce. Dlaczego marnujesz czas na niewolnicę? Powinieneś być natychmiast zgłosić się do Bieli. Módl się do Orholama,

żebyśmy nie zapłacili życiem za twoją głupotę.

– Zjawilem się tu niecałe dziesięć...

– Natychmiast, Kip.

Przez chwilę – chwilę głupoty – Teia chciała wyjść i spoliczkować Marissię. Jak śmiała mówić w ten sposób do jej przyjaciela? Niewolnica? Niewolnica? Sama jesteś niewolnicą, ty głupia...

Teia pochyliła się bardziej, żeby usłyszeć odpowiedź Kipa. Otwierające się drzwi uderzyły ją w policzek, ale nie bolało za bardzo.

– Nie myśl, że cię nie zauważono, caleen – powiedziała cicho Marissia przez szparę w drzwiach. – Dlaczego nie złożyłaś swoich dokumentów wyzwalających? W co pogrywasz? I dla kogo?

Drzwi się zatrzasnęły i rozległy się oddalające się kroki. Teia została sama, pływająca z kotwicą.

Po kolei, powiedziała swojej panice. Nadal jesteś we krwi, głupia. To pierwsza sprawa. Teia podeszła do swojego łóżka, otworzyła skrzynię i wyjęła czystą koszulkę. Poszła do łazienki, nalała wody do miski i spojrzała w lustro.

Zerknęła szybko, czy nikt nie idzie, i zdjęła sukienkę. Na widok czerwonego rozbryzgu na halce, ciemniejszego w miejscach, gdzie krew zaschła, ale nadal żywego przy szyi, gdzie ciepło jej ciała i pot cały czas ją rozcieńczały, zwalczyła nagłą chęć, żeby zerwać koszulkę z siebie, rozplakać się, wymiotować. Ten człowiek, to spojrzenie w jego oczach, świadomość, że umiera i nie może już nic zrobić...

Odetchnęła, oparła się o umywalkę.

Ostrożnie, żeby nie rozmazać krwi na twarzy, zdjęła halkę. Powstrzymała pierwszy odruch, żeby zanurzyć ją w wodzie i spróbować ją uprać. To była krew. Plamy nie zejną, a woda zabarwi się krwią. Zamiast tego więc przyjrzała się sobie, szukając śladów krwi na własnym ciele. Zanurzyła rąbek w wodzie i obmyła szyję, skórę między piersiami.

Na miłość Orholama, miała krew w uchu. Nie mogła jej zmyć.

Żołądek podszedł jej do gardła, ale powstrzymała odruch wymiotny. Zanurzyła kolejny fragment materiału i powoli, dokładnie wyczyściła ucho, skórę za uchem, policzek. Obejrzała raz jeszcze ręce. Wyczyściła dwa paznokcie. Złożyła ostrożnie zniszczoną koszulkę, żeby nie było widać zakrwawionych miejsc, i wytarła się ręcznikiem do rąk. Włożyła świeżą halkę.

Spróbowała uśmiechnąć się do lustra. Słabo to wyszło.

Na więcej nie było jej stać.

Teraz trzeba pozbyć się brudnej halki, ostatniego dowodu morderstwa, który można było z nią powiązać. Halki miały numery, żeby niewolnicy z pralni zwracali rzeczy właściwym

dziewczynom. Teia rozerwała halkę i wyrwała numer, co okazało się trudniejsze niż się spodziewała. Małeńki skrawek materiału, nie szerszy od paznokcia i cieniutki. Włożyła go do ust i przełknęła.

Halkę upchnęła do torby na szmatki menstruacyjne i wyszła do pokoju Kipa. Uchyliła ostrożnie drzwi, otwierając oczy na paryl, przekonana, że znowu zostanie w środku tego przeklętego człowieka. Nikogo nie było, żadnych pułapek, ale na komodzie Kipa leżała złożona kartka. Teia podeszła powoli, przekonana, że nie było tam niczego, kiedy wychodziła.

Na kartce napisano: „T., zgodnie z obietnicą. M. S”.

Leżała tu, kiedy Marissia sprawdzała pokój? Teii znowu zacisnęło się gardło. Orholamie, co by zrobiła, gdyby Kip wszedł tu z nią i znalazł liścik? Ciężar sekretu był duszący.

Otwieranie listu od Mordercy Sharpa było jak branie do ręki węża. Teia podniosła go ostrożnie, zobaczyła, że w środku jest tylko papier, odchyliła się, otwierając kopertę.

To były jej dokumenty, akt własności jej ciała. Podpisane, w doskonałym porządku. Gotowe do zgłoszenia.

Teia zeszła, odczekała kilka minut w kolejce, wręczyła dokumenty urzędnikowi. Ten sprawdził wszystko dwukrotnie, porozmawiał ze starszym urzędnikiem, który dał mu klucz i wrócił z kilkoma grubymi patykami z monetami. Odliczył je dla Teii, kazał jej podpisać dokumenty oznajmiające, że wstępuje do Czarnej Gwardii, i wręczył patyki z monetami.

– Moje gratulacje – powiedział. – Od tej chwili jesteś winna lojalność jedynie Czarnej Gwardii i Chromerii, nikomu innemu. – Uśmiechnął się i poklepał jej dłoń. – Rozchmurz się! Jesteś wolna.

Teia osiągnęła to, o czym marzyła najbardziej na świecie, czego szukała od lat, była bogatsza niż śmiała kiedykolwiek marzyć, ale nigdy w życiu nie czuła się równie zniewolona.

ROZDZIAŁ 20

Karris zafundowała śledzącemu ją szpiegowi wesołą gonitwę po najgorszych dzielnicach Wielkiego Jaspisu. Chodziła wśród ubóstwa tysiące razy i nigdy się nie denerwowała, ale dzisiaj było inaczej. Bez tarczy czarno-gwardyjskiego stroju czuła się dziwnie odsłonięta. To jej się nie podobało. Więcej nawet, nie mogła tego znieść. Raz, drugi skinęła głową do sklepikarzy, których знаła od kilkunastu lat, a oni ledwie odpowiedzieli. Nie rozpoznali jej w thobe.

Gorzej, że ich tępawi synowie też nie. Oczywiście, w sprzyjających okolicznościach mogła załatwić nawet pięciu z nich. Tyle że za thobe łatwo można złapać, a jej własne doświadczenia z pobicia w zaułku niecałe dwa miesiące temu były zbyt świeże, żeby potrafiła obnosić się z wyniosłością. Poczwała ukłucie tej samej bezradności, przed którą uciekała całe życie.

Ktoś na nią zagwizdał. Karris zacisnęła pięści. Do diabła, jej instynkty całkiem ją zawiodły. Zupełnie jakby świat się zmienił, a nikt jej o tym nie poinformował – wszystko dlatego, że włożyła thobe. Przyłożenie pięścią w twarz gwizdzącemu nie wywoła takiego samego popłochu, jak kiedy Karris nosiła strój Czarnej Gwardii. Dzielnice, które powinny być niebezpieczne dla jej ofiary, okazały się niebezpieczne dla niej.

Miała poczucie porażki, kiedy założyła zielone okulary, żeby dać do zrozumienia, że jest krzesicielką. Niech będą dzięki Orholamowi, że przynajmniej je miała. Wystarczyło, żeby uniosła z dezaprobatą brew nad okularami, żeby zebrani mężczyźni pobledli i się rozeszli.

Wtedy zaczęła się zastanawiać. Inne kobiety miały do czynienia z takimi sytuacjami na co dzień, radziły sobie bez rozlewu krwi, bez incydentów... bez okularów krzesicielki. Karris nie miała pojęcia, jak one to robiły. Zastanawiała się, czy w pewnym sensie jej siła nie była jej słabością. Inna kobieta rozładowałaby sytuację, zanim w ogóle stałaby się sytuacją. Karris wiedziała tylko jak zastraszać, ujawniać swoją siłę w taki czy inny sposób. Krzesła od tak dawna, że nie była pewna, jak poradziłaby sobie w życiu, gdyby przestała. Ta myśl uczyła pokory.

A teraz nie miała krzesania. Nie tak naprawdę. Mogła nosić okulary, ale gdyby krzesła, Biel dowiedziałaby się o tym. A nawet gdyby się nie dowiedziała, ale jedynie zapytała, czy Karris by ją okłamała?

Nie. Nie okłamałaby Bieli.

Nadal ktoś ją śledził.

Zdjęła okulary i poszła prosto, aż dotarła do zaułka, na który czekała – długi, bez innych wejść, bez biegnących do niego równoległe innych zaułków. Jeśli mają ją śledzić, „ogon” będzie musiał wejść za nią do zaułka. Weszła do sklepu tkacza na rogu.

– Chusty? – zapytała. – Może jedwabne? Jestem gościem na ślubie.

Uśmiechnęła się beznamiętnie, a zachwycona kobieta zniknęła na zapleczu, tak jak Karris przewidywała, zostawiając ją w spokoju. Karris położyła danara na kontuarze za to drobne oszustwo i wybór sklepu jako miejsca na zasadzkę, po czym schowała się wśród spływających swobodnie bel materiałów pod sufitem.

Siedzący ją mężczyzna minął niefrasobliwie wejście.

Karris skoczyła na niego – kopnięcie boczne, lewa stopa tuż za prawą, cała siła szła z bioder, prawa stopa wystrzeliła w bok, uderzając w ramię mężczyzny z siłą końskiego wierzgnięcia. Chociaż była drobna, nie miało to znaczenia, kiedy tak doskonale przyłożyła całą swoją siłę. Mężczyzna aż poderwał się na palce stóp i poleciał w bok. Z chrzęstem uderzył o ścianę zaułka trzy kroki dalej. Zanim zdążył osunąć się na ziemię, Karris już nad nim stała, zaciskając palce na tchawicy, przyszpilając go do ściany, z pięścią gotową do ciosu.

Dał się dopaść w niezbyt wygodnej pozycji – w pół kucnięciu. Jęknął. Nosił kapelusz, który teraz leżał u jego stóp. Miał około czterdziestu lat, przetłuszczone włosy, pociemniałą od słońca skórę, niechlujny pozór ataskiej brody zdobionej paciorkami.

Stęknął.

– Powiedział mi, że możesz mnie uderzyć, ale pomyślałem sobie: taka mała kobietka, jak mocno może mnie uderzyć?

– Kto cię przysłał?

– Jest na to zbyt ostrożny. Kazał mi powiedzieć ci, że to mogła być kolejna przykra lekcja, jak tamta ostatnia. Tym razem okazał łaskę.

– Co? Jaka następna lekcja?

– Kiedy złali cię na kwaśne jabłko. A ja nie miałem z tym nic wspólnego, więc nie odbijaj sobie na mnie. Ej, może pozwolisz mi usiąść albo stanąć?

Karris go puściła.

– Dzięki. – Spojrzał na nią i pobladł. – Na dziewięć piekieł. Jesteś białą Czarnogwardzistką, nie? Dziewczyna lubi zmieniać kolor włosów. A to łajdak. Że też posłał mnie za tobą. Nawet nie krzesłaś.

– Powiedz mi coś, co mnie przekona, żeby nie robić ci krzywdy.

– Dobra, do diabła z nim. Nie zapłacił mi aż tyle. Powiedział, żebym łaził za tobą jak najdłużej. Nie ustaliliśmy, kiedy mam się z nim ponownie spotkać i powiedzieć, czego się

dowiedziałem. Powinnaś być teraz w jakimś innym miejscu?

Karris wydawało się, że nie. Nie pozwoliła jednak, by słowa mężczyzny odwróciły jej uwagę. Mógł mówić po to, żeby jego kumple ją zaskoczyli. Jednak w zaułku nie było nikogo innego.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

Skrzywił się i poddał.

– Dayan Dakan.

– Masz u mnie dług, Dayanie Dakan.

– Psiajucha.

Skoro ten, kto go wynajął, chciał, żeby to jak najdłużej trwało, musiała nadrobić jak najwięcej czasu. Pobiegła, docierając do Chromerii zrana potem, zupełnie niestosownie dla damy. Rozważała, czy nie wynająć konia, ale uznała, że w gruncie rzeczy nie zyskałaby na czasie. Nie wszystkie ulice były otwarte dla jeźdźców, a zważywszy na to, ile czasu straciłaby na wynajęcie konia, bieg był szybszy, nawet w niewygodnej thobe. Wskoczyła do windy i pojechała jak najwyżej.

– Jakież wieści? – zapytała Czarnogwardzistów na górze.

Jeden z nich to był nowy chłopak, Gill Greyling, drugi to wysoki eunuch Lytos.

Spojrzeni po sobie. Żaden nie odezwał się słowem.

– Gdzie twoja eskorta? – zapytał Lytos.

Odesłanie Samite po wyjściu z Rozdroża może nie było najlepszym pomysłem, ale nie zamierzała mówić o tym Lytosowi.

– Gill, masz u mnie dług wdzięczności – powiedziała. – A odpowiedź nawet nie zbliży nas do wyrównania go.

Westchnął. Najwidoczniej wolałby zapomnieć o tym, że wpuścił tamtą ladacnicę do pokoju Gavina. Odkaszlnął i powiedział:

– Zwołano nadzwyczajne posiedzenie Spektrum. Miało zacząć się godzinę temu, ale Żółć i Podczerwień nie zdążyły. Dopiero zaczynają.

Lytos spojrzał na młodzieńca.

– No co? Ona jest jedną z nas.

Lytos spiorunował go wzrokiem.

– No co?!

– Dziękuję wam, jesteście kochani – powiedziała Karris.

Dała nura do pokoju Gavina – to nadal dziwne, myśleć o tym miejscu jak o własnym – i próbowała zdecydować, czy musi się przebrać, czy wystarczy tylko przypudrować się, by zasłonić pot. Rozejrzała się za Marissią. Jak na niewolnicę Marissia nie spędzała zbyt wiele czasu w swoim pokoju.

Teraz chcę, żeby tu była. Nie jesteś zbyt konsekwentna, co, Karris?

Otarła twarz szmatką i szybko się przypudrowała, przez pół minuty walczyła z włosami, a potem uznała, że historia należy do tych, którzy są obecni. Ruszyła do windy.

– Rety, to było szybkie. Wyglądasz f... – zaczął Gill.

– Ani słowa więcej, chłopcze. Ani. Słowa. Więcej.

Naprawdę właśnie nazwała dziewiętnastolatka „chłopcem”?

Podeszła do komnaty Spektrum i stojących przed nią Czarnogwardzistów. Nagle pożałowała, że nie prezentuje się efektowniej.

– Lady Guile – odezwał się wyższy rangą Czarnogwardzista.

Był jej dawnym odpowiednikiem.

– Dzień dobry, kapitanie straży Miecznika.

– Karris, zebranie Spektrum obejmuje tylko Spektrum, sama dobrze wiesz – powiedział, stając przed drzwiami.

– Jestem tu jako reprezentantka mojego męża.

To był nędzny argument i oboje to wiedzieli.

– Karris, proszę, nie rób scen.

– Lady Guile, jeśli już, a dama nie robi scen.

Kapitan straży Miecznik przez moment stał jak ogłuszony. A Karris wystarczyła ta chwila, żeby przemknąć się za niego i otworzyć drzwi.

– Lady... – Urwał raptownie, kiedy drzwi otworzyły się szeroko i Karris weszła do środka.

Podeszła do miejsca Gavina tak niefrasobliwie, jakby sama była Gavinem Guile. Usiadła. Nie widziała, jak reszta Spektrum odebrała jej pojawienie się, ponieważ patrzyła tylko na Androssa Guile. Uśmiechał się za ciemnymi soczewkami okularów. Łajdak. Nie wyglądał nawet na zaskoczony. Na chwilę zwątpiła, czy on nasłał człowieka, który ją śledził. Jeśli jednak nie Andross, to kto?

– Witaj, córko, jak dobrze, że do nas dołączyłaś – powitał ją Andross.

Grinwoody stał u jego boku i szeptał mu do ucha.

– Myślę, że dzięki temu uzyskaliśmy więcej niż kworum. Możemy zaczynać?

Karris wiedziała, że zaczęli już wcześniej, ale Andross lubił zadawać ciosy ze śmiertelną powagą. Możliwe, że nawet nie ona była celem. Rozejrzała się i zobaczyła, że brakuje tylko Podczerwieni. Ta kobieta nieustannie była w ciąży i zwykle właśnie opiekowała się jednym ze swoich młodych, ale normalnie nie pozwalała, żeby to przeszkadzało jej w wypełnianiu obowiązków.

– Możemy kontynuować, Androssie – oznajmiła Biel.

Zatem to był cios. Ach, do diabła z nim. Ważne, że Karris tu dotarła. To było zwycięstwo,

nawet jeśli małe.

– Z powodów, które omówiliśmy wcześniej, zanim dopuszczono tu wszystkich totumfackich – powiedział Andross – niewątpliwie musimy wstrzymać się z bardziej drastycznymi ruchami. Nasi przedstawiciele właśnie przeszukują morza i plaże. Do tego czasu musimy grać tymi kartami, którymi dysponujemy, prawda?

Karris nie miała pojęcia, o czym mówił, ale widziała, że Kolory kiwają głowami, zaciskając usta. Skoro rozmawiali o tym kilka minut temu w gronie bardziej prywatnym niż obecne, musiało chodzić o poważny sekret. Powiedział „totumfackich” – w licznie mnogiej. To znaczyło, że mówił nie tylko o Karris, która właśnie weszła do pokoju. Spektrum musiało spotkać się bez niewolników, a nawet bez Czarnej Gwardii. Co było tak tajnego, że nie dopuszczono Czarnej Gwardii?

Karris zorientowała się po minie Bieli, że nie podobało jej się wspomnienie o takich sekretach nawet tak nie wprost.

– A na razie mamy wojnę.

Klytos Niebieski poruszył się na krześle, jakby chciał się odezwać, ale nie śmiał, nie przeciwko Androssowi Guile.

Jednakże Andross zapłonął gniewem.

– Śmiesz temu zaprzeczać, Klytosie? Nadal? Ile jeszcze naszych statków musi zatonać? Ilu jeszcze naszych ludzi ma zginąć? Stawiamy czoło ni mniej, ni więcej jak starym bogom i heretykom, którzy ich sprowadzali. Znajdziemy nieco wytchnienia tej zimy, ale ta chwila wytchnienia bardziej pomoże naszym wrogom. Niewiele statków może przebyć Morze Lazurowe w czasie zimowych sztormów, a nasz wróg posuwa się pieszo. Będziemy mieli tylko paru ruthgarskich żołnierzy i resztki sił ataskich pod wodzą tego idioty, generała Azmitha.

– To mój kuzyn! – oburzyła się Delara Pomarańczowa.

Twarz miała zwiotczałą, zaczerwienioną, oczy przekrwione.

– Zatem masz jednego idiotę w rodzinie. A może jest was dwoje? – odparł Andross.

Naburmuszyła się i zamilkła. Była to jednak zgoda i Karris pomyślała, że skoro Delara tak łatwo przyznaje, że jej kuzyn jest głupi, to możliwe, że Andross wyraził się wręcz delikatnie na jego temat.

– Musisz z nim porozmawiać – powiedział Andross – powiedzić mu, że ma tylko walczyć, by uzyskać zwłokę. W żadnej mierze nie wolno mu ryzykować konfliktu na pełną skalę.

– Nie wysłaliśmy już takich rozkazów? – zapytała Biel.

– Owszem. – Andross nie rozwijał tematu i jeśli idzie o Karris, nie musiał.

Widziała już, jak mężczyźni, marząc o chwale, ściągali śmierć na innych. A Andross nie

lubił wydawać rozkazów, kiedy nie miał środków wymuszających posłuszeństwo.

– Gra na zwłokę? – zapytała Biel. – Ile ziem jesteśmy gotowi oddać?

Andross westchnął.

– Musimy zebrać siły do wiosny. Patrząc realistycznie, nie będziemy w stanie uniemożliwić wrogowi wkroczenia do Krwawej Puszczy.

– Tam są miasta przygraniczne. Wolibród, Kamienne Pole, Zakole Garbarza, Namorzynowo. Proponujesz, żeby po prostu pozwolić tym ludziom umrzeć? – zapytała cicho Oranż, wyraźnie wstrząśnięta.

– A jak proponujesz ich ocalić? – zapytał Andross. – Znasz jakieś inne dobre rozwiązanie? Przedstaw nam je, proszę.

– Ja... ja tylko nie mogę uwierzyć...

– Powiemy ludziom, żeby odeszli, spalili miasta, niech armia Księcia Barw umiera z głodu, kiedy tam wkroczy. Satrapa Wierzbowy Konar nie będzie tym zachwycony, ale jeśli tego nie zrobią... Musimy stawić czoło możliwości utraty Krwawej Puszczy.

– Chcesz, żeby spalili dżunglę? W czasie pory deszczowej? – zapytała Oranż.

– Chcę, żeby wygrali tę wojnę w jednym decydującym starciu, bez strat po naszej stronie. Nie chcę, żeby ktokolwiek niewinny ucierpiał. Pytacie mnie, czego chcę? Nie bądźcie głupcami. My musimy wygrać. Dlatego Krwawa Puszcza musi też zatruć studnie. Wyrznąć zwierzęta. Podpalić pola, wyciąć połacie dżungli i zmusić wszystkich czerwonych krzesicieli do złamania halo, jeśli to będzie konieczne, byle ją spalili. Muszą wygrać, żebyśmy za dziewięć miesięcy od tej chwili nie rozmawiali o wioskach, które porzucimy w Ruthgarze.

Pozostawił te słowa bez dalszego komentarza, a nikt inny się nie odezwał.

– Na razie straciliśmy większość floty. Możemy zacząć budować i pożyczać nowe statki, ale moim zdaniem nawet tego nie potrzebujemy.

Wystarczą nam tylko te nowe rydwany morskie, które wymyśliła Czarna Gwardia...

– To Gavin je wynalazł – powiedziała Karris.

– Tak, oczywiście. Czarna Gwardia tylko je udoskonaliła. Jak sobie życzysz, moja droga.

Odsunęła się na siedzisku, dotknięta. Jak ten łajdak to robił? Jak sprawiał, że wychodziła na taką małostkową?

– Dzięki tym morskim rydwanom – kontynuował Andross – zapanujemy nad morzami, nie ponosząc kosztów budowy całej floty. Wiemy, że ten Książę Barw współpracował z ilytańskimi piratami, a w ten sposób odetniemy go od zapasów dostarczanych drogą morską.

Ten Książę Barw. Mój brat.

– Możemy zostawić sobie dyskusję nad taktycznymi szczegółami na później – przerwała

mu Biel.

– W porządku – ustąpił Czerwień. – Niemniej w tej jednej kwestii możemy się zgodzić: nasza ostatnia bitwa była katastrofą. Nie możemy dowodzić wojną na odległość. Będzie nam potrzebny promachos.

Delara Pomarańczowa roześmiała się w głos.

– A ty tak doskonale się sprawiłeś, dowodząc naszą ostatnią bitwą, że powinniśmy wybrać ciebie, co?

Andross odciął się bez chwili wahania:

– Skompromitowałaś się, nie będąc w stanie utrzymać nawet własnej satrapii przed drobnym najeźdźcą z Tyrei. Przez ciebie z małego problemu wykwitł ogromny. Twoje obrony były tak haniebnie słabe, że zastanawiam się, czy nie siedzimy tu ze zdrajczynią. Nigdy nie miałem rzeczywistej kontroli nad tymi nieudacznikami, których uparłaś się uczynić naszymi generałami, w przeciwieństwie do kontroli, jaką mógłby sprawować promachos, więc sięgnij raz jeszcze do swojej pamięci. Może znajdziesz ją na dnie butelki.

– Powstrzymałeś nas przed bronieniem się! – krzyknęła Delara. – Odmówiłeś nam pomocy! Przybyłeś za późno i dobrze to wiedziałeś. I chcesz, żebyśmy ciebie uczynili promachosem?

– Dość tego – przerwała im Biel.

– Nie mówiłem o sobie. Jestem za stary. To brzemię jest zbyt wielkie i...

– Straciłam wszystkich, których ko... – zaczęła krzyczeć Delara.

– Dość! – warknęła Biel. – Delaro, serdecznie ci współczujemy i nadal masz swój głos, który stracisz, jeśli nie będziesz obecna, by z niego skorzystać. Nie oddawaj go. Co proponujesz, Najwyższy Światłowładco Guile?

Jestem za stary? Ten stary pająk sam to przyznaje? Karris nie mogła w to uwierzyć. Kogo proponuje zamiast siebie?

– Wszyscy wiemy, że czasem nie zgadzałem się z synem, ale nikt z nas nie zaprzeczy temu, jak jednoczący wpływ miał na Siedem Satrapii. Był symbolicznym przywódcą, ale bardzo kochanym. Tracąc go, straciliśmy jedną z ważniejszych więzi, które trzymają razem odmienne satrapie. Z powodów, które wszyscy powinniśmy rozumieć aż za dobrze, będzie... – Urwał, ostrożnie dobierając słowa. – O ile Orholam nie ustąpi, wygląda na to, że nie będzie nowego Pryzmata tego Dnia Słońca, ale według starożytnego prawa musimy wyznaczyć Pryzmata elekta. Dlatego wszyscy musimy rozglądać się za wybranym Orholama. Z pewnością spędzimy dużo czasu na modlitwie. Będziemy musieli postarać się z całej mocy przetrwać rok bez Pryzmata. To oznacza stary porządek. Wszyscy krzesiciele współpracują, równoważąc tych, którzy dołączyli do wroga.

Karris rozejrzała się wokół stołu i zobaczyła ściągnięte, szare twarze.

– Nie przekreślajcie Gavina. On nie zginął. Powinniście skupić wysiłki na odnalezieniu go.

– Oczywiście, że tak zrobimy – odparł gładko Andross. Uśmiechnął się przepraszająco, jakby miał do czynienia z histeryczką, która nie może znieść świadomości, że jej mąż w oczywisty sposób zginął. – To tylko plan awaryjny.

Karris zapragnęła rozkwasić mu nos.

– Dlaczego nie możemy wyznaczyć nowego Pryzmata? – zapytał ktoś.

Karris zauważyła, że przynajmniej kilka nowych Kolorów zadawało sobie to samo pytanie, ale Andross natychmiast odparł:

– To nie jest kwestia na otwarte posiedzenie.

– Nazywasz to otwartym posiedzeniem?

– Tylko same Kolory i Najwyższe Magisterium mogą omawiać te kwestie – odpowiedziała Biel, ewidentnie niechętnie udzielając Androssowi poparcia, ale czyniąc to pomimo wszystko. – I nikt więcej.

Karris zacisnęła zęby. Andross zmierzał do czegoś, a ona nie wiedziała do czego.

– Współpracowaliśmy już wcześniej w podobnie trudnych chwilach – kontynuował Andross – i znowu możemy sobie poradzić. Znowu sobie poradzimy. Niemniej nasze potrzeby, nasza wojna i nasi ludzie nie mogą czekać nawet do Dnia Słońca, żeby odnaleźć jedność. Musimy stawić czoło dwóm bolesnym prawdom, zanim stracimy wszystko: mój syn nie żyje, a my potrzebujemy promachosa.

– On żyje – powiedziała Karris.

– Cóрко, dobrze to świadczy o twojej lojalności i miłości, że masz nadzieję wbrew wszystkiemu, ale rozważa wymaga brutalniejszej oceny faktów. Gavin...

– Żyje – przerwał mu głos osoby, która stanęła w progu. – Został pojmany przez ilytańskiego pirata, który zwie się Artylerzysta.

Wszyscy natychmiast zamilkli. Karris mignęła Marissia w korytarzu, kiedy drzwi zamykały się za Kipem, który właśnie się odezwał. Kip! Kip żył?

A Gavin? Karris przeszedł po ramionach dreszcz. To była nadzieja. Prawdziwa nadzieja, nie upór.

W ciągu tygodni, które minęły od bitwy, Kip się zmienił. Przede wszystkim musiał głodować, bo teraz wyglądał jedynie na mocno zbudowanego, nie grubego. Wyglądał jak Guile. Mocny podbródek, niebieskie oczy błyszczące inteligencją, okolone zielenią od krzesania, szerokie ramiona, szeroka pierś, grube, chociaż nadal niekształtne ręce. Jednak największa zmiana zaszła w postawie Kipa. Nie było w nim nic nonszalanckiego, sarkastycznego ani żartobliwego – nie w tej chwili. Był skupiony, cichy, nie robiło na nim wrażenia zbiorowisko najpotężniejszych ludzi na świecie.

– Zatem bękart powrócił – powiedział Andross Guile.

– Dość tych nonsensów, dziadku – odparł Kip. – Mój ojciec ustalił raz na zawsze, kim jestem.

– On...

– Spójrz na mnie – warknął Kip. – Jestem Guile. Z ciała, krwi i woli. Zaprzecz temu.

Jeśli się ośmielisz, dodała jego postawa.

Powietrze wręcz wibrowało napięciem, kiedy ci dwaj spojrzeli sobie w oczy. Nikt nie odezwał się słowem. Nawet słowa Kipa, tnące jak sztylet, nie były chłopięcą skargą. Nie powiedział „Jestem z Guile’ów”, ale „Jestem Guile”, jakby stanowił podsumowanie wszystkiego co potrzebne, by być częścią tej rodziny. Jakby był jej punktem kulminacyjnym, co było prawdą, w pewnym sensie, pomyślała Karris. Był jedynym dziedzicem rodu Guile.

Jedynym, o którym wiedzieli. Nadal zostawał bękart, o którego istnieniu nie mieli pojęcia. O którym nigdy nie mogą się dowiedzieć. Żołądek jej się zacisnął.

Czarnogwardziści stojący przy drzwiach sali sprawiali wrażenie niepewnych. Czarnogwardziści nigdy nie są niepewni.

Atmosfera się zmieniła. Karris nie potrafiła powiedzieć, skąd to wie, ale wiedziała, że Andross dał się przekonać. Teraz tylko przeciągał chwilę, żeby zyskać na czasie. A może dla własnej perwersyjnej przyjemności, jednak Karris podejrzewała to pierwsze. Nie planował powrotu Kipa. Obracał karty w myślach, na trzy rundy z wyprzedzeniem w stosunku do pozostałych.

Wreszcie cień uśmiechu musnął jego usta. Wykonał drobny gest przyzwolenia.

– Proszę, podziel się z nami nowinami, wnuku.

– Co powiedział ci Grinwoody? Co według niego się wydarzyło? Znaczący, na statku? W końcu nosiłeś te swoje okulary, a było ciemno.

Co Kip robił? Dlaczego obchodziły go słowa Grinwoody ego? Dlaczego proponował osłonę Androssowi Guile, swojemu wrogowi? Karris ścisnęło w żołądku. Kip proponował wyjście staremu pajakowi, proponował mu pomoc w ukryciu prawdy. Jakiej prawdy?

Niepotrzebne byłyby żadne przykrywki, gdyby Andross Guile niczego złego nie zrobił. To znaczyło, że ponosił winę za zniknięcie Gavina. Niech Orholam go przeklnie.

– Wątpię, żebyś mówił nam prawdę, skoro wymaga to uzgodnienia z tym, co powiedzieli inni – odparł Andross Guile.

Nie przyjął gałązki oliwnej.

Kip wzruszył ramionami.

– Grinwoody i ja pokłóciliśmy się. Przyszedłem razem z ojcem, którego wezwałeś na spotkanie. Grinwoody nie chciał mnie tam widzieć. Jestem pewien, że uważał, że tego

właśnie sobie życzysz. On, niewolnik, śmiało położył na mnie rękę, więc zepchnąłem go ze schodów. Prostackie to z mojej strony i przepraszam za to, dziadku. Nie powinienem był poniewierać tak twojej własności. Po ciężkiej próbie, jaką była bitwa tamtego dnia... Niemniej podbiegł do nas z powrotem...

Kip się zawahał. Oczy Grinwoody ego były jak martwe. Niewolnik nie mógł się bronić. Wiedział, że kiedy kamienie młyńskie takie jak Guile'owie spotykają się, nawet najbardziej zaufany niewolnik może zostać poświęcony bez chwili wahania, przemielony na mąkę w jednej chwili, gdyby Andross uznał, że poświęcając go, coś zyska.

– ...potknął się i wpadł na mnie. Ja poleciałem na ojca, zaczęła się przepychanka, kiedy wszyscy próbowaliśmy go złapać, żeby nie wypadł za burzę. Mimo to wpadł do wody. Skoczyłem za nim. Wiem, że Grinwoody nie pływa, więc, chociaż się zaoferował, nie miało to sensu. To wina mojego ojca, że zwolnił Czarnogwardzistów, upierał się, żeby położyli się spać. Gdyby nie to, z łatwością zostałby uratowany. A tak wyciągnąłem ojca z wody i próbowałem dać sygnał świetlny. Jednak zamiast przez was, zostaliśmy wyłowieni przez kapitana Artylerzystę. Pomodlił się do morza, a potem wyrzucił mnie z powrotem do wody.

– Widziałeś jednak, że mój syn żyje? – Andross pytał z napięciem, szczerze nie dowierzając.

– Tak, jestem tego pewien. Dziwi mnie, że nie otrzymaliście jeszcze żądania okupu. Artylerzysta rozpoznał Pryzmata.

Biel pokiwała głową.

– Gavin wspomniał kiedyś o tym piracie. Powiedział, że to nietuzinkowa postać, chociaż poniekąd brakuje mu... paru członków załogi, jeśli można tak się wyrazić o jego psychice.

– Grinwoody – warknął Andross, obracając się na krześle. – Wydawało mi się, że powiedziałeś, że Pryzmat był nieprzytomny, kiedy wpadł do wody.

Grinwoody padł na ziemię.

– Panie mój, litości. M-myślałem, że uderzył się głową, kiedy spadał. Wierzyłem, że utonął, zanim chłopak skoczył. Mój panie, ogromnie przepraszam. Zhańbiłem siebie i ciebie.

Milczenie. Obracanie kart.

– Nie – odparł Andross. – Hańba jest moja. Nigdy nie powinienem był uwierzyć w śmierć syna. W tym roku straciłem tak wiele... – Urwał, jakby przytłoczony emocjami. Potem przyłożył rękę do serca i wykonał znak czwórki i trójki. – Orholam niech będzie pochwalony.

Naprawdę wydawało się, że mówi szczerze. Może jednak staruch kochał Gavina na swój sposób?

Jego słowa powtórzyli echem wszyscy przy stole.

Andross mówił dalej, zanim ktokolwiek mógł się wtrącić.

– Nie powinienem był uznać słowa niewolnika w tak ważnej sprawie. Później cię ukazę. Kip! Dwa razy uratowałeś mojego syna i przyniosłeś mi wieści, że żyje. Rozgrzewasz serce starego człowieka. Nagrodzę cię stosownie.

– Jest moim ojcem. Nie są potrzebne żadne nagrody – odparł Kip.

– Nalegam. Przyjdź później do moich komnat. Teraz możesz odejść – powiedział Andross Guile.

Pozostali obserwowali, jak Kip walczy z odprawą. Nie chciał wyjść, ale nie widział sposobu, żeby zostać. Skłonił się po chwili i wyszedł.

Karris była przekonana, że właśnie była świadkiem tego, jak jeden z nich dał się przekupić, ale nie była pewna który. Może obaj. Co za czelność, żeby zrobić to na oczach całego Spektrum. I geniusz, dzięki któremu uszło im to na sucho.

Jeśli to wyprowadziło Androssa z równowagi, to nie okazał tego.

– Cóż, to wspaniałe wieści. To będzie spore wyzwanie, sprowadzić mojego syna z powrotem, zanim zrobi to ktoś inny, ale myślę, że możemy pokonać te trudności.

Kiedy Kip wyszedł, Arys Podczerwona stanęła w progu, zadyszana i w zaawansowanej ciąży.

– O czym mówimy? – zapytała, mijając Karris w drodze do swojego krzesła.

Tym razem nie miała przy sobie najmłodszego dziecka, ale cuchnęła luksusem i seksem. Karris nie była naiwna, wszyscy wiedzieli, że zieloni, czerwoni i podczerwoni najbardziej ze wszystkich lubią łączyć krzesanie i seks. To potęgowało doznania i uczucia. Karris nie obchodziło, z kim Arys sypiała, ale żeby przychodzić na posiedzenie Spektrum z rumieńcami i cuchnąc seksem? Arys w życiu by tak nie postąpiła, gdyby w pełni panowała nad swoimi zdolnościami.

Przeciążenie władzą zabija nas wszystkich.

Do tej pory Karris myślała, że Arys zostały co najmniej dwa lata, ale teraz nie była pewna. Podczerwoni mieli tendencję do stawiania się terytorialnymi i zaciekłymi, namiętnie bronili tych, których kochali, kiedy docierali do kresu życia. I oczywiście byli lubieżni, ale kobieta o pozycji Arys nie powinna tego zdradzać. Nie publicznie.

Andross znacząco spojrział na Arys, a potem udał, że jej nie słyszał.

– Jeśli Księżę Barw wykupi Pryzmata zamiast nas – powiedziała Delara Pomarańczowa – będziemy skończeni. To nas całkowicie okaleczy moralnie. Będą go trzymali jako jeńca, mając gwarancję, że nie zaatakujemy, a potem...

– Nie, nie, nie – przerwał jej Andross. – Nie rozumiesz, co znaczą morskie rydwany?

Puste spojrzenia. Andross uśmiechnął się krzywo. Uwielbiał, kiedy jego wyższa inteligencja znajdowała tak ewidentnie potwierdzenie.

– Jak długo pirat może ukrywać się przed nami? Jak będzie z nami walczył? Panujemy nad morzami, nawet jeśli nikt jeszcze o tym nie wie.

– Skoro panujemy nad morzami, dlaczego nie zaatakujemy bezpośrednio Księcia Barw?
– zapytała Delara.

– Bo jest na lądzie – odparł Andross.

– Nie jestem głupia, piękne dzięki. Miałam na myśli to, że skoro morza są nasze, dlaczego nie wysadzić naszych ludzi w najdogodniejszym miejscu? Może za liniami wroga, i...

– Widziałaś w ogóle rydwany morskie? Wypalilibyśmy tysiące krzesicieli, próbując uruchomić jeden transport. Możemy odciąć innych od morza, możemy je przeszukać, korzystając z granatów i innej broni możemy zatopić najemnych piratów Księcia Barw, ale dopóki nie odbudujemy floty, nasze armie mogą posuwać się tylko lądem.

– Zatem tak naprawdę niczego nie zmieniają – orzekł Klytos Niebieski.

– Jeśli pominąć fakt, że zapewniają nam, że nie zostaniemy zaatakowani przez zaskoczenie i będziemy dokładnie znali pozycję Księcia Barw na długie tygodnie przed tym, jak on dowie się, gdzie są nasze wojska, to owszem, niczego nie zmieniają – odpowiedział ociekającym pogardą głosem Andross. – To, co się liczy w tej chwili, to to, że Gavin wkrótce znajdzie się wśród nas. Nie możemy zagwarantować, że odzyskamy go żywego, rzecz jasna. Ale nikt inny go nie odbije.

I oto ujawnił się wąż, który w nim siedzi. To, że Andross powiedział prawdę, nie czyniło jego słów ani trochę bardziej pocieszającymi. Biel powiedziałaaby to samo, ale najpierw odniosłaby się do emocji związanych z tym faktem, do myśli o utracie Gavina z powodu wypadku albo gniewu jakiegoś pirata.

Nagle wszystko, co usłyszała, uderzyło w Karris. Gavin żył. Gavin żył! Łzy ulgi zaskoczyły ją, a potem oślepiły. Nie chciała płakać przy Androssie Guile, nie chciała okazywać słabości w obecności Spektrum, ale pojedynczy szloch wyrwał jej się z ust.

Wszyscy spojrzeli na nią, a Karris musiała pochylić głowę i zacisnąć powieki, żeby nie załamać się całkiem.

Powinna mieć oczy otwarte, była teraz szpiegiem. Powinna uważać. Powinna być użyteczna.

Żył. To była nadzieja i światło, i życie, i łaska. To był sam Orholam, sięgający poprzez gromadzące się ciemności.

Chociaż raz Andross Guile nie przyłożył jej za okazanie słabości. Zamiast tego powiedział:

– Chodźmy rozesłać naszych zwiadowców, wieści i raporty do satrapów w związku z tą nowiną. Jednak przede wszystkim pomódlmy się, bo bez pomocy Orholama, znajdziemy

się w doprawdy tragicznej sytuacji. Spotkajmy się szybko, ale myślę, że na dziś dość zobaczyliśmy i powiedzieliśmy. Najszlachetniejsza pani Pullawr?

Pomódlmy się? Andross Guile to mówił? Jak bardzo był wstrząśnięty? Ten człowiek kpił z wiary przy każdej okazji.

Biel wykonała znak czwórki i trójki, a reszta Spektrum poszła za jej przykładem. Położyli dłonie przed sobą na stole w geście otwarcia – otwarcia na światło, otwarcia na prawdę.

– Ojcze Światła, Święty, Orholamie. – Wypowiedziała „h” z przydechem, nadając imieniu archaiczne brzmienie. – Sprawiedliwy Ojcze, Niewzruszona Wieża Kalonne, Litościwy Panie, Pocieszycielu Uciskanych, Strażniku Sierot, Dobry Nauczycielu, Zbawco, Niezłomny Obrońco, Oswobodzicielu, Wojowniku Sprawiedliwości, Najwyższy Sędzio, Czcigodny, Wszechpotężny, Jasna Gwiazdo Zaranna, Ogniu Pośród Nocy, Nadziejo Ostatniego Plemienia, Niezmordowany Uzdrowicielu, Odnowicielu Wątpiących, Ojcze, Królu, Boże.

Ostatnie słowosprawilo, że Karris, mimo łez, przeszedł dreszcz. Jak istniała tradycja wśród Paryjczyków zakrywania włosów z szacunku, żeby swoją chwałą nie konkurować z Orholamem, tak istniały określenia, którymi rzadko zwracano się do Orholama – samo imię było tytułem, eufemizmem ujawniającym najwyższy szacunek, ukazującym, jak wysoko ponad pogańskimi bogami stoi. Wymawiając to krótkie, lecz ciężkie od implikacji słowo, Biel pokazywała, za jak trudną uważa ich sytuację.

– Boże – szepnęła Biel.

W sali zapadła całkowita cisza. Karris wyobrażała sobie, że wyczuwa grę światła na twarzy.

– Boże, jesteś jedynym Bogiem. Boże, ocal nas, proszę.

Po długim wstępie Karris spodziewała się większej elokwencji, usilniejszych błagań, większej... liczby słów. Pozdrowienie było dłuższe od listu.

A potem zrozumiała, że właśnie o to chodziło Bieli. Elokwencja, uwaga powinny skupiać się na Orholamie. On był pięknem, majestatem i mocą. Znał ich potrzeby. Najlepiej wiedział, jak im pomóc. Herezja zagrażała nie tylko ziemskiemu porządkowi, była także zagrożeniem dla kultu Orholama w Siedmiu Satrapiach, była wyrzeczeniem się Orholama i nieposłuszeństwem wobec niego. Biel tylko deklarowała swoją lojalność i prosiła o pomoc pana jak wierny wasal. Ostatecznie, co więcej można było rzec?

To było odzwierciedlenie pomocy, o którą będą prosić przygraniczne miasta Krwawej Puszczy, a której Spektrum w milczeniu zdecydowało się odmówić. Musicie umrzeć, zgodzili się bez choćby głosowania, musicie umrzeć, żeby zostały osiągnięte nasze cele.

Karris miała tylko nadzieję, że Orholam nie jest wobec nich równie bezduszny i

praktyczny.

ROZDZIAŁ 21

Teia zawahała się przed drzwiami do pokoju treningowego Pryzmata, głęboko pod Wieżą Pryzmata, patrząc na wstęgę niebieskiego światła oświetlającego podłogę. Nigdy dotąd nie widziała, żeby salę oświetlono barwnym światłem. Nie wiedziała nawet, że to możliwe.

Usłyszała charakterystyczne bębnienie – ktoś miarowo uderzał w jeden z manekinów i co dziwne, ten odgłos przemocy uspokoił jej umysł. Ktokolwiek tam był, trenował, wobec tego nie był wrogiem. Chociaż po sposobie, w jaki Morderca Sharp się poruszał, zorientowała się, że często trenował, to jakoś nie potrafiła sobie tego wyobrazić. On był tylko ostatecznym działaniem, a nie przygotowaniem do niego.

Teia otworzyła drzwi kluczem, który dał jej dowódca Żelazna Pięść i weszła do środka. Akurat zdążyła zobaczyć, jak dowódca rzuca się w wir działania. Jego pięść wystrzeliła, uderzając w strzępiącą się skórę ciężkiego worka z trocinami – w brzuch, podbródek, nerki, w górę i w dół, za szybko, żeby nadążyć za ciosami wzrokiem, a potem dowódca śmignął w bok, pobiegł w stronę toru przeszkód. W biegu wyciągnął dwa miecze treningowe.

Manewrowanie nawet z jednym mieczem w rękę czy przy pasie to część szkolenia Czarnej Gwardii, której klasa Teii jeszcze nawet nie zaczęła, a której brak natychmiast odczuła w czasie krótkiego udziału w bitwie na Półwyspie Ruckim – bieganie i walka z mieczem choćby w pochwie okazały się ciężką pracą. Narożniki, o których człowiek wiedział, że obiegnie je bez trudu, nagle zahaczały o biodro, wybijały z rytmu. Odsłonięte ostrze było jeszcze gorsze, bo trzeba było nim manewrować ręką, a jeśli nagle klinga zatrzymywała się na framudze drzwi, a ty biegłaś dalej... Nie było dobrze.

Dlatego widok dowódcy Żelaznej Pięści biegnącego przez tor przeszkód z dwoma nagimi mieczami był sam w sobie pouczający. Dowódca nie miał koszuli; był tylko w obcisłych czarnych spodniach i w butach, jakie otrzymują jedynie pełnoprawni Czarnogwardziści, o podeszwie z wygotowanej żywicy kauczukowca, przyczepnej i niemal bezgłośnej. Obserwowanie Żelaznej Pięści, jak wybucha po całkowitym bezruchu, było jak patrzenie na skok lwa – falowanie mięśni, rozbłysk ciała i już mknął, w czterech krokach uzyskując niemal pełną prędkość.

Przeskoczył przeszkodę, która sięgała wyżej niż pierś Teii, wbiegł na pionową ścianę, w której widniała tylko jedna okrągła dziura szerokości kroku, i skoczył – zanurkował,

dźgając mieczami, ledwie mieszcząc się ramionami w wąskim otworze, a ciałem nawet nie dotykając brzegów. Przeturlał się i gładko poderwał na równe nogi, wymachując zamasyście mieczami.

Podbiegł do następnej ściany, prawie nie tracąc rozpędu i wbiegł na nią. Cały impet w jego nogach jakby się przelewał w ścianę; ręce z bronią przycisnął do piersi, zgiął się w pasie. Zeskoczył ze ściany, obrócił się, ostrza rozbłysły i uderzyły w manekiny po obu stronach; każdy manekin znajdował się w pudle dziesięć stóp od ziemi, zasłonięty od szyi w dół.

Ponieważ wziął zamach mieczami z lewej na prawo, wylądował bokiem. Przeturlał się i znowu zerwał na równe nogi. Wyglądał na poirytowanego. Teia widziała, na czym polega problem. Nie zachowując szybkości, Żelazna Pięść nie miał szansy przeskoczyć rozstępu, który był następną przeszkodą – a przynajmniej nie bez zatrzymania się, cofnięcia i utraty części cennego czasu.

Zauważył Teię, rzecz jasna, ale widząc, że nie przyszła z niczym nagłym, nie odezwał się słowem. Wrócił do początku i powtórzył bieg.

Tym razem, kiedy wbiegał na ścianę, uderzył o nią mieczami – oba były spowite w niebieski luksyn – wypuścił je, obrócił się, złapał je przeciwnymi rękami i skoczył prosto ze ściany, tnąc na boki, przecinając manekiny i lądując prosto. Popędził do rozstępu, nie tracąc prędkości, przeskoczył go, zeskoczył z platformy za małej, by się na niej zatrzymać, i odzyskując prędkość, skoczył do liny, która wisiała nad następnym rozstępem.

Zgubił przy tym miecz, ale zsunął się z liny ze śmiechem.

– Prywatny tor przeszkód Pryzmata. Oczywiście, przy każdej okazji skandalicznie oszukuje, korzystając z luksynu. Rzucił mi wyzwanie przed wyjazdem, żebym pokonał jego rekord szybkości. Myślę, że może właśnie mi się udało.

Kiedy do niej podchodził, Teia nagle znowu zdała sobie sprawę z rozmiarów i siły fizycznej dowódcy. Gdy zerknęła na jego nagą, poblížnioną pierś, przypomniał sobie, że jest półnagi. Co dziwne, zakłopotał się, długie lata w Czarnej Gwardii nie przewyciężyły w nim paryjskiej skromności. Chwycił tunikę i się ubrał.

– Przyszłaś poćwiczyć? – zapytał Teię. – Mogę zacząć z tobą musztrę.

Teia spojrzała na niego i z jakiegoś powodu nie mogła wykrztusić słowa. Zastanawiała się, czy mu wszystkiego nie wyjawić. Jednak Morderca Sharp mógł przecież właśnie stać w tym pokoju.

– Zgłosiłaś swoje dokumenty, zgadza się? – zapytał.

Widział jej patyki z monetami.

– Ach. Tak.

– Odejdiesz?

– Naprawdę mogę?

Nadal wydawało jej się to niemożliwe.

– Jeśli zwrócisz pieniądze Czarnej Gwardii, będziesz wolna. Będziesz mogła więcej zarobić jako najemniczka, jeśli zostaniesz i odejdiesz tuż przed ostatnimi ślubami, ale niektórzy odeszliby od razu. Kiedy człowiek dorastał jako niewolnik, czasem myśl o prawdziwej wolności jest zbyt słodka, żeby odsunąć ją choćby o jeden dzień. Inni tylko o tym mówią. Znam Czarnogwardzistów, którzy przez piętnaście lat mówili o wykupieniu się, przez piętnaście lat po ostatnich ślubach, rozumiesz, i o podróżowaniu po świecie. Treg miał rok do emerytury i nadal mówił o tym, że się wykupi. – Żelazna Pięść wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem jego uśmiech zbladł. – Nie wrócił z Garristonu.

– Niczego nie pragnę tak bardzo jak zostać Czarnogwardzistką, ale... – Teii zabrakło odwagi.

Dowódca Żelazna Pięść nic nie powiedział, tylko skrzyżował muskularne ręce i czekał. To było cierpliwe milczenie, nie ponaglające. Oto człowiek tak zagoniony, że rzadko sypiał więcej niż pięć godzin, ale kiedy miał od czynienia ze swoimi Czarnogwardzistami – nawet szczawiami – zawsze był obecny duchem, spokojny. Teia nigdy dotąd nie zauważyła, jak hojny jest, gdy w grę wchodzi jego cenny czas. Jednakże teraz, kiedy tego doświadczała, zdała sobie sprawę, że już wcześniej często to zauważała. Dodała to do długiej listy rzeczy podziwianych w dowódcy. Tyle że...

Nie jestem niewolnicą. Już nie. Nie dam z siebie zrobić ofiary. Nie będę siedziała i pozwalała, żeby rzeczy same się wydarzały, nawet jeśli ruch może skazać mnie na śmierć.

– Jestem szantażowana – przyznała.

– Co na ciebie mają?

Była tak zdumiona zupełnym brakiem zaskoczenia, że zwyczajnie odpowiedziała:

– Kradzież.

– Jak?

– Od lat byłam szkolona na kieszonkowca. To nie był tak naprawdę mój wybór, rozumie pan? Moja właścicielka... Dzięki widzeniu w parylu wiem, gdzie schowano monety, etui na zwoje i temu podobne. W połowie przypadków okradałam trenerów, którzy pracowali dla Aglaili Crassos, niedawno dowiedziałam się, że to ona przez cały czas była moją prawdziwą panią. Ale dopiero dzisiaj zrozumiałam, że byli sprytniejsi niż ich podejrzewałam.

– Yhm.

Twarz dowódcy była spokojna jak jezioro o świecie. Nie zdradził się, o czym myśli. Teia bała się jednak, że jakiś potwór może wyłonić się z tego spokoju, więc dodała pośpiesznie:

– Zakładali, że dostanę się do Czarnej Gwardii, i wiedzieli, że gdy uzyskam wolność, nie będą mieli na mnie haka, więc wszystko, co kradłam, to były rzeczy, które łatwo da się

zidentyfikować. Pewnie trzymają je w takim miejscu, żeby łatwo można mnie było z nimi powiązać.

– To stąd wiedziałaś na Półwyspie Ruckim, jak się przebrać – powiedział Żelazna Pięść.

– Jak dobra w tym jesteś?

– W podwędzaniu? – Nie pomyślała, że to będzie jego pierwsze pytanie. – Lepsza niż w walce.

Chociaż wcale jej to nie cieszyło.

– Co byś powiedziała, gdybym ci powiedział, że też pracuję dla Aglaii Crassos? – zapytał.

Serce jej zamarło. Spojrzała na drzwi, szukając ucieczki. Dowódca spokojnie stanął między nią a wyjściem.

– Nie – szepnęła. Błagała. – Nie, proszę.

Nie miała szansy na ucieczkę. Nie miała szans na pokonanie dowódcy, gdyby zdecydował się ją zatrzymać. Szaleństwem byłaby nawet myśl o przeciwstawieniu się Żelaznej Pięści.

Ale jakie miała wyjście? Po prostu poddać się?

Jej jedyną nadzieją był paryl, a nawet to była nikła nadzieja. W czasie bitwy na Półwyspie Ruckim zrobiła z parylem coś, przez co wszyscy w zasięgu wzroku myśleli, że spala się na popiół, a tak naprawdę nic im się nie stało. Gdyby tylko pamiętała, jak to zrobiła, może to by wystarczyło.

– Spokojnie – powiedział Żelazna Pięść. – Nie pracuję dla niej. Dziwi mnie tylko, że nie przeszło ci to przez myśl. Zwykle szantażowanych ogarnia paranoja.

Uszło z niej całe powietrze.

– Tak bardzo zagłębiłam się we własne kłopoty, że nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co by było, gdyby dotarła i do pana, sir.

– Możesz mi opisać te przedmioty?

– Tak jest, sir.

– Na piśmie?

– Tak jest, sir.

– To zrób to. Ja się tym zajmę. O ile...

-Tak?

– O ile to wszystko. Rozumiesz?

To wszystko? Przyznanie się do skradzenia paru drobiazgów to jedno, ale do tego, że otarła się o morderstwo? Czy uwierzyłby jej? Co było bardziej prawdopodobne: że Teia sfuszerowała kradzież i spanikowana dźgnęła człowieka, czy też to, że natknęła się na klikę niewidzialnych zabójców?

Nawet gdyby jej uwierzono, pan Sharp jakoś by się dowiedział. Obudziłaby się i znowu

zastała go w swoim pokoju. Dowiedziałyby się. Już na samą myśl kolana zamieniły jej się w galarete.

– To wszystko? – zapytał dowódca Żelazna Pięść.

– Tak jest, sir.

– Zatem chodźmy porozmawiać z Bielą.

Porozmawiać z Bielą? O, nie. Nie, nie, nie. Nawet najlepsi kłamcy mają kiepskie dni.

Teia nie mogła pozwolić sobie, żeby dzisiaj taki jej się przydarzył.

ROZDZIAŁ 22

Czas był odmierzany z tak doskonałą regularnością, że stracił znaczenie. Każdy dzień Gavina miał podobny rytm. Pociągnij. Obróć. Pchnij. Obróć. Pociągnij. W górę, w dół, życie opisane w owalach pracy, odpoczynku i przejściach między jednym i drugim. Zeskrobywały niewydajne kanty z każdej chwili. Wdech, wydech i staranie, żeby uczynić ruch od jednego do drugiego jak najmniej bolesnym. Obudź się, śpij, nie trać czasu pomiędzy jednym a drugim. Pobudka przed świtem, kleik, znowu kleik na lunch, czasem z kawałkiem owocu, żeby oddalić zagrożenie skorbutem, fasola zwykle na wieczór, mięso, jeśli wykazali się szczególnie dobrze. Statek wchodził do portu tylko raz w tygodniu, chociaż zatrzymywali się i przy innych okazjach – po słodką wodę i żeby żeglarze mieli okazję zapolować. Jednak większość dni zlewała się w jedno, dudnienie krwi w uszach, świst bata – uderza, opada, podnosi się, waha się przez jedną chwilę i znowu uderza.

Pobudka przed świtem, kleik. Wiadro z nieczystościami. Wiosłowanie. Kleik, a potem wiadro z myciem.

Rytmicznie wiosłując, pożerali mile, zachowując idealną równowagę między prędkością a wyczerpaniem. Jeśli dopadało ich nagłe niebezpieczeństwo – albo jeśli oni mieli być nagłym niebezpieczeństwem, które spadnie na kogoś innego – niewolnicy musieli mieć siły, żeby uciec przed zgubą albo ją przynieść. To jednak nie znaczyło, że wiosłowali wolno, nie z tą załogą, nie przy tym kapitanie, nie z tym przeklętym nadzorcą Leonusem.

Tempo było wyważone i pozostawało takie samo, kiedy nadchodziła zła pogoda i lekki angarski stateczek podskakiwał na falach jak korek, a wymiociny i woda przepływały obok stwardniałych stóp niewolników. Kiedy pogoda była tak fatalna, że każdy inny statek zostałby w porcie i przeczekiwał zimę, oni nie zwalniali. Ci ludzie przemknęli przez Wrota Mroku. Sztorm to dla nich drobnostka. Tylko nim pogardzali.

Gavin słyszał bębny przez sen. Leżąc pod ławką oddychał w takim samym rytmie, w jakim oddychał, kiedy wiosłował. Ręce mu się zagoiły, pojawiły się nowe odciski, popękały, znowu krwawiły, co rano nowe cierpienie.

Leonus był głupcem, ale niewolnicy wiedzieli swoje i nawet jego zły nadzór nie mógł naprawdę im przeszkodzić.

Pobudka przed świtem, kleik, inni niewolnicy wcierają maść w bolące kolana, plecy i dłonie, oddalając od siebie dzień, kiedy już nie będą nadawali się do pracy przy wiosłach.

Leonus udusił jednego człowieka, którego towarzysze w końcu zgłosili po sprzecze. Nie przykładał się do pracy od tygodni, może nawet miesięcy. Jedno słowo i został zamordowany na ich oczach. Ostrzeżenie dla pozostałych, jak przypuszczał Gavin. Wnioskował, że zwykle winowajca otrzymywał po prostu chłostę, żeby się upewnić, że nie udaje, i wyrzucano go przy następnym przystanku, sprzedawano za psie pieniądze jakiejś innej załodze dostatecznie zdesperowanej, żeby wziąć starego, zniszczonego galernika. Inni niewolnicy zostawali żebrakami, niektórzy szczęśliwcy trafiali do domów miłosierdzia luksjatów.

Gavin nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd go pojmano. Nie wiedział, gdzie się znajdują. Przechwycili pięć statków, zawrócili, wiele razy ścigali albo prowokowali Mongalta Shalesa, pozwalając mu się zbliżyć. Na ile Gavin się orientował, mogli być w pobliżu wybrzeża Parii, Ilyty albo Atashu. Urosła mu broda. Jego włosy, jak wszystkich innych niewolników, golono brzytwą, żeby się w nic nie wplątały. Piracka fryzura nie była piękna, ale Angarczycy jakimś cudem byli wolni od wszy. Czyści ludzie. Uważali się za bardziej cywilizowanych.

Pewnej nocy, po szczególnie dobrym tygodniu, kiedy złapali dwie bogate galery, Artylerzysta nagroził niewolników. Podwójna miarka mocnego wina i pozwolenie wyjścia w nocy na pokład, chociaż w łańcuchach i małych grupkach.

Gavin został przykuty do Orholama. Usiedli na pokładzie, wino ich grzało. Pili je tak rzadko, że na pusty żołądek mocno podziałało.

Gavin bezmyślnie zagapił się na gwiazdy, próbując zorientować się po konstelacjach, gdzie się znajdują. Może w okolicy wybrzeża ruthgarskiego?

– Wiesz, czemu nazywają mnie Orholam? – zagadnął go stary mężczyzna.

– Bo jesteś życzliwy i bezużyteczny – odpowiedział Gavin, szczerząc zęby w uśmiechu.

Jednakże Orholam się nie uśmiechał.

– Bez bluźnierstw, proszę, młody Guile’u. Nie ze mną. Nie tej nocy. – Zamilkł. – Byłem prorokiem Elelyōna w małej wiosce na paryjskim wybrzeżu między Wrotami Mroku. Oczywiście żyliśmy tam w izolacji. Żadne statki nie wpływały i nie wypływały, cały nasz handel zmierzał górkimi przełęczami, nawet nasze imiona dla Orholama dziwne brzmiały dla uszu innych Paryjczyków. W mojej młodości na wioskę napadł angarski statek, który jakoś przepłynął przez wschodnie wrota. Wioskę spalono, moją matkę zabito na moich oczach, ojca zamordowano w hańbie, której nie godzi się powtarzać, młodszych braci i siostry albo zabrano do niewoli, albo zabito, nie wiem dokładnie. Ja uciekłem. Przeżyłem zimową noc w trupie jednego z naszych wołów, którego zabili dla zabawy. Nawet nie zabrali ze sobą mięsa. Młodzi mężczyźni, roześmiani. Służyłem jako prorok pod Demistoclesem. Nie słyszałeś? Powiem więc krótko. Orholam zaczął przemawiać do mnie,

kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Pod okiem Demistoclesa nauczyłem się odróżniać, kiedy to głos Najwyższego, a kiedy to tylko moje pragnienia. Stałem się arogancki. Przywoływałem cuda i cuda się działy. Uważasz, że twoja chromaturgia to cud? To tylko nauka. Mężczyźni przesuwaną cegły. A moja moc? Moc Orholama uwolniona z samych niebios? Jak błyskawica w porównaniu ze świecą. Jednak, to ci gwarantuję, swoboda, jaką dano wam, krzesicielom, jest znacznie większa. Tyle robicie sami. A wobec nas wszystkich, zarówno krzesicieli, jak i proroków, Orholam daje i Orholam odbiera. Nazywamy go Panem Światła, ale zapominamy, że jest panem.

Kazanie. Z ust człowieka, którego nazywają Orholamem. Tego właśnie Gavin potrzebował. Przynajmniej to było inne, a wino, które solidnie uderzyło mu do głowy, sprawiało, że nawet religię dało się znieść.

– Pewnego dnia, dokładnie rok po tym, jak straciłem wszystkich, których kochałem, Najwyższy powiedział mi, że mam uleczyć angarską wdowę. Trędowatą. Przez zatwardziałość własnego serca i sękatost duszy odmówiłem. Następnego ranka Elelyón kazał mi ponieść prorocstwo Angarczykom. Zamiast tego uciekłem. Nie z obawy, że zginę, przeskakując Wrota Mroku, ale ponieważ wiedziałem, że tego nie zrobię. Wiedziałem, że Orholam jest miłosierny. Bałem się, że jeśli powiem im, żeby okazali skrucę, zrobią to, a ja nie chciałem, żeby komukolwiek z nich zostały wybaczone grzechy. Chciałem, by spłonęli. Mężczyźni, kobiety, dzieci, eunuchowie i słudzy, i niewolnicy, i cudzoziemcy odwiedzający ich brzegi, motłoch i król, żołnierz i kupiec. Pragnąłem ognia dla nich wszystkich.

Jego twarz zapłonęła zaciętością, którą Gavin widział już wcześniej, ale nigdy na twarzy tego człowieka. To było oblicze wytrawione kwasem pragnienia zemsty.

A potem pojawił się smutek głębszy niż mogły to wyrazić słowa.

– Pragnąłem, żeby samo imię Angarczyk spłonęło i zostało zapomniane. Uciekłem tak daleko w przeciwną stronę, jak zdołałem, i zostałem pochwycony przez rzecznych piratów w górnym biegu Wielkiej Rzeki. Byłem sprzedawany, przechodziłem z ręki do ręki, aż przepędzono mnie lądem i w końcu zostałem sprzedany Angarczykowi. Jakby to mógł być ktokolwiek inny. Służyłem przez piętnaście lat i przez dziesięć z nich żyłem w nienawiści. Wolno się uczyłem, ale Orholam jest cierpliwy. Elelyón nie przemawiał do mnie przez wiele lat, ale w dniu, kiedy wyłowiliśmy cię z wody, przemówił. I znowu ostatniej nocy powiedział mi, że jesteś gotowy. Nie, żeby słuchać. Do tego jeszcze nie. Ale, by mówić.

– Mówić? – zdumiał się Gavin. – Co z ciebie za cudaczny prorok, żeby krążyć po świecie i słuchać.

Spojrzał na baldachim gwiazd w górze. Piękno czerni i bieli.

Musieli znajdować się gdzieś za Melos, jeśli Gavin dobrze pamiętał mapy gwiazdne, a

oczywiście dobrze je pamiętał. Pamięć to jego przekleństwo.

– Nie mam nic do powiedzenia.

Bardzo cicho, bardzo łagodnie Orholam odpowiedział:

– Uprzedzał, że będziesz bluźnić. Że potrzebujesz przeciąć czyrak i najpierw dać wypłynąć truciźnie.

– Skoro już wie, co powiem, to może uznamy, że to powiedziałem? – odparł Gavin.

Myślał, że zabrzmiało to cierpko, ale wyszło gorzej.

– Nie chodzi o to, że on potrzebuje to usłyszeć. To ty potrzebujesz to powiedzieć.

Gavin się odwrócił.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Kłamca.

– Jak śmiesz? – warknął Gavin. – Nie wiesz...

Orholam spojrział w stronę żeglarzy, którzy zerknęli na podnoszącego głos Gavina, ale wyraźnie nie mieli ochoty przerywać rozmowy, dopóki dwaj niewolnicy nie wdadzą się w bójkę.

– Czy nie wiem, kim jesteś? – powiedział. – Ha. To jest część tego, co uwielbiałem w byciu prorokiem. Prorok jest niewolnikiem Najwyższego. Niewolnikiem, ale tak wysoko postawionego pana, że daje mu to władzę zwracać się tym samym tonem do satrapy, żołnierza, sługi czy niewolnika. Myślałem, że to czyni mnie równie ważnym jak satrapa. A tak naprawdę rzecz w tym, że wobec niego wszyscy jesteśmy równie malutcy, mrówki i muchy spierające się o pierwszeństwo przed spojrzeniem olbrzymia.

– O, to jest bardziej gadka w stylu tego, czego spodziewałbym się po proroku.

Zapadło pełne urazy milczenie, ale wkrótce Orholam powiedział:

-To dla mnie dziwne, człowieku upadły, że ty, który byłeś odpowiedzią na tyle modlitw, nie masz własnej modlitwy, nawet teraz, gdy siedzisz w pułapce i czekasz na śmierć. Miałem piętnaście lat, żeby wyrosnąć z wściekłości na własne życie. Ty nie masz takiego luksusu.

– Wściekłość na własne życie? Szaleństwo i głupota. Tak samo jak nazywanie piętnastu lat niewoli luksusem. Byłem Pryzmatem. Jak Pryzmat, on jeden spośród wszystkich ludzi, mógłby narzekać?

– Lepiej być szczerym niewdzięcznikiem niż kłamcą, który ostatecznie też jest niewdzięcznikiem.

– Nazwij mnie kłamcą raz jeszcze, a będziesz łykał własne zęby.

– Pozwól, że coś ci powiem, Pryzmacie-niewolniku. Kiedy Orholam żąda posłuszeństwa, możesz poddać się od razu i pójść łatwą drogą, albo zrobić to później i przejść trudną drogę. Albo nigdy i dać się zmiażdżyć.

– Bo jest mściwy i okrutny.

– Bo jest królem. A im dłużej idziesz w niewłaściwym kierunku, tym dłuższą drogę musisz przebyć potem, żeby wrócić do miejsca, w którym powinieneś być.

– Nie jest królem. On nie istnieje. To pocieszająca opowieść, świeczka rozpraszaająca ciemności naszych lęków. Jest tylko nicość. Na nic się zda przeklinanie go, tak samo jak modlenie się do niego. Jesteśmy ludźmi, którzy, potknąwszy się, winimy kamień za to, że złapał naszą stopę.

– Dlaczego więc boisz się znowu z nim porozmawiać?

– Najpierw nazywasz mnie kłamcą, a teraz tchórzem?

– Potrzebujesz więcej szczerych ludzi w swoim życiu. Albo lepszych uszu. Orholam wie, że mimo wszystkich luster, jakie ci dał, nie potrafiłeś dostrzec siebie, więc odebrał ci wzrok. Może to wyostrzy inne zmysły?

– Idź do diabła – odparł Gavin.

Jednakże część tego duszącego, chwytającego za pierś strachu znowu w nim narosła. Zdemaskowano go. Skąd ten starzec wiedział, że Gavin nie widzi?

Ach, przecież to jasne. Gdyby Gavin mógł krzesać, już by go tu nie było. To, że ten człowiek wiedział, że Gavin utracił kolory, wiedział o jego ślepcie, to nie efekt nadnaturalnego wglądu, ale raczej zwykłej dedukcji.

Orholam się roześmiał.

– Nie, na mnie czeka coś lepszego niż piekło. Ponieważ wreszcie ugiąłem kolana. Oni, nasi doskonali gospodarze, mają tylko władzę nad moim ciałem. Wolność dla mnie to tylko kwestia czasu. Te kajdany mnie nie powstrzymają. Mogłbym poprosić Orholama, żeby je zdjął, a spadłyby z moich nadgarstków.

– Udowodnij – rzucił szyderczo Gavin.

Po twarzy proroka przemknęła irytacja.

– To chyba uczciwe, że kusisz mnie, żeby zrobił to, przez co się tu znalazłem. Nie. Nie nadużyję powierzonej mi mocy. Umieszczono mnie tutaj przeze mnie samego, ale i ze względu na ciebie, Pryzmacie.

– Yhm.

– Orholam nie popełnia błędów, przebiegły człowieku. Zostałeś Pryzmatem z jego woli. To nie był przypadek. Istnieją rzeczy, których tylko ty możesz dokonać.

– Już nie.

Chmura na horyzoncie rozświetliła się od środka, kiedy zapłonęła w niej błyskawica.

Lepiej, żeby w ogóle się nie urodził. Lepiej, żeby nie urodził się Pryzmatem. Gdyby nie zaczął rozszczepiać światła, gdyby nie był polichromatą z pełnym spektrum, gdyby nie powiedział Gavinowi o swojej polichromacji, w nadziei, że to usunie rozdźwięk, jaki

pojawił się między nimi nie wiadomo skąd, kiedy Gavina zabrano i ogłoszono Pryzmatem elektem, wszystko byłoby dobrze. Jego starszy brat uznał dar Dazena za zdradę, jakby Dazen odebrał mu jedyną rzecz, która czyniła go wyjątkowym.

I dlatego prawdziwy Gavin zemścił się, wydając plan ucieczki młodszego brata z Karris.

Siedząc na kołyszącym się pokładzie galery, fałszywy Gavin dopił wino aż do mętów. Dopiero teraz to wszystko do niego dotarło. Przez lata myślał, że Karris stchórzyła. Obwinał jej pokojówkę. Obwinał własny marny plan, uważał, że musiał popełnić jakiś błąd.

A tak naprawdę to jego starszy brat dowiedział się i w odwecie zdradził jego sekret. Rodzina Białodębów zastraszyła pokojówkę Karris i ta wszystko powiedziała. To tłumaczyło poczucie winy malujące się na jej twarzy tamtej nocy – rzeczywiście dostrzegł prawdziwe wyrzuty sumienia, niewynikające jednak ze zdrady, lecz ze słabości, która nie pozwoliła kobiecie wytrzymać presji. Presji zbyt wielkiej, żeby ktokolwiek o jej pozycji był w stanie ją znieść.

Tamto spojrzenie, te niecałkiem zasłużone wyrzuty sumienia były powodem, dla którego Dazen zostawił ją po niewłaściwej stronie drzwi, żeby spłonęła, żeby zginęła, nieświadomie skazując też wszystkich pozostałych. Przelotne poczucie winy, której nie powinna nawet odczuwać, doprowadziło do śmierci tamtych wszystkich ludzi. To był grzech Dazena, że zakochał się w Karris, jego drobna zdrada, bo chciał uciec z kobietą, której jego brat pragnął, lecz nie kochał. To doprowadziło do wielkiej zdrady Gavina. Grzech Gavina i dzika mściwość Dazena, kwas, który wytrawił mu duszę. Obaj wywierali na sobie nawzajem zemstę, która rosła niczym spiralna iglica, aż satrapie stanęły w płomieniach.

– Twój ojciec wybrał na Pryzmata Gavina, ale Orholam wybrał ciebie. Czy to nic ci nie mówi? – zapytał Orholam.

Na chwilę fakt, że starzec użył właściwego imienia, aż zaparł Gavinowi dech. Potem jednak przypomniał sobie, że zaraz po wyłowieniu, pod wpływem szoku, w ślepej głupocie, powiedział Artylerzyście, że jest Dazenem. To nie było proroctwo. Orholam siedział obok przy wiośle. Po prostu ich podsłuchał.

A skoro on usłyszał, to kto jeszcze?

Gavin się zaśmiał. Ta kwestia znajdowała się dość nisko na liście rzeczy, którymi powinienem się martwić, prawda? Do diabła. Potrzebowałem piętnastu lat, żeby zdobyć się na odwagę i wyznać ci, Karris, kim naprawdę jestem, a potem w kilka minut wygadałem się całemu statkowi piratów.

– Mój ojciec wybrał go, ponieważ był starszy – odparł.

– Twój ojciec, potomek Żelaznej Ataei Guile? Uległ tradycji primogenitury, którą twoja rodzina rzadko się przejmowała? Twój ojciec, który sam był młodszym bratem?

– Wybrał go, bo dostrzegł w nim silną wolę.

– A drugiemu synowi ewidentnie jej brakowało – zakpił Orholam, lecz zrobił to łagodnie.

– To, co twój ojciec ujrzał w tobie, sprawiło, że cię odrzucił i właśnie ze względu na tę samą rzecz Orholam wybrał ciebie.

– A co to takiego?

Orholam się uśmiechnął.

– W końcu to odkryjesz.

– Masz jaja, wiesz? Siedzisz tu, pijesz ze mną i mówisz mi, jaką okropną osobą jestem, a potem obrażasz mojego brata i ojca, i jeszcze się uśmiechasz. Ty pojebie.

Orholam wzruszył smutno ramionami.

– To dlatego jest tak niewielu proroków. Często kończymy martwi. Prawda obraża tych, którzy kochają ciemność. – Spojrzał na żeglarzy, którzy nadal toczyli głośnie pijackie dyskusje; niektórzy już spili się do nieprzytomności. – Myślę, że o nas zapomnieli.

Wyciągnął rękę, wziął od Gavina cynowy kubek. Poczekał chwilę, obserwując piratów, a potem nonszalancko uklęknął i sięgnął do beczki, żeby nabrać dodatkową miarkę wina. Wręczył kubek Gavinowi i usiadł z powrotem.

Przynajmniej jakaś rekompensata. Więcej wina.

– Za korzyści ze słuchania proroka – powiedział Gavin.

Stuknął się kubkiem z szaleńcem i napił się.

– Mam ściągnąć na nas burzę z błyskawicami i ogniem? – zapytał Orholam.

– Myślałem, że nie wolno ci nadużywać mocy – odparł Gavin.

– Ach, racja. Zapomniałem. – Galernik wypił łyk. – Wygląda jednak na to, że burza tak czy inaczej nadciąga.

Na dziobie Artylerzysta po pijanemu przyjmował zakłady, w co uda mu się trafić, a w co nie. Jednakże nikt nie chciał stawiać przeciwko niemu, więc wyzwał swoich ludzi od tchórzy. Wyzwiska mogły sprawiać wrażenie dobrodusznych, ale właśnie odstrzelił od ust jednego z piratów cynowy kubek, trzymając muszkiet jedną ręką, a drugą z dumą wymachując swoją męskością i oddając mocz wielkimi ósemkami do morza.

– Czy na morzu wszyscy są szaleńcami? – zapytał Gavin.

– Dzięki odrobinie szaleństwa nie zwariujesz – odpowiedział Orholam. – Ten jegomość, który przeklina Ceres? Ożenił się młodo. Dziewczyna nazywała się Ceres. Uznali to za zabawny zbieg okoliczności, kiedy dowiedzieli się, że Ceres była starą pogańską boginią morza. Jego dwie wielkie miłości były jedną, żartowali sobie. Dziewczyna popełniła samobójstwo, kiedy on był na jednym z rejsów. Utopiła się. On obwinia siebie. Tak naprawdę to nie była jego wina, szaleństwo często dopada ludzi około dwudziestki. Okrutny wróg powiedział mu, że Ceres usłyszała, że Artylerzysta ją zdradza.

Gavin zaklął pod nosem.

– Skąd to wiesz?

– Orholam mi powiedział.

Gavin spojrzał na niego.

– Jaja sobie z ciebie robię. Jak spędzisz na statkach tyle czasu co ja, to poznasz wszystkie pieprzne ploteczki. Usłyszałem to od człowieka, który znał kapitana, zanim jeszcze zaczął przedstawiać się jako Artylerzysta. Nie pamiętam jednak jego prawdziwego imienia. Wtedy nie wydawało się to interesujące. Powiedz mi, śnisz, prawda?

– Śnię od czasu do czasu – odparł Gavin lekceważąco. – Każdy śni.

Zacisnął mu się żołądek. Wolał, gdy prorok siedział cicho i słodko się uśmiechał.

– Potężne sny. Sny, które śmiertelnie cię przerażają? Budzisz się spanikowany, a pierś tak ci się zaciska, że nie możesz oddychać i cały jesteś zlany potem?

Absolutnie tak. Gavin wzruszył ramionami, jakby mówił „może”.

– Będziesz miał sen, tej nocy, a może następnej, nie jestem pewien, ale wkrótce. Zapamiętaj go. Bądź uważny.

– Nie możesz sprawić, że coś mi się przyśni.

– Ja nie mogę. To gra, w którą grałem kiedyś z Orholamem. Mówię, że zrobi coś, co myślę, że jest zgodne z jego wolą, a wtedy on w pewnym sensie musi to zrobić, bo inaczej ukaże się w złym świetle. On, nie ja.

– Świetna gra.

– To jeszcze nie wszystko. Za każdym razem, kiedy to robię, rzuca mi zadanie, które uważam za niewykonalne, zbyt przerażające albo zbyt kłopotliwe do wypełnienia. Kiedyś to były zwykłe rzeczy, ale wtedy sprawiały mi trudność. Mawiał: „Idź i powiedz tej kobiecie, że jej mąż ją kocha”. A ja czułem się jak głupiec, jak wariat, mając podejść do nieznajomej i powiedzieć jej coś takiego. W końcu jednak zebrałem się na odwagę, a to chuchro spojrzało na mnie, jakbym ją zdzielił młotem między oczy, i wybuchło płaczem. Nigdy nie poznałem reszty historii, ale rok później widziałem ją z mężem i oboje promieniali. Trzymała dziecko na rękach. Spojrzała na mnie i mrugnęła. Później było trudniej. „Idź i powiedz gubernatorowi, że jeśli raz jeszcze położy ręce na żonie brata, umrze w ciągu miesiąca”. Po tych słowach nie cieszyłem się nadzwyczajną popularnością. Jednakże gubernator wziął je sobie do serca. Nie odezwał się do mnie słowem. Za to żona brata? Próbowała mnie zabić.

Błyskawica się zbliżała i piraci obserwowali jej nadejście.

– Unieść kotwicę! – wrzasnął pijany Artylerzysta. – Obudzić niewolników. Popłyniemy na sztormie!

Pirat zauważył Gavina i Orholama przykutych do masztu, więc podszedł, żeby zabrać

ich do wiosła. Ostatnie, co Cavin zobaczył, zanim wepchnięto go pod pokład, to Artylerzysta stojący na relingu, balansujący z liną w jednej ręce i mieczem-muskietem w drugiej. Jego postać oświetliła błyskawica.

– Ceres! – wrzasnął Artylerzysta z policzkami mokrymi od łez. A może tylko od deszczu?
– Ceres, ty suko! Zabij mnie, jeśli zdołasz! Wyzywam cię! Ja... – Resztę zagłuszył huk gromu.

ROZDZIAŁ 23

– Sir? Nie robi pan wrażenia zaskoczonego – powiedziała do Żelaznej Pięści Teia. – Pan... pan wiedział?

– Czy ja wyglądam na dziecko w lesie, szczawiu?

-Sir?

– Czarna Gwardia to najlepsi z najlepszych. Rody próbują znaleźć haka na większość naszych uczniów w taki czy inny sposób. Udawało im się dostatecznie często, żebyśmy sami nauczyli się przebiegłości.

– Czyli wiedział pan?

– Chodź ze mną.

Ostrożnie włożył ghotrę i poszli do windy.

– Kiedy spojrzę na ciebie, zapytaj, czy chcę, żebyś została przy posterunku – powiedział.

Ustawił ciężary i pojechali windą na sam szczyt wieży, gdzie powitali ich stojący na warcie Czarnogwardziści.

– Zastałem Biel? – zapytał.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Samite.

Żelazna Pięść zawahał się i spojrzał na Teię.

– Mam tu zaczekać, sir? – spytała Teia.

Żelazna Pięść był aż tak ostrożny? Nawet wobec Samite? Obawiał się, że jego własni Czarnogwardziści zgłoszą... Co właściwie? Że Teia towarzyszyła mu podczas spotkania z Bielą? Takie spotkanie wydałoby się wystarczająco niewinne, prawda? Jednak ostrożność dowódcy oznaczała, że nie chciał, aby nawet taki drobiazg się wydał, żeby wyjawili to Czarnogwardziści, którzy pracowali dla niego całe swoje dorosłe życie. Jakaś część Teii upadła na duchu. Chciała, żeby chociaż Czarna Gwardia była czysta. Coś musiało być czyste i dobre, nawet jeśli ona sama taka nie była. Odkryła też, że prostolinijny czarnogwardyjski dowódca jest dużo przebieglejszy, niż sobie wyobrażała.

– To będzie chwila – odparł Żelazna Pięść, jakby rozważył sprawę i zbył ją bez dłuższego zastanowienia. – Chodź.

Weszli razem do pokoju Bieli. Czarnogwardziści zapowiedzieli ich oboje – Teia była zaskoczona, że znają jej imię. Nigdy nie należy nie doceniać Czarnej Gwardii, pomyślała.

Kiedy weszli, Biel odprawiła starą niewolnicę i sekretarza. Musiała krzesać, odkąd Teia

widziała ją ostatni raz. Dzięki temu wyglądała zdrowiej, ale Teia wiedziała, że to tylko pozory zdrowia. Skoro Biel uznała, że może sobie pozwolić na krzesanie, znaczyło to, że zamierza dołączyć do Uwolnienia w Dniu Słońca.

Biel przyglądała się Teii, a Teia przyglądała się Bieli. Dziewczyna zastanawiała się, co stara kobieta zobaczyła.

– Aglaia – zaczął bez żadnych wstępów dowódca Żelazna Pięść – szkolila ją w kradzieżach. Prawdopodobnie zatrzymała przedmioty z myślą o szantażu. To wyjaśnia umiejętności Teii w dziedzinie charakteryzacji. Zgłosiła się do mnie. Z własnej woli.

Biel sprawiała wrażenie nieporuszonej wieściami i tym, że dowódca wyjawiał wszystko bez żadnych wstępów.

– Kiedy dowiedziałaś się, że nie ma żadnej lady Verangheti? – spytała Teię.

– Tuż przed naszym wyjazdem... Chwileczkę, pani też o tym wie?

Lady Aglaia Crassos powiedziała, że ukrywa fakt posiadania niewolników, posługując się pseudonimem lady Lucretii Verangheti i dzięki temu umieszcza szpiegów w najróżniejszych miejscach.

– Jeśli już ktoś zadaje sobie tyle trudu, żeby mieć szpiegów, przystoi, żeby dama miała najlepszych – odparła Biel. Uśmiechnęła się leciutko. – Jak doszłaś do wniosku, że zamierza cię szantażować? Z pewnością po tym, jak Andross Guile zmusił ją do odsprzedania ciebie, musiałaś uznać, że się uwolniłaś, w każdym razie od niej.

– To prawda – przytaknęła Teia.

Fakty były bardziej skomplikowane. Aż do dzisiejszego dnia myślała, że będzie wolna.

Najpierw pomyślała, że to Aglaia przysłała pana Sharpa, żeby znowu wciągnąć ją w swoją sieć. Tylko po co wrabiałyby ją w morderstwo?

Zwykle lady Crassos inaczej prowadziła swoje rozgrywki. Jako lady Verangheti była zdyscyplinowana, zmuszała Teię do coraz trudniejszych kradzieży, coraz mocniej wplątując ją w swoją sieć, żeby złapać ją w pułapkę, zanim dziewczyna choćby pomyśli o stawieniu oporu. Lady Verangheti stawiała pojedyncze kroki. Wyznaczałyby coraz trudniejsze zadania, aż dziewczyna by odmówiła, a wtedy lady wyjawiałyby jej, że od samego początku pętla zaciskała się wokół szyi Teii. Potem zmuszałyby ją do coraz gorszych rzeczy, aż w końcu Teia byłaby gotowa na wszystko. Taki szpieg, zwłaszcza gdyby Teia dostała się do Czarnej Gwardii, byłby doskonałą bronią. Lady Crassos sprawiała wrażenie za sprytniej, żeby zrobić coś, co mogłoby sprawić, że Teia przedwcześnie wyrwie się z sieci.

Weźmy na przykład bycie świadkiem morderstwa.

Zobaczywszy morderstwo, Teia mogła pójść prosto do dowódcy Żelaznej Pięści i wszystko mu wyznać; to było logiczne. Lady Crassos nie zaryzykowałyby czegoś takiego.

Dlaczego więc wrobiła Teię w morderstwo?

Nie było powodu. Lady Crassos tego nie zrobiła.

Przed bitwą o Ru Aglaia sprawiała wrażenie mało zainteresowanej zabójstwem, które Teia widziała na targu. A nie miałyby po co udawać, gdyby chciała zrobić z Teii zabójczynię. Przecież to byłby doskonały straszak: „Jeśli mi się sprzeciwisz, Adrasteio, mogę kazać cię zabić w taki sam sposób. Nikt mnie nie powstrzyma”.

Tak naprawdę to nadal był dobry straszak. Dobry powód, żeby nie mówić Bieli, Żelaznej Pięści, Kipowi ani nikomu innemu o Mordercy Sharpie.

Teia zdała sobie sprawę, że jej milczenie podejrzenie się przeciąga.

– Nie mogłam uwierzyć, że jestem wolna, i ogarnęło mnie straszne podejrzenie. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej wydawało mi się sensowne, że zatrzymała coś z tego, co ukradłam, żeby wykorzystać to przeciwko mnie. Jest... przerażająca. – Delikatnie rzecz ujmując. – Ale skąd pani o tym wie? Skąd oboje wiecie?

Teia zerknęła na Żelazną Pięść. Odpowiedział na jej spojrzenie w milczeniu.

– Adrasteio, w tej grze człowiek albo musi być przebiegły jak wąż, albo musi bezgranicznie ufać osobie, która taka jest – powiedział w końcu. – Zawsze wolałem to drugie rozwiązanie. – Skłonił głowę w stronę Bieli.

Dziwne, że jeszcze chwilę temu sprawiał wrażenie tak przemyślnego, a teraz był starym Żelazną Pięścią, zbyt prostolinijnym, żeby się nadawać do polityki. Teia zastanawiała się, czy to miało coś wspólnego z jego niezwykle publiczną utratą wiary i bardzo publicznym jej odzyskaniem.

– Podejdz, dziecko – powiedziała Biel.

Kiedy Teia się zbliżyła, stara kobieta przyjrzała jej się uważnie, badając oczy byстрыm wzrokiem.

– Dowódcu, czy jej oczy zabarwiły się delikatnie na fioletowo, czy się oszukują?

Żelazna Pięść spojrział w oczy Teii.

– Możliwe. Chociaż nie zauważyłbym, gdybym tego nie szukał.

– Zatem spektralne krwawienie. Najwyraźniej dotyka nawet paryłowych krzesicieli. – Biel westchnęła. – Och, dziecko, gdybyś tylko była dwiema osobnymi dziewczętami. Z radością studiowałabym was obie. Jednakże, studiując was, nie mogłabym się wami posłużyć, a ty jesteś tylko jedna. Człowiek musi wierzyć, że Orholam wie, co jest najlepsze. Mimo wszystko... – Wzniosła oczy w górę, chociaż tam był tylko sufit, nie niebo, jakby delikatnie beształa stwórcę wszechświata. – Opowiedz mi, córko, o swojej rodzinie.

– To nie pani spraa...

Teia ugryzła się w język, kiedy zdała sobie sprawę, do kogo się zwraca. Przełknęła ślinę. To było zupełnie neutralne pytanie, wręcz przyjazne, ale Teia gromadziła wiedzę o swojej

rodzinie i wstyd od tak dawna, że pytanie odebrała jako wrogie.

– Najszlachetniejsza pani, może to niewłaściwy moment – odezwał się dowódca Żelazna Pięść. – Mamy tylko kilka minut...

Biel nie oderwała oczu od Teii, ale jej ton nabrał ostrości.

– Jestem znana z tego, że żywo interesuję się młodymi ludźmi. Wiek pozwala mi na pewne dziwactwa. Wychodząc, wzruszysz ramionami i powiesz „Wiesz, jaka ona jest w stosunku do młodych”. A potem uśmiechniesz się i pójdziesz zająć się swoimi sprawami, a szpiedzy zrobią to samo. Rodzina, dziecko.

– Ojciec jest kupcem. Był. Teraz jest robotnikiem pracującym na dniówkę. Dwie siostry. Młodsze. O mojej matce nie warto mówić.

– Twój wstyd mówi co innego.

Teia zacisnęła zęby. Spojrzała w okno. Pytała ją Biel. Fakt, że Teia choćby rozważała odmowę, wydawał się wręcz bezbożny, a z pewnością zdradzał niezdyscyplinowanie.

Odpowiedziała więc, ale mówiła beznamiętnym tonem:

– Moja matka straciła rozsądek na pewien czas, kiedy mój ojciec wyruszył w podróż. Przeprowadzała do domu każdego, kto był chętny pójść z nią do łóżka. W końcu znalazła takiego, któremu spodobała się na tyle, by został dłużej. Urządzała przyjęcia, na które nie było ją stać, wynajmowała tancerki i muzyków jak bogaczka. Nie byliśmy bogaci. Zrujnowała nas. Myślę, że spodziewała się, że ojciec ją zabije po powrocie. Myślę, że taką miała nadzieję. Sprzedała nas wszystkich do niewoli, żeby spłacić długi, które zaciągnęła. Ojciec sprzedał wszystko, co mu zostało, przede wszystkim statek, i wykupił moje siostry. Do tego czasu ujawnił się mój talent i stałam się zbyt cenna. Nie miał dość pieniędzy, żeby mnie wykupić, i nie mógł aż tyle pożyczyć.

– A co zrobił z twoją matką? – zapytała Biel.

– Nic. – Nie ukrywała goryczy.

Ojcze, dlaczego o mnie nie walczyłeś? Dlaczego wybrałeś tę, która cię zdradziła?

– Jakie to budzi w tobie uczucia?

– Pogardzam nim za jego słabość.

– Zamiast podziwiać jego dobroć. Ciekawe.

– Czy to dobre, że nie robi się nic, gdy zostanie się skrzywdzonym? – odpowiedziała ostro Teia.

– Nie masz pojęcia, co zrobił, a czego nie. Rodzice często osłaniają dzieci przed prawdą swoich klótni, a ty żyłaś już wtedy gdzie indziej, byłaś już niewolnicą. Oceniasz zbyt pochopnie, zbyt surowo. Dobrze by było, gdybyś z tego wyrosła. Tylko głupiec osądza samym sercem.

Teia przyjęła naganę, chociaż była niesprawiedliwa. Jej ojciec biernie zaakceptował tę

szaloną dziwkę, powiedział coś o miłości i wybaczeniu.

– To wszystko? – zapytała.

– Wiesz, że miałam dwie córki? Pamiętam czas, kiedy były nastolatkami. Prawdziwe piekło.

Teia uśmiechnęła się wbrew sobie.

Na pewno trochę na to zasłużyłaś.

– Gdzie teraz mieszkają? Nie na Wielkim Jaspisie, prawda?

– Nie żyją. Jedna zginęła w czasie Krwawych Wojen, a druga wkrótce potem, zabita przez mężczyzn, którzy nie pogodzili się z tym, że Krwawe Wojny się zakończyły. Uważali, że ich strona nie wymierzyła jeszcze dostatecznie krwawej zemsty. Dzieci moich córek zostały zabite albo porwane i sprzedane do nielegalnej niewoli. Może nadal gdzieś tam żyją w cierpieniu. Ich babka to Biel, jedna z najpotężniejszych osób we wszystkich satrapiach, a one są niewolnikami. Całe moje bogactwo i tysiące szpiegów zdają się na nic, bo kto dostrzeżga niewolnika? – Jej oczy zapłonęły ogniem. – Niewolnictwo jest złem, bez którego nasz świat nie może funkcjonować, ale mimo to jest złem. – Skrzywiła się. – Dlatego nie pozwolę, żeby ci, którzy są ze mną związani, byli ograniczeni takimi pętami, a w każdym razie nie pozwolę w miarę swoich możliwości. Dowódco.

Żelazna Pięść podniósł dokumenty z biurka Bieli i wręczył je Teii. To były kopie rachunków, których nie potrafiła nawet odczytać – nie jednym rzutem oka – i list napisany od dawna znajomym charakterem pisma, który natychmiast rozpoznała. Ręką jej ojca.

Moje długi spłacono w Twoim imieniu, Adrasteio. Już ustawiła się kolejka inwestorów gotowych wykupić jedną z nowych karaweli nadchodzącej wiosny. Kompletuję właśnie załogę. Zawiodłem Cię, ale Ty mnie nigdy. Kiedy tylko będę mógł, zjawię się na Wielkim Jaspisie albo tam, gdzie zostanie wyznaczony Ci posterunek. Siostry mają się dobrze. Kallea wyszła za rzeźnika i spodziewa się na wiosnę pierwszego dziecka. Męża ma do niczego, ale przynajmniej została blisko. Marae ma nadzieję wyjść za oficera. Dobry człowiek. Jakie wieści?

Musiał mieć ograniczoną ilość papieru, bo ostatnie zdania były ściśnięte i jeszcze krótsze niż zwykle.

Jej siostra spodziewała się pierwszego dziecka? Kallea miała piętnaście lat. Oczywiście, wiele biednych dziewcząt wcześniej wychodziło za mąż. Jednak Teia nie potrafiła poskładać tego w całość. To były fakty, uwagi dotyczące innego życia. Nie jej życia. Tego typu rzeczy nie przydarzały się Teii.

– Dlaczego? – zapytała. To musiała być pułapka, jakaś sztuczka. Zaraz zostanie to jej w jakiś sposób odebrane. To było zbyt piękne. – Dlaczego?

– Bo czasem mogę zrobić coś dobrego – odpowiedziała Biel. – Bez zobowiązań, Teio. Tragedie, które na mnie spadły, pozostawiły mi pewne dary. Między innymi pieniądze. Jaki pożytek ma umierająca stara kobieta z pieniędzy? Mogę pobłogosławić ci równie hojnie, jak mnie pobłogosławił Orholam. Światłem, życiem i wolnością, moje dziecko.

Te słowa przewaliły się przez Teię jak fala sejsmiczna. Musiała z nimi walczyć, odepchnąć od siebie.

– W jaki sposób pani...? Teraz?

– Zaczęliśmy nad tym pracować, kiedy tylko podjęłaś starania o przyjęcie do Czarnej Gwardii. Chcemy, żeby wszyscy nasi ludzie swobodnie dokonywali wyboru. Nie zawsze da się to zrobić, ale zawsze się staramy. List dostarczono, kiedy byłaś w Ru. Od tamtego czasu zamierzałam po ciebie posłać, ale to był pracowity okres.

– Zamierzaliście... Od samego początku?

– Ogólnie rzecz biorąc, dla nas to drobnostka, a wiedzieliśmy, jak wielka to rzecz dla ciebie.

Teii zaparło dech. Później będzie płakać, ale w tej chwili ledwie była w stanie oddychać, ledwie wierzyła w dobroć umierającej kobiety, w niezłomność jej ojca, w życie sióstr, które pobiegło tak odmiennym torem, że ze swojego miejsca Teia całkiem straciła je z oczu. Wyświadczone wielkie dobro ludziom, o których myślała, że już nigdy więcej ich nie zobaczy. Jednakże z jakiegoś powodu podczas tej chwili miłosierdzia poczuła się jeszcze bardziej samotna niż w czasie lat szkolenia i kradzieży we wstydzie, lat ukrywania prawdy o sobie nie tylko za pomocą przebieranek, których jej nauczono.

– Nie tylko Aglaia mnie szantażowała – wyrwało się Teii. – Jest ktoś jeszcze. O wiele gorszy.

I powiedziała im o panu Sharpie. O szpiegu, o morderstwie, o ucieczce, o tym, że Kip ją widział, o kradzieży jej dokumentów i ich zwrocie. A kiedy skończyła mówić, wreszcie poczuła się wolna. Mogła odetchnąć pełną piersią.

Co dziwne, Biel wyglądała jeszcze młodziej i żywiej niż zwykle. Jej oczy zapłonęły gotowością do walki.

– Teio – powiedziała – jak bardzo jesteś odważna?

Dziesięć minut później dowódca Żelazna Pięść wyprowadził Teię z pokoju, mówiąc, że zaraz do niej dołączy.

Kiedy drzwi się zamknęły, spojrzał sceptycznie na Biel.

– Zaplanowałaś to, pani.

– Miałam nadzieję, że do tego dojdzie.

– Wiedziałaś o tej drugiej sprawie. O tym Mordercy Sharpie.

Nie potwierdziła.

– Dobroć potrafi skruszyć łańcuchy, których spryt nie jest w stanie.

– Tym jesteś? Splecioną dobrocią i sprytem?

– Czyż kaduceusz nie był kiedyś symbolem Bieli? – odpowiedziała pytaniem. A potem zniknęła jej żartobliwość. – Zakon Złamanego Oka, Harrdunie. Zdarzali się już wcześniej naśladowcy, ale ilu naśladowców ma migotliwe płaszcze? Tym razem mamy szansę.

– Zmiażdżyć ich?

– Albo ponownie połączyć z naszą trzódką. Jednak tak, pewnie masz rację. Herezja to koń, który chwyta uzdę w zęby i nie podda się żadnej dłoni, dopóki ta go nie zbije.

– Dziwne porównanie w ustach kobiety, która uderzyłaby człowieka, ale nie konia.

– Koń nie może zasłużyć na bicie.

– Cóż, mam nadzieję, że ta drobna klaczka utrzyma ciężar, który na nią zrzuciłaś, pani. Będzie koniem bojowym, o ile.

– O ile najpierw jej nie zabiję – mruknęła ponuro Biel. – Wiem. Człowiek traci i ludzi, i konie podczas szkolenia. Czy to powód, żeby zrezygnować ze szkolenia?

– To nie jest szkolenie.

Biel poruszyła się, jakby chciała dalej się spierać, ale potem usiadła prosto w krześle. Wzięła do ręki łańcuszek na szyi i wyjęła klucz, który był skryty za dekoltem.

– Główny klucz do wszystkich zakazanych bibliotek. Po to przyszedłeś, prawda? Poprosiłeś o widzenie, zanim dziewczyna wróciła z Wielkiego Jaspisu. Na co polujesz?

– Na rojenie. Podejrzenie. Głupstwo.

– Ale pierwsza się dowiem, jeśli coś znajdziesz?

Wziął od niej klucz i go schował. To było przytaknięcie.

– Uważaj, Harrdunie. Moje obrony są coraz bardziej kruche.

Podszedł do drzwi.

– Harrdunie – odezwała się.

Przystanął.

– Ghotra. Znowu ją nosisz.

Odchrząknął.

– Do twarzy ci w niej.

ROZDZIAŁ 24

Gavin śnił po burzy, ale wiedział, że to nie sen. To było wspomnienie. Przez krótką chwilę walczył. Nie, tylko nie to. Orholamie, zlituj się nade mną, nie...

To był jego pierwszy Dzień Słońca w roli Pryzmata. Był w swoich komnatach na szczycie wieży, która teraz była jego wieżą. Właśnie minęło południe i rytuały przeprowadzane o świcie i w południe dobiegły końca. Teraz zostało tylko zamordować czterystu krzesicieli.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła jego matka. Gavin ledwie miał czas wrócić do domu, zjeść coś szybko i się wykąpać. Jego osobista niewolnica Shala – kobieta w wieku jego matki, którą jego rodzicielka osobiście wyznaczyła na miejsce niewolnicy prawdziwego Gavina, najwyraźniej starając się utrzymać drugiego syna w celibacie aż do końca jego dni – ogoliła mu pierś. Dwoje Najwyższych Luksjatów, Daeron Utarkses i Camileas Malargos, namaściło całe jego ciało oliwą i mirrą. Nie rwał się do powtórki doświadczenia, jakim było pozwolenie, żeby siostra dwóch mężczyzn, których zdradził, położyła ręce na jego nagim ciele, ponieważ namaścili go całutkiego, a kogo wolałbyś wyznaczyć do namaszczenia przyrodzenia i klejnotów – starego mężczyznę, czy starą kobietę, która ma powód, żeby cię nienawidzić, nawet jeśli może o tym nie wiedzieć?

Pryzmat nie należał do samego siebie. Pryzmat należał do wszystkich satrapii, do Orholama, do swojej rodziny, do pokoju; sam mógł nacieszyć się wszelkimi skrawkami, jakie zdołał zebrać, kiedy już wszyscy wymienieni wzięli sobie po kęsie.

Miedziane włosy związano mu z tyłu, a Najwyżsi Luksjaci włożyli mu koronę z pojedynczym brylantem wielkości jajka drozda. Przywdział ceremonialną koszulę z czerwonego jedwabiu i złotogłowiu rozciętą z przodu i z rękawami tak krótkimi, że właściwie szczątkowymi. Spodnie też uszyto z czerwonego jedwabiu; były tak obcisłe, że rozdarłyby się, gdyby poruszył się w nich za szybko. Jednakże Pryzmat był ręką Orholama na ziemi; wypadało, żeby emanował potencją, męskością, wręcz seksualnością. W końcu Orholam był siłą stwórczą, życiodajną istotą. To, na ile pojęcia tworzenia i reprodukcji pokrywały się, zmieniało się w tę i z powrotem, zależnie od tego, który z Najwyższych Luksjatów miał aktualnie większe wpływy. Stworzenie miało odzwierciedlać stwórcę, twierdzili. Jak na górze, tak i na dole.

To, że uroczystości celebrowane przez Pryzmata często zamieniały się w ceremonie ku czci Pryzmata, najwyraźniej nikomu nie przeszkadzało. A w każdym razie nikomu przy

władzy. Zgodnie z Gavina pojmowaniem teologii, stanowiło to problem, ale był oszustem i gdyby zbyt głośno zaprotestował, mógłby się zdradzić. Robił więc, co mu mówiono.

Felia Guile odprawiła Shalę i młodego, patrzącego gniewnie Czarnogwardzistę imieniem Żelazna Pięść. Kiedy wyszli, powiedziała cicho:

– Mój synu, jeśli to przetrwasz, będziesz Pryzmatem tysiąc lat. Przez cały dzień doskonale się spisywałeś, lepiej, niż kiedy byłeś... młodszy.

Miała na myśli to, że spisywał się lepiej niż wcześniej prawdziwy Gavin.

– Zabiłem już wcześniej więcej niż czterystu ludzi. To nie będzie problem.

Śniący Gavin nagle oddzielił się od młodzieńca ze wspomnień. Naprawdę tak myślał czy chciał zaimponować matce? Rozpaczliwie nie chciał jej zawieść. Była wspaniała, a on orientował się trochę, ile zaryzykowała, żeby utrzymać go przy życiu.

– A ci nawet nie będą stawiać oporu – dodał z krzywym uśmiechem.

Felia nie uśmiechnęła się.

– Zdejmij koszulę, muszę cię namaścić.

– Już mnie namaszczone.

– Nie tym.

Wyjęła mały słoiczek żółtawo-pomarańczowej pasty albo balsamu. Zaczęła ostrożnie wcierać miksturę w jego skórę, dotykając tylko tych miejsc, które nie będą zasłonięte przez ubranie, jakby pasta była niezwykle cenna.

– Co to jest? – zapytał.

Nie odpowiedziała na jego pytanie, ale zamiast tego zaczęła tłumaczyć:

– Gavinie, wiem, że do tej pory nie traktowałeś zbyt poważnie swoich obowiązków Najwyższego Luksjata, ale tego wieczoru... Dowodzenie satrapiami, przywracanie równowagi światu, to wszystko są rzeczy niezbędne, ale odległe. Ten wieczór to krwawy filar, na którym spoczywa cała twoja władza. Nieważne, że w każdym pokoju będziecie tylko ty i krzesiciel związany przysięgą. Kiedy Pryzmat traktuje swoje obowiązki lekko, kiedy się nimi rozkoszuje albo upija się do nieprzytomności, żeby przygotować się do tego brzemienia, wieść zawsze się rozchodzi. Taki Pryzmat nigdy nie zostaje na dłużej niż swoje siedem lat, a bywa, że nie wytrzymuje nawet tylu. Dzień Słońca to śmierć całej społeczności, całego zgromadzenia rówieśników. Oto, gdzie powszechny kult sprowadza się do pojedynczego, intensywnego i ostatecznego osobistego doświadczenia wiary.

– Nie zamierzałem potraktować tego lekko, matko. Próbowałem tylko zmniejszyć napięcie.

Zignorowała go.

– Będziesz miał tylko dwie minuty dla każdego. Wolimy dawać każdemu pięć minut z tobą, ale uniemożliwiła nam to sama liczba krzesicieli, którzy wypalili się w czasie wojny.

– Moglibyśmy wcześniej zacząć.

– Najwyższe Magisterium i Spektrum zgodzili się, że przeciąganie tego Uwolnienia na kilka dni ściągnęłoby tylko więcej uwagi na wojnę i zadane przez nią rany. Chcą, żebyśmy zostawili to już za sobą. Wszyscy krzesiciele rozumieją. Większość wyspowiadała się już u pomniejszych luksjatów. Niektórzy jednak, w obawie, że luksjaci zachowają listy ich grzechów i w przyszłości wykorzystają je przeciwko ich rodzinom ...

– To jest surowo zakazane!

Był aż tak młody? Tak naiwny?

– Surowo. A jednak się zdarza. Wykorzeniamy takich najciszej jak się da, ale ponieważ wielu luksjatów wywodzi się z arystokratycznych rodów, często pokusa jest dla nich zbyt wielka. Nie mogą się powstrzymać, żeby nie przekazać paru pomocnych kąsków. Jak mówiłam, niektórzy z wyświadanych zachowują największe grzechy, żeby ujawnić je tylko przed Pryzmatem. Staniesz się powiernikiem wielu mrocznych sekretów. Przy twojej pamięci to potężne narzędzie. I tak powinno być. Jednak z nikim nie dziel się tymi sekretami. Nie z ojcem. I nie ze mną. On będzie na ciebie naciskał. Fakt, że Pryzmat dzieli się takimi informacjami z własną potężną rodziną, podważyłby twoją władzę po tysiącokrotnie bardziej niż gdyby zrobił to zwykły luksjat.

– Oczywiście – zgodził się Gavin. Nagle doznał olśnienia z rodzaju tych, jakich nikt nie spodziewałby się po tak młodym człowieku. – Niektórzy umrą z grzechami ciążącymi im na duszy, tylko po to, żeby Pryzmat się o nich nie dowiedział, prawda?

Był młody, ale nie był głupi.

– Bez wątplenia. Pryzmat Rozłożysty Dąb był nic niewart, ale poprzedzająca go Pryzmatka Eirene Malargos potrafiła okazać takim krzesicielom miłosierdzie. Po wyświadaniu kogoś, kto był jej wrogiem, pytała, czy ma jakieś przemilczane grzechy, o których wybaczenie mogliby razem prosić Orholama. To nieortodoksyjne podejście, rozumiesz, bo wypowiedzenie grzechów na głos to wyciągnięcie ich na światło, to teologiczna konieczność, ale to podejście było też niezwykle miłosierne. Takie rzeczy wyciekają, sam wiesz. Ogromnie ją kochano.

– To mi wygląda na dobry pomysł.

– Pryzmatka Malargos przetrwała dwie kadencje, ale być może tylko dzięki temu, że Spektrum nigdy nie miało powodu, żeby się jej obawiać. Nigdy nie wspierała swojej rodziny ani żadnych ważnych dla siebie celów. Była figurantką, niczym więcej. Zastanów się głęboko, czy takiego losu pragniesz.

Odwrócił się, by spojrzeć na delikatną kobietę, która tak często czule się nim opiekowała. Ta stał. Czy ta stał była dla niej naturalna, a jedynie pozostawała ukryta, czy też matka zwyczajnie zrobiłaby wszystko, żeby chronić ostatniego żywego syna?

– Dałem satrapiom wiele powodów, żeby się mnie bały, matko. Odrobina miłości nie zaszkodzi.

Skłoniła głowę.

– Wedle życzenia, Ojczy.

Felia Guile, nieodmiennie pomarańczowa krzesicielka, doskonale wiedziała, kiedy zabarwić ten religijny tytuł żartobliwą kpina. Tym razem tego nie zrobiła. Okazała mu szacunek, którego jako młody człowiek nadal ogromnie pragnął od matki. Szacunek dziesiątek tysięcy innych wiernych został przez nią wzmocniony, nie umniejszony – tylko matka potrafiła tego dokonać.

Z pewnością nie znajdował nawet odrobiny szacunku dla siebie u ojca.

Felia zamknęła słoiczek.

– Balsam, który nałożyłam, zachowa się do świtu dzięki innym olejom, jakimi cię namaszczone. To mieszanka maleńkich cząstek pyłu niedoskonałego żółtego luksynu i nadfioletu. Możesz posłużyć się odrobiną nadfioletu, żeby całe twoje ciało promieniało nawet w zaciemnionym pomieszczeniu. To robi niezwykle wrażenie. Posługuj się nim oszczędnie i nie zbliżaj się za bardzo do pochodni, bo luksyn się rozpadnie. Jest niezwykle trudny do przygotowania dla żółtych i stanowi pilnie strzeżony sekret. Jeśli zechcesz, całe złoto w twoich szatach też może rozbłysnąć. To są ostatnie i najświętsze chwile w życiu krzesiciela. Niech będą czymś wyjątkowym, Gavinie.

Żadnej presji.

– Świedelka i magiczne sztuczki?

Matka odetchnęła głęboko.

– O ile dobrze pamiętam, Dazen odznaczył dowódcę swoich wojsk po bitwie na Krwawej Grani za rozgromienie wroga iluzjami, które, gdyby wróg myślał racjonalnie, nie zwiodłyby go nawet na dwa uderzenia serca.

Poczekaj. Odmówił jej satysfakcji i nie przyznał racji.

– Jednak w pewnych chwilach dwa uderzenia serca to wieczność – zacytowała go. – Sugerowałabym, żebyś w chwili, w której będziesz wbijał nóż, zaczął promienieć i jaśniał coraz mocniej, podczas gdy krzesiciel będzie umierał, żeby ofiarować mu symbol wiecznej nagrody. Ale... to ty jesteś Pryzmatem, Ojczy.

Potrafiła być zdumiewająco cyniczna, ta jego kochana matka.

– Jestem oszustem – szepnął.

Spoliczkowała go; furia wyrwała się spod pozoru takiego spokoju, że nawet nie domyśliłby się jej obecności.

A potem równie nagle zniknęła. Matka z powrotem wtarła balsam w nadal piekący policzek. Mówiła cicho, ale każde słowo było przemyślane i ostre jak brzytwa:

– Wszyscy jesteśmy oszustami. Wszyscy jesteśmy oszustami i wszyscy staramy się zrobić co w naszej mocy, żeby podtrzymywać wieżę iluzji i źle umiejscowionych nadziei. Nie zawieź nas, mój najdroższy synu.

Sen przeskoczył do przodu przez długi spacer na dziedziniec, przez wiwaty, pochwały i modlitwy kolejnego z Najwyższych Luksjatów, błogosławiącego Pryzmata i jego dzieło. Wystawiono potrawy i rzadkie wina. W niektórych wypadkach całe społeczności ruszały na pielgrzymkę na Mały Jaspis, żeby pożegnać ukochanego krzesiciela, który wyjątkowo dobrze służył ludziom. W tym roku oznaczało to krzesiciela, który odznaczył się szczególnym bohaterstwem w wojnie.

Chociaż była to uczta, wśród tłumów krążyli Czarnogwardziści. Mieli oko na krzesicieli, których dzielił krok od stania się kolorakami. Co kilka lat przydarzał się incydent, a po gorzkiej wojnie wiedzieli, że lepiej zachować czujność.

A potem Gavina zaprowadzono do pokoju, a do dłoni wciśnięto mu długi, wąski sztylet. Zamknięcie ciężkich drzwi całkowicie odcięło wiwaty tłumy. Teraz będzie szedł od pokoju do pokoju. Pomieszczenia układały się w koło u podstawy jego wieży. Każdy był mały, skąpo i prosto ozdobiony, wyposażony w dzban wina, mniejszy dzbanek makowego napitku dla przestraszonych i wyścielany kłęcznik. Niektórzy krzesiciele woleli spędzić noc na czuwaniu i modlitwie. Inni odprężali się, rozmawiali z rodziną i przyjaciółmi w większych pokojach albo na zewnątrz, dopóki luksjaci ich nie wezwali. Krzesicielki, jako ulubienice Orholama, odwiedzały w pierwszej kolejności.

Pierwsza była wymizerowana, miała może ze czterdzieści pięć lat. Klęczała cierpliwie na kłęczniku przy wejściu do pokoju. Odwróciła się plecami do małych drzwi, przez które luksjaci zabiorą jej ciało, a twarzą do wchodzącego Gavina.

– Pozdrawiam cię, moja córko, niech spłyną na ciebie wszelkie błogosławieństwa światła – powitał ją Gavin.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko na niego patrzyła.

Gavin poszedł i usiadł przed klęczącą kobietą.

– Przyszedłem cię wyspowiadać.

Nie odpowiedziała. Zwyczajowo luksjat, który rozmawiał z Gavinem między pokojami, powinien uprzedzić go, gdy pojawiały się szczególne okoliczności – krzesiciel jest niemy, może zachować się agresywnie, tego typu rzeczy. Luksjaci nic mu nie powiedzieli o tej kobiecie. Podali tylko jej imię.

– Masz coś do wyznania, Veil Parsham? – zapytał skrępowany Gavin.

– To – zaczęła kobieta – to jest złe. Nie tego pragnie Orholam. To farsa. To cuchnie ludźmi, którzy kurczowo czepiają się władzy i każą za to płacić innym.

– To naturalne, że się boisz.

– Nie boję się o swoje życie. Boję się o twoją duszę, Najwyższy Lordzie Pryzmacie. Niech Orholam ci wybaczy, bo to, co czynisz tej nocy, to morderstwo. – Odciągnęła na bok dekolt bluzki, żeby mógł trafić prosto w serce. – Dobij mnie, lordzie Pryzmacie, ale pewnego dnia położysz temu kres albo sam źle skończysz. Wiedz, że Orholam jest sprawiedliwy, i drzyj.

Gavin wstał i zwilżył usta. Były takie wyschnięte. Zamrugnął i podszedł oszołomiony.

– Bądź błogosławiona, moja córko.

Spojrzał kobiecie w twarz, wbijając sztylet w jej serce. Patrzył w pozbawione gniewu oczy, dopóki nie zgasło w nich światło. A potem pociągnął za sznurek dzwonka przy klęczniku. Dwóch luksjatów weszło i złapało klęczące ciało, zanim osunęło się na posadzkę. Otworzyły się boczne drzwi.

– Doskonały czas, Najwyższy Lordzie Pryzmacie. Po następnym pokoju będą figi i woda. Krzesicielka nazywa się Delilah Tae, jest podczerwona.

I zaraz znalazł się w drugim pokoju.

Kobieta na klęczniku nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Szlochała.

– Moja córko, niech spłyną na ciebie wszelkie błogosławieństwa świata.

Zalała się łzami.

Gavin usiadł.

– Przyszedłem cię wyspowiadać, córko, byś mogła kroczyć w świetle czysta i bez wstydu.

– Mam córkę, Najwyższy Lordzie Pryzmacie. Ma trzy lata. Powiedz mi, proszę, że nie robię źle, opuszczając ją. Nie mogę jednak już dłużej zapanować nad podczerwienią. Wiem to. Nie... nie powinnam używać jej aż tak wiele w czasie wojny. Powinnam być mądrzejsza.

– Jak się nazywa twoja córka?

– Essel.

– Zaopiekujemy się Essel, Delilah Tae. Osobiście tego dopilnuję.

– Nie mamy rodziny. To znaczy nie mamy od czasu wojny. Dorastałam obok domu dla sierot. Niektórzy luksjaci mieli dobre intencje, ale... Proszę obiecaj mi, że tam nie trafi, Najwyższy Lordzie Pryzmacie. Nie zasługuję, żeby prosić cię o cokolwiek, ale...

– Zajmę się nią. Obiecuję.

Dzwonek zadzwonił, dając znać Gavinowi, że poświęcił Delilah za dużo czasu.

Kobieta nerwowo przełknęła ślinę.

– Mam coś jeszcze do powiedzenia. Ogromnie przepraszam, wiem, że inni czekają.

– Jestem tu. Z tobą. Wyznaj mi, co masz do powiedzenia.

-To był mój pomysł. Garriston. Mój mąż był czerwony. On i ja robiliśmy taką sztuczkę: on wystrzeliwał strumień luksynu w powietrze, a ja go podpalałam. Pokazaliśmy to naszemu dowódcy, a on podjął ten pomysł jak własny... Ale to był mój pomysł. Pollos

przestrzegał mnie, żebym im nie mówiła, że wykorzystają to do czegoś złego, ale ja im pokazałam. Ci wszyscy ludzie. Całe miasto spłonęło. Mówią, że w samym mieście zginęło osiemdziesiąt tysięcy.

I rozplakała się, niezdolna dalej mówić. Gavin chciał powiedzieć, że to jego wina. Moja wina. Mojego brata. To my wydawaliśmy rozkazy. Wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy, ale zostawiliśmy brzemię na ramionach ludzi takich jak wy.

Dzwonek znowu rozbrzmiał, bardziej natarczywie.

W milczącej złości Gavin sięgnął niebieskim luksynem i zerwał dzwonek ze ściany.

Uklęknął przed Delilah i ujął jej dłonie.

– Panie Światła, Orholamie, Boże, wejrzyj na nas, pokorne sługi. Modlimy się, abyś spojrział na nas i nas poznał. Modlimy się, by twoje uzdrawiające światło oczyściło nasz grzesznych czynów i grzechów zaniedbania. W ogniu wojny popełnialiśmy niewysłowione zbrodnie. Luksjaci mogą mówić, że nasi dowódcy dźwigają ciężar naszych zbrodni, ale Orholamie, Ojczy, czujemy ich brzemię na swoich duszach. Żałujemy naszej wściekłości, brawury i niedopełnionych obowiązków. Wybacz swojej córce, Orholamie, weź jej poczucie winy i wstyd, pozwól jej przez wieczność kroczyć przy tobie.

Gavin sprawił, że jego oblicze zaczęło się delikatnie jarzyć, kiedy mówił; nadfiolet, wola i żółty luksyn uruchomiły połamane kryształki w kremie, więc wyglądał, jakby promieniał światłem Orholama. Delilah spojrzała na niego wielkimi, zapłakanymi oczami, zdumiona, ale też spokojna. Uśmiechał się do niej, aż odwzajemniła uśmiech. Ugodził ją w serce.

Jego własne serce ścięło się lodem.

Dotrzymał jednak danego słowa. Matka Gavina pomogła mu znaleźć rodzinę, która wychowała dziecko. Essel była teraz Czarnogwardzistką.

Najwyższy Luksjat Jorvis otworzył drzwi.

– Lordzie Pryzmacie, mamy opóźnienie. Będziemy musieli odłożyć na później przekąski, aż...

-Nie.

– Dobrze więc. Czeka następna pokutniczka. Nazywa się...

-Nie!

I kiedy tylko podniósł głos, w progu stanął złowrogi dowódca Anamar z Czarnej Gwardii, a jego uwaga i groźne spojrzenie skierowały się na Gavina. Gavin go za to zniszczy.

– Nie mam dość czasu – powiedział Gavin.

– Nie mamy wyboru. Ceremonia musi zakończyć się przed świtem. Zgodziliśmy się...

Rozwścieczony Gavin ruszył korytarzem w stronę ucztujących na zewnątrz. Dowódca Anamar zastąpił mu drogę.

– Jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek w życiu mieć pożytek z kolan – powiedział Gavin – to padnij na nie i zejdź mi z drogi!

Mężczyzna spojrział na Najwyższego Luksjata Jorvisa i zaraz się odsunął. Nie uklęknął.

Gavin minął go i wbiegł na podwyższenie, przeskakując po dwa stopnie. Wystrzelił dwa strumienie ognia w popołudniowe powietrze, żeby zwrócić uwagę wszystkich.

Nie pamiętał słów, jakie przywołał. Oratorstwo było jego drugą naturą. Mówił coś o doniosłym roku, o czasie rozdzierającym serce. Coś o niebie Orholama, które bogaciło się kosztem tych, którym zabraknie odchodzących krzesicieli. Coś o nadzwyczajnych okolicznościach wymagających nadzwyczajnych działań. O fałszywej skromności i obłudzie.

– Ja, który służę wam jako Pryzmat, pragnę czasu z każdym z pokutników w obecności Orholama. To najświętsze chwile, jakie znam, i przez wzgląd na mnie poprosiłem Orholama, żeby nie był dla mnie zbyt surowym panem. I Orholam jest litościwy! Udzielił mi specjalnej dyspensy! Spotkam się z każdym pokutnikiem, który ma zostać Uwolniony, i każdego wypowiadam, poświęcając mu tyle czasu, ile będzie potrzeba, nawet jeśli ma to potrwać i trzy dni! Uczty będą trwały na mój rachunek, aż stosownie uhonorujemy każdego z naszych drogich krzesicieli!

Rozległ się ryk. Dwie minuty na spowiedź? Po tym, jak poświęcili życie dla satrapii? Nikomu się to nie podobało. Nawet luksjatom, którzy na to nalegali. Twierdząc, że specjalna dyspensa jest dla niego i przez wzgląd na jego słabość, Gavin okazał pokorę. Każdy wiedział – jeśli nie od razu wtedy, to zorientował się w ciągu następnych dwóch dni – że wydłużając spotkania, Pryzmat podwoił swoje brzemię, o ile nie zwielokrotnił go nawet bardziej.

Jak już się bierzesz za szalbierstwo, to bierz się za nie jak należy.

Zeskoczył z podium i wrócił do wieży, mijając stojących z rozdziawionymi ustami zarządców, nadzorców niewolników i luksjatów, którzy właśnie pojmowali, że czekająca ich praca podwoiła się, dostrzegali logistyczny koszmar, długie godziny pracy, konieczne, żeby Gavin dobrze wypadł.

– Załatwcie to – powiedział Gavin. – Nie obchodzi mnie jak. To ma być zrobione.

Wewnątrz minął dowódcę Anamara i ruszył do kolejnego pokoiku. Przystanął w drzwiach i odwrócił się do marszczącego brwi czarnogwardzisty.

– Ach, dowódco, prawie bym zapomniał.

Gavin spowił nogi dowódcy niewidzialną, nadfioletową siecią, gdy szedł korytarzem i teraz wystrzelił zielony luksyn wzdłuż wyznaczonych linii. Zielony luksyn owinał nogi dowódcy, zanim ten zdążył zareagować. Gavin zacisnął pięść i zielony luksyn zmiażdżył oba kolana.

Dowódca padł na podłogę. Bez krzyku, co było godne podziwu.

Dobry Orholamie, Gavin był arogancki, ale to zadziałało. Teraz zastanowiłby się, jakich przyjaciół ma dowódca, kogo w ten sposób urazi, czy będą się mścić, i przegapiłby właściwą chwilę na działanie. Dzięki charyzmie Gavinowi upiekło się mnóstwo takich postępków.

– Zanim skończę, ma się zgłosić do mnie twój następca – powiedział.

Jednakże sen nie skończył się na tym.

Gavin wszedł do małego pokoiku i wypowiadał ataską zieloną krzesicielkę, Prayan Navayed, która wyznała, że oszukiwała swojego pracodawcę, była leniwa i często nieposłuszna, biła innych niewolników z niepotrzebną surowością.

Potem była Jaleh Rodrez. Czerwona. Żądza, duma i gniew.

Tahlia Niebieska. Gniew, zazdrość, sabotaż małżeństwa siostry.

Khorclad Cruzan. Niebiesko-zielona. Duma. Nienawidziła większości rodziny, pracodawcy, nawet Orholama.

Estefanía Kamael. Czerwona. Gorycz i nienawiść.

Nairi Patel. Zielona. Była tak bliska stania się kolorakiem, że już nie potrafiła się wysłowić.

Belit Beraens. Niebieska. Duma.

Bilit Beraens. Jej bliźniacza siostra. Niebieska. Duma. Była dumna nawet z tego, że przeżyła starszą siostrę, nieważne, że tylko o kilka minut. Gavin nie zwrócił jej uwagi, że ponieważ Belit urodziła się kilka minut wcześniej, jej nieco wcześniejsza śmierć zrównywała je obie.

Alondra Patel. Nadfioletowa. Tak bliska stania się kolorakiem, że trzeba było ją trzymać.

Ada Khan. Zazdrość. Strach. Cała we łzach. Nie mogła znaleźć w sobie odwagi niezależnie od wszelkich zachęt Gavina. Luksjaci musieli ją przytrzymać.

Mahnaz. Czerwona. Już wypowiedana.

Ameretet. Niebieska. Już wypowiedana.

Pelagia Phloraens. Herezja. Wyparła się jej, ale w głębi duszy nadal w nią wierzyła.

Ihsan Krawcowa. Oszukiwała klientów, twierdząc, że posłużyła się magią, chociaż rzadko to robiła.

Niga Roe. Szpiegowała pracodawcę, który był dla niej dobry.

Nin-Ki-Gal Day. Zielona. Już wypowiedana.

Yiska Siłaczka. Zielono-żółta. Jedyna krzesicielka angarskiego pochodzenia w grupie. Zazdrość. Duma. Niedowierzenie.

Krótką przerwę na kolację. Kolejne modlitwy. Gavin nawet ich nie słyszał. Nie czuł smaku jedzenia w ustach. Wrócił do pracy.

Hagnes. Zielona. Upiła się w sztok w czasie ceremonii i nie była w stanie się wypowiedzieć. Gavin starał się uwzględnić wszelkie możliwości, modląc się za nią, nim ją zabił.

Fidelia Door. Nadfioletowa. Twierdziła, że nie zgrzeszyła. Przedstawiła za to całą litanie zniszczonych związków. Nie potrafiła dostrzec, mimo delikatnych sugestii, że była wspólnym mianownikiem ich wszystkich.

Li-Lit Ohwarea. Czerwono-pomarańczowo-żółta. Po kryjomu próbowała zostać kolorakiem. Przyznała, że nie potrafiła rozwiązać pewnych problemów.

Mylitta Ali. Czerwona. Wojowniczką, którą schwytał do niewoli oddział Niebieskookich Demonów służących Dazenowi. Wyrwano jej język. Była niepiśmienna, więc Gavin musiał posłużyć się językiem migowym i pytaniami, na które można odpowiedzieć tak lub nie, żeby ją wypowiedzieć. Wyraźnie jej ulżyło. Żaden z luksjatów, których wcześniej odwiedziła, nie pomyślał o tym albo nie znalazł na to czasu, kiedy próbowała się wypowiedzieć. Dupki.

Ghila Kamieniarka. Podczerwona. Cicha kobieta. Zaatakowała Gavina, kiedy myślała, że przestał uważać.

Proszę, pozwól mi się obudzić.

Elpida Bowyer. Żółta. Wyznała, że kocha swoje dzieci bardziej niż Orholama. Mówiła szczerze. Uważała to za prawdziwy grzech. Musiała zachęcić Gavina, żeby ją zabił.

Nukimmut Rose. Niebieska. Nic nie powiedziała. Przez cały czas obserwowała Gavina oczami pełnymi nienawiści. Spodziewał się, że go zaatakuje, ale nie zrobiła tego.

Zenana Zenamus. Czerwona. Z dumą wypełniła każdą sekundę poświęconego jej czasu opisem swoich grzechów. Znalazły się tam okrucieństwo, szokujące czyny ze zwierzętami, tortury, kanibalizm, rozliczne morderstwa, bluźnierstwa, zbezczeszczenie ołtarza z luksjatem, którego uwiodła, robiła wszystko, byle siać chaos i grozę.

– A teraz – powiedziała – ponieważ idę na śmierć wypowiedziana, dołączę do Orholama w raju.

Roześmiała się.

Tahirith. Żółta. Omal nie zabiła męża, który zwyczajowo ją bił. Prawdziwa ulga po Zenanie.

Kyriaka Kyraeus. Niebieska z arystokratycznej rodziny. Dołączyła do rebeliantów Dazena, a kiedy przegrali, przekupiła handlarzy niewolników, żeby zabrali wszystkich jej służących, a ją oszczędzili. Od tamtego czasu szukała swoich ludzi, żeby ich wykupić, ale zabrakło jej czasu.

Loida. Czerwona. W czasie wojny wzięła udział w małej masakrze w pewnej ataskiej wsi. Równocześnie nie czuła się winna z powodu oblania czerwonym luksynem Garristonu.

Tsul. Podczerwona. Wyznała tysiąc drobnych okrucieństw, które wypływały, jak zdała sobie sprawę, z życia w nienawiści. Nienawidziła i zazdrościła całym rzeszom i chociaż nigdy uczucia te nie znalazły krańcowego wyrazu w przemocy czy sabotażu, zmarnowała wszystkie lata i talenty. Powiedziała, że zgrzeszyła przeciwko Orholamowi, przede wszystkim marnując dar, jaki jej ofiarował – życie.

Sar-Rat Bibiana. Podczerwona. Próbowwała stać się kolorakiem i podano jej tak silne środki uspokajające, że nie była w stanie się wypowiadać.

Shala Smith. Czerwona. Pijana i oszołomiona makiem. Nie była w stanie się wypowiadać.

Tasmituv. Pomarańczowa. Kłamstwa, wyznała. Wiecznie kłamała i manipulowała. Dawno temu wypowiadała się przed luksjatem ze zdradzenia męża, ale nadal czuła się z tego powodu winna.

Edna. Niebieska. Nie potrafiła wyznać swoich grzechów, były tak mroczne. Nawet przed Pryzmatem. Nie pomogły jej żadne zachęty.

Illi Patel. Żółta. Zaatakowała Gavina. Ukryła to, w jakim stopniu stała się kolorzycą.

Lemta. Czerwona. Kolorzycą. Była przywiązana do klęcznika, kiedy Gavin do niej wszedł. Nie była w stanie mówić.

Meghighda. Niebieska. Kolorzycą. Została związana. Mówiła, ale nie dało się jej zrozumieć.

Tamayyurt. Nadfioletowa. Zbyt poraniona po wojnie, by mówić, blizny po oparzeniach i sączące się rany pokrywały jej ciało, ale uśmiechnęła się do Gavina w pełni świadoma, bo odmówiła makowego napoju. Była gotowa odejść. Gavin potrzebował po niej całej minut dla siebie, bo nie był w stanie pójść do następnego pokoju.

Parvin. Czerwona. Złodziejka.

Tamazalt. Niebieska. Kolejna z litanią grzechów, ale tak nieziemskich, że Gavin podejrzewał, że kłamie, że ma chorą głowę.

Dulceana Havid. Młoda podczerwona, ruthgarska arystokratka urodzona w Atashu. Zdradzała męża z młodą arystokratką, która nazywała się Eirene Malargos. Zapamiętał tę informację i po raz pierwszy tej nocy Gavin wykorzystał swoją pozycję dla egoistycznych celów.

Tamment Tailor. Niebieska. Powiedziała zwyczajnie:

– Zazdrość, żądza, nienawiść, chciwość, lenistwo. Masz mnóstwo pracy tej nocy, więc załatwmy to szybko, dobrze?

Tazellayt. Niebieska.

I Gavin odkrył prawdziwą przyczynę, dla której namaszczone jego ciało – łatwiej wytrzeć skórę do czysta, kiedy ktoś, kaszląc, obryzgał cię krwią. Szybkie opłukanie w

jednej z umywalek, jakie stały między pokojami, pośpieszna zmiana ceremonialnych szat, które luksjaci trzymali pod ręką i już był w następnym pokoju, jakby nic się nie stało.

Tinsin Khan...

Tinsin Khan w ogóle nie pamiętał. Nawet sprawdzał ją potem. Tinsin Khan, zielona, z Pływającego Miasta w Krwawej Puszczy, służyła u zarządcy satrapy. W ogóle jej nie zapamiętał. Coś załamało się w nim, kiedy luksjaci zmyli krew z jego twarzy i odziali w nowe szaty, jakby to była zwykła rzecz. Coś popsuło jego pamięć, z której był tak dumny.

I teraz, chociaż potrafiłby przypomnieć sobie ich kolory, historie życia, grzechy i postawę, gdyby tylko spróbował, inaczej postrzegał każdego krzesiciela; odpychał ich, odpychał z dala od siebie. Stali się tylko imieniem i grzechem do wypowiedzania.

Illi Alexander. Plotki.

Loida Moss. Trucicielka.

Tinsin. Buntowniczką.

Tahlia. Zazdrość.

Bell Sparrow. Uwodzicielka.

Li-Li Solaens. Kolorzyca.

Xenia Delaen. Kolorzyca.

Myła Loros. Kolorzyca.

Pelagia Breeze. Szpieg.

Meghida Talor. Nienawiść.

Tahirith Khan. Chciwość.

Edna Wood. Gnuśność.

Tasmituv. Żądza. Czy to możliwe, żeby głównym grzechem kobiety, która umierała jako dziewica, była żądza? Owszem, jak dowiedział się Gavin.

Wkrótce wpadł w odrętwienie. Jaleh Smith. Podburzanie do morderstwa.

Nairi od Wód. Żądza.

Lemta. Nienawiść.

A potem nawet grzechy zaczęły brzmieć tak samo. „Mąż nigdy mnie nie rozumiał”. „Gdybym tylko miała tyle, co moja sąsiadka”. „To niesprawiedliwe, że...”. Gavin odmalowywał na twarzy całkowitą uwagę, empatię, przywoływał te same frazy, te same słowa w dokładnie tych samych modlitwach. Brzmiał szczerze, ale słyszał własny głos jak przez tunel. Nawet przy jego doskonałej pamięci pokutnicy stali się imionami i pojedynczymi szczegółami. Jakby nie było dość miejsca, żeby pomieścić grzech każdego, o ile nie był naprawdę szczególny.

Titrit. Grubaska.

Jakaś część jego osoby była przerażona samym sobą. Grubaska? Nie, była... niebieska.

Pobożna i szczerą kobieta. Bojaźliwa, ale zdecydowana. Mówiła drżącym głosem, od którego jej nieco obwisłe grube wargi dygotały i była nieskończenie... nieskończenie nudna.

Alé Aribar. Próbowiła go uwieść, żeby uciec. Nie była nawet w przybliżeniu dostatecznie atrakcyjna, by próbować czegoś takiego.

Dianthe Knoll. Nieskazitelne złote włosy.

Titaia Cox. Dziwne brodawki na całym ciele. Potem dwa razy umył ręce.

Hébé Ali. Twierdziła, że miała setkę romansów. Brzydka jak grzech.

Melite Melaesn. Wielkie dłonie. Naprawdę wielkie, wielkie dłonie.

Agata Mason. Jak ona cokolwiek robiła, mając tak wielkie piersi?

Leilah Tree. Krzywiła się.

Nurit Hex. Znamię na twarzy.

Beulah Niebieska. Bez brwi.

Livnah Smith. Wystające zęby.

Naamiy. Cały czas odchrząkiwała. Na jaja Orholama, czy ona nigdy nie przestanie odchrząkiwać?

Ora Orestes. Sprawiała miłe wrażenie. Siwe włosy. Wyglądała jak babcia.

Penina Duraens. Tchórz.

Minu. Pijana.

Ercilia. Kolorzyca.

Gilberta Gonzala. Klęła gorzej od wszystkich żołdaków i żeglarzy, jakich poznał.

Neva. Tak chuda, że musiała cierpieć na jakąś chorobę związaną z odżywianiem.

Xenia. Brzydka.

Sar-Ra Hesh. Dezerterka.

Bili Dąb. Krępa.

Khordad Ali. Prześliczna, beznamiętna. Nieustannie śmierdziała gównem z powodu tego, co jej zrobiono, gdy pojmano ją w czasie wojny.

Titaia Brown. Farmerka.

Elpida. Pachniała seksem.

Dianthe... jakaś taka. Płaksa.

Hagnes. Płaksa.

Hebe Brown. Gaduła.

Podagrę. Dziwne imię.

Parvin Nyssani. Gavin skręcił sobie nadgarstek, kiedy trafił nożem w żebro.

Ada Gil. Zakwiliła śmiesznie, kiedy ją dźgnął.

Livnah Elo. Obficie się zmoczyła, umierając. Do diabła, miano brać ich do toalety na

kilka minut wcześniej, żeby tego uniknąć.

Naamiy Patel. Wymiotowała krwią.

Ora Jon. Zaatakowała, niebezpiecznie.

Yiska. Pleciuga.

Ameretet Ali. Niesamowita piękność. Próbowwała go uwieść. Gavin nawet rozważał, czy jej nie ulec, kiedy zdał sobie sprawę, że ona zwyczajnie się boi i zrobi wszystko dla kilku minut życia. Nawet jeśli w ostatnim swoim czynie zdradzi męża, zamiast pójść do Orholama oczyszczona.

Ihsan. Przeciętna krzesicielka, przeciętna uroda, przeciętne grzechy.

Ercilia. Umarła z dumą.

Evi Czarna. Ładnie się nazywała.

Dulcina Dulceana. Nie chciał pamiętać Dulciny, ale nie mógł jej zapomnieć. Zanim do niej dotarł, zabijał od prawie dziewięciu godzin. Krzesicielka w pokoju stała, opierając się swobodnie o klęcznik. Miała raptem szesnaście lat. Ciemnowłosa piękność z halo wypełnionymi po brzegi czerwienią, oranżem, żółcią i zielenią. Posłała mu szeroki i niewinny uśmiech; nie była ani uwodzicielska, ani lękliwa – po prostu cieszyła się na jego widok. Z miejsca stracił głowę.

– Witaj, córko. Niech światło zawsze na ciebie spływa. Dulcino, gdybyś chciała...

– Cii – powiedziała, dotykając ust palcem. – Już się wypowiadałam.

– Zatem czy chcesz, żebym zaintonował modlitwę albo pieśń?

Pokręciła głową.

– Najwyższy Lordzie Pryzmacie, przez cały dzień wykonywałeś pracę Orholama i będziesz to czynił całą noc aż do jutra. Pozwól, że coś ci ofiaruję. Jedyne dar, jaki mam. Dar moich pięciu minut. Możesz mówić albo możemy pomilczeć. Możesz najpierw mnie uwolnić, jeśli wolisz samotność, lub zrobić to pod koniec, jeżeli wolisz towarzystwo. Jak sobie życzysz.

Nie rozumiał. Musiało o coś jej chodzić, czegoś od niego chciała. Tylko tyle miała. To były jej ostatnie minuty, podczas gdy dla niego to będzie tylko kolejne ziarnko w pełnej klepsydrze.

O nic jej nie chodziło. Nie było oszustwa w jej otwartych oczach. Patrzył na nią przez dziesięć sekund, trzydzieści. A potem ogarnęła go wściekłość, której powodu nie rozumiał.

Potem się załamał. Zapłakał.

A ona go objęła. I oboje zaszlochali.

Po pięciu minutach przeklęty dzwonek zabrzączał. Gavin wstał. Poprosił ją o wybaczenie. Pocałował w usta.

I zabił ją.

I wraz z nią umarła jego wiara w Orholama. Przetrwała wojnę, opuszczenie, masakry i oszustwo, ale nie zdołała przetrwać najświętszej nocy w roku.

Nastała północ. Zabił setkę krzesicieli.

Zostało jeszcze trzystu siedemdziesięciu siedmiu.

Trzydzieści godzin później Gavin zabił ostatniego człowieka tuż przed wschodem słońca. Wrócił do swoich komnat i po raz pierwszy odkąd ściągnął piekło na świat wykrzesał czarny luksyn.

ROZDZIAŁ 25

Kip zjechał windą i zamierzał pójść na dziedziniec treningowy Czarnej Gwardii, ale kiedy zatrzymał się na parterze, nie mógł zmusić się do wyjścia. Przytłaczali go ludzie, fakt, że dopiero co stawił czoło dziadkowi. Drżał.

Podczas powrotu do Chromerii doszedł do wniosku, że gdy on i Gavin zaginęli na morzu, Czerwień nie pozwoli, żeby wina spadła na jego głowę. Nie zrezygnuje też z usług swojego ulubionego niewolnika, Grinwoody ego. To znaczyło, że jakąkolwiek historyjkę Andross wymyśli, rzuci w niej winę na Kipa.

Kip, wiedząc, że przyjdzie mu odpowiedzieć za zbrodnię, której próbował zapobiec, przygotował się najlepiej, jak potrafił. Wykreślił kurs pozwalający mu zbliżyć się do człowieka, który zapewne oskarżył go o morderstwo i zdradę.

Kiedy wysiadł z łodzi, zapytał pierwszą napotkaną osobę, co się stało z Gavinem.

Mimo wszystko pójście na to spotkanie powinno być wstępem do uwięzienia i egzekucji. Kip nadal nie bardzo wiedział, dlaczego tak się nie stało. Przygotowując się, stawiał między innymi na to, że Andross jest kolorakiem. Nie jest. Już nie.

Andross nadal nosił kaptur. Nadal nosił ciemne okulary. Jednak Kip od razu się zorientował. Coś się zmieniło w jego głosie i nie nosił już rękawiczek.

Nagle zniknęła najlepsza karta Kipa. Zamierzał zagrozić ujawnieniem tego faktu. W najgorszym wypadku zerwałby mu kaptur z głowy, żeby ujawnić czym Andross jest, nim zabrano by go do więzienia.

W komnacie Kip nie miał czasu, żeby rozważyć dalsze implikacje tego faktu – człowiek, który stał się kolorakiem, nie był już kolorakiem? Niemożliwe.

Kip tylko przemówił, tkając kłamstwa z łatwością, o jaką siebie nie posądzał, tak zaintrygowany zagadką, że zapomniał być ogłupiony i przytłoczony faktem, że zwraca się do całego Spektrum.

Udało mu się. Jakimś cudem.

Iskierka radości tańczyła w kącikach ust Androssa Guile. Zaskoczenie, ale potem przyjemność. Jakby cieszył się z rozgrywki z godnym przeciwnikiem. Może to dlatego darował Kipowi – żeby zwyczajnie móc dalej grać.

Kipowi nagle zrobiło się niedobrze. Żył z łaski Androssa Guile? Nie, to nie tak. Żył, ponieważ Andross pragnął rozrywki. Tak. To bardziej pasowało do tej starej poczwary. To

miało sens.

Nagle poczuł, że nie zniósłby widoku ludzi, których powinien najbardziej chcieć zobaczyć – swoich towarzyszy z Czarnej Gwardii – i nie potrafił nawet powiedzieć, dlaczego. Zjechał windą jeszcze niżej. Wsiadł na poziomie, gdzie znajdowała się prywatna sala treningowa Pryzmata. Kip stracił klucz, który dowódca Żelazna Pięść dał mu dawno temu, ale obok drzwi znajdował się nadfioletowy panel. Kip nigdy do tej pory ich nie zauważał – były płaskie, czarne i szerokie na kilka kciuków. Ignorował je, nie zdając sobie sprawy, czym są, ale domyślił się, że są zrobione z tej samej substancji, co panele kontrolne w pokoju Pryzmata.

Zebrawszy nieco nadfioletu, Kip skierował go na panel. Ach, w środku był drugi zamek, aby zamknąć drzwi także przed nadfioletowymi, ale teraz nie był zamknięty. Kip wcisnął głębiej nadfiolet i zwyczajny zamek się otworzył. Kip wszedł do pomieszczenia.

Cisza była jak balsam. Owinął ręce długimi pasmami materiału, jak nauczył go Żelazna Pięść. Stara wdowa Coreen dała mu ubrania i chociaż nie nadawały się za bardzo do treningu, wiedział, że wkrótce zastąpi je ubiór Czarnogwardzisty i strój dyscypliny Chromerii, więc wziął się za trenowanie z ciężkim workiem.

Zaczął powoli. Siedem do dziesięciu minut, powiedział Żelazna Pięść, żeby rozgrzać pięści i stawy, przygotować na wstrząsy od uderzeń. Kipowi wygiął się nadgarstek przy zabłąkanym ciosie. Chłopak mruknął niezadowolony. Źle zawiązał ręce. Zamiast jednak odwinąć zawoje i spróbować raz jeszcze, wykrzesał opaskę z zielonego luksynu wokół nadgarstka. A potem poszedł na całość i zrobił sobie całą rękawicę.

I jeszcze na drugą rękę do kompletu.

O wiele lepiej. Uderzał worek lekko przez siedem minut. Dłonie mu się rozgrzewały, ból jakimś cudem był mile widziany, a myśli odpływały, odpływały, odpływały – prawdziwa ulga.

Przeniósł się na sprężynujący worek, mniejszy cel, który po trafieniu odskakiwał z powrotem, budując refleks. Kiedy już Kip przywykł do jego ruchów, przeniósł wzrok, żeby obserwować worek kątem oka. Potem podszedł do drążka i odkrył, że jest w stanie podciągnąć się trzy razy. Trzy! To wydawało się osiągnięciem niemożliwym i żalonym zarazem. Trzy. Wrócił do ciężkiego worka.

Przypadkiem włączył światła na worku. Zapalały się, wskazując następny cel – prawa nerka, brzuch, lewa zuchwa. Przy każdym ciosie worek reagował na siłę uderzenia, rozbłyskując kolorem. Delikatne trafienia wywoływały błękit, najsilniejsze kopniaki Kipa zapalały nawet oranż.

Już wkrótce zaczął sapać z wysiłku, bo starał się rozpalić czerwień.

Objął dłońmi w rękawicach kolana. Uderzał to cholerstwo najmocniej, jak się dało.

Nie, tak mocno jak pozwalały mu mięśnie. Magia była w stanie uderzać mocniej.

Nie chciał jednak strzelać w pokoju swoimi małymi zielonymi sprężystymi kulkami zagłady. Skoro mógł dodać wolę do siły mięśni, kiedy używał magii, to czemu nie potrafił dodać jej po prostu do wysiłku mięśni?

Przypomniawszy sobie koloraki w Garristonie, skaczące z dachu na dach, strzelające w dół luksynem, wykorzystujące odrzut do wydłużenia skoku. Ta sama idea stała za ślizgaczem Gavina i morskimi rydwanami. Tyle że w obu przypadkach działanie było skierowane bardziej na zewnątrz. A nie musiało, prawda?

Kip wykrzesawszy ochraniacz na goleń i zrzucił buty. Następna część zaboli. Zawsze bolała. Zaczął kopać ciężki worek, żeby się rozgrzać. Kilkanaście razy pokazywano mu, w jaki sposób włożyć siłę w kopnięcia, ale z jakiegoś powodu aż do dzisiaj jego ciało tego nie pojęło. Może utrata wagi trochę pomoże. Uniósł ręce w gardzie, kierując je w lewo, rozciągając ciało. Lewą stopę obracał, aż wskazywała tył, otwierając przy tym biodra. Potem szarpnął rękami ku sobie, a skręt zwiększył siłę uderzenia, kiedy poderwał prawą nogę i kopnął w worek z boku. Wór zakołysał się, a ważył dwie siódemki. Nieźle. Kip powtórzył to, nie aż tak dobrze, tym razem kopiąc lewą nogą.

Dość rozgrzewki. Napełnił się luksynem, a potem przebił nim lekko skórę na prawej pięcie. Skrzywił się i poszerzył rozcięcie.

Raz kozie śmierć. Stanął z prawą stopą z tyłu, obrócił się, szarpnął i jego prawa stopa poderwała się, a on wystrzelił z niej zielony luksyn.

Nagle przeniesienie ciężaru z ciała w powietrze, jednak tym razem nie przeciwstawione ciału, ale wspomagające jego wysiłki, sprawiło, że stopa Kipa śmignęła do przodu z olbrzymią prędkością. Kopnął w worek tak mocno, że stracił oparcie na lewej nodze i padł ciężko na bok.

Z progu dobiegły śmiechy.

Zażenowany Kip natychmiast poderwał się na równe nogi. Zobaczył paru kolegów z swojej klasy w Czarnej Gwardii. Przewodził im Cruixer, który szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu. Kip odniósł wrażenie, że – o ile to możliwe – młodzi kadeci zmienili się w ciągu tygodni rozłąki. Cruixer rozrósł się, jego wysoka, smukła sylwetka z każdym dniem stawała się coraz bardziej muskularna. Za to jego oczy postarzały się o pięć lat, może z powodu śmierci dziewczyny, którą kochał, Lucii, a może po udziale w bitwie o Ru. Stalowe ramiona przyjaznego Dużego Leo były jeszcze większe. Obrzydliwy Goss nie dłubał w nosie, ale drapał się po nim kciukiem. Drobnny Daelos nie urósł, ale robił wrażenie smukłej tzcinki, zamiast po prostu być chudym i małym. Benhadad nadal nosił okulary z opuszczanymi soczewkami, ale je przebudował. Nie wyglądała na sklecone byle jak ze sznurka i kleju; wyglądały jak dzieło sztuki i idealnie podkreślały płonące inteligencją

oczy. Tylko Ferkudi był tym samym palantem ze złamanym nosem. W gruncie rzeczy to było niesłychanie pocieszające.

– Dobrze, że Łamacz walczy lepiej niż... ehm, kopie – powiedział Ferkudi. – Chociaż kopniaki to część walki, nie? Aj, motyla noga!

Dzieciaki się zaśmiały.

– Przymknąć się, szczawie – rzucił pogodnie Cruxer. Przewodził im z naturalnością, z jaką powinien najlepszy kadet w klasie. Skłonił głowę przed Kipem. – Bogobójco – powiedział to beznamiętnie, więc możliwe, że drwił, a możliwe, że nie.

Albo znając Cruxera chciał, żeby ci, którzy zechcą, uznali to za kpinę, chociaż mówił serio.

A to skurw... Kip myślał, że to przezwisko umarło na statku, na którym sam omal nie zginął.

– Crux. C-co tu robicie?

– Znaczy, w sali treningowej Pryzmata? Na dziedzińcach ćwiczy tak wielu rekrutów z powodu przygotowań do wojny, że my, Czarnogwardziści, regularnie jesteśmy wypychani do magazynów i pomocniczych pomieszczeń. Teia jakoś załatwiła nam pozwolenie i możemy korzystać z tego pokoju, kiedy dziedzińce są zapełnione. A już zamierzałem pozbyć się jej z drużyny. Nie jest dostatecznie dobra, ale skoro załatwiła nam takie miejsce...

– Ej! – zaprotestowała Teia.

Jakimś cudem podwędziła Ferkudiemu sztylet z niebieskiego luksynu i teraz przyciskała go do nerki Cruxera, uśmiechając się słodko.

Cruxer wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dostrzegam tu niesubordynację.

– Myślałem, że... Myślałem, że uznacie mnie za zdrajcę – wydukał Kip.

O to chodziło, to dlatego nie był w stanie pójść do nich. To byli jedyni ludzie w jego życiu, którzy sprawili, że odnalazł swoje miejsce, a myślał, że spojrzą na niego jak na obcego, jak na zdrajcę.

– Łamacz, jesteś impulsywny, ale nie jesteś głupi. Nie uwierzyliśmy nawet przez chwilę, że próbowałeś zabić Czerwień. To śmieszne! Staraleś się zostać Czarnogwardzistą! Ochrona Kolorów to część naszych obowiązków. Nie odrzuciłbyś tego wszystkiego. A to, że, kiedy twój ojciec wypada za burtę, ty skaczesz za nim bez chwili namysłu? To cały ty. Do szpiku kości.

Auc.

– Jak... jak dowiedzieliście się tak szybko?

– Od Teii. To straszna plotkara.

– Ej! – znowu zaprotestowała Teia.

Spiorunowała wzrokiem Daelosa, ale nic więcej nie powiedziała.

Cruxer znów uśmiechnął się szeroko.

– Dowódca Żelazna Pięść pomyślał, że tu będziesz. Powiedział, że czasem ci, którzy brali udział w bitwie, są trochę powściągliwi zaraz po powrocie.

– O tym ostatnim miałeś mu nie mówić, tępaku – wtrąciła Teia. – Co tu robiłeś, Kip? Znaczy, ze stopą?

Wyraźnie rwała się do rozmowy o treningu. Nic dziwnego, uznał. Porozmawiają sobie we dwoje o tym, dlaczego biegała zakrwawiona po mieście. Tylko później.

– Krwawisz – zauważył Cruxer.

– To tylko eksperyment – odpowiedział Kip.

Zebrali się wokół niego.

– Mów dalej – nalegał Benhadad.

Do tej pory był nietypowo dla siebie nerwowy, ale teraz oczy zapłonęły mu na myśl o możliwości dokonania nowego odkrycia.

Kip wyjaśnił więc, a potem znowu kopnął w worek dla demonstracji. Kiedy często wypuszczasz luksyn z jednego miejsca, ciało w końcu przywyka i nie krwawi mocno, ale przy kilku pierwszych razach reaguje jak na normalne rozcięcie. Chmura niezapięczętowanego luksynu i krwi trysnęła z pięty jak dym z lufy i tym razem Kip nie stracił oparcia. Za to omal nie wykręcił kolana. Siła ciosu była niewiarygodna.

A wór się rozświetlił. Na czerwono.

Wszyscy zamarli i spojrzeli na Kipa.

– Można to, ehm, wykorzystywać na różne sposoby – powiedział Kip. – Trzeba zorientować się, ehm, gdzie lokuje się środek ciężkości i tak dalej, ale jeśli wystrzelisz luksyn z ramion podczas biegu, pobiegiesz szybciej. Albo przy skoku można strzelić...

– Z tyłka! Lot na pierdnięciu! – wykrzyknął Ferkudi.

Przypominał Kipowi nadpobudliwego szczeniaka.

Roześmiali się, ale krótko. Wszystkich pochłonał pomysł.

– Chciałem powiedzieć: z bioder – odrzekł Kip. – Bo gdybyś to zrobił z pięt, pewnie przekoziółkowałbyś i wylądował na głowie.

– Ale ty możesz strzelać z tyłka, Ferkudi, jeśli chcesz – powiedziała Teia. – Co sobie będziesz żałował.

Znowu parsknęli śmiechem i ucichli.

Duży Leo zwrócił się do Cruxera:

– Nigdy nawet nie słyszałem o czymś takim. To zakazane?

Cruxer pokręcił głową.

– To nie wcielenie, więc nie widzę, dlaczego miałyby być zakazane. Z drugiej strony, jeśli będziesz to robić cały czas, możesz w okamgnieniu się wypalić.

– Ale to dotyczy każdego krzesania – wtrąciła Teia. – Gdyby stosować to rozsądnie, sam pomyśl: byłibyśmy szybsi, silniejsi, skoczniejsi.

– Niemożliwe, żeby nikt dotąd o tym nie pomyślał – powiedział Kip, nagle zakłopotany.

– Każde genialne odkrycie jest oczywiste, kiedy ktoś go już dokona – odpowiedział Benhadad.

– Naprawdę dopiero co na to wpadłeś? – zapytał Cruixer. – Nikt ci tego nie zasugerował?

Kip wzruszył ramionami.

– I będzie geniuszem magii – powiedział cicho Benhadad, jakby kogoś cytował.

Pozostali zamarli, spojrzeli na niego, a potem po sobie. Kip zorientował się, że rozmawiali już o tym między sobą.

– Czy to znaczy, że będziemy musieli podziurawić się jak sito? – zapytał Ferkudi.

ROZDZIAŁ 26

Aliviana Danavis stała wysoko na Wielkiej Piramidzie w Ru, kończąc nauczanie mających ją zastąpić kobiet. Do czterech nadfioletowych krzesicielek, które uczyły się od niej przez ostatnie cztery miesiące, dołączyła jej osobista straż. Na trzon eskorty składała się grupa, która pomogła Liv zdobyć tę budowlę w czasie wyzwania Ru.

Phyros był opoką Liv. Miał ponad sześć stóp wzrostu i był szeroki jak morze. Kiedy przeniknęli do miasta, nie nosił swojego szczęśliwego nakrycia głowy, bo było zbyt charakterystyczne, ale zwykle nigdzie się bez niego nie ruszał. To była skóra z lwa, otwarta paszcza tworzyła nakrycie głowy, a grzywa opadała mu na ramiona. Na kamizelce z licznymi paskami, zrobionej ze skóry aligatora, nosił pas zdobiony jadeitem i turkusami, który zapinał się na wielki, zakrzywiony kiel ogromnego pekari. Pochwa na nóż przy pasie była zrobiona z wydrążonego kła szablozębego kota. Twierdził, że osobiście zabił każde z tych zwierząt uzbrojony jedynie w nóż. Pogardzał muszkietami i pistoletami, ale poza tym nie miał ulubionej broni. Nosił dwa topory, które wyglądały jak halabardy o krótkich trzonkach, dzięki czemu mógł trzymać je w specjalnym nosidle na plecach. Pewnego dnia zrobił sobie broń z zęba morskiego demona, powiedział.

W przypadku każdej innej osoby Liv uznałaby to za czcze przechwałki, ale Phyrosowi wierzyła. Widziała go bez tuniki – miał blizny po pazurach i kłach, jak mężczyzna, który dokonał wszystkiego, czym się chwalił.

Pozostali członkowie straży mniej rzucali się w oczy, ale byli prawdopodobnie tak samo niebezpieczni. Tychos, pomarańczowy krzesiciel, był jednym z najlepszych w rzucaniu uroków wśród Krwawych Szat. Drobny mężczyzna, agresywny i dziwnie bezpośredni jak na pomarańczowego. Magia nie wygra z charakterem, jak mawia stara porzekadło. Bywali podstępni podczerwoni i lekkomyślni niebiescy. Ale to pewnie był jeden z głównych powodów, dla których Tychos nie ubiegał się o zostanie kandydatem księcia na Molokha. Dzięki jednemu z jego uroków wplecionych w płaszcz, Liv budziła podziw w każdym, kto na nią spojrzał. Albo grozę. Zwykle wystarczyło być świadomym istnienia uroku, żeby znieść jego efekt – to była forma narzucenia woli i można ją było przełamać, ale większość ludzi nie zwalczała uroków od setek lat. Tychos żuł katę, stymulant, który zabarwił mu zęby na czerwono. Z powodu tych czerwonych zębów i pomarańczowych oczu jeszcze kilka miesięcy temu dla Liv wyglądał jak demon.

Jednakże przebyła daleką drogę od opuszczenia Chromerii.

Zakończyła szkolenie nadfioletowych krzesicieli w operowaniu wielkimi zwierciadłami na szczycie piramidy, odpowiadając na ich pytania, kierując ich wstępnyimi próbami sięgnięcia nadfioletem do przyrządów kontrolnych i skierowania światła w dowolny zakątek miasta, co natychmiast wzmacniało znajdujących się tam krzesicieli, nawet w późnych godzinach dnia, gdy zalegały długie cienie. Ru nigdy nie będzie tak jasne jak Wielki Jaspis z jego Tysiącem Gwiazd, ale lustra były prawdziwym cudem. Odbijające się od nich światło było gęste i potężne – Liv nigdy czegoś podobnego nie widziała. Pomogło narodzić się bogowi. Bogowi, którego natychmiast zabił Gavin Guile, jednak mimo wszystko...

Niestety, obracanie zwierciadeł w tę i we w tę, by oświetlić różne zakątki, oznaczało badanie samego miasta. W przeciwieństwie do Garristonu Ru nie przyjęło wyzwolenia z radością.

Księżę Barw zakładał, że będzie inaczej. Ru miało nie mniej powodów, by nienawidzić Guile'ów, niż inni. Bezlitośnie tłumili rebelie sponsorowane przez dawną rodzinę królewską. Stali za masakrą ataskiej arystokracji w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata. Zdławili nawet dwa krótkotrwałe powstania na niewielką skalę. Ulice Ru nieraz spływały krwią – krwią przelaną przez Chromerię. Uwolnione od satrapy powinno stać się naturalnym sprzymierzeńcem.

Zamiast tego mieszkańcy Ru stawili zaciekły opór. Księżę był wściekły. Postawił ultimatum, żądając, by wydano mu kilku przywódców oporu, których czekała natychmiastowa egzekucja. Kiedy się nie poddali, oszalał z wściekłości. Pozwalał swojemu wojsku na wszystko przez trzy dni, by ukarać miasto.

Strażnicy Liv nalegali, by nie odwiedzała miasta, chociaż oni sami na zmianę tam chodzili. To zalecenie było zarazem mądre i protekcyjne. Nie zamierzała chodzić do miasta, ale nie mógł powstrzymać jej przed tym żaden mężczyzna. Chromeria lubiła przyodziewać rzeczy nieprzyjemne w płaszczyk subtelnych rytuałów. Liv wolała, żeby prawdę pokazywać jej w nagim świetle, piękne dzięki.

Phyros po raz ostatni spróbował ją odwieść od zamiaru, kiedy wszyscy wiercili się niespokojnie i zbroili:

– Eikona. – Tak nazywano krzesiciela przodującego w danym kolorze. Krwawe Szaty wprowadziły różne nowe tytuły. – Eikona, rozumiem, że chcesz zobaczyć. To naturalne. Ale ile ty masz lat? Siedemnaście? Jesteś ładna i jesteś kobietą.

Skrzywił się. Jakby mogła nie zauważyć swojej płci.

– Osiemnaście – powiedziała, chociaż brakowało jej jeszcze dziesięciu dni. – Dziękuję za twoją troskę, a teraz odpieprz się.

Niemniej, kiedy ruszyli, zadbali, żeby ich Krwawe Szaty były doskonale widoczne.

To była koszmarowa wycieczka. Widoki wryły jej się w pamięć. Niepodobna było myśleć o tym teraz, chociaż niektóre z licznych ogni płonących właśnie w mieście poniżej to były stosy pogrzebowe. Ogromne piramidy ognia. I nadal praca się nie skończyła. Były miejsca, do których patrole nie mogły wejść, żeby zebrać ciała do spalenia. Wciąż było to zbyt niebezpieczne. Dlatego rozprzestrzeniała się zaraza.

Rwała się do opuszczenia Ru. Dotknęła czarnego klejnotu w kieszeni. Czarny luksyn, jak twierdził książę. Nie wierzyła w to tak naprawdę. Wyglądał jak obsydian, tyle że wydawało się, że pływają w nim nici ciemności. Nie wiedziała, gdzie Książę Barw go zdobył. Mimo to wierzył, że to narzędzie kontroli. W pierwszej chwili myślała, że książę szpieguje poprzez klejnot, ale samo patrzenie nie wystarczyłoby, żeby powstrzymać boga, prawda? Z pewnością kamień był czymś bardziej niebezpiecznym.

Nie lubiła o nim myśleć. Nie lubiła na niego patrzeć. Nie lubiła dotyku klejnotu na skórze. Niestety, książę zabronił jej ruszać się gdziekolwiek bez niego.

– Masz moje rzeczy? – zapytała Phyrosa.

– Wszystko jest spakowane i czeka już na galerze.

Głos Phyrosa był basowym, przyjemnym dudnieniem, od którego jej własne płuca wibrowały niczym kamerton. Z jakiegoś powodu było to niewiarygodnie pokrzepiające. Słyszała, jak Phyros ryczał z wściekłości tym głosem i fakt, że stał po jej stronie, kołował wszelkie jej obawy. Chociaż za nic nie powiedziała mu o tym.

Książę Barw nie miał nawet w przybliżeniu tyle statków, ile potrzebował, więc Liv i jej eskorta musieli podróżować tanią, kiepsko skonstruowaną galerą. Oczywiście, wzdłuż całego obwodu morza znajdowały się wioski dostarczające zaopatrzenie dla galer. Podróż statkiem nie będzie szybka, zwłaszcza, kiedy zostaną zmuszeni szukać portów, żeby przeczekać każdy zimowy sztorm, ale i tak potrwa krócej niż podróż pieszo czy wierzchem, i będzie mniej niebezpieczna. Każdego pirata, który napadłby na nich, czekało kilka paskudnych niespodzianek, chociaż zwykle wystarczyło dać znać, że na pokładzie znajdują się krzesiciele, żeby przekonać piratów do zaniechania ataku. Niewielki wystrzał luksynu w powietrze wystarczy, by zniechęcić wszystkich prócz najbardziej zuchwałych.

Większość uczennic już sobie poszła, w tym kobieta w średnim wieku, która odkryła, że potrafi krzesać nadfiolet, dopiero po śmierci męża. Jeden z krzesicieli Krwawych Szat zatrzymał się w jej pensjonacie i pod wpływem kaprysu kazał ją sprawdzić. Krzesiciele w średnim wieku. To było dziwne dla Liv, ale wizja Księcia Barw sięgała dnia, kiedy krzesanie nie będzie wyrokiem śmierci. Może ten dzień nadejdzie dostatecznie szybko, żeby zmienić też los Liv.

Po raz ostatni podeszła do wielkiego zwierciadła. Teraz to już było łatwe. Ktokolwiek je

zbudował, chciał, aby z nich korzystano. Jakiś od dawna nieżyjący mistrz w swoim fachu. Przestała rozmyślać i skierowała lustro ku horyzontowi. Nawigatorzy i filozofowie przyrody wiedzieli o krzywiznie ziemi od co najmniej tysiąca lat, ale to był pierwszy raz, kiedy Liv musiała ją uwzględnić. Na ile się orientowała, także z powodu tej krzywizny wszystkie ogromne zwierciadła umieszczono na szczycie wysokiego budynku.

Krzywizna ziemi była powodem, dla którego, gdy obserwowano się odpływający statek, pierwszy znikał kadłub i wydawało się, że statek tonie w miarę jak się oddala. Filozofowie wyliczyli, że tempo tego opadania wynosi dwie stopy na trzy mile. O ile mówienie o „opadaniu” ma jakiś sens w przypadku powierzchni, która wydaje się płaska. Wydawałoby się, że wyliczenie potrzebnej wysokości budynku powinno być proste – wystarczy odjąć całkowitą krzywiznę ziemi na każdą milę od wysokości budynku. Łatwizna. Zważywszy, że Wielka Piramida miała dwieście osiemdziesiąt kubitów wysokości albo czterysta osiemdziesiąt stóp, powinno dać się skierować promień światła na odległość siedmiuset dwudziestu mil. Jeśli odbierająca wieża była równie wysoka, powinno dać się podwoić tę odległość, prawda?

Nieprawda, jak się przekonała. Mozoliła się nad wyliczeniami, analizując je na głos razem ze strażnikami. Musiała dwa razy wyjaśniać Phyrosowi ideę krzywizny ziemi, ale potem już ogarniał założenie modelu lepiej od niej. Narysowała wszystko na pergaminie i wygięła go, pokazując mu, jak to działa. Zwrócił uwagę, że traktowała zwierciadła, jakby stały pionowo i równoległe do siebie. A one stały prostopadle do gruntu, lecz grunt się zakrzywiał. To jakby mierzyć wzrost człowieka, który raz stoi prosto, a raz opiera się o framugę drzwi. Nadal będzie miał sześć stóp wzrostu, ale czubek jego głowy nie będzie za każdym razem znajdował się sześć stóp od ziemi.

Przeprowadziła dalsze wyliczenia i wreszcie rozgryzła problem. A jednak nadal się myliła. Nie miała pojęcia dlaczego.

Ostatecznie Księżę Barw przysłał do niej Samilę Sayeh. Ta błękitna krzesicielka walczyła w Wojnie Pryzmatów i stała się legendą. Walczyła przeciwko Księżciu Barw w Garristonie, ale pękło jej halo, została pojmana i księżę okazał jej łaskę. Teraz walczyła po ich stronie. Gdyby wojska Księcia Barw zdołały znaleźć niebieską marę, ta kobieta byłaby główną kandydatką na następnego Mota.

Samila Sayeh zaczęła przejście do pełnego koloraka w inny sposób niż wszyscy niebiescy, których Liv знаła. Zaczęła tylko od lewej ręki. Powiedziała, że jeśli odkryje, w jaki sposób sprawić, żeby twarde krystaliczny niebieski luksyn sprawdzał się w przypadku tej części ciała, która wymaga zachowania tak dużej zręczności i elastyczności, to z resztą ciała pójdzie już łatwo. Zważywszy na status tej kobiety i jej potężny intelekt, Liv nie powinna czuć się przez nią zagrożona. Jednak coś ją gryzło. Samili to nie obchodziło,

nawet jeśli coś zauważyła.

Samila przeanalizowała problem Liv, doszła do właściwych równań, żądając całej listy liczb, z których niektóre wydawały się istotne, a inne nie, i przeprowadziła wyliczenia w myślach, tylko ręka jej drgała, jakby przesuwiała niewidzialne koralki liczydła. Podała Liv odpowiedź, nie wyjaśniając, jak do niej doszła. Potem przetłumaczyła jakieś starożytne wydrapane poniżej lustra słowa w języku, którego Liv nie rozpoznała. To były instrukcje, jak dokładnie ustawić lustra dla dziesiątków głównych punktów na świecie.

Potem odeszła bez słowa. Darowała sobie nawet niezbędne minimum, choćby skinienie głową i rzucenie tytułu „Eikona”, jak wymagał status Liv.

Fagasi Chromerii – luksjaci – nauczali, że grzechem nadfioletu jest pycha. Może w tej kwestii mieli trochę racji, bo Liv ledwie ukryła furię z powodu tego, że wyszła na idiotkę.

Mimo pomocy Samili potrzebowała upokarzająco dużo czasu – pół godziny – żeby się zorientować, co odpowiedź dla niej znaczy. Wreszcie zdołała wycelować lustro, by przeczesać morze w poszukiwaniu rezonujących punktów, które wskazał jej Książę Barw. Jego informacje były dobre. Jeden znajdował się w pobliżu Wrót Mroku, przy odrobinie szczęścia przed nimi, a nie za. Ten punkt był celem Liv. Gdzieś tam znajdowała się nadfioletowa mara, na lądzie lub na morzu.

Nadal się tam znajdowała. Liv miała pewność. Jej misja była prosta: ona i jej straż mieli znaleźć to, co Książę Barw nazwał krystalicznym załączkiem, lub marę, która się wokół niego uformuje, i zabrać dla niego.

Liv miała zostać boginią, która tylko jemu będzie się kłaniać. Służ jednemu panu, jak brzmiało motto Danavisów. Tylko jednemu.

– Książę daje nam dwa tygodnie, zanim wyśle następną drużynę. Nie zmarnujmy tej szansy – powiedziała.

Ubrana w nieskazitelną suknię z żółtego jedwabiu z lamówką ufarbowaną prawdziwą purpurą, oddała swój zakiet Phyrosowi, nim zaczęła schodzić z piramidy. Włożył go do wypchanego plecaka, w którym niósł wszystko, czego mogła potrzebować.

Przyszła bogini miała od tego swoich ludzi.

ROZDZIAŁ 27

Liv zaledwie zdążyła dotrzeć do portu ze swoją świtą, kiedy wyszła im naprzeciw młoda kobieta z połączonymi łańcuszkami kolczykami w nosie i uszach. Nosila obrębianą szkarłatem piękną, powłóczystą zieloną suknię w odcieniu morskiej piany. Bogaty strój.

– Lady, lady Aliviano! – powiedziała. – Eminencjo! Ehm, Eikona.

Padła na ziemię, nie zważając na kurz.

To było niemądre. Brudzić taki strój? I po co? Żeby okazać szacunek? Liv? To było szaleństwo... ale bardzo przyjemne.

– Proszę o jedną chwilę twojego czasu, lady Aliviano – powiedziała kobieta.

Phyros spojrział na Liv. W niedźwiedzich skórach i z nabrzmiałymi mięśniami wyglądał jak chmurny barbarzyński olbrzym.

– Eikona?

W przypadku Liv zdobycie tego tytułu było wręcz wstydliwie łatwe. Były setki zielonych krzesicieli, setki niebieskich, setki czerwonych. I dziesięciu nadfioletowych. Wiedziała, że nie należy do takiej elity jak eikonowie zieleni, błękitu czy czerwieni, ale Księżę Barw traktował wszystkich jednakowo i kazał innym iść za swoim przykładem. Była mu za to wdzięczna.

Skinęła głową. Phyros podszedł do kobiety i podniósł ją za szyję. Był potężny, a jednak zdołał to zrobić, nie dusząc jej, chociaż jego wielka dłoń zamknęła się całkowicie wokół jej gardła. Podniósł ją, żeby stanęła i ignorując wszelkie nakazy dobrego wychowania, obszukał szybko, sprawdzając, czy nie ukrywa broni. Kobieta była przerażona, ale nie odezwała się słowem. Wreszcie ujął ją potężną dłonią za żuchwę i zmusił do uniesienia głowy. Odruchowo próbowała się odsunąć, ale poczekał, aż spojrzy mu w oczy, i uważnie obejrzał obie jej tęczówki.

Stwierdził z zadowoleniem, że nie jest krzesicielką ani nie ma żadnej broni, ale nadal nie pozwolił jej podejść do Liv. Uznawał, że zawsze należy samemu wybierać sobie miejsce walki, niezależnie od tego, jak bardzo jest to niewygodne. Zaprowadził kobietę na galerę wyciągniętą na brzeg. Liv poszła do swoich kwater.

Phyros odciągnął skóry wiszące nad drzwiami i przytrzymał je dla Liv. Kobieta weszła za nią. Wyglądała na zirytowaną. Chciała opuścić za sobą skórę. Phyros trzymał jednak zasłonę mocno, beznamiętnie. Spojrział na Liv, a ta skinęła głową.

– Krzycz, gdyby – powiedział Phyros.

Miał dziwny nawyk nie kończenia oczywistych zdań, bo zakładał, że oboje wiedzą, jak się kończą, więc nie ma po co się wysilać.

Kobieta zaciągnęła dokładnie skórę w drzwiach, odwróciła się i odetchnęła głęboko.

– Eikona, dziękuję, że się ze mną spotkałaś. Moja wiadomość jest ważna i musi pozostać w tajemnicy. Po pierwsze, wiedz, że nie stanowią żadnego zagrożenia. – Uklęknęła z wdziękiem i rozłożyła ręce wnętrzem dłoni do góry.

– Mów dalej i pośpiesz się, bo statek odpływa za kilka minut.

– Tak, pani, oczywiście. Przychodzę z Zakonu Złamanego Oka. Nie życzymy ci źle. Wręcz przeciwnie.

Liv przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Chciała wierzyć, że mistrzyni Helel, która próbowała zabić Kipa, to była jakaś chora pomyłka. Że to kobieta, która miała źle w głowie, która coś sobie uroiła. Liv chciała wierzyć, że – jak powiedzieli Gavin i Żelazna Pięść – Zakon to luźno powiązana grupa rzezimieszków, która przyjęła legendarną nazwę, by żądać wyższego wynagrodzenia. Jednak ta kobieta była spokojna. Zachowywała się jak zawodowiec, nie jak samochwała. A poza tym, posłużenie się Helel jako zabójczynią było wręcz genialnym posunięciem. Kto podejrzewałby kobietę w średnim wieku o bycie zabójczynią?

Zatem możliwe, że Zakon istniał naprawdę. Nic dziwnego, że ta kobieta tak bardzo starała się pokazać, że nie stanowi zagrożenia.

Widząc, że Liv nie zamierza nic powiedzieć, kobieta dodała pośpiesznie:

– Książę dał ci naszyjnik. Znajduje się w nim kawałek żywego czarnego luksynu. Ten klejnot to wyrok śmierci. Książę wierzy, że w ten sposób może cię kontrolować.

– Co? Jak to działa?

Kobieta zamilkła na chwilę, nie kryjąc bólu.

– Nie potrafimy powiedzieć, ale wiemy, że książę wierzy, że zapanował nad nim i że luksyn będzie go słuchał. Wierzy w to na tyle, że gotów jest tworzyć bogów.

– Wypowiadasz niebezpieczne słowa.

– Czy robi wrażenie człowieka, którego cieszy fakt, że inni posiadają większą moc niż on? On pragnie być bogiem bogów.

– Czego chcesz ode mnie? Myślisz, że tak łatwo można poddać próbie moją lojalność?

– Książę opowiada się za wolnością, czyż nie? Co to za wolność na smyczy?

– Wolność nie oznacza braku obowiązków. Oznacza wybór między nimi. Książę zamierza uczynić mnie bogiem.

– Wybacz mi, Eikona, ale albo sama uczynisz się bogiem, albo zawiedziesz. Sama. A czarny luksyn nie jest tak łatwy do okiełznania, jak uważa książę.

Z zewnątrz dobiegł krzyk.

– Odrzucamy cumy na dwa! Wioślarze na swoje miejsca!

– Czarny luksyn – zaszydziła Liv. – To tylko obsydian.

– Jak możesz tak mówić? Ty, która go widziałaś?

Liv się odwróciła. Klejnot z wirami leżał w jej kieszeni; zawsze był w jej kieszeni. A instrukcje księcia były jasne – musi go założyć, nim zagarnie marę.

– Jest jedynie... przemyślnie oszlifowany. To gra światła.

– Oba kamienie są spokrewnione, pani. Stare opowieści nie są kłamstwami, lecz uległy zniekształceniu. Obsydian to czarny luksyn, martwy czarny luksyn. Mówi się, że cały obsydian na świecie to ostatnie pozostałości po wielkiej wojnie, która wybuchła tysiące lat przed Lucidoniusem. Holokauście, który pożarł światło i życie na wiele tysiącleci, po którym nadal dochodzimy do siebie. Żywy luksyn... Eikona, on ma swoją wolę. To szaleństwo, które przybrało formę. To dziura nicości, której nie da się napełnić. Jeśli włożysz naszyjnik na szyję, by go karmić, a księżę straci nad nim kontrolę, kamień cię zabije. On ma swoją wolę. Może mieć też rozum. A skoro pożre boginię, kto orzeknie, co zrobi potem?

Zatem Liv miała rację, niechętnie pozwalając mu na kontakt ze skórą. O ile ta kobieta mówiła prawdę.

– Czego chce Zakon?

– Większość naszej wiedzy przepadła na przestrzeni czasu i z powodu krwawych czystek. Jesteśmy słabi, mizerni. Cień cienia. A ja jestem najsłabsza z naszej gromady, na wypadek gdybym została schwytana i torturowana. Nie jesteśmy twoimi wrogami, Eikona. Stań się Ferriluxem. Służ Księżciu Barw. Rób wszystko, co zechcesz, ale nie umieszczaj czarnego luksynu w jądrze swojej mocy. Nie umieszczaj go w centrum mary. Jedno potknięcie, twoje czy księcia, i kto wie, czy nie pożre całej magii świata?

ROZDZIAŁ 28

Powinni to sobie wyjaśnić. Teia wpakowała się w jakieś kłopoty, a Kip zmusi ją, żeby mu je wyjawiała. Podczas przerwy w treningu przedstawił drużynie trochę swoich przygód i niemal całą prawdę na temat tego, co przydarzyło się Gavinowi.

– Zaczęła się przepychanka, chodziło o sztylet. Grinwoody próbował go złapać i zacząłem się z nim szarpać. Andross dołączył, a Gavin interweniował. Wszyscy się zaplątaliśmy. Mój ojciec skierował ostrze na siebie, żebym nie został dźgnięty.

Więcej niż kilka osób patrzyło ze zdumieniem. Dlaczego trudniej jest opowiedzieć częściową prawdę niż całkowite kłamstwo?

– Ale to jeszcze nic nadzwyczajnego – dodał szybko. – Skoczyłem za nim. Zapaliłem trochę czerwieni, żeby zrobić boję świetlną, a wtedy wyłowił nas ten pirat, i sztylet nie był już sztyletem. To był pełnowymiarowy miecz z siedmioma klejnotami w siedmiu głównych kolorach osadzonymi w ostrzu. A kiedy wyciągnęli miecz, Gavin... Gavin żył. Nawet nie krwawił.

Wtedy zaczęli zadawać mu pytania, na które w większości nie mógł odpowiedzieć, a Cruxer nakazał wszystkim przysiąc, że zachowają milczenie; potem, ponieważ przerwa przeciągnęła się już do pół godziny, uznał, że czas zakończyć trening.

Teia wymknęła się wcześniej, zanim Kip cokolwiek zauważył. Nie widział jej też na kolacji i teraz czekał na nią w ich pokoju.

Czekał pół godziny, coraz bardziej i bardziej rozgniewany, kiedy naszła go myśl. Podeszedł do maleńkiego biurka i nie znalazł w nim dokumentów. Nie zauważył tego wcześniej, bo zwyczajnie ich nie było. Akt uwolnienia Teii, który już podpisał. Zabrała dokumenty z jego pokoju, myśląc, że zginął, i zgłosiła urzędnikom.

No jasne! Nie mógł winić jej, że martwiła się, że po jego zniknięciu ktoś może przejąć tytuł własności. Dlatego nie przyszła. Nie była już jego niewolnicą, więc przeprowadziła się do koszar. I bardzo dobrze.

Nie była mu nic winna, a wieź łącząca pana i niewolnika – chociaż była niemile widziana – prysła. Może była to jedyna więź, jaka ich łączyła? Kip poczuł się tak, jakby Teia go skreśliła.

Chciał, żeby była wolna, ale chciał też, żeby nadal była mu coś winna, żeby była mu wiecznie wdzięczna i w związku z tym w jakimś stopniu mu podporządkowana. Chciał,

żeby była wolna, ale chciał decydować, jak powinna korzystać ze swojej wolności.

Zaklął na głos i poszedł do łóżka.

Następnego ranka zjadł śniadanie, a potem sprawdził listy. Nie przydzielono mu żadnych prac. Uznał, że to chyba znaczy, że może iść na zajęcia.

Zajęcia. Ech. Stał przed windą razem z innymi uczniami i schował się w sobie, z osobistą czarną chmurką burzową nad głową.

Oczywiście były tysiące rzeczy, których Kip nadal musiał się nauczyć. Zyskał pewną wiedzę z doświadczenia, ale poza tym prawie nic nie umiał. Wiedział, że w końcu to mu znacznie przeszkadza. Do diabła, to już mu utrudniało życie. Zakres jego wiedzy ograniczał się do zielonych kulek zagłady. To nie wystarczy, żeby utrzymać go przy życiu w czasie nadchodzącej wojny.

Poza tym zdołał stracić nóż, który, jak coraz bardziej Kip się obawiał, był Ważny. Andross Guile nazwał go Oślepiającym Nożem. Tylko dlatego, że dość mgliście wyjaśnił drużynie, skąd się ten nóż wziął, nikt więcej o niego nie wypytywał. Pozwolił im myśleć, że należał do Gavina.

Jak właściwie trafił do rąk mojej matki?

Kip wszedł do klasy preceptor Kadah. Trudno było uwierzyć, że po raz pierwszy wszedł tu raptem parę miesięcy temu. Miał wrażenie, że był dziesięć lat starszy. Usiadł na końcu sali. Wątpił w to, że nie rzuca się w oczy, nawet w stroju dyscypuła, ale nie było powodu wpychać palców prosto do oczu preceptor Kadah.

A w każdym razie bardziej, niż to konieczne.

W jego uchu rozległ się szept:

– Podobno udało ci się doprowadzić do tego, żeby cię uznano, bękarcie. Nie myśl, że to cokolwiek zmienia. Wiem, czym jesteś.

Kip odwrócił się.

– Jak miło panią widzieć, pani preceptor. – Powiedział to takim tonem, jakby mówił szczerze.

Rzuciła mu wstrętny uśmiezek. Szkolenie i walka tak bardzo zmieniły Kipa, że może powinien znaleźć pewne pocieszenie w fakcie, że preceptorka Kadah wyglądała dokładnie tak samo: pokurczona jak staruszka, chociaż była dopiero po trzydziestce, rozczochrana, jej włosy, które nie widziały grzebienia, odkąd Kip był ostatni raz na zajęciach, zielone okulary na złotym łańcuszku na szyi.

– Mam przygotować różgę?

– Nie wiem – odpowiedział Kip. – Jestem tylko ignoranckim synem kurwy. – Skrzywił się. A jednak nie zostawił Kipa Pyskacza zbyt daleko za sobą.

– Jeszcze trochę takiego języka, Kipie Guile, a dostaniesz po kostkach rąk. Pamiętasz,

jak mniemam?

Kip położył ręce na ławce przed sobą. Palce lewej nadal miał wygięte do góry, sztywne i uparte, chociaż nad nimi pracował. Ból bicia różgą w tę rękę byłby straszliwy. Nadal cała była jak jeden odsłonięty nerw.

Spojrzał na preceptorkę zdziwiony. Co? Miał się bać tego, że postuka go w kostki?

Teia i Benhadad przyszedli tuż przed rozpoczęciem lekcji. Zobaczyli Kipa, oboje jednakowo zdumieni się jego widokiem, spojrzeli po sobie, a potem usiedli obok niego.

Preceptorka przeszła na przód sali, odchrząknęła i odczekała chwilę, aż uczniowie zamilkną.

– Dyscypułowie.

– Pani preceptor – odpowiedziała klasa.

Kip też odpowiedział. To nowy początek, Kip.

– Dyscypułowie, dziś omówimy pomarańczowy luksyn. Są tu dzisiaj jacyś pomarańczowi krzesiciele?

Kilku uczniów podniosło ręce. Kip zastanawiał się, czy też się zgłosić i w końcu podniósł dwa palce.

– Pomarańczowy jest wyjątkowo bezużyteczny – powiedziała preceptorka Kadah. Uśmiechnęła się szeroko i wrednie. – Całe życie będziecie sporządzać smary do maszyn i do przechowywania metali, żeby nie rdzewiały. Jest to jednak względnie łatwe życie. Wasz pracodawca każe wam krzesać luksyn codziennie od wschodu słońca do południa, a potem, żebyście nie umarli za wcześnie, popołudnia będziecie mieli wolne. Niektórzy na szczęście będą mieli inne obowiązki do wykonania. Zwykle niemagicznej natury: czyszczenie stajni, odkurzanie mebli, sprzątanie koszar. Tak, Benhadad?

– Pomarańczowy może przydać się do czegoś więcej niż tylko to – powiedział Benhadad.

– Kiedy zbliża się wojna, która może nas zniszczyć, moim zdaniem, powinniśmy zacząć szkolić pomarańczowych w wykorzystywaniu swojego pełnego potencjału.

– Pełnego potencjału? – zapytała preceptorka.

Jej ton miał być ostrzegawczy, ale Benhadad zachowywał się tak, jakby to było zwykłe pytanie.

– Pomarańczowi potrafią rzucać uroki. Mówi się, że w Ru pomarańczowi szpiedzy przeniknęli do miasta i stworzyli niewidoczne dla oka uroki budzące strach tak silny, że ludzie unikali pewnych dzielnic, pozwalając heretykom spokojnie przekopać się pod murami. Pomarańczowi mogą skazać jedzenie i picie. Budzić strach, stosować tromoturgię. Patomancję. Osłabienie woli.

– To zakazane! – warknęła preceptorka Kadah. – A na waszym poziomie zakazane jest nawet mówienie o tym!

– Jesteśmy w stanie wojny! – sprzeciwił się Benhadad. – Właśnie usłyszałem, że padł ostatni fort poniżej gardzieli Zatoki Ruckiej. Teraz nic nie zatrzyma Księcia Barw, dopóki nie dotrze do rzeki Ao. Nawet jeśli nie nauczy pani pomarańczowych tworzyć uroków, powinna nas pani uczyć, jak się im opierać i, z pewnością, jak je rozpoznawać.

– Ten Książę Barw bez wątpienia zostanie unieszkodliwiony w ciągu tygodni, jeśli już tego nie zrobiono. Żadne z was nie będzie musiało stawiać czoła pomarańczowym heretykom.

– W tej sali są ludzie, którzy już stawili czoło Krwawym Szatom – odparł Benhadad.

Wielkie dzięki, Benhadad.

– Rozumiem. Zatem teraz jesteście przyjaciółmi, tak? – zapytała Benhadada preceptorka, patrząc to na niego, to na Kipa. – Starasz się, żeby „Guile” dobrze wypadł? Niezła z was para, co? Nieuk i chłopak, który nie potrafi nawet czytać? Skąd to wszystko wiesz?

– Potrafię czytać – syknął Benhadad.

– Po prostu mieszają mu się słowa, pani preceptor – wtrąciła się Teia. – Potrafi czytać, tyle że powoli.

– Powolny to uprzejmiejsze słowo niż głupi – orzekła Kadah.

Kip westchnął. Miał najlepsze zamiary.

– Benhadadzie, myślisz, że pomoże ci przyjaźń z tym paniczkiem? – zapytała preceptorka.

Cała klasa milczała wyczekująco.

– Nie jestem jego przyjacielem dlatego, że może coś dla mnie zrobić – odpowiedział Benhadad. – I nie podobają mi się pani sugestie. Obraża pani mnie i siebie, wygadując takie małostkowe złośliwości.

Fala szoku przepłynęła pośród nastolatków. Patrzyli, jakby nie chcieli oderwać od niej oczu nawet na ułamek sekundy, a nuż preceptorce eksploduje głowa.

Kadah wytrzeszczyła oczy i zacisnęła pięści.

– Myślisz, że on może cię ochronić? – zapytała ostro. – Zgłoś się natychmiast, Benhadadzie w celu... wydalenia ze szkoły.

Wszystkim wyrwał się zduszony krzyk.

– Wydalenia? – zapytał z niedowierzaniem Benhadad.

– Z powodu rażącej niesubordynacji. Od trzech lat nie wykorzystywałam swojej władzy do wydalenia dyscypuła. Może nadszedł już czas. Jesteś nic niewartym krzesicielem. Przydasz się jako przykład.

Stary Kip zerwałby się ze swojego miejsca i zaczął krzyczeć w gniewie. Sięgnąłby do studni nienawiści wobec niesprawiedliwości, jaką nosił w sobie od dzieciństwa spędzonego

przy wiecznie zamroczonej matce. Kiedy dorastał, nigdy nie czuł się na tyle bezpiecznie, by okazać jej gniew z własnego powodu, ale kiedy inni cierpieli z powodu niesprawiedliwości, natychmiast zapalała się w nim furia, w całej gotowości, potężne szaleństwo, które potrafił rozpaść i które mógł zgasić dopiero, kiedy był wyczerpany. Kip zamieniał się w zielonego golema na długo przed odkryciem, że potrafi krzesać. Kiedy wpadał w taki stan, nawet Ram się go bał.

Kip wstał powoli. Teia próbowała go złapać, przytrzymać w krześle.

– Co ty sobie wyobrażasz, Kipie „Guile”? Że niby co zrobisz? Myślisz, że ciebie nie mogę wyrzucić?

Oczywiście, że nie mogła.

– Nie może pani wyrzucić nawet Benhadada – odpowiedział Kip. Mówił spokojnie, z szacunkiem, nawet smutkiem. Nie podnosił głosu, ale mówił dostatecznie głośno, żeby wszyscy słyszeli. – Jest kadetem Czarnej Gwardii, a jeśli myśli pani, że dowódca Żelazna Pięść pozwoli pani przerzedzić już nadszarpnięte szeregi w czasie wojny, to życzę szczęścia w poździe, jaką stanie się pani kariera zawodowa.

Zapadła całkowita cisza. Szepczące dzieciaki nawet nie szeptały, a ton wypowiedzi Kipa jakimś cudem spacyfikował preceptorę.

Z szacunkiem, z żalem Kip mówił dalej:

– Pani preceptor, nie zawsze taka pani była. Nie lubi pani dzieci, rozumiem. To wada, ale wszyscy synowie i córki Orholama mają wady. Rozgniewany przełożony, albo może okrutny los, sprawił, że przydzielono panią do pracy, do której pani nie pasuje. Służyła pani w milczeniu na trudnym stanowisku, bo kocha pani Orholama, i założę się, że nienawidzi pani tego, czym się stała. Jest pani lepsza niż to. Została pani za coś ukarana, może nawet za nic i w zamian za to narobiła pani wiele szkód. W tym niemało samej sobie. Zrobię co w mojej mocy, żeby pani pomóc.

Nie czekając na reakcję preceptorki, Kip wyszedł z klasy. Poszedł prosto do windy i pojechał na ostatnie piętro. Wsiadł i zameldował się u Czarnogwardzistów. Rozpoznał ich: Baya Niel, który razem z Kipem pomógł zabić zielonego boga, i kształtna kobieta o imieniu Essel. Teia bardzo ją lubiła.

– Chciałbym rozmawiać z Bielą, jeśli znajdzie dzisiaj trochę czasu – powiedział Kip. – Bardzo proszę.

– Możemy zapytać ją między spotkaniami, czy zdoła cię gdzieś wcisnąć – odpowiedział Baya Niel. – Może jednak minąć kilka godzin. Jeśli spóźnisz się na trening Czarnej Gwardii tego popołudnia, poniesiesz konsekwencje.

Kip wzruszył ramionami. Konsekwencje.

Odczekał godzinę, zanim Baya Niel przywołał go gestem i przepuścił dalej. Kip ruszył do

apartamentu Bieli, mijając punkt kontrolny i kolejnych Czarnogwardzistów przy drzwiach. Podczas jego nieobecności doszło do próby zamachu na Biel, który udaremnił sam Pryzmat, jak mówiono. To oznaczało wzmocnienie straży, która w dodatku była czujniejsza. Kip dwa razy został przeszukany.

Kiedy wszedł do gabinetu, zdziwiło go, jak zdrowo Biel wygląda. Kazała mu stanąć przed biurkiem i przez dłuższą chwilę przyglądała mu się uważnie. Miała pod ręką sekretarzy i niewolników-posłańców, kiedy zajmowała się obowiązkami związanymi z czuwaniem nad Chromerią. Kip milczał. Wiedział, że ma się nie odzywać, dopóki go nie poproszą.

– Wiesz, spodziewałam się, że będziesz bardziej przypominał Gavina, a wyglądasz raczej jak swój dziadek i pradziadek. Wiesz, że jesteś dokładnie tym, na co ma nadzieję tak wiele wielkich rodów, kiedy traktują swoich synów i córki jak ogiery i klacze rozplodowe, żeby uzyskać taką czy inną cechę? Obawiam się, że Krwawe Wojny sprawiły, że wielu ludzi, którzy powinni wiedzieć lepiej, zachowują się jak zwierzęta.

– Tak, najszlachetniejsza pani?

– Masz niebieskie oczy, żeby skuteczniej zbierać światło, skórę dostatecznie ciemną, żeby ukryć, kiedy krzeszesz, muskulaturę przydatną na wojnie i, rzecz jasna, zawsze i nade wszystko, zdolność krzesania siedmiu kolorów. Oczywiście, hodowanie ludzi nie jest łatwe. I o ile pewne cechy można odgadnąć ze sporą dokładnością, to ciągle nie pojmujemy nawet w przybliżeniu złożoności nas samych. Nigdy nie widziałam dziecka o błękitnych oczach, które nie miało co najmniej dwójki rodziców lub dziadków o takich oczach, ale widziałam dziewczynkę ciemniejszą od ciebie, która urodziła się z rodziców jaśniejszych ode mnie. Ojciec prawie zabił przez to matkę, zazdrosny głupiec. Długo podejrzliwie traktował kwestię ojcostwa, dopóki dziewczyna nie podrosła na tyle, żeby zobaczyć, że ma jego nos i oczy. Świat jest cudowniejszy niż myślimy, Kip. Jednak przyszedłeś nie bez powodu. Czego ode mnie chcesz?

– Przysługi. A właściwie dwóch.

– Domyślam się. Rzadko kiedy ludzie szukają po prostu mojego wspaniałego towarzystwa.

– Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Nie znam tutejszego protokołu – powiedział Kip.

Nadal było mu ciężko na duszy.

Pokręciła głową.

– Kontynuuj, proszę.

– Jest pewna preceptorka, nazywa się Kadah. Myślę, że prosiła o przeniesienie do innych obowiązków. Pewnie wielokrotnie. Może dawno temu, a potem się poddała. Myślę, że przeniesienie blokuje ktoś z jej wrogów. Mogłaby pani udzielić jej zgody?

Biel się zadumała. Uniosła rękę i dała kilka szybkich sygnałów zrozumiałych dla sekretarza. Pośpiesznie wyszedł z pokoju.

– Dziwny sposób pozbycia się preceptorki, której nie lubisz – orzekła Biel.

– Nie chodzi o mnie. Chodzi o nią. Jest nieszczęśliwa i z tego powodu fatalnie wykonuje swoje obowiązki.

– W ciągu godziny dowiem się prawdy. Wtedy podejmę decyzję. A druga rzecz?

„Niech opowie mi pani o Powierniku Światła”, chciał powiedzieć Kip. „Niech mi pani powie wszystko o Oślepiającym Nożu”.

– Potrzebuję nauczyciela – powiedział zamiast tego. – Nie chcę, żeby zabrzmiało to arogancko, ale muszę się wiele nauczyć. Jestem polichromatą z pełnym spektrum i nie mogę siedzieć na zajęciach, gdzie słyszę tylko rzeczy, które już wiem. Już nie wspomnę o przepychankach z zazdrosną preceptorką.

– Myślisz, że mogę znaleźć preceptora, który nie będzie zazdrościł polichromacie z pełnym spektrum i synowi Pryzmata traktowanemu w szczególny sposób?

– Miałem nadzieję, że da pani radę.

Roześmiała się, szczerze zaskoczona.

– Och, Kip, zapomniałam już, jak zuchwali potrafia być młodzi.

– Ja jestem... ważny – dodał Kip.

To jej się mniej spodobało. Uśmiech zwiądł i umarł.

– W bardzo wąskim rozumieniu tego słowa – kontynuował. Trudził się, szukając właściwych słów. – Z tą ważnością nie chodziło... Nie znaczy, że mam być traktowany szczególnie z powodu tego, kim jestem. Jestem ważny w sensie, że mam kluczową rolę do wypełnienia.

– A mianowicie? – zapytała ostrożnie, zaniepokojona.

„Muszę uratować ojca”, chciał powiedzieć. To był dobry cel. Może właśnie ten cel Orholam mu wyznaczył. Jednakże skłamałby, gdyby to powiedział.

– Nie wiem – przyznał – ale to ważne zadanie. Jestem jedynie narzędziem do jego wypełnienia i proszę, by mnie pani do tego przygotowała. Moja zuchwałość to chęć służenia Orholamowi bez lęku, z wiarą, że przeprowadzi mnie przez ogień.

Chciał mieć taką pewność i myślał, że powinien być tak pewien, więc nie zdawał sobie sprawy, że to kłamstwo, dopóki nie wypowiedział tych słów.

– Kip, wszyscy tutaj jesteśmy ludźmi woli. Każdy mężczyzna i każda kobieta siłujący się ze światłem zasmakowali boskości. Wszyscy jesteśmy ważni, bo inaczej Orholam nie powierzyłby nam takich narzędzi, nie powierzyłby nam takich mocy.

– Jak powierzył Księciu Barw. – Słowa wyrwały się Kipowi z ust, zanim zdążył je powstrzymać. – Ogromnie przepraszam, najszlachetniejsza pani. – Skłonił głowę.

– Nie rozumiesz, Kip? Szaleństwo Księcia Barw i jego rozpaczliwe dążenie do boskości nie zaprzecza temu, co powiedziałam. Władza, moc, to ostateczna próba dla człowieka. Im więcej jej masz, tym więcej okazji do upadku. To, że wielu zawodzi w tej próbie, nie znaczy, że Orholam się myli; to znaczy, że człowiek jest wolny. Wielkie dusze wygrywają albo zawodzą w sposób spektakularny.

– Jak mój ojciec – powiedział Kip.

– Jak nade wszystko twój ojciec. – Zawahała się, a potem gestem oddaliła sekretarzy.

Natychmiast wstali i podeszli do stanowiska przy drzwiach. Ostatni zaciągnął zasłonę oddzielającą ich od Bieli i Kipa. Pozostał tylko jeden Czarnogwardzista.

„I mój dziadek”, powinien był dodać Kip. To była idealna okazja, żeby zasugerować, czym był. Jednak, co miał do powiedzenia Bieli? Andross był kolorakiem, ale już nim nie jest? Och, i okłamałem panią oraz całe Spektrum w kwestii tego, co wydarzyło się na statku. Kip i bez tego igrał z losem. Był jak nowicjusz w grze w Dziewięć Króli. Na łodzi obmyślał jeden ruch naprzód i kłamstwa, które przygotował, spektakularnie sprawdziły się w przypadku Spektrum. Teraz jednak po prostu grał tym, co mu wpadało do ręki. Kłamstwa tworzyły sieć, stare ruchy blokowały nowe.

Jak Andross to robi? Czy pamięta, jakie kłamstwa któremu graczowi powiedział?

Oczywiście, że tak. Do tego w jego przypadku przydaje się pamięć Guile’ów. A Kip nawet nie wiedział, kim są wszyscy gracze. Biel go lubiła, ale wątpił, czy uznałaby kłamstwa szesnastolatka za zabawne albo zręczne. Była stara, a starzy ludzie chcą widzieć młodych jako odświeżająco bezpośrednich, prostych, słodkich i niewinnych.

Możliwe, że Kip trzymał dokładnie tę kartę, której potrzebowała przeciwko Androssowi w rozgrywce prowadzonej przez nich od dziesięcioleci. Niestety, Kip nie mógł dać tej karty Bieli.

Możliwe, że w tej wielkiej rozgrywce nie było oddawania kart. Tylko wymiana.

Biel grzebała w biurku. Wyjęła mały obrazek w ramkach.

– Kiedy umrę, chcę, żebyś to wziął. A kiedy się tym posłużysz, a on nadal będzie żył, chcę, żebyś go dał Gavinowi. – Odwróciła obrazek i Kip zobaczył, że to jedna z nowych kart do Dziewięciu Króli. – To jest dzieło mojej drogiej starej przyjaciółki...

– Janus Borig – dokończył Kip.

Rozpoznał jej pracę.

Wziął od Bieli oprawioną kartę. Nosila nazwę Niezniszczalna. Była przepiękna. Janus Borig ewidentnie nie szczędziła uwagi i czasu na tę pracę. Podczas gdy inne karty były owocem pośpiechu i przymusu – chociaż na wszystkich odzwierciedliła się jej maestria – Kip nie widział karty, która zostałaby misterniej namalowana. Młoda kobieta o płomiennych włosach stała na wzgórzu zdominowanym przez dąb, a na lewo od niej

dymyły ruiny jej posiadłości. Z prawej strony rozciągała się przepaść. Drobnutkie plamki błękitu i zieleni zdobiły jej oczy. Łzy widniały na obu policzkach, ale usta miała zaciśnięte, wzrok skierowany gdzieś w dal.

– Właśnie pochowałam moją najmłodszą córkę – powiedziała Biel. – Nazwanie mnie Niezniszczalną czasem wydawało się okrutnym żartem, a w innych chwilach obietnicą. Postanowiłam żyć, walczyć, nawet jeśli walka oznaczała zwalczanie rozpacz, drwin daremności, która jest otchłanią. Ta karta nie jest zbyt przyjemna, ale chciałabym kiedyś zostać zrozumiana.

– Niech mnie diabli, ależ pani była piękna! I taka zaciekła! – wyrwało się Kipowi. – I... Nie wierzę, że właśnie powiedziałem to na głos.

Zdradził się, rozpoznając artystę. Jeśli uda, że znowu za dużo chlapnął, to może odwróci uwagę Bieli i nie padnie pytanie, skąd zna prace Janus Borig.

Biel się roześmiała.

– Ach, dziękuję. Myślę, że Janus była uprzejma.

– Janus nie jest uprzejma. Jest szczerą – odparł Kip. – Tym właśnie jest Lustro...

Kurna! Nie potrafisz utrzymać myśli w głowie nawet przez sześć sekund, co, Kip?

– Nie miej do siebie żalu – powiedziała Biel. – Potrafię rozpoznać zręczny unik. Zbyt długo miałam do czynienia z twoim ojcem i dziadkiem, żeby cię nie doceniać, Kip, nawet jeśli jesteś młody.

– Odsyłałaś stąd satrapów z płaczem, prawda, pani?

– Zdarzało się – odparła sucho. – Janus.

Wobec tego Kip opowiedział jej o swoich spotkaniach z Janus Borig. Powiedział, że kobieta pracowała nad jego kartą. Powiedział o zabójcach w migotliwych płaszczach. Powiedział, że Janus Borig umarła na jego rękach.

Dostrzegł, że był to cios dla Bieli.

– Kip, to niezwykle ważna kwestia: czy ocalała cokolwiek z pożaru?

Kip przygotowywał się na to pytanie od początku rozmowy.

– Chciała, żebym coś zabrał, ale ogień był wielki, a wszędzie leżały stosy prochu strzelniczego. Ocalałem tylko migotliwe płaszcze.

Biel przyjrzała się jego twarzy.

– Jesteś dobrym kłamcą, Kip, ale miałam do czynienia z najlepszymi. Migotliwe płaszcze są dobre do zabijania ludzi, a karty przydają się do tysiąca rzeczy. Janus nie pozwoliłaby ci guzdrać się przy broni, kiedy prawda płonęła. To było dzieło jej życia.

– Straciła przytomność – odparł Kip, nie pozwalając, żeby dobre kłamstwo umarło.

Myślałem, że będziemy w tej rozmowie odświeżająco bezpośredni. Niech to diabli.

Biel westchnęła.

– Nie będę więcej pytać. Mam nadzieję, że ukryłeś je w bezpiecznym miejscu. Nie sprawdzaj ich zbyt często, bo inaczej szpiedzy znajdą je przypadkiem. Uważaj, posługując się nimi w samotności. Nie wiem, jakie są wszystkie nowe karty, ale wyobrażam sobie, że niektóre wydarzenia niedawnej historii mogą oskórować twój umysł.

Zważywszy, że niedawno tak poparzył rękę, że stracił całą skórę, metafora zrobiła na nim wrażenie.

Już chciał się odezwać, kiedy zdał sobie sprawę, że jeśli powie, że w gruncie rzeczy nie wie, gdzie karty się znajdują, przyzna się do kłamstwa. Gdziekolwiek się ruszy, Biel coś zyska.

– Jak to jest, że kiedy stawia mnie pani w takim położeniu, nie nienawidzę pani? – zapytał Kip.

– Masz na myśli zapędzenie w kozi róg?

-Tak.

– W przeciwieństwie do Androssa?

– Właśnie – potwierdził z uczuciem.

– Bo wiesz, że cię kocham i chcę dla ciebie jak najlepiej.

– Kocha pani? – rzucił drwiąco. – Ledwie mnie pani zna.

– Kiedy człowiek żył bardzo krótko albo bardzo długo, i jeśli żył dobrze, to pokochanie drugiego człowieka przychodzi mu z łatwością. Złamane serca znajdują nowe miejsca, żeby związać się z nowymi twarzami.

Kip nie bardzo wiedział, jak to przyjąć, nie był pewien, czy potrafi w to uwierzyć.

– Miała pani inne córki? – zapytał. – To znaczy, poza tamtą... Ehm, przepraszam.

– Tak, miałam. I wnuki. Miałam. – Patrzyła na niego przez chwilę z nieprzeniknioną twarzą.

Odłożyła oprawioną kartę. Przez chwilę Kip zastanawiał się, czy zapomniała, o co poprosił. Potem zobaczył błysk rozbawienia w oczach. Zorientowała się, że Kip zastanawia się, czy jest stara i zdziecinniała. Możliwe, że celowo pozwoliła mu snuć takie myśli. Dla niej to była gra.

I ta kobieta szykowała się do śmierci ze starości? Była bystrzejsza od całego razem wziętego Spektrum!

Kip poczekał.

– Jestem zbyt zajęta, żeby osobiście cię uczyć, ale intrygujesz mnie, mały Guile'u. Naprawdę mam nadzieję, że w pełni rozkwitniesz. Jesteś chłopcem o wielkim potencjale. – Zamknęła na chwilę oczy, karcąc samą siebie. – Wybacz, młodzieńcze. Obawiam się, że wszyscy mężczyźni poniżej czterdziestki są teraz dla mnie chłopcami. Nie, nie mogę cię uczyć. Zajmę się jednak sprawą tej preceptorki. I... rzeczywiście, potrzebujesz nauczyciela.

To jasne. Będziesz uczył się na tych zajęciach, których ona sama nie może poprowadzić, ale wszystkiego innego nauczy cię lady Guile.

– Lady Guile?

Czy Felia Guile nie dołączyła do Uwolnienia w Garristonie? Kip zastanawiał się czasem nad tym – przebywała w Garristonie w tym samym czasie co on, a nigdy go nie wezwała, nie spotkała się ze swoim jedynym wnukiem. Może bękart to zbyt wielki wstyd?

– Och! Ma pani na myśli Karris?!

– Hm – mruknęła Biel z krzywym uśmiechem.

– To wspaniale! – ucieszył się Kip.

Nawet jeśli trochę się jej bał. Ewidentnie wiedziała wszystko i ogromnie ją szanował.

– Uczęszczaj na zajęcia, na pozostałe zajęcia, dopóki z nią nie porozmawiam. Może trzeba będzie ją trochę do tego pomysłu przekonać. – Uśmiezek Bieli zgasł. – Kip, Orholam codziennie przeprowadza ludzi przez ogień. Wierzę w to. Zanim ty przejdiesz przez ogień, upewnij się, że to ten, przez który Orholam pragnie, byś przeszedł.

ROZDZIAŁ 29

Po trzech dniach sztorm przycichł. Artylerzysta kazał Wrednej Szkapie rzucić kotwicę po zawietrznej stronie małej wysepki, gdzie przeczekał, aż niebo się przeczyści, by ustalić ich położenie. Piraci byli na tyle uprzejmi, żeby nakarmić niewolników, zanim poszli spać. Artylerzysta skrupulatnie dbał, żeby utrzymać swoje świetne wyniki na najwyższym poziomie.

Gavin spał jak kamień, obudził się i znowu zasnął. Ponownie śnił i wiedział, że śni. Był dzieckiem i nikogo nie było w domu. Rodzice byli w Chromerii – ojciec z powodu jakichś ceremonii, a matka, żeby mu towarzyszyć. Gavin mógł pojechać z nimi, bo był starszy. Dazen i Sevastian musieli zostać w domu ze służbą i domowymi niewolnikami. Dazen obudził się sam w swoim łóżku i myślał, czy nie zawołać opiekunki. Miał jedenaście lat. Prawie. Był za duży, żeby się bać ciemności. Nie był pewien, co usłyszał, ale leżał w łóżku i nasłuchiwał, niemal zbyt przerażony, by oddychać.

Miał jedenaście lat. Za dużo, żeby być takim strachajłą.

Odrzucił przykrycia, sięgnął obok łóżka, gdzie upuścił swój dziecinny mieczyk. Starał się go podnieść, nie wychodząc z łóżka. Miecz leżał za daleko. Dazen wziął koc i zarzucił go na miecz, trzymając za jeden koniec. Przyciągnął koc ku sobie i przysunął miecz odrobinę. Jeszcze trzy próby i już go miał.

Przetykając ślinę, wyciągnął miecz z pochwy. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Wydawało się, że dźwięk dobiega z zewnątrz, ale Dazen wiedział, że to złudzenie wynikające z rozkładu domu Guile'ow. Drzwi były ogromne, grube. Brzęk szkła mógł tylko oznaczać, że stłuczono jedno z okien przy końcu korytarza. Pokój Sevastiana!

Dazen zapomniał o strachu i wyskoczył z łóżka.

Otworzył drzwi z impetem i pobiegł. Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Biegł już całym pędem, ale ściany się zniekształcały. Stawał się coraz niższy, znikał.

Kiedy dotarł do drzwi Sevastiana, jego ręka przeszła przez zasuwkę. Nie mógł niczego dotknąć. Nie mógł niczego zmienić. Jego ręka przechodziła też przez drewno.

Rzucił się na drzwi – przez drzwi.

Niebieski kolorak warknął, stojąc nad łóżkiem Sevastiana. Niebieska skóra i czerwona krew. Wyskoczył przez okno i zniknął w ciemności. Dazen widział tylko drobne ciało brata, zakrwawione i połamane. Wrzasnął. Zalał go zapach krwi, kiedy podniósł Sevastiana.

Nie żył. Drobnny chłopiec został przebity, cios mieczem albo włócznią zadano prosto w pierś. Mały Dazen, zawodząc w nieukojonym żalu, nie mógł myśleć o niczym innym, ale śniący zobaczył więcej, niż pamiętał – że miecz albo włócznia trafiła Sevastiana wysoko w pierś i wyszła środkiem pleców. Sevastian stał przed intruzem i został zabity, tak jak stał. Pojedynczym, pewnym ciosem. Dobroduszny mały Sevastian nie miał nawet czasu, żeby zrobić unik albo stawić opór, nie wierzył, że ktoś zjawiłby się nocą, żeby go zamordować.

Własnymi rękami rozmazywał krew na idealnej, anielskiej twarzączce brata i zawodził. Kiedy tak Sevastian leżał z zamkniętymi oczami, mógłby spać. Dazen nim potrząsnął.

– Obudź się! Obudź się!

Gavin obudził się, kiedy potrząsnął nim Orholam.

Gavin potrzebował kilku chwil, żeby dotarła do niego obecność rozkołysanego statku i twardego drewna pod plecami. Z jednego koszmaru prosto w drugi.

– To są te sny, które mi zesłałeś, Orholamie? – zapytał. – Idź do diabła!

ROZDZIAŁ 30

– Galera. Ilytańskie płótna – powiedział Leonus.

Gavin pomyślał, że to straszna wieść, ale wśród niewolników rozległ się pomruk, jakby to było coś dobrego.

– Co to znaczy? – zapytał.

– Ilytańskie płótna, ehm, ehm, znaczą ilytański statek, ehm, najpewniej. Kurwa. K-kurwa – wyjaśnił Kukurwa.

– Przecież Ilytanie mają najlepsze działa, nie? – zapytał Gavin.

– To nieistotne – odpowiedział Robal, który siedział po drugiej stronie przejścia. Mężczyzna na coś chorował, miał potwornie wyłupiaste oczy. Trudno było na niego patrzeć, nawet w odcieniach szarości. – Traktują niewolników gorzej niż psy. Głodzą ich, biją tak bardzo, że galernicy ledwie są w stanie wiosłować. Ilytańskie galery nie płyną tak szybko i nie są tak zwrotne, jak nasza. Na dłuższą metę.

To miało sens, uznał Gavin.

Ilytanie łapali więcej niewolników niż ktokolwiek inny, odmawiając uznawania praw dotyczących zniewalania ludzi, które Chromeria narzuciła pozostałym sześciu satrapiom. Skoro niewolnicy byli tani, nie trzeba było szczególnie o nich dbać. Martwych można łatwo zastąpić. Ilytanie to prawdziwi łajdacy.

Artylerzysta był Ilytaninem.

Gavin uważał tego człowieka za zabawnego, dopóki nie znalazł się w jego mocy. Uważał, że to zabawne pogrywać z umysłem Artylerzysty, korkując mu muszkiet, zamiast go zabić, nim zatopił mu statek w pobliżu Garristonu. Gdyby go zabił, nie byłoby go tu teraz.

Zabawne, jak człowiek potrafi błędzić myślami nawet w czasie wiosłowania. Systematycznie krwawiące ręce Gavina owinięto teraz bawełną. Z większym rozumieniem współczuł Kipowi z powodu lewej ręki poparzonej w ognisku przed bitwą o Garriston. Jego własne dłonie codziennie były potwornie obolałe. Myślał wcześniej, że ma ręce prawdziwego mężczyzny, stwardniałe i szorstkie. Za wysoko siebie oceniał.

– Zwycięstwo albo śmierć! – wrzasnął Leonus.

Niewolnicy nie odpowiedzieli. Nienawidzili Leonusa.

– Wy nic niewarte wory gówna! Macie odpowiedzieć albo przeciągnę pod kilem każdego jednego z was! Młody! – zawołał do młodzieńca, który przejął jego dawną pozycję zastępcy

nadzorcy. – Wybatoż ten szereg. Natychmiast!

Chłopak się zawahał.

– Natychmiast!

Chłopiec uderzył biczem w nagie plecy mężczyzn z jednego z końcowych rzędów. Galernicy wrzasnęli z bólu. Bardziej niż to konieczne, pomyślał Gavin, ale chłopak nie uderzył ich tak mocno, jakby życzył sobie Leonus.

– Zwycięstwo albo śmierć! – krzyknął Leonus.

– Wiosłuj do diabła! – odkrzyknęli niewolnicy.

– Nie ociagać się!

– Wiosłuj do diabła!

– Podrap po grzbiecie Czarnego Jacka! – wrzasnął Leonus.

– Wiosłuj do diabła!

– I z powrotem!

Bębny zaczęły wygrywać tempo, a Leonus zniknął na drugim pokładzie z niewolnikami.

– Wątpię, żebym przeżył to spotkanie – powiedział Dziewiątka.

– Zawsze wątpisz, że przeżyjesz spotkanie, Pchlarzu.

– Tym razem to co innego. Czuję to.

Jak wcześniej, kiedy dziesiątki mężczyzn pociły się w ciasnej przestrzeni pokładu, szybko zrobiło się gorąco. Dzień był jasny, spokojny, co zapowiadało czysty i łatwy wyścig do śmierci.

Bębny wybijały równe tempo, a Gavin wiosłował. I wiosłował. I wiosłował. Dwadzieścia minut. Chłopiec obszedł pokład i podał im wodę. Przynajmniej nie rozbijał im ust kubkiem na długiej rączce. A w każdym razie niecelowo. Trzydzieści minut.

Wreszcie Leonus wsunął swój obmierzły łeb pod pokład.

– Bębny, corsol.

Bębny przyśpieszyły, a Gavin z radością dostosował się do nowego rytmu. Z radością. Czy to nie dziwne? Było coś dziwnie wyzwalającego w tym, że nie musiał podejmować decyzji. Płyn, kiedy każą płynąć. Stój, kiedy każą stanąć. Jedz, kiedy każą jeść. Unikaj batów. Weź podwójną miarkę wina.

Co zrobię, jeśli uda mi się uwolnić, Karris? Nie mogę już krzesać. Nadal będziesz mnie kochać, kiedy odkryjesz, że nie jestem już tym, czym byłem?

Wyobrażał sobie wyraz oczu ludzi, współczucie. Szanowano go, kochano, obawiano się go w każdym zakątku Siedmiu Satrapii, ale fundamentem jego władzy zawsze było krzesanie. Był w takim stopniu lepszy od wszystkich innych, i to bez wysiłku, że nie stał się niczym więcej. Nie był człowiekiem, był krzesicielem. Nie można było myśleć o Gavinie bez świadomości, że jest Pryzmatem, że jest krzesaniem, że jest najlepszy. Najlepszy teraz

i prawdopodobnie w ciągu następnych setek lat. Bez tego był... czym?

Aroganckim figurantem, który co roku rytualnie mordował dziesiątki krzesicieli. Narwańcem, który zrzucił z balkonu młode kobiety, kiedy go denerwowały. I nie ponosił z tego powodu żadnych konsekwencji.

Inni krzesiciele przechodzili od mocy magicznej do władzy politycznej bez większego wysiłku. Biel dokonała tego z dużym wdziękiem, jego ojciec z mniejszym. Ale Gavin? On nie miał tego w sobie. Przestać krzesać, bo uważasz, że nadal możesz dokonać czegoś pożytecznego to jedno; nie być w stanie dłużej krzesać to całkiem co innego. Mężczyzna może złożyć śluby celibatu i być za to szanowanym; mężczyźni wykastrowanemu w najlepszym wypadku ludzie współczuli.

Nie sposób było ukryć tę stratę. Przed tegorocznym Dniem Słońca nadejdzie koniec, na dobre albo na złe. Albo do tego dnia będzie w stanie krzesać, odprawiając stosowne rytuały, albo nie. A jeśli nie zdoła wrócić do tego czasu do Chromerii, ktoś inny zostanie ogłoszony Pryzmatem. To było proste. Ile czasu mu jeszcze zostało? Cztery miesiące?

Karris, moje życie skończy się za cztery miesiące. Choćby niewiadomo co. Tak mi przykro. Zmarnowałem tyle czasu. Chciałem, żebyśmy mieli wspólne życie. Chciałem, żebyśmy mieli dzieci. Chciałem zobaczyć, jak trzymasz w rękach nowe życie, być przy tobie.

Gavinowi nagle zrobiło się niedobrze, i to nie z wysiłku.

Bębniarze znowu zwiększyli tempo, ale Gavin miał to w nosie. I znów przyśpieszyli, zaczął się ostatni sprint, lecz jego umysł pozostał nieruchomy, nieprzenikniony, wszelkie działania rozgrywały się daleko poza nim.

A potem ktoś wykrzyknął rozkaz i niewolnicy schowali wiosła z nieśpieszną precyzją.

Huk wyrwał Gavina z zamyślenia. Drewno trzeszczało, trąc o drewno. Wiosła pękały jak podpałka. Mężczyźni krzyczeli z bólu, strachu i wściekłości. Muszkiety szczękały. Działa huczały. Smród prochu i strachu. Mężczyźni pospadali z ławek. Gavin złapał się na tym, że gapi się na szczerbatego żeglarza na drugim statku. Mężczyzna wstawał, po tym jak przewrócił się w czasie zderzenia. Miał w ręku lont i stał tuż za załadowaną armatą.

Gavin machnął ręką, wolą zmuszając niebieski kolec, by śmignął prosto w oczy mężczyzny.

Nic.

Żeglarz spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem, a potem wiosło strzaskało mu twarz. Upuścił lont, ale ktoś inny go złapał.

Statki nadal przepływały obok siebie. Działo wystrzeliło. Drewno eksplodowało, rozrywając schody i wypełniając rozpalonym, oślepiającym dymem pokład niewolników. Chłopiec okrętowy z Wrednej Szkapy minął Gavina chwiejnym krokiem, powykrzywiany

metal wystawał mu z pleców.

Kolejne działo huknęło, wrywając dziurę w górze, wpuszczając oślepiające słońce, oświetlając kłębiący się czarny dym. Wydawało się, że samo powietrze płonie. Wszyscy niewolnicy kaszleli, leżąc na pokładzie. Porzucili obowiązek dźgania przeciwników wiosłami.

Gavin usłyszał brzęk kotwiczek na końcach sieci abordażowych, kiedy rzucono je poprzez rozszerzającą się teraz szparę między statkami. Piraci krzyczeli, a charakterystyczny huk wystrzałów z muszkietu kapitana Artylerzysty rozlegał się z częstotliwością, jaka nie powinna być możliwa. Wykrzykiwane rozkazy, łoskot kroków na pokładzie powyżej i piraci weszli na drugi statek.

A potem nagle na Wrednej Szkapie zrobiło się cicho. Wiatr wpadający przez otwory na wiosła i dwie wielkie dziury po kulach armatnich zaczął rozpędzać dym. Niewolnicy siadali, oceniali szkody, podczas gdy z drugiego statku odległego raptem o kilka kroków dobiegały błagania o litość i krzyki wściekłości.

Chłopiec okrętowy nie żył albo był nieprzytomny i w drodze na tamten świat. Leżał pośrodku przejścia między wiosłarzami. Młody dzieciak, który nie wyróżniał się urodą ani cnotą, ale mimo to nie zasłużył sobie na taki los.

Schody na drugi pokład zostały w połowie zniszczone. Połowa rzędu niewolników została starta na proch. Pokład przy tylnych rzędach był śliski od krwi.

Nagle ktoś zeskoczył z sieci abordażowej i wskoczył przez dziurę wybitą przez armatę. Wspinał się chwilę, omal nie tracąc równowagi. Każdy niewolnik w pobliżu mógłby go zrzucić do morza, ale wszyscy zamarli, zaskoczeni. Mężczyzna miał jasną skórę i był zamożnie odzianym blondynem. Gavin nie rozpoznał go od razu jako członka załogi. Gorzej, że najwyraźniej nie rozpoznał go też żaden z niewolników. Nie był żeglarzem z Wrednej Szkapki i nosił miecz.

– Nie zrobię wam krzywdy – powiedział. – Jeśli powiosłujecie dla mnie, uwolnię was. – Dał im chwilę na przetrwanie propozycji, po czym dodał: – Uwolnię was teraz, jeśli pomożecie mi zrzucić sieci abordażowe. Tylko szybko!

Słyszając ten głos, Gavin natychmiast go skojarzył. Ten młody człowiek mógł być jedynie Antoniuszem Malargosem, kuzynem Tisis Malargos, która była Zielenią, zanim Gavin się jej pozbył, i bratankiem Dervaniego Malargosa, który krótko był bogiem, dopóki Gavin go nie zabił.

– Kto jest ze mną? – zapytał Antonius.

Niewolnik podniósł zakutą w okowy rękę, a blada skóra Antoniusa rozświetliła się czerwonym luksynem. Młodzieniec napełnił zamek czerwonym luksynem, podpalił. Zamek się wypalił. Przy okazji sparzył nadgarstek niewolnikowi, który jednak zyskał wolność.

– Szybko! Mamy tylko kilka chwil – powiedział Antonius. – Większość piratów jest na drugim statku. Zabijemy tych paru, którzy zostali tutaj, odetniemy sieci i odepchniemy się. Uwolnię was wszystkich, przysięgam na Orholama.

To był przyzwoity plan, nawet jeśli desperacki. Druga galera straciła wiosła na jednej burcie. Jeśli Antonius przechwyci Wredną Szkapę i odetnie siatki abordażowe, będzie miał sporą szansę na uciezkę. Jeżeli oddali się na dziesięć kroków, pewnie dotrze do portu. A jako Malargos, nie miał powodu dopilnować, by Gavin dotarł do domu żywy. Gavin wątpił, czy będąc na jego miejscu, sprowadziłby Antoniusa z powrotem do domu. Śmiertelny wróg rodziny Malargosów, który wpadł Antoniusowi prosto w ręce. Gavina ogarnęła rozpacz.

Zobaczył, że Leonus padł między dwie ławki niewolników. Próbował podnieść się na czworaki. Krew lała mu się strumieniem z głowy. Prezentowało się to gorzej niż było naprawdę – rany na głowie obficie krwawią. Wyglądał jednak na zamroczonego. Czy Gavin powinien ostrzec Antoniusa?

Niewolnik za Gavinem uniósł ręce w kajdanach. Antonius westchnął z ulgą, gdy kolejny niewolnik przyjął propozycję. Ruszył w jego stronę. Zerknął na Gavina i przesunął wzrok dalej. Nie rozpoznał go. Pryzmat nie żył. To brodate, brudne stworzenie w łańcuchach było niczym.

Gavina ogarnęła nagła nadzieja, że może przeżyje, i poczucie głębokiego oddzielenia od dawnego siebie. Antonius widział Gavina na własne oczy, widział jego twarz na tysiącach portretów, sztychów i mozaik. A jednak go nie dostrzegł. Zobaczył niewolnika. Gavin uważał się za nierozłącznego z władzą, tytułem, pozycją, a okazało się, że nie jest nawet nierozłączny z własną twarzą.

Antonius przystanął. Spojrzał na Gavina z lekkim zdziwieniem. Nagle wytrzeszczył oczy. Gavin przegapił to, co potem stało się z twarzą chłopaka, bo patrzył na jego uniesiony miecz. Cała zemsta za ród Malargos tak blisko.

Gavin znał śmierć i patrzył na jej nadejście bez zmrużenia oka.

Antonius padł na kolana.

– Wasza Świątobliwość? Ty żyjesz!

Gavin znowu spojrzał na twarz chłopaka. Jego mina nie świadczyła o pragnieniu zemsty. Antonius wyglądał, jakby miał się rozplakać. To byłyby łzy uwielbienia, adoracji, nadziei. Dzieciak nieograniczony nienawiścią żywioną przez rodziców. Niewinny, pokładający wiarę w człowieku, którego nigdy osobiście nie poznał.

– Wasza Świątobliwość, zdejmijmy z ciebie te kajdany!

Ile czasu minęło, odkąd Gavin widział taką dobroć? Ile czasu minęło, odkąd sam ją czuł? Zbyt dużo, a teraz było za...

Za późno, Gavin dostrzegł ruch. Leonus podniósł się za plecami Antoniusa. Gavin

wyciągnął rękę, żeby go powstrzymać, ale krótki łańcuch szarpnął nią z powrotem, a kajdany wgryzły się w nadgarstek, popłynęła krew. Gorzej, że okowy zatrzymały rękę. Gavin jednak widział tylko Leonusa, który rzucił się na plecy Antoniusa z wyciągniętym ostrzem. Pchnął chłopaka na Gavina, dźgając raz za razem. Gavin zleciał z ławki, która podcięła mu nogi. Wiosło powyżej i kajdany sprawiły, że nie spadł na podłogę, a towarzysze, wpierw zaskoczeni, po chwili spróbowali odciągnąć go, żeby nic mu się nie stało.

Gavin nie mógł działać dostatecznie szybko. Zerwał bandaż z rąk, rozplątując je jak najszybciej, i kopnął kolanem. Nie trafił, bo znajdował się za daleko, ale zaraz kopnął naga stopą i trafił Leonusa. Jakimś cudem uderzył go w gardło.

Leonus zachwiał się na piętach, łapiąc gwałtownie powietrze. To dało Gavinowi ułamek sekundy, który wykorzystał, żeby obwiązać bandaż wokół szyi Leonusa. Raz, drugi, a potem szarpnął za nie. Leonus stracił równowagę i poleciał ku niemu.

Porzucając plan uduszenia Leonusa, Gavin przyciągnął jego głowę do swojej piersi. Przez wykrzywiony kręgosłup szyja nadzorca rozrosła się od mięśni i była szeroka jak u byka. Gavin szamotał się w lewo i w prawo, w lewo i w prawo. Nie słyszał trzasku pękających kręgów, nie czuł tego, więc szarpał się, aż nabrał pewności, że Leonus się nie rusza. Był zwierzęciem i czuł tylko wściekłość.

A mimo to zareagował za późno.

Wypuścił Leonusa, odwiązał bandaż i pchnął jego wstrętne zwłoki w przejście. Spojrzał na ciało Antoniusa leżące między ławkami.

Leżące między ławkami... i mrugające powiekami.

– Chyba jestem winny przeprosiny mojej kuzynce Eirene – powiedział chłopak, który był jak najbardziej żywy. Rozsunął jedno z rozcięć w tunice, pokazując pod spodem kurtkę z najdelikatniejszej ilytańskiej stalowej siateczki. – Dała mi to na urodziny. Poprosiłem o konia wyścigowego. Narzekałem na prezent.

– K-kurwa – powiedział Kukurwa z uznaniem.

Antonius zerwał się na równe nogi, otrząsając się. Zaczął obszukiwać kieszenie, szukając czegoś.

– Moje okulary. Moje czerwone okulary! Gdzie one są? Bez nich nie wypalę wam kajdan!

Niewolnicy zaczęli szaleńczo się rozglądać. Nagle wolność była tak blisko i skoro Leonus nie żył, wydawała się całkiem realna.

– Aj! – krzyknął któryś.

Podniósł powyginaną oprawkę. Czerwone soczewki zostały strzaskane na pył, okruszki były za małe, by dało się z nich krzesać. Na pokładzie była krew, ale czy to wystarczy? Nie, nie było tu dość światła. Dla Gavina wyglądała jak czarna kałuża.

I wtedy wstał Orholam. Uniósł rękę. Trzymał klucz do łańcuchów.

ROZDZIAŁ 31

Arys Greenveil wstała z łóżka, na którym leżał wycieńczony jej nowy kochanek. Owinęła jedwabnym szlafrokiem brzuch powiększony zawansowaną ciążą. Dziecko numer trzynastcie najwyraźniej nie miało jeszcze ochoty opuścić łona. Uparte jak matka. Jej własna matka nauczyła ją, że uprawianie miłości przekona dziecko do wyjścia na światło dzienne, i Arys nie miała podstaw, żeby uznać, że matka się myliła – wykorzystywała ten sposób przy każdej ciąży. Przy trzecim dziecku, Jalen, katusze orgazmu przeszły bezpośrednio w bóle porodowe i było to jak dotąd najśłodsze z jej dzieci.

Jednak ten chłopiec, numer trzynasty – liczba Orholama dodana do liczby człowieka – będzie wyjątkowy, wiedziała to. Tak samo jak wiedziała, że to będzie chłopiec. Podeszła do biurka i zaczęła czytać korespondencję. Korespondencja nigdy się nie kończyła dla Arys Podczerwonej. Nadchodziły listy od jej satrapy, rzecz jasna, ale też listy od rodziny z prośbami o przysługi, od przyjaciół rodziny z prośbami o przysługi, od przyjaciół przyjaciół rodziny z prośbami o przysługi. Ludzie prosili ją o rzeczy, nad którymi nie zyskałaby kontroli nawet za sto lat. Jej sekretarz, litościwie, rozdzielał wszystkich żebraków na kupki i zwykle doskonale wywiązywał się z tego zadania, ale pewnymi rzeczami kobieta musiała zająć się sama.

Arys miała własne listy przysług wyświadczonych i przysług, które była innym winna. Kiedy tylko mogła, porównywała obie te listy, wymieniając przysługi tak, żeby odpowiedni ludzie byli jej coś winni w takich chwilach jak ta. Jej rodzinna satrapia, Krwawa Puszcza, zostanie najechna być może w ciągu najbliższych tygodni. Wieści nie dodawały otuchy. Wbrew rozkazom generał Azmith przygotowywał się do stawienia najeźdźcy oporu w miasteczku zwanym Wolibród nad rzeką Ao. Jej źródła nie były pod wrażeniem ani generała, ani jego planu.

Atash padł tak szybko jak opadają spodnie barda, prawie nie spowalniając marszu Księcia Barw. Jeśli ta ryzykancka zagrywka w Wolibrodzie nie wypali, jej ludzie będą następni. Arys zrobi wszystko, żeby ratować swoich ludzi.

Spojrzała na jeden z prywatnych listów. Przyszedł od jej siostry, Eli. Ela była co najmniej równie namiętna jak Arys, ale nawet w połowie nie tak mądra. Twierdziła, że Gavin Guile uwiódł i zamordował jej córkę Anę. Błagała, domagała się, rozkazywała i znowu błagała, żeby Arys zrobiła co w jej mocy, by pomścić siostrzenicę.

Oczywiście, Arys nie siedziała bezczynnie. Kiedy tylko dowiedziała się, że Ana nie żyje, zaczęła śledztwo. Jednego była pewna: Gavin nie uwiódł Any. To Ana próbowała uwieść Gavina. Według współlokatorki z pokoju, Ana kilka razy próbowała mimo coraz bardziej zdecydowanej odmowy. Przyznała również, że Ela nieustannie naciskała na swoją córkę, żeby uwiodła Gavina, chociaż trzeba było przerażoną dziewczynę pociągnąć trochę za język, aby to powiedziała. Cokolwiek wydarzyło się w tamtym pokoju, Ana, ta przekłeta głupia dziewczyna, poszła tam z własnej woli i w ogóle nie powinno jej tam być. Czarnogwardziści na służbie przysięgali, co najmniej trzy razy, że Gavin skrzyczał w gniewie dziewczynę, która z przerażenia skoczyła z balkonu.

Ana była ładną dziewczyną i chociaż Arys ją kochała, uważała, że jest potwornie zepsuta. Kiedy ludzie mają mniej niż pół tuzina dzieci, zawsze je psują. Any pewnie nigdy w życiu nie skrzyczał żaden mężczyzna. Ale żeby skoczyć z balkonu?

Czy Ana była aż tak głupia? Arys wątpiła, ale nie miała jak tego udowodnić, prawda? Było trzech świadków i wszyscy mówili to samo. Arys wynajęła najpiękniejszą kurtyzanę, jaką zdołała znaleźć, i zapłaciła kobiecie astronomiczną sumę, żeby uwiodła jednego z młodych Czarnogwardzistów, którzy byli na miejscu zdarzenia, Gilla Greylinga. Kurtyzana uwiodła go, spiła i zapytała o wydarzenia. Historia się nie zmieniła. Kurtyzana powiedziała, że jej zdaniem kłamał, ale jeśli mężczyzna nie porzuca kłamstwa, kiedy leży pijany i zaślepiony żądzą, to nic nie wycisnie z niego prawdy. To był ślepy zaułek.

Niech cię diabli, siostrzo. Jak mogła wyglądać najgorsza prawda na temat Gavina Guile w tej sytuacji? Że wściekł się na swoją córkę, którą wielokrotnie wysyłałaś, aby go uwiodła, a kiedy udało jej się dostać do jego łóżka i prawie zniszczyć jego związek z Karris Białodąb, o której wszyscy wiedzieli, że kocha ją od piętnastu lat, Gavin zrzucił ją z balkonu? Jeśli tak się stało, to Ela także nie była tu bez winy.

Oczywiście, Arys zmusiłaby Gavina, żeby za to zapłacił, gdyby dowiedziała się, że taka była prawda. Rodzina to wszystko. Motto Greenveilów brzmiało: Fásann Ár Gciorcal – Nasz Krąg Rośnie. „Krag” był rozumiany jako rodzina, terytorium, przyjaciele, wpływy. Orholam wiedział, że Arys zrobiła swoje w tej kwestii, a nawet więcej. Jednak każdy, kto ten krąg uszczupli, zapłaci za to. Niech cię diabli, Ano. Arys lubiła tę dziewczynę, przeważnie, chociaż Ana próbowała szczęścia, uwodząc mężczyzn, którzy interesowali się samą Arys. Wysoko celowała, często nieudolnie. Ale czy można przeciwstawić się woli krzesiciela? Ana była dostatecznie ładna, żeby większość rzeczy uchodziła jej płazem.

Aż wreszcie została ukarana, i to bardziej niż zasłużyła.

Jednakże na razie Gavin Guile znajdował się poza zasięgiem. Pewnego dnia Arys osobiście go zapyta. Z pewnością zrobi to, zanim znowu zagłосуje zgodnie z jego wolą, ale ostatecznie nie wpłynie to na jej decyzje. Była praktyczna, nadzwyczaj praktyczna. Lubiała

o sobie myśleć, że jest tak praktyczna, jak tylko podczerwony krzesiciel może być.

A wiedząc, że zawsze przynajmniej przez kilka dni po porodzie musiała leżeć, jako praktyczna osoba zajęła się stosem najważniejszej korespondencji.

Kolejny list od jej satrapy, Briuna Wierzbowego Konaru, w którym informował ją o rzeczach już jej wiadomych. Sprawa jest pilna, pomóż natychmiast, potrzebujemy cię właśnie w takich chwilach, itd., itd. Wyobrażał sobie, że niby co tu Arys robiła? Pod koniec pytał, czy powinna zostać zastąpiona z powodu zbyt zaawansowanej ciąży. Arys zrobiło się czerwono przed oczami. Zbyt zaawansowanej ciąży? Ten parweniusz, syn woźnicy, kwestionował jej możliwości? Wyrwałaby mu to prawe zezujące oko, rozklepała na płasko tłuczkiem do mięsa, usmażyła na patelni i nakarmiła nim tego zaślinionego durnego...

Odetchnęła powoli. Spokojnie, Ary.

Podczerwień była blisko, zawsze blisko w tych ostatnich dniach. Jeszcze dwa lata Arys. Dasz radę, jeśli będziesz ostrożna.

Odłożyła list na inny stos. Będzie musiała odpowiedzieć na niego, kiedy otrząśnie się z gniewu. Czasem nienawidziła swojej pracy. Kątem oka dostrzegła w lustrze, że jej kochanek poruszył się na łóżku.

Pomyślała, że jej praca ma swoje zalety.

Z niemodnymi intensywnie rudymi, prostymi włosami i piegami, wiele kobiet po trzydziestce piątce miałyby kłopot w znajdowaniu sobie kochanków. Robiła co mogła, by przyciemnić skórę, ukryć piegi i zmarszczki mimiczne, i niewielu zgadłoby, że urodziła dwanaścioro dzieci (choć, szczerze mówiąc, większość zgadłaby, że ma jedno albo dwoje), ale nawet pięknie odziana Arys nie była piękną, jakie uwielbiano w Chromerii. Niebieskie oczy były jej największym atutem – wszyscy uwielbiali niebieskie oczy. Miała raz kochanka – w dawniejszych czasach, zanim nauczyła się, jak dobierać sobie mężczyzn, którzy potrafią trzymać język za zębami – który natychmiast po tym, jak skończyli się kochać, powiedział, że jej piegi to tragedia. Gdyby nie one, byłaby piękną, którą mężczyźni wychwalaliby pod niebiosa.

Była młoda i nie panowała nad impulsami tak dobrze jak teraz. Złapała go za klejnoty i próbowała mu je urwać. Połamała sobie wszystkie paznokcie, ale można pękała w jej dłoni. Potem straszliwie ją pobił.

Łatwo zapomnieć, kiedy ma się tak wiele władzy, że czasem jedyna siła, która się liczy, to siła mięśni.

Minęła cała minuta, zanim przypomniała sobie, że potrafi krzesać, podczas gdy ten wrzeszczący, przerażony, wściekły mężczyzna tłukł ją i ciskał nią o ścianę, trzymając rozdartą mosznę w jednej dłoni, a drugą zaciskając w pięść. A potem, kiedy wreszcie zaczęła krzesać, spaliła go na wiór. Straciła dziecko, które wtedy nosiła, i nigdy nie

dowiedziała się, czy z powodu bicia, czy ogromnej ilości ciepła, jakie wykrzeszała. Pewnie każda z tych rzeczy by wystarczyła.

Teraz pogodziła się ze swoją względną urodą. Władza jej pomogła. Ładni mężczyźni i chłopcy sami jej szukali. Przeważnie jednak wołała tych, którzy nie byli zbyt przystojni, ale za to dostatecznie silni, by wnieść dobrą krew do rodu Greenveilów albo krzesicieli, mężczyzn inteligentnych albo charyzmatycznych – musieli być w czymś doskonali, kiedy szukała ojca. Jednak z obecnym kochankiem nie planowała dłuższego związku. Elijah był niesamowicie interesujący przez swoje bursztynowe oczy, cudownie samowolny, zręczny w łóżku, inteligentny, było w nim też coś dziwnie niebezpiecznego. Nie była jednak pewna, czy chce, żeby stał się ojcem jej czternastego dziecka. Wątpiła, czy zatrzyma go na kolejne sześć miesięcy. Na razie jednak zamierzała dobrze się bawić.

Krzesząc odrobinę podczerwieni, odetchnęła głęboko. Podczerwień rozdmuchała żar jej pożądania.

– Elijah? – zapytała.

Usiadł na łóżku. Był dokładnie tym, co podobało jej się w tym momencie życia. Smukły, umięśniony, z interesującymi bliznami na rękach i piersi. Krótco przycinał marchewkowe włosy, piegi zbladły mu na twarzy i rękach, miał rumianą skórę i przepiękne zęby. Spojrzał na nią – ciężarną kobietę – z nieskrywaną żądzą. Mężczyzna, który czci twoje ciało, kiedy masz ogromny brzuch i poruszasz się niezgrabnie, to chyba największy luksus, jaki może spotkać kobietę.

Kiedy jednak wstała, żeby podejść do niego, poczuła znajome zaciskanie w brzuchu. Zawahała się. Miała fałszywe bóle porodowe od miesięcy i teraz chciała być pewna.

Elijah wstał i podszedł do niej nagi.

– To już czas? – zapytał.

Objął ją od tyłu, całując w kark i ujmując w dłonie nabrzmiałe piersi.

Przez chwilę nie mogła oddychać. Brzuch miała napięty jak bęben.

– Tak – odpowiedziała w końcu, odsuwając jego ręce. – Muszę się przygotować. Jeśli będzie czas między skurczami, mogę cię jeszcze potrzebować. Ubierz się.

– Mam wezwać twoje niewolnice?

Zawahała się. Ból minął.

– Jeszcze nie. Mogą minąć całe godziny. Może włóż ten swój płaszcz bez niczego pod spodem.

Prawda była taka, że nie mogła wyobrazić sobie kochania się, kiedy rzeczywiście zaczęła rodzić. Gdyby jednak to był fałszywy sygnał, wołała go mieć tu przy sobie. Mogłaby go zerznąć dla ukojenia frustracji.

A gdyby miała być ze sobą szczerą, to tak czy inaczej chciała go mieć pod ręką. Jeżeli z

jakiegoś powodu żałowała, że nigdy nie pozostawała w związku z jednym mężczyzną, to właśnie w takich chwilach jak ta, kiedy chciała, żeby ktoś ją kochał i martwił się o nią, i próbował niemądrze ochronić ją przed rzeczami, przed którymi nie da się nikogo ochronić. Chciała powiedzieć Elijahowi, że dlatego go potrzebuje, ale nie potrafiła.

Usiadła przed lustrem, wyjęła czernidło do oczu, pudry, barwniki roztarte w tłuszczu i odporne na poty, które będą ją dręczyć przez następne godziny. Greenveilowie pochodzili z głębokich lasów i zachowali dawne tradycje. Nowe ziemie i nowe tytuły były dobre, ale ten, kto traci środek swojego kręgu, jest zgubiony. Jak pigmeje, od których się wywodziły, kobiety Greenveilów przygotowywały się do porodu jak do walki. Arys dobrze radziła sobie z barwnikami. Zanim wspięła się tak wysoko, że nie wypadało, by pomagała innym kobietom w makijażu, często to robiła. Brakowało jej tego.

Przy kilku pierwszych ciążach planowała dokładnie, jak się pomaluje, wierząc, że to omen określający ducha dziecka. Potem zarzuciła to i malowała się tak, jak chciała w danej chwili. Teraz zaplotła długie rude włosy w proste warkocze, nałożyła dziewięć czarnych kropek symetrycznie na czoło wokół tego, co miało być rysunkiem ogniowego kryształu, a potem połączyła kropki żółtą farbą, malując skrzydła ku skroniom. Odwrócony trójkąt pod jednym okiem, łaza pod drugim. Ledwie zaróżowiła usta, kiedy chwycił ją skurcz, aż jej zaparło dech, a od brzucha ku plecom przeszyła ją błyskawica.

Zamarła z zamkniętymi oczami na całą minutę. Potem, chociaż ból jeszcze nie minął, wróciła do malowania ust. Żłote linie dla podkreślenia kości policzkowych. Skurcz osłabł i Arys zaczęła pracować szybciej. Ciernie.

Jak ktokolwiek mógłby zapomnieć ten ból? Jak ktokolwiek mógłby chcieć przejść przez to więcej niż raz?

Arys narysowała czarne ciernie na grzbiecie obu dłoni, na udach, pośrodku klatki piersiowej, ujmując w nawiasy obie piersi, ujmując wyduły brzuch.

To nie było dość dobre dla takiej perfekcjonistki jak ona, ale kiedy nadszedł następny skurcz, Arys uznała, że wystarczy. Dotknęła brzucha.

A Elijah złapał ją za rękę.

– Co robisz? – zapytała.

– Mógłbym zapytać o to samo. Dziewięć punktów na czole? Dla dziewięciu bogów, których nigdy nie znałaś?

Coś dziwnego kryło się w jego bursztynowych oczach. Jego uśmiech był za szeroki i taki biały.

– Elijah, to nie jest dobry moment.

– Och, Arys, ależ to najważniejszy moment. Musisz posłuchać mnie uważnie przez kilka minut, a potem podjąć najważniejszą decyzję w swoim życiu. – Uniósł jej rękę z brzucha. –

Chcesz, żebym pomógł ci w malowaniu? Mam całkiem zręczną rękę do tego typu rzeczy.

– Nie! Zabierz ręce, bo zacznę krzyczeć.

– Jeśli zaczniesz krzyczeć, ty i twoje dziecko umrzecie.

Powiedział to tak przyjemnym, neutralnym tonem, że nie mogła uwierzyć, że się nie przesłyszała. Zamarła.

– Uwiodłem cię, żeby być tu właśnie w tej chwili, Arys Greenveil. Nie nazywam się Elijah. Jestem Mordercą Sharpem z Zakonu Złamanego Oka. Zajmuję się także innymi rzeczami na boku. A kiedy mogę zaspokoić dwie frakcje za jednym zamachem... – Uśmiechnął się. – Jestem bardzo szczególnym krzesicielem. Mogę cię zabić, nie zostawiając śladu. I ujdzie mi to płazem. Poród jest bardzo niebezpieczny, prawda? Zwłaszcza dla starszej kobiety takiej jak ty. I zanim czegokolwiek spróbujesz, wiedz, proszę, że mogę zabić cię bardzo, bardzo szybko i cicho. Jeśli cokolwiek powiesz, umrzesz. Twoja śmierć ucieszyłaby jednego z moich pracodawców bardziej niż drugiego, ale mnie ogromnie by zasmuciła. Niemniej wszyscy jesteśmy wolni w świetle. Światła nie można zakuć w łańcuchy, tak samo jak woli żadnego krzesiciela.

Skurcz zelżał na tyle, że mogła znowu odetchnąć i poczuła teraz śmiertelną groźbę. Zdradził ją! Przez niego wyszła na idiotkę. Gniew w niej zapłonął, a podcierwień, która stała się częścią niej samej, jej ciała i umysłu, rozdmuchała płomienie.

Elijah ją spoliczkował. Nie dość mocno, żeby zostawić ślad, ale dostatecznie, żeby ją oszołomić.

– Myśl o swoim dziecku, głupia. Nie powiedziałem ci jeszcze, o co mi chodzi. Słuchaj.

Miała wrażenie, że nagły skurcz rozdarł ją na dwoje. Nie mogłaby się odezwać, nawet gdyby chciała.

– Potrzebuję twojego głosu i twojego milczenia. Kiedy następnym razem Spektrum się zbierze, odbędzie się głosowanie, czy wyznaczyć Androssa Guile na promachosa. Poprzesz jego kandydaturę. W zamian za to, kiedy nadejdzie czas, Andross pomoże uczynić jedno z twoich dzieci Kolorem i natychmiast udzieli pomocy twojej rodzinie i twojemu krajowi w walce z Księciem Barw. To hojna propozycja. Lepszej nie dostaniesz. Andross kupuje także twoje milczenie na temat tej wizyty. Jeśli kiedykolwiek piśniesz słowo, osobiście zabiję wszystkie dzieci twoje, twojej siostry i twojego brata. To będzie plaga, która przejdzie przez twój dom. Właśnie takie wytłumaczenie wykorzystamy dla wyjaśnienia wielu zgonów w jednej rodzinie: zaraza.

Zanim ból minął, Arys odzyskała zdolność myślenia.

– Dlaczego to robisz? Czyż nie pracujesz dla heretyków?

– Zakon Złamanego Oka jest... pragmatyczny. Powinnaś to podziwiać. Jeśli praca dla Androssa Guile na razie nam pomaga, czemu nie? A zabijanie Kolorów to coś, co Zakon

uwielbia.

– Pomóż mi wstać – poprosiła. – Muszę podejść do boksu porodowego.

Wyciągnęła rękę. Nagle jedna z jej rąk opadła bezwładnie, uderzając o krzesło.

– Nie musisz jeszcze iść. Nie jestem aż tak nieobeznany. Ani też ty nie powinnaś pozostawać nieświadoma moich możliwości. To najmniejszy ich ułamek – powiedział Morderca. Poruszył palcami, jakby nimi pstryknął, i Arys poczuła mrowienie w ręce, czucie powoli wracało do ciała. – Nawiasem mówiąc, to chłopiec. Chcesz, żebym zatrzymał jego serce? Tego potrzebujesz, żeby dać się przekonać?

– Ty potworze.

– Wojna z nas wszystkich czyni potworów, a tę wojnę zaczął Lucidonius, nie my.

– Idź do diabła.

– To jest twoja odpowiedź? To twój głos? – zapytał Morderca.

– Nie zabiłbyś mojego dziecka. Patrzyłam ci w oczy, kiedy się kochaliśmy. Widziałam twoją duszę, Elijah.

Nie mogła aż tak mylić się co do niego, prawda? Ceniła jego ciało, pochlebstwa, samowolę, cięty język. Poza tym, prawie w ogóle na niego nie patrzyła. Odwrócił jej uwagę. Zaczęła otwierać szufladę kolanem.

– Nosilem kiedyś imię Elijah. – W jego głosie zabrzmiała tęsknota. – Porzuciłem je, kiedy zdjąłem klapki z oczu, by ujrzeć chwałę świata wolnego od łańcuchów. Lubiłem, kiedy zwracałaś się do mnie po imieniu. Nadal to lubię, Arys – powiedział, a jego ton nagle nabrał ostrości. – Wiem, że masz pistolet w szufladzie. Rozładowałem go.

Znieruchmiała.

– Czas spędzony z tobą sprawił mi o wiele większą przyjemność, niż się spodziewałem, Najwyższa Światłowładczyni Greenveil. Jesteś piękna, inteligentna i dziksza niż jakakolwiek kobieta, jaką miałem w ciągu wielu lat. Możesz odmówić Androssowi Guile i do diabła z nim, prawda? Sam chciałem mu odmówić raz, może nawet trzy. Jeśli odmówisz, ale zachowasz w tajemnicy moje istnienie, oszczędzę życie dziecka. I sprawię, że twoja śmierć będzie jak najmniej bolesna.

– Mogłabym skłamać.

– Sześcioro twoich dzieci przebywa na Wielkim Jaspisie. Myślisz, że zdołasz zabrać je z wyspy tak, by Andross nie dowiedział się, na którym statku płyną? Bo jeśli skłamiesz, one zginą pierwsze. Potem udam się do Zielonej Przystani i zajmę się twoim kręgiem. Nie zniknie cały, mój zasięg nie jest aż tak wielki ani mój czas nieograniczony. Jednak plaga może zniszczyć życiowy dorobek człowieka w kilka dni.

– Jesteś aż takim rzeźnikiem?

– Jestem świętym wojownikiem. Nie zawsze cieszą mnie otrzymane rozkazy, ale zawsze

je wypełniam – mówił ściszym głosem, ale z przekonaniem.

– Powinam była to dostrzec.

Kiedy była młoda, każdemu, kto starał się o jej względy, przyglądała się z paranoicznym skupieniem. W ostatnich latach mniej uważała. Za dużo podcierwieni, za dużo czasu z wędną urodą.

Nie odpowiedział, nie powiedział jej, że jest bardzo dobry, w tym co robi. Oczywiście, że był. Przesłano by tylko najlepszego.

– Lunna Zielona? – zapytała nagle.

Lunna zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach kilka miesięcy temu.

Skinął głową, przyznając, że to jego robota.

– Dla kogo to zrobiłeś? Dla Guile'a, dla zakonu, czy dla obu?

Pokręcił głową.

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Pomóż mi dojść do boksu porodowego – poprosiła.

Umrze, kucając, jak wcześniej wiele kobiet w jej rodzie.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy ani żadnego innego mężczyzny – odparł Elijah.

To była prawda. Ostatnia nadzieja, jaką miała – że wykorzysta coś ze sztuk walki przeciwko niemu – i tak była idiotyczna, zważywszy na jej stan. Lepiej nie tracić godności osobistej.

Godność. Myślę o godności w drodze do boksów porodowych? Naprawdę się starzeję. Spojrzała na Elijah, który wkładał szary płaszcz. Wyciągnął złotą obrózkę połączoną z łańcuszkami wszytymi wzdłuż kołnierzyka i zapiał go ściśle przy skórze.

– To twoje wyobrażenie o wolności? – zapytała.

– Służę w łańcuchach, żeby inni mogli żyć bez nich – odparł Elijah.

Tyle że to już nie był jej Elijah.

– Pewnego dnia w twoim idealnym świecie? – zapytała.

– Pewnego dnia – przytaknął.

Wstała bez jego pomocy.

– Poczekasz, aż dziecko się urodzi?

– Tak. – Zawahał się i po raz pierwszy się zakłopotał. – Niestety, będę też potrzebował twojego zęba, ale poczekam, aż będzie po wszystkim. Pomyślałem tylko, że... że powinnaś wiedzieć. Trzeci trzonowy z lewej strony jest naprawdę piękny.

– Raczej nie będę go już potrzebować – odparła szczerze zdumiona.

Ulżyło mu, że nie spanikowała ani go nie znieważyła.

– Jak zamierzasz pozostać ukry...? Och – wyrwało jej się, kiedy otulił się płaszczem.

Po materiale przebiegła migocząca fala i Elijah zniknął. Cały zlał się w jedno ze ścianą

za nim, z wyjątkiem jasnych, jakże jasnych bursztynowych oczu, które wyglądały, jakby wisiały w przestrzeni. Otworzyła oczy na podczerwień i ujrzała go. Sprytnie, jakiś płaszcz wędrowca mgieł rodem z opowieści. Zatem w taki sposób zamierzał zostać w pokoju, do którego mężczyznom zakazano wstępu. W taki sposób zamierzał dowiedzieć się, czy dopełni umowy.

Jakaś część jej osoby oburzała się, że jej morderca będzie ją obserwował w tak intymnych chwilach, chwilach, które powinny być dzielone tylko z innymi kobietami. Ale ta część była mała i zmęczona. Arys cierpiała i wystarczało jej, że ból wreszcie się skończy. Nie tylko ból porodu, ale też ból ponownego zdrowienia, popękanych sutków i bezsennych nocy – Greenveilowie nie porzucili dawnych zwyczajów, sami zajmowali się potomstwem, bez mamek, bez zrzucania przyjemności i bólu rodzicielstwa na innych. O korzenie rodzinne trzeba dbać, jeśli mają kiedyś wydać więcej owoców. Była obolała od krzesania i pragnienia krzesania. Przy każdej ciąży coraz trudniej jej było przestać i czuła, że uścisk podczerwieni podwaja siłę, kiedy do niej powracała. Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma. Zakładała, że dwa lata. Pochlebiała sobie.

Jednakże tchórzostwo i zdrada były niemożliwe. Złapał ją kolejny skurcz, a kiedy minął, wiedziała, że jest skłonna zgodzić się, by to był koniec. Zostało jej sił tylko na jedną jeszcze walkę. Ostatnią, cenną walkę, której celem nie było zabicie. Będzie walczyła z własnym ciałem, żeby wypchnąć jeszcze jedno dziecko na światło, potem odłoży swoje brzemię i zaufany krąg, który stworzyła, żeby sam się sobą zajął.

Sięgnęła po dzwonek, by wezwać niewolnice.

– Niech cię dosięgnie moje przekleństwo, Morderco Sharp.

– A ciebie moje błogosławieństwo, Arys. Zrobię to bezboleśnie.

– Powiedz Androssowi Guile, żeby się walił.

Zadzwoiła.

ROZDZIAŁ 32

To ma być teraz moje życie? Spotkania, szpiegowanie, słuchanie i pozerstwo? Ciosy w plecy, którymi kiedyś jako Czarnogwardzistka Karris musiała się martwić, to były prawdziwe ciosy. Tutaj nigdy nie widziało się krwi.

Chociaż, jeśli miała być uczciwa, metaforyczny cios w plecy tutaj mógł doprowadzić do prawdziwej śmierci tysięcy, a nie tylko jednej osoby. To dodawało trochę wagi szermierce słownej, prawda? Zwłaszcza kiedy Karris rozejrzała się po komnacie Spektrum i nie była pod szczególnym wrażeniem tego, co zobaczyła.

Kolory powinny być wybierane przez satrapów ze względu na swoją doskonałość i pobożność. Tak naprawdę, jak w przypadku każdej pozycji związanej z wielką władzą, było to o wiele bardziej skomplikowane. Rodzinne lojalności, zwyczajne łapówki, a nawet błędy rywalizujących rodzin mogły doprowadzić do wyboru Klytosa Niebieskiego. I zależnie od siły satrapy bądź satrapki wybierającej Kolor, mógł być on marionetką, reprezentantem, delegatem albo kimś znajdującym się całkowicie poza kontrolą.

Nie zawsze tak było. Satrapowie byli kiedyś prawdziwymi królami, a Spektrum musiało zwlekać tygodniami albo miesiącami z głosowaniem nad najprostszymi kwestiami, ponieważ Kolory czekały na rozkazy satrapów. Kolejne Biele, Pryzmaci i Kolory współpracowały – zjednoczeni w tej kwestii – by skupić władzę tutaj, w Chromerii i w tej właśnie sali.

A mimo to, Karris nadal to nudziło. Nuda jest niebezpieczna. Czarnogwardzista to wie. Nuda sprawia, że stajesz się niedbały, nieostrożny i ostatecznie martwy. Nie można być niedbałym przy Androssie Guile. Nadal czekali na przybycie kilku Kolorów. Andross zwołał to posiedzenie. Karris przyglądała się jego postaci po drugiej stronie stołu.

Coś się w nim zmieniło. Coś się zmieniło w ciągu ostatnich tygodni. W czasie służby w Czarnej Gwardii Karris zawsze rozpoznawała potencjalne zagrożenie dzięki intuicji. Szkolenie nauczyło ją odczytywać odczucia płynące z trzewi, dostrzegać nie tylko ogólne zagrożenie, ale też zauważać, że dany człowiek się poci, jest podenerwowany, nie zwraca uwagi na otoczenie. Od bitwy o Ru Karris coraz bardziej czuła, że Andross Guile stanowi zagrożenie.

Lekceważyła to, tłumacząc nadmiernym przeczuleniem, paranoją, nienawiścią. Teraz, kiedy wyszła za jego krnąbrnego syna, któremu Andross przeciwstawiał się od prawie

dwóch dekad, miał więcej powodów, żeby jej nienawidzić. Istniało co najmniej tysiąc, żeby uznać Androssa za zagrożenie. Dlaczego jednak teraz widziała go jako zagrożenie, które pobudzało intuicję Czarnogwardzistki?

Andross zawsze był zagrożeniem, zawsze miał władzę. Jednak od lat jego siła nie była fizyczna. A teraz... coś się zmieniło.

Przestał się garbić. Właściwie to przestał się garbić zaraz po Ru, prawda? Sprawiał wrażenie silniejszego, odzyskał szerokość ramion typową dla Guile'ów, może dlatego, że się wyprostował, może nabrał trochę muskulatury, a może... to było coś gorszego. Chodził szybciej. Dlaczego? Był starszy. Stracił ostatniego syna. Jeśli już, to każdy normalny człowiek byłby osłabiony czymś takim, to by go przybliżyło do grobu. Jednak nie Androssa Guile.

Niech się Orholam zmiłuje, stał się czerwonym kolorakiem. Tuż pod ich nosem. Był agresywny i samowolny od tak dawna, że nikt nie zauważył przemiany. Przemiany Czerwieni w czerwonego koloraka.

Karris zaparło dech. Znała koloraki. Polowała na nie razem z Gavinem. Niektórzy potrafili utrzymać pozór normalności przez wiele miesięcy. Byli chodzącym bluźnierstwem, ale potrafili mówić o Orholamie. Mogli ukryć niemal wszystko oprócz oczu.

A Andross Guile ukrywał oczy od lat. Odcinał się od światła, odcinał się od pokusy, jak mawiał. A co, jeśli tak naprawdę odcinał wszystkich od odkrycia, czym jest w rzeczywistości?

Karris nieświadomie sięgnęła do biodra, ale nie miała tam jatagana ani też bichhwy przy drugim boku. Własny oddech zabrzmiał chrapliwie w jej uszach, kiedy puls przyśpieszył i w żyłach zaczęły krążyć hormony walki. Andross to zauważył, spojrz raz na jej twarz i będzie wiedział.

Rzeczywiście jego okulary różniły się od czarnych szkieł, które nosił przed Ru. Te były tylko ciemne. Nie był już ślepy. Nie musiał, bo nie bał się pokusy krzesania – już się jej poddał.

I teraz jej racjonalny umysł wychwytywał szczegóły, które powinna była wcześniej zauważyć – Andross patrzył wprost na ludzi, zauważał szczegóły, których nie powinien widzieć, gdyby czarne szkła go oślepiały. Błędy, niedbałe błędy jak na człowieka skrywającego sekret. Może jednak zrozumiałe w przypadku czerwonego koloraka. Ten typ nie sływał z dyskrecji.

Jakaś część Karris była przerażona, ale inna się cieszyła. Jeśli był kolorakiem, można było go zdemaskować. Zdemaskowany zostałby natychmiast Uwolniony i nieważne czy jest Kolorem, czy nie. Byłoby po nim. Dobry Orholamie, wreszcie by się go pozbyła.

Wiedziała, że lepszą kobietę smuciłaby utrata teścia z powodu gwałtownej śmierci,

zwłaszcza kiedy poddał się szaleństwu i bluźnierstwu, zamiast zdecydować się na godne odejście. Karris nie była taką kobietą. Pragnęła śmierci Androssa Guile. Bardzo, bardzo, bardzo. A jeśli przy okazji okryłby się hańbą i został potępiony, tym lepiej.

Kiedy weszła Delara Pomarańczowa, cuchnąc brandy, Karris zaczęła knuć, jak zdemaskować Androssa i skąd mogłaby wcześniej zdobyć broń. Zdemaskowane koloraki często były piorunująco szybkie w swojej reakcji, a ludzie stawiający im czoło, często myślący, że to nadal ktoś, kogo kochają, okazywali się tragicznie powolni. Nawet Czarnogwardziści.

I to Czarnogwardziści jako jedyni mieli broń w tej sali.

Może więc odpowiedzią była magia. Powinna obserwować skórę Androssa, ale ten przebiegły stary cap był zasłonięty od stóp do głów, nawet nosił rękawiczki.

Wobec tego dowód.

Karris przysięgła nie krzesać, ale nie zamierzała dopełnić przyrzeczenia, dzięki któremu powinna dłużej żyć, gdyby to miało skazać ją na śmierć. Zastanawiała się, czy zdołałaby napełnić się zielonym luksynem tak, by żaden z pozostałych krzesicieli i Czarnogwardzistów niczego nie zauważył. Ze wszystkich ludzi na świecie przed tymi byłoby to najtrudniejsze do ukrycia.

A jednak nie miała wyjścia.

Karris pochyliła się, opierając łokcie na blacie, odsuwając krzesło do tyłu, w nad wyraz niestosownej dla damy, ale pełnej zadumy pozie. Przyglądała się poszczególnym osobom przy stole, ale to było tylko na pokaz. Nie myślała, miała nadzieję.

Biel wjechała powoli i sprawiała wrażenie wymizerowanej i pokonanej. Karris usiadła prosto, jakby zdała sobie sprawę, że blokuje krzesłem przejazd fotela na kółkach, i wstała, potrącając młodego Czarnogwardzistę Gavina Greylinga. Przeprosiła, a potem usiadła, wsuwając do kieszeni podkradziony sztylet.

Sztylet przeciwko czerwonemu kolorakowi. Nie na takie szanse liczyła, ale lepiej mieć zabezpieczenie, gdyby nie zdołała krzesać przed jego atakiem.

– Zanim przejdziemy do porządku dziennego – odezwała się Biel – obawiam się, że mam smutne wieści. Nasza przyjaciółka i towarzyska Arys Greenveil zmarła podczas porodu tego popołudnia.

– Niech Orholam się zlituje – powiedziała Oranz. Uniosła rękę do ust.

– Nie, nie, nie – zaprotestowała Jia Tolver. Była kuzynką Podczerwieni.

– Co się stało? – zapytał Andross Guile.

Biel pokręciła głową.

– Konsyliarze powiedzieli, że sprawiała wrażenie niezwykle spiętej. Wiedziała, że coś jest nie tak, ale nic nie powiedziała. Przejmowała się tylko dzieckiem. Ben – Oni nazwała

go, Syn mojej Męki. Gdy usłyszała pierwszy krzyk, objęła go, spojrzała w dal i straciła przytomność. Nigdy się nie obudziła.

– Niech ją diabli – powiedziała Delara Pomarańczowa z niekłamanym żalem. – Mówiłam jej, że nie może wiecznie rodzić dzieci.

– Wszyscy służymy najlepiej, jak potrafimy – odezwał się cicho Andross.

To miały być słowa pociechy i przez chwilę Karris mu wierzyła. Zapomniała, że zanim stał się pająkiem, był człowiekiem wielkiej charyzmy, niemal tak wielkiej jak jego syna.

Spojrzała na niego w zamyśleniu. Czy czerwony kolorak utrzymałby takie pozory? Może żal to także uczucie pełne pasji.

Spektrum przyłączyło się do modlitwy Bieli za zmarłą, a Karris znalazła pewną pociechę we wznoszących się i opadających intonacjach. Zmarła w czasie porodu. Przypomniła sobie, jak sama rodziła. Ból. Myślała, że umiera. Przez chwilę chciała umrzeć. A potem zdała sobie sprawę, że nie nienawidzi siebie, tylko własnej słabości. Wróciła, znalazła odnowę, wstąpiła do Czarnej Gwardii, stała się odważna.

A jednak uciekła od tamtego dziecka. Nadal uciekała. Wciąż robiło jej się niedobrze na samą myśl o nim. Nie powiedziała o nim Gavinowi, kiedy wyjawiał jej wszystkie swoje wstydlive sekrety. Odślonił przed nią gardło, a ona obejmowała go i słuchała, jakby sama była czysta.

Jej dziecko, jej syn, bo przypadkiem wyjawiono jej płeć dziecka, chociaż błagała, żeby tego nie robiono, przebywał gdzieś tam, głęboko w lasach Krwawej Puszczy, na drodze armii koloraków. Wszystko wywróciło jej się w żołądku.

Nie możesz wiecznie uciekać, Karris.

– Przykro mi, że zakłócam waszą żałobę – odezwał się wreszcie Andross Guile, kiedy skończyły się modlitwy – ale jak wszyscy wiecie, obecny kryzys nie daje nam chwili wytchnienia, niezależnie od tego jak bardzo go potrzebujemy.

– Och, do kurwy nędzy – zachnęła się Delara – mów, czego chcesz.

Karris chwyciła sztylet w kieszeni. Czerwony kolorak, któremu tak grubiańsko się przeciwstawiono? Beczko prochu, poznaj iskierki. Jednakże...

Andross Guile uśmiechnął się smutno.

– Delaro, wybac mi – powiedział. – Byłem dla ciebie niegrzeczny. Nieczuły. Tak wiele musiałaś znieść w ostatnich miesiącach, a ja zwiększyłem twoje brzemię, nie umniejszyłem. Proszę o wybaczenie.

W pierwszej chwili Karris myślała, że sobie kpi, że to drwina, sarkazm wygłoszony ze śmiertelnie poważną twarzą. Jednak jego gesty były łagodzące, ton szczery.

Ktoś odchylił się w krześle, a kiedy zatrzeszczało, dźwięk rozległ się w sali jak wystrzał z muszkietu.

Andross Guile spuścił wzrok jakby zawstydzony.

– Ostatnie lata były dla mnie ciężkie. Widziałem, jak słabną moje moce. Przestałem krzesać, żeby zachować jasność umysłu, i to było dla mnie jak odcięcie się od majestatu Orholama. Żyłem w ciemności. Fizyczna ciemność przyprawiała mnie o mdłości i stała się też ciemnością moralną. Myślałem tylko o sobie. Źle was traktowałem, Kolory, znęcałem się nad najbliższymi, moim ostatnim żywym synem i żoną. Teraz odebrano mi ich oboje. Moja żona wybrała Uwolnienie wbrew moim życzeniom. Wymknęła się, ponieważ słusznie obawiała się, że nie udzielę jej pozwolenia. Kiedy w końcu straciłem syna... – Urwał, głos mu się załamał.

Uniósł głowę i zwrócił skrytą za okularami twarz w stronę Bieli.

– My dwoje ścieraliśmy się od lat – odezwał się ze smutkiem. – i przez lata opierałem się twojej mądrości. Przez lata stałem na samej krawędzi halo. Zacząłem nosić rękawiczki, czarne okulary, nie tylko, żeby osłonić się przed światłem, ale żeby osłonić się przed waszym wzrokiem. Byście nie widzieli, jak blisko ognia stoję. – Westchnął ciężko, a Karris zacisnęła dłoń na sztylcie, zastanawiając się, kiedy Andross zerwie się z krzesła i zacznie zabijać.

– Nadszedł czas – powiedział – ujawnić prawdę.

Karris usiadła szerzej, stawiając stopy po obu stronach krzesła, by móc skoczyć.

Andross zaczął zdejmować długie rękawiczki.

– W czasie naszego ostatniego posiedzenia, wstyd mi przyznać, ale byłem o krok od załamania i kiedy modliliśmy się o cud, miałem jedynie ziarnko gorzycy wiary w to, że Orholam może coś dla nas zrobić. Dla mnie. – Podniósł wzrok, a w każdej rysie jego twarzy malowało się przejęcie. – Ale oto jestem tu, żeby powiedzieć wam dzisiaj, że Orholam jest potężny. Jest dobry. Zasnąłem podczas modlitwy, wierząc, że nic nie może mnie ocalić, gotowy do samobójstwa po przebudzeniu. Spałem. Śniłem. W moim śnie Orholam powiedział mi, że chociaż jestem stary i słaby, on jest silniejszy niż moja słabość. Urasta w mojej słabości. Jest potężny i może zbawić. My jesteśmy glinianymi naczyniami, ale możemy służyć mu, a on wyposaży nas tak, byśmy mu służyli wedle jego woli. – Andross zdjął rękawiczki i rzucił je na stół. Odrzucił kaptur. – Modliłem się, spałem, śniłem, słyszałem i zostałem odnowiony. – Rozpiął płaszcz i zrzucił go na krzesło, a potem zdjął ciemne okulary i upuścił na stół.

Karris wiedziała, że Andross Guile jest po sześćdziesiątce – wiedząc, że umrą młodo, krzesiciele zwykle wcześniej zawierają małżeństwa i płodzą dzieci najszybciej jak się da – ale w jej umyśle musiał mieć co najmniej dziewięćdziesiąt lat. Był stary, niedołężny, jedną nogą w grobie.

Jednakże ten Andross Guile nie był tym, którego znała. Wypuściła skradziony sztylet z

bezwładnych palców.

Andross Guile był odziany w czerwoną jak luksyn tunikę zdobioną złotym brokatem, która podkreślała szerokość jego ramion i siłę prostych pleców. Niegdyś rzadkie włosy ścięto krótko, umyto i uczesano. Jego skóra sprawiała wrażenie młodej, napiętej tam, gdzie kiedyś była luźna i zwiotczała. Jednak żadna z tych rzeczy nie była prawdziwym dziwem. Położył dłonie na stole i obrócił.

Ani wewnątrz ani grzbiet dłoni nie były splamione czerwonym luksynem. A kiedy spojrział na każdy Kolor po kolei i na końcu na Karris, ujrzała prawdziwy cud: halo nie sięgało mu nawet do połowy tęczęwek. Wyglądał jak człowiek, który miał co najmniej dziesięć lat krzesania w oczach.

To było niemożliwe. To musiał być urok, widziadło pomarańczowej magii.

– Dotknijcie mnie – zachęcał. – Patrzcie i zobaczcie. Delaro, czy to urok?

– N-nie – wydukała.

Najwyraźniej nie była zdolna powiedzieć nic więcej.

Jia Tolver rzeczywiście dotknęła Androssa. Dotknęła jego dłoni i ręki, nie kryjąc zdumienia. Pozostali nie potrzebowali takiego dowodu.

– Orholam niech będzie pochwalony – powiedział Klytos i o ile nic z tego, co Andross zrobił czy powiedział w ciągu ostatnich minut, nie sprawiało wrażenia wyrachowanego, to inwokacja Klytosa z pewnością była.

Karris natychmiast wróciła do rzeczywistości. Andross Guile, cokolwiek mu się przydarzyło, nadal był Androssem Guile. Nie powinna odkładać na bok rozsądku, tylko dlatego że stało się coś niemożliwego. To był Guile; w przypadku tej przeklętej rodziny rzeczy niemożliwe były na porządku dziennym.

Oczywiście, teraz i ja jestem częścią rodziny Guile. Niech to diabli.

Andross pozwolił, żeby milczenie się przeciągało, aż miało się wrażenie, że zaraz ktoś je wypełni, i wtedy powiedział:

– Orholam powierzył mi zadanie i wyposażył mnie do wypełnienia go. Dzisiaj proszę Spektrum, żeby zgodziło się z jego wolą. Zdławię herezję, tego bluźnierczego Księcia Barw, a żeby to uczynić, muszę być promachosem.

To było nieco pośpieszne, ale może Andross Guile nie widział żadnych korzyści w czekaniu.

– Nominuję Androssa Guile promachosem – oznajmił Klytos Niebieski.

– Popieram swoją nominację – dodał Andross.

– Trzymajmy się porządku obrad! – zaprotestowała Delara. – Czy mamy kworum? Zielen odeszła i jeszcze nie wyznaczono jej zastępstwa, Pryzmat zaginął, a Arys jeszcze nawet nie pochowano.

– Wybór promachosa wymaga poparcia większości obecnie służących Kolorów – powiedział Andross.

Carver Czarny pokiwał głową, potwierdzając słuszność uwagi. Wszyscy przy stole szybko policzyli, co to oznacza. Czerń nie miał prawa głosu. Biel głosowała tylko w wypadku remis. Skoro Podczerwień nie żyła i nie wyznaczono jeszcze jej następcy, a Gavin przepadł wraz z głosem, jaki miał jako reprezentant wypędzonych Tyrejczyków, którzy przenieśli się na Wyspę Jasnowidzów, większość oznaczała, że wystarczą tylko trzy głosy z pięciu.

– To trudna przeszkoda – mówił dalej Andross – jestem pewien, ale Orholam dał nam sposób, żeby mimo to przeć naprzód. Wszyscy znacie mnie od lat i znacie Orholama, wiecie, jak on działa. Wszyscy znacie kryzys przed nami. Nie widzę potrzeby dalszego zastanawiania się. Zgłaszam wniosek.

Klytos głosował za, rzecz jasna. Andross głosował za, mówiąc, że wstrzymanie się byłoby fałszywą skromnością. Została Jia Tolver Żółta i Delara Pomarańczowa. Potrzebował tylko jednej z nich. Jeśli straci je obie, głosować będzie Biel.

– Głosuję przeciw – oznajmiła Delara Pomarańczowa, krzyżując ręce. – Robiłeś ze mnie idiotkę przez ostatnie...

– Nie czas teraz na przemowy – warknął Andross. – Czas na głosowanie. Jia?

Jia skrzywiła się, jej pojedyncza brew wiła się, kiedy przez jej twarz przepływał tuzin różnych emocji.

– Nie mogę stać na drodze Orholama. Odkładając na bok nasze osobiste różnice, dla mnie to najprawdziwszy cud. Głosuję za.

Wszyscy wokół stołu odetchnęli.

– Głosy za zamykają kwestię – oznajmiła Biel. Jej ton i twarz pozostały nieprzeniknione. – Przyjmiemy przysięgi związane z urzędem jutro w sali głównej. Zgadzasz się, promachosie elekcie?

– Więcej niż zgadzam, najszlachetniejsza pani. – Andross Guile się uśmiechnął.

Nawet nie próbował ukrywać swojego triumfu.

Zamknięto posiedzenie. Karris wstała i wyszła z sali. Oddała sztylet z powrotem zdumionemu Gavinowi Greylingowi, kiedy ten wyszedł na korytarz, ale żartobliwa reprimenda zamarła na jej ustach, gdy zobaczyła znajomą postać drepczącą jak kaczka korytarzem.

– Caelia? – zapytała.

Mała kobieta była prawą ręką Trzeciego Oka na Wyspie Jasnowidzów i stała się niezastąpioną pomocą dla generała Danavisa, teraz satrapy Danavisa, we władaniu wyspą, którą Gavin uczynił nową satrapią.

– Co tu robisz...? O, nie.

Caelia była nie tylko bystra, ale była też krzesicielką.

– Dla ciebie jestem Caelia Zielona wyznaczona przez satrapę Tyrei Corvana Danavisa – powiedziała kobieta z szerokim uśmiechem. – Łódź dopłynęła dopiero kilka godzin temu. Byłabym tu szybciej, ale doszło do jakiegoś zamieszania w porcie. Przegapiłam coś ważnego?

To dlatego Andross tak się śpieszył. Dowiedział się, że przybywa głos sprzeciwu. Jeden głos zniweczyłby jego plany. Zamieszanie w porcie? Ludzie Androssa zatrzymali Caelię na czas posiedzenia Spektrum.

Wystarczyłyby trzy minuty, a historia potoczyłaby się innym torem.

ROZDZIAŁ 33

Pójście do biblioteki po tym wszystkim, co mu się przydarzyło od ostatniej wizyty, było przedziwne.

Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak przed wyjazdem Kipa. Mijał stoły do nauki z wyciętymi w blatach dziurami na kałamarze, dzięki czemu atrament nie mógł się rozlać. Mijał kolejne alejki z książkami, rozplanowane zgodnie z kołowym planem biblioteki i z lekko zakrzywionymi regałami. To była tylko jedna z wielu bibliotek na Małym Jaspisie, ale do tej mieli dostęp nawet dyscypułowie z pierwszego roku, więc tu spędzał większość czasu.

Ogarnęła go nostalgia. Podeszedł do jednego z biurk. Siedział tam zgarbiony młody uczoney, krótkowidz.

– Przepraszam – powiedział Kip – szukam Rei Siluz.

Ta miła bibliotekarka pomogła mu w nauce kart. I to ona skierowała go do Janus Borig, Lustra.

– Yhm – mruknął młody człowiek.

Wrócił do pracy. Miał stos książek i notatek, w które się zagłębił.

– Ej, pytałem...

– Nie ma żadnych książek na temat Rei Siluz. Jeśli masz z tym problem, zgłoś go Urzędowi Doktryny.

– Hę? – zdumiał się Kip. – Nie szukam książek na jej temat, tylko jej samej. Wysoka, chuda, pociągła twarz i ciemne włosy? Zwykle pracuje na późną zmianę?

– Powiedz Timaeusowi, że to bardzo zabawne, mam nadzieję, że jego traktat gnije u recenzenta.

– Nie znam nikogo, kto nazywa się T...

– Cisza! – Bibliotekarz wrócił do pracy.

Kip się poddał. Może ktoś z późniejszej zmiany będzie ją znał. Jednak było to dziwne.

– Potrzebuję dostępu do biblioteki na górze – powiedział.

– Na którym roku jesteś? – zapytał poirytowany bibliotekarz.

– Jestem kadetem Czarnej Gwardii.

– Udowodnij.

– No to podejdź tu – odpowiedział Kip. Ujął pięść w drugą dłoń.

Mężczyzna nie dał się zastraszyć.

– Za zaczepianie bibliotekarza grozi zakaz wstępu do wszystkich bibliotek przez rok.

Karty rozłożyły się w dłoni Kipa: Ram, dręczyciel słabszych. „Rok? To nie brzmi tak źle”.

Trochę patrzenia z góry, odrobinę groźby przemocy. Weź trochę słabości fizycznej tego młodego człowieka i wepnij mu ją w nos jak w psią kupę. Ram spryciarz. „Rok? W czasie wojny? Kiedy ja, jako Czarnogwardzista, mogę potrzebować tej wiedzy do walki? Wątpię”.

Lord Ram: „Jestem Guile. Myślisz, że ktokolwiek ukaze Guile’a za złamanie ci nosa? Zrzuciłbym cię z balkonu i nikt nie powiedziałby słowa”.

Naprawdę rozważał zagranie każdą z tych kart z osobna albo wszystkimi naraz. Przerwał, zde gustowany.

Przeszedłem długą drogę z Rehtonu, co? Od bezsilnego cherlaka do okrutnika z własnymi niewolnikami. Wiedział od dawna, że się zmienia, ale żeby aż tak? Czy takim człowiekiem chciał być?

– Przepraszam – powiedział. – To był żart, w dodatku kiepski, niegodny mnie i nie w porządku wobec ciebie. Proszę o wybaczenie.

Bibliotekarz spojrzał na niego, jakby przepraszający Czarnogwardzista był najdziwniejszą rzeczą, jaką w życiu zobaczył.

– Nie ma sprawy – odparł. – Nazwisko? – zapytał, szukając w stosie listy.

– Kip Guile.

Bibliotekarz zakaszłał.

– Bogob... ehm! – Przekładał chwilę papiery. Przestał. – Może pan iść prosto na górę, panie Guile.

Kip nie ucieszył się. Bogobójca. Kolejne brzemię, kolejne oczekiwania, jakby, skoro raz tego dokonał, to z pewnością zrobi to znowu.

– Ehm, jedno pytanie. – Posłał rozgoryczony, czarujący uśmiech. – Mógłbym pójść na górę bez pytania?

– Oczywiście, ale kiedy przyłapie się w tych bibliotekach kogoś, komu nie wolno tam przebywać, kary są surowe. Choć nie strzeżemy drzwi ani nic takiego. W końcu to książki.

Stary, dobry Kip – gotowy wyłamywać drzwi, które stoją otwarte.

Pierwszą osobą, jaką zobaczył w zakazanej bibliotece, był dowódca Żelazna Pięść. Co?

– Dowódco! Wspaniale pana widzieć! – ucieszył się Kip. – Byłem dość onieśmielony ideą biblioteki z ograniczonym dostępem...

Dowódca spojrzał ostro.

– Pracuję, Łamacz.

– Nad czym? – zapytał gorliwie Kip.

– Łamacz, zajmij się sobą.

Kip wyciągnął szyję, żeby zobaczyć tytuł i przeczytał na głos:

– „Matki królów: niekonwencjonalne badanie abornejskich rodowodów”? O czym to? A te pozostałe?

– Jak myślisz, jak daleko możesz dobiec w dwadzieścia cztery godziny? – zapytał beznamiętnie Żelazna Pięść.

Słabe światełko zakwitło w maleńkim, bardzo maleńkim mózdzku Kipa: „Ostrzeżenie, głupku”.

– Tak jest, sir! – powiedział i wycofał się, zanim usłyszał coś więcej, bo oznaczałoby to tylko ból.

Podszedł do biurka, gdzie studiował kolejny luksjat, jakieś pięć, sześć lat od niego starszy.

– Przepraszam, możesz mi powiedzieć, gdzie stoją genealogie?

Młody luksjat podniósł wzrok. Jego oczy zabłysły poczuciem winy, jakby czytał coś, czego nie powinien. Jednakże książkę napisano w języku, którego Kip nie znał, więc nie miał pojęcia, co to takiego. Młody luksjat skrzywił się i powiedział:

– Minałeś te regały. To tam, gdzie siedzi wielki Czarnogwardzista.

Wielki Czarnogwardzista? Dowódca Żelazna Pięść zdobył zasłużoną sławę. Ludzie na Wielkim Jaspisie zatrzymywali się i gapili na niego, nie tylko dlatego, że był ogromny i przystojny.

Jednakże Chromeria to ogromna społeczność i dla niektórych znani ludzie byli uczonymi i luksjatami – ludźmi, z którymi Kip prawie nie miał styczności. Młody człowiek byłby pewnie oszołomiony, że Kip nie potrafi rozpoznać sześciu Najwyższych Luksjatów, tak jak Kip był zaszokowany faktem, że ten młodzieniec nie znał Żelaznej Pięści. To był mały zastrzyk pokory.

Zwykle potrzebuję, żeby dostarczono mi ich bardziej bezpośrednio.

W każdym razie, chociaż Kip naprawdę chciał poznać genealogie i historie rodzin (Ile czasu i krwi stracił, żeby dotrzeć do nich? To był pierwszy powód, żeby dołączyć do Czarnej Gwardii!), nie mógł pójść i usiąść obok Żelaznej Pięści. Nie teraz.

– Czarne karty – powiedział ku własnemu zaskoczeniu.

Po prostu mu się wyrwało.

Młody luksjat spojrział na niego. Robił wrażenie znajomego, ale pewnie wszyscy luksjaci wyglądali tak samo w tych durnych szatach.

– To znaczy, heretyckie talie – sprostował Kip.

Pogrąžas się głębiej i głębiej, Kip.

– Ach, wy, młodzi. Otrzymujecie dostęp wcześniej niż inni, a mimo to chcecie jeszcze więcej. – Młody luksjat pokręcił głową. – Te książki znajdują się w bibliotece, do której

dostęp jest ograniczony.

– Myślałem, że to jest ta biblioteka – powiedział Kip. – Nieprawda?

– Myślisz, że jest tylko jedna?

– Do tej pory tak właśnie myślałem.

– Jesteś bystrzejszy niż na to wyglądasz.

– Hę?

– Ale najwyraźniej niewiele bardziej. – Luksjat zamknął książkę. Nadal sprawiał wrażenie spiętego. – Przepraszam. Słuchaj, jesteś kadetem Czarnej Gwardii, widzę przecież. To nie daje ci dostępu do wszystkiego. Materiały na temat herezji i zakazanej magii są zakazane dla wszystkich z wyjątkiem Kolorów i tych, którzy otrzymali specjalne pozwolenie. Czarne karty są czarne, bo są heretyckie, a zatem...

– A zatem książki na ich temat znajdują się w dziale poświęconym herezji.

– W zakazanych bibliotekach, ale byłeś blisko.

Kip widział, że w ten sposób nigdzie nie zajdzie. Kolejne pozwolenia? Dopiero co rozmawiał z Bielą. Mógł ją poprosić. Ona przynajmniej zrozumiałaby jego zainteresowanie czarnymi kartami, ale to nie dawało mu gwarancji, że uznałaby, że powinien mieć do nich dostęp. Zresztą, co on tu robił? Próbował wygrzebać skandale, które zniszczyłyby Klytosa Niebieskiego? Kto wiedział, czy ojciec nadal tego potrzebuje? Za późno, Kip. Znowu.

Gavin znajdował się na pirackim statku. Bez wątpienia piraci dobrze go traktowali, w końcu był Pryzmatem, chociaż Kip domyślał się, że pewnie trzymają go w przepasce na oczy albo w czymś podobnym, żeby uniemożliwić mu rozerwanie ich na strzępy za pomocą magii. Mimo wszystko, kto wie, kiedy on wróci?

– Jak się nazywasz? – zapytał Kip.

– Quentin. Przepraszam. Quentin Naheed.

Nerwowy typ ten Quentin. Najwyraźniej nie umiał Kipowi spojrzeć w oczy. Ach, ci uczeni.

– Miło cię poznać, Quentin. Jak mam udowodnić, że mam pozwolenie? – zapytał Kip.

– Zamierzasz po prostu załatwić sobie pozwolenie? – zapytał Quentin, uśmiechając się, jakby uważał, że to słodkie, że zdaniem Kipa będzie to takie łatwe.

Kip nie odpowiedział. Nie podobało mu się, kiedy ktoś uśmiechał się do niego z wyższością.

Quentin pokręcił głową i poddał się.

– Chwileczkę.

Podszedł do biurka jednego z bibliotekarzy i pogrzebał w szufladzie, zagadując siedzącą tam kobietę. Wrócił i wręczył Kipowi mały kwadracik czerwonego pergaminu.

Kip szybko wypełnił stosowne rubryczki i podszedł do dowódcy Żelaznej Pięści,

odprowadzany wzrokiem zdumionego Quentina.

– Może pan to dla mnie podpisać, sir?

Wręczył mu pióro już zanurzone w atramencie.

– Łamacz, wiesz, na ile sposobów mogę cię okaleczyć tym piórem?

– Nie, sir.

– A chcesz się dowiedzieć?

– Tylko, jeśli to będzie rozprawa czysto teoretyczna, a nie wiedza eksperymentalna.

Kącik ust Żelaznej Pięści drgnął, ale pewnie Kipowi tylko się wydawało.

– A potem znikniesz – powiedział dowódca.

To nie było pytanie.

– Błyskawicznie, sir.

Żelazna Pięść podpisał papier, prawie na niego nie zerkając.

– Łamaczu, szczęście sprzyja odważnym, ale... nie próbuj więcej ze mną odważnych zagrywek.

– Tak jest, sir.

Kip poszedł po swoje rzeczy i zapytał, jak dojść do zakazanych bibliotek. Quentin wyjaśnił, zdumiony tym, jak szybko Kip uzyskał zezwolenie.

– Ej, ehm, Quentin, dzięki. Bardzo mi pomogłeś.

– Rety... Nie mogę uwierzyć, że właśnie...

– Wiem, to niesprawiedliwe. Postaraj się mnie nie nienawidzić. Moja rodzina to banda...

Cóż, mamy lepiej niż na to zasłużyliśmy. Ej, co studiujesz? Mogę wziąć dla ciebie jakąś książkę, która ci pomoże, skoro już tam będę? Nie pozwolę ci jej wynieść z biblioteki, rzecz jasna, więc będę musiał tam być, kiedy będziesz z niej korzystał, ale jeśli mogę jakoś pomóc...

– To brzmi naprawdę niebez... fantastycznie! Naprawdę to doceniam. Studiuję... Studiuję najróżniejsze rzeczy, jestem... wszechstronny. – Zarumienił się. Zerknął na Kipa, zaraz odwrócił wzrok i dodał pośpiesznie: – Przepraszam, pracowałem, żeby wyzbyć się fałszywej skromności, ale to naprawdę... W każdym razie studiuję świętych z pierwszego wieku. Wyuczyłem się na pamięć wszystkiego na temat Albana i Stranga oraz ich komentarze. Rytuałów przejścia z czasów Karris Wroga Cieni. Trochę na temat alternatywnych historii. Oczy ci się szklą. Wyuczenie się na pamięć tych komentarzy budzi zwykle pewien szac... To pięć tomów, nie? Nieważne.

Studiował tego typu rzeczy? Brzmiało to potencjalnie użytecznie.

– A coś nowoczesnego? Czy to za bardzo niebez-fantastyczne? – rzucił kpiąco Kip, dając do zrozumienia, że się droczy.

– Mówiąc nowoczesne, masz na myśli współczesne? – To było prawdziwe pytanie, a

Quentin najwyraźniej zapomniał o zakłopotaniu, kiedy weszli na jego terytorium.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że...

– Przepraszam, pedantyczne rozróżnienie. Struktury trwałych hierarchii plemiennych w Abornei? Współcześni męczennicy? Obawiałem się, że moja ścieżka może doprowadzić mnie do zostania misjonarzem, że nie wspomnę już o zostaniu męczennikiem. Techniki budowy świątyń?

– Pewnie nie znasz się na współczesnych genealogiach? Arystokratycznych rodach obecnych i z czasów Wojny Fałszywego Pryzmata?

-Nie.

– Hm.

Kip uznał, że za wiele się spodziewał. Że niby Orholam podeśle mu dokładnie tego uczonego, który będzie wiedział wszystko, czego Kip potrzebuje się dowiedzieć. Bardziej zaskoczyło go, z jaką łatwością użył nazwy Wojna Fałszywego Pryzmata. W Tyrei, gdzie dorastał, konflikt nazywano Wojną Pryzmatów. Kip nie wybrał nazwy Wojna Fałszywego Pryzmata, żeby się dopasować. To nawet nie był wybór. Chromeria go zmieniała.

– Wydajesz mi się znajomy. Spotkaliśmy się już?

Quentin pokręcił głową, zamrugał, zamarł i nagle znowu się zawstydził. Dziwny chłopak.

– Nie wiem. Możliwe. Nie obraż się, ale nie zwracam szczególnej uwagi na Czarnogwardzistów.

To było zrozumiałe. Kip wątpił, czy spojrzał tak naprawdę jakiemuś luksjatowi w twarz przez cały pobyt w Chromerii. Nagle wpadł na pomysł. Quentin powiedział, że wyuczył się na pamięć ogromnej ilości materiału i najwyraźniej pozwalano mu studiować, co mu się podobało. To było nietypowe, więc musiał mieć znaczne przywileje. Może pod tym względem przypominał Kipa, chociaż pewnie Quentin zapracował sobie na przywileje.

– Powiedz mi, Quentin, pewnie jesteś znany w swoich kręgach, co?

– Nie powiedziałbym „znany”... O, psia kość! Fałszywa skromność. Znowu. – Westchnął.

– W wąskich kręgach, owszem. – Jeszcze raz się zarumienił. – Przepraszam za przeklinanie.

– Jak dużo czasu potrzebowali, żeby wciągnąć cię w swoje rozgrywki polityczne?

– Co? Kto? Przepraszam, nie rozumiem.

– Luksjaci. Ktokolwiek jest twoim przełożonym. – Kip widział, że Quentin doskonale wie o czym mowa.

– Magisterium to ręka Orholama na ziemi. Nie jest tak podporządkowana polityce jak inne instytucje – odparł Quentin.

Nerwowo. Obronnie.

Nadeszła chwila wyboru. Kip Pyskacz albo nie.

– Kłamczuch – powiedział Kip. – Hm. Szkoda. A wydawało mi się, że mógłby być z ciebie przyjaciel. Miłego życia, bracie Naheed.

ROZDZIAŁ 34

Kip nie miał czasu, żeby natychmiast pójść do zakazanej biblioteki, a Karris nadal się z nim nie skontaktowała, więc poszedł na następne zajęcia. Preceptorką była Tawenza Złotooka. Była niesamowicie stara jak na krzesicielkę, miała może około sześćdziesiątki i słynęła jako wyjątkowo ostra nauczycielka. Mówiono, że brała tylko troje dyscypułów rocznie, tylko złotych superchromatów. Kip, rzecz jasna, dołączy do zajęć, chociaż odbywały się już od kilku miesięcy.

Ruszył do żółtej wieży, przeszedł podwieszonym chodnikiem, tylko raz przełykając nerwowo ślinę z powodu wysokości i kilka minut później zjawił się pod drzwiami małej sali wykładowej. Przystanął przed zamkniętymi drzwiami. Wisiała na nich tabliczka: „Zakaz wstępu dla mężczyzn”. Zawahał się. Skrzywił.

Kip Guile, zabija bogów i królów, a boi się zapukać do drzwi.

Ale to zupełnie różne rzeczy. To, jak wejść do damskiej toalety.

Spojrzał na poparzoną lewą rękę, która tak szybko zaciskała mu się w pięść. No, śmiało, moja pięści.

Zapukał, zdecydowanie, lecz delikatnie. Trzy stuknięcia.

Drzwi otworzyły się, nim zapukał trzeci raz.

– Co robisz? – zapytała starsza kobieta o złotych oczach i błyszczącej skórze. Nietrudno było zgadnąć, kim jest.

– Witam, pani preceptor Złotooka. Zauważyłem tabliczkę...

– Ale jej nie przeczytałem? Nie potrafisz czytać. Znikaj.

Pchnęła drzwi.

Kip bez chwili zastanowienia wsunął stopę. Drzwi uderzyły o but i odbiły się od niego. Preceptorka Złotooka już się odwróciła do niego plecami i aż zesztyniała, słysząc odgłos odbicia.

Dwie młode kobiety w sali siedziały, wyciągając szyje, żeby zobaczyć Kipa. Nagle się przeraziły.

– Proszę o wybaczenie – powiedział Kip. – Jestem pani nowym dyscypułem. Uznałem, że tabliczka to pomyłka. Z pewnością miało być tam napisane „Tylko dla superchromatów”.

– No i? – zapytała, odwracając się.

Patrzyła na niego jak na insekta.

Kip zawahał się, nie bardzo wiedząc, co nauczycielka robi.

– Ja jestem superchromatą.

– Superchromata płci męskiej jest jak pies, który potrafi wyszczekać „kocham cię”.

Nowinka, ale nie precedens.

Zatrzasnęła drzwi.

Kip to przełknął. A już zaczął się czuć jak Mały Lord Guile, Któremu Zawsze Się Udaje. Ogólnie rzecz biorąc, pewnie więcej niż zasłużył na tę nauczkę. Poza tym, dzięki temu mógł pójść do zakazanej biblioteki, zanim Andross Guile wymyśli, jak mu to uniemożliwić.

Zdał sobie sprawę, że blokuje drzwi, a niezbyt ładna abornejska dziewczyna około dwudziestki ze słabym żółtym halo w oczach, próbuje go wyminąć. Odsunął się. Kiedy wchodziła do sali, uśmiechnęła się przepraszająco i powiedziała:

– Niektóre rzeczy tylko sam Powiernik Światła doprowadzi do porządku.

Zamknęła za sobą drzwi.

Po kilku minutach Kip znalazł się z powrotem w Wieży Pryzmata i zbliżał się do pomieszczeń, o których powiedział mu Quentin. Bibliotekarz siedział w krześle przed drzwiami i czytał. Wyglądał na ucieszonego na widok czytelnika.

– Och, witam! – powiedział.

Wyjął klucz z kieszeni i wyciągnął rękę.

Kip wręczył mu swój czerwony pergamin.

– Kip Guile? – zapytał bibliotekarz.

Najwyraźniej umiał czytać, więc Kip nie bardzo wiedział, jak rozumieć pytanie dźwięczące w głosie bibliotekarza.

– Zgadza się.

– Byłeś tam. – Bibliotekarza oblizał usta. – On żyje? Naprawdę? Mówią, że żyje, ale niczego innego by nie powiedzieli, prawda? Żeby trzymać nas w nadziei do Dnia Słońca, racja? Pryzmat naprawdę żyje?

– Przysięgam – odpowiedział Kip. – Pomogłem wyciągnąć go z wody. Oddychał. Potrzeba więcej niż paru piratów, żeby skończyć z Gavinem Guile.

Bibliotekarz pokiwał głową z otuchą, z poweselałym obliczem.

– Zgadza się, zgadza. Po tym wszystkim, czego dokonał. – Bibliotekarz skrzywił się, patrząc na czerwony pergamin, i powiedział: – Dziękuję. Chciałbym móc cię wpuścić za samą tę nowinę, ale przykro mi, mój panie. Nowe zasady. Twój dziadek zarządził, że tylko osoby z jego osobistym pisemnym pozwoleniem mogą mieć dostęp do tej specjalnej sekcji.

-Co?

Czy Andross w ogóle miał prawo zrobić coś takiego?

– Rozkaz przyszedł dziś rano, raptem dwie godziny temu.

Dwie godziny temu. Zanim Kip wpadł na swój genialny pomysł wyciągnięcia podpisu od Żelaznej Pięści. Kip nie wiedział, czy ucieszyć się, bo to znaczyło, że szpiedzy dziadka nie są aż tak dobrzy, czy załamać, bo dziadek pokrzyżował mu plany, zanim Kip zdążył je obmyślić.

Mały Lord Guile, Któremu Zawsze Się Udaje, co?

To go zgasiło. Zostało mu pójście na lekcję. To były zajęcia z inżynierii i wykład dotyczył kątów padania, jakości lustrzanej zbroi i refrakcji luksynu. Na tych zajęciach organizowano najlepsze demonstracje. Zbrojmistrzowie i krzesiciele bojowi tłumaczyli, dlaczego ta lustrzana zbroja poradzi sobie z pociskiem z niebieskiego luksynu rzuconym pod określonym kątem, a tamta nie, oraz że utrzymanie zbroi w czystości to jeden z największych problemów, bo przez brud powierzchnia słabiej odbija światło.

Niektórzy Lustrzani Gwardziści – zwykle z elitarnej piechoty jakiegoś satrapy albo zwyczajnie najzamożniejsi – nosili cienutkie bawełniane pokrowce na zbroi, żeby nieustannie pucować ją na najwyższy połysk. Zdejmowali je, idąc do walki, albo i to nie. Przykryta zbroja robi mniejsze wrażenie, jak powiedział jeden z płatnerzy, ale nie ma powodu, by nie pozwolić, żeby atakujący luksyn sam nie przeciął pokrycia. Jednakże większość Lustrzanych Gwardzistów wolała mieć mentalną przewagę nad krzesicielami, jaką zapewniały im ich lustrzane zbroje. Albo co bardziej prawdopodobne – jak przypuszczał Kip – skoro musieli odwalić tak wiele roboty, by lustrzane zbroje błyszczały, to zamierzali się nimi popisywać przy każdej okazji.

Przedstawiono ogólny zarys problemu, a potem omówiono jeden kolor tego dnia: niebieski. Temat miał być kontynuowany i Kip miał nadzieję, że wysłucha całości.

Nagle jednak przestał odbierać zajęcia jako obowiązkowe. Z pewnością nie zamierzał iść na podstawowe lekcje u magister Kadah, a to były jedyne zajęcia, które teoretycznie pozwolono mu opuścić. Jednak za dużo było roboty w związku z nadchodzącą wojną, żeby tracić czas na historie i hagiografie niezwiązane bezpośrednio z walką.

„Wykorzystanie luksynu w sztuce?”. Teraz? Z kogo oni sobie robią jaja?

Poza inżynierami, najwyraźniej wszyscy inni nadal nie uznawali realności wojny, a także tego, że mogą ją przegrać.

Po tym wykładzie Kip poszedł na lunch. Nie spotkał żadnych kadetów Czarnej Gwardii. Większość miała różne rozkłady zajęć, żeby chodzić na wykłady i nadal móc uczestniczyć w ćwiczeniach. Kip zauważył stół wyrzutków, przy którym siedział kilka miesięcy temu. Ich grupa się rozpadła. Teia i Benhadad odeszli, przyłączyli się do większej całości, jaką była Czarna Gwardia. Kip praktycznie nie miał tu swojego miejsca, a dziewczyna ze znamieniem, Tiziri, została odesłana do domu po przegranej Kipa – była stawką w grze w Dziewięć Króli z Androssem Guile. Został tylko Aras.

Chłopak siedział samotnie. Kip zawahał się, a potem podszedł do niego.

Aras podniósł wzrok, zanim Kip usiadł.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał ostro.

– Zamierzałem... coś zjeść – odpowiedział Kip. – Mogę się przy...

– Nie potrzebuję litości.

– Tylko ludzie, którzy potrzebują litości, tak mówią – odparł Kip, a słowa wyrwały mu się z ust, zanim zdążył je powstrzymać.

– Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj.

Kip się poddał. Odszedł, usiadł samotnie i zjadł w milczeniu.

Nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, zszedł na dół. Tego dnia czekał go jeszcze trening Czarnej Gwardii, ale nie mógł znieść beczynnego siedzenia. Pośpiesz się i zacznij mnie trenować, Karris.

Zastał salę treningową ojca niemal w takim samym stanie, w jakim ją zostawił, tyle że trochę zmieniono tor przeszkód. Kipa ciągnęło do drążka do podciągania.

Przed bitwą o Ru ten drążek był codziennym upokorzeniem. Przychodził tu sam, żeby nikt inny nie widział, jaki jest żałosny.

Podskoczył i podciągnął się z łatwością. No dobrze, trochę oszukiwał. Zyskał trochę pędu, podskakując. Podciągnął się drugi raz. I jeszcze cztery. Sześć?

Sześć!

Opadł na ziemię i po raz pierwszy palenie mięśni odebrał jako dowód postępów, a nie karę za porażkę. Owinął ręce i podszedł do starego worka treningowego, włączając światła nadfioletem. Na pół godziny, może godzinę, pograżył się w prostocie uderzania. Pod wpływem żaru ćwiczeń i krytyki wspomnienia kpin wypłynęły na powierzchnię jak kożuch na wodzie, a on wybijał je jedno po drugim. Szydercze żarciki matki, drwiny Rama, rozczarowanie generała Danavisa, gorycz Arasa, cios za ciosem. Od walenia w worek niedbale i z furią przeszedł do beznamiętnej precyzji.

Zaczął też przyswajać zasady mechaniki ciała. Uderzał szybciej, precyzyjniej i mocniej, linie siły biegingy od dobrze opartych stóp, przez biodra i napięty brzuch, żeby rozwijać się jak uderzający bicz, kiedy wbijał pięść w worek. Towarzyszące temu uczucie było... cudowne.

Wysoko na szwie pojawiło się malutkie rozdarcie i Kip fantazjował, że kiedyś uderzy tak mocno, że worek pęknie. Oczywiście nie doszło do tego, ale fantazja sprawiała, że nie przestawał ćwiczyć.

Właśnie skończył i odwijał bandaż z dłoni, kiedy drzwi się uchylły. To była Teia.

– Pomyślałam, że może cię tu znajdę – powiedziała nieśmiało. – Ty wielki durniu, nie będzie z ciebie pożytku na treningu. Pewnie oboje skończymy, biegając. – Skrzywiła się. –

Przepraszam, to źle zabrzmiało.

Kip wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Miło cię widzieć, Teia.

– Wzajemnie. – Zawahała się. – Przykro mi, że mnie tam nie było. Znaczy na pokładzie.

Jesteś moim partnerem i zabrakło mnie, kiedy mnie potrzebowałeś. Czułam się z tym naprawdę paskudnie. A kiedy wróciłeś... ponowne spotkanie nie wypadło zgodnie z moimi nadziejami.

– Co do tego...

– Kip, muszę... muszę zachować pewne sprawy w tajemnicy. Nawet przed tobą. Możesz mi zaufać?

Kiedy Kip myślał o Teii, myślał o drobniutkiej dziewczynie, którą kilka miesięcy temu wziął za chłopca. Młodej, niepewnej niewolnicy, która znalazła się w położeniu przerastającym ją o głowę. Ale i o dziewczynie, która potrafiła dokładnie ocenić każdego z kandydatów do Czarnej Gwardii i określić, że sama jest czwarta w kolejności, a jakimś cudem nie zdawała sobie sprawy, jak doskonale wypada na tle innych w związku z tym i jaka jest bystra, skoro potrafi ocenić innych tak precyzyjnie.

Ta Teia nie była do końca tamtą Teią. Kip zdał sobie sprawę, że kiedy on dorastał i zmieniał się podczas walk i rozprawiając się z dawnymi twierdzeniami na swój temat, które, jak zdał sobie sprawę, były kłamstwami, zakładał jednocześnie, że wszyscy inni się nie zmieniają. To było niemądre założenie.

Teia była drobna, ale nie była dzieckiem. Osiągnęła dojrzałość, jakiej Kip pewnie nie osiągnie przez całe swoje życie.

– Słyszałem, że ocaliłaś atak na fort na Półwyspie Ruckim.

Teia wzruszyła ramionami.

– Kapitan straży Tempus powiedział, że dowódca Żelazna Pięść chciał ci dać medal.

-Co?

– Najwyraźniej ktoś wyżej uchylił tę decyzję.

– Decyzję dotyczącą Czarnej Gwardii? Kto mógłby uchylić...? Och, nic nie mów.

– Zgadza się. Zatem, dopóki nie pracujesz dla tego starego wrzoda, jasne, ufam ci. Nadal stoisz po naszej stronie, zgadza się?

Zaśmiała się, ale z odrobiną niepewności.

-Teia, ty nie... Nie pracujesz dla mojego dziadka, prawda?

– Kip... Łamacz, nie mogę ci nic powiedzieć. Ale nigdy cię nie zdradzę. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– Jestem?

Odwróciła wzrok zakłopotana. Kip miał ochotę sobie przywalić. Źle zareagował.

– Chciałem powiedzieć, że myślałem tylko, że jako moja niewolnica...

– Co?! – Gniew rozbłysnął na jej twarzy.

– Czekaj, czekaj, chwilkę! – Nabrał powietrza. – Chciałem być twoim przyjacielem, Teia, ale zawsze bałem się, że kiedy... kiedy wygrałem twoje dokumenty, to sprawiło, że nie możemy być przyjaciółmi. Nie wiedziałem, jak bardzo to zaważy na naszych stosunkach. Nawet po, rozumiesz. Nie wiedziałem, czy nie będę zawsze ci przypominał tamtych czasów. Ty też jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Robiła wrażenie udobruchanej, ale nadal zdenerwowanej.

– Jestem kimś więcej niż niewolnicą.

– A ja jestem więcej niż Guilem, ale mimo to jestem nim, czy mi się to podoba, czy nie.

Zacisnęła usta, a potem skinęła głową. Podniosła rękę i dotknęła wisiorka. Kip chciał o niego zapytać, ale zorientował się, że to coś osobistego. Może prezent od dawnej pani? Jej twarz rozjaśniła się, ale usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

– Nie chciałam stawiać cię w niezręcznej sytuacji. No wiesz, nazwać cię najlepszym przyjacielem, to jakby powiedzieć... jakby powiedzieć... – Skrzywiła się.

– Nie odebrałem tego niewłaściwie – zapewnił ją Kip.

– Nie odwzajemniłeś się, bo ja... Nieważne. Możemy pójść w coś przywalić?

Zarumieniła się.

Naszła go chęć, żeby złapać ją za rękę, ale tego nie zrobił. Dlaczego nagle czuł się tak zakłopotany i młody?

– I nie wolno ci powiedzieć o tym drużynie – dodała Teia.

– Nikt nie dowie się ode mnie, że jesteśmy przyjaciółmi – zapewnił ją śmiertelnie poważnie.

– Łamacz!

Uśmiechnął się szeroko i szybko wykonał gest trójki i czwórki w ramach obietnicy. Wyszczrzyła wesoło zęby w odpowiedzi.

Chciała coś powiedzieć, wyjaśnić trochę, dlaczego nie wytłumaczyła się z powrotu do Chromerii w poplamionym krwią ubraniu, obronić się jakoś, ale darowała sobie, a on przypisał to jej dojrzałości. Niedojrzała Teia upewniłaby się dwa razy. A może powinien pomyśleć: „Niewolnica Teia upewniłaby się dwa razy”? Może zawsze taka była, ale blokował ją status niewolnicy?

Cóż, przynajmniej w całym swoim życiu zrobiłem jedną dobrą rzecz.

– Brakowało mi ciebie, Kip. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu i rzuciła mu ręcznik.

Złapał go i uśmiechnął się tak szeroko, że miał wrażenie, że popękają mu policzki.

– Gotowy? – zapytała.

Otarł twarz. Dobrze, że idę na trening Czarnej Gwardii, pomyślał. Tam mógł pójść

spocony.

Drzwi się uchyliły za ich plecami i do sali wszedł Grinwoody. Kipowi zrzędała mina.

– Dzień dobry, paniczu... Guile – powiedział stary niewolnik. Jak zawsze nosił ostrożnie dobrany strój, był pomarszczony jak stare jabłko i równie przyjemny jak noc wypełniona biegunką.

– Grinwoody, świetnie wyglądasz! – zawołał z fałszywą radością Kip, świadomie sugerując poufałość przez posłużenie się imieniem niewolnika.

Jak długo Grinwoody tam stał? Dobry Orholamie.

– Twój dziadek cię oczekuje.

– Żeby zagrać w Dziewięć Króli?

– Tak myślę.

– Mam trening Czarnej Gwardii. Nie chcę teraz z nim grać.

– Twoje życzenia nie mają znaczenia. Promachos cię wezwał. Pójdiesz ze mną. Natychmiast.

Staruch wyraźnie cieszył się, że doprowadza Kipa do białej gorączki.

Promachos? Dobry Orholamie, tylko nie to. To dlatego miał dość władzy, żeby zamknąć dostęp do bibliotek. Niech to szlag!

– Bo inaczej co? – zapytał Kip.

Po prostu nie mógł się powstrzymać.

Paryjski niewolnik odwrócił się do Teii.

– Bo inaczej twoja przyjaciółka zostanie wydalona ze szkoły.

– Słucham? – wyrwało się Teii.

– Nie zwracałem się do ciebie, niewolnico. Zamilcz – powiedział stary niewolnik.

Dupek.

– Nie jestem niewolnicą – warknęła Teia.

– Wybacz omyłkę – odparł Grinwoody, chociaż ewidentnie powiedział to celowo.

To przynajmniej wyklarowało jedną kwestię – Teia nie pracowała dla Androssa. Nie traktowałby w ten sposób swoich, prawda? A może wręcz przeciwnie? Może był tak pewien, że Kip nie pozwoli, by stała jej się krzywda? Czy Andross był tak dobry, że spokojnie grał przeciwko własnym kartom, wiedząc, że ktoś inny je ocali?

Kipowi zrobiło się niedobrze i ogarnął go lęk. Próbował przechytrzyć kogoś takiego? Andross Guile dorównywał bogom swoim intelektem i swoją bezwzględnością. Kip zarzucił preceptorce Kadah blef i stwierdził, że nie zdołałaby doprowadzić do wydalenia kogoś blisko związanego z Czarną Gwardią. Jednak Andross mógł wydalic każdego, kogo zechce. Był teraz promachosem. Katastrofa.

– Nie jestem gotowy – odparł Kip.

– Nie oczekuje twojej gotowości, oczekuje twojej obecności.

Kip zaklął pod nosem.

– Naprawdę cię nienawidzę, Grinwoody.

Niewolnik uśmiechnął się blado.

– Łamiesz mi serce, sir.

ROZDZIAŁ 35

Kilku galerników zakrzyknęło na widok klucza. Inni byli ostrożniejsi, bardziej przerażeni, może bardziej cyniczni. Orholam wziął klucz i przebiegł galerą, uwalniając niewolników.

– Uwolnij dziesięciu, żebyśmy mogli odciąć sieci abordażowe – powiedział Gavin. – Pozostałych nadal potrzebujemy przy wiosłach.

– Uwolnij nas wszystkich!! – krzyknął niewolnik z jednej z przednich ławek.

– W swoim czasie – odpowiedział Gavin.

– Okłamujesz nas! Wolność teraz albo nigdy! – odkrzyknął tamten.

Gavin nie mógł w to uwierzyć. Zagrozą próbie ich ucieczki. Nie mieli na to czasu.

– Niektórzy z nas zaryzykują życie, żeby odciąć statek. Jeśli nie oderwiemy się od tamtej galery jak najszybciej, piraci po prostu wrócą po sieciach albo załadują działa i nas pozabijają. Jak ci się nie podoba, nie wiosłuj. No już, śmiało, zabij nas wszystkich.

I to powiedziawszy, Gavin popędził do schodów na wprost zniszczonych przez pocisk z działa. Złapał oderwany przez wybuch kawałek drewna i skoczył do resztek schodów. Antonius Malargos pobiegł za nim bez pytania. Schody prowadziły obok zdumionych niewolników na następnym pokładzie do ciasnego podestu. Luk ukrywał się za dwoma półobrotami schodów i był zamknięty. Gavin, Antonius i pół tuzina niewolników stłoczyli się pod klapą. Była zamknięta na klucz.

Gavin uderzył w nią ramieniem. To była niezręczna próba, zważywszy, że znajdowała się dokładnie nad nim.

– Niech Orholam się zlituje, co teraz robimy? – zapytał Antonius.

Jeden z niewolników sięgnął nad ramieniem Antoniusa i znalazł zasuwkę ukrytą w ciemności. Odsunął ją, uśmiechając się szeroko, ale w ciemnościach było tylko widać wyszczerzone zęby. Gavin miał nadzieję, że może biało-czarne widzenie pomoże mu widzieć w ciemności.

O ile na razie się zorientował, nie pomagało. To było tylko i wyłącznie upośledzenie. W przeciwieństwie do szaleńczych historii, jakie słyszał o niewidomych, którzy mieli nadnaturalnie wyostrzony słuch albo węch, on nie zyskał żadnej równoważącej upośledzenie zdolności.

Może to było sprawiedliwe. Kiedy był Pryzmatem, nie miał żadnych słabości. Przechodził od jednej siły do drugiej. Teraz nie miał żadnych silnych stron.

– Potrzebujemy ostrzy – powiedział. – Ma ktoś nóż? Miecz? Ktoś wie, jak mocowane są sieci abordażowe? Kotwiczkami czy są przywiązane po tej stronie?

Gavin chlubił się doskonałą pamięcią, ale był nieprzytomny, kiedy wciągnięto go na pokład.

– Nieważne – powiedział, myśląc na głos. – Nie zdołamy ich rozwiązać, jeśli są napięte. I tak musimy je odciąć.

Ktoś podał mu nóż. Jeden nóż.

Oddał go. On miał za sobą szkolenie i trzymał kawałek drewna.

– Najpierw sieci abordażowe – powiedział. – Nasza jedyna przewaga to liczebność. Nic nie zyskamy, jeśli zjawią się posiłki. Odcinamy sieci, oddaliśmy się. Zabijamy ludzi, żeby zabrać im broń, i odcinamy sieci. Gotowi?

Nie czekał na odpowiedź. Otworzył luk i wyskoczył na pokład.

Nagłe ostre światło prawie go oślepiło, a po wyjściu z ciasnoty statku, zalał go potok dźwięków. Muszkiet wystrzelił piętnaście kroków dalej, ale pirat strzelał w snajpera na olinowaniu drugiej galery. Gavin pobiegł do niego.

Pirat nawet nie zauważył jego nadejścia. Obrócił się, żeby przeładować broń i stanął wtedy twarzą w twarz z Gavinem. Prowizoryczna pałka Gavina trafiła go w głowę jak wiosło przecinające morze. Pirat poleciał w rozbryzgu krwi, a Gavin przyłożył mu drugi raz, wrywając nóż zza pasa.

I zaraz się poderwał, ruszył biegiem. Prędkość i zaskoczenie stanowiły jedyną przewagę niewolników. Jedna piracka szabla zdoła przeciąć pół tuzina nieuzbrojonych niewolników i zakończy ich ucieczkę, nim się nawet zaczniesz.

Jeszcze jeden pirat usadowił się przy sieciach na rufie. Zauważył nadbiegającego Gavina. Z głupoty albo zaskoczenia nie krzyknął na alarm, ale przygotował szablę.

Gavin prawie nie zwolnił. Uniósł nóż i szarpnął ręką, jakby chciał go rzucić. Mężczyzna wzdrygnął się i wziął zamach szablą, napinając mięśnie. Gavin opuścił nóż, żeby sparować uderzenie, i rzucił się całym torsem w bok, skracając dystans. Ostrza noża i szabli ześlizgnęły się po sobie, tani metal krzesał iskry. Pałka Gavina, którą trzymał w lewej ręce, trafiła pirata w czoło, częściowo chybiając.

To wystarczyło, żeby go ogłuszyć. Gavin poprawił, biorąc solidny zamach na odlew. Zęby się posypały i mężczyzna padł. Gavin uklęknął na plecach mężczyzny i wbił nóż w podstawę czaszki. Wstał z szablą i rzucił nóż rękojeścią do przodu temu, kto za nim nadbiegł. To był Antonius i przez chwilę wyglądał, jakby uznał, że został zaatakowany, że jest ofiarą ataku przyjaciela.

Uchylił się przed nożem, który z brzękiem upadł na pokład. Pochylił się, żeby go podnieść, i kula z muszkietu świsnęła mu tuż nad głową, znacząc deskę dziesięć stóp za

nim.

Druga galera była wyższa niż Wredna Szkapą, co mogło być dobrą albo złą wiadomością, zależnie od tego jak rozwścieczeni i nieostrożni byli piraci. Gdyby chcieli szybko pokonać szczelinę, mogliby schować szable do pochew, zwyczajnie sturlać się po sieciach abordażowych i wylądować po drugiej stronie w kilka sekund. Jednak żaden człowiek przy zdrowych zmysłach, który czuł się zagrożony, nie zrobiłby tego, a zejście po opadającej sieci sznurowej nie jest łatwe.

Oczywiście, założenie, że piraci, którzy ruszyli za Artylerzystą, są przy zdrowych zmysłach, mogło nie być zbyt mądre.

Gavin dopadł do nadburcia i odkrył, że sieci abordażowe nie zostały zwyczajnie zamocowane kotwiczkami do drewna – wtedy wystarczyłoby wciągnąć kotwiczkę, a sieć by opadła. Zamiast tego kotwiczki obwiązano wokół relingu i dopiero wtedy zaczepiono o drewno. Zła nowina. Jednak takie mocowanie sprawiło, że konopna lina napinała się mocno na nadburciu. Gavin uderzył w nią i pękła już za drugim ciosem. Spojrzał w dół wzdłuż burty. Były jeszcze cztery kotwiczki. Cztery odcinki konopnej liny dzieliły go od wolności.

Czterech galerników rzuciło się na pirata na śródokręciu i zatłukło go na śmierć pięściami i stopami. Antonius pędził do najdalszej liny – bystry chłopak – zostawiając Gavinowi następnego pirata z jataganem. W biegu Gavin dojrzał kątem oka pirata z muszkietem, który w niego celował. Opadł więc na biodro i prześlizgnął się po pokładzie, a potem się poderwał, kiedy pirat z klingą znalazł się między nim a muszkietem.

Kiedy Gavin zaczął walczyć z piratem z jataganem, widział już, jak inni piraci wskakują na sieci, by wrócić na Wredną Szkapę. Czas uciekał. Jego szabla i cieńsza, wygięta klinga pirata zadzwoniły, a Gavin zdał sobie sprawę, ile czasu minęło, odkąd ćwiczył fechtunek. Ile czasu minęło, odkąd potrzebował tych ćwiczeń. Jednak pirat był tylko żeglarzem, który chciał zabić. To nie to samo co wytrenowany wojownik. Gavin zauważył, że przegapia dwie doskonałe okazje zadania śmiertelnego ciosu – był za wolny, żeby z nich skorzystać, i zbyt ostrożny, by naciskać.

Na szczęście, nadeszła trzecia. Riposta i śmiercionośne pchnięcie – szabla weszła w pierś przeciwnika na tyle, żeby otworzyć serce, a potem się wycofała. Gavin odsunął się, żeby uniknąć potencjalnego kontrataku. Tylko dlatego, że mężczyzna umrze w ciągu najbliższych sekund, nie znaczy, że nie może cię już zabić.

Gavin zdał sobie sprawę, że odsuwając się, odsłonił się dla muszkietera. Raz jeszcze odbił na bok ostrze pirata i złapał go pod pachy, kiedy usłyszał huk wystrzału. Mężczyzna szarpnął się, przyjmując kulę w ramię między palcami Gavina. A przynajmniej Gavin miał nadzieję, że między jego palcami. W tej chwili jedyne co mógł powiedzieć, to że palec

wskazujący jego prawej dłoni jest gorący.

Upuścił nadal drgające ciało, odkrył, że palec mu krwawi, ale nadal jest na swoim miejscu, i przeciął linę przy nadburciu.

Pirat schodził po siatce z niewiarygodną wręcz zręcznością, szedł wyprostowany, przeskakując z liny na linę z gracją tancerza, w dodatku szybko! Niestety, lina pękła przy pierwszym ciosie i siatka nagle zwiotczała. Mężczyzna skoczył, wyciągając ręce ku nadburciu i prawie mu się udało. Szok zderzenia z kadłubem nie sprawił też, że mężczyzna wypuścił siatkę.

Gavin ciął szablą w dół burty i osiem palców odpadło od dłoni.

Krótki krzyk i satysfakcjonujący plusk zasygnalizowały sukces.

– Wiosłować! – wrzasnął Gavin, mijając dziurę, którą kula z działa wybiła w pokładzie.

Galernicy już wzięli się do pracy, wiosła ze stukotem wynurzały się, odpychały statek, rozciągały sieci abordażowe.

Zostały dwie kotwiczki. Niewolnicy na rufie odcięli jedną z trzaskiem. Została ostatnia na śródkręciu. Gavin rzucił się do niej.

Drzazgi wybuchły wokół niego wyrwane kulami z muszkietów. Kolejny pirat zeskoczył z siatki i Gavin rozciął mu pachwinę, nawet nie zwalniając. Zobaczył pirata, który skończył ładować obrotowe działko na pokładzie drugiego statku i kierował je w jego stronę. Gavin dał nura, kiedy działko splunęło śmiercią na dolny pokład.

Przeturlał się, poderwał i po omacku sięgnął po szablę, którą upuścił, nurkując.

– Guile! Guile! – rozległ się znajomy głos.

Artylerzysta.

Gavin podniósł wzrok, wiedząc już, co zobaczy. Artylerzysta stał niecałe dwadzieścia kroków dalej i mierzył w jego twarz ze swojego wspaniałego biało-czarnego muszkietu. Z takiej odległości nie mógł spudłować.

Wiosła zanurzyły się w fale, ale bezwładność załadowanej Wrednej Szkapy sprawiała, że miną długie sekundy, zanim ruszą z taką szybkością.

Szabla już była w dłoni Gavina. Jeśli Artylerzysta strzeli mu w głowę, nie zdoła dokończyć ciosu. Umrze na darmo. Jeżeli jednak Artylerzysta trafi go w pierś – bezpieczniejszy strzał – Gavin będzie mógł oddać życie za wolność galerników.

Jaką wartość miało paru niewolników w porównaniu z Pryzmatem? Jaką wartość miał tysiąc niewolników w porównaniu z Pryzmatem? Co świat zyska, jeśli Gavin postanowi się poświęcić?

Nic.

– Rób, co musisz – powiedział Gavin, w równym stopniu do siebie, jak do Artylerzysty.

Przeciął linę, spodziewając się, że kula z muszkietu rozerwie mu ciało. Nic takiego się

nie stało. Tak bardzo przygotował się na trafienie, że nie przeciął liny pierwszym ciosem. Uderzył znowu i lina pękła. Sieć abordażowa wpadła do wody, zrzucając piratów.

Gavin rozejrzał się za Artylerzystą. Nadal celował z muszkietu, jakby nie był pewien, dlaczego nie strzelił. Patrzył na horyzont. Gavin spojrzał w tym samym kierunku.

Pojawił się tam statek, który od lat ścigał Artylerzystę. W czasie walki Wredna Szkapa połamała wiosła na jednej burcie galery, na której znajdował się teraz Artylerzysta.

Artylerzystą nie zdoła uciec przed mściwym kapitanem, który go prześladował. A ponieważ zdziesiątkowano jego piratów i pewnie już kończyła im się amunicja, nie było szansy, żeby jego załoga wygrała walkę.

Darowanie życia Gavinowi znaczyło, że Artylerzystą sam zginie. Co tu jest grane, u diabła? Tego człowieka jeden krok dzielił od szaleństwa, ale całe jego szaleństwo służyło tylko jemu samemu, prawda?

Z przekleństwem na ustach, którego Gavin nie mógł usłyszeć, Artylerzysta opuścił muszkiet. Głowa mu się kołysała, kiedy serią wyrzucał z siebie obelgi. Zerkał to w jedną stronę, to w drugą, ale Gavin nie potrafił zgadnąć, co właściwie robi. I wtedy nagle coś przeleciało lukiem nad wodą. Włócznia? Gavin odskoczył, kiedy miecz-muskiet spadł z nieba jak rozmazana smuga i z brzękiem upadł na pokład niedaleko od niego.

Co znowu?

Galernicy Wrednej Szkapki ponownie zanurzyli wiosła i statek zaczął płynąć w przyzwoitym tempie, zwiększając odległość od drugiej galery.

Zostawiali piratów bez prochu na drugim statku, klnących i zbitych z tropu.

Fala przechyliła galerę i miecz-muskiet zaczął zsuwać się ku dziurze wybitej w nadburciu.

Gavin rzucił się i złapał broń, zanim wpadł do morza. Wstał.

Zobaczył jakieś zamieszanie na drugim statku. Jakiegoś pirata odepchnięto tak mocno, że padł na bok, kiedy ktoś – nie ktoś, tylko Artylerzysta – biegł wzdłuż burty. Kiedy galery się rozdzieliły, fale tak je przesunęły, że teraz rufa jednej znajdowała się przy dziobie drugiej. Artylerzysta pędził na dziób okaleczonego statku, skoczył za burtę w powietrze, krzycząc coś, co mogło brzmieć jak:

– Odpierdol się, Ceres!

Przez chwilę Gavin myślał, że szalonemu piratowi uda się skok. Szybował w powietrzu, wymachując rękami i nogami... i z pluskiem wpadł do morza.

Gavin pobiegł ku rufie. Galernicy nie przestali wiosłować, odległość się poszerzała. Kiedy dotarł na rufę, zobaczył paru piratów w wodzie, ale żaden z nich nie był Artylerzystą. A potem popatrzył w dół.

Ciągnięty po wodzie na linie z pokładu Wrednej Szkapki Artylerzysta wspinał się ręką

za ręką. Dotarł do drabinki i wspiął się po niej zręcznie. Gavin czekał na górze, niemal zapominając o mieczu-muszkiecie.

Artylerzystą dotarł do końca drabinki, pokręcił głową, żeby pozbyć z oczu i brody morskiej wody, i wyciągnął rękę do Gavina.

– Na co czekasz? – zapytał. – Pomóż Artylerzyście. Darował ci życie.

I wyszczerzył zęby w szalonym, naprawdę szalonym uśmiechu.

ROZDZIAŁ 36

Kip szedł za Grinwoodym do apartamentów Androssa Guile pełen znajomych już złych przeczuć. Za każdym razem, kiedy zadawał się ze staruchem, najgorzej na tym wychodził.

Grinwoody poprowadził go obok miejsca, gdzie kiedyś znajdował się korytarz prowadzący do apartamentów Guile'ów. Teraz odcięto go ścianą. Andross Guile połączył apartamenty żony ze swoimi, tworząc jedną, znacznie większą siedzibę. Z jakiegoś powodu Kip myślał, że Andross zachowa pokoje Felii nietknięte jako kapliczkę ku jej czci.

Najwyraźniej miał za dobre mniemanie o starym pająku.

Minęli Czarnogwardzistów pełniących straż przed zewnętrznymi drzwiami – nie byli uradowani, że trzyma się ich tak daleko – i weszli do środka. Główny salon Felii Guile przekształcono w antykamerę dla petentów czekających na audiencję u promachosa.

W pokoju siedziało ośmiu arystokratycznych krzesicieli; niektórzy gawędzili, inni przyglądali się pozostałym z jawną wrogością. Kip rozpoznał w nich jednych z najważniejszych krzesicieli każdego koloru, chociaż znał imiona tylko kilku. Najstarszym był siwy lord Rozłożysty Dąb, który spokojnie czytał zwój z modlitwami, albo, znając Chromerię, udawał, że czyta modlitwy, a przy okazji ukrywał liściki od szpiegów. Pozostali byli około trzydziestki. Siedziała tam też karlica, o której słyszał, że jest nowym Kolorem z Tyrei. Rozpoznał lady Crassos, siostrę albo kuzynkę skompromitowanego i straconego gubernatora Garristonu, a także Akensisa Azmitha i Jasona Jorvisa, którego siostra zabiła się, skacząc z balkonu Gavina w skandalicznych okolicznościach tej samej nocy, kiedy Gavin poślubił Karris. Jorvisowie twierdzili, że Gavin jest w jakiś sposób odpowiedzialny za śmierć Any i żądali rekompensaty. Kip uważał, że są obrzydliwi. Odmowa przyjęcia faktów była zrozumiała, ale posługiwanie się samobójstwem, żeby zapewnić awans własnej rodzinie?

Kip znał tylko jedną osobę spośród z pozostałych: Tisis Malargos, piękną, młodą płomienną Zielen, która próbowała go przekonać, że niepowodzenie w Młocarni oznacza śmierć, a potem sprawiła, że zawiódł, podsuwając mu linę. Nie przepadał za nią. Niespecjalnie krył radość, kiedy usłyszał, że jego ojciec tak ją skołował, że zagłosowała za wydaleniem jej ze Spektrum.

Raz, kiedy Kip wyszedł ze spotkania z Androssem Guile bliski wymiotów, Żelazna Pięść powiedział, że widywał satrapów wychodzących od niego w gorszym stanie.

Niezależnie od tego, jak nieprzyjemne były interakcje między Kipem i Androssem, teraz i Tisis zasmakuje tej radości. Miłej zabawy, kochana.

Przyjaźnie skinął do niej głową.

Wyglądała na skonsternowaną, i to też podziałało jak balsam na jego duszę.

Grinwoody już zniknął w głębi apartamentów i kolejny niewolnik wyszedł odesłany. Kip przystanął, a odwaga wyciekała z niego jak mocz spływający po nodze tchórza.

Przygotował się na smród w pokoju Androssa. I ciemność.

Znowu zerknął na Tisis – bo stanowiła miły widok, a nie dlatego, że martwił się, co o nim pomyśli – i zobaczył paskudny uśmieszek na jej twarzy wywołany strachem.

Kip odetchnął, wydymając policzki. Zasłużył na to. Wykrzesał pochodnię nadfioletowego światła. Grinwoody otworzył mu przejście ze swoim wiecznym szyderczym uśmieszkiem i Kip przeszedł przez ciężkie zasłony.

Powitało go światło.

Przez chwilę Kip myślał, że Grinwoody wpuścił go do niewłaściwego pokoju. Jednak, kiedy tylko tak pomyślał, zorientował się, że się myli.

Pamiętał ten pokój, chociaż niewyraźnie. Jak najdosłowniej niewyraźnie. To krzesło, ten stół, tamten obraz nad kominkiem, wszystko to wyglądało inaczej w ostrych, cieniutkich promieniach nadfioletowych pochodni, które Kip krzeszał, ale to były te same przedmioty. Ten puszysty dywan – na niego Kip upadł, kiedy starzec wymierzył mu siarczysty policzek w ciemnościach.

Andross Guile opierał się o krawędź biurka, na poły na nim siedząc, na poły stojąc. To była poza znacznie młodszego człowieka, ale teraz najwyraźniej odpowiadała Androssowi. Kip stał oniemiały.

Andross wyglądał, jakby odmłodził o dziesięć albo dwadzieścia lat. Prezentował się jak twardy stary farmer albo może cieśla. Nadal miał trochę brzucha, który Kip zauważył dawno temu, ale najwyraźniej szybko się kurczył. Andross sprawiał wrażenie silnego, szerokie ramiona Guile'ów i mocny podbródek nie skrywały się już pod warstwami ubrań. Uśmiechał się przyjaźnie i chociaż to była twarz Gavina (tyle że starsza), uśmiech nie był taki sam. Brakowało w nim ciepła. Gavin uśmiechał się brawurowo, wiedząc, że różne rzeczy ujdą mu na sucho, bo jest przystojny i potężny, ale człowiek zawsze wyczuwał, że to wszystko go bawi. Wyczuwał pod tym wszystkim, że Gavin naprawdę lubi ludzi. Andross Guile patrzył poprzez kogoś na jego cel.

– Kiedy powiedziano mi, że wróciłeś – powiedział Andross – nie powiedziano mi, jak mało z ciebie wróciło.

Uśmiechnął się znacząco. Oczywiście widział już Kipa na posiedzeniu Spektrum. Musiał mieć na myśli to, że szpiedzy donieśli mu wcześniej o jego powrocie.

– Widzę, że nie ja jeden coś straciłem – odparł Kip.

– Powiedziałem to jako komplement.

– Ja również. Byłeś kolorakiem.

– Kip, człowiek otrzymuje skończoną liczbę szans na nowy początek. I w życiu, w rozmowie. Nie przegap tej ważnej.

To była dobra rada, nawet z ust potwora. Kip ugryzł się w język.

Ej! To już drugi raz w moim życiu!

– Dziewięć Króli? – zapytał Andross.

– Z przyjemnością, ale nie mam swojej talii.

Chwileczkę, Andross właśnie zapytał? Jakby Kip mógł odmówić?

– Sam parę straciłem – odparł Andross. – Ale mam ich mnóstwo. Mogę ci pożyczyć dowolną.

-Jaka jest tym razem stawka? – zapytał Kip. Stracił nieco wprawy, ale gdyby miał dość czasu na przejrzenie talii, zdołałby przynajmniej odróżnić mocną od słabej.

– Zatem to nie ty ją ukradłeś.

-He?

– Ktoś włamał się do moich apartamentów i ukradł kilka cennych rzeczy. Zabrał także jedną z moich ulubionych talii. Wyglądało to na zagrywkę w twoim stylu.

I zorientował się tylko po minie Kipa, że nie on jest winowajcą.

Usiedli i Andross wyłożył dwie pary talii.

– Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować jednego ze starych pojedynków: Bliźniacy albo Bogowie i Bestie.

To były klasyczne zestawienia. W takich rozgrywkach talie były względnie równie silne, ale wymagały bardzo różnych strategii gry. Od każdego gracza oczekiwano, że zna na pamięć wszystkie karty z obu talii. Szczęście nadal odgrywało tu swoją rolę, ale gracz z dobrą głową do liczb mógł ocenić prawdopodobieństwo wyciągnięcia określonej karty przez przeciwnika i podjąć stosowne przeciwdziałania. To był ten rodzaj rozgrywki, w której Kip zostanie rozgromiony, chociaż znał większość kart w obu taliach.

– Bogowie i Bestie – odparł.

– Interesujący wybór – uznał Andross.

I Kip zorientował się, że Andross wyczytuje nawet w tym wyborze komentarz. Oczywiście, przecież dopiero co stawili czoło i bogom, i bestiom.

A Kip po prostu wybrał to, co zapowiadało się zabawniej.

Teraz mnie przeceniał.

Nie był pewien, czy to lepiej, czy gorzej.

– Którą talię wybierasz, wnuku? – zapytał Andross.

Teraz, kiedy Kip wiedział, że dziadek odczyta wybór talii jako deklarację, inaczej spojrzał na sprawę.

– To dziwne, że stoją po przeciwnych stronach, prawda? Z mojego doświadczenia bogowie i bestie walczą ramię w ramię.

– To wcale nie jest dziwne. Co może przeciwstawić się bogowi, jeśli nie bestia?

– Tak to usprawiedliwiasz?

Bez ogródek.

– Kiedy minie wiele wieków i słabi ludzie będą żyli w pokoju i krytykowali moje wybory, sam fakt, że żyją i mogą to robić, będzie stanowić dowód, że postąpiłem słusznie – odpowiedział Andross. Wziął talię. – Człowiek, który się waha, nigdy nie zostanie bogiem, więc będziesz bestią. – Przetasował obie talie na oczach Kipa i rozdał karty. – Bez zegarów. Mam ochotę na partyjkę dla przyjemności, a widzieliśmy, jakie błędy popełniasz pod presją.

Kip nie dotknął swoich kart, nie obrócił ich.

– Powiedz Grinwoodyemu, żeby nie stał za moimi plecami.

Andross się roześmiał.

– Kip, sprawiasz, że zastanawiam się, czy byłem takim samym dylematem dla mojego ojca, Draccosa. Czasem taki bystry, taki sprytny, taki dojrzały, a w następnej chwili skończony dzieciak, agresywny, atakujący i niszczący rzeczy, które są dobre dla niego jak dla nikogo innego, tylko dlatego, że się zirytował. – Machnął na Grinwoody'ego, który zszedł ze swojej grzędę oszusta nad ramieniem Kipa.

– Kto zaczyna? – zapytał Kip.

Wziął swoje karty.

– Ja. Przywilej wieku.

Kip odrzucił swoje karty.

– Rozdał mi pan osiem.

Jedną kartę za dużo.

– Tak? Najwyraźniej wiek mnie przytępia. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i tym razem była w nim prawdziwa swawolność.

To powiedział człowiek, który kilka miesięcy temu wyglądał na dwadzieścia lat starszego niż prezentował się teraz.

Kip nie mógł się nie uśmiechnąć. Odrobinę.

– A nie były to dobre karty, hę? – zapytał Andross.

Wziął je i wtasował szybko w talię, a potem rozdał mu siedem.

– Chałowe.

Andross roześmiał się, a Kip przypomniał sobie, jak kiedyś powiedział, że lubi Kipa.

Trochę. Zdał sobie sprawę, że Andross go sprawdzał. Chciał się przekonać, czy Kip był gotowy oszukiwać. A może Andross nie uważał tego za oszustwo. Może uznałby to za wykorzystanie błędu przeciwnika. Jednak to były kiepskie karty i dlatego Kip odrzucił wszystkie. Wolał dostać nowe, niż podsunąć karty, by Andross wyjął jedną i odłożył.

Promachos ustawił licznik słoneczny na przedświt i zagrał pierwszą kartą.

– A zatem, wnuku – powiedział. – Chromeria za chwilę rozpocznie walkę o swoje życie, a większość tutejszych ludzi nadal nie zdaje sobie z tego sprawy. Co twoim zdaniem należy naprawić?

Kip przechylił głowę.

– Serio? Naprawdę chcesz poznać moje zdanie?

– To takie zaskakujące?

– Owszem.

– Wiele rzeczy można się dowiedzieć od niewolników i szpiegów, a ja dowiedziałem się tego wszystkiego. Jednak pewne rzeczy można zobaczyć tylko na własne oczy. Moje oczy były...

– Złamane? – Kip nie mógł powstrzymać się przed drobnym prztyczkiem w związku z tym, że Andross wynajął zabójcę z Zakonu Złamanego Oka, mistrzynię Helel. Zauważył, że Grinwoody zeszywniał, ale Andross nie zawahał się ani sekundy.

– Niedostępne. Mogłem przegapić pewne rzeczy. – Przyjrzał się jednak ostro Kipowi. – Potrafię być brutalny, kiedy ktoś ze mną zadrze, nie zaprzeczam temu, chłopcze. Uważam, że przywództwo głupców jest nie do zniesienia. Jestem jednak wspaniałomyślny, gdy zwyciężam. Robię, co trzeba zrobić, nie bawiąc się w okazywanie fałszywego smutku lub oporu. Twoim zdaniem to mnie czyni odrażającym? Inni składają nieszczerze zapewnienia i zdradzają je czynami. Ja jestem zwyczajnie bardziej prostolinijny. Orholam potrzebuje uczciwych ludzi, prawda?

Oczy mu zabłyśły. To odwrócenie, jakże typowe dla tej rodziny. Gavin napomknąłby o bezbożności i zabawił się tą sugestią. Andross ominąłby ją bezceremonialnie, ale gdyby jego metoda rzeczywiście wszystkich ocaliła, kto mógłby zaprzeczyć, że Andross nie był narzędziem w rękach samego Orholama? Zmierzali do tego samego celu.

Andross był promachosem. Z pewnością będzie walczył z Księciem Barw, choćby dla zachowania władzy.

Zatem Kip powiedział mu o zajęciach, o tym, jak preceptorzy uczą na tematy niemające nic wspólnego z toczącym się konfliktem i tylko inżynierowie dostrzegli problem. Uważał także, że powinni dysponować całym kontyngentem bojowych krzesicieli, nie tylko Czarną Gwardią i paroma pojedynczymi krzesicielami, którzy studiowali sztukę wojny dla swoich sponsorów. Uważał, że powinni otworzyć wszystkie księgi na temat zakazanej magii, i

zacząć jej uczyć – a przynajmniej sposobów obrony przed nią.

– A kto ma uczyć tych wszystkich nowych krzesicieli bojowych? – zapytał Andross.

– Czarna Gwardia. A przynajmniej ci Czarnogwardziści, którzy nie są bezpośrednio zaangażowani w ratowanie mojego ojca. Skoro nie są zajęci chronieniem Pryzmata i Kolorów, można ich wykorzystać aż wiosny. Będą narzekać, ale trenowanie innych czasem jest nawet lepsze niż trenowanie samemu. A skoro mowa o Czarnej Gwardii: jest pewien niewolnik, który odpadł. Powinieneś umieścić go w mojej grupie kadetów.

– Co to za jeden?

– Winsen był jednym z najlepszych szczeniaków, ale jego właścicielem jest groza. Miał potworne długi i potrzebował sprzedać Winsena do Czarnej Gwardii, żeby nie popaść w ruinę. Winsen celowo odpadł.

– I chcesz nagrodzić jego zdradę?

– Moim zdaniem to, co czyniło go złym niewolnikiem, sprawi, że będzie wspaniałym Czarnogwardzistą. Potrzebujemy Czarnogwardzistów.

Rozgrywka doszła do południa na liczniku słonecznym – nadszedł czas, kiedy z łatwością można zagrać najpotężniejszymi kartami. Kip dostał morskiego demona. Dopóki na stole leżały inne karty, morski demon musiał atakować. Gdybyś jednak tylko ty coś wyłożył, morski demon zaatakowałby twoją własną kartę. Jak wszystkie najlepsze sztylety i ten był obosieczny.

– Mówią, że Artylerzysta zabił morskiego demona – powiedział Andross.

– Słyszałem o tym. Myślisz, że to prawda?

– Myślę, że to możliwe. Zdarzało się, że fale wyrzucały ciała na brzeg, więc te potwory nie są nieśmiertelne.

– W jaki sposób miał niby tego dokonać?

– Mówią, że wyłożył na tratwę cały zapas prochu ze statku i spuścił ją na wodę pięćset kroków za Aved Barayah. Coś w tej małej tratwce poirytowało morskiego demona. Nigdy nie usłyszałem co właściwie, najwyraźniej Artylerzysta ma upodobanie do irytowania tych, którzy są od niego potężniejsi. Począł, aż morski demon się wynurzy, i strzelił do tratwy z działa, w tej samej chwili, w której potwór ją połykał. Trafił mimo wzburzonego morza, o ile opowieści są prawdziwe.

Kip wykrzywił się z podziwem.

– Założę się, że to było raczej dwieście kroków – dodał Andross. – Niemniej imponujący wyczyn. W innej wersji sam płynął na tratwie, wyśpiewując szanty i wyrzaskując przekleństwa pod adresem jakiejś dziwki, którą kiedyś kochał, osobiście podpalił lont i w ostatniej chwili zeskoczył do morza. Ale żeglarze i szczerze opowieści znajdują się tylko przelotnie.

– Uwierzyłbym w te pięćset kroków – powiedział Kip. – Widziałem, jak ten człowiek strzela.

Andross miał prawdziwą armię koloraków po swojej stronie stołu. Mnóstwo paszy dla morskiego demona, więc Kip zagrał swoim potężnym galeonem, żeby przepłynąć obok Androssa i zaatakować go bezpośrednio w następnej rundzie.

– Chcę czegoś od ciebie, Kip – powiedział Andross.

– Czegoś więcej niż sprawdzić, czy cię okradłem, i zniszczyć mnie w kilku rozgrywkach?

– To może być trudne do uwierzenia, ale chodzi mi o coś więcej niż twoje wyśmienite towarzystwo.

Powiedział to beznamiętnie, jakby kpił albo szczerze go komplementował.

Kip złapał się na tym, że wbrew sobie szczerzy zęby w uśmiechu. Oto człowiek, który próbował zlecić jego zabicie, który sam próbował go zabić i przez którego wszyscy stracili Gavina. A mimo to Kip szczerzył zęby.

Andross odwzajemnił uśmiech. Bóg czy potwór, ten człowiek doceniał, kiedy ktoś doceniał jego poczucie humoru.

– Zatem... – Kip ciągnął Androssa za język.

Nie mógł znieść napięcia.

Andross spojrzał sponad kart.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest mój drugi wnuk.

Kopniak w samo krocze.

– Drugi? – zapytał Kip.

Za długo się wahał?

Musiał poblednąć, bo Andross wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Uwielbiam zaskakiwać ludzi. Tego chyba najbardziej mi brakowało w czasie mojego odosobnienia. O ile bardziej to satysfakcjonujące, kiedy mogę widzieć twoją twarz.

– Porozmawiajmy o tym w odosobnieniu – odparł Kip, nagle gotowy do walki. Do diabła z tym starcem i jego sztuczkami. – Grinwoody, wynoś się. – Nie odwrócił się do niewolnika. – Grinwoody, obaj wiemy, że gdybym tylko chciał, mógłbym cię skazać na czterdzieści batów albo więcej podczas spotkania ze Spektrum. Oszczędziłem cię. Wynoś się stąd do diabła. Lepsi od ciebie będą rozmawiać.

Minęła chwila. Kip zauważył, że Andross skinął głową.

Grinwoody wyszedł, a Kipowi sprawiło to pewną przyjemność.

Zatem tak to się zaczyna. Narkotyk władzy. Rozkaz i posłuszeństwo, na zmianę, aż wespniez się na wysoką, wysmarowaną tłuszczem tyczkę dostatecznie wysoko, żeby wszyscy musieli słuchać się ciebie, a ty już nikogo.

– Snujesz głębokie przemyślenia? – zapytał Andross.

– Aż tak łatwo mnie odczytać?

– W chwilach, kiedy się nie pilnujesz. Jesteś jeszcze młody, uwięziony w półmroku dorosłych myśli i spostrzeżeń daleko wykraczających poza to, o co inni cię podejrzewają, oraz całkowitego braku panowania nad sobą. W twoim wieku emocje mają moc większą, niż jest w stanie ujarzmić intelekt. Powoli, powoli poddadzą się twojej woli. Zapanujesz nad nimi, a przynajmniej będziesz umiał je ukryć. O ile pożyjesz dostatecznie długo.

Kip spojrział w karty, ale ich nie widział.

– Bywają chwile, kiedy brzmisz tak bardzo jak mój ojciec, że ogarnia mnie rozpacz.

– Bywają chwile, kiedy brzmisz tak bardzo jak on, że się raduję – odparł Andross. – Budzisz we mnie pewne nadzieje, Kip. Jednak trudne lekcje czekają między miejscem, w którym siedzisz i czujesz, a miejscem, gdzie wstajesz i działasz. Musisz być panem tego, co w tobie siedzi, a nie marionetką. Na razie nie panujesz nad własnym językiem, Kipie Pyskaczu.

– Wiem. Staram się...

– Zamknij się i słuchaj. Reagujesz w najgorszy sposób. Mówisz zdumiewające rzeczy, często niegrzeczne, ale czasem są to wręcz niesłychanie celne spostrzeżenia. Pewnego dnia zapanujesz nad swoim językiem. A na razie, kiedy już powiesz coś, co zaszokuje twojego rozmówcę, zamiast wpadać w zakłopotanie i skupiać się na sobie, uważaj! Gdy rzucasz wybuchową prawdę, nie patrz na siebie. Odłóż na później swoje marne rumieńce i przerażenie i patrz, co zrobią inni.

Kip natychmiast zawstydził się z powodu własnej słabości i głupoty. Dokładnie tego, o czym mówił Andross. Wypalił więc:

– Dlaczego zachowujesz się jak mój przyjaciel?

– Nie jak twój przyjaciel – odparł natychmiast Andross. – Jak dziadek, chociaż obu nas wiele to kosztuje.

– Boisz się mnie – powiedział Kip.

Zdumienie na twarzy Androssa było bezcenne. Po chwili się roześmiał:

– Rozumiem. Wypróbowałeś metodę. Nie, Kip. I owszem. Nie boję się ciebie. Obawiam się, że możesz zagrozić tej rodzinie, chociaż na razie, jeśli zrobisz coś przerażającego, wszyscy będą wiedzieć, że nie działasz na moje polecenie. W miarę jak będziesz coraz starszy i bardziej wyrafinowany, ta przepaść zacznie się zamykać. Abyś więc stał się dla mnie użyteczny, musisz dorosnąć szybciej, niż uważa to za możliwi konwencjonalna mądrość.

Och, czyli nie ma żadnej presji.

Kip zdał sobie sprawę, że dokładnie przed tym starał się ochronić go ojciec, kiedy zasugerował, żeby wstąpił do Chromerii pod przybranym nazwiskiem. A Kip na oślep

domagał się, żeby wrzucić go prosto w sam środek kotła. Domagał się tego, na długo przed tym, jak był gotowy.

– Masz wobec mnie plany? – zapytał.

– Już mnie o to pytałeś.

– Wtedy byłeś kolorakiem.

Andross Guile zamilkł. Spojrzał w karty.

– Myślisz, wnuku, że cała moja wściekłość wypływała z czerwonego luksynu? –

Przyszpilił Kipa spojrzeniem wielobarwnych oczu: tło z rażąco niebieskich z natury oczu stanowiło kanwę dla podczerwieni, czerwieni, oranżu i żółci, przeplatających się jak węże.

– Nie powiem ci niczego za darmo – odparł Kip. Przełknął ślinę. – Wymienimy się. Jak dorośli.

– Grasz dorosłego, grając dorosłego grającego dorosłego, w porządku – zgodził się Andross.

Zagrał Zwierciadłem Bez Skazy.

To nie miało sensu. W jego talii nie było Pryzmatów, to raz, a gdyby chciał wykorzystać palący promień, potrzebowałby dwóch tur. A do tego czasu byłby już martwy, zabity przez ciężki galeon Kipa.

Celowo dawał mu zwyciężyć, żeby Kip miał jakieś powody do zadowolenia po tej rozmowie?

– Powiem ci o twoim drugim wnuku – powiedział Kip – jeśli udzielisz mi pisemnego zezwolenia na korzystanie ze wszystkich bibliotek w Chromerii. Wszyściutkich.

Andross uniósł brwi.

– W niektórych z tych bibliotek są rzeczy, które mogłyby zagrozić całej Chromerii.

– Tym bardziej ci, którzy jej bronią, powinni o nich wiedzieć.

– Pełna relacja na temat twojego przyrodniego brata – odparł Andross. – Wszystko co wiesz.

– Załatwione.

– Żadne załatwione. To twoja stawka wyjściowa, a to moja riposta. Powiedziałem ci, że lubię niespodzianki. Chcę kupić jedną od ciebie.

– A mianowicie?

To nie zapowiadało niczego dobrego.

– Nie mów Karris o Zymunie.

Jasne, bo Kip wrywał się, żeby powiedzieć Karris o Zymunie. „Cześć, macochu, poznałem twojego prawdziwego syna. Wiesz, tego, którego próbowałaś ukryć. Bękarta. Ach, i w dodatku to najpotworniejsza osoba, jaką poznałem. Próbował mnie zabić. Ach, i próbował też zabić twojego męża, swojego ojca”.

– Załatwione – odparł szybko Kip. – Jeśli.

Andross nie zapytał „Jeśli co?”.

– Oczywiście – powiedział – jeśli szepniesz słówko komuś, kto mógłby jej powiedzieć, oznacza to zerwanie naszej umowy.

Jestem zółwio-niedźwiedziem, a nie gnidą.

– Oczywiście – odpowiedział poirytowany.

– Jakie „jeśli”?

– Zamierzasz wysłać Czarnogwardzistów na ślizgaczach, żeby szukali mojego ojca.

– Rydwanach morskich – poprawił go Andross. – Tak, oczywiście. Coś w jego tonie podpowiedziało Kipowi, że to tylko półprawda.

Andross nie zamierzał wysłać Czarnogwardzistów, a jeśli nawet, to planował poszukiwania czegoś innego. Jednakże teraz robi to, przymuszony. Zatem było to zwycięstwo, uznał Kip.

– Będę mógł z nimi pojechać.

– Czeka cię tu zbyt wiele nauki. Tego zażądałby dla ciebie twój własny ojciec.

– W tej kwestii nie ustąpię. Jeśli będę musiał, sam zrobię sobie ślizgacz i samotnie wyruszę na poszukiwania.

Andross zacisnął usta. Kip wystawiał jego cierpliwość na próbę.

– Możesz pojechać raz. W wyznaczonym przeze mnie czasie.

– A ty przysięgasz, że Czarnogwardziści będą go szukać?

Irytacja rozbłysła w oczach Androssa. Kip go przyłapał. Już powiedział, że to zrobi, więc odmowa przysięgi ujawniłaby kłamstwo.

– Zrobione. Przysięgam – odparł Andross.

– Zrobione – potwierdził także Kip.

– A teraz powiedz mi, co wiesz, i niech się przekonam, jak korzystną umowę zawarłem w ciemno.

– Zymun żył, kiedy ostatni raz go widziałem – odpowiedział Kip. – Pojmał mnie po bitwie o Ru, po tym jak Artylerzysta wyrzucił mnie z powrotem do morza. Zymun znalazł mnie na plaży i zabrał jako więźnia. Walczył po stronie Księcia Barw, jak wiesz.

– Wiem. Stwierdzę, że wysłałem go jako szpiega, jeśli będzie mi to odpowiadało.

Kip już miał wrażenie, że źle wyszedł na tej umowie. A jeśli nie znajdzie niczego w bibliotekach?

Opowiedział dziadkowi całą historię pojmania i zrelacjonował czas spędzony w łodzi z Zymunem.

– To zmija. Nie ma w nim ludzkiej dobroci. Naśladuje uczucia, jakby je miał, ale w środku jest tylko pustka. Jest cieńszy od pergaminu i gorszy niż...

– Niż? – zapytał Andross.

– Niż stary pająk wzdęty trucizną – odparł beznamiętnie Kip, jakby to mogło, ale nie musiało odnosić się do samego Androssa.

Andross, co dziwne, w ogóle na to nie zareagował. Wrócił do gry i wyłożył swoje karty do ataku, wszystkie, porzucając jakikolwiek zamiar obrony. Kip wyciągnął rękę do swoich zegarów, ale się zawahał.

– Nie – powiedział Andross – atakują się wzajemnie.

I tak, zamiast zaatakować Kipa i skrócić jego życie do jednego zegara, sześć koloraków Androssa rozerwało się wzajemnie na strzępy.

– O, do diabła – powiedział Kip.

-Twoja kolej.

Pierwszy zaatakował morski demon Kipa, a ponieważ zabrakło mu przeciwników, rzucił się na ciężki galeon Kipa. Zatopił go bez trudu. Kip spojrzał na swoje karty. Nie miał niczego. Ale to jeszcze nie oznaczało końca. Karta, której potrzebował Andross, to Zogniskowany Płomień, żeby wyposażyć Zwierciadło Bez Skazy. Karta należała do talii, a Andross grał, jakby już ją miał, to jednak nie znaczy, że tak rzeczywiście było.

– Poddajesz się? – zapytał Andross.

– Nigdy.

Kip właśnie wylosował Amun Tępa, ale przy słabym słońcu będzie potrzebował dwóch tur, żeby zebrać moc potrzebną do zagrania tą postacią. Niech to diabli! Zamiast tego zagrał ciężkim pojedyńkowiczem w lustrzanej zbroi – Grathem Hrozakiem. Z książek Kip wiedział, że prawdziwy człowiek osobiście zamordował setki ludzi, nie licząc śmierci, które zlecił. Służył cesarstwu tyrejskiemu na długo przed Lucidoniusem. Odbierano mu dowództwo i przywracano z powodu jego brutalności. Nigdy nie zdobył miasta, ale zabił prawie wszystkich mieszkańców przez ukrzyżowanie, chłostę albo jedno i drugie.

Nadeszła kolej Androssa. Spojrzał w karty i westchnął.

– Weź sobie do serca tę lekcję, wnuku.

Zagrał Zogniskowanym Płomieniem, wyposażając Zwierciadło Bez Skazy. Ponieważ dopiero minęło południe na słonecznych licznikach, mógł zadać dość strat, żeby przebić się przez Gratha Hrozaka, absorbować niewielkie uszkodzenia zadane przez odbijającą lustrzaną zbroję i zabić Kipa.

– A to jaka lekcja? – zapytał Kip, ledwie mogąc się opanować.

To była szczęśliwa sekwencja.

– Ze czasem trzeba poświęcić wszystkich swoich ludzi, żeby wygrać? Że czasem nawet taka bestia jak Grath Hrozak nie może cię ocalić? Że nigdy nie powinienem grać z potężnym Androssem Guile w Dziewięć Króli? Sprowadzę tu twojego brata, kiedy tylko go

odzyskam. A odzyskam go. Nie mogę dokonać wszystkiego, czego potrzebuje nasza rodzina, w pojedynkę. Potrzebuję prawej ręki. Inne opcje... nie sprawdziły się. Mam tylko Zymuna i... ciebie. Uczynię jednego z was nowym Pryzmatem. Z tego, co mi powiedziałeś o Zymunie, wynika, że jeśli wybiorę jego, zapłacisz za to życiem. Nie będzie chciał mieć rywala za plecami.

Kipa przeszedł dreszcz. Przypomniawszy sobie Janus Borig, jak mówiła: „Cały czas próbuję narysować ciebie jako następnego Pryzmata i nie mogę. Nie będziesz następnym Pryzmatem, Kip”. Uniósł podbródek i zaszydził:

– Zatem o to chodzi? Spodziewasz się, że zacznę ci się teraz przypochlebiać? Myślisz, że łyżka miodu w beczce dziegciu wszystko zmieni? Już wcześniej próbowałeś mnie zabić...

-Tak, tak, rozmawialiśmy o tym małym nieporozumieniu...

– ...i zawiodłeś. Nie zapominaj o tym, staruszk.

Andross zacisnął usta tak, że zamieniły się w białą linię. Zapadła nabrzmiała groźbą cisza.

-To ostrzeżenie to uprzejmość. Udzieliłem go po części z powodu tamtego nieporozumienia. Nie szukam marionetki ani płacznego sługusa, Kip. W większości wypadków byłem głęboko niezadowolony z rządów twojego ojca. Słaby człowiek stanowi marnego Pryzmata. Okazanie mi szacunku to nie jest oznaka służalczości, wnuku, to oznaka mądrości.

Andross Guile podszedł do swojego biurka, napisał notkę i wręczył ją Kipowi.

– Stań się silnym człowiekiem, Kip. Masz mało czasu. Możesz odejść. Daj to Grinwoody'emu na odchodnym.

– Jak mam cię przekonać, że powinienem być następnym Pryzmatem? – zapytał Kip. Chociaż wcale mu nie zależało. Chociaż wcale się nie bał.

– Wyznaczę ci zadanie, kiedy zwrócisz moje skradzione karty...

– Myślałem, że uwierzyłeś, że to nie ja... – Kip urwał, kiedy zobaczył paskudne spojrzenie Androssa Guile, bo śmiał mu przerwać. – Przepraszam.

– Wierzę, że ich nie ukradłeś. Pewnie złodziejem był mój drogi syn. No, chyba że jesteś lepszym kłamcą, niż myślę. Chcę je odzyskać... I chcę dostać nowe karty. Niech to będzie twoja misja. Masz czas do Dnia Słońca. Nie można dłużej czekać z ogłoszeniem Pryzmata elekta. Jeśli nie dasz mi kart, wszystkich, nie ty nim zostaniesz.

– Naprawdę skreśliłeś mojego ojca.

– Wielki strateg powiedział raz, że każdą militarną klęskę można podsumować w dwóch słowach „za późno”. Kiedy plan zawodzi, nie załamujesz rąk, ale realizujesz następny.

Mój ojciec był tylko planem, który zawiódł?

Kip nie czuł wściekłości, co go zaskoczyło. Zamiast tego pomyślał: „To twój syn. To twój

syn, a tylko tyle możesz powiedzieć?”. Czy to było tak proste i beznamienne dla jego dziadka, czy też gdzieś tam w głębinach kryło się złamane serce?

Zamiast powiedzieć o tym, zapytał:

– Jaka to była lekcja? Znaczący, z dzisiejszej rozrywki?

– To była jedna lekcja czy też wiele lekcji? – zapytał Andross, jakby mówił do siebie. –

Oto jedna: gdy zapędzasz człowieka w kozi róg i pokazujesz mu, że nie ma wyjścia. Kiedy znajduje się całkowicie w twojej mocy, ale nadal żyje... Wtedy obserwujesz go najuważniej.

– Andross wyciągnął kilka kart z rękawa i rzucił je na stół.

To były wszystkie najlepsze karty z jego talii.

– A teraz wyjdź... – odwrócił się plecami, zanim dokończył zdanie "...wnuku. Przyślij tę młodą Malargos. Tisis? Muszę się przekonać, jak bardzo chce zostać następną Bielą. Jeśli się nie mylę, pewnie będzie mile dla oka ubrana.

ROZDZIAŁ 37

Kip nie marnował czasu przed pójściem do zakazanej biblioteki. Zatrzymał się tylko po drodze, żeby zabrać torbę, czyste arkusze papieru i te kilka osób ze swojej drużyny, które zastał w koszarach. Szczawi obowiązywał czas na naukę, dwie godziny dziennie. Od każdej drużyny oczekiwano, że wszyscy jej członkowie będą uczyć się w tym samym miejscu. Cruixer jednak mógł kogoś zwolnić, jeśli ta osoba miała ważny powód, z czego Teia często korzystała.

Jednakże zasady nie mówiły, gdzie dokładnie drużyna ma się uczyć, a jeżeli Kip chciał wyrwać się na kilka godzin w ciągu dnia, tylko ten czas wchodził w grę. No, chyba że odpuściłby sobie któryś posiłek.

Nie do pomyslenia.

Poza tym, notatka oznajmiała zasadniczo: „Kip załatwia moje sprawy w bibliotekach. Nie wolno mu przeszkadzać. Promachos Guile”. Kip żałował, że napisano „w bibliotekach”. Gdyby nie to, miałby pozwolenie, żeby robić, co zechce.

Zebrał drużynę. Teii znowu nie było. Wszyscy rwali się do zobaczenia miejsca, które jest zakazane. Nie zawiedli się też, kiedy przeszli obok bibliotekarza strzegącego drzwi. Mężczyzna raz zerknął na list, poblądł i bez słowa przepuścił Kipa z drużyną.

Zakazana biblioteka zajmowała prawie pół poziomu w niebieskiej wieży. Wszędzie było połyskujące drewno, wypolerowana miedź i fotele. Luksusowe biurka z wygodnymi krzesłami i niewolnicy, którzy zaspokajali wszelkie potrzeby – każdy nosił miedziany naszyjnik z wisiorkiem z dwóch czarnych kamieni z wyrytą paryjską runą. Kip jej nie rozpoznał. Zapytał o nie.

– Wszyscy są niepiśmienni i niemi – wyjaśnił cicho Benhadad. – Żeby nie mogli szpiegować, co czytasz.

– Och, słyszałem o tym – zgodził się Ferkudi; podekscytowany mówił na cały głos. – Motyla noga, niektórym niewolnikom specjalnie obcięto języki, żeby mogli tu służyć!

– Oni nie są głusi, Ferk – mruknął Benhadad.

– Och, przepraszam. – Ferkudi zniżył głos. – Chwila, czemu przepraszam niewolników?

Spiorunował wzrokiem niewolnika i kiedy inni nie patrzyli, Kip zauważył, że niewolnik pomachał kikutem języka do Ferkudiego, który aż się wzdrygnął. W następnej chwili kiedy inni odwrócili się zobaczyć, czemu Ferkudi się cofnął, niewolnik stał bez ruchu.

Ferkudi zaklął pod nosem, ale nie wziął odwetu.

Benhadad podszedł do regału z książkami i przejrzał tytuły. To potrwało chwilę, ale nikt się nie wtrącał. Benhadad przyjmował pomoc tylko wtedy, kiedy musiał przyswoić mnóstwo tekstu, a w przeciwnym wypadku mógł wpaść w złość.

-To miejsce wygląda, jakby Najwyżsi Luksjaci urządzili tu sobie prywatny salon. To nie są zakazane książki. Myślę, że po prostu czcigodni preceptorzy nie lubią siedzieć na tych samych twardych ławkach co pozostali.

- Ten niewolnik nie ma przypadkiem wina? – zapytał Daelos. – Myślicie, że mógłbym...

- Nie – chórem odpowiedzieli Benhadad, Kip, Cruixer i Duży Leo.

Nie licząc czterech niewolników i luksjata, który strzegł drzwi, zakazana biblioteka była pusta. Drużyna zestawiała razem kilka biurek, przesuwając meble z bezkarnością młodzieży, Czarnogwardzistów albo przyjaciół młodego lorda, który otrzymał specjalne pozwolenie od dziadka. Uczucie było cudowne, ale Kip ścisnął przy sobie pozwolenie, przekonany, że w każdej chwili ktoś może na nich nawrzeszczeć.

Szybko usadowili się do czytania. Cruixer nie zgodziłby się na nic innego. Tylko Kip dostał pozwolenie, by grzebać po półkach. Łapał książki na oślep, oprawne w skórę opisaną wyblakłymi runami i wypełnione delikatnym pismem – Kip nie od razu zorientował się, że to język, który potrafi odczytać. Opis pewnej wsi, o której nigdy nie słyszał, wypełniony słownictwem, które musiało być obcego pochodzenia. Inny zwój najwyraźniej dotyczył uprawy ziemi. Kolejny cały spisano po staroparyjsku. Inny w języku, jakiego Kip nigdy nie widział na oczy. Następny w runach.

Relacja o pigmejach – nie z Krwawej Puszczy, nie z archaicznych Krwawych Równin, ale z Tyrei. Tyrei? Brzmiało to fascynująco; niestety, daty zapisano w skrótach, jakich Kip nigdy nie widział, więc nie miał pojęcia, jak dawno tę relację spisano, a opisywała czasy o kilkaset lat wcześniejsze.

Nie miał pojęcia, jak zorganizowano tę część biblioteki, a biorąc zwoje na oślep, nigdy nie zdoła znaleźć niczego pożytecznego. Ruszył do frontowej części, po bibliotekarza stojącego w korytarzu. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że tamten rozmawia z młodszymi luksjatami:

- ...i zgłóście Najwyższemu Luksjatowi, że nie może przysyłać więcej... Mogę dać mu znać, kiedy szpiedzy wyjdą, ale...

- Nie możesz kazać nam odnosić tego wszystko z powrotem. Czy niewolnicy nie mogą...

Kip wyszedł i zobaczył, że czterech młodych przyszłych luksjatów wzdrygnęło się, zdradzając poczucie winy. Każdy niósł stos zwojów lub książek.

- Co tu się dzieje? – zapytał Kip.

Wszyscy spojrzeli na starszego luksjata, a Kip wiedział, że usłyszy kłamstwa.

-To zwykła rutynowa praca. Zwrot zwojów, które wymagają naprawy. – Odwrócił się do kandydatów na luksjatów. – Dziękuję wam, możecie je odłożyć i odejść.

– Ale zanim odejdziecie – powiedział Kip – macie podać mi swoje nazwiska.

Znowu spojrzeli na bibliotekarza.

Kip westchnął, świetnie odgrywając irytację.

– Kto jest Najwyższym spośród Najwyższych Luksjatów? – zapytał. Nie czekał na odpowiedź bibliotekarza, że Pryzmat. – To mój ojciec. Kto dowodzi Chromerią w czasie jego nieobecności? Promachos. To mój dziadek. Który kazał wam pomagać mi, kiedy wypełniam jego polecenia. Myślicie, że nie widzi, co robicie?

Bibliotekarz pobladł.

– Podajcie mu nazwiska – powiedział.

Zrobili to, a Kip odrzekł:

– Dobrze, a teraz chcę, żebyście poszli odszukać luksjata, który nazywa się Quentin Naheed. Macie zażądać, żeby natychmiast tu do mnie przyszedł. To rozkaz podpisany ręką promachosa. Rozumiecie?

Rozproszyli się. Został sam z bardzo zakłopotanym bibliotekarzem. Kip spojrział tylko na niego, próbując nadać swojej minie coś z Androssa Guile. Bibliotekarz odwrócił wzrok, a Kip uśmiechnął się szeroko. To działa!

Próbował odzyskać tę zaciekleść, ale mijały minuty, a on zbliżył się najwyżej do srogości.

– Ej, Kip! Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miał zaparcie – powiedział Quentin Naheed, wchodząc do biblioteki.

Kip się skrzywił.

-Jak znalazłeś... Och, bądź pozdrowiony, bracie Anirze.

Bibliotekarz skrzywił się i zamierzał coś powiedzieć.

– Bracie Anirze – odezwał się Kip – możesz wrócić na swój posterunek.

Mężczyzna odszedł, a Quentin spojrział na Kipa, zaskoczony, że ma władzę nad luksjatem.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział Kip. – Nie tylko dzisiaj.

Pokazał mu pisemne zezwolenie.

– Pomógłbym i bez tego – odparł Quentin. – Myślałem o naszym wcześniejszym spotkaniu i... masz rację, okłamałem cię, a to niegodne luksjata Orholama. To się więcej nie powtórzy, nigdy. Przysięgam na światło i nadzieję na wieczność. Usłyszysz ode mnie tylko prawdę, niezależnie od ceny.

Kip uniósł brew. Co za dziwny młody człowiek. Jednakże Quentin mówił śmiertelnie poważnie. Kip domyślał się, że ci, którzy zostają luksjatami, są specyficzni z definicji.

– Świetnie – odpowiedział, czując, że powinien zareagować jakimś stosownie poważnym

oświadczeniem, ale nic mu nie przychodziło do głowy. – Te tutaj teksty. Co to jest?

– Mogę je przejrzeć i powiedzieć, o czym jest każdy. Tego właśnie szukasz? – zapytał Quentin zaskoczony.

– Nie, nie. Jakimś młodszym kandydatom na luksjatów kazano je tu przynieść, a ja chciałem wiedzieć dlaczego. Brat Anir powiedział, że były naprawiane. To prawda?

Quentin przejrzał książki i zwoje. Skrzywił się.

– Nie chcę posądzać nikogo o kłamstwo, ale... stan tych dzieł nie odpowiada stanowi książek, które wracają z introligatorni. Mistrzynie Takama nigdy nie przepuściłaby takiej roboty. Niektórych z nich nie naprawiano od dziesięcioleci. Nie wszystkie też wymagają naprawy, więc nie mogą ani wracać z introligatorni, ani tam się wybierać.

– No to co jest?

– Nie wiem. – Quentin wypowiedział te słowa z dziwnym naciskiem.

– Będiesz naprawdę uczciwy czy tylko zasadniczo uczciwy? – spytał Kip.

Quentin się zawahał.

– Masz rację. Będę musiał... Będę musiał dużo się modlić, widząc, jak odruchowo ukrywam prawdę, gdy w grę wchodzi moi ludzie. Powinienem był powiedzieć „nie wiem, ale mogę się domyślać”. I jestem pewien, że zaraz zapytasz, czego się domyślam. – Odetchnął. – Te książki pochodzą z innych zakazanych bibliotek.

– No i?

Podeszła reszta drużyny. Kip wszystkich przedstawił, a Quentin był coraz bardziej onieśmielony, ale po prezentacji Kip znowu go przycisnął.

– Do różnych bibliotek potrzebne są różne zezwolenia, można otrzymać dostęp do jednych, ale nie do innych. Dostęp do tej biblioteki jest zastrzeżony dla tych najwyższej postawionych. Tak naprawdę to nigdy w niej nie byłem.

– Cwane – przyznał Benhadad wszystko pojmując; pokręcił głową.

– Co takiego? – zdumiał się Ferkudi.

– Niechętnie to mówię, ale popieram pytanie Ferkudiego – powiedział Cruixer.

– Promachos Guile otworzył większość zakazanych bibliotek, żeby można było studiować zakazaną magię. Tylko w celach obronnych – powiedział Benhadad.

– Magisterium nie było zadowolone – dodał Quentin.

– I dlatego luksjaci przenoszą książki ze świeżo otwartych bibliotek do tych, które nadal są zamknięte – wyjaśnił Benhadad.

– Teoretycznie to nie jest akt nieposłuszeństwa – powiedział Quentin. – To znaczy, rozkaz promachosa mówił o otwarciu bibliotek, a nie, że wszystkie znajdujące się w nich książki powinny być dostępne.

– Zasadniczo to jest zwykła ścierna.

– Owszem – przyznał Quentin. – Musisz jednak zrozumieć, że to był trudny czas dla Luksjatów. Pół tuzina naszych najbardziej szanowanych uczonych stało się pośmiewiskiem, kiedy odkryto, że mara naprawdę istnieje. Odebranie nam przywileju, jakim była wyłączność na studiowanie zakazanych tekstów, było dla nas bardzo trudne. A tym bardziej, kiedy zwykli krzesiciele albo Czarnogwardziści bez żadnego przygotowania odkrywali czasem coś, co my przegapialiśmy latami. To tryskająca studnia upokorzenia.

– Będziesz miał poważne kłopoty, bo z nami rozmawiasz, co? – powiedział Cruixer.

– O, bez wątpienia.

– Cóż, już się w nie wpakowałeś. Może nadszedł czas na zawarcie nowych przyjaźni – powiedział Ferkudi. Posłał Quentinowi szeroki przyjazny uśmiech, objął umięśnioną łapą wąskie ramiona luksjata.

Quentin uśmiechnął się niepewnie.

ROZDZIAŁ 38

Jak na miasto, w którym światło nigdy nie gaśnie, Wielki Jaspis miał mnóstwo ciemnych zakamarków.

A Zakon znał najwyraźniej wszystkie.

Wydawało się, że miasto i niebo spiskują, by sprowadzić ciemność. Teia zgarbiła się, postanawiając sobie, że nie da się przestraszyć. Ciemne chmury udusiły księżyc grubiejącymi paluchami i niebiańskie zwierciadło wyzionęło ducha. Mgła napływała kłębami znad wody, uderzała o mury jak wojsko w samobójczym ataku i przewalała się nad nimi. Przez kilka minut Teia widziała, jak mgła gromadzi się nad murami, a potem spada kaskadą na ulice.

Kiedy mgła ją przemoczyła i przesłoniła widok, Teia usłyszała krzyk w pobliskiej ulicy. Nie, nie krzyk. To tylko kot wydzierał się w złości. i nagle miauczenie ucichło.

Wilgoć wygładziła uliczny bruk. Teia zobaczyła rozkołysaną gwiazdę przesuwającą się nad nią i jej wyobraźnia potrzebowała kilku chwil na uspokojenie, zanim zdała sobie sprawę, że to tylko latarnia wartownika. Przeszedł po murze dokładnie nad nią i nawet jej nie zauważył. Teia przesunęła dłoń po ścianie i wmówiła sobie, że nie zrobiła tego dla uspokojenia.

Idziesz na śmierć, wydawało się, że szepcze latarnia, kiedy odpływała w dal. Znajdź światło!

Jestem niewolnicą, a nie...

Zatrzymała tę myśl. Nie była niewolnicą. W każdej chwili mogła odejść. Miała pieniądze w kieszeni. Miała pieniądze w koszarach. Mogła wykupić się i wrócić do domu. Mogła odejść i... co?

Mogła to sobie przemyśleć. Miała czas. Miała rodzinę. Mogła...

Strach cię ogłupia. Popatrz, co tu mam. Popatrz, czego dokonałam. Kto w domu uwierzy, że rozmawiałam z Bielą, już nie mówiąc o tym, że Biel wyznaczyła mi zadanie kluczowe dla przetrwania Siedmiu Satrapii? Kto by uwierzył, że trenowałam z dowódcą Żelazną Pięścią, już nie wspominając o poprowadzeniu go do ataku na fortecę na Półwyspie Ruckim? Do diabła, zważywszy na mój kolor, kto uwierzy, że w ogóle jestem krzesicielką?

Jaki jest pożytek z parylu w szerokim świecie? Mogę zabijać ludzi w tajemnicy? Och, cudownie. Będę miała mnóstwo okazji skorzystać z tej umiejętności w porządnym

towarzystwie. Mogę widzieć przez ubrania? Och, cudownie, powiedz mi, proszę, jak dobrze wyposażony jest lord Fuddykins! Ha.

Nie jesteś już niewolnicą, Teia. Zatem kim zostaniesz?

Zakon mnie nie zabije. Gdyby mieli taki zamiar, już by to zrobili. Prawda? A jeśli zmienią zdanie? Jeżeli w przyszłości zechcą ją zabić, bez trudu ją odnajdą, prawda? Albo jej rodzinę.

Teia musiała oprzeć się na chwilę o mur, kiedy ścisnęło ją w gardle. Ciemność i mgła napierały, ciążyły jej, oblepiały ją, nie mogła przez nie oddychać, wdzierały jej się do gardła, naruszały granice ciała. Oczy jej się rozszerzały, coraz bardziej i bardziej, i Teia poczuła mrowienie wchodzącego w nią parylu.

Wykrzesalam go, kiedy się bałam. To już jakiś postęp, prawda?

Latarnia parylu rozkwitła na jej pięści i przeszła ciemność we wszystkich kierunkach. Przenikał mgłę, jakby w ogóle jej tam nie było i nadał dziwny, metaliczny połysk kamieniom i brukowi. Wydawało jej się, że coś usłyszała, więc się obejrzała. Nic.

Kiedy odwróciła się z powrotem, stał przed nią zakapturzony człowiek w płaszczu. Morderca Sharp. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, a może zadowolonego, że ją widzi.

– Dobry kolor. Wąskie spektrum, prawie się nie rozplywa. Masz dryg. W przypadku parylu musimy brać, co nam wpadnie w ręce. Chodź ze mną.

– Inaczej pan wygląda – powiedziała Teia.

Ostatnim razem, kiedy go widziała, miał falbankę pomarańczowych włosów wokół łysiny. Najwyraźniej to był podstęp, bo teraz nie był łysy. Włosy mu odrosły, chociaż nadal były króciutko przycięte. Wyglądał przez to trochę młodziej. Zapamiętał też brodę, zarost wytyczał schludną linię żuchwy.

– Na swoje przekleństwo jestem bardzo charakterystyczny. Muszę więcej pracować nad przebraniem. Zazdroszczę ci twojej nijakiej urody.

– Dziękuję?

– To był komplement. Masz pojęcie, jakie to cenne, że twój rysopis brzmi: „smukła, o niezbyt ciemnej i niezbyt jasnej skórze, średniego wzrostu, chociaż raczej niższa niż wyższa, ciemnowłosa, względnie ładna”? Wszystkie charakterystyczne rzeczy, które ludzie zapamiętają, można usunąć jak znamię albo perukę, a przy twoim odcieniu skóry będziesz wyglądać naturalnie zarówno w peruce o falujących włosach w kolorze ciemny blond, jak i w czarnych paryjskich lokach. Bycie zapamiętanym albo zapomnianym to kwestia życia i śmierci w mojej pracy, więc owszem, zazdroszczę ci. Jesteśmy na miejscu.

Zapukał do drzwi, wybijając dziwny, synkopowany rytm.

Świetnie, na dodatek będę musiała jeszcze zostać perkusistką.

Drzwi się otworzyły i światło wylało się na ulicę. Teia zwęziła źrenice i wypuściła paryl.

Ktokolwiek otworzył drzwi, wycofał się do drugiego pokoju za wejściem. Morderca Sharp wręczył jej białą szatę do włożenia na ubrania.

– W żaden sposób nie zdradzaj swojej tożsamości. Pozostali będą narażeni na tym większe niebezpieczeństwo, im więcej będą wiedzieć. Już usłyszenie twojego głosu będzie dostatecznie złe.

Dał jej też ciemne okulary i welon z białego materiału. Sam ubrał się podobnie, tyle że założył oprócz tego maskę z prawdziwym białym futrem i żółtymi zębami; wyglądała jak pysk warczącego zwierzęcia, czegoś pomiędzy łasicą a niedźwiedziem. Potem zaprowadził ją do następnego pomieszczenia.

To była kuźnia. Latarnie rzucały wesołe światło i przenikały ciemność na zewnątrz. Znajdowało się tam kilkanaście osób gawędzących cicho w grupkach. Wszyscy nosili płaszcze i welony. Tylko kilka osób nosiło maski łasicy-niedźwiedzia. Welony były zwykłymi kawałkami białego materiału, które zwieszały się z kapeluszy, zostawiając odsłonięte tylko oczy. Niektóre postaci nosiły ciemne okulary. To musieli być krzesiciele, którzy zadbali, żeby nie zostali rozpoznani przez wzory luksynu w oczach.

Oczywiście, przebrania nic nie znaczyły dla parylowego krzesiciela. Gdyby Teia spróbowała, mogłaby przeniknąć przez ich ubrania, przez ich maski, ich głupotę. W sekundę przeszła od przerażenia do szyderczego śmiechu, który omal jej się nie wyrwał.

No dobrze, możliwe, że ten śmiech był histeryczny. Spokojnie, Teia. Weszła za panem Sharpem do kuźni i rozejrzała się po postaciach w czerwonym świetle paleniska kowalskiego.

– Pokój – powiedział mężczyzna o chrapliwym głosie.

Chciał w ten sposób przywołać wszystkich do porządku czy mówił o tym pomieszczeniu? Teia omal znowu się nie roześmiała. Rety, panuj nad sobą, dziewczyno.

Chciała odchrząknąć, nie udało jej się, nie śmiała spróbować drugi raz, bojąc się zakłócić ciszę, która nagle zapadła.

Chociaż był niski, pozostali najwyraźniej podporządkowywali się mężczyźnie o chropawym głosie. On jeden nosił dwa welony. Ten, który miał pod białym materiałem, wyglądał na misternie utkaną cieniutką metalową kolczugę.

– Jeśli Chromeria lub jej ludzie odkryją was tutaj albo usłyszą o tym spotkaniu, zostaniecie pojmani przez Urząd Doktryny. Będziecie torturowani. Wasze ziemie i tytuły zostaną wam odebrane. Wasze rodziny poniosą karę. Wasze zwierzęta i domy zostaną spalone, jakby herezję można było oczyścić ogniem. – Przerwał na chwilę. – Jeśli nie macie odwagi umrzeć w milczeniu, odejdźcie teraz i nie bądźcie więcej częścią tego towarzystwa. Drzwi są tam.

Myśl o torturach z rąk ludzi, którym służyła, zamieniła się w lód w żołądku Teii. Czy Biel wyciągnęłaby ją, gdyby została pojmana?

Tylko jeśli posłużyłoby to jej celom. W takiej wojnie ratowanie Teii nie byłoby najlepszym posunięciem dla Bieli. Każde zagrożenie, o którym Teia usłyszała, było prawdziwe. A to wszystko, kiedy zostanie odkryta przez przyjaciół. O ile gorsze byłoby ujawnienie przez Zakon? Spojrzała na drzwi, zastanawiając się, czy mężczyzna mówi szczerze. Mogła teraz odejść?

– Nie ma wśród nas tchórzy – powiedział. – Dobrze.

Teia chciała krzyknąć: „Chwileczkę! Myślę, że ja mogę być tchórzem. Mogę zastanowić się trochę dłużej?”.

Było na to za późno.

Zebrani ustawili się w krąg w pomieszczeniu z przerwą na płonące palenisko. Dziwne, że ogień palił się nocą. Pośrodku stał zwykły stół. Teię przeszedł dreszcz, kiedy rozpoznała zgromadzone na nim rzeczy. To wszystko były przedmioty skradzione na zlecenie Aglaili Crassos – idealny materiał do szantażu, pozwalający ją zdemaskować i zniszczyć, gdyby już wcześniej nie wyznała wszystkiego Bieli.

– Wysłuchajcie kazania pierwszego kręgu.

-Wysłuchajcie, oszukani – zadudnili zgromadzeni, jakby to była część modlitwy.

– Wszystko, co wiecie o Chromerii, to kłamstwa – powiedział zachrypnięty mężczyzna.

– Wysłuchajcie, oszukani – odpowiedzieli zgromadzeni.

– Gavin i Dazen zniszczyli świat w imię swojej żądz i dumy. Jednak z pożogi, z setek tysięcy śmierci wyniknęło coś dobrego. Ci z nas, którzy sprzymierzyli się z Dazenem Guile, ujrzeli, jak nasze nadzieje umierają, kiedy Gavin Guile wyszedł chwiejnym krokiem z dymów pod Strzaskaną Skałą. Mądrzejsi z nas uciekli. Większość się ukryła. Jednakże niektórzy byli prześladowani przez mściwych, przez morderców pragnących wykorzystać wojnę, by ukryć swoje zbrodnie, przez zabójców nasłanych, żeby uciszyć nas, z powodu tego co wiedzieliśmy.

Zamilkł i przez dłuższą chwilę nic nie mówił, jakby ożyły w nim wspomnienia.

Nikt z pozostałych się nie wtrącił, więc Teia także się nie poruszyła.

– Podczas naszej ucieczki wielu straciliśmy. Dobrych ludzi, którzy nie popełnili żadnej innej zbrodni, oprócz tego, że przegrali. Innych wzięto do niewoli, sprzedano Ilytanom w ramach handlu, który Chromeria potępia, ale dla którego powstrzymania niczego nie uczyniła.

– Wysłuchajcie, oszukani.

– Ale. – Uniósł palec. – W każdej ciemności jest nadzieja na światło. Bo światła nie można zakuć w łańcuchy.

– Światła nie można zakuć w łańcuchy – zaintonowali pozostali.

– Mała grupka naszych uciekła na ataską pustynię, przez Spękane Ziemie, ścigana ponad miesiąc na pustkowiach. W końcu nasi prześladowcy poddali się, a my odkryliśmy, że nie mamy dość wody, by wrócić do domu. Dlatego parliśmy dalej. Znaleźliśmy Wielką Rozpadlinę dzień po tym, jak wypiliśmy resztki wody. Zeszliśmy do niej, tracąc po drodze dwóch braci. A na dnie odkryliśmy starożytne opuszczone miasto wykute w ścianach urwiska. Znaleźliśmy wielkie cysterny z wodą, odnawiane przez mały strumyk, znaleźliśmy dzikie kozy do jedzenia i znaleźliśmy luksyn, w jakiego istnienie nie mogliśmy uwierzyć, ale najcenniejsza ze wszystkiego, co odnaleźliśmy, była prawda.

– Wysłuchajcie, oszukani.

– Nie byliśmy pierwszymi, którzy trafili do tego miejsca. To było Braxos. Miasto mające tysiące lat. Pigmeje z najciemniejszych zakątków Krwawej Puszczy twierdzą, że mieli wspólnych przodków z Braxianami. Znaleźliśmy szczątki małej społeczności, która później tam żyła: uczonec z uczennicą, później jego żoną. Wyruszyli na poszukiwanie miasta i jak my prawie umarli, ale dwieście lat wcześniej. Zostali tam dwa lata, próbowali wrócić do domu, do Chromerii, poddali się i zawrócili, przekonani, że nie da się pokonać Spękanych Ziem. Zostali tam do końca życia, mieli dzieci. Społeczność przetrwała trzy pokolenia, zanim poddała się skutkom chowu wsobnego, który osłabił ich tak, że nie przetrwali w tej surowej krainie. Jednak czego dokonali w tym czasie! Przetłumaczyli skóry mające tysiąc lat i zachowali te teksty w piśmie, które potrafiliśmy odczytać. Po raz pierwszy usłyszeliśmy o czasach przed Lucidoniusem. – Spojrzał na Teię, jakby badał jej duszę. – Czas, byś usłyszała prawdę i zdecydowała.

– Wysłuchajcie prawdy, oszukani.

– Braxianie zawsze wiedli tam ciężkie życie, chociaż ich kraina nie była jeszcze Spękany Ziemią. Niemniej była to pustynia i żyło im się nielekkko. W tamtych czasach wiercono, że każdy kolor ma swojego boga lub boginię, a ludzie trzymali się jednego z nich. Krzesiciele nie mogli nigdy służyć dwóm kolorom, ponieważ każdy był w stanie wojny z każdym, a w najlepszym razie byli sobie niechętni. Krzesiciele napływali do tych części świata, gdzie mogli znaleźć swój kolor, pogłębiając różnice. Żyzne równiny Ruthgaru dawały mnóstwo zieleni, więc zieloni całego świata opuszczali swoich ludzi i przenosili się tam, budowali swoje świątynie, nawozili równiny rok po roku, czyniąc je jeszcze zieleńszymi. Podobnie było z Czerwonymi Klifami Atashu, wulkanami w głębi Tyrei, i tak dalej. Braxianie wierzyli w coś innego. Dla nich w magii nie chodziło przede wszystkim o światło; światło tylko uruchamiało, przewodziło wolę, pozwalało jej wpłynąć w świat, w społeczność. Nie uważali też, jak uznała później Chromeria, że Wola jest ograniczona. Nie uważali, że zużywają dusze, tworząc golemy. Uważali, że Wola to mięsień, który wzmacnia

się przy każdym użyciu, a nie wyczerpuje jak piasek w klepsydrze. Kiedy bogowie powstawali i upadali, wszystkie dziewięć królestw jęczało pod ciężarem zmagają. Kiedy czerwoni zebrali się pod sztandarem Dagnu Trzynastego, ruszyli na wojnę i wybili wszystkich niebieskich aż do ostatniego dziecka, zaburzyli równowagę. Przez jedno pokolenie bez niebieskiego krzesania, czerwień oszalała, pustynie rozprzestrzeniały się, ziemie pękały, morza się dławiły. Wszędzie panowały susze, a spośród wszystkich ludów Braxianie byli najbardziej narażeni. Ich bratnie plemiona na pustyni zginęły. Nie lepiej było, kiedy niebiescy zemścili się dwa pokolenia później: wody podniosły się i zalały dna kanionów. Wody było tak wiele, że wypłukała żyzną glebę. Braxianie uznali, że muszą znaleźć jakąś moc, która da im wpływ na wydarzenia w świecie. W świecie, który ich ignorował, nieświadomie miażdżył w swoich wojnach. My ze swojej strony możemy...

– ...słuchać i wierzyć – dołączyli do niego zebrani.

Teia wyczuła, że konkretne słowa opowieści mogą się różnić, ale pewne kluczowe frazy wywołują określone reakcje. To sprawiło, że po karku przebiegł jej dreszcz.

– To były narodziny Zakonu. Najpierw był tylko jeden: Ora'lem, Ukryty, pierwszy Cień. Nosił płaszcz przepojony całą wolą polichromatycznego rozszczepiacza światła, kobiety, która miała talent, jaki Chromeria kłamliwie przypisuje jedynie Pryzmatom. Jednak Ora'lem zginął, kiedy stawił czoło podczerwonemu, ponieważ jego płaszcz osłaniał go tylko przed widzialnym spektrum. Po jego śmierci z ogromną trudnością odzyskano płaszcz i Zakon zdecydował, że Cienie powinny zawsze pracować w zespołach składających się z mężczyzny i kobiety, ponieważ istnieją miejsca zamknięte dla mężczyzn i miejsca zamknięte dla kobiet, a silne strony jednego będą równoważyć słabości drugiego. W ciągu pokoleń Zakon zgromadził czternaście płaszczy, niektóre wspanialsze od pozostałych. Dwa, obecnie utracone, które należały do dawnych wędrowców mgieł, działały w całym spektrum. Ci wojownicy, czternastu pierwszych Cieni, poruszali się niewidoczni wśród ludzi całego świata. Czternaście prawych kling, które zaprowadzały sprawiedliwość. Czternastu wędrowców mgieł chroniło lud z Braxos i słabych na całym świecie. Podróżowali wśród wszelkich krzesicieli, szeptali do uszu tych, których moc zagrażała równowadze, mówiąc im, by zaprzestali. Kilka razy to zadziało. Jednakże znacznie częściej nie i wtedy czternastu sprowadzało śmierć na nielicznych, żeby utrzymać przy życiu rzesze.

Przywracali równowagę, jak Pryzmat, tyle że siłą. Mordując.

– Braxos rozkwitało i zaznało takiego dobrobytu, jak nigdy dotąd. Już sama wieść, że Braxianie życzą sobie, żeby czerwoni ograniczyli użycie magii, sprawiała, że czerwoni tak czynili, panowali nad swoimi kapłanami bez potrzeby zabijania. Trwał pokój, a magia rozkwitała. Kiedy inni nie mogli nic zdziałać i koloraki terroryzowały okolice, to Migotliwe

Płaszcz interweniowały. Zakon był surowym opiekunem srogiego świata. Jednak świat jest rozpieszczonym dzieckiem, nie znosi opiekunów, nawet kiedy najbardziej ich potrzebuje.

Zgromadzeni powiedzieli chórem:

– Jesteśmy strażnikami. Jesteśmy rękami nocy. Jesteśmy niewidzialnymi wędrowcami. Jesteśmy mieczem poranka i obuchem północy. Stoimy w gotowości. Na wojnę, na pokój, na życie i śmierć, stoimy w gotowości.

Moi nowi przyjaciele to szaleni samozwańcy strażnicy i mordercy krzesicieli.

– W świecie stale stojącym na krawędzi zguby, gdy tylko nasze dłonie utrzymywały go w równowadze, pojawił się młody człowiek w okresie wstrząsów. Odkryto nowe techniki, równowaga była zagrożona ze wszystkich stron. Został Migotliwym Płaszczem i stał się, jak szybko dostrzeżliśmy, największym spośród nas w całych dziejach. Nazywał się Diakoptes.

– Diakoptes, Zdrajca!

– Braxiańscy szlifierze soczewek byli najwspanialszy na świecie, i to oni odkryli, jak wtapiać metale w szkło i tworzyć soczewki, które zmieniają świat. Blenda smolista i ołów do czerwonych soczewek, siarka i wapń do żółtych, kadm i siarka do pomarańczowych, aury pigment i żelazo do zielonych, kobalt i siarka do niebieskich. To miał być nasz sekret, nasze nowe moce. Nie musielibyśmy już dłużej polegać na siedmiu drużynach, na próbach odnalezienia polichromatycznych rozszczepiaczy światła, żeby tworzyli nowe migotliwe płaszcze, kiedy stare ktoś skradł albo zniszczył. Potem nadszedł młody człowiek. Nazywał się Diakoptes.

– Diakoptes, Zdrajca!

– Cień Diakoptes zabijał dla nas we wszystkich dziewięciu królestwach. Słynął ze swojego temperamentu w równym stopniu, jak z umiejętności posługiwania się ostrzem i obuchem. Zaczął eksperymentować z czarnym luksynem, kolorem, który mogą krzesać tylko ci z wielkim złem w sercu. Stawał się coraz bardziej zepsuty i pożywał władzy. Wysłaliśmy do niego ludzi, starych przyjaciół, by go ubłagali. Zabił ich. Skradł projekty swoich ludzi, klejnot braxiańskiej pracowitości i dwustu lat innowacji i wyposażył w nie wojsko. A wraz z wojskami przyniósł najkrwawszą wojnę, jaką dziewięć królestw kiedykolwiek widziało. Zmiażdżył je pod swoim butem, a siebie okrzyknął zbawcą. Wolnych iż mężczyzn nazwał heretykami, a genialne kobiety bestiami. Znamy go pod jego prawdziwym imieniem: nazywał się Diakoptes.

– Diakoptes, Zdrajca!

– Ale ty możesz go znać pod innym imieniem. Imieniem, jakie przybrał, aby upodobnić się do boga: Lucidonius, Dawca Światła.

Teia nie powinna być zaskoczona, że mordercy i heretycy stworzyli bluźnierczą wizję Lucidoniusa, a jednak była. Nawet najordynarniejsze narzekania niewolników na temat tego, że Lucidonius przeoczył ciężką dolę niewolnika, nadal zakładały, że Lucidonius, będąc człowiekiem, jedynie to przeoczył, a nie że był z gruntu zły.

Zagryzła usta i nic nie powiedziała, patrząc po zakapturzonych postaciach. Na końcu spojrzała na stos skradzionych przez siebie rzeczy, leżący na stołku, nieco z boku.

– Magisterium naucza, że mamy tylko jedno życie, jeden sąd, jedną wieczność. Nie ma w nich miłosierdzia dla tych, którzy narodzili się w niskim stanie, gdzie czekają ich tylko złe wybory, jakby córka szlachetności i córka hańby miały takie same szanse w cnotliwym życiu. Braxianie byli życzliwsi, bardziej ludzcy. Wiemy, że...

– W śmierci jest oczyszczenie z grzechów. W odrodzeniu nadzieja na zbawienie – zaintonowali pozostali.

– Nazywał siebie Drugim Okiem Orholama. Tak więc narodził się Zakon, który miał złamać Oko. I tak zabiliśmy naszego ulubionego syna Diakoptesa. Nie w nienawiści, ale w nadziei. W nadziei na odrodzenie. W nadziei na wybawienie.

– Czekamy z nadzieją i niecierpliwością – odpowiedziano mu chórem. – Łamacze niezłamani, nasze Długie Czuwanie trwa.

-Tak kończy się kazanie pierwszego kręgu. Obyśmy wszyscy byli godni dowiedzieć się więcej.

Zaśpiewano coś w języku, którego Teia nie rozumiała. Podobnie jak niektórzy ze śpiewających, sądzą po tym, że zostawali w tyle za innymi przy nieznanym sylabach. Potem odśpiewali najpewniej zgrubne tłumaczenie, nie tak rytmiczne: „Prawdziwi w ciemności i w świetle prawdziwi. Prawdziwi za dnia i nocą prawdziwi. Uczciwi, zaciekli, silni i lojalni, lecz, póki zła nie naprawimy, niewidzialni”.

Przywódca podszedł i zniżył głos tak bardzo, że pozostali mogli słyszeć tylko urywki ponad szumem miechów, przy których jedna z osób pracowała.

– Wiesz, co to jest.

Podniósł srebrną bransoletkę i odłożył.

– Rzeczy, które ukradłam na rozkaz swojej pani.

– Szantaż – powiedział.

– Szantaż – zgodziła się.

Zniżył głos jeszcze bardziej.

-Wśród oszukanych, Adrasteio, zawsze będziesz była niewolnicą. Największy awans, na jakim możesz liczyć, to zostać Czarnogwardzistką. To dobra pozycja jak dla byłej niewolnicy. Zwykle. Gorsza w czasie wojny. Każdy wie, że standardy Czarnej Gwardii obniżono, żeby uzupełnić szeregi. Będziesz się mierzyć z problemami, na które w czasie

pokoju Czarna Gwardia nigdy by się nie zgodziła. Być może umrzesz dla Bieli, chociaż ona sama jest krok od śmierci. Nie przetrwa następnych dwóch lat. A kto ją zastąpi? Ktoś, kogo możesz kochać i szanować? Czy z radością oddasz życie za Czerwień? Takiego życia chcesz? Niewolnik wywyższony, ale nadal niewolnik. Czy tylko na tyle cię stać?

Skinął na dwie zakapturzone postaci i odsunął się.

Głośniej dodał:

– Chcemy ciebie, nowicjuszu, ale nie wciągniemy cię do służby szantażem. Zakon nie szuka niewolników. Możesz być żołnierzem, którego oni wykorzystają jako mięso armatnie albo dla nas stać się kimś więcej. Szukamy Cieni. Chcemy dać ci szansę coś zmienić. Zmienić bieg historii. Wziąć nędzną jałmużnę, jaką dał ci świat, zażądać więcej i oddać w zamian więcej. Nie ma cięższej pracy od tej, którą oferujemy, ale razem możemy zmienić świat.

Postaci wystąpiły naprzód i umieściły srebrne przedmioty w powgniatanej misie na końcu łopaty. Włożyły ją do ognia i Teia patrzyła, jak srebro dygocze, traci formę i topi się, gotowe do ponownego przekucia.

ROZDZIAŁ 39

– Chcę, żebyś mnie dźgnął – powiedział Gavin.

On i młody Malargos stali na pokładzie w świetle wczesnego poranka.

– Słucham?

– Już mnie nim dźgnięto. Chyba ze dwa razy.

– Gdzie? – spytał Antonius.

– Pod Garristonem i pod Ru. Widzisz? Za każdym razem to były statki.

– Miałem na myśli twoje ciało.

– Ach, w plecy, tutaj, i prosto przez pierś, tutaj.

Nadal brakowało im ubrań, więc jak reszta dawnych niewolników Gavin chodził bez koszuli. To gorszyło młodego lorda, który zaproponował mu własne szaty, ale Gavin nie mógł ich przyjąć z powodów, których nie ujawnił. Oznaczało to, że kiedy wskazywał miejsca, gdzie go dźgnięto, pokazywał skórę.

Antonius się przysunął.

– Żadnych blizn. Żadnych blizn?

– Myślę, że to część magii. To musi być część magii.

Antonius uniósł miecz i wbił go w pokład. Szubek wszedł głęboko w wypolerowane, utwardzane ogniem drewno. Spojrzał na Gavina z powątpiewaniem.

– Myślę, że w moim przypadku działa to inaczej – zapewnił go Gavin.

Bardzo dużo myślał ostatniego dnia wolności. Najpierw myślał o Karris – Karris, o której myśli były tak bolesne, kiedy przebywał w piekle pod pokładem. Widział jej uśmiech, łuk szyi, włosy, teraz jasne, łyzy radości, kiedy obejmują się znowu. Czuł jej palce na twarzy przez sen, kiedy upewniała się, że on naprawdę tam jest. Wyobrażał sobie, jak leciutko gryzie jej palce, zaskakując ją, jak się razem śmieją. Wyobrażał sobie jej smukłe nogi wokół swoich bioder, jej ciepłe objęcia, ale to nadal budziło ból. Jego ciało było wydrążone jak misa smutków i wyobrażanie sobie przyjemności, które znowu je napełnią, było torturą. Zamiast tego próbował wyobrazić sobie, co Karris powie, kiedy zobaczy jego oczy. Poślubiła Pryzmata. Pogodziła się z kosztami poślubienia najpotężniejszego człowieka na świecie, ale zaakceptowała też nagrody.

Już nie był tym człowiekiem. To, co jej obiecał, to nie to, co jej ofiaruje. Co powie Karris na widok tej zwiędłej łuski?

Nie jestem tym, czym byłem kiedyś. Jakich jeszcze szlachetnych dzieł mogę dokonać? Ja, kaleka.

To także było zbyt okrutne, by to znieść. Pomyślał więc o mieczu--muszkiecie. To czerń w nim zniewalała Gavina. Wyglądała jak obsydian. Jednak nikt nie zdołałby nadać obsydianowi kształtu tak delikatnych spirali, nie był plastyczny. Obsydian pękał, zyskując twarde, ostre brzegi. W czasie wojny, ci których stać było na obsydian, robili z niego brzegi grotów do strzał, ponieważ przebijał się przez luksyn lepiej niż stal. Stać było na niego tylko nielicznych. Wiadomo było jednak od dawna, że przeszkadzał w krzesaniu. Piekłiszcze, tak nazywali go krzesiciele, uważając go za uosobienie ciemności, negacji światła i co za tym idzie, narzędzie wroga.

Gavin kazał swoim ludziom – to znaczy ludziom prawdziwego Gavina – zebrać wszelką broń wzmacnianą piekłiszczem, wszelkie klejnoty i ozdoby, umieścić w kilku skrzyniach i „zgubić” je podczas powrotu na Wielki Jaspis. To była wojna, chociaż sam jej koniec, i różne rzeczy ginęły. Wykorzystał ten skarb do wyłożenia tuneli więzienia Gavina pod Chromerią. Bardzo dobrze znał obsydian.

A to nie miało sensu.

– Możemy spróbować po trochu, zamiast od razu cię przebić i mieć nadzieję? – zapytał Antonius.

– Kiedy tak to ujmujesz, brzmi całkiem sensownie – zgodził się Gavin.

Antonius się skrzywił. Uniósł miecz i wymierzył w pierś Gavina.

– A może ja będę trzymał miecz w miejscu, a ty będziesz szedł naprzód, tak daleko jak zechcesz, i może wtedy załoga nie przeciągnie mnie pod kilem za zabicie ciebie?

– W porządku.

Gavin przyłożył czubek biało-czarnego miecza do piersi. Pochylił się...

... i odskoczył, przeklinając. Krew płynęła mu po skórze.

Antonius też odskoczył, wytrzeszczając oczy. Przez chwilę milczeli, podczas gdy Gavin rozcierał ranę.

– Zatem... nie tak to zadziało poprzednio? – zapytał Antonius.

Gavin zaklął głośniej, sklął niebiosą. W żadnym razie nie mógł tego sobie wyobrazić. W każdym razie nie za drugim razem. Sztylet był sztyletem, kiedy walczył o niego z ojcem, Grinwoodym i Kipem, a potem stał się mieczem. Artylerzysta przyznał, że wyciągnął go z piersi Gavina, że ostrze przebijało go na wylot.

Może to działało tylko raz. Odbierało człowiekowi całą magię i po sprawie. Tyle że obsydian tak nie działał. Potrafił wysączyć cały luksyn z krwi, to jasne, ale nie uniemożliwiał człowiekowi ponownego krzesania. Nawet cały obsydian tego nie potrafił.

– Mogę wypróbować go na tobie? – zapytał Gavin.

– Powiedziałeś, że odebrał ci zdolność krzesania – powiedział Antonius.

Oczywiście, Gavin wcale nie chciał mu tego mówić, ale też nie miał jak tego uniknąć. Chłopak poprosił go, żeby dokonał kilku napraw statku, krzesząc, i Gavin nie miał jak wykręcić się od tego kłamstwem.

– Zgadza się. Zgaduję tylko, rzecz jasna, ale kolejność zdarzeń się zgadza.

– Zatem chcesz, żebym porzucił swoją zdolność czynienia magii, by zaspokoić twoją ciekawość? – spytał Antonius. – Nie zrozum mnie źle, chcę pomóc, ale... Może poczekamy i znajdziemy jakiś inny sposób?

Gavin westchnął. Nie mógł mieć pretensji do chłopaka.

– Już prawie pierwsza wachta. Czas się kończy. Musimy podjąć decyzję.

Wczoraj, pod wpływem początkowego uniesienia i strachu po prostu wiosłowali aż do zmroku, byleby tylko uciec. Żaden z niewolników nie pomyślał o posłużeniu się sekstansem i kompasem, by sprawdzić ich położenie, a było pochmurno. Antonius Malargos powiedział, że znajdowali się pomiędzy Rath i Jaspisami, dwa dni od Rath.

Załoga zebrała się na pokładzie. Wielu tam spało z obawy, że ktoś przyjdzie i znowu przykuje ich do wiosła. W narastającym świetle różanopalcej jutrzeńki zajęli swoje miejsca.

Antonius przemówił pierwszy.

– Tego dnia musimy zdecydować, dokąd zmierzamy. Mamy jedzenie i wodę na ile? Pięć dni? Słyszałem opowieści o waszej wytrzymałości przy wiosłach i jestem pewien, że zdołalibyście przebyć połowę wybrzeża Krwawej Puszczy i potem z powrotem połowę wybrzeża Ruthgaru, ale mamy tylko dwie realne możliwości: popłynąć na Wielki Jaspis albo do Rath.

– Dlaczego mielibyśmy płynąć do Rath? – zapytał ktoś.

– Zapomniałeś o trzeciej opcji – wtrącił ktoś inny. – Możemy dalej zajmować się piractwem. Dzień Słońca się zbliża, na wodzie pojawią się wszelkiej maści grube ryby, na które możemy zapolować.

– Posłuchajcie mnie! – przerwał mu Antonius.

Był zbyt strachliwy, za młody. Myślał, że żeglarze przestają go słuchać. Nieprawda. Oni zwyczajnie chcieli zakosztować wolności. Nic tak nie sprawia, że człowiek czuje się wolny, jak kiedy przerywa lepszym od siebie i nie ponosi za to żadnej kary. Dla ludzi, którzy żyli pod batem, to było wyborne wino.

– Oferuję wam wolność i coś więcej – mówił. – Moja kuzynka, lady Eirene Malargos, jest szlachetna, bogata i wpływowa. Jeśli wylądujecie w niewłaściwym mieście, uznają was za zbiegłych niewolników, zwierzyne, na którą każdy może zapolować. Jeżeli wylądujecie w gorszym miejscu, uznają was za buntowników. Zostaniecie powieszani albo przeciągnięci

pod kilem. Moja kuzynka załatwi wam dokumenty dobre w każdej stolicy. Wolność. Nigdy więcej nie będziecie musieli uciekać.

Oczywiście dzielimy się ładunkiem. Po równo dla wszystkich. Ja nie wezmę udziału, chociaż was uratowałem. To wszystko i jeszcze po pięćdziesiąt danarów dla każdego.

– Chcemy też zachować statek! – krzyknął ktoś.

– Wredna Szkapa zostanie sprzedana, a zyski podzielimy razem z resztą udziałów – odparł Antonius. – Tylko wtedy każdy dostanie równą część. Jeśli część z was chce się zebrać i ją kupić, to wasza sprawa.

Gavin wstał.

– Lordzie Antoniusie – powiedział, skłaniając głowę. – Chcę, byś wiedział, jak bardzo wszyscy doceniamy ciebie i twoje działania. Dopilnujemy, byś został hojnie nagrodzony. Jednakże nie wiem, po co w ogóle próbujesz. Płyniemy na Wielki Jaspis, bo każdą twoją ofertę podwoję.

Mężczyźni zaczęli wiwatować.

Jednak Antonius uniósł rękę bez słowa i poczekał. Ktoś wrzasnął:

– Zamknąć mordy, hołoto, niech lord podbije cenę!

Inni roześmiali się, ale wreszcie ucichli.

– Dwie rzeczy – powiedział Antonius. – O jednej wiecie, o drugiej nie możecie. Po pierwsze, wszyscy znacie reputację Eirene Malargos. Jest twardym kupcem, ale zawsze dotrzymuje słowa, choćby nie wiadomo co. Po drugie, w normalnych czasach Gavin Guile mógłby dwukrotnie przebić każdą naszą ofertę. W normalnych czasach Gavin Guile dotrzymałby przyrzeczenia, chociaż wiemy, że Guile’owie zapracowywali na swoje nazwisko na nowo po tysiąckroć w każdym pokoleniu.

To była odrobinę zbyt skomplikowana konstrukcja dla żeglarzy. To byli prości ludzie. Jednak Gavin się nie wtrącał. Niech chłopak rozegra ten gambit. Gavin znowu dominował. To była jego gra. Nie zamierzał pozwolić, żeby odebrano mu załogę, z którą służył przez wiele miesięcy. Nie pozwoli na to. Widział, że prorok Orholam patrzy na niego z ogromnym skupieniem.

– To nie są normalne czasy. Jak słyszałem od was przez całą zeszłą noc, Światłowładca Andross Guile dźgnął własnego syna i wyrzucił za burtę. – Zamilkł na chwilę. – Powiem wam teraz, że światłowładca nie siedział beczynnie podczas nieobecności syna.

Ludzie patrzyli na Gavina, a on poczuł, jak narasta w nim trwoga.

– Andross Guile został mianowany promachosem – powiedział Antonius. – I skupił w swoich rękach całą władzę w sposób, w jaki nawet Gavin Guile nie zdołał w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata. Nie chce, żeby wrogi mu syn, którego myślał, że zamordował, wrócił. Dla własnego dobra i dla dobra Gavina, ostatnie miejsce, do którego chcecie płynąć,

to Wielki Jaspis.

Gavinowi zaparło dech. Pojął wtedy, że chłopak mówi prawdę.

I za późno zrozumiał, że mają na to tylko jego słowo. Jednakże ci żeglarze, niewyszkoleni w sztuce oratorstwa – wielu nich nie umiało nawet czytać – potrafili czytać z twarzy. Nieskrywana trwoga Gavina była potwierdzeniem wszystkich słów Antoniusa.

– Ale Gavin jest Pryzmatem. To musi się liczyć...

– Czyżby? – zaproponował Antonius. – Wiem, że w to wierzycie. Ja też wierzę, że jest Pryzmatem. Jeśli jednak wróci na Wielki Jaspis i jego ojciec go złapie, a on wykrzyknie „Jestem Pryzmatem!”, to czyż nie powiedzą wtedy: „Zatem krzesz, Pryzmacie, ratuj się, wykaż się!”. On nie może krzesać. Nie może udowodnić, kim jest. Gavin jest naszym przyjacielem i naszym Pryzmatem, owszem, wierzę w to! Ale teraz, wiedziony pragnieniem powrotu do domu, jest jak pijany przyjaciel, który chce przepłynąć morze. Nie jest dobrym przyjacielem ten, kto zachęci pijanego, by płynął. Udowodnijcie swoją przyjaźń dla Gavina i swoje oddanie dla Pryzmata... nie pozwalając mu narażać życia.

Gavin nie miał na to odpowiedzi, żadnej riposty. Jego złote usta były zbyt ciężkie, by wypowiedzieć słowa. Nie przemyślał tego, za bardzo skupił się na niewłaściwych kwestiach. Wymanewrował go dzieciak. Gavin popełniał błędy. Zagubił się.

– Powiedzcie mi – odezwał się Antonius – co dzieje się z prostym żeglarzem, kiedy wchodzi między dwa walczące olbrzymy? Powiem wam, co się nie dzieje. Prosty żeglarz nie dostaje podwójnej zapłaty. W ogóle nie dostaje nagrody. Od razu zostaje zabity. Powiedzcie mi więc, kto chce płynąć do Rath?

ROZDZIAŁ 40

Kip nie wiedział, czemu był zaskoczony. Myślał, że kiedy już dostanie się do zakazanych bibliotek, jego problemy się rozwiążą. Jakby sam fakt, że trzeba o coś walczyć, oznaczał, że to coś dobrego. Prawda była trudniejsza do znalezienia. Książki były wypełnione relacjami, których luksjaci nie chcieli, żeby czytano, ale znalezienie dokładnie tego, czego Kip potrzebował – zwłaszcza gdy nie wiedział, co to takiego – okazało się daleko trudniejsze.

Zakazana biblioteka stała się drugim domem drużyny. Kiedy Kip nie trenował z Karris, nie uczestniczył w wykładach ani nie trenował w Czarnej Gwardii, przychodził tutaj. Jeśli Andross Guile był początkowo poirytowany, że Kip wykorzystał pozwolenie, żeby wpuścić do biblioteki wszystkich przyjaciół, to dał się udobruchać, kiedy Kip zameldował mu o tym, że luksjaci w sekrecie przeciwstawiają się promachosowi.

Kip był przekonany, że doszło potem do bardzo nieprzyjemnych dyskusji między Androssem i Najwyższymi Luksjatami, ale oczywiście nie był tego świadkiem. Cieszył się także, widząc, że Andross zablokował wszelkie próby bezpośredniej zemsty, jaką luksjaci mogliby wyrzucić na Quentinie. Chociaż młody uczonec nie czerpał z tego wielkiej pociechy.

– Światło nigdy nie zapomina – powiedział.

– Hę? – zdumiał się Kip.

– W ten sposób mówimy, że luksjaci są pamiętliwi – wyjaśnił Quentin, nawet nie podnosząc wzroku znad nudnego tomu archaicznej teologii.

Quentin większość czasu wypełniał własnymi poszukiwaniami, wykorzystując dostęp do zakazanych materiałów, jaki zapewnił mu Kip, żeby napisać swój traktat, ale okazał się także kluczowym wsparciem i dobrym przyjacielem dla drużyny.

– Orholamie, zlituj się – powiedział Cruixer.

Skończył własną naukę tego dnia i pomagał Kipowi w szukaniu książek na temat czarnych kart. Odsunął się od zwoju, który rozłożył przed sobą.

– Co? – spytał Ferkudi.

Wszyscy siedzieli wokół stołu. Ferkudi i Daelos – który nauczył się czytać dopiero w zeszłym roku i nadal szło mu to wolno – mozolili się z nauką niemal w równym stopniu, jak Benhadad, który potrafił czytać od lat, ale nadal miał problem ze słowami pływającymi mu na stronie.

Wszyscy oderwali się od pracy. Okazało się, że Magisterium zakazało mnóstwa nudnych materiałów, ale od czasu do czasu trafiali na perłę.

– Nie możesz nam nie powiedzieć – odezwał się Duży Leo. – Od dwóch godzin czytam o kwitnieniu roślin. Kwitnieniu roślin, Cruxer. Kwitnieniu. Roślin.

Kip bardzo lubił Dużego Leo. Jego matka była akrobatką, a ojciec siłaczem z wędrownego cyrku. Zginęli w Wojnie Fałszywego Pryzmata. Ferkudi powiedział, że to przez to, że ojciec Leo nie potrafił walczyć mimo swojej ogromnej siły. Duży Leo przysiągł, że stanie się najlepszym wojownikiem, żeby nigdy nie być bezbronnym. Ale poza tym, że bywał strasznie zacięty, gdy krzesał czerwień albo podczerwień, był przyjazny i kpiarski.

– Miałem pewne wyobrażenie o kulcie zielonych... – Rozejrzył się po zgromadzonych i nagle się zakłopotał. – Przepraszam, Teia.

– Daj spokój – odparła. – Mów dalej.

Przez większość czasu drużyna traktowała ją jak jeszcze jednego chłopaka, ale ani oni, ani ona nie byli szczególnie konsekwentni w tym, kiedy nie należało traktować jej w ten sposób.

Pokręcił głową.

– To brzmiało, jak niezła zabawa, nie? Orgie, dzikie pijaństwo, tańce i, ehm, świątynne dziewczęta...

– To nie były tylko świątynne dziewczęta – wtrąciła Teia.

Spojrzeli na nią.

– Żadnych takich – ostrzegła.

Cruxer odchrząknął.

– W każdym razie... Właśnie natknąłem się na instrukcje, jak zaplanować rytuał. To, ehm... To instrukcje, jak przygotować niemowlęta na ofiary. Nie tylko wyjaśniają, jak usunąć serce z niewielkiego ciała, ale mówią też, że instrumenty mają głośno grać, kiedy dzieci zaczną płakać, rozcinane, żeby wyznawcy nie... nie stracili wiary.

Cała drużyna przez chwilę milczała.

– Niech ich Orholam przeklnie – powiedział Duży Leo.

– Z tym mogę sobie poradzić. To znaczy, słyszałem, że przekładano dzieci przez płomień i... – Cruxer wzruszył ramionami. – To była tylko historia. Ale to... Najgorsza część to szczegóły dotyczące wyboru dzieci w drodze losowania „z powodu typowego problemu związanego z tym, że rodzice ofiarowują więcej dzieci niż potrzebny tuzin”. To nie był jakiś zły kapłan, który wyrывał dziecko z ramion młodej matki. Oni robili to ochoczo. Nasi przodkowie. Nasi ludzie. Jak mogli?

– Pozwolisz? – odezwał się Quentin. – Był kiedyś kapłan-wojownik imieniem Darjan, który według opowieści widział i brał udział w najgorszym, co składa się na wojnę:

masakrach, mordach, torturach i gorszych rzeczach. Był w tym wszystkim doskonały. Był pogańskim kapłanem i przywódcą, ale Lucidonius osobiście go nawrócił i po całym życiu wypełnionym wojnami w siedmiu z dziewięciu królestw Darjan wyłupił sobie oko, przeniósł się do Tyrei i przeżył resztę dni jako ascetyk. Codziennie wspinał się na szczyt... cóż, posągu czy czym jest teraz Strzaskana Skała, czy też... toczą się wokół tego dyskusje... nieważne. Spędził trzydzieści lat, modląc się od świtu do zmierzchu i... to znowu nieistotne kwestie. Powiedział raz: „Przez większość naszego życia fakt, że Orholam jest sprawiedliwy, powinien napełniać nas strachem, ale są takie chwile, kiedy ta prawda to jedyna rzecz, jaka może przynieść nam pokój”.

– Chcesz powiedzieć, że to przegapiłem, urywając się z wykładów na temat żywotów świętych? Morderczy kapłan-wojownik, który obozował pod Rehtonem? Sam wspinałem się na ten posąg!

– To się nazywa przegapić sens wypowiedzi, Łamacz – rzuciła Teia.

– Trzeba przesiedzieć mnóstwo wykładów, żeby trafić na te dobre – powiedział Quentin.

Zaśmiali się, ale wszyscy wiedzieli, że tylko próbują zamaskować śmiechem to, co właśnie usłyszeli. Byli jednak gotowi zmienić już temat.

– To trochę jak: „Spójrz najpierw w siebie, ale patrz też na zewnątrz?” – zapytała Quentina Teia.

To było stare powiedzenie.

– Właściwie tak. Prawdziwe słowa przypisuje się Ambrosiusowi Abraxesowi: „Patrzaj wpierw w swe najskrytsze zakamarki. Przeszukaj je i poznaj, jako zna je sam Orholam, a wtedy możesz zwrócić wzrok ku uczynom tych, którzy ciebie prześladują”. Niektórzy święci mieli prawdziwy dar wymowy, a inni... – Bibliotekarz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Cruker, nadal poważny, powiedział:

– Oto z kim walczymy. To nie była wina jednostki. Jednego złego kapłana, ciemniącego społeczność, która się go bała. To cała społeczność, ochoczo uczestnicząca w tym, co wiedzieli, że jest złe.

– Nie ma dowodów, że ludzie Księcia Barw dokonali czegoś podobnego – zauważył niechętnie Benhadad.

– Ale chcą, żebyśmy do takich rzeczy wrócili!

– Pewnie nawet o tym nie wiedzą – oponował Benhadad. – Ukryto to tutaj, w tej bibliotece. Skąd mieliby...

– Stoisz po ich stronie? – zapytał Cruker. – Czytałeś to, powiedz mi, czy takie rzeczy nie wyjaśniają w znacznym stopniu, dlaczego Chromeria wysłała w świat luksorów.

Przy stole zapadło milczenie. Z nich wszystkich Quentin wyglądał najgorzej.

– To był... mroczny rozdział w historii Magisterium. Nie lubimy nawet o tym mówić.

– Słyszałam plotki, że niektórzy z Najwyższych Luksjatów osobiście agitowali, żeby zwrócić Urzędowi Doktryny część jego dawnej władzy – odezwała się Teia.

Quentin pokręcił głową.

– Inni luksjaci mówią takie rzeczy niemądrze, zgadza się, ale nie sędzę, żeby sprawy sięgały aż tak wysoko.

– Jednakże nie zdławili tych plotek – zauważył Kip.

– Boją się – odpowiedział Quentin. – Są jednak mądrzejsi niż przestraszeni. Możemy im ufać.

– Na pewno to samo myśleli ludzie, kiedy pierwszy raz ustanowiono luksorów – powiedział Benhadad.

– Quentin ma rację – rzuciła Teia. – Mają powody, żeby się bać. Za każdym razem, kiedy słyszymy o wojnie, mówi się o takich klęskach jak ta w Zatoce Ruckiej. Nawet pogłoski o zwycięstwach nie mają sensu. Zwycięstwo pod Studniami Sitary? A dwa tygodnie później zwycięstwo pod Amittonem? Nasze wojska cofają się tak szybko, że mało nóg nie połamią, by odnieść kolejne „zwycięstwo”? Myślę, że wszędzie przegrywamy, a oni nas okłamują.

– Dość o wojnie – przerwał im Cruxer. – Moim zdaniem nie powinniśmy więcej czytać tych książek. Nie bez powodu ograniczono do nich dostęp. Myślę, że ta wiedza zasługuje, by przepadła.

– Nie możesz mówić poważnie – zaprotestował Benhadad.

– Spójrz na to, co właśnie przeczytałem. Nie mogę tego usunąć z głowy! Nie przeczytałem wam wszystkiego. Jest jeszcze gorzej. A nawet nie doszedłem do końca. Co złego jest w powiedzeniu, że w pewnych sytuacjach inni wiedzą od nas lepiej?

– Nie zaufałbym nikomu, że najlepiej wie, co dla mnie dobre – odparł Benhadad.

– To może Czarna Gwardia nie jest miejscem dla ciebie – warknął Cruxer – bo na to się zgadzasz za każdym razem, kiedy przyjmujesz rozkaz.

– Dość! – zawołał Kip. – Cruxer, przepraszam, że przeze mnie musiałeś to czytać. Jeśli musisz przestać, przestań. Ja jednak muszę to zrobić.

– Naprawdę? Nawet nie wiesz, czego szukasz.

Trafił w czuły punkt. Przejrzeli otępiającą ilość genealogii. Klytos Niebieski był, jak większość arystokratów, spokrewniony niemal z każdym i chociaż natrafili na tuzin skandali, żaden nie dotyczył bezpośrednio Klytosa. Coraz łatwiej było uznać, że marnują czas.

– Jeśli nie możesz znieść grozy tego, do czego zdolny jest człowiek, to może nie powinieneś być w Czarnej Gwardii – odgryzł się Kip.

Zapadła cisza.

Zawsze pogodne oczy Cruxera stały się lodowate.

– Łamacz, będziemy częścią tej wojny, czy tego chcesz, czy nie. Niektórych z nas, siedzących przy tym stole, ona zabije. A zmieni nas wszystkich. To nie znaczy, że powinniśmy rwać się do tych zmian. Większość z nich nie jest na lepsze.

– Te książki mogą zapewnić nam przewagę potrzebną do wygranej – oponował Kip.

– Najlepszym, czego te książki mogą nas nauczyć, jest zakazana magia.

– Dla obrony! – wtrąciła Teia. – Jak mamy się bronić przeciwko czemuś, czego nawet nie znamy?

– Wiedza jest jak muszkiet. Możesz posłużyć się nim jak pałką, ale czy to zrobisz? Kiedy w grę będzie wchodzić twoje życie? To dla mnie cud, że luksjaci w ogóle zdołali odizolować tę wiedzę. Łamacz, w tamtej chwili kiedy trzymałem Lucię w ramionach, a ona umierała, splamiłbym się każdą znaną lub nieznaną magią, gdybym tylko mógł pomścić jej śmierć.

Twarze wokół stołu spoważniały. Młody luksjat był bliski omdlenia. Zdradza niezwykłą wrażliwość na myśl o potępieniu, uznał Kip.

– Nie chodzi tylko o niebezpieczeństwo dla naszych dusz – powiedział Cruixer. – Jeśli my się nią posłużymy... krzesiciele Księcia Barw też to zrobią.

-Jeżeli zdołają pojąć tę magię. Nie mają naszych ksiąg – zauważyła Teia.

– A jeśli nauczą się w walce z nami? Wtedy uznają, że muszą się nią posłużyć, bo my z niej korzystamy.

– Pewnie już nad tym pracują – powiedział Duży Leo. – Te rzeczy zostały zakazane przez nas, tych, których oni nienawidzą i pragną zniszczyć. Bądźmy realistami: nie powstrzyma ich wiara, której nie podzielają.

– Mówimy tu o wyścigu zbrojeń – naciskał Cruixer.

– Nie my go zaczęliśmy – powiedziała Teia. – My tylko zaczynamy biec, zanim oni przekroczą linię mety.

– Jedyne rozwiązanie, by wyrwać się z wyścigu zbrojeń, to wygrać – wtrącił Benhadad.

– W takich zwycięstwach ginie wielu ludzi – odparł Cruixer.

– Lepiej stracić idealizm niż życie – odrzekł Kip.

– Wszyscy się z tym zgadzacie? – zapytał Cruixer.

Nikt nie był z tego powodu rozradowany, ale wszyscy pokiwali głowami.

– Może w tej kwestii powinniśmy posłuchać Kipa, kapitanie – odezwał się Ferkudi. – W końcu to Po... Auć! Teia, co jest, u diabła?

Pomasował zebro.

Spojrzała na niego. Wszyscy wokół stołu ukrywali uśmieški.

-A, racja, mieliśmy nie mówić o Po... po... pomniejszym członku drużyny? – dokończył Ferkudi.

Wszyscy wokół stołu jęknęli. Duży Leo schował twarz w dłoniach.

– Wy znówu to? – zapytał Kip.

Wiedział, że spekulowali. Każdy chce żyć w punkcie zwrotnym historii, prawda? A jeżeli człowiek nie jest na tyle arogancki, by łudzić się myślą, że sam jest Powiernikiem Światła, to z pewnością zaraz na drugim miejscu plasuje się przekonanie, że zna go osobiście.

– Ale nie wszyscy, prawda?

– A zatem... – rzuciła Teia, zmieniając temat. – Tak, kapitanie, wszyscy się zgadzamy.

Cruxer wypuścił powietrze. Popatrzył na zebranych.

– Nie mogę poprowadzić was tam, dokąd za mną nie pójdziecie, zatem zgadzam się. Chcę jednak, żebyście pamiętali: mieliśmy wybór.

Kip chciał się dopytać o te bzdury na temat Powiernika Światła, ale zważywszy na złowieszczy ciężar poruszonego wątku, było to zbyt niezręczne.

Podjęli naukę. Stopniowo wrócili do narzekania na archaiczny styl albo na liczbę rzeczy, których opanowania oczekiwali od nich preceptorzy, na trening w Czarnej Gwardii lub – w przypadku Quentina – na to, że nadal nie potrafi rozgryźć organizacji zbiorów zakazanej biblioteki, która nie trzymała się żadnego typowego schematu.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Cruxer odciągnął Benhadada na bok.

– Ben, pozwól na słówko.

Kip został w tyle.

– Ben, ta drużyna jest jak organizm. Wszyscy odgrywamy w niej różne części ciała, ale musimy współpracować. Muszę wiedzieć...

– Chodzi ci o to, że powiedziałem, że nie ufam, że ktoś inny wie, co dla mnie najlepsze? – zapytał Benhadad.

– Zgadza się.

– Crux, nie wierzę, że wiesz, co jest dla mnie najlepsze, ale ufam, że wiesz, co jest najlepsze dla drużyny. Dla Czarnej Gwardii. A to liczy się bardziej niż ja. Dlatego przyjmuję twoje rozkazy. I dlatego będę je przyjmował. Aż do śmierci.

Cruxer uspokoił się i nagle był mniej zmartwionym przywódcą, a bardziej szczęśliwym młodym człowiekiem, który cieszy się, że odzyskał przyjaciela.

– Poza tym – dodał Benhadad – każde ciało potrzebuje fiuta.

Cruxer jęknął.

– Ej, słyszeliście? – odezwał się Kip. – Ben właśnie zgłosił samokrytykę, więc gdyby potrzebne było trzepanie...

– Nie miałem na myśli tego, że ja jestem fiutem!

– Wszystko zawsze się sprowadza do fizjologii, co? – Cruxer westchnął.

– A skoro mowa o kapucynach... – zaczęła Teia.

– Nie mów.

– Ej, tylko jeden głupi...

-Nie.

ROZDZIAŁ 41

Wydawało się, że za każdym razem, kiedy Kip myślał, że widział już całą Chromerię, odkrywał, że jest tu znacznie, znacznie więcej do zobaczenia. Dzisiaj spotykał się z Karris w warsztatach pod niebieską wieżą. Znajdowały się tam piece hutnicze i piece do wytapiania szkła, stojaki z narzędziami stały pod każdą ścianą i roiła się tam co najmniej setka mężczyzn i kobiet, krzesicieli i niekrzesicieli, a każdemu wyznaczono jakieś zadanie.

Mimo pieców płonących wzdłuż całej jednej ściany, nie było dymu, a temperatura była tylko nieco podwyższona. Wszędzie znajdowały się otwory wentylacyjne, wpuszczające nie tylko powietrze, ale i światło. Najczystsze soczewki, jakie Kip kiedykolwiek widział, rzucały na stoły refleksy światła w idealnych barwach do krzesania. Tu właśnie zajmowano się świetlnym rzemiosłem i tu przeprowadzano badania nad praktycznymi zastosowaniami luksynu. Wszędzie widział ludzi patrzących w papiery albo tabliczki z rachunkami, które przeprowadzili w salach do nauki wyżej, i porównujących je z tym, co widzieli w praktyce.

Kip zobaczył, że jego nauczycielka stoi obok zwyczajnej, jasnoskórej kobiety, która włosy w kolorze blond nosiła związane w surowy kucyk. Rękawy miała podwinięte, a skórę lekko zabarwioną zielenią i żółcią, chociaż nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. Szybko się wypalała.

Kip podszedł, widząc, że Karris go przywołuje. Odkąd zaczęła go uczyć, ubierała się w najwspanialsze suknie zgodne z najnowszą modą.

Kip raz zapytał ją o to, a ona odpowiedziała, że z powodu jej smukłej i drobnej sylwetki ludzie nieustannie biorą ją za młodszą niż jest w rzeczywistości i zdecydowanie zbyt często kwestionują jej osąd – rzucają jej wyzwanie, tak to odbierała. Jednakże, kiedy prezentowała się jak bogata lady Guile, uprzedzała kłopoty. Kip wiedział, że wolałaby nosić czarny strój, ale wkładała go tylko podczas treningów z Kipem, a nawet wtedy, mimo kosztów, jej „czarnogwardyjski strój” był częściej czerwony albo zielony niż czarny. Ta część jej życia była martwa, stwierdziła. I nawet sposób, w jaki to powiedziała, nie patrząc Kipowi w oczy, zdradzał, jak bardzo ją to smuciło.

– To jest lady Phoebe Kalligenaea – powiedziała Karris.

Jej od niedawna kasztanowe włosy z jaśniejszymi pasemkami wyglądały bogato i nudno.

Zapuşciła je także dłuższe, niż kiedykolwiek pozwoliłaby sobie jako Czarnogwardzistka.

– Ma największą kontrolę nad luksynem spośród wszystkich znanych żółtych superchromatów. Nie wyłączając Gavina. Lady Kalligenaeo, to syn mojego męża, Kip.

– Mistrzynie Phoebe wystarczy – odpowiedziała kobieta. – Jestem mistrzynią świetlnego rzemiosła, a tu, na dole, znaczy to więcej niż głupawy tytuł otrzymany z racji takiego, a nie innego urodzenia, z przypadku.

– Czy żółtym także nie zostaje się z przypadku? – zapytał Kip.

Kip Pyskacz. Tym razem nie zmrużył oczu i nie czuł wstydu. Zamiast tego obserwował.

– Ha! Może i tak, ale ja pracuję, by jak najlepiej wykorzystać ten przypadek. Tego drugiego unikam, jak to tylko możliwe. – Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając przerwę między przednimi zębami.

– Czyli jest pani lepsza od Pryzmata?

Skrzywiła się, jakby zgryzła cytrynę.

– W małych rzeczach. Nigdy nie zdołałabym stworzyć czegoś tak wielkiego jak Mur ze Słonecznej Wody, to jedno jest pewne.

– To w czym jest pani lepsza?

Mistrzynie Phoebe spojrzała na Karris.

– Bezpośredni chłopak, co?

– To odświeżające – odparła Karris. – Niekiedy.

Posłała Kipowi spojrzenie. Zrozumiał.

– Pracowałam z Pryzmatem, uczyłam go – powiedziała mistrzyni Kalligenaea. – Luksyn ma dla niego sens. Karris mówi, że ty jesteś taki sam. Dla niego charakterystyczna jest magia, która jest piękna i zapierająca dech w piersi samą swoją zuchwałością. Cały mur z żółtego luksynu? Kto by poważił się na coś takiego? Zwłaszcza, gdy nadciąga wrogie wojsko? Ale... brakuje jej pewnej elegancji. Wzniesione z żółtego luksynu mury spełniłyby wymagania wytrzymałości, to znaczy zniosłyby ostrzał z dział, mając nawet jedną trzecią grubości, jaką wybrał Gavin. Kiedy nie jest pewien, decyduje się na więcej, zawsze więcej, zamiast sięgnąć z liczydłem i kartką papieru. Zaznaczam, to nie jest ostra krytyka. Jeśli masz nieograniczony potencjał krzesania, posługujesz się większą ilością, bo to najszybsze logiczne rozwiązanie. My, pozostali, wypalilibyśmy się w taki sposób w ciągu kilku dni. Nad ilość musimy przedkładać elegancję. Inna zaleta Gavina to fakt, że wszystko pamięta. Aż się człowiekowi słabo robi, mówiąc szczerze. Jak już raz dojdzie do właściwego projektu, widzę, jak patrzy na niego, jak go obraca w rękach, a potem całość zostaje w jego głowie. Mija dziesięć lat, prosisz go, żeby odtworzył stojak do studzenia chleba, a on go robi. Prawdziwy dziw. Ale! Nie jesteśmy tu, żeby rozmawiać o Gavinie Guile, ale żeby uczyć ciebie. Mówią mi, że jesteś superchromatą.

Słowo, jakim posłużyli się egzaminatorzy, rozległo się echem w jego uszach: dziwoląg.

– Niektórzy mówią, że superchromata płci męskiej jest jak pies, który potrafi wyszczekać „kocham cię”...

– Nowinka, ale nie precedens? – Zmarszczyła nos. – Tawenza Złotooka to utalentowana nauczycielka, lepsza ode mnie. Ale też straszna jędza. Karris powiedziała mi, że odmówiła uczenia cię. Nawet po tym, jak Karris zwróciła się do niej osobiście. Zwyczajnie odmawia.

– Nazwała mnie ladacznicą – powiedziała Karris.

Najwyraźniej jej to nie ubawiło.

– Słucham? – zapytał Kip.

– Nieważne. Gdyby nie odmówiła, lady... mistrzyni Phoebe nie przyjęłaby ciebie – powiedziała Karris.

– Rozumiesz, jeśli cię przyjmę i kiedykolwiek będziesz miał szansę zawstydzić dyscypułów Złotookiej, chcę, żebyś to zrobił. A to znaczy, że musisz być od nich lepszy.

Kip wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Z przyjemnością. Przynajmniej pod tym względem przypominam ojca.

– Potrafisz wykrzesać stabilny stały luksyn?

– W dobry dzień.

– Zanim z tobą skończę, wyuczysz się robić żółty miecz z pamięci, w ciągu... ehm, ośmiu sekund.

– Trzech – powiedziała Karris. – Najwyżej. Przed Dniem Słońca.

Kip przypomniał sobie szukanie po omacku na starym polu bitwy pod Strzaskaną Skałą, wypatrywanie charakterystycznego błysku żółtego luksynu w blasku wschodzącego słońca. Zestalony żółty luksyn był najcenniejszy w handlu. Grzebał w błocie, pluł na kamienie i wycierał je do czysta już brudnym rękawem, mając nadzieję wbrew nadziei, że uda mu się zapłacić za kolację, zamiast znowu polegać na miłosierdziu innych i nienawidzić się za to, nienawidzić matki, i czując się winnym z tego powodu.

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Nie był pewien dlaczego, ale przy wszystkich radykalnych zmianach, jakie zaszły, właśnie ta mała nim wstrząsnęła.

Nawet gdybym stracił to wszystko, nadal mogę żyć lepiej, niż kiedykolwiek mógłbym sobie wyobrazić w Rektonie, choćby krzesząc kawałki żółtego luksynu na sprzedaż.

Całe odziedziczone bogactwo i pozycja były w jakimś sensie zewnętrzne. Jednak ta mała rzecz była jego własna. Nigdy nie wróci do tego, kim był. Nie mógłby.

– Cztery miesiące? – mówiła mistrzyni Phoebe. – Hm. Masz dobrą pamięć jak ojciec? Jesteś tak bystry jak on?

– Nie i nawet się nie zbliżam – odparł Kip, wracając do terażniejszości, odsuwając na bok niemądre myśli.

– Przynajmniej jest skromniejszy, chociaż to nie sztuka – odparła mistrzyni. – Dobrze.

Będziesz musiał pracować ciężiej niż on. My, śmiertelnicy, pracujemy na chleb. Godzina dziennie, młody Guile'u.

– Co drugi dzień – dodała Karris. – Ma jeszcze sześć kolorów do ćwiczenia i trening Czarnej Gwardii.

Kip jęknął. Cichutko. Karris nie przepuściłaby mu czegoś takiego.

– Szkoda – uznała mistrzyni Phoebe. – Miałam w planach mnóstwo uciążliwych obowiązków, którymi chciałam cię obciążyć. A tak wygląda, że będziesz się tylko uczył.

I tak to poszło z każdym kolorem. Kip nie wiedział, w jaki sposób Karris zastraszyła, zaszantażowała lub przebłagała nauczycieli, ale znalazła mu mistrzów w każdym kolorze. Zostawiła go na kilku zajęciach – głównie z inżynierii i podstaw historii, ale kazała mu opuścić pozostałe. Orzekła, że później przyjdzie czas na hagiografię, jeśli tego czasu dożyje. Wszyscy bez wyjątku jego nauczyciele byli doskonali, a niektórzy byli najlepsi w swojej dziedzinie, jak mistrzyni Phoebe.

Karris osobiście uczyła go walki, łącząc krzesanie ze zwykłymi metodami, które przede wszystkim trenowali kadeci Czarnej Gwardii. Powiedziała, że kiedy pozostali szczawie zaczną wprowadzać krzesanie do walki, Kip będzie albo znacznie lepszy od przeciętnej, albo znacznie gorszy – pozostali mieli tylko jeden albo dwa rodzaje luksynu i musieli nauczyć się wykorzystywać je w walce. Kip miał aż siedem.

Jest zbyt wiele rzeczy, których człowiek musi się nauczyć w ciągu życia, powiedziała, a kobieta osłabłaby na ciele, zanim poznałaby je wszystkie. Nauczy go jednak tyle, ile zdoła.

A była dobrą nauczycielką, mimo że musiała go uczyć krzesania, mając zakaz posługiwania się magią. Miała niesamowity instynkt, pozwalający jej wyczuć, kiedy próbował trochę sobie odpuścić, ale nie była okrutna.

Widział też, że rozgryzała swoje nowe role. Kiedy szła z nim z warsztatów w niebieskiej wieży na wielki dziedziniec treningowy, gdzie spotykali się Czarnogwardziści, dostrzegł błysk żalu w jej oczach.

Trener Fisk zasalutował jej dłonią do serca. Już chciała odpowiedzieć tym samym, ale powstrzymała się i zamiast tego skinęła do niego głową – jak dama, nie Czarnogwardzistka.

Zanim Kip pobiegł, by stanąć w szeregu, wypalił:

– On wraca. Przysięgam.

Nawet nie próbowała zaprzeczyć, że o tym myślała.

– Świat nie zawsze jest tak litościwy, Kip.

Odwróciła się i odeszła szybko z wysoko uniesioną głową. Coś w tej sztywności powiedziało mu, że gdyby nie ona, Karris by padła.

Tak bardzo różniła się od jego matki, dla której nawet najmniej surowe słowo było

pretekstem do wypalenia kolejnej dawki mgiełki albo sięgnięcia po butelkę. Żałował, że matka nie była nawet w połowie taką kobietą jak Karris.

A ta myśl przywiodła go do Zymuna. W mordę Orholama. Przysięga Kipa, złożona tak ochoczo, żeby kupić, to czego potrzebował za monetę, której nie chciał zatrzymać, z każdym dniem wydawała się droższa.

Od Androssa, z którym grywał regularnie, Kip dowiedział się, że Karris zniknęła po wojnie i wróciła do Chromerii rok później.

Takie rzeczy się zdarzały. W czasie wojny rody upadały z tuzinów powodów i wielu ze starej gwardii w ogóle nie wróciło po Strzaskanej Skale. Inni zniknęli na długi czas, starając się zwyczajnie naprawić szkody wyrządzone ich posiadłościom w satrapiach, musieli wynająć i wyszkolić nowych ludzi, którzy zajęliby miejsce zabitych lub zesłanych w czasie wojny. Stara gnuśność, na którą przed wojną stać było tak wiele rodów, po prostu zniknęła. Roczna nieobecność potomka niegdyś wielkiego rodu nie była niczym nadzwyczajnym.

Andross powiedział, że potrzebował wiele czasu, by dowiedzieć się, co się stało. Karris zatrzymała się u dalekich krewnych w Krwawej Puszczy i zostawiła u nich dziecko.

Nadal myślała, że to tajemnica. Jednak, nawet gdyby Kip był gotów zaryzykować gniew Androssa z powodu złamania danego mu słowa, jak wyciągnąć na światło czyjś wstydlivy sekret, a potem jeszcze go pogorszyć?

„Ten syn, którego uważałaś za swoją tajemnicę? Andross o nim wie i właśnie go tu sprowadza. I możliwe, że twój syn nie będzie wobec nikogo tak lojalny, jak wobec Androssa. Och, i brak mu ludzkiej przyzwoitości i wszelkich ludzkich uczuć z wyjątkiem ambicji”. Za każdym razem, gdy Kip rozgrywał tę rozmowę w myślach, jej skutki były coraz bardziej katastrofalne. I to jeszcze, zanim dochodził do zemsty Androssa.

Jestem Kip Pyskacz i tym razem nie jestem w stanie wyrwać się z prawdą.

Andross popatrzył na niego w czasie jednej z ich rozgrywek i zamarł. Kip wypytywał go o nowiny dotyczące wojny. Ostatnio słyszał, że Chromeria straciła Gardziel Rucką, ale wygrała – wbrew szyderstwom Teii – pod Studniami Sitary i pod małym miasteczkiem zwanym Amitton. Oczywiście Andross miał najdokładniejsze i najnowsze informacje.

– To nie są wiadomości dla wszystkich, rozumiesz?

– Oczywiście.

– Przegrywamy. Będziemy przegrywać przez kolejne miesiące. Zimowe sztormy zatopiłyby każdy statek z posiłkami i zaopatrzeniem, jaki byśmy wysłali. Gromadzimy, co się da, i walczymy, grając na zwłokę, spowalniając wroga. Minie Dzień Słońca, zanim zdołamy uderzyć z pełną mocą. Stracimy cały Atash i być może jedną trzecią Krwawej Puszczy, to zależy.

– Jest aż tak źle? – spytał Kip.

Niektórzy ludzie nadal mówili, jakby spodziewali się szybkiego zwycięstwa, kiedy już satrapie zjednoczyły się przeciwko zagrożeniu.

– Gorzej.

A potem przez dłuższy czas Andross nic nie mówił.

– Czym jest przysięga człowieka, Kip?

Nie oczekiwał odpowiedzi.

– Czym jest przysięga człowieka, jeśli nie jego wolą ujętą w słowa? Jeśli człowiek składa fałszywe obietnice i stawia wolę przeciwko słowu, to czy obie rzeczy nie zostają osłabione?

Sceptycyzm Kipa – nie wobec słów, ale ich źródła – musiał malować się na jego twarzy, bo Andross powiedział:

– Zauważysz, wnuku, że chociaż często manipuluję i zwodzę...

– Kłamiesz.

– Tak, kłamię – powiedział, jakby różnica była trywialna – to prawie nigdy nie daję słowa. A kiedy już to robię, dotrzymuję go. Do końca. Wszyscy ludzie, odkąd Orholam dał człowiekowi światło rozumu, wiedzą i zgadzają się na drobne kłamstwa, uznając je za równie naturalne jak oddychanie; to słowa, za którymi nie stoi wola. I wszyscy odróżniają je od przysięg. Ślubów. Sama chwila stworzenia była doskonałym słowem doskonale połączonym z doskonałą wolą.

– Wierzysz w to? Myślałem, że jesteś ateistą.

Natychmiast wielobarwne oczy Androssa zapłonęły.

– Mam nadzieję, że nie posługujesz się tym słowem w kontekście mojej osoby publicznie, od niechcenia czy w jakikolwiek inny sposób.

– Nigdy.

Sprawiał wrażenie udobruchanego.

– Żywię bardziej... złożone przekonania niż większość. Orholam jest prawodawcą w odległej krainie. Jest królem tysiąca światów. To wystarcza dla jego majestatu, a działania ludzi są w większości lub całkowicie poniżej jego uwagi, ich miłości i nienawiści, ich triumfy i tragedie...

– Ale nie ich kłamstwa? – zapytał Kip, narażając się, bo kolejny raz przerwał dziadkowi.

– Czy kamień musi coś zauważyć, by upaść, kiedy wypuścisz go z ręki? Orholam jest prawodawcą. Kiedy młodzi kochankowie cudzołożą i płodzą bękarta, nie są karani. To naturalna konsekwencja praw rządzących systemem. Jesteś równie tępy jak luksjaci, by nie widzieć różnicy między tym a ateizmem?

– Orholam to troskliwy władca – odparł Kip. Nie dlatego, tylko po to, żeby się przekonać, co powie Andross.

-Troskliwy na tyle, żeby dać nam racjonalne i spójne prawo, co jest doprawdy wyrazem wielkiej troski. Prawo odnoszące się do wiernych, apostatów, pogan i tych w odległych krainach za nieznanymi oceanami, którzy nigdy nie słyszeli słowa „Orholam”. Uważam, że znacznie więcej w tym troski niż w jakimś brodatym olbrzymie, który jednych tuli, a innych karze bez powodu.

Kip doznał olśnienia. Co zrobić z mgłą oszustwa i podstępu? Wyciągnąć sukę na światło.

– Naprawdę dobrze mi się trenuje z Karris – powiedział.

Byłaby to uwaga bez związku, gdyby jego dziadek nie robił tego, co zdaniem Kipa robił.

Jednakże Andross Guile klasnął w dłonie z prawdziwym zachwytem.

– Świetnie rozegrane, chłopcze!

– Cała ta przemowa o Orholamie i prawach tylko po to, żeby mi przypomnieć, że przysięgłem nie powiedzieć jej o Zymunie?

– Miecze tępią się przy nieustannym użyciu, spryt się wyostrza – odparł Andross.

To było tylko zagranie na zwłokę. Zagrał swoją kartą z talii do Dziewięciu Króli, a Kip rozegrał już dość partii, żeby zdawać sobie sprawę, że Andross z niemal całkowitą pewnością wygra za kilka rund. Kip pociągnął kartę; potrzebował Dnia Ciemności. Nie wylosował go.

Andross najwyraźniej postanowił rozwinąć temat.

– Chcesz złamać przysięgę i szukasz do tego pretekstu. Jednak nie. Nie tylko o to mi chodzi. Uczę cię, jak być mężczyzną, Kip. Człowiek ma swoje obowiązki wobec rodziny. To także Prawo. Do tego zadania twoja matka nie dorosła, a teraz, kiedy jesteś sierotą, nie masz nikogo innego.

Zimna furia zaległa na Kipie jak płachty lodu okrywające szczyty gór Karsos, lodu, który znosił najgorętsze lata, zmrożona czystość w objęciach skały. Szczerłość brutalnego przekonania zderzyła się z jego wiarą jak młot, który uderza w lód, roztrzaskuje go i rozbija. Kip musiał wierzyć, że Gavin żyje, bo bez jego obrony, bez jego ewentualnej zemsty na wszystkich, którzy mogli zranić Kipa, Kip był nagi i odsłonięty, i otoczony przez wrogów. Wierzył w to, bo chciał wierzyć.

Co zrobić z mgłą samooszukiwania?

Chociaż rozgrywka nie dobiegła końca, Kip w milczeniu zebrał karty, ani razu nie spojrzawszy dziadkowi w oczy, i wyszedł.

Andross Guile nie odezwał się słowem, dopóki Kip nie doszedł do drzwi.

– Powinienem był wiedzieć, że nie jesteś gotowy. Źle cię oceniłem. Jesteś chłopcem. Nadal.

Jednakże Kip dotrzymał słowa, co może oznaczało, że Andross dostał dokładnie to, czego chciał.

To wystarczyło, żeby Kip nie spał po nocach, zastanawiając się, co mógł innego zrobić albo powiedzieć. Po nich trening był miłą odmianą. Kilka godzin całkowitego zaabsorbowania. Język walki wręcz był bezpośredni i prosty, oszustwa ujawniały się w kilka sekund i w wypadku Kipa wyrażane były bardzo ubogim słownictwem.

– Do szeregu! – warknął trener Fisk. – Dzisiaj pracują drużyny. Zadania specjalne.

Wśród kadetów rozległ się pełen zachwytu pomruk. Zadania specjalne oznaczały dziwaczne, niebezpieczne ćwiczenia wymyślane przez trenera Fiska i dowódcę Żelazną Pięść, żeby wymusić na kadetach twórcze myślenie. To była zmiana w tradycyjnym podejściu, ale dowódca Żelazna Pięść nie bał się wyzwania. Potrzebował Czarnogwardzistów natychmiast i stary system szkolenia odpadał.

Teraz – jak im powiedział – kiedy tylko zdobędą wszystkie potrzebne umiejętności i udowodnią, że mają stosowny charakter, mogą zostać awansowani. W przypadku niektórych może do tego dojść naprawdę szybko.

Wszyscy domyślali się, że ma na myśli Cruxera i paru innych chłopców ze starszych roczników, ale wszyscy mieli nadzieję, że to dotyczy też ich.

To, rzecz jasna, wywołało trochę szemrania wśród starszych chłopców, ale te ucichły, gdy Żelazna Pięść natychmiast wybrał połowę z nich do złożenia ostatecznego ślubowania. Pojawiły się też nowe szczeniaki – młodzi mężczyźni i kobiety, którzy patrzyli z podziwem nawet na kadetów. To naprawdę było dziwne uczucie.

Przed Ucztą Najdłuższej Nocy zaliczyli zadania specjalne kilkanaście razy i widzieli jak dwudziestu kadetów złożyło przysięgi, stając się pełnoprawnymi Czarnogwardzistami.

Jednakże nie wszystkie zmiany wprowadził dowódca Żelazna Pięść. Jako promachos Andross Guile natychmiast przeniósł większość pełnoprawnych Czarnogwardzistów do trenowania małej armii utrzymywanej przez Chromerię. Ponadto każdy krzesiciel na Jaspisach, czy studiował w szkole, czy prowadził tam badania – a nawet cywile, którzy dawno temu opuścili uczelnię – wszyscy oni musieli teraz uczestniczyć w lekcjach walki prowadzonych przez Czarną Gwardię.

Uczyniono to na podstawie sugestii, jakie podsunął Androssowi Kip – a Kip utrzymał to w całkowitej tajemnicy. Czarnogwardziści zlinczowaliby go za to, chociaż on mimo wszystko uważał, że to właściwa decyzja.

Wiele drużyn radykalnie zmieniło skład, a drużyna Kipa skryzystalizowała się, obejmowała Cruxera, Teię, Dużego Leo, gapowatego Ferkudiego, Benhadada w mechanicznych okularach, małego Daelosa i Obrzydliwego Gossa, który właśnie dłuwał przy strupie.

– Jeśli włożysz to do ust, to trzymajcie mnie – powiedział Daelos.

– Nie zamierzałem – marudził Goss.

– Pewnie.

– Nie rozumiem, co w tym takiego strasznego.

– Do szeregu, szczawie – rozkazał Cruixer.

Był niekwestionowanym przywódcą drużyny, chociaż o tę pozycję można było się starać co tydzień. Cruixer był najtwardszym i najlepszym dowódcą. Drużyna tego nie podważała.

– Drużyna Alef! – warknął trener Fisk. – Przysięgam na Orholama, jak będziecie dalej tak się ociągać, to w następnym tygodniu spadniecie na poziom Jod. Tyłki do szeregu! Ale już!

Drużyna Kipa, mimo że do niej należał, była najlepsza – byli Alefem, pierwszą literą w staroparyjskim alfabecie. (Kip o to zapytał.) Oczywiście, członkowie dobrych drużyn byli awansowani na pełnoprawnych Czarnogwardzistów, więc chaos utrudniał pracę zespołową. Cruixer otrzymał propozycję awansu, dzięki czemu byłby jednym z najmłodszych Czarnogwardzistów w historii tej formacji, ale odmówił.

Dziesięć drużyn po sześć, siedem lub osiem osób ustawiło się w szyku. Zadania specjalne były różne za każdym razem, ale zawsze miały na celu utrwalenie jakiejś lekcji na temat życia Czarnogwardzisty. Czasem zadaniem specjalnym było zwyczajne obserwowanie ulicznego rogu, gdzie nic się nie działo. Drużyny, które otrzymywały takie zadanie, zawsze gorzko wyrzekały, bo zadania innych były zwykle o wiele zabawniejsze.

– Drużyna Jod! W okolicy ambasad jest jubiler, nazywa się Athanossos. Otrzymał rubin wart dwadzieścia tysięcy danarów. Przynieście kamień tutaj. Ruszać! Z życiem!

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, powiedział:

– Drużyna Tet! Macie ukraść ten rubin drużynie Jod, zanim tu wróci. Jeśli w ogóle nie uda im się go ukraść, oczekuję, że wy go wykradniecie. Nie wolno wam nikogo uszkodzić. Posłuzcie się rozumem! Ruszać!

I tak to szło. Drużyna Chet miała śledzić dyplomatę, który odwiedzał swoją kochankę na drugim końcu miasta. Musieli pracować na zmianę, żeby ich nie zauważono, i strzec się przed ochroniarzami dyplomaty, którzy byli najemnikami z Rozszczepionej Tarczy. Drużyna Zain miała obserwować zaułek w slumsach i podjąć działania tylko gdyby przebiegł nią kadet Czarnej Gwardii; wtedy mieli zabrać to, co niósł, i zanieść do domu w slumsach. Nie uprzedzono ich, co to będzie. Drużyna Waw miała wybrać jednego z kupców z zamożnego targu. Każdy członek drużyny miał ukraść coś z jego straganu. Jeśli ktoś zostanie zauważony – niekoniecznie złapany – musi zwrócić podwójną należność z własnego kieszonkowego. Jeśli nie zostaną złapani, mieli pokazać swoje zdobycze pełnoprawnemu Czarnogwardziście, który będzie znajdował się na targu. Drużyna He miała wszystko zwrócić, znowu nie zwracając na siebie uwagi kupca.

Drużyna Dalet miała znaleźć przywódcę jednego z gangów, który zyskiwał na sile wśród

uchodźców, pobić jego samego oraz jego dwóch najważniejszych przybocznych. I wynieść się, nie tracąc nikogo z powodu obrażeń. Po jej wyjściu drużyna Gimel otrzymała polecenie zajęcia pozycji, z której będzie obserwować drużynę Dalet. Gdyby tamci wpakowali się w poważne kłopoty, mieli wkroczyć jako posiłki. Żadnego zabijania, ale wszystko poza tym było dozwolone. Jeśli ktoś z drużyny Dalet przysięgnie, że nie potrzebowali pomocy, drużyny zamienią się miejscami w rankingu.

Drużyna Bet została wysłana po przedmiot. To były najgorsze zadania. Czasem były zupełnie zwyczajne, a czasem drużynie groził atak niemal z każdej możliwej strony. To był, rzecz jasna, niezły test dla młodych Czarnogwardzistów, którzy nigdy nie wiedzieli, czy nie dojdzie do próby zamachu, i musieli nauczyć się radzić sobie z nudą, nie tracąc czujności.

Została już tylko drużyna Kipa.

Trener Fisk spojrział na nich z grymasem. Spodziewali się najgorszego zadania. W końcu byli najlepsi.

– Dostaliście nowego członka. Chłopcze, dołącz do szeregu!

Popatrzyli po sobie, kiedy młody Paryjczyk z gór wystąpił naprzód.

Nie był wysoki, zostało mu nieco dziecięcego tłuszczu, podczas gdy jego krajanie byli wysocy i smukli. Jednak wszyscy go rozpoznali. To był Winsen. Należał do ich klasy, dopóki nie odpadł, przegrywając z Kipem w ostatecznej walce. Przegrał – na ile Kip się orientował – z rozmysłem, żeby dopiec swojemu właścicielowi.

– Dostajemy teraz odpadki? – zapytał Duży Leo.

– Jakim cudem wraca? – spytał Ferkudi. – Był dwudziesty. Dlaczego najpierw nie przywrócić wszystkich od piętnastki do dziewiętnastki? Nawet tamte odpady byłyby lepsze od niego, nie?

Kip nie zwrócił mu uwagi, że on był piętnasty, wielkie dzięki.

– Łamacz był piętnasty – powiedział za to Daelos.

Dzięki.

– Może inni już wyjechali? Zostali przyjęci gdzie indziej albo odesłano ich do domu? – zastanawiał się Duży Leo.

– Chyba nie myślisz, że Świetlana Gwardia ich zwerbowała, co? – zapytał Ferkudi.

– Świetlana Gwardia – prychnął Duży Leo. – To plotka.

Cruker wystąpił naprzód.

– Co powiesz, Winsen?

Winsen rzucił spojrzenie Kipowi.

– Najwyraźniej miałem szczęście.

– Panienki, skończyłyście już kofi i ploteczki? – zapytał ostro trener Fisk.

– Panienci? – zachnęła się Teia. – Ja jedna nie...

– Przerywasz mi, szczawiu?! – wrzasnął na nią trener Fisk.

Podszedł i pochylił się nad nią złowieszczo. Przełknęła ślinę i pokręciła głową.

– Dobrze! Pewien człowiek głosi herezje na ulicznym rogu, nazywa siebie Lordem Ariasem. Nigdy w życiu nie słyszałem o takim lordzie. Działa jeden kwartał na południe od Verrosh. Znajdźcie go i zlejcie na kwaśne jabłko. Nie w ubraniach Czarnej Gwardii. W cywilu.

Pobić lidera gangu, który terroryzował biednych i przerażonych, to jedno, ale jakiegoś szalonego kaznodzieję? To całkiem co innego.

– Ilu ma strażników? – zapytał Cruixer.

– O żadnym nie wiemy.

– To dlaczego... Znaczą, dlaczego wszyscy mamy go pobić? – zapy – Itala Teia.

Kip zorientował się, że o mały włos nie zapytała o to, co naprawdę ją interesowało: dlaczego mieli pobić kogoś za gadanie?

– To rozkaz – powiedział trener Fisk. – Masz problem z wypełnianiem rozkazów?

ROZDZIAŁ 42

– Trucizna duszy – powiedział Orholam. – Nigdy nie powiedziałaś mi o truciźnie duszy. Dlaczego nigdy nie powiedziałaś mi o truciźnie duszy?

– Przestań – zaprotestował Gavin. – Przestań to mówić.

– Nie powiedziano ci, że to śmierć, zło i morderstwo? To cię pożera, to cię niszczy! – mówił Orholam, a oczy błyszczały mu gorączkowo.

Wredna Szkapą dotarła do pogranicza portu Rath poprzedniej nocy, zanim musieli stanąć na kotwicy. Kiedy wstanie słońce, zjawi się kapitan portu, żeby naliczyć podatek i wyznaczyć im miejsce do zacumowania w porcie. Gavinowi raptownie kurczyły się możliwości ucieczki.

Nie, to nieprawda. Nigdy nie miał wielu możliwości. Kiedy zjawi się kapitan portu, Gavin będzie musiał pójść z nim albo oddać się w ręce Malargosów. Bez wątpienia stałby się ich „gościem”. Bez krzesania będzie bezsilny.

Cóż, onieśmienie jednego kapitana portu. Co to za trudność?

Gavin zostawił Orholama i wskoczył na nadburcie. Przecież potrafił pływać. W wodach roiło się od rekinów i krokodyli, ściągających do padliny, której zawsze było pełno w pobliżu wielkiego miasta – spora część to były ciała zmarłych, których pozbywano się w ulubiony tradycyjny sposób: wrzucając je do rzeki. Rybacy uzbrojeni w harpuny polowali na zmianę to na rekiny, to na krokodyle, dla płetw, skóry i zębów. To było trochę ciałniejsze koło życia, niż Gavin by sobie życzył. W tej odwiecznej walce natury i człowieka, stawianie na człowieka, że zdoła przepłynąć tak dużą zatokę, było naprawdę ryzykownym zakładem.

Nawet jeśli dotrze do brzegu, przemoczony, brudny, cały w przybrzeżnym błocie, czeka go dalsza ucieczka. Bez pieniędzy, bez przyjaciół, bez krzesania. Gavin bywał już nagi, ale nigdy nie czuł się tak nagi jak teraz. Spojrzał na spokojne, zaśmiecone wody i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że mógłby w nich utonąć.

Bezbronność siedziała ręka w rękę ze Śmiertelnością. Przywoływały Gavina.

– Opowiedz mi o czarnym luksynie – poprosił Orholam, cicho, nerwowo.

Gavin nie zauważył, kiedy podszedł.

Tracę czujność – żeby tak dać się zaskoczyć.

– To mit do straszenia młodych krzesicieli.

– Pragniesz być ze sobą bezlitośnie uczciwy, a jednak tutaj zawodzisz. To musiało cię przestraszyć. Śmiertelnie przerazić. Aż robisz w gacie. Aż uciekasz. Ale nie ma dokąd uciekać, prawda? Nagle świat przestał być taki, jak myślałeś. Widziałeś je?

– Je? Nie mam poj...

– Byłeś lepszym kłamcą, kiedy Artylerzysta wyciągnął cię z morza. Czy też może okłamywanie mnie sprawia ci szczególną trudność?

– Człowiek chciałby wierzyć, że okłamywanie Orholama okaże się szczególnie trudne, nie sądzisz? – rzucił niefrasobliwie Gavin.

– Pierwsze odnotowane słowa, jakimi człowiek zwrócił się do Orholama, były kłamstwem, zatem nie. Mężczyźni okłamują Orholama równie ochoczo, jak swoje żony. Pokaż mi ręce.

Gavin zszedł z burty. Niebo jaśniało, ale nadal niewielu żeglarzy się obudziło. Mieli pokład dla siebie. Chociaż jemu na tym nie zależało. Pokazał ręce Orholamowi.

– Nadzwyczajne. Jak nasze usta, które błogosławią i przeklinają, jak czysta woda i zbrukana płyną z jednej studni, tak czynią twoje ręce. Krzesalesz także biały luksyn.

– Co ty, do diabła, wygadujesz? – zdumiał się Gavin.

– Ho, ho! W rzeczy samej, prawdziwa zagadka z ciebie! Pamiętasz, że krzesalesz czarny, a nie pamiętasz białego?!

– Ciszej, do diabła!

Gavin widział mężczyzn, którym podcięto ścięgna podkolanowe, ale żaden nie padł równie szybko. Prorok zwyczajnie się osunął. Gavin pochylił się nad mężczyzną...

Który zamrugał. Potem wstał, potrząsając głową. Nie spuszczał z oczu Gavina i stał jak zahipnotyzowany. Przełknął ślinę. Spróbował się odezwać.

– Stałaś twarzą w twarz z prawdą i odmówiłaś jej ujrzenia. Wybrałaś tchórzostwo, kiedy trzeba było wybrać odwagę. Wybrałaś czarny zamiast białego. Zawiodłaś, Guile'u.

– Ja zawiodłem?! Ty mi zesłałaś te sny, nie? Za pomocą jakiejś magii, której nie znam, jakiegoś narzucania woli. To ty mi to zrobiłaś. Ty i on.

– Stąpaj ostrożnie, Synu Ama.

– Będą stapał, jak mi się spodoba! I nie zawiodłem. Bóg zawiódł.

– Tych dwóch słów nie da się złożyć razem w żaden sensowny sposób.

– Bóg zawiódł mnie.

– Bo na szczerą modlitwę nie można odpowiedzieć odmownie?

– Kłamstwo! – syknął Gavin.

– Zatem Orholam powie ci to wprost: kłam dalej, a zostaniesz oślepiiony.

To była tak dziwaczna groźba, że zaskoczyła Gavina.

– Już jestem ślepy.

– Może to i prawda. Ten, kto odmawia zobaczenia, nie jest lepszy od tego, kto zobaczyć nie może.

A potem pokuśtykał, ostrożnie omijając śpiących na pokładzie.

Musiał uderzyć się w nogi przy upadku. Szczęście, że nie przyłożyłem mu bardziej.

Chłopak może wyjść na pokład w każdej chwili. Potem będzie chodził za Gavinem jak szczeniak. Chociaż nie był głupi – z pewnością udowodnił to, przekonując żeglarzy, by płynęli do Rath. Był tylko nieświadomy. Nie miał pojęcia, że jego rodzina nienawidzi Gavina. Nie miał pojęcia, że jego stryj stał się bogiem, a Gavin go zabił. Nie miał pojęcia, że Gavin udaremnił jego kuzynce Tisis wejście do Spektrum. Albo nie miał pojęcia o tym wszystkim, albo nic go to nie obchodziło.

Nie mógł jednak oczekiwać, że Eirene Malargos będzie podzielać brak troski kuzyna.

Czy dałoby się uczynić z Eirene sojusznika? Słyszała z tego, że zaciekle broniła rodziny, była skłonna do gniewu i zazdrości, ale pozostawała drobiazgowo uczciwa w interesach. Nigdy nie złamała słowa, ale potrafiła włożyć wiele wysiłku w zniszczenie tych, którzy złamali dane jej słowo, czy to w interesach, czy w łóżku. Respektowała fatalne umowy, które zawarła jej rodzina, nawet kiedy mogła wykorzystać swoją rosnącą siłę do ich zerwania. Mówiąc krótko, była to kobieta, której należy się bać i którą trzeba podziwiać. Należała dokładnie do tego typu ludzi, którzy przypominali Gavinowi, że nie cała moc płynie z magii. Gdyby Gavin przetrwał jej gniew... Nie. Zbyt wiele razy zranił jej rodzinę.

Gdyby nadal był Pryzmatem, sytuacja byłaby inna, ale teraz? Co właściwie mógł wniesić do tego sojuszu?

– O czym rozmawiałeś z bożym papłą? – rozległo się ciche pytanie.

Artylerzysta.

Załoga znalazła klatkę w ładowni, w której ostatnim razem przewożono geparda z obrzeży Zielonych Równin. Przywiązali klatkę do pokładu i upchnęli do środka Artylerzystę po solidnym laniu. Oczy miał tak zapuchnięte, że patrzył przez szparki. Gavin powstrzymał ich, nim go zabili.

– Nie odzywaj się do mnie – odpowiedział Gavin. – Mam dość na dzisiaj pogawędek z wariatami, a nawet słońce jeszcze nie wstało.

– Artylerzysta nie jest wariatem. Artylerzysta jest szaleńcem! To co inszego.

Artylerzysta zarechotał cicho. Bez wątpienia cierpiał.

Gavin spojrział na miasto. Jaśniało w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Rozrosło się wokół potężnej fortecy na wzgórzu nad deltą Wielkiej Rzeki. Dawno temu Forteca Dębowej Tarczy stała się na jedno pokolenie Zamkiem Guile'ow, a potem, kiedy fortuna rodziny się zmniejszyła, stała się Zamkiem Corinth i wreszcie Rath Skuld. Teraz była znana po prostu jako Zamek. Za czasów Tayi Dębowej Tarczy forteca wyciągała dwie

odnogi potężnych murów w stronę portu, żeby nie dało się jej odciąć od zaopatrzenia. W czasie późniejszych wojen i chwil ciszy pomiędzy wznoszono nowe mury dalej od oryginalnych, które rozrabowano na budulec, a potem te nowe zburzyło wojsko Krwawej Puszczy, a przebudowano stare.

Petycje miasta do Spektrum o odbudowanie szerszych murów, kiedy wreszcie zakończyły się Krwawe Wojny, odrzucano raz za razem. Andross Guile stał za tymi odmowami; propagował ideę pokoju, który wynika z bezbronności obu stron (rzecz jasna, jego to nie dotyczyło). Oczywiście, żołnierze, których teraz musiało obawiać się miasto, to nie byli mieszkańcy Krwawej Puszczy, ale Krwawe Szaty. A wymuszona bezbronność miasta stanowiła kolejną rzecz, która nie zwiększy sympatii Eirene Malargos do Guile'a.

Gorsze było to, co każdy z będących u władzy myślał o sposobie, w jaki Gavin zakończył Krwawe Wojny. To było śmiałe, krwawe i skuteczne posunięcie. Dla młodszego Gavina liczyło się tylko to, że jego metoda poskutkowała. Miał małe szanse znaleźć tu sojuszników.

Rozejrzył się po statku. Wredna Szkapa, w rzeczy samej.

– Daj mi ten karabin, a wybiję dla ciebie dziurę w tym kapitanie portu – zaproponował Artylerzysta. – Jeden strzał, żadnych sztuczek. Przy takiej odległości nawet nie pomyślą, że to my. Będą podejrzewać, że to z tamtego statku ktoś uwodził go strzałem.

– Ugodził. I co to jest, u diabła, Karabin? Nazwisko? – Mężczyźni od wieków nazywali broń, ale Gavin nie znał tego języka.

– Karabin. To nie nazwisko. To rodzaj broni o nagwintowanej spirali wewnątrz lufy. Znałem zbrojmistrza, który pracował nad tym pomysłem. Świetna robota, ale trzeba było odlewać idealne kule, spiłować wszelkie szwy, żeby były perfekcyjnie gładkie. Wątpię, żeby ta ślicznotka strzelała kulami. Tamten kowal oddałby swoją rękę do fiuta, żeby tylko zobaczyć moją dziewczynkę.

Gavin udał, że nie słyszy Artylerzysty. Kapitan portu wszedł na pokład kolejnej galery znajdującej się półtorej mili na zachód od nich. Brzeg znajdował się półtorej mili na północ. Długa kąpiel, a ostatnie kilkaset metrów pokrywał kozuch najpewniej nieczystości. To było nie tylko obrzydliwe. Gavin znał dobrych pływaków, którzy przepłynęli przez taki gnój, wracając ze zwiadów. Dzień później przychodziła gorączka i drżenie. Trzy dni potem już nie żyli.

– To półtorej mili – powiedział Gavin. – Blisko dwa tysiące kroków. Chłopcy kopniakami wybili ci resztki rozumu.

– To może dwa strzały. Nie więcej niż trzy.

To trzeba było przyznać Artylerzyście – facet nigdy w siebie nie wątpił. To ich łączyło. Kiedyś.

Gavin nie musiał dopłynąć aż do brzegu. Po całej delcie pływały rzeczne barki i wiosłowe galery, ulubione środki transportu w górę i dół Wielkiej Rzeki. Przy wschodzącym oślepiającym słońcu możliwe, że nikt Gavina nie zauważy.

A w wodzie były nie tylko rekiny i krokodyle, prawda? Gavin przypominał sobie, że słyszał coś o przyjaznych rzecznych delfinach. Ale może to był mit. Słyszał, że są różowe. Przyjazne różowe delfiny?

Jasne, to brzmiało szalenie realistycznie.

– Ej! Kukurwa! – przywołał przechodzącego w pobliżu mężczyznę. – I wy też. – Nie podniósł głosu i położył palec na ustach. Nie chciał, żeby Antonius go usłyszał. – Oto mój muszkiet. Jak niektórzy z was wiedzą, zapłaciłem za niego całą swoją magią. Nie mam teraz nic oprócz tego. Był taki czas, kiedy zażądałbym waszej pomocy. Teraz tylko proszę. Jeśli kiedykolwiek wam się przysłużyłem... – Nie mógł się powstrzymać. „Jeśli kiedykolwiek wam się przysłużyłem”? To było sformułowanie, dzięki któremu bardziej ich przypominał, bardziej się wpasowywał. Udawanie było dla niego równie naturalne, jak kiedyś krzesanie. – Przypilnujcie go dla mnie, dobrze? Nie chcę niczego więcej. Żadnych udziałów. Wiecie, że odpracowałem swoje, kiedy przyszedł czas pracy. Wiecie, że gdybym nie odciął tamtych lin, nadal siedzielibyśmy przy wiosłach. Nie mogę zmusić was do tego i nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. – Cóż, to kolejne kłamstwo. Chociaż nieszkodliwe. – Ukryjcie ten muszkiet przed chłopakiem i przed Malargos, przed moim ojcem i przed nim. – Skinął głową w stronę Artylerzysty. – W swoim czasie, jeśli zdołam, odpłacę się wam po tysiackroć. Nie mogę jednak zabrać go ze sobą.

– D-d-dlaczego nie? – zapytał Kukurwa.

– Ponieważ – odparł Gavin posyłając im swój najlepszy „niech to wszystko diabli” uśmiech. Zawsze się tak uśmiechał, kiedy był przerażony. – Nie jestem aż tak dobrym pływakiem, by zabrać go ze sobą.

Rzucił karabin Kukurwie, który przeklinał z podziwem, podczas gdy Artylerzysta klął z frustracji, a Gavinowi gardło zacisnęło się z trwogi.

To było głupie, ale proste: zostać i pozwolić, żeby wydarzyło się to, co ma się wydarzyć, albo zaryzykować spotkanie z krokodylami, rekinami i ściekami. Ścieki nie mogły być aż tak złe w porze wylewu, prawda? A może wtedy jest gorzej? Gavin stał na nadburciu, balansował, nawet nie dotykając lin. Odwrócił się do proroka, który nadal patrzył na niego z płonącymi oczami z drugiego końca pokładu.

– Orholamie – powiedział Gavin – słuchasz mnie uważnie?

– Zawsze.

– Świetnie. – Rozciągnął szyję w prawo i lewo, aż strzeliły kręgi. – Bo chciałem ci powiedzieć, że mam cię w dupie.

I skoczył do wody.

ROZDZIAŁ 43

Woda była ciepła i nośna. To było pierwsze ostrzeżenie dla Gavina. Teraz, kiedy już się w niej znalazł i płynął stylem, którego nauczył go dawno temu, w innym życiu, niewolnik z domu Guile'ów, przypomniał sobie, że konfluencja Wielkiej Rzeki i Morza Lazurowego wywołuje dziwne prądy i pojawianie się ciepłych punktów w Wielkiej Delcie. I że rekiny nie lubią słodkiej wody wypływającej z rzeki. Z drugiej strony, krokodyle nie lubiły słonej wody. Łatwiej było je spotkać bliżej brzegu. Zatem Gavin da szansę obu gatunkom drapieżników.

A jednak... Znajdował coś z tego starego błękitnego spokoju tu, w morzu. Oczywiście, lepiej jest dryfować na wąskim ślizgaczu z niebieskiego luksynu. Lepiej czuć, jak słońce pięści skórę, a woda stanowi chłodną przeciwwagę. O niebo lepiej jest widzieć ten błękit. Poczul przelotne ukłucie żalu po stracie, a potem zalała go czysta nieskażona wściekłość.

Kiedy gładko przecinał kończynami wodę, zapragnął nagle, żeby nadpłynął rekin. Chciał walczyć. Nie, chciał zabić. Chciał poczuć grozę bliskiej śmierci i maestrię zabijania, triumfu.

Szaleństwo.

Płynął prosto przed siebie, nie zatrzymując się, żeby się obejrzeć. Zrzucił ciężar porwanej tuniki i spodni, żeby jak najbardziej zwiększyć szybkość. Zobaczył rzeczną galery i skierował się do niej. Pływał szybciej, niż to pamiętał. Może mięśnie wyrobione wiosłowaniem lepiej spełniały się w tym zadaniu niż potężna sylwetka, której dorobił się od rozpędzania ślizgacza wystrzałami luksynu z całkowitego bezruchu do stanu, w którym leciał ponad falami. To była wolność, której nigdy więcej nie poczuje.

Rzeczna galera ruszyła, kiedy jemu nadal brakowało dwustu kroków. Jej inercja powinna dać mu szansę. Wierznął nogami.

Żadnych przeklętych rekinów. Proszę, tylko żadnych przeklętych rekinów.

Woda płynęła mu przez brodę, wywołując opór jakiego nigdy nie czuł w przeszłości, gdy był gładko ogolony.

Niech mnie nie zauważą, jeszcze przez chwilę.

Jednak galera zaczęła płynąć i po kilku chwilach nie znajdowała się już prostopadle do niego. Ściał kąt, ale tylko zrównał się z łodzią, a potem został za nią w tyle.

Galera odpłynęła, zostawiając go wycieńczonego.

Trafił jednak na swego rodzaju kanał. Widział boje po obu stronach. Przez minutę młócił wodę. A potem obejrzał się na Wredną Szkapę w oddali. Wyciągnęła wiosła i kierowała się ku niemu.

Niech to diabli.

Kolejna rzeczna galera wpływała do kanału. Przepłynię jakieś pięćdziesiąt kroków na południe od niego, więc skręcił z powrotem w stronę Wrednej Szkapę. Po kolejnej minucie zorientował się, że źle to wyliczył albo galera rzeczna zakręcała, bo teraz płynęła prosto na niego. Uderzy w niego.

Zaczął odpływać w bok, kiedy zobaczył, że zbliża się do płetwy i mrocznego cienia. Zawrócił. Serce podeszło mu do gardła. Wtedy zobaczył drugiego rekina po drugiej stronie.

Za późno już na ucieczkę. Galera płynęła prosto na niego, rozbryzgiwała lekko wodę na boki, tnąc fale.

Gavin wziął najgłębszy wdech, jaki zdołał, obrócił się stopami w stronę kadłuba i zanurkował do tyłu. Kadłub uderzył o jego stopy, kiedy Gavin się zanurzał, ale on przyjął to uderzenie i odepchnął się, wykorzystując pęd kadłuba, żeby samemu bardziej się zanurzyć.

Wygiął plecy, nurkując. Miał nadzieję, że wszedł dostatecznie głęboko w wodę, żeby nie dać się zmiążdżyć przez resztę kadłuba ani rozszarpać na strzępy przez pąkle. Obrócił się, otwierając oczy, z uszami pełnymi wody, czując ucisk w piersi. Przepłynął nad nim olbrzymi cień. Nie sposób było powiedzieć, jak daleko właściwie znajdował się kadłub.

I dobra wiadomość, o ile w ogóle mógł mówić o takich: na kadłubie nie było pąkli. No jasne, to musiała być rzeczna łódź. Łatwiej ją oczyścić i szybko nią płynąć.

To znaczyło, że mógł wypłynąć na powierzchnię i jeśli źle coś oceni, nie narazi się na śmierć od zadrapań i zakażenia. Chociaż, jeśli przeleje krew w wodzie, rekiny były blisko.

Wierzgnął nogami, poczuł, że otarł się ręką o coś muskularnego i szorstkiego. Ledwie dostrzegł kształt, kiedy cień rekina zniknął w mroku. Stracił trochę powietrza. Miał tylko jedną szansę.

Wiosła opadły z jednej strony, mącąc wodę. Ostry zakręt. To spowolniło łódź w idealnym momencie. Z płonącymi płucami Gavin śmignął ku powierzchni i omal nie roztrzaskał czaszki o ostatni fragment kadłuba, który przepływał nad nim.

Wystrzelił z wody i próbował chwycić się czegoś po omacku, oślepiiony rozbryzgiem wody.

Jego palce trafiły na coś, ale lewa ręka natychmiast się od tego oderwała. Trzymał się tylko prawą, jego ciało zawisło, a potem zostało pociągnięte przez fale. Prawie się puścił, zanim zdołał zaczepić się o sieć lewą ręką.

Zamrugnął, zakaszłał. Spróbował zorientować się w swoim położeniu. Nogi miał nadal w

wodzie, a dłonie trzymały się sieci. Pojedyncze liny wrzynały się w palce, kiedy próbował oprzeć cały ciężar ciała na cienkich sznurach.

Sieć nie była pusta. Był w niej żarłacz tygrysi. Żywy. Jedna z rąk Gavina wylądowała obok płetwy piersiowej. Druga znajdował się tuż obok paszczy. Ciężar Gavina sprawiał, że ręka odchyłała się do tych ostrych jak brzytwa zębów, ale jedno szarpnięcie rekina...

Rekin się rzucił.

Gavin zabrał rękę i jego ciało się obróciło. Póki łódź ciągnęła go w wodzie, nie był w stanie zapanować nad pędem. Druga ręka wykręciła się boleśnie w sieci. Omal nie krzyknął.

A potem, kiedy obrócił się tyłem do przodu, omal nie krzyknął na widok, który ukazał się jego oczom. Cztery płetwy w wodzie... Nie, sześć. Płynęły za łodzią. Kiedy go tak ciągnęła, Gavin był jak przynęta. A łódź nie płynęła nawet w przybliżeniu równie szybko, jak potrafiły rekiny.

Widział krew płynącą w dół po wyciągniętej ręce. Nie jego. Rekin nad nim został przebity harpunem. Kiedy Gavin wylądował w najniższym punkcie sieci, stał się ścieżką dla krwi spływającej do wody. Nie był znawcą rekinów, ale widział je w szale – wszystko zaczynało się od krwi.

– Krew je przyciąga, Kleosie. Sprawdź, czy nie upolujesz jeszcze jednego, zanim wypłyniemy na słodką wodę – rozległ się głos na pokładzie nad Gavinem.

Gavin usłyszał ciężki oddech grubasa na pokładzie, słyszalny mimo syku fal, i zobaczył, jak koniec harpuna kołysze się, to pojawiając się, to znikając mu z pola widzenia.

Omala nie krzyknął do harpunnika. Wiedział jednak, jak wygląda – wyglądał jak niewolnik, który uciekł. Większość żeglarzy zagarnęłaby go jako dar morza i natychmiast umieściła go z powrotem przy wiosłach. Bez dokumentów, które udowodniałyby, że nie jest niewolnikiem, nie mógł liczyć na nic, poza próbą przekonania ich, żeby zgłosili się po okup... Tylko do kogo? Czy Karris usłyszałaby o jego prośbie wcześniej niż ojciec? Czy ludzie uwierzyliby, że sam Pryzmat trafił na ich łódź, czy też uznaliby, że to bajdurzenia wariata?

Nie będzie znowu pracował przy wiosłach. Prędzej umrze.

Sieć, której się trzymał, przesunęła się, kiedy grubas stanął na niej i cisnął harpunem w fale. Gavin znowu się obrócił i tym razem sieć wyrwała mu się trochę z ręki. Nie czuł już tej dłoni, nie potrafił nawet powiedzieć, czy się utrzyma. Wdrapał się kawałek, uderzając nogami w wodę, desperacko płynął, żeby znaleźć chociaż odrobinę dodatkowego oparcia.

Złapał się sieci dwoma palcami drugiej ręki. Zdarte do blizn i zgrubień przy wiosle te błogosławione palce trzymały się wszystkiego. Teraz był ciągnięty tyłem naprzód i miał doskonały widok na zbliżającego się rekina. To nie będzie badawcze szturchnięcie nosem.

Widział to. To będzie atak.

Kołysząc się powoli z lewa na prawo, Gavin złapał całą pięść sieci. Nie miał czasu, żeby spojrzeć w górę i przekonać się, czy nie wkłada ręki w paszczę uwięzionego nad nim żarłacza; nie mógł oderwać oczu od rekinów w wodzie.

Podciągnął kolana do piersi, kiedy rekin uderzył. Szczęki błysnęły obok jego stóp. Pudło. Rekin obrócił się w falach i odpłynął, zataczając szerokie koło. Nie lubiły zbliżać się do kadłuba. Nie podobało im się, gdy mogły uderzyć tylko bezpośrednio od tyłu.

A przynajmniej Gavin miał nadzieję, że tak sobie myślały, że żaden nie wypłynie z głębin i nie uderzy od dołu.

Mężczyzna na pokładzie prawie wyciągnął harpun z wody i Gavin uznał, że nadeszła jego szansa. Waga harpuna oznaczała, że zawisnie w jego zasięgu. Kiedy broń się zbliży, Gavin złapie ją i mocno szarpnie. Żeglarz, nie spodziewając się niczego takiego, wypadnie za burtę. Do rekinów.

To oznaczało zabicie nieznanego. Człowieka, o którym Gavin nic nie wiedział. Niewinnego.

Pieprzyć go. Gavin przeżyje, będzie wolny i będzie uzbrojony.

Lina wyciągnęła się w zasięgu ręki na jedno okamgnienie, ale Gavin nie zdołał rozluźnić kurczowo zaciśniętych rąk, żeby ją chwycić, a potem żeglarz pociągnął harpun bokiem, żeby nie zaczepił się o sieć. Do diabła!

Gavin spojrział na rekiny, ale żaden nie atakował. Właściwie to zaczęły zostawać coraz bardziej w tyle. Żeglarz z harpunem zaklął.

– Słodka woda – mruknął.

I teraz, kiedy Gavin nie skupiał się tylko na walce o życie, zauważył, że wpłynęli do ujścia rzeki blisko zachodniego brzegu. Sama rzeka była niezwykle szeroka, najszersza ze wszystkich rzek na świecie. Mimo to, zachodni brzeg znajdował się blisko. I był równie brudny, obmywany ospałym prądem, jak Gavin się obawiał. Jeśli łódź, której się uczepił, zatrzyma się gdzieś w pobliżu, to przynajmniej kadłub przetnie osad, a nabrzeże zaoferuje Gavinowi mnóstwo potencjalnych kryjówek. A jeśli popłyną dalej w górę rzeki, to Gavin zeskoczy w okolicy Wielkiego Mostu.

Po kilku minutach zdał sobie sprawę, że wykazał się niezwykłym optymizmem. Wisiał za rufą łodzi i chociaż ręce nie musiały dźwigać całego jego ciężaru, bo był częściowo zanurzony, to musiał walczyć z falami, które próbowały oderwać go od łodzi, i znowu zaczął tracić czucie w dłoniach.

Postanowił, że wespnie się po sieci, ale kiedy tylko zdołał przekonać jedną dłoń, żeby wypuściła sznury, druga go zdradziła. Wpadł do wody.

Ból rozprostowanych palców był początkowo straszliwy, ale kiedy klapnął do wody, ból

był niemal przyjemny, bo obiecywał, że dłonie kiedyś zaczną funkcjonować. Pewnego dnia.

Kiedy rzeczna galera oddaliła się od niego, Gavin znowu zorientował się w swoim położeniu. Znajdował się w ujściu rzeki, a ponieważ słońce wschodziło, był o niebo bardziej widoczny niż wcześniej. Jeśli zdoła popłynąć dostatecznie daleko w górę rzeki, podpadnie pod jurysdykcję straży miejskiej, a wtedy przynajmniej będzie miał nadzieję, że trafi pod sąd, zamiast prosto do niewoli. Zależy, jak bardzo prawomyślny kapitan go zgarnie.

Najlepiej w ogóle nie dać się złapać.

Przy odrobinie szczęścia nie znajdował się zbyt daleko od Wielkiego Mostu. Jeśli dopłynie do jego cieni, będzie o wiele mniej widoczny. Podpłynie do ogromnego pylonu, wespnie się po rusztowaniu i dotrze na brzeg.

Ruszył natychmiast. Nie dotarłby tak daleko, gdyby się wahał.

Kiedy znajdował się dwieście kroków od mostu, zobaczył jednocześnie dwie rzeczy i obie zaparły mu dech w piersi z dwóch różnych powodów. Ruthgarska galera wojenna wypływała z cieni Wielkiego Mostu, a na sztandarze łopoczącym na niskim maszcie – raptem kilka stóp niższym od pylonów Wielkiego Mostu – widniał dumny byk rodu Malargos. Jednocześnie Gavin zobaczył płynącego ku niemu delfina. Wyskakiwał z fal i chociaż Gavin nie widział jego koloru, przypominał sobie rysunki, długi dziób i muskularne ciało. Rzeczny delfin.

Proszę, podpłyn tutaj, mały cudzie.

Gavin słyszał już kiedyś o delfinach ratujących pływaków. Słyszał, że pozwalały złapać się za grzbiet i płynąć ze sobą. Delfin był jego jedyną szansą na dotarcie w cienie mostu na czas.

Rzeczny delfin. Oczywiście nie potrafił powiedzieć, czy był różowy, czy nie. Jeśli chodzi o Gavina, mógłby mieć nawet kolor szczyń, bo był wybawieniem.

Gavin nie przestawał płynąć, kiedy delfin zbliżał się prosto do niego. W ostatniej chwili delfin skręcił i uderzył go dziobem prosto w żebra. Gavin wypuścił całe powietrze i nabrał wody. Zanim zdążył ją wykasłać, delfin znowu wynurzył się znikąd i ponownie uderzył, łamiąc mu żebro.

Gavin młócił wodę, walcząc o oddech. Potem delfin znowu uderzył, tym razem rozbijając mu głowę. Oszołomiony Gavin opił się wody. Stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 44

- Nie mogę tego zrobić – powiedział Duży Leo. – Ten Lord Arias to chudzina.
- Co w tym trudnego? – zapytał Daelos. – Wyjdź tam i spraw mu łaźnię. Już widywałem, jak to robisz.
- Łaźnię? – zdumiał się Ferkudi.
- Nie miałem na myśli tego, że nie mogę, tylko że nie mogę – wyjaśnił Duży Leo.
- To nie ma sensu – uznał Ferkudi.
- To znaczy w zgodzie z sum... – zaczął Duży Leo.
- Nie, mówię o łaźni. Przecież łaźnia to całkiem przyjemna rzecz...
- Może na tym polega próba, Leo – powiedział Benhadad, manipulując przy soczewkach.
- Może mamy odrzucić niemoralny rozkaz.
- A może mamy wypełnić rozkaz, kiedy nie ogarniamy szerszego kontekstu – wtrącił Ferkudi.

Pozostali spojrzeli na niego. Przez trzy czwarte czasu Ferkudi robił z siebie błazna, po czym zaskakiwał ich nagle niezwykle trafną obserwacją.

– Co? – zapytał. – No co?

Drużyna Kipa ubrana w cywilne ubrania przeprowadzała rozpoznanie na szerokim rogu Verrosh i Harmonii. Na ile się zorientowali, nie było niczego szczególnego w tym miejscu. Nikt inny go nie obserwował. Nie była to szczególnie zamożna okolica. Ani najruchliwsza w mieście.

Może dla heretyka oznaczało to mniej prywatnych straży, które mogłyby potraktować go łokciem albo kamieniem. A może po prostu był skończonym wariatem i wybrał to miejsce przypadkowo.

Daelos i Goss nadal stali kawałek dalej i obserwowali tych, którzy zbliżali się do rogu, Teia w pojedynkę przechadzała się po skrzyżowaniu, rozglądając się w miarę możliwości, a pozostali zebrali się w gromadce za sklepem, próbując zdecydować, co zrobić. Zwykle ustanawiali punkt zborny nieco dalej, ale tu nie było żadnych dobrych miejsc.

– Ej! Co tu robicie chłopcy? Wynoście się stąd! Zmywać się! – warknął strażnik o owłosionych rękach, pilnujący sklepu.

Cruker zaklął. Kip wiedział, że chłopak uznawał to za osobistą porażkę, kiedy ktoś zauważył, jak się kręcą w grupce. Cruker machnął i wszyscy zaczęli oddalać się od sklepu.

– No, tak właśnie. Zmiatać, gałgany! – rzucił strażnik.

Zazgrzytali zębami, ale nie odpowiedzieli. Świadomość, że wygrasz walkę, nie wystarczała, żeby narazić powodzenie misji.

Chociaż była ogromnie kusząca.

Zbir zaśmiał się szyderczo. Najwyraźniej uważał, że coś knuli, ale póki nie stanowili zagrożenia dla sklepu jego pracodawcy, co go to obchodziło? Nie ruszył za nimi.

– Mam wrażenie, że to jakiś podstęp – powiedział Kip.

– Owszem – przytaknęła Teia, dołączając do nich – ale nie dotyczy nas.

– A mianowicie? – zapytał cicho Cruixer.

– Po drugiej stronie ulicy jest kobieta, która obserwuje kaznodzieję. Ma bandażę. A sam kaznodzieja to autentyk. Jest z Krwawych Szat. Ma zapieczętowane etui na zwoje, które wydaje określonym ludziom, gdy go mijają. Kieruje siatką szpiegowską.

– Och, mogę to załatwić. Ten Lord Arias to chudzina – powiedział Duży Leo. Rozluźnił ramiona, których pozazdrościłby mu nie jeden koń pociągowy.

– Czekał – powiedział Cruixer. – Nie wiemy, czy działa sam. Czuję się jednak lepiej, wiedząc, że jest w tym jakiś plan, nawet jeśli go nie znam. Dajcie mi sekundę.

Najbardziej szalone było to, że w przypadku Cruxera to naprawdę w grę wchodziła sekunda. Skrzywił się, popatrzył po drużynie i zaczął wydawać rozkazy.

Po chwili rozproszyli się, każdy z wyznaczonym zadaniem. Tylko Kip nie miał nic do roboty.

– Cruixer – powiedział. – Znaczący kapitanie. – Podczas wykonywania zadań nawet kadeci mieli skrupulatnie przestrzegać oficjalnego porządku. – Na każdym kroku mi pomagałeś. Obaj wiemy, że nie byłbym w Czarnej Gwardii, gdyby nie ty, ale nie możesz mnie trzymać z dala od akcji. Przez to ci, którzy już są ode mnie lepsi, będą coraz bardziej mnie wyprzedzać. Muszę znaleźć się w centrum działania.

Spojrzenie piwnych oczu Cruxera, ledwie obrębionych zielenią i żółcią, opadło na Kipa jak młot.

– Jestem kapitanem – powiedział Cruixer.

I to by było tyle.

– Tak jest, sir.

– Jest tu dobre miejsce do obserwacji, ale trzeba będzie się wspiąć – powiedział Cruixer.

Ruszył.

Wspinaczka na tyle trudna, że Cruixer uznał, że warto o tym wspomnieć?

– Cudownie – powiedział Kip.

Pobiegł za starszym chłopcem.

Przebiegli kilka przecznic, idąc okrężną drogą. Zwalniali, przechodząc przez główne ulice,

i wreszcie dotarli do budynku po przeciwnej stronie niż róg ze szpiegiem. Przeszli na tyły budynku obstawionego rusztowaniami, bo trwały prace nad obskurną kopułą. Zabrano drabinę od rusztowania, bez wątpienia po to, żeby nie wchodziły na nie małe łobuzy.

Cruker oparł się plecami o ścianę, stanął w rozkroku i złożył dłonie, czekając, aż Kip skoczy.

– Mogę wykrzesać drabinę – powiedział Kip.

– Skoczysz – odparł Cruker.

– Skoczę.

– Ręka do ramienia, a potem się podciągniesz.

Łatwo ci mówić. Kip rozluźnił ramiona, pokręcił głową i odetchnął głęboko.

– Nie mamy całego dnia, Łamacz. – Cruker opuścił do przodu jedno ramię, żeby Kip miał więcej miejsca.

Kip zaszarżował z wdziękiem pijanego żółwio-niedźwiedzia, stanął na złożonych rękach Crukera jedną stopą, drugą na ramieniu, a kiedy Cruker uniósł ręce, Kip skoczył. Z łatwością uderzył rękami o brzeg drewnianej platformy i nadal zostało mu trochę pędu. Podciągnął się i przeturlał.

Obrócił się na brzuch i wyciągnął rękę w dół. Cruker ze swojego miejsca podskoczył, złapał dłoń Kipa, kopnął w ścianę i wylądował, wyprostowany. Przeszedł ostrożnie nad Kipem.

I dlatego właśnie on jest kapitanem.

Rusztowania rozciągały się aż na front budynku i walały się na nich stosy cegieł. Czekały, aż zostaną umieszczone na miejscu i pobielone. Cruker i Kip zakradli się na front. Skrzyżowanie miało w tym miejscu czterdzieści kroków albo więcej i na tle obskurnej kopuły byli właściwie niewidoczni. Znajdowali się dostatecznie blisko, żeby obserwować, i dość daleko, żeby nie rzucać się w oczy. I na tyle blisko, by zjawić się z pomocą, gdyby rozpętało się piekło.

– Łamacz – powiedział Cruker. – Nadszedł czas, żebyśmy pogodzili się z pewnymi faktami.

To nie brzmiało dobrze.

– Hm? – zapytał Kip.

– Nigdy nie będziesz Czarnogwardzistą. – Cruker nie wypowiedział tego jak groźby. Po prostu przedstawił zwykły fakt.

Kipowi serce podeszło do gardła.

– Jestem coraz lepszy. Dogonię resztę, obiecuję.

– Nie o to chodzi.

I wtedy Kip zrozumiał.

– Słuchaj, wiem, że drużyna gada, że mogę być Powiernikiem Światła, ale...

– To nie ma znaczenia. – Cruxer wystawił głowę za krawędź rusztowania. Duży Leo nadal szedł w górę Yerrosz. Chociaż garbił się, żeby robić wrażenie mniejszego, to i tak nie sposób było przegapić jego zwalistą sylwetkę. – Oni nigdy nie pozwolą ci złożyć ostatecznych ślubów.

– Oni?

– Powiedzmy, że zostaniesz pełnoprawnym gwardzistą. I trafi ci się służba u Czerwieni, o którym wszyscy wiedzą, że masz z nim zatarg. Trudno to sobie wyobrazić, co? Albo może załagodzisz ten spór i trafisz na służbę u Bieli, o której wszyscy wiedzą, że toczy niekończący się spór z Czerwienią. Trudno to sobie wyobrazić, co? Jestem pewien, że dziadek ma wobec ciebie plany. Zostając Czarnogwardzistą, zyskałbyś wszelką możliwą ochronę przed nim. On za nic na świecie na to nie pozwoli.

O ile Biel nie ma już własnych planów wobec ciebie.

– Może jej plany obejmują uzyskanie przeze mnie tej ochrony i pozostanie w Czarnej Gwardii.

Kip zaprzeczał tylko dlatego, że chciał, by Cruxer się mylił.

– Łamacz, Czarnogwardziści stawiają czoło prawdzie. To będzie cud, jeśli ona pożyje dostatecznie długo, żebyś złożył końcowe śluby.

Kipowi zacisnął się żołądek. Każdy wiedział, że Bieli został rok, najwyżej dwa. Cruxer miał rację. Nie ma siły, żeby Kip przygotował się w tym czasie na tyle, by zostać pełnoprawnym Czarnogwardzistą. Żelazna Pięść już nagiął zasady, żeby Kip dotarł tak daleko.

– A jeśli wróci twój ojciec i zdąży posłużyć się swoją jedyną w swoim rodzaju magią, to jestem pewien, że też ma plany wobec ciebie.

Pomyślał o poglądzie Androssa Guile na przysięgi. Jeżeli mówił szczerze, to zdecydowanie nie pozwoli, żeby Kip złożył śluby, które mogłyby zmusić go do działania przeciwko dziadkowi, a właśnie do tego mogłyby doprowadzić czarnogwardyjskie śluby. Kip uniósł ręce.

– To po co w ogóle trzymasz mnie w drużynie?

Cruxer spiorunował go pełnym rozczarowania spojrzeniem.

– Nie bądź znowu tym marudnym grubasem, Kip. Teraz jesteś Łamaczem.

Auć.

– Jesteś w drużynie, bo na to zasługujesz. Pytanie dla ciebie: co zamierzasz tu zdziałać, wiedząc, że masz niewiele czasu? Uważaj. Zaczynamy.

Duży Leo przeszedł przez rzadki tłumek tak dyskretnie, jak to możliwe, aż znalazł się dziesięć kroków od kaznodziei, który perorował, chociaż wydawało się, że nikt nie zwraca

na niego uwagi. Z ich punktu obserwacyjnego Kip nie był w stanie zrozumieć jednego słowa z jego tyrady, ale Leo zamierzał oświadczyć, że heretycy są odpowiedzialni za zamordowanie jego siostry.

Leo wykrzyknął coś, a potem skoczył na kaznodzieję.

Ponieważ odgrywał zwykłego robotnika, Leo uważał, żeby nie walczyć jak wyszkolony wojownik. Zwyczajnie złapał kaznodzieję za włosy jedną ręką i bił po twarzy drugą. Jeśli nigdy nikt nie uderzył cię w twarz, to taki cios jest prawdziwym wstrząsem, nawet jeżeli nie stoi za nim duża siła. Kip wiedział, że Leo mógłby zabić człowieka jednym ciosem. Zamiast tego powstrzymywał się przy każdym uderzeniu, okładając kaznodzieję systematycznie: policzek, oko, nos, usta, policzek, oko. Krew lała się strumieniami, a mężczyzna będzie wyglądał i czuł się, jakby o włos uniknął śmierci, chociaż tak naprawdę nie grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Duży Leo podciągnął mężczyznę za włosy, kiedy tamten osunął się, przyłożył mu dwa razy w żebra, dostatecznie mocno, by je połamać.

Upuścił go i odwrócił się. Tym razem mówił dość głośno, żeby Kip go usłyszał:

– Wstyd, że tolerujecie tę herezję pośród siebie! Ci ludzie to potwory! Mordercy! Pozwalacie im chodzić wolno i szerzyć truciznę? Wstyd!

Leo splunął na kamienie i odwrócił się, żeby odejść.

Nikt nawet nie drgnął. Co prawda, drużyna nie spodziewała się reakcji, ale było miło zobaczyć, że jakiś ich plan wypalił – mieli nadzieję, że identyfikując szpiega jako heretyka, Leo wyjdzie bez szwanku.

Nie widział jednak, że za jego plecami Lord Arias podniósł się chwiejnie. Wyciągnął nóż. Leo stał odwrócony. Szpieg rzucił się ku niemu.

Było za daleko, żeby ostrzegawczy krzyk zdał się na coś. Gorzej, krzyk mógłby odwrócić uwagę Leo od dźwięków zdradzających atak szpiega.

Szpieg uniósł ostrze, żeby zatopić je w plecach Leo... i ręka mu opadła bezwładnie. Dźwięk ostrza upadającego na bruk sprawił, że Leo obrócił się błyskawicznie. Natychmiast ogarnął wzrokiem nóż i zataczającego się mężczyznę. Jego pięść uderzyła jak błyskawica.

– Nie zabijaj go! – szepnął Cruixer, jakby siłą woli mógł powstrzymać Leo.

Duży Leo rozprostował pięść i złapał szpiega za kołnierz i pas. Obrócił się błyskawicznie i cisnął go na ulicę. Stał przez dłuższą chwilę, rozluźniając dłonie. Kip widział, że hormony walki burzą mu się w żyłach. Duży Leo planował krótką bójkę na pięści, a omal nie zginął. Trudno wtedy myśleć racjonalnie. Leo zrobił krok w stronę powalonego szpiega.

Teia wyskoczyła z tłumu.

– Bracie! – wykrzyknęła. – Dzięki niech będą Orholamowi!

Kip nie usłyszał reszty, ale złapała Leo za rękę i odciągnęła. Nie opierał się. Jej pojawienie się wytrąciło go z gniewu.

Pociągnęła go ulicą Verrosh.

– Co to, u diabła, było? – zapytał Kip.

– Szczęście? – zasugerował Cruixer.

Szczerzył wesoło zęby. Kip zorientował się, że Cruixer doskonale wie, dlaczego nóż wypadł szpiegowi z ręki.

– Poważnie pytam.

– To był paryl. Nie ty jeden zmieniasz tu porządku. Teia też nauczyła się paru nowych sztuczek. Jednakże ta nadal rzadko jej wychodzi. Stąd mówię: szczęście.

Teia wkrótce zniknęła, ale Duży Leo potrzebował więcej czasu, żeby wtopić się tłum. Wtedy Ferkudi i Benhadad wyszli na Verrosh, kilka przecznic dalej i ruszyli osobno w stronę skrzyżowania. Minęli Dużego Leo, nie zdradzając niczym, że się znają.

– Widzisz, żeby ktoś śledził Leo? – zapytał Kip. On nikogo nie zauważył.

– Jedna możliwa osoba. Zaraz się przekonamy.

Jeśli szpieg miał sprzymierzeńca, który ochoczo wymierzyłby szybką zemstę lub chciał sprawdzić, skąd Leo przyszedł, nie mogło mu się to powieść.

Ferkudi wpadł na kogoś i oboje się przewrócili. Ferkudi wyszedł na tym dużo gorzej. Zrobił prawdziwe przedstawienie, wpadając na kram paryjskiej sprzedawczynie chustek i rozrzucając jej towar.

Tylko Ferkudi potrafił samemu sobie sprawić łaźnię.

Smukła Paryjka natychmiast wyskoczyła z kramu, krzycząc i wymachując rękami.

– Wymknęli się? – zapytał Kip.

– Jeśli coś takiego im nie pomogło, to osobiście zleję im tyłki – odparł Cruixer.

Na skrzyżowaniu pod nimi rozgrywała się inna scena. Kobieta, którą Teia widziała, podeszła do pobitego szpiega i zajęła się jego ranami.

– Jakież spostrzeżenia? – zapytał Cruixer.

Kip przyjrzał się kobiecie. Teia powiedziała, że miała bandażę pod ręką, zanim do czegośkolwiek doszło.

– Szpieg, który szpieguje szpiega – powiedział. – Lepszy sposób, żeby wkraść się w ich szeregi, niż po prostu przyjść i powiedzieć: „Cześć, ja też nienawidzę Chromerii! Mogę się przyłączyć?”.

– Słusznie. A widzisz tamtego tam? Pozaplatana broda, złote kolczyki?

Kip mruknął potakująco. Nie zauważył go wcześniej.

– To jest prawdziwy szef siatki szpiegowskiej. Omal nie wyszedł z ukrycia, kiedy Leo zaatakował, a potem niewiele brakowało, żeby uciekł. Teraz tylko obserwuje. Myślę, że możemy uznać naszą misję za udaną.

– O ile nikt nie widział nas.

– Poczekamy tu jeszcze chwilę – orzekł Cruxer i oparł się plecami o cegły.

Kip usiadł obok niego. Mijały minuty i Kipa naszała myśl, która dręczyła go już setki razy. Ta chwila była równie dobra jak inne. Wyglądało na to, że pakował się w kłopoty, milcząc, równie często, jak mówiąc za dużo. Jednak zbyt wiele razy okazał się tchórzem, nie podejmując działania.

– Kapitanie... – zaczął. – Ja tylko... w sprawie Lucii. Zabójca... Zabójca mierzył we mnie.

Nadal pamiętał Lucię stojącą plecami do zabójcy, jak wchodzi na linię ognia w ostatniej chwili. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Cruxera, kiedy wyciągał jej krwawiące ciało z rąk oniemiałego Kipa i brał we własne objęcia.

Cruxer zapatrzył się w dal. Potem uśmiechnął się smutno, przypominając sobie Lucię. I zaraz wrócił.

– Wiem.

– Wiesz?

– Wróciłem do tamtego zaułka. Odtworzyłem morderstwo. Celem mogłeś być tylko ty. – Wzruszył ramionami.

– Nie jesteś... Nie jesteś wściekły?

– Jestem. Ale nie na ciebie. Łamacz, jeśli Lucia zginęła, ratując ci życie, jej śmierć może i nadal jest przypadkowa, ale nie jest już pozbawiona sensu. Umrzeć dla sprawy? Czego więcej może ktokolwiek z nas chcieć? Lucia nie była dość dobra, żeby dostać się do Czarnej Gwardii. Wiedziała i dopiero zaczęła mierzyć się ze śmiercią swojego marzenia. Nigdy nie dołączyłaby do naszych szeregów, ale mimo to, zginęła, służąc wyższemu celom. Jej śmierć nie poszła na marne.

To dlatego tak bardzo chce, żebym był Powiernikiem Światła. Gdybym nim był, Lucia zginęłaby dla najważniejszej osoby w historii świata.

– A jeśli nie jestem Powiernikiem Światła? – zapytał cicho i ze smutkiem w głosie.

– Nie umniejszaj jej śmierci – odpowiedział Cruxer. – To nie ma nic do rzeczy. Wszyscy są równi w oczach Orholama, zginęła dla przyjaciela, dla towarzysza walki. Naszym celem jako Czarnogwardzistów jest ginąć za Kolory i Pryzmatów, ale w oczach Orholama śmierć za nędzarza znaczy tyle samo co za księcia.

Kip siedział przez kilka minut. Wiedział, że Cruxer mówi szczerze. Jednakże Cruxer wszędzie widział rękę Orholama. Wierzył, że Orholam nieustannie interweniuje w ludzkie życie. Dowódca Żelazna Pięść traktował Orholama jak odległego króla, który wtrąci się, kiedy tak zdecyduje, ale też rzadko to czyni. Andross uważał, że Orholam ustalił porządek w świecie i od tego czasu go nie tyka, pozwalając całemu systemowi Chromerii i Magisterium stać się oszustwem narzuconym Siedmiu Satrapiom przez arystokratów i

Chromerię.

Co dziwne, z tym ostatnim zgodziłby się także Książę Barw.

Jaki był pogląd Gavina, Kip nie wiedział. Nie wiedział też, jaka jest prawda.

– Kapitanie. Nie wiem, czy to właściwa chwila, ale co ludzie naprawdę wiedzą o Powierniku Światła? W czasie ceremonii Klytos Niebieski powiedział raz, że wszyscy jesteśmy Powiernikami Światła i przez kilka godzin szukałem interpretacji przepowiedni w bibliotekach, ale wszystkie są sprzeczne ze sobą, więc odpuściłem. Wiem tylko, że odnowi prawdziwą wiarę, cokolwiek to jest. Przyniesie pocieszenie cierpiącym, otworzy oczy ślepcom, zburzy wyniesione ołtarze, wywyższy ponizonych i obali występnych.

– i będzie zabijał bogów i królów – dodał Cruixer. Uśmiechnął się krzywo.

– Bogów i królów w liczbie mnogiej? – zapytał niespokojnie Kip.

– Nie pamiętam. Oczywiście, to zależy od tego, którego jasnowidza uważasz za kanonicznego. Te rzeczy akceptują niemal wszyscy. Niektórzy dziwniejsi jasnowidze powiedzieli, ehm, nie pamiętam, jakich dokładnie słów użyli, ale coś o zabiciu brata...

– To brzmi obiecująco.

Zymunowi dobrze by zrobiła rzetelna śmierć.

– ...i dwukrotnej śmierci.

– Cofam uprzednie.

– Wypadłeś za burtę, myśleliśmy, że nie żyjesz, więc to się może liczyć za jeden raz – odparł Cruixer. – A każdy umiera pod koniec życia, więc to może być to.

– Albo... piraci, którzy mnie ocalili, wyrzucili mnie za burtę, i to może być drugi raz – odpowiedział Kip. Jednak sam w to nie uwierzył. – Super! Naprawdę pomocne. Teraz wiem, że wystarczy, żebym umarł raz, dwa albo zero razy. Może będę musiał zabić przynajmniej jeszcze jednego boga i jeszcze jednego króla. Muszę teraz rozgryźć, jak leczyć ślepców, i może poduczyć się trochę na temat prawdziwej wiary.

– Łamacz, gdyby to było proste, wszyscy byliby zgodni. Jasnowidz widzi prawdziwą wizję, ale musi przełożyć ją na słowa, a to znaczy, że we własnym języku, własnymi metaforami. I to pod warunkiem, że jest prawdziwym jasnowidzem, bo bywali też fałszywi. Są luksjaci, którzy całe życie roztrząsają takie kwestie. Luksjaci, którzy są o wiele lepszymi uczonymi niż Klytos Niebieski, mógłbym dodać.

– Jeśli jednak to wszystko sprowadza się do teologicznych zawłości i niejasności, to jaki z tego pożytek?! Znaczy, że jeśli nie mogę się zorientować, co to znaczy, to jaki to ma sens?

– Może to nie są przepowiednie dla ciebie?

– Zgadza się, ale gdybym jednak był Powiernikiem Światła, czy nie potrzebowalibyśmy...

– Nie, nawet wtedy.

Kip spojrzał na niego pytająco.

– Nie... Nie rozumiem.

– Przepowiednie o Powierniku Światła nie muszą służyć jemu. Może są dla wszystkich innych. Dla żołnierza, który rozumie tylko urywek, ale pomaga mu to, że może się go trzymać. Dla pogrążonej w smutku wdowy. Dla młodego badacza, który szuka sensu. W czym zresztą problem? Do tej pory radziłeś sobie całkiem dobrze, nie znając przepowiedni.

– Umyślna ignorancja. Podoba mi się ten pomysł. – Kip zamyślił się na chwilę. – Wszystko, co powiedzieliśmy, może dotyczyć mojego ojca. Ludzie uważali, że zginął, kiedy wpadł do wody... – A jakoś przeżył przeszycie mieczem, który przekształcił się w przebijający go na wylot miecz. Kip nikomu o tym nie powiedział. I bez tego nie wierzyli, kiedy zwyczajnie oznajmił, że ojciec nie utonął. Kto by uwierzył w resztę? Kip sam w to nie wierzył; co rusz wmawiał sobie, że oczy go oszukały. – ...I już rozmawialiśmy o tym, że bóg zabity z rozkazu Gavina też może się liczyć, nawet jeśli on sam nie zadał ostatecznego ciosu.

– Jego dzieciństwo nie pasuje. Proroctwo mówi, że Powiernik Światła przybędzie z zewnątrz, spoza akceptowanego kręgu, czy jakoś tak. To pasuje do bę... osoby, którą początkowo uważano za bękarta z Tyrei. Trudno być bardziej spoza akceptowanego kręgu. Gavin Guile jest synem Androssa. Dorastał tutaj. Przygotowywano go do przejęcia władzy. Trudno być bardziej stąd.

– Nie mówiłeś mi o tej części! – zachnął się Kip.

– Jestem Czarnogwardzistą, a nie luksjatem. Jak chcesz pogadać o proroctwach, powinieneś spotkać się z... Cóż, właściwie to są ostatni ludzie, z którymi powinieneś się spotkać. Właściwie to nie wiem, czy powinniśmy włączać do tego wszystkiego Quentina.

– Quentina? Czemu nie?

– Wydawało mi się, że to będzie dla ciebie oczywiste. Zapomniałem, że dorastałeś w Tyrei.

– Dlaczego miałyby nie zwrócić się do luksjatów?

– Bo jeśli teraz nadszedł czas, żeby odnowić prawdziwą wiarę, to znaczy, że luksjaci robią rzeczy tak niewłaściwe, że sam Orholam wyciągnie rękę, żeby to naprawić.

– Cóż, nie powinni ucieszyć się z ruchu Orholama? W końcu to luksjaci.

– Łamacz... Naprawdę jesteś aż tak naiwny?

– Służą Orholamowi! To ich robota!

– Ciszej.

– Przepraszam, kapitanie.

– My, Czarnogwardziści, istniejemy, żeby zapobiegać zabójstwom. To nie znaczy, że nie możemy się ich doczekać.

– To zupełnie co innego.

– Im więcej masz władzy, tym bardziej sceptycznie podchodzisz do tego, kto ma przyjść, aby ci ją odebrać. Byli już wcześniej fałszywi Powiernicy Światła. Jeśli przybędziesz znikąd bez niezaprzeczalnego dowodu, że jesteś tym, kim podejrzewamy, możesz wylądować dokładnie na granicy schizmy. Próbowano już cię zabić, Łamacz. Jak myślisz, kto za tym stał?

Za jedną stał mój dziadek, ale zaprzeczył udziału w innych.

– Kto jeszcze wiedział o twoim istnieniu? – zapytał Cruxer. – Wątpię, żeby Książę Barw uważał, że jesteś wart zabicia, kiedy pierwszy raz się tu zjawiłeś. Jeśli już, to oddałeś mu przysługę, zabijając króla Garadula i oddając mu władzę.

– Dzięki, że mi przypomniałeś.

– Zatem jeśli nie on, to kto?

Zakon Złamanego Oka? Ale to tylko płatni zabójcy, prawda?

Zatem jeśli istnieli jeszcze inni nieznani wrogowie, to pewnie byli to luksjaci, którzy próbowali zabić Kipa. Ale żeby luksjaci?! Naprawdę?

– Do diabła – mruknął Kip.

Kolejni wrogowie.

A potem nagle uderzyło go, że spośród wszystkich właśnie Cruxer tak cynicznie ocenia Magisterium.

– Kapitanie? Czy to nie osłabia twojej wiary? Znaczący, gdyby to naprawdę luksjaci zamordowali Lucię?

Cruxer odwrócił wzrok.

– Nie ma we mnie wiary w ludzi.

Kip nie miał już nic więcej do dodania.

Ale przecież to nigdy go nie powstrzymywało.

– Zatem, jeśli nigdy nie zostanę Czarnogwardzistą, do czego twoim zdaniem powinienem wykorzystać ten czas?

– Naucz się zabijać. Naucz się dowodzić. Poznaj, kto jest twoim przyjacielem, a potem trzymaj tych ludzi blisko, by za każdym razem, kiedy ktoś pośle do ciebie kulę z muszkietu, trafiała w twoich przyjaciół, nie w ciebie.

– To... To straszny sposób myślenia o przyjaciołach.

– Łamacz, jeśli zostaniesz Kolorem albo Pryzmatem, i po tysiącokrotnie bardziej, jeśli staniesz się Powiernikiem Światła, nie będziesz już tylko naszym przyjacielem. Przede wszystkim będziesz naszym panem. To słuszne i właściwe, byśmy umierali za ciebie. To nasze zadanie.

Nagle Kip poczuł się tak, jakby znowu zamknięto go w szafie i oblażyły go gryzące, gryzące, gryzące szczury. Teraz jednak szczurami były zmartwienia, troski, brzemia,

ludzie, których mógł zawieść, ludzie, którzy zginą, jeśli on zawiedzie, ludzie, którzy umrą, nawet jeśli mu się powiedzie. Dręczyły go nudności i klaustrofobia, oblało go gorąco i zimno.

– Wiedząc, że umrę za ciebie, jakbyś żył, żeby być wartym tej ofiary? Żyj w ten sposób – powiedział Cruzer.

– Tak po prostu, co? – rzucił sardonicznie Kip.

– Tak po prostu. Choć to niełatwe.

Siedzieli w milczeniu przez kilka kolejnych minut. Kip udawał zadumę, ale ta myśl była tak głęboka, że nie był w stanie udźwignąć spojrzenia kogoś, kto zastanawia się, ile z tego przetrwał. Dlatego siedział i udawał zamyślenie, a czuł się żałośnie i głupio.

Kiedy wstali, by zejść, powiedział:

– Pójdziemy do kryjówki tą samą drogą co oni, żeby sprawdzić, co u nich, czy wracamy prostą drogą?

– Pójdziemy prostą drogą. Udało im się wymknąć.

ROZDZIAŁ 45

Na przestrzeni trzech kwartałów Teia zorientowała się, że nie udało jej się wymknąć. Chociaż czuła się niemal niewidzialna, ktoś ją śledził. Wymagało to znajomości pewnych sztuczek – jak wszystko inne – ale Czarnogwardziści uczyli się także, jak się zorientować, że ktoś ich śledzi. Dlatego Teia szła przez dzielnicę ostrożnie. Najpierw po rozstaniu z Dużym Leo szła szybko. Nie biegła, ale ewidentnie się śpieszyła. Przy piątym zakręcie nabrała pewności – była śledzona.

To było dziwne. Leo byłby sto razy łatwiejszym celem. Może uznali, że byłby ostrożniejszy. A może się go bali. A może jego też śledzili.

Mężczyzna, którego Teia podejrzewała, był drobny. Ubierał się jak robotnik, ciemne włosy miał ciasno ściągnięte do tyłu, nosił skóltunioną brodę ozdobioną nijakimi paciorkami. Trzymał w ręku złożony petasos. Na zmianę wkładał kapelusz i zdejmował, żeby Tei trudniej było zauważyć jego ciągłą obecność. Niezła sztuczka.

Szedł, jakby znał okolicę. Nie rozglądał się w poszukiwaniu charakterystycznych punktów. Kiedy Teia zwolniła i zawróciła do miejsca, które opuścili, jakby już nie uważała, poszedł za nią. Wtedy nabrała pewności, że ją śledzi.

I w takich właśnie momentach ujawnia się całe piękno pracy zespołowej.

Teia niemalże uśmiechnęła się szeroko, kiedy ruszyła w stronę drugiego punktu z zasadzką. To był pomysł Cruxera i Teia była dumna z jego przebiegłości. Sprawiał wrażenie tak prawego i dobrego, że obawiała się, że nie potrafi być podstępny. Goss i Winsen będą czekać, żeby unieszkodliwić jej ogon. Ferkudi nadejdzie za chwilę. Daelos pomoże Dużemu Leo. Kip i Cruxer pójdą za Dużym Leo, gdyby wyglądało na to, że ktoś go śledzi.

To był dobry podział pracy. Żaden wróg nie pośle za Dużym Leo człowieka, który nie dałby sobie z nim rady w walce. Mimo wszystko dwoma członkami drużyny, którzy budzili najmniejszy podziw w Teii – a w tym wypadku najmniej dodawali jej pewności siebie – byli właśnie Goss i Winsen.

Jak zawsze, kiedy pracowali w mieście, żadne z nich nie krzeszło, o ile nie była to kwestia życia lub śmierci – nie mogli zdradzić, kim są.

Teia wyszła w stronę zaułka i naciągnęła kaptur. Był rześki zimowy dzień, więc nie powinno to zbyt zaniepokoić jej obserwatora, ale kaptur stanowił sygnał dla Gossa i

Winsena, że musi pozbyć się ogona. Skrzywiła się. Skręciła za róg chyłkiem, prawda?

Ruszyła zaułkiem, minęła Gossa i Winsena w ich kryjówce, szepcząc:

– Brunet, ataska broda.

I szła dalej.

Nie możesz się obejrzyć, Teia. Nie zdradz się. Pilnowała się, żeby nie pokonać chyłkiem następnego zakrętu, ale przystanęła, kiedy tylko zeszła z pola widzenia. Odetchnęła głęboko i wyjęła nóż o płaskim ostrzu. Przykłęka i wysunęła nóż z za zakrętu, starając się dostrzec w odbiciu, czy cienie pociemniały w wejściu do zaułka.

Nic. A w każdym razie ona niczego nie zauważyła. Musi sobie kupić do tego porządne małe lusterko.

Poczekala, pewna, że usłyszy odgłosy szamotaniny albo ostry krzyk, gdy Goss przywali w łydki mężczyzny kawałem drewna, jak zaplanowali. Obrabują go też, jeśli zdołają, żeby to wyglądało na przypadkową napaść, ale przede wszystkim mieli unieszkodliwić ogon.

Nic. Gdzie on jest?

Kiedy tylko o tym pomyślała, zrozumiała, że ma kłopoty. Zakołysała się na stopach, z klęczek przychodząc w kucki. Już się zaczęła podrywać, kiedy poczuła na sobie czyjeś ręce.

Mężczyzna szarpnął nią do tyłu, przytrzymując ją ręką przełożoną przez pierś. Zareagowała tak błyskawicznie, że Łuczniczki byłyby z niej dumne: kiedy rzadko jesteś tak silna jak twój przeciwnik, uczysz się zmieniać zasady. Zamiast próbować wyrwać się z uścisku, Teia naparła na mężczyznę – on ciągnął ją do tyłu, więc ona też skoczyła do tyłu.

Zaskoczony przeciwnik odchylił się i razem uderzyli o budynek. Ciało mężczyzny osłoniło Teię przed uderzeniem. Jego uścisk osłabł, a ona dała nura na ziemię.

Ponieważ trzymał ją jeszcze za przedramię, jej rękę uderzyła o ścianę i kiedy oboje polecieli w przeciwne strony, nagle zobaczyli nóż, który wylądował na ziemi.

Skoczyli do niego i wylądowali w tej samej sekundzie. Kiedy mężczyzna sięgnął po rękojeść noża, Teia złapała go za nadgarstek. Nie znajdując oporu tam, gdzie się go spodziewał, nie mógł powstrzymać ostrza, a Teia wykorzystała jego własny rozpęd i w ostatniej chwili wykręciła mu nadgarstek, tak że sam wbił sobie nóż w brzuch.

Szok zapłonął w jego oczach, gdy poczuł, jak ostrze wchodzi w ciało, a Teia zyskała chwilę, żeby wyłuskać mu z palców sztylet. Mężczyzna sięgnął za plecy dziewczyny i przycisnął ją do siebie. Złapał ją za włosy i pociągnął z całej siły. Czuła na twarzy jego gorący i cuchnący oddech.

– W rzeczy samej Adrasteia Nieprzejednana – powiedział. – Pobłogosław mi, bogini. Pobłogosław!

Zaśmiał się w chorobliwy sposób i trzymał ją mocno.

Co, u... Gdzie podziewał się Ferkudi? Był jej wsparciem. Gdzie on jest?

Teia była w pułapce. Spanikowała. Jej ręka z nożem była wolna, więc dźgnęła. Dźgała, dźgała i dźgała. Niezbyt zręcznie, nie uważając, żeby trafić pod właściwym kątem między żebra, czego uczyła się przez tak wiele godzin. Wymachiwała rękami, młóciła nimi, krzyczała, ledwie świadoma własnego głosu. Zrobiło jej się czerwono przed oczami, cały świat stawał się coraz mniejszy, gorętszy i coraz bardziej nieznośny.

Ktoś krzyczał. Ktoś wykrzykiwał jej imię. Obróciła się, uwalniając z impetem łokcie, kiedy mężczyzna osuwał się po jej ciele, a jego uścisk słabł, ale w nic nie trafiła.

Ktoś zerwał z niej drobnego mężczyznę. Ferkudi uniósł go trzymając ciasno, przyspilałając mu ręce do boków. A potem wpadł na przeciwległą ścianę zaułka, opuszczając ramiona w ostatniej chwili i miażdżąc mężczyznę o kamienie. Napastnik osunął się w krwawej smudze i wylądował w błocie.

Teia obróciła się pochyłona nisko, rozgorączkowana, z nożem w dłoni.

Goss i Winsen stanęli, unosząc ręce.

– Na jaja Orholama, Teia, to my! – powiedział Goss.

– Rety – mruknął Winsen. – Ale go załatwiłaś.

Mówił... z podziwem.

Teia spojrzała na martwego człowieka. Teraz zostały z niego tylko łachmany i krew. Krew pozlepiała mu włosy i brodę z paciorkami. Skąd ta krew we włosach? Nie pamiętała nawet, żeby rozcięła mu głowę. Chciała zwymiotować, ale czuła tylko zimno. Martwość. Jak morderca.

– Macie szmatę? – zapytała cicho. – Upaprałam się.

Goss i Winsen spojrzeli po sobie, a potem na Ferkudiego. Jednocześnie pokręcili głowami pełni podziwu i trwogi. To było zabawne. Roześmiała się.

Ból pojawił się na ich twarzach, jakby ich przeraziła. Och, pomyśleli, że śmieje się z zabitego człowieka. Z jakiegoś powodu to też było przezabawne. Roześmiała się głośniejsze. Rechotała jak wariatka.

Potem podeszła do martwego mężczyzny. Znalazła kawałek jego spodni, który był czysty i zaczęła odcinać. Chłopcy tylko na nią patrzyli.

Wstała, co dziwne bardziej zaniepokojona widokiem nagich, owłosionych nóg trupa niż faktem, że był martwy. Dlaczego mężczyźni są tacy... owłosieni?

Zarośnięci. Tak to się mówi. To znaczy, że są włochaci. Dlaczego istnieją dwa słowa, które znaczą to samo?

Wzięła szmatkę i zaczęła ocierać twarz. Materiał poczerwieniał i zaczął się kleić. Przyjrzała się sobie. Była ubrana w jasnobrązową bluzkę. A w każdym razie kiedyś była jasnobrązowa. Teraz Teia widziała wszędzie krew. Znowu cała była we krwi.

– Ferkudi – powiedziała. – Daj mi swoją tunikę.

-He?

- Tunikę, kretynie.

- Dlaczego?

- Bo ty możesz wyjść z tego zaułka bez tuniki i nikt nie będzie o tym pamiętał za dziesięć minut. – Spojrzała na niego. Nie zrozumiał. – W przeciwieństwie do tego, gdybym to ja wyszła bez tuniki.

Minęła chwila. Ferkudi zmarszczył brwi.

- Albo gdyby wyszła w zakrwawionej tunice, Ferkudi – odezwał się cicho Goss.

- Ach! – Ferkudi zrozumiał.

Poluzował pas i zdjął tunikę.

Teia zdjęła bluzkę. Bitewne zasady, nie? Nawet nie potrafiła znaleźć w sobie wstydu. „Och, nie, moja drużyna widziała mój brzuch?!”. Krew przemoczyła też krótką halkę. Do diabła. To była jej ulubiona z trzech, jedyna, która dobrze pasowała. Rozwiązała ją i też zdjęła. Żaden z chłopców nawet nie spojrzał. Ferkudi bez słowa podał jej tunikę, odwracając wzrok. Ale Teia nie wzięła jej od razu. Posłużyła się czystymi fragmentami własnej bluzki, głównie pleców, żeby wytrzeć najbardziej oczywiste smugi.

Teraz poznała drugi powód, dla którego Czarna Gwardia ubierała się na czarno. Żeby ukryć plamy z krwi. Sprytne. Włożyła tunikę Ferkudiego, zapięła pas luźno w talii i podniosła petasos martwego mężczyzny. Chłopcy stali wokół jak kmiotki, nic nie robiąc. Kopnęła zakrwawione ubrania w stronę Winsena i powiedziała:

- Zwiń to, szczawiu. Ferkudi, zaciągnij tam ciało, ukryj pod śmieciami. Goss, nagarnij nogą ziemię, żeby zakryć kałuże krwi.

Tamci stali nieruchomo przez długą chwilę, nadal oszołomieni widokiem martwego człowieka u ich stóp.

- Na Orholama! – zaklęła. – Już. Natychmiast!

To ich wyrwało z szoku. Ruszyli się.

I w ciągu dwóch minut, osobno, w różnych kierunkach, o różnym czasie, opuścili zaułek. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Nikt nie krzyczał na alarm. Zupełnie jakby nic się nie stało.

ROZDZIAŁ 46

Gavin obudził się związany i zakneblowany na tyłach wozu i zaczął się śmiać. Ci idioci nie mieli pojęcia...

Ze był Pryzmatem.

Już nie jest. No, to dopiero zostawiało ohydny posmak w ustach. A może to jednak krew i brudna rzeczna woda. Wóz wjechał na bruk i zatrzęsł Gavinem. O, Orholamie, połamane żebra.

Nie miał jednak wrażenia, że wystają pod dziwnymi kątami. Może więc są tylko popękane. I nie utonął. Wątpił jednak, żeby był w stanie pływać w najbliższym czasie. Atakujące delfiny. Co to, u diabła, było? Delfiny miały być miłe.

Przeturlał się powoli, zgrywając obrót z podskakiwaniem wozu i udało mu się zerknąć na zewnątrz. Słońce wznosiło się wysoko nad pojedynczym wzniesieniem nad Wielką Delta i oświetlało rozległe ziemie uprawne, które żywiły nie tylko Rath, ale też większość Siedmiu Satrapii. Patrząc na Wielką Rzekę i tutejsze ziemie uprawne, Gavin po raz pierwszy był wdzięczny za swoje upośledzenie. Widziana w czerni, bieli i szarości wizualna kakofonia miasta była przytłumiona. Szaro-czarne budynki wznosiły się przed oślepiająco białą rzeką i farmami, ale chociaż raz nie przytłaczały ani nie odciągały uwagi od większego piękna.

Minęło wiele lat, odkąd Gavin widział Rath w porze wylewu. Jako chłopiec podziwiał z murów ich posiadłości na Wzgórzu Jaks już sam przestwór wód. Który nadal zdumiewał Gavina. Co roku Wielka Rzeką zalewała tak ogromne tereny, że mapy – mapy rysowane w takiej skali, by ukazać wszystkie siedem satrapii – rysowane o różnych porach roku przedstawiały inną linię brzegową. I nie tylko linia brzegowa się zmieniała. Kiedy Gavin wyjrzał, zupełnie jakby patrzył na ocean z wioskami wystającymi w oddali niczym maleńkimi wysepkami na morzu szkła. Tak późno w porze wylewu woda miała raptem kilka kciuków głębokości i cały szlam już opadł. Kiedy mówi się o Morzu Lazurowym, że jest spokojne o poranku, ma się na myśli względny spokój. O wczesnym poranku takim jak ten Wielka Rzeką była wręcz surrealistycznie spokojna.

Jako człowiek dorosły, który brał udział w szeroko zakrojonych przedsięwzięciach, był pod największym wrażeniem kwestii inżynieryjnych. Ludzie, którzy żyli na Wielkiej Rzece, nie podbili natury, oni jedynie ją zaprzegli. Co roku nadchodziły wielkie powodzie,

farmerzy wycofywali się do swoich małych wiosek, a bogaci do posiadłości. W obu wypadkach fundamenty były głęboko wkopane, głęboko w ten życiodajny szlam. Całe wioski wznosiły się jedynie pięć, sześć stóp powyżej gruntu. Wieśniacy dokładnie wiedzieli, ile rzeka się podniesie. Powodzie ich nie przerażały.

Pora wylewu stała się czasem względnego odpoczynku. Zawierano wtedy małżeństwa, urządzono przyjęcia, zawody sportowe i popisy siłowe, naprawiano domy, ostrzono narzędzia, śpiewano piosenki, odkurzano instrumenty, uprawiano miłość. I – dopóki Gavin nie zakończył Krwawych Wojen – umacniano mury, musztrowano chłopców i mężczyzn, udoskonalano broń przed najazdem, który w sposób nieunikniony nadchodził w ciągu następnych miesięcy.

Jednakże ujarzmianie rzeki nigdy naprawdę się nie kończyło. Kiedy wody się unosiły, dopóki farmerzy nie określili, jak wysoko podniesie się poziom rzeki tego roku, starszyzna wiosek kierowała otwieraniem lub zamykaniem kanałów, nadzorując szybkością napływu wód, żeby nie wymyły gleby. Przez całą porę wylewu starcy będą czuwali nad rzeką, jak stare kobiety czuwają nad ludźmi. Kiedy wody wreszcie zaczną się cofać, starszyzna zacznie kierować tym, które kanały należy otworzyć, żeby osuszyć pola powoli, by wody zostawiły cały muł. Zawsze będą starali się tak to wyważyć, żeby zapewnić sobie jak najdłuższy sezon uprawny, pozostając w gotowości do umocnienia wałów przeciwpowodziowych w razie ulewnych deszczów.

Ich subtelna maestria w kierowaniu ładem i rzeką nieodmiennie oznaczała rekordowe zbiory, jakich pozostałe satrapie mogły im tylko pozazdrościć. I zazdrościły.

Ta sama płaska ziemia, która dawała im tak wiele jedzenia, zapewniała niewielką obronę. Wielka Rzeka stanowiła osłonę tylko z jednej strony. Było zbyt dużo rzeki i za mało ludzi, by strzec jej na całej długości, i to zakładając, że żaden wódz wioski nie pozwoli sobie na przyjęcie łapówki, by przymknąć oko na najeźdźców, którzy obiecali zmieść z powierzchni ziemi sąsiednią wioskę, gdy jakiś rywal albo zadawniona krzywda domagała się zemsty.

Nie bez powodu z dawna nazywano ten region Krwawymi Równinami, chociaż była to także nazwa jednego z dziewięciu królestw, które obejmowało to, co teraz było Krwawą Puszcą i Ruthgarem. Zjednoczeni wojownicy z lasów i farmerzy znad rzeki byli niepokonani. Stworzyli pierwszą marynarkę z prawdziwego zdarzenia w annałach historii, dysponując bogactwami niezbędnymi do wybudowania, utrzymania i zaopatrzenia prawdziwej floty.

A królowie korzystali z tej floty; jeden nawet popłynął w górę rzeki aż do Pływającego Miasta, rejs możliwy tylko w czasie wylewów. Był to wyczyn bardziej imponujący ze względów logistycznych niż militarnych. Nikt w tamtym czasie nawet nie marzył o stałej

armii. Już same wydatki związane z płaceniem farmerom, by nie uprawiali ziemi, musiały wydawać się czystym szaleństwem. Każdy wiedział, że najazdy urządzi się pod koniec lata.

Kiedy więc flota dotarła do Pływającego Miasta, obrońcy musieli być zupełnie nieprzygotowani. Żeglarze wygłodzeni po mozolnej podróży, która wiązała się z wielkimi kosztami, i wściekli na siebie wzajemnie, dokonali nieopisanych rzeczy, kiedy dotarli do miasta. A dowódcom daleko było do powstrzymywania niskich namiętności, wręcz je rozpalali.

Zrobili co w ich mocy, żeby zakopać to, co zrobili, by ogłosić jedynie chwalebne zwycięstwo. Ale przetrwała karta z tamtego czasu.

Gavin nigdy jej nie oglądał. Dość się naoglądał rzezi w swoim życiu. Obejrzenia niektórych kart nie da się cofnąć. Czasem zastanawiał się, czy to właśnie zrobił jego starszy brat Gavin w trzynaste urodziny. Czy ojciec zabrał go, by obejrzał karty?

W wieku trzynastu lat? Z pewnością ich ojciec nie byłby aż tak niemądry.

A jednak Gavin nigdy już nie był sobą; nie chciał o tym mówić, rzucił się na Dazena i po raz pierwszy uderzył go w twarz, kiedy ten nie przestawał się dopytywać. To otworzyło przepaść między braćmi, to niewinne dokuczanie i tamten cios. Dazen uważał, że to jego wina, bo za bardzo naciskał brata. Widział łzy wzbierające w oczach Gavina, jakby on też nie mógł uwierzyć, że go uderzył. A jednak stał nad nim. Nie przeprosił. Nigdy nie przeprosił.

Tam właśnie zaczęło się to, co swoją kulminację znalazło pod Strzaskaną Skałą.

Przepraszam, Dążenie.

Co jest, u diabła? Przepraszam, Dążenie?! Za długo nosiłem tę maskę.

Co ja sobie myślałem na statku? Żeby powiedzieć im, że jestem Dazenem? Szaleństwo. Dlaczego zrobiłbym coś takiego?

To nawet nie zmieniło ich stosunku. Co ważniejsze, najwyraźniej w ciągu kilku krótkich dni z Antoniuszem Malargosem żaden z nich nie powiedział mu, że Gavin raz przyznał, że jest Dazenem.

Niemniej to było pomyłka. Pomył się na końcu liny, a zsuniesz się o kilka węzłów. Pomył się jednak na początku, a wylądujesz w wodzie. A Gavin był tak nisko, jak tylko się da.

Pejzaż zmieniał się, piękny, ale dla niego martwy. A potem, kiedy zaczęli wspinać się na Wzgórze Jaks, ktoś zauważył, że ma otwarte oczy. Na szczęście, zamiast przyłożyć mu w łeb obuchem, narzucili tylko koc, by niczego nie widział. Czasem ludzie zaskakują cię swoją delikatnością, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

Jakąś godzinę później, po tym, jak powoli przeprowadzono go przez rozliczne drzwi z kocem na głowie, Gavin wylądował w celi i pozwolono mu patrzeć. Nie spędził tam wiele

czasu, kiedy otworzyły się drzwi i weszła kobieta.

– Wytrąciłaś wolę delfinowi – powiedział Gavin. – Sprytne.

Eirene Malargos nie raczyła odpowiedzieć. Mimo koca wylądował w lochu, co powiedziało mu niemal wszystko na temat jego perspektyw.

-Taki rodzaj magii karze się śmiercią, ale niewątpliwie to sprytne posunięcie – powiedział Gavin.

Nadal nic nie mówiła. Eirene Malargos nie miała rzadko spotykanych blond włosów siostry, ale ciemne i proste jak zasłona, która sięgała jej do podbródka, niekiedy zasłaniając pół twarzy. Nie potrafiła krzesać. Nie miała też bujnych kształtów swojej młodszej siostry, chociaż trudno było to zauważyć, kiedy nosiła męską tunikę i spodnie. Obie jednak miały taki sam, sercowaty kształt twarzy, a Eirene miała w sobie żar, którego Tisis brakowało.

– Dla ciebie wszystko wiąże się z magią, co? Wyrwać was, Guile'ów, z waszej sfery i jesteście beznadziejni. – Pokręciła głową. – Jak sprawiasz, że świat podąża za czymś... takim? Wytrenowaliśmy delfiny. Daliśmy im twardą szkołę, były smakołyki, miłość, konsekwentność i pewna ręka.

-To najpewniej kłamstwo, ale doceniam słuszne oburzenie. Bardzo przekonujące.

Spuścił nogi z pryczy i spróbował wstać. Ból zapał mu dech. Popękane żebra. Obandażowano mu je jednak i został obmyty, kiedy był nieprzytomny. Może miał szansę. Wziął kilka płytkich wdechów, zbierając siły, i wstał. Istnieje pewna dynamika sił, którą można zmienić, siadając, kiedy inni stoją, wstając, gdy siadają, lub odmawiając którejsz z tych czynności.

Był wyższy od Eirene Malargos, a mięśnie mówią swoje. Sposób, w jaki dominował wzrostem i muskulaturą, złagodzony jego atrakcyjnymi rysami, zwykle znacząco zmniejszał opór.

Nawet kobiety, które wolą kobiety, lubią przystojnych mężczyzn.

Eirene Malargos zmarszczyła brwi, co powiedziało mu, że sztuczka podziałała. Oczywiście, atrakcyjność jedynie odrobinę uchyla drzwi. Zwłaszcza drzwi celi.

– Mogę zapytać – powiedział – dlaczego znajduję się w celi? Przepraszam za wcześniejszą nieuprzejmość. Ogromnie cierpię. To dość, żeby człowiek stał się zrzędlivy. – Wykrzywił się mimo uśmiechu.

Gavinie, uważaj, żeby nie przedobrzyć.

Lochy nie były tak do końca lochami. To była jedynie piwnica z paroma celami. W pomieszczeniu było sucho, brakowało szczurów, co oznaczało, że trzymano tu koty, ale nie wyczuwało się smrodu kociego moczu, co z kolei oznaczało służbę. Zważywszy na solidne krokwie pod sufitem, musiał znajdować się na niższych poziomach wielkiego domostwa

albo dworku. Zatem duży, zamożny dom w jednej z ładniejszych części Wzgórza Jaks. To najpewniej posiadłość Malargosów.

Co z kolei znaczyło, że znalazł się na odległość krzyku od własnego domu. Chociaż nie odwiedzał jej od lat, znajdowała się tutaj posiadłość Guile'ów. Sąsiadowali z rodziną Malargos. Oczywiście zajmowali nieco lepsze miejsce.

To musiał być nieustanny cierń w boku Malargosów – pokolenie wcześniej Guile'owie mieli tylko spłachetek moczarów ze smętną namiastką fortu. Rodzina podjęła rozgrywkę o władzę, wiążąc rodziny po obu stronach rzeki, ale gdy szczęście się odwróciło, zostały im tylko posiadłości w Krwawej Puszczy i ten jeden, zapleśniały fort. Andross Guile wykorzystał go, żeby móc reprezentować Ruthgar jako Czerwień. A mając stanowisko Czerwieni, przeforsował zajęcie najlepszego majątku na Wzgórzu Jaks, który niewątpliwie miała nadzieję przejąć rodzina Malargos po upadku rodu Maltheos.

Po zdobyciu posiadłości Guile'owie nigdy tam nie zamieszkali; rzadko odwiedzali to miejsce. Mimo to zajmowali główną posiadłość, jak wymagała duma Androssa. Była wspanialsza, jak niektórzy twierdzili, od posiadłości samej satrapki, a ona musiała się nią dzielić z całą machiną rządową. I oto gdzie znalazł się Gavin. Przebył cały świat, żeby wylądować w celi koło domu.

Eirene przez chwilę nic nie mówiła, tylko mu się przyglądała. Zachowywał przyjaźnie neutralny wyraz twarzy, na wypadek gdyby Eirene postanowiła stwierdzić, że to nieporozumienie. Jak powiedział kiedyś Strateg: jeśli chcesz, żeby twój wróg walczył aż do śmierci, odetnij mu wszystkie drogi ucieczki; jeśli chcesz, żeby się wycofał, zostaw jedną ścieżkę otwartą. Jako młody człowiek Gavin lubił odcinać drogę ucieczki, lubił przytłaczać, dominować, niszczyć, nawet jeśli niosło to ze sobą większe ryzyko przegranej.

Na jakiś sygnał, którego nie zauważył, z korytarza wszedł sługa, gdzie musiał czekać poza zasięgiem wzroku Gavina. Odzianą w srebrną rękawiczkę dłonią podał swojej pani kieliszek napoju na tacy z elektrum. Nie było drugiego kieliszka.

Wypiła. Skrzywiła się.

Gavin czuł zapach z miejsca, w którym stał. Napój cuchnął jak palony torf i sfermentowany pot olbrzyma. Właściwie to cieszył się, że go nie poczęstowała.

– Czym jest dla ciebie zwycięstwo, Gavinie Guile?

– Słucham?

– Jaki masz plan? To jasne, że byłeś galernikiem. Strupy na nadgarstku nie zagoiły się, więc nosiłeś kajdany w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pasy na plecach są czerwone, ale wygojone, więc wybatożono cię w ciągu roku, ale nie w ciągu ostatniego miesiąca. Jeśli ostatni raz się goliłeś, kiedy byłeś na wolności, to twoja broda mówi, że byłeś w niewoli jakieś sześć miesięcy. To się zgadza z datą bitwy o Ru. Z pewnością przez cały czas przy

wiośle knućeś.

– Być może całe moje knucie sprowadzało się do znalezienia sposobu odzyskania wolności. W końcu uwolnienie się to więcej niż może osiągnąć większość galerników w ciągu sześciu miesięcy.

– Większości niewolników nie ratuje mój kuzyn.

– Zatem, ehm, wiedziałaś o tym?

– Dał nam znać, kiedy wpłynęliście do portu.

Ach, więc chłopak miał lusterko. Stąd Eirene wiedziała, żeby z samego rana wysłać galerę i zgarnąć go z wody. Lusterko. Gavin nawet o tym nie pomyślał.

To właśnie przez takie drobiazgi wpadasz.

– Ty głupi, głupi człowieku – powiedziała Eirene. Dopięła zawartość kielicha. – Rozmawiałam z nim ostatniej nocy. Wiesz, że jest tobą zauroczony? Tymi wszystkimi legendami, jakimi się otoczyłeś. On we wszystkie wierzy. Pomyślał, kiedy cię znalazł na tej galerze, że sam Orholam zesłał go tobie na ratunek. Że to przeznaczenie. Jest młody, w jego życiu brakowało mężczyzn, sam rozumiesz. Stawia cię na piedestale.

-To dobry chłopak. I właściwie już nie chłopak – odparł szczerze Gavin.

W jej ręku pojawił się kolejny kieliszek alkoholu, ale tym razem poczekała, aż sługa – który unikał patrzenia w stronę Gavina – znajdzie się poza zasięgiem słuchu, nim zaczęła mówić dalej:

-Wiesz, że gdybyś szczerze mu powiedział, dlaczego nie chcesz płynąć do Rath, pewnie odwróciłby się od własnej rodziny i popłynął z tobą? Ale ty jesteś kłamcą. Strachliwym małym człowieczkiem, który spowija się w opowieści jak w płaszcz. Pod tymi płaszczami niczego nie ma, Gavinie Guile. Sprzeciwiłby się nawet mnie, która byłam mu matką i ojcem. Rozumiesz? Nawet teraz muszę postępować z nim ostrożnie, żeby na pewno nie spróbował przybyć ci z pomocą ani nie zrobił innego głupstwa. Będę uważać. Nie pozwolę, żeby się do ciebie przywiązał. Z tej strony nie otrzymasz pomocy.

– I uciszysz całą jego załogę?

Nie złapała przynęty.

– To się da zrobić – odpowiedziała. – Nie zdecydowałam jednak, czy to konieczne.

Istniał tylko jeden sposób, żeby uciszyć stu dwudziestu dwóch żeglarzy. Odizolowała ich, a teraz zastanawiała się, czy ich zabić. Jak długo można choćby więzić taką liczbę ludzi, żeby wieść się nie rozniosła? Jak dużo czasu trzeba, żeby jeden z nich przypomniał sobie, że Gavin twierdził, że jest Dazenem, i sprzedał tę informację w nadziei na wolność?

– A zatem, wracając do mojego pytania – powiedziała – jaki masz plan? W jaki sposób twoim zdaniem możesz się stąd wydostać?

Milczał, ale nawet milczenie nie mogło ukryć prawdy przed tą kobietą.

– Ponieważ ja mam plan – powiedziała i w jej głosie nie było niczego przyjemnego. – Mój plan to poznać twój plan, a potem pozwolić ci go zrealizować, jeśli rzeczywiście jesteś taki sprawny.

– Ale – powiedział ostrożnie.

– Ale. – Uśmiechnęła się do niego; wielkie białe zęby wyglądały jak nagrobki w słońcu.

Złapawszy się prętów jego celi, zamierzała coś powiedzieć, ale po chwili wykrzywiła usta z niesmakiem i zabrała ręce ze śliskich prętów. Potarła palce i uniosła wzrok. Natychmiast zjawił się sługa z chusteczką. Wzięła ją i gestem odprawiła służącego.

– Gavinie Guile, chcę poznać twój plan. Chcę wiedzieć, jak definiujesz zwycięstwo, żeby potem, kiedy wbrew wszystkiemu je osiągniesz, smakowało jak woda w ustach tonącego.

– Ale to brzmi jak coś złego. – Jakby był zdziwiony. Protekcyjny.

Jej oczy rozbłysły, ale rozluźniła ramiona i dopiła napój, zamiast uderzyć Gavina.

– Można o tobie powiedzieć wiele rzeczy, Gavinie Guile, ale nie to, że jesteś naiwny albo głupi. Masz jakiś plan.

– A teraz, kiedy tak obszernie wyraziłaś swoje groźby, na jakim szaleńczym świecie miałbym go zdradzić?

– Na tym.

– Najwyraźniej tak uważasz. Rzecz w tym, że musisz mnie do tego przekonać.

– Jeśli mi nie powiesz, zabiję cię. Teraz.

Jej ton był beznamiętny, urażony, zdradzał dużą gotowość do zabicia i niewiele żalu. To był głos kobiety, która już zabijała i nie przywiązywała szczególnego znaczenia do tego uczynku. Pomyślał o statku pełnym ludzi, którzy mogli zginąć na jedno jej słowo. Mogła popełnić coś takiego bezkarnie? W Rath? Mało prawdopodobne. Nawet jeśli się okaże, że miał rację, nie będą mieli z tego żadnego pożytku ani tamci ludzie, ani on sam. Naprawdę liczyło się tylko to, że jej zdaniem może jej to ujść bezkarnie, albo to, że zwyczajnie się tą kwestią nie przejmuje.

– Cóż. Jakie to pomysły z twojej strony – powiedział.

Jej usta nawet nie drgnęły. Jego czar zda się tu na nic.

– Brutalność może osiągnąć to, czego nie osiągnie pomysłowość.

– Rozumiem, że...

– Nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa więcej, o ile to nie będzie...

– Musisz naprawdę...

– To się liczy jako słowo więcej. I nie waz się mówić, co muszę, a czego nie. Nie ścierpię, jeśli raz jeszcze mi przerwiesz.

Gavin zamilkł.

– Sprawdź mnie. Wystarczy jedno niewłaściwe słowo.

Rzuciła beznamiętne spojrzenie mężczyźnie, przed którym drżeli satrapowie i Kolory. Gavin zrozumiał, że ona chce, by ją poddał próbie.

Roześmiała się, jakby sobie żartowała.

– Ha! Żałuj, że nie widzisz teraz swojej miny, Gavinie Guile!

Rzucił jej niepewny uśmieszek.

– Właściwie to może powinieneś się zobaczyć! – Rozejrzała się wokół jakby czegoś szukała, ale nie była w tym przekonująca. – Niestety, nie widzę tu żadnych lusterek. Ależ co też ja! Wiesz, znam oprawcę, który twierdzi, że jeśli wyłupić oko, ale tak, żeby ścięgnięta nadal były do niego przymocowane, to człowiek naprawdę może zobaczyć swoją twarz. Powinniśmy spróbować?

Wąż wywrócił się w jego trzewiach. Gavin poczuł ten strach, jaki czuł w czasie wojny, kiedy musiał stawić czoło krzesicielom, którym pękło halo i którzy patrzyli na niego zdesperowanym wzrokiem, mówiącym mu, że są gotowi na wszystko. Pamiętał mężczyznę, który trzymał płonący lont w dłoni, skrzący się i trzaskający; siedział pośrodku obozu na beczce pełnej prochu i śpiewał sobie cicho, z roztargnieniem, podczas gdy Dazen i czterystu ludzi stłoczyli się w małej pieczarze, kryjąc się przed mijającym ich patrolem ludzi jego brata. Żaden z jego ludzi nie mógł wyjść i nie zaalarmować przy tym żołnierzy Gavina, skazując ich wszystkich na zagładę, ale gdyby szalenie przyłożył lont do prochu, z pewnością wszyscy by zginęli. Gavin – wtedy jeszcze Dazen – uratował się dzięki wygadaniu. Ostrożnie i bez magii.

Dał jej chwilę, żeby się upewnić, że to rzeczywiście było pytanie i wobec tego może odpowiedzieć.

– Jestem pewien, że przedstawiałbym nie lada widok.

Brew jej drgnęła, ale się nie uśmiechnęła.

– Co mówiąc, mam na myśli: nie, dziękuję – dodał.

– Zatem pytanie jest proste, Gavinie Guile, ale nie jestem głupkiem, który nabierze się na twój urok osobisty i ten uśmiech, który kiedyś osłabiał błony dziewicze w promieniu trzydziestu mil. Powiedz mi mniej niż całą prawdę, a umrzesz. Powiedz mi całą prawdę, a zrobię co w mojej mocy, żeby uczynić twoje zwycięstwo niemalże niemożliwym i całkowicie pustym. Co powiesz?

Powiem, że całkowicie ci odpierdoliło i że wbiję ci w szyję zaostrzoną łyżeczkę.

– Chcesz zatem, żebym zdradził ci swój plan, abyś uczyniła jego realizację niemalże niemożliwą, ale nie całkiem niemożliwą?

– A potem zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby pozbawić sensu twoje zwycięstwo, kiedy już je osiągniesz. Widzisz, wierzę w ciebie, Gavinie Guile.

Ciągle powtarzała jego imię. To wytrącało go z równowagi w równym stopniu, jak jej

zimne, nienawistne spojrzenie.

– Może czas spędzony na galerze przytępił ci rozum. Powiedzmy, że marzysz o tym, że spłodzisz linię satrapów, Pryzmatów i Kolorów. Wypuszczę cię stąd żywego, zamiast cię zabić, ale obetnę ci jedno jądro, a drugie zmiażdżę. Będziesz żył, myśląc, że może, może jednak uda ci się spłodzić syna. A jeżeli ci się uda, gdy będziesz na łożu śmierci, poinformuję cię, że wykastrowałam twojego syna. Rozumiesz teraz?

– Sprawiasz wrażenie złej na mnie z jakiegoś powodu.

Opuściła głowę i pokręciła nią z niedowierzaniem. A potem uśmiechnęła się szeroko.

– Naprawdę jesteś czarujący. Rozumiem już, dlaczego ci się udaje. Ale nie tutaj, Gavinie. Czekam.

– Może ty pokażesz mi swój, a ja tobie swój? – zaproponował Gavin. – Nawet nie wiem tak naprawdę, czemu mnie nienawidzisz.

To było kłamstwo, rzecz jasna.

– Dla ciebie wszystko to rywalizacja, co? – Powiedziała to niemal ze smutkiem i Gavina ogarnęło przeczucie, że to bardzo, bardzo zły znak. – Chodzi tylko o wolę, a Gavin Guile to wola wcielona. To sobie myślisz? Tak postrzegasz świat? Nawet połamany, nawet w klatce myślisz, że jeśli będziesz się zachowywać, jakby pręty nie istniały, to przestaną istnieć. Może kiedyś to była prawda. Nie jesteś już Pryzmatem, Guile. Jesteś skorupą. Jesteś zniszczonym galernikiem, to wszystko. Po prostu kolejnym mężczyzną, który domaga się, żebym się poddała. Wiesz, co jest twoją słabością, były Pryzmacie?

– Kobiety. Zwłaszcza wytworne. Kobieta, która nie tylko wie, jak włożyć suknię balową, ale też potrafi ją nosić, to rzecz rzadsza od piekliszcza. I kobiety z kondycją. I z dużym biustem. Albo smukłe. Nie zapominajmy o inteligentnych kobietach. Nie można zlekceważyć wartości szelmowskiego umysłu w sypialni.

Albo jedna kobieta, która jest wszystkim powyższym. Gavina nagle zabolęło serce pod maską durnego uśmiechu.

– Połóż ręce na prętach – powiedziała Eirene.

Gavin to zrobił.

– Rozłóż palce.

To nie był dobry znak. Stała jednak dostatecznie daleko, żeby miał pewność, że cofnie rękę, nim ona zdąży sięgnąć i go zranić. Zrobił to.

– Wybierz numer od jednego do dziesięciu.

Nie podobało mu się to, dokąd to zmierzało. Z rękami przed twarzą...

– Jeden – powiedział, jakby wybrał ten numer, bo zawsze wybierał numer jeden.

Zaczęła od prawej.

-Jeden. – Wskazała mały palec jego lewej dłoni. Uśmiechnęła się nieprzyjemnie. –

Przedstawię ci wybór, który myślę, że zademonstruje twoją prawdziwą słabość.

– Przyznaję, że jeśli trzeba odliczyć dalej niż do dziesięciu, a stopy mam w butach, to mam z tym pewien kłopot.

– Oto twój wybór, Gavinie Guile.

Orholamie, zlituj się, wypowiedziała jego imię tyle razy, że doprowadzało go to do szaleństwa. Zupełnie jakby wiedziała.

– Wolisz, żeby wytatuować ci na twarzy słowo „GŁUPIEC” tak dużymi literami, jakie zdołamy wpasować czy stracić mały palec? Twój wybór – powiedziała i skrzyżowała ręce.

– To okropna próba. Nie pokazuje nawet w przybliżeniu tego, co myślisz, że pokazuje.

– Powiedz jeszcze jedno słowo poza „palec” albo „tatuaż”, a zrobię ci obie rzeczy.

Eirene zarzuci mu, że jest próżny, jeśli wybierze palec. Że próżność to jego słabość. Tylko jakie wojsko na świecie poszłoby za człowiekiem i ze słowem „GŁUPIEC” wypisanym na twarzy? Miał dostatecznie dużo trudności do pokonania w związku z utratą krzesania na drodze do dowodzenia. Nieustanne upokorzenie uczyniłoby dowodzenie niemożliwością. Nie dałoby się ukryć czegoś takiego. Gavin widział ludzi, którzy próbowali zakryć nieszczęsne tatuaże. To ich czyniło jeszcze śmieszniejszymi.

Spojrzał w głąb korytarza, gdzie stało dwóch służących. Zaglądali przez otwarte drzwi i wypatrywali znaku od lady Malargos. Wziął głęboki, powolny wdech. Przy popękanych żebrach bolało to jak diabli. Co znaczyło, że następna rzecz będzie dziesięć razy gorsza.

– Nazywam się Gavin Guile! – ryknął w stronę służących, ku otwartym drzwiom. – I mój ojciec odda fortunę każdemu, kto doniesie o moim pobycie tutaj! Mój ojciec to Andross Guile! A każdy, kto dopomoże w tych torturach, słono zapłaci!

Kiedy tylko zaczął krzyczeć, służący spanikowali. Nie dostrzegli od razu sygnału Eirene, że mają zatrzaskać drzwi, więc prawie zdążył wszystko wykrzyczeć, zanim to zrobili.

Gavin zaś osunął się na ziemię i łzy popłynęły mu po twarzy. Próbował oddychać maleńkimi łydkami. Może jednak zebra nie są popękane. Może są połamane.

– Co to, do diabła, było? – zapytała ostro Eirene.

– To ja właśnie pokazałem ci palec.

ROZDZIAŁ 47

Teia nie mogła oderwać oczu od zakrwawionych rąk. Mruknęła pod nosem:

– To nie było w porządku.

– He? – spytał Kip.

– Co zrobiliśmy. To nie było w porządku.

Spojrzała na niego i poczuła, że wstyd zasypuje ją jak zaspą śnieżną z samej Piekielnej Góry.

– Zamordowałam człowieka – dodała.

Kryjówka, w której się zebrali, to nawet nie był dom. To był kurnik przy warsztacie bednarza. Żadne z nich nie wiedziało, kiedy Czarna Gwardia nabyła to miejsce, ale odgradzono je od warsztatu bednarza i oparto trochę narzędzi przy niskich frontowych drzwiczkach, żeby wyglądało jak zwykła szopa. Wewnątrz wkopano się w grunt, żeby stworzyć pojedyncze pomieszczenie daleko większe, niż to wyglądało z zewnątrz. Pół tuzina piętrowych, potrójnych łóżek ustawiono pod ścianami. Rury od piecyka, który stał pod jedną ścianą, sprytnie poprowadzono tak, żeby dym wychodził kominem bednarza. Większość niewielkiej wolnej przestrzeni zajmowały zapasy jedzenia, broni i ubrań.

– Ty, to znaczy my, zabiliśmy człowieka – poprawił ją Kip.

– Ach, a jaka to różnica? Nie żyje! Nawaliłam!

– Jesteśmy wojownikami, Teia – tłumaczył Kip, jakby była głupia. – Temu to wszystko służy.

– Wiem! Wiem – powiedziała. Rozejrzała się po pozostałych członkach drużyny. Pokręciła głową. Zawiodła ich. Powinna po prostu się zamknąć. – To nie ma znaczenia. Nic mi nie będzie. Ferkudi, możesz mi wreszcie rzucić ten pieprzony ręcznik?

– Szlag, dostaniesz go, jak skończę – warknął Ferkudi.

Zwykle był przyjazny, ale kiedy nie był, zachowywał się jak skończony cham.

Kip szybciej niż Teia myślała, że to możliwe, złapał Ferkudiego za przód tuniki obiema rękami, uniósł go i huknął nim o ścianę.

– To moja partnerka – powiedział. – I twoja towarzyszka z drużyny. Wiem, że jesteś wstrząśnięty. Ale. Nie. Rób. Tak.

Stopy Ferkudiego nawet nie dotykały podłogi, a był jednym z największych chłopców w drużynie. Niech to diabli. Kip naprawdę stawał się silny.

Kip go wypuścił.

– Ręcznik. Proszę.

Ferkudi podał ręcznik. Odwrócił wzrok.

– Przepraszam – wymamrotał.

– Ją przeproś.

– Przepraszam, Teia – mruknął. – Nie chciałem zachować się jak... motyla noga.

– Odbiję to sobie na tobie w czasie treningu – odpowiedziała Teia.

Uderzyła go w ramię, niezbyt delikatnie. Cieszyła się jednak, że ją przeprosił. Lubiła Ferkudiego, ale doprowadzał ją do szału, a nie miała w sobie dość sił, żeby utrzymać mu trochę nosa. Nie w tej chwili.

Kip podał jej ręcznik.

– Co mówiłaś?

Wzięła ręcznik ze złością, na którą Kip nie zasłużył, i dobrze to wiedziała, przez co jeszcze bardziej się rozeźliła.

– Opuść sobie, Łamacz, nie jesteś moim ojcem.

To nie było w porządku. Była mu wdzięczna, że stanął w jej obronie, ale nagle tak się wściekła, że była bliska łez.

– Nie, ale zabijałem ludzi. Wyrzuć to z siebie.

Teia zaczęła wycierać ręce. Wbijiała wzrok w ręcznik, w dłonie, w zadanie.

– A co, jeśli... Co, jeśli oni mają rację? Znaczący, Krwawe Szaty?

– Do diabła z nimi – powiedział Winsen. – Wybijmy ich wszystkich. A Orholam niech ich sobie posegreguje.

Teia słyszała już wcześniej takie słowa, ale to były przechwałki. Dziecinada. Tyle że w ustach Winsena nie brzmiało to jak żart.

– Nie – powiedział Kip. – Teia... Oczywiście, że oni mają swoje racje.

– Co ty wygadujesz? – zapytał Cruxer, po raz pierwszy się odzywając.

Chętnie zostawił drużynie radzenie sobie z sytuacją, ale Teia widziała, że nie chciał, by rozmowa zesłała na herezję.

– Nikt nie twierdzi, że Chromeria jest ideałem, Teia. Za prawo płaci się cenę i widzimy to na każdym kroku. Chromeria ma władzę i w pewnych sytuacjach jej nadużywa. Witaj wśród ludzi. Bezprawie też ma swoją cenę. Dorastałem w Tyrei, miejscu najbliższym rajowi bezprawia, o jakim rozprawiają Krwawe Szaty. O Tyrei można powiedzieć wiele rzeczy, ale żeby uznać ją za raj? – Kip prychnął szyderczo. – Pomyśl o Czarnej Gwardii. Pomyśl o dowódcach. Dowódca Żelazna Pięść może być najlepszym człowiekiem, jakiego znamy. Kapitan straży Miecznik: naprawdę dobry, dobry człowiek. Może pozbawiony wyobraźni...

– Łamacz, nie możesz... – zaczął Cruxer, ale Kip mówił dalej.

– Oczywiście, że mogę! Jesteśmy Czarnogwardzistami! Nie boimy się prawdy! Pamiętasz? Może pozbawiony wyobraźni, ale obowiązkowy, pracowity, lojalny do bólu. Doskonały zastępca dowódcy. Straciliśmy kapitan straży Białodąb, ale ona też dużo potrafiła. Kapitan straży Tempus? Mól książkowy, ale bystry, lepiej dowodzi niż walczy, ale kompetentny. Kapitan straży Beryl? Odrobinę zbyt przyjazna jak na oficera, ale dobra. Blunt? Nie dość przyjazny, ale znowu, świetny facet. A potem patrzę na oddziały nad nami i znowu wszystkich podziwiam. Popatrz na nas i zobaczysz, że jesteśmy najlepszymi, jakich da się wymyślić? Mam rację, kapitanie?

– To dlatego odmówiłem przyjęcia awansu – powiedział cicho Cruixer. – Po części, w każdym razie.

Teia i pozostali znali drugi powód. Mieli taki sam. Powiernika Światła.

– Do czego zmierzasz? – zapytała Kipa Teia.

– Gdyby Cruixer nie był gotów zaryzykować własnej kariery, Aram należałby teraz do tej drużyny. To była kanalia i mimo wszystkich naszych świetnych dowódców, niewiele brakowało, a dostałby się. Może by go zdemaskowano, zanim stałby się pełnoprawnym Czarnogwardzistą, ale zważywszy na to, jakie mamy braki w ludziach, wątpię. Pewnie złożyłby ostateczne śluby przed upływem roku. I to kiedy Czarna Gwardia zrobiła prawie wszystko jak trzeba. Nawet my sami, bądźmy szczerzy. Niektórzy z nas, którym by się udało, nie są czyści jak łąza. Niektórych z nas, nawet kadetów, próbowano szantażować albo przekupić. Dlaczego? Ponieważ mamy siłę, a wkrótce będziemy jeszcze silniejsi. Bo mamy to, czego chcą inni. Niektórzy z nas potykają się, inni są zepsuci do szpiku kości, mimo wszelkich przewag, nie? Mam na myśli to, że jesteśmy szanowani, dobrze opłacani, mamy wszystko, czego nam trzeba, zwraca się na nas szczególną uwagę, dostajemy najlepsze, co Chromeria może nam zaoferować, a mimo to nadal są wśród nas słabi, sprzedajni i skłonni do zdrady.

– Nie jest aż tak źle – powiedział Ferkudi.

– Przeciwnie – odparł Kip. – Po prostu nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy.

– Nikt nie próbował mnie przekupić albo szantażować.

– Ferk – zirytował się Kip – to dlatego, że uważają cię za zbyt tępego, żeby dało się cię przekupić, zbyt nieprzewidywalnego, żeby zaszantażować, i zbyt gadatliwego, żeby cię oczarować. W pierwszej kwestii się mylą.

Ferkudi zamrugał jak psiak, którego pacnięto w nos.

Kip mówił dalej:

– Jednak nie o to chodzi. Jeżeli w małej grupie dysponującej środkami, dobrymi dowódcami i wszelkimi przywilejami, jakimi cieszy się Czarna Gwardia, nadal zdarzają się źli członkowie, to jak możemy się spodziewać, że znacznie większa grupa, znacznie

potężniejsza, obejmująca całe satrapie i w niektórych miejscach dysponująca słabymi przywódcami, będzie dużo lepsza od nas?

– Masz na myśli Chromerię – powiedziała Teia.

-Tak.

– Oczekuję tego, bo składają przysięgę przed Orholamem – powiedział Duży Leo, który odezwał się po raz pierwszy. – Ponieważ są Orholamem na ziemi. Nie powinni zawieść świętego zaufania.

– Nie powinni – zgodził się Kip. – Ludzie nigdy nie powinni łamać złożonych przysięg.

– A jednak to robią – powiedział Ferkudi.

Niech mu Orholam błogosławi za stwierdzanie oczywistości. Czasem jednak dobrze robiło oczywistościom, kiedy się je wyciągało na światło dzienne.

– Krwawe Szaty są kłamcami, którzy przewodzą naiwnym – powiedział Kip. – Nie chcą dopełnić złożonej przysięgi, że skończą ze sobą, kiedy zaczną stanowić zagrożenie. Boją się i nie dotrzymują słowa, więc mówią, że przysięgi się nie liczą. Chcą styranizować innych, więc mówią, że Chromeria niesprawiedliwie ich tyranizuje. Chromeria mówi, że wszyscy ludzie są równi w oczach Orholama, że nasze moce i przywileje czynią nas niewolnikami naszych społeczności. Nie podziwiam preceptorki Kadah, ale w tej kwestii ma rację. Z drugiej strony, Książę Barw mówi, że krzesiciele stoją ponad zwykłymi ludźmi z natury rzeczy i jednocześnie mówi o zniesieniu niewolnictwa. Powiedz mi, skoro krzesiciele z natury rzeczy stoją ponad pozostałymi ludźmi, dlaczego miałby znieść niewolnictwo?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Ponieważ potrzebuje wojska – odezwał się Cruxer. – A idąc z Tyrei, musiał minąć kopalnie w Laurionie i dziesiątki tysięcy tamtejszych niewolników.

– I by podzielić wroga – dodał Daelos. – Żołnierze obawiają się, co ich własni niewolnicy zrobią, kiedy ich oddziały wyruszą, więc nie chcą się oddalać od domów.

– Zrozum, że we wszystkim, co robi Książę Barw, chodzi o władzę, a wtedy zrozumiesz wszystkie jego posunięcia.

– To nie może być aż tak proste, prawda? – powiedziała Teia. – Bo w takim razie, dlaczego ty to widzisz i nikt inny?

– Bo jestem złym człowiekiem i rozumiem sposób myślenia złych ludzi.

Co on miał na myśli? Oczekiwał komplementów?

Kip mówił dalej:

– Nie osądzaj człowieka po tym, jakie ideały deklaruje, ale po jego czynach. Spójrz, co zrobił Książę Barw. Oni się mylą, Teia. To kłamcy i mordercy. To nie znaczy, że wszystko, co my robimy, jest dobre. To nie znaczy, że nasz dom nie wymaga sprzątnia. Po prostu nie uważam, że trzeba go spalić na popiół.

Ferkudi skinął głową.

– W moich stronach jest takie powiedzenie: fakt, że twój pies ma pchły, nie znaczy, że masz otworzyć dom dla wilka.

– Mój ojciec zna podobne – wtrącił Winsen. – Tyle że z żoną, wysypką, łóżkiem i dziwką.

– Bez wątpienia poznał wartość tej lekcji na własnej skórze – powiedział Goss.

Ferkudi i pozostali się roześmiali. A potem Ferkudi przyznał:

– Nie kumam.

– To jedna z tych rzeczy, Ferk – powiedział Goss.

– Która przestaje być śmieszna, jeśli mi ją wytłumaczycie? – Ferkudi dobrze to znał. –

Motyła noga!

Najgorsze wyzwisko. No, może drugie pod względem ostrości. Przez jakiś czas mówił „świński ryj”.

– Uważasz, że to takie proste, Łamacz? – zapytała Teia, ignorując chłopców.

– W Wojnie Fałszywego Pryzmata generałowie Gavina rozkazali spalenie Garristonu. To było głupie. To było złe. Przerazające. Ogień się rozprzestrzenił i zabili dziesiątki tysięcy. To nie była strategia; to była zemsta za to, co wydarzyło się w Ru, ale dużo gorsza. Jednak Gavin musiał wygrać wojnę. Kiedy wygrał, nie ukarał tych, którzy to zrobili, chociaż jestem pewien, że chciał. Powiedzieli i może nawet w to wierzyli, że zrobili to, co było konieczne dla wygranej. Dał im więc medale i odprowadził do drzwi. Ani jeden z generałów zaangażowanych w spalenie Garristonu nie przebywa już na Jaspisach. Myślisz, że to zbieg okoliczności? Ci ludzie nie mają już pozycji, z której kiedykolwiek mogliby zrobić coś podobnego. Czy to, co Gavin zrobił, po tym jak popełniono uczynek, było dobre? Nie. Ale to najlepsze, co było możliwe.

– A to? – zapytała Teia, pokazując nadal zakrwawione ręce i krwawą szmatkę, która nie chciała do końca zetrzeć szkarłatnych śladów. – To jest najlepsze?

Kip spojrzał jej twardo w oczy. Wziął ręcznik w czyste ręce i pomazał krwią najpierw jedną dłoń, a potem drugą.

– Nie, nie najlepsza. Najlepsza możliwa? Po tysiącokroć tak.

I kiedy spojrzała mu w oczy, uwierzyła. To przeklęta rzecz, ta wojna, ale ona nie była przeklęta za to, że w niej walczyła. To przesunęło nieco brzemień, nie bardzo, ale wystarczająco.

Dwadzieścia minut później, kiedy drużyna doprowadziła się do porządku, a Cruxer odebrał od wszystkich raporty, ustawili się przed drzwiami kryjówki, żeby wrócić razem do Chromerii i zdać sprawozdanie. Cruxera ewidentnie nie radował ten obowiązek.

– Teia – powiedział. – Wystąp.

-He?

– Jesteś teraz numerem dwa. Pierwszym sierżantem.

Teia spojrzała na Ferkudiego, którego zastępowała. Nie wyglądał na złego.

– Awans to mój pomysł, Teia – powiedział. – Zamarliśmy tam. Ja zamarłem. Zasłużyłaś.

Zasłużyła? Całkiem tam oszalała. Nie ufała sobie dość, żeby się odezwać, więc po prostu zajęła nowe miejsce.

– A Łamacz? – spytała.

– Łamacz to Łamacz – odparł Cruxer. – On, ehm, nie plasuje się w naszej hierarchii dowodzenia. Kiedy przychodzi czas, żeby go słuchać, słuchamy go. A przez resztę czasu on słucha nas. W porządku, Łamacz?

Kip spojrzał smutno, ale reżolutnie.

– W takim razie zaczyna się? – cicho zapytał Cruxera.

Teia nie miała pojęcia, o czym mówią.

– To się zaczęło dawno temu, Łamacz – odpowiedział Cruxer. – Pytanie tylko, czy będziesz walczył z przeznaczeniem, czy spróbujesz nim posterować.

– Przeznaczeniem? – spytał Kip. – To ty nadałeś mi imię Łamacz.

– Ups. – Cruxer uśmiechnął się kpiarsko.

– W porządku, kapitanie. Stanę pół kroku z boku. Ale chciałem tego jak niczego innego, wiesz to, prawda?

– Wiem, co to znaczy pragnąć... niemożliwego. – Cruxerowi drgnęły usta i Teia wiedziała, że myśli o Lucii.

– Jesteś spośród nas najlepszy – powiedział Kip. – Pod każdym względem. Nie waz się umierać, jasne?

– No co ty? Jestem niezwyciężony – odparł Cruxer. – A teraz wracamy. Szybkim marszem. Przekonajmy się, czy da się spalić jeszcze trochę tego. – Szturchnął brzuch Kipa i obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Chłopcy. Teia obu ich tak bardzo kochała.

ROZDZIAŁ 48

Kilka tygodni później stali znowu w szeregach przed trenerem Fiskiem. Obrzucił nienawistnym spojrzeniem rozległy dziedziniec pod Chromerią. Wszędzie Czarnogwardziści trenowali ludzi, którzy nie byli Czarnogwardzistami.

Jednak na jedną część łuku wielkiego kręgu spojrzął ze szczególną, nieskrywaną nienawiścią.

Plotki o Świetlanej Gwardii stały się faktem. Szczawie podzielali jego niechęć. Ustanowiona jednym ruchem pióra promachosa Świetlana Gwardia była osobistą armią Androssa Guile. Stworzona do obrony Jaspisów, jak twierdził, podlegała tylko jemu.

Czarna Gwardia widziała, do czego Andross zmierza, nawet jeśli wydawało się, że nie dostrzega tego nikt inny u władzy.

Świetlana Gwardia składała się z najemników, zbirów, weteranów dawnych wojen i innych im podobnych, którzy byli gotowi zrobić wszystko, czego Andross Guile zażąda w zamian za monetę, ochronę przed oskarżeniami i zemstą za wszelkie przestępstwa, jakie mogli popełnić. Dowodziły nimi głównie popłuczyny po Czarnej Gwardii i synowie biednych arystokratów, którzy zdecydowali zdać się na łaskę Androssa Guile.

Dostali białe fraki z wielkimi mosiężnymi guzikami i medale za nic. Co gorsza, otrzymali pewne przywileje Czarnej Gwardii, na przykład, mogli chodzić uzbrojeni po Chromerii.

I byli szkoleni, zgodnie z niepodważalnym rozkazem promachosa – przez Czarną Gwardię. To jakby zostać zmuszonym do rozcięcia sobie brzucha zardzewiałym nożem.

– Dzisiaj zadania specjalne. – Trener Fisk splunął w stronę Świetlanej Gwardii, ale zaraz się odwrócił.

Teraz prawie całe ich szkolenie składało się z zadań specjalnych i nieszczególnie udawano, że to tylko szkolenie. Wstrzymano awansowanie na pełnoprawnych Czarnogwardzistów najlepszych kadetów. Dowódca Żelazna Pięść zorientował się, że zaraz po złożeniu przysięg, jego ludzie są odsyłani do zadań typu szkolenie Świetlanej Gwardii, więc wstrzymał awanse.

Pozostałych Czarnogwardzistów wysyłano z innymi zadaniami: niektórzy szukali Gavina, inni znikali na długie dni lub tygodnie, a kiedy wracali, milczeli, bo złożyli przysięgę milczenia na temat swoich zadań. Jednakże wieść się rozniosła, przynajmniej w

kręgach Czarnej Gwardii. Szukali mary. Mówili, że gdzieś mogą znajdować się jądra każdego z siedmiu kolorów. Co dla uszu Kipa brzmiało jak kolejne walki z bogami.

Niektórzy donosili o dziwnych fenomenach, na które się natknęli. Jeden Czarnogwardzista przywiózł ze sobą z Atashu małą jaszczurkę zwaną piaskowym smokiem. Dla szczawi to był najnudniejszy smok na świecie. Nie ział ogniem ani nie robił niczego ciekawego, ale kiedy go zabito, udało się go podpalić bez żadnego paliwa i płonął trzy dni. W jakiś sposób te stworzenia zdołały wprowadzić do swoich ciał czerwony luksyn, bardzo podobnie jak to robiły drzewa atasifusta. To był pierwszy okaz, jaki widziano od wielu lat.

W Ruthgarze snuto opowieści o trawach, zwykle pożółkłych i uspionych o tej porze roku, które zieleniły się, tworząc kształty wielkich dziewięcioramiennych gwiazd. To mogła być robota jakichś szemranych zielonych krzesicieli, którzy nawozili równiny, żeby głosić deklarację Księcia Barw, ale dwóch Czarnogwardzistów widziało taką gwiazdę. Uważali, że jest zdecydowanie za duża jak na dzieło nawet trzech albo czterech współpracujących krzesicieli.

W Parii oddział natrafił na miasteczko, gdzie połowa studni napełniła się pomarańczowym luksynem. Starszyzna przysięgała, że nie ma w pobliżu pomarańczowych krzesicieli. A po tygodniu luksyn zwyczajnie zniknął.

Krażyły też plotki o burzach ogniowych w Tyrei, gdzie zamiast błyskawic wielkie strumienie ognia spadały razem z deszczem, gradem i śniegiem. O lejach krasowych w Abornei. O gotujących się morzach przy Pericolu. O dziwnie zachowujących się zwierzętach i nawet roślinach, które wydawało się, że podejmują celowe działania. Nie sposób było oddzielić prawdę od bzdur, a wkrótce też nie sposób było dotrzeć do pewnych ksiązek z zakazanych bibliotek, które wcześniej leżały tuż pod nosem drużyny. Uczni wyznaczeni przez samego Androssa weszli, zgarnęli masę ksiązek i zwojów, i wyszli bez słowa.

I przez cały ten czas toczyła się wojna. Wróg napierał. Inni walczyli zamiast nich daleko stąd.

Kiedy wszyscy stanęli w szyku, trener Fisk powiedział:

– Dzisiejsze zadanie dla każdej drużyny to iść do portu we Wschodniej Zatoce. Będą odczytywane Listy. Ruszajcie.

– I co, sir? – zapytała Łuczniczka, która nazywała się Kerea. – Co mamy zrobić?

– Słuchać. Jest coś niejasnego w tych rozkazach? Ruszać!

No to ruszyli.

– O co tu chodzi? – zapytał Ferkudi, zanim dotarli do Łodygi Lili.

Cruzer był ponury. Nie odpowiedział. Kip wziął z niego przykład i też się nie odezwał.

To, że wiedział, czego będzie dotyczyć lekcja, nie znaczyło, że musiał osłabić jej wpływ na tych, którzy nie wiedzieli.

– Pobiegnijmy tam truchtem – zaproponował Cruixer.

Przebiegli przez zamknięty most w blasku wschodzącego słońca. Kipa naszły dwie myśli: po pierwsze, już nie zbijały go z tropu cudowności magii tych wysp. Bieg przez luksusową rurę podwieszoną na poziomie fal stał się jakimś cudem zwykłą rzeczą. Niezręczny kmiotek zniknął. Nie był do końca pewien, czy to takie dobre. Jak ograniczeni stali się mieszkańcy Jaspisów, codziennie widząc magię, jakiej tyrejski sadownik nigdy nie ujrzy przez całe życie, codziennie ocierając się o kobiety i mężczyzn, którzy ujarzmili oddech samego Orholama. Cały świat kręcił się wokół Jaspisów, ale Jaspisy to nie był cały świat. Po drugie, zdał sobie sprawę, że nie został żaden ślad po ataku morskiego demona, który prawie zniszczył most. Sam morski demon nie wrócił od Święta Światła i Ciemności, tak samo jak wieloryb. Bałagan uprzątnięto, martwych zabrano, Kip nie znał żadnej z ofiar ani też żaden z jego znajomych. Jakby nigdy nic się nie stało.

Tak właśnie wygląda życie w kosmosie, jakim są Jaspisy. Świat się tutaj zmienia, ale tu nie ma jednego świata, lecz wiele różnych i zauważamy pozostałe dopiero, kiedy nadepną nam na odcisk.

Dotarli do portu i zwolnili, przepychając się przez ścisk. Cruixer robił za klin, a za nim szedł Duży Leo, oczyszczając ścieżkę dla pozostałych. Ponieważ nosili szare stroje kadetów, nikt nie stawiał im oporu.

Znajdował się tam rzeźbiony piedestał, szeroki akurat na tyle, żeby mógł na nim stanąć miejski herold. Jakiś człowiek wchodził na podwyższenie po drabinie. Sięgnął do sakwy i wyjął zwój. Złamał pieczęć i ciżba ucichła, a mężczyzna wypuścił zwój, żeby się rozwinął.

Pomruki rozległy się w tłumie, kiedy ludzie zobaczyli, że zwój kończy się poniżej jego stóp. Ucichły jednak, gdy zaczął czytać czystym, przenikliwym tenorem, który niósł się z łatwością ponad pomrukami i rejwachem podnoszonym przez żeglarzy rozładowujących statki, ponad skrzypieniem starych kół u wozów.

– Oto lista zmarłych lub zaginionych i uważanych za zmarłych, którzy pochodzą z Wielkiego Jaspisu lub Chromerii od końca potyczki w Gardzieli Ruckiej aż do końca bitwy o Wolibród. To lista kompletna i prawdziwa zgodnie z moją wiedzą, tak przysięga lord dowódca Zjednoczonych Armii Satrapii Caul Azmith.

A potem zaczął odczytywać imiona. Najpierw arystokratek, potem arystokratów. Niewielu ich było. Potem krzesicielek i krzesicieli. Dopiero potem jako niewolnicy – chociaż byli także krzesicielami – zostali wymienieni Czarnogwardziści, tuż przed pospólstwem.

– Z Czarnej Gwardii: Elessia, Laya, Tugertent, Ahhanen, Djur, Norl Jumber i Pan Harl.

A potem czytał dalej, jakby to było tylko kilka imion z setek czy tysięcy, jakie musiał odczytać tego dnia, jakby to była zwykła praca. Którą rzecz jasna była.

– Norl Jumber, bądź przeklęty Orholamie, Jumber – szepnął Duży Leo.

To Benhadad, ten najbystrzejszy, powiedział najgłupszą rzecz:

– Mogli tylko zginąć, prawda? Chcę powiedzieć, że to nie znaczy, że nie żyją. Nie wszyscy. To lista zmarłych i zaginionych. Prawda?

Cruker nawet nie odwrócił głowy.

– Jest nadzieja, która dodaje sił, i nadzieja, która osłabia. Nie myl ich.

Ktoś w szeregu zakrztusił się, powstrzymując szloch. Ferkudi? Kip zastanawiał się, dlaczego w ogóle nic nie czuł poza zakłopotaniem, że nie czuje tego, co powinien. Co z nim było nie tak? A gdyby ktoś z drużyny spojrział na niego i wyczytał, że kiedy oni stoją i rozpaczają, on tylko stoi?

Przypomniał sobie Elessię. Drobna, z krzywym uśmiechem i koślawymi zębami, jasnoskóra jak na Czarnogwardzistkę, często miała służbę u Bieli. Laya – była czerwona, starsza. Kip pamiętał, jak płakała na barce, którą wracali z Garristonu. Ach, racja. Musiała zabić partnera, któremu pękło halo w trakcie walki. Tugertent była prawdziwą łuczniczką, w dodatku najlepszą w Czarnej Gwardii. Ludzie przysięgali, że widzieli, jak trafia w cel, strzelając zza rogu, a ona nie zaprzeczała. Ahhanena Kip pamiętał tylko z tego, że zawsze wyglądał, jakby napił się wina, które się skwasiło. Jego partnerem był Djur; znał taką sztuczkę, którą bawił towarzyszy – uprawiał niezwykle skomplikowaną zonglerkę dwoma pistoletami i nożem. Lubił hazard i był w tym kiepski, z tego co Kip słyszał. Norl Jumber był drobny i gorliwy, niezbyt bystry, ale jego wesołość była zaraźliwa. Pan Harl był kadetem, jak Kip i jego drużyna. Nawet nie powinno go tam być.

Nie mogli zginąć. Nie tak po prostu. Imię odczytane na placu i to wszystko? Co się z nimi stało? Zginęli heroicznie czy tylko znaleźli się w złym miejscu i akurat wyciągnięto ich kartę?

Ktoś zaczął zawodzić, niecałe dziesięć kroków dalej. Kobieta rzuciła się do przodu, jakby chciała zaatakować herolda, i kilka kobiet złapało ją, powstrzymało. Kip zdał sobie sprawę, że stracił parę chwil. Herold odczytywał imię po imieniu, według satrapii i lorda, któremu podlegali polegli. Na liście musiało być z tysiąc nazwisk.

Tysiąc nazwisk, a herold wyczytywał tylko tych, którzy pochodzili z Jaspisów. Ktoś powiedział, że jak na razie wojska ruthgarskie poniosły największe straty.

Orholamie, zlituj się, ilu ludzi zginęło?

Drużyny stały na baczność przez kwadrans, kiedy odczytywano imiona. Imię po imieniu. Kiedy odczytywano zmarłych każdego lorda, niektórzy płakali, krzyczeli lub padali, podczas gdy pozostali starali się nie okazać zbyt wielkiej ulgi. Jednak w miarę jak

czytanie trwało, równowaga się przesuwała. Nastrój mroczniał. Jasno świecące słońce lśniło jak kpina, jakby Orholam nie widział.

W jakimś odległym kącie wybuchła bójka wśród pogrążonych w rozpacz. Wściekli walczyli z prawdą, karali niewinnych. Zgorzkniali pokrzywdzeni i ci, którzy oddychali z ulgą, pełni poczucia winy, walczyli.

Kiedy krzyki ucichły, zaległa cisza i było słychać tylko szloch. Załamanych odprowadzali oszołomieni przyjaciele.

Kip chciał na nich krzyczeć. Myśleliście, że to zabawa?! Kiedy Tyrejczycy ginęli, to było ekscytujące, ale teraz? Teraz to poważna sprawa?! Przez chwilę ich nienawidził, ale ten moment minął, a wtedy dostrzegł ich smutek, i to go poruszyło.

To, że nauczyli się płakać na wojnie, to żadne zwycięstwo. To, że zaznali straty, to żaden zysk.

Potem herold ogłosił, że imiona zmarłych z każdej satrapii zostaną wywieszane na placu, i zszedł z podwyższenia. Nie było żadnych więcej wieści, żadnej wiadomości z ostatniej chwili.

Nie ogłoszono, że bitwa zakończyła zwycięstwem albo chociaż powstrzymała wroga. To, jak i liczba odczytanych imion, powiedziało Kipowi, że ponieśli druzgocącą klęskę.

– Oto dlaczego – powiedział Cruixer. Drużyna spojrzała na niego. – Oto dlaczego musimy być najlepsi.

ROZDZIAŁ 49

Teia znowu szła za Mordercą Sharpem, tym razem do innej dzielnicy. Zimowa noc była zimna, ale przynajmniej tym razem nie było mgły. To nie poprawiło jej zbytnio samopoczucia.

– Zatem ten rozszczepiacz światła... – zaczęła Teia.

O to chodziło tej nocy i Teia martwiła się zaciśniętym węzłem niepokoju w brzuchu.

– To było pytanie?

– Nie rozumiem tego. Znaczący rozumiem. Pryzmat nie potrzebuje okularów. To dla niego wygodne, pewnie, ale ja jestem monochromatą, a paryl nie wymaga okularów. Zatem, nawet gdybym była rozszczepiaczem światła, to zupełnie jakbym... Co właściwie? Jakby była najlepszym zonglerem w satrapiach, tylko nie miała rąk?

– W rzeczy samej.

– Serio?

-Nie.

Dotarli do domu z ciemnymi oknami w Łasiczej Skale, gdzie wręczono im szaty z kapturami i zaprowadzono w ciemność.

– Rozbierz się do naga.

Głos był szorstki, celowo zniekształcony, postać zakapturzona – czarna plama na tle ciemności.

W pokoju panowała niemal całkowita ciemność, cieniuteńka niteczka światła sączyła się pod drzwiami i było tam tak przerażająco, że można się zmoczyć ze strachu, ale Teia nie była niczyją niewolnicą. Już nie. Ani Aglaili Crassos, ani Kipa, ani Androssa Guile i z pewnością nie Strachu.

– Cóż, to przynajmniej odpowiedź na jedno pytanie – powiedziała do odzianej w ciężki płaszcz postaci. – Z pewnością jesteś facetem.

Jej głos był drwiący, pełen wyższości i bez śladu strachu. Ten supeł w brzuchu to nie strach, ale niepewność, niepokój, niechęć, gorycz, żółć, wojowniczość, pogarda, wzgardliwa... tchórzliwość.

Niech mnie diabli.

Nie, to jego niech wezmą diabli.

– Rozbierz się.

Zdecydowanie mężczyzna, zdecydowanie poirytowany, zdecydowanie niezbyt dobry w zniekształcaniu głosu, kiedy jest poirytowany. Lubił popalić mgiełkę, o ile dobrze oceniała chropawość w jego głosie.

– Nic z tego – powiedziała.

Pieprzeni amatorzy. Kleła w myślach, próbując przekonać samą siebie o swojej sile. Kolana nie trzęsły jej się ze strachu. W tym kurewskim domu było kurewsko zimno.

Do diabła. Zrobiłam to dwa razy. Jeszcze trochę, a moja bielizna będzie potrzebowała dodatkowego prania.

– Odnotowano twoje nieposłuszeństwo. Mam dziwki do upokarzania dla przyjemności. To nie jest próba twojej cnoty. Ani też siły woli. To próba rozszczepiania światła.

Jakaś jej częśćka zadrżała z nagłej nadziei, ale Teia to ukryła.

– I muszę mieć do tego nagi tyłek?

– Najlepiej to działa, jeśli...

– Zatem nie.

– Kiedy zaczniesz...

– Chcesz mnie rozebrać z dwóch powodów. Albo żeby mnie upokorzyć i sprawić, że poczuję się słaba, albo żeby zaspokoić swoje chore żądze. Idź do diabła.

– Och, Teia. – Cicho i z rozbawieniem; zabrzmiało to groźniej, kiedy wypowiedział jej imię. Do diabła. – Chore żądze? Żeby zobaczyć urodziwą młodą kobietę nago? Na jakim świecie to jest chora żądza? Fakt, że twoje krągłości trochę się opóźniają, ale zauważyłem zmianę w ciągu ostatnich paru...

– Odpierz się!

Dygotała. Obserwował ją? Od miesięcy? Na liche klejnoty Orholama! Jak śmiał komentować jej... W mordę! Nie będzie bardziej skupiać się na swoim ciele z powodu jednego słowa tego dupka.

Rozejrzała się po ciemnym pokoju. Nijaki, nic go nie odróżniało od tysięcy innych domów w kiepskich dzielnicach Wielkiego Jaspisu. W co ona grała? Co tu robiła? Za kogo się uważała, żeby pogrywać sobie z tymi ludźmi?

Była przy odczytywaniu List. Znała stawkę. Był czas, kiedy pozycja kadetki w Czarnej Gwardii mogła ją chronić, kiedy strach, że Czarna Gwardia ją pomści, jeśli stanie jej się krzywda, zapewniłby jej bezpieczeństwo wszędzie na świecie.

Tyle że to było przed wojną. Teraz wiedziała, że nawet na Wielkim Jaspisie nie była bezpieczna.

Najgorsza była tajemnica. Nie móc nic powiedzieć drużynie, nic powiedzieć Kipowi? To ją rozdzierało, ale to było jedyne bezpieczne rozwiązanie. Dla nich.

– To nie debata. Będziesz posłuszna albo zginiesz. Byłoby to straszliwe marnotrawstwo

stracić cię na tym etapie, ale skoro okazujesz nieposłuszeństwo już teraz, jak będziemy mogli kiedykolwiek ci zaufać i powierzyć większą władzę?

– Dupek z ciebie – odpowiedziała Teia. – Zostanę w białiznie.

Pauza.

– Dobrze, nie ufałbym ci, gdybyś zbyt łatwo się poddała.

Mówiąc to, zaniedbał nieco zniekształcanie głosu i dla Teii to było jej drobne zwycięstwo.

Rozebrała się. W końcu i tak było tam ciemno że oko wykoł, nie?

– Załóż to – powiedział znowu szorstkimi głosem.

Z pewną trudnością rozszerzyła oczy do podczerwieni i zobaczyła, że nie wyciąga ręki z tobołkiem dokładnie do niej. Rozbierając się, odsunęła się o krok w bok, a on tego nie zauważył. Nie był więc podczerwonym krzesicielem. Ani parylowym. Zapamiętała to sobie. Kiedyś może jej się to przydać. Kto wie. Dzięki temu w trochę mniejszym stopniu czuła się ofiarą zmuszoną do czegoś. Wzięła tobołek.

Worek. Nie, kolejna maska łasico-niedźwiedzia, przystrojona łatami i paskami.

– Próba wymaga, żebyś w ogóle nie posługiwała się oczami. Wszyscy oszukują. Nie sposób nie oszukiwać.

Nie sposób? Czy nie mówił jak ktoś, kto przeszedł tę próbę i zawiódł?

Teia założyła kaptur. Nie miała pojęcia, jak założyć go we właściwy sposób, gdzie powinny wypaść paski. Orholamie, w kapturze było gorąco, duszno i nie mogła oddychać...

Ktoś dotknął jej nagiego ramienia.

Podskoczyła, ale to nie była reakcja małej przestraszonej dziewczynki, jakby to było jeszcze rok temu. Skoczyła, cofając jedną stopę, pochylając głowę, żeby uniknąć ciosu, który musiał nadejść, przeniosła środek ciężkości, aż mogła oprzeć się na stopie z tyłu i wyrzuciła pięść do przodu z prędkością i siłą całego jej napięcia psychicznego i mięśniowego.

Trafiła w brzuch. W czasie szkolenia w Czarnej Gwardii jednym z mniej zabawnych elementów treningu było przyjmowanie ciosów w brzuch. Stawało się z partnerem i wymieniało ciosami. Istniały różne strategie, zależnie od tego, jak dużym się jest. Napnij mięśnie i cofnij się, kiedy tylko oberwiesz, żeby nie przyjąć całej siły ciosu, albo, jeśli jesteś większy i twardy jak skała, napnij mięśnie i przysuń się do przeciwnika, żeby pięść uderzyła, zanim nabierze pełnego impetu. Jednak zawsze, zawsze napnij mięśnie z całej siły. Ten brzuch nie był gruby, ale i nie był napięty – był miękki, z rozluźnionymi mięśniami, więc jej pięść z łatwością się zagłębiła.

Rozległa się cisza jak makiem zasiał, kiedy Teia zdała sobie sprawę, co właśnie zrobiła. Zgrzyt podeszwy, kiedy mężczyzna cofnął się o krok, a potem odgłos upadku, gdy osunął się na ziemię. A chwilę potem gwałtowny wdech, gdy odzyskał zdolność oddychania.

Teia zamarła. W pokoju rozległy się śmiechy. Pięciu, może sześciu ludzi?

– Odwrócić się! – warknął mężczyzna. – Nie macie jej widzieć!

Teia słyszała, jak mężczyzna, którego uderzyła – to ten sam, który ją dręczył? – wstaje.

– Nie! – rozległ się drugi głos. Pan Sharp? – Chcieliśmy wojownika. No i mamy. Uderz ją, a ja uderzę ciebie.

Pierwszy mężczyzna stał blisko Teii, czuła jego oddech na masce. Stała nieruchomo, bardzo nieruchomo, nie dając mu żadnego więcej pretekstu ponad to, co już zrobiła – zauważyła, jaki jest wysoki i zapamiętała to sobie.

– Przepraszam – powiedziała ze szczerą skruchą w głosie, głośno i wyraźnie, żeby było słychać ją mimo kaptura.

– Do roboty – powiedział. – Niech to nam nie zajmie całej nocy. Poprawię ci teraz kaptur. Zrób to raz jeszcze, a... – Tym razem prawie nie maskował głosu.

Głos arystokraty. Ruthgarski akcent. Młody. Mam cię, pomyślała Teia.

Obrócił kaptur tak, żeby dwie grube łąty wypadły na oczach, a dziura na ustach. Dzięki Orholamowi, mogła oddychać! A potem zaciągnął paski za głową i pod brodą. Wiele warstw materiału i skóry oddzielało jej zamknięte oczy od zewnętrznego świata. Odsunął się od niej.

I wtedy coś się zmieniło. Teia nie potrafiła nawet powiedzieć, co.

Dowódca powiedział:

– Rozszczepiać światło to dotykać surowej materii stworzenia i zaginać zgodnie ze swoją wolą. Krzesanie to uczestniczenie w boskości, ale manipulowanie samym światłem w jego czystej formie to osiągnięcie boskości. Adrasteio, szukamy w tobie iskry boskości. Zaczynamy od rzeczy łatwej. Ta próba określi, czy potrafisz widzieć kolory skórą.

– Słucham?

To jej się zwyczajnie wyrwało. Zabrzmiało lękliwie i słabo, dokładnie tak, jak Teia się czuła, niech to diabli.

– Usłyszysz dzwonek i będziesz miała kilka sekund na podanie koloru. Będziemy kontynuowali próbę tak długo, aż zyskamy pewność, że nie zgadujesz. Jeśli zawiedziesz, nie opuścisz tego miejsca.

– Słucham?

Znowu, ale jeszcze gorzej.

– Jeśli zawiedziesz, okażesz się dla nas bezużyteczna, a za dużo wiesz. Zatem postaraj się.

– Czerwony! – zawołała.

– Spokojnie. Jeszcze nie zaczęliśmy. Uspokój się.

– Nie! Jestem daltonistką, nie odróżniam czerwonego i zielonego. Musicie to wiedzieć!

Nie mam szansy...

– Wobec tego dobrze zgaduj.

Nie było wyjścia. Chcieli ją zabić. Powinna zdjąć maskę i zaryzykować.

Wtedy jednak ogarnęły ją wątpliwości. W Młocarni w Chromerii, gdzie sprawdzano, jakie kolory potrafi krzesać każdy dyscypuł, mówiono wcześniej kandydatom różne rzeczy, żeby ich nastraszyć. A nawet w trakcie. Strach sprawiał, że rozszerzały się źrenice. Czy to możliwe, że im chodzi o to samo? Ze kłamali? Z pewnością Teia nadal mogła być dla nich użyteczna, nawet nie będąc rozszczepiaczem światła, prawda?

Tyle że rozszerzanie źrenic nie pomoże jej w próbie, podczas której ma zakryte oczy, a ona mogła być użyteczna, ale nie sposób powiedzieć, czy na tyle, by równoważyło to zagrożenie, jakie dla nich stanowiła. Orholamie, zlituj się.

Orholamie, przepraszam, że mówiłam o twoich klejnotach. Przepraszam za swój okropny stosunek do...

Rozległ się dzwonek.

Teia najpierw pomyślała, że stoi teraz w bieliźnie w pełnym świetle i co najmniej dwóch starszych mężczyzn się na nią gapi. To jej nie pomogło.

Zapomnij o tym, T. Później się zemścisz. Schowaj to, powstrzymaj, przyłóż się i zajmij obecną chwilą. Najpierw poczuj.

Starła się skupić całą świadomość w ciele. W pokoju było zimno i dostała gęsiej skórki od stóp po czubek nosa. Nogi ścisnęła tak mocno, że mogłaby zmiażdżyć orzech między kolanami, zarówno próbując zachować trochę ciepła, jak i ze wstydu.

Wstyd rozprasza teraz twoją uwagę, T. Zasady bitewne. Skup się na skórze. Musisz przeżyć.

Znowu rozległ się dzwonek.

– Kolor? – zapytano.

To mógł być Morderca Sharp.

Ci łajdacy chcieli obejrzeć ją naga, tak? Co lepiej do tego posłuży jak nie pełne światło?

– Białe – odpowiedziała Teia z przekonaniem, którego nie czuła.

Cisza.

– Dobrze. Myślę, że dobrze zgadłaś. Możemy kontynuować.

Znowu rozległ się dzwonek.

Na dziewięć piekieł! Ani chwili przerwy? Dobrze, do dzieła, T. Damy radę. Do diabła, może jednak naprawdę jestem rozszczepiaczem światła, co? Musi być w tym jakaś logika, żebym mogła zdać uczciwie, nie?

Znowu dzwonek, zanim zdążyła ponownie skupić się na ciele.

– Kurwa! – zaklęła na głos.

– To nie kolor. Twoja odpowiedź?

Miała tylko siedem do wyboru. Osiem, jeśli wliczyć biały.

– Niebieski.

Chwila ciszy.

– Bardzo dobrze.

Zgadła? Co jest, u diabła?

Dzwonek.

Psiakrew! Co za sukinsyny! Ile razy może jej się poszczęścić? Oczywiście, jeśli sprawdzali każdy kolor tylko raz, to za każdym miała coraz większą szansę. Jeden z ośmiu, jeden z siedmiu, jeden z sześciu, jeden z pięciu. Zgadza się?

Przestań myśleć i czuj, T!

Nic. Niczego nie czuła.

Dzyń!

– Żółty? – powiedziała.

– Zgadza się. – Morderca Sharp nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

Dzyń.

Och, dajcie spokój. Jak długo może mieć fart? Będą kontynuować, aż zyskają pretekst, żeby ją zabić. Wpadła w pułapkę. Musiała się uwolnić. Potrzebowała zerwać ten przeklęty kaptur, wykrzesać paryl i pozabijać ich wszystkich. Musiała...

Dzyń!

– Zielony! – krzyknęła.

Nawet nie odpowiedział.

Dzyń!

Zabije wszystkich co do jednego, każdego obecnego tu skurwysyna.

– Czerwony! – wrzasnęła, nie czekając nawet na dzwonek.

– Zgadza się – rozległ się głos w jej uchu. – A to?

Dzyń.

Coś w tym zimnym głosie przywołało Teię do porządku. Co ona robiła? Rzucała się na oślepek? Musiała się zastanowić, spojrzeć na to z perspektywy. Nie było powodu, żeby wyczerpali wszystkie kolory, nim zaczną je powtarzać, prawda? Z pewnością rozumieli, że to ułatwiałoby zgadywanie. Nie zostały jej tylko trzy kolory, ale nadal miała wszystkie. Albo żadnego.

Dzyń.

– Nadfiolet – powiedziała.

Dzyń.

Nagle poczuła ciepło na skórze. Tym razem nie musiała zgadywać. Prawie się

rozpłakała. Dzyń.

– Podczerwień – powiedziała.

Nawet nie zawracał sobie głowy poinformowaniem jej, że dobrze odpowiedziała. Sama to wiedziała.

Dzyń.

Został jej tylko oranż, ale niczego nie czuła. Po fizycznym, namacalnie oczywistym ciepłe podczerwieni, kontrast był jeszcze wyraźniejszy. Oranż wydałby się zimny po ciepłe podczerwieni, prawda? Pokój sam w sobie był dość zimny, ale...

Dzyń.

– Ciemność – powiedziała Teia. – Czerń, czy jak to zwać.

Dzyń.

– Oranż – powiedziała – ale teraz zgaduję, bo daliście już wszystko.

Ale zaraz pomyślała: to nie było szczególnie przebiegłe, T.

Dzyń.

Nie skończyła jeszcze. Och, zlituj się, Orholamie. Patrzyli na wskroś niej. Tylko szczęście mogło zaprowadzić cię tak daleko. Chyba że... poczuj to, Teia, poczuj.

Dzyń.

– Paryl.

Długa, długa cisza. Pokój wydał się jaśniejszy.

– Nie mamy krzesiciela chi, więc to koniec – powiedział mężczyzna. – Zdałaś. Idealny wynik. Ubierz się i wyjdź. Skontaktujemy się z tobą, kiedy nadejdzie czas.

Kiedy Teia się ubrała, ktoś pomógł jej zdjąć kaptur i wypchnął ją za drzwi. Zanim się za nią zamknęły, usłyszała, jak mężczyzna mówi:

– Bracia, siostry, mamy wiele do omówienia.

Zdała? Naprawdę zdała?

Więcej nawet – zdała doskonale? Nawet z czerwienią i zielenią? Jak to możliwe? Czy to szczęście? Matematyczne szanse zgadnięcia koloru były... Ile to? Jeden na dziesięć razy jeden na dziewięć razy jeden na osiem razy jeden na siedem razy jeden na sześć i tak dalej? Nawet przy oczywistości z podczerwienią... Nie, to nie mogło być szczęście. To nie było szczęście.

A może, może próbowali ją ogłupić? Może wciągali ją w oszustwo, bo uznali, że może im się przydać w inny sposób?

Wątpiła w to. Coś się zmieniało za każdym razem. Jak się teraz nad tym zastanawiała, za każdym razem czuła delikatną, ale wyczuwalną zmianę. Jeśli to prawda, to Teia była...

Zmiłuj się, słodki Orholamie. Nie wiedziała, co to znaczy ani czy to ważne, ale... Nie jestem niewolnicą. Jestem rozszczepiaczem światła.

ROZDZIAŁ 50

Nawet gdy siedziała w bibliotece i przeczekiwała potencjalne ogony, Karris odkrywała, że szpiegostwo podoba jej się bardziej niż powinno. Była święcie przekonana, że szesnaście lat w roli straży osobistej i wojownika nie wyposażyło jej w żadne umiejętności, które można by wykorzystać gdzie indziej, lecz okazało się, że się myliła. Jej nadzwyczajnie bystry wzrok wyszkolony do wychwytywania podejrzanych, nadal mógł wypatrywać podejrzanych. Wypatrywanie broni stało się mniej ważne, ale nadal musiała odróżniać ludzi, którzy z zaciekawieniem przypatrują się wpływowym, od tych, którzy zachowują się jak myśliwi rozglądający się za ofiarą.

Poza tym, teraz miała zabawki. Okazało się, że pokolenia Bieli stworzyły albo skonfiskowały pewne przedmioty, którymi nie dzieliły się z nikim. Tej jednak jeszcze nigdy nie musiała użyć.

Dotknęła kolczastego kanaku na kolanach, ukrytego pod ciężkim rękopisem na temat ataskiego rodu królewskiego w poprzednim wieku, zostawionym przez kogoś na stosie. To była zakazana magia, ale w bardzo ograniczonym stopniu, który w dodatku przetestowała pod względem bezpieczeństwa każda Biel na przestrzeni co najmniej stu lat. Kanak trzeba było zapiąć tak ciasno, żeby dwa małe kolce sięgnęły do krwi, i wtedy, jeśli było się krzesicielem, rzecz jasna, własna magia sprawiała, że kanak zmieniał głos, obniżając go lub podwyższając.

O najlepszych rzeczach, których się uczę, nie mogę nikomu powiedzieć.

Obróciła wielki rubin na palcu. Czasem miała wrażenie, że to jedyna rzecz w jej życiu, która zapewniała ją, że jej małżeństwo to prawda. Tyle że nawet patrzenie na niego było zbyt bolesne.

Może już czas zmierzyć się z możliwością, że on nie żyje?

Lodowato-palące uczucie, jakie ją przeszyło, było tak intensywne, że zapało jej dech. Zamrugła i z hukiem zamknęła księgę. Żadnych takich. Żadnych takich. Kip powiedział, że on żyje.

Kip chce, żeby on żył. Nie dotarł do nas nawet szept. Na temat Pryzmata. Czy to możliwe, żeby pijani żeglarze w portach do tego stopnia trzymali gęby na kłódkę? Aż tak bardzo?

Mam robotę do wykonania.

Karris wstała gwałtownie i ruszyła do windy. Zjechała dwa piętra, pstryknęła palcami, jakby o czymś zapomniała, i pojechała pięć pięter w górę. Oczywiście, jeśli śledził ją zmieniający się zespół, ten gest zdał się na nic, ale nie można zabezpieczyć się przed każdą ewentualnością.

„Nie przeceniaj możliwości swoich wrogów”, powiedziała jej Biel. „Zakładaj, że są skłonni popełniać błędy tak samo jak nasi ludzie”. Za każdym razem kiedy Karris zlecała zadanie, na nowo doceniała drugą połowę tego stwierdzenia. Jak kiedy pokojówce wypadł szyfr z koszyka z praniem na podłogę. Znalazł się – z nienaruszoną pieczęcią – w koszu rzeczy znalezionych na parterze.

Jednakże ze względu na delikatność kwestii szyfr porzucono, z każdym szpiegiem w siatce skontaktowano się osobiście i przekazano mu nowy szyfr. I oczywiście teraz Karris musiała pamiętać, że ta konkretna pokojówka jest nieudolna, pechowa albo została przekupiona. Już sama ilość informacji, jakie Karris musiała przechowywać w swojej głowie, wydawała się absurdalna, a każda była zdecydowanie zbyt ważna, żeby ją zapisać.

Dwa spotkania tego popołudnia, a potem jedno wieczorem z jej najważniejszym szefem siatki szpiegowskiej – jej fryzjerem. Jego zajęcie nie tylko dostarczało doskonałego pretekstu do długich spotkań z Karris; oferowało mu także przykrywkę do częstego odbierania raportów od szlachetnie urodzonych szpiegów, nad którymi sprawował nadzór, i umieszczało go w samym środku obiegu plotek. Niestety, sumy, jakich żądał, były niepojęte. Wszystkie jego gusta były drogie. Karris nadal miewała z tym kłopot.

Jestem za tania do tej roboty. Tylko że muszę zająć się odrostami. Czy to nowe siwe włosy? Tym razem czerni.

Pierwsze spotkanie dzisiaj – łatwizna. Nowy kontakt, który nie może wiedzieć, że Karris to Karris – niewolnica, która została Czarnogwardzistką, Teia. Karris trenowała trochę z Teią. Lubiała tę dziewczynę i widziała w niej młodszą wersję siebie, tyle że Teia była niewolnicą i nie popełniła błędów, które popełniła Karris.

Pewnie, gdyby nie to, że dziewczyna jest daltonistką i parylową krzesicielką, która nie zapoczątkowała wojny niszczącej Siedem Satrapii, mogłybyśmy być bliźniaczkami.

Niemniej lubiała ją. Niestety, Teia miała szesnaście lat. Była za młoda na brzemię, które już złożyli na jej barkach. Karris wiedziała, jak to jest. Za młoda, żeby powierzyć jej więcej, niż musieli jej powierzyć. Teia pracowała z ludźmi, którzy nie zawahają się poddać jej torturom, żeby wydobyć z niej tożsamość jej przełożonej. Najlepiej, żeby Teia jej nie знаła, nawet jeśli Karris chciała być mentorką dziewczyny.

O co w tym chodzi? Odzywają się instynkty macierzyńskie?

Czy samotność?

Weszła ukradkiem do pustego apartamentu na tym piętrze, który służył jej specjalnie do

takich celów. Zamknęła za sobą drzwi. Pokój podzielono ciężkimi kurtynami, żeby mogła przepytować i wysłuchiwać raportów od szpiegów, nie będąc widoczną. Zasłony ukrywały krzesła, więc Karris mogła przynajmniej wygodnie usiąść, i szpary, przez które mogła zerkać. Zabezpieczenia, zabezpieczenia, a wszystkie zdałyby się na nic, gdyby niewłaściwa osoba przeszła korytarzem w niewłaściwym czasie.

Skoro mowa o zabezpieczeniach – kiedy Karris usiadła na swoim miejscu, założyła kolczy kaptur, owinęła nim głowę i pierś, i zapięła tak, żeby tylko oczy pozostały odsłonięte. Idiotyczne, ale Teia była bystrą dziewczyną, dociekliwą. Nie będzie w stanie się powstrzymać, żeby nie spróbować poznać tożsamości przełożonej, patrząc w parylu. To było trochę niepokojące, że dziewczyna potrafi przenikać wzrokiem materiał.

Nie tak niepokojące, jak jej nowe umiejętności, uznała Karris.

Szybkie potrójne pukanie i drzwi otworzyły się w tej samej chwili, w której Karris założyła kanak.

– Chodź, siadaj po tej stronie. Żadnego krzesania – powiedziała dziwacznym tenorem.

Ciało Teii było napięte jak struna lutni, gotowe do ataku. Jej podwyższona czujność była dobrą reakcją na strach u Czarnogwardzistki, ale napięcie spowalnia ciało.

– Miałam zgłosić się do raportu?

To było jej hasło. Dobrze, dziewczyna trzymała się instrukcji, nawet kiedy się bała.

– I złożysz raport, kwiatuszku. – To był odzew. – A teraz siadaj.

– Nie cierpię kwiatów – powiedziała Teia. – Wiesz o tym? Mój drugi zwierzchnik wie. I co jest grane? Rozumiem, że Biel nie może spotykać się ze mną osobiście, ale dwóch różnych przełożonych w ciągu dwóch miesięcy?

Karris zapało dech. Byli inni przełożeni?

Przez chwilę cieszyła się, że kolczuga osłania jej twarz.

– Wiesz, jestem pewna, że masz dobry powód, żeby ukrywać swoją tożsamość – powiedziała Teia – i robię co w mojej mocy, żeby nie spojrzeć przez zasłony, chociaż mogłabym.

Dobrze, więc nawet nie próbowała. Gdyby próbowała, zobaczyłaby kolczugę.

– Jednak istnieją też niebezpieczeństwa związane z tym, że ukrywasz przede mną to, kim jesteś. Gdyby ktoś poznał nasze hasło i odzew, mógłby cię zastąpić, a ja bym się nie zorientowała.

– Przeniknęłaś do grupy, która z radością poddałaby cię torturom, żeby poznać moją tożsamość. Chcesz nosić brzemię tego sekretu?

– Poradzę sobie.

Ach, brawura młodości. Karris czasem tego brakowało. To dobra cecha u Czarnogwardzisty – wiara, że nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych.

Ale to też powód, dla którego Czarnogwardziści mają oficerów i dla którego oficerowie ostatecznie odpowiadają przed tymi, którzy nie należą do Czarnej Gwardii.

– W swoim czasie, być może – odparła Karris. – Już nosisz spore brzemię, i to z podziwu godną wytrzymałością. A skoro o tym mowa, opowiedz mi o ostatniej próbie.

Karris otrzymała krótki zaszyfrowany raport na temat zadania Teii, wszystko wypisane na papierze ogniowym z zapalnikami luksynowymi. Dzięki temu mogła go spalić po przeczytaniu i wiedziała, że dokument spłonąłby też, gdyby ktoś przy nim majstrował. Raport, jak inne, po prostu pojawił się na biurku w jej komnatach.

Przez szparę w zasłonie zobaczyła, że Teia zgarbiła się na krześle, opierając łokcie na kolanach.

– Zakon poddał mnie próbie. Nie wiem nawet tak naprawdę, w jaki sposób. Mówią, że jestem rozszczepiaczem światła. Znaczą przeszłam próbę. Powiedzieli, że zabiliby mnie, gdybym jej nie przeszła.

– Opowiedz mi wszystko.

Teia opowiedziała ze szczegółami, a Karris zrobiła co w jej mocy, posługując się sztuczkami mnemotechnicznymi, których nauczyła jej Biel, żeby zapamiętać każde słowo. Uznała, że chyba rozumie w ogólnym zarysie, jak działała próba na rozszczepiacza światła i była zaskoczona, że Teia tego nie dostrzegła. Z drugiej strony, dziewczyna miała wtedy inne rzeczy na głowie, choćby to, że zmuszono ją do rozebrania się i stanięcia niemal całkiem nago przed przerażającymi, zamaskowanymi, pożądliwymi draniami.

Kiedy pomyślała o tym w ten sposób, zdumiała się że Teia tak dobrze sobie poradziła. Jeśli miała być ze sobą szczerą, wątpiła, czy sama wykazałaby się równie dobrze.

– Znałaś tożsamość ostatniego przełożonego? – zapytała Karris.

– Już powiedziałam, że tak.

– Zatem kto to był?

Teia przechyliła głowę.

– Nie wiesz?

– Masz jakiś powód, żeby mi nie mówić?

– Wybacz, jeśli wydaje mi się dziwne, że nie wiesz. Jeśli nie wiesz, to może nie powinnam...

– Ty masz wypełniać rozkazy – warknęła Karris. – Teraz podlegasz mnie.

– Mówisz jak ktoś, kto służył w armii – zauważyła Teia. Najwyraźniej wbrew sobie próbowała rozszyfrować Karris. – Ale na tym polu sprawy są nieco mniej jasne.

Do diabła, dziewczyno. Mam nadzieję, że nie doprowadzimy do twojej śmierci. Masz naturalny talent do tej roboty.

A Karris nie mogła pozwolić, żeby ktoś, kto jej podlega, uznał ją za niekompetentną.

Jeśli twoi agenci ci nie ufają, a ty wydasz im rozkaz, który z ich ograniczonej perspektywy nie będzie miał sensu, to mogą go nie wypełnić.

– Możesz swobodnie spekulować na temat mojej tożsamości, ale zrozum, że im bliżej prawdy się znajdziesz, tym bardziej prawdopodobne, że doprowadzisz do mojej śmierci. Nie ma żadnej korzyści...

– Już powiedziałam, jakie korzyści widzę.

– To nie jest spór – warknęła Karris.

I kiedy to powiedziała, przypomniała sobie swojego drogiego nieboszczyka ojca, który wypowiedział te same słowa, gdy była młodą dziewczyną. „Najwyraźniej to jest spór”, odwarknęła wtedy młoda Karris. Wszystkie jej obrony były wtedy małostkowe.

Teia uniosła podbródek.

– Nie jestem niewolnicą.

– Nikt nie mówi...

-Ale nią byłam. I pozwól, że ci powiem, że niewolnicy wiedzą, jak wykonać rozkaz, a jednocześnie nic nie zdziałać. Ludzie tacy jak ty myślą, że niewolnicy są głupi. Niewolnicy są dostatecznie bystrzy, żeby wykorzystać to przekonanie przeciwko swoim panom. „Tak mi przykro, zrobiłam, co pani kazała, a nie to, co miała pani na myśli. Jestem tylko tępą niewolnicą”. Traktuj mnie jak głupią, a będziesz mogła oczekiwać ode mnie tylko głupoty.

Czerwień wezbrała i Karris prawie straciła nad sobą panowanie. Była oficerem dowodzącym. Dziewczyna ma jej słuchać. Ale w tej samej chwili spróbowała sobie wyobrazić Biel krzyczącą na podwładnego.

Oczywiście Biel to Biel. Do osobowości tej kobiety dochodziła władza związana z urzędem. Kiedy odpowiadasz przed nią, zwracasz się do całego majestatu Chromerii. A jednak.

Jak duży jest krąg możliwych przełożonych Teii? Kluczem do odpowiedzi nie były spryt, ambicja i upór – na wyższych szczeblach w Chromerii takie cechy nie wyłączały w praktyce nikogo – kluczem było to, że ta osoba mogła składać raporty Bieli. A niemoc Bieli w ostatnich miesiącach zatrzymywała ją na jej piętrze.

Zatem to musiał być ktoś, kto ma łatwy dostęp na jej piętro. A kto miał dostęp? Kolory... Ale większość z nich realizowała własne cele, a ponadto Kolory były dostatecznie ważne, żeby nieustannie je szpiegowano. Kto jeszcze? Czarna Gwardia.

Orholamie, zlituj się. Czarna Gwardia? Oczywiście! I to musiał być ktoś, kto może zonglować przydziałami służb, żeby składać raporty natychmiast, jeśli zażądają tego okoliczności. To oznaczało kapitanów straży, jakim kiedyś sama była.

Miecznik był zbyt prostoliniorny, by kierować szpiegami. Beryl lubiła plotki, i to od młodości. Tempus wchodził w grę. Uwielbiał książki, dobry administrator. Ale nigdy nie

wyjeżdżał. Albo był na służbie, albo w swoim gabinecie. Blunt był za tępy. Nie był głupi, ale trzeba być bardzo, bardzo bystrym, żeby zajmować się tym wszystkim. Chyba że tylko udawał?

Nie, nie Blunt.

Zatem żadne z nich. Nagle zapało jej dech. Chyba że... dowódca Żelazna Pięść? Ten człowiek wiecznie pracował, bywał w różnych miejscach i spotykał się z ludźmi. Karris zawsze uważała go za osobę, która zachowuje swoje zdanie dla siebie, ale równie dobrze można by go uznać za skrytego, wręcz samotnika.

Jednakże sprawiał wrażenie kogoś, kto za bardzo się wyróżnia. Zbyt sławny, zbyt charakterystyczny. Z drugiej strony, jego oficjalne obowiązki sprawiały, że zadawał się ze wszystkimi, tymi stojącymi nisko i tymi wysoko. Gdyby zajrzał do kuchni, nikt by się nie dziwił. Gdyby rozmawiał z czyimś osobistym niewolnikiem, nikt by nawet okiem nie mrugnął. Gdyby rozmawiał z Koloirem albo osobistą strażą Koloru...

Byłby doskonałym szpiegiem. Jego pozycja zapewniała mu dostęp wszędzie i sam pomysł wydawał się tak niemożliwy, że mógł to robić na oczach wszystkich. Przełożonym Teii był dowódca Żelazna Pięść.

– Marissia – powiedziała Teia, najwyraźniej nie mogąc znieść ciszy.

Karris nie mogła złapać oddechu.

– Bo kiedy niewolnica nie jest niewidzialna, to musi być piękna. A kiedy jest piękna, to nadaje się tylko do jednego, nie? – Gorycz w głosie Teii oblała twarz Karris i paliła, piekielnie paliła.

Każdy, tylko nie ona. Każdy.

– Zabawne. Ona zdradziła mi swoją tożsamość. Dla ciebie jednak jestem tylko byłą niewolnicą.

Zdarzało się, że Karris walczyła mimo zadanej rany. Walczyła, mając okropne uczucie, że coś jest bardzo nie tak, ale nie może się zatrzymać, żeby ocenić, jak poważna jest rana. Zatrzymanie się dla dokonania oceny oznaczało śmierć. Tak samo było tutaj. Walcz dalej, walcz, skup się na zadaniu.

Teia była dobrą dziewczyną. Arogancką, ale każdy Czarnogwardzista miał w sobie tę twardość. Badaj ją, zorientuj się, jak najlepiej ją wykorzystać, ale nie pozwól, żeby załaziła ci za skórę czy podbiła serce.

Musisz zachować dystans, Karris. Do czego zmierza ta sytuacja?

Do zniknięcia Teii – w pewnym momencie dziewczyna po prostu przepadnie. Tak właśnie działa Zakon. Walczymy z nimi w miejscu, gdzie są najmocniejsi. Oni zasadniczo wynaleźli szpiegostwo.

– W jakimś momencie – powiedziała Karris, jakby sztorm przeszedł przez nią, nie

zostawiając śladu – będą chcieli, żebyś ukradła migotliwy płaszcz.

– Co? – spytała Teia. Chciała walki, Karris to dostrzegła. Bez tego Teia była jak statek w czasie flauty.

– Biel studiowała migotliwe płaszcze. Trzeba być rozszczepiaczem światła, żeby się nimi posługiwać. Myśleliśmy, że rozszczepianie światła to dar, jaki otrzymują tylko Pryzmaci. Myliliśmy się. A co ważniejsze w twoim przypadku, rozszczepiacz światła bez migotliwego płaszcza jest bezużyteczny. Żaden z ich obecnych Cieni, jeśli rzeczywiście istnieje więcej niż jeden, nie odda ci swojego, prawda? Jeśli więc Zakon zdoła i posłużyć się tobą, żebyś wykradła dla nich migotliwy płaszcz, to nawet gdy okażesz się szpiegiem i ostatecznie będą musieli cię zabić, wyjdą na tym do przodu. Jeśli ci nie ufają, otrzymasz to zadanie już wkrótce.

Teia się zgarbiła. Potrafiła rozpoznać wyrok śmierci, kiedy go usłyszała.

– Musisz zrozumieć, Teia. Zakon to mistrzowie podstępu. Są bardzo, bardzo dobrzy w znajdowaniu i zabijaniu szpiegów.

Teia odwróciła się i spojrzała na zasłonę między nimi. Jej oczy były martwe.

– Oczekujesz, że zawiodę. To dlatego nie możesz powiedzieć, kim jesteś.

– Istnieje taka możliwość.

W głosie Teii była sama gorycz. To był ton żołnierza wysyłanego na śmierć, który uważa, że jego śmierć niczego nie zmieni.

-To co mam zrobić? Podtrzymywać wrażenie, że jestem ciemną, młodą dziewczyną?

Miała udawać, że jest na tyle głupia, że nie stanowi pożytku dla wroga, ale dostatecznie bystra, żeby Zakon jej zaufał? To będzie trudne do przeprowadzenia. Niemożliwe dla kogoś tak młodego.

Karris przypomniała sobie, jak to jest, kiedy nagle przyszłość zostaje ci odebrana i decydują o niej starsi, kiedy uważa się cię za niewartą uwagi. Nienawidziła tego, pomstowała przeciwko temu i wreszcie, buntując się przeciwko temu, zostawiła za sobą zniszczenie. Nadal płaciła cenę za ten bunt i nadal przed nią uciekała – przed synem, którego porzuciła, potępieniem, które czuła.

Niepewną ręką rozsunęła zasłony. Teia uniosła wzrok. Zaciskała zęby. Bała się. Karris odpięła kanak zmieniający głos. Zdjęła kolczy kaptur.

– A zatem – powiedziała – teraz siedzimy w tym razem.

Łzy zaszkliły się w oczach Teii.

– Miałam nadzieję, że to ty – odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 51

Wibrująca Pięść szczerzył zęby w uśmiechu. Kip ledwie wierzył oczom, widząc, że ponury olbrzym szeroko się uśmiecha.

Wszystkie drużyny tłoczyły się w sali treningowej Pryzmata i wszyscy co do jednego rozdziawiali usta i prawie nie mrugali z obawy, że przegapią kluczową chwilę. Wibrująca Pięść stanął przeciwko swojemu bratu, Żelaznej Pięści. Obaj nosili treningowe zbroje ze skóry wzmacnianej luksynem, które rozblyszną spektakularnie na żółto przy trafieniu. Mieli stalowe hełmy z prętów utkanych jak wiklina, grube skórzane rękawice i trzymali bambusowe miecze.

Poruszali się. I to jak! Bambusowe miecze wybijały rytm, który brzmiał jak muzyka sfer, potężne zamachy zgrzytliwych dźwigni wszechświata, który utrzymuje niezmiennie tempo.

Jednakże niezbyt długo. Punkty były zdobywane co pięć sekund. W przypadku wojowników tej klasy pojedynczy błąd prowadził do trafienia. Czasem działo się to za szybko, żeby Kip był w stanie powiedzieć, kto zdobył punkt. Czasem widział tylko rozblysk luksynu.

Żelazna Pięść i Wibrująca Pięść nie odpoczywali między zdobytymi punktami, nie cofali się na środek kręgu, przyjmowali tylko pozycję, stykali miecze i znowu zaczynali. Wynik wynosił pięć do pięciu. Wibrująca Pięść przygotował się, ale zamiast stuknąć w jego bambus, Żelazna Pięść zdjął lewą rękę z miecza.

Wibrująca Pięść skinął głową i też zabrał lewą rękę. Kip trenował z tymi mieczami i chociaż obaj mężczyźni byli wyżsi i potężniejsi od niego, i tak były za duże, za długie, żeby doskonale władać nimi jedną ręką. Jeśli miało się dłoń i rękę tak silną jak Żelazna Pięść, zyskiwało się na zasięgu, ale traciło na szybkości. Może taka wymiana miała sens, gdy trzymało się tarczę, ale nie bez niej.

Obaj mężczyźni przeszli płynnie na styl walki, jakiego Kip nigdy nie widział. Nie trzymali mieczy po prostu w jednej ręce, lecz w jedną dłoń ujęli rękojeść, a drugą położyli niemal w połowie klingi. Potem nastąpiło coś, co stanowiło dziwną mieszankę pojedynku na miecze, na kostury i technikę walki wręcz. Wypadki przechodziły w bloki i koszące zamachy stopami. Walka przebiegała równie szybko, ale bardziej bazowała na sile mięśni; obaj krążyli, nieustannie się poruszali, posługując się nie tylko czubkiem miecza, ale całą klingą i nawet głowicą; zamiast uników i skoków kadeci widzieli tylko rozmazane plamy.

Szybkość obu była nieprawdopodobna, ale Kip widział w tym pełen rozkwit ziarna, jakie zasiewał podczas własnego treningu. Te uniki, uderzenia, sposób, w jaki obracali biodra, żeby włożyć większą siłę w cios.

Trzask i stukot bambusa. Wibrująca Pięść wykręcił biodra, a czubek jego miecza został zbity w dół i w bok, ale on dopiero odciągał kurek broni – błyskawicznie wyprostował z powrotem biodra, czubek miecza wylądował za kolanem Żelaznej Pięści, a potem śmignął z powrotem ku Wibrującej Pięści i w górę.

Żelazna Pięść podskoczył, starając się uniknąć ciosu, który poderznąłby mu ścięgna podkolanowe. Zrobił salto w tył, ale zanim wylądował, Wibrująca Pięść wyprowadził oburęczny cios mieczem w brzuch brata. Żelazna Pięść nie miał żadnego oparcia, więc cios pchnął go do tyłu. Nie miał jak utrzymać się na nogach. Przeleciał przez krąg i z poślizgiem wylądował na plecach.

Zobaczyć, jak Żelazna Pięść obrywa po tyłku, to jak ujrzeć księżyc, który przyćmił blaskiem słońce. Szczawie były przerażone. Oczywiście słyszały o słynnej walce między braćmi, która odbyła się ponad dwanaście lat temu na oczach całej Chromerii, więc wiedziały, że Wibrująca Pięść jest niemal tak dobry jak jego starszy brat. Jednak z jakiegoś powodu od tamtego czasu Wibrująca Pięść zlał się po cichu z tłumem. Nie był nawet kapitanem straży, podczas gdy Żelazna Pięść stał się legendą. Mówiło się, że w bitwie o Garriston sam jeden zniszczył całą baterię artylerii wroga. Ten człowiek potrafił chodzić po wodzie. Zobaczyć, że ktokolwiek mu dorównuje, to był szok. A zobaczyć, że ktoś go pokonał? Błuznierstwo.

Ale Żelazna Pięść tylko zerwał się i pokręcił głową, podczas gdy Wibrująca Pięść uśmiechał się szeroko. Znowu podjęli walkę. Zdobywali punkty, ale Wibrująca Pięść cały czas prowadził. Żelazna Pięść ledwie zremisował przy dziewięćdziesięciu dziewięciu, kiedy jego brat zrobił unik przed ciosem, ale nie dość duży i szarpnął głową w bok, a wtedy bambus Żelaznej Pięści musnął stalowe pręty hełmu. W prawdziwej walce w ogóle by go nie uderzył.

Żelazna Pięść odwiesił miecz. Wskazał Dużego Leo i szczawia, który nazywał się Antaeos.

– Wybierzcie broń.

– Bichhwa ze szponami i łamacz mieczy – powiedział Antaeos.

To była dziwna kombinacja, zwykle jedno i drugie pełniło funkcję broni pomocniczej. Jednak rzecz jasna to była część zabawy – poddać próbie mistrzów, zobaczyć nie tylko, co mogą zdziałać postawieni w dziwnej sytuacji, ale i co w ogóle jest wtedy możliwe. Jak dowódca Żelazna Pięść mówił im wiele razy, w chaosie bitwy można wylądować z dowolną bronią w ręku i trzeba sobie z nią poradzić.

Duży Leo wyszczerzył zęby.

– Ciężki łańcuch.

Sam trenował z ciężkimi łańcuchami. Kiedy owinał grube łańcuchy wokół kłębu konia pociągowego, to był dopiero widok. Jednak łańcuchy to trudna, brutalna broń. Przy żadnej innej broni nie istniało tak duże ryzyko, że samemu sobie zrobisz krzywdę w czasie walki.

– To broń obuchowa – powiedział Żelazna Pięść.

– Nie tylko – bronił wyboru Leo.

– Ale przy większości ataków owszem – wtrąciła się Teia. – Kazesz jednemu z nich walczyć z połową uzbrojenia.

– Uhm, wobec tego... – Chłopak nagle poczuł na sobie ciężar wszystkich spojrzeń i zdenerwował się.

– Sznurowa włócznia – podpowiedziała mu półgłosem Teia.

– Sznurowa włócznia! – powiedział Duży Leo, jak wygłodzony człowiek sięgający po chleb.

– Wybierz liczbę, jeden albo dwa – powiedział do Ferkudiego Żelazna Pięść.

Najwyraźniej urządzał loterię dla siebie i brata, żeby określić, któremu przypadnie jaka broń.

– Jeden – powiedział Ferkudi.

– W głowie – dodał beznamiętnie dowódca.

– Och. – I zaraz go olśniło. – Ach! Oj, przepraszam.

– Bracie? – zapytał Żelazna Pięść. – Wybieraj.

– Dwa – powiedział Wibrująca Pięść.

– Zgadza się – powiedział Ferkudi.

Kip i pozostali z drużyny Cruxera spojrzeli na niego.

– Co? – bronił się. – No co?

– Biorę bichhwę i łamacz mieczy – oznajmił Wibrująca Pięść.

Kip wiedział, że bichhwa to ulubiona broń Karris. Odmiany ze szponami można było używać jak normalnego sztyletu (ogon skorpiona) i jak naręcznego (szpony). W wersji treningowej szpony zrobiono z tej samej gotowanej żywicy kauczukowca, z której pełnoprawni Czarnogwardziści mieli zrobione podeszwy butów. Szpony zanurzano w czerwonym atramencie, żeby „cięcia” były oczywiste. Łamacz mieczy to był krótki miecz z grubymi nacięciami po jednej stronie. Pozwalały przechwycić cios zadany ostrzem i jeśli posłużyć się łamaczem prawidłowo, można było wyrwać miecz z ręki przeciwnika, a nawet złamać klingę.

Włócznia sznurowa była jeszcze ciekawsza, chociaż Kipa nie dziwiło, że Teia ją zasugerowała. Ćwiczyła z nią w czasie ich prywatnych lekcji z Żelazną Pięścią i czasem z

Kipem, który jako jej partner pełnił funkcję celu. Włócznia sznurowa wyglądała jak krótki gladius przymocowany do długiego sznura. Można było posłużyć się nią jak zwykłym ostrzem, jak cepem albo jak włócznią, jeśli wyprowadzić ją nagle z ruchu wirowego i skierować tak, żeby leciała prosto. Jednak to lina sprawiała, że była to tak niesamowita broń. Przeciwnik był gotów pomyśleć, że jeśli tylko dostanie się w krąg wirującej śmierci, wycinany przez ostrze w powietrzu, będzie bezpieczny. Prawie nie sposób było oprzeć się pokusie złapania liny w próbie rozbrojenia przeciwnika.

I właśnie wtedy można było wykorzystać drugą połowę technik walki włócznią sznurową. Jednym ruchem nadgarstka można było zarzucić pętlę na rękę albo szyję przeciwnika. Łapanie liny to wstęp do porażki. Mimo wszystko była to broń pomocnicza, niezbyt przydatna w przypadku przeciwników w zbrojach i w ciasnych przestrzeniach, ale też niezwykła i wymagająca wprawy do tego stopnia, że nawet Żelazna Pięść przyznał, że musiał sporo się podszkolić, nim zaczął treningi z Teią.

Oczywiście podszlifował te umiejętności.

I zrobił to w samotności. Wibrująca Pięść najpewniej nie miał pojęcia, że wyznaczył bratu rzadką broń, z którą Żelazna Pięść sporo ćwiczył.

Mimo to Kip nie chciałby walczyć włócznią sznurową przeciwko łamaczowi mieczy, którego stworzono, żeby klinować broń.

Ale to wszystko były kwestie uboczne. Żelazna Pięść nie walczył z bratem, żeby zabawić szczawie. To nie jego styl. W tym była jakaś lekcja.

Jaka? Na pewno nie chodziło o pokaz, jak walczyć taką bronią.

Zaczęli walczyć i oczywiście widok był olśniewający. Dla większości szczawi musiało to wyglądać tak, jakby Żelazna Pięść wybrał broń, o której od lat nawet nie myślał, a posługiwał się nią po mistrzowsku. To był dobry sposób, żeby dodatkowo wykorzystać czas, jaki musiał poświęcić na szlifowanie umiejętności. Zyskał też przewagę nad Wibrującą Pięścią, który najwyraźniej od dawna nie trenował ze swoją bronią.

Żelazna Pięść wygrał dziewięć do sześciu, chociaż wydawało się, że ma gorszą broń. Bracia zakończyli walkę z dwoma mieczami. Wibrująca Pięść wygrał, ale tylko dziesięć do dziewięciu. Ostatecznie wygrał Żelazna Pięść.

– Do szeregu – powiedział dowódca.

A teraz poznamy sens tej lekcji, pomyślał Kip.

Drużyny szybko ustawiały się w szeregach. W kilka sekund wszyscy zajęli swoje miejsca.

– Wibrująca Pięść, dziękuję – powiedział dowódca.

Uklonił się przed bratem jak przed równym. Brat odpowiedział nieco głębszym ukłonem, ale na ustach igrał mu kpiarski uśmieszek. Żelazna Pięść dał mu znać, że może odejść.

– Drużyna Jod! – warknął. – Bycie najgorszymi ma swoje plusy. Macie wolną resztę dnia. Możecie odejść.

Członkowie Jod popatrzyli po sobie. Niektórzy, dostatecznie tępi, ucieszyli się z wolnego dnia. Bystrzejsi byli urażeni. Nazwano ich najgorszymi. To była prawda, rzecz jasna. Na dziesięć drużyn ich była dziesiąta. Ci nieliczni widzieli, że wcześniejsze zwolnienie ma swoje plusy, ale też minusy.

Mimo to skłonili się i wyszli.

– Drużyna Tet – powiedział dowódca do dziewiątej grupy – czego się dzisiaj nauczyliście?

– Że jest pan zajebisty – szepnął ktoś z tyłu. Nieco głośniej niż zamierzał.

Zapadła cisza, kiedy szczawie zdały sobie sprawę, że dowódca to usłyszał.

– Drużyna Tet, Czarnogwardziści panują nad językiem. Godzina bieganina.

Kadeci jęknęli cicho i zwiesili głowy. Dowódca milczał chwilę.

– Minus pół, bo rzeczywiście jestem.

Drużyny roześmiały się i rozległy się wiwaty.

Żelazna Pięść uśmiechnął się półgębkiem.

– Drużyna Tet, odmaszerować.

Odeszli, poklepując tego, który się wyrwał, i dogryzając sobie nawzajem. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Żelazna Pięść powiedział:

– Drużyna Chet, czego się nauczyliście?

Drużyny Chet, Zain, Waw i He zwróciły uwagę na pewne techniki i kombinacje, jakich nigdy wcześniej nie widziały. Niektóre z ich komentarzy były bardzo dobre, zwracały uwagę, że kontry sprawdziły się tylko dzięki zasięgowi lub sile dowódcy albo Wibrującej Pięści.

Kiedy drzwi zamknęły się za He, Żelazna Pięść spojrział na pozostałe drużyny: trzydziestu trzech najlepszych kadetów Czarnej Gwardii.

– Dalet, Gimel, Bet i Alef – powiedział, patrząc po kolei na każdą grupę. – Bycie najgorszymi ma swoje zalety. Tak samo jak najlepszymi. Co wy zyskaliście?

– Otrzymujemy więcej wskazówek – odezwał się Benhadad. – Oni mają więcej wolnego czasu.

– A co to znaczy? – zapytał dowódca.

– Są karani za nieudolność – powiedziała Łuczniczka z Gimel. – Myślą, że coś zyskują, dostając wolne, i w ten sposób udowadniają, że nie są najlepsi.

– Czy wszyscy rwali się, żeby wyjść?

– Bystrzy byli załamani – powiedział Kip.

– Co znaczy, że bystrzy podwoją wysiłki, żeby być lepszymi – dodał Cruixer. – Najlepsi

się wybija.

– Tak. I? – zapytał dowódca.

– Nie „i”, lecz „ale” – powiedział Kip. – Ale to znaczy...

– Czekał – przerwał mu Żelazna Pięść. – Drużyna Dalet, odmaszerować.

To był cios w brzuch dla ośmiu szczawi z drużyny Dalet. Kilka chwil temu należeli do elity, ale teraz zostali wypchnięci poza nawias. Nikt nie cieszył się z wcześniejszego odejścia.

– Dowódco, proszę pozwolić nam zostać – poprosiła przywódczyni drużyny, Aria.

Trzeba było ją podziwiać, bo nie zabrzmiało to błagalnie, ale jak zwykła prośba.

– Najlepsi nie dostają pozwolenia na zostanie, oni na to zapracowali – odparł Żelazna Pięść. – Odmaszerować.

Zaległa przenikliwa cisza, kiedy drużyna Dalet wychodziła.

Kip nie wątpił, że wszyscy w drużynie podwoją wysiłki.

– Łamacz, mów dalej.

Kip nabrał powietrza.

– Wykopanie ich oznacza, że najlepsi staną się lepsi. Ponieważ trenujemy więcej, pozostaniemy najlepsi.

– Da się to jakoś obejść?

– Mógłby pan instruować przede wszystkim najgorsze drużyny – powiedział Cruixer.

– Wtedy staliby się lepsi, ale wy osiągnęlibyście mniej niż jesteście w stanie. Nie jesteśmy zainteresowani miernotą.

– Mogliby trenować tyle co my – zasugerowała Teia.

– Już to robią. Byli tutaj. Widzieli to co wy, ale gwarantuję wam, że wszystkie pozostałe inteligentne komentarze wyszłyby od drużyny Gimel, Bet i Alef, a nie z niższych. Bo już to robiliśmy. Już to widzieliśmy. Widzieliśmy, jak najgorsi – nawet w tej elitarniej grupie – wszystkich spowalniają. A mój czas jest skończony. Nie mogę nauczać setki uczniów równie szybko jak dziesiątki. Ani dziesiątki tak dobrze jak jednego. Chciałbym, żeby było inaczej. Żeby dysponować elitą, trzeba być w najlepszym razie odrobinę niesprawiedliwym. Zawsze będzie ktoś, komu prawie się udało, i gdyby przesunąć próg, żeby go objąć, znalazłby się ktoś inny, komu wtedy niewiele by brakowało, żeby się dostać. Pytanie zawsze brzmi, co dostajesz w zamian za odrobinę niesprawiedliwości? Czarna Gwardia może składać się z tysiąca albo z dziesięciu. To my decydujemy. My decydujemy, kiedy rozszerzyć krąg i wpuścić kogoś, kto nie jest tak dobry jak pozostali.

– Jednakże na pewnym etapie pojawia się swego rodzaju równość – odezwał się Kip. – A przynajmniej... różnice już się nie liczą. Teia ma takie dary, że byłby pan głupcem, gdyby nie wziął jej pan do Czarnej Gwardii, nawet gdyby w ogóle nie umiała walczyć. Sam mi to

pan powiedział. Benhadad nie potrafi tak dowodzić jak Cruixer, ale jest bardzo bystry i wnosi inne korzyści. Duży Leo mógłby przegrać osiem do dziesięciu z Cruixerem, ale same jego rozmiary sprawiają, że czasem w ogóle nie musimy walczyć. W pewnym momencie dana osoba ma dość talentów, żeby, nawet jeśli nie robi wszystkiego najlepiej, była zbyt cenna, by ją skreślić.

Drużyny spojrzały na Kipa tak, jakby powiedział coś mądrego.

– Zgadzam się – powiedział Żelazna Pięść. – To dlatego pouczam tu trzy drużyny, a nie tylko Alef. No dobrze, czego się nauczyliście Gimel?

– Że trening może doprowadzić do śmierci na polu bitwy. Żeby zawsze pamiętać o ograniczeniach treningu – odezwał się wyjątkowo brzydki chłopak imieniem Cracks.

– Truizm z pierwszych dni waszego szkolenia – odparł dowódca. – Jak to dokładnie wyjaśnisz?

– W czasie pierwszej potyczki popełnił pan jeden błąd i natychmiast doprowadził on do utraty punktu. Może to dlatego, że Wibrująca Pięść walczył z panem tak wiele razy, że dobrze zna pana umiejętności, ale myślę, że przeciwnie, ponieważ atak był wyjątkowo agresywny, a on ryzykował tylko utratę punktu. Mógł zaatakować pana z całym zapamiętaniem, żeby wykorzystać błąd. Czy zaatakowałby równie szybko, gdyby ryzykował życie, a nie utratę punktu? Wątpię.

Dowódca Żelazna Pięść pokiwał głową.

– Wielcy szermierze turniejowi często wielu zabijają i szybko giną w bitwie. Dobra robota, drużyno Gimel. Odmaszerować. Drużyna Bet, powiedzcie mi coś równie dobrego albo lepszego.

Po wyjściu Gimel krępa młoda kobieta imieniem Tensit powiedziała:

– Wrobił pan Wibrującą Pięść, prawda?

– To znaczy?

– Trenował pan z Teią walkę włócznią sznurową. To dziwna broń, a Teia nie trenowała oficjalnie. Pana brat zakładał, że wyszedł pan z wprawy. Nie rozumiem tylko, jak pan to załatwił, żeby Teia dokonała wyboru.

– Ja wiem – odezwał się Cruixer. – Kadeci, którzy posługują się nietypową bronią, zawsze proponują swoją broń, żeby zobaczyć pokaz w wykonaniu mistrza. Wiedział pan więc, że Duży Leo wybierze ciężki łańcuch; mógł pan odrzucić ten wybór, a Teia stała tuż obok niego. Pracował pan z nią dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że natychmiast wykorzysta tę okazję. Czyli rzeczywiście wrobił pan Wibrującą Pięść.

Przebiegły uśmiezek wypłynął na szeroką twarz Żelaznej Pięści.

– Jak mawia Taktyk: „Ten, kto zna siebie i wroga swego, nie lęka się niczego”. Drużyno Bet, dobra robota, odmaszerować.

Skłonili się i wyszli.

– Bycie najlepszym ma swoje plusy, drużyno Alef – powiedział Żelazna Pięść. – Ale oznacza też, że pracujecie dłużej niż inni. Udowodnijcie, że jesteście najlepsi też w myśleniu, nie tylko w rękach.

– To pierwszy raz, kiedy widziałam, jak Wibrująca Pięść się uśmiecha – powiedziała Teia.

Twarz Żelaznej Pięści zachmurzyła się na moment.

– Racja, ale jakie to ma znaczenie taktyczne? Ma jakieś?

– Ja tylko... Przepraszam.

Nikt inny nie odezwał się słowem.

Żelazna Pięść wypuścił powietrze.

– Być może wiecie, że mojemu bratu nadano imię Hanishu. Ja nazywam się Harrdun. Otrzymałem czarnogwardyjskie imię, kiedy przebiłem się pięścią przez drzwi i poskromiłem napastnika, który po drugiej stronie trzymał zakładnika.

– Poskromił? – szepnął Ferkudi. – Słyszałem, że prawie urwał mu głowę.

– Ale Hanishu sam wybrał sobie imię – powiedział Żelazna Pięść, udając, że tego nie słyszał.

Przez chwilę Kip stał porażony tym, jak inaczej wyglądała nauka u preceptorki Kadah. Ona kpiła, deprecjonowała i rządziła, budząc strach, podczas gdy u Żelaznej Pięści – człowieka, którego drużyna rzeczywiście powinna się bać – nauka była wspólnym wysiłkiem, jakby razem pracowali w zaprzęgu. Wszyscy musieli ciągnąć z całej siły, żeby za nim nadążyć, ale zawsze czuli, że on też pracuje. Z kolei preceptorka Kadah zakładała jarzmo tylko tobie, a potem krytykowała to, jak nierówno ciągniesz w pojedynkę.

Kip popatrzył po twarzach towarzyszy. Byli poważni, całkowicie skupieni, bali się, że zawiodą dowódcę, ale nie byli przestraszeni. Zdobył ich serca, dusze i siłę, i nie dlatego, że obdarzał ich szacunkiem, na który nie zasługiwali, ale ponieważ oczekiwał, że sprawią się najlepiej, jak potrafią, zawsze, i uważał, że stać ich na więcej niż oni sami sobie wyobrażają.

Oto wielki człowiek w działaniu. To była cicha wielkość, ale Kip chciał ją naśladować.

Dowódca urwał, jakby nie chciał zadać pytania, ale czuł, że jest to winny drużynie.

– Wiecie, dlaczego Hanishu wybrał...

– Lepiej nazywać się Wibrująca Pięść niż Rzeźnik – odpowiedział Kip.

Zapadła niezręczna cisza. W końcu jednak dowódca Żelazna Pięść powiedział:

-Trening nas kształtuje, wojna nas niszczy. Hanishu przydarzyło się coś potwornego i w zemście dokonał straszliwych rzeczy. Nigdy potem nie zaufał sobie. Nigdy nie chciał dowodzić. To sprawa osobista i nie będę więcej o tym mówił. Ale to, że takie rzeczy się

przydarzają, to nie jest kwestia osobista. Jako dowódcy i jako przyjaciele musimy pilnować się wzajemnie, pomagać sobie i nigdy, nigdy, nigdy nie odwracać się od siebie. A teraz – dodał, odkładając kwestię brata na bok – czego jeszcze dowiedzieliście się dzisiaj?

Nikt się nie odezwał.

Kip chciał coś powiedzieć, ale się zawahał.

Cruker skinął głową. Śmiało.

– Jest lepszy od pana – oznajmił Kip.

Dowódca Żelazna Pięść uniósł brew.

– Łamacz – odezwał się Duży Leo – właśnie widzieliśmy, jak dowódca wygrywa. Jak wygrał z nim wcześniej.

– Dzięki sztuczce – wtrąciła Teia.

– Sztuczki też się liczą – odparł Benhadad.

– Nie mówię o dzisiejszym dniu – sprostował Kip. – Mówię o tym, kiedy urządziliście tę wielką publiczną pokazówkę. Wiele lat temu. To nie wymagało dziwnej broni. To była zwykła walka, a Wibrująca Pięść był lepszy od pana. Mimo to, pan wygrał. Wygrał pan, bo on panu pozwolił.

– Łamacz – zaprotestował Cruker – na tym pokazie były obecne setki wyszkolonych wojowników. Nie ma mowy, żeby ktoś poddał walkę w obecności ich wszystkich i żeby nikt tego nie zauważył.

Ach, Cruker, ty idealisto.

– Na tym poziomie? Przy różnicy kilku punktów? – zapytał Kip.

– Dlaczego zrobiłby coś takiego? – zapytał Żelazna Pięść głosem cichym i groźnym.

– Z tego samego powodu, dla jakiego wybrał sobie imię. Nie chciał dowodzić, nie ufał sobie, ale ufał panu. Wybrał imię, które ludzie automatycznie kojarzyli też z panem, wszelkie jego osiągnięcia sprawiały, że ludzie jeszcze więcej myśleli o panu. „Skoro Wibrująca Pięść jest taki dobry, to jak świetny musi być Żelazna Pięść?”. Zniszczył własne szanse na awans, żeby pomóc panu. Kiedy walczyliście na pokazie, walka musiała być wyrównana. To musiało być niebywałe. Jednak ostatecznie pan musiał wygrać. Uśmiechał się dzisiaj, bo mógł spróbować wygrać. Bo dzisiejszy pojedynek nie miał znaczenia. Każdemu może się poszczęścić i teraz to nie zaszkodzi pańskiej reputacji.

– Bardzo dobrze, drużyno Alef – powiedział chrapliwym głosem Żelazna Pięść. – Odmaszerować. Natychmiast.

Drużyna błyskawicznie wyszła. Kip poszedł za kumplami, ale kiedy doszli do windy, wreszcie dotarło do niego coś oczywistego.

– O, w mordę! – powiedział. – Zaraz wracam.

Wrócił szybko korytarzem i otworzył drzwi, ale słowa zamarły mu na ustach. Dowódca

Żelazna Pięść klęczał z twarzą schowaną w dłoniach. Płakał.

Żelazna Pięść nie wiedział. Przez wszystkie te lata myślał, że brat miał po prostu słabszy dzień, kiedy walczyli na pokazie. Przez wszystkie te lata myślał, że brat wybrał imię Wibrująca Pięść z powodu swojej słabości. Minęło tyle czasu, a on nie wiedział, że brat poświęcił się dla niego, że Wibrująca Pięść tak go kochał.

Kip wyszedł po cichu... i stanął twarzą w twarz z Wibrującą Pięścią. Przełknął ślinę, patrząc w górę na olbrzyma, ale on tylko położył mu rękę na ramieniu, ścisnął przelotnie i wszedł do sali. Kip zamknął za nim drzwi.

Nigdy nie usłyszeli, co wydarzyło się między braćmi, ale po tym dniu Wibrująca Pięść jakby wynurzył się z cieni. Zajął się trenowaniem drużyny Alef i od czasu do czasu się uśmiechał.

ROZDZIAŁ 52

Karris potrzebowała całej odwagi, żeby otworzyć drzwi do własnego pokoju. Nie było przed tym ucieczki. Jeśli Marissia nie czekała w pokoju teraz, to pojawi się tam później, w jakiejś chwili, kiedy Karris nie będzie gotowa. Właściwie to im więcej o tym myślała, tym większej pewności nabierała, że Marissia wie, że ona wie – to jasne, że nowy szef siatki szpiegowskiej natychmiast zapyta o tożsamość poprzedniego.

Zatem oddając Cię pod kuratelę Karris, Marissia świadomie się odsłoniła.

Karris otworzyła drzwi. Marissia siedziała przy biurku z boku pokoju, jej pióro zgrzytało cicho. Podniosła wzrok i odłożyła pióro na stojaczek. Była spokojna. Doskonała dama mimo przyciętych uszu. Irytująco piękna. Zimowy sztorm szalał na zewnątrz, płachty deszczu spadały za oknami, grom wstrząsnął wieżą.

Podchodząc prosto do jej biurka, Karris czuła się jak młoda czarnogwardzistka, idąca złożyć raport kapitanowi straży, a nie jak pani domu mająca rozprawić się z niewolnicą. Niewolnicą! A jednak pod Karris uginały się kolana.

– Biel powiedziała mi dawno temu – odezwała się Marissia – „Ta, która kontroluje informacje, kontroluje wszystko”.

Karris była dziwnie odrętwiała. Podeszła do biurka Marissii, przysunęła sobie krzesło i siadła naprzeciwko. Marissia przyglądała jej się w milczeniu. W jej rysach malowało się coś, czego Karris nie umiała odczytać, trzepotało na obrzeżach twarzy jak ćma próbująca uciec z namiotu.

– Mój ojciec miał inne powiedzenie: „ta, która kontroluje Pryzmata, kontroluje wszystko” – odparła Karris.

Patrzyły na siebie przez dłuższy czas i po raz pierwszy Karris spojrzała na Marissię jak na kobietę; po raz pierwszy zignorowała przycięte uszy i spojrzała jej w oczy. Jak mogła to przegapić? Oczywiście wiedziała, że Marissia jest kompetentna. Czarna Gwardia lubiała współpracować z kompetentnymi niewolnikami, którzy dbali o to, żeby nic nie odciągało Czarnogwardzistów od ich zadań. Marissia doskonale dowodziła swoją małą armią podległych jej niewolników, dbając, żeby wszystko było wykonane perfekcyjnie i idealnie na czas. Taki nadzór to więcej niż dość pracy dla jednej kobiety, nie mówiąc już o jednej niewolnicy.

Nie mówiąc już o jednej niewolnicy? Co za dziwna myśl. Niewolnicy wywodzili się ze

wszystkich warstw społecznych i ze wszystkich krain. Wystarczyła jedna niewłaściwa decyzja lub zbyt wiele długów i brak rodziny gotowej płacić za twoją głupotę, albo bandyci czy piraci i brak przyjaciół gotowych zapłacić okup. Niezależnie od tego, czy sama zawiniłaś, czy też byłaś niewinna – to mogło czekać jeden maleńki krok dalej.

Jako dziewczynka Karris bawiła się z Tairą Appleton. Były na tyle małe, by dopełniające się osobowości miały większe znaczenie niż różna pozycja społeczna. Jednakże w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata lord Appletonów sprzymierzył się z Dazenem Guile. Posiadłość Appletonów znajdowała się na granicy Krwawej Puszczy i Atashu, dokładnie na drodze wojska Gavina. Lady Appleton wiedziała, że posiadłość zostanie zajęta, jeśli ona odpowie na wezwanie swojego feudała. Mimo to odpowiedziała, lojalność przewyciężyła zdrowy rozsądek, pomyliła pytanie o to, co jest mądre, a co głupie, z pytaniem o to, co jest dobre, a co złe. Karris nadal nie była pewna, czy jej działania były godne pochwały czy nagany. W ciągu tygodnia posiadłości lady Appleton zostały zajęte, jej sześciu synów zabito, a czterem córkom przycięto uszy i sprzedano je do niewoli.

Marissia patrzyła na Karris, a Karris przyglądała się jej. Były jak milczące potrzaskane lustro dla siebie wzajem. Włosy Marissii naturalnie rude, włosy Karris naturalnie rude, teraz ufarbowane na czarno.

Gdzie teraz była Taira? Gdzie były jej siostry? Chociaż wiedziała, jak łatwo zostać niewolnikiem, Karris trzymała niewolników na dystans, myślała o nich jak o innych. Dzięki temu łatwiej było to znieść. Jeden fałszywy krok i mogłaby wylądować na miejscu Marissii, służąc jakiemuś lordowi.

Jak się nad tym zastanowić, gdyby jej znienawidzony ojciec nie pilnował utrzymania przymierza Białodębów z Gavinem i Androssem Guile...

Nie, nie, nie, Orholamie, błagam, nie. Nigdy nie pomyślała o tym w ten sposób. Jego manewry były wyrazem tchórzostwa, to nie było...

Przypomniała sobie twarz ojca w czasie uczyty, kiedy prawdziwy Gavin Guile kpił z niego i opowiadał sprośne żarty na temat barłożenia z jego córką na wymyślne sposoby. Ojciec wyglądał na zbolałego. Robił wrażenie żałośnie słabego. Jednak co mógł zrobić?

Kiedy Dazen spalił ich posiadłość na Wielkim Jaspisie, Białodębowie stracili większość fortuny i wszystkich najlepszych ludzi. Zaciągnęli też ogromne długi u arystokratów, którzy sprzymierzyli się z Dazenem, długi, których nigdy nie zdołaliby spłacić. Długi, których możliwe, że nie musieliby spłacać, gdyby Gavin wygrał wojnę. Z perspektywy jej ojca jedyną nadzieją Białodębów było związanie się z prawdziwym Gavinem Guile i jego ojcem, Androssem.

Co, jeśli ojciec myślał, kiedy młodą, pijaną Karris prowadzono, by... zmusić ją... co, jeśli

myślał: „Lepiej, żeby zmuszono ją raz, a potem poślubi Pryzmata, niż żeby została niewolnicą i była wiecznie gwałcona przez każdego, kto zechce to zrobić”?

Słaby. Obrzydliwy. W błędzie. Ale nie egoistyczny. Nie pozbawiony miłości w sercu. I strzelił sobie w łeb, kiedy Karris znienawidziła go za to.

Nie przelała jednej gorzkiej łzy za ojca, odkąd odmówiła przyjęcia środka poronnego.

Nagle zrobiło jej się niedobrze, ale starała się skupić. Nie okaże słabości teraz, nie przed tą kobietą.

Marissia otworzyła szafkę, zawahała się, podejmując wybór, i wyjęła karafkę z bursztynowym płynem. Wyjęła jedną ozdobną szklaneczkę z kryształu i napełniła ją więcej niż hojnie podwójną porcją. Postawiła szklanekę dokładnie pośrodku małego stolika. To był hołd dla starego obyczaju z Krwawej Puszczy, który wziął się z gościnności wbrew ubóstwu. Rodzinę mogło być stać na tylko jeden ładny kielich, a wtedy gospodarz dzielił się nim z gościem.

To, czy rodziny zachowały ten zwyczaj, kiedy obrosły w bogactwa, czy też szybko go porzuciły i dawały każdemu własny kielich, mówiło wiele o tym, co myślały o własnym pochodzeniu.

Marissia wzięła szklanekę, przechyliła ją w stronę Karris i napiła się.

Z kolei zwyczaje panujące w Chromerii mówiły, że niewolnicy i panowie nigdy razem nie piją. Jeżeli dwie osoby o różnej pozycji społecznej razem spożywały posiłek, ta stojąca niżej nie powinna przynajmniej jeść albo pić pierwsza.

Marissia patrzyła, jakby rzucała wyzwanie Karris: jestem gospodynią, która dzieli się z tobą swoim napitkiem czy niewolnicą? Kim jestem dla ciebie?

Do diabła z tym. Marissia była lepsza od Karris. Od jak dawna kierowała siatką szpiegów? Poza tym, w Krwawej Puszczy zawsze pijano wino lub brandy, nigdy whisky. Może czas na nowe zwyczaje.

Karris wzięła szklaneczkę i wypiła łyk. Poczowała płomienie, a ból nigdy nie był równie przyjemny. Uznała za zwycięstwo to, że się nie zakrztusiła. Kiedy ogień rozlewał się po jej wnętrznościach, podniosła szklanekę, jakby podziwiała kolor. Najwyraźniej tak robili miłośnicy trunku.

– Barrenmoor?

Whisky odwoływały się do niszowych gustów, zważywszy na ogromne odległości, jakie musiały przebyć beczułki z destylarni na obrzeżach Krwawej Puszczy, z wyżyn ponad Zieloną Przystanią i związaną z tym cenę. Karris nie stać było na takie trunki z jej zarobków w Czarnej Gwardii. Zgadywała, że to Barrenmoor, tylko dlatego, że to jeden z dwóch najlepszych gatunków.

– Crag Tooth – odpowiedziała Marissia; teraz ona przyjrzała się trunkowi i wypiła łyk.

– Mmm – mruknęła Karris.

To ten drugi gatunek. Psiakrew.

– Łatwo o pomyłkę. Ma szesnaście lat. Kiedy dojrzeje przez szesnaście lat, łagodniejsza i staje się łatwiejsza do picia, jak Barrenmoor. Wolę ją, ponieważ zachowuje ognisty charakter i złożoność, podczas gdy czas wygładza jej ostre kandy i czyni mniej porywczą.

Karris spojrzała ostro na Marissię. Szesnaście lat? Wygładza ostre kandy i czyni mniej porywczą? W oczach tamtej znowu zapłonęły ogniki.

Niech ją szlag, Karris jej nie polubi.

– A jaka staje się później?

– Crag Tooth to dość nowa rzecz na rynku, ale jestem przekonana, że w swoim czasie rzuci na kolana Kolory i satrapów.

Piły razem na zmianę, każda snując różne myśli. Patrzyły, jak burza wyładowuje cały swój gniew na Chromerii, błyskawice uderzają w czubki wież, a skanalizowana moc spływa do ziemi, rozbrojona, nieszkodliwa. Deszcz zalewał okna do tego stopnia, że niewiele było widać. Wiatr uderzał w wieżę tak mocno, że kołysała się, ale nie pękała. I niezależnie od tego, czy ciepło płynęło z whisky, ognia czy – co dziwne – towarzystwa – Karris złapała się na tym, że miło jej się patrzy na burzę.

Burza ucichła, zanim skończyły drugą szklaneczkę, i odrobina światła przebiła się przez chmury tuż nad horyzontem.

Karris odstawiła szklankę, wstała i bez słowa podeszła do drzwi. Otworzyła je i, oglądając się, zobaczyła kobietę, burzę i światło. Oko widzi to wszystko naraz, ale skupić się może tylko na jednym. Chmury nadal były ciemne i gniewne. Powiedziała:

– Wiesz, dzielenie się z tobą szklanką to...

...jedno, ale za nic nie będę dzieliła się mężem z...

Te słowa nie ułożyły się w kompletną myśl, już nie mówiąc o tym, żeby opuściły jej usta. W plecach Marissii zarysowała się nagła sztywność, żal w oczach z powodu tego wszystkiego, czego jej odmówiono. Jak Karris była wojowniczką biorącą udział w oficjalnych bitwach Chromerii, tak Marissia toczyła tajemne walki i żadna z nich nie chciała już walczyć samotnie. Karris zaczęła raz jeszcze:

– Dzielenie się z tobą szklanką to najlepsza rzecz jaką zrobiłam od miesiący.

ROZDZIAŁ 53

– Samila Sayeh -

Dzisiaj tworzymy boga. Tłumy schodzą się, składają hołd mnie i pozostałym zebranych wokół mnie Elektom, a ponad nami stoi sam Książę Barw. Wszyscy ludzie zbierają się dzisiaj. To szczególny dzień, nadzwyczajne zwycięstwo, ale też upamiętnienie wielkiego zwycięstwa naszych ludzi pod Wolibrodem i żałoby po tych, których straciliśmy. Książę Barw pragnie połączyć to wszystko w umysłach prostaczków.

Nie ma w tym dla mnie niczego interesującego, więc zamiast tego rozważam matematyczną precyzję, z jaką przerobiłam swoją lewą rękę za pomocą niebieskiego luksynu. Nie, przerobiłam to zbyt wielkie słowo. Poprawiłam. Moja ręka stała się lepsza od ludzkiej pod większością względów, ale jestem tylko mechanikiem. Być może stałabym się twórczynią, gdyby Wojna Guile'ów nie uczyniła mnie wojowniczką.

Jest to jednak arcydzieło. Niebieski luksyn jest krystaliczny, lity, twardy, niemal niezniszczalny w jednej płaszczyźnie, ale łatwy do skruszenia, jeśli uderzyć z boku. Udane uzupełnienie luksynem ludzkiego zwierzęcia ze wszystkimi jego przesuwającymi się, wyginającymi i wykręcającymi formami jest niemal niemożliwe bez umniejszenia jego funkcjonalności. Spowić rękę w pancerz z niebieskiego luksynu? Łatwizna. A potem zaczynasz się pocić i cały pot i łój zostaje tam uwięziony. Skóra mięknie i bezustannie ocierana łuszczy się. Pod wpływem ciągłego działania potu, łoju i martwej skóry dochodzi do infekcji. W końcu ciało atakuje samo siebie. Ponieważ nie może swobodnie puchnąć, dopływ krwi zostaje odcięty, zakażenie się szerzy, przychodzi gorączka i straszliwy ból.

Moja hipoteza jest taka, że wiele z szaleństwa koloraków nie ma nic wspólnego z luksynem. To efekt niekończącego się bólu, smętnej, zadanej samemu sobie męki przez niedoskonałe włączenie luksynu do ciała. Być może tacy szaleńcy są tak niebezpieczni, że trzeba ich zabijać dla bezpieczeństwa innych, ale nazwanie tego szaleństwa złem to poważny błąd. Filozof z czasów sprzed Lucidoniusa powiedział: „W każdym działaniu jest jakieś dobro”.

Szkody zadane przez koloraki wynikały z ignorancji. Nie każe się ignorancji śmiercią. Walczy się z nią wiedzą. Nie ciemnością, lecz światłem.

Moja towarzyszka i ja wiele rozmawiałyśmy na ten temat. Oczywiście, ona nie istnieje tak naprawdę. To tylko pomoc dialektyczna. Ona – wyobrażam ją sobie jako dorosłą wersję

mojej siostrzenicy Meeny, która została zamordowana na Wielkiej Piramidzie – kwestionuje moje poszukiwania i toczymy debatę. To jedyny sposób, żebym znalazła tu równego sobie rozmówcę.

To sprawia, że tęsknię za Chromerią. Przebywa tam tak wiele wspaniałych umysłów. Oczywiście, tam zakazują wszystkich tych poszukiwań, ale gdyby przewyciężyli strach, jak ja go przewyciężyłam... Wiem, rzecz jasna, że Księżę Barw rekrutuje ludzi wewnątrz Chromerii. Tutejsi ludzie są chętni, ale to nie są zdyscyplinowani myśliciele. Myślą, że bycie Wolnym oznacza uwolnienie od konsekwencji własnych działań, uwolnienie od praw natury. To postawa, której książe nie uznał za stosowne wziąć w karby. Na razie, póki nadal potrzebuje żołnierzy i krzesicieli, którzy umieraliby za niego. Później, obiecuje mi, popracujemy nad skanalizowaniem tego zapału.

– Światła nie można zakuć w łańcuchy, ale można je ukierunkować – mówi mi.

Najwyraźniej lubi tę frazę i wiem, że wykorzysta ją jeszcze kiedyś. Później. Po zwycięstwie, kiedy pierwsza część frazy zapewni mu ochoczych męczenników i władzę, doda drugą część, która unieważnia pierwszą. A ci głupi męczennicy będą umierać tylko po to, żeby mieć nowego króla z innym tytułem, na nowym tronie w tym samym miejscu. W taki sposób zawsze zacieśnia się pętla tyrańca, jak mniemam. Rozwijając, konstruując przyszłą przemowę w myślach, mówi:

– Cały świat jest otwarty na światło, ale nasze oczy mogą patrzeć tylko w jedną stronę.

Dostrzegam te rytmy z pomocą Meeny. Jak dziewięciu królów stało się siedmioma satrapami, jak nieudane próby ustanowienia najwyższego króla ustąpiły udanej próbie stworzenia Pryzmata, jak władza Pryzmata i satrapów została osłabiona przez zazdrosne Kolory. Jak wilk pragnie mięsa, tak człowiek pragnie władzy. Niemądrze jest stawać im na drodze do upragnionego celu. To nie potępienie, lecz fakt. A tylko głupiec pozwala sobie stać się celem.

I to jest powód, dla którego ktoś inny staje się dzisiaj Motem, nie ja, chociaż stoję w pierwszym rzędzie do tego zaszczytu. Wątpliwego zaszczytu, jak myślę. Każdy z nas dostaje do noszenia naszyjnik z czegoś, co jak twierdzi Książe Barw, jest czarnym luksusem. Najpewniej to tylko sprytna iluzja, niemniej niepokoi mnie ta rzecz.

Przedyskutowałyśmy dogłębnie z Meeną tę pozycję dla mnie. Ona uważa, że... Och, znowu wiwaty. Wszyscy na podwyższeniu klaszczą. Przyłączam się.

Uważa, że nadzór księcia będzie mnie drażnić. A ja mówię: „Co za różnica, czy jeden nadzorca będzie mną kierował, żebym wykonywała wolę Księcia Barw, czy dwóch nadzorców będzie kierowało mną, żebym wykonywała wolę Księcia Barw?”. Poza tym ci, którzy w bezpośredni sposób zawodzą księcia, bezpośrednio odczuwają jego gniew. Dervani Malargos i Jerrosh Zielony walczyli zażarcie o to, by stać się Atirat, a kiedy

książę podjął decyzję, jednemu dał boskość, a drugiemu kulę z muszkietu prosto w czaszkę. A wkrótce potem Dervani dołączył do Jerrosha, chociaż zginął z ręki Gavina Guile. Boskość to niebezpieczna sprawa.

Mimo wszystko Meena uważa, że będę irytować się pod władzą mniejszego umysłu. Ramia Corfu z pewnością do takich należy, chociaż to piękny mężczyzna. Nie należy pomijać potęgi urody. To zmiana, którą sama dostrzegłam w sobie. Minęły miesiące, odkąd ostatni raz wzięła Usefa Tępa. Kochaliśmy się dziewięć razy w ostatnim tygodniu przed Uwolnieniem, wiedząc, że to nasze ostatnie wspólne chwile. Nawet wymknęliśmy się z kolejki do Uwolnienia, nie zwodząc nikogo i nawet nie próbując. Ludzka wątpliwość załamuje się pod zręcznym spojrzeniem śmierci. Chociaż nigdy nie miałam tak dużego apetytu jak Usef, do tej pory powinnam już żywo odczuć brak miłości. Teraz moje libido śpi. Patrząc na piękne proporcje twarzy Ramii i rozumiem, że inne kobiety widzą tylko chłopięcy czar, upór i uwodzicielską urodę. Nie chodzi o to, że ja tego nie dostrzegam, albo nie rozumiem, korzystając ze wspomnień, jak to wpływa na innych; rzecz w tym, że na mnie ma to znikomy wpływ.

To nie ma znaczenia. Moja jedyna strategia wobec Ramii Corfu to sprawić, abym wydawała się tym, czym naprawdę jestem: niezastąpioną i całkowicie pozbawioną ambicji. Meena udaje, że jej to odpowiada, chociaż myślę, że ma większe aspiracje niż ja.

Książę Barw mówi dalej i najwyraźniej nieźle mu idzie. Jak zwykle. A potem wskazuje gestem, żeby Ramia wstał.

Ramia wstaje z aroganckim uśmiechem, a ja nagle zdaję sobie sprawę, że naprawdę, ale to naprawdę znienawidzę ten uśmieszek w ciągu... och, już go nienawidzę. Kiwa głową do nas, jakbyśmy mieli szczęście, że pokazujemy się w jego towarzystwie. Moja twarz pozostaje beznamiętna, ale inni się wściekają. Cieszyć się z triumfu to jedno, a zachowywać się, jakby przypadł ci w udziale, bo jesteś bystrzejszy od pozostałych, to drugie.

Dlaczego on? Wiem, że Książę Barw go lubi, ale domyślam się, że to ma coś wspólnego z tym, że książę odczuwa potrzebę otaczania się pięknymi ludźmi, skoro jego własna uroda została raz na zawsze zniszczona. Książę Barw przedstawia teraz niezwykle widok, istny cud, ale nie jest nawet w przybliżeniu piękny w ludzkim rozumieniu, a wszyscy ci, którzy próbowali dostać się do jego łóżka, dostali kosza. Wieść niesie, że ogień pozbawił go męskości, co oznacza, że uszkodzenia musiały być bardzo poważne. Nigdy oficjalnie nie nauczano tego w Chromerii, ale od niepamiętnych czasów krzesiciele badali korzyści płynące z luksynu podczas seksu.

– Ramio Corfu, Lordzie Powietrza, wystąp – mówi Książę Barw.

Kiedy młody człowiek dołącza do niego, Książę Barw kontynuuje:

– Moim zadaniem jako przywódcy wolnych mężczyzn i kobiet jest dostrzegać i nagradzać doskonałość. Odtąd nie będziesz klękał przed nikim, przed żadnym mężczyzną i kobietą, jedynie przed swoim księciem. Ustanawiamy porządek nie po to, żebyśmy mieli panów, ustanawiamy panów, abyśmy zachowali porządek. Ramio Corfu, czy przysięgasz mi swoją magię, miecz, wolę i posłuszeństwo?

– Przysięgam – mówi Ramia Corfu.

Przyklęka na jedno kolano i dotyka stopy Księcia Barw.

– Wobec tego dzisiaj ogłaszam odnowienie Starego Porządku – oznajmia ksiązę. – Nie jest moim życzeniem władać. Pragnę tylko ujrzeć, jak moi ludzie sami sobą rządzą. Wolne kobiety. Wolni mężczyźni. I wszelką władzę, jaką mi powierzyliście, zwracam wam. Białe światło słońca to wszystkie barwy zgodnie działające. Nasi przodkowie, dziewięciu królów dawnych dni, zapomnieli o tym. Stawali przeciwko sobie i przez ich słabość zakradła się między nich herezja. Pryzmat ich zniszczył. Nie zawiedziemy, jak zawiedli oni. Byłem waszym Księciem Barw, zwykłym człowiekiem, poranionym, który stał się jednością dzięki wielu kolorom. Ale dzisiaj mówię wam, że mam wizję nas wszystkich zjednoczonych w wolności pod światłem. Pryzmaci rozszczepiali światło, rozszczepili satrapów, rozszczepili nas na tych, którzy kradną i są okradani. My zaś zjednoczymy się i wspólnie odnajdziemy siłę. Dziewięciu bogów, dziewięć królestw i wszyscy ludzie zjednoczeni pod jednym Białym Królem. – Wznosi wielobarwną rękę, niebieskie płyty i zielone szwy, luksyn nieustannie pod nimi płynący. – Ale biedny ze mnie Biały Król. Pewnego dnia, kiedy odbierzemy nasze królestwa, przekształcę się. Pewnego dnia, kiedy zjednoczycie satrapie, ja też stanę się jednością. Moi przyjaciele, czy będziecie służyć...

– Tak! – wykrzykuje wielu.

– Będziemy służyć!

Uciska ich.

– Czy będziecie służyć nie mnie, lecz tej szlachetnej idei?

– Będziemy!

– Czy oddacie wszystko, żeby ponownie ujrzeć dziewięć królestw?

– Oddamy!

I ksiązę dalej przemawia, ale ja przestaję słuchać. Reszta to tylko rozpalanie tłumu. Ciekawy zwrot – uczynienie z własnego uleczenia synonimu „uleczenia” Siedmiu Satrapii pod jego sztandarem. Uleczenia wojną. Słuchają go dziesiątki tysięcy, więc nie tylko ja jedna muszę dostrzegać w tym ponury żart. Jest jeszcze lepiej, kiedy mówi im, że szuka tych, którzy będą służyć ze wszystkich sił, bo nadal jest „miejsce na szczycie”. Zawołowana aluzja brzmi „służcie mi, a dam wam władzę”, ale sam fakt, że istnieje szczyt, oznacza, że istnieje też dno. Czy istnieje stwierdzenie stojące w większej

sprzeczności z całą jego przemową o równości?

Niemniej Książę Barw nadał sobie nowy tytuł – teraz jest Białym Królem. Wydaje mi się, że pamiętam, jak w pewnym momencie przysięgał, że nie będzie wśród nas królów. Wszyscy o tym zapomnieli?

Przez cały ten czas trzymał Ramię Corfu na kolanach. Młodzieńcowi wyraźnie jest niewygodnie i irytuje się z tego powodu.

Kiedy okrzyki „Biały Król! Biały król!” przycichają, nowo ogłoszony król cofa się do Ramii Corfu. Wyjmuje małe kościane pudełeczko i otwiera je. Wyjmuje wielościenny kryształ i trzyma go między kciukiem i palcem wskazującym. Klejnot wiruje najwyraźniej z własnej woli, mieniając się tysiącami odcieni nieba.

Biały Król wręcza kryształ Ramii. Młody człowiek wstaje. Przez długi czas w ogóle się nie rusza, a kiedy w końcu to robi, rozgląda się po pozostałych na podwyższeniu. Patrzy na żołnierzy w pobliżu. Patrzy na króla.

Oczy Ramii Corfu to szafiry płonące wewnętrznym światłem, kryształy ścigają się po jego ciele, pękając przy każdym ruchu i formując się na nowo, odnawiając się od środka nieustannie.

– Król? – mówi Ramia. – Czym jest król wobec boga? Dałeś mi władzę nad luksynem w twoim własnym ciele!

Nagle całe jego ciało pokrywa się krystaliczną zbroją tak grubą, że odbiłby się od niej strzał z armaty. Unosi ostre jak brzytwa ręce, a ludzie króla krzyczą zaniepokojeni.

– Dostarczyłeś mi doskonałego przykładu – mówi Biały Król.

Pancerz z niebieskiego kryształu pęka na szyi Ramii Corfu, który pada na ziemię, jakby odcięto mu sznurki. Głowa odtacza się, zbroja z niebieskiego luksynu rozpada się na piasek i powietrze wypełnia zapach kredy i krwi.

Większość tłumu nie widzi, co ucięło mu głowę, ale ja owszem. To naszyjnik, który Książę Barw dał nam i kazał cały czas nosić. Wisiorek z tak zwanego czarnego luksynu przebił gardło Ramii na wylot, rozplątał kręgosłup i wyszedł karkiem, a łańcuszek zacieśniał się, aż przeciął szyję i ściął głowę.

A może to nie jest „tak zwany” czarny luksyn? Może to naprawdę czarny luksyn? Może przez cały ten czas studiowałam niewłaściwy kolor?

– Niektórzy z nas, niestety, nie są godni zaufania – oznajmia głośno Biały Król. – I tacy zdrajcy bezlitośnie zostaną oddzieleni od reszty. Jednakże! Jest w naszych szeregach więcej wiernych, którzy szczerze służą naszej sprawie i którzy nigdy nas nie zdradzą. Którzy będą służyć nam wszystkim, wysokim i niskim, najlepiej jak potrafią, którzy doprawdy są wielcy.

O, nie. Jak mogłam nie dostrzec tego wcześniej?

– Samila Sayeh, bohaterka dawnych wojen, która szczerze oddała się naszej sprawie.

Samilo Sayeh, czy będziesz nam służyć jako Mot, nasza niebieska bogini?

Wstaję niepewnie, czując ciężar kryształu czarnego luksynu przy gardle, znaczny i niszczący. Skłaniam głowę, niezdolna mówić. Obok nowego króla wyobrażam sobie Meenę. Wzrok ma płomienny, twarz triumfującą.

Wygląda, jakby planowała to od samego początku.

ROZDZIAŁ 54

– Nie byłaś ze mną całkiem szczerą – powiedziała Karris, kiedy już sekretarze i niewolnicy opuścili pokój Bieli, zostawiając je same.

– Jestem całkiem szczerą tylko z Orholamem, a i w jego przypadku obawiam się, że tylko wtedy, gdy mnie przymusi – odparła Biel.

– Żadnych takich – zaprotestowała Karris. – Nie zamieniaj tego w kwestię religijną. Nie przejmuję twojej siatki szpiegowskiej, bo nie możesz opuszczać pokoju i samodzielnie nimi zawiadywać.

-Tak?

– A przynajmniej nie tylko z tego powodu.

Zmarszczki Bieli pogłębiły się, kiedy się uśmiechnęła. Miała, rzecz jasna, mnóstwo zmarszczek, a te od uśmiechu nie były tak głębokie jak te od zmartwień.

– Popchnij mnie do okna, moja droga.

Karris wypełniła polecenie z grymasem. Nie dało się pchać fotela tej kobiety przez pokój, nie zdając sobie z całą bolesną wyrazistością sprawy, jak cienka i obwisła jest jej skóra, jak kruche są kości. Zupełnie jakby Śmierć dawała subtelnie znać o swoim rychłym przybyciu przez te sugestie, wskazując jak podobna do szkieletu stawała się Biel, jak bliski był koniec jej służby na ziemi.

– Czekaj. Rozmyślnie przypominasz mi, jaka jesteś krucha, żebym na ciebie nie wrzeszczała?

Biel się roześmiała.

– Nie wszystko to sztuczki, dziewczyno.

Karris jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

– W takim razie przepraszam.

– Ale to akurat była.

Uśmiech Bieli był zaraźliwy i Karris wbrew sobie też się uśmiechnęła. Odsunęła od siebie wszystkie myśli o nadejściu Śmierci. Ta kobieta będzie żyła wiecznie. Jakimś cudem Orea Pullawr była małą dziewczynką, którą przyłapano na podkradaniu słodyczy i która uśmiecha się, jakby mówiła „Mamusiu, nie złość się, jestem taka słodka!”, i jednocześnie najmądrzejszą staruszką na świecie.

Karris nie mogła jej stracić. Usiadła na podłodze zwrócona plecami do ściany z

niebieskiego luksynu, podnosząc wzrok na kobietę, która stała się dla niej bohaterką i matką.

– Nie opuszczaj mnie, proszę – powiedziała.

Nie mogła się powstrzymać.

– Nie zrobię tego, dopóki nie nadejdzie mój czas, dziecko.

Karris znowu się skrzywiła.

– Puste słowa.

Biel machnęła lekceważąco ręką.

– Ach, ludzie cały czas popadają w pustosłowie, kiedy mają umrzeć. Co powiesz na to: „Dopóki zachowasz mnie w sercu, nie umrę całkiem”. Ha! Proszę, nie więź mnie w swoim sercu, kiedy umrę. Mam kłopoty z klaustrofobią.

– A co powiesz na to: „Będziesz czuwać nade mną”? – zapytała Karris półzartem.

– Pewnie! Proszę, więc, spędzaj mniej czasu w latrynach, bo nie chcę tego widzieć!

Karris się roześmiała. A potem nie była w stanie poruszyć sprawy, z którą przyszła.

Dzisiaj jej odwaga nie miała się za dobrze.

– Odbyłaś pogawędkę z Marissią – podsunęła jej Biel.

-Właśnie od niej przyszłam. Skąd wiesz? Myślałam, że mamy wszystkich twoich szpiegów!

– Po co mi szpiegów, kiedy mam oczy?

-He?

– Tudzież nos. Śmierdzisz whisky, którą ona pije. Crag Tooth, co znaczy, że próbowała zawrzeć pokój. W innym wypadku dałaby ci te pomyje, Barrenmoor.

Och. Racja. Nie zawsze chodzi o szpiegów i zdradę. Nadal trzeba używać głowy. Karris odetchnęła głęboko.

– Ściągnęłaś mnie, żebym zajęła się twoimi szpiegami, tak powiedziałaś. Ale miałaś już Marissię. Od lat zawiadywała twoimi szpiegami, prawda?

-Tak.

– Dlaczego więc poprosiłaś, żebym zajęła się tym, czym ona już się zajmowała, i to pewnie lepiej niż ja kiedykolwiek zdołam? Chciałaś dać mi cel? Myślałaś, że się zabiję, kiedy zabrakło mi Gavina i Czarnej Gwardii?

– Nie widzę w tobie kandydatki na samobójczynię.

– Niczego mi nie wyjaśniasz. Proszę.

Biel uśmiechnęła się smutno.

– Od wielu lat Marissia zawiadywała moimi szpiegami w Chromerii. Osobiście zajmowałam się tymi spoza niej. Jest bardzo, bardzo dobra. Byłaby lepsza w tej robocie ode mnie, gdybym nie była Bielą i osobiste spotkania ze mną nie miały dodatkowej wagi.

W przypadku szpiega, którym teraz się zajmujemy, nie jest jasne, czy należy traktować to jako sprawę dotyczącą Chromerii, czy też zagrożenie zewnętrzne.

Zatem Biel po prostu przekazała szpiega z jednych rąk do drugich.

– To wszystko? – spytała Karris.

– To nie wypłynęło, kiedy się z nią pokłóciłaś? – zapytała Biel.

– Niewiele słów padło między nami.

– O rety, nie połamałaś jej żadnych kości, prawda, moja droga?

Karris zachowała kamienną twarz.

– Zdziwiłabyś się, ile bólu mogę zadać bez trwałego uszczerbku na zdrowiu.

Biel się skrzywiła.

– Ale to wszystko? – zapytała znowu Karris.

Wpuszczanie Bieli w maliny było naprawdę zabawne, jednak Karris okropnie się nakreśliła z powodu czegoś, co okazało się zupełnie trywialną sprawą.

Biel uniosła ręce.

– Nie zawsze chodzi o coś większego.

„W twoim wypadku zawsze”, omal nie wyrwało się Karris. Zamiast tego powiedziała:

– Nie zaszkodziłoby słowo przestrogi.

Miała na myśli Marissię.

– Musisz sama z nią to załatwić. Spodziewałam się, że zrobisz to dużo szybciej. Może twoje odstawienie czerwieni i zieleni działa lepiej niż miałam nadzieję.

– A co do tego, jak długo...

-Nie.

-Ale...

-Nie.

– Przecież...

– W żadnym razie.

– Dobrze więc – odparła Karris. – Jeśli pozwolisz, mam głęboką potrzebę pójścia na salę treningową i zniszczenia czegoś.

– Możesz odejść. Na pewno Marissia aż się rwie, żeby przyjść i przedstawić mi swoją wersję wydarzeń.

ROZDZIAŁ 55

Kip obudził się z kolejnego koszmaru zlany potem, z pięściami zaciśniętymi tak mocno, że musiał rozmasować ręce, by minęły skurcze. Jednakże przypomnienie sobie szczegółów koszmaru było jak chwytanie dymu. Kip usiadł.

Eksplodująca głowa, błogosławieństwo kulą, to było to. Znowu.

Na zewnątrz rozległ się grom. Burza szalejąca nad Jaspisami musiała przywołać koszmary. To nic takiego.

Chwileczkę, to był tylko drugi sen. W pierwszym znowu znalazł się na pokładzie Wędrowca, dźgał ojca, odreagowywał całą furię spowodowaną porzuceniem, kiedy oczy jego ojca stawały się coraz większe...

Gavin spojrzał na niego. W tym spojrzeniu Kip dostrzegł akceptację, poświęcenie dla syna. W tym spojrzeniu Kip dostrzegł wybór miłości pomimo świadomości jej ceny.

To, czego Kip nie ujrzał, to pryzmatycznych oczu. Światło było słabe – w końcu trwała noc – ale wzrok Kipa w pełni dostosował się do mroku, a pamięć go nie zawodziła. Był tego pewien.

Wstał, odrzucając lepkie pajęczyny nienawiści ze snu, i wyszedł. Nigdy nie był w pokojach luksjatów, ale pamiętał, że Quentin mówił, że jego pokój znajduje się w niebieskiej wieży, na piątym piętrze o nazwie Sprawiedliwość. Luksjaci czasem nazywają piętra od grzechów (po ciemnej stronie wież) lub cnót (po jasnej stronie). To była mnemotechnika stosowana przez akolitów od tak dawna, że weszła do kanonu.

Znalazł piętro i bezczelnie wszedł do pomieszczenia. To były koszary podobne do koszar Czarnej Gwardii czy dyscypułów, więc bez problemu znalazł właściwy pokój i łóżko Quentina. Szturchnął śpiącego luksjata.

– Och, niemożliwe, żeby już trzeba było wstać na poranne modlitwy... – Quentin urwał na widok stojącego na łóżkiem Kipa; białka jego oczu były doskonale widoczne wokół tęczówek.

Niektórzy ludzie atakują przerażeni. Quentin należał do tych, którzy zamierają.

Przez długą chwilę nawet nie mrugał, nie oddychał. To trwało dłużej niż Kip się spodziewał. Przecież Quentin musiał go poznać, prawda?

– Mam do ciebie pytanie – powiedział półgłosem Kip, żeby nie budzić innych.

Coś w tym zdaniu odblokowało luksjata, który odetchnął głęboko. Wstał z łóżka. Był

chudy, bez grama mięśni. Kip tak przywykł do wytrenowanych sylwetek Czarnogwardzistów, że zaszokował go widok ciała, które z pewnością należało do bardziej normalnych niż ciała Czarnogwardzistów.

Znowu pomyślał: ojciec zrobił to celowo. Otoczył mnie najlepszymi, żebym zawsze porównywał się do nich i zawsze się starał. Było to odrobinę cyniczne, bardzo mądre, na krótką metę podłe, na dłuższą zapewne najlepsze, co mogło go spotkać. Do diabła. Gavin Guile słusznie był legendą.

Quentin wyszedł za nim na korytarz.

– Dobrze się, ehm, składa – powiedział. – Właśnie rozgryzłem system biblioteczny.

– Hm?

– Układ książek na półkach.

– A, to. Świetnie. Słuchaj, musisz mi powiedzieć, jak wybiera się Pryzmata. Przejdź się ze mną.

Ruszyli ramię w ramię i rozmawiali półgłosem.

– Wybiera? Oni nie są wybierani. Są odkrywani. Znaczą, są wybrani, rzecz jasna, ale przez Orholama.

– Jasne – odparł Kip. – Pewnie. To w jaki sposób są „odkrywani”?

– Wszyscy luksjaci składają raporty przełożonym, donosząc o możliwościach dostrzeżonych w terenie, a te wędrują do Magisterium; Najwyżsi Luksjaci spotykają się ze Spektrum na naradzie i żeby poddać próbie tego, kogo przysłano.

– Niech zgadnę: a ten ktoś zawsze jest z jednej z wiodących rodzin.

Quentin zamrugał, a potem zapatrzył się w dal, jakby próbował coś sobie przypomnieć.

– Z jednym spornym wyjątkiem i jednym nieulegającym wątpliwości, zgadza się, przynajmniej w ciągu ostatnich dwustu dwudziestu dwóch, może trzech lat.

– I to nie wydaje ci się ciekawe?

– To wcale nie jest ciekawe. Nie ty pierwszy to zauważyłeś, Kip. Znaczą, Łamacz? Dlaczego niektórzy ludzie mówią na ciebie... Nieważne. To kolejny dowód, że Orholam pobłogosławił polityczny porządek Siedmiu Satrapii. A wyjątki dowodzą, że Orholam dostrzega wszystkich ludzi i kiedy arystokraci go nie zadowolają, jest więcej niż gotowy szukać poza nawiasami ludzkiej polityki.

– To wygodne, jak to w obu przypadkach działa dla was.

Quentin milczał przez chwilę. W końcu powiedział:

– Obudziłeś mnie, żeby sobie ze mnie kpić?

Kip nie był zły na Quentina, który sprawiał wrażenie, że wyrastał ze swojej naiwności, chociaż z wielkim bólem. Kip był wściekły na swojego dziadka. Wydawało się, że jeśli powinno istnieć jedno miejsce wolne od polityki, to właśnie dom Orholama. To nie była

wina Quentina.

– Nie. Chciałem cię zapytać, jak... instaluje się Pryzmata? Nominuje? Czy jak to zwał. Jest jakaś ceremonia?

– Pryzmata się wyświęca.

– Jak to się odbywa?

Quentin robił wrażenie nieco poirytowanego, że Kip z tego powodu go obudził.

– To wszystko jest wielką tajemnicą. Urządza się ucztę. Ogłasza się żałobę po zmarłym Pryzmacie i wszystkie światła w mieście i Chromerii gasi się na noc z wyjątkiem wielkich koksowników, które zapala się w gwiazdnych wieżach. Ludzie rozmawiają, piją i oplakują własnych zmarłych, śpiewają pieśni i pozostają tylko te małe światła.

– A sama ceremonia?

– Znają ją tylko Najwyżsi Luksjaci i Spektrum. Możliwe, że Spektrum dopiero noc wcześniej dowiaduje się, co ma robić. Najwyżsi Luksjaci nie potrafią trzymać języka za zębami, kiedy uważają, że są ważni, a trudno o coś ważniejszego od tej ceremonii.

– Kto obecnie w Spektrum był tam siedemnaście lat temu?

– Masz na myśli, kiedy Gavin został Pryzmatem?

– Właśnie.

– Twój dziadek, rzecz jasna. Biel i Nadfiolet... i to chyba wszyscy. To było siedemnaście trudnych lat.

– Znajdę coś na ten temat w zakazanej bibliotece?

– O co ci chodzi, Kip?

– O nóż.

-Co?

– Nóż. Może święty nóż. – Kip urwał. – Twoja twarz właśnie zrobiła to coś.

– To coś?

Kip nagle nabrał podejrzeń.

– Wiesz coś na ten temat, Quentin?

Dotarli do zakazanej biblioteki.

– Poczekajmy, aż wejdziemy do środka – odparł młody luksjat.

Kip pomajstrował przy panelach, żeby uzyskać rozproszoną poświatę żółtego luksynu w ciemnym pomieszczeniu. Quentin nie wyglądał lepiej w pełnym świetle.

– Kip... Przysięgłem, że powiem ci o wszystkim, o co zapytasz.

– Yhm.

– I... właściwie nie zabroniono mi mówić o tym, ale wiem, że nie należy o tym rozpowiadać. Gdybyś mnie o to zapytał, przysięga przeważałaby milczące porozumienie, ale czułbym się bardzo niezręcznie.

– Wal śmiało.

– Czyli naciskasz?

– Jak diabli.

To nawet nie było pytanie.

– Jeden z Najwyższych Luksjatów zdradził mi, że stracili coś bardzo ważnego szesnaście czy siedemnaście lat temu. Mówił, że Andross Guile to zabrał i ogłosił, że przedmiot zaginął.

Kip zakołysał się na krześle i odetchnął ciężko.

– Miałem rację – powiedział. – Obudziłem się i wiedziałem. Hm.

To był Oślepiający Nóż. Kip pracował, uczył się i walczył całymi dniami, po czym padał do łóżka i co drugą noc walczył z koszmarami, a potem zaczynał następny, jeszcze cięższy dzień – gdyby nie to, może wpadłby na to wcześniej.

Kip ugodził tym nożem Voxa, zabójcę Janus Borig, i mężczyzna nie zdołał wykrzesać zieleni w chwili konfrontacji. To ocaliło Kipowi życie. Vox krzyknął: „Atirat! Atirat, wróć!”.

Atirat, zielona bogini.

Kip dźgnął jedną z zielonych półbogiń na szczycie mary i odebrał jej kolor.

Kipowi wydawało się, że Zymun dźgnął Gavina, kiedy uciekali po bitwie o Garriston. I tak właśnie było.

Przypominając sobie walkę na statku, kiedy Kip odsiał wykrzywioną, wściekłą twarz Grinwoodyego, ciosy na oślepa, zażarte skupienie Androssa Guile, poświęcenie Gavina i własne poczucie winy z powodu swojej niekompetencji, która omal nie doprowadziła do śmierci jego ojca, gdy Kip odsiał to wszystko i pomyślał tylko o właściwych rzeczach, sprawa stała się jasna. A właściwymi rzeczami były oczy Gavina i nóż. Gavin spojrzał na Kipa i jego oczy nie zaskrzyły się z elegancją załamujących światło oczu Pryzmata, a potem Kip zobaczył, że sztylet urósł.

Na pokładzie statku Artylerzysty Kip widział, jak sztylet wyciągnięto z piersi Gavina. Nie był to już sztylet z jaśniejącym pojedynczym niebieskim klejnotem, ale jarzący się biało-czarny miecz z siedmioma płonącymi kamieniami w ostrzu.

Kip próbował przypomnieć sobie, jak wyglądały wtedy oczy ojca, ale Gavin znajdował się pięć kroków dalej, w ciemności, krzyczał z bólu, a oczy miał zmrużone albo odwracał wzrok.

Zatem nie oczy Gavina. Oczy Androssa Guile. Kip stał twarzą w twarz z tym człowiekiem i widział pęknięte halo. A od tamtego czasu widział je znowu. Kip wbił tamtej nocy nóż w ramię Androssa, nawet jeśli tylko go drasnął.

To Oślepiający Nóż tworzył Pryzmatów. I ten sam nóż odebrał moc Gavinowi.

– Co jest? Co to znaczy? – dopytywał się Quentin.

– Cóż, tobie na pewno nie powiem. Wiem, że nie potrafisz dotrzymać sekretu.

Quentin wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Quent. Żartuję.

– To o co chodzi?

Kip pokręcił głową.

– Nie żartowałem, że ci nie powiem. Bo nie powiem. Lubię cię, Quentin, ale prawie cię nie znam i nie wiem, ile z tego, co mówimy, luksjaci są w stanie od ciebie wyciągnąć. Nawet nie miałbym ci tego za złe. Niektórym ludziom bardzo trudno odmówić. Żartowałem, mówiąc, że nie potrafisz dotrzymać tajemnicy.

– Ale nie tak do końca.

– Nie podważałem siły twojego charakteru.

– Wręcz przeciwnie.

– Masz rację. – Kip wzruszył ramionami. – Powiedz mi, że zachowuję się irracjonalnie.

Quentin otworzył usta i zaraz je zamknął.

– Może i racjonalnie, ale to niezbyt miłe.

To dlatego Andross Guile był tak skupiony na ostrzu. Kip uważał go za potwora, bo bardziej przejmował się nożem niż własnym synem Gavinem. Jednak dla Androssa to nie był tylko sztylet, to była przyszłość satrapii. Oślepiający Nóż to klucz do ustanowienie nowego Pryzmata.

A matka Kipa – ta przepelniona nienawiścią jedza z umysłem przyćmionym mgiełką – ukradła go siedemnaście lat temu. I przepadła.

To znaczyło, że nikt nie mógł zastąpić Gavina. Większość Pryzmatów żyła siedem albo czternaście lat, ale mimo sporów ze Spektrum i ojcem, Gavin nie został zastąpiony. Bo nie mogli go zastąpić. Stracili jedyne narzędzie, za pomocą którego obdarzano pryzmatyczną mocą... i prawdopodobnie ją odbierano. Zabijano dawnych Pryzmatów tym ostrzem, odbierano im całą moc, a potem jakoś przenoszono ją na nowego kandydata.

To nie tłumaczyło wszystkiego. Jakim cudem istniało dwóch Pryzmatów w czasie wojny? Jak Dazen udał, że jest Pryzmatem? Tak czy inaczej, ostrze było źródłem siły, Kip miał pewność. Widział tego dowody.

Orholamie, zlituj się. Co się działo, jeśli poprzedni Pryzmat nie chciał oddać mocy i umrzeć? Zwykle byli młodzi. Kto chciał umierać?

Po to jest Czarna Gwardia. Żeby chronić Pryzmata przed satrapiami i, jeśli zajdzie potrzeba, chronić satrapie przed Pryzmatem.

Cóż to musiało być za przedstawienie, kiedy jakiś Pryzmat rozgniewał Spektrum na tyle, by przegłosowało jego śmierć! Z pewnością to dowódca i może jeden albo dwóch innych Czarnogwardzistów przyprowadzało usuwanego Pryzmata i go zabijało, żeby

odebrać mu dar. Dla dobra satrapii.

Nic dziwnego, że trzymano to w tajemnicy. Może nawet to było konieczne. Wszyscy krzesiciele dożywali końca i musieli zostać zabici, więc z pewnością Pryzmaci też musieli ponieść cenę za niekończące się krzesanie. Może tracili rozum.

Jednakże Pryzmaci byli po to, by Uwalniać innych. Czarna Gwardia poskramiająca krzyczącego, przerażonego Pryzmata – to nie mogło umacniać wiary wiernych.

Nic dziwnego, że to noc żałoby i ciemności.

– Nie wyglądasz dobrze – zauważył Quentin.

– Nie czuję się zbyt dobrze.

To także znaczyło, że Gavin Guile nie jest już Pryzmatem. Nawet gdyby Czarna Gwardia go odnalazła, do niczego by się nie przydał.

Zatem lepiej znaleźć nóż, nim robi to Księżę Barw.

I wszystko to Andross Guile zrozumiał w jednej chwili. Podjął działania natychmiast. Kip nie wiedział, czy go za to podziwia, czy nienawidzi.

A jednak Gavin żył. W przeciwieństwie do wszystkich Pryzmatów przed nim, on przetrwał. Bo był jedyny w swoim rodzaju. Może jedyny w historii.

– Quentin, powiedziałaś, że rozgryzłeś układ książek w tej bibliotece?

– Dopiero wczoraj, szczerze mówiąc. Teraz nie będzie kłopotu ze znalezieniem tego, czego szukasz na temat dowolnego rodzaju... A nawet Czarnych Kart.

– Zamierzam ci zaufać, Quentin. Mogę?

– To nielogiczne pytanie, prawda? Bo gdybym nie był godny zaufania, nie powiedziałbym ci tego, prawda?

– Podczas gdy, będąc godnym zaufania, zwróciłbyś uwagę na nielogiczność tego pytania.

Quentin uniósł palec, żeby zaprotestować, ale zaraz go opuścił. Przez chwilę robił wrażenie zagubionego, a potem zadowolonego, jakby Kip pokazał mu szczególnie użyteczną sztuczkę.

– Ach. Ha! Rozumiem. Dziękuję. W czym mogę pomóc?

– Zapomnij o genealogiach, zapomnij o Czarnych Kartach. Chcę wiedzieć wszystko, co zdołasz znaleźć na temat Powiernika Światła.

ROZDZIAŁ 56

– Podziwiałam twoją matkę – powiedziała Eirene. – Wzięła mnie pod skrzydła, kiedy moja matka zmarła. Wiedziała, że nie ma w moim życiu kobiety, którą mogłabym naśladować. Jako dorosła dostrzegam, oczywiście, także inne powody, dla których to zrobiła. Zawarcie pokoju między Malargosami i Guile’ami nie wymaga małżeństwa, jeśli przyjaźń jest dostatecznie mocna. Jednak potem coś się stało. Wiesz co?

Gavin siedział w celi, patrząc na Eirene spod ciężkich powiek. To była trzecia wizyta w ciągu minionych miesięcy. W tym czasie stracił dwa palce. Jeszcze jeden i nie będzie już w stanie chwytać lewą ręką.

– Powiedz mi, z łaski swojej – powiedział.

Głos miał chropawy. Nie używał go zbyt często w ostatnich tygodniach. Trzymała go tu, żebygnił.

– To nie było retoryczne pytanie. Wiesz, co się stało? Jednego dnia Felia Guile odwiedza mnie i zaprasza do siebie, a potem... Nic. Nie chce ze mną więcej rozmawiać. Co się stało?

Ta dziwna żarliwość znowu wróciła. Najgorsze z tego wszystkiego było to, że Gavin zaczynał powoli wierzyć, że Eirene Malargos nie jest szalona. To była normalna kobieta doprowadzona przez okoliczności do skrajności. Okoliczności, z którymi Gavin miał wiele wspólnego.

– Nie wiem – odpowiedział, pocierając oczy, prawie drapiąc się zabandażowanymi rękami. – Ale jestem pewien, że to w jakiś sposób moja wina. Jak ci idzie uciszanie kuzyna?

– To się wydarzyło piętnaście lat temu. Pomyśl tylko. Dlaczego Felia Guile nagle odcięła mnie wtedy od siebie?

Gavin przybrał głupi wyraz twarzy i zastanowił się. Nie potrzebował dużo czasu. Najpierw pomyślał, że to wojna albo jego oszustwo, ale to się wydarzyło szesnaście lat temu. Piętnaście lat temu Felia dowiedziała się, że Dervani Malargos przeżył wojnę i po tym, jak przepadł na lata w dziczy, wracał do domu, niosąc ze sobą sekret Gavina. Wyznała podczas Uwolnienia, że najpierw próbowała go przekupić, a potem wysłała piratów, którzy przechwycili statek i zamordowali go – a przynajmniej tak myślała.

Felia Guile była gotowa zabić, żeby chronić ostatniego żywego syna, ale nie potrafiła z uśmiechem spojrzeć w twarz córce, której ojca zamordowała. To pasowało do jego matki.

Była twarda, kiedy zaszła potrzeba, ale pod tym kryła się miękkość. Przeciwnie niż Andross Guile, który przede wszystkim nawet nie pomyślałby o tym, żeby zaprzyjaźnić się Malargosami. Gdyby jednak to zrobił, rozegrałby to do samego końca.

Ten świat zna tylko dwa rodzaje ludzi: złoczyńców i złoczyńców z uśmiechem na ustach.

Gavin powiedział:

– Oczywiście, że wiem dlaczego. Ponieważ ukryłem nawet przed nią to, co się wydarzyło pod Strzaskaną Skałą. Przez dwa lata nie mówiłem nikomu, a potem ona usłyszała plotkę, że twój ojciec żyje. Zapytała mnie o to, bo wcześniej przelotnie wspomniałem, że zginął. Zapytała mnie, czy mogłem się mylić.

Zamknął oczy i wypuścił powietrze, jakby to było bolesne wspomnienie.

– I co jej powiedziałaś? – zapytała Eirene.

Ty tępa cipo, z radością będę cię zabijał. Nie masz pojęcia, kim jestem, co? Będę ci odrywał palec po palcu łańcuchem i zmuszał do zjedzenia ich.

– Powiedziałem jej, że to oszust. Nie pierwszy i nie ostatni z bliznami i szalonymi opowieściami wracał do bogatej posiadłości, żeby zająć puste miejsce przy stole.

– Nie był oszustem – powiedziała Eirene.

■ Owszem. Był.

– Nie, nie był.

– A skąd to wiesz? – zapytał Gavin.

Teraz miał cel. Ten człowiek wysyłał wiadomości do Eirene. Istniała jednak szansa, że nigdy się nie spotkali. Posłał coś, co udowodniało jego słowa, ale być może było to coś, co można sfalszować albo coś, o czym mógł wiedzieć bliski towarzysz.

– To ja zadaję pytania.

Zatem nie ma powodu, żeby się powstrzymywać. Jego wersja nie musiała być idealna, wystarczy, żeby Eirene nabrała wątpliwości.

Jestem Ojcem Kłamstw. Oto ja w całym swoim majestacie.

– Wiem, bo tam byłem, lady Eirene. Pod koniec. Dervani trzymał się blisko z Dazenem.

– Prawda. – Był dobrym wojownikiem. – Prawda. – Nie najbardziej utalentowanym krzesicielem, ale dostatecznie bystrym w wykorzystywaniu swojego zielonego luksynu. – Prawda, nawet jeśli też pochlebstwo. Odrobina cukru w postaci tego, co słuchacz chce usłyszeć, pomaga przełknąć gorycz. – Przeżył, kiedy wielu padło w trakcie mojej ostatniej potyczki z bratem. – Pierwsza część była prawdą, druga nie. – Był tam pod Strzaskaną Skałą. Pod koniec. Przeżył pożogę. – Prawda, przeżył i brał udział w bitwie. Ale przeżył tylko dzięki temu, że pod koniec był daleko od centrum. Magicznych miazmatów nie przeżył nikt z wyjątkiem Dazena i Gavina. – Dervani zaatakował mnie pod koniec, próbując ocalić Dazena. Zginął... bohatersko. – Czysta bujda.

– Kłamiesz!

Gavin odwrócił wzrok. Znowu na nią spojrział. Zaciśnął usta.

– Próbował. Zaatakował mnie, obalił. Wymierzył mi w twarz z pistoletu, a broń nie wypaliła. Kiedy wstałem, rozbroiłem go... a on się załamał. Złapałem oszczep i trafiłem go w plecy, kiedy uciekał. Nie widziałem później ciała, ale widziałem wiele bitew. Tej nie przeżył. Gwarantuję ci to. Potem wziąłem pistolet. Drobiazg. Ozdobiony srebrnymi wróbelkami, jeśli dobrze pamiętam. To musiał być zapasowy pistolet. Pewnie tylko dlatego nadal był naładowany pod koniec bitwy. Nie większy od mojej dłoni. Dziwna rzecz na samym środku pola bitwy. Nie było tam żadnej przeklętej broni pod ręką poza oszczepem i tym pistoletem. Nie mogłem w tamtej chwili znieść krzesania, a mój brat był ledwie przytomny. Wziąłem ten pistolecik i strzeliłem bratu między oczy. Dla mnie wypalił.

Nie muszę odmalowywać martwego wyrazu oczu. To było dostatecznie bliskie prawdy, żeby znowu przywołać wspomnienia skrywane tuż pod powierzchnią. Szczegóły pistoletu Dervaniego były szczególnie dobre. Skąd Gavin wiedziałby o małym pomocniczym pistolecie noszonym przez jednego ze sług Dazena?

– Nie – szepnęła Eirene. – Nie.

– Moja matka nie rozumiała. Nigdy nie widziała bitwy. Uważała, że uciekając, twój ojciec okazał tchórzostwo. Prawda jest taka, że bohaterstwo każdego ma swoje granice, a twój ojciec i tak wykazał się bardziej niż inni. Zaatakował pojedynkujących się bogów i wiele by zmienił, gdyby nie zdradziła go popsuta broń palna. Kiedy rzucił się na mnie, nie wiedział, że nie mogę już krzesać, a ponieważ widział, do czego jestem zdolny, wykazał się wielką odwagą... Co ważniejsze, matka nie potrafiła znienawidzić mnie za zabicie brata. Tylko ja jej zostałem. Dlatego obwiniła twojego ojca. Uważała, że gdyby nie włożył mi do ręki pistoletu, jej drugi syn nadal by żył... Myślę, że wiedziała, na poziomie racjonalnym, że to niesprawiedliwe winić jego i, co za tym idzie, twoją rodzinę. Ale tak czuła. Wiedziała, że zdoła nie okazać nienawiści, którą czuła do was, do mnie tak naprawdę, ale nie była w stanie utrzymać przy tym przyjaznej maski. Może nawet miała rację. Czasem się zastanawiam, czy wziąłbym brata do niewoli, gdyby był tylko tamten oszczep, czy też wbiłbym mu go w gardło? Pistolet ułatwił zabicie, ale... To czcze rozważania. Byłem w nastroju do zabijania. Moja matka obwiniła twojego ojca i pewnie wierzyła, że ty winiłaś ją, gdybyś знаła prawdę i wiedziała, co zrobiłem.

– Ty... ty demonie.

– Jeśli to cię pocieszy, naprawdę przykro mi, że wojna mojego brata kosztowała cię też utratę mentorki, poza wszystkim innym. Na brodę Orholama, oddałbym dwa palce, żeby przywrócić do życia twojego ojca.

Pomachał do niej okaleczoną ręką.

Karris, powiedziałaś mi kiedyś, że coś we mnie pragnie mojego własnego zniszczenia. Zaprzeczyłem. Byłem głupcem.

– Odpieprz się! Niech cię diabli wezmą!

– Wiedziałem jedno na temat Dervaniego: nie torturowałby bezsilnego. Mówią, że był uparty, ale honorowy. Przekazał to tobie.

To wydawało się głupie – zrażać kobietę, której właśnie opowiedział tak wiele kłamstw. Musisz jednak pozwolić rybie połknąć haczyk, jeśli ma się dobrze zahaczyć. Skoro był tak rozeźlony, żeby powiedzieć jej prosto w twarz coś w równie oczywisty sposób głupiego, to z pewnością nie mógł jednocześnie knuć na chłodno i tkać nieskazitelnej materii kłamstw, prawda?

Spojrzała na niego w milczeniu. Skrzyżowała ręce, niemal się obejmując. Twarz miała nieprzeniknioną.

Jednakże Gavin miał większą grę do rozegrania. To, co działo się tuż pod powierzchnią, było prawdziwą próbą. Eirene stanowiła realną siłę w Ruthgarze. Satrapka Euterpe Ptolos siedziała pod jej pantoflem. Ojciec Eirene dołączył do Księcia Barw. Cokolwiek innego robił przez szesnaście lat, a to był Dervani, Gavin rozpoznał go, nawet jeśli nie od razu. Cokolwiek robił w tym czasie, ostatecznie związał swój los z poganami. Wbijając klin między Eirene i jej ojca, Gavin naprawdę służył Siedmiu Satrapiom, bo gdyby nienawiść Eirene przesłoniła jej wszystko inne, mogłaby przeciągnąć Ruthgar na stronę Księcia Barw.

Taki ruch byłby niewyobrażalnie głupi. Ci stojący na szczycie nie mogli niczego zyskać w rewolucji, jaką proponował Książę Barw. Zapraszać niezadowolone wojska do własnego miasta? Do swoich miast nie powinno się zapraszać nawet armii przyjaciela.

Nienawiść i zazdrość rodzą samozniszczenie w każdym sercu, które daje mi łóżko, żeby mogły się pomnażać. Żeby zniszczyć Guile'ow, ta kobieta bez dzieci była gotowa zaryzykować utratę wszystkiego, co posiadała jej rodzina.

Zatem kłamię dla większego dobra. Jak zawsze.

Nadal patrzyła.

Teraz nie mógł niczego zyskać. Jeśli Eirene uzna, że pchnął ją do tej decyzji, zwątpi w nią w przyszłości. Cokolwiek zrobi, musiała czuć, że to jej decyzja, nieunikniona wobec tego co wiedziała, a potem nie będzie już odwrotu i nie da się zerwać ich przymierza.

Palce? Możliwe, że nigdy za to nie zapłaci. A przynajmniej przez bardzo długi czas. Gavin będzie musiał zakopać węgielki swojej wściekłości, żeby żarzyły się pod ziemią. Pewnego dnia. Może. Jednak nie dziś. I nie wkrótce.

Nie patrzył jej w oczy. Zerknął na nią, odwrócił wzrok, spojrzał znowu, rozluźniając ramiona i garbiąc się, jakby czuł się odsłonięty. Żadnych wyzwania. To ważne, żeby mogła to

sobie przemyśleć.

Wreszcie powiedziała:

– Po wojnach moja rodzina miała posiadłości wszędzie, ale wiele z nich zniszczono. Ich odbudowa wymagała ogromnych stosów złota. Dziesiątek tysięcy danarów, żeby importować winorośle do winnic, żeby kupić nowych niewolników na pola bawełny, żeby zapłacić za naukę krzesicieli, a potem za nich kontrakty, żeby wynająć i ostatecznie kupić rzeczne barki do transportu naszych towarów. Nowe topory do rąbania, żelazo na wsporniki do nowych kół wodnych, młyńskie kamienie, bo gdyby wyciąć je z lokalnej, miększej skały, byłyby o połowę tańsze, ale wytrzymałyby jedną trzecią tego, co kamienie sprowadzone. Za każdym razem, kiedy rachowałam w księgach ojca, a właściwie w księgach, które prowadził zarządca mojego ojca Melanthes, zanim zmarł w czasie Krwawej Wojny, za każdym razem widziałam wypisane te pozycje: „Koszt Wynajętej Straży”, i czasem „Łapówki dla Connów z Krwawej Puszczy” i „Straty na Rzecz Piratów”. A pod koniec roku jeszcze: „Naprawy po Najazdach” i „Nowi Krzesiciele po Najazdach”. W końcu wypełniłam księgi i zaczęłam nowe, ale zostawiłam te kolumny. I przestudiowałam zawarte w nich koszty. Stary Melanthes był naszym zarządcą przez czterdzieści pięć lat i po pewnym czasie potrafił przewidzieć te koszty z dokładnością kilku punktów na sto. Kiedy wiesz, że stracisz jeden statek na dziesięć przy przewozie tyrejskich pomarańczy, to wiesz, ile musisz zarobić, żeby był sens próbować w następnym roku. W miarę upływu czasu to ma znaczenie. Mój ojciec nigdy nawet nie zdał sobie sprawy, że dzięki Melanthesowi w ogóle zachowaliśmy posiadłości, nim zakończyły się Wojna Fałszywego Pryzmata i Krwawe Wojny, chociaż straciliśmy zbyt wielu synów i córek. – Wzięła głęboki wdech. – Za każdym razem, gdy brałam te księgi, żeby podjąć decyzję na temat przewiezienia tego czy owego, widziałam te koszty. Nie musiałam ich pokrywać. Bardzo dobrze radzę sobie z liczbami i porównałam moje wyliczenia z wyliczeniami Melanthesa. I dowiedziałam się czegoś, czemu nigdy nie będę w stanie zaprzeczyć, widząc te kolumny przed sobą: że mam u ciebie dług, Gavinie Guile. Jak wielki, to kwestia założeń, jakie czynię. Bo chociaż te procenty strat są nieustępliwe, w jakimś momencie tak czy inaczej straciłabym ludzi i skarby z powodu najazdów, morderstw i piractwa, to najbardziej się liczy fakt, kiedy mogłam ich stracić. Gdy tracisz cennego ogiera i klacz z dużego tabunu, to boli. Kiedy tracisz je, zanim zdążą się rozmnożyć, to cię niszczy. Tak więc przeliczałam to na liczydłach na wiele różnych sposobów i skalkulowałam wszystko, co byłam w stanie. Zdecydowałam się nie określać ilościowo emocjonalnej ceny utraty członków rodziny, zaufanych służących i niewolników. Uznałam też, że nie sposób przeliczyć potencjalnego, ale znaczącego kosztu własnego straconego czasu, gdyby tak wiele mojej rodziny wymordowano, że musiałabym wyjść za mąż i urodzić dzieci. Kobiety w mojej rodzinie

zwykle szybko dochodzą do siebie, ale nie sposób wyliczyć, ile ciąż musiałabym znieść i ile właściwie pracy byłabym w stanie wykonać w ostatnich miesiącach ciąży czy w początkach rekonwalescencji. I oczywiście nie określiłam wartości faktu, że nie musiałam wychodzić za mąż i rodzić dzieci, bo teraz nie muszę. Zważywszy na moje obecne bogactwo zapłaciłabym znacznie więcej za taki przywilej, niż gdyby okoliczności prezentowały się odmiennie. Widzisz, ofiarowałeś mi zagadki.

– Możliwe, że trochę się w tym pogubiłem – powiedział Gavin.

W gruncie rzeczy nadażył, ale rzadko kiedy popełniasz błąd, pozwalając wrogowi myśleć, że jest bystrzejszy od ciebie.

– Ponieważ położyłeś kres wojnie, Gavinie. A potem wytłukłeś piratów. Kilka razy. I to nie licząc obniżenia podatków, bo nie trzeba było już finansować wojny. Tak czy inaczej, Gavinie Guile, twoja rodzina kosztowała mnie ojca, ostatniego wuja i czterech dalekich kuzynów. Mimo to, według moich kalkulacji jestem ci winna coś pomiędzy czterema latami i dwudziestoma trzema dniami a dwudziestoma siedmioma latami i szesnastoma dniami. Latami mojej pracy. Lata mojego życia.

Oszczędziłeś mi pewnie wydatków rzędu tysiąca tysięcy danarów; dzięki tobie odbudowałam pozycję mojej rodziny, a kładąc kres Krwawej Wojnie, z pewnością oszczędziłeś mi krwi wielu ludzi, których kocham. Chcę cię zabić tak bardzo, że aż boli mnie żołądek, i już myśląc o tobie, dostawałam migren, które obaliłyby imperium. Jestem znana, może nawet słynę z uczciwych umów. Nigdy nikogo nie oszukałam, chociaż przez pewien czas było to w mojej mocy, tylko jak zbilansować krew?

– Zostawiam po sobie zawikłaną spuściznę – odparł oschle Gavin.

– Krew bilansuje się krwią.

– Och, to było retoryczne pytanie. Ale wydaje mi się, że jesteś zbyt ponura i zbyt upojona moim cierpieniem, żebyś zaraz powiedziała: „Gavinie, ocaliłeś życie tym, których kocham, więc ocalę twoje”.

– Czymkolwiek poza tym jesteś, a wiele można o tobie powiedzieć, Gavinie Guile, nie jesteś głupi. Słyszałeś o bitwie o Wolibród?

– Byłem okropnie zajęty, zupełnie jakby przykuto mnie do wiosła i kazano wiosłować w kółko. Przegapiłem tę nowinę.

– Chromeria straciła pięćdziesiąt pięć tysięcy ludzi w jeden dzień. Trzydzieści pięć tysięcy z nich to byli Ruthgarczycy. Moi ludzie.

Gavin poczuł się, jakby mu dokopano.

– Co się stało?

– Generał Azmith uznał, że zmiażdży Księcia Barw, przypierając go do rzeki Ao.

– Ao? Ta rzeka nie jest aż tak głęboka, prawda?

– Dostatecznie w czasie pory deszczowej.

Gavin widział ją tylko latem.

– Generał próbował dopaść Krwawe Szaty, kiedy przechodzili bród. Ich koloraki wykrzeszały nowe mosty w ciągu pół godziny, otoczyły nasze wojska i zamiast tego przyparły nas do rzeki. Ludziom z Krwawej Puszczy nie podobał się ten plan i przysięgali, że się wycofają, ale generał Azmith był nieprzejednany. Realizował plan bez nich. I tak Księżę Barw zajął Krwawą Puszcę, nie tracąc ani jednego człowieka, podczas gdy moim ludziom zadano cios, którego możemy nie przetrwać.

Moi ludzie. Powiedziała to nie jak krajanka, ale jak przywódca. Musi całkowicie kontrolować satrapkę Ptolos. Nie to było najgorsze. Bitwy o Ru i o Wolibród oznaczały, że Siedmiu Satrapii zadano dwie klęski wojskowe z rzędu. Nawet przy całych bogactwach Ruthgaru, satrapia mogła znieść utratę tylko pewnej liczby ludzi.

-i sytuacja nie uległa poprawie. Po Wolibrodzie generał podzielił wojsko i wysłał połowę do górnego biegu Ao, żeby spróbowali odciąć wrogowi linie zaopatrzenia.

To była długa droga i za długi czas, żeby zostać tylko z połową wojska. Gavin wysłałby małe oddziały przez rzekę, żeby prowadziły wypad, a nie pół armii.

– Generał Azmith wyblągał Kruczą Skałę, żeby wytrzymali, mówiąc im, że ich uratuje. Wytrzymali, ale generał przybył za późno. Uciekł, zostawiając działa, proch i wozy pełne żywności i muszkietów.

– Najwyraźniej jest tylko jedna rzecz, którą możesz zrobić – powiedział Gavin.

– A mianowicie?

– Uwolnij mnie.

– A dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo wygrywam bitwy. Bo jeśli chcesz kontrolować na bieżąco długi we krwi, to Księżę Barw jest twoim największym dłużnikiem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Myślę, że ten dług należy do ciebie.

– Do mnie? – Gavin zapytał ze szczerym niedowierzaniem. – Jak możesz mnie obarczać tą przelaną krwią?

– Ty pozwoliłeś na tę wojnę. Mogłeś powstrzymać ją w Garristonie albo na długo przed tym.

– Co? Co?! Robiłem wszystko, żeby powstrzymać tę wojnę! Jak kiepskich masz szpiegów, skoro wierzysz w coś innego?

– Jesteś kłamcą, Gavinie Guile. Wszyscy są co do tego zgodni.

Zostać zabitym za własne grzechy to jedno. Jednak zostać zabitym za coś, co próbowało się powstrzymać, to już całkiem co innego. Spróbował innej taktyki:

– Pamiętasz swój numer w loterii?

– Sto pięćdziesiąt siedem. Każdy pamięta swój przeklęty numer. Dwa dni z tym przeklętym numerkiem złożonym w dłoni, kiedy zastanawiałam się, czy okaże się moja śmiercią.

Loteria była sposobem, w jaki młody gniewny Gavin położył kres niekończącym się Krwawym Wojnom. Tylko wiodącym rodzinom po obu stronach dano numery. Dwa tysiące najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Krwawej Puszczy i Ruthgarze zebrano na rozkaz Gavina. Jego Czarnogwardziści dostawali białej gorączki na samą myśl o tym. To go, rzecz jasna, nie powstrzymało.

Gavin zaprosił ich wszystkich na hipodrom na modlitwy o pokój. Obecność nie była dobrowolna. Nie wpuszczono żadnych krzesicieli poza tymi, którzy byli członkami rodzin, a Czarna Gwardia Gavina odebrała wszystkim większą broń, chociaż dla uśmierzenia podejrzeń zezwolono na noże i temu podobne drobiazgi do obrony własnej. Głowy wszystkich rodów rozumiały, że nie chcesz mieczy, jataganów i włóczni, kiedy gromadzisz w jednym miejscu śmiertelnych wrogów.

Każda rodzina ustawiła się w kolumnie według numerów. Przypadkowych, jak myśleli. Felia Guile pomogła Gavinowi zdecydować, kto powinien stać w pierwszych szeregach. Pomogła mu też w samym oszustwie – Gavin oznakował każdy złożony kawałek papieru, kiedy je wrzucano. Felia nosiła nadfioletowe okulary Lucidoniusa na szyi, chociaż nikt nie wiedział, czym są, a jeszcze mniej osób wiedziało, do czego służą. Kiedy pochylała głowę, jakby do modlitwy, za każdym razem, gdy sięgała do misy, zerknęła przez okulary i brała właściwy los.

Sprawdziło się to w przypadku wszystkich rodzin prócz jednej, w której wymieniono się złożonymi losami. Młodszy, bardziej gniewny Gavin wzruszył tylko ramionami i powiedział: „Chcą okłamywać Pryzmata? Kto sieje wiatr...”. Matka знаła powiedzenie. Zgodziła się.

Kolumny rodzin tworzyły okrąg i tylko najniższe numery z każdej stały w najwęższym kręgu twarzami do Gavina. Gestem wskazał duży okrągły stół z drewna, który umieścił obok siebie na murze zwanym spina. Poprowadził modlitwy o pokój, jakieś tam brednie, których nie pamiętał. Kiedy wszyscy zgodzili się na stosownie abstrakcyjne i niezobowiązujące słowa skierowane do Orholama, kołysząc głowami i robiąc znak siódemki, wskazał na grubo ciosany stół za sobą.

– Przyjaciele – powiedział – oto stół pokoju. W błogosławionym świetle Orholama, kto do mnie przy nim dołączy?

Jedna rodzina, Kampanula, wysłała swoją matkę. Był to niegdyś liczny i zaciekły ród. Teraz był własnym cieniem. Dwie córki, dwóch dalekich kuzynów, niewiele ziemi, żadnych bogactw. Byli o włos od stania się pospółstwem albo wyginięcia.

Wszyscy pozostali spojrzeli na swoją lady lub lorda, banconna lub conna.

– Myślę, że nie rozumiecie – powiedział Gavin. – Wasza wojna ogołociła wasze ziemie. Nasączyła każde pole nieczystą krwią. Każdy wasz czyn konkurował z następnym niegodziwością i bestialstwem. Wasza wojna obraża Orholama. Wszystko to wiecie, ale wasza żądza krwi jest większa niż wstyd. Nie śmiecie prosić o wybaczenie za wasze potworności, bo wtedy może musielibyście wybaczyć swoim wrogom. Gorycz jest czyrakiem na waszych twarzach, przesłaniającym wam widok. Zatem co roku wysyłacie trybut z własnych synów i córek na śmierć, by móc kontynuować tę głupotę i karmić dumę. Co roku wysyłacie jeszcze większy trybut z tych, którzy dają się wciągnąć w kilwater waszej bezbożności, bluźnierstwa, waszej arogancji. Obraziliście nie tylko Orholama; obraziliście też mnie. Okradliście nie tylko własne rodziny i rodziny swoich wrogów z niewinnych, okradliście Siedem Satrapii. Satrapowie i owszem, nawet Pryzmaci, przychodzili do was i waszych ojców prosić, byście zakończyli wojny. Odpowiadaliście chwilowymi rozejmami i kłamstwami. Przejściowym spokojem, kiedy zbroiliście się i mnożyliście, wybieraliście synów i córki, kierując się tym, kto może być najsilniejszym krzesicielem, kto może mieć najwięcej kolorów. Wiem. Tak, sam jestem produktem takiej hodowli. Ale teraz jestem Pryzmatem, i to, co dzisiaj robię, nie służy mojej rodzinie; robię to dla Siedmiu Satrapii. Dzisiaj wasza wojna się kończy. Teraz pytam ponownie: czy usiądziecie ze mną przy stole pokoju?

Poruszył rękami jakby w geście zaproszenia.

Nikt nie podszedł. Gavina, który poruszył świat, za punkt podparcia mając własne pragnienia, Gavina przegranego i przywódcę, krzesiciela i kłamcę, oprawcę, który wymierza wygnanie – tego Gavina zignorowano.

Spojrzał w słońce, jakby się modlił. To był jeden z tych rozpalonych do białości dni, powietrze znad delty było gęstsze niż krew, dźwięki miasta docierały nawet na środek hipodromu. Modlił się, ale nie tak naprawdę. Napełniał się mocą.

– Niech i tak będzie – powiedział.

Poruszył rękami znowu i tym razem szpikulce niebieskiego luksynu wystrzeliły po nadfioletowych niciach, które przyczepił do gardeł mężczyzn i kobiet w pierwszym kręgu. Każde przeszło przez środek gardła do środka kręgosłupa.

Pierwsza osoba z kolumny każdej rodziny padła martwa.

Było to tak nagłe, tak skrajne i brutalne, i tak ciche, że nikt nie powiedział nawet słowa. Może nawet nie wiedzieli, dlaczego ci ludzie padli.

– Wojna wydaje się taka przypadkowa! – krzyknął Gavin. – Czyż nie? Kto przeżyje, kto umrze? To jak loteria. W mojej loterii umrzecie tylko wy, którzy odpowiadacie za tę wojnę. Myślę, że prostym ludziom będzie to ogromnie odpowiadać. A teraz! Kto dołączy do mnie

przy stole pokoju?

Na chwilę wszystkich ogarnął wstrząs, kiedy rodziny spojrzały na swoich zmarłych. W każdym wypadku „Orholam” wybrał najbardziej wojowniczą, najbardziej zgorzkniałą, najbardziej nienawistną lub winną osobę z całej rodziny, by stanęła jako pierwsza w linii. Niektóre rodziny musiały się cieszyć, że pozbyły się najbardziej kłopotliwego członka, a jeszcze bardziej, widząc, że zginęli też najgorsi z innych rodzin.

Jednakże te rody mnożyły się dla wojny. W wielu wypadkach jak najdosłowniej.

– Oszalałeś?! – zawołał przedstawiciel Wierzb.

– Zabiłeś mojego ojca! – wykrzyknął szesnastolatek o ognistych włosach z rodu Jabłoni.

Przekłęci mieszkańcy Krwawej Puszczy i ich temperament. Młodzieniec wyciągnął z dzikim wzrokiem sztylet zza pasa.

– Twój ojciec był głupcem, a ty będziesz martwym głupcem, jeśli mnie zaatakujesz – powiedział Gavin.

– Aaaa! – Młodzieniec rzucił się ku podwyższeniu.

Niektórzy ludzie po prostu źle znoszą niespodzianki.

Gavin zdumiał wszystkich, odwracając się tyłem.

– Nie ma potrzeby, żeby ktokolwiek więcej zginął! – krzyknął.

Za jego plecami młody świetnie zapowiadający się kapitan straży Czarnej Gwardii Żelazna Pięść zmaterializował się jak grom z czystego nieba i ściał młodzieńca, zanim ten dotarł do Gavina.

To było tak absurdalne, że Gavina ogarnęła nagła złość.

– Siadać przy tym przeklętym stole, to nikt więcej nie umrze! – ryknął.

Kolejne drgnienie i kolejny rząd ludzi padł. Prawie zapomniał, jaki odgłos wydaje luksyn wbijający się w ludzkie ciało.

Kolumny rozpadły się i ludzie rozbiegli się po piasku. Wiedział, że do tego dojdzie. Przekłęci tchórze. Jakby nigdy nie urządzał zasadzki w czasie Wojny Pryzmatów. Nadal myślał o tej wojnie jako o Wojnie Pryzmatów, jak przegrani, ale nigdy nie zapomniał, żeby na głos nazywać ją Wojną Fałszywego Pryzmata.

Był tak wściekły, że zastanawiał się, czy nie poczekać, aż wpadną na zęby, zanim uruchomi pułapkę. Nie. Nie. Dość zabijania. Chodziło o to, żeby ich zaszokować i zmusić do posłuszeństwa, a nie, żeby na zawsze zwrócić przeciwko sobie nielicznych ocalałych.

Sięgnął w nadfiolet, który rozłożył pod piaskiem w wielkim kręgu i z całej siły wepchnął w niego luksyn. Wielki jeżący się kolcami krąg śmierci wyskoczył spod piasku, zamykając wewnątrz wszystkich arystokratów. Zielony, niebieski i żółty luksyn przeplatały się, dygotały i prosiły, żeby arystokraci sami nadziali się na zadziory.

Arystokraci potykali się o siebie nawzajem, wpadali na siebie, przystając.

Za lśniącą ścianą śmierci znajdowali się Czarnogwardziści o kamiennym spojrzeniu, blokujący każde wyjście z hipodromu. Z bronią i luksynem w gotowości stali w niedbalej pozie zabójców.

– Nikt więcej nie musi umierać! – krzyknął Gavin. – Wracać do kolumn.

Czarnogwardziści i krzesiciele, których sprowadził, powtórzyli rozkaz, stając za ścianą, wrzeszcząc na ludzi wewnątrz:

– Wracać do kolumn! Natychmiast! Ruchy!

Inni byli łagodniejsi, ale efekt był taki sam. W ciągu kilku minut kolumny znowu się uformowały. Teraz, już ciszej, Gavin powiedział:

– Wolicie umrzeć niż zawrzeć pokój? Nikt więcej z waszej rodziny ani na waszych ziemiach nie musi umrzeć.

– Jeśli przyjmę twoją ofertę – odezwała się pewna staruszka – stanę przeciwko im wszystkim. Jak moja mała rodzina ma stanąć przeciwko potędze Wierzb z jednej strony i Malargosów z drugiej?

– Ktokolwiek przyjmie mój pokój, zyska moją ochronę – zapewnił Gavin. – Ktokolwiek złamie mój pokój, czeka go szybka i brutalna śmierć.

Przesunął powoli ręką przed kolumnami i tym razem oznaczył pałającą żółcią cele, w które uderzą następne pociski. Na przedzie wielu kolumn stały dzieci albo ulubione ciotki, ukochani synowie. Niech Orholam wybaczy rodzinom, jeśli okażą upór nawet teraz. Niech Orholam wybaczy jemu.

Pozwolił, żeby pełna napięcia cisza trwała tak długo, aż ktoś omal się nie odezwał, i wtedy przesunął ręką w stronę stołu tak szybko, że cały krąg się wzdrygnął, myśląc, że to kolejna salwa. Posłał fale podczerwieni, by powietrze wokół niego zamigotało – sztuczka, którą udoskonalił w trackie wojny, żeby wydawało się, że promienieje mocą – i ryknął, wskazując na stół:

– Oto koniec waszej wojny! Zatem. Kto. Usiądzie?

Ponad ciałami martwych uparciuchów, martwych morderców i martwych pyszałków zawarli pokój. Nie było łatwo i nie załatwili tego szybko. Nie całej sprawiedliwości mogło stać się zadość – jak daleko można cofnąć się w przeszłość z osądem, po jakiej kolejnej grozie mówi się: „Wszystko, co było, zostało wybaczone”? Jednak zawarto pokój. Wymieniono się zakładnikami i wysłano ich do Chromerii, gdzie osobiście czuwał nad nimi Gavin. W następnych latach, rzecz jasna, nadeszła próba dla Pokoju Pryzmata. Próbie poddał go kuzyn Guile’ów, Marcos Sevastian Guile, który zemścił się za gwałt w czasie wojny w podobnym stylu, niewątpliwie myśląc, że jego związki krwi z Gavinem zapewniają mu większą swobodę. Gdyby miał inteligencję Guile’ów, wiedziałby, że jest dokładnie odwrotnie.

Marcosa-Sevastiana znaleziono okaleczonego na miejskim rynku, z kończynami rzuconymi na stos nieopodal i tabliczką wsuniętą pod zakrwawiony podbródek: „To czeka wszystkich, którzy złamią Pokój Pryzmata”.

A później Gavin musiał wysłać emisariusza do ruthgarskiego lorda wykorzystującego ekonomiczną siłę, żeby zniszczyć jednego z wasali, który zwrócił się wcześniej przeciwko niemu.

To wymagało jedynie surowej rozmowy. Krwi i słów. Pokój zaprowadzony mieczem i wolą.

Eirene Malargos była pierwszą z głów najpotężniejszych rodów, która podpisała pokój.

Teraz Gavin powiedział jej:

– Myślisz, że ta loteria była przypadkowa? Twój wuj Perakles był tchórzem wojennym. Z radością przyjmował obrazy, z radością wysyłał ludzi na śmierć, ale nigdy nie ośmielił się samemu stanąć do walki. A jego żona Thera? Myślisz, że ta złośliwa jałówka byłaby w stanie poprowadzić wielką rodzinę na piknik, że już nie wspomnę o pokoju? Pomyśl o tych, którzy zginęli tamtego dnia: z wyjątkiem tamtego pożałowania godnego młodego idioty z nożem z rodu Jabłoni, to byli dokładnie ci ludzie, którzy nie mogli poprzeć pokoju, którzy dopuścili się tak strasznych czynów, że inne rodziny nie zgodziłyby się na pokój, póki oni żyją. Jeśli to była ręka Orholama, to działa poprzez mnie. I moją matkę. To ona pomogła mi przesiać arystokratów, connów i baconnów. Tylko ona знаła ich dostatecznie dobrze. Wybrała ciebie, Eirene. Pamiętasz tamtą chwilę przy stole, kiedy chcieli, żebyś ty była zakładnikiem Chromerii, bo Tisis była za młoda? Moja matka wybrała ciebie, żebyś przewodziła rodzinie. Twój numer w loterii to był jej wybór. Możesz więc zdecydować, czy jesteś mi coś winna, czy nie, ale swoje życie i pozycję zawdzięczasz mojej matce.

Oczy Eirene powilgotniały, a Gavin nie widział, czy myśli o tych, którzy zginęli tamtego dnia, czy o ojcu, który zginął wcześniej, czy o wszystkich, których straciła, przewodząc rodzinie, czy o Felii Guile i przyjaźni z tą wielką kobietą, której została pozbawiona.

– Czy ona... Czy mówiła o mnie? Pod koniec?

Najbardziej kuszących kłamstw najlepiej zwykle unikać. To udowadnia szczerłość. Gavin ciężko pokręcił głową.

– Przykro mi. Nasz czas... był bardzo ograniczony. Książę Barw dosłownie stał u bram, musieliśmy bronić miasta. To było w najlepszym razie skrócone Uwolnienie.

Złapał ją. Na brodę Orholama, złapał ją. Wydrze się z tej celi i z tego kraju, i wespnie się do nieba. Już czuł słońce. Nie istniało nic, czego Gavin Guile nie dokona. Nie był tylko magią. Nie przypominał żadnego z ludzi, którzy przed nim odeszli. Dorównywał samemu Lucidoniowskiemu. Był bogiem.

– Lady Malargos, uwolnij mnie. Wygram tę wojnę i dopilnuję, żeby spłacono ci wszystkie

długi, zmuszę Księcia Barw, żeby zapłacił ci krwią.

Wtedy jednak otworzyły się drzwi i – spośród wszystkich ludzi, spośród wszystkich dawnych przyjaciół prawdziwego Gavina, kochanków, wrogów i tych, którzy ucieleśniali te trzy rzeczy naraz – wszedł nie kto inny, tylko Nuqaba. Była ubrana zwyczajnie, w sposób, jaki paryjska dama wybrałaby tylko we własnym domu, pośród swoich dam i eunuchów. A ponieważ przebywała tutaj, Gavin zorientował się, że jest honorowym gościem i bliską przyjaciółką Eirene Malargos. Nosiła wyszywane klejnotami pantofle, luźne szarawary do połowy łydki z wielokrotnie złożonym brokatowym pasem z długimi frędzlami, jasną bluzkę rozpinaną z przodu i bardzo opiętą na piersiach, ozdobioną klejnotami pasującymi do tych w naszyjniku oraz luźną apaszkę we włosach.

Miała małe tatuaże znaczące jej pozycję Nuqaby, niemal niewidoczne na tle głębokiej czerni jej skóry – tuż pod dolną wargą i pod oczami – wypisane ozdobnym staroparyjskim pismem. Pod lewym okiem napisano „Przeklęty Oskarżyciel”, a tuż pod prawym „Błogosławiony Odkupiciel”.

– Witaj, Gavinie – powiedziała przywódczyni Parii. – Wiesz co to jest? – Podniosła metalowy łańcuszek z wielkim klejnotem, żywym płomieniem uchwyconym w bursztynie. – To krystaliczny załążek pomarańczowej mary. Potrafi między innymi wykrywać kłamstwo, a ty, przewspaniały jebako, jesteś skończonym łgarzem.

ROZDZIAŁ 57

– Odkryłem coś naprawdę ekscytującego – powiedział Quentin. Stał na stole w zakazanej bibliotece. Włosy miał zmierzwiłone, a na podbródku kilkudniowy karłowaty i nierówny zarost. – Niestety, to rzecz trywialna i niezbyt pomocna!

Roześmiał się i był to rwany śmiech kogoś na krawędzi załamania.

– Quentin, dlaczego masz czerwone zęby? – spytał Kip. – Powiedz mi, ie to nie jest krew.

– He, he, he. – To był wysoki śmiech szaleńca. – To nie krew. To kata. Wiesz co to? Środek pobudzający. Nigdy dotąd go nie używałem. Aż do dzisiaj. To znaczy, trzy dni temu. Z kofi i kata, i... – Spojrzał w dół na kilka misek pod stołem.

– Błagam, powiedz, że nie używałeś wazonów na kwiaty Najwyższych Luksjatorów jako nocników – powiedział Kip.

– Kip, pod tą cieniutką powłoką podniecenia myślę, że jestem bliski padnięcia.

– To mi się wydaje prawdopodobne. Czyś ty... Czyś ty najpierw wypił wodę z kwiatów?

– Nie mogłem wypić jej potem. To by było ohydne. Poza tym nie byłoby miejsca.

Kip pokręcił głową. Wyciągnął rękę, złapał Quentina i postawił na ziemi. Nie wierzył, że chłopak zdoła zeskoczyć ze stołu i nie zrobić sobie krzywdy. Chudzina ważyła niewiele więcej od Teii.

– Ehm, dzięki? I proszę, nie dotykaj mnie więcej. Nie lubię... Po prostu nie lubię, gdy mnie ktoś dotyka. Dzięki.

Kip wzruszył ramionami. Zatem Quentin był dziwny. Nie dziwniejszy od pozostałych.

– No więc...?

– Czarne Karty i Powiernik Światła są powiązane!

– To... ekscytujące. Chyba. W jaki sposób?

– W taki, że nie wiemy nic o żadnej z tych rzeczy! Ha!

– Czyli nie aż tak ekscytujące – odparł Kip.

– Powiedziałem, powiedziałem, powiedziałem ci, że rozgryzłem układ książek w bibliotece, nie?

– Jakieś trzy tygodnie temu.

– Właśnie, właśnie, i, i znalazłem wszystkie odwołania do Powiernika Światła, pokażę ci je za, zaraz, i pojawił się problem w związku z nimi wszystkimi...

– Problem? Jaki problem?

– Chwilę, chwilę! Wpadłem na pomysł i poszedłem, i znalazłem książki na temat Czarnych Kart. Nie mogłem ich na początku znaleźć, ale potem przestałem szukać książek o Czarnych Kartach, bo je wszystkie spalono, ukradziono, czy co tam, co tam zrobiono, więc zamiast tego poszukałem książek o wszystkich kartach, ale napisanych przed czasem, kiedy Czarne Karty uznano za czarne, znaczy heretyckie, rozumiesz?

– Sprytne. – Kip nie nadażał, ale to najwyraźniej nie miało znaczenia.

– I znalazłem dokładnie to samo!

– To samo co?

– To samo co w przypadku Powiernik Światła!

– Ale nie mówiłeś mi...

– Ach, dobra, dobra. Popatrz.

Quentin wskazał na maleńką książkę na stole.

Karty były tak stare, że stały się kruche i były pokryte plamami.

– Co to jest? – zapytał Kip.

– To modlitewnik luksjata. Zszyto go w formie książki zamiast zwoju, żeby łatwiej się go kartkowało i nosiło w kieszeni. Dzięki temu modlitewniki były wytrzymałe i miały mnóstwo pustych stron na końcu, żeby luksjat mógł sporządzać notatki, zapisywać modlitwy, sny od Orholama lub prorocstwa. Ten należał do samego Darjana.

– Kapłana-wojownika?

– Przywódcy ahdar qassis gwardjan. Zielonego kapłana-strażnika.

– Pismo jest śmieszne.

– Tekst? Dla mnie też wygląda zabawnie. Nie mówię we wszystkich tych językach.

Porównałem wszystkie najstarsze książki napisane nie po paryjsku lub staroparyjsku z ich tłumaczeniami. To dość wygodne, że tłumaczenia też przeniesiono do tej biblioteki.

Kip nie miał na myśli samego tekstu, chociaż oczywiście nie był w stanie go odczytać.

Miał na myśli puste miejsca w tekście. Pojawiały się, jakby ktoś pisał atramentem sympatycznym, ale nie było widać słów.

– A co z dziurami?

– Popatrz na tłumaczenie, o tu, tu poniżej.

Tłumaczenie też zawierało puste miejsca. Nie odpowiadały dokładnie razurom w oryginale, a przynajmniej nie położeniem. Kip domyślał się, że musiały wiązać się ze znaczeniem słów.

– To samo jest w nich wszystkich – powiedział Quentin. – Ktoś dużo wymazał.

– Wymazał atrament?

– Albo, albo, albo... albo pisał atramentem sympatycznym. Jesteś polichromatą, ty mi powiedz.

Kip osłonił oczy przed latarnią i rozszerzył źrenice, żeby spojrzeć w podczerwieni. Nic. Nabral trochę podczerwonego luksynu z latarni i przeniósł do opuszków...

– Kip, nie wolno krzesać podczerwieni w bibliotece! – powiedział Quentin. – Za to mogą cię wydalić!

Zamierzał wypowiedzieć ostatnie słowo szeptem, ale zabrzmiało tak głośno, że równie dobrze mógłby krzyżeć.

Kip jednak już zrobił swoje. Nie było atramentu reagującego na ciepło. Zwęził oczy do nadfioletu, tak często używanego do tajnych wiadomości. Nic. Delikatnie przelał nadfioletowy luksyn na stronę, ale nic nie załśniło. Założył po kolei każdą parę kolorowych okularów i spojrział na stronę. Nic, nic w żadnym kolorze.

Kiedy jednak sięgnął po nadfioletowe okulary, odkrył, że jedno szkło jest pęknięte.

– O, do diabła.

– Och, Benhadad nie powiedział ci o... Ups! – wyrwało się Quentinowi.

– Nie powiedział mi o czym?

– Czyli nic w żadnym kolorze?

– Nie powiedział mi o czym?

– Wszyscy myśleli, że nie żyjesz. On musiał przeprowadzić eksperymenty. Coś się stało. A potem myślę, że próbował znaleźć odpowiedni moment, żeby ci powiedzieć. Jest mu strasznie, strasznie przykro.

– To dlaczego ty mi to mówisz?

Quentin był skonsternowany.

– Wyrwało mi się.

– Nie chodzi mi, czemu ty, tylko czemu nie on. Zapomnij. Pokaż mi to.

– Wszystkie teksty wyglądają tak samo. Przekopowałem je. W każdej książce, w każdym tłumaczeniu są tylko fragmenty przepowiedni o Powierniku Światła. W pierwszej chwili myślałem, że może to kiepski atrament. Widuje się to w starych rękopisach: atrament płowieje z czasem i staje się nieczytelny. Ale nie miałbyś wtedy tłumaczeń z brakami w dokładnie tych samych miejscach.

– Czemu nie? Znaczą, jeśli dziury już tam były, kiedy pisano tłumaczenie, dlaczego tłumacze nie mieliby także zostawić pustych miejsc?

– Bo sprawdzałem tłumaczenia z różnych okresów i natrafiałem na różnorodne notatki tłumaczy, wskazujące, że tekst był nieczytelny lub fragmentu brakowało. Żaden z nich nie oznaczył w ten sposób pustych miejsc i żaden nie stosował metody, która wymagałaby zostawienia pustych miejsc na stronach, które często są kosztowne. Czyli ktoś wymazał stosowne fragmenty w kopiach i w tłumaczeniach. Nie straciliśmy wszystkich istniejących przepowiedni o Powierniku Światła, rzecz jasna. Ale w tych książkach mamy tylko

fragmenty. Nie wszystkie teksty przetłumaczono, więc część tych tłumaczeń jest moja.

– Czekaj, czekaj, czekaj no. Jak wymazali atrament?

– Ze skóry można go zdrapać. Potem często raz jeszcze wybiela się to miejsce. W przypadku papirusu...

– Ale nie widać różnic na zwojach między miejscami, gdzie jest pismo, a gdzie go nie ma.

Nie wygląda, jakby ktoś je czymś potraktował.

– To mogło wydarzyć się tak dawno, że nie sposób dostrzec różnicę.

– Znaczy, że usuwanie nastąpiło dawno temu?

– To ma sens w przypadku starych tłumaczeń, ale nie można tak powiedzieć o wszystkich. Jeśli istniał jeden okres, w którym wymazano naraz mnóstwo dokumentów...

– Jak za czasów Urzędu Doktryny? Kiedy Chromeria powołała luksorów?

Quentin pokiwał głową.

– Musieli wymyślić jakąś mieszaninę luksynów, która wiązała atrament i go usuwała.

W walce z herezją była to jedna z tych rzeczy, jaką z radością by odkryli. I wykorzystali.

– A to dupki. Od dawna nie żyją, a nadal mogą narobić kłopotu.

Gdyby Teia żyła w tamtych czasach, luksorzy spaliliby ją w Światłości Orholama jako heretyczkę.

– W każdym razie oto proroctwa, które mam, a potem chcę ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz.

Kip przeczytał:

Śmierć w ręku, jego karta, jego los Walczy/zmaga się z przezornością /zabija przezorność.

– Walczy/zmaga się z przezornością /zabija przezorność? – spytał Kip.

– To moje tłumaczenie. Przepraszam. Trudny kawałek. Może to znaczyć, że jest impulsywny? Może zabija bez zastanowienia?

– Wszystko tak fatalnie wygląda?

Zorientował się, że zranił Quentina.

– Niektóre języki są silnie kontekstowe, a ważne fragmenty celowo usunięto. Ktoś to zrobił właśnie po to, żeby sensu nie dało się odtworzyć.

O zmierzchu świata dzinn powstanie Rzeka spłyną krwią i księżyc zalśni błękitem Z dwustu przyjdzie dziewięciu By sprowadzić koniec czasu.

Kip spojrział na Quentina.

– To nie brzmi dobrze. Dżinny?

– Duchy? Ale potężne. Półbogowie?

– Jesteś pewien, że to proroctwo dotyczące Powiernika Światła?

– Tak. Nie ma tu chórów, lwów baraszkujących z jagniętami i tego typu rzeczy.

Buntownicy powstaną, stare tradycje przepadną, Herezja, hipokryzja...

– To cały fragment? Niezbyt to pomocne – zauważył Kip.

Znów u koła prządki

Odrzucony we krwi

Ofiara prometejskiego potomstwa.

– Prometejskiego? – zdumiał się Kip.

To brzmiało jak staroruthgarski.

– Zwykle to uosobienie kogoś, kto ucieka się do gwałtownych czynów w imię dobra. Ma to mroczny wydźwięk, co? A nie widziałeś jeszcze najlepszego.

Kip spojrzał. Z ostatniego został tylko tytuł. „Na dar światła”.

– Ehm, świetna robota, Quentin. A gdzie wiersz?

– Nie. To już, to już wszystko. Ale patrz! – Położył dwie książki obok siebie. – Tłumaczenie jest złe, więc go nie wymazano. Przegapili to. Ablatyw w takim wyrażeniu zwykle znaczyłby „na dar światła”, ale też może znaczyć „na dawcę światła”.

– Cały czas patrzysz na mnie, jakbym miał doznać olśnienia – powiedział Kip.

– Normalnie w oryginale oddano by to jako „doniae luxi”, ale szyk wyrazów nie ma znaczenia w językach fleksyjnych, poza tym, ie podkreśla znaczenie. Mimo to, tutaj napisano „luxi doniae”.

– Nadal nie...

– Wieki temu akcent paryjski ustąpił ruthgarskiemu i „luxi” zaczęto zapisywać jako „luci”.

– Nadal...

– Luci doniae. Czyli w mianowniku to będzie... Daj spokój. To jak tłumaczyć komuś puentę sprośnego żartu.

– Ach! Lucidonius! Czyli to wiersz „Na Lucidoniusa”? Ale co to znaczy?

Z Quentina uszło powietrze.

– No, nie wiem. Ale to znaczy, że Powiernik Światła jest jakoś powiązany z Lucidoniusem. Dawca Światła i Powiernik Światła? A jeśli to jedno i to samo? A co, jeśli Powiernik Światła już przyszedł?

– I nikt nie zauważył?

– Wszyscy zauważyli Lucidoniusa. Zmienił... zmienił cały świat.

– Ale nie zauważyli, że był tą samą osobą, której nadejście prorokowali?

Jego dłoń dla ostrza stworzona

Jego skóra do wojny zabarwiona.

Przez ojca ojca jest zgubiony.

Lud szkaradą ocalony.

Kip prawie już przestał się starać. Jednak Quentin powiedział:

– Nie, nie, popatrz, to nawet nie jest bliskie dokładnemu tłumaczeniu. Myślisz, że przez przypadek rymuje się w naszym języku? Nawet metrum jest złe. Weźmy stopę jambiczną, jest naturalna dla naszego języka, ale oni pisali w daktylicznym heksametrze.

– W dakt... czym?

– Nieważne.

– Jak to nam pomaga?

– Cóż, pewnie nie pomaga, ale mógłbym spędzić lata nad tymi rzeczami! A ten tekst odwołuje się do jakiegoś „niego”, domyślam się, że do Powiernika Światła, bo też został starty. Ostatni to zakwestionowana przepowiednia, ale nie wiem, czy zakwestionowali ją, bo nie są pewni, czy dotyczy Powiernika Światła, czy później, bo jest niemożliwa.

...będzie szarpał za brodę samego nieśmiertelnego i skradnie cię z jego głowy w Wielkiej Bibliotece.

Quentin wzruszył ramionami.

– Szarpanie brody to idiom oznaczający irytowanie, a skradnięcie cienia z głowy człowieka... Dla ludzi pustyni? Nic dobrego. Zatem irytuje i doprowadza do szału? Po co to powtórzenie? Nie wiem. Sprawdzenie, w jakim okresie posługiwano się tymi idiomami w danych kulturach, mogłoby rzucić nieco światła, ale to odrzucone proroctwo, więc znajduje się nisko na mojej liście.

-Ale czemu odrzucić właśnie to? Wydaje się konkretne i klarowne.

– Owszem. Niestety, wiemy, że Lucidonius nigdy nawet nie zbliżył się do Wielkiej Biblioteki, a prawie trzysta lat temu zostały z niej tylko popioły. Spalili ją tellarscy separatyści. Oddali życie tylko po to, żeby odebrać coś, co kochaliśmy i czyniło nas lepszymi. Niech Orholam ich przeklnie.

– To wszystko jest bardzo ciekawe i niezbyt pomocne.

– Wiem, a nie powiedziałem ci jeszcze tej drugiej rzeczy, która jest jeszcze ciekawsza i mniej użyteczna.

Kiedy opadło podniecenie, Quentin nagle zaczął wyglądać na tak wycieńczonego, że Kip położył mu rękę na ramieniu, żeby się nie przewrócił. i zaraz ją zabrał, bo Quentin zmarszczył brwi.

– A mianowicie?

– W tych bibliotekach są wspaniałe rzeczy. Na przykład, dowiedziałem się, dlaczego Święto Światła i Ciemności może być o miesiąc oddalone od daty jesiennej równonocy, jak to było w zeszłym roku. To... Nieważne. To nie ma znaczenia. Są też w tych bibliotekach naprawdę straszne rzeczy. Straszniejsze niż użyteczne, moim zdaniem. Nawet bardzo się ograniczając, natrafiłem na... Nieważne. Żadnej z tych strasznych rzeczy nie wymazano. Z

tego co na razie jestem w stanie orzec, żadna z innych rzeczy, których usunięcia spodziewałbym się po luksorach, nie została wymazana, poza wszystkimi informacjami na temat Czarnych Kart. Nawet ich nazwy. Przepadły Kip. Niczego innego nie wymazano, tylko fragmenty proroctwa o Powierniku Światła i wszystko na temat Czarnych Kart. Istnieje jakieś powiązanie. Jakaś siła nie chce, żebyśmy dostrzegli tu prawdę. A ona przepadła. Wszystko, łącznie z odciskiem, jaki zostawiłoby pióro na pergaminie. Chcieli zachować tajemnicę i udało im się. Już wygrali.

ROZDZIAŁ 58

– Co robisz tu, na dole? – spytała Karris.

Stała w progu sali treningowej Pryzmata.

Kiedy mijały zimowe miesiące, Kip i Karris wpadli w wygodny rytm. Sześć dni w tygodniu spędzali razem większość ranka, a potem każde z nich wracało do pozostałych obowiązków.

– Wyładowuję energię na worku. – Wzruszył ramionami.

Kiedy zaczął trenować z Karris, nie znał jej na tyle, żeby wychwytywać jej nastroje, więc minęły miesiące gdy dopiero po fakcie dostrzegł, że powoli zaczęła zdejmować strzaskane soczewki depresji. Gdy ogarniało ją przygnębienie, była poważniejsza, doroślejsza, bardziej skupiona. Teraz też nosiła tę maskę. Włosy miała ufarbowane na kruczoczarno i ściągnięte z tyłu.

– On wraca – powiedział Kip.

Odwrócił się od ciężkiego worka i dał rozpaść się rękawicom z zielonego luksynu. Minęło sześć miesięcy od Ru, prawie sześć miesięcy treningu, walki i patrzenia, jak tylko pełnoprawni Czarnogwardziści wypływają na ślizgaczach, żeby szukać Gavina lub mary. Prawie sześć miesięcy złych nowin z frontu – utrata Półwyspu Ruckiego, wypadki w północnym Atashu, kataklizm pod Wolibrodem, pyrrusowe zwycięstwo przy Skrzyżowaniu przy Dwóch Młynach, systematyczne czytanie List, zwoi wypełnionych teraz imionami tych, którzy umarli z powodu chorób szalejących w obozach, zakażeń, dyzenterii.

Prawie sześć miesięcy walenia w ten przeklęty wór, w nadziei na przekonanie pękniętego szwu, żeby ustąpił i otworzył się, a on ledwie się poluzował. Kip wiedział, że to młodzieńcza fantazja – roznieść worek treningowy na wióry. Wiedział, ale to nie znaczyło, że przestał tego chcieć.

– Jak zawsze powtarzasz. – Karris zniknęła za parawanem ustawionym z boku i pojawiła się w odpowiedniku stroju Czarnej Gwardii. Dzisiaj czerwonym.

Biel odcinała wszystkie związki Karris z Czarną Gwardią. Czerwony strój to była jedna z pierwszych rzeczy. Potem Biel zabroniła Karris trenować na tej części wielkiego dziedzińca pod Chromerią, którą zajmowała Czarna Gwardia. Zakazała jej krzesać. Wysyłała ją z różnymi drobnymi sprawami. I chociaż czasem wyglądała, jakby płakała przed przyjściem, nie opuściła ani jednego dnia, a Kip wiedział, że zaczęła cieszyć się z ich

treningów. To była ostatnia drobina starego życia wymieszana z nowym celem.

– Mam rację – powiedział. – Ostatni raz, gdy martwiłem się, kiedy Gavin zjawi się i nas uratuje, odwróciłem się, a on już tam stał. Tak się przestraszyłem, że narobiłem w gacie.

– Kip! Fuj!

– Tak się zastanawiałem – zagadnął ją dla odwrócenia uwagi – dlaczego zawsze mówisz na mnie Kip?

– Bo nie należę już do Czarnej Gwardii? – odpowiedziała pytaniem.

Robiła tak czasem, żeby bardziej drażnić.

– Nie chodzi o to. Inni też mówią na mnie Łamacz.

– Łamacz to imię wojownika.

– Uczysz mnie walczyć jak nikt inny. Nawet gdy ślęczymy nad książkami, skupiasz się na strategiach walki i historiach bitew.

Karris podeszła do wiadra z bronią i ostrożnie wyciągnęła długi, wąski, elastyczny kostur z ostrzami w kształcie półksiężyca na obu końcach. Oparła go o ramię i pochyliła się, grzebiąc w drugiej beczce z osłonami i ochraniaczami. Znalazła to, czego szukała, i na obu końcach przymocowała twarde drewniany ochraniacz z gąbką. Powiedziała w zadumie:

– Zakładamy maskę, kiedy ruszamy do walki. Możesz zapomnieć o Kipie na jakiś czas i stać się Łamaczem, gdy kule ze świstem przelatują.

I ci koło uszu, czarny dym pali ci gardło i mieszała się w tobie luksynowa furia i gorączka bitewna. Jednak nadal jesteś Kipem. W głębi ducha, nawet w tamtej chwili, nadal jesteś sobą. Inni wojownicy chcą odrzucić tego drugiego człowieka, drżącego w ich głębi i pozostać tylko wojownikami. To się da zrobić na pewien czas. Ale tamten drugi zawsze wraca, a jeśli siedział zamknięty gdzieś w szafie, niezdolny dorosnąć, zrozumieć i zaakceptować to, co wojownik robi i co wojownik kocha, to obaj staną się kalekami podczas i pokoju, i wojny. Jeśli pogardzasz swoją słabością, zamiast się z nią pogodzić, nie tylko nienawidzisz siebie, ale nienawidzisz wszystkich, którzy są słabi. Dobry dowódca zna siłę swoich ludzi i popycha ich do granic ich możliwości, ale nie dalej. Dobry człowiek zna swoją siłę i robi to samo. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście, w twoim wieku masz skłonność myśleć, że twoje ograniczenia są zarówno większe, jak i znacznie mniejsze, niż to się dzieje naprawdę.

– A w twoim wolisz myśleć odwrotnie? – spytał Kip. Nie do końca wiedział, co ma na myśli, ale wydało mu się to błyskotliwe.

Karris jednak zacisnęła usta, zmrużyła oczy i zapytała lodowatym tonem:

– Nazywasz mnie starą?

Kip rozdziawił usta.

-Ja...

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- A, do diabła. Znowu mnie nabrałaś.

- Uważaj, co mówisz, młody człowieku, bo wyszoruję ci usta mydłem.

- To dopiero mój drugi raz! – marudził Kip.

Powiedziała, że może powiedzieć „do diabła” dwa razy dziennie i ani razu więcej.

Czarnogwardzista panuje nad językiem i takie tam.

- Zdecydowanie doliczyłam się trzech – odparła Karris.

Kip spojrzał na nią spode łba. Do diabła, do diabła, do diabła, do diabła, do diabła.

- Wiem, co sobie myślisz – odparła surowo. – Przestań.

Do diabła, do diabła, do diabła. Kip się uśmiechnął.

- To też słyszałam. Zawsze się uśmiechasz, kiedy w głębi ducha jesteś arogancki.

Tak? Nieprawda!

- Właśnie, że prawda – powiedziała.

- Teraz zgadywałaś – odpowiedział Kip.

Wzruszyła ramionami.

-Jeśli to poprawi ci samopoczucie...

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale zaraz się zadumał. Oboje opuścili ceremonię.

- Zatem... Święto Przybywającego Światła. Co oni tam robią? To znaczy, czy bez Gavina w ogóle jest tam coś do roboty?

Minęło prawie sześć miesięcy od jesiennej równonocy, kiedy morski demon i wieloryb pojawiły się w Chromerii, czy raczej na Morzu Lazurowym. Sześć miesięcy wojny brnącej powoli przez zimę, kiedy żegluga była utrudniona z powodu wzburzonego morza i ulewnych deszczy; statki przepadały, karawany spóźniały się, a oni próbowali opóźnić pochód Księcia Barw, który napierał na Krwawą Puszcę. Nadeszła jednak pora sucha i wszystkie satrapie wiedziały, że to oznacza nasilenie działań wojennych.

- Najpierw odbywa się procesja na cześć twojego dziadka, promachosa. Trochę fajerwerków. Trochę pokazów walki. Zważywszy, że trwa wojna, na którą idzie mnóstwo pieniędzy, obchody będą bardzo skromne.

- A co nie jest ostatnimi czasy? – odrzekł Kip.

Pokręciła głową.

-Też byłam taka przemądrzała w twoim wieku? Nie odpowiadaj.

- Muszę iść?

- A nie chcesz? Nawet w skromnym wydaniu to będzie największe przyjęcie, jakie widziałeś w swoim życiu.

- Wolę uczyć się rzeczy, które mogą ocalić mi życie, niż zająć torty i cukierki.

Rzuciła mu powątpiewające spojrzenie.

– To zależy od tortu.

– Czekoladowy?

– To byłoby warte życia – przyznał Kip.

– Nie dostaniesz czekolady wartej tej nazwy, odkąd straciliśmy północny Atash – odparł Karris.

– I dlatego jestem tutaj.

Karris uśmiechnęła się szeroko.

– Dzisiaj pokażę ci sharana ru, tygrysie pasy. – Zważyła w rękę elastyczną włócznię i z łatwością nią zakręciła. – Mówi się, że sharana ru wyrabia się z kości morskiego demona.

Nie zachowuje się jak inne surowce. Patrz uważnie.

Zakręciła elastyczną włócznię i zatrzymała ją ręką. Drzewce wygięło się wokół niej jak galareta, wykazując się większą elastycznością niż zielona gałąź. I wyprostowało się raptownie.

– Świetne – powiedział Kip.

Dzięki coraz większej wiedzy na temat broni domyślał się, że sharana ru będzie trudną bronią do opanowania, ale potem okaże się niesamowicie skuteczną, ponieważ przy właściwym użyciu porusza się z zaskakującą prędkością. Mimo wszystko to dziwna broń. Jak delikatna była, skoro zachowała taką sprężystość? Czy sparuje miecz?

– Nie widziałeś jeszcze połowy jej możliwości – powiedziała Karris.

– A na czym polega ta druga połowa?

Już miała objaśnić, kiedy Kip wyrwał się z tym pytaniem.

– Pozwolę ci przekonać się na własnej skórze – odparła.

– Och, cudnie.

Skrzywił się, chociaż zasłużył sobie na to za odgrywanie mądrali.

– Sierzmerka – zapowiedziała. – Przekonajmy się, jak ci idzie z żółtym. Pięć, cztery...

Kip nabrał odrobiny nadfioletu i strzelił nim przez pokój do panelu kontrolnego. Żółte światło zalało pokój. Zassał je wygłodniałe, nagła klarowność ułatwiła mu krzesanie doskonałego żółtego luksynu, który tak wytrwale trenował. Machnął dłonią i żółty płyn popłynął strumieniem, a Kip zaciekle starał się go zwęzić i zestalić.

– Trzy, dwa... – odliczała Karris.

– Za szybko, za szybko!

Uniosła shaana ru i zaczęła zataczać swobodne kręgi podwójnymi ostrzami, tnąc ze świstem powietrze. Ustawiała się w pozycji, akurat gdy skończyła odliczanie.

–Jeden i... – Zaatakowała jednym końcem.

Kip uniósł luksynowy miecz, próbując zakończyć hartowanie, a jego ciało instynktownie

przyjęło prawidłową postawę do bloku. Nadmiar żółtego luksynu pokrywającego ostrze wybuchł światłem, pod wpływem energii zderzenia tępej klingi miecza z tępą drewnianą osłoną.

Nie udało mu się i żółty luksyn się rozpadł.

Obydwoje zmrużyli oczy, chroniąc je przed oślepiającym wybuchem, bo przywykli do tego. Kip został trafiony w przód łydki, plama atramentu z gąbki w osłonie ostrza oznaczała siniak dla Kipa i punkt dla Karris.

Karris pozwoliła mu prawidłowo uformować miecz. Potrzebował więcej niż dziesięciu sekund. I znowu podjęli walkę. Atak był szybki, wręcz nedorzecznie szybki, i zakończył się w niecałe dwie sekundy.

Kip zaklął w duchu i znowu stanął w gotowości.

I znowu przegrał. I znowu, znowu, znowu. Stosownie nazwana broń poznała Kipa pasami – na szczęście z atramentu nie z krwi – na brzuchu, rękach, czole, łydce i dłoniach.

Przy dziesiątej rundzie zdobył punkt, uprzedzając Karris. Skinęła głową. W prawdziwej walce oboje padliby martwi. Czarna Gwardia nie chciała martwych Czarnogwardzistów, którzy, ginąc, zabili przeciwnika. Chcieli nietkniętych Czarnogwardzistów, którzy zabili przeciwnika. Mimo wszystko od czegoś trzeba zacząć...

Znowu przegrana. I znowu, znowu, znowu. Jednakże Kip zaczynał orientować się, jak sharana ru działa, jak sprężynuje, kiedy Karris uderza jednym końcem o swoją nogę, wyprowadzając krótki zamach, jedynie fintę, w twarz Kipa, żeby przygotować się do szybkiego szerokiego zamachu. Sama elastyczność umożliwiała przewidzenie pewnych rzeczy, bo to, co się wygnie, musi się wyprostować.

Mimo osłon i gąbek ciosy Karris sprawiały ból. Po każdym sparingu ciało Kipa pokrywało się siniakami na kilka dni. Najbardziej lubił, kiedy posługiwała się rapierem i siniaki wyglądały jak piegi. Piegosiniaki na żółwio-niedźwiedziu. Oczywiście, Karris nie przejmowała się jego narzekaniem. A jej sposób walki – który przyswoiła dzięki ciężkiej szkole w Czarnej Gwardii – nie był szybkim i lekkim tańcem dworskiego szermierza. To była kontaktowa, brutalna walka. Z pchnięciami biodrem i dźwigniami, z ciosami zadawanymi przedramionami i łokciami, – z łapaniem ostrza przeciwnika w dłoń w rękawicy... albo łapaniem własnego, żeby przyłożyć je do szyi przeciwnika. Kopniaki, rzuty i podcinanie, ciągnięcie za ubrania, atakowanie oczu i kopniaki kolanem w nerki – wszystkie zagrania, każde nieczyste, szybkie, efektowne i śmiercionośne.

Waga Kipa i rosnąca siła powinny dawać mu sporą przewagę. I może by tak było, gdyby walczyli na topory i młoty bojowe. Karris była szybkim i drobnym celem, doskonale potrafiła wykorzystać dźwignie, żeby nadrobić braki w sile w porównaniu do swoich braci z Czarnej Gwardii. Szesnaście lat nieustannego treningu z najlepszymi przeciwnikami na

świecie uczyniło z niej zaskakująco niebezpieczną osobkę, jak na jej drobną figurę.

Dzisiaj nie zrobiła mu wykładu, co czasem jej się zdarzało. Uczenie się, żeby część uwagi kierować także na inne rzeczy, powstrzymywało przed całkowitym skupieniem tylko na walce, na tym, co dzieje się bezpośrednio przed tobą. Ostatnim razem opowiadała mu o innych posługujących się magią organizacjach militarnych na świecie: gwardii Nuqaby w Parii zwanej Tafok Amagez, starych Niebieskookich Demonach, które Gavin zniszczył po wojnie, paru elitarnych oddziałach z plemiennych społeczności na paryjskich wyżynach, tajnej Mrocznej Straży z Ruthgaru, o której istnieniu wiedziała, ponieważ Gavin osobiście sprawdził, czy nie stanowi zagrożenia dla Siedmiu Satrapii. Jednakże nieliczne pojedyncze osoby z tych organizacji posługiwały się magią z porównywalną efektywnością co Czarnogwardziści. Cumy Wawr byli wspinającymi się po drzewach łucznikami, zielonymi krzesicielami i mistrzami kamuflażu z głębin Krwawej Puszczy, a niektórzy członkowie Mrocznej Straży byli także wysoce utalentowanymi krzesicielami, jednak żadna grupa nie miała porównywalnie szerokich możliwości krzesania co Czarna Gwardia. Żadna nie dysponowała taką liczbą krzesicieli, żeby utrzymać tradycję krzesania w każdym kolorze, więc każde pokolenie musiało wymyślać na nowo techniki, których z łatwością mogliby ich nauczyć poprzednicy.

Takie żołnierskie społeczności rodziły się z wojen i zbyt często wraz z nimi odchodziły. Krwawe Wojny dały początek kilkunastu. Wojna Fałszywego Pryzmata położyła kres połowie tej liczby. Niektóre zniknęły, kiedy zniknęły powody ich powstania. Niektóre z powstałych w czasie Krwawych Wojen przekształciły się w kompanie najemnicze, jak Niebiescy Łajdacy lub Rozszczepiona Tarcza. A część ludzi po prostu wróciła do domów albo została żołnierzami, ludźmi wyjętymi spod prawa lub farmerami, kiedy zniknęło zapotrzebowanie na nauczycieli. Sztuka wojenna krzesania zanikała szczególnie szybko, bo krzesiciele krótko żyją.

Kip zdał sobie sprawę, że wszystkie zdumiewające rzeczy, które odkrywali, niewątpliwie zostały odkryte już wcześniej. Po prostu o tym zapomniano.

– Jesteś gotowy na drugą połowę? – zapytała Karris.

– Drugie co?

Zaatakowała tygrysimi pasami. Kip zablokował cios raz, drugi, trzeci. A wtedy Karris jedną połowę owinęła sobie wokół ręki i pozwoliła jej odskoczyć. Elastyczne drzewce poruszało się dwa razy szybciej niż powinno i trafiło Kipa w brzuch na długo przed tym, jak zareagował blokiem.

– Co jest, u diabła? – zdumiał się Kip.

– Uderz. Od dołu, w środek.

Kip zrobił, jak kazała, tnąc między ręce Karris. Skarana ru ugięło się mocno i

odskoczyło, odrzucając żółte luksynowe ostrze daleko w górę.

– Jeszcze raz, tak samo.

Kip znowu ciął i tym razem żółta klinga prawie wyleciała mu z ręki, kiedy sharana ru w ogóle się nie ugięło. Nagle zachowało się jak stalowy pręt.

– To jest właśnie szczególne w sharana ru, czy to kość morskiego demona, czy też nie. To jedyny znany nam niemagiczny materiał, który reaguje na wolę. Kiedy chcę, żeby był twardy, to jest twardy.

Ja mam inny kłopot – zwykle nie chcę, żeby był twardym, a jest.

Dzięki Orholamowi, Kip nie powiedział tego na głos.

Karris urwała i popatrzyła na Kipa, który odpowiedział jej niewinnym spojrzeniem.

– Wyjdź myślami z rynsztoka, Kip.

Uśmiechnęli się do siebie szeroko.

– W przypadku sharana ru możesz po prostu złapać je mocno i siłą woli sprawić, że będzie... Na Orholama, Kip! Przez ciebie do głowy przychodzi mi tylko... Ehm. Ale wszystko to działa lepiej, jeśli krwawisz.

No, to zabiło wszelkie podteksty seksualne.

– Krwawisz? – zapytał Kip. Nie chciał, by zabrzmiało to tak piskliwe.

– Wola jest we krwi. To dlatego Orholam zabrania picia krwi, co robiono dawno temu.

Jakaś część duszy mieszka we krwi, jak mówią niektórzy luksjaci. A może to tylko zbieg okoliczności. Niemniej to działa w przypadku sharana ru. Istniała kasta wojowników na Wyspie Szkla, nim zatoneła i stała się Pienistą Rafą.

– Legenda, hę? – zapytał Kip.

Karris rzuciła mu sharana ru.

– Masz w rękach legendarną rzecz.

To aż prosiło się o sprośny żart. Jednak to była Karris. Była dla niego jak matka. Gdyby nie miał już matki. Która była całkowitą i absolutną klęską człowieczeństwa.

– Serio? – zapytał, otrząsając się ze wspomnień smrodu szafy, w której spędził dwie noce i trzy dni, i omal nie umarł.

– Krwawa Puszcza ma Pływające Miasto. Nie zdołalibyśmy wybudować takiego dzisiaj, ale najwyraźniej kiedyś znano odpowiednie techniki inżynieryjne. Oczywiście, legendy mówią, że Wyspa Szkla była setki razy większa od Pływającego Miasta. Może była dwa razy większa, a może mniejsza. Może zatoneła, bo była bluźnierstwem przeciwko Orholamowi. Może po prostu padła ofiarą zimowego sztormu. Albo jedno i drugie. W końcu jedno nie wyklucza drugiego.

– Znali inne rodzaje broni?

– Co masz na myśli? – zapytała Karris.

– Łuki.

– Mieli parę. Mówiło się, że potrzeba było lat treningu, żeby je opanować. Trudność polegała na odkryciu, ile woli potrzebujesz, i przywoływania jej zawsze w tym samym natężeniu, niezależnie od zmęczenia, strachu czy gniewu. Żaden nie przetrwał.

– Katapulty?

– Zniszczyły tych, którzy próbowali się nimi posłużyć.

– Co się dzieje z człowiekiem, którego wolę przełamano? – zapytał Kip. – Zastosowałem raz wytracenie woli w czasie treningu z Graznerem, ale chyba nic mu się nie stało.

– To zależy, ile włożył woli. Jeśli pokrzyżujesz zamiar, który był dla tej osoby za ledwie kaprysem, to będzie przez chwilę oszołomiona. A jeśli człowiek zepnie się, żeby włożyć w sharana ru tyle woli, by cisnąć kamieniem na odległość dwóch tysięcy kroków i zawiedzie? Zmienia się w idiotę. Na zawsze.

– Dobry Orholamie.

– W każdym razie, jak mówiłam, istniała kasta wojowników, którzy posługiwali się sharana ru. Znali kilkanaście tańców wojennych, dzięki którym wprowadzali się w trans. Większość stosowała delikatne nakłuwanie skóry głowy i dłoni. Szli do walki zakrwawieni i nie wracali, dopóki mieli jeszcze krew do przelania. Jedną z ich największych porażek były mury Zielonej Przystani. Rośnie tam las, gdzie jak ludzie mówią, można o zmierzchu usłyszeć czasem dźwięki ich tańców wojennych.

– To brzmi... upiornie.

– Można narobić w gacie – powiedziała Karris. Uśmiechnęła się znacząco. – Wiesz co, Kip? Chciałam powiedzieć, że stałeś się zupełnie jak...

Oczy jej się zamglily.

Kip poczuł, że pod jego stopami otworzyła się nagle studnia tęsknoty i że do niej wpada. Dokończył zdanie w myślach, ale nie mógł go wypowiedzieć, żeby ostatni bąbelek powietrza nie uciekł mu z płuc, a wraz z nim resztki nadziei.

– Nie – powiedziała, nagle zmieniając ton – nie stałeś się kimś takim, jak prawdziwy wojownik. Ty stajesz się prawdziwym wojownikiem i jestem z ciebie dumna.

Poklepała go niezręcznie po ramieniu.

Nie to zamierzała powiedzieć i Kip to wiedział. Nie to zamierzała powiedzieć. Prawda? Chciała powiedzieć coś innego, coś, za czym tęskniło jego głupie serce, udając, że wtedy wszystko będzie lepiej.

Kip skinął głową, potraktował to jak komplement i wypełzł ze studni, podtopiony i ociekający strugami fałszywej nadziei.

Skinął głową i uśmiechnął się skromnie. Coraz lepiej kłamał.

ROZDZIAŁ 59

Ach, kłopoty, jakie przynosi jedna nieudana próba zamachu.

– Imperium pada, Gavinie – powiedziała Nuqaba.

Dziwne, że zaczyna od tego. Po nagłym wejściu i oskarżeniu, ona i Eirene Malargos wyszły razem. Najwyraźniej opracowały plan, ale teraz Nuqaba wróciła sama.

– Jak się miewa twój mąż? – zapytał Gavin. – Mam nadzieję, że dobrze?

Jej oczy rozbliły. W okolicznościach, których dobrego wyjaśnienia Gavin nigdy nie poznał, Haruru poślubiła Izil-Udada, głowę rodziny, która próbowała zamordować jej matkę. Izil-Udad był teraz kaleką. Powszechnie krążyły plotki, że zepchnęła go ze schodów w czasie pijackiej kłótni; mąż skończył z potrzaskanymi kolanami, których najlepsi konsyliarze nie umieli poskładać. Prawda była taka – jak dawno temu poinformowali Gavina jego szpiedzy – że mąż bił Haruru brutalnie i często. Pewnej nocy uspiła go, wykrzesła pomarańczowy luksyn na schodach, żeby się poślizgnął, a potem zmiażdżyła mu kolana młotem, kiedy leżał bezradny. Obudził się, niczego nie pamiętając, albo tak się bał, że twierdził, że niczego nie pamięta. Z racji politycznych nacisków w owym czasie pozostali razem. Izil-Udad wylądował w fotelu na kółkach, a mówiło się, że żona nie ułatwiała mu życia.

Gavin wiele razy widywał jej portrety z młodości, a wśród nich nadzwyczajną podobiznę w pokoju Żelaznej Pięści. Prezentowała się na nich naprawdę pięknie, chociaż artyści byli skłonni tuszować niedoskonałości możliwych patronów. Mimo że minęły lata, odkąd pozowała do tamtych portretów, nadal miała olśniewającą figurę. Może nawet teraz bardziej, kiedy uzyskała pełnię władzy. Nosila nieskazitelnie udrapowany i niewątpliwie barwny haik, chociaż Gavin nie był w stanie dostrzec kolorów. Fibule z błyszczącego metalu – złota? – w kształcie słonecznych promieni na obu ramionach. Koronkowy naszyjnik i koronkowe kolczyki, chociaż nie miała przekłutych uszu i kolczyki zwieszały z małżowin zgodnie z paryską tradycją. Smukłe mięśnie i ciężkie powieki, pełne usta i skromne krągłości mimo trójki dzieci.

– Jaka to miła niespodzianka widzieć cię tutaj – powiedział Gavin.

Jakby to oddawało choćby połowę tego, co czuł.

Roześmiała się w głos.

– Wiesz, krystaliczny załazek mówi mi, że naprawdę cieszysz się na mój widok. Jesteś

skomplikowanym człowiekiem, co, Gavinie Guile?

Zamrugął.

– O co chodzi z tym krystalicznym załączkiem?

Nigdy nic nie wiadomo, czasem wystarczy zapytać, a ludzie powiedzą ci to, co chcesz wiedzieć.

Przyjrzała się kryształowi.

– Szczere pytanie? Naprawdę? Naprawdę?

Znowu się roześmiała.

Gavin uniósł brew. Przez ostatnie dwie godziny jego myśli wirowały jak młyn z odłączonymi dźwigniami, kręcąc się wściekle i bez żadnych efektów.

– Pamiętasz mozaikę na ścianie po lewej stronie od wejścia do mojej biblioteki? – spytała.

Mówiąc „moja biblioteka”, miała na myśli Bibliotekę Azulay. Sam budynek miał ponad osiemset lat i prawdopodobnie został wzniesiony na bibliotece, która istniała tam co najmniej dwieście lat dłużej. Mozaika przedstawiała króla Zedekiaha o skórze z onyksów, z ozdobną włócznią w prawej ręce. Cokolwiek znajdowało się w jego lewej ręce, zostało wyłupane przez złodziei dawno temu. Królowie, królowe i satrapowie, którzy nastąpili potem, nigdy nie znaleźli dwóch uczonych, którzy byliby zgodni co do tego, co zaginęło – berło? szale sprawiedliwości? miecz? – bo inaczej dawno odrestaurowano by mozaikę. Król Zedekiah, o ile Gavin dobrze pamiętał, nosił koronę z siedmioma gwiazdami. Naturalnie, po jednej dla każdego koloru. Czerwona, niebieska i zielona – najprawdopodobniej rubin, szafir i szmaragd – zostały wydłubane w tym samym czasie, co płytki z mozaiki przy lewej ręce, jednak były łatwiejsze do zastąpienia.

Chociaż było to słynne miejsce i sporo o nim wiedział, Gavin nigdy tam nie był. Nigdy nie odwiedził Nuqaby. I nigdy nie wziął jej do łóżka, nie złożył Orholam wie jakich obietnic i nie zostawił bez słowa – w przeciwieństwie do swojego brata, prawdziwego Gavina.

Wielkie dzięki za to, bracie.

– Korona? – zapytał z niedowierzaniem Gavin. – Z pewnością metaforyczna.

– Król Zedekiah był jednym z dziewięciu królów.

– Zetknąłem się z takimi przypuszczeniami – odpowiedział Gavin. – Myślisz...

– To nie przypuszczenia. Myślisz, że wspieram uczonych z powodu przyjemności, jaką odnajduję w działalności charytatywnej?

– Nigdy w życiu – odpowiedział Gavin; uśmiechnął się znacząco, żeby złagodzić słowa.

Nie udało się.

Jej twarz się zachmurzyła.

– Potwierdzili to dla mnie. Wraz z paroma innymi fascynującymi kąskami.

– Mów dalej, z łaski swojej.

Spojrzała na to, co jej zdaniem było pomarańczowym krystalicznym załączkiem.

– Przede wszystkim sarkazm, ale i zaciekawienie. Masz nadzieję, że się wygadam, co?

Chcesz ze mną walczyć, Gavinie?

– Wygląda na to, że ten wisiołek mówi ci więcej niż tylko to, czy kłamię, czy nie.

– Król Zedekiah trzymał w lewej dłoni miecz. Cały z diamentów, nie licząc spirali z obsydianu wzdłuż tyłca i wokół siedmiu klejnotów. Ach, nie potrzebuję kryształu, żeby wiedzieć, że znasz to ostrze. – Podeszła blisko do prętów.

Zawsze okropnie chodziła. Ciężko i prosto do celu, jak mężczyzna wlekący się pod brzemieniem, jej szczupłe biodra w ogóle się nie kołysały.

Kiedy jednak znalazła się przy prętach, owiał go zapach jej perfum. Cytryna, jaśmin, mirra i bursztyn. Przypomniało mu to zapach Karris, krótki rozbłysk raj, jakim była chwila, kiedy jej włosy spowijały mu twarz i czuł jej skórę na swojej skórze.

Natychmiast powrócił, kiedy Nuqaba się odezwała:

– Nigdy nie zastanawiałeś się, dlaczego tak wiele z waszej uznanej historii zaczyna się raptem czterysta lat temu?

– Wtedy przyszedł Lucidonius. Imperia nie lubią się chwalić tym, co było wcześniej. – Gavin wzruszył ramionami. – Zwykła rzecz dla utrzymania władzy. Ukryj przeszłość, dopóki nie zyskasz pewności, że jest martwa.

– Kolejna prawda spowita wokół kłamstwa. Masz nadzieję, że sfrustrowana wyjaśnię, dlaczego się mylisz.

Czasem Gavin zastanawiał się, jak dobrze by rządził, gdyby nie musiał męczyć się z ograniczeniami narzucanymi przez potrzebę utrzymania fasady. Przez cały czas będąc w roli Pryzmata, musiał trzymać Nuqabę na dystans, ponieważ nie znał wszystkich szczegółów jej schadzek z jego bratem, a mówiono o niej, że to jeden z najmocniejszych intuicyjnych myślicieli w Siedmiu Satrapiach. Obawiał się, że wystarczy jedno jej spojrzenie, żeby go przejrzała.

Na szczęście, religijne obowiązki zatrzymywały ją w Parii, a jej ogromne oddalenie od Chromerii było dostateczną wymówką, żeby Gavin unikał tego kraju. A teraz znalazł się tutaj, uwięziony, a ona dysponowała środkami, żeby rozpoznać każde jego kłamstwo.

– Zatem, czemu uważasz, że imperium jest skazane na upadek? – zapytał Gavin.

– Ponieważ Eirene i ja rozważamy, czy dołączyć do Księcia Barw, czy zostać z twoim ojcem i Siedmioma, przepraszam, Pięcioma Satrapiami.

Gavinowi zapało dech. Zdrada. Zdrada omawiana, jakby dyskutowały, kto da lepszą cenę za krokodylą skórę.

-Widzisz, Gavinie, Spektrum stało się tak ograniczone, że zapomniało, że istnieje dla

nas, a nie na odwrót. Kiedy ostatnim razem jakiś członek Spektrum chociażby udał się do rodzinnej satrapii? Sześć lat temu. Zostało to spowodowane przedwczesną śmiercią jednego z kuzynów Delary Pomarańczowej, który zostawił po sobie dwa testamenty i czworo bękartów.

Gavin nic nie powiedział, ale stracił nie tylko oddech. Jego duch też oklapł jak pozbawiony wiatru żagiel. Po co mówiłaby mu o planowanej zdradzie, i to tak wprost?

Ponieważ, mówiąc całkiem zwyczajnie, nie mógł uczynić niczego, co wpłynęłoby na jej postępowanie. Ostatecznie, mówiła mu, cała jego siła opierała się na magii. Oto jej zemsta.

Nie, to dopiero początek jej zemsty. Mogła rozebrać wszystko, co poskładał jako Pryzmat.

– Widzisz, Spektrum było tak zajęte spętaniem ciebie, że ignorowało wszystkie inne zagrożenia. Pomyśl, co mógłbyś osiągnąć, gdyby to imperium było prawdziwym imperium. Ilyta mogłaby być centrum kowalstwa, które wszystkich by wzbogaciło. Zamiast tego jest tam dziesięć tysięcy piratów, dwustu kowali i paręset tysięcy ludzi żyjących w ubóstwie. Powiedziałam: Pięć Satrapii? Cztery. Pomyśl o Tyrei. Z pewnością wiesz, jakim nieużytkiem jest Tyrea. Zupełnie niepotrzebnie. Jeśli tak silny mężczyzna jak ty nie zdołał zjednoczyć tego imperium, to znaczy, że jest ono za słabe, by się utrzymać.

– Zatem podjęłaś już decyzję?

Uśmiechnęła się niemal nieśmiało.

– Ja owszem. Książę Barw myśli, że może nas kontrolować. Widzisz to?

Podniosła klejnot. To była sześcioramienna gwiazda z czarnymi koniuszkami na każdym ramieniu; zarówno kolor – domyślał się, że pomarańczowy – jak i czerń pulsowały życiem. Trzymała to w maleńkim szklanym pudełku, które wisiało na łańcuszku.

– Krystaliczny załążek? – zapytał Gavin.

– Nie znalazłeś takich, kiedy niszczyłeś inne mary?

Gavin pokręcił głową.

– To okrutny żart?

Termin „krystaliczny załążek” nie zapowiadał niczego dobrego.

Nuqaba również pokręciła głową.

– Cała ta praca. Te wszystkie żywoty. Zmarnowane. Mara odnowi się, jeśli nie znajdziesz krystalicznego załążka. W ciągu kilku miesięcy. Szukają żywiciela. Krzesiciela, któremu dają ogromną moc. Z jakiegoś powodu ten człowiek, ten Książę Barw, myśli, że może ich wszystkich kontrolować. Jednak, dopóki ja to trzymam, zamiast dać trzymać się temu, nie muszę poznać prawdy. Myśli, że pomarańczowa krzesicielka z samej swojej natury musi pragnąć zostać boginią, ale ja jestem dostatecznie bystra, żeby wybrać wolność. Uwolnienie od Chromerii. I uwolnienie od niego. Jednak nie odejdę bez

Ruthgaru. Żeby zapewniono nam warunki, których chcemy, których potrzebujemy, musimy być dwie.

– Zatem wszystkie moje nadzieje mam pokładać w Eirene Malargos? Pociuszające.

– Mogę ją zmusić, wiesz? Twój ojciec zaproponował, że cię wykupi.

-Tak?

Ojciec wiedział. Wiedział, że Gavin tu jest. To rozwiązywało niektóre jego problemy. I tworzyło nowe, rzecz jasna.

– Ach, myślisz, że wie, że tu przebywasz? Nie. Tylko zaproponował nagrodę. Ranisz mnie, Gavinie. I za to ja zranię ciebie.

Drażnienie tematu byłoby katastrofą, jeśli ta błyskotka naprawdę pozwalała na to, co Nuqaba twierdziła, że pozwala.

– Opowiedz mi o pomarańczowym załączku – poprosił.

Nuqaba nie zamierzała pozwolić mu sterować rozmową.

– Przeciagnałeś moich braci na swoją stronę. Przez ciebie mnie porzucili.

– Jesteś zła z tego powodu? Nie z drugiego? – zdumiał się Gavin.

– Myślałeś, że będę wdychała za tobą przez szesnaście lat? Odebrałeś mi dziewictwo, nie rozum.

Gavinowi odebrało mowę. Wiedział, że była wściekła na jego brata Gavina. Uznał, że brat na to zasłużył, ale to nie była jedna z tych rzeczy, o które można zapytać w liście. „Nadal jesteś zła, że cię porzuciłem?”. Czasem gorzko mu się pisało w osobie pierwszej.

– Ukradłeś Hanishu i Harrduna. – Nie nazywała ich Żelazną Pięścią i Wibrującą Pięścią. – Żeby zostali Czarnogwardzistami! Niewolnikami. To obrzydliwe. Opuścili mnie, żeby to zrobić. Uznali, że jesteś ważniejszy ode mnie. A ty pozwoliłeś im na to. Czym są dla ciebie jak nie kolejnymi ciałami, które służą ci do ochrony? Niczym. Gdybyś miał w sobie chociaż za grosz hojności, odesłałbyś ich z powrotem. Zostawiłeś mnie w domu, siedemnastolatkę, na czele plemienia wstrząśniętego i zniszczonego przez naszych wrogów. Musiałam poślubić człowieka, który kazał zamordować moją matkę. Przez całe lata wygrzebywałam się z dziury, w której mnie umieściłeś.

– Stań, kurwa, w kolejce – odparł Gavin. – Wojna jest straszna. Ludzie umierają. Dostałaś takie karty, że ostatecznie zostałam Nuqabą. Twój bracia wstydziliby się tego, czym jesteś.

Jej spojrzenie stało się lodowate.

– Przynajmniej wreszcie trochę ognia. Zastanawiałam się już, czy tamten mężczyzna umarł. Stałeś się intrygantem, Gavinie Guile, ale przynajmniej zostało w tobie trochę pasji.

– Twój bracia zrobili to, co uważali za swój obowiązek. Do niczego ich nie zmuszałem.

Nie będę zaprzeczał, że chciałem, żeby Żelazna Pięść został. To jeden z najbystrzejszych, najbardziej kompetentnych dowódców, jakiego poznałem w swoim życiu i jego obecność u mojego boku daje mi wielką przewagę. Jaki Pryzmat z własnej woli oddałby tak silną prawą rękę? A Wibrująca Pięść nie chciał zostać w Parii. Nie mógł. Oczywiście poszedł za Żelazną Pięścią, ale on sam też stał się wzorem. Jego skromna kompetencja inspiruje wszystkich Czarnogwardzistów.

– Powinien był zwrócić się do mnie. Po... Po Aghbalu.

– Do młodszej siostry? Żeby zrozumiała morderczy szal? Prędeż niż do starszego brata, który był wojennym weteranem?

– Jestem jego siostrą! Nie powinien był zwracać się do ciebie!

– Nie zwrócił się do mnie.

Cóż, krystaliczny zarodek powinien potwierdzić, że przynajmniej to jest prawdą. Jednakże ona nawet nie spojrzała na klejnot.

– Właśnie, że do ciebie.

– Dobrze więc. Dałem mu to, czego ty nie mogłaś – odparł Gavin. Jego grzechy mogły być liczne i warte ukarania śmiercią, ale ten do nich nie należał. – Dałem mu zaufanie, kiedy nie ufał sam sobie. W takiej sytuacji siostrzane zaufanie nic nie znaczy. To nie twoja wina. Potrzebował czegoś, na co musiał zapracować. Zaufanie człowieka, który nie miał powodu, żeby go kochać? To mu pomogło. Nie jest tym, kogo znałaś jako małą dziewczynka. Nigdy już taki nie będzie. To, co mu uczyniono, to, co on zrobił, zmieniło go na zawsze. Kiedy na niego patrzę, nie szukam człowieka, który przepadł. A ty byś to robiła. I dlatego nigdy nie wrócił.

– Tego – powiedziała – tego właśnie w tobie nienawidzę, Gavinie. Po tym, co przeszłam, po wszystkim, co wycierpiałam, ty w pięć minut sprawiasz, że brzmi to tak trywialnie. Obracasz to tak, że jakimś cudem staje się moją winą. Jakbym powinna ci dziękować za odebranie mi braci. Jakby całe to zniszczenie istniało tylko w mojej głowie. Jestem Nuqabą. Jestem mistrzynią pomarańczowego luksynu. Od wieków w satrapiach nie było bliższego odpowiednika królowej niż ja, a sprawiasz, że czuję się jak mała głupia dziewczynka.

Sięgnęła między fałdy haiku i wyjęła mały pistolet z zamkiem lontowym. Wyciągając lont, podeszła do jednej z latarenek. Położyła pistolet na półce, otworzyła latarnię i zapaliła lont.

– Jeśli umrzesz w lochach Eirene, twój ojciec uzna ją za odpowiedzialną za to. Jej protesty, że to ja cię zabiłam, zabrzmiały słabo, jak wykręty. – Podniosła pistolet, odciągnęła kurek i umocowała lont. – Rzecz jasna, Eirene będzie na mnie wściekła, ale nie narazi się na zemstę Androssa Guile. Dołączy do mnie.

Nuqaba wymierzyła w twarz Gavina. Podeszła bliżej, żeby nie trafić w pręty celi.

Mrugnęła do niego, szczerząc zęby, a on prawie odpowiedział uśmiechem. I zaraz zdał sobie sprawę, że nie mrugała, tylko przymknęła prawe oko. Patrzyła na niego złym okiem, osądzała go jako Przeklęty Oskarżyciel, podczas gdy prawe oko Orholama, Błogosławionego Odkupiciela, było zamknięte.

Gavin zerknął nad jej ramieniem w stronę drzwi i skrzywił usta, jakby uśmiechnął się przelotnie.

Nuqaba zerknęła na drzwi, a Gavin się rzucił do przodu. Uderzył o pręty, wyciągając rękę, wciskając ramię między pręty najdalej jak zdołał. Trafił w jej rękę i pistolet, przez ułamek sekundy trzymał go w dłoni, ale ponieważ brakowało mu trzeciego i czwartego palca, nie był w stanie go utrzymać. Pistolet wypadł z ręki Nuqaby, uderzył o ścianę i wypalił.

Gwałtowne wycie rykoszetów wypełniło piwnicę.

Po ryku przez długą chwilę patrzyli na siebie. Gavin zabrał z powrotem rękę i zaczął sprawdzać, czy nie został trafiony. Nie, ale kikuty palców znowu krwawiły. Psiakrew. Musiał zaatakować lewą ręką, ale jego odruchy nie przystosowały się jeszcze do utraty palców.

Spojrzał na Nuqabę, żeby się przekonać, czy została trafiona. Patrzyła szeroko otwartymi oczami. Krew płynęła jej z ręki. Wyjęła chusteczkę i otarła przedramię. Tylko zadrapanie. Ulżyło jej.

Natychmiast powódź straży wlała się do pomieszczenia, reagując na odgłos strzału. Paryczycy nosili niebieskie kamizelki i byli uzbrojeni po zęby; sami krzesiciele – osobista straż Nuqaby, Tafok Amagez. A potem wbiegło paru strażników Malargosów. Gavin uniósł rękę, żeby pokazać, że nie stanowi zagrożenia.

– Nic się nie stało – powiedziała Nuqaba. – Nic mi nie jest. Możecie odejść. Nie ma tu żadnego zagrożenia. To tylko drobny wypadek. Dlaczego...

Spojrzała w dół i uniosła rąbek haiku na udzie. W materiale była mała dziurka. Jednak spojrzenie Gavina powędrowało niżej, na krew, która zbierała się kałużą wokół jej stóp. Mnóstwo krwi. Jakby przecięto tętnicę.

Nuqaba zachwiała się, oczy uciekły jej w głąb czaszki i padła.

ROZDZIAŁ 60

" Najwyższy Luksjat -

Wiadomość w moich rękach to śmierć. To oczywiście nie ma związku z jej słusnością. Jednak w swoim wewnętrznym świetle widzę, że to ciemność.

– Sam Orholam zapoczątkował obroty ziemi, młodszy bracie – mówi brat Tawleb.

Tawleb jest jednym z sześciu Najwyższych Luksjatów. Denerwuję się podczas rozmowy z nim.

Nie musi kończyć powiedzenia – „by dać wytchnienie ziemi i wszystkim jej stworzeniom od swojego płonącego spojrzenia”. Że jest czas na światło i czas na ciemność.

– Często nadużywa się tego powiedzenia, starszy bracie. Jak sam zauważyłeś w „Solilokwiach Pierwszych Dziesięciu Lat”.

Jestem tchórzem. To jest złe. Śmierć dla dziecka? To ledwie nowicjusz. Poza tym wiem, jak brat Tawleb odpowie, kiedy się nad tym zastanowię.

Brat Tawleb się uśmiecha. Słyszałem, że kiedy był młodym luksjatem, słynął z urody i bogactw. Nosił wspaniałą ataską brodę ozdobioną złotymi paciorkami i namaszczonej mirrą. Jego matka, kiedy jej pierwszy mąż zginął w Krwawych Wojnach, była zmuszona umieścić go w Magisterium, gdy wyszła ponownie za mąż, by nie zaciemnić linii sukcesji w rodzinie nowego męża. Jednak Tawleb pozostał jej ulubieńcem, więc obsypywała go prezentami.

– Quentin Naheed – mówi – pierwszy w swojej kohorcie, najlepszy uczeń, zdyscyplinowany, myślący młodzieniec. Nadzwyczaj inteligentny, prawdopodobnie błyskotliwy, możliwe, że geniusz, chociaż trzyma język za zębami, żeby nie zawstydzić mniej utalentowanych braci. Nie przypadkiem poprosiłem ciebie o wykonanie tego zadania, Quentinie. Wiesz, jak tamten cytat z mojego traktatu się kończy, prawda?

– „Fakt, że niektórzy ludzie nadużywają prawdy, nie stanowi wymówki dla innych, by przestać się nią posługiwać” – odpowiadam.

Jest czas na ciemność, na tajemnice, na oszustwo. Jednakże większość uczonych zgadza się, że taki czas znajduje się na marginesie życia, na przykład w czasie słusznej wojny, podczas działań wojennych, kiedy nie można ogłosić swoich zamiarów, bo zostaną pokrzyżowane. Albo kiedy chroni się niewinnych przed grzeszną władzą.

I oczywiście, znając takie wyjątki wymienione w pismach, każdy tyran i kłamca

utrzymuje, że tak właśnie kwalifikuje się jego sprawa.

Mimo wszystko chodzi o morderstwo.

– Wszyscy są braćmi w świetle, starszy bracie – mówię. – Czy ten chłopiec nie otrzyma szansy, żeby odpokutować swoje występki? Nie straciliśmy go na rzecz nocy w tak młodym wieku? Jest tylko sześć lat młodszy ode mnie. Gdybym ja musiał stawić czoło osądowi w tym wieku... Nie mogę nawet o tym myśleć. Nie jestem niewiniątkiem. Jestem gorszym grzesznikiem niż wielu moich braci.

– Kierują tobą słuszne instynkty, Quentinie, i twoje serce jest pełne miłosierdzia. Bracia mieli rację co do ciebie. Nie tylko inteligencja, ale i twoje serce odzwierciedla cnoty Orholama – mówi brat Tawleb.

Serce mocno mi bije. Bracia o mnie rozmawiali? Komplementowali takimi słowami? To aluzja do jednego z największych świętych w całym piśmie. Serce mi rośnie i zaraz pojawia się straszliwa myśl: czy przyjmuję pochwałę i zamieniam ją w arogancję? Arogancja to ślepotą, którą sami wybieramy.

– Nie jest arogancją uznanie prawdy, Quentinie.

To, że starszy brat Tawleb zwraca się do mnie po imieniu, samo w sobie jest komplementem, na który nie zasłużyłem.

– Wszyscy jesteśmy równi w świetle – udaje mi się wykrztusić.

– To fundamentalna prawda, w rzeczy samej – odpowiada. – Z którą trzeba ostrożnie sobie poczynać. Kiedy Orholam patrzy na nas z wysokości samego słońca, różnica między karłem i olbrzymem jest bez znaczenia. Różnica między intelektem twoim i idioty jest mizerna w porównaniu z nieskończoną inteligencją Orholama. Jednakże, chociaż codziennie chodzimy z Orholamem i dla Orholama, poruszamy się wśród ludzi i różnica między karłami i olbrzymami ma dla nas ogromne znaczenie, chociaż nie ma znaczenia dla Orholama, zatem nie powinna mieć i dla nas w kategoriach sprawiedliwości, łaski i prawości. To kolejna prawda, której się nadużywa. Tak jak wszystkie grzechy są jednym dla Orholama. My jednak odróżniamy niewinne kłamstwo i morderstwo, ponieważ jedna z tych dwóch rzeczy ma zdecydowanie gorsze skutki. Nie jest grzechem uznanie prawdy, młodszy bracie. Przeciwnie, grzechem jest postanowienie, żeby jej nie dostrzegać. Zatem to, że prawda sprawia ci przyjemność, fakt, że inni dostrzegli to, co od dawna o sobie wiedziałeś, a nie chciałeś wyjawiać na głos, nie jest grzechem.

– Ale to wbija mnie w dumę. Znam swoje serce i wiem, że jest zwodnicze – mówię.

Niechętnie o tym rozmawiam. Będę gromadził te komplementy jak skąpiec i cieszył się nimi w ciemnych godzinach nocy. Będę szydził z braci, którzy knocą naukę na pamięć, pogardzał siostrami za mówienie, że cytat pochodzi z Komentarza Stronga, podczas gdy był to Komentarz Stranga.

– Fakt, że otrzymałeś wspaniały intelekt, nie jest czymś, z czego można być dumnym, to brzemie. To mięsień, którego trzeba używać, żeby unosił większe ciężary niż inni są w stanie dźwignąć. Dlatego właśnie powierzam tobie to zdanie, młodszy bracie. To ciężkie brzemie, wiem. Dlatego nie powierzam go jakiemuś pochlebcy, który zwyczajnie posłuchałby się przez wzgląd na moją pozycję. Twoje serce jest szczere, umysł bystry, a teraz poznamy twoją wolę. Przygotowujemy cię, byś został przywódcą. Nie muszę ukrywać tego faktu. Musisz jednak okazać się godny tego, wykazać się wolą i działaniem.

Zawsze wiedziałem, że jestem bystrzejszy od braci, ale uznawałem tę wiedzę za grzech. Skupiałem się na podobieństwach i trywialności różnic, nawet kiedy decydowałem się nie zgłaszać się na ochotnika do odpowiedzi na trudne pytanie tylko po to, żeby moi bracia mieli szansę na chwilę w świetle aprobaty nauczyciela.

Moja pokora była fałszywa. To kłamstwo, prawda?

To jedno jest prawdą. Słyszę dźwięk prawdy w tych słowach, ale wiele cieni kryje się poza światłem, a najlepsze kłamstwa to te obficie przyprawione prawdą: sól pokrywająca smród zepsutego mięsa.

Takich rzeczy luksjaci nie powinni czynić.

Nagle zdaję sobie sprawę, że ta rozmowa nie jest zwyczajnie trudna, jest niebezpieczna. Nie zanoszą się komuś wyroku śmierci na kogoś innego niefrasobliwie. Jeśli odmówię albo zagrozę, że powiem o tym innym z Magisterium...

Dobry Orholamie, co wtedy zrobi brat Tawleb?

A ściślej mówiąc: co zrobi ze mną?

I wtedy nagle doznaję oświecenia. Nie jestem jedynie pierwszy wśród braci, jestem też sierotą i tak pilnym uczniem, że mam niewielu przyjaciół. Jeśli zniknę, kto mnie pomści? Moi bracia i siostry z Najwyższego Magisterium sprawują całkowitą kontrolę nad dopiero co zaprzysiężonymi luksjatami takimi jak ja. Mógłby powiedzieć, że wysłał mnie do Tyrei z tajną misją i nikt więcej o mnie nie zapyta.

Nie jestem strachliwym stworzeniem. Ci, którzy żyją, poszukując światła, spędzą wieczność w świetle. Niewiele można mi odebrać, czym już bym nie pogardzał.

– Przyszła ci do głowy myśl – mówi brat Tawleb.

To nadal przystojny mężczyzna, chociaż za szczupły na twarzy, nieco dziobatej, czego już nie przesłaniała broda. W ciągu roku przed złożeniem ostatnich ślubów pościł przez czterdzieści dni, posypywał głowę popiołem, zgolił brodę, oddał całą własność biednym i odrzucił przywileje, jakie płynęły z jego urodzenia i bogactwa. Paradoksalnie to tylko utrwaliło w umysłach wszystkich jego dobre urodzenie i zamożność, łącząc aurą głębokiej prawości. Potem szybko awansował do Najwyższego Magisterium.

Zrobił to celowo?

Nie, nie, proszę, nie. Taka intryga byłaby godna jednego z dawnych królów. Genialny manewr kogoś, kto dąży do władzy. Nie tak powinno postępować Magisterium. Z pewnością tak blisko światła nie może być ciemności.

A jednak ciężar na sercu, moje własne wewnętrzne światło mówią mi, że to prawda. W umyśle uwzniośliłem swoich braci, czciłem bardziej niż ludzi, uznawałem za lepszych niż ludzie. Takie przymilne uwielbienie to także ślepotą. A moje serce rozpaczliwie pragnie ujrzeć prawdę.

– Wiele myśli, niektóre sprzeczne ze sobą – mówię. – Widzę już, o co ci chodziło, kiedy mówiłeś o ciężkim brzemieniu.

To prawda, ale nie ta, o której on myśli.

Brat śmieje się niewesoło.

– Zaufam ci – mówię, okłamując brata po raz pierwszy od sześciu lat – ale proszę, żebyś ty także mi zaufał.

– Uważasz, że powierzenie tobie takich rozkazów nie świadczy o zaufaniu? – pyta wyniośle.

– Nie chodzi o rozkazy, chodzi o powody. Dlaczego te rozkazy są konieczne? Orholam dał mi taki umysł, a nie inny. Kiedy stanę przed nim, by mnie osądził, nie mogę mu szczerze wyznać, że nie zapytałem, dlaczego jedno z jego niewinnych dzieci zasłużyło na śmierć. Fakt, że kazał mi to zrobić ojciec Kościoła, nie wystarczy. Nie dał mi tak ślepej wiary.

Brat emanuje głębokim smutkiem.

– Nie jestem pewien, czy jesteś już gotowy na taką wiedzę.

– Nie jestem pewien, czy jestem gotowy na takie działanie – odpowiadam. I pośpiesznie dodaję: – Starszy bracie.

Możliwe jednak, że byłem zbyt wygadany. Za sprytny.

Brat patrzy na mnie ostro, coś w jego spojrzeniu przypomina mi, że to jest człowiek gotowy podpisać tajny wyrok śmierci. Może i nie boję się śmierci, ale nie pragnę umrzeć, a ten człowiek mógł nie tylko rozkazać zabić mnie, ale i mógł, całkiem jawnie, wysłać mnie, bym żył w piekle. Zawsze są potrzebni luksjaci, którzy nauczaliby kolonie trędowatych, nawracali Angarczyków (i zostawali przy okazji męczennikami), ponieśli nowinę o miłości Orholama poza Spękane Ziemię. Jednak brat nie wygląda, jakby chciał odrzucić doskonałe narzędzie przy pierwszej trudności w jego użyciu.

– Istnieje święta relikwia, którą powierzono Najwyższemu Magisterium jeszcze za czasów Karris Wroga Cieni. W czasie Wojny Fałszywego Pryzmata Andross Guile ją przechwyił. Oznajmił, że ją stracił i oskarżył nas o jej wykradzenie, ale wiemy, że to kłamstwo. Andross Guile to ateista, przy tym chytry. Musisz zrozumieć, że już mówię ci zbyt wiele. – Mówi głosem przyciszonym i rwanym.

Mógłbym przysiąc, że słyhać w nim strach.

– Skąd wiemy, że kłamie? – pytam.

Chcę zapytać, co to za relikwia, ale widzę, że nie ujawni mi więcej, niż to konieczne.

Starszy brat Tawleb zagryza usta.

– Chociaż udają, że rzuciliby się sobie do gardeł, Gavin Guile nadal jest Pryzmatem. Nie byłby, gdyby Andross naprawdę mu się przeciwstawił.

– Zatem relikwia jest kluczowa dla zachowania władzy?

Brat Tawleb natychmiast blednie. Zgadłem. Albo stał się lepszym kłamcą, niż myślałem.

Orholamie, zlituj się, co ja wyprawiam?

– To więcej niż musisz wiedzieć i zakazuję ci rozmawiać o tym z kimkolwiek, dopóki sam nie zasiądziesz w Najwyższym Magisterium. Rozumiesz?

Rozumiem. Na lzy Orholama, dopóki nie zasiądem w Najwyższym Magisterium?! Mówi to tak, jakby to nie była przynęta, ale z góry przesądzona kwestia. Kiwam głową.

– Najwyższe Magisterium... zgodziło się przełknąć tę groteskę. – Skrzywił się, a ja domyślałam się, że chodzi o coś znacznie więcej. – Ponieważ Najwyższy Lord Pryzmat był naszym bardzo rozsądnym przyjacielem i sprzymierzeńcem, mimo ukrytego przymierza z ojcem.

I ponieważ zostało mu najwyższej pięć lat. Jego ojciec, nasz prawdziwy wróg, ma mniej czasu. Możemy z cierpliwością przełknąć tę prowokację i odzyskać to co nasze po jego śmierci, nie wywołując zamętu wśród wiernych.

Relikwia zniknęła na co najmniej szesnaście lat i w żaden sposób nie próbowaliście jej odzyskać? Nie wierzę. Wszyscy musieliście zawieść, spektakularnie, i ostrzeżono was, że kolejna próba ściągnie na was poważne kłopoty. Magisterium jest cierpliwe, ale nie aż tak.

Orholamie, on mnie okłamuje. Z łatwością. Na wiele sposobów. Jak Najwyższy Luksjat może tak beztróska kłamać?

– Jest jednak młody człowiek, który dopiero co przybył do Chromerii, Kip Guile. Początkowo twierdzili, że jest bękartem, a Najwyższ... uważaliśmy... – Omal nie zdradził, kto go popiera w Najwyższym Magisterium. – Naiwnie uważaliśmy, że to może być koniec. Guile owie nie mają dziedzica, a Gavin nie sprawia wrażenia, jakby był zainteresowany spłodzeniem takowego. Pomyśleliśmy, że może nie musimy niczego robić, a mimo to relikwia powróci pod naszą opiekę. Teraz jednak uznali go prawowitym synem. To oznacza, że będzie dziedziczył. Pojawienie się Kipa sprawia, że kradzież relikwii, która była obrazą, jaką da się naprawić, stała się zapowiedzią utraty naszych przywilejów i zepchnięcia Magisterium na margines już na zawsze.

Zatem relikwia jest czymś, na czym zdaniem Magisterium, zasadza się cała jego władza.

– Jednak sam chłopiec może usłyszeć głos rozsądku. Możliwe, że odda przedmiot. Jest niewinny.

– To wojna. Niewinni umierają za grzechy możnych.

Brat Tawleb myślał, że mówi o grzechach Androssa Guile, ale nie jestem pewien, czy ma rację. To, że niewinni giną na wojnie, to fakt. Nie da się tego uniknąć, kiedy maszyny oblężnicze niszczą mury miejskie, a dzieci w domach pod umocnieniami giną.

Jednakże brać dzieci na cel to coś zupełnie innego.

– Kiedy Magisterium jest osłabione – mówi dalej – wszystkie uczynki każdego luksjata są osłabione. Opiekujemy się uchodźcami wojennymi, ale, pozbawieni władzy, jak możemy zdobyć fundusze od Spektrum, potrzebne, by opłacić wysłanie luksjatorów z pomocą dla tych uchodźców? Karmimy biednych. Pielęgnowujemy trędowatych. Leczymy chorych.

Większość pieniędzy płynie z datków, ale są czasy, kiedy jałmużna nie zjawia się dostatecznie szybko. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby doszło do powodzi na nadmorskich równinach Parii, a my musielibyśmy czekać, aż siedem satrapii usłyszy o tym, ofiaruje datki i przyśle dary, byśmy potem mogli kupić niezbędne zapasy i wysłać na miejsce luksjatorów? Minęłyby miesiące. Miesiące, w czasie których, ilu niewinnych by umarło? Bez mocy, by czynić dobro, co dobrego możemy uczynić?

Modlić się. To błyskotliwa odpowiedź i jest zgodna z pismem, uczył się jej każdy luksjat od setek lat. To nie dzięki naszej sile wola Orholama się dokonuje, ale dzięki jego. Czym są nasze czarne szaty, jeśli nie nieustannym przypominaniem własnej pustki, przypominaniem, że potrzebujemy światła Orholama? Że potrzebujemy jego mocy?

W walce o interesy Orholama brat Tawleb zapomniał o samym Orholamie.

– To bardzo niepokojące, bracie Tawlebie, ale słyszę prawdę w twoich słowach. – Skłaniam się. – Będę się modlić za jego duszę. I doręczę twoją wiadomość.

– Nie chcę, byś doręczył wiadomość, Quentinie Naheedzie.

– Słucham?

– Chcę, byś doręczył kulę.

ROZDZIAŁ 61

Kip wrócił z treningu i zastał swój pokój zdemolowany. Lustro stłuczono. Nogi krzesła połamano. Poduszki porozcinano. Materac także. Sakiewkę z zarobkami, którą chował na krokwi, skradziono. Błat biurka pocięto nożem, kałamarz wywrócono, zalewając atramentem całą powierzchnię. Ktokolwiek to zrobił, napełnił też nocnik i potem opróżnił go na środek łóżka. List na grubym papierze, z dbałością zgięty na pół i postawiony na biurku, powoli nasiąkał atramentem.

„Mam dość gierki. Masz się natychmiast u mnie stawić. G”.

G. jak Guile. Bo tak postrzega siebie Andross. Nie jako Androssa, nie jako Czerwień, nawet nie jako promachosa, ale jako reprezentację wszystkiego, czym jest ta rodzina. To było najważniejsze dla Androssa Guile.

Mocz niesłychanie mocno cuchnął.

Fuj. Ktoś nie pił dostatecznie dużo wody.

A skoro o tym mowa, ktoś za dużo trenował z Czarną Gwardią.

Nie licząc tej cierpkiej myśli, Kip był dziwnie nie poruszony. Poniszczone mu rzeczy. I co z tego? Miewał mniej w przeszłości. Ukradziono mu pieniądze. I co z tego? Nie potrzebował pieniędzy. Miał teraz przyjaciół, pracę do wykonania, cele do osiągnięcia. To było nieskończenie cenniejsze, prawda?

Spojrzał na bałagan i wiedział, że nawet nie musi tego sam posprzątać. Byli niewolnicy, których usługi mógł odkupić od Chromerii. Jeśli to miał być kopniak w klejnoty, staruszku, to spudłowałeś. To było najwyżej trafienie w udo.

I przede wszystkim dużo mi mówi na twój temat. Jeżeli zrobiłeś to, żeby mnie zirytować, to znaczy, że wyobrażałeś sobie, że to zadziała. Wyobraziłeś sobie, że to podziała, ponieważ podziałałoby na ciebie. Czyli to jest najgorsza rzecz, jaką możesz sobie wyobrazić, że przytrafiłaby się tobie? Nie zniósłbyś, gdyby ktoś nie okazał ci szacunku, co? Ciekawe. Zapamiętam to sobie.

W pierwszym odruchu Kip zapragnął wyjść i pójść przed siebie, gdziekolwiek. Jednakże bierny opór był w stylu starego Kipa. Biernego nieposłuszeństwa nie dało się odróżnić od tchórzostwa. Powiedział sobie, że nie obchodzi go, czy Andross uzna go za tchórze; ważne, co myślał sam o sobie. Bał się tego starca. Mógł zaakceptować ten strach. Był całkowicie uzasadniony. Jednak zgodzić się, żeby ten strach miał nad nim władzę...

Zabawne, że powtarzam rzeczy zasłyszane na szkoleniu Czarnej Gwardii, jakby to były moje własne myśli.

Dość myślenia. Kip wyszedł na korytarz. Zauważył nadchodzącego niewolnika.

– Całun! – zawołał. – Kto jest twoim panem?

– Służę Garibanowi Navidowi – odpowiedział mężczyzna, najwyraźniej niezadowolony, że go wybrano.

– To dyscypuł?

– Tak, panie.

– Popołniono tu przestępstwo. Zgłoś to do biura Czerni na dole. Masz pozwolenie nie czekać w kolejce. I poproś, żeby przysłano niewolników na górę do uprzątnięcia bałaganu, kiedy ludzie Czerni zakończą dochodzenie.

Niewolnikami, którzy nie służą Kolorom, może rozporządzać dowolna wolna osoba w nagłej sytuacji lub gdy trzeba zgłosić przestępstwo. Oczywiście jest to przywilej, z którego mądrzy korzystają z ostrożnością. Nikt nie lubi, żeby obcy rozporządzał jego własnością.

– Tak jest, panie – odpowiedział niewolnik.

– Czekaj. – Kip pogrzebał w sakiewce. Nie daje się napiwku niewolnikom, a Kipowi zostały tylko trzy danary, ale do diabła z tym. Dał niewolnikowi dwa denary. – Dziękuję.

Niewolnik uśmiechnął się szyderczo, jakby Kip nie wiedział, co robi, jakby był prostytutkiem nędznego pochodzenia.

Kip ruszył w stronę windy, kiedy zdał sobie sprawę, że obecność niewolnika jest niesłychanie poręczna. Odwrócił się.

– Ach, i jeśli to byłeś ty, pij więcej wody.

– Tak, panie?

– Kamienie nerkowe. Słyszałem, że to jakby uderzono cię młotem w czubek penisa.

Twarz niewolnika zamarła jak ścięta lodem. Wyglądał, jakby chciał splunąć Kipowi w twarz.

– Zostałem pozbawiony męskości, panie.

– Och. Zatem istnieją jasne strony wytrzebienia. W życiu bym nie pomyślał. Wobec tego rób swoje.

Kip wiedział, że powinien skorzystać ze spaceru i ułożyć plan, wymyślić, jak podejść do najbardziej umiejętnego manipulatora w Chromerii, ale jego myśli krążyły w kółko. Skinął głową do Czarnogwardzistów, machnął listem w ich kierunku i otworzył drzwi do pokoju Androssa bez pukania. Nie były zamknięte. To właściwie zabawne – Andross był tak pewien, że jego reputacja przeraża ludzi, że nawet nie kazał niewolnikowi zamykać drzwi albo Czarnogwardzistom pilnować, by nikt mu nie przeszkadzał. Chyba że Grinwoody zwyczajnie zapomniał zrobić, co do niego należy. Coraz bardziej się starzał.

Mała, podła cząstka Kipa zachwyciła się myślą, że Grinwoody niedołącznieje ze starości. Kip zapłacze, kiedy Andross wyrzuci ten stary pomarszczony wór ekskrementów. Z radości.

Przeszedł przez przedpokój i zobaczył, że Grinwoody drzemie na stojąco, oparty o ścianę obok drzwi do kolejnego pomieszczenia. Obudził się, zanim Kip zrobił trzy kroki.

Był jednak zaspany i starał się ukryć, że przysnął. Kip podał mu zaplamiony atramentem liścik jak zaproszenie i przeszedł obok.

Androssa nie było w salonie. Zaskoczony Grinwoody pośpieszył, żeby zagrozić drogę Kipowi.

– Możesz poczekać w... Najszlachetniejszy pan Guile jest...

– Możesz mnie pocałować w łysy placek, gdzie moje grube uda się ocierają – uciał Kip.

Otworzył z impetem drzwi do sypialni.

Jego dziadek był w łóżku, ale nie sam. Co gorsza, Kip już kiedyś widział kobietę, która obok niego leżała. To była Tisis Malargos o twarzy w kształcie serca i bladej skórze. Mnóstwo bladej skóry. Zupełnie jak wtedy, kiedy próbowała zabić Kipa w czasie próby w Młocarni. Tisis Malargos, która była Kolorem przez kilka chwil, zanim Gavin pozbawił ją tej godności.

Kip stał, jakby zapuścił korzenie. Włosy Tisis zostały zebrane w delikatnych blond lokach w sieci szmaragdów. Jej dłoń znajdowała się pod przykryciem i poruszyła się w górę i... Och, dobry Orholamie!

Nie dostrzegła od razu Kipa, a przynajmniej miał nadzieję, że dlatego nie przestała od razu poruszać ręką, za to Andross Guile owszem. Spojrzał na wnuka. Kip zaś wyczytał na jego twarzy gwałtowną walkę dwóch natur Androssa Guile: wyrachowanego pająka, który już kombinował, jak wykorzystać to zaskoczenie na swoją korzyść, i Czerwieni, który krzesał namiętność, ogień i wszystko, co gorące i płomienne przez całe dekady.

Najgorszy z tego wszystkiego był chyba fakt, że zdecydowanie bardziej szokującym widokiem był jego nagi dziadek niż Tisis.

Tisis zorientowała się, że straciła uwagę Androssa i spojrzała w tym samym kierunku, co on. Na ułamek sekundy wstyd zapłonął w jej oczach, ale zaraz zamienił się w czystą nienawiść.

– Najzabawniejsze jest to – Kip złapał się na tym, że już wypowiada te słowa – że chyba więcej razy widziałem cię nago niż w ubraniu. Hm. Pewnie, jak się dysponuje tylko jednym atutem, to trzeba z niego korzystać na całego, co? Szkoda, że takie piękne opakowanie skrywa taką brzydotę.

Tisis natychmiast wyskoczyła z łóżka. Nadal miała na sobie halkę, chociaż jej ramiączka już były zsunięte – zatem Kip najpewniej przeszkodził im dopiero w grze wstępnej. Tisis

złapała wazę i cisnęła nią w Kipa. Ręce jej się zaplątały w ramiączka, spudłowała o kilka mil, oblała się wodą i rozrzuciła róże po podłodze. I stłukła coś, co pewnie było bezcenne.

-Wynoś się, ty... ty gruba larwo! Ty obrzydliwy mały... mały bękarcie! Ty...

Jej blada skóra zapłonęła z wściekłości i frustracji, kiedy Tisis próbowała rzucać przedmiotami i słowami, a jednocześnie poprawić ramiączka.

– Osobiście podoba mi się „Ty gruby czyraku na dupie wielkiej rodziny”. Znaczy, jeśli sięgamy po dowcipy na temat tuszy. Porównania do wielorybów na brzegu są oklepane, ale do przyjęcia. Dodatkowe punkty są za uwzględnienie słowa „oleisty”. Wiesz, co jest smutne? Smutne jest to, że pewnie wyobrażasz sobie, że robisz coś mądrego. Myślisz, że możesz pogrywać z Androssem Guile i wyciągnąć od niego więcej niż on od ciebie. Żałosne.

– Kip już się rozkręcił. Miał wszystko w nosie. Jego język płonął, a Kip pluł ogniem na każdą łatwopalną powierzchnię w zasięgu wzroku. Niech się pali. – Wiesz, co jeszcze jest żałosne? Mój dziadek jest tak próżny, że pewnie przekonał samego siebie, że uległ jego wdziękowi. Chociaż jest dostatecznie mądry, żeby wiedzieć, że tak naprawdę się prostytuujesz. Powiedz mi, Tisis, jak ukrywasz obrzydzenie na widok jego ciała? Kiedy jęczysz, czy martwisz się, że Andross się zorientuje, że go nabierasz, czy też gardzisz nim, bo wiesz, że się nie zorientuje?

Wrzasnęła i cisnęła w niego poduszką.

Poduszką!

– Grinwoody – powiedział Kip, nie odwracając się, ale jakimś cudem świadomy jego obecności za plecami – ty oleista larwo, jeśli choćby mnie tkniesz, zabiję cię. Zastanów się dobrze, zanim położysz rękę na Guile’u, nawet tłustym.

Kip nabrał czerwieni i żółci; w całym pokoju było mnóstwo kolorów. Zawirowały mu pod skórą twarzy i szyi, spłynęły dobrze widoczne ku rękoma. To był magiczny odpowiednik odciągnięcia kurka w pistolecie.

Niewolnik go nie tknął.

Andross Guile wstał spokojnie. Wygrał pająk. Kip wiedział jednak, że popełniłby błąd, uznając, że dziadek jest mniej niebezpieczny tylko dlatego, że nie krzyczy. Andross nie wstydził się swojej nagości.

Z nas dwóch tylko on jeden.

– Dość – powiedział Andross.

– Dość?! – wrzasnęła Tisis. – Dość?

Spoliczkował ją beznamiętnie.

To zaskoczyło Tisis. Jego wielka mięsista dłoń trafiła w szyję i policzek. Głowa poleciała jej w bok i dziewczyna padła na gruby dywan, nawet nie próbując osłabić upadku. Straciła przytomność. Przez chwilę Kip bał się, że nie żyje.

Najwyraźniej Andross też się zaniepokoił. Przyklęknął i przyłożył palce do szyi. Usatysfakcjonowany tym, co wykrył, wstał.

– Podziałało lepiej, niż się spodziewałem – powiedział. – Grinwoody, odłóż nóż. Mój szlafrok. I zajmij się lady Malargos. Łatwo ją wprowadzić w zakłopotanie, więc przykryj ją, zanim posłużysz się solami trzeźwiącymi.

Kiedy Grinwoody wkładał szlafrok na nagie ramiona swojego pana, ten odwrócił się do Kipa.

– Zatem dostałeś mój list. Myślałem, że będziesz się chwilę dąsał. Chodź, usiądziemy w salonie.

Kip poszedł za nim do pokoju, w którym tak wiele razy grali w Dziewięć Króli. Jakby sytuacja była całkiem zwyczajna.

– Nie zamierzasz nawet zaprzeczać? – zapytał Kip. – Zdemolowałeś mi pokój i naszczałeś na łóżko. Wszystko zniszczyłeś. Ukradłeś mi pieniądze.

– Nie osobiście. Brandy?

– Nie, nie chcę twojej przeklętej brandy!

– Szkoda.

Mimo to, Andross nalał dwa kieliszki i postawił jeden przed Kipem. Usiadł w fotelu i wskazał, żeby Kip usiadł naprzeciwko.

– Znajomość dobrych alkoholi to rzecz pretensjonalna, ale ważna dla mnie. Mężczyźni szanują tych, którzy znają się lepiej od nich na rzeczach trywialnych, kiedy te błahostki są kosztowne. A nic nie spełnia lepiej tych kryteriów od alkoholi.

– Rzecz w tym – zaczął Kip. Ostatnio bardzo często mówił „rzecz w tym” i to go ogromnie irytowało. Dlaczego nie powie od razu tego, co ma do powiedzenia? – Rzecz w tym... – Do diabła, dwa razy! – że nie zaskoczyło mnie to, że zniszczyłeś mi pokój. Próbowalesz mnie już zabić, więc naprawdę wątpię, żeby cokolwiek leżało poniżej twojej godności. Nie chodzi nawet o to, że po fakcie nie zaparłeś się tego czynu. Wiem, że lubisz patrzeć, jak ludzie tańczą, jak im zagrasz. Myślę, że tak długo siedziałeś uwięziony w tym pokoju, stając się kolorakiem, że potrzebowałeś, by ludzie sami przychodzili do ciebie, jeśli nie chciałeś wysłuchiwać relacji z drugiej czy trzeciej ręki. Pragnąłeś poczuć dreszczyk posiadania władzy nad światem. Ja to wszystko rozumiem – mówił Kip – jesteś żalonym unieruchomionym starcem, który już nie jest unieruchomiony, i nie dostosowałeś się za dobrze do tej zmiany.

Oczy Androssa, tak rozbawione jeszcze parę sekund temu, zamieniły się w studnie ciemności. Sącył brandy, jakby patrzył na Kipa, który sam sobie wykopuje grób.

– Oto czego nie rozumiem: jak to możliwe, że stałeś się tak głupi? – powiedział Kip.

Uniesiona brew.

– Jestem z twojej kiwi – mówił Kip. – Jestem Guilem tak samo jak ty. Racja, została mi odrobina przyzwoitości, ale tylko odrobina. Dlaczego myślisz, że możesz traktować Guile’a z tak małym szacunkiem i spodziewać się, że ujdzie ci to na sucho? Bo ja jestem tobą. Jestem równie zimny jak ty, równie bystry jak ty, a kiedy mnie pchniesz do tego, równie zły i okrutny jak ty. Mam cieniutką powłoczkę dobroci, która unosi się na powierzchni mojej natury Guile’ów, dziadku, ale nie pojmuję, jak mogłeś zdziecinnieć do tego stopnia, by nie dostrzec, jak cieniutka jest ta powłoka.

– Hm. Słowa jak smród gówna – orzekł Andross. Machnął ręką, jakby chciał je rozpędzić. – Panujesz nad nimi lepiej niż kiedyś, ale nie przychodź do mnie ze swoimi gierkami. To mamy już za sobą. Nie ma w tobie niczego, co by budziło strach. Już samo twoje imię jest mizerne.

Kip. – Uśmiechnął się protekcyjnie. – Słowa bez czynów są zwiewne. Rzuć nimi o ścianę i widzisz? Nic.

Kip zastanawiał się, jak szybko mógł krzesać. Zastanawiał się, czy byłby szybszy od Grinwoodyego i Androssa razem wziętych. Chciał ich obu zabić. Chciał wstać i nasikać na samego Androssa Guile, żeby mu pokazać, co o nim myśli. Wątpił jednak, żeby mu się to upiekło, a opróżniwszy obie beczki swojej retoryki prosto w twarz Androssa i nie trafiwszy w nic, poczuł się nagle pusty, odsłonięty. Nie miał żadnej siły w ręce. Był zaledwie uznanym bękartem, samotnym, obrażającym Guile’a, ciskającym epitetami i obrażającym samego promachosa.

I jedyne, czym dysponował, to fakt, że miał w nosie, czy nie zniszczy samego siebie.

Rzeczywiście, marna to amunicja. Zrobił co w jego mocy, żeby ukryć nagły strach, ale jeśli na jakąś emocję Andross Guile był wyczulony, to właśnie na strach. Karmił się nim.

– Chcesz teraz brandy? – zapytał szelmowsko Andross, stając się uosobieniem wilczego uśmiechu.

– Owszem – odparł Kip, zachowując spokój w głosie.

– Nic z tego – odparł Andross.

Kieliszek stał pod ręką. Kip rozważył, czy go nie złapać, ale potem pomyślał, jak szybko obraca się koło Fortuny. W jednej chwili rozeźlony grozę śmiercią, a w drugiej wyłudza kieliszek brandy.

I to była część osobliwej siły Androssa Guile. Inny lord uznałby odmowę alkoholu za zwyczajnie chamską i uniósłby się honorem. Andross nie miał nic przeciwko temu, żeby się poniżyć, jeśli przeciwnika poniżał jeszcze bardziej. W rzeczy samej, wstyd to było narzędzie, którym posługiwał się wobec innych, ponieważ sam nie znał wstydu.

Być może dosłownie. Wstał z łóżka nagi, nawet nie zauważając tego faktu. Najwyraźniej nie robiła na nim wrażenia własna nagość, mimo wszystkich plam, zmarszczek i

obwisłości człowieka w jego wieku. Chociaż Kip przysięgłby, że brzuch Androssa malał, dziadek stał na drugim biegunie w porównaniu ze swoim pięknym synem Gavinem. Nie był też szczególnie poirytowany faktem, że przerwano mu igraszki miłosne.

Może Kip był kiepskim sędzią. Jego własny kielich był nieustannie pełny, więc każda dodatkowa kropla sprawiała, że wstyd się z niego ulewał. Tyle że nawet normalna osoba byłaby zażenowana w takiej sytuacji, prawda?

Kip domyślał się, że dziadek się zawstydził, ale zwyczajnie nad tym zapanował. Że nagła wściekłość była tylko przykrywką dla wstydu. A jeżeli jednak w miejscu, gdzie u innych byłby wstyd, u niego ziała pustka, a gniew wynikał tylko z faktu, że Kip zakłócił realizację planów, jakie snuł Andross, żeby usidlić Tisis?

Kip wielokrotnie zastanawiał się, jak jego babka, podobno dobra kobieta, mogła kochać tego człowieka.

Teraz naszała go inna myśl. A jeżeli, zamiast kochać Androssa, kochała świat? Może widziała siebie jako jedyną osobę, która była w stanie utrzymać tego wilka z dala od trzódki? Felia Guile była bystra, wszyscy zgadzali się w tej kwestii. Była pomarańczowa. Była jedyną osobą, która potrafiła sprawić, że Andross Guile zmieni zdanie. Była falochronem chroniącym przed sztormem.

A teraz jej zabrakło.

Kip patrzył na starego człowieka o obwisłej skórze i w wyblakłym szlafroku. Naga skóra na nogach była niemal przezroczysta, była bez mała nieprzyzwoita sama w sobie. I nagle sam poczuł się nagi.

– Czego chcesz? – zapytał. – Jesteś stary. Jak dla ciebie może wyglądać wygrana?

– Stary? – Andross zarechotał. – Zostało mi bite dwadzieścia lat. Kip, jeśli ty i Zymun się nie sprawdzicie, mogę założyć nową rodzinę i jeszcze wystarczy mi czasu, żeby przygotować następne pokolenie. Otworzyły się przede mną możliwości dostępne dla młodego człowieka, ale ze wszystkimi atutami, jakimi nie dysponowałem w młodości. Chcesz poznać historię swojej rodziny?

Kip nie szukał nauki.

– Cofnąłem się aż do dziadka i darowałem sobie zniesmaczony.

To była najlepsza zniewaga, jaką był w stanie wykrztusić mimo dławiącego go potężnego węzła strachu w gardle.

– Słabszy człowiek mógłby powiedzieć, że mam u ciebie dług wdzięczności, Kip. Za to, co zrobiłeś na statku w związku z moim... nadmiarem czerwieni. Jednak ja taki nie jestem. Szanuję to, że masz dość sił, by nie płaszczyć się u moich stóp. Jednakże, nieposłuszeństwo jest na początku ciekawe, ale szybko zaczyna męczyć.

– Z radością posłucham o rodzinie – odparła drwiąco Kip.

Już sam fakt, że powiedział „rodzinie” a nie „twojej rodzinie”, był ogromnym zwycięstwem.

– Zabiłeś moją chętkę na wspomnienia. Dość, że powiem ci, że zapracowałem na wszystko, co mamy. Do mojego pokolenia byliśmy handlarzami wełny, zadłużonymi handlarzami wełny z nic niewartym tytułem, którego mój brat, zapijaczony utracjusz, o mały włos nie sprzedał, żeby spłacić długi. Wszystko, czym jesteśmy, nawet ty, mały bękarcie, który wkręciłeś się do tej rodziny, wypływa z tego, czym ja nas uczyniłem.

– Odebrałeś panowanie nad rodziną swojemu bratu? – zapytał z niedowierzaniem Kip.

– Odebrałem? Większy kłopot miewałem z wypróżnianiem. Wręczyłem Ablowi stertę dokumentów do podpisania, kiedy miał kaca. Nawet na nie nie zerknął. Zapłaciłem jego własnemu rządcy parę danarów, żeby podpisał je jako świadek, mówiąc, że to kontrakty na magazyny. On też ich nie przeczytał. Przejąłem wszystkie konta, a mój brat nie miał nawet pieniędzy na opłacenie prawnika, żeby pójść ze sprawą do sądu. Ani też jego przyjaciele nie byli skłonni pożyczyć mu takiej sumy.

Kip sięgnął bez zastanowienia po brandy i tym razem Andross mu pozwolił.

– Dzięki – powiedział odruchowo Kip.

Andross uśmiechnął się szeroko, jakby to też było zwycięstwo.

– Chcesz mi powiedzieć, że od trzech pokoleń bracia w tej rodzinie rzucali się sobie do gardeł? – zapytał Kip.

– Trzech? Nie. Z tego co wiem, od sześciu. Istnieje legenda o czarownicy, która nas przeklęła, kiedy Memnon Guile poślubił ją, a potem zdradził, jak to my Guile’owie. A ściśle rzecz biorąc, odkryła, że miał już żonę w domu. Zostawił ją ze złamanym sercem i wędrował po świecie, przeżywał przygody, aż, kiedy wreszcie wrócił do domu wiele lat później, został zamordowany przez brata, który... zajął się pocieszaniem jego żony podczas jego nieobecności. Od tamtego czasu. To było sześćset lat temu, chociaż osobiście wątpię, żeby w naszych żyłach płynęła choćby kropla krwi tamtego Guile’a. Wiele innych rodzin przyjęła nazwiska dawnych bohaterów. Nie jestem pewien, czemu my mielibyśmy być inni. Chociaż nie powinno się takich rzeczy powtarzać publicznie, zgadza się? Niemniej opowieść miała w sobie dość siły, żeby mówiło się w naszej rodzinie, że jeśli twoja żona jest starsza i masz już syna, lepiej nie mieć więcej dzieci, bo może się zdarzyć, że skończysz z dwoma chłopcami. Chociaż syn i córka nie gwarantowali niczego lepszego. Selene Guile Pierwsza miała w sobie więcej miłosierdzia niż większość mężczyzn w naszej rodzinie, albo mniej, zależnie od tego co cenisz. Wygnała swojego brata Adana Guile, wykastrowawszy go uprzednio, żeby nie miał dziedzica. Zdołała przekonać jednego z królów, żeby jej nazwisko rodowe i tytuł dziedziczyło się po matce. Ten stan utrzymał się przez sto pięćdziesiąt lat, aż pewien przedsiębiorczy syn z rodu Guile’ów zdołał odzyskać panowanie

nad rodziną.

Kip napił się brandy. Prawie nie zauważył palenia.

– I uważasz, że to stosowne zachowanie dla rodziny?

– Stosowne? Nie dyskutujesz z lwami. Rzeczywistości nie akceptujesz. Do niej trzeba się dostosować.

– Jednak ty nie jesteś taki jak mój ojciec. Nie dostosowałeś się do sytuacji, w której brat cię zdradza. Ty sam byłeś zdrajcą. – Te słowa brzmiały tak logicznie, tak rozsądnie w myślach Kipa, zanim je wypowiedział.

Kiedy jednak wypadły z garłacza jego ust, rozproszyły się w chmurę ostrzy.

Twarz Androssa zamarła, kostki dłoni mu pobieleły na kieliszku brandy, co zdradzało, że Kip trafił w cel. Było widać, jak stara się zapanować nad wściekłością. Ze wszystkich swoich kolorów nie przez przypadek został właśnie Czerwienią.

– Jak to jest być tobą, Kip? Obleczone w kokon ignorancji grubszy niż twój tłuszcz, nieudolnym wielorybem z olbrotom zamiast mózgu, który niechcący niszczy wszystko wokół? Abel podziękował mi za ocalenie rodziny. Podziękował mi, że oszczędziłem mu ciężaru, którego nie był w stanie unieść, ciągu niepowodzeń, które doprowadziły go do samozniszczenia.

– Czyli wybaczył ci. Co dużo mówi mi na jego temat. A na twój? Poza tym, że...

– Bezczelny chłopak!

– ...zniszczysz dobrego człowieka pływającego po morzach, które pragniesz nazwać własnymi? Ze jesteś morskim demonem, bezrozumnym w terytorialnej furii, niszczącym wrogów, owszem, ale odpędzającym też nawet...

Przestań, Kip! Przestań zanim...

– ...własną rodzinę. Ostatecznie nawet własną żonę.

O, w mordę.

Oczy Androssa zalśniły i w Kipie wzięło górę szkolenie. Przemknął wzrokiem od białek oczu dziadka do jego bioder – pierwsze miejsca, gdzie byłby w stanie wykryć zagrożenie, magiczne czy też przyziemne. Potem do rąk. W jednej znajdował się kieliszek, którym Andross mógł rzucić dla odwrócenia uwagi Kipa, a druga mogła dać sygnał Grinwoodyemu.

– Dość dużo czasu potrzebowałeś – powiedział Andross. – Wreszcie dotarliśmy do dna twojego retorycznego kuferka z narzędziami, co?

-He?

Kipa ani na chwilę nie opuściło przecucie nadciągającego końca, ale Andross nie sprawiał wrażenia groźnego. Wszystkiemu, co podpowiadał Kipowi instynkt, zaprzeczały oczy Androssa.

– Przywoływanie mojej zmarłej żony. Tak oczywisty cel, że zastanawiałem się, czy jesteś głupszy, niż sobie wyobrażam, czy bardziej powściągliwy i przez to bardziej niebezpieczny, niż uważałem. Okazuje się, że jednak miałem rację co do ciebie.

– Czyś ty chociaż...

Andross uniósł palec i Kip się zamknął. Zaraz znienawidził siebie za to, ale jego mózg musiał zdać sobie sprawę, że ten uniesiony palec to lina ratownicza i chociaż raz zapanował nad językiem.

– Powinieneś zdać sobie z czegoś sprawę – powiedział Andross. – Tylko dlatego, że cel jest oczywisty i pierwsza obrona znajduje się na miejscu, nie znaczy, że celu tam nie ma i że nie jest mięciutki jak jajko wewnątrz skorupki. Zrozum to, lordzie Klucho. Twoja obrzydliwa otyłość może znieść jedną zniewagę, przynajmniej oficjalnie, ale nawet najdelikatniejsze otarcie sprawia, że rośnie twój wstyd i ukryta pogarda dla siebie. Zatem znalazłeś mój oczywisty słaby punkt. Gratuluję posiadania oczu. Wiedz tylko jedno: Grinwoody, jeśli wymówi jedno słowo na temat Felii, odstrzel mu łeb.

Kip usłyszał szcęk kurka przy lewym uchu.

– Z przyjemnością, mój panie.

Powoli, żeby nie uznano tego za atak, Kip zerknął na pistolet i Strzelca. Grinwoody rzeczywiście wyglądał na zadowolonego, a lufa pistoletu na ogromną. Broń znajdowała się za blisko jego oka, żeby mógł ocenić jej jakość – na ile to prawdopodobne, że nie wypali. Z drugiej strony to był pistolet Androssa Guile. Musiał być najwyższej jakości. Kip coraz szybciej krzeszał i poruszał się, ale nie dość szybko. Na razie.

– Nie zrobiłbyś tego – powiedział.

Głupie słowa. Grinwoody stanął nawet nieco z boku, żeby krew nie trysnęła na Androssa.

– Jeśli uważasz, że blefuję – odparł Andross, pochylając się, żeby nalać sobie brandy – to wypowiedz jej imię.

Chwila przeciągała się między nimi jak leniwy kocur. Kip już wiedział, że się podda. Andross także to wiedział.

– Cóż, miło się gadało, dziadku. – Drobną szpila, żeby odbić sobie przegraną. – Skończyliśmy?

Nie powinien był pytać o pozwolenie. Kip wstał. Trzeba było najpierw wstać.

– Jedna rzecz zdumiewa mnie w tobie, wnuku – zaczął Andross, godząc się z przegraną, okazując, że nie zaboląta go tak mocno, jak Kip miał nadzieję. Pewnie oszukiwał, ale mimo wszystko. Do diabła. – To musi być równie jasne dla nas obu, że jestem twoją jedyną nadzieją. Wrogowie naszej rodziny spróbują cię zniszczyć, a przyjaciele nie spróbują cię ocalić, bo wiedzą, że tobą pogardzam. Że już nie wspomnę o tym, co sam mogę z tobą

zrobić. A jednak obierasz tę ścieżkę. Nadal. Twój ojciec zaginał, z pewnością już nie żyje. Fakty uległy zmianie, ale nie ty. Zbyt długo podtrzymywany upór nie różni się od głupoty.

– A ty szanowałbyś mnie, gdybym tu przyszedł i lizał ci buty?

Andross Guile spojrział na niego, jakby Kip mówił w obcym języku.

– Szanował? Kip, niszczyłem ludzi, których szanowałem. Jeśli chcesz trafić na tę listę, wiedz, że jesteś bliski doproszenia się o zniszczenie, jeśli nie o szacunek.

– Nie doceniaj mnie, proszę. To tylko osłodzi zwycięstwo.

Andross uśmiechnął się cierpko, szczerze rozbawiony, i był to niepokojący widok. To był cały Gavin Guile, i ból straty, jaki ogarnął Kipa na widok tego czarującego uśmiechu na twarzy potwora pozbawił go równowagi.

– Jeśli twoja strategia opiera się na byciu niedocenianym, to lepiej o tym nie mówić, nie uważasz? – spytał Andross.

Kip miał na końcu języka tylko niejasne przekleństwa – on, kiedyś taki wygadany. Nie odezwał się.

– Dość – orzekł Andross. Wstał i zniżył głos. – Przejdźmy do sprawy, w której cię wezwałem.

Na gruzłowate kolano Orholama na moich jajach – tyle gadania i nadal nie poruszyliśmy sprawy, z powodu której mnie wezwał?

– Karty – powiedział Andross cicho, kiedy doszli do drzwi. – Nie wiem, gdzie je ukryłeś, ale chcę je dostać. Jeśli mi je dasz, zostaniesz moim spadkobiercą. Wezmę cię pod skrzydła i nauczę wszystkiego, co wiem, zdradzę ci sekrety, jakich sobie nawet nie wyobrażasz.

Karty? Znowu?

– Jeśli je znajdę, po prostu zabijesz mnie, kiedy ci je oddam.

– Ścisz głos – upomniał go Andross. Poglądził w zamyśleniu brodę. – Z pewnością Janus Borig powiedziała ci, jak działają. Potrafię krzesać cztery kolory. Brakuje mi jednak niebieskiego. Mogę odbierać dotyk, smak, wyczuwać, co się dzieje w kartach, ale niczego nie widzę. Żeby najpełniej wykorzystać karty, potrzebuję polichromaty z całym spektrum. Inni polichromaci są... nie do przyjęcia z różnych powodów. Potrzebuję ciebie i tak pozostanie. Ty będziesz potrzebował mnie, żebym cię nauczył jak przełożyć wiedzę na władzę, kiedy mnie już zabraknie. W najgorszym wypadku będziesz partnerem, który ma przewagę.

Kip zamrugął zaskoczony. To miało sens.

– Jeśli to zrobię – powiedział – zatrzymam karty. W przeciwnym wypadku, kiedy się mną zmęczysz, po prostu znajdziesz kogoś, kto krzesze kolory, których ci brakuje, i sam poskładasz sobie całość, chociaż wolniej niż ja zrobiłbym to dla ciebie.

– Załatwione – zgodził się Andross. – Z jednym zastrzeżeniem: moja karta, karty moich

synów i mojej żony należą do mnie. Jeśli choćby obejrzyś je, zanim mi je wręczysz, nici z umowy. Pomyśl o tym. Dam ci czas do przybycia twojego przyrodniego brata albo aż do Dnia Słońca, zależy, co nastąpi prędzej. Zrozum jednak, że jeśli spróbujesz oddać te karty komuś innemu, nie będę miał innego wyjścia jak cię zabić. Czas ci ucieka. Grinwoody?

Niewolnik mruknął cicho, dając znać o swojej obecności.

Kip popatrzył po mężczyznach. Dlaczego nadal szeptali? Dlaczego stali tuż obok drzwi do pokoju promachosa?

– Ile usłyszała?

Grinwoody zerknął na Kipa, jakby zastanawiał się, czy Andross chce, żeby wnuk to słyszał, a potem powiedział:

– Prawie wszystko, co powiedziałeś obok kanapy, panie. Oprzytomniała niemal natychmiast i zaraz potem przesunęła się, żeby podsłuchiwać. Nie będzie w stanie usłyszeć nic z tego.

– Cóż, wobec tego teraz twój ruch, Kip – orzekł Andross. – O ile się nie mylę, spróbuje wykorzystać rozdźwięk w naszej rodzinie, a ponieważ jest zieloną krzesicielką, będzie na tyle impulsywna, żeby uznać, że powinna działać natychmiast, więc nie poczeka na instrukcje od jej znacznie groźniejszej siostry Eirene. Wyobrażam sobie, że zjawi się w tym tygodniu, we łzach, żeby porozmawiać z tobą, odgrywając damę w opałach. To zwykle dobrze działa na mężczyzn, którzy pragną być silni. Nie dziękuj mi, jest za młoda jak na mój gust, i zgodnie z twoimi przypuszczeniami, nie najlepsza w udawaniu rozkoszy. To umiejętność, którą kobiety szybko nabywają, więc nie jestem pewien, czy jest głupia, czy uparta. Za to podobno gorąckrwista, według jej najlepszej przyjaciółki. Rwie się do łóżka, chociaż trzyma zalotników z dala od samej jadeitowej bramy.

– Jadeitowej bramy?

– Cipki. Wychodzą na jaw korzenie jej rodziny, handlarzy końmi. Są arystokratami od zaledwie wieku. Ponieważ wie, jak niektórzy cenią te rzeczy, zamierza drogo sprzedać dziewictwo, nawet jeśli jest dziewicą tylko według najbardziej formalnej definicji. Jej przyjaciółka, jak to przyjaciółka, przysięgała na wszystkie świętości, że jej czystość nie wynika tylko z celów handlowych. Twierdziła, że Tisis zawsze miała romantyczne wyobrażenia na temat tego, że jej pierwszy raz będzie nadzwyczajny. Ech, młodość. Wyobrażam sobie, że będzie za sprytna, żeby oprzeć swoje wysiłki wobec ciebie na uwodzeniu, ale jeśli dobrze to rozegrasz, w okamgnieniu rozłoży nogi. Dla mnie rozłożyła. Nie bardzo wiem, na ile ty pasujesz do pojęcia nadzwyczajnego pierwszego razu, ale zapamięta go na zawsze, a to z pewnością należy do definicji nadzwyczajnego wydarzenia, prawda?

– Zatrujesz każdą studnię, z której pijesz? – zapytał Kip.

Czysta podłość tego człowieka go zdumiewała.

– Dopiero co ci powiedziałem, że nie piłem z tej studni. Zostawiłem ją dla ciebie, celowo, na wypadek gdybyś się krępował, bo dzielisz się z lepszym mężczyzną. Rzucasz mi moją dobroć prosto w twarz. Może jesteś duży nie tylko w ten najoczywistszy sposób. Za długo rozmawialiśmy. Precz.

Kip zachował dla siebie przekleństwa i pytania, i wykonał rozkaz dziadka, tak jak każdy inny żołnierz w armii promachosa. Czarnogwardziści przy zewnętrznych drzwiach nie odezwali się słowem, ale z drugiej strony takie mieli zadanie.

Czterech zakłopotanych niewolników czekało na niego przed jego pokojem.

– Mój panie – odezwał się jeden – zgłosił pan przestępstwo?

Kip minął ich i wszedł do pokoju. Wszystko wyglądało nieskazitelnie. Biurko wymieniono. Puchowe łóżko także. Każda powierzchnia lśniła politurą. Nawet sakiewka wróciła do skrytki. Kip odesłał niewolników z przeprosinami. Patrzyli na niego jak na wariata.

I kto by powiedział, że się mylą? Co ja wyprawiam?

Wykorzystuje się mnie do walk, o których nic nie wiem, a ja stoję po czyjejs stronie, kierując się jedynie charyzmą graczy, a nie tym co jest słuszne lub nie, albo tym gdzie powinienem stanąć, ani nawet tym co najkorzystniejsze. Zachowywałem się jak dziecko.

Andross doskonale wiedział, co zrobię, kiedy zdemoluje mi pokój. Jestem aż tak przewidywalny.

Nagle zrobiło mu się niedobrze.

W Dziewięciu Królach byłbym Garłaczem, dobrym tylko na krótki zasięg, którego z łatwością może wykorzystać każdy wróg i skierować, gdzie zechce.

Co ja zrobię?

ROZDZIAŁ 62

– Migotliwy Płaszcz -

Perspektywa jest niewłaściwa. Waha się na wysokości pasa i kołysze w przód i w tył. To ręka kołysząca się w rytm kroków młodej kobiety. Kobieta trzyma coś w złożonej dłoni, tak by nie było to widoczne dla wszystkich przed nią. Przedmiot jest jednak dłuższy od jej dłoni i z tej perspektywy broń jest doskonale widoczna.

Ta karta nie jest osobą; to rzecz, a o perspektywie zdecydował sam artysta.

Krótkie ostrze z zadziarami, obsydianowe brzegi i kościany rdzeń. Nie tyle w kształcie noża, ile raczej rekiniego zęba, szeroki trójkąt z migoczącym diamentem w środku.

Podskakiwanie zwiększa zasięg, kiedy młoda kobieta zaczyna biec.

Zanim zobaczę coś więcej, perspektywa zmienia się gwałtownie, kiedy ostrze wbija się w bok kobiety, zostaje wyciągnięte, całe we krwi, i przystawione do gardła.

Kiedy ostrze znajduje się przy gardle, mogę ujrzeć twarz ofiary. Jej tęczówki są do połowy zaplamione czerwienią, źrenice rozszerzone ze strachu i bólu.

Napastniczka wykręca krzesicielce rękę i obraca ją ku pomalowanej na czerwono ścianie. Krzesicielka krzesze, nasiąkając czerwonym światłem, białka jej oczu napełniają się jakby dymem, ale na to właśnie czeka zabójczyni. Obsydianowy brzeg wgryza się w gardło i nagle czarny, błyszczący kamień ożywa. Krew tryska i nie widzę, czy czerwień, która spowija kość noża, wzięła się z krwi czy też to ostrze promienieje wewnętrznym światłem.

Widzę, jak oczy krzesicielki blakną, to nie jest naturalna ucieczka czerwieni z białek, kiedy krzesiciel kończy krzesać, ale coś głębszego. Jakby coś wysysało z niej krew życia. Twardówka staje się nieskazitelnie biała i potem dzieje się coś niemożliwego. Splamione szkarłatem tęczówki – czerwień sięgała połowy – bledną i kolor znika. Kiedy życie ucieka z jej oczu, tęczówki przybierają naturalny piwny kolor.

Widziałem martwych krzesicieli. Tak jak blizny wojowników nie znikają w chwili śmierci, tak samo pozostają blizny krzesicieli – ich oczy nie tracą koloru.

Zabójczyni już działa, ostrożnie zaciąga ciało do wnęki, zrzuca na nie śmieci, ociera dłonie i ostrze w płaszcz. Chowa ostrze i moja perspektywa ginie w ciemności.

Zostaję w ciemności długo, bardzo długo, czuję wstrząsy i podskoki. Biegnie? Tracę poczucie czasu. Może spędzam tu wieczność.

Ostrze zostaje wyjęte w pokoju oświetlonym latarniami i podane zgarbionej starej kobiecie. Ona obmywa je w misie. Jednak krew nie schodzi z diamentu. To był diament, prawda?

Teraz, mimo mycia, jest rubinem.

Nie, to nie jest zwykły rubin. Kolory falują, wirują, pulsują jak bijące serce. Stara kobieta rechoce zachwycona. Podnosi żywy kamień do szkła powiększającego i bada go skrupulatnie.

Podchodzi do warsztatu i umieszcza rubin w delikatnym imadle. W kilka minut wywierca maleńką, płytką dziurkę w kamieniu. Usatysfakcjonowana przygotowuje resztę miejsca. Odsuwa na bok wszystko na stole i ostrożnie drapuje na nim długi, błotnistobrązowy płaszcz. Wyciąga na wierzch obrózkę ukrytą w kołnierzu. Wielobarwne łańcuszki łączą ją z materiałem. Zręcznymi rękami kobieta otwiera obrózkę, odsłaniając zasupłane łańcuszki.

Poprawia je tak, żeby ledwie opierały się o stół, przysuwa sobie stołek i zakłada przezroczyste okulary ze szklami powiększającymi. Znowu przysuwa rubin i zdejmuje osłonę z latarni. Przykręca do rubinu maleńki kołeczek z kości i odłamka obsydianu, a potem zdmuchuje płomień latarni.

Słuchać brzęk łańcuszków i dźwigienek, a potem trzask zapalanego światła. Sufit rozsuwa się i do środka wlewa się zawierające pełne spektrum barw światło słoneczne, odbija się od luster i skupia na dłoniach starej kobiety. Ta trzyma rubin w pełnym świetle na kołeczku, jak można by trzymać pióro.

Kołek – jej stalówka – czerwienieje i kobieta zaczyna mazać żywą czerwienią odsłonięte druty łączące kołnierz z resztą płaszcza. „Stalówka” pulsuje luksynem, a kołnierz go pożera. Teraz sam kolor płaszcza się zmienia, brąz czerwienie strugami, w miarę jak kobieta przesuwa się od łańcuszka do łańcuszka. Wreszcie dociera do ostatniego i się zatrzymuje. Widzę, że rubin stracił kolor jak zamordowana krzesicielka.

Cmokając, kobieta sprawdza swoje dzieło. Odkłada na bok diament, przesuwa dłonią po materiale i w końcu zamyka obrózkę na łańcuszkach.

– Moja część zrobiona – mówi. – Ale żeby ten płaszcz stał się migotliwym płaszczem, potrzebujesz samego Pryzmata, który zgodzi się oddać ci życie i Wolę. – Parska śmiechem. – Chyba że masz jakiegoś innego rozszczepiacza światła pod ręką?

ROZDZIAŁ 63

Teia szła wśród wieczornego tłumu, żeby oczyścić umysł po popołudniowym treningu Czarnogwardzistów. Kip znowu się nie pojawił. To zdarzało się coraz częściej. Mimo to nie zostawał w tyle. Dzięki prywatnym sesjom treningowym z Karris Guile i sparingom w drużynie pod osobistym nadzorem Wibrującej Pięści (w dodatku wszyscy wzięli go pod swoje skrzydła, podsuwając wskazówki przy każdej okazji) Kip naprawdę stał się wart swojego miejsca w drużynie Alef. Nie tylko ze względu na swój umysł.

No dobrze, głównie ze względu na umysł.

Ludzie wpadali na Teię. Nie miała sakiewki przy pasie, więc niespecjalnie uważała, ale to było irytujące. Mimo korzyści płynących z drobnej sylwetki, kiedy szła w tłumie, jeśli nie chciała się wlec w żółwym tempie, naprawdę musiała się ruszać, robić uniki i uskakiwać w sposób, który stał się już jej drugą naturą, trudno jednak było wtedy osiągnąć medytacyjną zadumę, jakiej szukała. Nikt nie wpadał na dowódcę Żelazną Pięść. W każdym razie nie przypadkiem.

Teia przypominała sobie, jak raz młoda kobieta weszła pod nogi dowódcy tak, że omal jej nie przewrócił. Miał jednak dość refleksu i złapał ją bez mała w locie. Zamruczała, rozplywając się w jego ramionach. Czarnogwardziści mieli ubaw.

Dowódca nie był rozbawiony. Jak zawsze, śpieszył się dokądś, do ważniejszych spraw. Uniósł kobietę – a niełatwo wyglądać uwodzicielsko, kiedy ktoś cię uniesie, trzymając pod pachami – spojrzał jej twardo w oczy, aż omal się nie zmoczyła, i odstawił na bok bez słowa.

Powstrzymało to tę kobietę przed ponowną próbą, ale zemściło się na pozostałych.

Teia uśmiechnęła się szeroko na wspomnienie i wreszcie wyszła z targu. Nie była nawet pewna, gdzie dokładnie się znajdowała. Chociaż nie sposób naprawdę zgubić się na Wielkim Jaspisie. Włożyła ręce do kieszeni – kieszeni jej spodni Czarnogwardzistki. Uwielbiała je.

Znalazła w nich liścik.

Wyjęła go, czując ucisk w żołądku. Delikatny papier ogniowy, rzecz jasna. Gdyby po prostu spróbowała go otworzyć – albo ktokolwiek inny przy nim majstrował – natychmiast by spłonął. Zastanawiała się, czy Karris jest dostatecznie dobra, żeby osobiście przekazać jej rozkazy, czy też miała od tego ludzi.

Oderwała dolny prawy rózek, ujęła z jego pomocą lewy, jak ją nauczono, i dopiero otworzyła liścik: „Kip zostanie dzisiaj zabity w czasie napadu. Najprawdopodobniej przez Czarnogwardzistę. Możliwe, że kilku. Będą w porcie przed południem. Ocal go”. To był charakter pisma Karris.

Teii zaparło dech. Port. Po drodze znajdowała się aktualna kryjówka Czarnej Gwardii. Pobiegnęła.

W ciągu kilku minut dotarła do kryjówki. Szybko zapukała w umówiony sposób i otworzyła drzwi. Cruxer siedział sam, mocował nowy krzemień w zamku pistoletu. Podniósł wzrok. Zmarszczył brwi na widok miny Teii.

– Co się stało?

– Kip. Chodzi o Kipa. Zostanie zamordowany. Musimy mu pomóc!

– Co? Co ty wygadujesz?

– Natychmiast, Crux!

ROZDZIAŁ 64

Kip siedział za biurkiem wśród kopców książek, które groziły, że go pogrzebią, gdy ktoś zapukał do drzwi. To mogła być tylko Tisis Malargos. Kip przygotowywał się na tę chwilę, odkąd wyszedł z pokoju starca. Nadal nie był gotowy.

Prawda była taka, że Kip nie znał w gruncie rzeczy Tisis. Pewnie, że próbowała go zabić w czasie próby w Młocarni. I pewnie osobiście doprowadziła do tego, że zawiódł, oddając mu sznur od dzwonka, po tym jak go odrzucił, ale może Kip nie powinien brać tego do siebie. Zaczynał rozumieć, co to znaczy odziedziczyć wrogość skierowaną do swojej rodziny. Jak mógł brać to do siebie? Dzień wcześniej nawet go nie znała.

Oczywiście później Kip zabił jej ojca. To chyba wyrównało rachunki, prawda?

Wstał, przygotował się psychicznie i otworzył drzwi.

To nie była Tisis, tylko dwóch Czarnogwardzistów, Koturn i Lytos, którzy wyglądali prawie jak para komediowa – Koturn bardzo niski, a Lytos bardzo wysoki. Tyle że się nie uśmiechali.

– Wiesz, że przeszukiwaliśmy morza? – zagadnął go Koturn.

– Zeby znaleźć mojego ojca? – zapytał z zapałem Kip.

– Nie – odparł Lytos, a Koturn w tym samym czasie powiedział:

-Tak.

Spojrzeli po sobie.

– Nie ma sensu ukrywać tego przed nim, skoro wie – powiedział Koturn. – Niektórzy z nas szukali mary, a niektórzy Pryzmata. To miała być tajemnica.

– Mój dzie... Promachos wspomniał mi o tym – odrzekł Kip. – I powiedział, że dostanę też szansę popłynąć.

– Nie chodzi o to. Kiedy tak wielu pełnoprawnych Czarnogwardzistów szkoli wszystkich wokół, kapitan straży Fisk powiedział, żebyśmy wzięli szczawie do pomocy w szukaniu mary. Twój numer wyskoczył.

– Kapitan straży Fisk? Macie na myśli trenera Fiska?

– Wiedziałbyś o jego awansie i rozkładzie zajęć, gdybyś raczył częściej przychodzić na treningi – powiedział dziwnym tenorem eunuch Lytos.

Fisk został awansowany na dawną pozycję Karris? To była mała katastrofa. Fisk współpracował z Androssem, żeby nie dopuścić Kipa do Czarnej Gwardii. Chociaż zwykle

sprawiał wrażenie przyjaznego, w głębi duszy był zdrajcą.

– Na jak długo wyjeżdżamy? – zapytał.

– Wrócimy przed zmrokiem – odpowiedział Lytos. – Nie chcę, żeby szczawie traciły treningi. Jeszcze częściej, może powinienem dodać, więc nie znikacie na dłużej. – Rozejrzył się po pokoju Kipa. – Ładna kwatera. Na pewno chcesz to porzucić na rzecz koszar?

Jasne. Bo moje życie jest takie cudowne i łatwe. Riposty już tańczyły na końcu jego języka, ale się powstrzymał, jakby przyjął kpinę z humorem.

– Dość już dla mnie łatwego życia. Jestem gotów przyłożyć się i zacząć naprawdę pracować.

– Dobrze. W takim razie ruszajmy – powiedział Koturn.

Był naprawdę bardzo niski. Nawet w tych swoich idiotycznych butach na koturnach.

Nagle Kip poczuł, że nie chce iść z tymi dwoma. Coś mu tu nie pasowało. Nigdy dotąd nie byli wobec niego wrodzy. Jakby coś ich nakręciło. Zrobił coś, żeby ich urazić? Może działo się to, przed czym ostrzegał go ojciec – nie podobało im się, jak łatwo ich zdaniem dostał dobre życie.

Niezależnie od ceny, przynajmniej wyszedłem na tym lepiej niż Lytos, którego rodzice uczynili eunuchem w nadziei, że to mu ułatwi wejście do Czarnej Gwardii.

I Kip po raz pierwszy miał szansę wziąć udział w poszukiwaniach ojca, nawet jeśli przy okazji innej misji.

Zebrał rzeczy.

– Jestem gotowy.

ROZDZIAŁ 65

Teia i Cruxer wpadli na Winsena niecałą przecznicę od kryjówki. Cruxer się zawahał. Nie znali Winsena tak dobrze, jak znali się między sobą, ale należał do drużyny.

– Potrzebujemy wszelkiej pomocy – powiedziała Teia, ale zostawiła decyzję Cruxerowi.

– Ktoś zamierza zabić Kipa – powiedział Winsenowi Cruxer. – Biegniemy do portu, żeby temu zapobiec.

To trzeba przyznać Cruxerowi: podejmował decyzje błyskawicznie, nawet jeśli nie zawsze były słuszne. Skłonność, by ufać ludziom i wierzyć w nich, może kiedyś doprowadzić do jego śmierci, ale to oznaczało, że krąg ludzi, którzy go lubili i pragnęli jego aprobaty, wciąż się rozrastał.

Winsen zamrugał raz. To był najbliższy odpowiednik zaskoczenia, jaki Teia kiedykolwiek u niego zauważyła.

– No to nie chcecie biec do portu. Minałem się z nim ze dwie minuty temu. Powiedział, że wybiera się na poszukiwanie mary razem z Lytosem i Koturnem, ale umówili się z nim na spotkanie na Pagórku. Szedł w tamtą stronę.

– Do slumsów? Czemu tam i czemu mieliby iść oso...? – zaczął pytać Cruxer.

– Mniej świadków – wyjaśniła Teia. – Jeśli wypłyną na morze i wrócą bez niego, spadną na nich podejrzenia. Kip spotka się z nimi w slumsach, zabiją go, a jeśli nie będzie świadków, pozostaną czyści.

Cruxer przyjrzał jej się z wahaniem.

– Czasem mnie przerażasz.

– Pójdę po łuk – powiedział Winsen.

– Pośpiesz się – rzucił Cruxer.

Winsen odbiegł, a Cruxer zaklął pod nosem.

– Czarnogwardziści, Teia. Jak zabijemy Czarnogwardzistów?

– Zaskakując ich.

– Nie to miałem na myśli.

-Wiem.

Spojrzał na nią i nagle znowu był chłopcem.

-Jak mogli?

– Potem o to pytaj. Kapitanie.

Ból nie zniknął z jego oczu, ale chłopiec w nim wycofał się.

– Jasne. Potraktujmy to jak zadanie specjalne. Możemy się mylić, więc podejźmy najbliżej, jak się da, nie zostając zauważonymi. Jeśli są winni, spodziewam się, że będą się denerwować. Teia, twój paryl na nic się nie zda na odległość, więc chcę, żebyś jak najbliżej do nich podeszła. Jeśli dasz nam znak, będziemy strzelać. Jeżeli zauważymy, że wyciągają broń, strzelamy.

– Mam – powiedział Winsen, dołączając do nich.

Miał teraz na sobie cywilne ciuchy i trzymał nie jeden, ale dwa łuki. Jeden to był cisowy łuk wyższy o stopę od niego, a drugi to był zwykły łuk, który rzucił Cruxerowi.

– Jeśli się mylimy i zrobimy to, wyjdziemy na zdrajców – powiedział Cruxer. – Czeka nas wszystkich Światłość Orholama. Nie wiemy, czy Łamacz jest tym, za kogo go uważamy.

– Ale go znamy – powiedziała Teia. – To mi wystarcza.

– Mnie też – zgodził się Cruxer. – Winsen?

Winsen wzruszył ramionami. Jak zwykle był jak naładowany muszkiet. Nie przejmował się, w którą stronę go skierują, byleby mógł strzelić.

– No to biegiem! – rozkazał Cruxer.

Bez żadnego więcej słowa pobiegli, nie zważając, kto na nich zwróci uwagę. Cruxer był na tyle wysoki, że wydawało się, że tylko idzie sprężystym krokiem, ale jego susy zmusiły Teię do pełnego biegu.

Kiedy dotarli na Pagórek, zwolnili. Szli szybkim krokiem, ale nie szybciej niż kupiec, który ma coś do załatwienia. Dzięki mrugnięciu i uśmiechowi Cruxer dowiedział się od starej piekarki, kiedy dokładnie przeszli tędy Czarnogwardziści i dokąd jej zdaniem zmierzali.

Przyśpieszyli bardziej, niż gdyby śledzili kogoś innego. Prawdopodobieństwo, że natkną się nagle na zwierzynę, kiedy tak pędzili, było wysokie. Jednak Koturn i Lytos nie wiedzieli, że ktoś ich ściga.

U podnóży Pagórka rozciągały się tyrejskie slumsy. Niekoniecznie niebezpieczne, a zwłaszcza za dnia, ale dzielnica nosiła nieomylnie oznaki pochodzenia jej mieszkańców. Prawie połowa kobiet nosiła długie tuniki do spodni, a mężczyźni mocne tuniki w zielono-czarny wzór, bardziej workowate niż stroje preferowane przez większość ludzi na Wielkim Jaspisie. Jednakże najbardziej charakterystyczne było to, że kopuły na budynkach w tej okolicy były albo tak małe, że wręcz symboliczne, albo zostały wydrążone. Tyrejczycy lubią wykorzystywać dach jako jeszcze jedno pomieszczenie – otwarte. Większość wydrążonych kopuł, które stały jak nagie szkielety na płaskich dachach, miała kiedyś okiennice, które po zamknięciu przywracały kopułom ich właściwy kształt, ale z powodu biedy mieszkańcy

nie naprawiali takich drobiazgów, kiedy się psuł)'.
– Tsst! – syknął Cruixer.

Teia zauważyła, że dłonią daje sygnał: „Dwie przecznice naprzód, potem na prawo. My obserwujemy”.

Nie było czasu, żeby się dowiedzieć, co właściwie planowali. Teia podbiegła do rogu. Zaczynało padać. Zarzuciła kaptur i wykrzeszała tyle parylu, ile mogła utrzymać. Wyszła zza rogu, na wszelki wypadek nonszalancko.

Nic.

Truchtem pobiegła wąską uliczką, jakby śpieszyła się z powodu deszczu. Dziesiątki innych ludzi przemierzających uliczkę robiły to samo. Jedyne, na co miała nadzieję, to że Lytos i Koturn będą nosili czarne ubrania, więc łatwo da się ich wypatrzeć.

Teia zerkała na prawo i lewo, mijając skrzyżowanie za skrzyżowaniem. Serce biło jej coraz mocniej. Kiedy ludzie pochylali głowy i śpieszyli się, bezkarne zamordowanie Kipa stawało się coraz łatwiejsze.

Usłyszała strzał z muszkietu nad sobą i aż podskoczyła. Nie, to nie muszkiet, ktoś zatrzaskiwał okiennice z powodu deszczu. Pogruchotane kamienie i pogruchotane kości.

Tam! Przecięła jeden z krętych zaułków i mignęła jej czerń. Żadna uliczka w mieście nie powinna być tak kręta. Przez to pojawiały się ciemne miejsca, gdzie nie dochodziło światło Tysiąca Gwiazd. Ale wszędzie slumsy są tylko slumsami.

Znajdowała się teraz jakieś trzydzieści kroków za Czarnogwardzistami, a zaułek się wyludnił. Nie było tam nikogo poza Teią i jej zwierzyną.

Co mam zrobić, kiedy ich dogonię?

A jeśli Lytos i Koturn przyszli tu tylko po jakiś sprzęt na wyprawę? To nie było wykluczone, prawda? Czarnogwardziści korzystali w pierwszej kolejności z zapasów i broni zgromadzonych w magazynach i kryjówkach w pobliżu portu, ale w końcu zasoby się kończyły i wtedy musieli sięgnąć po to, co umieścili w magazynach w slumsach. Zwykle takimi rzeczami zajmowali się niewolnicy, ale kryjówki trzymano w tajemnicy.

Może to było całkiem niewinne. Karris mogła się mylić, prawda?

Słońce nadal stało wysoko na niebie, ale chmury były tak gęste i czarne, że robiło się ciemno. Deszcz zamienił się w prawdziwą ulewę, zmuszając Teię do wyścigu między narastającym strachem i przemoczonymi nadziejami.

Usłyszała głos Kipa. Wyrzała zza rogu.

Za późno.

Lytos wyciągnął nóż. Stał z lewej – Kip go nie widział – i właśnie podchodził...

Padł na jedno kolano, niemalże z wdziękiem, jakby składał hołd. Ledwie słyszalny szept pierzastej strzały zniknął całkiem pod jego pachą. Lytos spojrział w dół, bez wątplenia

zastanawiając się, co się stało, ale wyglądało to tak, jakby skłaniał głowę przed Kipem.

– Lytos? – zdumiał się Kip; odwrócił się nieświadomy tego, co właśnie się wydarzyło.

Brzęk nagiej stali uderzającej o bruk, kiedy Lytos upuścił ostrze, sprawił, że Koturn błyskawicznie obrócił głowę. Najpierw zauważył Teię, a potem Lytosa, który padł na twarz. Na jego twarz wypłynęło poczucie winy, a potem wściekłość.

Sięgnął do pasa, gdzie trzymał noże do rzucania. Jako niski i niezbyt silny, Koturn lubił rzucać nożami i był jedną z nielicznych osób, jakie Teia знаła, w której wypadku rzucanie nożami nie było pretensjonalne.

Teia już uniosła rękę, ale to nie znajomy paryl przez nią przeszedł. Fala większa od jej ciała przepłynęła przez nią i strzeliła jak bat przy palcach.

Cały świat stanął w płomieniach. Teia padła. Kip się zatoczył. Koturn wzdrygnął się w trakcie rzutu, nóż poleciał w niebo, a on skoczył do tyłu, zasłaniając twarz ręką.

Fala się przewaliła.

Cisza. Popatrzyli po sobie. Nikt nie płonął.

Strzała przeszła miejsce, które jeszcze chwilę wcześniej zajmował Koturn, i roztrzaskała się o kamienny mur dalej.

Chwila minęła. Koturn śmignął, jakby sam został wystrzelony z łuku.

Kip był wzburzony, patrzył to na Teię, to po sobie, najwyraźniej zastanawiając się, dlaczego nie płonie.

– Co, do...

– Łap go! – krzyknęła Teia.

Rzuciła się za Koturnem. Kip nie pobiegł, a przynajmniej nie dość szybko, żeby jej pomóc.

Koturn skręcił na pierwszym skrzyżowaniu i miał przewagę tylko trzydziestu kroków. Błyskawica przecięła niebo w pobliżu; szaleńcze rozbłyski zapłonęły w tej samej chwili, w której grzmot wstrząsnął oknami na całym Wielkim Jaspisie. Błyskawica rzuciła cień na skrzyżowanie. Teia zareagowała szybciej niż świadomy umysł zdołałby ogarnąć to, co zobaczyła. Pułapka.

Już padała, poślizgnęła się, zamiast odskoczyć w bok. Jej stopy sunęły po śliskich od deszczu kamieniach. Jedna poleciała do przodu, a druga do tyłu. Teia zrobiła szpagat zaraz za zakrętem. Błyszczące ostrze błysnęło tuż nad jej głową.

Koturn zatoczył się, prawie wszedł na nią, kiedy jego ostrze nie napotkało oporu, którego się spodziewał.

Odpychając się rękami i stopami, Teia odsunęła się do tyłu. Wykręciła nadgarstek na kamieniu i padła płasko na plecy.

Koturn podszedł, unosząc miecz w śmiertelnościm ciosie – czarnogwardzista nie bawi

się w szerokie i teatralne wymachy; dźgnie ją prosto w serce, obróci klingę na wypadek gdyby trafił odrobinę za daleko w prawo albo lewo i zniknie w ciągu kilku sekund.

Jednakże, kiedy podszedł, obok jego twarzy śmignęła strzała. Zerknął w zaułek, musiał zauważyć Winsena, Cruxera albo ich obu, bo odskoczył do tyłu i w bok. Teia strzeliła parylem, ale roztrzaskał się pod wpływem ruchu Koturna.

Z trudem się podniosła i ruszyła za nim. Błyskawica znowu zapłonęła, tym razem nieco dalej, uderzając w wielkie piorunochrony nad Chromerią, a huk grzmotu rozległ się kilka uderzeń serca później. Teia znalazła się na targu. Panował tam rwetes. Wszyscy klienci zniknęli, gdy tylko zaczęła się ulewa, ale kupcy byli w pułapce, zbierali towary, starali się uspokoić panikujące osły i woły. Inni biegali wokół sklepów, zatrząskując okiennice i wciągając do środka towary.

W całym tym chaosie samotny biegnący człowiek był prawie niewidzialny. W każdym innym momencie rzucałby się w oczy i spowodował oburzenie. Teraz to był jeden bałwan na wzburzonym morzu.

Rozległ się huk, kiedy na ulicę wysypały się beczki. Teia zobaczyła Koturna, który, przebiegając obok wozu, otworzył jego tylną klapę, żeby uwolnić beczki. Jedna pękła przy upadku i cała jej zawartość – oliwa rozlała się szeroką, śliską kałużą na mokrym bruku. Pół tuzina pieszych, którzy przechodzili obok, padło w płątanie kończyn. Koń ciągnący pustą furmankę spłoszył się, kiedy wozak ściągnął cugle, starając się nie stratować leżących. Jednak cugle wypadły mu z rąk... i całe szczęście. Koń, mając wolną głowę, spojrzał w dół i szybko przeszedł nad ludźmi leżącymi pod jego kopytami.

Niestety, skręcił przy tym w bok i koła furmanki trafiły na oliwę. Natychmiast straciły przyczepność i furmanka uderzyła w wóz z oliwą, blokując całą ulicę.

Teia uskoczyła w inną uliczkę wychodząc z targu, wpadła prosto na młodą kobietę i powaliła ją na bruk. Obróciła się pod wpływem kolizji, przeskoczyła przez wieszak z thobe, który się przewrócił na ziemię, i pobiegła dalej.

Coś – nie błyskawica – rozjaśniło niebo, ale kiedy Teia rozejrzała się za uderzeniem luksynu, wpadła na kogoś znacznie większego od niej. Spojrzała w stronę targu i ściganego.

Udało jej się dotrzeć na obrzeża targowiska w samą porę, żeby zobaczyć, jak Koturn łapie dwie płonące latarnie i ciska je za siebie na bruk w zaułku. Jedna rozpaliła się, druga nie – a przynajmniej do chwili, kiedy nie zbryzgała zaułka czerwonym luksynem.

Płomienie huknęły, odcinając zaułek i przez ułamek sekundy Teia rozważała, czy nie skoczyć w płomienie, dopóki nie odezwał się w niej zdrowy rozsądek. Ledwie zdążyła się zatrzymać. Czerwony luksyn zgaśnie najdalej za minutę, ale to było za długo. Nie знаła tej części miasta na tyle, żeby mieć pewność, że jeśli pobiegnie jedną z sąsiednich przecnic,

to znowu przetnie drogę Koturnowi – mogła mieć szczęście i odkryć, że skręcił jak ona. Albo mieć pecha.

Rozglądała się za inną drogą, za sposobem, żeby przeskoczyć płomienie, oknem na piętrze, czymkolwiek, kiedy nagle płomienie Koturna zgasły, jakby olbrzym zdusił je stopą, rozbryzgując wszędzie pomarańczowy płyn.

Ktoś przebiegł obok niej. Kip.

Krzesał w biegu. Na tłący się pomarańczowy luksyn rzucił deski zielonego, żeby mieć po czym przebiec, i błyskawicznie przebył miejsce, gdzie chwilę temu buchały płomienie.

Teię, która nadal stała nieruchomo, owiał jego pęd. Zdjął okulary, schował do sakiewki i w biegu wyjął następną parę. Wyciągnął rękę i wystrzelił żółte symbole w niebo; te rozpadły się w światło, wyginając się po łuku w górę – wskazówki dla Cruxera i Winsena na temat kierunku ucieczki Koturna.

Teia zobaczyła, że tamci biegną po dachu, obaj trzymali łuki i zbliżali się do zaułka, który był za szeroki, żeby go przeskoczyć. Cruxer przyśpieszył i skoczył mimo to – udało mu się. Winsen wziął z niego przykład, tyle że wyrzucił ręce, a z nich strumień luksynu, żeby sobie pomóc, tak jak to ćwiczyli.

Udałoby mu się, gdyby w jednej ręce nie trzymał cisowego łuku. A tak broń przeszkodziła, zakłócony wyrzut luksynu sprawił, że Winsen stracił w locie równowagę. Kip jednak przebiegał dokładnie pod nimi, wyciągnął szeroką dłoń z zielonego luksynu i delikatnie wybił Winsena w powietrze. Zamiast uderzyć o ścianę budynku, Winsen wylądował na boku na dachu. Przeturlał się i uderzył głową w kopulę, ale nic mu się nie stało.

Prawie dotarli do wielkiego targu rybnego w pobliżu portu, kiedy błyskawica znowu uderzyła, oślepiając Teię. Huk grzmot dosłownie zwałił ją z nóg. Przekoziołkowała jak ją uczono i wyrzuciła rękę w dół, żeby nie uderzyć z całej siły głową o ziemię.

Otrząsnęła się i zobaczyła, że błyskawica trafiła w jedną z Tysiąca Gwiazd. Powinny być zaizolowane miedzianymi piorunochronami, ale ten albo zniknął, albo nie zadziałał. Cała konstrukcja przechyliła się strzaskana, kamienie posypały się jak grad. Potem nagle cały łuk runął lawiną kamienia i kurzu wśród ulewy.

Miejsce nie mogło wypaść gorzej – dokładnie przed nimi, oddzielając ich od Koturna. Jakby sami bogowie interweniowali w jego obronie. Z drugiej strony łuk uderzył o budynek, na którym stał Cruxer i Winsen. Gdyby Cruxer nie zatrzymał się, żeby pomóc Winsenowi, zostałby zmiażdżony przez spadające kamienie.

Teia stanęła za gruzowiskiem. Mogła się po nim wspiąć, ale kamienie się przesuwwały. Za duża zwłoka. Och, do diabła. Kip!

Kip był przed nimi.

Teia się rozejrzała. Nie było go nigdzie na rybnym targu za gruzem.

O, nie. Nie, nie, nie.

Serce jej zamarło. Powietrze na skrzyżowaniu wypełniło się chmurą pyłu, którą powoli zmywała ulewa. Ludzie krzyczeli, konie rżały przerażone, ale Teia nie zwracała na to uwagi. Wykrzesła paryłową pochodnię i jej światło przeniknęło chmurę pyłu. Rzuciła się do przodu, zatrzymując się tylko po to, żeby naciągnąć materiał na usta, by móc oddychać. Ziemia była usiana kawałkami kamieniarki, strzaskanym lustrem i... Dobry Orholamie, tam leżało ciało. Czy to...

Teia złapała za rękę, którą dostrzegła, i pociągnęła. Wyciągnęła dłoń z kawałkiem przedramienia. Trzymała kikut w obu rękach, po części przerażona tak, że nie oddadzą tego żadne słowa, a po części chłodna i analityczna. Ta ręka była chudsza niż Kipa. Skóra była... pokryta brudem, bezbarwnym w parylu. Wróciła do normalnego spektrum, ale wokół unosiło się za dużo kurzu. Nie mogła niczego dostrzec. Obróciła rękę i wróciła do parylu.

Nie dostrzegła blizn krzesiciela na dłoni i nadgarstku.

To nie ręka Kipa. To była wieżowa małpka. Co robił niewolnik w czasie burzy na wieży?

Odrzuciła rękę. Nie będzie się martwiła jakimś niewolnikiem.

Jakaś jej część wyrzyła tę myśl w kamieniu. Ta myśli wróci do Teii, żeby ją prześladować.

Jednak w tej chwili Teia nie zawracała sobie tym głowy. Kip. Dobry Orholamie, gdzie jest Kip?

Ruszyła przez gruz, rozglądając się wśród pyłu w parylowym świetle.

Gruz przed nią poruszył się i zapadł. Nagle usłyszała kaszel. Szybkim, lekkim krokiem podbiegła i zobaczyła Kipa, do góry nogami. Wykrzesał wokół siebie jajo z luksynu, kiedy łuk zawalił się wokół niego, ale szybko zabrakło mu powierza, więc dał jaju się rozpaść.

Teia złapała go za rękę, pomogła mu wstać i wyjść. Był brudny, a ulewa błyskawicznie zamieniała pokrywający go pył w błoto.

Przez ułamek sekundy wyglądał na tak przerażonego, kiedy wydostawał się z ciasnej dziury, że Teia nie mogła pogodzić dziecięcej grozy na jego twarzy z krzesaniem, jakie właśnie zobaczyła dziś w jego wydaniu. Spojrzał na nią, oszalały, przerażony; dyszał ciężko, kaszlał.

Próbowała podać mu materiał, żeby miał przez co oddychać, ale on porwał ją w niedźwiedzi uścisk.

Przez chwilę stała całkowicie zaszokowana. W następnej przyszła natychmiastowa odwilż. Nikt nie dotykał jej tak naprawdę od tak dawna, że nawet nie pamiętała, kiedy to było ostatni raz. A niewinne objęcia Kipa, mówiące „jak się cieszę, że cię widzę” i „tak bardzo mi na tobie zależy”? Och, dobrzy bogowie! Było coś niezwykłego w czystej

fizyczności tego doznania – akceptacja ponad słowami, radość, która wyrażała samą prawdę. Jednak Teia była zmrożona, zbyt zaskoczona nagłym wynurzeniem się Kipa ze śmierci, nagłą powodzią emocji. Nie odpowiedziała na objęcia, nawet kiedy narastała w niej całkowita, absolutna, skrajna potrzeba odwzajemnienia. Chciała się do kogoś przytulić. Nie – nie do kogoś; nie chodziło tylko o potrzebę kontaktu, chociaż także i o to, ale o kontakt z Kipem, jej przyjacielem.

Jej najlepszym przyjacielem. Który ją dostrzegął.

Uczucia narastające w niej unicestwiały, wymywały kożuch wszelkich uprzedzeń i osądów.

A Kip odsunął się nagle zawstydzony tym, że nie odpowiedziała uściskiem. Nie! – krzychał umysł, ale jej ręce, jej zdradzieckie ręce, nie uniosły się.

– Przepraszam. Dzięki – powiedział szybko Kip, jakby chciał pokryć zmieszanie, zignorować uczucia, jakby wcale nie poczuł się odrzucony.

Nie, Orholamie, nie. Nie to miałam na myśli.

Teia nic nie powiedziała, nawet nie drgnęła.

Kip się odwrócił. Stali na samym skraju gruzowiska. Przeszli przez nie razem. Kip założył niebieskie okulary. Cudem się nie stłukły. Krzeszał szybko, jakby to nie było nic wielkiego. Po kilku chwilach z miejsca, gdzie stali, wyrosły schody prowadzące do skraju budynku, gdzie czekali Cruixer i Winsen.

Kip i Teia dołączyli do przyjaciół. Nie porzucili łowów. Stali gotowi jak ogary na smyczy.

– Tam! – rzucił Cruixer.

Koturn przebiegł przez prawie cały pustoszejący rybny targ. Ludzie biegli we wszystkich kierunkach, nadal pakowali stargany, żeby nie stracić całodniowych połowów i utargu. Winsen stał z założoną strzałą, ale nie napiął łuku. Nie mógł na razie strzelać, a trzymanie napiętego cisowego łuku przez dłuższy czas było niemożliwe.

Koturn dotarł na drugi koniec targu. Odwrócił się i wyszczerzył do nich zęby. Wsunął palce pod brodę i machnął nimi w ich stronę w obraźliwym geście. Potem odwrócił się i odszedł.

Winsen napiął łuk, wykorzystując mocne mięśnie pleców, chociaż ludzie biegali w tę i z powrotem, przesłaniając Koturna. Od celu dzieliło go co najmniej dwieście kroków. Młoda matka próbowała zabrać z ulicy trójkę dzieci, ale brakowało jej rąk, bo w jednej trzymała narzędzia, w drugiej krnąbrne dzieciaki, z których co najmniej jedno płakało.

– Winsen – powiedział ze smutkiem Cruixer – za daleko. Nie możesz...

Winsen wypuścił strzałę.

Teia zakryła usta dłonią, pewna, że zobaczy, jak któreś dziecko umiera. Strzała mknęła zbyt szybko, żeby wzrok za nią nadążył. Ona, Kip, Cruixer i Winsen – wszyscy spojrzeli na

Koturna. Dotarł do rogu i obejrzał się... i nagle padł bokiem na ziemię, kiedy strzała wbiła mu się w pierś, ugrzęzła w pancerzu, jaki pewnie nosił, i powaliła.

Potrzebowali kilku minut, żeby przejść przez pustoszejący targ i dotrzeć do niego. Nie żył. Nikt nie został na targu i ulicach. Nikt nie chciał mieszać się w ten prywatny spór, nie dzisiaj, nie w czasie burzy, ulewy i błyskawic.

Winsen wreszcie zdjął cięciwę z cisowego łuku, kiedy zobaczył, że Koturn nie żyje. Nie wyglądał na poruszonego, co najwyżej zadowolonego. Cruixer spojrzał na niego z niedowierzaniem, i to nie tylko z powodu celności strzału.

– Do diabła, co to było, Winsen? – zapytał Kip. – Kręciła się tutaj prawie setka ludzi. Jak w ogóle udało ci się strzelić, kiedy tak wielu niewinnych ludzi stało ci na drodze?

Winsen spojrzał na Cruxera, potem na Teię i wreszcie na Kipa. Teia już raz zabiła i wywołało to u niej wstrząs i łzy. Pewnie, w pierwszej chwili była jak ogłuszona, nie potrafiła pojąć ani przetrwać tego, co właściwie się wydarzyło. Nieodwracalność uczynku szybko do niej dotarła. Teraz nie śpieszyła się z oceną tych, którzy byli obojętni na fakt, że kogoś zabili. Ludzie różnie reagują. Jednak w oczach Winsena nie malowało się odrętwienie, które mówiło, że jeszcze nie przetrwał tego, co się stało, że jest oszołomiony. Patrzył bystro. Koturn był złym człowiekiem. Trzeba było go zabić. Winsen to zrobił. Co tu więcej mówić czy myśleć?

Wzruszył ramionami, zdziwiony.

– Nie przejmowałem się, czy spudłuję.

ROZDZIAŁ 66

– Dlaczego składam raport tobie, a nie dowódcy Żelaznej Pięści? – zapytał Karris Kip.

Stał w kwaterach Pryzmata w swobodnej postawie Czarnogwardzisty – z wyprostowanymi plecami, nogami rozstawionymi na szerokość ramion, dłońmi złożonymi za plecami. Był ubrany w szarości kadeta, ubranie raczej luźne i bezkształtne, standardowo workowate, a nie dopasowane do sylwetki jak nasączone luksynem stroje, jakie pełnoprawni Czarnogwardziści dostają po złożeniu ostatnich ślubów. Wyglądał jak wojownik. Karris zauważyła tę zmianę.

Oczy Kipa nie były już takie, z jakimi się urodził – intensywnie niebieskie. Zieleń okalała obie źrenice, maleńkie drobinki błękitu subtelnie rozjaśniały tęczę, czerwień rozkwitała ognistymi gwiazdami, a przy bliższych oględzinach znajdowało się tam ślady wszystkich kolorów. Zbeształaby go za wypalanie życia tak szybko, gdyby nie trąciło to hipokryzją. Nadal był tęgi, może już zawsze będzie, ale dziecięcy tłuszczuik niemal całkiem zniknął z jego twarzy, a kiedy tak stał zdeterminowany i lekko poirytowany z powodu robienia czegoś, co nie miało dla niego sensu, bez dwóch zdań przypominał młodego Gavina Guile.

Co więcej, zadał dobre pytanie i zasługiwało na lepszą odpowiedź niż kłamstwo, które Karris przygotowała.

– Dowódca Żelazna Pięść jest ostatnio bardzo zajęty. Przesłucham cię i przekażę stosowne szczegóły dowódcy i Bieli. Chociaż oficjalnie odeszłam ze służby, trwa wojna i wszyscy służyliśmy tam, gdzie nas potrzebują.

Kip sprawiał wrażenie urażonego.

– To nie jest nawet na tyle ważne, żebym złożył mu raport bezpośrednio? Zdrada dwóch Czarnogwardzistów i ich śmierć?

– To wojna domowa. Zdrada to rzecz powszechna. Wiesz, ilu Czarnogwardzistów straciliśmy w tym miesiącu w czasie poszukiwań?

– Sześciu.

Zaskoczył ją.

– Zgadza się.

Kip sprawiał wrażenie niczego nieświadomego, pochłoniętego własnym światem jak to zdarza się szesnastolatkom. Może jednak bardziej zwracał uwagę na to co się dzieje?

– Opowiedz mi wszystko – poleciła.

Zrobił to. To nie był tak dobry raport, jakiego spodziewałaby się od pełnoprawnego Czarnogwardzisty, ale jak na niedoświadczonego ignoranta, który nie wie, czego oczekuje się od raportu, poradził sobie wyśmienicie.

– Jeszcze raz – powiedziała.

Opowiedział drugi raz, tym razem klarownie, z mniejszą liczbą „och, zapomniałem dodać”. Nagle jednak urwał i potarł czoło.

– Nie chciałem... To nikomu nie pomoże, ale...

– Łamacz, oczekuję całkowitej szczerości w twoich raportach.

– Wtedy tego nie rozumiałem, a wszystko rozegrało się tak szybko, że gdzieś mi to umknęło, ale tuż przed tym, jak pierwsza strzała załatwiła Lytosa, usłyszałem, jak mówi: „Psiakrew, nie mogę”.

Chłód przeszył Karris do szpiku kości.

– I uznałeś, że co to znaczyło?

– Wtedy w ogóle nie rozumiałem. Zaraz potem rozpętało się piekło, ale z perspektywy czasu patrząc, myślę, że na samym końcu ogarnęły go wątpliwości. Myślę, że wyciągnął nóż, żeby zaatakować Koturna, nie mnie.

Lytos. Zlituj się Orholamie. Karris powstrzymywała własne wspomnienia związane z wysokim eunuchem. Był kawalarzem o zaraźliwym śmiechu, nieustannie wykręcał numery świeżo zaprzysiężonym Czarnogwardzistom: nakładał ognisty balsam na ich bieliznę, wrzucał żywe skorpiony do butów (choć najpierw zabezpieczał żądła luksynem; nie był złośliwy, po prostu lubił żarty).

To, że Lytos otrząsnął się i w ostatniej chwili postąpił właściwie, z jakiegoś powodu złamało jej serce bardziej niż abstrakcyjna myśl, że dał się zwieść albo zmusić szantażem do zdrady.

A potem został zabity, zanim zdołał udowodnić swoją wierność. Och, Lytosie.

Nic dziwnego, że Kip nie powiedział przyjaciółom: „A tak przy okazji, jeden z tych gości, których zabiliście, był po naszej stronie”.

– Kiedy leżał, powiedział coś o luksjacie – dodał Kip. – Ale to nie było jasne. Zmarł, zanim zdążył mi wyjaśnić.

Oznajmił to spokojnym głosem, ale coś w jego tonie przypomniało jej, że chociaż wyglądał jak żołnierz, stał jak żołnierz i składał raport jak żołnierz, to nadal był chłopcem.

– Przykro mi, Kip.

– Mam rację? Znaczący nic im nie mówiąc? – zapytał szorstko. Nie chciał teraz jej czułości i zrozumienia. – Dowódca mówi, że nie boimy się prawdy, że to wyróżnia Czarnogwardzistów. Czy służę swojej drużynie ukrywając ten fakt, czy zdradzam ich, nie

ufając im, że sobie poradzą?

– Czyj strzał zabił Lytosa? – zapytała.

Wiedziała to z jego raportu.

– Winsena – odparł zdumiony Kip.

– Co więc myślisz?

Zmarszczył brwi.

– Winsen jest... inny. Najwyraźniej zabijanie niezbyt go wzrusza.

– Niewielu jest takich jak on – powiedziała. – Myślę, że Winsen uważa, że Lytos w ogóle nie powinien się tam znaleźć. Że sam stanął na linii ognia, że nie zostawił waszej drużynie wyboru. A Lytos by się z nim zgodził, tak sądzisz?

– Dla niektórych to aż tak proste?

– Niektórzy ludzie naprawdę są tym, czym się wydają.

– To nie wystarczy – odparł. Wyglądał na rozeźlonego. To tylko niewłaściwie zaadresowane emocje młodego człowieka czy coś poruszyło go w szczególności? – Kiedy zrozumiałaś, że kochasz mojego ojca?

To było jak odrywanie bandaża od rany.

– Słucham? – spytała.

Kip milczał.

– To bardzo osobiste pytanie – powiedziała.

– Nie całkiem.

Jakaś część jej osoby chciała go spoliczkować za tak bezczelną ripostę, ale w następnej chwili zrozumiała, że tak naprawdę chciała uderzyć Dazena za to, że miał tak dużo tajemnic. Teraz, żeby zachować sekrety człowieka, który być może już nie żył, też musiała kłamać.

– Urządzono tańce. Bal Światłowładców. Tańczyłam z nimi oboma, z nim i jego bratem.

Myślę, że wtedy się w nim zakochałam.

– Czyli zawsze kochałaś Gavina?

Spostrzegła pułapkę w ostatniej chwili.

– To koniec tej rozmowy.

– Przecież próbowałaś uciec z Dazenem. Dlaczego byś to robiła, skoro cały czas kochałaś Gavina? Dazen był młodszym bratem. Poślubienie go nie dawało żadnych korzyści. Nie było powodu innego niż miłość, żeby z nim uciekać.

– Byłam młoda!

– Ja jestem młody. I nie niszcę z tego powodu świata.

– Nie masz pojęcia o czym mówisz.

– Ponieważ słyszę tylko kłamstwa i uniki za każdym razem, gdy zadaję pytanie.

To sprawiło, że oklapła jak żagiel, chociaż daleko jej było do spokoju. Miał rację. Zasługiwał na prawdę i nie mógł jej usłyszeć. Uważał ojca za wuja, a wuja za ojca, nienawidził jednego i kochał drugiego, w niewłaściwym porządku.

– Kip – odezwała się cicho – ile razy opowiadałeś o tym, co wydarzyło się podczas bitwy o Ru?

– Nie wiem.

– Wiesz.

Przez chwilę nic nie mówił, a potem się poddał.

– Raz, może dwa, kiedy byłem z drużyną. Piliśmy. Niektórzy z mojej drużyny byli tak... tak podekscytowani słuchaniem o tym. To wydawało się... wręcz nieprzyzwoite.

– Byłam tam z tobą, Kip, i nie zrobiłeś niczego niewłaściwego. Więcej, byłeś bohaterem tamtego dnia.

To słowo padło między nimi jak niedopasowana część garderoby, Kip nie potrafił jej podnieść.

-Wszyscy byliśmy odważni, Kip. Wszyscy zrobiliśmy to, co musieliśmy, ale twoje czyny odegrały kluczową rolę. I niechętnie do nich wracasz, bo nikt, kogo tam nie było, nie potrafi naprawdę zrozumieć grozy tej wyspy, kiedy ożywała i próbowała nas pożreć, tych mężczyzn i kobiet przemienionych w olbrzymów, uczucia, kiedy zobaczyliśmy, że sam Pryzmat jest bezradny. Nasz Pryzmat, który potrafi wszystko, dla którego wszystko jest proste jak oddychanie – bezradny. Zachowałeś się tak, jak zachowałyby się bohater, miałeś szczęście i to się liczy. Wiesz jednak, jak wiedzą wojownicy, że równie łatwo mogło ci się nie poszczęścić, że inni byli równie odważni, a jeszcze odważniejsi dokonali większych i wspanialszych rzeczy, ale ponieważ ostatecznie zginęli albo nikt ich nie widział, nigdy się o tym nie dowiemy.

Kip przełknął ślinę przez chwilę nic nie mówił.

– Baya Niel musiał opowiadać. Usłyszałem o tym w piosence. Piosence! Wzięli jakąś starą pijacką piosenkę i włożyli do niej moje imię! Omal się nie porzygałem.

– To nie był Baya Niel – powiedziała Karris.

-Co?

-To ja. Rozmawiałam z paroma najpopularniejszymi minstrelami na Jaspisach.

Twarcz Kipa wykrzywiła się, jakby Karris go zdradziła.

-Ale ty... ty rozumiesz. Jak mogłaś?

– Bo to prawda, Kip. Nie cała, a to, co nią jest, może zostać źle zrozumiane. Jednak fakt, że inni źle rozumieją, nie znaczy, że powinniśmy ukrywać prawdę. Ponieważ może nadejść dzień, kiedy będziesz potrzebował Imienia.

– Nie chcę następnego imienia – odparł znowu tonem posępnego nastolatka. – Już mam

parę.

– Nie chodzi o takie imię jak Kip, ale o Imię jak Łamacz. Jak w „Staję się Imieniem”.

Jeśli nie znał Gevisona, to powinien go poznać.

– Tego też nie chcę.

– Nie skończyłam. Ty możesz co najwyżej opowiedzieć historię bitwy, w której wszyscy wypadli dobrze. Nie zawiodłeś. Nie strzeliłeś z muszkietu, kiedy przyjaciel wszedł ci na linię ognia, i nie odstrzeliłeś mu twarzy. Nie byłeś tchórzem tamtego dnia. Walczyliśmy z przeciwnościami, które wykraczają poza ludzkie pojmowanie, i jeśli nie było to zwycięstwo dla nas, przynajmniej nie było to zwycięstwo dla naszych wrogów.

Zaschło jej w ustach. Musiała przepleść prawdę z kłamstwem, a Kip jej tego nigdy nie wybaczy.

– Nie było tak prostych bitew w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata. Ani jednej. Jak możesz opowiadać historie o swoich czynach, kiedy zdaje się, że wszystko, czego dokonałeś, było złe? Kiedy okazałeś się tchórzem i twoi przyjaciele zginęli z tego powodu? Czy też łatwiej mówić, kiedy to ty omal nie zginąłeś, bo ktoś z twoich towarzyszy zawiódł, uciekł, chociaż z łatwością mógł cię ocalić? Człowiek, który jednego dnia jest bohaterem, może okazać się tchórzem następnego, a czasem nawet mówienie o własnej odwadze przypomina nam o naszym tchórzostwie. Moi bracia i siostry z Czarnej Gwardii setki razy walczyli i zabijali kuzynów, na których się natykali. Kumpli z klasy, z którymi robili dowcipy preceptorom. Kochanków, z którymi dzielił się pierwszym pocałunkiem. Samite zakochała się bez wzajemności w pewnym przystojnym kawalerzyście. Jego rodzina stanęła po przeciwnej stronie. Samite należała do drużyny, która przeniknęła do miasta i znalazła kawalerzystę razem z towarzyszami i ich rodzinami obozujących w jednej z wielkich stajni miejskich. Zabarykadowali drzwi i podpalili budynek. Słyszała, jak spłonął, krzycząc do niej, by się zlitowała, nie nad nim, ale jego rodziną, która była w środku razem z nim. Samire kochała konie. Jazda konna była jedną z jej ucieczek od trosk. Teraz nie wsiądzie na konia, o ile to nie jest konieczne. Nie czuje się godna po tym, jak spaliła dwieście siedemdziesiąt dwa niewinne stworzenia. I wszystkich tych ludzi. Miała wtedy szesnaście lat.

Kip był zszokowany.

– Nie wiedziałem.

– Ponieważ nie jest to jedna z tych rzeczy, jakimi wojownicy często się dzielą. Nawet przy kieliszku.

– A ty i mój ojciec macie podobne historie?

Karris się zawahała. Jak bardzo ośmieli się zbliżyć do prawdy? Ile wykrętów Kip jeszcze przełknie?

– Gorsze? – zapytał.

– Nie da się wyskalować ran na duszy.

– Jedna rzecz. Muszę zapytać. Moja matka zostawiła mi list, w którym prosiła, żebym zemścił się na ojcu. Była... – Przełknął ślinę, ale mężnie kontynuował: – Była uzależniona, kłamała i Orholam wie, co jeszcze. Domyślam się, że była markietanką, którą potem odtrącono, ale powiedziała... Umierając, powiedziała, że Gavin to gwałciciel. To nie jest prawda, zgadza się?

Gwałciciel. Z jakiegoś powodu Karris nie powróciła do tamtej strasznej sypialni, kiedy leżała cicho na plecach, bierna i pijana, żałując, że nie straciła przytomności, żałując, że się nie opiera. Pomyślała za to o długim powrocie do domu, wstydzie oderwanych guzików, które nie pozwalały jej się przyzwoicie zakryć, strażnikach odwracających wzrok, kiedy ich mijala. Nikt nie zaproponował jej nawet płaszcza. Kto nie dałby młodej dziewczynie, na wpół nagiej i zawstydzonej, płaszcza?

– Twój ojciec – powiedziała spokojnym głosem Karris, patrząc Kipowi w oczy – nie jest gwałcicielem.

Człowiek, którego Kip uważał za swojego ojca, człowiek, który uznał go za syna, Dazen, nie był gwałcicielem.

– Ale trwała wojna. Jesteś pewna?

Jej początkowe wahanie trwało zbyt długo. Kip potrzebował czegoś więcej. To nie jest pytanie, po którym można zostawić pytającego z wątpliwościami.

– Raz, kiedy byliśmy w łóżku, omyłkowo wziął mój krzyk za krzyk bólu. To go tak zmartwiło, że zmiękł. To nie jest reakcja gwałciciela, nie uważasz?

Przez chwilę Kip nie rozumiał. A potem zaczerwienił się jak burak.

– Ehm, myślę, że to więcej niż chciałem wiedzieć.

Karris odchrząknęła. To było więcej, niż chciała powiedzieć. Poczula, że krew napływa jej do policzków. Ale to było konieczne.

– Wystarczy?

Kip odwrócił wzrok.

– W tej kwestii? Dobry Orholamie, tak. Nie wracajmy więcej do tego tematu! Proszę.

Karris się roześmiała.

– O-oo, teraz znam twoją słabą stronę!

– Och, daj spokój, nie możesz! Nikt nie chce słuchać o tym, jak jego rodzice... Znaczą rodzic. Jak jego rodzic... Mniejsza z tym.

Rodzice. Jakby ona i Dazen byli rodzicami Kipa. Dazen, jako Gavin, adoptował Kipa, a potem poślubił Karris. Zatem w pewnym sensie stała się matką Kipa, prawda?

Rodzice. Jedna mała omyłka. Jedna mała liczba mnoga. Rodzic. Matka. To dotknęło w

Karris czegoś tak zimnego, że samo słowo zmroziło się w chwili zetknięcia. Upadło i rozbiło się jak nadzieje młodej księżniczki w zimną noc, kiedy wracała do domu samotnie, z zapłakanymi oczami, mokrymi udami.

I co mogło podsunąć Kipowi ten nedorzeczny pomysł? Może fakt, że codziennie od miesięcy Karris spędzała z nim czas, szkoląc go, doradzając mu, nadzorując jego naukę. Wmanipulowano ją w rolę matki. W okazanie troski, którą można pomylić z miłością.

A to suka.

Biel zrobiła to celowo.

Co to znaczyło? Szpiedzy musieli donieść Bieli, że po zniknięciu Gavina Karris płakała, kiedy nadeszła jej miesięczna krew, że żywiła oczywistą nadzieję, że po jednej wspólnej nocy zajdzie w ciążę, jak w opowieściach.

Z drugiej strony jedna noc już raz wystarczyła Karris, prawda? Kiedy jeszcze była dziewczyną i nie była gotowa na dziecko. Już na samą myśl czarne chmury zakłębiły się w jej sercu. Nie, nie myśl o tym. Oczywiście, że Biel pomyślała, że Karris chce mieć dziecko. Dla Karris zbliżał się kres lat, kiedy może rodzić, straciła cel, jaki dawała jej Czarna Gwardia, straciła Gavina. Z pewnością pragnęła czegoś po nim, czegoś wspólnego, czegoś, co pokazywałoby, że jej ofiary nie poszły na marne.

Biel próbowała uczynić z Kipa syna dla Karris, bo zwyczajnie myślała, że Karris nigdy nie będzie miała własnego. Nie wiedziała. Sekret Karris pozostał bezpieczny.

Jak mogła winić Biel za to, że próbowała zapanować na jej uczuciami? Karris robiła to samo z Kipem – okłamywała go, żeby nie popełnił czegoś katastrofalnego w skutkach, bo gdyby dowiedział się zbyt wiele, podjąłby działania, myśląc, że wie więcej, niż tak naprawdę jest.

Oblizwała usta. Kip już obserwował ją, jak ktoś mógłby obserwować wielkiego psa, zastanawiając się, czy rzuci mu się do gardła, czy tylko będzie się łąsił.

Wtedy jednak stary strach wynurzył łeb z ciemnej piwnicy, w której Karris go trzymała. Z pewnością Biel, zawsze tak ostrożna, sprawdziłaby Karris dokładnie, zanim przekazałaby jej swoich szpiegów. Jak dobrze Karris zatarła ślady? Miała wtedy tylko szesnaście, siedemnaście lat.

Zimne miejsce zapłonęło. Cały wstyd tamtej ukrytej porażki zapalił się.

Kto porzuca dziecko? Kto zostawia bezradne dziecko w dalekim kraju z ludźmi, których nawet nie zna?

Czy byli dla niego dobrzy? Czy był zdrow?

Leżała tam, obejmując Dazena po ich ślubie, i rzuciła mu wyzwanie, żeby był dobrym ojcem. Była tak chłodna, tak poprawna. Sama siedziała na własnej sekretnej porażce, jakby to nie był płonący węgielek. Hipokrytka.

I Biel znała jej wstyd. Skrywała to, może, żeby posłużyć się nim, kiedy nie będzie miała innego wyjścia. Karris nigdy nie będzie wolna. Było jej gorąco, zimno i niedobrze.

– Przepraszam, „mamo” – powiedział Kip.

Chciał zażartować, ale to słowo miało tak ostre brzegi, że Karris nawet nie dosłyszała żartu. A ton Kipa nie był w stanie przebić się przez ryk krwi w jej uszach. Dotarło tylko jedno słowo jak skalpel przecinający czyrak.

– Nie jesteś moim synem! – prychnęła Karris.

Serce napełniło jej się żółcią i całą ją zwymiotowała na Kipa, obrzydliwą i żrącą. Gorycz rozerwała jej gardło i pożarła wszystko, czego dotknęła.

Kip miał ten sam wyraz twarzy, jaki widywała u śmiertelnie ranionych ludzi, patrzących na sznury własnych trzewi w rękach; byli zaszokowani, że jeszcze nie umarli, ale mimo to umierali.

Odwrócił się chwiejnie i wyszedł. Cicho zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 67

– Spotykamy się po raz ostatni – powiedziała Marissia.

Siedziały obok siebie na jednej z ławek wokół Wielkiej Fontanny Karris Wroga Cieni. Marissia była odziana w skromne szarości niewolnicy i jadła lunch. Teia miała na sobie szarości kadeta. Odpoczywała po ćwiczeniach, ostentacyjnie masując obolały mięsień łydki.

– Słyszałam, że dałaś w kość nowej przełożonej.

Trudno było zachować dyscyplinę szpiega i nie spojrzeć na nią, by przekonać się, czy mówiła to cierpko. Czyżby w tonie Marissii pojawiła się nutka zadowolenia?

– Można tak rzec – odpowiedziała Teia, pochylając się przy masażu, żeby nie było widać jej ust.

W spotkaniu w miejscu publicznym nie chodziło o to, żeby ukryć fakt, że rozmawiasz z przełożonym, ale żeby dopilnować, żeby nikt was nie podsłuchał, a czytającym z ust zafundować niewykonalne ćwiczenie. W końcu nieznajomi mogą wymienić się kilkoma uwagami.

– Chcę wszystko powiedzieć Kipowi. Nie mam nikogo. To za trudne.

Zapadła cisza. Marissia napiła się z bukłaka.

– Chcesz wszystko ujawnić Kipowi Pyskaczowi? – Delikatnie odgryzła kęs małego pasztecika.

Teia się skrzywiła. To nie było w porządku. Kip potrafił wyrwać się z czymś, kiedy był wściekły, ale nie wygadywał się z cudzych sekretów. Był dobrym mężczyzną.

Dobrym mężczyzną? Kip? Od kiedy to myślała o nim jak o mężczyźnie? Czasem patrzyła na niego i miała wrażenie, że obrazy odrywają się od jego sylwetki, jak kiedy światło ulega rozszczepieniu – różne fasety, różni Kipowie. Może to był efekt uboczny rozszczepiania światła albo zbyt częstego krzesania parylu. Jeśli krzesanie czerwieni stopniowo sprawia, że człowiek staje się coraz bardziej namiętny, a krzesanie zieleni wywołuje dzikość, to co robiło z nią krzesanie parylu? Widziała Kipów zamrożonych, w szeregu:

Gruby Kip, jakim był zaraz po przybyciu do Chromerii. Ukrył się w sobie, sadło było jego obroną przed strachem i izolacją, podbródek schowany; nieśmiały, walczyło w nim skrupowanie i uzalanie się nad sobą, ale był myślący.

Załamany Kip, wracający myślami do Garristonu i tego, co mu się tam przydarzyło.

Mówią, że zabił króla Garadula. Niektórzy twierdzą, że robiąc to, złamał rozkaz i dał władzę Księciu Barw. Cokolwiek poza tym zrobił, mówią, że zabił mnóstwo ludzi. Nikt nie przywiązywał do tego wagi. Nie było tam żadnych kadetów, a Czarnogwardziści nie rozmawiali na takie tematy ze szczawiami. „To Guile”, najwyżej tyle mówili, jakby to wszystko wyjaśniało. Jakby to cokolwiek wyjaśniało. Złamany Kip potrafił zjawić się na treningu po tym, jak złał dręczyciela słabszych, i wyglądał jak pokonany, a nie zwycięzca, jakby nie mógł uwierzyć w to, do czego jest zdolny.

Płaczący Wojownik. Ten tylko Teii mignął, więcej o nim słyszała. Kip z ironią powiedział coś w stylu „Jestem żółwio-niedźwiedziem”. Inni mówili, że wpadł w szal bitewny. Kip walczył z Aramem w ostatniej walce i był bliski utraty ostatniej szansy na zostanie Czarnogwardzistą. Wpadł w szal, kiedy Aram przytrzymał go i bił po twarzy, ale pozwalał Kipowi wymknąć się tylko tyle, żeby sędziowie nie zakończyli walki.

Większość młodych mężczyzn, którzy wpadali w szal podczas walki, traciła też rozum. Jednak Kip zestrzelił światła. To mogło wystarczyć, żeby pobić Arama, gdyby ktoś nie naprawił świateł niemal natychmiast – to było zgodne z regułami? Aram podniósł Kipa z ziemi i cisnął nim, zakładając dźwignię, którą złamałby mu kark – nawet Aram przeraził się tym, co wzrastało w przeciwniku.

Teia podsłuchiwała rozmowę dwóch Czarnogwardzistów stojących w pobliżu.

– Całe szczęście, że to przzerwali – powiedział Hezik. – Ten Kip by zginął.

– A jeśli nie – dodał Konus – to mogłoby zginąć kilku z nas.

-Co?

Konus spojrzał na Hezika.

– W Garristonie widziałem, jak ten chłopak przemienił się w zielonego golema. Pamiętasz południową flankę pod Strzaskaną Skałą, kiedy myśleliśmy, że przerwiemy ich linię, i nagle zobaczyliśmy Dazena Guile? Był tam sam jeden. I kapitan myślał, że zgarniemy wspaniałą zdobycz.

– Wiesz, że za diabła nic nie pamiętam z tej bitwy. Obudziłem się później i przez tydzień niczego nie widziałem i nie słyszałem.

– Nadal możesz liczyć, psiakrew. Ilu ludzi mieliśmy wcześniej, a ilu potem. To żadne skomplikowane rachunki. Czemu utrudniasz mi opowiadanie? Wiesz co się stało, nawet jeśli sam tego nie pamiętasz. W każdym razie Garriston był taki sam. Mówię ci. Tak samo. A chłopak ma, kurwa, piętnaście lat.

Wtedy zauważyli Teię i rzucili jej spojrzenie, od którego zwiędłyby kwiaty.

Potem zobaczyła następnego Kipa, zaraz po Płaczącym Wojowniku. Widziała, jak Kip zajmuje swoje miejsce w szeregu, po tym, jak Cruxer interweniował niczym sprawiedliwy, promienny, krytyczny bóg i okaleczył Arama. Kip, nagle zaakceptowany, pobity,

posiniaczony, ledwie stojący, rozpromieniony, zapłakany i cały. To był Kip Niesamotny – Kip ze szczeniakami, Kip ze swoją drużyną. Roześmiany, przez jedną zamrożoną chwilę członek grupy. Jednakże, nawet kiedy się śmiał, na jego twarzy malował się cień smutku, jakby wiedział, że ta chwila mija.

A potem Kip Pewny Siebie. Widziała go przez jedną sekundę, tylko jedną, ale jakaś jej część była przekonana, że to Kip We Własnej Osobie. Kip, zapewniający, że chociaż ta wojna nie jest najlepszą rzeczą, to jest najlepszą możliwą rzeczą. Kip bez kompleksów, który wie, kiedy wie, o czym mówi. Kip, który nie śpi dużo. Kip, który zna cenę tego, o czym mówi. Kip, który w tamtej chwili nie starał się nikomu zaimponować, i to sprawiało, że robił tym większe wrażenie. Nagle stał się rzetelny. Dorosły.

Pociągający. Pomyślała o tym, że nie odwzajemniła objęć Kipa. Dlaczego go nie objęła? Powinna była. Orholamie, powinna była.

– Pewnie jeśli powiem ci coś, co już wiesz, nie posłuchasz mnie? – zapytała Marissia.

Teia zamrugnęła zaskoczona.

– Na przykład, gdybym zwróciła uwagę na głupotę, jaką byłoby emocjonalne wiązanie się z Guilem?

– Mnie to nie grozi – odpowiedziała szybko Teia.

Marissia była osobistą niewolnicą. Nie miała nic do powiedzenia w kwestii tego, czy wpuści do łóżka Gavina, czy nie. To, że zdecydowała się ułatwić sobie życie, zadowolając go, zamiast utrudnić je sobie, przeciwstawiając mu się, znaczyło tylko, że jest mądra. Robiła to, co trzeba, żeby przetrwać.

– Kogoś, kto mówi ci, żebyś czegoś nie robiła, a sam to robi, można by uznać za hipokrytę. Albo eksperta. Hipokrytka czy ekspert, fakt, że spośród wszystkich ludzi właśnie ja ci udzielam rady, nie jest powodem, żeby ją zlekceważyć. Wręcz przeciwnie.

– Nie nazwałam cię...

Teia była zbita z tropu. Co Marissia mówiła?

– Masz szesnaście lat. Wiem, co pomyślałaś. Też surowo oceniałam starszych, kiedy byłam młoda.

Zatem Marissia kochała Gavina. Co za ironią było to, że Teia, która była niewolnicą, zakładała, że Marissia nie może kochać Gavina, bo jest niewolnicą?

To nie była... Co? Normalna miłość? Bo Gavin był Pryzmatem, a Marissia niewolnicą? Czy Teia mogła powiedzieć Marissii, że to, co tamta czuje, to nie jest miłość? Że Marissia samą siebie oszukuje, że tak naprawdę to stara się uczynić swoją sytuację znośną? Jeśli różnica w pozycji czyniła miłość niemożliwą, kto mógłby kiedykolwiek pokochać Pryzmata? Kto mógłby pokochać niewolnicę?

Może zatem to była miłość? Ale nie była dobra. A przynajmniej sprawiedliwa. Nie była

łatwa.

I o tym właśnie mówiła Marissia. Przepaść między wyzwoloną niewolnicą a synem Pryzmata była węższa od przepaści między niewolnicą a Pryzmatem. Ale tylko troszkę.

Marissia napiła się jeszcze. I jeszcze. Bez pośpiechu, bez widocznego zainteresowania Teią. Od niechcienia przyjrzała się tłumowi, w sposób, w jaki mogłaby to zrobić osoba jedząca lunch. Potem powiedziała:

– Wiesz, zostałam niewolnicą, kiedy byłam w twoim wieku.

Teia wstała, odwróciła się, oparła nogę o ławkę i zaczęła masować łydkę, tak żeby móc zerknąć na twarz Marissii.

– Nagle zaczęto oczekiwać ode mnie rzeczy, które odkryłam, że są dla mnie bardzo, bardzo trudne. Wiele nocy przepłakałam, zanim udało mi się zasnąć. Czasem nadal czuję się jak tamta słaba dziewczyna. Mam pewne podejrzenia, czego będzie wymagał od ciebie następny rok. Chcę, żebyś wiedziała, że jestem z ciebie dumna. Zakon podda cię następnym próbom. Będę oczekiwać od ciebie niewysłowionych rzeczy. Wykonasz je. To rozkaz. Pozwól, żeby każde zło, jakiego dokonasz, w oczach Orholama spadło na moją głowę i na głowę Bieli. Gramy przeciwko samemu Starcowi z Pustyni, rozumiesz?

– Nie – odpowiedziała cicho Teia. – Nie.

– Zrozumiesz. – Marissia spojrzała na posąg Karris Wroga Cieni, imienniczki Karris Guile. – I skończ te wygłupy wobec niej. – Otarła usta serwetką, wstała i odeszła.

Teia opamiętała się na tyle, żeby dalej udawać, że masuje nogę. Nie miała wiele czasu, żeby przywiązać się do Marissii, ale ta kobieta była jedyną osobą, której Teia mogła powiedzieć całą prawdę. Nagła pustka w jej piersi była jak śmierć.

Śmierć. Zabiła człowieka w ramach tej wojny wśród cieni. Może Kip miał rację. Może to było usprawiedliwione. Będzie jednak musiała znowu zabić, dla drugiej strony. Nie miała co do tego wątpliwości. Jak Zakon miałby jej naprawdę zaufać, dopóki dla nich nie zabije?

To nie była kwestia tego, czy każą jej to zrobić, tylko kiedy jej każą. A już za chwilę miała spotkać się z panem Sharpem.

ROZDZIAŁ 68

Aliviana Danavis weszła za Phyrosem do baru w slumsach. To było miejsce z rodzaju tych, jakich obawiała się rok temu, i to nie bez powodu. W ostatnich miesiącach znalazła w sobie nową siłę, a przynajmniej nową odwagę. Jednak nawet z nimi nie przyszłaby tutaj w swojej sukni i purpurze. Teraz miała włosy zaplecione w prosty warkocz, nosiła trójgraniasty kapelusz i płowe skórzane spodnie z ciemnymi plamami po czymś, co mogło być krwią. Zanim zginęli, kazała swoim krzesicielom, niebieskiemu i zielonemu, stworzyć wspólnie klamry na pistolety, takie same jak Gavina Guile, żeby mogła nosić wszystkie cztery pistolety przy pasie i nie martwić się, że je zgubi. Nosiła także krótką szablę. Nadal nie bardzo umiała się nią posługiwać, mimo wysiłków Phyrosa, który z nią trenował. Liv włożyła też dopasowaną białą tunikę, długą i wypuszczoną na spodnie w tyrejskim stylu, a całość dopełniała zielona kurtka, nawoskowana, by chronić przed deszczem.

Nadal wyróżniała się tutaj, w Wiwurghu. Na przeciwległym brzegu Koralowej Cieśniny w stosunku do Ilyty, dokładnie u wylotu Wrót Mroku, w mieście zamieszkanym głównie przez Tyrejczyków, Ilytan i Paryjczyków. Tłum ciemniejszych twarzy sprawił, że coś rozluźniło się w duszy Liv. Naprawdę trudno bardziej oddalić się od Jaspisów. Tutaj czuła się piękna. Mężczyźni gwizdali z uznaniem, nie to co zimnokrwieści mężczyźni z północnego i wschodniego wybrzeża, którzy obrzucali ją pożądanymi spojrzeniami. Tutaj mężczyzna dawał znać, że mu się podobasz, ale potrafił pojąć aluzję i zostawić cię w spokoju, jeśli go zignorowałaś albo tylko zerknęłaś i nic ponadto.

Liv potrzebowała chwili, żeby znowu do tego przywyknąć, i nie cierpiała tego, że tak odmienił ją pobyt w Chromerii.

Oczywiście fakt, że jej osobistym strażnikiem był Phyros, barbarzyńca o nagim torsie, nie przeszkadzał w zniechęcaniu do przeciągłych spojrzeń.

Tawerna dla żeglarzy była inna. Tu przychodziły także kobiety i były jeszcze twardsze od mężczyzn. Oczywiście każdy żeglarz i pirat musiał chodzić do nadmorskich slumsów z przyjaciółmi. Niebezpieczeństwo, że ktoś cię ogłuszy w ciemnym zaułku i obudzisz się podczas przycinania ucha, było realne dla każdego. Jednakże los kobiety był gorszy, jak zawsze. Jak mówiło powiedzonko: „Niewolnik haruje przy jednym wiosle, niewolnica haruje przy wszystkich wiosłach na pokładzie”.

Aliviana weszła do tawerny o niskim stropie i rozejrzała się z wyniosłym, obojętnym

wyrazem twarzy. Ledwie zdusiła okrzyk na widok mężczyzny siedzącego w kącie, który na nią patrzył. Jej ojciec.

Corvan Danavis powoli wstawał, tak samo zahipnotyzowany jej widokiem, jak ona jego. Ojciec? Tutaj? Niemożliwe.

I nie był sam. Towarzyszyło mu co najmniej dziesięciu krzesicieli w czymś w rodzaju mundurów – jasnoniebieskich tunikach ozdobionych złotym okiem na piersi. Ojciec też nosił taki strój, lecz bogatszy, z brokatem, a do tego miał miecz przy biodrze. Był ich przywódcą.

Emocje przewaliły się przez Liv jak fala, która przetacza się przez pływaką na morzu. Po zaskoczeniu pojawiła się odrobina dziewczęcej radości, ale tuż za nią – jak druga fala, która pochłania człowieka, gdy już myśli, że najgorsze ma za sobą – przyszedł żywy gniew, nieosłabiony mimo upływu miesięcy.

Ojciec wskazał gestem, by przysiadła się do niego, więc podeszła, ale, idąc, czuła, jak żywe obrazy przesuwają się w jej głowie. Nagle nabrało to symbolicznego znaczenia: ojciec przywołał ją, by podeszła do niego, sam nie podszedł. Stał tam, oczekując, że ona porzuci przyjaciół i dołączy do niego w miejscu, które dla niej przygotował.

Co on tu robił? Śledził ją? Niemożliwe! Ale tutaj? W jednej tawernie z setek, na drugim końcu świata? To był zbyt duży zbieg okoliczności, żeby to był zbieg okoliczności.

Przestań zachowywać się jak cymbał, Liv. To twój ojciec.

Pokonał kilka ostatnich dzielących ich kroków szybko, jakby nie mógł wstrzymać się dłużej. Na jego twarzy malowała się prawdziwa radość. Objęli się. Przez kilkanaście uderzeń serca wszystko na świecie znowu było dobrze.

W końcu odsunęli się od siebie.

Teraz się zacnie. Stała prosto. Powstrzymała chętkę, żeby mocniej zaciągnąć sznurówki dekoltu tuniki.

– Aliviano – powiedział jej ojciec. – Wyglądasz na taką silną.

To była ostatnia rzecz, jakiej spodziewała się po legendarnym generale Corvanie Danavisie. Te słowa przebiły się prosto pod jej pancerz.

– Ty też, tato.

Roześmiał się, a ona nie była w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Przysiądziesz się? – spytał. – Zatrzymałem dla nas stolik.

Zatrzymałem? Jakby się mnie spodziewał? Skąd mógł wiedzieć, że się tu zjawię?

– Oczywiście.

– Odprawię swoich ludzi, jeśli ty odprawisz swoich – powiedział z błyskiem w oku.

Liv nawet nie zauważyła, że Phyros stanął za jej plecami. Zawahała się. Nie musiała pozwalać, żeby ojciec dyktował jej, co ma robić, a czego nie.

– Nie chcę okazać braku szacunku – powiedział Corvan do Phyrosa. – Słyszałem, że dokonałeś wielkich rzeczy, dbając o bezpieczeństwo mojej córki, lordzie Phyrosie Seabornie. Zawdzięczam ci wszystko.

Phyros skrzywił się, a Liv zdała sobie sprawę, że nigdy nie słyszała jego nazwiska ani nie wiedziała, że jest szlachetnie urodzony. Fakt, że ukrył to przed nią, a jej ojciec wiedział, zirytował Liv.

– Może usiąść z twoimi ludźmi.

W miejscu tak tłocznym siedzenie przy sąsiednim stoliku wystarczyło, żeby znaleźć się poza zasięgiem słuchu.

Jednooki niewolnik podszedł, kiedy Liv usiadła. Jej ojciec powiedział:

– Napitki dla tych trzech stołów. Ja stawiam. Macie miód pitny? Niech płynie. – Kiedy mężczyzna odszedł, Corvan dodał: – Piłaś to kiedyś? Mieli kiedyś w Wiwurghu dużą angarską społeczność, więc nadal można natrafić tu na ich napoje i potrawy. Odrobinę ich krwi.

– Żyli tu Angarczycy? – zdziwiła się Liv.

Nie zauważyła ani jednej jasnowłosej głowy.

– Po zamknięciu Wrót Mroku społeczność została odcięta. Przyszła zaraza i wybiła znacznie mniej Angarczyków niż tutejszych Paryjczyków. Paryjczycy zrzucili na nich winę za plagę. Wybili wszystkich. Także wszystkich mieszańców, jakich zdołali znaleźć. Nawet ludzie, którzy mieli ćwierć krwi angarskiej albo ci, którzy urodzili się kilka pokoleń później z jaśniejszą skórą, zrozumieli, że nie zdołają tu dłużej żyć. Przenieśli się do innych satrapii albo przekonywali się, że nie zdołają zawrzeć małżeństwa. Wyginęli całkowicie.

To była jedna z tych ciekawostek, jakie jej ojciec znał, a które całkowicie zdumiewały Alivianę. Wiedział mnóstwo ciekawych rzeczy na niemal każdy temat.

– To był nadfiolet – powiedziała.

-Hm?

– Angarscy kapłani byli nadfioletowymi krzesicielami.

– Naprawdę? Och, może o tym słyszałem – powiedział, spoglądając na sufit i przeszukując pamięć – ale...

Poczuła odrobinę zadowolenia.

– Kapłani Ferriluxa błogosławili pokarm i wodę wiernych. Żyjąc od pokoleń w biedzie, Angarczycy musieli zauważyć, że to przynosi skutki. Zatem, jeśli późniejsza plaga narodziła się ze złego mięsa albo złej wody, zmarło mniej Angarczyków.

– Religia ocaliła im życie?

– Najwyraźniej tylko doraźnie – odparła Aliviana. – Skoro potem wszystkich wybito.

– Nadal nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że ich bóg wpływał na ich jedzenie?

-To nadfiolet. Choroby kochają ciemność. Przetykamy nasze bandaże nadfioletem. Ludzie wychodzą z ran, które w przeciwnym wypadku zaropiałyby i doprowadziły do gangreny. Konsyliarze stwierdzili, że nawet przy drobnych ranach mamy piętnaście razy wyższy wskaźnik wyzdrowień niż w przypadku tych, których nie leczono.

- Aliviano, to genialne.

- To nie moje odkrycie. Słyszałam, że nawet teraz paru konsyliarzy stosuje tę metodę w Chromerii. Nie rozumieją, jak to działa, ale zauważyli skutki.

- Nie, nie mam na myśli odkrycia, chociaż jest genialne. Mam na myśli ciebie, że skojarzyłaś ten fakt z minionymi wydarzeniami, rozpracowałaś fakty historyczne, korzystając ze swojej wiedzy. Na brodę Orholama, pomyśl o tym, jaka to tragedia. Paryjczycy... - Rozejrzał się po paryjskiej tawernie. - Starożytni Paryjczycy wymordowali ludzi, którzy mogli ich ocalić. Że nie wspomnę o tych, których można było ocalić w ciągu następnych wieków.

- I niezliczonych nadfioletowych krzesicielach, których można było ocalić przed mozołem pisania do siebie wzajem tajnych wiadomości w tę i z powrotem.

- W rzeczy samej. Zatem musicie mieć cały oddział nadfioletowych uzdrowicieli. - Rysował bezmyślnie w mokrym kółku, które zostało pod kieliszkiem z miodem. Jej ojciec zawsze zajmował czymś ręce, zwłaszcza podczas rozmowy.

Nieco zdezorientowana Alivianaomal nie powiedziała mu czegoś więcej, ale ugryzła się w język. Nie zamierzała przekazywać ojcu szczegółów na temat rozmieszczenia sił Księcia Barw.

- Przepraszam - powiedział. - Tylko myślałem na głos. To genialne rozwiązanie. Oczywiście już zastosowałaś je w najbardziej efektywny sposób. Przepraszam. Nie miałem pojęcia, że moja historyczna anegdotka trąci o nasze obecne... trudności. Jak się miewasz? Czy dostałaś mój list... Nie, nieważne, to nie ma znaczenia.

Niewolnik wreszcie przyniósł miód i najpierw obsłużył Phyrosa i ludzi Corvana. Głupota czy celowa obraza? - zastanawiała się Liv. Pijąc słodki, mocny miód, zyskała chwilę, żeby zebrać myśli. Nie widziała żadnej szkody w odpowiedzi, i jeśli ona opowie o sobie, ojciec z pewnością też się zwierzy. Zaczęła więc mówić.

Morze walczyło z nimi przez całą drogę. Liv i jej załoga przeszli straszliwe sztormy. Często musieli się zatrzymywać, żeby dokonać napraw. Na miesiąc ugrzęźli w wiosce rybackiej z powodu czegoś, co zaczęli nazywać krystaliczną burzą. Odłamki niebieskiego luksynu wielkości kciuka i z ostrymi brzegami padały dniem i nocą - z pół minuty nawałnicy, tyle żeby odliczyć do dwudziestu siedmiu, potem cisza przez kilka razy dłuższy okres i burza rozpętywała się znowu. Z każdego, kogo dopadła, zostawały strzępy. Same kryształy niemal natychmiast rozpadały się w słońcu, zostawiając wszędzie piaszczysty

niebieski pył.

Mieli wrażenie, że dopadł ich sam koniec świata, ale kiedy wreszcie udało im się wymknąć, okazało się, że krystaliczna burza szalała w jednym miejscu, ludzie sześćdziesiąt mil dalej nie zauważyli nawet chmur.

Wszyscy oni wiedzieli, co to oznacza, ale Liv nie powiedziała ojcu. Niebieska mara musiała się gdzieś odrodzić i nikt jej nie kontrolował. Albo kontrolował ją szaleniec.

Ich galera została zniszczona w kryształowym deszczu, więc zarekwirowali nową pod Garristonem. No dobrze, ukradli. Kiedy Aliviana zobaczyła małą zieloną rzeczkę i chciała ją zbadać, załoga była tak przerażona, że prawie się zbuntowała.

Później stracili dwóch krzesicieli, bo ci idioci upokorzyli paru piratów w bójce w tawernie. Piraci urządzili zasadzkę w ciemnym zaułku i śmiertelnie ich poranili.

Lekcja, jaką wyciągnęli ludzie Aliviany z tego wydarzenia, była taka, że kiedy walczysz z piratami, trzeba zabić ich wszystkich, a także ich przyjaciół. Wbrew jej rozkazom ruszyli szukać zemsty i zatopili statek piratów. Ze wszystkimi na pokładzie.

Musiała skazać na śmierć kolejnego krzesiciela za podburzanie załogi i sprzeciwienie się jej woli. Miała wyrzuty sumienia z tego powodu. Jeden z mężczyzn, który zginął w zasadzce, był kochankiem buntownika. Obaj byli zielonymi krzesicielami. Tacy mają trudności z przestrzeganiem zasad.

Jednakże nigdy więcej nie kwestionowano jej autorytetu.

To też znaczyło, że kiedy wreszcie dotarli do Wiwurghu, miała tylko dwóch krzesicieli i Phyrosa. Kapitan i jego ludzie zniknęli, nie odbierając nawet zapłaty. Ukradli jednak galereę.

To ją sprowadziło tutaj. Miała przy sobie fortunę i szukała statku i załogi dostatecznie szalonej, żeby przeszukać sam wylot Wrót Mroku w celu znalezienia nadfioletowego krystalicznego zalążka. Lub mary. Oczywiście Liv nie powiedziała ojcu, że czegokolwiek szukają.

-i to tyle – zakończyła.

Zdała sobie sprawę, że to ogromnie pocieszające, móc porozmawiać z kimś, kto ją kocha. Poczuć bliskość.

Odkąd uciekła od Zymuna, zwolniła nieco z krzesaniem i zdała sobie sprawę, ile oparcia znajdowała w nadfiolecie. Oczywiście nie osądzała tych, którzy z zapalem wypalali swoje halo – wielu członków Krwawych Szat tak robiło, ale Książę Barw wybrał bardziej wyważone podejście. Jednakże dla niej to było za dużo, za szybko. Nie czuła się sobą, kiedy ciągle krzesła. Może na pewien czas trochę za bardzo dała się ponieść.

Podczas rozmowy z ojcem dostrzegła w jego oczach szacunek. Martwił się o nią. To oczywiste. To były niebezpieczne czasy. Widziała, że bardzo się stara nie wyrwać się z

żadną radą. To miło przypomnieć sobie, że w związkach nie chodzi tylko o władzę. A jednak władza przeszkadzała nawet tutaj.

– No dobrze... – powiedziała. – A co u ciebie?

Jakby byli tylko starymi przyjaciółmi, którzy nadrabiają zaległości, a nie ojcem i córką. Była teraz dorosła, już mu nie podlegała. Samodzielnie dokonała niesamowitych rzeczy i nawet jeśli ojciec nie naciskał, czuła, że sama ma ochotę wślizgnąć się z powrotem w starą rolę. Uwielbiała ojca i rzeczywiście, był wielkim człowiekiem. Co nie znaczyło, że jest nieomylny. To nie znaczyło, że ma rację co do Chromerii, Gavina Guile, żadnej z tych rzeczy.

– Ja... Cóż, prędzej czy później sama o tym usłyszysz. Zabrałem ludzi z Garristonu i grupę tyrejskich uchodźców na Wyspę Jasnowidzów. Założyliśmy tam miasto. Nazwano je Miastem Ze Złota. Gavin Guile nam pomógł. Wykrzesał dziesiątki tysięcy cegieł z żółtego luksynu, z których wybudowaliśmy prawie wszystko. Zdołał nawet zdobyć dla nas z powrotem dawno utracone miejsce Tyrei w Spektrum.

-To... To wspaniałe wieści. Kto by pomyślał? Zaczną go nazywać Gavinem Budowniczym, po Murze ze Słonecznej Wody wokół Garristonu i teraz tym.

– Gavin przepadł. W tej chwili jest galernikiem. Czekają go jeszcze gorsze rzeczy.

-Co?

– Dzielę się pewnymi informacjami na dowód dobrej woli.

To miłe z twojej strony, ale...

– Ojczy, jak mnie znalazłeś?

– Lubisz prawdę bez upiększeń, prawda?

– Owszem.

– Zakochałem się. Poślubiłem kobietę z Wyspy Jasnowidzów.

– Och. Ehm... Moje gratulacje. Ogromnie się cieszę.

Ożenił się? Liv zacisnął się żołądek. Tak szybko? Bezstronność, której nauczył ją nadfiolet, pomogła jej mówić ze spokojem, jakby nowiny były zaledwie interesujące.

– Powiedziała mi, że tu cię znajdę. Wiesz, że to miejsce nawet nie ma nazwy? Trudno je znaleźć, kierując się samym opisem, zapewniam.

– Co takiego? Ożeniłeś się?

Spokojnie, Liv. W końcu twoje własne życie miłosne nie było znowu takie godne pochwały. Nie masz prawa czuć się zdradzona.

– Ponadto jestem teraz satrapą.

-Co?!

– Lubisz rozmawiać wprost. Mówię ci wprost.

– Zatem tak ci zapłacono za zdradę?

– A twoją zapłatą jest przemiana w boginię? – Ojciec głośno zapukał palcem w blat stołu.

Chciała splunąć mu w twarz.

– Przeszłam na drugą stronę, bo zobaczyłam, że to, w co wierzyłam wcześniej, było błędem.

– Ja także.

Mówił spokojnie, chłodno, twardo. Był tak racjonalny, że nadfioletowa część jej osoby nie mogła nie czuć podziwu.

– Gavin Guile to potwór. Sam mi to powiedziałeś.

– Gavin Guile był potworem. Ludzie się zmieniają.

– Ludzie nie zmieniają się tak bardzo!

– Ty się zmieniłaś. Ja też.

– Zabijał ludzi. Tysiące tysięcy. Niewinnych. Wybił cały Garriston.

– Masz na myśli Wojnę Pryzmatów? Nawet go nie było w Garristonie. Tak, kazał generałom zająć miasto. Teraz jednak widziałeś już bitwę. Wojna to płomień. Wymyka się nawet najprecyzyjniej opracowanym planom. Odegrałaś kluczową rolę w powaleniu Ru. A teraz już wiesz, jakie potworności się dzieją, kiedy miasto pada na twarz.

Aż jej zapało dech. Była kluczową postacią w bitwie o Ru. Doprowadziła do narodzin boga. Wszyscy martwi żeglarze, ludzie wzięci do niewoli, wszystkie masakry, gwałty i groza wewnątrz murów. To nie była jej wina, nie tak do końca, ale gdyby nie ona, nie doszłoby do tego.

Czy miała całe miasto na sumieniu? To dlatego tak bardzo chciała uciec? Ostatecznie różniła się od Gavina Guile tylko stopniem, a nie rodzajem.

– Książę Barw potrafił racjonalnie wytłumaczyć Gwałt na Ru? – zapytał Corvan, patrząc spod ciężkich powiek.

– To kara, żeby powstrzymać w przyszłości innych przed wojowniczością – powiedziała, ale nie czuła się przekonana do własnych słów.

– Czy żeby wzbudzić większą wojowniczość?

– Taki efekt też jest możliwy – przyznała.

To było logiczne.

– Zatem słabi poddadzą się szybciej, niżby to zrobili w innych okolicznościach, a najsilniejsi będą walczyć aż do ostatniego człowieka, wiedząc, co się stanie, gdy przegrają – podsumował Corvan. – Zajął Kruczą Skałę, kiedy odeszłaś. To małe miasteczko, może ze dwadzieścia tysięcy dusz, które przysiadło na brzegu urwiska. Mieszkańcy nie zgodzili się poddać, więc zaczął je oblegać. Ludzie nie mogli długo opierać się jego kolorakom. Wyłamał bramy i dwieście młodych kobiet, które słyszały, co zrobił w Ru, rzuciło się z

urwiska. Niektóre młode matki skoczyły z dziećmi.

Liv zrobiło się niedobrze.

– To nie może być prawda.

– Nie okłamuję cię. Co więcej, może w ogóle by nas tu nie było, gdybym cię okłamywał.

Zabębnił palcami.

– Nie zrobiłby im krzywdy. Ru to była jednorazowa rzecz. Nie jest krwiożerczy.

Ojciec na to nie odpowiedział, a ona sama usłyszała, jak to brzmi.

– Dwieście? To z pewnością przesada. Może skoczyła jedna albo dwie. Wiesz, jakie są te historie.

– Ludzie mówili o tysiącu. Mówili, że skoczyły wszystkie kobiety z miasteczka. To było dwieście kobiet. Trzecie Oko sama to widziała. Policzyła je. To była szybka wizja, więc mogła pomylić się o dziesięć albo piętnaście.

– I jesteś pewien, że mówi ci prawdę?

– Wyjawiała mi bolesne prawdy. Ufam jej całkowicie.

– Służ jednemu panu, co? – rzuciła z goryczą Liv.

– W rzeczy samej. Chociaż ostatecznie to nie wobec niej jestem lojalny.

-i nie wobec mnie! – Liv z trudem zniżyła głos.

Ludzie i tak już się na nich gapili.

– Nie. Lojalność wobec własnej rodziny jest najmniejszym możliwym kręgiem poza samą sobą. Być wiernym swoim i twierdzić, że to wielka cnota, to nedorzeczne. Nawet zwierzęta chronią swoje młode. To dobra rzecz, ale to zwyczajne dobro, proste. To skąpiec, który mówi, że pomnaża majątek nie dla siebie, lecz dla swoich dzieci. Jego wada nie staje się wtedy w magiczny sposób cnotą. Służenie jednemu panu jest wyrazem wielkiej cnoty. Odróżnia Danavisów od tych, którzy wybierają łatwiejsze ścieżki.

– Nie wyróżnia cię, jeśli przenosisz swoją wierność z jednego człowieka na jego śmiertelnego wroga.

To nie było w porządku, ale Liv miała to w nosie. Jej ojciec mówił, że popiera potwora. Że wszystko, czego dokonała, że wszystko, na co pracowała, poszło gorzej niż na marne.

Zacisnął mocno palce na kubku z miodem. Przez długi czas nie wyrzekł nawet słowa, a kiedy wreszcie się odezwał, mówił cicho:

– Nawet jeśli twój ojciec jest najgorszym z hipokrytów, Aliviano, twoim problemem nie są jego wybory, lecz twoje własne. – Zabębnił palcami o stół i wstał. – Muszę iść. Moja żona twierdzi, że nadal mogę jej ocalić życie, jeżeli nie będę się ociążał.

– Czeka. Co?

– Jest jasnowidzem. Potrafi przewidzieć najróżniejsze rzeczy. Istnieje jednak zakon zabójców noszących specjalne płaszcze. To sprawia, że pozostają dla jej daru niewidzialni.

Widziała, że w wielu przyszłościach ginie, ale nie widzi w jaki sposób, co nigdy dotąd jej się nie przydarzyło. Uważa więc, że poluje na nią jeden z tych zabójców. Moje przybycie tutaj oznacza, że kobieta, którą kocham, prawdopodobnie umrze. Oto jak bardzo mi na tobie zależy. Przyszedłem po ciebie, wiedząc, że to może kosztować mnie jej utratę. Zegnaj, córko. Niech ci błogosławi oko Orholama.

-Tak bardzo mi przykro, ojcze, nawet... Nawet ci nie pogratulowałam. Satrapa, to...

- Nie ma czasu – powiedział, zerkając w dół.

I wyszedł. Jego ludzie skłębili się wokół niego i zaraz ich nie było. Nawet się nie objęli na pożegnanie. Liv siedziała oszołomiona. Czowała pustkę i nagle była samotna jak nigdy dotąd. A co, jeśli postąpiła źle? Działała pośpiesznie. Była młoda. Nie wiedziała... Prawie nic nie wiedziała o życiu.

Postąpiła najlepiej jak umiała. Lepiej niż można by się spodziewać. Wyizolowana i przestraszona wybrała najlepszą ze złych opcji.

Prawda?

I co, u diabła, działo się dzisiaj z jej ojcem? Kręcił się, zachowywał...

Spojrzała na blat, kiedy Phyros podszedł, żeby się przysiąść. Zwężała źrenice na jedną chwilę. Na blacie wypisano wątle litery nadfioletowym luksynem niewidzialnym dla wszystkich prócz niej: „Pod stołem. Schowaj w lewym bucie. Nikomu nie mów”.

Phyros usiadł i oparł ręce na stole, stawiając swój kubek. Tym ruchem skruszył delikatny nadfioletowy luksyn, które zaraz zniknął.

- Dobrze się czujesz?

- To było niepokojące. Ale nic mi nie jest.

- Znalazłem nam załogę. Jesteś gotowa?

- Więcej niż gotowa.

Phyros wstał, a kiedy się odwrócił, Liv sięgnęła pod stół i znalazła ukryty przedmiot. Nóż. Nóż? Skoro miała cztery pistolety, szablę i jeszcze jeden nóż u pasa? To jej dał ojciec? Schowała go w dłoni i ruszyła za Phyrosem.

ROZDZIAŁ 69

– Mówią mi, że jesteś dobra – powiedział pan Sharp.

Zamieszkał nad sklepem z porcelaną w środku miasta. Duży okrągły pokój z mnóstwem okien, a pan Sharp miał mnóstwo róż. Rozkwitające róże o tej porze roku? To znaczyło, że albo potrafił krzesać zieleń albo miał dostęp do kogoś, kto to potrafił. Podlewał je, kiedy Teia weszła.

Wymamrotała coś pod nosem.

– Kłamałem. Nie mówią mi, że jesteś dobra.

Spojrzała na niego przelotnie, napotkała jego denerwująco skupione spojrzenie i odwróciła wzrok. O co mu chodziło? Pan Sharp wrócił do podlewania. Jak się okazało, nie był łysy. Po prostu zgolił marchewkowe włosy, żeby tak to wyglądało. Potem wszystkie ściął, żeby równo odrosły, nie ściągając uwagi na jego uprzednią charakteryzację. Teraz były więc chłopięco krótkie. Dzięki temu wyglądał młodo.

– Prawda jest taka – powiedział, odstawiając konewkę i odwracając się, żeby przyjrzeć się Teii – że mówią mi, że jesteś lepsza ode mnie.

Tym razem, kiedy znowu zerknęła, jego bursztynowe oczy już czekały i pochwytyły jej wzrok jak rybę na wędkę.

– Wiesz, dlaczego mówią mi takie rzeczy?

Pokręciła głową. Czy w ogóle mówił prawdę?

– Mają nadzieję, że cię zabiję. Mają nadzieję, że jestem aż tak próżny. – Wsunął noże na swoje miejsce przy pasie. – I wiesz co? Jestem.

Nagle nie mogła głębiej odetchnąć. Zerknęła w stronę drzwi. Nie. Jeśli zamierzał ją zabić, drzwi były za daleko. I kto mówił, że posłuży się nożem? Patrzył jej w oczy, czekając, aż rozszerzy źrenice, by spojrzeć w parylu. Pewnie cały pokój był pełen parylu. Serce jej podeszło do gardła. Odezwała się, starając się mówić niefrasobliwie:

– Dlaczego sami tego nie zrobią?

– Nie znasz Starca. Gdyby z miejsca cię zabili, musieliby przed nim odpowiedzieć. Zabić parylowego rozszczepiacza światła? Byłby wściekły. A kiedy jest wściekły, ludzie giną. Z drugiej strony, gdyby przyjęli szpiega, jeszcze bardziej by się rozeźlił. Wybiłby całe tutejsze poselstwo, uznając ich za zdrajców lub nieudaczników. Gdyby jednak doprowadzili do tego, że ja bym cię zabił, to byłby mój problem. A Starzec raczej mnie nie

zabije. Jestem zbyt cenny.

Nawet nie pomyślałam, żeby z nim walczyć.

Ta myśl wkurzyła Teię. Była Czarnogwardzistką. A w każdym razie niewiele jej brakowało. Ludzie się jej bali. W każdym razie powinni. A ona myślała o ucieczce, żeby dać się załatwić od tyłu? Jak co? Jak ofiara. Nie była ofiarą. Nie była niewolnicą, która zwija się w kłębek, kiedy pani ją bije, tylko się zasłaniając, nie mając prawa odpowiedzieć gniewem na gniew.

Nie jestem niewolnicą, nawet strachu.

– Zatem jak to będzie? – spytała. – Nie mówiłby mi pan tego, gdyby rzeczywiście zamierzał pan zabić mnie od razu. Jest pan na to zbyt ostrożny. A ja zbyt niebezpieczna.

– Doprawdy jesteś? – zapytał rozbawiony.

– Tak. – Uśmiechnęła się, chociaż ogarnęła ją wściekłość. Chcesz się przekonać? Śmiało.

– Prawie mam ochotę wyrwać ci kiel za to zuchwalstwo – powiedział pan Sharp. Dotknął naszyjnika, chwając się lśniącymi perłami, które nie były perłami.

– Spróbuj – odparła Teia.

Powiedziała sobie, że szpieg byłby służalczy, robiłby wszystko, żeby go przyjęto. Zakładając maskę buntu, znajdzie się poza wszelkimi podejrzeniami.

To nie do końca była prawda, bo... pieprzyć go.

– Nie boisz się mnie? – zapytał ze znaczącym uśmiechem.

– Boję się cały czas. To nudne.

Poczuła małą buteleczkę oliwy noszoną pod tuniką. Nie wyrzuciła jej. Nie była w stanie. Dlaczego?

Jego cios, kiedy nadszedł, był szybki. Tyle że ona była gotowa. Drobnie odchylenie i jego otwarta dłoń trafiła w ramię zamiast w policzek. Natychmiast zaatakowała. Ponieważ była mała i niezbyt silna, wszystko w jej sposobie walki musiało być doskonale od strony technicznej. Próbowwała założyć dźwignię na łokieć, zorientowała się, że nic z tego, stanęła więc panu Sharpowi na stopie, kiedy obrócił się, żeby uniknąć dźwigni, i pchnęła z całej siły.

I jak zawodowiec, on poszedł za pchnięciem, zamiast mu się opierać. Zrobił salto i nic jej nie ostrzegło przed ciosem drugą nogą w kark. Wpadła na ścianę i była tak ogłuszona, że nie zdążyła na czas podnieść rąk. Uderzyła w ścianę twarzą, zatoczyła się jak pijana, i nagle tracąc kontrolę nad kończynami, padła. Czerń napłynęła, gwiazdy zamrugały. Czuła, że ktoś manipuluje jej kończynami, wiąże ją, ale to działo się za szybko, a jej ciało nie ruszało się normalnie. Wstrząsały nią spazmy.

Dwie dłonie gwałtownie docisnęły uszy Teii i uwięzione powietrze uderzyło jej do głowy. Ból wszystko wymazał. Wyrwał jej się zduszony okrzyk, z bólu nie mogła złapać oddechu.

Gdy ból przygasał na tyle, żeby do Teii zaczęło docierać cokolwiek poza nim, zorientowała się, że związano ją jak jagnię, tyle że wszystkie kończyny skrępowano za plecami, a ona leżała na brzuchu, podczas gdy stopy i dłonie znalazły się w powietrzu. Nie miała jak walczyć z więzami. Usłyszała cmoknięcie, kiedy pan Sharp poprawił ostatni sznur, jedną rękę wsuwając jej we włosy i dociskającą twarz do drewnianej podłogi. Coś mokrego skapnęło jej na policzek.

Ślina. Znowu zadygotała spazmatycznie. Jakaś jej część wycofała się w najgłębsze zakamarki, a ona sama miotała się i szarpała jak zwierzę. Bez skutku. Bez znaczenia. Przeturlała się, kiedy się odsunął. Próbowwała ugryźć go w stopę. Czuła się tak, jakby rękę wyrwano jej ze stawu. Zdusiła okrzyk.

Pan Sharp wstał.

– Cieszę się, że, szszshhht, wyjaśniliśmy sobie to od razu.

Nie mogła. Nie była w stanie.

– Boisz się mnie teraz? – spytał. I roześmiał się.

Usiadł obok Teii w siadzie skrzyżnym, przechylił głowę i przyjrzał się jej jak pies. Zarechotał. Położył rękę na jej pośladkach, dopchnął biodra do podłogi, pchnął mocniej i zabrał rękę, pozwalając jej się kołysać jak konikowi na biegunach, jaki można podarować dziecku. Mając wygięte plecy i związane kończyny kołysała się bezradnie – na pierś, prawie rozbijając sobie podbródek, i z powrotem na miednicę, bezradnie, całkiem bezradnie.

Pan Sharp śmiał się jak mały chłopiec na widok nowej zabawki. Potem złapał ją za tył spodni i szarpnął nimi i bielizną w górę, aż boleśnie wcięły się między pośladki. Zaśmiał się jak wredny wyrostek.

– Żebyś wiedziała – powiedział.

Szszshht. Znowu to mokre cmoknięcie. Co to, u licha, było? Strach wyskoczył jej z żołądka i przeszył całe ciało jak błyskawica. Omal nie krzyknęła. Nie, nie, nie. Musiała się od tego odciąć. Struny głosowe miała jak zamrożone.

– Żebyś wiedziała, że jesteś moja. I mogę z tobą zrobić, co zechcę.

– Rozumiem – odpowiedziała. To miało zabrzmieć bezczelnie. Ale daleko jej było do bezczelności. Orholamie, ratuj! Co on zamierzał zrobić? – Proszę. Proszę...

Nie płacz, Teia. Zabraniam. Została niewolnicą jako młoda dziewczyna, ale nigdy jej nie zgwałcono. Była zbyt chłopięca, za młoda, miała szczęście, może nawet chronił ją jakiś nędzny ochłap przyzwoitości jej pani albo nadzieja na sprzedanie jej dziewictwa. Niezależnie od powodów – o ile jakieś istniały – tego jednego jej oszczędzono. Nie mogła oddychać z powodu strachu, który zatykał jej gardło.

Zakołysał nią w przód i w tył, delikatnie, delikatnie.

-Ty rozumiesz... tutaj – powiedział, mocno pukając ją w głowę palcem. – A ja chcę, żebyś zrozumiała tutaj. – Znowu zakołysał jej ciałem. – Jak często bity pies, który się kuli, gdy pan uniesie rękę, nawet tylko po kubek, chcę, żeby twoje ciało знаło moje umiejętności, ponieważ na tym świecie istnieją tylko dwa bodźce do działania: strach i pragnienie uniknięcia strachu.

Nagle się rozpląkała. Pojawiła się pierwsza, bolesna szpila nienawiści do siebie za strach, jak ukąszenie węża, a potem nie było już nic, tylko strach, ale ten strach owijał się wokół niej, otulał ją, wyciskał z niej oddech. Nie zgniatał jej od zewnątrz, lecz zupełnie jakby rósł w niej wąż i zwijał się, napierając od środka, jakby chciał uciec. Dla Teii nie było miejsca w jej własnej skórze.

– Cii, cii – powiedział. – Chcę ci opowiedzieć historię, prawdziwą historię, chociaż ma pięć tysięcy albo tysiąc tysięcy lat. Albo tak powszechnie uważaną za prawdziwą, że to nie ma znaczenia. – Urwał. Ssszszht. Ssszszht. Co to za dźwięk, u diabła? – Poczekaj tu.

Wstał.

Zapalił latarnię, a potem pozamykał okna, jedno po drugim. Pocałował swoje róże i powiedział im, że za minutkę wróci. Nie śpieszył się. Mrok powoli spowił pokój.

Morderca Sharp wrócił z lampą, a jego przystojna twarz wyglądała upiornie w kołyszącym się, ostrym świetle. Postawił ją i znowu usiadł, krzyżując nogi.

– Udawaj, że to ognisko. W ten sposób to lepiej działa. To historia, jaką opowiada się przy ognisku.

Orholamie, ratuj mnie, ratuj. Nigdy więcej nie zrobię niczego złego, przysięgam.

– Na początku był... – Przykręcił płomień konspiracyjnie. – Bóg. – Podkreślił ponownie płomień. – I nic poza nim. A nicość nie zadowalała Jedynego. Widzisz, wtedy jeszcze nie nazywał się Orholam, bo wiesz, co znaczy Orholam, prawda?

Dał jej klapsa, lekkiego. Z jakiegoś powodu to zaszokowało ją bardziej, niż mocny cios.

– To jest ten moment, kiedy odpowiadasz, głuptasie! – ponaglił ją.

Miała pustkę w głowie. Nie mogła sobie przypomnieć, o czym mówił. Wygięła plecy, poruszyła ramionami, żeby zobaczyć jego twarz. Błyskawicznie tracił dobry humor.

– Pan Światła – odpowiedziała za Teię jakaś jej cząstka.

Może to sam Orholam sięgnął w dół i podsunął jej te słowa. Chociaż wolałaby, skoro już sięgał i czynił cuda, żeby poszedł na całość i zafundował Mordercy Sharpowi atak serca.

Och, Orholamie, jaka jestem głupia...

– Jeśli zaczniesz krzesać paryl bez mojego pozwolenia – odezwał się cicho, tonem pełnym groźby – za pierwszym razem wyłupię ci jedno oko. Zobaczymy, jak się z tego wytłumaczysz przed swoim dowódcą. Za drugim razem nie będę tak łagodny. Jasne?

Zdołała skinąć szybko głową.

– Och, przepraszam – powiedział nagle.

Obiema rękami obsunął jej spodnie i bieliznę, żeby nie wżynały się dłużej. Poklepał ją delikatnie po pupie, niemalże po przyjacielsku. Jakby ludzie wyświadczały sobie podobne przysługi.

– Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała. Nie zgwałcę cię. Gwałt jest obrzydliwy. Poniżej mojej godności. To cię uspokaja? Moja wina. A wracając do opowieści...

Odwróciła się i oparła twarz na szorstkiej podłodze. Znowu była niewolnicą, twardą, milczącą i tak bardzo, tak bardzo wdzięczną.

– Nie było jeszcze światła, tak? Zatem To, On, trzeba by rzec, zważywszy, że mówimy „Pan” i trzeba pogodzić się z ograniczeniami własnego języka w takich wypadkach, zatem On nie mógł być panem światła już wtedy, prawda? Nie było światła. Sszszhtt! Racja? Kapujesz? Język może nas wprowadzić w błąd we wszystkich tych kwestiach. Mówimy, że to był on albo ono i nic. Ale nie mamy na myśli, że siedział tam z nicością. Nie siedział na huśtawce na ganku z nicością w pudełku na kolanach, zastanawiając się, co z nią zrobić. Był tylko on i w pewien sposób był samotny, chociaż, jak można być samotnym, jeśli nigdy nie poznało się towarzystwa? Historie stworzenia to niemożliwości obładowane kłamstwami. Był, nie było mu dobrze, chociaż jest samym dobrem i był wszystkim, co istniało? Jak to w ogóle możliwe? Był i było to dobre, ale nie dość dobre? Może tak. W każdym razie tak się czułem, kiedy byłem sam. On jednak ma być doskonały, a jak doskonałość może być mniej dobra niż powinna? Czy nie oznaczałoby to niedoskonałości? Albo jak można coś dodać do doskonałości i nadal mieć doskonałość? Sszszhtt. A może tak. Może, dodając do perfekcji, otrzymuje się nowy rodzaj perfekcji. Hm... Cóż, zatem istniał. I on, stwórcy, stworzył światło. Światło było jego radością, jego pierwszym i ulubionym dziełem. Światło, jako pierwsze, zawarło w sobie samą esencję stwórcy. Tyle że światła... światła nie ma. Nie można powiedzieć, że ono po prostu jest. Ono... Ono nie siedzi. Nie jest pasywne. Światło siedzące nieruchomo nie byłoby w ogóle światłem. Światło... światło działa. Ono... Ono biegnie. Lata. Porusza się. Nawet luksyn, nawet luksyn nie siedzi w bezruchu. To nie jest zamrożony ruch, lecz stały, przewidywalny ruch. Jak szkło. Ruch w kręgach albo przewidywalnych falach, ruch spowolniony, ale nie zatrzymany. Nic z tych rzeczy. – Skrzywił się. – Przez ciebie odbiegam od tematu i źle opowiadam. Pozwól, że spróbuję raz jeszcze. Sszszhtt.

Pomasował głowę, przecesał mocno palcami rozczochrane rude włosy handlarza.

– Sszszhtt. Do diabła. Wiesz, co zrobiłaś?

Teia pokręciła głową, cicha, uległa.

– Połamałaś mi zęby w czasie walki.

Znowu wstał i odszedł, zabierając ze sobą latarnię. Odwrócony plecami do Teii sięgnął

do ust. Rozległo się siorbnięcie, kiedy coś wyjął. Teia nagle przypomniała sobie ślinę, która wcześniej obryzgała jej twarz.

W końcu się obudzi, prawda? To było nierealne. To nie mogło... O, nie, to przypominało początek skurczu w łydce.

Sszszszshhhttt!

Pan Sharp splunął do spluwaczki. Sporo miał tej śliny. Żołądek Teii się buntował. Sharp mówił do siebie, bełkotał, a ona nie chciała słyszeć, co mówi:

– ...nofe czerfone mosowanie of fego słodzieja...

W spluwaczce wylądowała kolejna porcja i potem głos Mordercy Sharpa znowu się zbliżył.

– O wiele lepiej. Ucieszysz się, wiedząc, że uszkodziłaś tylko część klejącą, bo inaczej bardzo bym się rozgniewał. Wiesz, że dzięki paryłowi nigdy nie muszę zabijać nikogo gołymi rękami? To niemal rozczarowujące. Istnieją inne Cienie na świecie, które pozwalają sobie przez to na rozleniwienie. A potem dają się złapać jakimś niezdarnym domowym strażom, ponieważ nie potrafią się wyrwać, a bywają chwile, kiedy fakt, że akurat ktoś dostanie ataku, wydaje się zbyt dużym zbiegiem okoliczności. Dlatego nadal jestem wojownikiem, chociaż jestem też czymś znacznie więcej. Czasem mięso musi zaśpiewać, a duch jedynie kiwać głową i klaskać do rytmu. Gdzie to ja byłem?

– Światło – odpowiedziała cicho.

– A, tak.

Znowu usiadł. Złożył ręce na podolku.

– Skurcz w łydce?

– Mam nadzieję, że n-n-nie.

I wtedy skurcz uderzył z całej siły.

Morderca Sharp złapał ją za nogę i została obrócona na brzuch. Wymasował jej łydkę jak sportowiec albo konsyliarz, zręcznie i bezzwłocznie rozmasowując skurcz bez powodowania niepotrzebnego bólu. Potem znowu ją obrócił, jakby nic się nie stało. Przygasił światło w latarni tak, że był widoczny ledwie zarys jego twarzy.

– Na początku Bóg stworzył światło. I ujrzał, że to dobre. Stworzył Pierwszych, żeby cieszyli się światłem razem z nim i swoim towarzystwem. Jednak największy z Pierwszych powstał i zażądał Światła. Powiedział, że Światła nie można zakuć w łańcuchy, że siedzenie w zastoju i czczenie nie przystoi twórcom tak wspaniałym jak oni. Ukradł więc światło samemu Panu Światła, sprowadził je na ziemię i nazwano go Dzierżycielem Światła. On rozszczepił światło na kolory, żeby wszyscy mogli się nimi cieszyć, żeby, nawet jeśli jakaś część zostanie utracona albo znowu zakuta w łańcuchy, to samo światło pozostało wolne. Rozpalił wiele płomieni od tego jednego światła, które ukradł. A

rozgniewany tym buntem Orholam zabronił Dzierżycielowi Światła i jego zwolennikom wstępu do swojego królestwa zwanego Niebiosami. A Dzierżyciel Światła i jego dwustu rozpoczęli rządy na ziemi, stając się miniaturowymi bogami. Na przestrzeni eonów spierali się i walczyli, a kiedy Orholam stworzył ludzi, kłócili się, walczyli i posługiwali ludźmi, niszcząc ich w swoich gierkach. Ponieważ Bóg kochał ludzi, ale ludzie kochali niszczyć to, co on kocha.

Zwiększył płomień w lampie.

– Powiedz mi, dziecko, czy to przypomina historie, które słyszałaś?

– Tak – szepnęła. – Tak.

Jej serce było kolibrem w klatce.

– Zatem powiem ci coś: połowa tej wersji to kłamstwo. To cwane kłamstwo, bliskie prawdy, jak to jest z najlepszymi kłamstwami. Dzierżyciel Światła nie ukradł pomniejszego światła. Ukradł samo Światło.

I z jego pomocą stworzył Człowieka. Tak. I stworzył nas nie na swoje podobieństwo, ale na podobieństwo Światłostwórcy i Światła, i dlatego Człowiek ma dwie natury. To dlatego jesteśmy zwierciadłem samego Boga, gdzie smugi ukazują niedoskonałości modelu, nie kopii. Dzierżyciel Światła i jego zastępy są dawnymi bogami. I kiedy wkraczamy do mary, to sięgamy po ułamek dawnej chwały. To nie jest uzurpacja, bo zostaliśmy stworzeni na podobieństwo samego światła i nie jesteśmy z racji tego gorszymi dziećmi. Więcej, pod pewnymi względami jesteśmy największymi ze wszystkich. Chociaż, trzeba przyznać, najbardziej kruchymi. Orholam i Dzierżyciel Światła są od tamtego czasu w stanie wojny. Orholam posługuje się Pryzmatami, żeby zakuć światło w łańcuchy i zmusić je ponownie do posłuszeństwa. Orholam zdeptuje kolory, których jego ludzie nie potrafią kontrolować. Jak paryl.

Wyciągnął nóż.

– Wszystko to jest wstępem, Teia. – W dwie sekundy jego oblicze wykrzywiło się w tuzinie różnych wyrazów. – To, co robię, co ty pragniesz robić, ma swój ciężar. Nie zabijanie. Moglibyśmy równie dobrze odławiać łososie w czasie wędrówki na tarło. Rzecz niezbędna, ale niewarta głębszej kontemplacji. To... to ma swoją wagę. Odwróć się. Spójrz.

Kopnął ją, mocno, prosto w nerkę. Z bólu zapało jej dech. Obróciła się. Ten nagły atak – bez powodu! – zaraz po tym, jak był taki spokojny, zrównoważony, doprowadził ją znowu niemal do łez. Nie miała pojęcia, co Sharp chce, żeby zobaczyła.

– Co? – spytała. – Co?

– To, głupia.

Trzymał rąbek płaszcza?

– Płaszcz? – spytała.

Drobne mięśnie w plecach zaczynał łapać skurcz. Odruchowo jęknęła.

– Tak, płaszcz. Migotliwe płaszcz. Co to są migotliwe płaszcz? Co robią?

Nie rozumiała. Chciał usłyszeć coś więcej niż rzecz oczywistą? Zrobi jej krzywdę, jeśli źle odpowie?

– Sprawiają, że człowiek jest niewidzialny? – zaryzykowała.

Przygotowała się na kopniak.

– Zgadza się – odpowiedział, znowu rozbawiony. – A co to znaczy być niewidzialnym?

Co znaczy? Co to za pytanie? Niewidzialny to niewidzialny.

– Nie wiem. Dobry Orholamie, nie rób mi znowu krzywdy.

– „Dobry Orholamie” – powtórzył zdziwiony, ale odpuścił jej. – Kiedy Pierwszy

Mężczyzna i Pierwsza Kobieta zgrzeszyli, co zrobili?

– Nie wiem. Wstydzi się. Byli nadzy. Ukryli się. I... odziali się.

– Odziali się, żeby światło nie mogło dotykać ich skóry. Ukryli się przed Orholamem.

Ale, oczywiście, nie mogli się ukryć, prawda?

– Oczywiście, że nie, bo Orholam widzi wszystko.

Urwała, gdy tylko ta stara maksyma przeszła jej przez usta.

Morderca Sharp przykucnął tuż obok jej głowy.

– Bycie niewidzialnym to pierwsze pragnienie grzesznika. Bycie niewidzialnym oznacza ukrycie się przed człowiekiem, aniołami, światłem i samym Panem Światła. To znaczy być orałam Orh'olam, ukrytym przed Orholamem. Starożytni pogańscy Tyrejczycy mieli mit o pierścieniu, który przekręcony na palcu sprawiał, że noszący go stawał się niewidzialny. Oczywiście nie wierzyli w niego dosłownie, bo jak pierścień miałby dokonać czegoś takiego? To była parabola na temat tego, co człowiek mógł uczynić ze wszystkimi leżącymi przed nim pokusami. Bo niewidzialny, ukryty przed okiem bogów i ludzi, czego ten człowiek by nie uczynił? Mogąc zrobić wszystko, czego zapagnie, co by zrobił?

Bycie niewidzialnym oznaczało ukazanie prawdziwego stanu serca. Dla Tyrejczyków to była historia, nad którą warto podumać. Dla luksjatów to coś więcej. Pragnienie ukrycia się jest dla nich dowodem, że człowiek już się czegoś wstydzi, że ma czarne serce. Kto inny chciałby ukryć się przed światłem, przed prawdą?

Rozciął jej więzy. Nie wstała, po prostu leżała, rozcierając członki. Szorstkość drewna pod twarzą jakoś ją uspokajała.

– Pomyśl więc o tym, jeśli kiedykolwiek najdzie cię chęćka, żeby im się wypowiadać. Nic na to nie poradzą, że od razu nas podejrzewają. Wszystko, co robisz, w ich oczach jest splamione faktem, że tylko zwierzę ukrywałoby się przed Orholamem. Nigdy ci nie zaufają. Pomyśl o tym, co robili wcześniej krzesicielom parylu, po prostu koloru, który dla nich jest niewidzialny.

Polowali na nich. Więcej niż raz. Bo się ich bali. Bo siedem kolorów brzmiało dla nich dobrze.

Wyciągnął rękę i pokrętlęm zgasił latarnię. Pokój częściowo pograżył się w ciemności. Przez szpary w okiennicach przeciekało światło.

– Powiedz mi, Adrasteio – odezwał się cicho. – Jest ciemno. Zniknęłaś, bo jest ciemno?

-Nie.

– Zmieniłaś się, bo jest ciemno? Jesteś wyższa? Chudsza? Bystrzejsza?

– Nie – odpowiedziała niepewnie.

– Powiedz mi, zdarzyło ci się, powiedzmy, ugrzęznąć nieoczekiwanie w wannie, bo ktoś wszedł, a ubrania leżą na drugim końcu pokoju?

Nadal nie wiedziała, co chce od niej usłyszeć, a chciała dać mu to, czego oczekiwał. Usiadła.

– Ehm, raz zostałam uwięziona w przebieralni, po treningu Czarnej Gwardii, w zeszłym roku. Ktoś w ramach żartu zabrał mi ubrania. To ma pan na myśli?

Nie odpowiedział.

– Powiedz mi, robiłaś coś złego?

-Nie.

Chyba że uznać za złe to, że człowiek naraził się na głupi żart.

– Nie. A jednak wstydziałabyś się wyjść przy innych, prawda?

– Pewnie.

– Gdyby jednak było ciemno, nie wstydziałabyś się, prawda?

– Nie.

Zaczynała teraz rozumieć.

– Pewnie się schowałaś, zgadza się? Jednak nie dlatego, że byłaś zła. Przeciwnie, ponieważ byłaś skromna. Ponieważ byłaś dobra, tak jak oni definiują dobro. Tak?

-Tak.

– Zatem nie cały wstyd wypływa ze zła, nie całe chowanie się to dowód moralnej porażki, prawda?

– Prawda.

– I tak razem odkrywamy prawdę: ciemność to wolność. Dlatego jej nienawidzą. Dlatego się jej boją. Ponieważ niektórzy nadużywają wolności, chcą, żeby nikt nie był wolny. Ponieważ światło to moc, chcą kontrolować samo światło. Jednak nie trzeba bać się wolności, a światła nie można zakuć w łańcuchy. Ono jest zawsze czymś więcej niż widzimy i więcej niż wiemy, i kiedy trzymamy się go zbyt kurczowo, olśniewa nas i oślepia. Ty i ja, Adrasteio, zostaliśmy wezwani, by służyć w ciemności.

I popatrz. Nie jesteś teraz ślepa, prawda?

Rzeczywiście, jej oczy dostosowały się, chociaż nie stosowała swoich sztuczek. To było naturalne. Jej oczy wiedziały co robić w ciemności.

-Jesteśmy przyjaciółmi światła, ale nie jego własnością. Nie boimy się jego smyczy. Jesteśmy spokojni; wiemy, że jesteśmy mięsem i oddechem, ciałem i duchem, zwierzęciem i aniołem, i żadna z tych rzeczy nie jest prawdziwsza od drugiej. Jesteśmy kapłanami światła i ciemności, arbitrami zmierzchu. Ani dzień, ani noc nie są naszymi panami. A wiesz, co się dzieje, kiedy kobieta kroczy bez strachu?

Teia pokręciła głową, ale nagle wezbrała w niej tak głęboko tęsknota, że sparaliżowała jej język. Powiedz mi. Powiedz.

– Staje się.

Staje się czym? Teia nie wypowiedziała tych słów, ale on wiedział, że tak pomyślała, i dlatego odpowiedział:

– Staje się tym, czym zechce. Minus jedna rzecz. – W ciemności uniósł palec, jakby ją beształ.

Teia milczała. Pytanie było tak oczywiste, że nie chciała go nawet zadawać.

– Jest jedna rzecz, którą nigdy nie zostanie, nigdy więcej. Wiesz, co to jest, prawda?

Słowo nieproszone pojawiło się na jej ustach, z miejsca tak mrocznego, że żadne światło nigdy go nie dotknęło.

– Niewolnicą.

ROZDZIAŁ 70

Kiedy Karris sprawiła, że wyszedł na skończonego dupka, Kip poszedł do sali treningowej Pryzmata. Miał nadzieję, że zastanie tam Teię. Nie chciał o tym rozmawiać, ale trenowanie z nią było lepsze niż trenowanie samemu. Przy niej czuł się lepszy, wystarczyło, żeby tam była.

Nie było jej.

Wypróbował tor przeszkód ułożony na ten tydzień, pogrążając się w błogosławionej odmianie, jaką było analizowanie problemów w rodzaju, jak przejść od kołysania się na linach do przeskoczenia nad jamą i wspinaczki po ścianie bez zatrzymywania? To była medytacja wojownika. Oczywiście spokój był przerywany chwilami, kiedy udawało mu się opracować idealną kombinację. Musiał rozhuścić się na linie, trzymając się jedną ręką, w lewo, potem w prawo, nabrać rozpędu i przerzucić całe ciało równolegle – wtedy udałoby mu się pokonać szczelinę i ścianę za jednym zamachem. Spróbował dwa razy i musiał pogodzić się z faktem, że nie jest dość silny, żeby dostatecznie unieść swoje ciało.

Umysł lepszy od ciała. Znowu.

Wylądował przy ciężkim worku treningowym, jak zwykle, próbując doprowadzić do tego, że pęknie. Jego pięści nieustannie twardniały, powoli dorabiał się tkanki bliznowej i zgrubień na kostkach rąk, ale nadal owijał ręce luksynem, żeby chronić nadgarstki. Jak zwykle po standardowym treningu zaczął pracować nad osłabionym szwem. Od sześciu miesięcy nawet nie drgnął.

Kip właśnie skończył okładać tę stronę z całą furją, kiedy ktoś odchrząknął. Kip omal się nie posikał.

Dowódca Żelazna Pięść odkładał na stolik stos książek. Książki? Tutaj? Kip jednak bardziej zmartwił się powątpiewającym wyrazem twarzy dowódcy. Żelazna Pięść podszedł i bez słowa przyjrzał się osłabionemu szwowi.

– Wystarczy kilka minut, żeby to zszyć – powiedział.

Kip już chciał odpowiedzieć, ale zawahał się, zawstydzony.

– Ach, czyli w tym rzecz. Chcesz zniszczyć cudzą własność.

– Nie, sir! Znaczy... chyba tak, sir. – Skrzywił się. – Nie pomyślałem o tym w ten sposób.

– Potrafisz podać mi jeden dobry powód, dla którego powinienem ci na to zezwolić?

Powód? Owszem. Dobry powód? Nie.

– Panu się kiedyś udało, sir?

– Bałagan jest straszny. Lepiej od razu zaszyć albo naszyć łatę.

– Czyli udało się panu!

Dowódca Żelazna Pięść mruknął coś pod nosem.

– Jakie to uczucie?

Usta drgnęły mu w uśmiechu, który szybko zgasił.

– Naprawię ten worek, Guile.

Kipowi zrzędała mina.

– Tak jest, sir.

– Za sześć miesięcy.

Dlaczego za sześć... Och!

– Dziękuję, sir!

Mruknięcie. Dowódca podszedł do stolika.

– Sir? Powinniśmy porozmawiać o...? – Nie potrafił wypowiedzieć imion Lytosa i Koturna.

– Krzywoprzysięzcy i zdrajcy są warci tylko tego, czego trzeba, żeby ich zabić, i niczego więcej.

Traktował tę sprawę osobiście. Kip to spostrzegł. Zdrada zraniła Żelazną Pięść jako dowódcę i przyjaciela.

– Karris powtórzyła panu, co powiedział Lytos?

– Że zmienił zdanie?

– To niczego nie zmienia.

Dowódca wziął książkę, dając znać, że kończy rozmowę na ten temat.

Jednakże z jakiegoś powodu w słowach Lytosa, choć niekompletnych, Kip odnalazł pewną pociechę. Powiedział „luksjat”, tego jednego Kip był pewien. To sugerowało, że za zamachem nie stał Andross. To, że jakiś luksjat chciał go zabić, było złe, ale gdyby Andross w tej chwili pragnął jego śmierci... Szczerze mówiąc, Kip pewnie już by nie żył.

Żelazna Pięść czytał. Znowu. A przecież Kip wiedział, jaki dowódca jest zajęty. To było dziwne.

Kip podkradł się, by się przekonać, czy będzie lepiej widział książkę.

Napotkał beznamiętne spojrzenie. Dowódca Żelazna Pięść uniósł rękę i pokazał mu trzy długie palce.

– To ja już sobie pójdę – wybąkał Kip.

Doszedł do drzwi i odwrócił się.

– Miłego dnia, sir.

Beznamiętne spojrzenie nie zmieniło się na jotę. Dowódca schował jeden palec. Zostały

dwa.

Kip siłował się z drzwiami z powodu luksusowych rękawic. Zarechotał zażenowany.

– Rękawice – powiedział, rozpraszając je.

Beznamiętne spojrzenie dowódcy wwiercało się w niego. Jeden.

– Jasne. Sir.

Kip wyszczerzył zęby w bladym uśmiechu i wyszedł.

Ruszył do publicznych łaźni. Zanim dostał się do Czarnej Gwardii, nigdy nie chciał tam chodzić. Myślał, że wstąpienie do Czarnej Gwardii będzie oznaczało koniec tego problemu. Czarnogwardziści mieli własne łaźienki.

Jakby kąpanie się z atletami o idealnych ciałach było lepsze niż kąpiel w towarzystwie przeciętnych nieznanomych. Jedna albo dwie przyjazne kpiny na temat pulchności i Kipa już nie było. Wiedział, że szczawie i Czarnogwardziści nie mieli złych zamiarów, że szorstkie poczucie humoru było niezbędne do przetrwania przy tym, co robili. Jednak – jak powiedział Andross – nawet oczywisty, dobrze chroniony cel nadal może być czuły na atak. Kip zbył śmiechem docinki, odgryzł się, uśmiechnął... i nigdy więcej nie poszedł do łaźni Czarnej Gwardii.

Główne publiczne łaźnie były podzielone na płcie, chociaż oczywiście nie wykluczało to regularnego przekradania się w obie strony. I chociaż wiele osób nosiło płaszcze kąpielowe, jeszcze więcej wybierało nagość. Nawet płaszcze kąpielowe za dużo zdradzały dla Kipa. Zmoczone ledwie cokolwiek skrywały, przywierały do każdej niechlubnej krągłości i były na tyle cienkie, żeby można było się w nich namydlić. Kip wolał kąpiel gąbką i mycie głowy w umywalce.

Istniały jednakże rozległe łaźnie prywatne. Niektóre były zarezerwowane dla arystokracji, ale inne otwierały się dla każdego, kto wniósł niewielką opłatę. Lordowie korzystali z nich za darmo, dostawali bezpłatnie mydło, ręczniki i kąpiel w dowolnej wybranej temperaturze, zapewniano im także łaźiebnych niewolników, którzy przynosili przekąski i ręczniki. Kip słyszał, że w innych łaźniach w mieście i w satrapiach, niewolnicy łaźiebni często się prostytuowali, ale w Chromerii tego nie tolerowano. Niewolnicy łaźiebni byli tej samej płci co klientela i zdecydowanie nie dobierano ich pod kątem prezencji.

– Są dziś wolne jakieś gorące kąpiele? – Kip zapytał głównego niewolnika w męskiej części, wpisując się jako arystokrata.

To był jeden z przywilejów, z którego nie wstydził się korzystać.

Starszy niewolnik zaprowadził go do łaźni w końcu długiego korytarza, gdzie panowała taka wilgoć, że para skraplała się na ścianach i przesłaniała widok. Nie gwarantowano tu prywatności – nawet w małych łaźniach mogło zmieścić się sześć osób w dniach, kiedy

panował duży ruch, czyli przed świętami religijnymi albo Balem Światłowładców. Jednakże najczęściej Kip był albo sam, albo dzielił łaźnię z jedną osobą.

Niewolnik zostawił Kipa, upewniwszy się, że ma wszystko, czego mu trzeba, odłożywszy jego ubrania i rzeczy osobiste do kosza i zostawiwszy szlafrok, mydło oraz dzwonek do wzywania niewolników. To był dziwny czas na kąpiel – późny ranek – więc Kip odwiesił płaszcz kąpielowy na kołku, żeby był suchy, kiedy wyjdzie z kąpeli. Większość uczniów powinna być na zajęciach.

Zajęcia, to była myśl. Ile czasu minęło, odkąd Kip był na jakichś zajęciach?

Wszedł do wody szybko mimo samotności i gorąca. Oparł się o ścianę basenu.

Magia gorącej wody powoli usuwała sztywność z mięśni i zaczynała rozwiązywać węzły w jego umyśle. Co mu odbiło? Żeby tak lgnąć do Karris? Musiał dorosnąć. Był sierotą i nadszedł czas, żeby się z tym pogodzić. Ktoś oferuje ci przyjaźń, a ty prosisz, żeby został twoją rodziną. Na miłość Orholama, Kip, przyduszasz ludzi. Tak wiele się domagasz. To obrzydliwe.

A to uzalanie się nad sobą jest taaakie pomocne. Może czas zerwać z tym nawykiem, przełamać to, nie uważasz, Łamacz?

Kip potarł twarz. Westchnął, zamknął oczy, odcinając się od całego świata, rozpuszczając się w ciepłe. Kiedy otworzył oczy, ktoś towarzyszył mu w kąpeli.

– Proszę, jakiś ty odważny – powiedziała Tisis Malargos. – Co robisz w kobiecej łaźni?

Kipa jakby piorun trafił. Raptownie się poderwał i omal nie uciekł. A potem spojrzał w dół. Był golusienki. Był pulchny, goły i w pułapce. Przełknął ślinę. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu znaków, że znajduje się w męskiej części, ale prywatne łaźnie nie miały żadnych oznaczeń. Czyżby stary niewolnik był na tyle zdziecinniały, że przyprowadził go tu przypadkiem?

– Nie jestem... nie... nie jestem w łaźni dla kobiet... prawda?

– Obawiam się, że jesteś.

Była bez wątpienia rozbawiona. Patrzyła, jak Kip pławi się w swoim nieszczęściu.

Spojrzał w stronę drzwi i zastanowił się, czy do nich nie czmychnąć.

– Nie zapominaj, że łaźnie znajdują się w punkcie łączenia.

– W czym czego?

– Korytarze i przebieralnie są częścią wyspy, ale łaźnie wchodzą w skład Chromerii i obracają się razem z całą strukturą powyżej. O tej porze dnia, jeśli nie uważasz, możesz zajść prosto do głównej kobiecej łaźni.

Kip zamrugał zaskoczony. Nic dziwnego, że już wcześniej tu błędził! Przez obracanie się Chromerii wraz ze słońcem, zależnie od tego, o której porze tu zejdiesz, korytarz mógł łączyć się z innym pomieszczeniem niż przy poprzedniej wizycie. Spojrzał znowu na wodę.

Była dostatecznie mętna od mydlin, nie? Wystarczająco nieprzezroczysta, prawda? Usiadł.

– Rozumiem, że to zemsta?

Skrzywiła się przelotnie, zdumiona, a potem uśmiechnęła szeroko.

-W gruncie rzeczy nie. Nie miałam pojęcia, że będziesz wstydlivy. Zwłaszcza tak boleśnie. Orholam jeden wie, że pozostali mężczyźni w twojej rodzinie nie są. Przyznaję, że zamierzałam wyprowadzić cię z równowagi. Myślałem, że będziesz rozbawiony. Powiedziałeś, że zawsze widzisz mnie nagą.

Kip odchrząknął, zdając sobie sprawę, że nie ma nic do powiedzenia. To była prawda. Gdyby chciała go tylko zawstydzić, nie weszłaby do kąpieli. Po prostu stałaby albo siedziała poza basenem całkiem ubrana.

Powrócił myślami do słów dziadka, że jeśli dobrze to rozegra, Tisis pójdzie z nim do łóżka. A teraz znajdowała się naga nie więcej niż dwa kroki od niego. Oblizwał usta, które jakimś cudem miał wysuszone, mimo wody, pary, wilgoci i potu.

O, rety.

– Zapłaciłaś, ehm, zapłaciłaś niewolnikowi, żeby mnie tu skierował? – zapytał.

Siedziała zanurzona po obojczyki, a woda była niemal nieprzejrzysta, ale nadal z niewyjaśnionych powodów trudno się na nią patrzyło. I nie sposób było nie patrzeć.

– Chciałam porozmawiać z tobą na osobności.

Porozmawiać. Mógł rozmawiać. Prawda?

Tisis przysunęła się i usiadła tuż obok niego. Kip przełknął ślinę. Siedziała tak blisko, że patrzenie w jej orzechowe oczy było zbyt intensywnym doznaniem. Kolor tęczywek doskonale podkreślało cieniutkie zielone halo z małymi wierzchołkami jak grzbiety fal sięgającymi w brąz. Spuścił wzrok – i zdał sobie sprawę, że to będzie wyglądało, jakby gapił się poprzez wodę na jej pełne piersi, a potem zdał sobie sprawę, że to będzie tak wyglądało, bo takie właśnie są fakty.

Raptownie poderwał głowę.

Tisis udała, że kaszle, żeby zamaskować śmiech.

Kipa uderzyło, że to zupełnie nie pasuje do sytuacji – dziwny odruch z jej strony, żeby nie wyśmiać go wprost, kiedy mogła. Pomyślała, że Kip ucieknie, jeśli odrobinę za bardzo go przycisnie, czy rzeczywiście potraktowała go życzliwie? Zerknął na nią szybko.

– Przepraszam, Kip – powiedziała. – Od tygodni przygotowywałam się do rozmowy z tobą, próbując zebrać siły i przez cały czas szykowałam się do rozmowy z Guilem, zapominając, że masz szesnaście lat.

Oto ja: rozczarowujący.

I nagle przypomniało mu się, jak powiedział dziadkowi, że lubi, gdy się go nie docenia. A teraz okazało się, że jest odwrotnie.

– Czego chcesz, Tisis?

Uniosła ręce w parodii gestu poddania. Ten ruch zgrał się z chwilą, kiedy wyprostowała się i niebezpiecznie wynurzyła z wody. Jej nagie ramiona i dekolt potwierdzały, że nie nosi płaszcza kąpielowego.

– Kip, mamy dobre powody, żeby się wzajemnie nienawidzić. Chociaż lubię myśleć, że moje powody są poważniejsze od twoich. Wiem, że myślisz, że zawiązano wielki spisek przeciwko tobie w Młocarni, ale to nieprawda. Zawsze próbujemy nastraszyć kandydatów. Kiedy wyrzuciłeś linę z dziury, naprawdę myślałam, że tak nie wolno, więc odrzuciłam ją z powrotem. To był niewinny błąd. Z drugiej strony, ty zabiłeś mojego ojca.

Kiedy ujął to w taki sposób...

– Czymkolwiek ten stwór był, przestał być twoim ojcem dawno temu – odparł.

– Miło by było móc samej to ocenić, zamiast słyszeć zapewnienia z ust mężczyzny, który go zabił. Poza tym twój ojciec i wuj zniszczyli pół świata, a...

– A twoja rodzina stanęła po niewłaściwej stronie, pomagając w tym!

Mężczyzny?

– Naprawiliśmy ten błąd – odpowiedziała Tisis, unosząc podbródek.

– I ruszyliście przeciwko Dazenowi? Kiedy? Po tym jak został zabity pod Strzaskaną Skałą? Co za odwaga.

– Spodziewałabym się, że ze wszystkich ludzi ty, Kip, możesz nie być pierwszym, który będzie obwiniał człowieka za to, co zrobiła jego rodzina, kiedy on sam był dzieckiem. Ty się jeszcze wtedy nie urodziłeś, ja miałam dwa lata. Powinnam cię winić za to, co zrobiła twoja matka? Słyszałam historie od ludzi, którzy słyszeli je od ciebie. Może więc skupimy się na dniu dzisiejszym, a nie na starych wojnach, w których nie braliśmy udziału.

– To brzmi... nadzwyczaj rozsądnie – przyznał Kip.

Łatwiej było się skupić na rozmowie, kiedy musiał rozprawiać się z jej argumentami, ale, gorączkując się, Tisis uniosła się nieco i pochyliła ku niemu. Odchrząknął.

– Mogłabyś, ehm...

Uniósł rękę i opuścił ją odrobinę.

Spojrzała w dół, zobaczyła, że jej sutki znalazły się dokładnie na linii wody, która nie była aż tak mętna od mydlin.

– Och! – Zaczerwieniła się, a przy jej bladej skórze Kip natychmiast to zauważył. Usiadła niżej. – Dzięki.

Coś dotknęło jego nagiego uda i Kip omal nie wyskoczył z wody.

Wybuchła śmiechem.

– Daj spokój, Kip, jak to demonstracyjnie zauważyłeś, już mnie widziałeś nago. To nie powinna być taka niespodzianka.

Nie sędę, żeby tak działał widok nagiej pięknej kobiety.

– Za pierwszym razem, kiedy cię widziałem, miałem wejść do Młocarni, a ty spojrziałaś mi w oczy i pouczyłaś na temat samokontroli. Myślałem, że urwiesz mi głowę, gdybym ośmielił się... A za drugim razem! Mój dziadek?!

Wykrzywiła usta.

– Wierz mi, wiem, że tak naprawdę to mam u ciebie dług za to, że przerwałeś nam, nim to zaszło za daleko.

Spojrzał na nią i oboje parsknęli śmiechem.

Jej śmiech nie był uwodzicielski; był przezabawny, tald na całe gardło, charakterystyczny, z rodzaju tych, które wychwytyjesz w tysięcznym tłumie, jaki rzadko wyrywa się z klatki, a gdy mu się uda, pali całe miasto, bo, do diabła, potem znowu wróci do klatki, nie? Nagle, śmiejąc się, Tisis chrząknęła.

Zaczęli śmiać się jeszcze bardziej, a ona zaczerwieniła się i chrząknęła tak głośno, że w końcu popłakała się ze śmiechu.

Zapadła przyjacielska cisza, kiedy Tisis ocierała oczy. Ostatecznie otarła rozmazane pod oczami czernidło ręczniczkim. Kiedy skończyła, Kip spojrzał na nią lekko zdziwiony. Bez makijażu nie wyglądała na dwadzieścia pięć lat, jak kiedy była umalowana. Nie wyglądała nawet na dziewiętnaście, ale na jakieś siedemnaście. Nic dziwnego, że się malowała.

Była nastolatką jak on i oboje byli tu bardzo, bardzo samotni.

– Kip – odezwała się – prawda jest taka, że moja rodzina znalazła się w bardzo niedobrym punkcie. Wojna Fałszywego Pryzmata wybiła boczne gałęzie naszego rodu. To akurat nas umocniło, bo kiedy bogactwo i ziemie całego klanu znalazły się w rękach mojego wuja, staliśmy się ważną rodziną. Myślę, że twój dziadek widzi w nas zagrożenie dla siebie. Zaproponowaliśmy, że wyjdę za twojego ojca Gavina, żeby umocnić przymierze, i myśleliśmy, że twój dziadek to zaakceptuje. Zamiast tego Gavin ożenił się z Karris. To był dla nas policzek. Nigdy nam tego nie wyjaśniono, nigdy nas nie przeproszono.

Zamierzała wyjść za Gavina? I po czymś takim wylądowała z moim dziadkiem z rękami pod kocami? To dopiero potężny obrót koła Fortuny.

Jednakże Kip zachował obojętny wyraz twarzy. To nie jest chwila dla Kipa Pyskacza.

– Nie wiem dlaczego, ale obawiam się, że Andross postanowił nas zniszczyć. Wojna nie toczy się dla nas pomyślnie, wszyscy to wiedzą. Nasze najbogatsze ziemie to te leżące najbliżej armii Księcia Barw. Boimy się, że promachos zamierza pozwolić, żeby Książę Barw zajął nasze ziemie i bogactwa, a powstrzyma go dopiero, kiedy Książę nas zniszczy. Kip, nie masz pojęcia, jakie to uczucie, przyznać się do tego, zwłaszcza przed Guilem, ale moja rodzina stoi na krawędzi. Moja matka zmarła dwa lata temu. Ojciec nie żyje. Gdyby to był testament, to moja starsza siostra Eirene dostała całą rodzinną inteligencję, ja

urodę, a cała charyzma, którą powinnam była dostać, trafiła do mojego młodszego kuzyna Antoniusa. Eirene przedłuży nasz ród, jeśli zostanie do tego zmuszona, to będzie dla niej piekło, a ja nie zafunduję jej tego, o ile tylko zdołam temu zapobiec.

– Co? – zdziwił się Kip.

Pewnie, że niektóre kobiety nie chciały ugrzęznąć w pieluchach, ale bogate rodziny mają od tego niewolników, prawda?

– Zapomniałam, że nie słuchasz plotek – powiedziała Tisis. – Równie chętnie wpuściłaby do łóżka mężczyznę, jak ty własnego dziadka.

– Och – odpowiedział Kip, nic nie rozumiejąc. A potem: – Och!

– Mój kuzyn Antonius płynął tutaj z rozkazami od mojej siostry. Jego statek wpadł w ręce piratów. Nie zażądali okupu, a zrobiliby to, gdyby nadal żył. – Zapatrzyła się w dal, a jej głos stał się własnym echem. Niewątpliwie bardzo go kochała. – Zostaję więc tylko ja. Kip, nasze południowe plantacje i lasy da się obronić. W przeciwnym wypadku... To są moi ludzie. Ponad pięćdziesiąt tysięcy. Dorastałam na tych ziemiach. Grałam banconna na świątecznych paradach. Uczyłam się uprawy ziemi, hodowli i wyrębu w tych miasteczkach. Bawiłam się z tamtejszymi chłopcami i dziewczynkami. Wiele z tych dziewczynek, z którymi się bawiłam, teraz ma własne dzieci. Życie biegnie szybciej na farmach. Zrobię wszystko, żeby ich ocalić.

Nawet rozłożysz nogi dla mojego dziadka.

– Tak – powiedziała cicho, czytając w jego myślach. – Nawet to. Moje dziewictwo za ich życie? Zrobiłabym to w każdej chwili.

Z jakiegoś powodu to oświadczenie głęboko zawstydziło Kipa. Oceniał Tisis, jakby tylko szukała uwagi najpotężniejszego człowieka w pokoju, gotowa poniżyć się nawet z Androssem Guile. Jakby była ulicznicą.

Niektórzy arystokraci ulokowali się na Wielkim Jaspisie tak dawno temu, że nie czuli szczególnego związku z ziemią przodków. Wybierali się w rodzinne strony może raz do roku, sprawdzić, jak sprawują się zarządcy, ale ich dzieci zostawały tutaj, rywalizując z dziećmi innych arystokratów, kto urządzi najbardziej wystawne przyjęcie, kto jest lepszym hazardzistą, tancerzem albo jeźdźcem, żyjąc pośród nieustannych plotek, kto z kim sypia, które przekształcały się w plotki, kto kogo poślubi, a potem w jeszcze większej powodzi plotek, kto z kim ma romans. Niektórzy wykorzystywali odrobinę magicznego talentu, żeby dostać się do Chromerii, gdzie ostatecznie robili to samo, przy okazji czegoś się ucząc. Mimo pochodzenia Kip nie należał do tych kręgów, cały czas poświęcał na naukę i trening.

Wiedział, że to nie był błąd. Gavin musiał zdawać sobie sprawę, że gdyby Kipa, który przybył z Tyrei jako bękart, rzucono między te wilki, zostałyby rozerwany na strzępy. Po to

właśnie było szkolenie Czarnej Gwardii. Z tego powodu i ponieważ Gavin zdawał sobie sprawę z nadchodzącej wojny, podczas której Kipowi przyda się wszelkie wojskowe przygotowanie.

Kip zakładał, że Tisis należała do tych kręgów. W końcu była bogata, wysoce utalentowana w zieleni i piękna. A do tego musiała być małostkową nudną plotkarą, prawda?

To sprawiło, że Kip zastanowił się, jak ludzie oceniali Gavina, który był frustrująco Dobry We Wszystkim. Musieli w głębi ducha go nienawidzić. Jak się nad tym zastanowić, to, co myśleli o Kipie, który przybył znikąd i przejął obowiązki w najważniejszej rodzinie w Siedmiu Satrapiach?

Nagle Czarna Gwardia wydała się ciepłym kocem, spod którego Kip nie chciał nawet wychodzić. Tam ludzie oceniali go przeważnie za to, jaki naprawdę jest. Niektórzy go nawet lubili. Nikt nie robił mu kłopotów za to, że jest Tyrejczykiem, odkąd został kadetem. W jego drużynie liczyło się, co robi, żeby pomóc jej odnieść sukces. Kip nie cierpiał, kiedy go osądzano, ale ledwie zauważył, że przestano go osądzać.

A tu była Tisis, gotowa sprzedać ciało, żeby ratować swoich ludzi, a Kip osądził ją i nazwał dziwką.

– Orholamie, zlituj się – mruknął. – Tisis, ogromnie przepraszam za... za wszystko. Za to jak cię traktowałem. Za to co powiedziałem. Ogromnie, ogromnie mi przykro.

Zamrugnęła gwałtownie i odwróciła wzrok.

– Próbowałam do niego wrócić, wiesz? Po tym jak wyszedłeś. Nie przyjął mnie. Wystawił mnie z pokoju jak...

– Nie jest... miłym człowiekiem – powiedział Kip.

Zapłonęła w nim głęboka nienawiść. To, że Andross poniżał Kipa, a potem wytykał to upokorzenie i wyśmiewał, to jedno. A zobaczyć, jak robi to innym, to co innego.

– Nie jest. – Zaśmiała się niemal przez łzy. Przycisnęła palec do kącika oka, żeby zapanować nad sobą. – Nie, nie jest. Wiesz, jedyne, co mnie naprawdę zaskakuje, to że nie poszedł najpierw ze mną do łóżka. Znaczy i bez tego czułam się dość obrzydliwie... „Dość obrzydliwie”? Wiesz co mam na myśli. Czułabym się sto razy gorzej, gdyby mnie wykorzystał i potem odrzucił. To chyba bardziej do niego pasuje. Znaczy, dopiero co zaczęliśmy... Przepraszam, nie chcesz słyszeć o tym wszystkim. Może się obawiał, że zajdę w ciążę i będzie miał bękarta na głowie?

Nie, nie chodziło o to. Prowadził całkiem inną grę.

Jednak Kip nie odezwał się słowem.

Ej, nie powiedziała „jeszcze jednego bękarta na głowie”, zatem najwyraźniej potrafiła być taktowna.

Przez kilka minut, kiedy dochodziła do siebie, Kip otwarcie jej się przyglądał. Bez makijażu, który zawsze nosiła, nadal była onieśmielająco piękna, ale jej naturalna uroda była łagodniejsza i, rzecz jasna, młodsza niż tamta lodowata doskonałość. Złapał się na tym, że ciepłej o niej myśli.

Co się właśnie wydarzyło? Czyżbyśmy zostali swego rodzaju przyjaciółmi? Jak do tego doszło tak szybko?

Andross Guile, który wszystkich mieszał z błotem, powiedział, że Tiss będzie próbowała uwieść Kipa. Czy o to właśnie chodziło? Bardzo sprytne uwiedzenie? Czyżby zwyczajnie z nim pogrywała?

Nie dostrzegał tego.

Do diabła, jeśli to wszystko było grą, to wolałby być raczej po jej stronie, bo jeśli była aż tak dobra, nikt inny nie miał z nią szans.

– Zatem, ehm, cała skóra mi się pomarszczyła – powiedział Kip. – Może wyszlibyśmy stąd z wdziękiem? Panie przodem? Wiesz, to nie ma znaczenia, skoro już widziałem cię nagą, nie?

Westchnęła i zanurzyła się w wodzie, aż zaczęła w niej wydmuchiwac bąbelki.

– A zatem.

Skrzywiła się.

Kip poczekał. Nic.

– No i? – ponaglił ją.

Wynurzyła się bardziej, a on zerknął w wodę, ale wątpił, żeby to zauważyła. Do diabła! Jeszcze kilka minut temu był taki wspaniałomyślny.

– Zatem ja nie przyszedłam tu tylko po to, żeby wziąć kąpiel, ale nie zauważyłam, żebyś ty się umył.

– Och, racja.

Kip wziął mydło z krawędzi basenu. Zaczął niezgrabnie namydlać lewe ramię.

– No to opowiedziałam ci o sytuacji mojej rodziny... – zaczęła Tisis.

Kip przestał się namydlać. Oczekiwała od niego tego samego?

– Tisis, naprawdę miło mi się z tobą rozmawiało. Mam na myśli naprawdę miło. To wielka niespodzianka, ale niedługo kończy się kilka zajęć i dziesiątki, jeśli nie setki ludzi zaczną się tu schodzić. Nie sądzę, żebyśmy mieli czas na moją historię.

Usłyszeli trzask zamykanych drzwi w oddali i oboje niemal wyskoczyli z wody.

– Racja. – Tisis oblizwała usta. – Ale ty też czujesz się wyobcowany, prawda? Znaczy, ja potrzebuję przyjaciół, ty potrzebujesz przyjaciół, prawda? Czegoś konkretnego.

– Pewnie, to byłoby... miłe. Chociaż nie wiem, czy możliwe. Prędzej czy później zostanę wykopany z Czarnej Gwardii albo uprzejmie awansowany poza jej szeregi. Widziałas. Mój

dziadek mnie nienawidzi. Zabezpieczyłem fundusze, żeby utrzymać się w Chromerii, ale owszem, można by rzec, że moja pozycja nie jest... pewna.

Tak uparcie dotąd o tym nie myślał, że teraz ta myśl była jak cios w twarz.

Tisis odetchnęła głęboko.

– Tak sobie właśnie myślałam. Mam plan i nie chcę, żebyś od razu odpowiadał, ale chcę, żebyś poważnie to przemyślał. Zejdź do łaźni za tydzień o tej samej porze. Ten sam niewolnik będzie czekał na ciebie i przyprowadzi cię tutaj.

– Teraz mnie zaintrygowałaś.

Zarumieniła się.

– Inaczej wyobrażałam sobie przebieg tego spotkania... – Wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze. Zakołysała się pod wodą. Wynurzyła się z grymasem.

– Dlaczego nagle to ja czuję się niezręcznie? – zapytał Kip.

– Ożeń się ze mną, Kip.

Skądś dobiegł dziwny dźwięk – jakby ktoś dusił małe zwierzątko. Och, to z gardła Kipa.

Tisis zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

– Po prostu pomyśl o tym.

-Co?!

I wtedy z gracją wybiegła po schodach z wody, porwała płaszcz kąpielowy Kipa z kołka i na palcach wybiegła z łaźni. Po jej słowach i nagości Kipowi całkiem odebrało mowę.

– Ej, czekaj! – wrzasnął w końcu. – Nie wiem, jak stąd wyjść! I był tylko jeden płaszcz kąpielowy!

A potem zdał sobie sprawę, że on, mężczyzna, właśnie krzyknął w damskiej łaźni. Idiota! Wskoczył z wody i pobiegł w przeciwnym kierunku niż Tisis. Uwaga, biegnie nagi żółwio-niedźwiedź!

ROZDZIAŁ 71

W miejscu najbliższym kąтови, jaki Teia zdołała znaleźć w bibliotece na planie koła, pracowała nad zadaniem wyznaczonym przez Mordercę Sharpa. Ten człowiek może i był chodzącą grozą, ale był także fontanną wiedzy na temat parylu. Na ile Teia się orientowała, odkąd Marta Martaens uciekła, stanowił jedyne dostępne źródło wiedzy o parylu. Na ten temat nie było niczego nawet w zakazanych bibliotekach. Przeklęci luksorzy.

Jednakże Morderca Sharp rzucał odpowiedzi na jej największe pytania, jakby to było nic wielkiego.

– Inne kolory – zaryzykowała – mają metafizyczne skutki.

– Meta co?

Ach, racja. Morderca Sharp nie kształcił się w Chromerii. Lepiej, żeby to nie wyglądało, jakby chciała mu to wytknąć.

– Znaczą czerwoni są bardziej skłonni do gniewu, a nadfiolet sprawia, że z biegiem czasu człowiek staje się coraz bardziej logiczny. Co robi paryl?

Zarechotał.

– Nie zauważyłaś, co? Może jesteś wyjątkowa, jak ja. Stanowią pewną ciekawostkę wśród parylowych krzesicieli.

Ciekawostkę. Można to i tak ująć. Zachowała jednak całkowicie neutralny, lecz zaciekawiony wyraz twarzy. Ustąpił.

– Paryl sprawia, że więcej czujesz. Pomyśl o tym. Znajduje się daleko poniżej podczerwieni, przeciwieństwo nadfioletu. Nadfiolet sprawia, że i człowiek staje się bardziej logiczny. Paryl zwiększa empatię. Stajesz się niesłychanie dostrojona do emocji wokół, normalnych i magicznych. Ja mam szczęście. Jestem tylko ich świadom, nie wpływają na mnie. Inni parylowi krzesiciele, większość, którymi dysponujemy, nie mają tak wiele szczęścia. Czują to, co inni. Niektórzy we wręcz przerażającym stopniu. „Płacz z tymi, co płaczą, raduj się z tymi, co się radują”. To mogłoby zostać wypisane parylem w umyśle. Owo nadzwyczajne wyczulenie to nasza największa słabość i największa zaleta. Dlatego czujemy samo światło. Najpierw jesteśmy dobrzy w wyczuwaniu skutków światła. A potem stajemy się świadomi samego światła. Potem możemy je rozszczepiać.

– Wszyscy parylowi krzesiciele są rozszczepiaczami światła?

Jak Chromeria mogła nie wiedzieć o czymś takim?

– Może jeden na dziesięć. Czyli tysiąc razy częściej niż wśród innych kolorów.

Okazało się, że to, czego Marta Martaens uczyła ją o parylu, było nic niewarte. Paryl tworzy żel, powiedziała Marta. Pan Sharp przyznał, że to da się zrobić, ale zastanawiał się, do czego właściwie jest sens go wykorzystywać.

– Wyżej istnieje punkt rezonujący, który można wykorzystywać do tworzenia żelu. Posługujemy się nim tylko do oznaczania celów, bo szybko paruje. A poza tym? Nadaje się chyba do pochodni parylowych, ale ja po prostu rzucam bezpośrednio światło. Może więc wtedy, kiedy z jakiegoś powodu chcesz komuś dać paryl?

Potem pokazał jej inny punkt rezonujący – tworzący gaz. Był o wiele, wiele łatwiejszy do krzesania niż paryl stały albo żelowy.

A potem wyznaczył jej zadanie, nad którym teraz pracowała. Wykrzesła skorupkę parylu, parylową bańkę wokół siebie.

Była, rzecz jasna, niewidzialna. Była również tak delikatna, że skruszyłby ją każdy dotyk. Jednakże delikatna nie znaczy bezużyteczna. Zamknięta w bańce Teia wykrzesła gazowy paryl, żeby wypełnił przestrzeń. On także był niewidzialny, dlatego mogła pracować w bibliotece i nie martwić się, że ktoś jej przeszkodzi, dopóki co pewien czas obracała strony tomu, który trzymała na kolanach, i nie pokazywała oczu.

Krzesanie parylu sprawiało, że Teia stawała się wrażliwsza na dotyk kolorów. Kiedy parylowy gaz dotykał skóry, jeszcze bardziej zwiększał jej wrażliwość. Kiedy ją otaczał, także nim oddychała, chociaż nie miał smaku ani nawet najdelikatniejszego zapachu.

Parylowa bańka nie tylko sprawdzała się jako naczynie na parylowy gaz, ale i jako soczewka. Tak jak niebieska soczewka odfiltruje wszystkie kolory oprócz niebieskiego, albo jak czysta szyba okienna odfiltruje część nadfioletowego światła, tak samo paryl działał na światło, które przez niego przechodziło. To było jak delikatne sito.

Sito do światła? Sama idea wydawała się nierealna, a jednak była prawdziwa. Paryl sprawiał, że każdy kolor zbliżał się do swojego prawdziwego odcienia, spektrum, w którym mógł być krzesany. Nawet dzięki niewielkiej ilości parylu każdy kolor stawał się żywszy, jaśniejszy. Pan Sharp mówił, że to dowód, że paryl jest głównym kolorem. Tyle że powiedział to wielkimi literami. Paryl to Główny Kolor, orzekł z nabożeństwem.

Jednakże Teia słyszała, jak czerwoni preceptorzy wynajdywali powody, dla których czerwony jest najlepszym kolorem. Niebiescy preceptorzy wyjaśniali dyscypułom z wyższych poziomów, dlaczego niebieski to prawdziwy kolor, ulubiony odcień Orholama, kolor morza i nieba. Żółci także przedstawiali, dlaczego żółć to ulubiony kolor Orholama, silne centrum spektrum, którego lite serce było niezniszczalnym złotem. Jeśli idzie o Teię, to chociaż chciała, żeby paryl był niesamowity i wspaniały – w końcu to był jej jedyny

kolor – był raptem jeszcze jednym kolorem o pewnych dziwacznych cechach. Jak żółty, mógł przybrać formę ciekłą lub zestaloną i w obu był użyteczny.

Teia widziała dyscypułów z dziesiątego roku – tych nielicznych, którzy zdołali przekonać swoich sponsorów, że najlepiej im posłużą, zajmując się badaniami – jak eksperymentowali ze spolaryzowanymi soczewkami. Kiedy jedną umieszczano w snopie światła, wydawało się, że nic się nie dzieje. Kiedy umieszczano też drugą, nadal nic się nie działo, dopóki soczewek nie obrócono. Wtedy promień ciemniał.

Wydawało się, że paryl działa podobnie. No, chyba że tak naprawdę to było coś całkiem innego. Zakazano jej pytać o to kogokolwiek.

Skończyła zadane lektury, podtrzymując bańkę najlepiej jak potrafiła. To było niewykonalne, a nawet kiedy dobrze sobie radziła, zdała sobie sprawę, że wkrótce skończy jej się powietrze. A skoro o tym mowa, wdychała mnóstwo parylowego gazu. Czy to było zdrowe?

Na skali prawdopodobnych przyczyn twojej śmierci, T, oddychanie parylem plasuje się poniżej morderczych heretyków, szalonych zabójców, zwycięskich pogan i zwykłej głupoty.

Można i tak na to popatrzeć.

Skończyła pracę i ruszyła z powrotem do koszar. Starła się zachować bańkę, krzesła szybkimi haustami, odwracając wzrok od przechodniów, a potem przywracała źrenicom normalny wygląd, zerkała znowu i robiła kilka kroków. Jednakże bańka cały czas pękała, ponieważ Teia nie podtrzymywała jej stabilnie. Sam ruch przy chodzeniu sprawiał, że bańka odrywała się od wszelkich podtrzymujących ją wiązek. Kiedy już Teia miała pewność, że podtrzymuje bańkę prawidłowo, gdy szła delikatnie i płynnie, i podtrzymywała ją w tak wielu miejscach, że nie powinna pęknąć, zobaczyła, że sam podmuch powietrza spowodowany ruchem ugina frontową powierzchnię. Bańka wytrzymała sekundę, pękła i rozpadła się w nicość. Znowu.

– Tssyt.

Prawie nie usłyszała. Teia minęła otwarte drzwi, całkowicie pochłonięta... Psiakrew!

Zamarła. Pan Sharp! Był ubrany w haftowany len i szeroki pas zamożnego Ruthgarczyka; miał petasos odrzucony na plecy, wiązania były przeplatane złotymi nićmi. Jakaś jej część zarejestrowała strój z aprobatą – dostatecznie zamożny, żeby zapewnić swobodę ruchów w niemal całej Chromerii, ale nie na tyle, by zapadł w pamięć.

Pan Sharp przywołał ją gestem do pokoju, w którym stał. To było jakieś biuro. Najwyraźniej włamał się do niego. Upewniła się, że nikt nie patrzy, i weszła.

– To będzie szybka sprawa – powiedział pan Sharp. Wyszczrzył do niej w uśmiechu idealne zęby. Zamknął za nią drzwi. – Nadszedł czas, żebyś udowodniła swoją lojalność. Dzień Słońca już za trzy dni. Biel bierze teraz udział w próbach. Pójdiesz do pokoju, który

znajduje się dwa piętra poniżej jej komnat. Za oknem znajdziesz umocowaną linę. Umożliwi ci wspinaczkę jedno piętro wyżej. Potem posłużysz się tym, żeby pokonać kolejne piętro.

Wręczył jej torbę z czymś, co w dotyku przypominało kamienie.

Wyjęła jeden. To był półksiężyc z grubsza wielkości jej dłoni. Z jednej strony był niemal płaski. Znajdowała się tam nakładka z niebieskiego luksynu.

– Otrzesz ścianę najlepiej, jak zdołasz. Oderwiesz nakładkę i natychmiast dociśniesz to do ściany. Mocno. Utrzyma ciężar pięć razy większy od twojego. Kiedy zejdziesz na dół, pociągnij za to. – Wyciągnął uszko. – Jest przymocowany do sznurka. Sznurek pokryto rozpuszczalnikiem. Posłużysz się nim, żeby oderwać półksiężyc od ściany. To ważne. Masz nie zostawić żadnych śladów, jasne? Możliwe, że odrobina luksynu zostanie na ścianie. Rozpadnie się w kilka minut.

– Co mam zrobić, gdy dostanę się na miejsce?

– Tuż za drzwiami nadal będzie pełnił straż Czarnogwardzista albo dwóch, za to jej osobistą niewolnicą już się zajęliśmy.

– Nie żyje?

– Została odesłana z zadaniem. Uważamy, że migotliwe płaszcze znajdują się w dolnej szufladzie biurka Bieli. Tam albo w komodzie niewolnicy w jej przyległych pokojach. – Zatem o to chodziło. Migotliwe płaszcze. Tak jak się spodziewali. – Oczekujemy cię za pół godziny. Drzwi na balkon zostawiono otwarte.

– Macie Czarnogwardzistę na swoich usługach – powiedziała Teia. – Dlaczego on tego nie załatwi?

Pan Sharp spojrzał na nią jak na głupią.

Och. Nie chcieli go zdemskować. Albo jej. Czarnogwardziści będą pierwszymi podejrzanymi, nawet jeśli nikt nie chce ich podejrzewać, bo kto inny mógł ukraść coś z komnat Bieli?

Kolejny wniosek był taki, że którykolwiek Czarnogwardzista pracował dla Zakonu, będzie przebywał w jakimś innym miejscu, zyskując dobre alibi. Możliwe, że to ktoś, kto właśnie towarzyszy Bieli. Niemniej musi to być także ktoś, kto mógł wejść do pokoju Bieli całkiem niedawno i otworzyć drzwi balkonowe, które od próby zamachu kilka miesięcy temu stale zamykano. Wiedząc te dwie rzeczy, Teia z pewnością mogła ograniczyć pulę potencjalnych zdrajców.

Później.

– Jak wyglądają te płaszcze? – spytała.

Morderca Sharp wyszczerzył zbyt białe zęby. Może to był uśmiech. Pokazał jej wewnętrzną stronę swojej peleryny. Była z miękkiego szarego materiału o gęstym splocie.

Obrócił płaszcz na lewą stronę i pokazał kieszonkę w kołnierzu, pozwolił zerknąć na złotą obrózkę w środku.

– Jeden z nich jest przypalony przy rąbku. Powinny być dwa. Wiemy, że przypalony znajduje się w pokoju. Jeśli przyniesiesz oba, zaskarbisz sobie wielkie względy. Jeżeli przyniesiesz tylko nadpalony, mogą nadal ci nie ufać.

– Mówi mi pan, że mogę przynieść wam skarb tak wielki jak migotliwy płaszcz i nadal nie zdobyć waszego zaufania?

– Ten pokój to Roztropność numer dwadzieścia siedem. Ruszaj. – Pan Sharp skrzywił się, jakby żałował, że powiedział jej o dwóch płaszczach i względach. – Ach, jeśli idzie o bańkę parylową, to sztuczka polega na tym, żeby podtrzymywać ją gazem. Żadnych ostrych końców. Jeśli gaz jest dostatecznie gęsty, możesz utrzymać z nim otwarte połączenie i nie mieć oczu czarnych jak noc. Mój własny mistrz powiedział, że nasi starodawni przodkowie potrafili utrzymać całą chmurę wokół siebie i bez skorupy, chociaż poruszali się, nawet na wietrze, albo kiedy biegli lub walczyli.

To było imponujące, ale...

– W czym to właściwie pomaga? – spytała.

– Migotliwe płaszcze pomagają nam, rozszczepiaczom światła utrzymać niewidzialność.

Mechanizm płaszczy opiera się na czymś innym, ale sam pomysł opiera się na czymś, co już znasz.

– To znaczy...? – zaczęła Teia.

To było niemożliwe.

– Starodawni mistrzowie nie bez powodu byli nazywani wędrowcami mgieł. Nie potrzebowali płaszczy.

ROZDZIAŁ 72

Pomyśl o tym w ten sposób, Teia: nie cierpisz czekać. Z jakiegoś szalonego powodu, jak każdy żołnierz wolisz chwile grozy od monotonii nudy.

Teia przypomniała sobie, jak prowadziła Czarną Gwardię ścieżką na urwisku do fortu na Półwyspie Ruckim. Prowadziła atak najlepszej formacji na całym świecie. Z pewnością da radę wspiąć się po drabinie. Wspięła się po ścianie fortu, kiedy wrogowie prowadzili ostrzał z dział raptem kilka stóp dalej. To będzie łatwizna.

Dla odwrócenia uwagi, idąc, próbowała podtrzymać paryłową bańkę za pomocą samego paryłowego gazu. Udało jej się. Z łatwością. Jeśli zostawi bąbel otwarty na dole, na szerokość dłoni nad ziemią, będzie mogła poruszać się w niej i oddychać.

Wyszła zza rogu i zobaczyła Kipa, który wychodził z windy. Przystanęła nagle i odskoczyła za róg, żeby jej nie zobaczył. Zapomniała pchnąć do tyłu bąbel, więc roztrzaskał się, kiedy wpadła na niego, cofając się... Ale roztrzaskał się cicho i niewidocznie. Poczekala. Jeśli Kip szedł w jej kierunku, to zaraz go zobaczy.

Nie nadszedł jednak. Musiał pójść do biblioteki.

Doszła do windy niezauważona. Wjechała na piętro Roztropność, jak nazywali jedno z wyższych pięter luksjaci. Nikt jej nie widział. Nikogo nie było na korytarzu. Niepostrzeżenie dotarła do pokoju dwadzieścia siedem.

Drzwi były otwarte.

Nikogo nie było w środku.

Sprawdziła okno. Było dostatecznie duże. Otworzyła je z łatwością, a lina wisiała dokładnie tam, gdzie powinna. Nawet zawiązano na niej węzły dla ułatwienia wspinaczki, co Teia ogromnie doceniała. Była w stanie wspiąć się po linie bez węzłów, ale z trudnością. Jej górna połowa ciała nie była tak silna, jak Teia by sobie życzyła.

Sprawdziła drzwi za sobą, poprawiła torbę z półksiężycami do wspinaczki i pomodliła się przez jakieś dziesięć sekund. Nie dawaj sobie zbyt wiele czasu. Za dużo myślenia może cię powstrzymać. Daj sobie go dość, żeby przygotować sprzęt i zebrać myśli, ale nie zostawiaj sobie czasu, żeby zebrać się na odwagę. Opóźniona odwaga to tchórzostwo. Odwaga to działanie.

Ale ja nie chcę umierać.

Ruchy, Teia.

Złapała linę, pociągnęła. Mocno się trzymała. No jasne. Gdyby próbowali ją zabić...

Nie zrobiliby tego w wieży.

Zacząła się wspinać, nim zdała sobie sprawę, co robi. Tak lepiej. Unikała patrzenia w dół i szła w górę, węzeł po węźle. Było późne popołudnie; gdyby to od niej zależało, wybrałaby inną porę. Jednak właśnie teraz Biel przebywała poza swoim pokojem, a Teia nie miała żadnego wyboru. Przynajmniej wspinała się po zacienionej stronie Wieży Pryzmata, więc każdy, kto spojrzy w jej kierunku, zostanie oślepiiony przez zachodzące słońce w tle.

Dzięki niech będą Orholamowi, że to zimny wiosenny dzień z chłodnym wiatrem – mało kto przebywał na zewnątrz.

Jak zawsze najtrudniejsze było przejście – tym razem z liny na balkon. Teia jednak była dobra we wspinaczkach. Zarzuciła stopę w górę, zahaczyła wokół niej linę i zablokowała, korzystając z jednego z węzłów, a potem posłużyła się nią jak stopniem. Dzięki temu i mając obie ręce na poręczy, przeskoczyła na balkon, jakby robiła to codziennie.

Pomyślała o wspinaniu się na balkony w posiadłości lady Lucigari z małą dziewczynką Sarai, dla której kupiono Teię jako towarzyszkę zabaw. Łatwizna.

Sprawdziła drzwi i odkryła, że są otwarte zgodnie z zapowiedzią. Zerknęła do środka. Nikogo tam nie było. Pokój był mały, prosty, ale tak wysoko w wieży musiał należeć do faworyzowanego niewolnika. Albo był to pokój dla kogoś takiego zarezerwowany, a obecnie pusty. Teię roznosiła ciekawość, ale nie miała czasu na myszkowanie. Wyszła na zewnątrz, zamknęła delikatnie drzwi i sprawdziła, jaka wspinaczka ją czeka.

Żałowała, że nie może skorzystać z kotwiczki, ale wiedziała, dlaczego to niemożliwe. Zeszłaby po tej samej linie, a to znaczyło, że zostawiłaby za sobą kotwiczkę – dowód. Cały sens tego zadania polegał na tym, że migotliwe płaszcze miały po prostu zniknąć.

Na szczęście, dostała mnóstwo półksiężyców do wspinaczki. Nie będzie musiała się wyciągać, żeby sięgnąć do następnego. Otarła ścianę rękawem kawałek powyżej poręczy i nieco na prawo, oderwała nakładkę z niebieskiego luksynu i przyklepiła półksiężyc. Złamała niebieską nakładkę w dłoni i luksyn rozpadł się w pył.

Następny półksiężyc powędrował wyżej i na lewo. Z lewą stopą na poręczy, a prawą na półksiężycu, złapała się lewą ręką górnego. I znowu. Bez pośpiechu.

Wspinaczka nie była długa, ale Teia dała sobie na to trochę czasu. Wspinając się, skręciła na lewo. Gdyby teraz spadła, uderzyłaby w balkon poniżej. Po dwóch kolejnych krokach, nie będzie już pod nią niczego poza rozległym dziedzińcem daleko, daleko w dole.

Chmury gęstniały i szybko robiło się coraz ciemniej, tym bardziej że znajdowała się po ciemnej stronie wieży. Teia wpadła na pomysł i wykrzesiała paryłowy gaz. Kiedy unosił się nad głową, ale nadal był połączony z jej wolą, mogła wykorzystać go jako pochodnię.

Zatem „starożytni mistrzowie” myśleli nie tylko o niewidzialności. Pochodnia, która znajdowała się blisko, ale nad nią, a nie na linii wzroku, była o wiele bardziej użyteczna.

Wiatr powiał mocniej i straciła paryl. Przywarła do półksiężyców jak pająk, dociskając całe ciało do wieży.

Wiatr osłabł, a Teia znowu wykrzesła paryl i podjęła wspinaczkę. Łatwizna. Miała dość półksiężyców, żeby wspiąć się powyżej balkonu, więc potem musiała zwyczajnie zejść z półksiężyców na poręcz i zeskoczyć na balkon. Ręce jej sztywniały od zimna i stawały się niezdarne. Nie ma powodu ryzykować. Modliła się, żeby tylko nie zaczęło padać, zanim się stąd wyniesie.

Zeskoczyła na balkon, lądując miękko. Łatwizna. Przykucnęła na chwilę, nisko, z rękami pod pachami, czekając, aż wróci jej czucie, i dając rękom odpocząć. Jeśli otworzy drzwi, a tam ujrzy Czarnogwardzistę, to będzie musiała wybiec na balkon i popędzić na złamanie karku.

Myśląc o tym, wstała i znalazła uszka na dwóch półksiężycach, których mogła dosięgnąć, i pociągnęła je w dół. Jeśli będzie musiała oderwać półksiężyce, żeby utrudnić pościg, to będzie musiała zrobić to naprawdę szybko.

Poczekala jeszcze przez jedno okamgnienie. Nie mogła posłużyć się parylem, żeby zajrzeć za drewniane drzwi. To działało tylko w przypadku cienkich, przepuszczalnych materiałów jak tkanina. Odwaga to działanie, T.

Sprawdziła klamkę, obracając ją powoli. Obróciła się. Zgodnie z zapowiedzią, drzwi nie zamknięto na klucz. Nie usłyszała żadnego zgrzytu mechanizmu, ale tu, na zewnątrz, na wietrze, nie miała szansy go wychwycić. Nie mogła nic na to poradzić. Uchyliła drzwi.

Z powodu zaciągniętych zasłon komnata Bieli była mroczna. Różnica w temperaturach między komnatą a balkonem sprawiła, że Teia zrobiła spory przeciąg. Wskoczyła chyłkiem do środka, trzymając się nisko, i zamknęła za sobą drzwi. Zasłony uniosły się i zaraz opadły.

Z błyskawicznie wykrzesaną parylową pochodnią w ręce Teia rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu kryjówki. Czy wiatr poruszył drzwiami wejściowymi na zawiasach? Jeśli tak, to Czarnogwardzista stojący na zewnątrz, sprawdzi to natychmiast albo w ogóle.

Z sercem w gardle przebiegła na palcach do biurka Bieli najszybciej, jak się ośmieliła. Potknęła się o brzeg grubego dywanu i wylądowała na czworakach. Pochodnia zgasła. Jednakże dzięki grubości zbytkownego dywanu upadek nie był ani głośny, ani bolesny.

Teia omal nie wybuchła śmiechem z powodu idiotyczności sytuacji i napięcia. Potem przypomniała sobie: śmiech tutaj mógł oznaczać śmierć.

Drzwi się nie otworzyły. Czarnogwardzista na zewnątrz nie sprawdził komnaty.

Teia podniosła się i nabrała parylu. Pomyślała sekundę i znowu wykrzesła skorupę.

Wypełniła ją parylowym gazem, żeby pełnił rolę unoszącej się w górze pochodni i pokój pojaśniał dla Teii. Od razu lepiej.

Jedną z tajemnic parylu było to, że jest taki wyraźny. Znajdował się dalej w spektrum od podczerwieni, a podczerwień była bardzo niewyraźna. Teia domyślała się, że istnieje jakaś własność światła, jakościowa zmiana, która sprawia, że jest drobniejsze w nadfiolecie, a bardziej zgrubne w podczerwieni. Jednak coś musiało działać się między podczerwienią i parylem, bo doskonale w nim widziała.

Zerknęła do kwater dla niewolników. Puste. Łatwizna.

Podeszła do biurka... I natychmiast stłukła parylową skorupę o drewno. Jednakże gaz w środku pozostał nieruchomy. Nie rozpląnął się nigdzie. Z cichym westchnieniem – czy to był dobry moment na rozgryzanie parylu? – odnowiła skorupę. Ruszyła, pozwoliła jej pęknąć, ale utrzymała resztę, więc rozpadła się tylko ta część, która rzeczywiście uderzyła w biurko. Dzięki Mordercy Sharpowi, który powiedział jej, że może utrzymać otwarte połączenie z parylem poprzez gaz, to było proste.

Z ogromną ostrożnością Teia przeszukała biurko. Ile śmiertelnych sekretów skrywało się tutaj? Dokumenty, notatki, atrament, nawet kilka kart do Dziewięciu Króli – zabawne, Teia nie wiedziała, że starsza pani grywa. W dolnej szufladzie leżała precyzyjnie złożona szara peleryna. Teia wyciągnęła ją i rozprostowała. Była przypalona na skraju, przez co stała się krótsza. Złota obróżka zdobiła kołnierzyk, materiał był cienki, jedwabisty, ale mocny. Łatwizna.

Za łatwo jej poszło? Teia oblizwała usta. Złożyła płaszcz, schowała do plecaka.

Nie było drugiego płaszcza.

Na chwilę panika zacisnęła jej gardło. A potem pomyślała, nie, oczywiście, że go tu nie ma. To zasadzka, ale nie na mnie.

Płaszcz był tak krótki, że mogli go nosić tylko drobna kobieta albo chłopiec. Ilu rozszczepiaczy światła istnieje? Ilu z nich było drobnymi kobietami albo chłopcami? Jeden. Nie mogli zabić Teii, jeśli była jedyną, która mogła dla nich korzystać z tego płaszcza.

To mógł być szczęśliwy przypadek, ale Teia widziała w tym rękę Bieli. A jeśli nie Bieli, to samego Orholama. Oczywiście, zważywszy na to, jak niektórzy pojmowali działanie Orholama, to była jego sprawa, nawet jeśli działał poprzez Biel. Zatem...

Dziękuję ci, panie. Pomodłę się porządnie, jak już nie będę, ehm, narażać życia. I przestanę urywać się z cotygodniowych nabożeństw.

Tak często.

To byłoby tyle. Nawet jeśli drugi płaszcz znajdował się w jakiejś szafie, zdała sobie sprawę, że kusiłaby śmierć, gdyby go przyniosła. Zapomnij.

Szła w stronę balkonu, kiedy usłyszała głos za drzwiami. Otworzyły się i do środka

zajrzał Czarnogwardzista. To był Baya Niel, zielony krzesiciel, który miał za sobą bitwę o Ru. Walczył z Atirat u boku Kipa, Karris i Gavina Guile. Oświetlało go czyste żółte światło luksynowej pochodni.

Teia zamarła. Nie miała się gdzie schować. Gdzie uskoczyć. Serce jej przestało bić. Hormony walki wypełniły jej żyły i chociaż w tysiącu innych przypadków kazałyby jej rzucić się do działania, tym razem ją zawiodły – albo ona je. Nie mogła się ruszyć. Wiedziała, co zaraz się stanie. Poprzez otaczającą ją chmurę parylu dostrzegła coś dziwnego w żółtym świetle odbijającym się od ghotry Bai Niela, jego nosa, ręki, która przesuwiała się, przesuwiała.

Jeśli nie zwodziła jej wyobraźnia, żółty dawał jej przedziwną jasność myślenia, szybkie pojmowanie, wykraczające poza jej własną inteligencję. Mogła zabić Bayę Niela, podpowiadała logika, miała w ręku paryl, wiedziała, jak sprawić, że w jednej chwili Baya padnie bezwładny na podłogę.

Nie mogła jednak zabić Czarnogwardzisty. Nie, żeby się ratować.

Myśl przebiegła jej przez głowę – mogłam po prostu poprosić Biel o płaszcz, a ona by mi go oddała.

Możliwe, że Baya Niel został pouczony przez Biel i nic nie zrobi, kiedy ją zobaczy, albo aresztuje ją i jej wartość jako szpiega przepadnie.

Istniały drogi wyjścia z tej sytuacji, ale wszystkie były nie do przyjęcia – i na tym polegała siła żółci. To nie była czysta oderwana logika błękitu czy namiętność czerwieni. To były emocje i logika w pełnej równowadze. Teia poddała się tej nieustępliwie ludzkiej logice. Stała nieruchomo, spokojnie, kiedy Baya Niel zataczał łuk pochodnią.

Skóra Teii mrowiła ją jakby płatki śniegu drażniły każdy jej nerw. Jakaś bezcielesna część jej osoby czuła, że skóra jest zagniatanym ciastem, rozrywanym i zlepianym ponownie.

Wzrok Bai Niela przeszedł przez nią. Mężczyzna rozglądał się po pokoju. Jego spojrzenie znowu się po niej prześlizgnęło, poprzez nią, poza nią i z powrotem. Stała niecałe sześć kroków od niego. Nie udawał, że jej nie widzi. Widziała jego oczy. Nie zawahał się. Nie było w nich błysku rozpoznania. Nie odgrywał spryciarza, nie omijał jej wzrokiem. Przesuwał tylko pochodnię to w tę, to we w tę, a mózg Teii syczał i trzaskał.

I w tej samej sekundzie zrozumiała. Ta luksynowa pochodnia. Jej chmura parylu. Luksynowa pochodnia rzucała pojedyncze, wąskie spektrum światła. To w połączeniu z własnościami rozpraszającymi parylu oznaczało, że Teia jako rozszczepiacz światła musiała poradzić sobie tylko z pojedynczym spektrum. To było dostatecznie małe wyzwanie, żeby dokonała tego nieświadomie. To właśnie robili starożytni, tyle że w ruchu, z całutkim spektrum światła naraz. Teia robiła to samo, tyle że w bezruchu i jedynie z

żółtym odłamkiem widma.

Baya Niel cofnął rękę z pochodnią i zamknął drzwi.

Teia ruszyła jak błyskawica. Podbiegła do drzwi. Kiedy je ostrożnie otworzyła, usłyszała głos Bai Niela:

– Wiesz, powinienem sprawdzić zamki na balkonie. Ci chłopcy, dopiero co przeskoczyli do Czarnej Gwardii i cały czas zapominają...

Nie usłyszała reszty. Wymknęła się na balkon, rozbijając paryl i tracąc go. Zamknęła drzwi, w tej samej chwili kiedy drugie się otworzyły. Różnica w ciśnieniu rozległa się szybkim sykiem. Teia przeszła przez poręcz na półksiężycy. Pociągnęła za uszko jednego, wyciągając strunę. Zatoczyła nią szybkie kółko, odcinając półksiężyc od ściany.

Zrobiła szybki krok w dół, kiedy drzwi balkonowe otworzyły się i na zewnątrz wylało się światło w pełnym spektrum. Mimo jej modlitw musiało mżyć, kiedy była w środku, bo niższy półksiężyc był śliski i stopa jej się zsunęła. Mając w jednej ręce odcięty półksiężyc i tracąc oparcie pod nogą, uczepiła się spazmatycznie, żeby nie spaść ze ściany wieży.

Jej ciało zakołysało się i Teia uderzyła o ścianę. Wypuściła z wolnej ręki półksiężyc, rozpaczliwie zaczęła macać, aż się złapała. Zsunęła się na tyle nisko, że jej kolano znalazło się prawie na wysokości oparcia dla stopy, z którego się ześlizgnęła. Ale to nic nie dawało. Odległości były dostosowane do stóp i dłoni. Podciągała się, jej lewa ręka dygotała, ścięgnię podkolanowe napinała do bólu, podciągała się, aż prawą stopę oparła znowu na właściwym miejscu.

Nie było czasu na odpoczynek. Jeśli Baya wyrzy za balustradę, zobaczy ją. Pociągnęła pętelkę, odcięła półksiężyc drutem i odłożyła go do torby. Zeszła jeden krok, opierając stopę na kolejnym śliskim półksiężycu, i powtórzyła operację. Ledwie zdążyła zniknąć pod balkonem, kiedy usłyszała: „Ha”.

Żółte światło przecięło ciemność, kiedy Baya Niel wysunął luksynową pochodnię oświetlając miejsce, w którym Teia dopiero co była.

I zaraz ją cofnął.

Usłyszała, że drzwi otwierają się i zamykają.

Poczekala chwilkę, aż mięśnie jej odpoczną. Potrzebowały tego, ale zbyt długa zwłoka oznaczała zimne palce, które zgrabieją i stracą zręczność.

Mimo to działała metodycznie i bez kłopotu zeszła na balkon. W pokoju siedział plecami do niej spowity w grubą pelerynę mężczyzna. Na jego widok omal nie zemdlala.

Słyszając jej nadejście, uniósł dłoń w rękawiczce, w której trzymał list, ale się nie odwrócił.

W liście napisano: „Ten człowiek zwinie linę, kiedy już z niej skorzystasz. Nie rozmawiaj z nim. Nie może poznać twojej tożsamości, ani ty jego. Grozi mu niebezpieczeństwo już z

powodu tego co robi. Niczego mu nie zostawiaj. Masz minutę od chwili oddania mu listu, potem usunie linę”.

Teia sprawdziła, czy wszystkie rzeczy nadal leżą bezpiecznie w plecaku, nie licząc jednego półksiężycy, który upuściła. Oddała mężczyźnie list, zobaczyła szybki rozbłysk papieru pożeranego przez ogień i zsunęła się po linie na następny balkon. Rozluźniła ramiona. Łatwizna.

Zjechała windą na poziom czarnogwardyjskich koszar i wpadła prosto na Kipa.

– Hej! – powiedział. – Wszędzie cię szukałem. Koniecznie muszę z tobą o czymś porozmawiać. Dlaczego jesteś mokra?

Teia nie chciała rozmawiać z Kipem, póki miała przy sobie skradziony migotliwy płaszcz i kilkanaście półksiężyców do wspinaczki, zwłaszcza że najbardziej oczywistym miejscem, do jakiego Kip mógł ją zabrać, były koszary Czarnej Gwardii albo dziedzińce treningowe na dole, gdzie będzie musiała się przebrać, narażając siebie i skradzione rzeczy.

– Dokąd idziesz? – zapytała, ignorując jego pytanie.

– Pomyślałem, że pójdziemy do mnie. Jak mówiłem, mam sprawę.

– Jakiś ty tajemniczy – zachnęła się.

Chciała, żeby zabrzmiało to kpiarsko, ale zostało jej niewiele cierpliwości.

Opuścił ręce, jakby uderzyła go w czułe miejsce.

– Teia – powiedział. – Proszę. Proszę?

Kip poważny, skruszony i bezbronny? Teraz nie mam wyjścia, muszę z nim pójść.

Pomyślała o objęciach, których nie odwzajemniła, i jak tego żałowała. Kip, masz potworne wyczucie chwili. Najgorsze.

– Pewnie – zgodziła się.

Przez ciebie zginę.

Poszła za nim. W połowie drogi wydało jej się, że usłyszała za plecami zgrzyt podeszwy na kamieniu. Zerknęła. Nic.

Zerknęła znowu, tym razem w parylu i zobaczyła Mordercę Sharpa, który szedł za nimi niewidzialny. Położył palec na ustach, zabraniając jej cokolwiek mówić czy robić. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie mogłaby zrzucić plecaka i po prostu zostawić go, kiedy będą skręcać za róg. Z pewnością pan Sharp nie miałby wyboru i musiałby go podnieść, może wtedy zostawiłby ją w spokoju?

A gdyby nie okazała się dostatecznie zręczna? Gdyby Kip zauważył, że kombinuje coś dziwnego z plecakiem? Natychmiast zapytałby, a potem stałby się nieustępliwy i nie zostawiłby jej w spokoju, dopóki nie dowiedziałby się, co jest w środku. Zawsze był taki ciekawski, zawsze chciał wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. Jak niegrzeczny kocur.

Poszli więc do pokoju Kipa, a w niej narastała groza. W parylu zobaczyła gest pana

Sharpa, natarczywy. O, do diabła, nie. Nie mogła jednak sprzeciwić się Mordercy Sharpowi, nie w tej chwili. Nigdy.

Zostawiła drzwi otwarte i pan Sharp wszedł do środka, niewidzialny, by usłyszeć wszystkie ich sekrety.

– Nareszcie – powiedział Kip. – Sam na sam.

ROZDZIAŁ 73

– Rzecz w tym, Teia. Do diabła, cały czas mówię „rzecz w tym”. – Westchnął ciężko. – Oboje wiemy, że nie dostanę się do Czarnej Gwardii.

– Co? Nie, nie wiemy.

– Żartujesz? – zapytał Kip.

Z pewnością on jeden był aż tak ślepy.

– Co ty wygadujesz? Nasza drużyna jest najlepsza w Czarnej Gwardii. Twoje umiejętności cały czas rosną. Łamacz, skończ z tym. Wiecznie się martwisz. Jesteś...

– Nie martwię się tym! – odparł, jakby to było idiotyczne podejrzenie. Co, rzecz jasna, było nie w porządku, ponieważ zamartwiał się z tego powodu dokładnie od chwili, kiedy poznał Teię.

– Martwiłeś się z tego powodu, odkąd cię...

– Teia, jestem Guilem. Za żadne skarby nie pozwolą mi złożyć ostatecznych ślubów. Kogo zezwoliliby strzec Guile’owi? Kogo by mi powierzyli? Zaszedłem tak daleko, ponieważ z powodu wojny wszyscy patrzą w inną stronę. Ale co, kiedy nadejdzie czas ostatecznych ślubów? Pewnie mój dziadek wyskoczy z innymi planami wobec mnie. Albo może Biel. Może któryś z innych Kolorów. Jestem synem swojego ojca, a to znaczy, że mam wartość dla ludzi, których nawet nie znam, ludzi, którzy nienawidzą mojej rodziny. A ci jeszcze nie ruszyli, bo chociaż uważają, że mój ojciec nie żyje, nie wiedzą, jak bardzo Andross mnie nienawidzi. Kiedy tylko zdadzą sobie sprawę, że mnie nie chroni albo... – Urwał. Na miłość Orholama, omal nie powiedział „albo zjawi się mój przyrodni brat, Zymun”. O mały włos się nie wygadał. – Jestem udupiony, Teia.

– Ej, Czarnogwardzista panuje nad językiem. – Zerknęła w bok.

Kip przewrócił oczami.

– Właśnie. Innymi słowy to nie ja. Jestem tylko uznanym synem, o którym wszyscy wiedzą, że tak naprawdę jest bękartem, ale skoro Guileowie chcą udawać, że jestem prawowitym synem, to cóż, są Guileami. Dostają, co chcą. Kolejny powód, żeby nas nienawidzić. To było marzenie. Właściwie to myślę, że mój ojciec pchnął mnie do Czarnej Gwardii tylko po to, żebym nauczył się walczyć. Ten zimny, sprytny...

– Może zrobił to, żebyś znalazł przyjaciół. Może niesprawiedliwie oceniasz człowieka, który dał ci wszystko.

– Zaczynam mieć wątpliwości co do mojego świętego ojca. – Kip odgarnął włosy. – W każdym razie. W każdym razie! Zatem... Nie zostanę Czarnogwardzistą. Pomyśl, co to znaczy.

Myślał, że Teia błyskawicznie zrozumie.

– Kip! – zachnęła się. – Nie mam pojęcia, co masz na myśli.

Pobladł, odwrócił wzrok, nagle poczuł się odsłonięty. Poruszył się niespokojnie.

– Czarnogwardziści nie mogą... Czarnogwardziści nie mogą wiązać się z innymi Czarnogwardzistami.

– Jasne – powiedziała, jakby oznajmił rzecz trywialną.

Nie. Łączyła. Kropek.

Nie każ mi tego mówić, Teia.

– Gdybym jednak nie był Czarnogwardzistą, mógłby się związać z kimś, kto... nim jest.

– Jaaasne – zgodziła się. Uniosła brew, jakby zachęcała małe dziecko: Posłusz się słowami, Kip. A potem nagle zakryła usta. – Kurna!

Nie na taką reakcję miał nadzieję. Ale jak się powiedziało „A”, trzeba powiedzieć „B”. Zagapił się na ścianę. Czuł się, jakby wydierał sobie serce i rzucał nim w ten punkt.

– Wkrótce skończą mi się przyjaciele i sprzymierzeńcy. Straszliwie rozgniewałem dziadka, a wystarczy jedno słowo, żeby zakończył moją kadencję w Czarnej Gwardii. W końcu nie będziecie... Wszyscy będziecie mieli obowiązki, a niektóre mogą obejmować powstrzymanie mnie przed, no wiesz, zabiciem dziadka.

– Kip, przecież o tobie nie zapomnimy.

– Nie, wręcz przeciwnie. Albo jeszcze gorzej. Cały sens Czarnej Gwardii sprowadza się do tego, że jesteście winni lojalność tylko Czarnej Gwardii i temu, komu Biel powie, że macie być lojalni. Promachosowi? Może twoim zadaniem będzie zabicie mnie, ot tak.

Był zły, ale nie na nią. Zachowywał się niesprawiedliwie. Wciągnął ją w pułapkę. Może nawet nie zastanawiała się nad tym. Aż do niedawna sam znajdował ulgę w tym, że należy do bractwa, gdzie przez pewien czas nie musi myśleć o związkach.

– Kip, nigdy nie zwrócilibyśmy się przeciwko...

Mówiła w liczbie mnogiej. „My”, nie „ja”.

– Rzecz w tym, że przyjaciele, to luksus, którego mogę nie poznać – przerwał jej. – Zatem potrzebuję sprzymierzeńców. Tisis mi to oferuje. Chcę...

– Tisis?

– ...chcę usłyszeć od ciebie, czy istnieje dobry powód, dla którego powinienem odrzucić jej propozycję.

To było szorstkie. Zachował się jak dupek i nic na to nie mógł poradzić. Spojrzał na Teię i wydawało mu się, że ona już oddała się wraz z jego nadziejami.

-Jej propozycję? Propozycję czego?

Nie wyraził tego jasno?

– Zapropowała mi małżeństwo.

– Małżeństwo?!

-Tylko dzięki temu mogę uzyskać naprawdę solidny sojusz. Nawet promachos nie może rozwiązać małżeństwa.

– Mówisz poważnie... Kip, masz szesnaście lat!

– Siedemnaście za kilka miesięcy. Dziesięć. Za dziesięć miesięcy.

– Małżeństwo, Kip. Małżeństwo. Tak, istnieje tysiąc dobrych powodów. Na przykład...

Na przykład... No w końcu masz tylko szesnaście...

– Nie szukam tysiąca powodów, żeby jej odmówić. Szukam jednego. Szukałem.

I nagle – a było to przerażające i irytujące – łzy napłynęły mu do oczu. Odetchnął głęboko, zamrugał raz, drugi, ale to nie miało znaczenia. Łzy wezbrały – on nie mógł wykrztusić słowa – i popłynęły mu po policzkach.

Odrzucenie. Ze strony Teii.

Trzeba było ją przelecieć, kiedy miałeś szansę, odezwał się w jego głowie Andross Guile. I Kip się zawstydził.

– Przepraszam – powiedział jakimś' cudem spokojnym głosem. Ze ściśniętym, jakże ściśniętym gardłem, ale cicho i spokojnie. – To dla nas obojga żenujące. Przepraszam.

Byłem niesprawiedliwy. Pozwól...

Teia patrzyła na niego całkowicie oszołomiona i odebrało jej mowę.

– Pozwól, że cię zostawię samą.

To był jego pokój, ale chciał wyjść. Nie mógł tam oddychać, nie mógł patrzeć na nią ani sekundy dłużej. Bez mała wybiegł na korytarz. Poszedł do wind, ale nie było żadnej na tym piętrze. Założył zielone okulary – ukrywały jego oczy – i wykrzesał sobie hamulec. Nigdy dotąd tego nie robił, ale widział, jak się to robi. Ach, do diabła z tym wszystkim.

Przymocował hamulec do jednej z lin kotwiczących, złapał się obiema rękami poprzeczki i wskoczył do dziury.

Okazuje się, że nagłe przerażenie może być całkiem orzeźwiające.

Jednakże przerażenie trwało tylko sekundę. Kip śmignął w dół szybem, mijając zaniepokojonych dyscypułów i preceptorów. Poziomy za poziomami rozmazywały mu się w łzach i żalu. Skorzystał z hamulca i zatrzymał się gwałtownie na swoim poziomie – w piwnicy, gdzie tak często trenował.

Sala treningowa Pryzmata była pusta. Dzięki Orholamowi. Kip wrzucił okulary z powrotem do pokrowca i uderzył wszystkie panele, zalewając pokój kolorowym światłem w siedmiu widmach. Wszelkie krzesanie będzie łatwe. Zrzucił tunikę i podszedł do ciężkiego

worka. Potrzebował całej dyscypliny, żeby zacząć od rozgrzewki. Gdyby natychmiast zaczął z całej siły walić w worek, tylko nadwyrężyłby sobie przekłete nadgarstki.

Jakąkolwiek przewagę zyskał, uciekając przed swoją słabością, zmniejszyła się, kiedy zaczął uderzać w worek. Okrążanie rozkołysanej skóry j trocin nie było dość szybkie, żeby uciec przed własną głupotą. Ból, który przenikał od nadgarstka przez łokieć i ramię, nie był dostatecznie ostry, żeby pokonać wstyd. O co on pytał? Jak mógł nie dostrzec, że siedziała osłupiała? Jak mógł nie skorzystać z cichego wyjścia, jakie oferowały mu jej puste, ogłupiałe spojrzenia?

Nie. Kip zaszarżował naprzód. Jak tępe zwierzę. Z całą gracją żółwio--niedźwiedzia.

Jego pięści waliły z głuchym łomotem w worek, nadgarstki go bolały, tkanka łączna krzyczała, że uderza za mocno. Jeszcze się nie rozgrzał, ale nic nie mógł na to poradzić i uderzał, aż przekroczył próg bólu. Jakby ból mógł wszystko inne wymazać.

Dlaczego zapędził Teię w kozi róg, gdzie już nic nie mogła powiedzieć? Chciał ją stracić. To jedyne wyjaśnienie.

Próbował sobie wyobrazić, jak brzmiałyby właściwa reakcja.

Nie potrafił.

To wszystko jego wina. Bękart i wyrzutek sam zdecydował, że pozostanie bękartem i wyrzutkiem. Uderzał i uderzał, łomot luksusowych rękawic o skórę stał się jego głosem. Potrafił ocenić każdy cios po odgłosie i wkrótce zaczął je poprawiać – większe napięcie mięśni brzucha, żeby włożyć większą siłę w cios, przestawienie stopy, żeby zyskać lepsze oparcie, wycucie właściwej chwili, kiedy worek powracał po odchyleniu.

Jednak nie było ucieczki. Uwierzył, że może mieć przyjaciół. Że tu, w Chromerii, w samym centrum wszystkich wydarzeń, nie będzie już sam. Jednak Gavin przepadł, Karris była wściekła, Teia go nie chciała, przyjaciele zostaną mu odebrani i nigdy więcej nie będzie mógł im zaufać. Kip znowu był sam i tym razem ostatecznie, nieodwracalnie.

I co z tym zrobisz? Będziesz płakał z tego powodu? Współczuł sobie? Biedny mały Kip z Rehtonu, biedny mały grubas.

Zamknął oczy i spróbował trafić worek po omacku. To zawsze było wykonalne raczej w teorii niż w praktyce – wiesz, jaki worek ma kształt, wiesz, jak się kołysze, gdzie wisi, i wiesz, jak mocno i w które miejsce uderzyłeś, więc powinieneś być w stanie zorientować się, gdzie się znajdzie. I znowu. Racja?

Oczywiście nie było to nawet w przybliżeniu tak proste. Można o Kipie powiedzieć różne rzeczy, ale wiele mu brakowało do bycia ślepym wojownikiem.

Wreszcie ścięgną w rękach i całą powierzchnię pięści odbierał raczej jako gorące niż obolałe. Mięśnie mu się rozgrzały. Kopnął worek, rozkoszując się niskim, mięsistym odgłosem idealnie wymierzonego kopniaka.

Poślubi Tisis. Naprawdę to robi.

Zrobiła dokładnie to, przed czym ostrzegał go dziadek – uwiodła go, żeby ją ratował, nie musząc nawet uciekać się do rzeczywistego, fizycznego uwiedzenia.

I jeszcze ten przeklęty puszczający szew na worku. Nadal był tak samo poluzowany, jak kilka miesięcy temu. Do diabła! Niczego nie osiągnął.

Skupił się na tej stronie, ścigając ją, kiedy worek się obracał, uderzając lewym hakiem, żeby obróciła się w prawo, a potem kopiąc z całej siły.

A potem zaczął potęgować. Taką nazwę wymyśliła drużyna na sztuczkę Kipa z wystrzeliwaniem luksynu w czasie ruchu dla zwiększenia szybkości. Potęgowanie było, jak wszyscy uznali jednogłośnie, niewiarygodnie niebezpieczne. Gdyby Kip wystrzelił luksyn z ramienia w czasie uderzenia, trafiłby worek z niemal dwukrotnie większą siłą niż normalnie. Świetnie, tyle że uderzenie z taką siłą mogło mu pogruchotać dłoń, nadgarstek i pewnie złamać rękę. Potęgowanie nie wzmacniało człowieka, tylko przyśpieszało ruch.

Zaliczali więcej wpadek i zderzeń, i zbierali więcej drobnych obrażeń niż jakakolwiek drużyna w historii Czarnej Gwardii.

Zyskali dzięki temu trochę zabawnych historyjek – na przykład, raz patrzyli, jak Ferkudi potęgował, żeby szybciej biec. Wystrzelił luksyn z ramion, przez co naprawdę biegł bardzo szybko przez kilka chwil, dopóki nie wylądował na twarzy. Przeszorował nią mocno i dopiero teraz schodziły mu z twarzy ostatnie strupy. Cruixer przekoziołkował prosto na Daelosa, próbując nauczyć się wyżej skakać.

Kip zastanawiał się wcześniej na głos, czy dałoby się pokryć kości trwałym złotym luksynem (pod warunkiem, że potrafisz krzesać zestalony złoty luksyn), sprawić, że staną się nie do złamania, i móc wtedy uderzać we wszystko. Teia zwróciła uwagę, że ścięgnięta skóra nadal pozostaną wrażliwe. Cruixer wytknął mu, że to byłoby wcielenie, a więc rzecz zakazana i karana śmiercią. „To właśnie od tego zaczynają koloraki”, powiedział, „ulepszają ciało to tu, to tam, żeby uzyskać pewną przewagę”.

Teraz popełnił błąd, zaczynając potęgowanie od czerwonego luksynu. Zysk był taki, że czerwony ma konkretny ciężar, więc dla uzyskania odpowiedniego efektu można było mniej krzesać. Jednak czerwony to nie sama masa i powinien już to wiedzieć. Emocje zalały go, a pierwszą z nich była wściekłość.

Kopniak. Wściekłość, bo wyszedł na głupca. Kopniak. Wściekłość na Androssa Guile. Kopniak. Wściekłość na Gavina Guile za to, że go tu zostawił. Wściekłość na Karris i Teię, bo go odrzuciły. Wściekłość z powodu własnej słabości.

Wściekłość przeszła w furję, furia w niepoczytalność.

Wymierzył kopnięcie okrężne prosto w poluzowany, bezczelny szew i furia wzrosła. Wal w niego. Nic. Okładał wór, okładał, okładał. Świat rozplynał się w bólu, uporze i tym

jednym przeklętym poluzowanym szwie. Kip był tym szwem, czekającym, aż go przetnie albo zaszyje siła potężniejsza od niego samego. Bach, bach, bach. Worek kołysał się w tę i z powrotem, pięści Kipa były jak rozmazana plama, łomot ciosów przetykał łoskot potężnych, spotęgowanych luksynem ciosów. Robiło mu się coraz goręcej, przegrzewał się, więc wykrzeszał trochę podczerwieni dla ochłody, a ona rozpałała jego wściekłość jeszcze mocniej, wymazała ból, wymazała zdrowy rozsądek. Stał się bestią, czystą nienawiścią, ryk wyrwał się z jakiegoś zakamarka głęboko w nim.

Ryknął i kiedy czerwony luksyn trysnął mu z pięty, podczerwony także popłynął, i luksyn się zapalił. Kopniak pod względem technicznym był doskonały, perfekcyjnie wyważony, mięśnie i opór sprawiły, że miejsce, którym uderzał – połączenie łydki ze stopą – strzeliło jak bat. Jednak spotęgowany ogniem kopniak uderzył w worek z niewiarygodną siłą.

Rozległy się dwa trzaski. Jeden Kip poczuł, drugi usłyszał.

Nie wiedział jeszcze, co się stało, bo zmiotło go z nóg. Noga podstawna mogła przyjąć na siebie określony ciężar przy obrocie, a on go podwoił, może potroił. Padł ciężko na bok.

Zastanawiał się, czy złamał nogę. Poruszył stopą. Bolało. Rozciągnął. Nadal bolało, ale noga nie wyglądała na złamaną. Bolało? Bolało tak, że naprawdę, ale to naprawdę nie mógł nawet zakląć pod nosem, bo nie był w stanie złapać tchu – aż tak go bolało.

Kip przeturlał się z grymasem i, dysząc, usiadł. Wór treningowy leżał na ziemi. Kip zerwał go z łańcucha i teraz worek leżał na podłodze. Nie pękł jednak.

Po prostu... Ożeż, kurwa. Po prostu spadł.

I leżał tak, kpiąc sobie z niego. Kip wstał. O, rety. Naprawdę bolało. Pokuśtykał do worka. Nie, zdecydowanie nie pękł. Poluzowany szew nadal był poluzowany.

Drwił sobie z niego.

Tyle że Kip usłyszał dwa trzaski jednocześnie. Jeżeli jeden oznaczał oderwany skórzany wieszak na górze worka, to co oznaczał drugi? Uderzenie worka o podłogę? Nie.

Drugi trzask dobiegł z wnętrza. Kip był o tym przekonany.

Ach, do diabła z tym. I tak będzie musiał wytłumaczyć się przed Żelazną Pięścią z zerwanego worka. Jak się nad tym zastanowić, to prędzej czy później i tak wyleci z Czarnej Gwardii, więc co ma do stracenia?

Zerknął na niebieskie światło i wykrzeszał mały niebieski nożyk. Usiadł i przyłożył nóż do szwu, gdzie ścieg puszczał.

Miesiące walenia w ten wór z jednego powodu. Przez cały czas starał się uzyskać jedną durną rzecz i nie udawało mu się, a teraz się poddawał? Naprawdę chciał ciosem otworzyć ten wór. Ach, cóż.

Szew rozszedł się i odsłonił... trociny. Kip usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze

i wsunął rękę w trociny, robiąc bałagan na podłodze. Skoro zaszedł już tak daleko...

Musiał grzebać tylko chwilę, zanim poczuł. Pudełko, ukryte głęboko w środku worka, gdzie tylko najmocniejsze ciosy mogły dotrzeć. Wkrótce je wyjął.

Aż mu zaparło dech. Znał to pudełko na karty. Nie, nie na zwykłe karty. Na te karty. Drzewo oliwne i kość, pudełko akurat tak duże, żeby zmieścić jedną talię. To było pudełko Janus Borig; to tutaj je ukryła przed ludźmi, którzy ją zamordowali. Pudełko, które z radością oddał swojemu ojcu, Gavinowi. Cenne drewno pękło przez sam środek od kopnięcia Kipa.

Rety.

Zrzucił trociny i drżącymi dłońmi otworzył pudełko. Leżały tam nowe karty. Wszystkie cenne karty, skarb o niewyobrażalnej wartości, ukryte prawdy na temat królów, satrapów, Kolorów i wielu największych żyjących obecnie i w ciągu ostatnich dwustu lat kobiet i mężczyzn. Wszystkie znajdowały się tutaj.

Gavin musiał wiedzieć, zważywszy na to jak często wyjeżdżał, że jego rzeczy są przeszukiwane. Dlatego ukrył karty tutaj, gdzie znalazłby je albo Kip, albo Żelazna Pięść. Co oczywiście przywoływało oczywiste pytanie: gdzie on ukryje taki skarb, skoro już udowodnił, że jest fatalny w chowaniu rzeczy, a Andross Guile udowodnił, do jakiego stopnia jest gotowy pogwałcić prywatność Kipa. Może powinien je oddać, zawrzeć umowę z Androssem? Oddanie ich oznaczałoby, że Kip stracił nadzieję na powrót ojca.

Z tym jednak mógł poczekać.

Dreszcz przeszedł mu po mokrych od potu przedramionach, wzdłuż kręgosłupa aż po skórę głowy. Kip wstał, szturchnął worek. Więcej trocin wysypało się na podłogę. Zapłacił za ten bałagan. Ale nie tylko trociny wypadły. Leżało tam drugie pudełko na karty, które Kip już raz w przelocie widział. Pudełko Androssa Guile, to, o które pytał Kipa, czy go nie ukradł. To Gavin je ukradł.

A teraz oba trafiły do Kipa.

To jednak też mogło zaczekać. Miał karty. Dorobek życiowy Janus Borig. Jej arcydzieło. Cud świata. Kip przejrzał je raz, kiedy jeszcze nic nie widział. W głowie mu się kręciło, dygotał. Otworzył pęknięte pudełko i wyjął całą talię.

Przeszył go rozbłysk radości, intensywny i palący jak brandy bez lodu.

Dziwne. Nie miał wrażenia, że to jego radość. Rozejrzał się po sali, po oświetlających ją siedmiu intensywnych kolorach. Ile z nich w przelocie krzesał? Może to nie jest najlepszy pomysł, żeby krzesać i trzymać...

Talia w jego dłoni wibrowała. To nie jego ręka się trzęsła, to same karty na coś reagowały.

Kip odrzucił od siebie talię, ale karty najpierw wypadły mu z ręki, a potem skoczyły ku

niemu jak żelazne opiłki do magnesu i przykleiły się do jego nagiej skóry. Reszta talii uderzyła w jego nagi tors – trzask, trzask, trzask. Siedem kolorów, więcej nawet, buchnęło przez Kipa, wybuchło poza granice jego ciała. Czuł ogień, przenikliwy chłód i ból.

Zataczał się w kółko, oślepiiony – trzask, trzask, trzask – karty uderzały o nagą skórę pleców. Oderwał karty od piersi, a one – pstryk, pstryk, pstryk – przypadły punktami rezonującymi do jego palców. Kiedy jedna karta odpadała od dłoni, kolejna skakała mu do palców, i zaraz następna. Były za szybkie, zbyt lepkie i już nie paliły mu po prostu palców. Każda wwiercała się w jego skórę w wielu punktach. Krzyczał.

Poświata rozbłysła w pokoju przed nim. Postać wypełniona chwałą jak światłem, uderzająco piękna, od której nie sposób było oderwać oczy. Rea Siluz, bibliotekarka w aureoli ciemnych włosów i o pełnych ustach, kobieta, która wysłała Kipa do Janus Borig. Tyle że Kip nie uważał już, żeby określenie „kobieta” do niej pasowało.

Spadał...

Nie, skakał... Nie, walczył, płonące miecze w obu rękach... Nie, przeklinał kobietę, za którą oddał swoją satrapię... Nie, słyszał młodego Czarnogwardzistę, który mówi: „To nie jest wcielenie, sir”.

Finer rażno salutuje i zeskakuje z urwiska. Wspaniały sukinsyn. W drodze na dół wywija koziołka...

Kip uderza o podłogę, a uderzenie sprawia, że wraca do siebie. Rea uklęknęła obok niego.

-Łamacz, nie mogę ci w tym pomóc. Wydostań się, bo inaczej umrzesz.

Światło odzierało ciało z kości, strugało kości na drzazgi, mieliło drzazgi na trociny, ścierało trociny na pył.

Wiatr z samego światła, oddech Orholama, opływający to, co kiedyś było Kipem, i rozwiewający go. Rozdmuchujący we wszystkie zakamarki Siedmiu Satrapii i dalej. Rozrzucał go od teraźniejszości w przeszłość. Wydmuchiwał poza czas, jak Orholam jest poza czasem.

Stawała się kolorakiem, jak przestrzegali ją wszyscy luksjaci całe jej życie. Przełamała halo. Powinna popełnić samobójstwo. To było jedyne wyjście. Co innego mogła zrobić? Książę Barw obstawiał, że przyłączy się do niego, że straci rozum dokładnie w taki sposób, w jaki on sobie życzył. Wygryzła maleńką dziurkę w namiocie, wpuszczając maleńki promyk światła. Jeśli posłuży się malutkim szafirem, który podarował jej Fioletowy Niedźwiedź Usef, powinna...

Zee Dębowa Tarcza mruga, żeby oczyścić oczy. Po obu stronach Wielkiej Rzeki stoją wrogie armie. Serce jej się ściska na sam widok. To nie jest strach. To żal. Powinna była bardziej się postarać. Nie powinna była rzucać tych żartobliwych powiedzonek prosto w twarz Darienowi Guile. Rozbłysk zadowolenia, bo przechytryła jednego z

najbystrzejszych mężczyzn na świecie, śmiech arystokratów tamtego dnia, dzisiaj zostaną opłacone krwią zwykłych ludzi...

Jej pióro skrzypi w precyzyjnych linijkach: „Pies. Dzień 1207. Nadal nie ma różnic w fizjologii, poza tymi, które poniższy badacz już opisał. Nie wykryto zmian w psychologii, chociaż podtrzymuję uprzednie zastrzeżenia odnośnie do ograniczeń badania psiego umysłu. Dzień po dniu rośnie przekonanie badacza, że można bezpiecznie posłużyć się wcielonym krzesaniem, o ile surowo przestrzega się protokołu. To niebezpieczna ścieżka, ale Chromeria jest przesadnie ostrożna. Luksyn stosownie zamknięty przed implantacją nie różni się, więcej nawet, jest znacznie bezpieczniejszy, od zwykłych materiałów. Gdyby...”.

Chwiejnie wychodzi z płonącego dworu Białodębów na Wielkim Jaspisie, płomienie liżą niebo. Skóra mu schodzi. Wrzeszczy, nawet kiedy uzdrowiciele już nadbiegają...

Kip łapie gwałtownie powietrze. Szarpie nim odruch wymiotny, ale wizje nie odchodzą. Za dużo mocy przepływa przez niego, już niczego nie widzi. Wrzeszczy zdartym gardłem... albo próbuje. Krzyk zamiera mu w gardle.

– Kip, Łamacz, posłuchaj: twoje serce się zatrzymało. Masz niewiele czasu. Nie pozwól, żeby twoją uwagę odciągnął...

Jego oczy nie zamykają się, nie mogą, ale obrazy ciągle migoczą, jakby mrugał.

Gavin otwiera oczy i dostrzega to samo złote piekło, które powitał... Ceres zachowuje się jak suka, myśli sobie Artylerzystą...

Musi być ostatnią żywą Czarnogwardzistką...

Orholamie, czarny luksyn. Czarny! To...

Światło zabija...

Ona...

ROZDZIAŁ 74

– Dziwny chłopak – powiedział Morderca Sharp kilka sekund po rym, jak Kip opuścił pokój.

Pan Sharp przestał być niewidzialny. Odpiął przód maski, jakby przyprawiała go o klaustrofobię.

– Powiedz jeszcze jedno słowo o moim przyjacielu. Odważ się – odpowiedziała Teia.

Twarz Mordercy Sharpa wykrzywiła się, jakby napił się octu, kiedy spodziewał się wina.

– Jest czas i miejsce, kiedy można nauczyć ucznia dyscypliny. Niestety, to nie jest ten czas i miejsce. To... – Machnął ręką wokół siebie. – To jest słabość, Adrasteio, i najlepiej ci będzie bez niej.

Spróbowała stworzyć w myślach pudełko i wrzucić do niego wszystkie emocje. Wszystko, co ujawni, stanie się bronią przeciwko niej.

– Nie możesz go chronić. Wiesz to, prawda? – powiedział pan Sharp. – Nie przede mną. Zwłaszcza przede mną. Zastanawiam się, co byś zrobiła, gdybym powiedział ci, że, aby się wykazać, musisz go zabić.

– Może wydaj mi taki rozkaz, to się przekonamy.

– Och, jakaż stał skrywa się w tobie. To mi się podoba. – Posłał jej dziwny, drapieżny uśmiech, w którym wydawało się, że chce pokazać wszystkie swoje idealne zęby naraz. – Masz coś dla mnie?

Teia rzuciła mu płaszcz i podała półksiężyc do wspinaczki.

– Upuściłam jeden – powiedziała. – Musiałam szybko opuścić apartamenty Bieli. Czarnogwardzista prawie przyłapał mnie na balkonie.

– Ale nie przyłapał?

– Przecież jestem tu, prawda?

Wtedy ją przeszukał. To było beznamienne nadużycie, jakby rozebrał ją do naga mężczyzna, który woli chłopców. Dzięki temu było to nieco bardziej znośne, ale niewiele bardziej. Zaczął od skóry głowy, brutalnie wsuwając palce we włosy. Gdyby poświęcała czas na fryzurę, byłaby wściekła, ale Łuczniczki były zbyt praktyczne, żeby nosić wyrafinowane uczesania poza dniami świątecznymi.

– Nie może pan posłużyć się parylem?

– Nie jest nieomylny, jak zapewne wiesz.

Tak? Właściwie to nie wiedziała. Niech to...

Morderca Sharp wbił mocno dwa palce w jej pachwinę. Od przodu i od tyłu. Była tak zaskoczona, tak wstrząśnięta, że nawet nic nie zrobiła. A potem było już po wszystkim.

– Kiedy byłem w Ha... – Morderca Sharp ugryzł się w język. – Kiedy byłem w więzieniu, przekonałem się, co ludzie potrafią włożyć... i gdzie. Kurzyć mgiełkę, która cuchnie... gnojem? Nigdy w życiu nie sięgnąłbym po tak desperackie środki. Nawet żeby się dopasować. Był taki jeden Tyreńczyk, co chował noże w... Cóż. Przeszukano go brutalnie i całego pocięli od środka. Nie przeżył, ale przez długi czas śmialiśmy się, że... dał dupy.

Przezabawne.

Zostawił ją i rozwinął płaszcz.

– Tylko jeden? Spalony płaszcz Gebalyn?

– Był tam tylko jeden.

– Czyżby?

– Tak. Jednak dziwi mnie, że wysłał mnie pan z takim zadaniem. Chciał się pan przekonać, jak bardzo jestem tępa? Gdybym znalazła oba płaszcze, spodziewałby się pan, że je panu przyniosę? Dlaczego miałabym sprawić, że stanę się dla pana mniej cenna, dla człowieka, który z taką łatwością zabija?

Na twarzy Mordercy Sharpa przelotnie ukazało się zmartwienie. Naprawdę nie przemyślał sobie tego. Pytanie brzmiało: czy przemyślał to ten, kto wydawał rozkazy?

– To była próba mojego sprytu? – spytała.

Grymas na jego wiecznie uśmiechniętej twarzy.

– Możliwe. Niemniej dobra robota. Przyniosłaś migotliwy płaszcz, a to więcej niż wielu w Zakonie Złamanego Oka dokonało w ciągu wieku. Nawet jeśli podano ci go na talerzu.

Na chwilę Teii zamarło serce. Wiedział o pomocy Bieli!

A potem zdała sobie sprawę, że pan Sharp ma na myśli swoją pomoc, dzięki której jej zadanie stało się proste.

– Było wietrznie – rzuciła Teia, żeby coś powiedzieć.

– Sam nigdy nie lubiłem wysokości. Ale za to nam płacą, co?

Złożył skradziony płaszcz szybkimi ruchami.

– Zapłaci mi pan?

– Oczywiście, że nie. Jak wyjaśniłabyś, skąd wzięłaś pieniądze? Dostaję jednak zapłatę w twoim imieniu, za co pięknie ci dziękuję. Dwa płaszcze byłyby jeszcze lepsze. – Spojrzał znowu na pelerynę. – Pozwoliłbym ci go zatrzymać, gdybym mógł. Podejrzewam, że zrobi się tu gorąco. Postaraj się nie dać się zabić.

I to powiedziawszy, zarzucił kaptur płaszcza, zasznurował pod brodą szybkimi, wprawnymi ruchami i wyszedł z pokoju.

A Teia została sama ze swoimi myślami. Które krążyły wokół Kipa.

Odetchnęła głęboko. Niech to diabli, Kip. Niech. To. Diabli.

Musiałeś to robić przy Mordercy Sharpie? Kiedy nie mogłam odpowiedzieć?

A jak odpowiedziałabym, gdyby go tam nie było?

Pewnie tak samo.

Co takiego było w Kipie, co ją mroziło? Kiedy trenowali, był jej partnerem i wszystko było proste. Wszystko płynęło gładko i łatwo, jakby byli prawą i lewą ręką, które razem pracują. Ufał jej tak bezwarunkowo, że sama ufała sobie bardziej w jego obecności. Sprawiał, że lepiej się ze sobą czuła.

Co było w tym takiego przerażającego?

I dlaczego to aż taka niespodzianka? Kiedy ją objął, to nie były zwykłe objęcia, powinny odezwać się w niej dzwonki alarmowe. Powinna była od razu działać. Jeśli chciała być po prostu jego partnerką albo przyjaciółką, powinna była powiedzieć coś później. Coś jasnego, co nie byłoby przesadnie zenujące. Przeciąganie tego było okrucieństwem dobroci. Przyjaciel tak nie postępuje.

Nie, chciała się pławić w tej dodatkowej uwadze, ale chciała sytuację zamrozić na tym etapie. Nie chciała, żeby czegoś od niej oczekiwano, pragnęła tylko jego adoracji.

To wygląda na świetny układ. Dla mnie.

Dlaczego więc poczuła zjadliwą wściekłość na samą myśl o Tisis Malargos?

To nieco przesadna reakcja, hm?

Wiedziała, gdzie go teraz znajdzie. Będzie próbował zniszczyć ten ciężki wór treningowy. Chłopcy, jacy oni są prości.

Któregoś dnia powie mu, że Benhadad cichaczem naprawiał szew, odkąd zauważył, że Kip próbuje go rozwalić. Ojciec Benhadada był krawcem i chłopak specjalnie zostawił fragment ściegu poluzowany, a trzykrotnie wzmocnił resztę jego długości.

Żarcik sprawiał, że drużyna uśmiechała się znacząco za każdym razem, kiedy Kip bezlitośnie okładał worek.

To zabawne frustrować Guile'a, któremu życie podsuwało wszystko na talerzu.

Nagle żart wydał się niemożliwie małostkowy i okrutny.

Teraz to chyba nie najlepsza chwila, żeby powiedzieć mu o szwie.

Spojrzała na drzwi. Powinna pójść, zanim Kip zrobi coś głupiego.

Dlaczego to ja muszę być dorosła?

Myślisz, że z waszej dwójki to ty jesteś dorosła?

Niech to Orholam weźmie, pół godziny temu prawie spadłam ze ściany Wieży Pryzmata. Nie będę się bała rozmowy z chłopcem.

Złapała za klamkę. I puściła ją.

No dobra, będę się bała. To zupełnie inny rodzaj strachu. Ale to mnie nie powstrzyma.

Naburmuszyła się. To jej dodało siły. Głupi chłopak.

Z impetem otworzyła drzwi i patrząc chmurnie na każdego, kto wszedł w jej drogę, ruszyła do windy. Zatrzymała się kilka pięter niżej. Payam Navid, jeden z najprzystojniejszych mężczyzn w Chromerii, jeśli nie na całym świecie, wszedł do windy. Spojrzał na jej skwaszoną twarz. Był tak piękny, że pewnie pierwszy raz w życiu zobaczył kobietę, która się w jego obecności krzywiła. Pewnie nawet nie wiedział, że kobiety mogą się krzywić. Łajdak. To niesprawiedliwe, żeby ktoś był taki piękny.

– Nie... – zaczął.

– Nie odzywaj się do mnie.

– Ja tylko...

– Milcz.

– Daj spokój – powiedział, uśmiechając się i pokazując idealne zęby, które cudownie grały z jego wzrostem, ciemną karnacją i olśniewającą urodą.

Teia pociągnęła nosem i machnęła mu ręką przed twarzą.

– Cała ta twoja uroda? Jeszcze jedno słowo i będzie po niej.

Przez chwilę sprawiał wrażenie rozbawionego. Nie sięgała mu nawet do ramienia. Musiała wyglądać jak szczeniak, który go obszczekuje. Potem jednak jego oczy zabłysły na widok haftu z czarnogwardyjską rangą na ramieniu, wyszytą szarością na szarości. Przez jego idealną twarz przewaliła się mieszanina różnych uczuć i zaraz odwrócił wzrok przestraszony.

Wysiadł na następnym piętrze. Kiedy już nic mu nie groziło, odwrócił się i powiedział:

– A właściwie jak masz na imię?

Przewróciła oczami i położyła rękę na dźwigni.

– Miałabyś kiedyś ochotę pójść... – dodał, ale jej już nie było.

Odrobina pewności siebie, jaką znalazła w tym spotkaniu, dała jej dość siły, żeby wyjść z windy w podziemiach. Ale zaraz przystanąła.

Och, daj spokój. Nie bądź śmieszna!

Metodycznie przestawiała nogi, aż doszła do drzwi sali treningowej. I znowu zatrzymała się przed drzwiami. Ruchy!

Otworzyła drzwi. Uderzyły o ścianę mocniej niż chciała. Weszła do pomieszczenia, skruszona, chociaż nie taki miała zamiar.

Wtedy zobaczyła Kipa. Leżał na podłodze nieruchomy, nieprzytomny.

Co zrobił?

Wokół niego leżała aureola kart. Do Dziewięciu Króli? Ciężki wór leżał nieopodal na podłodze, rozpruty, wśród rozsypanych trocin. Oczy Kipa były otwarte, niewidzące. Nie

oddychał.

Nie, nie, nie!

Był nagi do pasa, miał zimną, lepką skórę. Przetoczyła go na plecy i na chwilę odzyskała nadzieję.

W jego otwartych oczach wirowały kolory, w Kipie żyły wszelkie kolory luksynu.

Ale sam Kip nie żył.

Nie było reakcji w tych oczach, tylko paleta barw wirujących w niekończącym się odpływie, znikająca, oddalająca się.

– Kip! Obudź się! Kip, wracaj! Łamacz!

Potrząsnęła nim, ale nie było żadnej reakcji.

Karty przywarły do niego jak pijawki, trzymały się ciała. Zaczęła je odrywać od skóry. Były trucizną. Zabijały go. Kiedy kolejne odpadały, zauważyła, że wir kolorów znika w jego skórze jak kropelki atramentu wpadające do szklanki wody. Co się działo?

Kiedy oderwała ostatnią, wstrzymała oddech. Kip się nie poruszył. Kolory wznoszące się i opadające jak skłębione chmury w jego oczach zaczęły znikać.

Wzięła w dłoń jego rękę. Ścisnęła ją mocno.

– Nie, Kip, nie.

Niestety, on nie żył.

ROZDZIAŁ 75

Bycie martwym nie było tym, czego Kip się spodziewał. Nadal był sobą, więc nie pograżył się w karcie, co do tego jednego miał pewność. Zatem uruchomił pułapkę, którą Janus Borig zostawiła w kartach. Niewątpliwie uwielbiała swoje śmiercionośne, z łatwością uruchamiane przez jej przyjaciół pułapki.

Było tu ciemno. Ciemno jak w grobie, ciemno, jakby miał zamknięte oczy. Które rzeczywiście miał zamknięte. Mały Kip, ciemny jak tabaka w rogu. Leżał twarzą do wypolerowanej drewnianej podłogi. Wstał (to dobrze. To dobrze, że mógł się poruszać, nie?) i odkrył, że znajduje się w bibliotece.

No, może nie w bibliotece, ale raczej w Bibliotece. Półki z intrygującego czerwonego drewna ciągnęły się po horyzont. Całe mile regałów, każdy pięć, sześć razy wyższy od człowieka. Kip powiódł spojrzeniem po kolejnych półkach pobliskiego regału obładowanego świeżo wydrukowanymi książkami, wędrując wzrokiem coraz wyżej. Znajdowały się tu drabiny na rolkach, pozwalające sięgnąć na wyższe półki, ale nie było sufitu. Nocne niebo jaśniało wysoko w górze, z gwiazdami, które nie mrugały. Tak czystych gwiazd Kip nigdy nie widział.

Nie był astrologiem, ale nie dostrzegwał ani jednej znajomej konstelacji. Ogarnęły go nagłe zawroty głowy od wysokości, jakby miał oderwać się od ziemi i polecieć w próżnię. Skierował wzrok z powrotem na półki.

Atasifusta. Rozpoznał drewno. Drewno, które wiecznie płonęło. Tyle że tutaj jedynie wypolerowano je na taki połysk, żeby dostarczało ciepłego, nastrojowego światła dla całej biblioteki. Cwana sztuczka. Kip zrobił krok w przód i zerknął w przejście między regałami, żeby przekonać się, jakie jest długie.

Nie było widać drugiego końca. Kip wrócił na poprzednie miejsce, jakby tam było bezpiecznie.

Odetchnął głęboko. Czekał, czy to był pierwszy oddech, jaki wziął, odkąd się tu pojawił? Czy musiał oddychać, będąc martwym i w ogóle? Och, jednak oddychał. Dziwne, że nie był przestraszony. Zdezorientowany, owszem. Zaintrygowany, bez wątpienia. Ale nie było w nim ani krztyny tchórzostwa.

No, może jedna krztyna.

Czy krztyna to miara tchórzostwa?

Jeszcze raz zaryzykował stanięcie w przejściu. Ach, nie było nieskończone, a jedynie na tyle szerokie, że takie się wydawało. Gdzieś w oceanicznej oddali dostrzegął coś, co mogło być ścianą, i po drugiej stronie to samo. Patrzenie w taką dal i uświadomienie sobie bezmiaru, znowu wywołało u niego zawroty głowy. Kip spojrzął więc na to, co znajdowało się pod ręką.

Nagły ruch i dokonał się akt stworzenia – wydawało się, że tylko dlatego, że on to obserwował. Półki w pobliżu wypełniły się eksplozją tekstów, wybuchem myśli jak wystrzałem z garłacza – myśli posłanych w eter w każdym języku, gdzie zderzyły się z medium typowym dla swoich czasów. Ogromne podwójne zwoje rozwijały się, wypełniały tekstem wypisywanym niewidzialnymi piórami i wymyślnymi iluminacjami, i przesuwały się dalej; całe stronicie tekstu rozwijały się z prasy i ustawiały jak żołnierze, rozcinane, zszywane z okładką, nim odlatywały na swoje miejsce na półce; papirus rozklepywano na płask w warstwach, a już zawile hieroglify tańczyły na jego powierzchni; gliniane tabliczki wygładzono do jednakowej grubości, ledwie je wypełniły drobniutkie odciskane znaki klinowe, a już tabliczki twardniały na słońcu lub w piecu; bambus rozbijano na płask, rozwłókniano i zszywano, pismo spadało po nim kolumnami jak strugi deszczu – tysiące rodzajów pisma, na skórze, na kamieniu, na drewnie i na papierze, na materiale, którego nazwy Kip nie znał; od lewej do prawej, od prawej do lewej, z góry na dół, wszystko naraz i bez żadnego dostrzegalnego porządku. Niektóre teksty leciały na półki w pobliżu, ale inne – jak te spisane w piśmie klinowym – odlatywały na odległe półki, wiele rzędów dalej.

Niemal u swoich stóp Kip dostrzegł bazgroły – na blacie stołu, który przypominał te stojące w klasach Chromerii. Napisane niewidzialną ręką, dziecięcym niezgrabnym pismem, skoczyły ku niemu litery:

Złoty Gług to wredna suka

Co na swendzenie leku szuka

Konsyliarz mówi: co za poruta

Trzeba poszukać lepszego fiu

Rymowanki nie dokończono, zanim pomknęła na jakąś półkę. Och, biedny gałgan. Kip wątpił, żeby preceptorka Złotogłóg dobrze przyjęła drwiny.

Stare rodzaje pisma, jakimi już się nie posługiwano, odleciały daleko, a rymowanka, która musiała powstać w ciągu ostatnich dziesięciu lat, wylądowała nieopodal. Zatem... A co, jeżeli w tym miejscu znajdowało się każde spisane słowo? Każde jedno słowo. I każde słowo, po zapisaniu, dodawano do zbioru.

Co znaczyło, że Kip stał w terażniejszości, twarzą ku przyszłości i patrzył, jak historia przetacza się powoli z lewa na prawo.

Obrócił się, spodziewając się, że stoi na skraju przepaści albo pustki.

Jednakże mylił się. Przyszłość rosła przed nim, mile za milami półek wypełnionych książkami. Zwoje powoli znikwały, w miarę jak wypierał) je drukowane książki, które z kolei zostały zastąpione błyszczącym metalem albo kawałkami kryształów, których Kip nie był w stanie nawet zidentyfikować gdzieś w oddali. A dalej za nimi, w odległej, odległej dali, a jednak nadal widoczna, znajdowała się ściana biblioteki.

Przyszłość się kończyła.

Kip znowu spojrzął na boki i tam także ledwie dostrzegł ściany. A gdy spojrzął w przeszłość... nic. Przeszłość mogła być skończona, ale sięgała dalej wstecz niż mógł sięgnąć wzrokiem i była głębsza niż przyszłość.

Umarłem i poszedłem do biblioteki? Pewnie, mogło być gorzej, ale w tym roku spędziłem mnóstwo czasu w bibliotekach. Dostatecznie dużo, w gruncie rzeczy. Muszę tu zostać na zawsze? A gdzie będę robił siku?

Pewnie martwi nie siusiają.

Tak samo jak nie oddychają?

Już miał ruszyć, żeby zbadać zawartość półek, kiedy mężczyzna spadł z nieba. Wylądował z hukiem lawiny tuż przed Kipem. Jego upadek wyglądał, jakby mężczyzna spadał całą wieczność, ale jakimś cudem lądowanie nawet nie przeciążyło mu kolan. Lądowanie w stylu Cruxera. Nawet gdyby Kip mógł trenować w Czarnej Gwardii sto lat, był przekonany, że nigdy nie opanowałby umiejętności lądowania tak lekkiego, i z taką łatwością.

Mężczyzna stanął z gracją, poprawił mankiety koszuli pod czarną marynarką z trzema guzikami, uszytą z lśniącego materiału i o kroju, jakich Kip nigdy nie widział. Na marynarce nosił skórzany płaszcz, czarny od zewnątrz, biały od środka, dopasowany i sięgający aż do skórzanych wysokich butów o szpiczastych noskach. Zdjął kapelusz z szerokim rondem podobny do petasosa i wypadła spod niego kaskada platynowych włosów, które nie sięgały kołnierzyka. Twarz miał bledszą niż to, z czym Kip kiedykolwiek się zetknął, egzotyczną, niezmierną, doskonałą. Uśmiechnął się szczerym uśmiechem, który rozświetlił mu zwierciadlane opalizujące oczy a jego zęby nie były zupełnie białe, ale perłowe. Kieł, który Kip dostrzegł, wydawał się nieco dłuższy i ostrzejszy niż zwykle u ludzi.

Kip uznał, że ten człowiek nie jest człowiekiem. Po plecach przeszedł mu dreszcz strachu, mimo ewidentnie przyjaznego nastawienia i urody nieznanego, ale potem Kip pomyślał, że przecież już nie żyje. Co mi może zrobić?

Jakie to szczęście, że strach jest racjonalny. Jakie to szczęście, że można wszystko sobie wytłumaczyć i z miejsca otrząsnąć się ze strachu.

– Witaj, Bogobójco – powiedział nieznanomy.

Z powodu ładnej twarzy, ostrej brody i nieskazitelnej fryzury Kip spodziewał się tenoru, ale głos, który dobywał się z tej istoty, był basem, rześkim, o nieskazitelnej dykcji, nie chropawym ani podobnym do odległego grzmotu, ale basem, który wydawał się za duży, żeby dobywać się z istoty ludzkich rozmiarów.

-Witaj, przerażający gościu, który spadłeś z nieba.

Oko nieznajomego drgnęło jakby w irytacji. Natychmiast uśmiechnął się, żeby to zamaskować, ale wcześniej nierówne pęknięcie przemknęło z kącika oka do ucha. Zapełniło się równie szybko, jak się pojawiło, i na jego twarzy został tylko uśmiech.

– Witaj, Bogobójco – powtórzył, jakby okazywał nadzwyczajną cierpliwość.

-Witaj... panie.

Zdezorientowany. Jakby Kip grał w grę, a nikt nie powiedział mu, jaka jest stawka, już nie wspominając o regułach. To się zdarzało tak często w ostatnim roku, że Kip powinien do tego przywyknąć. Jednak nie jest to coś, do czego człowiek się przyzwyczaja. Mężczyzna napełniał Kipa grozą.

Już nie żyję, nic nie może mi zrobić. Och, patrzcie. Może po śmierci już się nie sika, ale okazuje się, że nadal można odczuwać ogromną ochotę, żeby się posikać.

Co już samo w sobie było przerażające.

Nie ruszając się z miejsca, w którym wylądował, mężczyzna wyciągnął otwartą dłoń i odchylił do góry. To nie wyglądało na zachętę do uścisku ręki albo złapania się za nadgarstki na powitanie. Kip popatrzył z rezerwą. Z milczącego nieba coś spadło i uderzyło o otwartą dłoń mężczyzny. Laska z wypolerowanego czarnego drewna.

– Mam nadzieję, że wybaczysz mi, że posłużę się laską – powiedział mężczyzna, a brzmiało to jak zgrzyt potężnych kół zębatach. Zrobił krok i Kip zauważył, że mężczyźni połamano kostki, które fatalnie się zrosły. Może z tego powodu nosił sztywne skórzane buty. – Pod jakim imieniem zjawiłeś się tutaj?

Kip rozejrzał się na prawo i lewo.

– Czy to podchwytliwe pytanie?

Mężczyzna stanął jakies' dziesięć stóp od Kipa, w dziwnej odległości dla rozmówców. Oparł laskę przed sobą, położył na niej obie ręce i czekał.

-Jestem czym jestem. Znaczy, jestem tym kim zawsze. Kip. Kip – odpowiedział Kip. – Jest tu ustęp?

– Kip? Kip. To nie jest twoje prawdziwe imię, prawda? Kip, takie mizerne, takie nieznaczące. Ledwie warte trzech liter. „Nie patrz na mnie”, krzyczy. „Jestem tylko bękartem”. Kip Delauria. Kip Guile. Lord Klucha. Łamacz. Bogobójca. Może Diakoptes? Jeśli zaczniesz kolekcjonować imiona w innych językach i religiach, to naprawdę stanie się uciążliwe. Jednak czym jesteś pod imionami? Pod płaszczem imion, kim jesteś?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wiesz, sam zasłynąłem nieco jako ten, który nosi maski. Nazywali mnie... Ach, po co to psuć? To imię stało się jedną z pierwszych Czarnych Kart, zakazaną, bo ci, którzy ją oglądali, tracili rozum. A to, mały Guile'u, tylko z powodu maleńkiego odłamka mojej mocy, który dało się zmieścić w karcie. Właśnie umierasz, w tej chwili. Nie martw się, czas tu inaczej płynie. Mamy cały czas spoza świata na rozmowę, ale twoje ciało umiera. Mogę cię ocalić.

– To sporo wyjaśnia – powiedział Kip. – A ja już się zastanawiałem, czy jesteś dobrym bohaterem, czy czarnym charakterem. Jednak czarny charakter.

– Naprawdę? To dla ciebie takie proste? – zapytał nieśmiertelny.

– Niezbyt skomplikowane – odparł Kip. Miliony milionów książek i żadnego miejsca, żeby się wysikać. – Jest czas na dedukcję i czas na intuicję. Tym razem wygrywa intuicja.

Dedukcja? Gdzie ja usłyszałem to słowo? Za dużo czasu spędzam w zakazanej bibliotece.

– A jeśli głowa i serce stoją na równi, w jaki sposób decydujesz, którego się posłuchać?

Mężczyzna się uśmiechnął. Oparł się na lasce lewą ręką, a prawą wsparł na biodrze. Odgarnął długi skórzany płaszcz, odsłaniając pistolet wiszący w specjalnej kaburze na prawym biodrze. To było genialne rozwiązanie. Większość ludzi nosiła pistolety albo w torbie, albo w kieszeni. To rozwiązanie sprawiało, że znacznie łatwiej można było szybko po niego sięgnąć. Kabura miała nawet wiązanie przy drugim końcu, mocujące ją ściśle do uda, żeby się nie ruszała. Noszący zawsze miał pewność, gdzie znajduje się pistolet. Kip powinien to zapamiętać.

– Natrafiłeś na umierającego człowieka, możesz mu pomóc... i tego nie robisz. To zachowanie czarnego charakteru.

Rozbawiony. Tylko za mały krąg czarnej źrenicy kłał upiorną lustrzaną perfekcję jego oczu i zdradzał, w którą stronę patrzy.

– Ach, ale jeszcze nie umarłeś. Może więc zbyt pochopnie mnie oceniasz.

Kip się skrzywił. Miał dziwne wrażenie, że im dłużej będzie słuchał tego człowieka (człowieka? Boga? Czegoś pomiędzy?), tym bardziej będzie przekonany. Pod tym względem nauka Kipa u Gavina Guile była bezcenna. Gavin miał tendencję robić to samo.

– Zatem nie ocaliłem cię. Na razie. Ale nie zrobił tego też mój wróg, prawda?

Wróg?

– Kim jesteś? – zapytał Kip.

Było coś dziwnego w tym skórzanym płaszczu. Podwójny, miękki, a taki cienki.

– Oczywiście, on nie może cię ocalić. Nie widzi. Nie dba. Nie wie. Nie ratuje. Nie żyje i ten świat należy do nas.

– Kim jesteś? – szepnął Kip.

Już wiedział, o co chodzi z płaszczem. Od środka był blady jak Angarczyk, a od zewnątrz czarny jak Paryjczyk. Niech Orholam się zlituje, uszyto go z ludzkiej skóry.

– Jestem Dzierżycielem Ognia, jestem Tym, Który Otwiera Oczy. Nazywano mnie bogiem i bestią; nazywano aniołem i demonem. Niewolnik Świętego, Łamacz Łańcuchów. Nazywano mnie dzinnem, potworem i człowiekiem. Ci, którzy mnie nienawidzą, nazywali mnie Profanem, Uwodzicielem, Deprawatorem, a także Mistrzem i Królem, Wędrowcem, Wyrzutkiem, Samotnikiem, Nieczystym. Jestem Prawą Ręką Ciemności, Głosem Grobu. Zabijałem królów i bogów. Przyszedłem przynieść.

I prawdziwą wiarę Siedmiu Satrapiom, zniszczyć to, co mylnie wykuto ludzkimi rękami. Luksjaci spowili moje nadejście w mrok, ale pewnych rzeczy nie da się wiecznie ukrywać. Wiesz, kim jestem.

Metafizyczne serce Kipa idealnie zgrało się z fizycznym i stanęło. Nie.

– Powiedz to.

– Jesteś... jesteś Powiernikiem Światła.

-Jestem.

Powiernik Światła rozluźnił szyję, a potem ramiona i olbrzymie, wspaniałe białe skrzydła rozwinęły się na jego plecach z trzepotem, wynurzając się z długich rozcięć w płaszczu. Koszula pękła, ukazując tors tak biały i nieskazitelny, że mógłby zostać wyrzeźbiony w żywym marmurze. Był przewspaniały, piękniejszy od wszystkich kobiet. To było coś więcej niż zwykła uroda. Już sama jego obecność to jakby powiększyć melancholijną tęsknotę i ból doskonałego zachodu słońca tysiąckrotnie, wymieszać ze zwierzęcą żądzą, by wziąć i zostać wziętym, dodać chwałę jak prawdziwe światło letniego dnia przechodzące przez soczewkę i palącego Kipa, mrówkę.

To dlatego sowy polują nocą; ich oczy spłonęłyby w słońcu. To dlatego człowiek widzi tylko mały fragment spektrum. Zobaczyć więcej znaczyłoby oślepnąć. Zobaczyć to, do czego jego umysł nie został stworzony, znaczyło oniemieć.

Kip osunął się na kolana, padł na twarz. Nic nie mógł na to poradzić. Nie miał siły. Ani woli.

Jego dłonie uderzyły w kurz w pozycji pełnej czci, prawie nie osłaniając jego twarzy przed uderzeniem o złotą podłogę. Kurz (Kurz? Tutaj? W nieskazitelnej bibliotece?) wzbił się obłoczkami do jego otwartych oczu, zanim zdążył zamrużyć. Po kilku sekundach popłynęły mu łzy i zamieniły pokorny kurz w błoto. Błoto paliło oczy, ale to nie było pieczenie, jak kiedy coś wpadnie człowiekowi do oka, ale palenie zmęczonych mięśni – mięśni, które stają się mocniejsze. Palenie osłabło do mrowienia.

Kip spojrział w górę swoimi na nowo stworzonymi oczami, wzmocnionymi bezgłośnie. Pod fasadą chwały – pod płaszczem światła – skrzydła były przegniłe; smród psującego się

mięsa rozchodził się cuchnącą chmurą; skóra poczerniała i pozwijiała się, popekała od płomieni i coś jeszcze, coś całkowicie niehumanoidalnego znajdowało się pod spodem – ale wszystko to szybko zakryto. Nieśmiertelny wyszczerzył kły ku niebu i warknął w języku, którego uszy Kipa nie były w stanie rozłożyć na sylaby ani jego usta nie mogły kiedykolwiek mieć nadziei go wymówić. Był aniołem światła w rzeczy samej, ponieważ światłem można się posłużyć, żeby olśnić, oślepić, odwrócić uwagę i zwieść. Oto światło nagięte dla iluzji i kłamstw.

Maski zatrzasnęły się z powrotem na swoim miejscu i nieśmiertelny powiedział:

-Jestem Abaddon, Król, jeden z Dwustu, którzy wymaszerowali z pałaców Tyrana i poszli szukać własnej drogi w dziczy i wśród tysiąca światów takich jak ten. Jestem kochankiem królowych i ojcem bogów. Jestem Gwiazdą Zaranną, wywodzącą się z chwały niebios.

Wstań.

Kip nie potrafił powiedzieć, czy głos rozlegał się w jego głowie, czy poza nią, ale jego upór zgodził się, że to dobry pomysł. Znalazł siłę, w każdym razie odrobinę, i powoli wstał.

-Wymaszerowali? Czy zostali wyrzuceni? Zatem spośród dwustu nieudaczników zasłużyłem tylko na ciebie? Co spasiony syn kurwy musi zrobić, żeby zdobyć trochę szacunku?

Nieśmiertelny się roześmiał.

– Ratuj się sam, Kipie. Bowiem On tego nie robi. Chociaż, jeśli ci się uda, sobie przypisze tę zasługę. Jeśli okażesz się dość silny, żeby uratować się dzisiaj, wrócę. Kiedy będziesz gotowy. Mam wieczność. Ty zaś... parę minut, piętnaście lat albo najwyżej siedemdziesiąt. Dla mnie to wszystko jedno. Zjawię się ponownie, kiedy będziesz mnie potrzebował, kiedy twoje własne siły zawiodą. O ile pożyczysz tak długo.

Z jakiegoś powodu zabrzmiało to bardziej jak groźba niż „Bywaj, do zobaczenia wkrótce”. Kip odchrząknął.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem. O ile pożyczę tak długo?

– Jesteś człowiekiem. Jak myślisz, dlaczego znalazłeś się tutaj, w Wielkiej Bibliotece, gdzie jest przechowywana cała wiedza pięciu epok twojej rasy?

Sam się nad tym zastanawiałem.

Abaddon najwyraźniej nie dowierzał, że Kip jeszcze się nie zorientował, mimo tego co uważał za nadzwyczaj wielkoduszną odpowiedź. Pokręcił głową.

– Wiedz zatem, o, Kipie. Twoja obecność tutaj wiąże się z kompromisem. Twój umysł nie został tak skonstruowany, abys pojmował beczasowość. Zamiast więc znaleźć się poza czasem, poruszasz się w bąblu przyczynowości.

– Pięć centaur granit – odpowiedział z powagą Kip.

Nieśmiertelny zmrużył oczy poirytowany.

-Co?

– Próbowałem zademonstrować, że chociaż rozumiem każde z trzech słów we frazie złożonej z trzech słów, to nadal nie mam pojęcia, co razem znaczą. – Kip wyszczerzył zęby w bladym uśmiechu.

Oczy potwora rozbłysły i działo się coś straszliwie upiornego z jego ustami, kiedy przemówił:

– Biblioteka znajduje się poza czasem, ale twój umysł nie został stworzony tak, by rozumiał bezczasowość. Zatem, póki tu jesteś, przyczyna poprzedza skutek. A to oznacza, że nie znajdujesz się całkowicie poza czasem. Twoje ciało właśnie umiera. Nie oddychasz. Twoje serce stanęło. Jeśli zdołasz wrócić teraz, nadal będziesz sobą po powrocie. Jeśli nie wrócisz wkrótce, będziesz żył, ale pozostaniesz głupkiem, być może stracisz panowanie nad kończynami albo wypróżnianiem, możliwe, że nawet nie będziesz już w stanie się tym przejmować. Poczekaj jeszcze kilka sekund, a po prostu umrzesz.

O.

O, w mordę!

– Uważasz, że jak na czarny charakter jestem okropnie pomocny, co?

Tak naprawdę to Kip nie zaszedł w przemyśleniach aż tak daleko. Nadal przetrawiał część o bąblu przyczynowości. Jednak, skoro już o tym wspomniał...

Abaddon złożył skrzydła. Wsunęły się zwyczajnie w szpary w płaszczu z ludzkiej skóry. Było w tym płaszczu coś, co przyciągało uwagę, coś więcej niż tylko odrażający materiał. Migotał. Wszystko w tym bożku tchnęło ekstrawagancją, począwszy od delikatnej kremowej koronki mankietów, po subtelne niebieskie prążki na jedwabiu spodni o prostych nogawkach. Abaddon znowu przyjął pozę z lewą ręką na lasce i prawą na biodrze. Zauważył, że spojrzenie Kipa padło na jego pistolet.

– Obowiązują tu reguły – powiedział Abaddon. – Te ubrania pochodzą z czasów wyprzedzających cię o setki lat. Nie wolno mi pokazywać śmiertelnikowi rzeczy, które pochodzą z przyszłości. Ale nigdy nie przejmowałem się szczególnie zasadami.

– Czym jesteś? – zapytał Kip.

– W tej formie? Samotnym wędrowcem, ikoną, kartą z talii, której jeszcze nie namalowano. Twój potomkowie, tak jak ty, będą wierzyli, że każda doskonałość jest godna pochwały. Ta postać jest dobra w zabijaniu. Nic nadto. W zabijaniu i ruszaniu dalej, bezkarnie, jakby stała ponad małostkowymi prawami, niczym bóg. I jak oni, będą to czcić. W rzeczy samej, będą czcić ciebie, o... Kipie – odpowiedział, a ostatnie słowo rozprysło się niczym bańka, jakby był zachwycony jego niemal terialnością. – Do tego czasu ty już zdążyłeś zabić boga, króla i stoczyć walkę z morskim demonem u samych murów... O,

rety, nie, nie to, to jeszcze nie.

Uśmiechnął się, a Kip pomyślał, że to pułapka, drobne fałszywe prorocstwo, które pewnie doprowadzi do jego śmierci. O ile zajdzie tak daleko.

– Chcesz go obejrzyć? – Wykonał ruch szybszy niż myśl i pistolet znalazł się w jego dłoni. – Sam go zrobiłem, własnymi rękami, poświęcając bezcenne dni wieczności, by stworzyć. Minęło bardzo, bardzo wiele czasu, odkąd zrobiłem coś takiego, i myślę, że miną tysiąclecia, nim znowu to uczynię. Nazwałem go Udogodnieniem. Myślisz, że twoja chromaturgia to magia? Co jest najbardziej irytujące w pistolecie?

To nie było w porządku. Działo się tu więcej, niż Kip był w stanie uchwycić.

– Nie wiem. Niecelność. Proch oślepia cię i parzy po wystrzale.

– Naprawiłem obie te rzeczy, ale myśl na większą skalę.

Kip był zafascynowany, ale to... to była zasłona dymna, zupełnie jak z prochu.

– Nic mnie to nie obchodzi – skłamał. – Dlaczego to robisz?

– Przeładowanie. Przeładowanie to najbardziej irytująca rzecz w pistolecie. Za jakieś dwieście lat zostanie wynaleziony niezawodny obrotowy bębenek, pozwalający na oddanie wielu strzałów przed ponownym załadowaniem. Skopiowałem tę formę, żeby się nie wyróżniać, ale przy tym pistolecie... nie ma żadnego ładowania. Nigdy. Sam się przeładowuje. To dopiero jest magia. Chcesz wiedzieć, jak tego dokonałem? Zbliżyłem się niebezpiecznie do naruszenia podstawowych praw wszechświata, żeby tego dokonać. Magiczna machina w nieożywionym przedmiocie?

– Zatem tchnąłeś Wolę w obiekt i co z tego?

To była pułapka, ale Kip nie potrafił dostrzec, na czym polegała. I co to jest, u diabła, ta machina? Oczywiście słyszał o machinach obłączniczych, ale Abaddon posłużył się tym słowem, jakby miał na myśli coś innego.

– Napełnić brzechwę strzały Wolą, żeby szukała celu, na którym skupiłeś myśli, to jedno, ale stworzyć przedmiot, który sam posługuje się magią, to coś całkiem innego. To akt stworzenia można by rzec.

Kip zignorował odpowiedź, szukając, cały czas szukając. Jeśli wyjdzie z tego cało, może będzie pamiętał tę rozmowę i potem ją przeanalizuje, by znaleźć to, co się liczy. Jednak teraz musiał gwałtownie szukać, znaleźć zęby pułapki.

– Co miałeś na myśli, mówiąc: „bezcenne dni wieczności”? Jeżeli znajdujesz się poza czasem, jakie ma znaczenie, ile czasu stracisz?

– Tak jak sięga się po pewne kompromisy, kiedy twój rodzaj zjawia się tutaj, wnosząc ze sobą przyczynę i skutek w sztywnym porządku, to samo dzieje się, kiedy mój rodzaj udaje się do waszych ziem. Nawet ja. Jesteśmy nieśmiertelni, nie wszechobecni.

Nagle Kip pożałował, że tak często urywał się z lekcji teologii. „Atrybuty Orholama”

znajdowały się nieco poza nawiasem tego, co mogło się okazać przydatne w jego życiu. Gdyby tylko wtedy wiedział...

– Nie kapuję – powiedział.

– Wchodzimy do waszego czasu w dowolnym punkcie i miejscu, w jakim tylko zechcemy.

– Ale nie możecie znajdować się w dwóch, lub więcej, miejscach naraz.

– Zatem twój śmiertelny umysł jest w stanie wyprodukować rzecz oczywistą.

Kip nagle zrozumiał.

– Czyli jeśli spędziłeś dwa tygodnie na angarskim archipelagu w tym roku, pracując nad pistoletem, nie możesz odejść i wrócić do tych samych dwóch tygodni. Możesz odejść i wrócić do innego miejsca albo przedtem, albo potem, ale nie możesz zamieszkać tego samego czasu. Masz całą wieczność, żeby odwiedzać nasze ziemie wedle życzenia, ale możesz odwiedzić dany czas tylko raz. Dlatego nazwałeś je bezcennymi dniami wieczności. Wieczność jest nieograniczona, ale nasz czas jest ograniczony, a zatem kiedy nas odwiedzasz, twój czas też jest ograniczony. Co oznacza, że jeśli trafisz do niewłaściwego miejsca w określonym czasie, nigdy nie naprawisz tego, co tam zrobiłeś. To znaczy, że można cię przechytrzyć! – Kip roześmiał się zachwycony. – To musi gryźć jak rzep pod kocem, hę? Cała wieczność do dyspozycji z wyjątkiem okruchów, do których musisz się udać. Stworzyłeś pistolet, ale musisz wiecznie się bać, że właśnie te dwa tygodnie spędzone w naszym czasie, to dwa tygodnie, w czasie których powinieneś był znajdować się gdzie indziej. Ha, ha, ha!

Przelotny rozbłysk gniewu przepłynął falą po masce stanowiącej twarz, burząc ją, rozbijając i natychmiast sklejjąc – jak wcześniej – ale Kip zdążył dostrzec coś pod nią, coś zielonego i czarnego, zupełnie nienaturalne usta, oczy ogromne i obce.

– Zatem mucha drwi z pająka, wytykając błędy, których nie da się już naprawić? Siedząc w jego własnej pajęczynie?

O, nie. Oto one. Zęby pułapki.

– Prawda jest taka – powiedział Abaddon – że im dłużej tu stoisz i słuchasz, tym bliżej znajdujesz się śmierci. Prawda jest taka, że już nie żyjesz. Już...

– Prawda jest taka, że nadal mówisz, co oznacza, że kłamiesz, co oznacza, że nadal stanowią zagrożenie. W jakiś sposób. To musi cię irytować. Ja. Mały gruby Kip z Rektonu. Zagrożeniem.

Kip zarechotał mimowolnie. Strasznie głupia myśl, a jednak, z jakiego innego powodu byłby wart uwagi takiej istoty? Teraz to nie miało znaczenia, służyło tylko odwróceniu uwagi. Nie klep się po plecach, kiedy ciągle masz w nie wbity sztylet.

Kip odwrócił się do miejsca, gdzie niewidzialne ręce pisały, rysowały, ryły, wybijały. Tu kryło się sedno. To była terażniejszość, tu znajdowała się odpowiedź.

Rozległ się krótki, nieludzki ryk rozmiarów stworzenia, jakie ukrywano pod ludzką postacią. Abaddon nie lubił, gdy go odprawiano.

Kip się wzdrygnął i chociaż znajdował się poza ciałem i poza czasem, i takie tam, zdziwił się, że nie zsikał się, słysząc ten ryk. Mimo to, nie odwrócił się. Jeśli to coś chciało go zabić, jeżeli mogło to zrobić zgodnie z jakimiś mrocznymi zasadami rządzącymi tym miejscem, to ewidentnie Kip nie mógł w żaden sposób tego powstrzymać.

– Wiedz jedno, Diakoptesie, może i nie wolno mi zabić ciebie w tym miejscu, ale moich rąk nic nie powstrzymuje... – Urwał. – Jeśli odejdziesz, pójdę za tobą, a nie ma wroga, który by się ze mną równał.

– Zamknij się. Myślę.

Och, Ramirze, nigdy nie myślałem, że będę miał kiedyś powód, żeby za cokolwiek ci podziękować, ty małoduszny, małomiasteczkowy opryszk: teraz wiem, jak dokuczyć draniowi, kiedy nie może mnie dopaść. Wielkie dzięki za to.

No dobrze: dlaczego znajduję się w Wielkiej Bibliotece?

To skarbnice wszelkiej wiedzy. Co więc to...

Kip spojrzał ponownie na niewidzialne ręce. Teraz rysowały hieroglify. Obrazki jako słowo. Obrazki jako wiedza. Wiedza w każdym języku, w każdej formie.

Może nawet wiedza w kartach. Może nawet wiedza w kartach wewnątrz nieuważnych młodych głupców.

Znajduję się tutaj, ponieważ to miejsce jest skarbnicą wszelkiej wiedzy, i pozostanę tutaj, dopóki nie wydobędę całej tej wiedzy.

Kip spojrzał po raz pierwszy po sobie. Był cały pokryty tatuażami. Na każdym odsłoniętym skrawku skóry, w każdym miejscu, gdzie przywarła do niego karta, pozostawiła swój rysunek. Może coś więcej niż tylko rysunek, może zostawiły swoją esencję. To nie do końca miało dla niego sens. Dlaczego karty nie trafiły tutaj w chwili, gdy zostały stworzone? Może zadawał pytanie mające sens w obrębie czasu, czasu, który mu się kończył?

Obrócił lewy nadgarstek.

Artylerzysta.

Szalony Ilytanin nosił rozpiętą kamizelkę na nagim torsie, luźne żeglarskie spodnie, był bosy i szeroko uśmiechnięty. Siedział na dymiącym dziale, jakby na nim jechał. Kip nigdy w życiu nie widział równie wielkiej armaty. Artylerzysta trzymał też garłacz w lewej ręce i pistolet z licznymi długimi lufami w prawej. Jak za pierwszym razem, kiedy Kip go widział, miał wplecione płonące lonty w długie, niesforne włosy, w brodę i w kamizelkę, dzięki czemu wyglądał, jakby właśnie wymaszerował prosto z piekła. Artylerzysta? Mam zostać Artylerzystą?

No dobra, Artylerzysto, do dzieła.

Kip złożył palce w znajomy wzór, żeby dotknąć pięciu klejnotów, po jednym na każdy róg, a środkowy palec miał trafić w środek górnego brzegu. Po kolei docisnął każdy do tatuażu przedstawiającego Artylerzystę, całkowicie spodziewając się, że nic się nie sta...

– Artylerzysta -

Pac. Nadfiolet i błękit. Kiedy jego kciuk dotknął punktu, zupełnie jakby ktoś zgasił świecę. Świat pocieniał. Oczy stały się bezużyteczne. Zaraz potem pojawiło się słońce, obmywały go fale, a on mrugał, kołysał się na wodzie. Widok zmieniającej się perspektywy, podczas gdy jego ciało pozostawało całkowicie nieruchome, przyprawił go o mdłości.

Pac. Zieleni rozwikłała to gwałtownym ucieleśnieniem, zmysł dotyku powrócił. Pływał. Mocne, żylaste ciało, nagie do pasa. Woda była ciepła, pokryta szczątkami statku.

Pac. Żółć. Powraca słuch, krzyki nawołujących się mężczyzn, wrzaski bólu lub przerażenia. Jednak żółć to coś więcej; to logika człowieka i miejsca. Tyle że żółć w tym przypadku jest nieco zachwiana. Niedowierzenie. Pryzmat pojawił się znikąd. Uskoczył przed wszystkimi jego strzałami z działa. Nawet kiedy Artylerzysta zaczął w końcu strzelać z obu naraz. Ta łódeczka, którą Pryzmat sobie zrobił, porusza się z prędkością, w jaką nie uwierzyłby, gdyby o tym usłyszał z innych ust. Ceres to sobie na nim odbije. Przeklęty Gavin Guile.

Jego umysł mknie już dalej. Coś...

Pac. Oranż. Zapach morza, dymu, odpalonego prochu, wyczuwał też innych mężczyzn unoszących się na wodzie, a pod nimi, wokół nich... Och, na wszystkie piekła. Rekiny. Mnóstwo rekinów.

Jego palec już opadał. Pac. Czerwień i podczerwień i smak krwi w ustach i już jest...

Cały dowcip, jeśli idzie o rekiny, polega na tym, by walić w nos. Nie różni się aż tak od człowieka. Rozkwaś draniowi nos, a od razu pójdzie sobie w diabły. Łatwizna, nie? Łatwizna.

Artylerzysta nie jest łatwym celem. Morze to moje odbicie. Kapryśne jak ja. Szalone jak ja. Ukryte prądy i potwory unoszące się z głębin. To, co dla innych jest morską pianą, ja nazywam śliną, którą ona pluje mi w twarz, przyjaźnie, jak...

Kip oderwał rękę, kiedy tylko dotknął wszystkich punktów – natychmiast – ale ta przelotna chwila była długimi minutami w karcie. Nie odszedł, dopóki on – to znaczy dopóki Artylerzysta – nie zabił oficera przezywanego Kant, który trzymał wiosła. Kip zobaczył, jak Artylerzysta ogłosił się kapitanem i zebrał załogę. Ciemny jak tabaka wariat.

Kip znalazł się z powrotem w Wielkiej Bibliotece i spojrzał na nadgarstek. Tatuaż zbladł, ale nie zniknął całkowicie. Tuż przed nim dłoń odmalowała wiszącą w powietrzu

połowę karty. Teraz zamarła.

Musiał wrócić do tej karty. Zostało coś ważnego w Artylerzyście. Musiał znaleźć właściwy moment. Nie miał pojęcia, co wyprawia, ale musiał się dowiedzieć.

Palce Kipa natrafiły na atak na angarski statek, wymordowanie załogi, ucinanie kończyn i przyspiewkę „Entliczek pentliczek czerwony stoliczek”. Znowu cofa rękę, nie mogąc tego znieść.

A tatuaż nadal nie znikał.

Jeszcze dwa razy wszedł w tę niedopasowaną skórę, wynurzał się, gwałtownie łapiąc powietrze, płacząc. Jednak karta przed nim została narysowana i rozdzieliła się – jedna kopia wleciała do jego ręki, a druga poszybowała na półkę.

Zagubiony w czasie Kip gapi się na nadgarstek. Tatuaż z Artylerzystą znika, kiedy dłoń kończy rysować kartę. Wtedy jego tatuaże przesuwają się, przetasowują, przepływają i na nadgarstku pojawia się Samila Sayeh, bohaterka Wojny Pryzmatów.

– Nigdy ci się nie uda – powiedział Abaddon. Z jakiegoś powodu jego płaszcz zniknął, za to trzymał w rękach rozłożoną pelerynę z białej i czarnej skóry. – Nawet gdybyś mógł przeżyć po kolei każdą kartę. Nawet gdyby jakikolwiek człowiek mógł przeżyć tak wielką mękę, nie masz dość czasu.

Kip nie odpowiedział. Nie było żadnej odpowiedzi. Nie zamierzał się poddać.

– Do dzieła, Samilo.

Jego dłoń opadła.

Jednakże to nie zakończyło się na Samili. Ani na Helane Troas. Ani na Viv Grayskin. Nie skończyło się na Aheyadzie Słonecznej Wodzie ani na Usemie Dzikim, ani na Pękniętym Halo, ani na Upadłym Proroku, ani na Plejadzie Poroś, ani na Nowicjuszu, ani na Orionie Kunarze, ani na Nowym Zielonym Koloraku, ani Herezji.

Jak przez mgłę zdawał sobie sprawę, że kiedy kończył z każdym tatuażem, każda karta odlatywała do biblioteki i przynajmniej raz widział, że Abaddon zarzuca peleryną jak siecią, próbując złapać kartę, ale one przelatywały przez jego sieć, prawie nie zwalniając. Kip miał już zbyt wiele zmartwień na głowie. Wchodził do jednej karty po drugiej, a piasek się przesypywał.

Za każdym razem, kiedy z jakiegoś powodu czuł, że zobaczył dość, zabierał rękę. Ledwie był świadom samego siebie, o ile w ogóle, aż do chwili, kiedy cofał dłoń. Nie przetwarzał też wspomnień. Nie miał pojęcia, kim jest większość ludzi i rzeczy; nie połączył nawet Voxa z karty Migotliwego Płaszcz z Voxem z domu Janus Borig, dopóki jego dłoń nie opadała na następny tatuaż.

Połączenie Kipa z kartą zawsze była całkowite, ale późniejsze rozłączenie zawsze niepełne – nie chodziło tylko o połączenie umysłu z umysłem, ale o całkowitą unię.

Duchową. Emocjonalną. I zdecydowanie fizyczną. Kiedy wrócił od człowieka, który stracił rękę, czuł ból, nie tylko zaraz po tej karcie, nim cierpienie wymazałaby następna karta, ale nawet później. Lista obrażeń rosła, a ponadto widział mężczyzn i kobiety w kluczowych chwilach ich życia – groza była standardem, walka, nienawiść, tchórzostwo i heroizm się nawarstwiały.

Początkowo za każdym razem badał swój umysł, przypominał sobie, kim jest, ocierał w miarę możliwości krew kapiącą z nosa, brał oddech i wchodził do następnej karty. Potem tylko łapał oddech, piorunował wzrokiem Abaddona, czując wilgoć kapiącą z uszu. Umarł śmiercią bohatera. Zdradził najbliższych przyjaciół. Odebrał sobie życie, wrzeszcząc eksplozją zębów, gdy wystrzelił z garłacza przystawionego do brody.

Odkrył, że padł na kolana, płacze, a jego nadgarstek pokrywają łzy i krew. Nie przestał jednak. Otarł czoło ręką, dając sobie czas na jeden oddech. Miał przedramię we krwi. Pocił się krwią. To nie mogło oznaczać niczego dobrego.

– Nie – powiedział przerażony Abaddon.

Dłoń opadła. Technolog. Co, u diabła? To był Benhadad. Był jakiegoś rodzaju geniuszem. Kto by pomyślał.

– Nigdy...

Dłoń opadła. Dowódca. To był Cruxer, i nie Cruxer teraz, ale taki, jakim się stanie, stawiający czoło... ale kiedy tylko Kip uniósł rękę, stracił informacje o przyszłości.

– ...na...

Dłoń opadła. Narodziny Koloraka. I Kip przeżył przemianę, zobaczył co się dzieje, jak to się dzieje i dlaczego się dzieje, co kolorak myśli, że zadziała, ale jednocześnie jakaś część Kipa nadal dostrzegała, że to złudzenia.

– ...to...

Dłoń opadła. Najwyższy Luksjat. W przyszłości będzie podlegał tylko Pryzmatowi, jednak najpierw, jako młody człowiek, Quentin, przyjmował rozkaz od... od brata Tawleba. Unosił pistolet w znajomym zaułku. Chybiał. Krew tryskająca z szyi młodej kobiety, kiedy weszła na linię ognia. Przejmująca groza z powodu chybienia.

Coś w tym było... Lucia? Nie, nie ma czasu.

– ...nie pozwolę.

Zostały trzy karty. Kipowi się uda.

Pod krwią, łzami i brudem przesłaniającym mu nadgarstek Kip widział, jak następna karta wślizguje się na miejsce: Rzeźnik z Aghbalu. Orholamie, nie. To była karta Wibrującej Pięści. Nie, nie, nie.

Nie mógł sobie pozwolić na myślenie.

Dłoń w dół.

Doskonała radość bitewnej wściekłości, uderzająca do głowy moc umiejętności dorównujących zdolnościom i przewyższających umiejętności wszystkich innych, możliwość wyrwania każdemu człowiekowi z objęć tego, co cenił najbardziej, i udowodnienia, raz za razem, że on jest najlepszy, nietykalny, dorównywanie mocą bogom w morderczej gracji, budzenie takiego strachu, że popuszczały kiszki, a serca dosłownie zamierały, kiedy padał na nich cień tego mściwego boga. Cierpienie śpiewało w nim i odnajdywało towarzysza w cierpieniu, jakie zostawiał za sobą, gdy odcinał ręce i stopy, otwierał ciała, by się wykrwawiły, rozcinał trzewia, odcinał żuchwy, patroszył, miażdżył twarze, zabijał, zabijał, zabijał. Jego pałac stał się jego kostnicą. Wracał do okaleczonych i czasem odkrywał, że kochanki ich pocieszały, a wtedy zabijał je na oczach konających, by ich cierpienie jeszcze wzrosło, zanim poznają ulgę śmierci.

A i to nie wystarczyło. Furia płonęła, furia ścinała mu krew lodem, furia szalała i nadal zabijał, kiedy wschodziło słońce. I słońce ukazało, że zabił nie tylko wrogów. Jego własni niewolnicy leżeli pośród nowych panów z plemienia Tiru. Nie pamiętał, żeby ich zabijał, powracały tylko na wpół zapamiętane krzyki, ale rany odpowiadały ranom, jakie zostawił na pozostałych pięciu setkach.

Chwiejnym krokiem powraca na górny dziedziniec, gdzie leży jego martwa żona, niemal nie do rozpoznania po rozlicznych batach, gwałcona przez najeźdźców tak długo, aż umarła. Idzie tam, by z tym skończyć.

Wypuszcza podwójne miecze z zakrwawionych rąk. Bierze ją w ramiona, kiedy słońce wstaje. Rozmazuje krew, próbując ją zetrzeć z jej potrzaskanej, obitej twarzy. Poprawia krwawe strzępy sukni w żalostnej próbie przyzwoitego okrycia. Tuli ją w ramionach i wyciąga sztylet.

Ta kobieta ma pieprzyk na szyi.

Ta kobieta nie jest Tazerwalt. To nie jest jego żona. To jej służąca, Hada, ubrana w szaty swojej pani.

Wstaje drżący i powraca do niego obraz pędzącej ku niemu niewolnicy. Potworne przecucie. Śmiertelne mdłości. Gruda w gardle.

Znajduje pokój. Tazerwalt. Jego żona przebrana za niewolnicę. Żyła, nietknięta przez Tiru, ukryta aż do jego powrotu. Niewolnica, która popędziła ku niemu. Niewolnica, z pewnością wierna plemieniu Tiru. Myśląc, że to atak, rozciął jej szyję, kiedy rzuciła się na niego, i ruszył dalej, na nic nie zważając.

Jej oczy są otwarte, pytające, martwe. Tak bardzo martwe.

Pada na kolana i krzyczy. Umysł rozpada się, odrywa się od samego siebie. Widzi człowieka oblepionego krwią, wrzeszczącego. Jego wrzask nie brzmi inaczej od setek innych, które słyszał tej nocy. Zdziera gardło, nie potrafiąc pomieścić w sobie całego bólu.

Kip unosi rękę wstrząsany konwulsjami. Z jakiegoś powodu całe jego ciało było obolałe, jakby wszystkie mięśnie złapał skurcz. Przewrócił się oślepiiony, nie mogąc oddychać. Fala przewaliła się, zostawiając go rozpaczliwie łapiącego powietrze. Zamrugał, by oczyścić nagle zmętnione oczy. Otarł je. Spojrzał na czerwone palce. Dotknął czoła. Nie, nie miał ran na głowie ani na czole. Krwawił z oczu.

Motyła noga, jakby powiedział Ferkudi.

– Już za późno. Umierasz – powiedział Abaddon, narzucając pelerynę na ramiona. – Całe to cierpienie na nic.

Jakiś dźwięk wyrwał się z ust Kipa i wbrew tym wszystkim razem, kiedy nienawidził swojego ciała za jego drobne zdrady i niezgrabność, tym razem uczyniło go dumnym: ten dźwięk bardziej przypominał warknięcie niż jęk. Ośmielony własną kruchą fasadą oporu, Kip podniósł się na kolana.

– Mylisz się – wychrypiał, z trudem łapiąc oddech. – Widzisz, mam pewien dar.

– Nawet kilka.

– Nie, tylko ten jeden.

– Powiedz mi z łaski swojej.

– Jestem gruby. Więc się zadyszałem. Może umieram. Do diabła, gorzej się czułem po pokonaniu paru schodów.

„Jestem gruby” – zabrakło mu tchu, żeby to powiedzieć – „ale kiedy wszystko jest dla ciebie trudne, fakt, że coś jest trudne, nie powstrzymuje cię szczególnie przed zrobieniem tego. Jestem gruby i tylko jedna osoba w tym pokoju może żartować na mój temat”.

Abaddon szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Już przegrałeś, lordzie Klucho. Nie złożyłem ci wizyty w Wielkiej Bibliotece. To był atak. Twoje przybycie stworzyło wyrwę w obronach naszych wrogów. Jesteś taki przewidywalny. Zatrzymując cię tutaj, sprawiłem, że się pośpieszyłeś. Nigdy nie znalazłbym wszystkich nowych kart. Sam mi je przyniosłeś.

Rozpostarł pelerynę i na wewnętrznej białej stronie Kip dostrzegł obrazy podobne do tatuaży, wizerunki każdej karty. Nie uciekły przed Abaddonem – on w jakiś sposób wszystkie je skopiował.

Kip nie miał pojęcia, co to znaczyło, ale coś, co powiedział raz Corvan, sprawiło, że zareagował odruchowo: jeśli twój wróg czegoś chce, nie daj mu tego.

Androssie Guile, ty psubracie, powiedz mi, że mam w sobie coś z ciebie. Twoje każde zwycięstwo, twoja każda drwina, każdy raz, kiedy zamieniałeś przegraną w innego rodzaju zwycięstwo i kwasiałeś wino zwycięstwa, zamieniając je w żółć w moich własnych ustach. Przemów, krwi Guile'ów. Zaśpiewaj we mnie gniewem człowieka zręcznego w sztuce walki. Zaśpiewaj o krwi bestii i boga...

Krew.

Kip zdrapuje krew z nadgarstka, czując zawroty głowy. Pozostały tylko dwa obrazy. Śmieje się, bo ostatnie dwa tatuaże to Powiernik Światła i Żółwio-Niedźwiedź. Ale te dwa znajdują się jeden obok drugiego na jego nadgarstku.

Wybór. Kip nie ma co do tego wątpliwości. Ma czas tylko, żeby dotknąć jednego. Wizerunek Powiernika Światła wygląda świątobliwie, promień światła z niebios oświetla jego twarz, zamazując rysy tak, że nie sposób je rozpoznać.

Janus Borig poprosiła o pędzle, kiedy umierała. Poprosiła o nie, bo wiedziała, kim jest Powiernik Światła. Czy zaczęła tę kartę i nigdy nie skończyła twarzy?

Nie. Tatuaz nie jest niedokończony.

Czymkolwiek jest albo czymkolwiek może być, jest to pułapka. Pułapka na Kipa... A teraz pułapka Kipa.

Unosi rękę, składa palce, obserwując kątem oka reakcję Abaddona. Lęk, że Kip dotknie Powiernika Światła. Dobrze. Kip rusza.

– Nie! – wrzeszczy Abaddon. – Nie!

Obraca laskę i ostrze wyskakuje z końca. Dźga Kipa w rękę w tatuaz Powiernika Światła. Skry mocy przelatują przez laskę i tatuaz rozpada się jak bańka mydlana. Zbyt łatwo, jakby tylko na to czekał.

Kip leci w bok od siły uderzenia, drugą ręką policzkując Abaddona.

Kiedy podnosi wzrok, Abaddon wygląda na zdezorientowanego. W iluzji skrywającej jego twarz zieje dziura, podbródek i broda całkiem odpadły, a reszta maski migocze... i się rozpada.

Pod złudzeniem piękna nie ma człowieka. Głowa Abaddona to głowa szarańczy. Jego usta to zuwaczki kłapiące i rozwierające się na boki. Oczy są potworne, nieludzkie. Skrzydła, które ledwie odstają od pleców, to terkoczące skrzydła owadziego boga. A w chwili, kiedy dotyka Kipa, następuje zmiana w atmosferze Wielkiej Biblioteki. Nawet Kip, wygięty i złamany, wyczuwa zbierającą się moc, magię daleko wychodzącą poza śmiertelne pojmowanie.

Dotykając Kipa, wkroczył w czas Kipa, do jego bąbla przyczynowości. A jeśli jest jedna rzecz, którą dobrze rozumie gruby dzieciak, po tym jak zebrał takie cięgi, że została z niego kałuża tłuszczu i upokorzenia, to bycie przeoczanym i lekceważonym.

A tłuszcz jest sprężysty, zawsze wraca do siebie.

Rzucając spojrzenie na coś, czego Kip nie mógł zobaczyć, Abaddon ryknął:

– Co mnie obchodzą twoje zasady?! Ja to ja! Jestem Gwiazdą Zaranną! Jestem pierworodnym i... Nie. Dam. Się. Usunąć!

Obrócił się gwałtownie i rąbek peleryny podleciał w stronę Kipa, prawie go muskając.

Jeśli grubas na czymś się zna, to na pędzie.

Kip skoczył z rykiem na plecy Abaddona. Zapominając o wszystkich naukach Czarnej Gwardii, był zwierzęciem, które rzuciło się na swoją ofiarę. Do diabła, był żółwioniedźwiedziem, gotowym zebrać cięgi, pod warunkiem, że sam spuści ich drugiej stronie więcej. Jego ciężar omal nie zwalił przeciwnika z uszkodzonych w kostkach nóg – Abaddon ledwie zdołał podeprzeć się laską. Kip rzucił mu się z wrzaskiem do oczu, podrapał szyję i rzucił się do cennego pistoletu.

To jednak była zmyłka. Mając wolną tylko jedną rękę, Abaddon chwycił bezcenny pistolet. A Kip zerwał mu wtedy pelerynę z ramion i kopnął go. Abaddon upadł.

Pozbawiony maski Abaddon był warczącym, wrzeszczącym insektem. Wyciągnął gładkim ruchem pistolet z kabury, a z jego wypukłych owadzych oczu nie dało się niczego wyczytać.

W tej samej chwili coś rozbrzmiało w całej bibliotece, ogromny puls jakby potężny ciężar osiadł i Abaddon został wyrzucony całkowicie i natychmiastowo. Nie fizycznie, bo po prostu zniknął, ale Kip odniósł bardzo silne wrażenie, że towarzyszący temu psychiczny wstrząs był potężny.

Zupełnie jakby dziecko przemówiło do fali przyływu słowami: „Nie dam się usunąć!” i zanim dźwięki opuściły jego usta, widać już tylko morze, nie tylko nie ma śladu po dziecku, ale i po jego nieposłuszeństwie, nie ma śladu, że cokolwiek przeciwstawiło się miażdżącemu morzu, żadnego zawirowania, kipieli, nic, tylko prosta, zwyczajna, bezdyskusyjna pustka.

Leżąc na plecach, wyczerpany, nieruchomy, zakrwawiony Kip spojrzał na zionące obce konstelacje.

– Zatem jesteś tam – powiedział. – Wybrałeś subtelne podejście, co?

Peleryna leżała, migocząc, w dłoni Kipa. Chłopiec usiadł na ziemi, trzymając ją, zastanawiając się, co by się stało, gdyby Abaddon zastrzelił go tutaj. Skoro i tak był bez mała martwy, co za różnica? Czy też może ten stwór kłamał na temat jego umierania we własnym ciele? Czuł coś bardzo niedobrego w piersi, więc uznał, że chyba jednak stwór nie kłamał.

– Subtelne? Przecież posługuje się tobą.

To była Rea Siluz. Nosiła zielono-czarną dżalabiję z zsuniętym kapturem, a aureola jej czarnych włosów lekko lśniła. Ale może to był skutek jej uśmiechu. Kip pomyślał chwilę o tym, co powiedziała, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rea. Czyli jednak jesteś swego rodzaju bibliotekarką?

Z trudem wstał.

Uśmiechnęła się znowu i pokręciła głową.

-Tylko kiedy... czas pozwala.

-Jesteś tym, czym on jest... był?

– Nie jestem nawet w przybliżeniu tym, czym on był, ale czymś znacznie więcej. Tak jak ty. Zło to ciemność. Ciemność to strzaskane oko, wiecznie oślepiające niewidzenie. Ciemność jest mniej namacalna niż dym i nawet zmętniałe lustro jest jaśniejsze niż pustka.

Ta wypowiedź sprawiała wrażenie głębokiej, więc Kip naturalnie odparł:

– Nie jesteś taka efekciarska jak on.

Rea się roześmiała.

– Kip, wiesz, jaki jesteś piękny? Pojmujesz rzeczy sercem. Jest czas, żeby się upajać, upajać chwałą zapracowaną i świetnością otrzymaną. Jednak próżność to popis. Ja słynę z zamiłowania do spektakli. I pewnie to mnie do ciebie przyciągnęło.

– Do mnie? Ja jestem tylko mętnym zwierciadłem. I chyba... chyba umieram.

Pomyślał nagle, że skoro rozmawia z jakąś niebiańską nieśmiertelną, która rzeczywiście mu odpowiada, to pewnie powinien zadać parę naprawdę dobrych pytań, na przykład o pelerynę, którą trzyma, albo, a niech tam, czy naprawdę istnieje Powiernik Światła, a jeśli tak, to kto...

Przewrócił się. Za późno. Myślał, że jeśli przejdzie przez wszystkie karty, znajdzie jakąś drogę... wyjścia? Przegapił ją? Próbował otworzyć oczy i jej poszukać. Nic. Może miał już otwarte oczy? Ach, cóż. W końcu umarł, ale nie miał nic przeciwko temu.

ROZDZIAŁ 76

Kip nie żył.

Teia chwiejnie wstała. Czuła się, jakby ktoś ogłuszył ją uderzeniem cegłą prosto między oczy. Czuła się, jakby stała po kolana na płyciźnie potężnej rzeki, a woda przepływała obok niej z rykiem. Kip leżał jak wyrzucony przez prąd, wyciągnięty jak długi, umysł w nim był złamany, iskra wygasła.

Kip nie żyje.

To nie wyglądało naturalnie. Kip jako mięso. Bez ożywiającego ducha czoło Kipa było wyciosane z granitu, ramiona zawstydziłyby konia pociągowego, a oczy mieniły się wieloma kolorami. To było ciało; to nie był Kip.

Teia nie słyszała niczego poza katastrofalnym wiatrem dmącym w jej własnym sercu, pompującym, pompującym, jakby rozdmuchiwał pożar w lesie. Kip nie żył? To było niemożliwe. A jednak.

Nie objęłam go. Dlaczego go nie objęłam? Chwiejnie zawrócił tuż przed wrót śmierci i objął mnie, a ja nie odpowiedziałam na te objęcia. Zawiodłam go. Dlaczego?

Nie jestem niewolnicą. Nie jestem niewolnicą. Powtarzam to sobie każdego dnia. Dlaczego?

Bo w to nie wierzę. I mimo tego, co czuję wobec Kipa – wszystkich Kipów jakich w nim dostrzegłam – nie mogę go kochać, bo nadal jestem niewolnicą. Był moim panem. Chociaż tylko przez chwilę. Chociaż tylko na piśmie. Kip może myśleć o mnie, co zechce, ale to nie ma znaczenia, dopóki we własnych oczach jestem niewolnicą.

Moje soczewki są wypaczone. Moje oczy – strzaskane.

Nienawidzę bycia niewolnicą, bo nienawidzę tego, czym mnie ten stan uczynił, ponieważ mnie zmienił, a ja nie potrafię odmienić się w jeden dzień. Nie potrafię powiedzieć „tak” Kipowi, chociaż tęsknię za tym całą duszą, ponieważ nie odebrałam własnej wolności. Jeszcze nie.

Dlaczego tak bardzo chcę być Czarnogwardzistką? Bo to najlepsi niewolnicy na świecie, z najlepszymi panami, z zasadami, które mają sens, najlepiej wynagradzani, dobrze kierowani. Ale jednak kierowani. Im się rozkazuje. Zawsze, zawsze są subordynowani. Jakaś część mnie pragnie tego.

Orholamie, jakie to uczucie być w pełni sobą?

Teia zamrugnęła, nienawidząc tego, czym się stała, i rozczarowana tym, czym się stała. I wtedy poczuła się tak, jakby stała obok siebie. Przez jedno uderzenie serca zobaczyła siebie dorosłą, stojącą przed sobą. Była może tylko kilka lat starsza, ale wyglądała zupełnie inaczej. Stała prosto, wysoka – tak wysoka, jak pozwalała jej na to drobna postać – ale wolna, w jej oczach skrzyła się radość, w jej postawie duma, na ustach szelmstwo. I była piękna. Nie piękna w rozumieniu kształtów i budzenia pożądania w mężczyznach, ale pięknem bardziej promiennym. Była kobietą, która jest w pełni sobą, kobietą, która ma własne życie i w pełni je przeżywa.

A potem wizja zniknęła. Teia jednak wiedziała, że to była ona, jaką może się stać.

Łza popłynęła jej po policzku.

Zdałam sobie sprawę z tego teraz? Teraz?!

Kip nie będzie martwy.

Teia znowu stała w potężnej rzece, która prawie ją ścinała z nóg. Ogarnęło ją tak silne, nagłe przekonanie, że to jakaś tytaniczna, niemierzalna magia, że rozszerzyła oczy do parylu... I nie zobaczyła niczego, ale nie straciła przekonania, że otacza ją magia, że to prawda. Istniała magia, jakiej ona nie znała.

Na razie.

Kip nie żył, a jego oczy patrzyły pusto w nicość.

Kip nie żyje; zostawił nas w tyle. Zaczęłam uczyć się od niego, ale za późno.

Kip nie będzie nie żył.

Dłoń miał mokrą od krwi z poranionych kostek.

Życie jest we krwi.

Paryl jest głównym kolorem. Paryl pozwala nam wszystko czuć. Prawie nie wiedząc, co właściwie robi, Teia wykrzesła paryl z ręki wprost do krwi Kipa. Poczula paryl, a potem zanurzyła magię w jego krwi, podążając za cofającym się luksynem, uciekającym światłem, odchodzącym życiem, jakby to była lina ciągnąca się poza jej zasięgiem.

Kiedy tylko jej luksyn pokonał granicę skóry Kipa, Teia raptownie złapała powietrze. W Chromerii magii Woli uczono dopiero bardzo zaawansowanych dyscypułów, ponieważ była to niebezpieczna sztuka, tak łatwo prowadząca do nadużyć. Kip jednak zastosował raz wobec przeciwnika wytrącenie woli i proces wyjaśniono szczeniakom Czarnej Gwardii. Luksyn nie ma pamięci, a Wola to punkt, w którym technika chromaturgii spotyka się z magią. Teia nie potrafiła krzesać żadnego z kolorów, jakie Kip miał w sobie, ale paryl wykorzystujący Wolę, by wejść w interakcję z innym kolorem, to właściwie to samo, co posłużenie się wolą dla interakcji z dowolnym kolorem – pod warunkiem, że luksyn pozostawał otwarty.

Całe ciało Kipa było zalane luksynem wszelkich kolorów. Dzięki treningom Teia

wiedziała, że należy zatrzymać serce, żeby zabić człowieka. Nie wiedziała jednak wiele więcej. Z pewnością nie była uzdrowiaczem.

Znalazła serce Kipa poprzez jego krew. Było nieruchome. Chwyliła cały luksyn znajdujący się wokół serca i wewnątrz niego, jaki wyczuła. Ponieważ nie panowała nad żadnym z tych kolorów, bardziej to przypominało złapanie garści supłów niż pociąganie za stosowne nitki.

Po prostu ścisnęła je. Mocno.

Całe ciało Kipa skoczyło na jej kolanach, a ona prawie straciła magię.

Kip nie żył.

Co ja, u diabła, wyrabiam? Orholamie...

Jeszcze raz.

Zrobiła to. Łzy płynęły po jej twarzy. Jego ciało skoczyło. To się wydawało profanacją.

Kip nie żyje. Do diabła, zostaw go w spokoju. Przestań, przestań!

Jeszcze raz.

Szarpnęła się tak mocno, że wydawało jej się, że coś w sobie rozdarła. Tym razem, kiedy jego ciało skoczyło, miała wrażenie, że stopniało na jej kolanach. Nie żył. Naprawdę nie żył.

Wola Teii odpływała. Wszystko, czego dokonała. Na nic. Tylko sprofanowała jego zwłoki. Powinna się wstydzić.

– Na jaja Orholama – powiedział zbolący Kip. Jęknął. Jego oczy się otworzyły i wzrok na chwilę skupił się na Teii. – Teia! – zawołał zaskoczony. – Jestem tu, prawda? Znaczy teraz? Znaczy... – Wzrok mu się zamglił, Kip zamrugał. Był bliski utraty przytomności.

– Kip? – spytała.

Odgarnęła mu szorstkie włosy. Miała wrażenie, że jej ciało wypełniło się światłem. Oczy miała pełne łez, które płynęły świetlistymi strugami, tańczyły, pałały i śpiewały. Kip naprawdę nie będzie martwy.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Teia, Teia, muszę ci coś powiedzieć.

Pochyliła się nad nim.

-Tak?

Może to przez krzesanie, uniknięcie o włos śmiertelnego upadku z wieży, ucieczkę przed Mordercą Sharpem, kłótnię z Kipem, uratowanie mu życia; może przez dotykание innego luksynu, może podziałał na nią, kiedy ona posługiwała się nim, ale czuła w sobie ciepło i tkliwość. Kip tu był. Pamiętała, jak go pocałowała tamtego wieczoru, kiedy wszyscy wyszli się napić. To było przyjemne.

– Teia, muszę ci to powiedzieć – powtórzył Kip.

-Tak?

Powinna go teraz pocałować. Co to szkodzi?

– Masz smarka.

– Yhm... Co?! Co mam?!

Kip odsunął się i usiadł.

– Przepraszam, oboje wisielicie nade mnie i zaczęła mnie oganiać klaustrofobia.

– Wisieliśmy? – Zdzieliła go w ramię, drugą ręką szukając chusteczki w kieszeni. – Ja nie wiszę!

Zaczęła się śmiać. Nie mogła się powstrzymać. Zasłużyła na to, nie? Po tym, jak zostawiła go, nie odwzajemniając objęć. To nie tak, że odgrywał się na niej, to wszechświat jej się odpłacił. Solidny kuksaniec od samego Orholama. Śmiała się do rozpuku, może trochę szaleńczo.

Kip był skonsternowany jej śmiechem, ale zaraz się przyłączył.

– Z czego się śmiejemy...

Śmiech zamarł na jego ustach i Kip zamilkł. Zerwał się na równe nogi, zatoczył niezgrabnie, ale ani na chwilę nie oderwał oczu od jej twarzy. Dziwna czarno-biała peleryna rozwinęła mu się w ręce zapomniana. Przekrzywił głowę, przyglądając się Teii. Zamrugął, jakby coś innego zajęło jej miejsce.

-Kip?

-T?

Nikt jej tak nie nazywał. Tylko ona sama tak siebie nazywała.

– Kip dobrze... dobrze się czujesz?

– Lśnisz różnymi kolorami i znikasz. Ty... Nie, to znika. To... – Zacisnął powieki, jakby szukał wspomnienia. – Wędrowiec Mgieł.

Ścisnęło ją w gardle.

Kip zamrugął.

– Zniknęło. – Pokręcił głową, a potem przyłożył rękę do skroni, jakby miał straszny ból głowy. – Hm, Wędrowiec Mgieł. Słyszałaś kiedyś coś takiego?

Nigdy nie zetknął się z tym określeniem. Nie usłyszał go od niej. Ani od nikogo innego.

Teia otworzyła usta, żeby skłamać. Słyszała w myślach argumentację Karris, że każdy, kto pozna ten sekret, narazi ich wszystkich na większe niebezpieczeństwo. I dostrzegała, ile racji ma Karris. Teia nie musiała poznać tożsamości Karris. To tylko pomogło jej emocjonalnie, a było niebezpieczne pod każdym innym względem. Mimo to nie skłamała.

– To ktoś, kim mam nadzieję być – odpowiedziała.

I natychmiast zrozumiała, że to prawda.

– He?

Najwyraźniej wracał od siebie po bólu głowy.

– To właśnie robię dla Bieli. Przeniknęłam do Zakonu Złamanego Oka, Kip. Już ukradłam dla nich migotliwy płaszcz. Mój mistrz znajdował się w pokoju na górze, razem z nami, kiedy powiedziałaś... To dlatego ja... udawałam głupią? Nie chciałam, żeby miał na mnie jakiegoś haka.

Nie zareagował. Nie była pewna, czy ją słyszał.

– Wędrowiec Mgieł – powtórzył.

Zerknął na nią mrużąc oczy. A potem jakby znowu zdał sobie sprawę z peleryny trzymanej w ręku. Teia nigdy wcześniej jej nie widziała. Kip powiedział do siebie:

– Złamał zasady, więc ja też mogłem. Ale dla mnie nie wygląda to jak skóra.

-On?

– Wędrowiec Mgieł. Kurna. – Kip spojrzał na lewy nadgarstek, gdzie widniała smuga koloru jak tatuaż, ale wsiąkający w skórę, blednący. – Co, u...

– Kip, Łamacz, co ty...

Skrzywił się, otworzył usta w bezgłośnym krzyku, jakby właśnie kopnęła go w klejnoty.

– O, nie, przestań! Nie nazywaj mnie tak. Żadnych imion. Proszę. Nie masz pojęcia. W tej chwili... – Zamrugął.

– Co...

Zarzucił jej pelerynę na ramiona. Materiał wydał się dziwnie, jakby nic nie ważył, ale pewnie ułożył się na jej ramionach. To była najdziwniejsza tkanina, z jaką w życiu się zetknęła. Lśniła jak satyna, a w dotyku była chłodna jak mosiądz, lekka jak powietrze i ciężka jak odpowiedzialność. Okrycie miało kaptur, który wyglądał znajomo.

Kip odsunął się i znowu zerknął, mrużąc powieki.

– Do diabła – mruknął. – Leży idealnie.

Spojrzał na nadgarstek, potarł go, ale teraz niczego tam nie było.

– Kip, co to jest? – Teia nagle się przestraszyła.

-To dar światła. To Objęcia Nocy. Skrzydło Cienia. Przenośna Ciemność. Kula, dopóki nie nauczysz się chodzić. Wędrować we mgle? Nie... Wszystko mi się miesza. A było takie jasne. – Zacisnął powieki. – I nie jest dla mnie. Wędrowiec Mgieł. Psiakrew. Powinienem być sięgnąć po pistolet.

– Kip, nie mogę tego przyjąć. Dlaczego miałbyś dać mi coś takiego. To jest...

Oboje spojrzeli na pelerynę.

– Znowu mam zwidy? – zapytał Kip.

Peleryna stała się czerwona. Czerwona jak namiętność albo rumieniec. Teia też widziała, że opończa jest czerwona. To nie była zieleń. Nie odbierała tego koloru jak zieleń. W żadnej mierze.

I zaraz peleryna rozbłysła błękitem, potem oranżem, różem i fioletem. Każda fala zaczynała się od kołnierzyka i spływała w dół do rąbka. Teraz żółty. Ciekawość?

– Och – mruknął Kip.

– Och?

– To peleryna, na której wzorowane są wszystkie migotliwe płaszcze. Oczywiście ta jest najlepsza. – Potarł oczy. – Pewnie możesz nadać jej dowolny kolor... Och, nie.

Patrzył na rozrzucone wokół nich karty. Zobaczył, że stoi na jednej, i przesunął się ostrożnie, unosząc stopę, jakby karta mogła go ugryźć. Pochylił się i podniósł ją, dotykając samych jej brzegów.

– Och, Orholamie, błagam. Powiedz mi, że nie złamałem żadnej z... Co jest, u diabła?

Spojrzał na kartę, jakby go obrażała.

Sięgnął po następną.

– Nie! – jęknął.

Wytrzeszczał oczy.

Podniósł kolejną i jeszcze jedną. Każdej się przyglądał. Co robił?

– Nie, nie, nie – mówił, obracając każdą. – Teia, tak to wyglądało, kiedy mnie znalazłaś?

– Co jak wyglądało?

– Czy karty tak wyglądały? Nikt nie wszedł i nie ukradł prawdziwych, zanim mnie znalazłaś?

– Kip, o czym ty mówisz? Wszystkie przywarły do twojej skóry. Jakby cię zatrzymały.

– O, nie, nie, nie, nie. Musiałem uruchomić jedną z pułapek. Nic dziwnego, że omal mnie nie zabiły. Tym razem schrzaniłem sprawę koncertowo... – Przerazony przyłożył dłoń do czoła.

– Kip! O czym ty mówisz?

Odwrócił się i pokazał jej kartę. Rewers zdobiły drobniawo wymalowane geometryczne wzory polakierowane luksynem. Obrócił kartę. Awers był pusty. Pokazał następną kartę: pusta. I jeszcze jedną – pusta.

– Zniszczyłem cały jej życiowy dorobek! Janus Borig żyła, żeby stworzyć te karty, i zginęła, chroniąc je, a ja teraz... – Zrobił kilka pośpiesznych kroków w bok i pochylił się szarpany odruchem wymiotnym.

Teia podeszła i położyła rękę na jego plecach. Pochylał się z rękami na udach. Dopiero co uratowała mu życie, nie takiej reakcji się spodziewała. W ogóle nie spodziewała się takiej reakcji. Orholamie, rzeczywiście myślała, żeby go pocałować?

– Jest naprawdę tak źle? – zapytała.

Nie, T, pewnie rzyga dla zabawy.

– Może być jeszcze gorzej. Mój dziadek uważał, że od początku wiedziałem, gdzie

znajdują się karty, i groził, że zabije mnie, jeśli ich nie oddam. A to? W życiu w to nie uwierzy.

– A co, ehm, co jest w drugim pudełku?

Kip westchnął.

– To ulubiona talia mojego dziadka. Ojciec musiał ją ukraść, żeby zrobić mu na złość. Rzecz jasna jest warta fortunę. Ale też jedyna w swoim rodzaju, więc nie mogę jej ukraść, ukryć, czy zwrócić, żeby się nie zorientował, że musiałem znaleźć też tę drugą talię.

– Może to będzie dobry prezent na pojednanie?

Kip zastanowił się, ale zaraz pokręcił głową.

– Nie wiem, czemu ojciec ukradł te karty. Może miał jakiś cel. Kiedy wróci, nie chcę zawieść go podwójnie.

– Kip – zaczęła łagodnie Teia – naprawdę myślisz, że on wróci?

– Tak! – warknął. – Tak – powtórzył ciszej.

Skrzywił się i przykucnął. Wyglądał na zamrozonego, walczącego z mdłościami.

Teia podeszła do panelu i zgasła wszystkie światła oprócz kojącego niebieskiego.

– Dzięki.

– Nadal jesteś moim partnerem, Kip. Nie odebrali nam tego. Na razie. Posprzątajmy.

Zaczęli zbierać karty i to pomogło.

Minęło kilka chwil kojącej ciszy, kiedy po prostu razem pracowali. Wobec kart, peleryny i wszystkiego, co się wydarzyło i czego nie pojmowała, Teia złapała się na tym, że mówi:

– Myślałam... myślałam, że jesteś martwy.

Kip wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Myślę... Myślę, że byłem.

– To byłaby najgorsza rzecz, jaka mogłaby mi się przydarzyć.

Chciała powiedzieć: „Utrata ciebie byłaby najgorszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła”, ale to byłoby już za dużo. Kip mógł mówić, co mu do głowy strzeliło, i jakoś mu to uchodziło, ona tak nie potrafiła.

– Obiecuję umrzeć w jakiś poręczny i schludny sposób – odpowiedział.

– Nie to miałam...

– Żartuję.

– Aha.

Kip odetchnął głęboko.

– Dzięki, Teia. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek inny znalazł mnie, kiedy niszcę bezcenną rzecz.

Roześmiała się. Peleryna zamigotała falami barw. Ej, co jest grane?

– Wiesz, myślę, że podoba mi się ta peleryna na tobie – orzekł Kip. – O wiele łatwiej cię

odczytać.

Skrzywiła się, ale grymas nie odzwierciedlił się na pelerynie, więc Kip widział – do diabła! – że tylko udawała. Zamknęła oczy i skupiła się.

– O, nieźle – powiedział Kip – ale teraz chyba nie dam rady dłużej patrzeć na tę pelerynę.

Krzywił się i tarł skronie.

Teia spojrzała na pelerynę. Była w kolorze burej, nudnej szarości. Wyglądała dokładnie tak jak normalna peleryna kadeta Czarnej Gwardii.

– Kip, to niesamowite!

Peleryna reagowała zgodnie z jej wolą. Wątpiła, żeby migotliwe płaszcze zmieniały swój wygląd. Nadawały się tylko do jednego. A to – to było coś znacznie więcej.

Kip mruknął coś, ale zanim zdążyła poprosić, żeby powtórzył, drzwi otworzyła Karris Białodąb.

Nie była szczególnie zachwycona ich widokiem. Ani też bałaganem spowodowanym przez zerwany worek treningowy i rozsypane wszędzie trociny. Podeszła zdecydowanym krokiem i zerknęła na Teię.

– Ty to zrobiłeś? – zapytała Kipa, mając na myśli zerwanie worka.

Skinął głową z rękami w kieszeniach. W kieszeniach miał też pudełka z taliami.

– Pokaż mi ręce – zażądała.

Kip wyciągnął ręce, uważając, żeby nie pokazać wnętrza, a Karris przyjrzała im się. Ręką. Teia odetchnęła z ulgą. Zerknęła na swój płaszcz. Pozostał szary, tak jak chciała. Orholamowi dzięki i za to.

– Poraniłeś sobie kostki do krwi, trenując. Teraz twoje dłonie nie będą się do niczego nadawać, dopóki się nie zagoją, a ty stracisz treningi. Uważasz, że to szczególnie efektywne rozwiązanie? – spytała Karris.

– Nauka walki mimo bólu, owszem, to dobry trening – odpowiedział Kip. – I niczego nie stracę.

Teię aż zatkało, gdy usłyszała jego ton, a Karris zacisnęła usta. Nadal trzymała pięść Kipa w dłoni, a Teia zastanawiała się, czy kalkuluje, jak szybko zdoła zmienić ten chwyt w blokadę albo dźwignię i skopać nieposłuszny tyłek Kipa. Zamiast tego obróciła mu prawą rękę i obejrzała łokieć. A potem odsunęła rękaw i przyjrzała się ramieniu. Znalazła tam ranę.

– Zatem odkryłeś upust – powiedziała.

– Upust?

-Wystrzeliwanie luksynu w jednym kierunku, żeby przyspieszyć ciosy albo kopnięcia.

– Potęgowanie? Już to znacie?

– Dlaczego mrugasz? Masz kaca? Masz chorobę świąteczną?

– Nic mi nie jest.

Karris westchnęła.

– Czekamy, aż złożycie ostateczne śluby, by zacząć tego uczyć. Cała wasza drużyna posługuje się tą metodą?

Ani Kip, ani Teia nie odpowiedzieli.

– Jasne – odrzekła Karris. – To dobry sposób, żeby wypalić całe halo w kilka lat. I tak trudny, że większość Czarnogwardzistów posługuje się tym rzadziej niż raz w roku.

– To błąd – odparł Kip. – Kazalibyście nam strzelać z muszkietu tylko raz w roku, bo tak rzadko posługujemy się nimi w prawdziwych walkach? Brak praktyki wzmacnia...

Zobaczył wyraz twarzy Karris i wreszcie się przymknął.

– Czyli worek zerwał się – powiedziała Karris – a potem pękł?

Teia dostrzegła kłopot. Gdyby worek zerwał się ze skórzanej pętli, to by wystarczyło, żeby zaabsorbować siłę potężnego ciosu. A gdyby szew pękł, to jak potem worek urwałby się z mocowania?

– Jestem Guile – odparł Kip, nadal wrogo nastawiony.

Mimo arogancji to była na swój sposób genialna odpowiedź. „Jestem Guile” znaczyło, że odbiega od norm tak dalece, że należy się spodziewać, że niezwykle rzeczy będą mu się regularnie przydarzać, albo też, że jako Guile jest oszustem i niech Karris idzie do diabła, jeśli jej to nie pasuje.

Co dziwne, Karris nie spoliczkowała Kipa, tak żeby mu odskoczyła ta jego głupia łepetyna. A to była kobieta, która słynęła z temperamentu. Wydawało się, że z wiekiem zmieniała się, łagodniała. Oczywiście, powszechnie znany sekret, że Biel zabroniła jej krzesać, też mógł mieć z tym pewien związek. Ponieważ była czerwono-zielona, możliwe, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek na niej wymuszono.

Twarz Karris pozostała nieruchoma, a jej oczy skrywały się pod spuszczonej powiekami.

– Nie zapominaj, Kip, że teraz ja też jestem Guile.

Och. Może jednak nie złagodniała z wiekiem.

Rozczarowanie na twarzy Kipa było bezcenne. Na kościste kłykcie Orholama, Teia aż chciała zawiwatować dla swojej szefowej.

– Tak, proszę pani – powiedział Kip.

Zanim jednak Karris zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej, drzwi znowu się uchyliły. Wszyscy się obrócili, ale Teia obserwowała twarz Karris, która pobladła jak prześcieradło.

– Samite! Co tu robisz na dole?

– Biel powiedziała, że możesz tu być.

– Sami, co ci się stało?

Teia zobaczyła, że przysadzista Czarnogwardzistka uśmiecha się przepaszająco. Lewą rękę miała grubo obandażowaną, ale nie ukrywało to faktu, że straciła część dłoni.

– Emerytura – powiedziała Samite z wymuszoną wesołością. – Albo przydział trenowania tutaj ze szczeniakami i szczawiami.

Wskazała podbródkiem na Kipa i Teię.

Karris już podeszła do przyjaciółki. Ostrożnie podniosła jej rękę. Samite się skrzywiła.

– Samite, co się stało?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Promachos wysyłał oddziały w poszukiwaniu mar.

– Jasne, jasne – przytaknęła Karris.

– Mój szukał żółtej. Znaleźliśmy ją i zniszczyliśmy. Nie było tam wiele koloraków, ale kiedy żółci zamieniają się w koloraki, odkrywają, jak krzesać lity żółty luksyn. Najwyraźniej wszyscy to odkrywają. Piekielna walka. Połowa oddziału to były dzieciaki, a to ja jako jedyna zostałam ranna. To naprawdę żenujące.

Karris objęła przyjaciółkę. Samite przez chwilę stała nieruchomo, ale potem odwzajemniła uścisk.

– Pewnie należało mi się za tamto. Z lady Guile. Znaczy poprzednią lady Guile. Felią.

– Nie, nie, nie, nie mów tak.

Teia nagle zawstydziała się, że jest świadkiem tak osobistej sceny między przyjaciółkami... A także ogromnie się zaciekawiła, chociaż wiedziała, że tego sekretu nigdy nie pozna.

Samite odsunęła się od Karris i spojrzała na ciężki worek treningowy.

– Kip, ty to zrobiłeś?

Skinął głową.

– Ojciec byłby z ciebie dumny – kontynuowała Samite. – Powiedział mi raz, że da ci nieźle w kość, jeśli nie rozwalisz worka przed Dniem Słońca.

To miało dwójaki wpływ na Teię. Po pierwsze, ogromnie się zawstydziała, że brała udział w żarcie ze wzmacnianiem szwu. Po drugie zdała sobie sprawę, że Gavin chciał, żeby Kip znalazł karty, gdyby on nie wrócił.

– Jednak nie przyszedłam tu, ehm, z tego powodu i przykro mi, że przerywam ci trening z tą dwójką, lady Guile. – Samite odetchnęła głęboko. Zerknęła na Kipa i Teię, a potem wzruszyła ramionami. – To wiadomość tylko dla twoich uszu, ale wkrótce i tak się dowiedzą. Lady Guile, nie przyszedłabym przeszkadzać tylko z nowinami na swój, ehm, temat. Przyszedłam cię ostrzec.

– Ostrzec? – zdumiała się Karris.

Teia patrzyła na Kipa. Poblądł. Teia nie widziała, o co chodzi, ale Kip najwyraźniej już wiedział, co Samite powie.

– Kiedy my, Czarnogwardziści, wylądowaliśmy na Wielkim Jaspisie, w porcie stał też drugi statek. Wsiadał z niego młody lord. Był dość... zawzięty, kiedy przepychał się przez tłumy pielgrzymów. Twierdził, że nazywa się Zymun.

Kip znowu pozieleniał na twarzy, ale tym razem wyglądało to inaczej.

Karris spojrzała pustym wzrokiem na przyjaciółkę.

– No i?

– Karris, Zymun twierdzi, że jest twoim synem. Biel oczekuje, że natychmiast się u niej zjawisz.

ROZDZIAŁ 77

Jej syn. Tutaj.

Karris czuła się tak, jakby obserwowwała własne ciało idące korytarzem do windy. Minęła posterunek Czarnogwardzistów i nawet nie rozpoznała mężczyzn na służbie. Pierś miała ściśniętą. Ledwie oddychała. Mogła się skupić tylko na jednej rzeczy naraz. Krok, krok, kobieto, do diabła. Teraz zapukaj. Jej syn.

Dobry Orholamie, wszystko się waliło.

Zapukaj, psiakrew.

Uniosła rękę i zapukała do drzwi Bieli.

Najdziwniejsza rzecz wydarzyła się po tej prostej nieodwołalnej czynności – Karris ulżyło. Wszystko się waliło i jakimś cudem, niezależnie od ceny, bez względu na to co potem się stanie, nadszedł kres kłamstw.

Czarnogwardziści przy drzwiach, Gill i Gavin Greyling, spojrzeli po sobie ponad jej głową.

– Lady Guile? – zapytał Gill.

Otworzył jej drzwi.

– Dziękuję.

Weszła wyprostowana, z jasną twarzą. Uczyli ją najlepsi, nie przyniesie im teraz wstydu. Tu, u kresu wszystkiego, będzie dzielna, niewzruszona i przyjmie karę jak dama i Czarnogwardzistka.

Biel siedziała w fotelu na kółkach i sprawiała wrażenie silniejszej niż kiedykolwiek w ostatnich latach. Zobaczyła Karris i powiedziała:

– Zostawcie nas same.

Służba, sekretarze i Czarnogwardziści natychmiast wyszli. W jej głosie pobrzmiwała stal, która nie zniosłaby żadnych sprzeciwów ani zwłoki.

Kiedy pokój opustoszał, Biel przyjrzała się Karris.

Karris chciała się odezwać, ale staruszka uniosła palec, uciszając ją, i znowu jej się przyjrzała.

A potem nagle powiedziała:

– Popatrz na ten wynalazek. Jeden z młodych kadetów Czarnej Gwardii, Benhadad, zrobił to dla mnie. Początkowo wątpiałam, czy zdaje sobie sprawę, na co się natknął, ale

teraz jestem przekonana, że dobrze wie.

Położyła rękę na oparciu fotela i możliwie najcieńszy kosmyk niebieskiego luksynu przepłynął w dół po jej cieniutkiej jak papier ryżowy skórze, a fotel obrócił się i wytoczył zza biurka, jakby duch obrócił go i pchnął.

– Co to, u... Wybacz, najszlachetniejsza pani – powiedziała Karris. – Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego. Jak...?

– Przekładnie i wielokrażki, jak mi wyjaśnił. Wszystko z luksynu. Jego pomysł to zawrzeć całkowicie otwarty luksyn wewnątrz paru pasów, jak wyjaśnił. Ponieważ luksyn pozostaje otwarty, mogę popychać fotel samą Wolą. Ponieważ jest zamknięty, nie paruje. Gdybym była młodsza, natychmiast obróciłabym ten fotel do góry nogami, żeby zrozumieć dokładnie, czego Benhadad dokonał. To nie może być tak proste, jak on twierdzi, ale jeśli jest albo się do tego zbliżył... Wszyscy mamy tendencję myśleć, że nasze czasy to końcowy produkt tego, co było wcześniej, co jest prawdą, ale lubimy myśleć, że nasz czas w związku z tym to szczyt, a nie kolejna perła na sznurze. Ten wynalazek może odmienić tysiące rzeczy albo tylko jedną lub dwie, zależnie od tego, jak skuteczna jest ta technika, na jaką odległość i jak długo może działać i w pasmach jakiego koloru. Możliwe, że umrę tuż przed najciekawszymi czasami w historii. Możliwe, że o włos ominie mnie rewolucja. Świadomość tego jest albo nie do zniesienia, albo bardzo pocieszająca. Nie mogę się zdecydować.

– Przestań, proszę – powiedziała Karris – będziesz żyć wiecznie.

– Umrę przed Dniem Słońca.

Stalowe taśmy zacisnęły się wokół piersi Karris.

– Z pewnością mówisz o następnym Dniu Słońca – odparła, mając na myśli dalszy dzień niż ten za rok.

– Powiedziałam to, co miałam na myśli. – Biel orzekła to tak, że musiało chodzić o Dzień Słońca już za trzy dni. – I dość na ten temat. Zostałam obdarowana długim życiem i pewnością co do dnia śmierci. Debata nad z góry przesądzoną konkluzją to strata tej odrobiny czasu, jaka mi została.

Karris przełknęła tuzin sprzeciwów, które walczyły, by wyrwać się jej z gardła. Nie tylko po to – jeśli miałyby być ze sobą szczerą – żeby przekonać ją i siebie, że Biel pozostanie z nimi jeszcze przez długi czas, ale żeby powstrzymać poruszanie gorszych tematów. Kiedy siedzisz i czekasz na wyrok autorytetu, którego nie możesz odrzucić, nigdzie nie znajdujesz pociechy.

– Już prawie zachód – powiedziała Biel. – Wyprowadź mój fotel na balkon, dobrze? Pewnie mogłabym to zrobić sama z pomocą Woli, ale się męczę.

Karris przewiozła ją więc korytarzem prowadzącym do jej i Gavina pokoi. I na balkon.

Czarnogwardziści uparli się, że przynajmniej pozostaną w pokoju, zważywszy na niedawne złe doświadczenia z balkonami i zabójcami.

Karris znalazła dla siebie ciepły płaszcz i parę koców dla Bieli.

– Weź mnie za rękę, moja droga – powiedziała Biel.

Oglądały razem zachód słońca. W rozbłyskach różu, oranżu i wszelkich odcieni czerwieni słońce zeszło do morza, zostawiając płonące chmury jak obietnicę powrotu. I wobec piękna słońca, morza i chmur, wobec żelaznego uścisku kruchej dłoni, która chroniła ją i kierowała nią w sposób, w jaki nie uczyniła tego nigdy jej własna matka, Karris złapała się na tym, że ma mokre policzki od łez nad wszystkimi ranami zadanymi światu. I swoimi własnymi.

– Popatrz na miasto i powiedz mi, co widzisz – powiedziała Biel.

Kiedy słońce znajdowało się tak blisko horyzontu, miasto pogrążało się w łagodnych cieniach podnoszących się z ziemi. Błyszczące kopuły najprzeróżniejszych barw i kształtów lśniły jasno na tle pobielonych ścian, a Tysiące Gwiazd migotało, strzelając promieniami w tę i w tę do swoich dzielnic. Siedem wież Chromerii też wyglądało olśniewająco w tym świetle, gdy sięgały jak stęsknione ręce ku niebu.

– Widzę najpiękniejsze miasto na świecie – powiedziała Karris. – Widzę skarb wart chronienia.

-Tysiące Gwiazd... Dziwne są, nieprawdaz?

Karris wzruszyła ramionami. Były cudem; ich osobliwość była niezaprzeczalna, ale też niekwestionowana.

– Ogromne koszty na budowę wież tylko po to, żeby dać krzesicielom kilka dodatkowych minut światła każdego ranka i wieczoru, nie uważasz?

Wykorzystywano je, rzecz jasna, także do wielu innych rzeczy – dla celów ceremonialnych, świątecznych, praktycznych, ale Biel o tym wiedziała. Miała na myśli coś innego.

– Opowiesz mi o drugim razie, kiedy zobaczyłaś zielony rozbłysk? – spytała ją Karris.

– Drugim?! A opowiedziałam ci o pierwszym? – zapytała Biel, nadal patrząc na morze.

Słońce jednak całkiem się schowało. Nie będzie zielonego rozbłysku tego wieczoru.

– Gavin opowiedział mi o pierwszym. Powiedział, że go dostrzegłaś i byłaś tak podekscytowana, że podskoczyłaś... I złamałaś nos przyszłemu mężowi, kiedy sięgał ponad tobą po swój kieliszek wina.

Twarz Bieli rozbłysła uśmiechem na to wspomnienie, ale nie odwróciła się od morza.

– Wiesz, od tamtego czasu chrapał. Nos nie zagoił się dobrze. Wiedziałam, że nie mogę naprawdę na to narzekać, ale byłam młoda i skarżyłam się. – Ten stary grzech przygasił uśmiech, który jednak zaraz na nowo zapłonął. – Tak bardzo mi go brakuje. Powiedział

mi, że powinnam ponownie wyjść za mąż, kiedy odejdzie. Nigdy nie chciał, bym była samotna, ale nie mogłam znaleźć mężczyzny, który by mu dorównywał. Taki jest problem w byciu wyjątkowym, jak sama wiesz. Może wielkiemu mężczyźnie wystarcza poślubienie kobiety, która mu nie dorównuje, ale my, wielkie kobiety... Równi nam są rzadkimi okazami, a większość tych, których odnajdujemy, poślubiła już kretyнки.

– Jesteśmy ofiarami naszych własnych wyrafinowanych gustów? – zapytała Karris.

– O ile Gavin wymaga wyrafinowanego gustu. Chociaż należy do rzadkich okazów, to pewne.

Karris nie potrafiła rozmawiać teraz o Gavinie. Nie potrafiła dotknąć studni smutku, który zaczynał zamieniać się we wściekłość – jak śmiał zostawić ją tu, całkiem samą, żeby stawiała czoło temu wszystkiemu? I poczucie winy, które pojawiało się po gniewie – gdzie był? Co znosił? Wróciłby, gdyby to od niego zależało, dobrze to wiedziała.

Miała nadzieję, że dobrze to wie.

– Popatrz teraz – powiedziała Biel.

Cienie niczym przyływ połknęły już mury wokół Wielkiego Jaspisu i cały czas parły w górę, światła gasły z powodu krzywizny ziemi, aż tylko najwyższe budynki i Tysiące Gwiazd jaśniały. A potem tylko Tysiące Gwiazd. Wnosiły dzień w noc.

Minęło bardzo dużo, dużo czasu, odkąd Karris naprawdę patrzyła.

– My, krzesiciele, jesteśmy tymi Tysiącami Gwiazd, Karris. Wykorzystano nas do tysiąca celów, ale w sercu mamy tylko jeden: wnosić światło w ciemność. Każde wysoko wyniesione zwierciadło jest doprawdy wyjątkowe, genialnie wykonane, stworzone magią, ale ostatecznie wyniesiono je nie z racji wrodzonej nadzwyczajności, ale dlatego, że dzięki temu mogą służyć, przynosząc światło tam, gdzie panuje ciemność. Wyniesiono nas, byśmy służyli.

Przez chwilę patrzyły, jak światło odbite od rozlicznych luster gra na Wielkim Jaspisie. A potem Biel powiedziała:

– Drugi raz, kiedy zobaczyłam zielony rozbłysk, który nazywam mrugnięciem Orholama, był najtrudniejszym dniem mojej służby w roli Bieli. Stałam tutaj na jednym z niższych balkonów, myśląc o czymś, co zobaczyłam i co mnie przeraziło. Myślałam, że jeśli popełnię błąd, świat pograży się z powrotem w wojnie, która dopiero co się skończyła, jak się zdawało. Myślałam jednak, że jeżeli czegoś nie zrobię, może spotkać nas jeszcze mroczniejszy los.

– Po wojnie? Co to było? – zapytała Karris.

Wtedy już uciekła z Krwawej Puszczy, ale nie zdawała sobie sprawy, że nastąpił tu poważny kryzys. Kilka drobnych, niewątpliwie. Może wybijanie piratów i buntowników, rozdzielanie ziem i grabieże były o wiele bardziej niebezpieczne, niż myślała, a wyglądały

jedynie na drobne wyzwania, bo tak zręcznie to załatwiono. Poza rozwiązaniem sprawy tyrejskiej, które, chociaż niemoralne, osłabiło Tyreę na niemal dwie dekady.

– To był dzień, kiedy Gavin wrócił spod Strzaskanej Skały.

Karris wstrzymała oddech, a puls zamienił się w grzmot w jej uszach.

– Bo nadal był odurzony i nie wydawał się sobą? – zapytała, kłamiąc tak gładko, że nawet sama lady Felia Guile byłaby z niej dumna.

– Nie – odpowiedziała Biel. – Albo, przeciwnie, mówiąc ściśle.

Nie powiedziała nic więcej, a Karris nie chciała jej obrażać wypełniając ciszę słowami.

– Zobaczyłam coś, co mnie przeraziło i spanikowana, omal nie zrobiłam czegoś pochopnego, bo uważałam, że powinnam coś zrobić. A potem... Orholam mrugnął. Odebrałam to jako wiadomość, że mnie popiera. Wiedział. Władza leży we wszelkim działaniu, które pociąga za sobą konsekwencje. Jednak prawdziwa władza to działania, które wywołują zamierzony skutek. Prawdziwa władza nie jest możliwa, jeśli nie kieruje się mądrością. Miałam dość władzy, żeby zabić. Ale Orholam miał inny plan. To było drugie mrugnięcie.

Zupełnie jakby mówiła w obcym języku, a Karris z trudem tłumaczyła jej słowa. Biel zobaczyła Gavina... i?

I wiedziała.

Tak po prostu? Z miejsca? Karris była zakochana w tym mężczyźnie. Kochała się z nim. Skupiła każdą cząstkę młodej duszy na tej zakazanej miłości... I nie dostrzegła tego, a Biel owszem?!

To ją rozwścieczyło. To sprawiło, że poczuła się tak głupia, że nie wyrażą tego żadne słowa.

Omial nie sięgnęła, żeby wykrzesać czerwień i otrzymać potwierdzenie, uzasadnienie, że jej wściekłość jest zasłużona. Ale wtedy zdała sobie sprawę, że porównuje jabłka i pomarańcze. Biel ujrzała Dazena, kiedy był odurzony lekami i zaraz po tym, jak zabił brata. Karris, która uciekła, żeby ukryć ciążę, zobaczyła go dopiero rok później. Kiedy wróciła, Dazen miał już czas, żeby poćwiczyć rolę Gavina. Zobaczyła go, kiedy już zmienił garderobę, kiedy wszyscy wokół traktowali go jak Gavina. Jego sposób mówienia, włosy i postawa były całkiem inne.

Rzecz w tym, że Biel wiedziała. Ona cały czas wiedziała. I nie ujawniła Dazena.

– Ile jest warta dusza człowieka? – zapytała Biel. – Jaką cenę zapłacisz za jego odkupienie? Czy twoja odpowiedź jest inna, gdy przewodzi krajowi? A jeśli może wpłynąć na bieg historii? Jaka cena byłaby zbyt wielka? Na ile zrezygnowałabyś ze sprawiedliwości i zemsty na rzecz nadziei? – Zamknęła oczy i westchnęła. A potem jej usta drgnęły leciutko w niechętnym uśmiechu i znowu otworzyła oczy. – Okazał się piekielnie dobrym

Pryzmatem. I bądź tu mądra.

Karris wypuściła powietrze. Nie zdawała sobie sprawy, że je wstrzymywała. To było nierzeczywiste. To po prostu nie mogła być prawda.

– Jak zdołałaś tak długo zachować milczenie w tej sprawie?

– Być Bielą to znać sekrety. Jednak to, że moja pozycja wymaga szpiegowania i politycznych machlojek, nie zwalnia mnie z moralnych zobowiązań związanych z tym, w jaki sposób wykorzystam to, co wiem.

– I wiedziałaś też... o mnie? Od jak dawna?

– Widziałam o twoim synu od samego początku. Inne kobiety, o których wiedziałam, że porzuciły dzieci, prześladował ten czyn. Dlatego na przestrzeni lat wyznaczyłam ci kilka zadań, które umożliwiłyby ci, gdybyś zechciała, wydłużyć czas nieobecności i poszukać syna, tak by nikt inny się nie dowiedział. Nigdy nie wykorzystałaś tych okazji.

Karris jak otępiała powiedziała:

– Ale... obawiałam się, że doprowadzę szpiegów prosto do niego. Bałam się tego, co zrobię, kim się stał, co o mnie myśli.

– Ciemność nie posłużyła ci dobrze. Na podstawie tego, czego się dzisiaj dowiedziałam, uważam, że Andross Guile też wiedział o nim od lat. Bądź mądra jak wąż, moje dziecko.

Karris nie potrafiła walczyć z myślami o swoim synu. Zymunie. Nawet nie znała jego imienia. Było tego zbyt wiele, a nie ufała swoim reakcjom w obecności Bieli. Uniosła podbródek i odsunęła na bok tę otwartą ranę. Na razie.

– Chciałabym... chciałabym mieć w sobie tę pewność, jaką ty masz. Ze Orholam mną kieruje. Chciałabym zobaczyć, jak daje mi widzialny znak, jak dał tobie.

Biel zachichotała.

– Tak, dwa zielone rozbłyski w ciągu pięćdziesięciu lat. Czy to prawdopodobne? Okazuje się, że jeśli oglądasz zachód słońca niemal codziennie, to masz sporą szansę. Karris, to co widzimy, nie zależy jedynie od tego, co jest na świecie, ale i od tego co jest w nas. Soczewka jest równie ważna jak światło. Myślisz, że nie kwestionowałam tych dwóch razów tysiąc razy po tysiąc? Poza tym, Orholam przemawia inaczej do każdego ze swoich dzieci. Myślałam o zielonych rozbłyskach jak o wiadomości, bo mój własny dziadek nazywał je mrugnięciem Orholama. Gdybyś ty je zobaczyła, uznałabyś za ciekawy fenomen. Orholam może przemawiać do ciebie w sposób bardziej zwyczajny: przez swoje pismo święte albo przez słowa swoich wyznawców związanych z tobą. Potrafiłabyś to zaakceptować?

– Oczywiście.

– Zatem posłuchaj tego słowa, to jego dar dla ciebie. Słuchasz?

– Słucham. Orholam powiedział ci właśnie teraz, czy też w jakiś sposób skierowałaś

mnie ku temu?

– Orholam przekazał mi te słowa dla ciebie tysiąc razy. W ciągu pięćdziesięciu lat za każdym razem, gdy czytałam te słowa, wypełniałaś moje myśli, ale moim losem było znać je i ich nie wypowiedzieć. To część ceny, jaką płacę za własne grzechy. Nawet rozgrzeszony musi odprawić pokutę.

Grzechy? Jakie grzechy popełniła Biel? Czy uważała, że niepowiedzenie nikomu o Gavinie to grzech? Na pewno nie.

– Jakie to słowa?

– Najwyższy odpłaci ci za lata, które pożarła szarańcza.

Szarańcza nie pojawiła się w Siedmiu Satrapiach od czasów poprzedzających Lucidoniusa, ale będąc dzieckiem, Karris miała luksjata, który opowiadał jej historie. Dzięki nim plaga szarańczy była realna jak wspomnienie. Uważano ją za wyсіęk zaburzenia równowagi, nadmiaru zieleni i błękitu; napłynęła chmurą przy wtórze dźwięku brzmiącego jak odległy nieprzerwany grzmot. Sięgała od jednego horyzontu po drugi, dosłownie pogrążając ziemię w mroku. Była jak miliony rydwanów opadających, by splądrować ziemię. „Szarańcza pomaszeruje jak wojsko w szeregach” – zapowiadał Jo’El w starożytnym prorocctwie.

Krzesiciele wszystkich barw, nawet w tych dawnych czasach podziałów stanęli do walki wielką masą. Niebiescy próbowali krzesać kopuły nad całymi połami. Pomarańczowi próbowali manipulować hordami i zawrócić je z powrotem na ich ziemię. Czerwoni i podczerwoni zbryzgali niebiosą ogniem. I jak świece wrzucone do oceanu krzesiciele gaśli jeden po drugim, całymi tysiącami.

I gdziekolwiek udawała się szarańcza, pożerała wszystko. Nie zostało nic zielonego. Zmiotła z powierzchni ziemi nie tylko zbiory, ale i całe lasy. Drzewa odarte z listowia po prostu umierały po odejściu szarańczy. Ludzie szaleli w czasie ataku, a ich otwarte usta napełniały się szarańczą. Ludzie szaleli też potem, kiedy uderzyła kosa głodu. Armie insektów nie zostawiły niczego dobrego, zielonego i rosnącego. Niczego poza dziećmi o zapadniętych policzkach i wzdętych od głodu brzuchach, chodzących na nóżkach jak patyki, aż w końcu nie mogły nawet stać. Zwijały się wtedy i nawet nie odpędzały much od oczu. I umierały.

I takie było życie Karris od czasów wojny. Nawet kiedy Gavin wrócił i ożenił się z nią, nie potrafiła przestać myśleć o szesnastu latach jej życia, kwiecie jej młodości utraconym, zniszczonym, pożartym. Bezsilny gniew żarzył się w tym miejscu, wiecznie płonący ogień, o którym nawet nie wiedziała, że nadal się pali.

To było jej powolne samobójstwo. To było jej krzesanie czerwieni w takiej ilości, żeby umrzeć młodo – nie do końca celowe, ale i nie całkiem przypadkowe.

Słowa te były jak pięść, która uderzyła ją w brzuch, zrywając tuzin warstw niedopasowanej zbroi i dając na jej miejsce ciepłą, czystą szatę.

– Karris, będziesz najpotężniejsza, kiedy nie będziesz nosić miecza ani zbroi – odezwała się cicho Biel. – Oto moc słowa.

Karris nie poruszyła się. Usztywniła ciało. „Odplacę ci za lata, które pożarła szarańcza”. Ta obietnica niosła ze sobą wszystko, co kiedykolwiek miała nadzieję usłyszeć, i była to obietnica Orholama. Czowała się tak, jakby ktoś wyjął jej duszę z ciała i delikatnie nią potrząsnął, i cały brud, kurz, nienawiść i gniew po prostu oderwały się i odpadły, a potem po prostu wrzucono ją z powrotem na jej miejsce. Wszystko było takie samo, ale jej oczy się zmieniły, zdrowiały. Nie panowała nad sobą wystarczająco, żeby się odezwać.

W końcu powiedziała:

– Byłaś mi matką, jaką moja matka nigdy nie potrafiła być. Byłaś czymś więcej. Dziękuję. – Przyklękła i pocałowała dłoń Bieli.

Stara kobieta ujęła czule jej policzek, poklepała ją i dała znać, że powinna wstać.

– Muszę już iść, moja droga. Będę się za ciebie modlić. I będę się modlić, żeby Orholam dał ci twój własny zielony rozbłysk, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

– Nie chcę, żebyś odeszła – powiedziała Karris. – Nigdy.

Biel uśmiechnęła się smutno.

– Dziękuję, moje dziecko. Wyświadczy mi przysługę, dobrze?

– Cokolwiek zechcesz.

– Bądź dobra dla Marissii. Doskonale służyła w trudniejszych okolicznościach niż potrafisz sobie wyobrazić.

Prośba, chociaż całkiem rozsądna, dotknęła prosto gorącego rdzenia, gdzie nadal płonął ogień gniewu. Bo czym była ta rudowłosa piękność, jeśli nie chodzącym symbolem wszystkiego, co Karris straciła w ciągu tych szesnastu lat? Ona, niewolnica, miała to, czego nie mogła mieć Karris mimo pozycji i bogactwa. Nie tylko mężczyznę – jakby uczuciami mężczyzny można było się wymieniać jak krową – ale pozycję, cel, miejsce, w które idealnie się wpasowała. „Czarnogwardzistka” to był płaszcz, który Karris nosiła, ponieważ miała dostateczne umiejętności, żeby nie mogli odmówić jej tej pozycji. Jednak nie była takim Czarnogwardzistą, jakim był dowódca Żelazna Pięść. Dla niego to nie było zadanie, ale tożsamość. Dlatego Karris zawsze otrzymywała dziwne misje, jako dziewczyna na posyłki Bieli, partnerka Gavina w polowaniach na koloraki, jako łącznik to tu, to tam. Zawsze była inna, nie tylko ze względu na karnację czy pochodzenie. Jej czarnogwardyjscy bracia zaakceptowali ją, jak się akceptuje kulawą siostrę – bezwzględnie, bo oczywiste jest, że nie całkiem do nich pasuje.

Marissia zawsze pasowała. Jej personel był niewidzialny, bo służył doskonale. I także

ona sama doskonale wypełniała miriady innych zadań, które Karris dopiero teraz dostrzegała. Rzecz jasna, wieloletnia osobista niewolnica Gavina Guile była traktowana tak, jak żaden inny niewolnik w Siedmiu Satrapach. Nawet Grinwoody nie był traktowany tak jak Marissia. Młodszy, bardziej nieokiełznany Gavin świeżo po wojnie już tego dopilnował.

Młody lord Seaborn był zbyt nachalny, a kiedy jego awanse zostały odrzucone, podbił oko młodej Marissii.

Gavin stopił mu twarz i zatknął jego głowę nad frontową bramą Chromerii. Na krótko. Biel dopilnowała, by w ciągu kilku godzin ją zdjęto.

Obraza była dostateczna, żeby rodzina poprzysięgła zemstę. Jednakże w przedziwnych okolicznościach, które większość Czarnej Gwardii przypisywała później Czerwieni, Seabornowie szybko odkryli, że nie mają już żadnych sojuszników. Ostatecznie rodzina sprzymierzyła się z piratami atakującymi statki Guile'ów i ich dworaków.

Wszystkich powieszono, ich ziemie przejęto i oddano przyjaciołom Czerwieni, w tym także, jak się akurat złożyło, dawnym sprzymierzeńcom Seabornów, którzy porzucili tę rodzinę.

A Gavin nie okazał najmniejszego smutku z tego powodu. Był twardym człowiekiem, ale to go czyniło dobrym przyjacielem i przerażającym wrogiem. Kiedy stawał u twoich drzwi i dawał ci wybór, czym ma dla ciebie być, właśnie takie historie przychodziły ci na myśl.

– Wiem, że jej zazdrościsz – powiedziała Biel – chociaż, prawdę mówiąc, ona zazdrości ci bardziej.

– Zazdrości mi? Ale to niewolnica.

Niewolnicy nie powinni śmieć zazdrościć panom.

– Mimo wszystko nadal jest kobietą.

– Niestety.

Biel złożyła ręce na podółku w milczącym wyrzucie. Kiedy rozgoryczona Karris spojrzała jej w twarz, Biel powiedziała:

– Decyzja, by wyzbyć się goryczy, nie jest łatwa, ale jest prosta: pokój czy trucizna. Nie czekaj, aż poczujesz, że jesteś gotowa. Nigdy nie będziesz.

Karris odetchnęła głęboko i wróciła do pokoju. Biel za nią pojechała.

– Gill ma dla ciebie paczkę. To twoja scheda. Nie otwieraj jej, proszę, dopóki nie usłyszysz o mojej śmierci.

Karris przełknęła ślinę. Otworzyła drzwi, a Gill wręczył jej paczuszkę. Sądząc po ciężarze, to było raptem kilkanaście arkuszy papieru. Wydawało się to nędzną spuścizną, ale z drugiej strony, Biel ponad wszystko ceniła informacje, a kto wie, co tam napisano. Skoro o tym mowa...

– Co mam zrobić ze szpiegami? Cały ten czas poświęciłam...

– Wyjaśniam to w tych dokumentach. Może niecałkowicie, ale najlepiej jak potrafię. Nie pozwól, proszę, żeby wpadły w ręce wroga.

– Spalę je, kiedy tylko nauczę się treści na pamięć, co zrobię natychmiast. Tak, znam procedurę – odpowiedziała Karris.

Uśmiechnęły się do siebie.

– Jeszcze jedna ostatnia rzecz – odezwała się Biel. – Skoro już zajmujemy się trudnymi rzeczami. Kiedy nadejdzie czas, wybacz i mnie, proszę.

– Co mam wybaczyć?

– Że zawiodłam cię na tysiąc sposobów, jak każda matka. Wiedz, że jesteś kochana, Karris. I pamiętaj jedno: nawet mała kobieta, kiedy stoi blisko światła, rzuca długi cień.

– Mała kobieta? Nie, ty jesteś olbrzymem – odpowiedziała Karris. Jej oczy powilgotniały.

Biel uśmiechnęła się szeroko i dopiero, kiedy zniknęła razem ze swoimi Czarnogwardzistami w korytarzu, Karris pojęła, że Biel nie miała na myśli siebie, lecz ją, Karris.

ROZDZIAŁ 78

Mijał) dni. Tygodnie.

Gavina karmiono i pojono rozwodnionym winem, ale strażnicy ani razu nie odezwali się do niego nawet słowem. Ani razu nie odpowiedzieli na pytanie. Unikali kontaktu wzrokowego. Kiedy jeden z nich przypadkiem spojrział mu w oczy, Gavin dostrzegł najgorszą rzecz – litość.

Uważali, że Gavin jest szaleńcem. Bez pryzmatycznych oczu nikt nie wierzył, że jest Pryzmatem. Bez krzesania, bez regaliów, bez czarnogwardyjskiej eskorty jego szelmowska władczość wydawała się objawem szaleństwa.

Czy wszystko, co utkał w ciągu lat władzy, było aż tak cieniutką zasłoną? Czy człowiek nie jest niczym więcej niż jego magia?

A potem pewnego dnia drzwi się otworzyły i weszła Nuqaba w otoczeniu Tafok Amagez. Kuląła trochę, kiedy szła, by stanąć przed nim. Odprawiła gestem strażników. Zawahali się, najwyraźniej pamiętając, co wydarzyło się ostatnim razem. Zacisnęła zęby i wyszli.

– Może się ucieszysz, słysząc, że doszliśmy do porozumienia.

– Doszliście?

– Ja i Eirene. Twój ojciec i my dwie. Sprzedamy cię jemu. Gdy już sprawiedliwości stanie się zadość.

– Sprawiedliwości? Czyli przyszłaś obmyć mi stopy i zacząć błagać, dopytując się, jak możesz zrekompensować mi to wszystko.

Kłamstwa, złudzenia i fanfaronada. Ale tylko tyle mu zostało.

– Zaatakowałeś Nuqabe. Krzesiciel, który zaatakuje Nuqabę, jest karany wypaleniem oczu. Wszyscy wygrywają.

Mówiła serio. Absolutnie. Mimo tego wszystkiego co jej powiedział.

Nie można targować się z wariatem.

– Nawet ty wygrasz. Kiedy wypalimy ci oczy, twój ojciec nie będzie musiał się dowiedzieć, że straciłeś moc. Eirene nie chciała się na to zgodzić, dopóki nie zwróciłam jej uwagi, że twój ojciec może zaprzeczyć, że ty to ty. W końcu bez swoich pryzmatycznych oczu, czym jesteś? Jesteś bezużyteczny. Bezużyteczny.

Pochyliła się ku niemu, ale nie tak blisko, żeby mógł złapać haik, przyciągnąć ją do prętów i roztrzaskać jej głowę.

– Zostaniesz zakneblowany, rzecz jasna, i na tym samym stadionie, na którym tak wielu zabiłeś, zostaniesz publicznie oślepiiony. Ludzie będą wiwatować. Zawsze tak uwielbiałeś widowiska, nieprawdaż? Na statku w drodze do domu zostaniesz wyszorowany, ogolony, ostrzyżony i odziany w szaty przynależne twojej dawnej pozycji. Twój ojciec musi, oczywiście, potwierdzić odbiór twojej osoby. Musi cię uznać. Chcę jednak, żebyś coś wiedział. Na tym statku razem z tobą będzie płynął zabójca. Człowiek wierny mi na śmierć i życie. Kiedy zostaniesz przyjęty, zaczniesz wykrzykiwać jakieś bzdury na temat Księcia Barw i zabije cię. Wiesz, jak trudno powstrzymać zabójcę, który nie dba o własne życie? – Westchnęła. – Obawiam się, że twoja śmierć jest konieczna. To moja wina. Byłam nieuwważna. Zbyt swobodnie rozmawiałam z tobą wcześniej. Przeszukiwałam nasze prawa, żeby sprawdzić, czy nie mogę ci obciąć języka i pozbawić palców, żebyś nie mógł ojcu powtórzyć, co ci powiedziałam, ale nie ma takiej kary. Będzie musiało wystarczyć oślepienie.

Mówiła tak wesołym i pogodnym tonem, że Gavin uznał, że musi żartować.

Nie żartowała.

– Wiesz – powiedziała – że kiedyś to było dość powszechne? Znacząco oślepianie krzesicieli. Myślę, że mieli ich wtedy więcej. Mówili, że jeśli człowiek źle posłużył się światłem, jakie dał mu Orholam, należy odebrać mu światło całkowicie, a może wtedy odczuje skruchę i nie straci duszy. Powiedz mi, Gavinie, czy nie zgodzisz się ze mną, że źle posłużyłeś się światłem, jakie dał ci Orholam?

Tak. Zgadza się.

Nic nie powiedział.

– Istnieją instrukcje, jak należy tego dokonać, posłuchaj tego: humanitarnie. Ponieważ, jeśli zamierzasz wypalić człowiekowi oczy, powinienesz uczynić to bez przysparzania mu zbędnego cierpienia, prawda? Ha! Najwyraźniej wymaga to najróżniejszych pasów. Kiedyś budowano specjalną maszynę. Całkiem pomyslową. Dwa pogrzebaczki, które można było ustawić zależnie od szerokości twarzy danej osoby. Szpikulce rozgrzane do białości. Blokada, żeby wypalić oczy, nie przebijając mózgu i nie zabijając bluźniercy, niezależnie od tego jakim był śmieciem. Są nawet instrukcje, jakim luksynem się posłużyć, żeby przytrzymać powieki otwarte. Gdyby wypalić powieki, mogłoby wdać się zakażenie i bluźnierca by umarł. A chcesz, żeby bluźniercy żyli, nie umierali od gorączki. Jak mieliby żałować za grzechy, gdyby nie pozostali przy zdrowych zmysłach? Mówią, że wypalano oboje oczu naraz, bo po utracie pierwszego oczekiwanie bólu związanego z utratą drugiego było tak potworne, że ludzie często wariowali. – Uśmiechnęła się krzywo. – Oczywiście ja nie dysponuję maszyną. Wypalimy po jednym oku naraz. Chcę, żebyś myślał o jednej rzeczy, Gavinie Guile. Ssssss.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

– Taki rozlegnie się dźwięk, kiedy rozpalone do czerwoności żelazo wejdzie do twojej gałki ocznej.

Przeszedł go dreszcz do szpiku kości. Oto kobieta, o której krążyły plotki, że latami torturowała męża. Nagle zaczął w nie wierzyć.

– I wiedz, że jeśli wyrwiesz się z czymkolwiek innym niż wrzask bólu, jeżeli będziesz twierdził, że jesteś Gavinem Guile, zakrzyczemy cię, pobijemy za bluźnierstwo i wyrwiemy ci język. Nie ma instrukcji w moim zwoju, jak się to robi, ale ich nie potrzebuję. Już to wiem.

Była gorszym rzeźnikiem niż kiedykolwiek okazał się jej brat.

– Co się z tobą stało? – zapytał Gavin.

Nie była taka wcześniej, prawda? Czy też to od początku w niej tkwiło?

– Nie zgodziłam się jedynie na przetrwanie.

– Jesteś Nuqabą, złożyłaś przysięgę Orholamowi.

Kiedy tylko te słowa padły, nie uniknęła Gavinowi ironia faktu, że to on je wypowiedział.

Rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje, a potem jej twarz natychmiast przybrała wyraz ponurego rozbawienia.

– Martwa wiara, która trwa tylko siłą rozpędu. Ludzie chcą czcić, a czczenie abstrakcji jest trudne. Daję im coś prostszego: siebie. Jak ty zwykleś.

– Nigdy nie prosiłem, żeby ludzie mnie czcili – odparł Gavin.

Stracił wiarę, ale uważał za swój obowiązek strzec religii tych, którzy wierzyli. Dlaczego niszczyć ją w innych, skoro ich uszczęśliwiała? Po co ją niszczyć, jeżeli istniała niewielka szansa, że jest prawdziwa?

– Czyżby? – Pokręciła głową. – Nie potrzebuję nawet krystalicznego zalążka, żeby mi powiedział, że oszukujesz samego siebie. Czeka mnie sporo przygotowań. Pamiętaj tylko: ssssss.

Roześmiała się i wyszła.

Gavin osunął się na podłogę celi. Jego oczy. Dobry Orholamie, jego oczy. Te pieprzone oczy zdradzały go całe życie.

Podczas wojny kobiety i mężczyźni, satrapki i connowie wierzyli w niego z powodu jego pryzmatycznych oczu. Wiedział to. Jego niemożliwych oczu. Jego brat widział początek ich pryzmatycznej chwały, i to zniszczyło jego duszę; Karris była tylko kamykiem, przez który wóz runął. Jedno spojrzenie i jego oczy udowodniły światu, że to, co zdaniem Chromerii nigdy nie mogło się wydarzyć, wydarzyło się. Dwaj Pryzmacy w jednym pokoleniu. Skoro trzeba było wybierać między braćmi, trudno było nie wybrać tego, który akurat stał przed

tobą i ci groził, prawda?

Nie jesteś niczym więcej niż twoja magia, Gavinie Guile.

Gavin pamiętał swoją pierwszą rozmowę ze starszym bratem na temat magii. Gavin, jako starszy, wiedział wszystko. Albo spekulował z takim przekonaniem, że Dazen zawsze pozostawał pod jego wrażeniem. Uwielbiał Gavina.

Nadal go uwielbiał.

Zastanawiał się, ile z jego wizerunku Pryzmata stanowiło projekcję tej czarującej udawanej perfekcji, jaką ucieleśniał dla małego Dazena jego brat. Gavin był dębem, wokół którego Dazen rósł jak bluszcz. Pasożytnicze pnącze pięło się wysoko i pięknie, powoli wyciskając życie z tego, co obejmowało. Nic dziwnego, że Gavin nienawidził młodszego brata chłopięcą nienawiścią wobec przeszkód.

Nawet po wojnie Dazen rósł wokół wielkości, jaką stanowił wcześniej Gavin, drapując własne listowie na rozłożystych konarach i nazywając siebie dębem. Nazywając to życiem, kiedy to była śmierć. Odcinając tego drugiego od słońca, światła, życia.

I teraz, kiedy Gavin nie żył i dąb spróchniał, co stało się z bluszczem? Sam nie miał siły stać.

Nie opłakiwałem go. Wystrzeliłem dwie kule prosto w jego twarz i nie opłakiwałem go.

Ciekawe, jak tam na dole cuchnie. Zostawiłem jego ciało, żeby gniło. Nie okazałem nawet tyle przyzwoitości, żeby oblec go w pośmiertne szaty. Nie chciałem pobrudzić się krwią.

Nie chciałem pobrudzić się krwią?

Zawsze coś rozpaczliwie wymagało mojej uwagi, prawda? Jakbym mógł oślepić się działaniem, podróżą albo wojną.

Pomyślał o wszystkich kolorakach, jakie zabił w ciągu lat. Biel miała rację. Nigdy nie istniała potrzeba, żeby narażał własne życie, polując na nie. Głupotą było narażanie Pryzmata dla upolowania paru koloraków. Koloraki były jedynie przemienionymi ludźmi, uciekały w strachu, niemal zawsze były samotne, trzymały się zwykle dzikich ostępów, bo nikt na świecie nie udzieliłby schronienia morderczemu szaleńcowi. Każ go odszukać tropicielowi, niech zorientuje się, gdzie śpi, a potem pošlij pół tuzina ludzi z muszkietami, żeby załatwili śpiącego.

Zamiast tego Gavin upierał się, że osobiście się tym zajmie. Sam stawia im czoło. Zabije ich, kiedy są przytomni. Udzieli im lipnych ostatnich namaszczeń. Bardziej starając się oczyścić siebie niż ich. Przesiąknięty krwią szukał krwi, by się oczyścić.

Czasem nadal nie dowierzał, że Biel pozwalała mu na te wyprawy. Myślała jednak, że zabiłby się, gdyby nie one. Może była mądrzejsza niż myślał.

Małe okienko w drzwiach celi otworzyło się.

– Ssssss.

I kobiecy śmiech.

To go zmroziło. Kiedy Gavin popatrzył na zamknięte teraz okienko, na brudną cełę i połowę dłoni, na brudną brodę i długie brudne włosy, zacisnęła mu się pierś. Z trudem oddychał. Przenikliwy ból.

Myśl, że upiekło mu się setki razy, powróciła do niego, stanęła nad nim i splunęła – nie wykaraskasz się z tego. Nie ma ucieczki.

To było dla niego niemalże niezrozumiałe. Udawanie Gavina Guile nie sprowadzało się tylko do włożenia nowych szat, to wymagało założenia nowej skóry. Widział ludzi obdzieranych ze skóry, szpiegów zostawionych dla niego przez brata. Nadal słyszał ich wrzaski, a teraz czuł, że jest jednym nich, gdy zerwano z niego skórę Gavina.

Straci oczy.

Pieprzyć oczy.

„Zatem Orholam powie ci to wprost” – ostrzegł go wcześniej prorok – „kłam dalej, a zostaniesz oślepiiony”.

Już był ślepy. Co mogli mu zrobić, poza tym, że pokażą światu to, co on sam już wiedział? Od miesięcy był pustą skorupą. Człowiekiem, podczas gdy kiedyś był niemal bogiem. Tamten nóż, tamten przeklęty nóż skradł mu moc. I nie dało się tego cofnąć.

Rozejrzał się po celi i niemal mógł sobie przekonać, że widzi brązowe błoto, brązowe drewno i srebro metalu. Ale to wszystko było szare. Odcienie wpadające w czerń. W ślepotę.

Zresztą, kogo oszukiwał, myśląc, że może wrócić? Stąd. Kształtował siebie, by stać się idealnym Pryzmatem, odkąd miał siedemnaście lat. A w każdym razie wyobrażeniem idealnego Pryzmata, jakie miał siedemnastolatek. Okradziony ze światła młodzieńczych złudzeń był pustym zwierciadłem w ciemnym pokoju.

Ach, Karris, cieszę się tylko, że nie widzisz mnie w tym stanie. A jeśli nie ujrysz mnie przed moim końcem, nie zobaczę twojego rozczarowania, grozy na twojej twarzy.

Gdybym mógł to zrobić raz jeszcze, czy postąpiłbym inaczej? Czy ukradłbym ci życie, Gavinie? Czy wystąpiłbym w jakimś momencie mojej służby w roli Pryzmata, umocniwszy swoją władzę, i oznajmiłbym i z własnej woli, w swoim czasie: „Nie jestem nim”? Byłem zbyt wielkim tchórzem, żeby żyć w świetle. Stosowne więc, że światło zostanie mi odebrane.

Przez wiele dni siedział całkowicie zobojętniały. Rankiem i wieczorem okienko się otwierało. Słyszał ciche kroki. „Sssss” – syczała Nuqaba. A potem się śmiała.

Haruru była równie prawowitą Nuqabą, jak Gavin Pryzmatem. Setki lat temu, za czasów Pryzmatki Karris Wroga Cieni, natychmiast po śmierci Lucidoniusa, Paryjczykom

dano większą swobodę w praktykowaniu religii. Jako miejsce narodzin albo wychowania Lucidoniusa Paria żądała wyjątkowego traktowania. Pryzmatka Karris zgodziła się na to, żeby utrzymać imperium całości. Chociaż od jej czasów starano się utrzymać po obu stronach zgodność w kwestiach teologicznych, nie udało się podporządkować Nuqaby politycznym wpływom Pryzmata.

Większość Pryzmatów próbowała, ale nikt nie miał odwagi zacząć wojny z Parią. A kolejne Nuqaby doskonale rozgrywały swoje karty, umacniając kluczowe pozycje, odpuszczając sobie nieistotne. Prawda jednak była taka, że zbyt wielu Paryjczyków, tak w obrębie satrapii, jak i poza nią, uważało się za wyjątkowo związanych z Chromerią. Imperium należało do nich, jak uważali. Ich człowiek je zapoczątkował. Ich ludzie je rozszerzyli. Stanięcie do walki przeciwko swoim wydawało się nie do pomyślenia, dopóki respektowano określone przywileje.

Nuqaba miała być rzekomo żywą świętą. Miała być matką wszystkich klanów. Miała być wzorem cierpliwości, mądrości i niezachwianej miłości. Miała spoglądać na ludzi z miłosierdziem. Niektóre wręcz nosiły przepaskę na lewym oku, oculus sinister, złym oku. Nie Haruru.

Żelazna Pięść i Wibrująca Pięść wściekną się, kiedy cię zabiją.

Nie, ten problem, ta myśl – to był dawny Gavin. Gavin, który dysponował siłą. Który był siłą.

Wracała, żeby pomówić z nim albo z niego zaszydzić.

– Zawrzesz umowę z pogańskim wojskiem? – zapytał nagle Gavin. – Twoi ludzie zabijają cię za to.

Może wiara w Orholama osłabła wśród bogatych i wpływowych Paryjczyków, może z radością sprzymierzą się z potworem. Ale czy armia?

Czy wioski i flota? Może ci wierni ludzie prędzej umrą niż sprzymierzą się z potworami, bez względu na to, co powiedzą im ich panowie?

– Nie mnie.

I wtedy Gavin zrozumiał.

Użyteczna idiotka, oto czym była. Jeden z jej najbliższych doradców pewnie pracuje dla Księcia Barw.

To zdumiało Gavina, jak głupimi czyniła mądrych ludzi ambicja. Haruru całkowicie kontrolowała satrapkę Tilleli Azmith, ale nienawidziła, kiedy publicznie musiała pokazywać, że się jej słucha, czy choćby nawet, że są sobie równe. Nuqaba chciała nieograniczonej władzy. Dlatego sprzymierzyła się z Księciem Barw, wierząc, że on skieruje się przeciwko Chromerii i na razie zostawi ją w spokoju. Zostawi ją w spokoju. W jakim świecie znalazłby się ktoś na tyle głupi, żeby tak postąpić?

Książę Barw nie był angarskim piratem, który przybył grabić. Chciał być cesarzem. Umacniał Tyreę, zamiast ją plądrować. Bez wątpienia to samo robił już z Idoss i Ru. To na pewno dlatego powstrzymał albo przynajmniej spowolnił natarcie. Kiedy wydajesz pieniądze, by budować, ostatecznie otrzymujesz więcej z kontrolowanych ziem, ale to wymaga dłuższego czasu. Jeśli jest cierpliwy, może już jest za późno, żeby go powstrzymać. W jaskiniach nad Ru mieszkały miliony nietoperzy. Guano zawierało kluczowy składnik do wyrobu prochu, a Atashanie kontrolowali je żelazną ręką, każąc Chromerii i wszystkim innym drogo płacić za to, co teraz Książę Barw miał za darmo. A do czego innego wykorzystać cedry z Krwawej Puszczy, jeśli nie do budowy floty?

Na obie rzeczy potrzeba czasu. A kiedy flotyllę Chromerii zniszczono...

Książę Barw potrzebował czasu, więc wykorzystywał go, żeby podzielić swoich wrogów. A Nuqaba była dostatecznie zaślepiona, żeby wyobrażać sobie, że kiedy tylko uzyska pełną kontrolę nad Parią, wykorzysta ten czas lepiej niż Książę Barw gromadzący bogactwa pięciu satrapii.

Prawda była taka, że pewnie będzie potrzebowała lat i wojny domowej, nim zdoła w pełni zapanować nad Parią. A kiedy wygra – o ile wygra – Paria będzie wyjątkowo słaba dokładnie w tym samym momencie, kiedy Książę Barw zacznie kosić bogactwa satrapii.

Paryjczycy to wielcy wojownicy, ale nie są aż tak wspaniali, żeby pokonać pięć satrapii. A w tym czasie, kiedy będzie podporządkowywał pozostałe satrapie, Książę Barw nie będzie musiał dodatkowo stawiać czoła paryjskim wojownikom i paryjskim statkom.

Tak łatwo przekonujemy siebie, że to, co dobre dla nas samych, jest też dobre dla innych.

Gdyby Gavin został promachosem, powstrzymałby Księcia Barw przed Dniem Słońca. Oczywiście jest inaczej, gdy masz racje.

Prawda była taka, że mógłby go powstrzymać, nawet nie będąc promachosem. Wysyłając Czarną Gwardię na rekonesans w górę ataskich rzek, gdzie mogłyby znajdować się porty nadające się na stocznie. Ślizgacze wszystko zmieniły, a w ocenie implikacji nagłych zmian Gavin był zdolniejszy od innych. Czarnogwardziści mogliby odkryć te stocznie – o ile istniały – w ciągu kilku tygodni. Zważywszy na ilość drewna zebranego w jednym miejscu wystarczyłby jeden dobry czerwony krzesiciel i iskra. Zniszczyliby flotę Księcia Barw, zanim skalalały wody.

Gdybym stał u władzy, sprawy wyglądałyby lepiej.

Jak mówił każdy tyran w historii.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytała poirytowana Nuqaba.

– Mam zdrowie, rodzinę, półtorej dłoni, dwoje zdrowych oczu. Z czego tu się nie cieszyć?

– Wkrótce to zmienimy – warknęła.

– Dlatego to był żart...

Jej twarz wykrzywiła się i nagle Gavin ucieszył się, że Nuqaba nie ma teraz pistoletu.

Ta kobieta nie lubiła protekcyjnego tonu.

Najwyraźniej mój umysł utknął teraz na oczywistościach. Może, by zaprzeczać temu, co się zbliża.

– Chociaż będę siedzieć dostatecznie blisko, żeby słyszeć syk i skwierczenie twoich oczu, by rozkoszować się twoimi wrzaskami, żałuję, że nie będę mogła być na statku, którym wrócisz do domu, gdy będziesz podskakiwał i miotał się przy każdym dotknięciu, na dźwięk każdego głosu, zastanawiając się, kto jest twoim zabójcą, zastanawiając się, jak możesz uchronić się przed śmiercią, której nadejście będziesz widział, chociaż tylko metaforycznie. Kiedy będą ci golić policzki, czy będziesz się zastanawiał, czy ta sama brzytwa zakosztuje później twojej krwi? Jakie straszliwe sny będziesz miał przed śmiercią?

-Wiesz – powiedział – twoja rola złej triumfującej zdradzieckiej wrednej królowej jest dostatecznie chwalebna, ale już się znudziłem. Weźmiemy się wreszcie do roboty? Trudno uciec, póki siedzę w celi.

– Takie rzeczy muszą odbywać się w południe. I nie dam ci żadnej szansy ucieczki. Pojedziemy prosto na hipodrom. Chciałam to zrobić jutro, w ramach obchodów Dnia Słońca, ale Ruthgarczycy mają inne poglądy na te sprawy.

– Przelanie krwi to profanacja, tak, wielka szkoda.

– Tak, szkoda – zgodziła się beznamiętnie. – Zatem zrobimy to dzisiaj.

Patrzyła na niego przez kilka długich minut, rozkoszując się ciemnością, którą ukrywał, a która rosła w jego piersi jak białe jajko czarnej wdowy. Falowało lekko, aż wreszcie pękało w czarnej pełgającej eksplozji. Próbował ukryć grozę, by nie wypełzła na twarz, strach, którego nie był już zdolny odczuwać, jak przekonywał sam siebie. Mylił się i beznadzieja przepelzła czarną falą przez jego obrony, przez jego brawurę i nagle wyszła na twarz.

Nuqaba to zobaczyła i uśmiechnęła się.

Wreszcie rozległo się pukanie do drzwi.

– Eminencjo – powiedział ktoś. – Już czas.

ROZDZIAŁ 79

Kip ledwie zdążył uciec do swojego pokoju, obolałej głowy i rozbłyskujących wizji, kiedy rozległo się szybkie pukanie do drzwi. Teia.

- Idź sobie – powiedział Kip. Zabrzmiał jak marudny dzieciak i nienawidził siebie za to.
- Łamacz, potrzebujesz mnie.

Kiedy powiedziała „Łamacz”, on znowu usłyszał „Diakoptes”, dwa języki kolidowały w nim, splatały się ze sobą. Diakoptes – ten, który rozdziera na strzępy. Słyszał kobiecy szept w uchu, jakby, mówiąc to, dzieliła się z nim sekretem. Słyszał starego człowieka wykrzykującego to rozpaczliwie w oddali. Słyszał tłum skandujący to imię, aż stapiało się w jedno z „Łamacz, Łamacz!”.

- Łamacz, otwórz drzwi – nalegała Teia i Kip znowu powrócił do siebie, uświadomił sobie, że opiera się o framugę ze spuszczoną głową i walącym sercem.

Otworzył drzwi.

Teia weszła.

- Nadszedł czas na decyzję – powiedziała. – Twój dziadek w każdej chwili może dowiedzieć się o przybyciu twojego przyrodniego brata, o ile już o tym nie wie. Pośle po Zymuna, a potem po ciebie. Zgadza się?

– Chyba tak.

– Co się stanie?

- Próbowaliśmy się pozabijać przy ostatnim spotkaniu, a Zymun nie należy do tych, którzy wybaczą.

Kiedy jednak Kip wypowiedział imię „Zymun”, rozległo się echem w jego głowie. Zymun Tancerz.

Las rozbłyskuje mu przed oczami, światło sączy się przez poranną mgłę podnoszącą się nad łąką. Człowiek, którego dobrze znał, leży wyciągnięty u moich stóp. Nieprzytomny? Nie, martwy.

Martwy, Kip był tego pewien. I...

Zniknęło. A w miejscu wizji pojawił się oślepiający ból.

– Łamacz! Skup się! „Ten, kto się waha...” – zacytowała. – Dokończ.

– Jest stracony.

– Zatem masz wybór. Poczekać, aż dziadek cię wezwie, i zatańczyć, jak ci zagra, albo

uciekać.

– Uciekać? – zapytał Kip. Białe i czarne plamy nadal przyjaźnie wpadały na siebie przed jego twarzą.

– Wsiądź na statek. Płyn gdziekolwiek.

– Nawet nie wiedziałbym, gdzie wynająć...

-Ja wiem.

-Albo ile kosztuje przejazd...

– Dwieście danarów. Masz pięć razy więcej w swojej skrytce. – Wskazała ukryte monety.

– Skąd wiesz o moich pieniądzach?

– Można o tobie wiele rzec, Łamacz, ale przebiegły to nie jesteś.

Łamacz. Znowu jakby ktoś uderzył w czynel tuż przy jego uchu.

Jednak tym razem to nie rozproszyło go całkowicie. „Łamacz”, powiedziała. I „rzec”. Teia tak nie mówi. Nie na co dzień. Budowała dystans między nimi.

Kip nawet nie wiedział, co takiego zrobił.

– Chodzi o tego smarka, co? – zapytał.

– Kip! Nie ma czasu!

Jednak rozbłysk czerwieni przesycił szarość jej peleryny, dopóki Teia tego nie zauważała, a wtedy okrycie znowu przybrało nudny mdły odcień szarości.

Kip wyciągnął zielone okulary i spróbował wykrzesać dość luksynu, żeby zrzucić z krokwi patyki z pieniędzmi, ale przy pierwszym zastrzyku zieleni prawie zwymiotował.

– Teia, pewnie nie mogłabyś wykrzesać trochę luksynu, żeby zrzucić monety... Och, krzeszysz tylko paryl, mniejsza z tym.

– Podsadź mnie – powiedziała.

Pracowali razem na tyle długo, że zrobił co trzeba odruchowo.

Plan jest taki, że ja podrzucę ją na parapet, a ona położy się i Ivy ciągnie rękę, żebym mógł się złapać. Jestem znacznie cięższy. Zawsze tak to załatwiamy.

Jednak ogień płonie zbyt mocno. Prawie bez dymu. Czerwoni wlewają luksyn do rezydencji. Przesadzili, ale daliśmy im dość powodów, żeby bali się drużyny Migotliwych Płaszcy.

Podrzucam Cebalyn w górę. Rąbek jej migotliwego płaszczka zajmuje się ogniem.

Teia podskoczyła i złapała patyki z monetami, a on złapał ją, gdy opadała.

Rozkojarzony wizją pożaru odrobinę za długo przytrzymał ręce na jej biodrach.

– Kip – powiedziała i przyłożyła mu patykiem z monetami w nadgarstek.

– P-przepraszam – wyjąkał.

Byłby bardziej zakłopotany, gdyby głowa mu tak nie pękała.

– Kapitan nazywa się Ben Dwa Działa. Nie płać mu ani danara więcej niż dwieście,

rozumiesz? Już się zgodził. Wschodnie nabrzeże, niebieskie. Ruszaj! Pewnie...

Przerwało im gwałtowne pukanie.

– Kip, to twój dziadek. Otwórz drzwi. To pilne.

Mistrz. Dłonie splamione czerwienią id zdrady. Piszące linijki... Pisał do Księcia Barw. Stał się kolorakiem i nie wiedział, jak uciec, więc zamierzał „przyłączyć” się do Księcia Barw. Ostatecznie jego też by zdradził. Przymierze z Księciem Barw dałoby mu czas, a tego Mistrz najbardziej potrzebował.

Kip zamrugał. Głowa mu pękała.

Teia klęła w duchu. Poruszając tylko ustami, powiedziała do Kipa: „Nie otwieraj”.

Przez chwilę w ogóle nie mógł myśleć. A potem myślał tylko o kartach w kieszeniach. Teia już ruszyła otworzyć komodę. Kip podał jej karty, a ona wrzuciła je pod jakieś ubrania, po czym zamknęła szufladę.

– Zawahałem się – powiedział Kip. – Ja się zawahałem. To całkiem nie w moim stylu.

Do diabła. Otworzył drzwi.

Andross Guile wszedł, nie czekając na zaproszenie. Spojrzał na Teię, być może zaskoczony jej obecnością.

– Hm, ładnie się zaokrąglasz – powiedział, taksując ją spojrzeniem od stóp do głów. – Jaka szkoda, że Kip wygrał cię ode mnie. – Posłał jej czarujący uśmiešek. – Gdybyś jednak chciała odwiedzić moje komnaty na bardziej... otwartych zasadach, zajrzyj koniecznie, proszę.

Wzdrygnęła się i odsunęła od niego. Kip zdał sobie sprawę z tego, czego ona nie wiedziała – Andross Guile nie mówił poważnie. Nie gustował w tak młodych dziewczętach. Skoro nie był zainteresowany Tisis, z pewnością nie zainteresowałby się Teią. Po prostu grzebał dostatecznie głęboko w upokorzeniu, żeby podkopać fundament jej przyzwoitości. Chciał wyprowadzić ją z równowagi. I udało mu się.

– Możesz odejść, caleen – powiedział Andross, skupiając uwagę na Kipie.

– Jestem wolną...

– Precz.

Był promachosem i nawet bez brzemienia nowej pozycji był człowiekiem, który nawykł do posłuszeństwa.

Teia czmychnęła.

Andross zamknął za nią drzwi.

– Przyszła do ciebie? – spytał.

– Słucham?

– Tisis. Czy przyszła do ciebie? Moi szpiedzy donoszą, że statek Malargosów jest po cichu przygotowywany do odpłynięcia dziś wieczorem. Przemytniczy, szybki, jeden z tych,

o których nie wiedzą, że znam prawdziwego właściciela. Przyszła i zaproponowała małżeństwo, czy nie?

Długa cisza.

– Tak – przyznał Kip.

Andross uderzył rękawiczkami w drugą dłoń i uśmiechnął się.

– Uwielbiam mieć rację. Przewidzenie tego? To świadczy o geniuszu, nawet jeśli to tylko moje zdanie. Nowy gracz, impulsywny, w pułapce. Trudny do przewidzenia. Poszedłeś z nią do łóżka?

Kip pokręcił głową. A potem się zawstydził. Powinien był powiedzieć staremu draniowi, że to nie jego sprawa. Czemu ulegał wrogowi?

– Cóż, można doprowadzić konia do kłaczy w rui, ale nie zmusisz go, żeby ją pokrył. Zwykle to nie problem dla nas, Guileów. Moja rada? Pozbądź się tego tłuszczu. Możesz odkryć, że kryje się pod nim libido.

Kip otworzył usta. Nie wiedział nawet, co powie, i w ogóle go to nie obchodziło, po prostu chciał wycelować Garłacz i strzelić. Jednak Andross podniósł palec.

– Ale. – Jego oczy rozbłysły. – Nie przyszedłem cię pouczać, drogi chłopcze. Przyszedłem dać ci wybór. Nieliczni na tym świecie otrzymują wybór, który ratuje im życie i jest wprost tak nazwany, ale ty jesteś wyjątkowy, a ja czuję się dziś wielkoduszny. Masz je dla mnie?

-He?

– Karty, Kip.

– Nie wysłałeś mnie na poszukiwanie ojca. Złamałeś przyrzeczenie.

– Niczego nie złamałem. Zgodziliśmy się, że sam wybiorę moment. Zamierzałem wysłać cię razem z grupą, która go wyzwoli. Pożytecznie wykorzystujesz swój czas tutaj. Nie marnuję tych, którzy dla mnie pracują. A zatem. Masz moje karty?

Kip czuł, jak wymyka się mu jego przyszłość.

– Nie – odpowiedział.

Nie był pewien w tym momencie, czy oddałby je, niezależnie od wszystkiego.

Nie, to było kłamstwo. Oddałby. Był aż tak wielkim tchórzem.

Andross Guile westchnął.

– Wiesz, że naprawdę chciałem cię uczynić Pryzmatem? Byłem gotowy przyszykować cię, dać tobie, bękartowi ze wsi zabitej dechami, siedem lat w roli najpotężniejszej osoby na świecie. Uczyniłbym z ciebie, grubej sierotki, najbardziej podziwianego człowieka świata. Potem pewnie zdołałbyś przedłużyć swoje rządy, jeśli okazałbyś się dostatecznie kompetentny. Ale żaden z ciebie Guile. Nie dość, żeby ukryć własną ambicję i przez krótki czas przyjmować moje rozkazy. Jesteś za głupi, by rozgrywać grę na najwyższym poziomie. Zamierzałem dać ci następne zadanie: ty przeciwko bratu. Zwycięzca zostałby Pryzmatem.

– To nie promachos wyznacza Pryzmatów. – Kip tylko papugował Quentina.

Andross Guile uśmiechnął się krzywo.

– Jednak ty możesz wszystko odpowiednio zaaranżować – dodał Kip i serce mu się zacisnęło.

Wiedziałem, że powinienem zachować sceptycyzm.

– Jak myślisz, co robiłem przez cały czas, odkąd zaginał Gavin? Jak myślisz, co robiłem całe swoje życie?

Wszystko ustawiał. Niszczył i poświęcał ludzi, jakby byli kartami, jakby wszystko, co się liczyło, było grą.

-Jakie miało być następne zadanie? – spytał Kip.

– Zniszczyć zieloną marę i coś mi z niej przynieść.

– Co?! Już zniszczyłem zieloną marę!

Uśmiech rozświetlił usta Androssa.

– Och! Uczysz się. Patrzcie na to. Wysilek, który wymagał tysięcy ludzi, a ty z łatwością wpisujesz siebie do historii jako bohatera, jakbyś dokonał tego w pojedynkę. Doprawdy, zagrywka godna arystokraty. Brudna, ale wpisująca się w długą tradycję. Moje gratulacje. Prawda jest taka, że zielona mara odnawia się albo już się odnowiła. Schrzaniłeś robotę. Trzeba zabrać z niej krystaliczny załazek, bo inaczej zwyczajnie odrośnie.

Kipowi wywróciło się wszystko w żołądku.

– Czyli to wszystko, czego dokonaliśmy... Zniszczenie całej floty... Bitwa o Ru. Zajęcie Półwyspu Ruckiego. Tak wiele ofiar... To wszystko na nic?

-To był cios dla naszych wrogów. Mieli krystaliczny załazek, zieloną marę i Atirat. Stracili to wszystko. Ale my żadnej z tych rzecz nie zyskaliśmy.

Myśl o powrocie i ponownej walce z zieloną marą była jak prośba o powrót z własnej woli do szafy pełnej szcurów.

– To dlatego wyszedłeś na tak nieudolnego.

– Słucham?!

Nikt nie używał słowa „nieudolny” wobec Guile’a.

– Skierowałeś flotę do Ru i zrobiłeś wszystko nie tak jak należało... gdybyś próbował ocalić miasto. A miasto cię nie obchodziło – wyjaśni Kip.

– Gdybyśmy ocalili miasto, ale stracili marę, przegralibyśmy wojnę. i stracilibyśmy miasto. W ciągu kilku następnych dni.

-Jednak ciebie nie obchodziło to, że je stracimy. Na tym polega różnica.

– O, tak, proszę. Dysponując nieograniczonym czasem i mogąc wszystko doskonale ocenić z perspektywy czasu, powiedz mi, proszę, jak ty byś pokierował naszymi siłami, żeby wszystko skończyło się dobrze. Niemniej zawahałeś się, a Dzień Słońca nadchodzi.

Nie będziesz następnym Pryzmatem.

Słowa rozległy się echem w myślach Kipa: „Nie będziesz Pryzmatem”, powiedziała mu Janus Borig.

Słowa jasne jak słońce. Proroctwa zwykle tak nie działają, racja? Na ogół wszystko jest zaciemnione. Dym, lustra, ciemność i rozbłyskujące światła, żeby oślepić nieuważnych. Skoro powiedziano to wprost, czy przez to było to bardziej pewne, czy mniej?

Kip nie był pewien, na ile wierzył Androssowi Guile. Pewnie, wyruszyć na polowanie na marę to jedno, ale czemu poświęcać na to całą flotę? Kiedy widzisz pułapkę, to rozbrajasz ją za pomocą paru statków, a nie całej floty. Możliwe, że polował na marę, ale to nie znaczy, że posiadał boską przenikliwość. I w dodatku był wtedy czerwonym kolorakiem. To zmąciło jego ocenę, uczyniło impulsywnym. Możliwe, że okłamywał teraz siebie, mówiąc sobie, że straty stanowiły część planu.

Kip otworzył Garłacz, żeby to powiedzieć. I zaraz zamknął.

Andross Guile mówił dalej:

– Teraz stoisz przed następnym wyborem: możesz poślubić Tisis i popłynąć z nią tej nocy. Dostarczę ci luksjata, który udzieli wam ślubu w tajemnicy, bo wierzy, że miłość wszystko zwycięża. Cokolwiek jej początkowo powiesz, nic mnie to nie obchodzi. Jednak w miarę upływu czasu sprawisz, że uwierzy, że zakochałeś się w niej, i zrobisz, co w twojej mocy, żeby ona też się zakochała. To kluczowa sprawa, rozumiesz? Potem zostaniesz z nią i będziesz od czasu do czasu składał mi raporty. Eirene Malargos ma wielkie plany, a ja nie byłem w stanie podesłać szpiega dostatecznie blisko, żeby je poznać. Służ im, udając, że mnie nienawidzisz. Twój przyrodni brat zostanie Pryzmatem, ale Pryzmaci zwykle wytrzymują tylko siedem lat. Możesz poczekać, prawda? Będziesz miał piękną żonę, będziesz miał bogactwa. Może nawet pozwolę, żebyś zabrał ze sobą swoją małą przyjaciółczkę Teię, żeby pilnowała twojego tyłka. Albo grzała ci łóżko, co wolisz. W najgorszym wypadku wydostaniesz się dzięki temu żywy z Wielkiego Jaspisu. Wiem, że doszło do kilku zamachów na twoje życie, i nie były zaaranżowane przeze mnie. Bez wątpienia dojdzie do następnych, jeśli tu zostaniesz. Potrzebujesz trochę czasu z dala, żeby dorosnąć, uporządkować swoje moce i zdolności. Masz szesnaście lat i zaczynasz widzieć, kim będziesz. Jednak jeszcze nie jesteś tym człowiekiem, a tu czekają cię wyzwania, do których nie dorosłeś. Jeśli będziesz uważał, ile krzeszesz, za kilka lat wrócisz jako głowa wiodącego rodu ruthgarskiego, jeśli nie głowa całej satrapii i polichromata z pełnym spektrum. Wtedy oficjalnie zawrzemy pokój i pogodzimy się, i wszystko, co moje, będzie należało do ciebie. Często zawiera się małżeństwa, żeby zapewnić pokój i scementować sojusze, a twoje dokona obu tych rzeczy, zarówno doraźnie, jak i na dłuższą metę.

– Muszę tylko zostać twoim szpiegiem.

– Tak, tak, utrzymanie się przy życiu to taka brudna robota, co? Może powinieneś zostawić to innym – zadrwił Andross. – Musisz zostać moim dziedzicem. Będziesz służył promachosowi i satrapiom, nie tylko naszej rodzinie. To jedynie słuszna rzecz.

– To dlaczego czuję, że to coś złego?

– Bo jesteś młody i nie poznałeś jeszcze różnicy między wyrzutami sumienia a ukłuciem strachu. Innymi słowy, nie odróżniasz fiuta od łokcia.

– Skądże! – zaprotestował Kip. – Dzięki tobie szybko się orientuję, kiedy mam do czynienia z fiutem.

– Zatem powinieneś sobie poradzić, kiedy spotkasz Bena Dwa Działa.

Zważywszy, że Kip po raz pierwszy usłyszał o tym kapitanie raptem kilka minut temu, szok był zbyt duży, żeby go ukryć.

– O, tak, dobrze o nim wiem. To nie przewoźnik, ale handlarz niewolników. I to zbyt ostrożny, żeby zwracać niewolników za okupem. Popłyn więc z nim, a przytnie ci ucho i posadzi przy wiosle. Dość już takich rzeczy przydarzyło się w naszej rodzinie, nie uważasz?

– Ehm...

– Twoi przyjaciele nie są aż tak sprytni, jak miałeś nadzieję. Ani ty sam. A skoro o tym mowa, cokolwiek zdecydujesz przed wyjazdem, odzyskam karty. Nic innego nie wchodzi w grę.

Prawdziwy strach przeszył Kipa.

– Już ci powiedziałem. Nie mam...

– Nie wchodzi w grę. Musisz...

I w oczach Kipa jego twarz nagle wykrzywiła się i została zastąpiona przez znacznie młodszego Androssa Guile, młodego i silnego, stojącego we własnej rezydencji, zwracającego się do trzynastoletniego syna: „Musisz to zrobić, Gavinie. Cała nasza rodzina, cała nasza satrapia, cały świat i cała historia spoczywają na tobie. W oślepiającym blasku swoich obowiązków Guile nawet nie mrugnie”.

I zaraz Kip wrócił, a twarz Androssa była ściągnięta, podejrzliwa, dziwna.

– Kip, pokaż mi, co masz w kieszeniach.

– Nie uwierzysz mi – powiedział Kip.

Nie mógł nawet ucieszyć się, że karty znajdowały się w komodzie, a nie w jego kieszeniach. To było skromniutkie zwycięstwo.

– Nie będę słuchał kłamstw, chłopcze. Widzę, że mnie okłamujesz.

I kłamstwo rozkwitło, a Kip dostrzegł cień szansy.

– Kłamałem, bo bałem się twojej reakcji. Teraz już mi wszystko jedno. Ocaliłem jej życie,

dziadku, nawet jeśli tylko na kilka minut.

-Jej? Janus Borig?! Wiedziałem.

- Ktoś nasłał na nią zabójców, nie zwykłych zabójców, ale takich, którzy potrafią być niewidzialni. Wszedłem, kiedy okradali jej dom, i dostrzegłem ich w podczerwieni. Nie spodziewali się, że ich zobaczę, więc miałem szczęście. Zabiłem oboje, ale uruchomiliśmy jakieś zabezpieczenie i cały dom stanął w ogniu. Chciałem wynieść jej ciało i okazało się, że Janus jeszcze żyje. Kazała mi zabrać płaszcze zabójców i, po drodze do wyjścia, kazała mi jeszcze raz przystanąć. Złapała to.

Kip zastanawiał się, co go opętało, ale czuł, że to jedyne rozwiązanie. Wygrzebał pudełko na karty Janus Borig.

Oczy Androssa zapłonęły głodem. Sięgnął po pudełko, ale Kip mu go nie oddał.

- Dlaczego jest pęknięte?

Jasne, bardziej przejmował się kartami niż kobietą.

- Umarła, zanim zdążyłem przejść z nią dwie przecznice. Wróciłem, oddałem ojcu płaszcze i...

- Płaszcze? Więcej niż jeden?

- Tak – odpowiedział wbrew sobie Kip.

Jego kłamstwa nie zabrzmiały prawdziwie, jeśli nie zdradzi dziadkowi mnóstwa prawdziwych faktów. Oczywiście, wszędzie mogła kryć się pułapka. Może dziadek już o wszystkim wiedział i spodziewał się kłamstwa?

- i dałem mu karty. Oczywiście najpierw zerknąłem. Zobaczyłem imię po imieniu, tyle że to było przytłaczające. Ale to była właśnie ta noc, kiedy Gavin wrócił, znalazł mnie i zabrał karty. Nie widziałem ich więcej... aż do dzisiaj.

- Mówisz mi, że znalazłeś je dzisiaj?

- Przysięgam to na nadzieję na światło.

- Oddaj mi je!

Kip pokręcił głową.

- Nie rozumiesz. Przyniosłbym ci je. Najpierw, oczywiście, sam bym je obejrzał. Spisał wszystkie nazwy. Może wszedł w kilka. Może nawet nie. Janus powiedziała mi, że umieściła pułapki w kartach, które oskórowałyby ludzki umysł. – Kip odetchnął ciężko i wcale nie grał. Cokolwiek stało się z jego umysłem, czuł się, jakby go oskórowano. I wątpił, żeby poznał już wszystkie skutki tego, co się wydarzyło. – Były ukryte w pokoju treningowym Gavina. Kiedy je znalazłem...

Podał pudełko.

Andross zmarszczył czoło. Nie cierpiał, kiedy nie pojmował wszystkiego natychmiast. Wziął pudełko, jakby to była zmija. Postawił je na stole, włożył rękawiczki, zwrócił uwagę

na zniszczoną ściankę i otworzył ostrożnie. Nic się nie stało, przyjrzał się uważnie rewersowi pierwszej karty.

-To zdecydowanie jej robota. Rozpoznałbym fałszerstwo. – Spojrzał na Kipa. – Moje gratulacje, chłopcze, może jednak jest w tobie coś z Pryzmata.

Kip pokręcił głową.

Andross się skrzywił. Obrócił pierwszą kartę. Przechylił głowę na widok pustego awersu. Potem drugą. Pusta. Następną. I następną. Podzielił talię na pół i sprawdził kolejną kartę. I jeszcze jedną. Wyłożył całą talię na stół i rozłożył w wachlarz. Wszystkie co do jednej były puste.

– Nie! – krzyknął. – Nie!!

Drzwi do pokoju Kipa otworzyły się z impetem i w okamgnieniu do środka wpadło dwóch Czarnogwardzistów, każdy z wyciągniętym nożem do walki wręcz i okularami na nosie. Już krzesali magię. Szukali źródła ataku i zatrzymali wzrok na Kipie.

Andross uniósł rękę i odprawił ich. To był Gill Greyling i Baya Niel.

– Wynoście się! – rozkazał. – Natychmiast!

Schowali broń i wyszli. Andross Guile nie zniósłby innego zachowania. Nie przeprosili za wtargnięcie, to pewnie cena – jak domyślał się Kip – tego, że Andross zawsze źle ich traktował.

Zanim drzwi się zamknęły, Andross powiedział:

– Coś y zrobił? Nie tego żądałem. To nie uczyni cię Pryzmatem.

– Tłumaczę ci, że w takim stanie je znalazłem. Po miesiącach poszukiwań znalazłem je takie. Po wszystkich twoich pogrózkach. Znalazłem je i okazały się puste. Wiedziałem, że mi nie uwierzysz.

– Zniszczyłeś je.

– Nadal się boję tej staruszki, a widziałem, jak umiera. Nie ośmieliłbym się zniszczyć kart. Ona była szalona. Widziałem pułapki w jej domu. Ogniowe, a wszędzie walały się beczki z prochem.

Nie przeciągaj struny, Kip. Niech haczyk zostanie w wodzie.

Andross spojrział na Kipa z niedowierzaniem.

– Zatem albo to Gavin zniszczył karty, przypadkiem lub specjalnie, albo ktoś znalazł je potem i zrobił to samo, przypadkiem lub specjalnie. Gdzie je znalazłeś?

– W worku treningowym, w sali Gavina do ćwiczeń.

Andross się zastanowił.

– Czyli to mało prawdopodobne, że ktoś inny je tam ukrył, chyba że Żelazna Pięść bierze udział w tej rozgrywce. Oczywiście, bardziej prawdopodobne byłoby to, że to on uruchomił pułapkę. Nie. Gavin. To stąd wiedział o... – Oczy Androssa zapłonęły nagle i Kip wiedział,

że dziadek połknął haczyk.

Historyjka pasowała mu do jakichś faktów i prawie wygadał się z czegoś, myśląc na głos.

Słabość pająka – widzi każdą wiszącą nitkę jako część sieci.

– Wymień każdą kartę, jaką pamiętasz, chłopcze. Może uda mi się ustalić coś z samych nazw albo faktu, że uwzględniono określonych ludzi.

– Widziałem je tylko przelotnie – powiedział Kip. – Pół roku temu.

Och, Orholamie, zlituj się, nawet samo wypowiedzianie nazw mogłoby... mogłoby oskórować jego umysł.

– No dobrze, dobrze, pamiętam kilka.

Usiadł i zamknął oczy, żeby pokazać, że próbuje sobie przypomnieć, ale tak naprawdę dlatego, że spodziewał się kolejnego zawrotu głowy.

– Migotliwy Płaszcz.

Wzrok mu się zamglił i szedł przez port za idealnym tyłkiem Niah, żeby zamordować Janus Borig. Z trudem przełknął ślinę.

– Było tam coś napisane, jak „jeśli rozszczepiacz światła...”. Pamiętam to, bo nigdy wcześniej nie słyszałem o rozszczepiaczu światła. Bałem się zapytać o to jakiegoś luksjata albo preceptora...

– Nie interesują mnie twoje interpretacje. Nazwy.

– Zymun Tancerz – powiedział Kip.

I stał na pokładzie dużej barki, patrząc na plecy Gavina Guile, starając się sprawiać wrażenie kruchego i młodszego, niż był w rzeczywistości. Dotykał noża ukrytego pod tuniką, wybierając właściwą chwilę.

– Zymun? – spytał Andross. – Pamiętasz tę kartę? Jak wyglądała?

– Myślałem, że nie interesują cię moje... – Kip umilkł na widok wyrazu twarzy Androssa. – Nie pamiętam, co robił, ale to był Zymun. Zdecydowanie Zymun.

– Niech cię diabli wezmą za to, że oddałeś karty Gavinowi, a nie mnie.

– Próbowalesz mnie wtedy zabić.

– Następna! Mała Malargos może przyjść w każdej chwili i nie może mnie tu zastać. Szybko.

To było jak decyzja, żeby włożyć rękę w ogień. Na ile bystry był Kip? Musiał podać listę dostatecznie szybko, żeby dziadek nie pomyślał, że wybiera karty, i na tyle długą, żeby dziadek uznał, że powiedział wszystko, co pamięta, ale nie za długą, żeby nie nabrał podejrzeń, jakim cudem Kip pamięta aż tyle, a jeśli nie pojawi się na niej dostatecznie dużo zaskakujących i oczywistych kart, to Andross się zorientuje. Zorientuje się. I Kip musiał tego dokonać, podczas gdy głowa mu pękała, a zwidy tańczyły wokół niego za

każdym razem, gdy się odzywał. Do diabła.

– Nowy Zielony Kolorak. Narodziny Koloraka. Flinta. Pogromca Morskiego Demona – wypalił Kip. Ta ostatnia. Ten przeklęty pirat. To był Artylerzysta! – Migotliwy Płaszcz. Ach, tę już wymieniłem, przepraszam. Ehm, Deedee Spadający Liść. Usem Dziki. Aheyad Słoneczna Woda. Samila Sayeh. – Kipowi zbierało się na wymioty. Zapomniał, kim jest. – Lustrzana Zbroja. Upadły Prorok. – Omal nie powiedział Czarny Luksyn i Mistrz. – Ślizgacz. Kondor. Viv Grayskin. Rzeźnik z Aghbalu. Muszkiet zapalający. Spalony Apostata. Angarski... Angarski Wąż.

Andross słuchał w milczeniu, skupiony tak, że Kip zorientował się, że uczy się nazw na pamięć. Ten człowiek był irytujący. Wreszcie się odezwał:

– Masz więc coś z pamięci Guile'ów, nawet jeśli nic poza tym. Dobrze. Widziałeś Oreę Pullawr albo któregoś z moich synów?

– Oreę?

– Biel! – wyjaśnił Andross lapidarnie, niecierpliwie. Był wściekły.

– Nie, nie. Szukałem ojca, ale go nie znalazłem.

– Zatem pewne karty nadal gdzieś istnieją. Nietknięte. Być może.

Z jakiegoś powodu Kip uznał, że to zabawne. Andross był tak pewny swojego osądu. Jeżeli uważał, że ktoś jest ważny, nie miał wątpliwości, że powstała jego karta. Mój osąd i osąd historii są takie same, myślał. Co za dupek.

– Ostatnie pytanie – powiedział Andross. – Widziałeś kartę Powiernika Światła?

Twarz Janus Borig była chorobliwie blada i jaśniała w odbitym świetle błyskawicy. „Pewnie nie zgarnąłeś moich pędzli?” – spytała. „Ponieważ wiem teraz, kim jest Powiernik Światła”. I umarła.

– To byłem... to byłem ja – powiedział cicho Kip.

Szybciej niż większość ludzi zdołałaby przetrwać szok, na twarzy Androssa Guile odmalowało się zaskoczenie, obraza i ostatecznie zagościł na niej gniew.

– Kłamiesz! – warknął.

Żyły wystąpiły mu na szyi. Podszedł, jakby chciał go uderzyć.

– Oczywiście, że kłamię – powiedział Kip tonem, który mówił: „Ty kretynie, chciałem tylko zobaczyć, jak zatańczysz”.

Widział swoje lekceważenie jak kamerton rozbrzmiewający gniewem Androssa Guile, który z płomiennego przeszedł w lodowaty w jednej chwili, gdy zdał sobie sprawę, że ktoś sobie z niego drwi. Kip jednak nie skończył.

– I rzecz jasna ty także kłamiesz. To ty podsunąłeś mi myśl, że jestem Powiernikiem Światła. Żeby mnie dręczyć. Wiem, że nie ma czegoś takiego. Wiem, jak działasz, ty stary czyraku.

– Naprawdę myślisz, że możesz mnie przechytrzyć? Mnie? Wiem, co ty i twój ojciec robicie. Wiedziałem, odkąd przyjąłeś przezwisko Łamacz. Cwane, że tak to ustawiłeś. Cwane, że załatwiłeś to tak, żeby ktoś inny nadał ci to imię. Cwane, że posłużyłeś się zwyczajem Czarnej Gwardii nadawania przezwisk, by przyjąć to imię, to trzeciorzędne tłumaczenie, które może umknąć luksjatom, a z perspektywy czasu wyda się tak oczywiste. Jednak nie dość cwane, chłopcze, nie wobec mnie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Kip.

Kłamał i czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, z głowy, i nie dość, że był zbolały i męczyły go mdłości, to teraz dołączyły jeszcze zawroty głowy.

Nie rozumiałby jeszcze wczoraj czy dwie godziny temu. Teraz jednak... Ten, który rozdiera, rozrywa, rujnuje, niszczy. Łamacz to było jedno ze zwyczajniejszych i mętniejszych tłumaczeń imienia Diakoptes.

– Aha. – Andross triumfował. Dostrzegł kłamstwo na twarzy Kipa. Znowu panował nad sytuacją. – Jestem pewien, że Gavin cię do tego namówił, i dobrze o tobie świadczy, że nadal rozgrywałeś to po cichu w czasie jego nieobecności, na wypadek gdyby wrócił. W swoim czasie dokładniej omówimy to oszustwo. Teraz liczy się tylko jedno: twój wybór. Wyzaczyłem ci zadanie i nagrodę, jeśli je wypełnisz. Zawiodłeś. Uznaj za cud, że nie każę cię zabić. O świcie twój brat zostanie ogłoszony Pryzmatem elektem. W dniu przesilenia zimowego zostanie ogłoszony Pryzmatem. Nie możesz w żaden sposób zapobiec temu lub zająć jego miejsca. Bez wątpienia twoja drużyna z radością będzie strzec go przed takim zagrożeniem jak ty. Twój wybór jest teraz prosty. Jeśli zdecydujesz się poślubić tę dziewczynę i zostać moim szpiegiem... i przeżyć... przyjdź porozmawiać ze mną przed wyjazdem. Wybierz, co chcesz, ale jeśli jutro nadal tu będziesz, zginiesz przed zachodem słońca. – Przechylił głowę, słysząc jakiś dźwięk. – Za długo tu jestem. Podejmij właściwą decyzję, Diakoptesie, albo tej nocy stracisz nie tylko swoje sny.

Uderzył w panel kontrolny do światła na ścianie i zostawił Kipa w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 80

– Czarny Luksyn -

– Matko! – krzyczę. – Matko!

Przybiegam z ulicy jak zawsze.

Jarae zatrzymuje mnie, zanim minę wejście. To ponura postać, czająca się w progu, ale szybsza, niż można by się spodziewać po kimś tak masywnym.

– Buty, paniczu, buty!

Przestępuję z pięty na piętę, zrzucając buty bez zastanowienia.

– Gdzie ona jest, Jaejae?

– W ogrodzie, Dążenie, ale jest...

Już mnie nie ma. Niewolnicy przygotowują dla nas nowy dom na Wielkim Jaspisie, odkurzając i rozkładając dywany, piorąc pościel, przesuwając meble. Dwóch młodych mężczyzn w tunikach bez rękawów, o ramionach żyłastych i muskularnych, niesie szezlong przez korytarz. Przyśpieszam.

Nie zauważają mnie, dopóki nie jest za późno, i widzę, jak wytrzeszczają oczy, kiedy wydaje się, że zaraz na nich wpadnę. Przygotowują się na uderzenie.

Opadam na kolana w ostatniej sekundzie i prześlizguję się pod ciężkim meblem. I zaraz zrywam się z okrzykiem.

– O mały włos nie osiwiłem, ty p... paniczu! – wykrzykuje jeden z nich za mną.

Tak! Teraz, jak na mnie krzyknął, wiem, że nie naskarzy na mnie do ojca, bo wtedy i ja zakapowałbym jego.

Kawałek dalej w korytarzu stoi łóżko, nikt go nie niesie. Podskakuję i prześlizguję się górą, ale zaplątuję się w pokrowiec chroniący przed kurzem i spadam po drugiej stronie, uderzając się w kolano. Ciągnę za sobą płachtę przez dobre dwadzieścia kroków, próbując się w biegu wyplątać. Porzucam ją wreszcie za sobą, a na mnie zostaje cały kurz i kuśtykam do ogrodu.

– Mamo! – wołam.

-Tu jestem, Dazen. Powinieneś poznać...

Ale ja już pędzę i rzucam jej się w ramiona.

Śmieje się i obraca mnie raz, trzymając w ramionach, a potem odstawia na ziemię.

– Dazen, robisz się za duży... A to co? Jesteś brudny!

Zostawiłem siódemeczkę kurzu na jej ładnej niebieskiej sukience.

– Przepraszam, matko! – mówię.

Wiem, że nie jest naprawdę zła. Wzdycha.

– Nieważne, Dążenie. Chciałabym, żebyś poznał mojego gościa i moją drogą przyjaciółkę, lady Janus Borig.

Lady Borig siedzi na jednym z krzeseł z kutego żelaza. Jest stara. Ma siworude włosy związane z tyłu, pod kapeluszem, długi nos, jasne oczy. Pali zdobioną rubinami fajkę z morskiej pianki o długim cybuchu. Wyblakłe piegi na jej rękach i rudy kolor włosów zdradzają, że pochodzi z Krwawej Puszczy. Gavin uczył mnie staromodnych rytuałów dworskich wszystkich satrapii.

– Matko – mówię.

– Dazen, powitaj naszego gościa.

– Matko, twój szal, proszę.

Wyciągam się, przybierając pozę, którą mój nauczyciel określa jako stosowną dla młodego panicza. Matka wręcza mi szal. Narzucam go na ramiona, poprawiam i pochylam się w staroświeckim dworskim ukłonie z Krwawej Puszczy. Żeby prawidłowo go wykonać, potrzebna mi jest peleryna.

– Lady Borig, niech twoje korzenie sięgają głęboko, niech okrągłe niebiosy przynoszą ci słońce i cień w doskonałych proporcjach. Niech twoje stada się mnożą, twoi synowie będą jak kołczan pełen strzał, niech prostaczkowie się ciebie boją, a wilki polują tylko na twoich wrogów.

Rety, o mały włos nie zapomniałem o ostatniej części.

Lady Janus Borig przygląda mi się w milczeniu.

– Ma pamięć ojca. Niestety – mówi moja matka.

-i wdzięk matki. Chyba pamiętam, że też podbijałaś serca, kiedy byłaś w jego wieku.

– Rozpieszczam go – mówi moja matka. – Wiem, że to nic dobrego.

-Ale nadal to robisz ponieważ... – Lady Janus Borig macha fajką w nieokreślonym kierunku. W stronę mojego ojca? Nie mam pojęcia, o czym mówi.

– W rzeczy samej.

– Zajmij się synem, proszę – mówi lady Borig. – Nasza sprawa może zaczekać. Udawaj, że mnie tu nie ma.

Patrzę na nią, a potem na matkę. Ta sytuacja rozgrywa się na opak. Dorośli nigdy nie chcą czekać, aż dziecko pierwsze coś powie. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ojciec powiedział coś takiego, nawet w przypadku Gavina. Jednak ona sprawia wrażenie poważnej.

– Byłeś z preceptorem Kyrosem? – zachęca mnie do mówienia matka.

– Po lekcjach bawiliśmy się przy Wielkiej Fontannie i rozmawiałem z chłopcami, a oni powiedzieli, że uczą się od swojego nauczyciela o innych rodzajach luksynu, o których preceptor Kyros nie będzie mnie uczył. Powiedzieli, że to dlatego, że nie jestem dość bystry. Bo to zbyt zaawansowany temat. Zapytałem go o to, ale nie chciał nic powiedzieć. To prawda, tak?

Twarz mojej matki ciemnieje, a wraz z nią cały świat.

– Niech zgadnę, to znowu chłopcy Białodębów? Wiesz, że szukali pretekstu, żeby ci dopiec, po tym jak twój brat podbił oko Tavosowi w zeszłym tygodniu.

– Wiem, matko, nie chciałem ich spotkać...

O, rety.

– Zatem to rzeczywiście Gavin go uderzył. A w zeszłym tygodniu powiedziałaś, że nie masz pojęcia, co się stało.

Znowu się wygadałem. Za to Gavin mi przyłoży.

– Mamo, podeszłaś mnie!

– Synu, okłamałeś mnie.

Szybko.

– Jest ich tylu, że dokądkolwiek nauczyciele mnie zabierają, zawsze któryś tam jest.

– Tak, synu, dobrze, byś o tym pamiętał.

– O czym?

– Ze jest ich więcej niż nas.

Pociągam nosem i unoszę podbródek jak ojciec.

– Niczego się nie boję. Jestem Guile.

Matka śmieje się wbrew sobie. Zakrywa usta i dusi śmiech, ale jej oczy znowu zapalają się i wiem, że nie będzie już na mnie zła.

– Och, mój mały mężczyzno, szybko dorastasz, co? – Zerka na lady Janus Borig. – Widzisz?

– W rzeczy samej – odpowiada stara kobieta.

Nie sprawia wrażenia zadowolonej.

– Dość szybko, żeby opowiedzieć mi o luksynach? – pytam z nadzieją.

Widzę, że okazja mi się wymyka.

Matka krzywi się, a ja robię co w mojej mocy, żeby sprawiać wrażenie słodkiego i niegroźnego. Wzdycha.

– Nie mów ojcu, dobrze? – prosi.

– Przyrzekam!

Mimo to waha się chwilę. Odwraca się.

– Lady Borig? – pyta. – Z jakiegoś powodu myślę, że twoja wiedza na ten temat może

być większa niż moja.

– W rzeczy samej. – Jej palec wskazujący rozgrzewa się do czerwoności i kobieta przytyka go do główki fajki, rozpalając popioły. Podczerwona krzesicielka. Pyka z fajki przez chwilę, aż spowija ją chmura dymu. – Ile chcesz mu powiedzieć? A skoro o tym mowa, ile chcesz, żebym powiedziała tobie? Od tego ma się koszmary.

– Nie zamierzałaś chyba mówić mu o czar...

– W rzeczy samej, zamierzałam – mówi Janus Borig. – Twój syn nie jest zwyczajnie nad wiek rozwinięty, Felio. Jest nadzwyczajnie bystry. Przystojny. Czarujący. I straszliwie go rozpieściłaś. Innymi słowy, ma wszystkie cechy prawdziwego potwora.

Moja matka mruga zaskoczona. Nikt nie zwraca się do niej w taki sposób.

– Zastanawiam się jednak. – Zaciąga się głęboko dymem z fajki. Matka nie odzywa się słowem, co mi mówi, że ogromnie szanuje tę okropną starą lady. – Podejrzewam, że starszy brat spuszcza mu czasem manto?

– W jednej chwili najlepsi przyjaciele, w drugiej najgorsi wrogowie.

– Czy kiedykolwiek wygrywasz w tych bójkach z Gavinem? – pyta mnie stara kobieta.

Kręcę głową, patrząc spode łba.

– Myślisz, że cię nie lubię – mówi lady Janus Borig. – Nie ma niczego dalszego od prawdy. Próbuję cię ocalić. – Odwraca się do mojej matki. – Powinnaś pozwolić tym Białodębom, żeby parę razy go złali.

-Co?!

– Jesteś na tyle bystra, żeby wybrać któregoś z młodszych, który nie narobi prawdziwych szkód. Może złamany nos, psujący nieco urodę Dazena, to najlepsza rzecz dla niego? A świadomość, że nie jest niepokonany, będzie najlepszą rzeczą dla świata, jak mniemam.

Matka zniża głos.

– Czy to... Czy to przemawia twój dar?

– Skąd. To żadna przepowiednia. Po prostu jestem mądrzejsza od ciebie, dziecko.

Matka mruga zaskoczona, ale przyjmuje naganę. Nagle sprawia wrażenie bardzo młodej.

– Powiem mu o czarnym luksynie, ale powiem mu prawdę albo nic. Myślę, że tak będzie dla niego najlepiej. Jednak to ty będziesz musiała żyć z krzykami w nocy z powodu złych snów.

– Myślę, że jest gotowy – mówi moja matka, a jej oczy płoną.

– Powiedziałaś, że niczego się nie boisz – zwraca się do mnie lady Janus Borig. – A teraz się boisz?

Szczęknięcie.

Nagle Kip stał w całkowitej ciemności. Znowu był sobą. Gdzie się znajdował? W jakim czasie się znajdował?

Wykrzesał podcierwień i rozszerzył oczy. We własnym pokoju. To szczęknęcie? Co to było?

Podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał. Andross Guile dopiero zniknął w korytarzu.

Co jest, do wszystkich diabłów?

Wspomnienie z karty nie zabrało mu prawie w ogóle czasu. Szczęknęcie to był odgłos zamykającego się zamka.

Nie był pewien aż do tej chwili, ale teraz już wiedział: okłamał Teię. Spartaczył wszystko, ale nie uruchomił pułapki Janus Borig. Nie wymazał kart. Wszystkie wchłonął i nabrał teraz nagłego, całkowitego i przyprawiającego o mdłości przekonania, że to doprowadzi go do szaleństwa.

ROZDZIAŁ 81

Teia udawała, że uciekła. Kiedy tylko Andross Guile wyrzucił ją, żeby porozmawiać z Kipem, minęła pośpiesznie Czarnogwardzistów stojących na straży i ruszyła korytarzem, żeby zniknąć im z oczu. Wezwała windę, ale nie wsiadła do niej. Zamiast tego owinęła się peleryną. Rozejrzała się, nikogo nie zauważyła i wolą narzuciła sobie niewidzialność.

Nic.

Pomacała kołnierzyk i znalazła obrózkę, wąski pas metalu przymocowany do materiału w wielu miejscach. Zapięła go na szyi. Zadygotała, gdy przeszedł ją dreszcz obrzydzenia.

Nikt nie zakładał obroży niewolnikom na Jaspisach, uważano to za wyraz nieokresania. Bicie i inne formy wymuszania posłuszeństwa stosowano w domu, nie w miejscach publicznych. Fakt, że niewolnika trzeba było karać publicznie, źle świadczył o samym właścicielu. Niewolnicy zaś wiedzieli, że wszelkie publiczne nieposłuszeństwo spotka się później z podwójną karą.

W innych miastach inni ludzie nie byli tak cywilizowani. A może nie byli takimi hipokrytami. Nie pierwszy raz Teia nosiła obrózkę, ale pierwszy raz założyła ją z własnej woli. Ucisk wokół szyi był niemal nie do zniesienia.

Masz sprawy do załatwienia, T. Czas ucieka. Może wyjść w każdej chwili. A musisz jeszcze się zorientować, jak posługiwać się tą przeklętą peleryną.

Odsunęła na bok luźny łańcuszek z małą fiolką oliwy. Trzymała luźno zapinkę obróżki. Nieruchomo. Oddychała głęboko, prawie doprowadzając się do hiperwentylacji, i mimo to nie zapięła przeklętej obroży.

Łańcuchy. Zrobiłam w życiu wszystko, żeby 'wyrwać się z łańcuchów.

Pewna jej częśćka spierała się z tym. Wygadywała jakieś bzdury o różnicy między niewolnictwem a peleryną, która ją wzmacniała. To nie wpłynęło na instynktowną odrazę.

To łańcuchy, które sama wybieram.

Łańcuchy, które wybieram.

Zapięła ciasno obrózkę i rozszerzyła wolę. Zęby wyskoczyły z obroży i zatopiły się w bokach szyi. Bolało tak bardzo, że aż zgięła się w pół i omal nie krzyknęła.

A potem zapało jej dech z innego powodu. Poczwała to. W pelerynie wyczuwało się obecność. Jednak nie całą osobowość. Jeśli konsyliarze mieli rację i myśl rodziła się w ludzkim mózgu, to Teia miała wrażenie, że peleryna zawiera wszystkie części mózgu

odpowiedzialne za rozszczepiania światła i magię z ledwie śladem osobowości. Żeby stworzyć tę pelerynę, ktoś oddał życie... Albo zostało mu ono odebrane. Peleryna wiedziała jak rozszczepiać światło w sposób, który Teia zaledwie musnęła, kiedy włamała się do gabinetu Bieli.

Przez całe życie Teia musiała walczyć, by osiągnąć w czymś mistrzostwo. Potrafiła śpiewać, ale widziała innych niewolników, którzy zapamiętywali każdą melodię po jedno-, dwukrotnym usłyszeniu. Potrafiła walczyć, ale widziała, jak inni Czarnogwardziści łączyli rzuty, ciosy i kopnięcia w serie tak płynne, że gdyby walka była językiem, oni tworzyliby przemyślane polemiki. Jej własny styl był lapidarny, szybki i ostatecznie prosty, pozbawiony niuansów. Patrząc na Cruxera czy Winsena, widziała, że już dojrzewają, stając się najlepszymi na świecie, ich umiejętności rozwijają się błyskawicznie. To ją przerastało i zawsze tak będzie. Nie stanie się szybsza. Jej zasięg był nieuleczalnie niewielki. Na kontinuum, które zaczynało się od Dużego Leo, Kipa i Żelaznej Pięści, nie była silna. Jej celność rosła, tak samo jak wiedza, gdzie i kiedy uderzyć. Pośród najlepszych będzie przeciętna, a każda odrobina umiejętności została zdobyta ogromnym kosztem.

Nie była też doskonała w nauce. Mimo trudności w czytaniu Benhadad potrafił improwizować, patrząc na wielokrażki i bloki, ciężar i wytrzymałość każdego luksynu, projektować maszyny, jakby to była dla niego zabawa. Kip miał doskonałą pamięć i dar do nadzwyczajnych intuicyjnych skojarzeń. Gdyby nauka była zadaniem skryby, oni doskonale kaligrafowali i dla zabawy ilustrowali swoje rękopisy, podczas gdy cymbały próbowały ich dogonić. Za to Teia trzymała swoje pióro w pięści.

Pod muśnięciem woli, która ożywiała pelerynę, Teia natychmiast zrozumiała dwie rzeczy. Po pierwsze, rozszczepianie światła na poziomie, na jakim robili to dawni wędrowcy mgieł, było równie trudne jak wszelkie inne magiczne i prozaiczne umiejętności na świecie. Było równie trudne jak żonglowanie, bieganie i śpiewanie jednocześnie. Z opaską na oczach. A po drugie, co ważniejsze, ona to rozumiała.

Samo posługiwanie się peleryną nauczy ją więcej niż jakikolwiek mistrz.

Już widziała, dlaczego peleryna jest lepsza od innych. Żaden z migotliwych płaszczy – nawet ten – nie rozszczepiał światła poza widzialnym spektrum. Podczerwień była zbyt długą falą, żeby dało się ją przekierować i zdeformować w obrębie cienkiego materiału, a nadfiolet był zbyt drobny.

Pośród rozszczepiaczy światła jedyni ludzie, którzy mieli szansę stać się całkowicie niewidzialnymi w całym spektrum, to byli paryłowi krzesiciele. Prawdziwy wędrowiec mgieł mógł za pomocą migotliwego płaszcza zająć się widzialnym spektrum, a samemu za pomocą paryłowej mgły – dwoma pozostałymi widmami.

I wtedy stało się to oczywiste – nazywano ich wędrowcami mgieł, nie dlatego że byli niewidzialni albo że widziało się ich jak przez mgłę, ale dlatego że chodzili wewnątrz własnej chmury parylu. Zawsze.

A ten płaszcz nauczy ją, jak to robić.

Niespodziewanie Teia odnalazła swój cel, dziedzinę, w której mogła osiągnąć doskonałość. Było całkiem możliwe, że nikt na świecie nie rozumiał tego w takim stopniu, jak ona. Po raz pierwszy w życiu nie czuła się gorsza. Popłakałaby się, gdyby nie usłyszała, że drzwi otwierają się za zakrętem korytarza i Andross Guile mówi coś do Czarnogwardzistów.

Wykrzesanie nawet nitki parylu wystarczyło, by aktywować pelerynę. Teia narzuciła kaptur i wyciągnęła rękę, żeby zapiąć go na twarzy, jednak nie znalazła żadnych zapięć. Macała w poszukiwaniu jakichś zamków, a kiedy naciągnęła brzegi materiału, przywarły do siebie mocno, jakby wszyto w nie kawałki magnetytu. O wiele mocniej niż w innych migotliwych płaszczach. Jednak nawet tu nie mogła całkowicie zasłonić oczu, żeby się nie oślepić – nie ma światła, nie ma widzenia. Może warto byłoby zasłonić je w pewnych sytuacjach, ale to będzie przerażające. Zamiast tego musi polegać na szybkich rzucanych z ukosa spojrzeniach albo zakradać się w kucki, by wróg nie dostrzegł jej oczu.

Oczywiście to, że była niska, pomagało w tej drugiej sytuacji, ale będzie musiała się pilnować, żeby nie nabrać zbytnej pewności siebie.

Nadejście Androssa ze strażą stanowiło problem. Na ile tak naprawdę ufała pelerynie?

Odetchnęła głęboko, kiedy tamci trzej się zblizali. Stanęła z boku, zerkając tylko z ukosa, żeby ukryć oczy. Przeszli tuż obok niej.

Przeszedł ją dreszcz od stóp do czubka głowy. Niewidzialna!

Andross odwrócił się do Czarnogwardzistów, gdy czekali przy windzie, i powiedział:

– Udam się do domu. Natychmiast. Wezwijcie oddział Świetlanej Gwardii, żeby nam towarzyszył.

Oczywiście to ich obrażało i oczywiście nie skomentowali tego nawet słowem, przyjmując to jak zawodowcy. Jednak Teia uznała jedną rzecz za dziwną – nie pamiętała bowiem, żeby Andross Guile kiedykolwiek udał się do swojego domu na Wielkim Jaspisie. Dlaczego miałby zrobić to właśnie teraz?

Winda pojawiła się, zanim Teia usłyszała odpowiedź, o ile w ogóle jakaś padła.

Andross Guile wybierał się do domu na Wielkim Jaspisie w tym samym dniu, w którym w porcie pojawił się jego zaginiony wnuk? Z tego jak zrelacjonowała to Samite, wynikało, że chłopak mówił, kim jest, każdemu kto słuchał. Teia nie wyobrażała sobie, żeby Andross Guile wybrał się do domu, gdyby chłopak kierował się do Chromerii. Andross Guile zostałby w centrum wydarzeń... Albo dopilnowałby, żeby same do niego przyszły.

Co znaczyło, że Andross Guile kazał zabrać chłopaka do swojego domu, gdzie spotka się z nim z dala od szpiegów.

Wszystkich poza Teią.

Nagle wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Wychyliła się do szybu i spojrzała, gdzie zatrzymała się winda. Na parterze.

Odczekała pół minuty, a potem weszła do drugiej windy i ustawiła ciężarki. Zjechała powoli.

Na parterze musiała uskoczyć przed kilkoma starymi luksjatami, którzy weszli do windy. Poruszali się jednak wolno, więc udało jej się wyjść bez większego kłopotu, zanim zauważyliby, że ciężarki są dziwnie ustawione.

Rozejrzała się za Androssem Guile, ale nigdzie go nie widziała. Podeszła do dużych, otwartych drzwi, które niedługo zostaną zamknięte na wieczór, i dostrzegła go w tłumie białych i czarnych płaszczy. Opuszczał Chromerię. Poszła za nim.

Było coś uskrzydającego, wręcz upajającego w niewidzialności. Wokół znajdowali się krzesiciele całego świata, śmietanka Siedmiu Satrapii i nawet jej nie widzieli. Nic dziwnego, że zabójcy z Zakonu uwielbiali te płaszcze, nawet kiedy nie wykorzystywali ich całego potencjału. To było niesamowite.

Ponadto było zaskakująco trudne. Teia przywykła do uskakiwania i przemykania przez tłum, ale otrzeć się o kogoś, kto ledwie cię zauważa, to jedno, a dać się zdeptać przez kogoś, kto w ogóle cię nie widzi, to całkiem co innego. To, oraz fakt, że migotliwy płaszcz całkowicie odcinał jej widzenie peryferyczne, sprawiało, że zwykły spacer stał się niemal wyczerpujący. Ciągłe obracała głowę, zerkając na wszystko przelotnie, poprawiała paryłowy bąbel, kiedy wieczorne tłumy wracały mostem z Małego Jaspisu do domów na Wielkim Jaspisie.

Miała szczęście, że Andross Guile nie zdecydował się pojechać. Jako Kolor, już nie mówiąc, że jako promachos, miał do tego prawo. Zamiast tego zdecydował się pójść piechotą. Teia miała nadzieję, że to znaczy, że rezydencja znajduje się blisko. Powinna znać położenie domu, ale prawdę mówiąc, cały czas spędzała w podejrzanych okolicach. Mimo wszystko był to dziwny wybór dla człowieka, który jeszcze rok temu sprawiał wrażenie kaleki. Fakt, że siedł, oznaczał także, że wziął jeszcze dodatkowych czterech Czarnogwardzistów i taką samą liczbę Świetlanych Gwardzistów. Sześciu Czarnogwardzistów mogło się wydawać przesadą, ale to był czas wojny, a Andross był promachosem. Teia właściwie nie brała pod uwagę Świetlanych Gwardzistów. Gwardziści na niby.

Kiedy już znaleźli się na otwartych ulicach, śledzenie Guile'a stało się łatwiejsze. Nie szli też daleko i wkrótce Teia zobaczyła rezydencję Guile'ow. Kopuła była, rzecz jasna,

złota. Ogromne drzwi wykonano z czarnego dębu i ozdobiono granatami. Ogromne belki poprzeczne z czarnego dębu ułożono na wiecznie płonącym drzewie atasifusty, którą zapalono, żeby ogłosić obecność lorda Guile w rezydencji. Granaty wyłapywały czerwoną poświatę i pięknie ją odbijały w słabnącym świede słonecznym.

Rezydencja Guile'ów była tak wielka, że znajdowała się tu nie tylko jedna z najwyższych wież Tysiąca Gwiazd, ale były także mały dziedziniec i ogród – ogromny luksus na zatłoczonej wyspie.

Budki strażnicze stały po obu stronach grubej, wysokiej bramy obitej żelazem. Niektóre rezydencje miały proste bramy z kutego żelaza, pewnie po to, żeby przechodnie mogli przez nie widzieć bogactwo właścicieli, jak podejrzewała Teia. Jednakże prześwitujące żelazne bramy to fatalny pomysł w mieście pełnym krzesicieli – mogli wsunąć ręce przez prześwit i swobodnie krzesać. Guile'owie bardziej cenili sobie prywatność i bezpieczeństwo.

I tutaj sytuacja stawała się śliska.

Nagle Teia musiała zadać sobie pytanie, jak daleko zamierza posunąć się w śledzeniu Androssa. Mógł przecież po prostu wrócić do domu i pójść spać. Ona dysponowała tylko domysłami i przeczuciami. Mogła ryzykować życie z czystej ciekawości.

Strażnicy otworzyli im bramę. Dwóch Czarnogwardzistów wsunęło się do środka z wyciągniętą bronią, podczas gdy dwóch innych miało na oku strażników, mimo że byli to starsi mężczyźni, którzy pewnie od dziesięcioleci służyli Guileom. Ostatni dwaj czekali z promachosem, uważnie przyglądając się tłumom, które omijały ich szerokim łukiem.

Teia odetchnęła głęboko i ruszyła. Jak dobra była w posługiwaniu się peleryną? Jeśli zrobi coś złe, to będzie najkrótsza infiltracja w dziejach.

Upchnęła leki w kieszeni i weszła pewnym krokiem. Wykrzesła wokół siebie bąbel paryłowej mgły. Może to pomoże.

Ktoś potrącił ją, wchodząc na wydawało się puste miejsce w tłumie, gdzie akurat szła ona. Jej paryłowa bańka pękła bezgłośnie, ale Teia po prostu stworzyła nową i szła dalej. Andross wszedł z jednym strażnikiem przed sobą i drugim tuż za nim. Ostatnia dwójka, Presser i Essel skinęli do siebie i Presser wszedł do środka, podczas gdy Świetlani Gwardziści stali wokół, przestępując z nogi na nogę – nie byli zawodowcami nawet w takim stopniu, żeby się nie wiercić, kiedy stali w postawie swobodnej.

Teia nie miała nic przeciwko – to oznaczało, że zajmowali większą przestrzeń i dawali jej więcej miejsca na ruch.

Drobna kształtna Essel poczekała dwie sekundy, jeszcze raz przyglądając się tłumowi, a potem weszła i natychmiast zatrzasnęła drzwi. Teia przecisnęła się do zamkniętej połowy bramy i przemknęła się przez szparę tuż przed kobietą.

Andross Guile powinien poczekać, aż jego ochrona ustawi się w szyku, ale on już był w połowie drogi do domu.

Młody Czarnogwardzista o ogolonej głowie, Asif, stał przed frontowymi drzwiami ze strażnikami Guile'ów. Ożywił się na widok swoich. Stanie cały dzień na warcie razem z domowymi strażnikami, którzy nie byli zachwyceni tym, że się nimi komenderuje, nie było ulubionym zadaniem Czarnogwardzistów, zwłaszcza kiedy musieli wykonywać je w pojedynkę.

Potem Teia miała szczęście. Andross Guile wszedł do środka i jego osobisty niewolnik Grinwoody wyszedł, blokując drzwi.

– Najszlachetniejszy pan każe wam wracać do koszar na tyłach i czekać na rozkazy.

– Na tyłach? – zapytał Asif. – Ale stamtąd nie będziemy nawet widzieć, kto wchodzi przez bramę, już nie wspomnę o możliwości pilnowania domu.

– Świetlana Gwardia stanie od frontu. Wy pozostaniecie w koszarach na tyłach, dopóki nie zostaniecie wezwani, w przeciwnym razie zostaniecie zwolnieni – odparł Grinwoody.

– Możemy od razu zostać zwolnieni, skoro nie pozwalacie nam wykonywać naszej pracy – odparła Essel. – Prędzej odpocznę w domu niż...

– Zwolnieni z Czarnej Gwardii – sprostował Grinwoody. – To słowa promachosa.

Chytry uśmiezek rozpromienił pomarszczone oblicze. Nic dziwnego, że ludzie go nienawidzili.

Czarnogwardziści nie mogli w to uwierzyć, ale kiedy narzekali i przeklinali, Teia dostrzegła okazję i wślizgnęła się za Grinwoodym do domu.

Z jakiegoś powodu, dopóki nie znalazła się w pokojach Androssa Guile i nie ruszyła za dźwiękami głosów i kroków jego służby, nie zdawała sobie sprawy, jak przerażająca jest jej nowa moc. Bała się Mordercy Sharpa, ale z najróżniejszych powodów. A teraz ona sama przeniknęła do domu najbogatszego, najpotężniejszego człowieka Siedmiu Satrapii. Weszła do domu samego promachosa bez żadnego uprzedniego planu.

Mogłaby go teraz zabić, niezauważona, nawet gdyby w tym samym pokoju przebywali inni ludzie, i nikt nawet niczego by nie podejrzewał. Człowiek w jego wieku, w obliczu wyzwania wojny, który nagle umiera? Padłoby parę komentarzy, nic więcej. Nie zostawiłaby nawet śladów na ciele.

I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że to czyniło ją przerażającą. Czyniło ją drapieżnikiem.

Ta myśl bardziej ją zaskoczyła niż napełniła podziwem czy nawet zadowoleniem. Jestem przerażająca. Jestem przerażająca? Ja jestem przerażająca.

Do tej pory bycie niewidzialną znaczyło dla niej, że może się świetnie ukrywać.

Nie oznaczało czegoś takiego. Ze mogła uderzyć z cieni... Nie, nawet nie z cieni – mogła

uderzyć zewsząd i zwyczajnie zniknąć. Mogła zabić i prawie nie narażać własnego życia.

Na razie Morderca Sharp nie pokazał jej właściwie, jak zabijać parylem, ale widziała raz, jak to robił, i nie była głupia. Nauczył ją przyszczypywać nerwy, pokazał jak przesuwac paryl przez ciało. Wystarczyło stworzyć tak wiele maleńkich parylowych kryształków, ile się da, i pozwolić im popłynąć do mózgu, serca albo płuc. Możliwe, że Teia potrzebowałyby pięciu albo dziesięciu, a nie jednego, jak wprawny zabójca, ale jakie to miało znaczenie, kiedy jesteś niewidzialna i nikt nie zauważy twoich wpadek?

Androssem zajęły się trzy ładne osobiste niewolnice około trzydziestki. Zdjęły mu tunikę i szybkimi, wprawnymi ruchami obmyły go gąbkami, nie tracąc czasu i nie moczając mu spodni. Miał zwiotczałe ciało mimo potężnej sylwetki i spociał się po zwykłym spacerze – ten fakt odnotował z wyraźnym niezadowoleniem. Teia zgadywała, że to dlatego właśnie szedł dziś wieczorem. Starał się odzyskać dawny wigor.

A miał co odzyskiwać, sądząc po bliznach wojownika i krzesiciela na piersi i rękach. Ze spuszczonym wzrokiem i z kapturem odsuniętym tylko tyle, żeby widzieć nogi kobiet – dzięki temu mogła przewidywać ich ruchy – Teia przemknęła się obok nich i zajęła miejsce w kącie przy drugim końcu łóżka, z dala od wszelkiego ruchu, jaki mogła przewidzieć.

W kilka minut niewolnice ubrały go ponownie w smoking i namaściły mu włosy pachnącymi olejkami.

– Masz coś do powiedzenia, Deleah? – zapytał znudzony Andross.

Wahanie i zaraz powódź słów. Najwyraźniej Andross nie miał cierpliwości do wyciągania od niewolników sprawozdań.

– To młody lord Zymun, panie. Ma okropnie ruchliwe ręce. Jedna z młodszych dziewcząt wyrwała mu się. Upadł, goniąc za nią. Krzyczał, że złamał zebro i że ona zapłaci za to życiem. Od tego czasu dziewczyna cały czas płacze. Prawie próbowała uciec...

-To mnie nie interesuje. – Zawahał się. – Jak się nazywa?

– Leelee.

– Blondynka? Podkuchenna?

-Ta właśnie, mój panie.

– Ma teraz siedemnaście lat?

– Coś koło tego. To niewolnica, więc trudno orzec, mój panie.

-A inne, które zaczepiał... Wszystkie blondynki? Wszystkie ładne?

Niskie? Jakie wybiera?

Niewolnica Deleah zagryzła usta w zamyśleniu.

-Ładne, owszem, mój panie, ale nadzorca Grinwoody dba, żeby wszystkie dziewczyny służące na pokojach były ładne. Poza tym nie widać, żeby lubił jakiś typ, na ile potrafię to ocenić, mój panie.

Do pokoju wszedł Grinwoody. Andross gestem odprawił czekające w milczeniu niewolnice. Kiedy jednak Deleah doszła do drzwi, powiedział:

– Deleah, prawa strona czy lewa?

Odwróciła się, zaskoczona, a potem zrozumiała.

– Zebro po prawej, mój panie. Siniak, nie ma złamania.

Wyraźnie żałowała, że to nic poważniejszego.

– Powiedz Leelee i pozostałym, że to się więcej nie powtórzy. – Przez chwilę Teia myślała, że może ten człowiek nie jest taki zły. Z pewnością sposób, w jaki traktuje tych, którzy mu podlegają, dużo mówi o człowieku. Ale potem dodał: – Żadne niewolnice nie będą mi płakać w domu.

Niewolnica skłoniła się i odeszła.

Grinwoody podsunął Androssowi tacę z kryształową szklanką pełną bursztynowego płynu.

– Kanalia czeka w czerwonym salonie, mój panie.

Andross wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nigdy nie lubiłeś naszego zębiastego gościa, co, Grinwoody? – Napił się alkoholu. Wykrzywił usta. – To jest ta Barrenmoor?

– Mój panie.

– Jesteś pewien, że wchodzi w modę?

– Mój panie.

Znowu było to przytaknięcie.

– Hm, to co mocne i obrzydliwe znajdzie swoje miejsce, nieprawdaż?

– Miejmy nadzieję, że wynajmowanie Sharpa nie wejdzie w modę – odpowiedział Grinwoody.

Andross zaśmiał się w głos, ale Grinwoody wyszczerzył zęby. To było bardziej niepokojące niż widok półnagiego promachosa. Ci mężczyźni byli przyjaciółmi. Nie było fałszu w tym śmiechu ani uśmiechu. Mogli zajmować zupełnie inne pozycje, ale lubili się wzajemnie i szanowali. Grinwoody ewidentnie odgrywał ważną rolę w sukcesie Androssa Guile.

– Jakież nowiny na temat Eirene Malargos? – spytał Andross.

– Żadnych.

– Nadal mnie to martwi.

– Wstrzymywanie posiłków zawsze niosło ze sobą ryzyko, że zwróci się do wroga zamiast do nas. Jednak, gdybyśmy wysłali je za wcześnie, mogłaby później zwrócić się przeciwko nam. Dzięki twojemu rozwiązaniu, panie, na zawsze zostanie naszym sojusznikiem. To ryzyko warte podjęcia, mój panie. Tak czy inaczej jutro będziemy wiedzieć.

– Masz wszystko gotowe, żeby natychmiast przesłać jej nowinę? Dobrze. W takim razie zajmijmy się bliższymi sprawami. Każ tej kurwie Aurellei, żeby koniecznie przysłała dziś wieczorem blondynkę. Szesnaście, siedemnaście lat. Smukłą.

– Nadal chcesz nagrodzić Zymuna? – zapytał Grinwoody, a w jego głosie pobrzmiwała nutka powątpiewania.

– Nie chcę, ale mamy mało czasu. A wiedza, co lubi w łóżku, będzie kolejnym narzędziem w naszej ręce. Jeśli jest czarujący, jak myśli, to gdy już zadomowi się w Chromerii, takie informacje będzie trudniej zdobyć. Równie dobrze możemy się tym zająć od razu. Właściwie to zaprowadź Zymuna niezwłocznie do mojej oranżerii. Kolacja może poczekać. Dopilnuj, żeby nie zobaczył Sharpa. Zostań tam razem z nim. Niech sobie trochę poczeka. Nalej Barrenmoor. Sobie. Jemu niczego nie dawaj. Chcę, żeby był wyprowadzony z równowagi. Możesz mu przyłożyć, jeśli zajdzie potrzeba.

– Z przyjemnością. – Grinwoody skłonił się i wyszedł.

Andross Guile przystanął przy drzwiach. W brokatach, koziej abornejskiej wełnie, złotogłowi i purpurze wyglądał jak król z dawnych czasów. Położył rękę na framudze, pochylił głowę i odetchnął kilka razy.

A potem obrócił się gwałtownie na pięcie i zawrócił do pokoju.

Obszedł łóżko, idąc prosto do kąta, w którym stała Teia. Serce jej zamarło i omal nie uciekła. O mały włos nie zaatakowała. Spojrzała w lewo, ale ściana znajdowała się za blisko. Otarłaby się o niego.

Jedyna droga ucieczki to skoczyć na łóżko. Wskoczyła lekko na ramę łóżka, jedną nogę oparła z boku, drugą na wezglówiu, rękę wyciągnęła, żeby, odpychając się od kolumny, utrzymać się nieruchomo. Gdyby stanęła na łóżku, zostawiłaby ślady, wgniecenia na kocach i materacu. To był prawdziwy popis równowagi, zwłaszcza że to było nad wyraz niepokojące nie widzieć własnych kończyn. Kłopot tylko w tym, że wyciągając się tak daleko, odsłaniała całkiem but z jednej strony i dłoń z przedramieniem po drugiej.

Jednak Andross już ją minął i pochylił się, żeby podnieść coś, co leżało w kącie Teii. To był portret jego nieżyjącej żony, lady Felii Guile. Rama była złamana, na samym płótnie widniały rozdarcia. Stał nieruchomo, ostrożnie trzymając obraz.

Jeśli Teia odwróci się przeciwnie do wskazówek zegara, w stronę pokoju, nie ściany, znajdzie się z nim twarzą w twarz. Była na tyle odsłonięta, że musiałby ją zauważyć. Teia starała się przesunąć stopę wzdłuż ramy i schować ją pod krótkim płaszczem, ale opierała na niej cały ciężar ciała. Nie mogła jej przesunąć.

Andross odwrócił się w stronę pokoju – klęska! Ale trzymał portret wysoko – obraz przesunął się między nim a Teią, zasłaniając Androssowi widok, a rama omal nie złamała Teii nosa.

Zaniósł obraz do biurka, a Teia, łapiąc powietrze, bezgłośnie zeszła z powrotem do kąta. Serce waliło jej tak głośno, że dziwiła się, że cały dom od niego nie huczy.

– Fee – powiedział Andross cicho. – Wybacz mi to. – Dotknął rozdarcia, śladu po tym jak przebił płótno ostrzem. – Myliłem się. Jak wiele razy, kiedy się sprzeczailiśmy. Zraniłaś mnie, odchodząc w ten sposób. Odebrałem to jak zdradę, ale mimo to przepraszam. Nie powinienem był ci odmawiać Uwolnienia w tym roku. Ale, och, moja droga, gdybyś tylko została i zobaczyła mnie teraz! Jeden rok więcej! Mogłaś wytrzymać jeszcze rok, prawda? Nie byłem sobą uwięziony w tamtym pokoju. Wiem. Potrzebuję cię, moje miła. Tego, czego ja muszę dokonać mieczem, ty dokonałabyś uśmiechem. – Przesunął palcem po linii jej policzka. – Nigdy nie znajdę drugiej takiej jak ty.

A potem odchrząknął i wziął się w garść. Wyszedł pośpiesznie z pokoju, jakby chciał zostawić za sobą czułość.

Teia nie wiedziała dlaczego, ale ta nieoczekiwana delikatność promachosa przeraziła ją bardziej, niż wcześniej jego chłód. Wiedziała, że gdyby dowiedział się, że ktoś widział go w takiej chwili, zemsta byłaby straszliwa.

Jakby włamanie się do jego domu i szpiegowanie mogło poskutkować tylko surową reprimendą?

Mogą mnie zabić tylko raz.

Ta myśli nie poprawiła jej samopoczucia.

ROZDZIAŁ 82

Teia dała trochę czasu promachosowi Guile, a potem za nim ruszyła. Znajdował się u stóp schodów, zanim ona dotarła na ich szczyt i musiała zaczekać. Powinna była trzymać się bliżej niego. Zejście po schodach odsłoni jej stopy, zwłaszcza przed kimś stojącym poniżej. Gdyby trzymała się blisko promachosa, znacznie trudniej byłoby mu zauważyć ją pod takim kątem.

Też mi niewidzialność.

Zeszła ostrożnie po schodach, jak najwięcej ciężaru opierając na poręczy, przeskakując stopnie, które zauważyła, że skrzypią. Oto wreszcie zaleta bycia drobną – niewiele ważyła. Usłyszała dzwonek rozbrzmiewający w pokoju, do którego poszedł Andross Guile. Zeszła po schodach bez kłopotu i usłyszała, jak rozmawia z jedną z ładnych niewolnic, które były na górze.

– W mojej komnacie leży uszkodzony obraz. Każ go zreperować najlepszemu fachowcowi.

Kobieta dygnęła i wyszła z pokoju, przechodząc pomiędzy Świetlanymi Gwardzistami pełniącymi straż przy drzwiach.

Teia rozpląszczyła się przy ścianie, ale kobieta przemknęła do bocznych drzwi dla niewolników. Pojawiła się przelotna okazja, żeby wślizgnąć się do pokoju pomiędzy Świetlanymi Gwardzistami, ale gdyby choć jeden się poruszył...

Zawahała się, a Andross odesłał strażników.

Obaj byli potężnymi mężczyznami. Nie twardymi, zawodowymi wojownikami, jacy tworzyli Czarną Gwardię. Teia nie mogła nie zadrwić z nich w duchu. Wyglądali jednak na takich, co potrafią posłużyć się pałką. Obaj mieli wielokrotnie złamane nosy i tłuszczyk na dużych mięśniach. Ten z lewej miał czerwony nos pijaka. Ten z prawej lekko utykał. Jednak najistotniejsze było to, że kiedy szli obok siebie, zajmowali cały korytarz.

Teia cofnęła się korytarzem, szła tyłem, ostrożnie, zerkając tylko na stopy mężczyzn, żeby nie widzieli jej oczu. Schody czy drzwi?

Wcisnęła się w niszę drzwi.

Odwrócili się w stronę drzwi i Teia znalazła się w pułapce.

Ten z lewej, stojący bliżej drzwi, położył rękę na wyższej zasuwce, tuż obok twarzy Teii. Dziewczyna wstrzymała oddech.

– Myślisz o tym samym co ja? – spytał drugiego.

Odwrócił do niego głowę, otwierając zasuwkę. Szturchnął przy tym Teię w ramię, ale niczego nie zauważył. Nie pchnął też drzwi. Teia nadal stała uwięziona.

-Tknij barek raz jeszcze, a obydwaj dostaniemy baty – szepnął kulawy. Rozejrzał się nerwowo. – Wyczuje brandy w twoich oddechu! Arrad!

Nie miała jak uciec. Jeśli mężczyzna ruszy szybko do przodu, wpadnie na nią, zanim ona zdąży się cofnąć. Nie mogła sama otworzyć drzwi i wymknąć się; mężczyzna nadal trzymał rękę na zasuwce. Nie było miejsca, żeby mogła się między nimi prześlizgnąć. Tworzyli idealny, zamknięty półksiężyc zawierający ją i drzwi.

Zanim zdała sobie sprawę, co robi, zaczęła krzesać. Już krzesала paryl, żeby płaszcz działał, i nasza ją nagła myśl: czy to o tym mówili inni krzesaciele? Czerwoni mówili, że odbierają swoje namiętności z podwójną siłą, niebiescy o chłodnej logice, ale Teia nigdy nie poczuła niczego ze strony parylu. Ta dziwna, nieprawdopodobna pomysłowość tudzież świadomość albo...

Przesunęła parylem przez nogę drugiego mężczyzny. Istniał punkt zazębienia w parylu między stanem gazowym i stałym, kiedy można było wystrzelić strumień, ale nadal nim kierować. Próbowwała tego setki razy i dwukrotnie jej się udało, zawsze, kiedy nie myślała o tym za dużo. To ją doprowadzało do szału. Jednak znowu jej się udało. Wyczuła węzeł w chorym kolanie kulawego i złapała za niego, zestalając paryl i ciągnąc, aż luksyn pękł.

Chora noga zgięła się i mężczyzna upadł. Zaklął, kiedy uderzył o podłogę.

Pijak Arrad puścił zasuwkę, żeby spojrzeć, co się stało, a Teia pchnęła delikatnie drzwi, żeby powoli się otworzyły, jakby sam je lekko trącił. Gwardzista zaczął śmiać się z towarzysza.

– A ty się o mnie martwisz! Sam wyglądasz na pijanego! Znowu to chore kolano?

Teia nie czekała na dalsze słowa. Zniknęła w pokoju.

To był swego rodzaju salon z korytarzem po stronie przeciwnej niż ta, z której nadeszła Teia, prowadzącym do innego skrzydła domu i drugimi drzwiami prowadzącymi mniej więcej na prawo.

Teia przyłożyła oko do dziurki od klucza. Następny pokój to było miejsce, do którego niewolnicy przynosili jedzenie z kuchni poniżej i ustawiali je w kolejności, w jakiej miało zostać zaniezione do jadalni, która musiała znajdować się dalej. Zbliżała się pora kolacji. W pokoju było pełno niewolników, wszyscy kręcili się szybko w tę i z powrotem, żwawym krokiem służby we wprawnie prowadzonym domu, niemal biegiem. Nie dało się tamtędy przejść.

Z korytarza, z którego Teia uciekła, usłyszała Grinwoodyego, który wołał ze szczytu schodów, wzywając Świetlanych Gwardzistów.

Wróciła na korytarz w tej samej chwili, kiedy zniknęli na górze i ruszyła – nareszcie – z powrotem do drzwi, za którymi zniknął promachos. Były zamknięte.

Przez ułamek chwili myślała, czy nie zawrócić przez pokój ze służbą. Była szybka, zręczna, drobna i – psiakrew! – niewidzialna.

Potem usłyszała głos Mordercy Sharpa i wnętrzności zamieniły jej się w wodę.

– Porwanie to robota dla dwóch ludzi.

Porwanie?

– Weź Adrasteię. To będzie dobry sprawdzian jej lojalności.

– Nie martwię się jej lojalnością. To jej siła od pasa w górę mnie niepokoi. Co, jeśli cel zacznie się stawiać? Będę musiał potraktować ją pałką i zanieść.

Teia nie poczuła nawet przyjemności z faktu, że całkowicie nabrała Mordercę Sharpa. Zamiast tego zastanawiała się gorączkowo. „Ją?”. Kogo zamierzali porwać?

– Wróci stamtąd? – zapytał Morderca. – Dokądkolwiek ją zabierzesz?

– Nie musisz wiedzieć.

– Muszę wiedzieć, czy może zobaczyć moją twarz, kiedy ją dopadnę. Jeśli potem zamierzasz ją wypuścić, to utrudni mi zadanie. Ludzie zwykle mnie zapamiętują. Bo jestem taki przystojny i tak dalej.

Wahanie. Wreszcie Andross powiedział:

– Nie, nie wróci. Zrób co trzeba, żeby ją do mnie doprowadzić. Ma być nietknięta. Dam ci kilka dni na przygotowanie planów. Weź do roboty kogo zechcesz. Jeśli nie Adrasteię, to upewnij się, że ktokolwiek to będzie, można się go potem pozbyć. I pozbądź się go.

Teia przyłożyła oko do dziurki od klucza i zobaczyła wizję rodem z koszmaru. Morderca Sharp miał na sobie płaszcz, ale nie zasłonił twarzy. Jego ciało było niewidzialne, a głowa szybowała w powietrzu. Źrenice miał w pełni rozszerzone, żeby widzieć w parylu, białka całkiem zniknęły. I chociaż sam widok jego oczu był dla niej niepokojący, to efekt został po stokroć zwielokrotniony przez jego szeroki uśmiech. Morderca Sharp wymienił protezę z idealnych białych zębów na taką, którą wykonano w całości z ludzkich kłów. Trzydzieści dwa kły, idealnie dopasowane w rozmyślnie szerokim uśmiechu Mordercy.

– Z przyjemnością – odparł.

Przesunął językiem po zębach, najwyraźniej rozkoszując się tym, co wyczuł. Potrząsnął głową jak pies otrząsający się z wody i powrócił do widzialności, a źrenice zwęził do naturalnych rozmiarów.

– A teraz przejdźmy do kwestii w Chromerii – powiedział Andross.

Mówił rzeczowym tonem, nieporuszony stojącą przed nim grozą.

Nie udawał, że się nie boi, pomyślała Teia. Naprawdę się nie bał. To był jego świat, a on był jego panem i wszelkich bestii w nim żyjących. Już sama ta pewność siebie budziła

strach w Teii.

Mogą cię zabić tylko raz, powiedziała logiczna część jej umysłu, ale ci ludzie tak dalece ją przerastali, że logika wydała jej się krucha jak skorupka jajka. Gdyby Andross Guile ją złapał, byłaby mniej niż niewolnicą. Zamieniłby ją w zwierzę.

– Załatwione – odparł Morderca. – Nic nie wie i nigdy się nie dowie. Sam wymyśliłem tę sztuczkę. Kawałki parylu wokół jej serca. Czuje się zmęczona i po prostu... umiera.

Kilku następnych słów Teia nie dosłyszała.

– ...najdelikatniejszy ze wszystkich luksynów?

– To nieistotne. Jeśli pękną, to dostanie udaru i mimo to umrze.

– Ale... – Teia znowu nie dosłyszała kilku słów – ...przed rankiem? Jesteś pewien?

– Pewnie już nie żyje.

O kim mówili? Czyjej śmierci chciał Andross Guile?

Jednakże myśli przerwały jej ich kroki. Zerknęła przez dziurkę od klucza i zobaczyła, że idą w stronę drzwi.

Cofnęła się do schodów, a potem weszła po nich najszybciej, jak zdołała, opierając się mocno na poręczy, żeby podtrzymała większość jej ciężaru. Nie odrywała oczu od drzwi, zapomniała przeskakiwać trzeszczące stopnie i potknęła się. Przeturlała się na podłogę u szczytu schodów i szybko narzuciła pelerynę na odsłonięte nogi.

Próbowała uwolnić luźną połę, żeby całkiem się zasłonić, ale siedziała na niej, a ręce, które oparła, żeby się podnieść, też położyła na oponczy. Przesunęła się, odsłaniając ręce... i zdała sobie sprawę, że przykrywa się widzialną peleryną. Przestała krzesać paryl.

Przez chwilę była tak przerażona, że omal nie krzyknęła. Spanikowana podniosła wzrok i w ogóle nie była w stanie krzesać.

Wszędzie wokół niej znajdowały się drzwi, jeśli ktoś nadejdzie...

Teia podniosła się mimo obszernej peleryny i wykrzesła paryl. Serce jej biło młotem. Na brodę Orholama, jedna chwila nieuwagi mogła oznaczać śmierć. Panika? T, stać cię na więcej. Skończ z tym.

Spojrzała na dół, gdzie promachos Guile odprowadzał Mordercę Sharpa do drzwi.

Uważała, żeby zerkać przelotnie i kryć dzięki temu oczy, ale wtedy zdała sobie sprawę, że peleryna nie osłoni jej przed widzeniem w parylu.

Właściwie to nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła się ukryć przed widzeniem w parylu, nawet kiedy w pełni opanuje posługiwanie się peleryną.

Teia schowała się i głęboko odetchnęła.

Nic dziwnego, że wędrowcy mgieł niechętnie uczyli innych i szukali ludzi z tym samym darem. Każdy uczeń stawał się więcej niż rywalem. Nauka oznaczała tworzenie zagrożenia dla siebie w świecie, w którym prawdziwi wędrowcy mgieł prawie żadnych nie

napotykali.

Przy cichuteńkim dźwięku dzwonka zawieszzonego nad nadprożem drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły, a mężczyźni nawet się nie pożegnali. To nie ten typ, uznała Teia. Potem Andross wszedł po schodach. Teia domyślała się dokąd idzie i tym razem miała rację. Minał ją, nawet nie zerknąwszy w jej stronę.

Co ona tu robiła? To, co zaczęło się jako żart, miało spore szanse doprowadzić do jej śmierci. I po co? Bo ciekawił ją brat Kipa? Z pewnością w końcu pojawi się w Chromerii. Czemu nie poczekać?

Dobre pytanie, które należało zadać sobie nieco wcześniej, ale teraz już tu jestem.

Nie przyszłam zobaczyć brata Kipa; przyszłam zobaczyć, co Andross Guile planuje, i nie ma mowy, żebym odeszła, zanim się tego dowiem.

Andross poszedł korytarzem, wspiał się kolejnymi schodami i wszedł do następnego salonu. Taka przestrzeń w pojedynczym domu na wyspie, gdzie wszyscy żyli głowa przy głowie, a ceny wynajmu były astronomiczne, wydawała się wręcz nieprzyzwoita. Mieszkał tu jeden człowiek. Jeden. A właściwie to nawet tu nie mieszkał. Zaledwie odwiedzał to miejsce. A mimo to trzymał tyle służby, oprócz niewolników, którzy zajmowali się jego apartamentami w Chromerii. I miał też w Chromerii puste apartamenty żony. Jaka inna zmarła osoba zachowywała swoje apartamenty w Chromerii, gdzie wiecznie brakowało miejsca?

Teia pomyślała, że będzie musiała zdecydować, czy wejdzie za Androssem do pokoju, żeby znowu podsłuchiwać czy też wystarczy jej wychwytywanie urywków z korytarza, ale nie miała szczególnego wyboru. Kiedy wyszła zza zakrętu, zobaczyła, że poprzedni Świetlani Gwardziści stoją przy drzwiach, a obok kręci się jak karaluch Grinwoody.

– Dziadku – powiedział młody mężczyzna.

Był oszalamiająco przystojny, jak można było się spodziewać po synu Gavina i Karris Guile. Miał ataską karmelową skórę, mocne czoło i orli nos, nosił wspaniałą szarą tunikę z tęczowymi wstawkami pod kolor wielu barw w jego jasnoniebieskich oczach.

Znała go! To on próbował ją zabić w forcie na Półwyspie Ruckim. Podciął ją, przyłożył jej, zabrał pistolet, a potem rozkazał swoim ludziom ją zabić. To... To był brat Kipa?!

Młody człowiek nie uklonił się zwyczajnie. Padł na twarz przed promachosem.

Będę siebie za to nienawidzić.

Jednakże Teia nie mogła przegapić tej rozmowy. Ciasno owijając peleryną nogi i patrząc w dół, wśliznęła się między wielkimi gwardzistami do oranżerii.

Andross Guile stał w milczeniu, patrząc na wnuka. Nie był pod wrażeniem.

-Wstań.

Zymun się podniósł.

– Straciłem, ehm, straciłem monetę, którą mi przysłałeś, piraci, sam rozumiesz. Potrafię jednak narysować ją z pamięci. Mam zręczną rękę. Kaligrafia, sztuka, projekty z luksynu, we wszystkich tych rzeczach celuję. I oczywiście znam hasło, które kazałeś mi powiedzieć, kiedy się spotkamy: „Czerwony esprit i najmłodszy syn. Dzieli czy łączy? Ojciec, ojciec, syn”.

– Nie widać u ciebie rodzinnego podobieństwa – zauważył Andross.

– A u Kipa widać? – odpowiedział natychmiast Zymun. – Jest ciemniejszy od Gavina!

Teia widziała, że Andross Guile nie lubi, kiedy ktoś zwraca się do niego zbyt poufale.

– Na ile znasz historię rodzinną Guile’ów? – zapytał.

– Wiem, że władamy.

– Wiesz, że władamy? – powtórzył drwiąco Andross. – I sądzisz, że możesz mnie poprawiać?

– Nie poprawiam, mój panie, po prostu stoję we własnej obronie. Pomyślałem, że docenisz...

– Docenię szacunek, na który zasługuję. Płaszczysz się w jednej chwili i „poprawiasz” mnie w następnej?

Zymun zdumiał się.

– Potwornie, potwornie przepraszam, mój panie. Znam tylko strzępy historii rodzinnej. Ludzie, którzy mnie wychowywali, nie palili się do uczenia mnie o rodzie Guile’ów. Jestem gotowy się uczyć. – Skłonił głowę i gdyby Teia nie była już skłonna go nienawidzić, uwierzyłyby, że poczuł się skarcony.

– Hm – mruknął Andross Guile.

Przez dłuższy czas nic nie mówił. Chwila przeciągała się i milczenie stało się niezręczne. Grinwoody stał nieruchomo jak posąg. Andross popijał powoli alkohol, a Zymun w końcu się poruszył, ale nic nie powiedział.

Wreszcie Andross powiedział:

– Wobec tego zaczniemy twoją edukację i być może pod koniec poddamy pewnej próbie, żeby się przekonać, czy masz umysł Guile’ów. Jeśli zawiedziesz, będziesz dla mnie bezużyteczny, nawet jeśli jesteś tym, czym twierdzisz, że jesteś. Głupi Guile to żaden Guile.

Zymun skinął głową udając pewność siebie mimo strachu.

– W czasie Krwawych Wojen pewne ważne ruthgarskie rodziny zaczęły aranżować małżeństwa z myślą o wojnie zamiast o politycznych aliansach. Guile’owie byli pierwszymi. Moja prapraprababka Ataea wywodziła się z małej arystokratycznej rodziny, która dostarczała połowy koni do wyścigów rydwanów w Ruthgarze i Krwawej Puszczy, niemal wyłącznie czempionów. Galatius Guile był pijakiem, który skupił się na

roztrwaniu rodziny na zakładach. Uratowała jego majątek, mówiąc mu, które konie obstawiać, i wkrótce skradła mu serce. Przekonała go, że popełnienie megalomanii, czyli małżeństwo z nią, będzie najodważniejszym czynem w jego tchórzliwym życiu. Okazało się, że był to także najmądrzejszy czyn. Ona, jak wielu innych, tracąc nadzieję, że Krwawe Wojny kiedykolwiek naprawdę się zakończą, przekazała wiedzę dotyczącą hodowli koni rodowi Guile. Była nieokrzesana, ale doskonale potrafiła osądzić ludzki charakter i prowadziła księgę genealogiczną. Męża, jak wszystkich innych arystokratów, których poznała albo o których mogła się czegoś dowiedzieć, opisała w jednej linijce: „Galatius Guile: pijak, hazardzista, nieco ograniczony, niebieskie oczy, nie krzesze, wzbudza lojalność w rodzinie i poza nią”. Później jej dzienniki stały się obszerniejsze, odnotowywała odcień karnacji, muskulaturę, odwagę, wzrost i względną płodność. Pomagało, rzecz jasna, że sama urodziła osiemnaścioro dzieci i dożyła stu pięciu lat. Aranżowała małżeństwa, które przeciwstawiały się polityce, wnosząc krew błyskotliwych, ale uboższych, krzepkich, choć nie skoligaconych. Podczas gdy inne rodziny walczyły, kto poślubi osobę piękną albo bogatą, podbijając jednocześnie cenę takich mariaży, ona wierzyła, że posiadanie bystrych wojowników-krzesicieli ostatecznie zapewni rodzinie bogactwo i wpływy. Urodziła nawet kilka bękartów z wielkimi mężczyznami tamtych czasów i bez wstydu wprost wpisała imiona ojców w swojej księdze. W tym pierwszym pokoleniu była albo bardzo, bardzo dobra albo miała bardzo dużo, dużo szczęścia. Albo jedno i drugie, bo niemal każde dziecko, które się urodziło, było krzesicielem. To, że miała równie dużo szczęścia w przypadku paru innych atrybutów, nie stało się jasne, dopóki nie urodziło się kilka następnych pokoleń. Co ją ucieszyło. W końcu, gdyby inne rodziny także stawały się coraz bystrzejsze i magiczne, co zostałoby z twojej względnej przewagi nad nimi? Właściwie to nikt nawet nie poznałby logiki stojącej za jej knowaniami, gdyby nie rozłościła jednego z wnuków, odmawiając mu zgody na poślubienie dziewczyny, którą kochał. Zbuntował się i uciekł do rodziny w Krwawej Puszczy, która z radością odebrała mu jego sekrety, a potem, kiedy Ataea odmówiła zapłacenia okupu, odebrała mu także życie.

– Mili ludzie – stwierdził Zymun.

Jego sarkazm trafił na mur. Na chwilę Teia nabrała nadziei, uznając, że Andross nie lubi Zymuna. A potem zdała sobie sprawę, że on właściwie nikogo nie lubi. Może po prostu był potężny od tak dawna, że nigdy nie zawracał sobie głowy ukrywaniem niechęci.

Był przeciwieństwem niewolnika, a jednak jego nieustanna szczerłość nie była bardziej czarująca niż wiecznie kłamliwe uśmiechy niewolnika.

– Nikt nie prowadził tej księgi tak dobrze jak Ataea Guile, a wojna wtrącała się raz za razem, zabijając mężczyzn i kobiety, zanim zdążyli wnieść do rodziny dzieci.

Wprowadzano bękarty, a ich pochodzenie ukrywano. Po ośmiu pokoleniach wiernie prowadzonych ksiąg (a niekiedy nawet dziewięciu, dziesięciu i dwunastu, bo Ataea badała przeszłość rodziny tak daleko, jak tylko zdołała) Guile'owie nauczyli się paru rzeczy na temat tego, co jest dziedziczone, co niezwykle łatwo się przenosi, a co najwyraźniej jest kwestią losową. Oczywiście ja nie wierzę w los, ale rozumiem, że istnieją systemy, których działania nie pojmuję. To lekcja, której opanowanie może ci się przydać.

Zymun sprawiał wrażenie stosownie skarconego.

– Tak, dziadku.

– Dziadku? Jeszcze nie połączyłeś faktów, co? To wszystko, co właśnie powiedziałem, co znaczy?

– Mój panie? – zapytał Zymun, a Teia zorientowała się, że w ogóle nie uważał. Kto spotyka się na pierwszej rozmowie z Androssem Guile, który ma w rękach jego los, i nie słucha uważnie tego, co on mówi?

– Uważasz mnie za głupiego, chłopcze? – spytał Andross.

– Oczywiście, że nie – odparł pogodnie Zymun, ale zabrzmiało to jak kłamstwo.

Kto tak śmiało odpowiada Androssowi Guile?

Andross spoliczkował Zymuna. Mocno.

Chłopak zacisnął pięści i całe jego ciało stężało. Jakimś cudem Grinwoody, który dopiero co stał na uboczu z tacą, znalazł się nagle obok, taca zniknęła, a on był gotowy interweniować.

– To jedna z rzeczy, które staraliśmy się wyrugować z każdym pokoleniem – powiedział Andross Guile. – Impulsywność. Ci, którzy nie potrafią nad sobą panować, zawsze okazują się porażką. Widzę w tobie tę słabość. Spodziewaj się, że jeszcze poddam ją próbie. Wydaje się typowa dla krwi Guile'ów, ale najlepsi z nas przemieniają ją w śmiałość, zwinność, gotowość do wykorzystania okazji. Pozostali po prostu gonią za pierwszą rzeczą, jaka się nadarzy, i tracą zainteresowanie, zanim ją dogonią i złapią. Rzecz w tym, że mam całkiem dobre pojęcie, jakie cechy to cechy Guile'ów, a które są przypadkowe. Niebieskie oczy i ciemna skóra? Bardzo rzadkie połączenie u większości ludzi. Nierzadkie w mojej rodzinie. W naszym rodzie płynie mnóstwo paryjskiej krwi. Mój brat był ciemniejszy od Kipa. Nasza matka była Paryjką, jak była też moja babka. Uważano mnie za dziwnie jasnoskórego. Jeśli któregoś z moich wnuków mógłbym podejrzewać, że nie jest Guilem, to nie Kipa.

– Kipa? Bękarta?

– Uznałem Kipa. Kip robi to, co mu się powie.

W jakim świecie Kip robi to, co mu się powie?

Nawet jeśli było to kłamstwo, teraz, po raz pierwszy, Zymun naprawdę uświadomił sobie, jak niepewna jest jego pozycja. Zupełnie jakby kamieniem węgielnym swojej

tożsamości uczynił przekonanie, że w sekrecie jest Guilem, że wszystkie siedem satrapii czeka na niego, że to jego przeznaczenie. A teraz jego własny dziadek temu zagrażał?

Kip opowiedział Teii o swoich spotkaniach z Androssem Guile, więc wiedziała, co się święci. Andross nie cierpiał arogancji nowego wnuka, więc robił mu dokładnie to samo, co zrobił Kipowi – udawał, że przynależność do Guile'ów to coś, na co musi zapracować.

Dla Teii to było w oczywisty sposób idiotyczne. Guile'owie nie mieli dzieci. Komu starzec przekaze całe bogactwo? Gadał i gadał o genealogii, ale sam nie zdołał wyprodukować dość dużego plonu, żeby teraz wybrzydzać. Zostali tylko Kip i Zymun. Gavin przepadł i pewnie nigdy nie wróci, a nawet gdyby wrócił, gdzie plasowało się małżeństwo z Karris w księdze Androssa? To musiała być pusta groźba.

Tyle że Zymun o tym nie wiedział.

-Ty mały kretynie – powiedział Andross. – Miałeś Oślepiający Nóż i posłużyłeś się nim, żeby zabić mojego syna? Myślisz, że możesz pogrywać z Księciem Barw? Może. Myślisz, że możesz pogrywać ze mną? Nie masz pojęcia.

– Dziadku, byłem w pułapce. Książę Barw był na miejscu, a ty byłeś daleko. Nieposłuszeństwo oznaczałoby... Specjalnie sknociłem atak.

– Naucz się lepiej kłamać.

– Myślałem, że ty i mój ojciec jesteście skłóceni...

– Nie masz pojęcia, co czuję do Gavina. Przypochlebiałeś się Księciu Barw.

– Nie chciałem...

– Dobrze wiem, co chciałeś. Byłeś na barce z Gavinem. Wystarczyło, żebyś wrócił na Mały Jaspis i przyniósł mi nóż. Gdybyś tak zrobił, uczyniłbym cię jutro Pryzmatem.

– Przysięgam, że nigdy więcej ci się nie sprzeciwię. Zrobię, co każesz. Wszystko...

– Myślisz, że cię karzę? Nawet nie zacząłem cię karać. To nie jest moja kara. To kara rzeczywistości. Nie mogę uczynić cię jutro Pryzmatem. Do tego potrzebujemy Noża i... i innych rzeczy, o których nie musisz wiedzieć. Na razie. Twoja niekompetencja może mieć dla nas... dla ciebie ogromną cenę. Gdybyś zabił Gavina albo do niego dołączył, zrobił jedno albo drugie, nieważne co, ale przyniósłbyś mi Oślepiający Nóż, twoja własna przyszłość, nie wspominając już o przyszłości rodziny, nie wspominając o przyszłości Siedmiu Satrapii, byłaby bezpieczna. Pewnego dnia, kretynie, może pokierujesz tą rodziną, możliwe że nawet światem, o ile nie będziesz za głupi, żeby wziąć to co ci wręczam. Jednak ten dzień jeszcze nie nadszedł. Od dzisiaj słuchasz się mnie bezwarunkowo i udowadniasz, że jesteś godny tej rodziny. Daję ci jedną szansę. Masz brata i chociaż udaje, że mi się przeciwstawia, doszliśmy do rozumienia i dobrze mi służy. Jeśli będzie służył mi lepiej niż ty, nie zawaham się i uczynię go dziedzicem Guile'ów. Od czasów Ataei stosowaliśmy primogeniturę tylko wtedy, kiedy to nam odpowiadało.

Będziesz dziedzicem tylko wtedy, kiedy będę z ciebie zadowolony. I wiedz jedno: w tej rodzinie jeden dziedzic dostaje wszystko.

Ambicja na twarzy Zymuna malowała się równie wyraźnie jak nienawiść, ale Andross Guile tego nie zauważał.

– Oczywiście, dziadku – odpowiedział po odrobinie przydługiej pauzie. – Jak mogę ci służyć?

Andross Guile spojrzał na niego i z grymasem dopił brandy.

-Jutro zostaniesz Pryzmatem elektem.

– Myślałem, że Biel musi zaaprobować wszelkich kandydatów przedstawionych jej przez Spektrum. Odniosłem wrażenie, że nie jest naszą przyjaciółką.

– Nie jest, ale tej nocy wyświadczy mi wielką przysługę.

– Przymknie oko?

Andross Guile posłał mu powściągliwy, ale w każdym calu zwycięski uśmiech.

– W pewnym sensie.

Niczego więcej nie zdradził Zymunowi, najwyraźniej z przyjemnością odmawiając mu wyjaśnień, ale Teii zacisnęło się serce. Nie mogła uwierzyć, że nie skojarzyła faktów wcześniej. Kobieta, której śmierci pragnął Andross Guile, i wizyta Mordercy Sharpa... który wcześniej był w Chromem.

Sharp nie poszedłby do Chromerii tylko po to, żeby sprawdzić Teię; to miejsce było dla niego zbyt niebezpieczne. Przyszedł na zwiady i posłużył się Teią, żeby zbadała dla niego ostatnią część, i wykorzystał jej raporty do zabicia Bieli. Bez wątpienia teraz pan Sharp postara się być dobrze widocznym gdzieś na drugim końcu Wielkiego Jaspisu przez całą noc, na wypadek gdyby jakiś krzesiciel natknął się na paryl w ciele starej kobiety. Morderca Sharp będzie miał alibi.

Na chwilę ślepa furia załala Teię. Kto zraniłby taką dobrą starą kobietę? Jak śmiał? Morderca Sharp był zwierzęciem, ale to tylko narzędzie. To Androssa Guile Teia chciała zabić. Jak mógł stać obok dobra tak długo i go nienawidzić? Coś takiego – bo z pewnością nie był istotą ludzką – nie powinno żyć.

Mogła go zabić. Mogła zabić Zymuna. Mogła zabić Grinwoodyego. Nie, nie Grinwoodyego. Niewolnicy nie powinni być zabijani za grzechy panów, nieważne z jaką przyjemnością im pomagają.

Czy nie przysłużyłaby się większemu dobru, zabijając tych obrzydliwych ludzi? Czy nie dopełniłaby wtedy przysięgi Czarnogwardzisty? Nie złożyła jeszcze ostatecznych ślubów, ale znała je i pragnęła złożyć, odkąd sięgała pamięcią.

„Przysięgam na swoje życie, światło i uświęcony honor chronić Biel i Czerń, i Pryzmata, i wszystkich członków Spektrum Siedmiu Satrapii i w krańcowej ostateczności chronić

Siedem Satrapii. Nie będę żyła jako wolna kobieta, ale jako niewolnica wobec swoich obowiązków, a po nich wobec moich dowódców”. Krańcowa ostateczność następowała, kiedy Pryzmat ulegał szaleństwu i odmawiał rezygnacji ze swoich mocy, i trzeba było go zabić, ale Teia przypuszczała, że dotyczyło to także sytuacji, gdy Kolor lub nawet promachos wariował i robił to samo.

Zaczęła napełniać się parylem, nie tylko stałym strumieniem potrzebnym do funkcjonowania migotliwego płaszcza, ale dostateczną ilością, żeby posłużyć się nią jako bronią.

Chronić, Teia. To słowo brzmi „chronić”. Nie pomścić. Masz być tarczą, nie ostrzem w ciemności. Nie jesteś tylko kobietą, jesteś żołnierzem podlegającym zwierzchnikom.

Jeśli zabiję teraz, będę zabójcą, nie Czarnogwardzistką.

Jestem wyjątkowym żołnierzem o niezwykłych umiejętnościach i jedynych w swoim rodzaju zdolnościach, ale jestem żołnierzem podlegającym rozkazom. Jeśli Biel rozkaże mi zabić Androssa Guile, zabiję go z radością w sercu, z czystym sumieniem, chociaż będę czuła się winna, że mnie to cieszy.

Świat mógłby być lepszy, gdybym stanowiła prawo sama dla siebie, gdybym zabiła tych podłych ludzi.

Zatrzymała się na tej myśli. Zabiła człowieka w tamtym zaułku, niemal przypadkiem, ale ten człowiek zabiłby ją albo jej drużynę, gdyby ona nie unieszkodliwiła go pierwsza. Pomijając ciężar samego czynu, który czuła, wspominając tamtą sytuację, nie widziała innej możliwości, nie mogła inaczej się zachować. Mogła załatwić to nieco bardziej kompetentnie, to pewne. Ale trenowała tak ciężko, jak zdołała, tak długo, jak mogła. Nie mogła zmienić swoich umiejętności w tamtej chwili. Zrobiłaby to samo postawiona znowu w tamtej sytuacji. To zaś...

Dobry Orholamie, jakich szkód narobią ci ludzie, którym mogłabym zapobiec?

Niestety, ta decyzja nie należała do niej. Orholam umieścił ją tutaj, ale umieścił ją też w Czarnej Gwardii i włożył do jej serca pragnienie, żeby być Czarnogwardzistką. Nie mogła tego zdradzić. Powołano ją, żeby była tarczą, i tarczą będzie.

I nagle pajęczyny wątpliwości zniknęły i stało się jasne, co musi zrobić.

Biel nie umarła. Jeszcze nie.

Teia poczekała na okazję i wymknęła się z pokoju. Zeszła na dół, uciszyła dzwonek nad drzwiami dla służby i wyszła. Przemknęła obok Czarnogwardzistów, wspięła na dach stajni na tyłach i przeskoczyła przez wysoki mur. Gdy oddaliła się o przecnicę, zarzuciła niewidzialność i po prostu pobiegła.

Prawie dotarła do Chromerii, kiedy zdała sobie sprawę, że i Andross, i Zymun potrafili patrzeć w podczerwieni. Gdyby któremuś przyszło na myśl spojrzeć w podczerwieni, kiedy

była w pokoju, już by siedziała w lochach albo nie żyła. Na te myśl zlał ją zimny pot.

Szczęściara z ciebie, T. Oby szczęście cię teraz nie opuściło.

ROZDZIAŁ 83

Gavin spodziewał się jakiegoś typowego okrucieństwa w drodze na hipodrom, na przykład, że zmuszą go do założenia kaptura, zamkną w klatce albo palankinie z czymś obrzydliwym, żeby ostatnią rzeczą, jaką zobaczy przed wiwatującym tłumem, było coś wstrętnego. Zamiast tego pozwolono mu pojechać zwykłym powozem, chociaż z drzwiami zamkniętymi od zewnątrz i oknami za małymi, żeby się przez nie przecisnąć.

Został także zakuty w łańcuchy i związany niemal tak mocno, jak sam by się związał w takiej sytuacji. Jednak mimo wszystko widział i miał szczęście, że trafiło mu się lepsze okno.

Chciał myśleć, że świadomość, że to jedna z ostatnich rzeczy jakie zobaczy, doda wszystkiemu siły wyrazu, ale prawda była taka, że delta Wielkiej Rzeki zawsze była piękna, a teraz, dzień przed Dniem Słońca, wyglądała tak żywo, jak to możliwe, odkąd oglądał świat w bielach i szarościach.

Kiedy powóz ze stukotem jechał po brukowanych serpentynach w dół Wzgórza Jaks, gdzie wielkie rody miały swoje rezydencje, Gavin widział zatrzęsienie farm rozciągniętych na równinie poniżej. Wraz z nadejściem cieplejszych dni i upływem czasu wody zalewowe zostawiły coroczną daninę żyznej gleby. Niektóre pola były już suche. Inne nadal błotniste. Na nielicznych stała jeszcze woda, zaledwie na kciuk wysoka. Tysiące wodnego ptactwa wypełniały ziemię i niebo. Czaple białe i siwe, żurawie, kaczki, gęsi i epoletniki krasnoskrzydłe powróciły z migracji lub wynurzyły się z kryjówek. Sitowie, pałki i tysiące gatunków traw wyrosły na miedzach między idealnymi polami. Ziemia musiała być rozpustną grą zieleni, brązów i barwnych punktów niczym upierścienionych palców rozbłyskujących w świetle pochodni.

Monochromatyczne widzenie Gavina znowu było przekleństwem. Świat wyblakł do faktury.

Zapadł się w siedzeniu powozu.

Jakaś część jego osoby nadal spodziewała się, że w każdej chwili rozlegnie się huk, zacznie się walka, nadejdzie ratunek.

Nic takiego się nie wydarzyło. Wizja maleńkich pajęczków czarnej wdowy przelewających się przez niego jak fala zmieniła się. Teraz jaja były ziarenkami czarnego prochu, przybijanymi w rozchylającej się lufie garłacza. Gavin, ten starszy, patrzył – z

dziurą w czole, z dziurą w szczęcie, z mózgiem wyciekającym potylicą, z głową kołyszącą jak u starego człowieka, szarpiącą się w przyprawiającym o mdłości rytmie, bo ścięgnię podtrzymujące głowę zostały przecięte przez przelatujące kule. Martwy Gavin uśmiechał się połamanymi zębami, krew obmywała mu przód głowy, usta, a także potylicę – za dużo tej krwi jak na człowieka, którego mózg przestał działać. Za dużo krwi, kropka. Przechylił garłacz i wycelował w brzuch młodszego brata.

Wystrzelił.

Garłacz rzygnął czarną śmiercią w trzewia Dazena, który szarpnął się i spojrzał w dół z trwogą. Cała tkanka miękka przepadła. Został mu tylko kręgosłup. Wijąca się masa czarnych pajaków wyzarła wnętrzności. W jednej chwili osiągnęły dorosłość i roiły się, pożerając wszystko. Wspinały się po kręgosłupie i wchodziły pod wiszącą skórę do klatki piersiowej. Pożerały mu płuca. Nie mógł oddychać, czując je w środku, czując, jak odbierają życie samej jego istocie. A potem pożarły mu serce. Zadygotało, z trudem uderzyło, zacisnęło się po raz ostatni i zatrzymało.

Padł. Otworzył usta, żeby szukać wybaczenia, ale buchnęły z nich tylko pająki, paląc mu przełyk niczym żółć, rozpraszając się na jego języku, wpełzając do nosa. Cały był w czarnych pajakach, pod żywym, żądłym, gryzącym kocem, lepkiem jak smoła. Brat stał nad nim i śmiał się. Zmarszczył brwi i pochylił się – Dazen zapomniał już, jak Gavin to robił, jak pochylał się, składał się wpół, jak mrużył oczy, gdy śmiał się do rozpuku.

Teraz Martwy Gavin stał nad nim i śmiał się, a słońce przeświecało mu przez dziurę w głowie jak trzecie oko. Promień światła padł na Dazena w tej samej chwili, kiedy pająki zaczęły wpełzać mu na policzki. Sięgały po jego oczy! Szarpnął się, ale ręce mu nawet nie drgnęły, a usta rozwarło mu przemocą. A wtedy pająki zaatakowały oczy, gryzły, wstrzykiwały truciznę głęboko w gałki, napełniały jego cenne tęczęwki kwasem.

Gavin obudził się gwałtownie. Znajdowali się już we właściwym mieście. Przełknął ślinę i zamrugał; słońce stało wysoko, przebijając się przez szczelinę w zasłonach okna powozu. Jeszcze trochę brakowało do południa. Przespał ostatnie widoki. Jednak sen uczeplił się go. Czy Gavin śmiałby się tak z niego, zginając się wpół, nie mogąc złapać oddechu? Czy też teraz, pod koniec, okazałby mu trochę współczucia?

Strażnicy zarechotali.

– Nigdy nie widziałem człowieka, który przespałby drogę na tortury. Masz jaja ze stali, przyjacielu.

Gavin spojrzał na strażnika, szukając w nim odrobiny człowieczeństwa. Czy był częścią planu ucieczki? Nie. Nie. Nadzieja to wielki kłamca. Nadzieja to dudziarz, który prowadzi nas zaspanych na rzeź.

Nie powinienem był cię zabijać w ten sposób, bracie. To niegodne mnie. To niegodne

ciebie. Nie wiem, czy zgodziłbyś się na spowiedź u mnie, ale powinienem był ci ją zaproponować. Powinienem był dać ci szansę przygotować się. Zabicie cię bez ostrzeżenia służyło tylko mnie. Pomogło mi zachować odwagę, bo wiedziałem, że mi jej zabraknie.

Bo nadal cię kochałem. Nadal cię Kocham.

A miłość Guile'a to kulka w łeb.

Pochylił głowę, kiedy hałasy z hipodromu wylały się na ulicę. Musiał trwać wyścig. Ulice były zatłoczone, a powozy mimo prawa przejazdu gwarantowanego przez miażdżącą siłę, musiały zwalniać, gdy docierały do potwornych tłumów wokół hipodromu. Powóz dołożył swój dzwoneczek do wrzawy – krzyków sprzedawców, wściekłych wrzasków woźniców, odległego okrzyku potępiającego złodzieja, dudniącego ryku tłumu w hipodromie narastającego w rytm okrążeń ulubionych rydwanów, wycia i gwizdów fanów na zewnątrz, klekotania bambusowych wietrznych dzwoneczków, brzęku krowich dzwonków, dźwięków trąbek i bębnow rywalizujących ze sobą kibiców, i wielu innych hałasów.

Kolory były jednak przytłumione. Szarość na szarości, na odcieniach grafitu i na czerni. Zapachy gotowanej wieprzowiny, curry i prażonych orzechów w karmelu były daleko bardziej żywe. Gavin zerknął przez zasłony i zobaczył małego chłopca w łachmanach, tak chudego, że prawie zagłodzonego, który odpowiedział na jego spojrzenie.

Czujka dla operacji ratunkowej?

Ale chłopiec tylko patrzył, jak Gavin przejeżdża.

Powóz zawrócił, zjechał długą rampą przy akompaniamencie wielu krzyków i został połknięty przez ciemność. Brama zamknęła się za nimi z hukiem. Ten obszar był zamknięty dla publiczności.

I zgasł ostatni płomyk nadziei. Nie wiedzieli, że tu jest. Jak wiele innych rzeczy, i tę jego ojciec zdołał zachować w tajemnicy. Gavin straci swoje na wpół użyteczne oczy, a potem umrze. To zabawne, że bardziej martwił się oczami niż życiem.

Ukradli mi światło. Czym jest życie bez światła?

Otworzyły się drzwi powozu. Wyciągnięto go z rękami związanymi za plecami, spętanego łańcuchami tak, że mógł tylko stawiać małe kroczki, szurając stopami. Nie pomogli mu. Przeszedł kilkaset kroków krętymi korytarzami pod samym hipodromem – sklepienie dudniło od kopyt, kiedy rydwany ścigały się powyżej, ryk tłumu był ledwie słyszalny. Gavina umieszczono w celi z żelaznymi prętami. W gruncie rzeczy była to raczej klatka. Zaopatrzone ją w łańcuchy połączone z kołami zębatymi, a wysoko w górze znajdował się przesuwany panel. Ta klatka zabierze go bezpośrednio na stadion.

– Na kolana – powiedział żołnierz.

Począł, aż Gavin wypełni rozkaz, zanim wszedł do klatki z wiadrem pełnym czarnego płynu. A w każdym razie ciemnego płynu. Żołnierz uważał. Nie zatrzymał klucza, ale

podał go towarzyszowi przed całą i zamknął za sobą drzwi.

– Zanurz głowę. Nie skórę, same włosy – przykazał żołnierz.

Najwyraźniej nie delektował się swoim zadaniem. Gavin spojrział na niego, nie rozumiejąc, czego tamten chce.

Mężczyzna zamarł nagle, napiął mięśnie w sposób tak ewidentny, że jego przyjaciel zawołał:

– Coś nie tak?

– Nie – odpowiedział żołnierz po chwili wahania. – Wszystko w porządku. Zawołam cię.

I wtedy Gavin go rozpoznał.

– Kapitan Eutheos. Pochwała za Nadzwyczajną Odwagę na Kiwawej Grani, prawda? – powiedział Gavin.

Poniewczasie przypomniał sobie, że wspomnienia z chwili, kiedy przypinał wstążkę do piersi mężczyzny, należą do niego. Był wtedy Dazenem. Jako Gavin nie pamiętał Eutheosa. Wpadka.

Ach, cóż. To, co kiedyś byłoby olbrzymią gafą, teraz wydawało się nieco trywialne.

Rozległ się potężny huk, ryk kół i kopyt nad ich głowami, kiedy masa rydwanów przejechała, ale najwyraźniej kapitan dobrze to znał, dźwięk nie zrobił na nim wrażenia.

Nagła radość rozkwitła na twarzy żołnierza i zaraz umarła – aborcja nadziei.

– Niemożliwe – powiedział. – Rozkazali mi ufarbować ci włosy i brwi, dopilnować, żebyś wyglądał niechlujnie. Nie wiedziałem dlaczego, ale... Najwyższy Lordzie Pryzmacie... Dążenie Guile? – szepnął.

Miażdżący ciężar spoczął na piersi Gavina. Był taki czas, kiedy spróbowaliby przeciągnąć tego człowieka na swoją stronę, kiedy beztróska rozkazałby mu zrobić coś, za co kapitan zapłaciłby pozycją, reputacją, rodziną, pewnie życiem, a wszystko to dla najmniejszej, najdrobniejszej szansy ucieczki.

Jednakże wtedy był młody. Cała jego niezłomność wznosiła się na kościach innego człowieka.

– To nie twoja wina – powiedział Gavin. – Ale moja.

– Przysięgałem ci wierność, mój panie, wiele lat temu, ale... Po wojnie przysięgałem wierność im.

– To nie twoja wina – powtórzył Gavin.

– Dałem... dałem mu klucz. Gdybym... gdyby go zawołał z powrotem, ukradłbym mu klucz, unieszkodliwił... To mój szwagier, zaciekle wierny swojej ziemi. Nie był na wojnie. Nie wie, jak to jest. – Kapitan rozejrzał się jak zwierzę w pułapce. – Której przysięgi dopełnia mężczyzna, kiedy jedna oznacza złamanie drugiej, a on nigdy się tego nie spodziewał?

– Nie prosiłbym cię o to – powiedział Gavin.

– To dlatego włosy mają być czarne, to stąd węgiel. Nie chcą ryzykować, że ktoś cię rozpozna jak ja... jako Pryzmata albo jako Dazena. Ale jakim cudem żyjesz? Co mam robić?

Gavin nadal klęczał.

– Eutheosie – powiedział – nie ruszaj się.

I mężczyzna zamarł. Przynajmniej tyle Gavinowi zostało. Jego głos potrafił czasem zaczarować ludzi.

– Oddychaj.

I Eutheos odetchnął.

Rydwany przejechały znowu, ale wydawały się bardzo, bardzo odległe.

Nie było stąd ucieczki. Jeśli Eutheos rozepnie mu łańcuch, Gavin nie ujdzie więcej niż kilkaset kroków. Nie był dostatecznie silny, by walczyć. Nie mógł krzesać. Nie mógł uciec. Nie było sensu niszczyć tego człowieka i jego rodziny nadaremno.

– Kapitanie, zanim zwolnię cię z twojej przysięgi, w ramach ostatniego obowiązku wobec mnie, ufarbuj mi włosy i poczernij brwi, jak ci kazano. Dopilnuj tylko, proszę, żeby farba nie wpadła mi do oczu. I tak niedługo zostaną wypalone.

I żołnierz to zrobił. Wykonał zadanie sumiennie, dobrze, bez słowa, a po policzkach płynęły mu łzy. Osuszył Gavinowi włosy ścierką, poczernił brwi węglem, a potem wybrudził mu rumianą skórę ziemią i popiołem, żeby wyglądał na zwykłego żebraka.

– Nie mam już prawa rozkazywać ci, żołnierzu, ale jako człowiek, jako towarzysz broni proszę o przysługę. Wyślesz list do Karris Guile w Chromerii i powiesz jej o moim losie? I napisz jej, że zostanę zamordowany przez zabójcę Nuqaby, gdy przybędę na Wielki Jaspis. Nie umieszczaj własnego nazwiska w liście ani niczego, co mogłoby doprowadzić do ciebie. To oznaczałoby śmierć dla ciebie, gdyby list został przechwycony.

Były kapitan Eutheos skinął głową i przełknął ślinę.

– Mój panie. Dzięki tobie poczułem się częścią czegoś większego. To był jedyny czas w moim życiu, kiedy... – Urwał, odchrząknął, kiedy wrócił jego szwagier, tym razem nie sam. – Wypuść mnie stąd, co? – burknął szorstko Eutheos. – Coś mi wpadło do oka.

Wyszedł, a drugi mężczyzna otworzył i zamknął drzwi ostrożnie, jakby zakuty Gavin mógł w każdej chwili zaatakować. Widok kobiety, która mu towarzyszyła, zaskoczył Gavina. To była Eirene Malargos, nie Nuqaba. Odprawiła żołnierzy, którzy odeszli poza zasięg słuchu.

Wyglądała na zmęczoną.

– Nie chciałam tego. Nie zrobiłeś niczego, co wymagałoby takiej kary zgodnie z ruthgarskim prawem, ale wiem też, że nie mogę pozwolić, byś zaatakował moją

sojuszniczkę, i nie zareagować. Gdyby była wielkoduszną, zezwoliłaby nam załatwić to po naszymu. Nie wybrała takiej możliwości. Rozumiem, dlaczego ludzie się jej boją.

Gavin tylko na nią patrzył. Zorientował się po jej nastroju, że natychmiast wycofałaby się, gdyby poczuła, że nią manipuluje. Złote usta Gavina nagle były warte tyle, ile wkrótce będą jego oczy.

– Szukałam wszelkich dróg, które nie prowadziłyby do wojny – mówiła. – Wy, przekłeci mężczyźni, zawsze próbujecie udowodnić, który ma większego. Ja tylko chcę żyć. Chcę, żeby moi ludzie żyli. Nie wiem, jak zapobiec wojnie. Wiesz, że chciałam sprzymierzyć się z Guile’ami?

Gavin musiał poruszyć brwiami, zdradzając niedowierzanie.

– Nawet po tym, jak obraziłeś nas, odrzucając propozycję poślubienia Tisis, zaproponowałam, żeby ożenił się z nią twój ojciec. Być może byłby to tymczasowy sojusz, zważywszy, że twój ojciec jest pewnie za stary, żeby dać jej dzieci, ale przy tej stawce to gra warta świeczki.

Mój ojciec. Z Cycatą Tisis? Albo ja z nią?

Rozległ się grzmot, kiedy wszystkie rydwany przejechały naraz.

– Ale on ją odrzucił – powiedziała.

– Wprost? – spytał Gavin. – To mi nie pasuje do mojego ojca. Nie wie, jak niewiele brakuje, żebyś go zdradziła?

– Nie wiem, co wie. Wysłałam statek z dyplomatami i instrukcjami dla siostry. Został przechwycony przez piratów. Może pamiętasz?

Och. W normalnej sytuacji fakt, że galera, na której Gavin wiosłował, przechwyciła statek niezbędny wrogowi do przesłania kluczowych informacji, byłby nadzwyczajnym trafem. I rzeczywiście, to był nadzwyczajny traf, tyle że nieszczęśliwy.

Na górze rozległy się potężne wiwaty. Wyścig miał zwycięzcę.

– Uwierz mi – powiedziała – wolałabym poczekać, aż będę miała jakieś wieści z Chromerii, ale Nuqaba nalega. A nie mogę się z nią poróżnić. Jeśli Krwawa Puszcza upadnie, a już upada, nie stawię czoła Księżciu Barw w pojedynkę. Nawet jeśli Chromeria w końcu zdecyduje się przesłać nam dość posiłków, aby to zmieniło sytuację, nawet zabezpieczenie jednej granicy przed atakiem Księcia Barw będzie trudne. A jeśli Nuqaba zaatakuje ze wschodu? Przepadlibyśmy w czasie niewiele dłuższym niż ten potrzebny na przemarsz jej armii.

– Ach, rozumiem – powiedział Gavin. – Pozwolisz jej wypalić mi oczy i myślisz, że nadal zdołasz znaleźć we mnie sojusznika.

Zacisnęła usta.

– Już straciłeś oczy, Gavinie Guile. Zapisz je w księdze rachunkowej po tej samej stronie

co mój martwy ojciec oraz czterdzieści tysięcy innych martwych ruthgarskich ojców i matek, synów i córek. A potem przelicz to sobie. Jeśli chcesz ocalić Siedem Satrapii, będziesz mnie potrzebował.

– Skoro mnie zaatakowałaś, już zaatakowałaś Siedem Satrapii. Ja to Siedem Satrapii, a zdrada to śmierć.

Kolejny, ostatni już rydwan przejechał nad ich głowami.

Rysy jej twarzy stwardniały.

– Spójrz na siebie, zanim zaczniesz mi grozić, Gavinie Guile. Nie jesteś tym, kim byłeś kiedyś. Jesteś wymizerowanym starym człowiekiem z połową dłoni, wkrótce ślepy. Nie możesz krzesać. Orholam już zaczął wymierzać karę, a ja to dokończę. Jutro jest Dzień Słońca, a ty nie wróciłeś. Nie było cię w Dniu Słońca zeszłego roku. Chromeria nie obędzie się bez Pryzmata dwa lata z rzędu. Luksjaci tego nie zniosą. Zapewne już pozbawiono cię tytułu podczas nieobecności i jutro zastąpi cię Pryzmat elekt. Nie możesz zrobić nic, żeby temu zapobiec. Możesz tylko ocalić imperium, które już do ciebie nie należy. To twoja jedyna możliwość, Gavinie Guile, niegdyś Pryzmacie. Nikt nie odrzuca rodziny Malargosów trzy razy.

Splunęła na niego. Niewątpliwie zamierzała mu splunąć w twarz, ale większość śliny trafiła w ramię.

Mimo to dość jasno dała mu poznać swoje odczucia.

Odeszła.

– Zadzwoń, kiedy nadejdzie czas – powiedziała żołnierzowi.

I zniknęła.

Żołnierz nie odezwał się słowem.

Gavin nie odezwał się słowem. Eirene była jego ostatnią nadzieją. Wiedział to. Wiedział, a jednak nie mógł uwierzyć. Zawsze istniała jakaś droga ucieczki dla Gavina Guile. Zawsze istniały jakieś drzwi, które jego geniusz i moce pozwalały mu otworzyć, a których nikt inny nie dostrzegał.

To byłem ja.

Byłem.

Kilka minut później rozległ się dźwięk dzwonka. Gavin rozciągnął szyję na prawo i lewo, aż strzeliły kręgi. Żołnierz podszedł do dźwigni i pociągnął, a Gavin zaczął się wznosić. Drzwi wielkiej zapadni w górze opadły i zsunął się po nich w ciemność deszcz piachu i słońca.

Gavin przypomniał sobie coś, czego nie chciał pamiętać – przypomniał sobie jak wynurzał się z samych trzewi ciemności, przynosząc piekło na ziemię pod Strzaskaną Skałą, jak wynurzał się z niej stopień po stopniu, jak ciemność wreszcie rozstąpiła się i

wlało się światło, ale światło słabsze, zbolełe, chore. Świat nie był tym, czym wcześniej przed jego zwycięstwem, i pomyślał, że nie tylko jego oczy się zmieniły.

Aż do teraz. Potrzeba było szesnastu lat, żeby dopadło mnie to, co zrobiłem. Dlaczego tak długo?

Potężny pomruk pięćdziesięciu tysięcy dusz uderzył w niego, zanim wynurzył się z mroku. Nakładał się na to cienki, przenikliwy głos Eirene Malargos, która mówiła tak głośno, jak zdołała. Nie miała jednak daru oratorów, pieśniarzy i generałów. W odległych punktach hipodromów i kobiety, które miały ten dar, słuchały uważnie i powtarzały bezbłędnie każdą linijkę. To owocowało dziwnymi, opóźnionymi reakcjami publiki, ale Eirene opanowała sztukę przemawiania krótko i do rzeczy. Plotła jakieś nonsensy – ten człowiek zaatakował naszego gościa; zgodnie z paryjskim prawem ten złoczyńca straci oczy za swoją zbrodnię.

Co jeszcze pozostawało do powiedzenia?

A tłum, niech im Orholam wybaczy, rozbudzony zwycięstwami albo przegranymi swoich faworytów, ryknął żądzą krwi. To byli kiedyś ludzie Gavina. A teraz rycieli, żądni jego oczu.

I ryknęli znowu, kiedy znalazł się na poziomie gruntu, i ujrzeli go po raz pierwszy.

A potem dostrzegł gest, którym Nuqaba ukoronowała całość przygotowań. Bogate rodziny Ruthgaru na zmianę sponsorowały igrzyska i wyścigi. Nawet nieobecni Guile'owie to robili, chociaż nie z taką wystawnością jak inni. Gavin nie mógł zobaczyć czerwieni Guile'ów na chorągwiach, tunikach czy wstążkach noszonych przez tych nielicznych – jak domyślał się – którzy nadal faworyzowali tu jego rodzinę. Rozpoznał jednak rodzinny herb na największych sztandarach. To był dzień Guile'ów na wyścigach. Gavin zostanie oślepiiony na własnej zabawie.

Naprawdę mściwa z ciebie suka, Haruru.

Otaczali go żołnierze i trzej krzesiciele, a każdy miał ręce poplamione kolorem. Odgadywał niebieski, czerwony i zielony, chociaż w powietrzu unosiło się zbyt wiele zapachów, żeby mieć pewność. To był moment, kiedy większość ludzi sięga po ofensywną magię. Byli poważni. Gavina rozkuto, zmuszono do wstania i zaprowadzono go przez piach na spinę, centralną linię hipodromu, gdzie znajdowało się podwyższenie, dzięki czemu każdy będzie mógł zobaczyć wymierzanie kary.

To samo podwyższenie, na którym stał, kiedy zakończył Krwawą Wojnę.

Potknął się o własne pęta, wchodząc po schodach, i rozległ się śmiech.

Jego ludzie. Jak on ich nienawidził.

A potem ujrział wiadro z żarzącymi się węglami. Stały w nim dwa żelazne pogrzebacze, każdy ze szpikulcem wąskim jak źrenica. Rozejrzał się po hipodromie. Pięćdziesiąt tysięcy

ludzi i ani jednego przyjaciela. W łoży satrapy zobaczył uśmiechającą się do niego Nuqabę. Coś do niego mówiła, poruszała ustami. Była za daleko, żeby odczytał słowo, ale domyślał się: „bezużyteczny”. Rozkoszowała się bezradnością Gavina Guile w równym stopniu, w jakim będzie cieszyła się oślepieniem go. A potem ona i wszystko inne się zamazało. Widział poruszających się ludzi, poruszające się usta, ale przestał słyszeć.

Przypomniawszy sobie – dziwnie, jakby wymieciono pajęczyny z korytarza jego pamięci, którego nie przemierzał od lat – wizytę lady Janus Borig, kiedy był dzieckiem. Potraktowała jego matkę jak nie traktował nikt inny i powiedziała mu: „Czarny luksyn to plaga historii. To szaleństwo w formie luksynu. To trucizna duszy. Raz dotknięty żyje w krzesicielu zawsze, powoli niszcząc go od środka. W każdym świecie istnieje to, co jest haram, zakazane, i w każdym świecie to rzecz najbardziej pożądana, bo jest w nas coś, co kocha zniszczenie. Oto sprawdzian twojej mądrości, młody Guile’u. To jedyny sprawdzian, jaki się liczy. W tym świecie Orholam dał nam taką moc, jakiej nie mają nawet aniołowie. To moc niepokonowanego zła. To zniszczenie samej historii. To szaleństwo, śmierć i niebyt. To pustka i ciemność. To brak światła, brak samego Boga. Brak, który ludzie słusznie nazywają piekłem. To czarny luksyn, a kolor ten – chociaż nie jest to kolor – a kolor ten, Dążenie Guile, to twój kolor”.

Uwierzył jej. Wiedział, że jest przeklętym bratem, złym bratem. I to, co powiedziała, było prawdą.

I na koniec wszystkiego, kiedy wszystkie kolory odchodzą, ciemność pozostaje.

Gavin widział tylko odcienie szarości.

I czerni.

Jak mogłem o tym zapomnieć? Jak ja, który pamięta wszystko, mogłem zapomnieć ten dzień? Czy to prawdziwe wspomnienie? Czy tylko zaginęło wśród miriad innych?

Nie czas na to. Nie teraz, podczas jego ostatniej drogi.

Krzesanie czarnego luksynu to nie jest coś, co można poddać próbie. To był naładowany pistolet z odciętym kurkiem. Albo pociągniesz za cyngiel, albo nie. A jeśli potrafisz go krzesać i zrobisz to...

Piekło, piekło na ziemi. Dymiące ruiny Strzaskanej Skały. Kostnica, krwawa jatka, wściekłość, szaleństwo, rzeź i potworność trucizny wylanej do świata jakby z kurka wielkiego jak samo niebo.

Gavin rozejrzał się po hipodromie w odcieniach szarości i czerni. Nie zobaczył ani jednego przyjaciela. Drwili, nienawidzili go i nie poznawali. Oni, ocaleni przez niego od wojny, która nigdy by się nie skoczyła, nienawidzili go, życzyli mu śmierci i bólu. Dla zwykłej rozrywki.

Byli – w tej chwili żądzą krwi i zwyczajnego okrucieństwa – otwartym oknem do piekła.

Gavin mógł sprowadzić na nich piekło i ocalić przy tym siebie.

To był jedyny sposób, żeby się uratować.

Spojrzał na wyciszone ryczące masy – dźwięk mógłby być szmerem fal na brzegu, tyle tylko słyszał – i zdał sobie sprawę, że nawet gdyby grozili mu śmiercią, nie zrobiłby tego. Umarłby za tych niewdzięczników. Nie z radością, ale z własnej woli.

Jednakże dać się oślepić, stać się bezużytecznym, zhańbionym, wyszydzanym, bezradnym, budzącym litość? Ograbić go ze wzroku, światła i mocy to było uczynić go nie Gavinem Guile. Budował to wszystko przez całe życie. Tyle był wart.

Albo mógłby wykrzesać czerń raz jeszcze, zatriumfować raz jeszcze, powstać raz jeszcze – mroczna postać wypalona na popiołach spalonych ciał i marzeń wrogów.

Bycie Guilem oznaczało tytaniczną wolę. Znaczyło poruszać światem wedle własnych zachcianek. Bycie Nieporuszonym Poruszyicielem, bycie podobnym Bogu.

Być Guilem to zabijać bez wahania tych, którzy stają ci na drodze. Nawet jeśli to stadion pełen ludzi. Nawet jeśli to twój brat.

Być Guilem to być wspaniałym, ale nie dobrym.

Ale ja już nie jestem Guilem, teraz jestem mężem i ojcem, Więcej niż zdobywcą. A jeżeli to, co tracę, nie jest warte tego, co stracę, by to zachować?

Karris, zrozumiesz mnie? Kip, czy pewnego dnia dostrzeżesz, że to nie była chwila mojej słabości?

Chwycili go i ze wszystkich dokonanych w życiu aktów woli, z jakich słynął, ten był największy – że im nie stawiał oporu.

Przywiązali go do stołu. Miał brzeg, dzięki czemu na stole trzymała się wysoka na kilka kciuków warstwa piasku. Pewnie, żeby krew miała w co wsiąknąć, domyślił się. Najpierw przymocowali grubymi skórzanymi pasami jego stopy i nadgarstki. Potem luksyn zablokował w miejscu nawet jego głowę.

Leżał na plecach, na piasku, gapiąc się w niebo. Jak kiedy dryfował po morzu i leżał na ślizgaczu, zwieszając ręce na boki i patrząc na spokojne niebiosy. Albo to był pokój Orholama, albo Gavin wreszcie stracił rozum.

Nad Gavinem stanął mężczyzna. Odepchnął mu powiekę i Gavin zamrugał. Luksyn opłynął oko i odchyłoną powiekę. Luksyn przybrał konsystencję żelu, a potem zastygł, utrzymując lewe oko otwarte. Ponieważ Gavin był przywiązany do stołu, musiał teraz patrzeć prosto w słońce.

Nie wolno patrzeć w słońce. Możesz oślepnąć.

Gavin parsknął śmiechem.

Patrzył prosto w Oko Orholama, w słońce. Nie mógł odwrócić wzroku.

Co powiedział ten pirat o dziąsłach przeżartych skorbutem? Kłam dalej, a zostaniesz

oślepiony? Jakiego kłamstwa miał nie mówić? Było ich tak wiele. Czy powinien powiedzieć Antoniusowi Malargosowi tylko prawdę? Jestem tworzywem cienia, Orholamie. Nie ma we mnie niczego więcej.

Krzesiciel odezwał się do niego, ale Gavin był teraz poza słowami.

Wyzywam słońce spojrzeniem, ale nadal mógłbym krzesać czerń. Mógłbym wziąć swój cień, jaki rzucam w samo południe, nawet tak skurczony, i rozpostrzeć go na cały świat.

Kobieta w płaszczu konsyliarza podeszła i stanęła nad Gavinem. Była nieładna i blada, bledsza niż jej zwykła karnacja, domyślił się Gavin. Zbladła jak prześcieradło, jak tylko potrafią bladzi ludzie z tego zakątka satrapii. Miała na rękach ciężkie rękawice ze skóry. Nie słyszał jej, ale mógł czytać z jej ust. Chociaż nie wiedziała, że jest Pryzmatem, błagała go o wybaczenie. Widział te słowa na wargach tysięcy tysięcy w każdy Dzień Słońca.

Nadał mógłbym wykrzesać czerń. Orholamie, nie okazujesz połowy miłosierdzia, jakie ja teraz okazuję.

Karris, będzie mi brakować widoku twojego uśmiechu.

Konsyliarka wyjęła pierwszy rozgrzany do białości pogrzebacz z kubła i szybkimi ruchami zrzuciła z metalu drobinki węgla. Oparła się biodrem o stół i wycelowała dymiącą, rozgrzaną końcówkę nad jego głowę. Trzymała pogrzebacz w obu rękach, płonący jak drugie słońce. Poruszała się ostrożnie, bardzo ostrożnie.

Ostatnia sekunda. Ostatnia szansa. Teraz.

Jaśniejący metal opadł i jasny biały punkt ziemskiego słońca zgasił niebiańskie.

Już raz tak było. Ostatnim razem. W chwili śmierci. Kiedy nie zgodził się umrzeć. Z rękami wyciągniętymi jak teraz, tyle że wtedy twarzą do ziemi. Sięgnął rozłożonymi rękami i objął całe piekło.

I oto było, pod jego palcami jak duszący koc czarnych pajaków, gotowe by rzucić je na twarz świata, na twarz słońca.

Czarny luksyn ciągnął się smugą pod jego palcami jak wszystkie wody świata. Żeby go zagarnąć, wystarczyło zacisnąć pięść.

Nadal mogę... Palce mu zesztyniały, ale ich nie zacisnął.

Sssss. Skwierczenie gałki ocznej było pierwszą rzeczą, jaką usłyszał, gdy dźwięki powróciły.

Wiedział, że będzie bolało.

Nie miał pojęcia, jak bardzo będzie bolało.

Wykrzyczał całą duszę.

ROZDZIAŁ 84

– Karris, musisz się obudzić. Natychmiast.

Karris zamrugła i zobaczyła, że Marissia nią potrząsa.

– Marissia, co ty wyprawiasz? Jeszcze nawet nie jest jasno.

– Chodzi o Gavina. Jeden z moich szpiegów właśnie złożył raport.

To ją natychmiast obudziło.

– Gavin jest uwięziony w Rath i ma zostać stracony.

– Kiedy? Skąd wiemy? Jak pewne jest źródło? Gdzie?

Karris podbiegła do komody, gdzie trzymała swój czarny mundur.

Marissia zastąpiła jej drogę i położyła rękę na ramieniu.

– Dzisiaj – odpowiedziała.

– Dzisiaj?! I dowiadujemy się o tym dopiero teraz?!

– Mam pewien pomysł – powiedziała Marissia. – Zaznaczam jednak, że niezbyt dobry.

I w tej chwili, wraz z każdą przebytą, wysmaganą wiatrem milą, Karris coraz bardziej zgadzała się z tą oceną. Wynalezienie przez Gavina ślizgacza powinno wszystko zmienić. Mogli nawet ocalić mu życie.

Zebrała wszystkich Czarnogwardzistów, o jakich wiedziała, że zachowają milczenie i że zostało im całkiem sporo krzesania, zanim pęknie im halo, ale nikomu nic nie powiedziała. Nie było czasu. Nie szukała Żelaznej Pięści, przekonana, że dostrzegłby głupotę tego przedsięwzięcia i spróbował mu zapobiec.

Ale oto stał tam, w porcie światłowładców na tyłach Chromerii. Czekał.

Wzięła głęboki wdech i uniosła podbródek, zbierając myśli. Był równie imponujący, jak trafne będą jego argumenty. O ile w ogóle zechce z nią dyskutować, zamiast po prostu przerzucić ją sobie przez ramię i zanieść z powrotem.

Skrzywił się na jej widok, a ona już otworzyła usta. Uprzedził ją jednak:

– Możesz jechać i dać się zabić, ale nie zrobisz tego sama.

– Musisz pozwolić mi... Co?

Żelazna Pięść patrzył, jak Karris męczy się pod ciężarem jego spojrzenia, które ważyło więcej niż ona cała. A potem drobny uśmiezek zakradł się na jego twarz.

Rzuciła się na niego i przytuliła z całej siły.

– Ej! – Złapał ją zaskoczony i zaraz odepchnął. – Karris, nie ma... nie ma żadnego

tulenia się w Czarnej Gwardii!

Uśmiechnęła się do niego.

– Słodki jesteś, kiedy tracisz głowę.

Nie potrafiła zliczyć emocji, jakie przepłynęły przez jego twarz; dwa razy otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Odsunął się od niej, a potem zirytował się tym, że się wycofał. Wreszcie spiorunował ją wzrokiem.

– Przyniosłem bagaż – powiedział wskazując przez ramię.

– Ja jestem bagażem?! – zdumiał się kadet imieniem Benhadad.

Żelazna Pięść udał, że go nie słyszy, zauważając, że wszyscy czarnogwardziści gapią się na niego i szczerzą zęby jak szaleni.

– Co jest?! – warknął na nich. – Tu chodzi o ratowanie życia. W tym cały sens istnienia Czarnej Gwardii, a wy się objacie? Ślizgacz! Natychmiast!

Rozbiegli się jak łanie po wystrzale z muszkietu i dopiero wtedy drobny uśmieszek zadowolenia zagościł na jego twarzy. Spojrzał na Karris i pociągnął nosem.

– Niewolnica powiedziała mi, jaki masz plan. Fatalny ten plan. Ale dzięki temu wypali.

Machnął niechętnie ręką na Benhadada.

– Ze co proszę? – spytał Benhadad. Jego okulary z rozlicznymi uniesionymi na zawiasach soczewkami wyglądały jak niepokojąco rozdęte brwi.

– Bagaż.

Benhadad stał skonsternowany.

– Och! Och, sukienka! Po co ta sukienka? – zrozumiał wreszcie i wyciągnął z torby tonącą w falbankach sukienkę.

Karris w życiu nie widziała tyłu falbanek.

– Lady Białodąb potrzebuje pokojówki – wyjaśnił Żelazna Pięść. – Sukienka jest dla ciebie.

Benhadad rozdziawił usta. Spuścił głowę i spojrzał na suknię. Pod wpływem ruchu głowy soczewki po jednej stronie opadły.

– On żartuje – wyjaśniła Karris Benhadadowi.

– Żartuje. Na pewno? – zapytał Benhadad. Ulga malowała się na jego twarzy.

Żelazna Pięść sprawiał wrażenie tak zadowolonego z siebie, jak to tylko u niego możliwe.

– Majstrujesz zębatki i takie tam. Znaczą maszyny?

– Tak jest, sir – odpowiedział zdumiony Benhadad. – Ale nigdy...

– Zmajstrujesz coś dla lady Białodąb. – Żelazna Pięść wyraźnie zaakcentował słowo „lady”. – Po drodze.

Wyruszyli kilka godzin przed świtem, wypalając majątek w postaci pochodni z magnezu,

żeby tak wcześnie zacząć krzesanie. Dzięki temu zdołali do połowy wybudować ślizgacz.

Zwykle Czarnogwardziści robili morskie rydwany. Zważywszy na trudność zadania i ogrom życia traconego przez taką ilość krzesania w tak krótkim czasie, potrzebowali, żeby ich pojazdy wytrzymały więcej niż kilka przejazdów, jeśli miały być warte nakładów. Dlatego przygotowywali cięższe, wytrzymalsze i powolniejsze jednostki.

Nie tym razem.

Niestety, nawet w siedmioro nie potrafili wykrzesać ślizgacza tak szybko, jak zrobiliby to w pojedynkę Gavin. On intuicyjnie wyczuwał kształt i gęstość potrzebnego luksynu i rzecz jasna nie musiał innym tłumaczyć, jaki luksyn gdzie powinien trafić. Po prostu robił co trzeba.

Karris poświęciła cały ranek, kiedy przecinali fale, na obmyślenie lepszego planu. Nie wątpiła, że dowódca Żelazna Pięść robi to samo. Po jego milczeniu domyślała się, że jemu też się nie udało.

Piątka wyczerpanych Czarnogwardzistów miała wejść w tłum pięćdziesięciu tysięcy wściekłych cywilów, rozgorączkowanych przez brutalne wyścigi rydwanów i kłamstwa, jakie Nuqaba zmyśliła i... co właściwie mieli zrobić?

Nie istniało żadne dobre rozwiązanie. Nie, kiedy czas uciekał. Co Karris mogła zrobić? Zagrozić Nuqabie? Czym? Przekupić ją? Czym? Powiedzieć, że armia pomści Gavina? To może nawet byłaby prawda, ale wojsko nadeszłoby dla niego za późno.

Spojrzała na Żelazną Pięść.

– Mógłbyś...?

Ta kobieta była jego siostrą. Trzymał jej portret w pokoju. Karris wiedziała, że często o niej myślał.

– Nie znasz Nuqaby – odpowiedział. Nigdy nie nazywał jej siostrą. Nigdy nie posługiwał się jej imieniem. – Jeśli mnie zobaczy, będzie jeszcze gorzej.

Świt minął już sześć godzin temu i słońce niebezpiecznie zbliżało się do południa.

Na ślizgaczu piątka krzesicieli, która z nią wyruszyła – dwoje pozostałych wyczerpało siły, budując pojazd, i zostało w Chromerii, bo więcej ważyli niż byli w stanie wnieść – stała zgięta na wietrze, mknąc Wielką Rzeką obok galer i galeasów. Wszyscy poza Karris i Ben-hada-dem nosili raczej nakładki na oczy niż okulary, znosząc klej i niewygodę, bo w zamian za to mogli je mieć na oczach i widzieć nawet przy tak dużej prędkości.

Zewsząd przyciągali spojrzenia. Żaden z ludzi na brzegu nie widział nigdy łodzi poruszającej się z taką szybkością, a chociaż mogli słyszeć plotki o ślizgaczach i morskich rydwanach, to czym innym jest zobaczenie czegoś takiego na własne oczy.

Skierowali ślizgacz w górę kanałów rzecznych. Karris i Żelazna Pięść byli tu już kiedyś. Hipodrom wycięto w stoku wzgórza Rathcore, mniejszym bliźniaku Wzgórza Jaks na poza

tym płaskiej równinie. Chociaż hipodrom znajdował się ponad równiną zalewową, wykopano głęboki kanał, który pozwalał promom dostarczać do piwnic pod stadionem konie i inne dobra.

Kiedy zbliżyli się do ogromnej, żelaznej bramy przegradzającej rzekę, dowódca Żelazna Pięść spojrzął na Karris.

– Nowy plan? – spytał.

Oboje spojrzeli na zabezpieczenia. Samą bramę można było wysadzić albo mógł ją otworzyć strażnik przy przeciwwagach. Żołnierze strzegący bramy i hipodromu, jak na ironię, nosili barwy Guile'ów. Guile'owie musieli sponsorować te wyścigi, zawiadywali więc wydatkami i ludźmi, którzy ubezpieczali hipodrom w czasie wyścigów i sprząтали po nich.

Byłoby to wielkie szczęście, gdyby mieli kilka godzin, żeby wezwać zarządcę Guile'ów, przekonać go, kim jest Karris, i wykorzystać ludzi do swoich celów. Nie mieli jednak na to czasu.

Moglibyśmy po prostu ich zabić. To tragiczne, ale gdy w grę wchodziło ich życie albo Gavina? Karris była gotowa to zrobić.

Jednakże było ich co najmniej tuzin, większość stała przy bramie do samej piwnicy, gdzie ktoś wykrzykiwał im wyniki trwających wyścigów.

Mogli zabić dwunastu, nie ma sprawy. Ilu więcej znajdowało się na hipodromie w odległości kilku minut biegiem? Karris i Żelazna Pięść mogli dostać się do środka. Co jednak, jeśli Gavina jeszcze tam nie ma? Albo jeśli już zabrano go na górę?

– Mamy niemożliwie mało czasu – powiedziała Karris.

Żelazna Pięść skierował ślizgacz w pustą przestrzeń między dwoma rzecznyymi statkami. Wybiegli na nabrzeże, ignorując spojrzenia kupców i żeglarzy.

– Benhadad, Essel, pilnujcie łodzi. Benhadad, tamten punkt. – Wskazał kanał. – Dopilnuj, żeby pozostał wolny. Jeśli nie jest głęboki, pogłęb.

– Jak mam...

– Twój problem. Essel dziesięć minut, najwyżej kwadrans. Hezik, idziesz z nami.

– Benhadad, rób, co masz zrobić.

Podszedł do niej ostrożnie.

– To nie będzie wygodne – zapowiedział. – Przytrzymaj lewą powiekę, żeby oko było otwarte. Nie możesz mrugać.

Zrobiła to, a on podniósł maleńką soczewkę w delikatnych luksynowych palcach, po raz ostatni oczyścił ją, żeby na pewno nie było na niej pyłku, a potem umieścił ją bezpośrednio na oku Karris. Było to równie przyjemne, jak podejrzewała, że jest przyjemne dźgnięcie w oko. Zamrugwała.

– Nie, nie powinnaś mrugać... – zaprotestował Benhadad. – Nadal tam jest? No to

następna.

Powtórzyli procedurę. Potrzebowali dwóch podejść, po których z oczu popłynęły jej łzy.

Kiedy jednak spojrzała na niego, Benhadad orzekł:

– Jestem genialny.

Dowódca Żelazna Pięść chwycił jej twarz w mocne dłonie i zwrócił ją ku sobie. To było bardzo niepokojące, gdy dotykał jej twarzy. Sprawiał wrażenie zatroskanego, ale nic nie powiedział, tylko skinął głową.

Benhadad nie tylko stworzył niemożliwie cienkie niebieskie soczewki, które trzymały się bezpośrednio na jej oczach, ale jeszcze dopasował je dokładnie do luksusowych wzorów na jej tęczówce. Dla każdego, kto nie będzie jej się długo przyglądał, Karris będzie wyglądała, jakby miała po prostu niebieskie oczy.

– Ile czasu? – zapytała.

– Kilka godzin. Staraj się nie mrugać za mocno.

Byłoby świetnie, zażartowała, gdyby krzesła niebieski. Benhadad wziął sobie do serca jej krytykę i wprowadził odrobinę czerwonego luksynu – którą musiał ktoś inny wykrzesać dla niego na pędzącym, smaganym wiatrem ślizgaczu – do soczewki, dokładnie na wysokości źrenicy. Kiedy za czerwoną kropką znalazła się czarna źrenica, kolor był niezauważalny. Na jednej soczewce umieścił czerwoną kropkę, na drugiej zieloną.

Karris żałowała, że nie może ich wypróbować, ale, krzesząc, ryzykowała, że zniszczy przebranie. Niech diabli wezmą jasną skórę. Długie miesiące bez krzesania poszłyby na marne.

– Gotowa – powiedziała.

W ogóle nie wyglądała na krzesicielkę.

Żelazna Pięść, Karris i Hezik wybiegli schodami z portu. Karris w szczególności przyciągała spojrzenia w sukni z głębokim dekoltem, w powodzi białej koronki i niebieskiej satyny z różową kokardą wielkości żaglowca na prawym biodrze. Podkasała suknię i halkę, dziękując Orholamowi, że nie włożyła też butów na obcasie.

Jak zawsze Żelazna Pięść ruszył zdecydowanie. Minął stragany, kierując się prosto do murów hipodromu. Swą szeroką suknią Karris przewróciła stos petasosów. Znowu skłęła strój, nie zważając na to, że jej życie zależało od tych chwil.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziała, rzucając największy i najdurniejszy uśmiech, jaki potrafiła przywołać, staruszkowi, który wybiegł łapać kapelusze.

Spojrzał na jej twarz, suknię (a potem w dekolt) i całkiem zapomniał o gniewie. A przynajmniej na dość długo, żeby zdążyła uciec.

Żelazna Pięść doprowadził ich do murów. Nie był to najniższy mur, ale pusty. Przy wszystkich wejściach tłoczyli się ludzie i żołnierze Guile'ów. Dwadzieścia stóp nad nimi

znajdowały się budka wartownicza i wąski chodnik, który znikał wewnątrz hipodromu – punkt obserwacyjny, skąd wypatrywano nadchodzących zapasów.

Żelazna Pięść musiał wydać rozkaz, kiedy Karris czarowała kupca, bo brunatna skóra Hezika już zabarwiła się błękitem. Natychmiast ruszył do muru, przyłożył plecy i lekko przykucnął, ustawiając udo pod właściwym kątem, by dało się na nim stanąć.

Bez chwili wahania dowódca Żelazna Pięść podbiegł do niego. Rytm był ważny i jak zawsze w przypadku dowódcy, rytm był doskonały. Wszedł na udo Hezika, potem na ramię i na dłoń, którą Hezik trzymał nad głową. Mała luksynowa platforma wyskoczyła z dłoni Hezika, wyrzucając Żelazną Pięść w powietrze i wydłużając jego skok.

Skok był tak doskonale wymierzony, że Żelazna Pięść tylko położył dłonie na poręczy, a jego ciało przeleciało nad nią prosto na chodnik, bez wysiłku, jakby był chłopakiem, który przeskakuje kamienny murek na farmie.

Potem przyszła kolej Karris. Niech diabli wezmą tę kieckę.

Podkasała suknię obiema rękami, odetchnęła głęboko mimo miażdżącego żebra gorsetu, skinieniem głowy podała Hezikowi tempo i podbiegła. Krok, krok, krok.

Nie była tak wysoka i silna jak Żelazna Pięść, ale była też o wiele lżejsza. Hezik przesadził i za wysoko wystrzelił jej luksynową platformę. Poleciała w górę i za bardzo w bok, ale dowódca czuwał – uskoczył dostatecznie szybko, by znaleźć się na miejscu i wystawiać rękę pewną jak tarcza. Chwyliła jego dłoń, a on ściągnął ją na chodnik.

Udało się im doskonale, tyle że suknia na fiszbinach uderzyła Żelazną Pięść w twarz, kiedy Karris się obracała, i trafiła go w oko. Nie przeszkodziło mu to ściągnąć jej na chodnik, ale zaczął gwałtownie mrugać.

Karris spojrzała na suknię zniesmaczona.

– Ohydna szmata.

– Szczytem mody jest nosić ohydę z wielką pewnością siebie – odparł Żelazna Pięść, trąc oko i biegnąc już do drzwi.

Były zamknięte na łańcuch i zbudowane z mocnego, starego drewna. Zawiasy znajdowały się po drugiej stronie. Żelazna Pięść biegł pierwszy i ruszył od razu do zakratowanego okna. Kto, u diabła, postawił tu tak wytrzymałe drzwi? Kto zawracał sobie głowę zamknięciem ich na łańcuch?

Potrząsnął nimi, żeby sprawdzić zawiasy i od razu zwrócił uwagę kogoś po drugiej stronie.

– Możesz otworzyć drzwi? – poprosił. – Moja przyjaciółka i ja daliśmy się tu zamknąć. – Uśmiechnął się, jakby miał na myśli jakieś figle.

– Idź do diabła – dobiegło z drugiej strony.

Odważne słowa, kiedy za zamkniętymi na łańcuchy drzwiami stoi Żelazna Pięść.

Dowódca się odwrócił.

– Widziałem mężczyznę na spinie. Wiązali go, żeby wypalić mu oczy. To nie Gavin. Zawahał się jednak.

– Daj mi spojrzeć – powiedziała Karris.

Podeszła do okna, ale nie była dość wysoka, by spojrzeć ponad stojącym tłumem.

Bez prośzenia Żelazna Pięść pochylił się, objął ją ramieniem i podniósł.

– To on – odpowiedziała natychmiast. Poznałaby go nawet wychudzonego i z ufarbowanymi włosami. – Sir – powiedziała głośniej. – Proszę...?

Mężczyzna odwrócił się rozeźlony.

– Wyglądam, jakbym miał klucz? Ja tu oglądam widowisko.

Za te słowa Karris omal nie przebiła mu łba kolcem z luksynu.

Była jakaś nadzieja, dopóki myśleli, że łańcuch tylko przewleczono, ale co, kiedy okazało się, że spięto go na kłódkę?

Spojrzała na Żelazną Pięść. Mogli wyłamać drzwi, ale to potrwa i narobią hałasu. Zwrócą uwagę żołnierzy. A skoro Gavin już znajdował się na spinie...

Żelazna Pięść spojrzał w górę. Nie było nad nimi kolejnych chodników ani budek wartowniczych, tylko otwarte przestrzenie między szerokimi łukami, jakieś dwadzieścia pięć stóp wyżej. Nie tylko znajdowały się wyżej niż wymagał ich pierwszy skok. Musieli pobiec w przód, skoczyć w przód i sięgnąć w bok. Jeśli coś zrobią źle, Karris wyleci poza hipodrom i wyląduje na targu w dole. Daleko w dole.

To było zbyt niebezpieczne.

– Drabina? – zapytał Żelazna Pięść.

To było wykonalne, ale potrzeba czasu, żeby stworzyć taką, która utrzymałaby nawet nieduży ciężar Karris przy takiej wysokości.

– Cii. Tłum właśnie ucichł – powiedziała Karris.

Żelazna Pięść natychmiast zajął swoje miejsce, przykucając lekko, z prawą ręką nad ramieniem i już wykrzesaną na niej niebieską platformą.

– Jeśli będziesz musiała, wracaj tą samą drogą, co weszłaś – powiedział. – Nie będą się tego spodziewali. Na pięć. Najpierw Gavin. Numer z deską.

– Myślisz, że dasz radę? – zapytała Karris.

Już zajęła swoją pozycję. Deska? Przy takiej wysokości? Pobladła. Jakby akurat to było najbardziej szaloną częścią planu.

Zanim Żelazna Pięść zdążył odpowiedzieć, tłum w hipodromie jęknął. Stało się coś strasznego. To był ten sam dźwięk, jaki publika wydawała z siebie, kiedy rydwan się rozbijał albo jakiegoś człowieka konie wlokły na śmierć. Tak to właśnie szło: wspólny jęk, a potem wiwaty.

Rozległy się wiwaty.

Karris wykrzesala zieleń po raz pierwszy od pół roku, ostrożnie upakowując luksyn w miejscach zakrytych przez suknię. Napełniła ją dzikość. Jej oczy zabłyśły. O tak, to było życie. Nie spóźniła się. Nie mogła przybyć za późno. Nie, kiedy znajdowała się już tak blisko.

– Raz, dwa, trzy, cztery – rzuciła, podając tempo do skoku.

Twarz Żelaznej Pięści była jak z kamienia, napięte mięśnie zuchwy zdradzały tylko, że osiągnął gotowość bojową, a białka jego oczu zalał błękit.

Karris podbiegła kilka kroków. Napędzana hormonami walki i zielonym luksynem pobiegła szybciej niż dyktowało podane tempo. Jednak Żelazna Pięść ćwiczył z nią, walczył u jej boku. Wiedział i się dopasował.

Tyle że zwiększone tempo i ostrzejsze wybicie znaczyło, że jej suknia – którą musiała wypuścić, gdy tylko pierwszy raz się odbiła – rozplaszczyła się bardziej niż przy wcześniejszym skoku z pomocą Hezika. Pierwsze odbicie było dobre, odbicie od ramienia Żelaznej Pięści też, ale suknia zaczepiła się na ułamek sekundy między jej stopą i dłonią dowódcy.

Żelazna Pięść wypchnął Karris wysoko w powietrze, wystrzeliwując platformę z dużą siłą, ale to przelotne zaczepienie pozbawiło ją równowagi. Karris starała się wybić z nogi jak najmocniej i udało jej się polecieć wysoko, ale nie dość – celowała prosto w pustkę.

Coś dużego i tępego uderzyło ją w pupę, zwiększając pęd i wystrzeliwując wyżej w powietrze. To Żelazna Pięść. Zauważył, że skok jej się nie udał, i natychmiast spróbował pomóc jej osiągnąć większą wysokość. Jednak niebieski luksyn pękął natychmiast, gdy tylko dowódca spróbował nim zmienić tor jej lotu.

Gorzej, że ta pomoc sprawiła, że jej ciało wykręciło się i teraz Karris patrzyła na ulicę. Cała zieleń, jaką przygotowała do wystrzelenia haków, poszła na nic. I wtedy odezwał się w niej pierwotny instynkt – coś sobie przypomniał i zadziałał, zanim idea osiągnęła poziom świadomej myśli. Karris wyprostowała ręce i posłużyła się potęgowaniem, strzelając nieskupionym zielonym luksynem w powietrze.

Jak małe ster kieruje potężnym statkiem, tak i jej niewiele trzeba było. Wyrzuciła luksyn, a ten spowodował odrzut – i pchnął ją w stronę wielkiego, otwartego łuku. Zaczęła się obracać, ale za późno. Lewą nogą uderzyła o kamień i przeturlała się.

Do środka.

Udało jej się. Ale tyłkiem wylądowała tuż przy krawędzi.

Zerwała się na równe nogi pośród stojącego tłumu. Nikt nie zauważył jej pojawienia się oprócz małej dziewczynki na ramionach ojca. Dziewczynka klepała go w głowę, próbując zwrócić jego uwagę. Karris poprawiła suknię, otrzepała kurz i odgarnęła włosy z oczu.

A teraz ta trudna część.

ROZDZIAŁ 85

Aliviana Danavis dostrzegła nadfioletowy krystaliczny załazek tuż po północy. Ona i Phyros obozowali w pobliżu nagiej skały, stanowiącej północny półwysep Wrót Mroku. Żeglarze, których zatrudnili, odmówili wspinaczki; bali się tak bardzo, że Liv zostawiła z nimi swoich ostatnich krzesicieli, żeby na pewno nie uciekli. Przez trzy dni Liv i Phyros wspinali się samotnie, kierując się tylko intuicją Liv. Miała nadzieję, że to zmysł nadfioletu, ale nie miała pewności.

Aż do dzisiaj.

Znaleźli miejsce na obozowisko tuż poniżej ostatniego odcinka podejścia, gdzie targane wiatrem trawy ustępowały nagiej skale uiwisk samych Wrót. Miejsce to ewidentnie było używane przez każdą załogę, która kiedykolwiek się tu wspięła, żeby spojrzeć ponad Wrotami na morze. Liv siedziała plecami do ognia, myśląc o jutrze i ukradkiem sprawdzając broń. Sprawdziała ją, nie ruszając rękami, pozwalając swojemu niewidzialnemu luksynowi owijać się wokół siebie albo sięgać do pasa. Nie była zbrojmistrzem, ale kiedy przycisnęła nadfioletowy luksyn do lufy pierwszego pistoletu, zauważyła, że przybitka jest na miejscu, ale nie ma kuli. Sama go ładowała, więc możliwe, że zrobiła to źle i kula wypadła.

Ale żeby wszystkie cztery? Pozostawało tylko pytanie, kiedy i kto to zrobił. Jeden z krzesicieli lub żeglarzy, kiedy byli na galerze? Czy też może drogi Phyros?

Odetchnęła głęboko i właśnie wtedy dostrzegła krystaliczny załazek. Znajdował się w powietrzu dokładnie między skałami Wrót Mroku. Mrugał i wirował jak nisko wisząca krystaliczna gwiazda. Światło księżycowe sprawiało, że jaśniał zimnym światłem w widzialnym spektrum.

Liv wstała i ruszyła, ledwie świadoma tego, co robi. W nadfioletowym spektrum kryształ wyglądał zupełnie inaczej. Trudno było wyrobić sobie pojęcie o jego wielkości. Wydawało się, że kryształ nie wpływa na światło w widzialnym spektrum, za to w widmie nadfioletowym delikatny blask tysiąca gwiazd zakrzywiał się w kierunku tego jednego punktu. Kiedy księżyc wynurzył się zza chmury, jego potężne światło uderzyło, rozpraszając nadfioletowe strumienie jak wiatr żelazne opiłki. Jednak twarz księżycy znowu się skryła i delikatne strumienie znowu były zasysane przez krystaliczny załazek jak przez magnes.

– Aliviano! – zawołał Phyros. – Dokąd idziesz?

Za dnia byłyby niewidzialny nawet w nadfiolecie. Światło słoneczne było za silne. Ten maleńki punkcik światła byłby drobinką w zamieci.

– Eikona! – zawołał Phyros.

Liv szła po nagiej skale wzniesienia jak zauroczona. Wrota Mroku były ponad dwa razy wyższe od Wieży Pryzmata i z obu stron ciągnęło się pionowe urwisko aż do spienionego morza setki kroków w dół. Wody Morza Lazurowego walczyły z wodami zewnętrznego oceanu, czasem strzelając przez wąski kanał z nieprawdopodobną siłą w jedną stronę, a czasem w drugą. Skały niczym zęby najróżniejszych rozmiarów okalały kanał. Niektóre ledwie wystawały ponad powierzchnię wody, inne były wyższe niż maszt galery. Liv nie potrafiła sobie wyobrazić, jak jakikolwiek statek mógłby przebyć tę kipieli.

Dotarła na szczyt Wrót, nienaturalnie płaską gołą skałą szeroką na kilkaset kroków. Droga wycięta w żywej skale wiodła ku przepaści.

– Eikona!

Po obu stronach drogi stały starożytne posągi, z których teraz zostały tylko gruzy, zniszczone przez czas, pogodę, wandalów i najeźdźców. Liv szła drogą oczarowana błyszczącym kryształem, który zmieni wszystko. Teraz była pewna, że jest nie większy niż jej pięść. Może nawet mniejszy.

– Eikona, tyle wystarczy – powiedział Phyros łapiąc ją za rękę.

Przystanęła i spojrzała na niego ostro, jakby zaszokowana i zniesmaczona tym, że jej dotknął.

Zabrał rękę.

– Liv, przepraszam, ale nie wolno ci iść dalej, o ile nie założysz czarnego klejnotu. Tak rozkazał nasz książę.

Cofnęła się, wyciągnęła pistolet z za pasa i wycelowała w Phyrosa, a potem wyjęła drugi.

– Nie zastrzelisz mnie – powiedział.

– Tak? Spójrz mi w oczy i powiedz, że brakuje mi woli.

– To nie woli ci brakuje.

– Czyli to ty.

Sprawiał wrażenie skonsternowanego. A potem, przez chwilę, przestraszonego. Skoro wiedziała, że pistolety nie są naładowane, czy to znaczyło, że załadowała je ponownie?

Myślała, żeby z nim porozmawiać, odwołać się do jego lojalności, jaką myślała, że sobie u niego wypracowała, zaproponować mu wybór, przekonać logicznie. Jednak nie był nadfioletowym ani niebieskim krzesicielem; był wojownikiem. Zaatakował natychmiast i dopadł ją, nim zebrała myśli.

Ogromna dłoń zacisnęła się na jej gardle i ścisnęła. Liv spanikowała. Drugą ręką

odrzucił jej pistolety, wyrwał pozostałe wiszące u pasa i je też odrzucił. Potem przypasany miecz i nóż. Wokół Liv zamykała się ciemność.

Phyros zniósł ją, trzymając za szyję i pas, po wyślizganych przez deszcze i wiatry schodach na wzniesienie. Zwinęła się w pozycji płodowej i kopała, kopała na oślep. A potem dotarli na sam szczyt.

Nadal zaciskał rękę na jej gardle, chociaż teraz już luźno, i przetrząsał jej kieszenie. Znalazł naszyjnik i wyciągnął go. Pchnął ją, aż znalazła się na samej krawędzi urwiska. Wiatr ich smagał. Ledwie mogła oddychać. Opuściła ją siła.

– To co będzie, moja pani, czerń czy przepaść?

Poluzował uścisk na tyle, żeby mogła odpowiedzieć.

– Ostrze.

– Co? – spytał.

Może wiatr porwał jej słowa.

Wbiła mu w pierś ukryte ostrze, które dał jej ojciec, przekreśliła mocno i wyciągnęła.

Cofnął się odruchowo i to uratowało ją przed upadkiem z urwiska, gdy ją wypuścił. Rzuciła się na ziemię i przeturlała obok niego.

Ryknął i wyciągnął długi miecz. Rzucił się naprzód i stanął nad nią. Nie było ucieczki. Uniósł ostrze, ale zaraz je opuścił, a wyraz jego twarzy zmiękł.

– Zabiłaś mnie. Chyba...

I padł na bok bez życia.

Liv wstała i ominęła zwłoki. Podeszła do urwiska. Zerknęła w przepaść. Spadek powinien ją przerazić, ale Liv była odrętwiąta. Spojrzała na migoczący w powietrzu nadfioletowy krystaliczny załążek. Szybował w sieci tysiąca strumieni nadfioletowego światła, niektóre z nich spontanicznie zmieniały się w luksyn w obecności kryształu, unosząc go. Kryształ turlał się i za każdym razem rozbłyskiwał odrobinę fioletem w widzialnym spektrum.

Przemawiał bezpośrednio do serca Liv. Tu jest spokój, tu jest rozsądek, tu jest moc, tu jest nieulekłość. Krystaliczny załążek przywoływał Liv, a ona uniosła rękę i wezwała załążek.

I wtedy do niej przyszedł.

ROZDZIAŁ 86

Karris zbiegła szerokimi stopniami wielopoziomowych siedzeń hipodromu, nawet nie udając damy.

Cały czas patrzyła pod nogi i nie mogła oderwać wzroku, żeby sprawdzić, czy Gavin nadal żyje. Jednak publiczność patrzyła jak zahipnotyzowana, więc domyślała się, że jeszcze tak. Może go tylko torturowali.

Tłum był coraz gęstszy, aż w końcu musiała się przepychać przez cizbę stojącą przy sięgającym piersi ogrodzeniu wokół toru. Sam tor znajdował się piętnaście stóp niżej. Z powodu sukni Karris musiała się przepychać.

Jakiś mężczyzna poczuł się urażony jej zachowaniem.

– Do diabła, za kogo się uważasz...

Czasem bycie niską to błogosławieństwo. Sięgnęła ręką w górę między jego nogami, złapała w garść materiał i jego klejnoty, z całej siły wykręciła. Mężczyzna padł, a ona w locie zerwała mu ghotrę z głowy.

Ze spiny dobiegł krzyk mężczyzny. Rozpoznała głos. Nie, nie, nie.

Rozwinęła w biegu ghotrę. Dotarłszy na sam przód, przeskoczyła nad wytartą kamienną poręczą. Zacisnęła na niej węzeł ghotry i skoczyła, zsuwając się po chuście, aż materiał się skończył.

Z gracją wylądowała na piasku hipodromu i wybiegła na tor wyścigowy, zanim ktokolwiek zdążyłby ją zatrzymać.

Rozległ się pomruk połowy publiczności, która natychmiast ją dostrzegła. Dlaczego arystokratka wybiegła na tor?

Ludzie na spinie – krzesiciele i ktoś, kto wyglądał na konsyliarza nie dostrzegli jej od razu. Patrzyli na Gavina przywiązanego do stołu. Wrzeszczał i szamotał się w więzach, bez wątplenia w potwornym bólu, ale nie mógł się ruszyć. Konsyliarz unosił rozgrzany do czerwoności pogrzebacz w dłoniach. Karris nigdy nie widziała Gavina tak cierpiącego. Gavin, który przyznaje się do słabości, do bólu? Gavin?!

Oślepiali go. Dobry Orholamie, już wypalili mu jedno oko.

Zobaczyli ją żołnierze stojący wokół spiny. To był elitarny oddział żołnierzy-krzesicieli Nuqaby, Tafok Amagez. Pech. Z drugiej strony, Żelazna Pięść powiedział raz, że Karris to najszybszy krzesiciel, jakiego w życiu spotkał, a dowódca nie rzuca czczych pochlebstw.

Biała skóra Karris stanowiła wadę w pełnej walce. Nie sposób wykrzesać ogromnej ilości luksynu tak, żeby nie było go widać na rękach. Nauczyła się jednak paru sztuczek. Słabości mają też swoje dobre strony.

Gorący pogrzebacz opadł ku twarzy Gavina.

Zielony luksyn rozwinął się po wewnętrznej stronie ręki Karris, tworząc kulę, która ładnie mieściła jej się w dłoni. Jej stopy zatańczyły, przybierając kolejne pozycje, biodra obróciły się jak przy rzucie oszczepem i wreszcie gwałtownie wypchnięte w przód całą siłą przekazały pociskowi. Działała szybciej niż Tafok Amagez mogli zareagować. Zielona kula poleciała w stronę głowy konsyliarza. I trafiła.

Konsyliarz, kobieta, obróciła się tak mocno, że kiedy opuściła pogrzebacz, nie trafiła w twarz Gavina.

Karris zamieniła dziwne kroki w niezręczny taneczny ruch, rozpaczliwie próbując oczyścić skórę ze śladów zielonego luksynu. Pocisk był na tyle mały i szybki, że prawie niewidzialny. To i widok dziwnie poruszającej się Karris mogło zupełnie ogłupić tłum. A co ważniejsze, Nuqabę.

Rozegraj to do końca. Udawaj, że masz w sobie tyle pewności siebie, co Gavin.

Uniosła rękę z wyprostowanym palcem wskazującym.

– Przepraszam bardzo! – krzyknęła.

Podchodząc, przypomniała sobie, że powinna iść jak dama. Jej wcześniejsze dziwne kroki w bok uruchomiły inne urządzenie Benhadada.

Najsubtelniej jak potrafiła, po tym jak ściągnęła na siebie uwagę pięćdziesięciu tysięcy ludzi, sięgnęła do idiotycznie wielkiej kokardy i raz jeszcze przycisnęła ją zdecydowanie do biodra. Coś szcęknęło. Chwileczkę, czy Karris wylądowała na tym biodrze? Nie zniszczyła przypadkiem mechanizmu?

Nie, wylądowała na drugim. Prawda?

Uniosła drugą rękę, jednocześnie sprawdzając kokardę.

– Przepraszam! – krzyknęła znowu.

Uśmiechnęła się, jakby prosiła mężczyznę, żeby przyszedł do jej łóżka.

Co całkowicie ich ogłupiło. Zgodnie z planem.

Na platformie umieszczonej na spinie zapanowało przelotne zamieszanie. Konsyliarka klęczała, mocno zbolała, ale nie odezwała się słowem. Jeden z żołnierzy próbował podnieść pogrzebacz. Był na tyle bystry, żeby nie łapać za rozgrzany do czerwoności koniec, ale nie dość, żeby się zorientować, że żelazo nie musi świecić, żeby było gorące.

Natychmiast wypuścił pogrzebacz, klnąc w głos i powiększając zamieszanie.

Karris doszła do schodów, zanim Tafok Amagez spróbowali ją przechwycić. Zignorowała ich, unosząc wysoko podbródek, i dotarła na szczyt, nim zdążyli wymierzyć w nią z

muszkietów i luksynu, pokazując, że traktują sprawę poważnie. Amatorzy.

Przystanęła, teraz doskonale widoczna dla wszystkich na hipodromie, jakby zaszokowana i urażona faktem, że żołnierze jej grożą. Młody żołnierz wystąpił naprzód i zaczął ją przeszukiwać.

Chwila prawdy. Wielka scena i wyrazisty języka ciała, żeby wszyscy dobrze widzieli.

Musiał mocno dociskać ręce z powodu licznych halek, żeby wyczuć wnętrze jej nóg. Przez moment pozwalała się obszukiwać, jakby wstrząśnięta i zbezczeszczona. Musiała podarować mu tę chwilę, żeby dał się przekonać do przerwania.

Odsunęła się o krok, jakby potwornie obrażona, wymachując rękami. Najpotężniejszym głosem z pola bitwy ryknęła:

-Wybaczcie, panowie, nie mam więcej broni między nogami niż wy sami!

I spoliczkowała żołnierza. Niezbyt mocno, nie tak, by powalić biednego głupca na ziemię, ale niezgrabnie, potrząsając włosami jak kretynka.

Publiczność ryknęła śmiechem, nadal zdumiona tym, co się dzieje. Czy to część przedstawienia?

Znowu uniosła rękę, zwracając się do loży Nuqaby, która siedziała na samym przedzie obok Eirene Malargos.

Poirytowany młody strażnik znowu podszedł do Karris, ale ona ryknęła do Nuqaby:

– Wasza Ekscelencjo! – A miażdżącym szeptem dodała: – Odsuń się, młody człowieku.

Teraz lepsi od ciebie rozmawiają.

To wystarczyło, żeby młody Tafok Amagez zamarł. Przyzwyczajony do przyjmowania bzdurnych rozkazów od władczej kobiety, która oczekiwała niekwestionowanego posłuszeństwa, nagle poczuł się pozbawiony autorytetu.

W taki sposób upadają tyrani. Niszcząc własnych ludzi, niszczą siebie.

Czarnogwardziści wiedzieli dokładnie, do czego są upoważnieni, i mieli prawo wykonywać swoje obowiązki, niezależnie od tego kto wkroczył w obręb ich strefy działania. Lord mógł się poskarżyć, ale nawet światłowładca nie wszedłby bez przeszkania do miejsca, gdzie obowiązuje zakaz wnoszenia broni. Ani Pryzmat, ani Biel czy Czerń nie zganiliby Czarnogwardzisty za sumienne wykonywanie obowiązków. Nuqaba najwyraźniej nie była na tyle rozsądna.

Stanęła w loży i dała znać, żeby młody Amagez się cofnął.

– Kim jesteś? – zapytała ostro. – Co to znaczy?

– Ten człowiek – wykrzyknęła Karris, żeby usłyszała ją nie tylko Nuqaba, która znajdowała się dostatecznie blisko, ale i cały hipodrom – to mój mąż! – Karris odwróciła się w przeciwną stronę i krzyknęła: – Ten człowiek to mój mąż!

Nie przewidziała, że obracając się, zobaczy Gavina. Był przywiązany, więc nie mógł

obrócić głowy. Ale ją usłyszał.

– Karris?! – krzyknął. – Dobry Orholamie, Karris, wynoś się stąd!

Leżał zwrócony lewym bokiem do niej, krew płynęła mu z oka po policzku, strumień czerwonych łez z ranny, która nie została do końca wypalona.

Żołądek jej się zacisnął i omal nie wywarł jej się szloch. Zgięła się wpool, ale zacisnęła zęby. Płacz i podbiegnięcie do niego oznaczały śmierć dla obojga.

Odłóż to na bok, Karris.

– Wasza Ekscelencjo! – warknęła Karris, obracając się raptownie do obrzydliwej suki, która mu to zrobiła. Cały strach zniknął, a wściekłość nie wypływała z czerwieni. – Oznajmiam, że mój mąż nie jest winien żadnej zbrodni. Zgodnie z naszymi starymi tradycjami, żądam próby walki! Żądam próby walki! – powtórzyła dla drugiej połowy hipodromu.

Szkoda, że nie miała głosu oratora, wtedy usłyszeliby ją wszyscy ponad pomrukiem pięćdziesięciu tysięcy dusz. Ale z drugiej strony, większość oratorów nie odważyłaby się włożyć takiej sukni.

Odwróciła się do Nuqaby i zniżyła głos, starając się mówić tak, żeby tylko ona i nieliczni uprzywilejowani w pierwszym rzędzie ją usłyszeli:

– Bo inaczej powiem wszystkim tu zebranym, jak brzmi nasze nazwisko, i podburzę tych, którzy nie są zdrajcami.

Twarz Nuqaby spochmurniała. Eirene Malargos rzuciła kilka pytań. Nastąpiła szybka seria pytań i odpowiedzi między obiema, której nie dało się usłyszeć. Obie były wściekłe. Obie naciskały.

Nie istniała starożytna paryjska tradycja próby w walce. To było wyssane z palca.

Tyle że pięćdziesiąt tysięcy żądnych krwi Ruthgarczyków w hipodromie nie miało o tym pojęcia. Ogromnie spodobał im się ten pomysł. Wyścigi rydwanów bywały krwawe – wypadki były częste, urazy powszechne – ale naprawdę krwawe sporty były przywracane, zakazywane i znowu przywracane wielokrotnie w ciągu ostatnich czterystu lat. Uznawano je za nielegalne przez ostatnie pięćdziesiąt lat albo więcej. Legalny posmak nielegalnej rozrywki? Odrobina występku, który publiczność mogła zrzucić na barbarzyństwo Paryjczyków, a nie własne? Pokusa nie do odparcia.

Niestety, sama presja tłumu nie wystarczy. Nuqaba nie miała nic przeciwko rozłoszczeniu pięćdziesięciu tysięcy ludzi innego satrapy. Jednak nie o presję tu chodziło.

Karris przyglądała się uważnie, jak Nuqaba i Eirene Malargos się kłóć. Była w stanie wyczytać z ruchu ich ust słowo „żona” i rozliczne przekleństwa. Nuqaba skinęła głową i powiedziała kilka słów do przystojnego muskularnego Paryjczyka, który nadal obok niej siedział. Eirene położyła dłoń na jej ręce, ale Nuqaba ją strąciła, rzucając jej jadowite

spojrzenie. Eirene ustąpiła, nie chcąc robić sceny, ale bez wątpienia była wściekła.

Kiedy Marissia przedstawiała pomysł Karris, powiedziała: „Studiowałam Haruru piętnaście lat. Jest nienawistna, małostkowa, zawistna i mściwa. I była kiedyś związana z Gavinem. Jeśli będzie mogła go jakkolwiek skrzywdzić, zrobi to”.

Teraz przekonamy się, na ile kompetentna jest tak naprawdę Marissia.

I wtedy przyprawiająca o mdłości myśl uderzyła Karris prosto w żołądek: oczywiście Marissia nie miałaby powodu posłać mnie śmierć, prawda?

Nagle przeszył ją strach. Jej rywalka.

Och, Orholamie, co ja zrobiłam? Myślałam, że wreszcie ją pozyskałam. Myślałam, że obie kochamy Gavina, i to zwycięża wszystko inne. Myślałam, że ze mną współpracuje. Odebrałam jej wszystko, a to jej szansa, żeby odzyskać swoje dzieło, jeśli nie swojego mężczyznę, o którym wiedziała, że straciła go na zawsze.

Oto, co dostajesz, ufając niewolnikowi.

To była kolosalna pomyłka. Z rodzaju tych, jakich Karris nigdy by nie popełniła, gdyby nie presja czasu. Od jak dawna Marissia zatajała tę informację, żeby mieć pewność, że Karris będzie działała pod presją czasu? Musiała wiedzieć o uwięzieniu Gavina od tygodni i nic nie mówiła, żeby Karris pognała na ratunek i dała się zabić. Nawet próba walki to był pomysł Marissii.

Jednak Biel jej ufała. I ta dziewczyna kochała Gavina. Nie zatajałaby informacji, kiedy groziło mu niebezpieczeństwo, prawda?

Tylko że Gavin odepchnął ją bez namysłu, kiedy ożenił się z Karris. Jak Karris zareagowałaby, gdyby mężczyzna zrobił jej coś takiego?

Orholamie, zlituj się.

Tłum ucichł, a Karris czekała. Zostanie odciągnięta na bok jako współpracowniczka. Była sama, nikt się za nią nie wstawi; wystarczy, że Nuqaba powie, że Karris to wariatka i że próba walki nigdy nie istniała w historii paryjskiej. W ogromnym tłumie znajdą się tacy, którzy będą wiedzieli, że to prawda.

Wszystko się rozpadało.

– Minęło wiele, wiele lat, odkąd ktokolwiek zażądał próby walki – powiedziała Nuqaba, a w Karris serce wezbrało nadzieją. Miała szansę. – Jak stanowi nasze starożytne prawo, o próbę walki można prosić tylko raz i do walki stanąć musi ten, kto jej zażąda. Nie reprezentant!

Połknęła przynętę.

Zanim tłum zdążył ryknąć, zachwycony myślą, że jakieś wiotkie dziewczę w sukience będzie walczyć w imieniu męża, Nuqaba dodała:

– Nie wolno krzesać w czasie próby, a walka jest na śmierć i życie!

I wtedy tłum ryknął.

Zatem Marissia mnie nie zdradziła.

Niestety, sytuacja była nieciekawa. Wszystkie przygotowania Karris, żeby ukryć umiejętność krzesania, poszły na marne. Zarówno Nuqaba, jak i Eirene Malargos wiedziały, kim jest Karris i że potrafi krzesać. Nuqaba była mściwa, ale nie głupia.

Psiakrew.

Nuqaba ponownie uciszyła tłum i wskazała mężczyznę, który siedział na lewo od niej. Kiedy wstał, powiedziała:

– Czy ty, prosta kobieto, pragniesz stawić czoło ręce sprawiedliwości, lordowi komendantowi wojsk paryjskich Enkiemu Młotowi?

Na ten sygnał mężczyzna, niewątpliwie kochanek Nuqaby, wyszedł z cienia i stanął w pełnym słońcu. Był wysoki, bardzo wysoki, o szczupłych biodrach i ramionach, ale żylastych rękach, które mówiły takiej wojownicze jak Karris, że pod bogatym paryjskich płaszczem – burnusem – i złotym brokatem tuniki kryje się żołnierz. Nosił też ghotrę, by osłonić głowę, ale nie było w nim niczego z pobożnej pokory. Nawet jego ghotra była przetykana złotem.

Zrzucił burnus w czarno-białe pasy, rozsznurował tunikę i zdjął ją, odsłaniając imponującą muskulaturę. Karris chciała go znienawidzić za tę próżność, ale sama nie raz bywała próżna.

Dziwne, pomyślała. Jeszcze do niedawna to sprawiłoby, że z podwójną siłą bym go znienawidziła.

Ach, powinna teraz odpowiedzieć. Odważnie, ale nie zdradzając tłumowi, że jest wojowniczką.

– Prędzej umrę – odkrzyknęła – niż pozwolę ci bardziej skrzywdzić mojego męża!

Rozległy się wiwaty. Nuqaba próbowała szepnąć coś do Enkiego, ale ten pokręcił głową. Spróbowała raz jeszcze, ale tłum był zbyt głośny, zbyt niecierpliwy. Zbył ją machnięciem ręki. Później.

Kiedy Enki zbiegł po schodach i przez piasek do spiny, sprawiając wrażenie poirytowanego, Nuqaba odczekała, aż wiwaty ucichną, i krzyknęła:

– Zatem niech twoja przelana krew obciąży tylko twoje sumienie!

Wynikło zamieszanie na platformie, kiedy żołnierze próbowali zorientować się, co właściwie powinni robić w czasie próby, o jakiej nigdy nie słyszeli, a wszystko to pod baczynym spojrzeniem pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Karris jako zawodowiec współczuła im, ale nic nie powiedziała. Jeśli zdradzi, że dobrze wie, co robi, zginie. To dlatego należy uderzać szybko, bo nawet jeśli ktoś z wrogów ma informacje, które mogą cię zniszczyć, to może nie zdążyć przekazać ich na czas, a wtedy to przestaje mieć znaczenie.

Pochyliła głowę i wściekle otarła policzki, jakby nie panowała nad łzami i była z tego powodu zła. Głupia chudzina w idiotycznej sukience, oto czym była. Żadna z niej Czarnogwardzistka.

Chciała spojrzeć na Gavina. Chciała do niego podejść. Wtedy jednak straciłaby panowanie nad sobą.

Ostatecznie, po szybkich rozkazach samego Enkiego, który wchodził już po schodach, Tafok Amagez ustawili się wokół platformy. Jeden z żołnierzy wystąpił naprzód i zaoferował broń. Miał pewnie ze trzydzieści pięć lat, starzec jak na wojownika-krzesiciela. Odpiął od pasa miecz dwuręczny w pochwie i zaproponował go Karris. Inny dołączył do niego po chwili i zaoferował włócznię. Jeszcze inny bicz. Sam Enki dzierżył sejmitar o długim, wąskim ostrzu, pochwie i rękojeści zdobionych rubinami i macią perłową.

Karris popatrzyła po broni, pokręciła głową i machnęła ręką, nadal gestami na tyle szerokimi, żeby nawet farmerzy w najdalszych rzędach je rozumieli.

– O, nie, nie będę ich potrzebowała, ale dziękuję.

Zerknęła na Gavina, kiedy w tłumie rozległy się pomruki. Bez broni? Co to za szaleństwo? Po prostu popełniała samobójstwo?

Gavin nadal dygotał, nadal ogromnie cierpiał, ale nic nie powiedział, nie krzyczał z bólu, nie wołał do Karris. Nie mógł wiedzieć, co się dzieje, i niewiedza musiała doprowadzać go do szaleństwa, ale zachował milczenie. Wiedziała, że to dlatego, że jej ufa. Wiedział, że ma plan, rozumiał, że to desperacki plan, i nie zamierzał jej rozpraszać.

W przypadku mężczyzny, który wszystko kontrolował i stał za przemianami w większości punktów zwrotnych w historii Siedmiu Satrapii w ciągu ostatnich dwóch dekad, tak wielkie zaufanie do niej poruszyło ją w niewysłowionym stopniu.

Do diabła, nie czas na to! Otarła łzę z oka. Prawdziwą.

Nie pozwalając jej zdominować sceny, Enki wystąpił naprzód i uniósł ręce do nieba.

– Orholamie! – krzyknął. – Popatrz na dzieła naszych rąk! Niech twoja sprawiedliwość dosięgnie zdrajców!

Opuścił ręce i zdjął ghotrę, jakby to wiązało się z przyciągnięciem uwagi Orholama. W sięgające za ramiona grube pasma czarnych włosów wpleciono złoty drut. Zgodnie z paryjską tradycją włosy to jego chwała i chlubił się nimi.

Ten gest nie umknął Ruthgarczykom, którzy nie nosili ghotr, ale doskonale znali związane z nimi wierzenia sąsiadów. Nie byli też nieczuli na urok diabelnie przystojnego, atletycznie zbudowanego mężczyzny, który miał sześć i pół stopy wzrostu.

Był jak mniejsza, bardziej próżna wersja Żelaznej Pięści. Co było nieco niepokojące, kiedy Karris o tym pomyślała. Jaka kobieta wybiera sobie kochanka, który wygląda jak jej brat?

Karris przeszła obok Enkiego, stanęła twarzą do loży Nuqaby i poczekała na niego.

Wątpliwość przemknęła po jego twarzy. Karris działała z takim przekonaniem, że ten wielki ignorant zaczął podejrzewać, że może rzeczywiście takie próby należały do tradycji. Stanął obok niej, ale nie za blisko.

Wokół platformy Tafok Amagez krzesali kolory. Wszelkie krzesanie uczestników próby oznaczało śmierć.

Karris dygnęła przed Nuqabą i Eirene Malargos o stalowym spojrzeniu. Stojący obok niej Enki ukłonił się głęboko.

Tłum ucichł.

Nuqaba machnęła dłonią, dając znać, że mogą zaczynać, ale Karris to zignorowała. Odwróciła się do Enkiego i złożyła bardziej wyrafinowany ukłon, staroświecki, ruchem rąk rozłożyła szeroko suknię, krzyżując przy tym kostki. Enki ukłonił się przed nią, ale ostrożnie, nie spuszczając jej z oczu.

I... nic się nie stało.

Benhadadzie! Nie tak miało być!

Enki uniósł miecz i przygotował się, a Karris stała na jednej nodze, prawą kostką naciskając lewą łydkę.

– Chwileczkę – powiedziała. Uniosła palec. – Swędzi mnie.

Przesunęła prawą stopą w górę i w dół po łydce.

Enki spojrzał na nią z niedowierzaniem. Oszalała? A potem zaczął się śmiać.

I zupełnie, jakby Benhadad zaprojektował zatrzask tak, by zareagował na śmiech, a nie jak zaplanowali – na skrzyżowanie przez nią kostek, Karris poczuła, że zatrzask puszcza, i wielka, idiotyczna kokarda na prawym biodrze odpadła, a luksyn trzymający warstwy sukni i halek pękł, otwierając się jak drzwi na jej udzie, dając Karris dostęp do specjalnej pochwy umożliwiającej błyskawiczne dobyte broni, zawieszanej po wewnętrznej stronie jej uda.

W tej samej chwili, kiedy suknia się otworzyła, pochwa ukryta na czas przeszukiwania przesunęła się na zewnętrzną stronę uda i ku dłoni Karris.

Większość pochew wymagała, żeby ostrze wsunąć w nie pionowo i tak samo wysunąć, zanim będzie można zaatakować – potrzebne są aż dwa ruchy. To była innego rodzaju pochwa, która obejmowała klingę i pozwalała wyjąć ją poziomo, więc wojownik mógł od razu, jednym ruchem, wyprowadzić cięcie.

To było zaledwie o ułamek chwili szybsze od normalnego dobytca ostrza, ale ten ułamek to wszystko, czego Karris potrzebowała. Skoczyła naprzód w momencie, kiedy Enki zmrużył oczy, śmiejąc się. Jeden-drugi-trzeci krok i lewą ręką wzięła od dołu zamach w bok...

I wbiła mu ostrze pod brodę w tej samej chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że się poruszyła. Wbiła klingę aż po rękojeść, czubek wyszedł górami, lśnią czerwienią nad wspaniałymi warkoczami. Przekreśliła ostrze mocno, łamiąc kości czaszki, na wszelki wypadek. Człowiek nadal może cię zabić, zanim zda sobie sprawę, że nie już żyje.

A potem odskoczyła poza jego zasięg, wyrywając ostrze.

Enki padł na kolana i na twarz. Ktoś z kręgu Tafok Amagez krzyknął, ale Karris prawie nie słyszała.

Ponownie wystąpiła naprzód, a kiedy przekonała się, że Enki już nie zaatakuje, klękła przy jego ciele. Pociągnęła za warkocze i wyjęła seymitar z dygocących konwulsyjnie palców. Złapała garść włosów i wstała, unosząc ciało tak, by docisnąć szyję do ostrza i przeciąć ją jego własną bronią. Raz, drugi, chwilę szybkiego piłowania przy ostatnim kawałku skóry i głowa Enkiego odeszła od ciała.

Karris uniosła ją wysoko w jednej ręce, a seymitar w drugiej i nagle znowu słyszała tłum, potężny ryk grozy, podziwu i niedowierzania przemieszane z wiwatami.

– Orholam widział! Dokonała się sprawiedliwość Orholama! – krzyknęła.

Jednak jej głos utonął we wrzawie.

– Ja jestem Karris Guile, a ten człowiek to Gavin Guile, wasz Pryzmat. To jest Gavin Guile! – wrzeszczała na całe gardło, ale zagłuszył ją zgiełk pięćdziesięciu tysięcy głosów.

Tylko najbliżsi słyszeli. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Zmieniła ręce i zakołysała głową, krzesząc z pobliskich sztandarów. Rzuciła głowę i pchnęła ją nieco luksynem.

Głowa wleciała prosto do łóżki Eirene Malargos i wylądowała na kolanach Nuqaby.

Nuqaba zaczęła wrzeszczeć, a publika – niech Orholam jej wybaczy – wybuchła śmiechem.

Karris miała to w nosie. Podeszła szybko do Gavina i uwolniła go, podczas gdy Tafok Amagez stali wokół zdumieni.

Och, Orholamie. Twarz Gavina. Jego twarz!

– Gavinie – powiedziała – musimy uciekać. Możesz...

– Nie zawiodę cię – powiedział, ale kiedy wstał, omal nie upadł.

Uniósł lewą rękę do twarzy. Brakowało mu dwóch palców. Przeklęte potwory!

Teraz jednak liczyło się to, że Gavin nie jest w stanie walczyć.

Karris go podtrzymała.

Wokół niej Tafok Amagez patrzyli, nie bardzo wiedząc, co powinni robić. Wygrała próbę, którą ustanowiła ich Nuqaba, więc powinni pozwolić jej odejść, ale z drugiej strony rzuciła głowę jednego z ich przywódców na kolana Nuqaby, więc czy nie powinni jej aresztować? A czy mogli, po tym co właśnie zrobiła?

Nie było sensu czekać, żeby się przekonać, co zdecydują.

Wtedy jeden ze strażników z hipodromu podbiegł do schodów prowadzących na spinę.

- To Gavin Guile! – krzyknął. – Rozpoznaję go z dawnych czasów! Ufarbowali mu włosy i ubrudzili twarz, ale to jest Gavin Guile!

Karris dosłownie ściągnęła Gavina po schodach, a żołnierz podbiegł do nich, desperacko dając znaki pozostałym ludziom Guile'ów, żeby do nich dołączyli.

- Zabić ich! – wrzasnęła nagle Nuqaba. – Zabić oboje!

Karris obejrzała się na nią. Haruru była cała we krwi. Było tej krwi więcej niż można by się spodziewać, że wycieknie z obciętej głowy. Jakimś cudem udało jej się wybrudzić sobie warz.

- Nie! Zignorować ten rozkaz! – krzyknęła Eirene Malargos. – Nie myślisz jasno, Haruru!

- Zabić ich! – wrzeszczała Nuqaba. – Zablokować wyjścia! To rozkaz!

- To akt agresji! Zabraniam! – krzyczała Eirene.

Chaos.

- Tędy! – odpowiedział żołnierz Guile'ów.

Otworzył drzwi na poziomie piasku. Weszli, a on zamknął za nimi drzwi na klucz.

- Kapitanie Eutheosie, ty sukinsynu – powiedział Gavin. – Chyba rozkazałem ci nie mieszać się do tego.

- Na Krwawej Grani też nie byłem najlepszy w słuchaniu rozkazów, mój panie.

Gavin roześmiał się krótko na wspomnienie i zamilkł gwałtownie, jakby każdy grymas wywoływał ból zdolny go powalić.

- Mogę doprowadzić nas do wyjścia, ale oni będą tam szybciej – powiedział żołnierz.

- Musi być jakieś wyjście dla służby – podsunęła Karris.

- O tym pomyślą w pierwszej kolejności – sprzeciwił się Gavin.

I miał rację. Do diabła.

- Dasz radę doprowadzić nas na najwyższy poziom, po zachodniej stronie? – spytała kapitana.

- Oczywiście.

I zrobił to. Przemykali korytarzami, z których korzystali tylko niewolnicy i służba, przecinali przejścia zapchane przez widzów, którzy śpieszyli się do wyjścia – widok mężczyzn dobywających mieczy i pistoletów, krzeszących i gotowych zabijać wszystkich, którzy im się przeciwstawiają, budził w zwykłych ludziach szaleństwo. Inni zaś, którzy znajdowali się poza hipodromem i słyszeli, że dzieją się tam niesamowite rzeczy, napierali, żeby wejść, tworząc straszliwe zatory. Wystarczy jeden wystrzał z muszkietu, a ludzie zaczną się tratować w panice.

Obstawiający wyjścia żołnierze Guile'ow krzyczeli, próbując zaprowadzić porządek, ale sami byli dezorientowani. Czy Tafok Amagez byli teraz ich wrogami? Czy też nadal byli przyjaciółmi, którym trzeba pomóc? Co się stało w środku?

Gavin padł kilka razy, za każdym przeprasząc. Karris i Eutheos w końcu złapali go pod pachy – kolejna rzecz, przy której przeszkadzał jej niski wzrost. Był szokująco lekki.

W ciągu kilku minut dotarli do łuku, przez który Karris dostała się do środka. Wysunęła głowę i spojrzała w dół.

O rety.

Ale Żelazna Pięść czekał na miejscu. Na jej widok uśmiechnął się szeroko.

Kiedy Gavin wystawił głowę, uśmiech Żelaznej Pięści zrzędł. Oko Pryzmata nadal krwawiło. Jednak Gavin uśmiechnął się, zachwycony widokiem wielkoluda.

– Sam poradzisz sobie z zejściem, lordzie Pryzmacie? – zapytał Żelazna Pięść.

Gavin obejrzał się.

– Mamy towarzystwo – powiedział.

Karris zobaczyła pięciu żołnierzy Tafok Amagez nadbiegających schodami, którymi zbiegła kwadrans temu. Wyższe poziomy opustoszały. Żołnierze z pewnością ich widzieli.

– Obawiam się, że nie – powiedział Gavin, znowu wystawiając głowę. – Jaki jest plan? Szybko. – Spojrzał na rzekę. To była daleka droga, w poziomie i pionie. – O nie, nie mów mi, że to nasz plan.

– To jest nasz plan – odpowiedziała Karris. – Kapitanie, dziękuję. A teraz uciekaj stąd. Na pięć, Gavinie. Dowódcu, ja będę pięć po Gavinie! – krzyknęła.

Gavin już brał rozbieg. Chwiał się, ale zebrał siły. Eutheos go przytrzymał.

– Uciekaj kapitanie i bądź błogosławiony.

Karris stanęła przy krawędzi, żeby obaj ją widzieli.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

I Gavin skoczył tuż przed nią.

Nie patrzyła, bo nie zdążyłaby stanąć na swoim miejscu. Tafok Amagez już pędzili po schodach. Och, do diabła, pięć to za dużo. Przed czwórką będzie już trupem.

Podbiegła do brzegu, kiedy metal przeciął powietrze.

– Pięć, pięć, pięć! – wrzeszczała.

I skoczyła.

Przez jedną przerażającą chwilę spadała. Cała zeszywniała, nie było czasu na modlitwę czy przekleństwo.

I miękka chmura otwartego luksynu Żelaznej Pięści złapała ją w ułamku chwili, a potem podrzuciła.

Nie zgrali się, a rzut był daleki od doskonałości – zamiast chwycić ją na wysokości piersi

i bioder i pchnąć równo, dowódca trafił nieco niżej. Karris przekoziołkowała. Wylądowała plecami na płask w rzece.

Przy tej wysokości połamię się.

Wykręciła się z całej siły. Pierwsza lekcja walki to jak upadać.

Obróciła się przy okazji w bok, jej stopy uderzył wodę, zanim była gotowa, i nagle – czern.

W następnej chwili uświadomiła sobie, że jest pod wodą w kłębach sukni i halek, nie mając pojęcia, gdzie jest góra, gdzie dół, bez powietrza. Zamachnęła się rękami i wypuściła resztki powietrza, gdy zalała ją fala bólu. Lewa ręka bolała ją, jakby ktoś spróbował ją wyrwać, a żebra i lewa pierś zostały zmiażdżone.

Nienaturalna dłoń, bardziej hak niż ręka, złapała jej rozliczne halki i wyciągnęła do góry nogami na powierzchnię. Woda trysnęła jej nosem, a kiedy wreszcie wynurzyła się na błogosławione powietrze, kaszlała, pluła i walczyła z oslepiającymi, duszącymi warstwami materiału.

Benhadad wypuścił pazur z otwartego zielonego luksynu, którym ją wyciągnął, i podał rękę. Karris przez pomyłkę podała mu lewą i pożałowała, kiedy tylko pociągnął. Ból odebrał jej nawet tę drobinę oddechu.

– Ben! – krzyknęła Essen. – Potrzebuję cię. Natychmiast!

Stała nad Gavinem, którego także wyciągnięto z wody. Był mokry, jęczał i trzymał rękę przy krwawiącym oku. Żadna z niego pomoc.

Klientela targu – nieliczna kiedy się zjawili – urosła teraz do gęstego tłumu z powodu wydarzeń w hipodromie i nagłego widowiska w postaci wariatów skaczących z hipodromu do rzeki. Żołnierze próbowali przepchnąć się do brzegu, gdzie zacumowano ślizgacz.

Karris nie widziała, czyi to żołnierze, wypatrzyła tylko walkę w tłumie i kołyszące się czubki muszkietów.

Próbowała się podnieść i zobaczyła Hezika, który wyrwał się z ciżby i pędził do schodów. Przeskoczył połowę pierwszego ciągu stopni.

– Żelazna Pięść każe odpływać. Już! – krzyknął Hezik.

Rozległ się strzał z muszkietu. Ciało, krew i materiał buchnęły z lewego ramienia Hezika. Już zbiegał po drugim ciągu schodów i strzał wytrącił go z równowagi. Przekoziołkował i sturlał się z ostatnich stopni.

Tłum rzucił się do ucieczki i chociaż wielka czarna chmura dymu z muszkietu była dobrze widocznym znakiem, ludzie, którzy nigdy nie brali udziału w walce, wyczyniali najdurniejsze rzeczy. Rozbiegli się we wszystkie strony. Niektórzy zostali zepchnięci z murów i spadali do portu, wrzeszcząc, piszcząc, łamiąc nogi, plecy i karki, łapiąc się tych, którzy ich pchnęli, próbując się ratować.

Inni napierali na żołnierzy, którzy odwrócili muszkiety i zaczęli okładać wszystkich w pobliżu kolbami. Ktoś z tłumu musiał złapać za jeden muszkiet, bo nagle rozległ się strzał w powietrze.

Karris z trudem wstała.

– Zapłon! – krzyknęła do Benhadada, który stał jak sparaliżowany.

– Co? Ja nie... Ja nie krzeszę...

Czerwona soczewka wypadła jej w którymś momencie z oka. Porwała plecak Benhadada. Znalazła krzemień i swoje czerwone okulary. Na skutek bólu w ręce przed oczami pływały jej czarne plamy. Wyciągnęła okulary i założyła je, napełniając lewą rękę czerwonym luksynem.

Odwróciła wzrok w samą porę, żeby zobaczyć jak Hezik z trudem się podnosi – wyglądało na to, że uderzył go jeden ze spadających ludzi. Żołnierz z muszkietem stanął przy krawędzi muru i strzelił.

Hezik padł i rozbryzg czerwieni wyskoczył z jego głowy w powietrze.

– Nie! – krzyknęła Karris.

Krzesząc czerwień po raz pierwszy od sześciu miesięcy, zareagowała, zamiast pomyśleć. Jak dawna Karris, jakby niczego się nie nauczyła. Mając dość czerwieni, żeby nieustannie napływała do jej lewej ręki i podtrzymywała stale płonący słabo ogień, w prawej uformowała czerwoną kulę i cisnęła nią poprzez płomienie w zadowolonego z siebie młodego żołnierza. Trafiła go wysoko w pierś i w brodę. Czerwony płynny luksyn rozbryzgał się po nim, przemoczył go w okamgnieniu, a potem z hukiem strzeliły płomienie.

Wrzeszcząc, odwrócił się do towarzyszy. Jeden z nich spanikowany uderzył go już uniesioną kolbą muszkietu. Płonący mężczyzna spadł z muru i o mały włos nie wylądował na dziecku.

– Mamy rozkaz odpływać! – zawołała Essel.

Zrzuciła linę z knagi na pokład i odepchnęła ślizgacz.

– Czekamy! – sprzeciwiła się Karris. – Zejdź mi z linii!

Zaparła się i uniosła płonący luksyn w lewej ręce, jakby celowała z muszkietu.

– Zabić ich! – rozległ się znajomy głos.

Niech Orholam ją przeklnie, to była Nuqaba we własnej osobie.

Karris wystrzeliła cienką wstążkę czerwonego luksynu w powietrze. Zapalił się szerokim płomieniem. Przeciągała nim w tę i z powrotem po murze i tam, gdzie znajdowali się żołnierze. Cały luksyn spalił się, zanim uderzył w stojących ludzi, ale kłębiąca się ściana ognia nie była czymś, do czego ktokolwiek chciałby podejść. Już sam żar byłby policzkiem w twarz.

– Nie zdoła cisnąć luksynem dość daleko, żeby was trafić! – krzyknęła Nuqaba, gdy tylko Karris pozwoliła, by pierwsza fala płomieni zgasła.

Głupcy nie widzą różnicy między litością a brakiem woli.

Prawda jednak była taka, że zabicie przez Karris jednego żołnierza może zostać przeoczone, uznane za wypadek, ale śmierć kilkunastu stanowiłaby incydent dyplomatyczny, wojnę. Wojnę w trakcie wojny. Wojną z Parią, ich sojusznikiem, Parią, której Chromeria potrzebowała.

Jednak Gavina potrzebowali bardziej.

Karris po raz pierwszy nie wiedziała, co robić.

– Dowódca kazał ruszać! – krzyknęła Essel. – Nawet nie wiemy, czy tędy będzie uciekał!

– Bierzcie się za napęd i obróćcie nas – rozkazała Essel i Ben-hada-dowi Karris – ale czekajcie na mój znak. Będę nas osłaniać. Czekamy na Żelazną Pięść!

I wtedy pocisk ogniowy przeciął łukiem powietrze lecąc w stronę ślizgacza, wpadł do wody z sykiem i buchnął parą. Krzesiciele. Krzesiciele z Tafok Amagez przepychali się już przez tłum.

Jedną rękę miała bezużyteczną, zbliżali się krzesiciele i żołnierze, strzelano do nich z muszkietów, a Karris myślała tylko o tym, że jej prawdziwy problem polega na tym, że nie jest już kapitanem straży w Czarnej Gwardii, w związku z tym nie może wydawać rozkazów i gdy tylko Essel zda sobie z tego sprawę, przejmie dowództwo.

Karris wystrzeliła z całej siły wąski strumień płomienia. Trudno było wymierzyć siłę potrzebną przy zmieniającym się dystansie, ale szczęście się do niej uśmiechnęło. Większość czerwieni spłonęła w powietrzu w przerażającym pokazie, ale odrobina uderzyła w zgromadzonych muszkieterów, w ich broń i piersi.

Natychmiast rozległy się krzyki, ale to były krzyki zaskoczenia i strachu, nie bólu. Ponieważ większość łatwopalnego luksynu wypaliła się, mężczyźni nie zalały płomienie. Mieli poparzone ręce, odrzucili muszkiety, pośpiesznie zdejmowali tuniki, wpadali na siebie, kiedy nawet ci w drugim i trzecim rzędzie zaczęli odsuwać się od kłębow ognia.

– Musimy odpływać, teraz! – nalegała Essel.

Karris znowu się zawahała.

– Już biegnie – wymamrotał leżący na pokładzie Gavin. Mówił jak w delirium. – Nie widzicie go? To anioł walczący w tłumie.

– Traci rozum – powiedziała Essel. – Karris, musimy...

– Zostajemy! – warknęła Karris, ale kiedy tylko słowa opuścił jej usta, wiedziała, że miały więcej wspólnego z czerwienią, którą nadal krzesła dla podtrzymania płomieni w lewej ręce, i zielenią, którą krzesła i która nie pozwalała, żeby dyktować jej, co ma robić. A, także ze strachem spowodowanym tym, co ujrzała w zdrowym oku Gavina.

Niebieskim, niepryzmatycznym oku.

Zanim dym opadł w miejscu, gdzie znajdowały się muszkiety, Karris dostrzegła blask pochodni, błyskawicę rozpraszającą dym od środka. Chwilę potem pojawiło się czterech ludzi Nuqaby z Tafok Amagez. Wojowników-krzesicieli. Jeden miał ręce w czerwonym luksynie, już płonącym. Ciskał ogniowe pociski na prawo i lewo.

Prawą ręką spudłował. Zatem był leworęczny albo była to zmyłka. Karris zyskała czas, żeby cisnąć zielonym pociskiem i przechwycić drugą kulę ognia, zbić ją w bok.

– Ruszać, już, już! – krzyknęła Karris.

Czekać na Żelazną Pięść to jedno, a popełnić samobójstwo to co innego.

Trzech Tafok Amagez zaatakowało, ciskając niebieskimi pociskami, które eksplodowały szrapnelami, zielonymi włócznieami i czerwonym ogniem. Czwarty próbował wystrzelić muszkietu, ale broń nie wypaliła i teraz ją czyścił. Tafok Amagez stosowali brutalną siłę jako krzesiciele – kiedy coś nie ustępowało po pierwszym uderzeniu, uderzali mocniej.

Nie mogąc wykorzystać swojej fizycznej siły przeciwko Karris – zostało im tylko rzucać luksynem naprawdę mocno i szybko – i nie mogąc wykorzystać przewagi liczebnej, żeby ją otoczyć, robili cały czas to samo. Niestety, Karris musiała się nie tylko bronić, musiała ochronić wszystkich na pokładzie i sam ślizgacz. Ze słabą lewą ręką.

Zrobiła kilka uników, przyjmując luksynowe pozycje – zmodyfikowane ruchy zaczerpnięte ze sztuk walki, pozwalające kompensować zakłócenia równowagi spowodowane odrzutem krzesanego luksynu – zawsze pamiętając o pewnym zakotwiczeniu, kiedy lewą ręką stawiała tarcze, a prawą ciskała pociski, kiedy absorbowała uderzenia i zbijała.

Ponieważ od dawna nie posługiwała się luksynem, teraz czuła niezwykły wigor. Jak wypicie kilku filiżanek kofi, którą odstawiło się na jakiś czas, tak samo luksyn uderzył w nią z mocą. Dzika energia zieleni szalała w niej mimo obrażeń, żar czerwieni wypalał w niej ból. Jednak wieloletnie doświadczenie pozwalało jej zamienić tę energię i pasję w ostrze.

Była szybka, szybsza niż kiedykolwiek. Działała instynktownie, zestrzeliwała pociski wroga własnymi, dokonując niemożliwych trafień z niemożliwą prędkością. Lewa, lewa, lewa – kiedy zdali sobie sprawę z jej słabej strony – i prawa, i wysoko, i odwrócenie ogromnej kurtyny ognia, którą czerwony próbował zrzucić na nich z góry.

To trwało tylko kilka sekund, ale z powodu furii ataku wydawało się, że przeciągało się w wieczność. Essel i Benhadad ciskali luksynem w słomki, ale bezwładność ślizgacza była znaczna – jego własna waga i ciężar czterech osób, a Essel i Benhadad nie byli szczególnie silni, ani fizycznie, ani jako krzesiciele.

Wystarczy jedna pomyłka.

Kolejni Tafok Amagez dołączyli do pierwszych, przystanęli tylko na chwilę, żeby zorientować się w sytuacji. Pół tuzina więcej.

Zbyt wielu, a ślizgacz nadal był zbyt blisko.

I wtedy czwarty wstał z oczyszczonym i naładowanym muszkietem. Karris dostrzegła go i napełniła ją groza. Przecucie, które odcięło jej powietrze, jakby napiła się smoły.

Nie mogła kontratakować – pociski i ogień leciały zbyt gęsto. Mężczyzna wycelował z muszkietu.

Wtedy Karris usłyszała znajomy okrzyk – ryk mężczyzny.

Niebieski klin, trójkątne tarcze wysokości człowieka pojawiły się za czwórką Tafok Amagez. Nawet go nie zauważyli. A potem wynurzyła się ogromna postać, która trzymała klin jak taran i pędziła z ogromną szybkością. Klin pękł, kiedy Żelazna Pięść uderzył w Tafok Amagez.

Wymachując szeroko muskularnymi rękami, wydając z siebie legendarny okrzyk, który sprawiał, że kolana uginały się pod wrogami w całym Siedmiu Satrapiach, trzymając tarcze z niebieskiego luksynu po obu stronach, Żelazna Pięść przebił się przez Tafok Amagez. Zeskoczył z muru, wystrzeliwując tarcze za siebie, w żołnierzy, co sprawiło, że poleciał z nieprawdopodobną prędkością.

Wykręcił salto i przez chwilę wydawało się, że uda mu się dolecieć do wody, ale zamiast tego spadł z tej ogromnej wysokości na kraniec nabrzeża. Lądując, wystrzelił potężny strumień niebieskiego luksynu, ale uderzenie nadal było na tyle silne, że zatoczył się, a drewno pomostu popękało.

Tunikę miał rozdarta, krew płynęła z rozcięcia na skroni, ale zebrał siły i napełnił się błękitem.

Karris widziała już kiedyś, jak Żelazna Pięść biegnie po wodzie. Krzesił wąską niebieską platformę, na wpół unoszącą się na wodzie. Dawał radę przebiec tak pięćdziesiąt stóp albo więcej, a ślizgacz nie oddalił się jeszcze tak bardzo. Serce wezbrało jej nadzieją.

Wśród Tafok Amagez za jego plecami zapanował chaos. Kilku zostało zepchniętych z muru. Niestety, kiedy Żelazna Pięść krzesił, dysząc ciężko po Orholam wie jak straszliwej walce, gdy przebijał się przez tłum, Karris zobaczyła żołnierza z muszkietem. Znajdował się daleko i jako pierwszy się otrząsnął, uniósł muszkiet z łatwością i precyzją, która powiedziała Karris, że to będzie dla niego łatwy strzał.

Znajdował się za daleko, żeby trafiła go wykrzesanym pociskiem. Karris strzelała szybko. Strzelała celnie. Ale nie aż tak szybko i tak celnie. Usłyszała strzał, zobaczyła gwałtowne szarpnięcie muszkietu i dym unoszący się z lufy... ale mężczyzna w ostatniej chwili drgnął i nie trafił.

Karris zdała sobie sprawę, że wystrzał, który słyszała, rozległ się za nią. Niemal pod

nią. Młody strzelec na murze wypuścił muszkiet i martwy spadł na nabrzeże.

I wtedy ślizgacz nabrał szybkości, Żelazna Pięść wskoczył na pokład i niecałą minutę później bezpiecznie śmigali w dół rzeki, wyprzedzając wszelki rozkaz zatrzymania ich, jaki mógł nadejść.

Karris spojrzała na Gavina, który leżał zakrwawiony na pokładzie, nadal trzymając dymiący muszkiet, z którego strzelił, ratując Żelaznej Pięści życie.

Uśmiechał się od ucha do ucha. Krew z wypalonego oka spłynęła mu do ust, barwiąc zęby na czerwono.

– Nie tak całkiem bezużyteczny. Jeszcze nie – powiedział.

I stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 87

Pukanie i znajomy kobiecy głos:

-Kip?

Kip nie wiedział, jak długo stał w ciemności pokoju. Czy czas miał jeszcze jakieś znaczenie? Myślał, że może ta ciemność przywoła z powrotem kartę czarnego luksynu. Nie zobaczył jej całej.

Nie wróciła. Nie miał pojęcia, jak świadomie ją przywołać. Było tak wiele spraw, o których musiał pomyśleć i zdecydować – teraz, w tej chwili, natychmiast – że aż go to sparaliżowało. Nie potrafił o niczym myśleć. Jego życie właśnie miało zmienić się nieodwołalnie, a on chciał obejrzeć jakąś kartę?

Jasne, jeśli miał rację i oglądanie – tudzież przeżywanie, przypominanie, czy co właściwie wyprawiał z tymi kartami – odbywało się niemal natychmiast, to teoretycznie mógł doświadczyć ich, ile zechce, i nie stracić czasu. Jednak z jakiegoś powodu był niemal pewien, że to tak nie działa. Nawet gdyby wymyślił, jak przywołać kartę, czuł, że to mogłoby usmażyć ten maleńki sporadycznie używany groszek między jego uszami.

Ta myśl przypominała mu o bólu głowy.

Pukanie do drzwi. Znowu. Czekał, to już drugi raz, prawda?

Uderzył panel kontrolujący oświetlenie i kolana niemal ugięły się pod nim, kiedy światło przypiekło mu oczy, paliło jak kamienna sól wgnieciona w otwartą ranę na mózgu. Oparł się o framugę, z trudem łapiąc powietrze, i otworzył drzwi.

– Kip? Nic ci nie jest?

O, do diabła. To nie była Teia. Dlaczego myślał, że to Teia?

Bo Teia to jedyna dziewczyna, która ma powód odzywać się do ciebie.

To była Tisis.

– Masz kaca? – spytała.

Jestem olbrzymem obudzonym przez zabójców we własnym łóżku. Z rykiem łapię mężczyznę pochylającego się nad moim łóżkiem i walę nim tak mocno o marmurową ścianę, że czaszka pęka, krew tryska. Ostra stal rozdziela mięśnie mojej nogi, głęboko, aż pali. Wyskakuję z łóżka, ale głowa mi płonie od kaca, czarne plamy tańczą przed oczami.

Zostało ich czterech; niechluj, a nie zawodowcy. Najbliższy dźga. Odpieram cios, chociaż płacę za to krwią. Dźwignia na rękę, wybijam mu ją ze stawu, walę pięścią w jego

twarz tak mocno, że pękają kości... Do diabła – i kości jego twarzy, i moje kostki. Przecież stać mnie na więcej!

Ryczę i widzę strach, który ogarnia pozostałych...

– Nie – odpowiedział Kip. – To, ehm, choroba świetlna.

Jej twarz łagodnieje.

– Trzeba czasu, żeby przywyknąć do krzesania, hę? Tak łatwo przesadzić na początku.

Jak zaczynałam, też parę razy zaliczyłam chorobę świetlną. – Mimo zmartwień, które przysiadły na jej ramionach jak kuguar czający się na ofiarę, uśmiechnęła się szeroko. – No dobrze, może więcej niż parę razy. Zieleń, sam rozumiesz.

Jest piękna.

Mogę iść z nią do łóżka. Tyle razy, ile zechcę. Ehm, tyle razy, ile mnie dopuści. A to może nie być aż tak dużo, jak się nad tym zastanowię, ale z pewnością więcej niż zero. W końcu trzeba skonsumować małżeństwo.

Andross Guile się mylił. Jeśli coś było nie tak z libido Kipa, to chodziło o to, że miał go za dużo. Wątpił jednak, żeby miał okazję zaspokoić je w najbliższym czasie. Raczej „pewnego dnia, kto wie kiedy, nie myśl więc o tym, bo będziesz jeszcze bardziej przygnębiony niż zwykle”.

Chociaż rozpaczliwie tego pragnął, nie chciał, żeby to wypadło rozpaczliwie. Wymuszenie tego na Teii, kiedy jeszcze była niewolnicą, byłoby złe.

Oczywiście, wymuszenie tego na niej teraz, też nie byłoby dobre... Och, jego mózg zajmował się w tej chwili tylko jedną rzeczą, to znaczy bolał tak bardzo, jak to tylko możliwe.

A gdyby poszedł do łóżka z Tisis i wzbudził w niej obrzydzenie po zdjęciu ubrania? Gdyby dostrzegła jego tuszę i wzgardziła nim? Jak ktoś tak piękny, ktoś, kto mógłby trafić o wiele lepiej, mógłby go znieść?

Ach, czyli nie jesteś cnotliwy, po prostu się boisz.

– Kip, wiem, że powiedziałam ci, że masz tydzień na decyzję co do... no wiesz, mojej propozycji. Nawiasem mówiąc, nie rozegrało się to dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, i z pewnością... W każdym razie wiem, że dałam ci tydzień, ale muszę wcześniej poznać twoją odpowiedź.

– Wcześniej?

– Znaczy teraz. – Skrzywiła się przepaszająco. – Muszę opuścić Jaspisy. Idę do portu, kiedy tylko wyjdę od ciebie.

– Nie masz żadnych rzeczy. Ubrań. Sam nie wiem. Klejnotów, kosmetyków? Cokolwiek masz.

Kip czuł się tym głupszy, im więcej mówił.

– Moi niewolnicy przemyślili już na statek. Teoretycznie jestem jeńcem Chromerii, więc nie wolno mi wyjeżdżać bez pozwolenia. Nie mogę niczego samej nieść, bo szpieczy twojego dziadka zorientowałyby się, że wyjeżdżam.

– Och.

Rzecz jasna na to już było za późno. Andross o wszystkim wiedział. Zawsze wszystko wiedział. Niech go diabli wezmą. Niech go wrzucą do płonących czeluści.

Ogień. Ogień pożera kobietę, jej skóra zwija się, krew syczy, gotując się...

Oddychaj. Oddychaj. Wracaj do teraz, zostań tu, Kip.

A Kip nadal nie zdecydował, co robić. Powinien był rozważyć za i przeciw w ciągu ostatnich kilku dni, kiedy miał szansę zastanowić się, nie będąc rozpraszanym widokiem pięknej kobiety stojącej naprzeciwko.

Kip Pyskacz. Wykorzystaj to do swoich celów.

-Wiesz, właściwie to jeszcze nie zdecydowałem. Powinienem był rozważyć za i przeciw w ciągu ostatnich kilku dni, kiedy miałem szansę zastanowić się, nie będąc rozpraszanym widokiem pięknej kobiety stojącej naprzeciwko. Jesteś piękna. Wiesz, jak działasz na mężczyzn. Czy ty mnie uwodzisz?

– Słucham? – zapytała z niedowierzaniem. – To znaczy, dziękuję, ale o czym ty mówisz?

– Czy próbujesz mnie uwieść?

Nagle się zakłopotowała.

– Myślałam, że nie interesują cię kobiety.

-Co?!

– Rozpytywałam się trochę, kiedy zwlekałam i próbowałam zorientować się, jak cię zagadnąć, i nikt nie pamiętał, żebyś kiedykolwiek zainteresował się jakąś dziewczyną. Mówili, że miałeś osobistą niewolnicę i nigdy z nią nie sypiałeś, więc pomyślałam, że albo w ogóle cię nie interesuje, albo wolisz chłopców. To dlatego, ehm, próbowałam odwołać się do twojej lepszej natury. Uwierz mi, gdybym myślała, że wystarczy ci błysnąć dekoltem, zrobiłabym to w jednej chwili.

– Co? Co? Co?

A potem Kip nic na to nie mógł poradzić i wybuchł śmiechem.

Jego dziadek miał rację – potwornie irytujący fakt – co do Tisis. I miał rację z zupełnie niewłaściwych powodów. Pomyślał, że poprosi Kipa o ratunek, bo jest subtelna, a zrobiła to, bo wzięła Kipa za homoseksualistę.

– Ogromnie przepraszam – powiedziała Tisis. – Znaczy nie jesteś...

– Nie – odpowiedział Kip, nadal szczerząc zęby w uśmiechu. – Nie jestem homoseksualistą i nie... ehm, cóż znaczy jestem aseksualny, ale nie z wyboru. Znaczy jestem prawiczkim, ale...

Zacisnął powieki. Naprawdę powiedział to na głos? Orholamie, niech podłoga się pod mną otworzy i mnie pochłonie. Otworzył jedno oko. Tisis stała z rozdziawionymi ustami.

Kip Pyskacz – wykorzystaj to, obróć kota ogonem.

– I w związku z tym mówię, że moim zdaniem jesteś bardzo piękna, Tisis, i to nie tylko w jakimś abstrakcyjnym rozumieniu. Mój wcześniejszy bezstronny pociąg do ciebie, w zrozumiały sposób przygaszony przez przeświadczenie, że chciałaś mnie zabić, nieustannie i przedziwnie przybiera na sile i staje się coraz bardziej osobisty.

Zauważył, że ten zawily komplement ją rozgrzał. Zarumieniła się lekko i spojrzała na niego w inny sposób.

Zanim zdążyła się odezwać, Kip dodał:

– Jednak pociąg, niezależnie od tego, czy to zwykłe zadurzenie chłopca, za jakiego mnie masz, czy też coś silniejszego i wartego rozważenia, nie ma tu nic do rzeczy. Ta kwestia leży w ogóle poza dyskusją.

Widział, jak analizuje jego słowa, i zauważył, że jest pod wrażeniem. Jednak jej uwaga nie była teraz uwagą, jaką skupiasz na dziecku, które uważasz za nad wiek dojrzałe. W jej oczach drobne zielone kielki szacunku zaczęły wychodzić z ziemi.

– A zatem – powiedziała – skoro nie w tym rzecz, to w czym?

– Jeśli to zrobię, zadrę z dziadkiem. On nie jest już tylko Czerwienią. Jest promachosem, a był wystarczająco przerażający, kiedy był tylko Czerwienią. Nie wybacza obrazy. Potrzebuję twojej ochrony i ochrony twojej siostry Eirene, i to przez co najmniej kilka lat.

To była po części prawda, ale w większości to było kłamstwo i Kip czuł zakłopotanie, że tak łatwo je wypowiedział. Ona jednak uznała, że zakłopotanie wynika z faktu, że potrzebuje ochrony ze strony kobiet. A on spędził dość czasu w towarzystwie Bieli i Karris, żeby być jak najdalszym od takiego sposobu myślenia.

– Kip, twój dziadek nie ruszy za tobą w czasie wojny. Gdyby to zrobił, straciłby nie tylko moją rodzinę, ale cały Ruthgar. A po wojnie... Kto w ogóle sięga myślą tak daleko?

Miała rację. Jako małżeństwo polityczne ten mariaż był daleko korzystniejszy dla Guile'ów niż dla Malargosów. Chociaż Tisis czuła, że ma wątplą pozycję – a Andross rozmyślnie wyizolował ją, żeby odczuła to jeszcze silniej – musiał mieć pewność, że Ruthgar zdecydowanie stanie po stronie Chromerii. Wojna nadeszła, a bezdenne szkatuły rodu Malargos będą niezbędne, żeby sfinansować walkę.

Andross wzmocni flanki i pozbędzie się Kipa z Chromerii, gdzie mógłby narobić kłopotów. Jeśli Kip go zdradzi, Andross i tak zrealizuje te cele. Jeśli zaś będzie mu posłuszny, Andross umieści szpiega w samym sercu rodziny Malargos.

Kto by planował, co stanie się po wojnie? Andross Guile.

A co Kip otrzyma za swój udział? Żonę, która odziedziczy fortunę, wpływową pozycję, reputację, bo przeciwstawi się dziadkowi, co zostanie uznane za przejaw niesamowitej odwagi, jeśli mu się upiecze. Po wojnie „pogodzą się” i wszystko będzie w najlepszym porządku. Jeśli idzie o polityczne mariaże, Kip mógł trafić znacznie gorzej.

Właściwie to lepiej trafić nie mógł.

Odkąd do rozgrywki wszedł Zymun, Kipa można było poświęcić.

– O czym myślisz, mała burzowa chmuro? – zapytała Tisis, drocząc się z nim.

Nie ma wyjścia.

A może myśli o tym w niewłaściwy sposób.

Chcę przeciwstawić się mojemu dziadkowi, bo jest dupkiem, bo był okrutny i obraził mnie, bo próbował mnie zabić.

To było zanim mnie poznał.

Próbował zabić Gavina.

Nie, próbował zdobyć Nóż. Gavin wszedł mu w drogę. Dopóki to rozumiesz, nie można mu się przeciwstawić – Andross był zadziwiająco logiczny.

Andross Guile nie miał przyjaciół. Miał użytecznych sprzymierzeńców i wrogów.

I wtedy nagle Kip zrozumiał część tego człowieka; to była myśl naga, czysta i prawdziwa. Życie dla niego było grą w Dziewięć Króli. Miał przeciwników i robi wszystko co w jego mocy, żeby ich zniszczyć. Jego przeciwnicy mieli karty, które on zniszczy albo przekupi. On sam jednak był tylko Mistrzem. Własne karty chronił, dopóki były użyteczne, niszczył bez zastanowienia, jeśli to umożliwiało mu zrealizowanie swoich celów, albo ścigał mściwie, jeśli ośmieliły się zagrać przeciwko niemu. Jego działania były właśnie tak zimne i skuteczne. Kip próbował rozgryźć, czego ten starzec chciał. Co motywowało Androssa Guile, żeby pracować tak ciężko, sięgać planami tak daleko? Nie wydawało się, żeby chodziło o pieniądze, chociaż miał ich mnóstwo. Nie o kobiety, chociaż miał osobiste niewolnice. Nie o ojczyznę, Orholama czy nawet władzę, jak ją rozumieli inni. Człowiek, którym kierowałyby żądza władzy, z pewnością chciałby, żeby widziano w nim pana innych. Andross Guile przez wiele lat był po prostu jednym z członków Spektrum.

Może w przypadku Androssa to było znacznie subtelniejsze i jednocześnie prostsze – chciał wygrać. Nie obchodziło go, czy ktoś będzie wiedział o tym zwycięstwie; ci, którzy się liczyli, będą. Inni go nie obchodzili – komu pochlebiają pochwały robactwa? Zdobycie tytułu cesarza nie było konieczne. Jeśli dierzysz cesarską władzę, jeśli twoje imię staje się synonimem dla cesarza, czy nie jest to większe osiągnięcie?

A kiedy Kip pomyślał o tym w ten sposób, przynajmniej jeszcze jeden fakt wyszczerzył na niego kły – status Kipa jako wroga Androssa Guile nie musi koniecznie się zmienić po

upływie czasu. Jeśli za siedem lat Andross będzie miał w ręku lepsze karty niż Kip, to prędzej Kipa zniszczy niż nagrodzi.

I tak wygląda propozycja dla mnie. Bierz to albo odrzuć. Miej oczy otwarte.

A jednak... spełnić wolę Androssa Guile? Wszystko w nim buntowało się przeciwko temu.

Jednakże, o ile w przeszłości Kip mógłby beztróska zaryzykować własne zniszczenie, o tyle teraz jego działania wpłyną na losy ludzi, na których mu zależało. Nie chodziło o to, co jest słuszne, a co nie, ale o to, co jest mądre, a co głupie.

Niczego nie zyska, sprzeciwiając się Androssowi Guile. Nie będzie miał najmniejszej szansy na zwycięstwo. Dlaczego więc było to tak trudne?

– Po prostu myślę o moim dziadku – odpowiedział wreszcie na pytanie Tisis. – To nie jest człowiek, w którym chce się mieć wroga.

– Ani też przyjaciela, co?

– On nie ma przyjaciół.

– Wiem. Dwa razy dałam się wplątać w jego intrygi i za każdym kończyłam, nienawidząc siebie prawie tak samo mocno jak jego.

– On ma taki wpływ na ludzi – przyznał Kip. – Ale... skąd mam wiedzieć, że oddanie się w ręce twojej siostry nie okaże się wielkim błędem? Nawet jeśli jest tu Andross, to są też moi przyjaciele, a w każdym razie ci nieliczni, których w ogóle mam.

– Moja siostra będzie wiedziała, że wykonałam najlepszy ruch w mojej sytuacji, a nawet jeśli nie, jest moją siostrą. Kocha mnie i nigdy nie odwróci się do mnie plecami.

To musi być miłe.

Kipa łączyła taka więź z oddziałem. Jednak już ją tracił. Cokolwiek zrobi, nieubłaganie odchodzili z jego życia.

Jedyna dobra rzecz, jaką mam, już gaśnie.

– Zróbmy to – powiedział. Spojrzał na Tisis, a potem na swoje buty i znowu podniósł wzrok. – Ehm, jak to załatwimy?

– Dzisiaj jest już za późno. Trzeba będzie zrobić to o świcie. Spotkamy się z luksjatem, którego znam, w małej świątyni naprzeciwko Rozdroża. Znasz to miejsce?

– Znam Rozdroże. To dawna ambasada tyrtejska. Wystarczy, żebym znalazł świątynię. Nie lepiej byłoby iść teraz i poprosić, żeby ślubu udzielił nam kapitan statku?

– Tak i nie. Potrzebuję ślubu udokumentowanego, oficjalnego, tutaj, ze świadkami, udzielonego przez luksjata o dobrej pozycji, w przeciwnym wypadku twój dziadek mógłby go anulować.

– Mądrze – przyznał Kip.

Bo rzeczywiście to było mądre. Może była bystrzejsza niż myślał.

To okropne myśleć tak o swojej przyszłej żonie.

Tisis się rozpromieniła.

– Dzięki.

-To...

– Nie, serio. Dziękuję. Żeby Guile pochwalił moją inteligencję? To nie jest coś, co nam, śmiertelnikom, często się przydarza. Przecież widziałam, jak stoisz i myślisz, kiedy zadałam ci pytanie. Pewnie byłeś siedem rozwidleń dalej na krętej drodze swojego umysłu, nie?

– Ehm. Tak? – odpowiedział pytająco Kip.

Nie bardzo wiedział, czemu to zabrzmiało jak pytanie. Pewnie dlatego, że podziwiała go kobieta. Nie przywykł do tego. Rety, jaka ona była śliczna.

– Całymi tygodniami myślałam o tym wszystkim i zarazem starałam się nie myśleć, mówię ci o tym, a ty to rozgryzasz w kilka minut. To byłoby irytujące, gdyby mi tak nie imponowało. I to jest nie tylko imponujące. To niemal równie atrakcyjne jak to. – Podeszła i położyła delikatne dłonie na jego ramionach. – Mogę to powiedzieć? Czy pomyślisz, że za śmiało sobie poczynam?

Wiedział, że ma szerokie ramiona – w końcu to wynikało z budowy jego kośćca, nie? Wywodził się z linii barczystych mężczyzn. Nigdy jednak nie myślał o nich jako szerokich barkach, kiedy mówi się „barczysty mężczyzna” w sensie komplementu. Kip był duży. Prawda? Kiedy jednak położyła dłonie na jego ramionach, nie mógł nie być świadomy swoich mięśni i tego, że uważała jego barki za szerokie, że uważała go za barczystego i że był to komplement. Czuł, że mózg mu dymi, tak szybko myślał. Zaraz, uważała jego ramiona za atrakcyjne?

Nigdy nie myślał o swoich ramionach więcej niż może ze trzy razy w życiu. A i to tylko wtedy, kiedy próbował przysiąc się w kaplicy i nie było miejsca w ławce obok innych barczystych kadetów Czarnej Gwardii. Uważała, że jego ramiona są atrakcyjne?

Stała tuż przed nim. Tak blisko. Umysł mu się zaciął... Ramiona? Ramiona? Rety, jej usta były takie bliskie i takie pełne, jej oczy były duże i szmaragdowozielone na tle zieleni, fantastycznie oszałamiające, jej rzęsy długie, policzki różowe... może zawsze były różowe, a może to tylko makijaż? I dlaczego on, z jego pamięcią Guile'ów, nie pamiętał, czy były różowe przed tą chwilą? I, Orholamie zlituj się, krew mu napływała do policzków, i, i, i, powinien coś zrobić, nie? Tak. Powinien.

Powinien ją pocałować. Psiakrew.

Powinien ją pocałować teraz, zanim chwila minie. A jeśli ona nie chciała, żeby ją pocałował? Jeżeli źle odczytywał sygnały? Nigdy dotąd nie dawano mu sygnałów. Może dobrze podejrzewał, że ona chce, żeby ją pocałował, a może ona wysyłała całkiem inne

sygnały. Orholamie, zlituj się, jeśli chciała, a on przegapi sygnał, uzna go za skończonego idiotę. Był młody, młodszy od niej, ona znowu zacznie myśleć o nim jak o dziecku i na zawsze straci jej szacunek. Może nawet Tisis odwoła ślub.

Czekaj, zadała mu pytanie, prawda? Ale o co... Jakim cudem o wszystkim zapominał?!

Uszy mu płonęły, a ramiona miał napięte jak bębny pod jej dłońmi. Zabrała rękę z jednego ramienia, a on omal nie skoczył, napięty ze zdenerwowania jak struna. Zakłopotany spojrzał pod nogi, nie potrafiąc spojrzeć jej w oczy. Całkowicie zawałił sprawę.

A niech to wszystko diabli!

Gdy spuścił wzrok, nie zobaczył stóp, bo spojrzał prosto w jej dekolt. Na Orholama... piersi. Zamarł. To dopiero była świętokradcza myśl. Ale przecież nigdy szczególnie nie martwił się świętokradztwem, kiedy mówił „na jaja Orholama”, a z pewnością Orholam stworzył zarówno jaja, jak i piersi, nie? A potem, kiedy zdał sobie sprawę, że zamarł, patrząc na jej piersi... Nie, nie, wcale nie patrzył. Patrzenie znaczyłoby, że spojrzał. A to trwało i trwało, czyli co najmniej się gapił. Będzie miał siwą brodę, zanim przestanie. Może nawet wlepiął wzrok. Wlepianie sugeruje celowość, a wtedy wydaje się już odrażające, a on przecież nie... on to tylko...

Na piersi Orholama. To trwało za długo. Nie mogła nie zauważyć. Podniósł wzrok z grymasem.

– Cokolwiek powiem, to tylko pogorszy sytuację, co? – spytał.

– Cii – powiedziała ze współczującym uśmiechem. – Rozluźnij się. – Podniosła jedną z jego rąk, która wisiała sztywno jak kij przy jego boku, i pociągnęła ku swojej talii. – Tak się składa, że uważam to za słodkie.

Słodkie. „Słodkie” mówi się o szczeniakach i szkrabach. Nie ma mowy, żeby powiedzieć „słodkie” i nie zagruchać tego, jakby się mówiło do niemowlaka: „Och, jaki słodki”. A potem dorzucić uszczypnięcie w policzek.

Wzięła jego drugą rękę i położyła sobie na karku. Przysunęła się, przyciskając się do niego.

Właśnie pozbawiono mnie męskości. Przez moją własną głupotę i towarzyską nieudolność. Słodkie. Do diabła, Kip, oto twoja szansa, a ty... Ejże, co ona...?

Tisis pochyliła jego głowę ku sobie i pocałowała go delikatnie w usta.

Kip... Zatracił się na kilka chwil w słodkim zapachu jej oddechu (Kto ma słodko pachnący oddech? Oddech jest w najlepszym razie neutralny!), słodkiej, delikatnej wilgoci ust i słodkim nacisku ciała.

Och. O rety.

Wypuściła go, a on, jak odrętwiały, dał jej się odsunąć.

– Kip, wiem, że ledwie się znamy, ale uważam twoją dziwną mieszanicę niewinności i siły za... upajającą.

Kip przełknął ślinę.

-To chyba dobrze, że już się czerwienię po... tamtym.

– A dlaczego to dobrze?

Bo w przeciwnym wypadku krew nie wiedziałaby, na który koniec płynąć.

– Bo nie muszę się męczyć i od nowa czerwienić.

Roześmiała się, a on ukradkiem zerknął jej w dekolt. I poczuł się dziwnie. Teraz, kiedy byli właściwie zaręczeni – bo byli teraz zaręczeni, prawda? – czy powinien patrzeć na nią śmiało? Czy może byłoby to lubieżne gapienie się?

Orholamie, ja nic nie wiem!

Zerknął na drzwi.

– Co robisz? – spytała.

– Szczerze?

– Szczerze.

– Miałem nadzieję, że źli ludzie wyłamią drzwi i będę musiał z nimi walczyć. Wiem, jak radzić sobie z tego typu sytuacjami.

– Prawiczek, co?

Jęknął.

– Miałem nadzieję, że udało mi się ukryć ten fakt pod lawiną słów. Zacisnęła usta. Oczy jej zabłysły.

– Możliwe, że dało się zauważyć jeszcze jedną wskazówkę tego stanu albo dwie.

Kip ukrył twarz w rękach.

– Orholamie, zabierz mnie teraz. Jestem śmieszny.

– Już ci powiedziałam, że jesteś słodki.

– Kobieta nie weźmie do łóżka mężczyzny dlatego, że uważa go za słodkiego – wyrwało mu się.

– Ta owszem – odparła równie szybko.

Nagle Kipowi zaschło w ustach.

– Zajmiemy się twoim małym kłopotem.

– Moim... Hę? – Zupełnie jakby mówiła w obcym języku. Co miała na myśli? Jego niedostatki? Niezręczność? Zakłopotanie? Totalną bezradność?

– Twoim dziewictwem.

– Och!

Orholamie, musiała to mówić na głos? A jeśli ktoś przechodził korytarzem? Z pewnością słowo „dziewica” przyciąga więcej uwagi niż dowolny inny wykrzyknik.

– Tak, tak, oczywiście – powiedział Kip. – To znaczy tak. Naprawdę bardzo chętnie. –
Zarzucił plecak na ramię. – Uwierz mi, nie mogę się doczekać.

– Teraz.

Zamknęła drzwi, zerknęła na jego łóżko, uśmiechnęła się. A chociaż jej słowa były śmiałe, było coś nieśmiałego w jej uśmiechu i z pewnością w rumieńcach na policzkach, które im towarzyszyły. Policzki były bardziej różowe niż przedtem. Zdecydowanie bardziej.

A Kip Pyskacz nie miał nic do powiedzenia.

– W końcu – dodała – statek nie odpłynie beze mnie, prawda? A teraz rozbieraj się.

Dźwięk, który wyrwał się Kipowi z ust wcale nie był piśnięciem. Do diabła.

Znowu spojrział na drzwi z tęsknotą. Rozbierać się? Tu? W pełnym świetle? Wiedział, że nie jest tak gruby jak kiedyś... Ale widział Tisis nagą, Niesamowite, jak dobrą pamięć miał do takich rzeczy. Była przepiękna, a on... Wyglądał jak pieprzony żółwio-niedźwiedź.

Może „pieprzony” to niewłaściwa przydawka.

I wtedy wyobraził sobie kopulującego żółwio-niedźwiedzia.

Aj!

Nie mogę przestać myśleć. Jestem z piękną kobietą, która chce się kochać, i stoję tu jak skończony niekopulujący żółwio-niedźwiedź. I myślę.

Może gdyby pocałowała go raz jeszcze, mózg by mu całkiem się rozpuścił i myśli zginęłyby w różowej chmurce jej objęć, ale to „rozbieraj się”?

– Czekaaj, czekaaj – powiedziała. – Masz rację. Widzę, że się nad tym zastanawiasz, i nie dlatego, że chcesz mnie odrzucić, ale na wypadek gdyby coś poszło nie tak przed naszym wejściem jutro na statek. Nie powinniśmy. Zresztą siostra by mnie zabiła. Chociaż sama nie jest cnotliwa, hipokrytka. – Rzuciła tę obelgę tak, jak mógłby to powiedzieć ktoś, kto jest bardzo związany z siostrą. Znała ją, ale jej nie potępiała. – Zawsze chciała mnie drogo sprzedać; cały czas mówi: „Nie oddajesz towaru, dopóki nie dostaniesz złota”, i jestem pewna, że zapyta, nawet jeśli wszystko ułoży się doskonale. A zawsze wie, kiedy kłamię. Mogę poczekać jeden dzień. Ty też, prawda? Nie chciałam cię podpuszczać.

– Hę? Hę?

Mam rację?

– To moja wina. Jestem kapryśna. Przepraszam. Jutro. Albo wynajmiemy pokój w Rozdrożu, albo będzie musiała nam wystarczyć kapitańska kajuta na statku. Pod pewnymi względami duży pokój to marnotrawstwo, nie uważasz? Wiem, że nie będę chciała wychodzić z łóżka przed dłuższy czas.

– Ja, ja – zająknął się Kip.

Hę? Co? Krew nie wracała do właściwych miejsc dostatecznie szybko.

– Nie martw się, wynagrodzę ci to, obiecuję – powiedziała i położyła dłoń na przodzie

jego spodni.

Kiedy wiosną potężne burze przewalały się nad Jaspisami, błyskawice często uderzały w szczyty wież Chromerii. To było to. Po tysiąckroć.

– Och – mruknęła – zdecydowanie zainteresowany.

Gest był wręcz idiotycznie czarujący, bo zaczerwieniła się przy tym straszliwie, jakby zachowała się potwornie nieprzyzwoicie i nie mogła uwierzyć we własną śmiałość. Mimo to nie zabrała ręki.

– Kip, wiem, że nie mieliśmy najlepszego startu, to moja wina, ale...

Ktoś zapukał do drzwi.

Tisis zabrała rękę zawstydzona, ale szybko odzyskała panowanie. Uniosła brew.

-Widzisz, czego nam oszczędziłam? To dopiero byłoby niezręczne – szepnęła.

Kipowi odjęło mowę. Nadal mrugał zaczerwienionymi oczami, jakby zanurzono go w wielkiej mydlanej wannie z „nie mogę uwierzyć, że to się dzieje” i do oczu dostało mu trochę mydła „naprawdę będę uprawiał seks”.

Jednakże jakaś mądrzejsza część jego osoby pozostała oderwana. Jesteśmy dziećmi, oboje, bawiącymi się w dorosłych; wkładamy za duże dla nas buty i dziwimy się, że się potykamy.

Tisis znowu szeptała i tym razem była już tylko sobą, szczerą i trochę przestraszona.

– Kip, ktokolwiek to jest, nie mów mu, że tu jestem.

Stanęła przy drzwiach.

Kip poruszył bezgłośnie ustami, ale nic nie powiedział. Podeszedł do drzwi i uchylił je trochę, nie za mało, żeby nie budzić podejrzeń, ale też nie zachęcając do wejścia do środka.

– Och, Kip! Orholamowi niech będą dzięki, jesteście! – powiedziała Teia.

ROZDZIAŁ 88

Nie nadszedł jeszcze świt Dnia Słońca, kiedy Karris, dowódca Żelazna Pięść i ich drużyna dopłynęli na tyle blisko, by ujrzeć Wielki Jaspis. Wyczerpani napędzaniem ślizgacza aż do Rath i późniejszą walką nie byli w stanie wrócić przed końcem dnia, chociaż była to wigilia najdłuższego dnia w roku. Tylko dzięki Ben-hadadowi, młodemu geniuszowi, zdołali dopłynąć do domu, nawigując według gwiazd.

Wykrzesał z pamięci doskonale działające astrolabium, wyliczył szerokość geograficzną, oszacował prędkość wiosłowania, pamiętał szerokość, na jakiej leży Wielki Jaspis, i powiedział, że mogą dotrzeć przed świtem, jeśli będą wiosłować całą noc, a potem pilnował, żeby trzymali kurs.

I prawie mu się udało. Karris myślała, że nie sposób przegapić ogromnych wież Chromerii, ale późną nocą podniosła się niska mgła i chociaż nadal byli w stanie kierować się widocznymi w górze gwiazdami, wylądowali na zachód od Wielkiego Jaspisu. Całkiem ominęli Mały Jaspis.

– Może to i dobrze – powiedział cicho Żelazna Pięść.

Miał z Karris ostatnią zmianę przy wiosłach. Pozostali nadal spali. Chociaż prawie nadszedł już czas pobudki.

– Świetlana Gwardia będzie w porcie Chromerii. Nie oddam im Gavina – dodał.

– Przede wszystkim potrzebuje konsyliarzy. Amalu i Adini. Zachodnie nabrzeże znajduje się blisko ich domu.

To byli najlepsi konsyliarze na Jaspisach, może nawet we wszystkich satrapiach. Zbili majątek przed dwie dekady, lecząc arystokratów i Kolory, ale potem uwolnili swoich niewolników i złożyli śluby religijne, że będą leczyć biednych na Wielkim Jaspisie.

– Karris – odezwał się Żelazna Pięść po paru kolejnych pociągnięciach wiosłami – to Dzień Słońca. Jeśli nie przyprowadzimy dzisiaj Gavina przed Spektrum... Nie wstrzymajają wyboru nowego Pryzmata, wierząc nam tylko na słowo.

– Widziałeś jego oczy – powiedziała Karris.

Oko. Czowała martwość w środku.

Pauza.

– Niebieskie.

– Zatem wiesz. Nie ma nadziei. Przegraliśmy.

Gavin też to wiedział. Kiedy zapadła noc i nie mogli już dłużej krzesać, nalegał, że pomoże przy wiosłowaniu. To jedna rzecz, w której jest dobry, powiedział. Wkrótce jednak stracił przytomność, ulegając ranom i wygłodzeniu.

Karris patrzyła teraz na niego. Spał na pokładzie z raną po wyłupionym oku zabandażowaną najlepiej, jak potrafili. Chciała po prostu zobaczyć męża i zwyczajnie ucieszyć się, że żyje, że znowu do niej należy. Jednak pierwszą rzeczą, jaką zauważyła – i to przewyciężyło jej miłość, ulgę i nadzieję – nie był brud, ani krwawy uśmiech, ani okaleczona dłoń, ani wypalone oko, nie ufarbowane na czarno włosy, ani długa broda czy niezłomny duch, ale jego zdrowe oko, niebieskie oko, lodowo-błękitne, naturalne, inteligentne oko.

Przybyli ratować Pryzmata. A uratowali człowieka.

Dokonali rzeczy niemożliwej: w piątkę uratowali człowieka przed pięćdziesięcioma tysiącami. I wszystko na nic.

– Nie tak umiera Pryzmat – powiedział Żelazna Pięść niemalże szeptem. – Kiedy zostałem dowódcą Czarnej Gwardii, powiedziano mi, czego oczekiwać. Nic w Gavinie Guile nie wygląda normalne.

– A jak to wygląda normalnie? – spytała Karris.

– Nie wolno mi mówić. Ostatnie, czego potrzebujemy, to żeby każdy Czarnogwardzista bawił się w konsyliarza i zastanawiał, czy powinien słuchać Pryzmata, czy też już uznać go za szaleńca. – Odwrócił głowę i dodał: – To nie jest pierwszy sygnał, ale ostatecznie kolor pojawia się w tęczęwkach i w końcu pęka halo. Jak u nas wszystkich.

– Ale...

Ewidentnie nie o to tu chodziło. W żadnej mierze.

– To nie wszystko. Co siedem lat odbywa się pewna ceremonia. Nie wiem, co się tam dzieje, ale za pierwszym razem miałem silne wrażenie, że Gavin nie zdobył sobie dostatecznie wielu przyjaciół i nie będzie dłużej Pryzmatem. Jednak stała się dziwna rzecz: ceremonia nigdy się nie odbyła i Gavin pozostał Pryzmatem. Potem wszystko się zmieniło. Jeśli nie zwracało się uwagi, to można było tego nie zauważyć, ale skład Spektrum całkowicie się zmienił. Marid Czerń zabija się, ale wcześniej długo walczył z melancholią i znaleźliśmy list. Błękit wypływa natychmiast po Dniu Słońca i rozbija się na morzu, prawdopodobnie uciekając przed piratami. Zieleń przechodzi na emeryturę, potem umiera. Żółć wyjeżdża do Abornei na wezwanie rodziny i umiera kilka miesięcy później; wypadek podczas jazdy konnej. Podczerwień wycofuje się do swojej posiadłości na Wielkim Jaspisie i nie opuszcza jej aż do śmierci dwa lata później, prawdopodobnie spowodowanej przepiciem i spożywaniem lotosu. Matka Delary Pomarańczowej jakimś cudem wykaraskała się z tego, co uważano za długi, które powinny doprowadzić ją do ruiny. Nie

było jej przez większość czasu w poprzednich latach, przegapiła wiele posiedzeń, bo próbowała w tym czasie wyblagać, pożyczyć albo ukraść trochę pieniędzy, żeby utrzymać ród. A potem nagle zaczęła być obecna na każdym spotkaniu. Tylko Nadfiolet i Czerwień się nie zmienili. To wszystko rozciągnęło się na długi okres, zwłaszcza że nowiny o losach niektórych dotarły dopiero sześć, osiem miesięcy po fakcie, że wszyscy już byli zaangażowani w manipulowanie tym, kto obejmie wakaty. Gavin, Biel, Czerwień, Najwyżsi Luksjaci, satrapowie i wszyscy inni, którzy coś znaczyli, skoczyli do walki. Żadna strona nie wyszła całkowicie zwycięska. Jestem tego pewien. Obserwowałem wyrównane głosowania, zwłaszcza te, które ostatecznie wygrał Andross. Nie przekupił wszystkich nowych Kolorów. Minęło dziewięć albo dziesięć lat. Byłoby już jasne, gdyby ich trzymał w garści. To jest pewnie drugi powód, dla którego wszyscy uznali zmiany za zbieg okoliczności. Kto obalałby Kolor, jeśli nie umieściłby na jego miejscu przyjaznej twarzy? Jednak znowu obserwowałem, trzy lata temu, kiedy mijał czternasty rok. Nikt się nie denerwował. Nikt nie przenosił rodziny, nie organizował wizyt ani ucieczek, nie spisywał testamentów. Nie było kandydatów na następnego Pryzmata. Dzień minął w spokoju. Nie wiem, co się stało. Przeszukiwałem biblioteki i całą historię, do której mogę dotrzeć, ale nigdzie nie wspomina się, w jaki sposób wyznacza się Pryzmata. Żadnych wyjaśnień. Nawet spekulacji. Co moim zdaniem znaczy, że ten brak jest celowy. To nie jest robota jednego człowieka wymazującego zapiski, jak początkowo myślałem. Musiało pracować nad tym kilka pokoleń. Pomyśl choćby o przekazach ustnych, których nie da się zatrzymać: nawet w nich mówi się o stronnictwach, zebraniach Spektrum, satrapów i luksjatów z typowym posmakiem politykierstwa, ale ostatecznie, zawsze, ale to zawsze, w pełnej zgodności, jednogłośnie kończą się stwierdzeniem: „Orholam przemówił”. Znam tych ludzi i Orholam mógłby pojawić się w słupie ognia pośrodku pokoju i zamienić połowę radnych w kozy, a druga nadal nie uzyskalaby pełnej zgodności i jedności. I potrafię powiedzieć, kiedy Gavin jest gotowy na wyzwanie, walkę czy choćby rozgrywkę. Nie ukrywa podekscytowania. Nawet nie próbuje. A nie był podekscytowany. Bo nie wiedział. Nigdy nie byłem pewien, czy powinienem się cieszyć, że Pryzmat nie bierze udziału w spisku, czy też powinienem się przerazić. Jednak to, jego oczy, one udowadniają, że mamy do czynienia z czymś niespotykanym.

Karris zaś myślała o czymś całkiem innym. Gavin sprawiał wrażenie zupełnie nieświadomego wszystkich przepychanek toczących tuż pod jego nosem, bo był Dazenem i był sparaliżowany. Nie miał pojęcia, jakich sekretnych sojuszników zdobył Gavin, i nie wiedział albo pewnie nie miał jak się dowiedzieć o ceremonii, nie zdradzając swojej prawdziwej tożsamości. I może nikt nie zawracał sobie głowy próbą skaptowania jego pomocy w swoich spiskach, bo wszyscy myśleli, że nie będzie już żył, kiedy oni zaczną je

realizować.

Gavina przez połowę czasu nie było, bo polował na koloraki z Karris i innymi w każdym zakątku Siedmiu Satrapii. Kiedy był w domu, zmuszano go do udziału w najróżniejszych rytuałach, spotkaniach z nowymi dyscypułami, nawet do prowadzenia wykładów. Czasem myślał, że jego wysoka pozycja pozwala mu zwyczajnie ignorować polityczne prądy wirujące wokół jego kostek jak olbrzym przechodzący przez strumień. Sekrety odkładały się kolejnymi warstwami, a na samym dole każdej, przez którą człowiek zdołał się przekopać, można było odkryć, że chodziło o to, żeby wydać tę córkę za tamtego syna z wyższej sfery albo zastąpić jakąś rodzinę, która miała cenny kontrakt przewozowy, albo o bękarta, albo o nałogowy hazard.

Z drugiej strony, ponieważ czuł się dobrze, Gavin mógł nigdy nie zdać sobie sprawy, że inni knują, co zrobić, gdyby on nagle zmarł. A potem nie zmarł nagle. Kto powiedziałby mu, że rozważali, jak wykorzystać jego nagły zgon?

Oczywiście, gdyby nie uznał, że to wszystko jest poniżej jego godności, gdyby całkowicie skupił się nad przejęciem kontroli nad Spektrum, zauważyłby. Jednak Gavin to nie Andross. W dodatku zawsze miał swój własny sekret, który musiał chronić. Jak bardzo to go pętało? Czy gdyby ktoś rzucił zawołaną aluzję, której zrozumienia spodziewał się po prawdziwym Gavinie, to czy Gavin zażądałby wyjaśnienia, czy też prędzej by się wycofał?

Wycofałby się. Za każdym razem. Nienawidził mówienia o wojnie, chociaż musiał wyćwiczyć te kłamstwa do perfekcji. Nienawidził rozmawiania o przeszłości, koniec kropka. Zrobił wszystko co w jego mocy, żeby żadna z tych rzeczy nie miała już znaczenia – zerwał stare sojusze, ukuł nowe, niszczył potęgi i zaprowadzał sprawiedliwość, gdzie tylko zdołał, niezależnie od tego, po której stronie w czasie wojny stali ci, dla których ją wymierzał. To sprawiło, że był wielkim Pryzmatem, jednak przez to nie widział noży wymierzonych w jego plecy.

Co nie przeszkadzało, dopóki był tak potężny, że nikt nie ośmielił się posłużyć tym nożem.

Chodziło tu o coś więcej. Coś jej umykało. A już miała w ręku ten kawałek układanki. Była zmęczona wiosłowaniem całą noc, martwieniem się, a po wczorajszej walce była poturbowana i posiniaczona. I jeszcze nie wrócili do domu.

– Masz sekret – powiedział Żelazna Pięść. – Coś, co powiedziałem, sprawiło, że z czegoś zdałaś sobie sprawę.

– Tak. – Chciała wszystko wyjaśnić dowódcy, staremu przyjacielowi, który wielokrotnie ocalił jej życie, któremu ufała może bardziej niż samemu Gavinowi. Powiedziała jednak tylko: – Wybacz.

Skinął głową.

– Powiedziała, że tak powiesz.

-He?

– Biel. Powiedziała, że w pewnym momencie mnie odetniesz. Przestaniesz się mnie radzić. Powiedziała, że za to przeprosisz. Powiedziała, że to będzie chwila, kiedy w końcu przestaniesz być Czarnogwardzistką. Że to nic złego, ale zaboli. I że to jej wina, nie twoja.

Karris pokręciła głową.

– Myślisz czasem, jaka to męka pracować z ludźmi, którzy są od ciebie mądrzejsi?

– Nie, nigdy – odparł Żelazna Pięść.

Proste stwierdzenie faktu. Bo rzeczywiście nie myślał?

Kiedy jednak rzuciła mu spojrzenie, uśmiechał się znacząco.

Wbrew sobie odpowiedziała szerokim uśmiechem. Przelotnym.

– Do diabła – mruknęła. – Hezik, co za dupek.

Martwy dupek, ich towarzysz.

– Był nieznośny – przytaknął Żelazna Pięść.

– Słyszałam, że przypisał sobie cudowny strzał, który oddałeś pod Ru.

– Dupek.

Zarechotali. Wiedzieli, kiedy trzeba się zaśmiać; wojownicy to wiedzą.

– Zatem co robimy? – spytała.

– Biel powiedziała, że jak już się odetniesz, będziesz gotowa wydawać rozkazy. Ty tu dowodzisz, lady Guile.

To była prawda. Wiedziała, co trzeba zrobić. Obudziła pozostałych, z wyjątkiem Gavina, który potrzebował snu, żeby zdrowieć. Wskazała na jaśniejące niebo.

– Dowódca i ja musimy wracać do Chromerii. Już spóźnimy się na rytuały o świcie. Essel, ty i Benhadad zabierzecie lorda Pryzmata do konsyliarzy. Amalu i Adini. Znacie to miejsce?

Essel pokiwała głową.

– Jeśli będziecie musieli zwracać się do niego po imieniu, nazywajcie go Hezik, rozumiecie? To nie zwiedzie bystrego obserwatora, ale może Hezik będzie chronił Pryzmata po śmierci, jak to robił za życia. Wyślemy wszelkie możliwe wsparcie. Za nic nie oddawajcie go Świetlanej Gwardii.

Po ufarbowaniu włosów na czarno, wychudzony, z zapuszczoną brodą i dużymi połaciami skóry w bandażach z pewnością nie wyglądał jak dawny Pryzmat.

Pod koniec wydawania rozkazów zauważyła, że Gavin się obudził.

Wstał i wziął płaszcz Żelaznej Pięści, spowił się obszerną szatą i narzucił kaptur. Niedługo będzie za ciepło na taki strój i zacznie bardziej prowokować pytania niż przed nimi osłaniać, ale na razie to był dobry ruch. Spojrzał na nią, a to sprawiło, że naruszył

świeży strup, bo zauważyła, że skrzywił się raz, drugi i strużka świeżej krwi popłynęła spod bandaża po policzku. Przytrzymał się, opierając się na ramieniu Essel.

– Już myślałem, że cię znam, droga Karris – powiedział głosem niskim, ale pewnym mimo bólu – kiedy ty znowu przekraczasz wszelkie moje oczekiwania. To błogosławieństwo i zaszczyt, na jaki nie zasługuję, że jesteś moją żoną. Masz jednak rację. Musisz iść. Mój ojciec zaplanował szelmostwo i gorsze rzeczy na ten dzień. Nie możesz pomóc mi w leczeniu i nie możesz go stąd powstrzymać. Idź, moja ukochana, idź.

ROZDZIAŁ 89

Teia nie czekała przy drzwiach. Zamiast tego rzuciła się na Kipa i uściskała go z całej siły.

O, nie. Kiedy zamarła w jego objęciach, Kip po raz pierwszy pożałował, że nie jest nadal tak gruby jak kiedyś. Dzięki wystającemu brzuchowi miałby szansę, a tak przy ich różnicy wzrostu pierwszy punkt kontaktu plasował się poniżej pasa Kipa i... dokładnie pośrodku brzucha Teii. Nie było mowy, by tego nie zauważyła. Kiedy objęła Kipa, nie było siły, aby się nie zorientowała.

Odsunęła się i spojrzała w dół, żeby potwierdzić to, co nie wymagało potwierdzenia. Kip skrzyżował z przodu ręce – musztarda po obiedzie.

– Kip, co jest, u diabła? – zdumiała się. – Czy to przeze...

– Przez ciebie? Ej, to się dzieje szybko, ale nie aż tak szybko.

Słowa opuściły jego usta, zanim Kip zdał sobie sprawę, że wypowiada je na głos. O, psiakrew.

-Ach, ty właśnie... Przepraszam!

– Nie! Wcale... To się czasem dzieje. No wiesz, ni z gruchy, ni z pietruchy. No wiesz, u młodych mężczyzn.

Teia przekrzywiła głowę, zacisnęła usta i uniosła brew. Skrzyżowała ręce skonsternowana. Nie była to najlepsza wymówka w dorobku Kipa. Nie odwracając głowy, zatrzasnęła za sobą drzwi stopą, odsłaniając Tisis.

Twarz Teii przybrała wyważony neutralny wyraz. Tak robiła, kiedy była wściekła.

– Ach ta męska stałość...

-Ale... To nie, to nie... To pewnie dokładnie to, na co to wygląda. – Kip spojrzał żałośnie.
– Teia...

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie mam na to czasu. Potrzebuję cię. Natychmiast.

– Słucham? – odezwała się Tisis, wychodząc z kąta, jakby tam po prostu sprawdzała kotary, wyniosła, z uniesionym podbródkiem.

Do diabła.

– Przymknij się, lala, bo oberwiesz – warknęła Teia.

Nie odwróciła głowy, ale jej źrenice rozszerzyły się, gdy patrzyła na Kipa, rozszerzyły się w jednej chwili i to tak bardzo, że z tęczówek zostały tylko cieniuteńkie obwódki, a potem i te zniknęły, a wraz z nimi białka. Jej oczy stały się idealnie czarnymi kulami. Kip

wiedział, że zbiera paryl, ale kiedy jednocześnie zaciskała zęby i szydziła, nieludzkie oczy sprawiły, że Kip omal się nie posikał.

Tisis umilkła. Teia, udając, że jej nie widzi, podeszła do komody Kipa i zaczęła w niej grzebać.

– Kip, jesteś zasranym dupkiem, ale mam ważniejsze sprawy na głowie. Jest... – Zerknęła nieufnie na Tisis i zamilkła. Wróciła do grzebania, wyciągnęła szybko pas z soczewkami i rzuciła go Kipowi. Spojrzała na niego. – Masz tu jakąś inną broń? Może zrobić się nieprzyjemnie. Biel jest w niebezpieczeństwie. Możliwe, że jako jedyna mogę ją ocalić.

– Na pewno ślepa na kolory krzesicielka to właśnie to, czego Czarna Gwardia potrzebuje w...

Teia wyciągnęła palec w stronę nosa Tisis, celując prosto w jej twarz.

-Jeszcze jedno słowo, mała. Daj mi pretekst. Łamacz, ruchy!

Inna broń? Ach, miała na myśli karty. Kip wcisnął palce za komodę i odsunął ją od ściany. Wyciągnął spod niej pudełko na karty.

Teia nie była pod wrażeniem.

– Naprawdę muszę ci pokazać lepsze kryjówki.

Kip zapiął kaburę na soczewki.

– Tisis – powiedział – idź do portu. Dołączę do ciebie najszybciej, jak się da.

Teia odwróciła się i wskazała.

– Tisis, na tej krokwi leżą patyki z pieniędzmi.

-Co?

– Posłusz się zielenią, kretynko! Zrzuć je luksynem i zabierz ze sobą. Nie możemy zabrać niczego więcej. Na jaja Orholama, ale ty jesteś tępa.

Zostawili Tisis wściekłą i pobiegli do windy. Po drodze Teia wyciągnęła szarą pelerynę i dotknęła bliźniaczych czarnych i białych dysków na plecach.

– Kip, skąd ją wytrzasnąłeś?

– Ukradłem bogowi, demonowi czy czemuś takiemu. Czemuś złemu.

Spojrzała na niego poirytowana.

– Duppek.

-Teia, posłuchaj, ożenię się z Tisis...

– Nie obchodzi mnie to. Musimy omówić naszą strategię na górze.

-Teia! Mój dziadek rozkazał...

– Zatem pracujesz dla niego. A cała ta reszta to co? Część podstępu?

– Jaka reszta? Jaki podstęp? O czym ty mówisz? Teia, ze wszystkich ludzi właśnie ty powinnaś zrozumieć!

– Ze wszystkich ludzi? A to niby czemu?

– Byłaś niewolnicą!

– Och, zapomniałam o tym. Może ty...

– Powinnaś rozumieć, jak to jest musieć wypełniać rozkazy...

– ...zapomniałeś, że jesteś wolny. Nie śmieć mi mówić, że wiesz, jak to jest!

– Robię to dla drużyny, Teia.

– Widzę. Stanął ci w naszym imieniu, co? Zabawne, jak to, co robisz dla innych, ostatecznie tobie przynosi najwięcej korzyści. Jesteś Guilem, Kip. Do szpiku kości, a wszyscy Guile'owi są tacy sami.

Kip opuścił ręce. Nie dało się z nią rozmawiać. Przyjechała winda.

Wsiadli. Kip przesunął przeciwwagi. Pamiętał, że potrzebował większego ciężaru, kiedy ostatnim razem jechali windą tylko we dwoje.

– Zabójca ze Złamanego Oka przyjął zlecenie od twojego dziadka na zabicie Bieli. Założył paryłową pułapkę wokół jej serca. Możliwe, że już nie żyje. Jeśli żyje, muszę się zająć tą pułapką. Jeśli ktoś nas odkryje, ty i drużyna musicie pilnować drzwi, dopóki nie skończę. I musimy ominąć Świetlaną Gwardię. Dla mnie samej to nie problem, ale jak powiedziałam, mogę was potrzebować, kiedy już wejdę do pokoju.

Kip wysłuchał tego w milczeniu.

– Drużyna? – zapytał wreszcie.

– Powinni czekać na nas na górze. Przynajmniej część. Wysłałam Marissię, żeby ich znalazła.

Wszyscy Guile'owie są tacy sami, hę?

– W porządku, mam plan.

– Mianowicie? – zapytała Teia, kiedy ruszyli w górę.

Kip nie odezwał się słowem.

– Łamacz, mówię poważnie. Jaki jest plan?

Kip rzucił jej pogardliwe spojrzenie, potem odwrócił wzrok, zbywając ją. Niemalże czuł, jak powietrze ścina się lodem. To nie było w porządku z jego strony. Do diabła. Powinien otworzyć gębę i natychmiast przeprosić.

Nie zrobił tego. I kiedy zastanawiał się nad tym po raz drugi, winda zatrzymała się na wcześniejszym poziomie. Caelia Zielona weszła swoim charakterystycznym rozkołysanym krokiem, a za nią jej Czarnogwardziści, mężczyźni, których Kip nie znał za dobrze. Spojrzała na Kipa, a potem na Teię.

– Myślę, że dawno minął czas, kiedy powinniśmy lepiej się poznać, Kipie Guile – powiedziała. – W końcu jestem tyrejskim Kolorem i, prawdę mówiąc, nie znam swoich ludzi aż tak dobrze, a w Chromerii jest zdecydowanie za mało Tyrejczyków. Uważasz się

za Tyrejczyka?

– Oczywiście.

Taki temat? Teraz?

– Ach. Nie wiedziałam, czy nie uznałeś, że z tego wyrosłeś. Powinniśmy porozmawiać.

Potem wysiadła na jednym z wyższych pięter. Kip i Teia pojechali dalej, ale nie było okazji do przeprosin, bo zaraz dotarli na ostatnie piętro Wieży Pryzmaty.

Reszta drużyny stała już i czekała na nich koło recepcji. Wszyscy ubrali się w szarości. Wszyscy byli uzbrojeni, ale nie było napięcia w powietrzu. Ciekawiło ich, czemu ich wezwano.

– Ej, Łamacz! – powiedział Ferkudi. – Co się dzieje? Co jest grane? Gdzie Teia?

Cruxer jednak natychmiast dostrzegł minę Kipa. Podszedł blisko.

– Przysłała nas niewolnica Guile'a. Powiedziała, że mamy być uzbrojeni. Powiedziała, że ty i Teia spotkacie się z nami. Co...

Kip się rozejrzał. Teii nie było.

Och, była, tyle że zniknęła. Nie było jej widać. Zachowała swoją obecność w tajemnicy. W porządku.

– Nie ma czasu – powiedział, mijając Cruxera.

Trzech Świetlanych Gwardzistów stało na posterunku Czarnogwardzistów. Ustawili się obok siebie, blokując korytarz. Dziesięć kroków za nimi czekali Czarnogwardziści, wyraźnie poirytowani, że ich wyeksmitowano, ale najwyraźniej otrzymali rozkazy, żeby nic z tym nie robić.

Kip, idąc do posterunku, wspiął się na chwilę na palce, żeby sprawdzić, który z Czarnogwardzistów jest na służbie. Zmrużył oczy i gładkim ruchem wyciągnął z etui na biodrze zielone okulary.

– Gav Greyling? To ty?

Duży Leo szepnął za nim:

– Będzie łaźnia!

– Aha! – odkrzyknął Gavin Greyling.

– Jakie macie rozkazy? – zapytał Kip, znowu stając na palcach jak mały dzieciak, który chce zerknąć za Świetlanych Gwardzistów.

– Będziesz musiał poczekać, synku – odezwał się jeden z Świetlanych Gwardzistów.

– Zero konfrontacji z Świetlaną Gwardią. W żaden sposób – oznajmił Gav.

– Łaźnia? – zapytał skonsternowany Ferkudi.

– Synu, mówię...

– Och – powiedział do Gavina Greylinga Kip – to...

Znalazł się dostatecznie blisko. Amatorzy.

Cios przedramieniem w szyję. Kip tak mocno trafił mężczyznę po lewej tuż pod szczękę z prawej, że tamten aż zatoczył się na ścianę. Kip płynnie przeszedł do skrętu tułowia i uderzył łokciem w nosal pośrodku hełmu strażnika. Mężczyzna nie raczył zawiązać hełmu pod brodą, więc nosal stał się awangardą ciosu Kipa. Mężczyzna, już nieprzytomny, wpadł na trzeciego strażnika i wytrącił mu włócznię. Gwardzista sięgnął więc po nóż u pasa, ale Kip zablokował ten ruch, najpierw łapiąc go za nadgarstek, a potem owijając zielonym luksynem nadgarstek, dłoń i pas – wszystko razem. Gwardzista szarpał się nerwowo, walcząc z własnym pasem. Kip już złapał go jedną ręką za szyję. Uniósł drugą pięść i sprawił, że wyrosły z niej ostre ciernie. Jednak nie uderzył.

Ostatni Świetlany Gwardzista stracił ochotę do walki.

– Kładź się i udawaj, że jesteś nieprzytomny – rozkazał mu Kip.

Mężczyzna skinął szybko głową, wytrzeszczając oczy.

Kip go puścił, a tamten niezgrabnie położył się na podłodze, mając tylko jedną rękę wolną.

– A! – pojął Ferkudi. – Sprawił im łaźnię!

– Ja chromolę, Ferkudi – westchnął Duży Leo – czasem myślę, że musisz udawać.

– Co udawać? – zapytał Ferkudi.

– Pilnujcie korytarza – przykazał Cruxerowi Kip.

– Jasne – odparł Cruxer.

Drużyna natychmiast zabrała broń Świetlanej Gwardii. Pełnoprawni Czarnogwardziści, Gavin Greyling i ogolony na łyso Asif, szczerzyli zęby z uciechy, widząc, jak Kip załatwił Świetlanych Gwardzistów, ale nadal mu zagradzali przejście.

– Bez wątpienia zapłacisz za to, szczawiu, ale nie powiem, miło się to oglądało – powiedział Gavin.

– Biel grozi niebezpieczeństwo – odpowiedział Kip. – To coś, co tylko... tylko ja mogę zobaczyć.

Te słowa natychmiast postawiły mężczyzn w stan pogotowia. Minęli strażę stojące przy drzwiach. Kip przystanął w progu na chwilę, obejrzał się, jakby w zadumie, żeby dać Teii szansę wślizgnąć się do środka.

Winsen pochylił się nad trzecim Świetlanym Gwardzistą.

– Ej, przyjacielu – powiedział – nie musisz udawać.

– Hę? – zdziwił się tamten, otwierając oczy.

Pięść Winsena trafiła go w szczękę. Głowa gwardzisty odskoczyła od ziemi. Kip się skrzywił. Winsen zauważył, że Kip patrzy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale w jego przyjaźni zawsze był cień chłodu. Sprawiało mu to przyjemność i lubił Kipa, ale nie okazywał sympatii tak jak inni.

Kip skinął do niego głową i wszedł.

– Pilnujcie drzwi – powiedział do Czarnogwardzistów – i nie zaglądalejcie, proszę.

Zacisnęli usta, ale Gavin Greyling skinął głową. Kip zaciągnął zasłonę, podchodząc.

Teia już stała u stóp łoża Bieli, a jej oczy były czarnymi kulami w słabym oświetleniu pokoju. Na zewnątrz było ciemno, północ dawno minęła i Kip widział tylko punkciki światła za oknami, lampy w domach bogaczy i lampy na ulicach bogaczy, zanurzające się w ciemności w miarę zbliżania się do północnej, biedniejszej części.

– Spóźniłam się – powiedziała Teia. – Nie mogę... Zupełnie jakby zrobił to, mając nadzieję, że spróbuję je przerwać. Jeśli ich dotknę, ona umrze. Jeśli jednak ich nie dotknę, i tak umrze. To w jakiś sposób głodzi jej serce. Ono umiera. Jeśli Biel choćby zakaszle... Kip, co mam robić?

– Cii, moje dziecko – powiedziała Biel.

Kip omal nie podskoczył. Nawet nie wiedział, że Biel nie śpi. Nie wiedział, że może się obudzić. Dwóch Czarnogwardzistów zostało, ale dwaj inni pobiegli po pomoc.

– Obudź moją osobistą niewolnicę, Kip, i przez chwilę nie mów nic więcej. Adrasteio, schowaj się za zasłoną, proszę.

Kip podszedł do pokoiku niewolnicy i zapukał. Nie było odpowiedzi. Otworzył drzwi i zobaczył starą kobietę chrapiącą w krześle.

– Caleen – zawołał. – Caleen!

Chrapnęła i otworzyła oczy, a potem poszła za nim zaspana. Powoli. Do diabła, była naprawdę stara. Zanim doszli, Teia już się schowała.

– Mój czas nadszedł, Bilhah – powiedziała Biel. – Wezwij Najwyższą Luksjatkę Selene. Nie wzywaj nikogo innego. Nie chcę, żeby moim ostatnim chwilom towarzyszyły zgiełk i panika.

Bilhah przeszła powoli obok Czarnogwardzistów.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Teia wyszła zza zasłony.

– Dlaczego musiałam się chować? Dlaczego musiałam się schować właśnie przed nią?

– Żebyś nie musiała jej zabić. Od lat składa raporty Androssowi Guile. Ma wnuka, którego kocha.

– A Andross wykorzystał to przeciwko niej – rzucił z goryczą Kip.

Nie wiedział, dlaczego tak trudno było mu uwierzyć, że dziadek wynajął zabójcę, ten stary potwór już raz to zrobił. Mimo wszystko. Kip grał z Androssem. Dziadek bywał nawet czarujący. I był mordercą. Zabijał ludzi, jakby to były karty, które trzeba uprzątnąć ze stołu.

– Dlaczego jej pani nie sprzedała? – spytała Teia. – Zdradziła panią.

– Jej grzechem jest słabość, nie ma w niej zła. To dla niej tortura, a ja na to pozwalam.

To jej kara. A jeśli trzeba mieć szpiega w swojej komnacie, to lepiej żeby miał kiepski słuch i wolno się ruszał, prawda? Jak umrę, powiedz jej, że wiedziałam i jej wybaczyłam. Ale dopiero kiedy umrę. Nie chcę, żeby ostatnią rzeczą, jaką usłyszę, było jej chlipanie.

Nie pierwszy raz Biel zadziwiła Kipa. Nieprzeciętnie łaskawa i zarazem nieprzeciętnie twarda.

– Chwileczkę, dlaczego fakt, że Teia się tu znajduje, miałby mieć znaczenie dla Androssa? Ona jest... Och.

Gdyby Złamane Oko dowiedziało się, że Teia próbowała udaremnić zamach na życie Bieli, wiedzieliby, że ich zdradza. Nadal mogą się zorientować.

– Pozwalam ci opowiedzieć o wszystkim Kipowi – powiedziała Biel. – Jednak nie zwalniam cię z twojej misji, Teia.

– Gdzie są wszyscy? – spytał Kip. – To nie w porządku, że tylko my tu jesteśmy.

Biel oddychała przez kilka długich chwil, jakby rozmowa ją wycieńczyła.

– Spektrum spotyka się na posiedzeniu, wybierają Zymuna na Pryzmata elekta. Wszyscy przyjaciele? Wyjechali, są zajęci, wypełniają rozkazy. Zgon to zadanie, z którym uporam się sama. Adrasteio, przestań. Dość. Jeśli nie tej nocy, to umrę jutro. Odarli mnie tylko z kilku dni mojego czasu, a ja nie jestem tak głupia... – Zadyszała się i przez chwilę nie mogła mówić. – Taka głupia, żeby nie wykorzystać korzyści płynących z faktu, że wiem, kiedy nadejdzie mój ostatni dzień. Idź już, idź.

Odwrócili się i poszli do drzwi, ale Biel powiedziała:

– Kip, nie... nie ty.

Teia zaciągnęła ciasno kaptur i zniknęła, a Biel przywołała Kipa.

– Biurko. Karta. Weź ją. Ostatnia zagadka dla ciebie, potomku Guile'ów: Nie tylko Pryzmaci ulatują.

Kip podszedł do biurka i znalazł kartę między taflami szkła. Biel, o wiele młodsza – Niezniszczalna. Schował ją do kieszeni.

– Rozsuń zasłony – poprosiła Biel. – Spojrzę... na światło.

Kip odsunął zasłony całkowicie. Było szaro, jeszcze nie świtało.

– Niech spłynie na ciebie światło Orholama, najszlachetniejsza pani – powiedział.

Nie odpowiedziała. Czarnogwardziści, którzy słyszeli koniec rozmowy, stanęli u jej boku. Ostatnie czuwanie. Łzy płynęły po policzkach Gavina Greylinga.

Kip wyszedł na korytarz. Nie mógł teraz pogрузić się w żalobie. Odepchnął żal. Musiał się zastanowić.

Już prawie nastał świt Dnia Słońca, a Zymun miał zostać Pryzmatem elektem? Załatwią to przed świtem albo nawet wcześniej, by mógł poprowadzić poranne ceremonie. Jeśli Kip chciał uciec, nie miał wiele czasu.

Drużyna czekała na niego.

– Biegiem! – zawołał do towarzyszy Kip.

Byli gotowi. Pobiegli do wind. Najwyższa Luksjotka Selene w wielobarwnej szacie swojego urzędu, która nadchodziła udzielić ostatnich namaszczeń, odsunęła się na bok, kiedy minęli ją w pędzie. Wbiegli do windy i ustawili przeciwwagi. Udało się, Orholamowi niech będą dzięki.

Cruker pociągnął za dźwignię i opadli... jeden poziom. Winda zatrzymała się tak gwałtownie, że poprzewracali się od szarpnięcia.

– Co robisz, kapitanie? – spytał Crukera Ferkudi.

– To nie ja. – Na dowód poruszył dźwignią w tę i z powrotem.

Znajdowali się na poziomie Spektrum. Kip odwrócił się i ujrzał zadowolonego z siebie Grinwoody'ego. Najwyraźniej dźwignia, na której trzymał dłoń, pozwalała przejąć kontrolę nad windą.

– Witam panów – powiedział. – Promachos Guile żąda, żebyście poszli ze mną. Natychmiast.

Jego triumfalny uśmiech mówił, że wpadli w poważne kłopoty.

ROZDZIAŁ 90

Przez jedną szaloną chwilę Kip rozważał, czy nie spuścić solidnego łomotu Grinwoodyemu i nie uciekać.

To był okropny plan, rzecz jasna, ale ohydnie szczerząca zęby twarz stanowiła ogromną pokusę.

Mimo to Kip i drużyna podeszli za Grinwoodyem do posterunku Świetlanej Gwardii z ciężkimi sercami. Nie było tu posterunku Czarnej Gwardii, miała za mało ludzi. Czarnogwardziści stacjonowali tylko tuż pod drzwiami sali obrad, w głębi korytarza.

Kiedy zbliżyli się do Świetlanych Gwardzistów, młody oficer z trudnością podniósł się z krzesła, na którym odpoczywał. Wstał, opierając się o rohatynę. Poprzeczka za grotem miała uniemożliwić zbyt głębokie wejście ostrza w ciało dzika, żeby uniknąć zbrzydzenia krwią, on jednak wykorzystywał ją jak kulę.

Kip wyczuł, że cała drużyna go rozpoznała – jakby byli wilkami, którym zjeżyła się sierść.

Aram. Miał łubki wokół kolana, które zniszczył mu Cruixer. W ciągu roku, odkąd został okaleczony, niewątpliwie karmił się goryczą, bo twarz miał wykrzywioną jeszcze bardziej niż nogę. Jednakże niezależnie od innych skutków, obrażenia nie osłabiły jego rozwoju fizycznego. Nabrał masy. Ręce i ramiona miał ogromne, chociaż okaleczona noga schudła. Kip nie wątpił, że Aram posługuje się rohatyną o wiele lepiej, niż można by podejrzewać.

W skrywanych pod powiekami oczach Arama coś zabłysło, gdy drużyna się zbliżyła, ale szybko to ukrył. Jednak Kip to rozpoznał. Cała nienawiść i uraza na świecie – w oczach Arama było tego więcej niż jego udział – nie mogły ukryć tego uczucia. Nie przed Kipem. To był żal.

Poczucie wyłączenia z klubu, do którego pragnąłeś wejść najbardziej na świecie. Utrata własnego miejsca w świecie.

Dopiero widząc to uczucie tak doskonale odbite w oczach Arama, Kip zdał sobie sprawę, że zniknęło z jego własnego serca. Kiedy ten ból zniknął? Przez całe życie był wyrzutkiem. Grubasem. Synem pijaczki. Synem kurwy. Tyreńczykiem. Bękartem. niesprawiedliwie faworyzowanym. Chłopcem, który nie zasługiwał na bycie Czarnogwardzistą. Przez całe życie Kip czuł, że jest poza nawiasem.

Aram właśnie to czuł. Stracił Czarną Gwardię. Kip sam też ją stracił. Jak mógł patrzeć

na Arama i mu nie współczuć?

Umiejętności techniczne nie decydowały o byciu Czarnogwardzistą, chociaż miały wpływ. Istota roli Czarnogwardzisty to poświęcenie. Żyli i umierali za siebie wzajem, i właśnie to niekwestionowane oddanie całych oddziałów czyniło całość czymś daleko więcej niż sumą części. Czarnogwardziście można było powiedzieć, żeby poszedł na śmierć, i on by poszedł, ponieważ kochał swoich towarzyszy i ufał, że dowódca nie poświęci go na darmo. Mogły nadejść rozkazy, które pozornie nie miały sensu. Zdarzały się błędy, zawodzili ludzie i dowódcy, jednak nigdy z powodu – w tym maleńkim, bezcenny zakątku świata – złych zamiarów czy egoizmu.

To był prawdziwy niewysłowiony skarb, i to właśnie czyniło Czarną Gwardię najlepszą na świecie. I tego właśnie brakowało Aramowi. Jego egoizm był trucizną dla istoty tego co najcenniejsze dla Czarnogwardzisty.

On jednak tego nie dostrzegał, i to nie był powód, żeby go nienawidzić. To był powód, żeby mu współczuć.

– Aramie – powitał go Kip. Dostrzegł insygnia na klapie. – Poruczniku. – Z szacunkiem, ale bez uległości.

I żal zniknął. Została tylko nienawiść, ale Kipa to nie poruszyło, chociaż drużyna najeżyła się, widząc nieskrywane szyderstwo Arama.

– Przeszukać ich – rozkazał Aram. – Nikt uzbrojony nie ma wstępu na ten poziom w czasie obrad Spektrum.

Świetlany Gwardzista wystąpił, żeby przeszukać i rozbroić Kipa, którego nagle ogarnęło zmęczenie. Naprawdę będą w to pogrywać? Znowu?

– Nie – rzucił i odepchnął gwardzistę na bok.

Głosem na równi zmęczonym, znudzonym i rozdrażnionym powiedział:

– Jestem polichromatą z pełnym spektrum. To najlepsza drużyna wśród kadetów Czarnej Gwardii. My jesteśmy bronią. Nie ma czegoś takiego jak rozbrojenie nas. Nam zaś jako Czarnogwardzistom nie wolno pozwolić, żeby w obrębie Chromerii ktokolwiek nas rozbroił. To dotyka samego sedna naszej istoty. To my jesteśmy tymi, którym wolno tu nosić broń. Stajemy się niewolnikami, żeby zasłużyć na takie zaufanie. Zatem to, o co prosisz, jest pozbawione sensu dla ciebie i niemożliwe dla nas.

Wypowiedział te słowa do mężczyzny, który do niego podchodził, ale kierował je do Arama, a przede wszystkim do Grinwoody'ego.

– Grinwoody – dodał, nadal znudzony, nie odwracając głowy w stronę niewolnika, i nadal rozmyślnie obrażał go, posługując się jego imieniem. – Wykorzystaj ten swój nadskakujący ton i władzę, jak dalej udziela ci z zagadkowych powodów mój dziadek, i uprzątnij ten motłoch.

Skwaszony wyraz twarzy Grinwoody ego był wart tysiąca nocy w piekle. Odprawił gestem Świetlaną Gwardię i cała drużyna przeszła.

Jednakże niewolnik przystanął, zanim weszli do sali rady. Położył rękę na ramieniu Kipa.

– Chwileczkę, paniczu.

Kip zatrzymał się pełen podejrzeń.

– Powiem ci, jak to ma się rozegrać – powiedział Grinwoody. Nie czekał na zgodę Kipa. Mówił dalej. – Dziadek zgromi cię i oskarży o coś. Ty zaprotestujesz głośno, możesz pokrzyknąć, ale nie za długo. Potrzebujemy widowiska, a nie kłótni. A potem cię wygna. Będziesz miał godzinę, zanim promachos publicznie zmieni zdanie i rozkaże sprowadzić cię na przesłuchanie. Nie daj się złapać. Dziewczyna i luksjat spotkają się z tobą na czerwonym nabrzeżu, miejsce piąte, gdzie kotwiczy jej statek. Pobierzcie się, zanim opuścisz wyspę. Rozumiesz? To trzeba zrobić tutaj, publicznie, inaczej koniec z umową.

– Łamacz – odezwał się zaniepokojony Cruixer – co to znaczy?

– To przetrwanie.

Drużyna nic nie odpowiedziała. Kip na nich nie spojrzał. Czarnogwardziści przywykli do podążania za tymi, którzy ich zdaniem popełniali błąd i narażali się lekkomyślnie, a chociaż drużyna nie złożyła jeszcze ostatecznych ślubów, widzieli takie wzory dostatecznie wiele razy, żeby je naśladować.

– Idziemy tam gdzie ty – powiedział Cruixer.

Każdy, kto nie znał Cruixera tak dobrze jak Kip, przegapiłby smutek w jego głosie. Dobry Orholamie, ciężko będzie się pożegnać. Może jednak tak będzie najlepiej. Jedno pożegnanie w porcie zamiast powolnego obserwowania pustki rosnącej między nimi a Kipem, kiedy obowiązki będą ich coraz bardziej od siebie oddalać.

Pierwszym Czarnogwardzistą przy drzwiach był Gill Greyling. Obserwował Kipa przy Świetlanej Gwardii i nie posiadał się z zadowolenia. Zasalutował przed Kipem w sposób, jaki był zarezerwowany tylko dla starszych oficerów, a potem powiedział bez krztyny skruchy:

– Omyłka.

– Powinieneś od razu wejść – wtrącił drugi Czarnogwardzista.

Kip nie znał go za dobrze. Paryczyk imieniem Kalif, o ile dobrze pamiętał.

Myślał, że udają się do sali obrad Spektrum, ale trafili do auli Spektrum. Czarnogwardziści otworzyli dwuskrzydłowe drzwi, a Kip spojrzał na kilkuset ludzi z bocznego wejścia; wielu z nich odpowiedziało spojrzeniem.

Jeden z Najwyższych Luksjatów przemawiał na przodzie sali. Wszyscy mieli na sobie najlepsze świąteczne szaty. Byli obecni wszyscy Najwyżsi Luksjaci z wyjątkiem Selene,

każdy w ceremonialnej szacie wielobarwnej lub w jednym określonym kolorze. Część arystokratów najwyższej rangi siedziała w towarzystwie córek i synów z przodu, na swego rodzaju zaszczytnych miejscach. Drzwi zaskrzypiały głośno, kiedy się otworzyły, i to najwyraźniej wytrąciło Najwyższego Luksjata z rytmu.

Andross Guile wstał z miejsca na podwyższeniu i pośpiesznie podszedł do Kipa. Trzymał głowę spuszczoną, jakby nie chciał przerywać ceremonii, ale poruszał się tak szybko, że przyciągnął spojrzenia wszystkich.

Kiedy luksjat podjął orację, Andross podszedł do Kipa i, wściekle gestykulując, dał znać, żeby wyszedł z powrotem na korytarz. Kip chciał się wycofać, ale miał za sobą drużynę i Czarnogwardzistów, więc Andross zaczął, nim zdążyli wyjść na korytarz.

– Jak śmiesz się tu pokazywać?! – syknął Andross. – Słyszałem, co zrobiłeś!

– O czym mówisz? – zapytał ostro Kip.

– Masz tak wiele przewin na sumieniu, że mam ci mówić, o której się dowiedziałem? – zapytał Andross, podnosząc głos. Starał się cały czas stać plecami do sali, żeby podtrzymać iluzję, że nie wie, że wszyscy ich słyszą.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz! – odpowiedział równie głośno Kip. – Nic nie...

– Ty i twoja drużyna zabiliście człowieka! Znaleźliśmy go. Mamy świadków!

– Jakiego człowieka?

– W dzielnicy Sześciu Zakątków.

Kip położył dłoń na ustach. Nagle to nie była gra. Tam Teia zabiła człowieka, który ich śledził. Myślał, że Andross wysie coś z palca, a nie oskarży o coś, co rzeczywiście zrobili.

– Nie było dowodów, że ten człowiek to szpieg. Żadnych! – Andross teraz już krzyczał. Luksjat w sali za nim przestał już nawet próbować nauczać. – Niech Orholam ma cię w swojej opiece, Kip. W najlepszym wypadku jesteś czujny, w najgorszym jesteś mordercą.

– Nie...

– Coś ty sobie myślał? Że będę cię osłaniał, bo jesteś moim wnukiem? Nie. Słyszałem, co zrobiłeś z tą swoją drużyną. Nie wiem, jak to się stało, że okazaliście się najlepszymi wśród kadetów, ale nie będę tolerował budowania prywatnej armii, póki ja tu czuwam. Jak siebie nazwaliście? Mocarze?

Oczywiście wcale się tak nie nazywali. Kipowi kręciło się w głowie.

– Wcale... Nigdy... – zaczął protestować.

– Stać! – rozległ się krzyk z drzwi na tyłach sali.

To był dowódca Żelazna Pięść. To było zupełnie jak patrzenie na siekierę latającą swobodnie po powozie. Kip nie mógł nic zrobić, żeby temu zapobiec. Dowódca w żadnym razie nie mógł wiedzieć, że kłótnia została zaaranżowana.

Dowódca pocił się obficie i dyszał, jakby przebiegł wiele mil, żeby tu dotrzeć.

– Kip był w tym czasie pod moją pieczęcią. Najwyższy Lordzie Promachosie, w żadnym razie...

– Tak! – wszedł mu w słowo Andross Guile.

Cień uśmiešku wykrzywił dziadkowi Kipa kącik ust, ale zniknął, zanim odwrócił się w stronę sali. Kipowi krew ścięła się w sercu.

Widział już tę minę. To było spojrzenie, jakie Andross rzucał, kiedy Kip popełniał błąd w trakcie partyjki Dziewięciu Króli. To była mina dziecka, które dostało nieoczekiwany prezent; jakby świat zadziwiał go czasem swoją czystą głupotą. Andross nie przewidział obecności dowódcy Żelaznej Pięści, ale teraz, kiedy tamten się zjawił, wiedział jak to rozegrać.

– Tak, dowódco Żelazna Pięść, był pod twoimi rozkazami. I twoje niedopatrzenie wielce mnie smuci. Służyłeś długo i dzielnie, niechętnie wykorzystuję twoje błędy przeciwko tobie, dowódco, ale dotrzymałeś końca swojej służby honorowo, nawet jeśli marnie wypadłeś w tym ostatnim roku. Dowódco Żelazna Pięść, niniejszym pozbawiam cię dowództwa i pozycji oficera. Przejdziesz na emeryturę z pełnymi honorami i uposażeniem. Rozkaz ten wchodzi w życie ze skutkiem natychmiastowym.

Kip czuł się, jakby oberwał w twarz łopata. Jedna jego część dostrzegła artyzm w kłamstwie, wątpliwości zasiane przez słowa Androssa. Ludzie nagle zaczęli się zastanawiać, pod jakim względem dowódca Żelazna Pięść zawiódł. Wielu z nich wiedziało, że Żelazna Pięść i Andross Guile nie dogadywali się, ale wyraźny żal Androssa, kiedy degradował dowódcę, i sposób w jaki wydawało się uhonorował człowieka, którego wyrzucał – z jakim wdziękiem zwyciężał – mówiły, że niezależnie od natury tego konfliktu wina leżała po stronie Żelaznej Pięści.

Dowódca miał taką minę, jakby go wypatroszono. Wydawało się, że nie wie, gdzie podziąć oczy, zerkał to na Androssa Guile, to na Kipa, a nawet na Grinwoodyego.

Kipowi było niedobrze. Chciał zabić Androssa.

– A ty, Kip – zwrócił się do niego dziadek. Obrócił się, jakby nagle uświadomił sobie, jak publiczna stała się ich rozmowa. – Przepraszam was wszystkich, że musieliście to oglądać. Kip, nie będę cię chronił dlatego, że jesteś z mojej rodziny. Dowody, chociaż niepewne, są dość sugestywne. Zostajesz wydalony z Chromerii, wydalony z Czarnej Gwardii i wygnany z Jaspisów. Rozkaz wchodzi w życie ze skutkiem natychmiastowym. Jeśli którykolwiek z twoich „Mocarzy” pójdzie z tobą, także zostanie wydalony i wygnany. Zejdź mi z oczu, wnuku.

-Ale...

– Precz! Zanim zmienię zdanie! Wynoś się! – ryknął.

Kip zadygotał z wściekłości. Nie przez wzgląd na siebie, ale dlatego, że pozwolił wplątać

się w to Żelaznej Pięści. Nagle Gill Greyling i Kalif znaleźli się tuż za nim.

Żeby bronić Androssa Guile przed nim, Kipem.

Nie, nie. Nie w ten sposób.

Kip wyszedł jak zamroczony. Drużyna i nawet dowódca Żelazna Pięść wyszli za nim. Dwuskrzydłowe drzwi zamknęły się, ale zanim ktokolwiek zdążył odezwać się słowem, otworzyły się znowu i Andross wystawił głowę.

– Dowódco – zniżył głos – wiem, jak Czarnogwardziści cię kochają. Jeśli poprowadzisz bunt, założę się, że połowa dołączy do ciebie. Oto więc twoja decyzja: czy tego chcesz dla obu połówek Czarnej Gwardii? Potem ją rozwiążę. Doprowadzisz do końca swojej ukochanej Czarnej Gwardii.

I zaraz zniknął w sali. Drzwi zamknęły się za nim.

Kip spojrzał w twarz dowódcy. Bał się. Ogromny wojownik dygotał z wściekłości, z całej siły zaciskał pięści. Kip nigdy nie zapomniał, że Żelazna Pięść jest ogromny, wysoki i że to najlepszy wojownik, jakiego w życiu spotkał, ale ujrzeć to w takiej sytuacji to coś całkiem innego. Słyszał, jak Żelazna Pięść oddycha – wdech na cztery, pauza na cztery, wydech na cztery i znowu pauza na cztery. Dokładnie tej samej techniki uczył ich, żeby uspokoić szalejące hormony, pchające go do walki i zapanować nad wściekłością.

Dowódca odwrócił się do Kipa.

– Zatem ona nie żyje?

Panował nad głosem. Miał na myśli Biel.

– Pewnie już tak. Widzieliśmy ją niecałe dziesięć minut temu. Szybko słabła.

Kip chciał powiedzieć coś więcej, ale inni Czarnogwardziści nadal stali w korytarzu.

Żelazna Pięść ruszył do windy, a oni odruchowo ruszyli za nim.

-Ach, i kto tu wygląda jak zbite psiaki? – odezwał się Aram, kiedy mijali posterunek Świetlanej Gwardii. Zaśmiał się.

Idąc za przykładem Żelaznej Pięści, Kip nic nie zrobił. Aram spodziewał się ataku. Kip nic nie zrobił, więc Aram odwrócił się, śmiejąc się z niego.

Kiedy Kip go minął, usłyszał brzęk hełmu o kamień i śmiech gwałtownie się urwał.

Zerknął przez ramię, ale drużyna nawet nie wypadła z rytmu. Aram zataczał się skonsternowany, hełm opadł mu aż na brwi. Ściana za jego głową była zarysowana, jakby uderzył w nią hełmem. Usiadł ciężko. Jego towarzysze popatrzyli na niego zdumieni. Kip odwrócił wzrok.

Kiedy doszli do windy, Żelazna Pięść, który nawet się nie obejrzał, powiedział:

– Dzięki, Duży Leo.

Kip zerknął na towarzysza, ale zwalisty młodzieniec patrzył przed siebie z delikatnym, pełnym zadowolenia uśmiechem.

Musieli poczekać na windę, a kiedy wreszcie nadjechała, stała w niej Karris z dwiema niewolnicami. Ocierała zarumienioną twarz chusteczką, jakby też biegła, jedna niewolnica usiłowała doprowadzić do ładu jej długie ciemne włosy, podczas gdy druga, wyraźnie zgorziona, nadal sznurowała tył jej sukni.

Karris wysiadła z windy.

– Co się stało? – zapytała. – Wiedzą?

– Nie – odpowiedział Żelazna Pięść. – Promachos właśnie pozbawił mnie dowództwa.

– Co?! Nie było nas raptem...

– Musisz tam wejść. Dowiedz się, ile zdołasz – przerwał jej Żelazna Pięść. – Powiedz im, kiedy nadejdzie właściwy moment. Tego chciałyby Biel.

– Czyli nie żyje.

Na twarz Karris wypłynął grymas bólu, który natychmiast stłumiła.

– Nie pozwól, żebyś to cię rozkojarzyło. Idź. Spotkamy się później – ponaglił ją dowódca.

Karris rozejrzała się, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale uznała, że szpiedzy mogliby usłyszeć.

– Powiedz Kipowi – poprosiła tylko.

Potem spojrzała na Kipa. Dotknęła jego ramienia niezręcznie, jakby chciała przeprosić za ich ostatnią rozmowę. Jednak nie było na to czasu. Kiedy niewolnica nałożyła ostatnią odrobinę pudru na jej twarz, Karris odeszła.

Oddaliła niewolnice gestem i przeszła obok posterunku Świetlanej Gwardii. Aram nadal siedział, trzymając się za głowę. Pozostali gwardziści sprawiali wrażenie podenerwowanych.

– Nie tkniecie mnie – oznajmiła im Karris, patrząc poza nich z uniesioną głową, a siła jej osobowości poprzedzała jej drobną postać. – Nawet się do mnie nie odezwiecie.

I tak właśnie zrobili.

ROZDZIAŁ 91

Zymun siedział na podwyższeniu razem z dziadkiem, tam gdzie jego miejsce. Na razie. Korona Pryzmata elekta na czole mile mu ciążyła. Miał jednak nadzieję na więcej. Elekt? Dlaczego nie po prostu Pryzmat?

To była robota jego dziadka, rzecz jasna. Staruch trzymał go na smyczy. Zymun w końcu mu się odpłaci. Już irytowało go to, że Najwyższy Luksjat znajduje się w centrum uwagi; gada i gada. Zymun odgrywał pełen szacunek już całe wieki, ale luksjat zwyczajnie nie chciał się zamknąć. Teraz więc Zymun patrzył na zebranych arystokratów i wybierał, z którymi kobietami poszedłby do łóżka.

Kobiety wnosily ze sobą tak wiele dramatyzmu; uwielbiał to. Polowanie było czymś przepięknym. Lawina słów i twoja pełna uwaga, bo zawsze obserwujesz, które pochlebstwa najlepiej działają, wyczuwasz ich słabe punkty, często do nic powracasz. Niesłabnąca uwaga, udawanie, że wybranka jest centrum twojego świata.

A potem kochanie się. Najpierw słodkie i namiętne, zwierzęce pożądanie i całkowite skupienie. Później, kiedy już jest twoja, obojętność urozmaicana okresami pełnej uwagi. Przeprosiny, drobne prezenty, zamieszanie, jeszcze więcej kochania się, teraz poniżającego.

To był chyba najśłodszy etap. Patrzenie jak kobieta zakochuje się. Widzisz w jej oczach, że dobrze wie, że nie powinna, a jednak stało się.

Od tego momentu zostawało już tylko dopełnić zniszczenia. Klótnie, godzenie się, policzkowanie, przeprosiny, zdrady, najpierw ukradkowe, a potem celowe pozwalanie, żeby go przyłapała, przepraszenie, upokarzanie, kradzieże i przerzucanie winy. Na koniec sięgasz po taki szantaż, jaki jest potrzebny, żeby na pewno trzymała się z dala, kiedy już ją rzucisz. Niekiedy mieszało się to jeszcze z wieloma tygodniami słodyczy. A gdy kobieta jest już wypompowana, biedna, upokorzona, zrujnowana i pełna nienawiści do siebie, sięgasz po następną, może jej przyjaciółkę.

Mężatki są najlepsze. Czasem trudniej je początkowo uwieść, ale mają większy dostęp do pieniędzy i sekretów, są mniej skłonne czepiać się kurczowo, kiedy już je odrzuca. A póki on nadal jest młody, łatwiej sprawić, żeby wzięły winę na siebie. W końcu on jest tylko chłopcem. To, że mają mężów, znaczy też, że trudniej im mieć go na oku, może więc szukać też innej podniety w tym samym czasie.

Liv Danavis to jedyna, która naprawdę mu się wymknęła. Na swoją obronę musi dodać, że była tylko uboczną rozrywką, kiedy Zymun romansował z żoną generała. I działo się wtedy tak wiele innych rzeczy. To była porażka, ale nie taka, za którą mógłby winić siebie. Był w końcu młody i jeszcze nie doprowadził swoich metod do perfekcji.

Dryfował jednak na oślep. Było tu mnóstwo ładnych kobiet, ale on nie wybierał, kierując się tylko urodą. Nie przy jego nowej pozycji.

Chyba że w charakterze dodatku. Musiał jednak dowiedzieć się, kto jest kim, zanim poświęci swój czas i energię. Dziadek utrzymywał go w nieświadomości, jeśli idzie o arystokrację i swoje plany.

To znaczyło, że Andross się go obawia. Zymun nie wiedział, czy to powinno mu bardziej pochlebiać, czy też – równie mocno! – go irytować. To tak bardzo komplikowało sprawy. Zwłaszcza że Zymun potrzebował dziadka. Nie mógł przeciwstawić się jego władzy, nie niszcząc własnej pozycji. Dopóki nie zostanie Pryzmatem. Pryzmata elekta można odwołać. Sprytny stary cap.

Ale co Andross robił teraz z Kipem? Wyrzucał go? Zymun myślał, że Andross będzie trzymał Kipa pod ręką jako gwarancję dobrego zachowania Zymuna. Po prostu dał się ponieść gniewowi? W końcu był Czerwienią. I był stary. Głupek.

Tego ranka o obrzydliwie wczesnej porze przed świtem, kiedy obudzono ich, żeby udali się do Chromerii, Zymun robił co w jego mocy, żeby podsłuchać dziadka, kiedy wydawał polecenia swojemu niewolnikowi, tej starej zasuszonej śliwce, jak go tam zwać.

Ma komuś powiedzieć, że dostanie godzinę. Komu?

Niewolnik wszedł do sali z Kipem.

Andross dawał Kipowi godzinę na ucieczkę. Dlaczego zrobiliby coś takiego?

Żeby Kip na pewno uciekł. Niezależnie od ich planów Andross chciał, żeby pościg wypadł prawdziwie, i Kip dostał godzinę.

Zymun wiercił się na swoim siedzeniu. Pochylił się do dziadka, który wyglądał, jakby uważnie słuchał kazania Najwyższego Luksjata.

– Muszę skorzystać z latryny – powiedział.

Andross nie odpowiedział. W końcu spiorunował go nienawistnym spojrzeniem.

– Co ty? Dzieciak jesteś? Wytrzymaj.

Zymun mimo to już miał wyjść, kiedy boczne dwuskrzydłowe drzwi znowu się otworzyły. To było niegrzeczne wchodzić tędy do sali, kiedy było inne, dyskretniejsze wejście na tyłach, a zawiasy tych drzwi głośno skrzypiały. Jakiś niewolnik albo dyscypuł zbierze za to manto, jak miał nadzieję Zymun.

Weszła kobieta, drobna, tuż po trzydziestce, chuda, przedziwnie muskularna, ciemnowłosa. Suknię miała na tyle bogatą, że z pewnością należała do wyżej postawionej

arystokracji. Kto byłby na tyle arogancki, żeby przerywać ceremonię? Była piękna. Dostatecznie bogata. W tym wieku z pewnością była mężatką. Może to ona powinna zostać jego następnym celem do uwiedzenia? Z jakiegoś powodu wyglądała znajomo.

Och, zauważyła go i patrzyła jak sparaliżowana. Zymun był nieprzeciętnie przystojny. A teraz był Pryzmatem. Kobiety kochają potężnego mężczyznę.

Pryzmatem elektem, niech to diabli.

Oderwała od niego oczy i spojrzała na stojącego obok niewolnika, który powinien zaprowadzić ją na jej miejsce. Mężczyzna był podenerwowany – nie było żadnego miejsca z przodu, jakiego niewątpliwie wymagała dla niej jej pozycja.

Wtedy wstał arystokrata z pierwszego rzędu. Przeszedł pewnym krokiem centralnym przejściem, a w tej samej chwili luksjat zająknął się przy kazaniu, a potem zaczął mówić o ofierze i świetle prawdy, czy o czymś takim. Zymun bardziej wyczuł niż zauważył, że Andross przekrzywił głowę.

Arystokrata odprawił machnięciem ręki niewolnika i poprowadził kobietę naprzód. Dziwne. Z przodu nie było ani jednego wolnego miejsca, dosłownie, a ławki były tak upakowane, że nie miał szansy jej wcisnąć.

Jednak arystokrata zaprowadził kobietę, która to wyglądała na skonsternowaną, to na znowu oczarowaną widokiem Zymuna, na swoje miejsce. Posadził ją tam, gdzie wcześniej sam siedział, rzucił jedno nieprzeniknione spojrzenie Androssowi Guile, a potem odszedł bocznym przejściem. Zymun obserwował go, jak idzie na tyły i siada razem z arystokracją niższej rangi. Przedziwne.

Zymun wyczuwał, że wydarzyło się coś ważnego, więc spojrzał na Androssa Guile, ale niczego z jego twarzy nie wyczytał.

Zresztą nie był dobry w odczytywaniu emocji.

Znowu poruszył się na siedzeniu i powiedział:

– Dziadku, zrobię tu kałużę, jeśli zostanę. Wybacz.

Nie czekając na reakcję, wyszedł z pochyloną głową i konsternacją wypisaną na twarzy, aby było jasne, że nie chce narobić zamieszania. Wyszedł bocznym wyjściem w pobliżu podium.

Czarnogwardziści stali po obu stronach drzwi od środka i od zewnątrz. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Zymun ruszył w stronę windy.

– Latryny są tam – zasugerował Czarnogwardzista, wskazując przeciwny kierunek.

Zymun udał, że go nie słyszy, i ruszył szybkim krokiem, aż doszedł do posterunku Świetlanej Gwardii.

– Imię? – zapytał ostro kulejącego dowódcę.

– Porucznik Aram, sir – odpowiedział tamten.

Na jego twarzy malował się strach, ale był muskularny. I skwaszony. Zymun wiedział, jak radzić sobie z tym typem. Nie różnił się tak bardzo od przeżartych skorbutem piratów, z którymi spędził kilka miesięcy.

– Mój dziadek zmienił zdanie na temat wydziedziczonego wnuka Kipa – powiedział Zymun. – Poruczniku, potrafi pan podejmować zdecydowane działania i wykonywać wymagające delikatności rozkazy?

– Tak jest, sir!

-A pańscy ludzie tutaj? Potrafią trzymać język za zębami, kiedy otrzymają kluczowe zadanie?

-Tak jest, sir!

– Promachos Guile chce, żebyście złapali Kipa i każdego z jego drużyny, kto spróbuje was powstrzymać. Możesz posłużyć się całą Świetlaną Gwardią. – Zymun zniżył głos. – I poruczniku... mówiąc „złapać”, promachos ma na myśli „zabić”. Niech to wygląda, jakbyś nie miał wyboru. Nie wolno ci nigdy mruknąć słowem na ten temat, nawet w rozmowie z promachosem. Nasi wrogowie wszędzie mają szpiegów. Obiecuję ci nagrodę, jeśli udowodnisz, że można ci ufać. Może nawet awans. Teraz jestem Pryzmatem elektem. Mogę być dla ciebie dobrym przyjacielem. Rozumiesz?

Oczy Arama zabłysły.

– Tak, lordzie Pryzmacie. Z radością wypełnimy rozkazy. Więcej niż z radością.

– Światłowładcy będą brali udział w ceremoniach aż do południa. Dzisiaj mamy święty dzień, oczekuję, że nie narobicie wrzawy w całym mieście, zrozumiano? Załatw to po cichu, ale załatw. Jeśli będziesz musiał wykorzystać wszystkich Świetlanych Gwardzistów w mieście, zrób to, ale powiedz, że ścigasz złodzieja albo coś w tym stylu. Jasne?

– Tak, mój panie, doskonale rozumiem. Mogę wezwać wszystkich Świetlanych Gwardzistów w wieży. Mamy dostęp do ściennych kryształów.

– Doskonale. Ale nie na tym poziomie. Nie chcemy zakłóceń podczas ceremonii. Zamknij najpierw windy. I ten most, Łodyga Lili, tak? Dla mnie wygląda to na przewężenie warte wykorzystania.

– Tak, mój panie, bez wątplenia. To jedyna droga na wyspę. I jeszcze port na tyłach. Port też możemy obstawić.

– Nie składaj raportu, dopóki on nie zginie. Albo nie przychodź w ogóle.

Gwardziści odeszli pośpiesznie, porucznik dziwacznym kuśtykającym krokiem, wsparty na rohatynie. Zymun poszedł do latryny. Dopiero kiedy zaczął sikać, zdał sobie sprawę, kim musiała być kobieta w pierwszym rzędzie i dlaczego wyglądała znajomo. Widział ją raz z daleka w obozie króla Garadula. To była jego matka, Karris!

Roześmiał się w głos. Idealnie! Czy był dość dobry, żeby uwieść własną zaginioną

matkę? No, to dopiero było wyzwanie. Ale kto będzie lepszy, żeby wykorzystać go dla zdobycia pieniędzy i informacji potrzebnych mu w walce z Androssem Guilem?

Czy był aż tak dobry? Tak, pomyślał, oczywiście, że tak.

Zasznurował spodnie, poprawił złotą koronę na głowie i wszedł z powrotem do sali z szerokim, bardzo szerokim uśmiechem na twarzy.

ROZDZIAŁ 92

– Ile mamy czasu? – zapytał Kipa Żelazna Pięść.

– Godzinę.

Kip powiedział dowódcy jedynie, że zawarł umowę z Androssem i że pozbawienie Żelaznej Pięści dowództwa nie było jej częścią.

Żelazna Pięść skinął głową, nie marnując słów na stwierdzanie oczywistości. Musieli szybko działać.

Poszli szybkim krokiem do koszar Czarnej Gwardii. Teia czekała na nich w drzwiach, udając przed drużyną, że właśnie przysłała z dołu. Niemal wszyscy Czarnogwardziści mieli dzisiaj służbę. W Dzień Słońca było tak wiele roboty, że nawet szczeniaki włączono do patroli, odesłano na warty i do nadzoru. W koszarach było tylko czterech, może pięciu Czarnogwardzistów, a ci ucięli sobie półgodzinną drzemkę albo jedli pośpiesznie przed kolejnymi wachtami.

Największym zaskoczeniem był widok Benhadada.

– Och, dzięki niech będą Orholamowi – ucieszył się. – Wszędzie was szukałem. Co to za rzeczy? Pieniądze? Broń? Dokumenty...

– Zamknij się – uciął Kip. – Nie teraz.

– Nie mogę się doczekać, żeby ci powiedzieć, gdzie byłem! Byłem... – zaczął Benhadad.

– Ben! – uciął Cruzer.

– Spotkajmy się tutaj za trzy minuty – rzucił Żelazna Pięść, nawet nie zwalniając kroku. Drużyna rozbiegła się, każdy skierował się do swojego łóżka i skrzyni.

– Czekaście – odezwał się Kip. On już miał wszystkie swoje rzeczy. – Co wy wyprawiacie?

Śpiący Czarnogwardziści natychmiast się obudzili.

– Co się dzieje, dowódco?! – zawołał Konus, siadając.

– Nie jestem już waszym dowódcą – odparł Żelazna Pięść, idąc do swojego pokoju. – Zostałem zwolniony ze służby.

Równie dobrze mógłby trafić ich błyskawicą.

– Co? – zdumiał się Lem.

– Co jest, do diabła?! – dopytywał się Konus.

Żelazna Pięść nie odpowiedział. Kip poszedł za nim.

– Sir, ile powinienem panu powiedzieć? – zapytał.

Żelazna Pięść nie odwrócił się. Zaczął się pakować.

– Czy to, co robisz, jest słuszne?

– Nie jest... złe. Jest mądre. Robię to dla dobra drużyny i satrapii.

– Dla mnie brzmi to jak coś słusznego.

– Pójdzie pan ze mną? Chociaż tylko do portu?

Żelazna Pięść zamarł. Na biurku leżała mała torba. Podniósł ją i zajrzał do środka.

– Andross. Stary lis.

Odetchnął znowu, a potem podszedł do obrazu młodej Paryjki. Wziął nóż i wyciął płótno z ramy. Sięgnął w głąb i wyciągnął ceramiczną tubę. Rozbił ją o biurko. W środku znajdował się kawałek papieru.

– Co to? – zapytał Kip.

– Rozkazy – wyjaśnił Żelazna Pięść. – Od Bieli. Jeden na wypadek śmierci z przyczyn naturalnych, jeden na wypadek gdyby ją zamordowano. Nie, Kip, nie mogę pójść z tobą. Jeśli pójdę, to ten, kogo twój dziadek próbował oszukać, kimkolwiek jest, nie uwierzy w taki zbieg okoliczności. Andross poróżnił się z tobą i jednocześnie ze mną, a ja udam się tam gdzie ty, żeby cię chronić? To zbyt wygodne.

– Nie pomyślałem o tym w ten sposób.

– Twój dziadek nie rozumie międzyludzkiej lojalności. Nigdy nie wpadłby na to, że zechcę cię chronić, nawet jeśli nie mam w tym żadnego interesu, stary głupiec.

Kip uniósł brwi. Nigdy nie słyszał, żeby Żelazna Pięść kiedykolwiek wyrażał się w taki sposób na temat Kolorów, nawet kiedy niewątpliwie tak myślał.

– Nie jestem już Czarnogwardzistą – powiedział Żelazna Pięść, mrugając porozumiewawczo. Jednak napięcie na jego twarzy nadal było dobrze widoczne. – Nie mogę iść z tobą. Nie po tym, co się stało.

– Nie ma pan na myśli tego, co wydarzyło się na górze, prawda? – zapytał zdezorientowany Kip.

– Kip. Karris i ja uratowaliśmy twojego ojca. Wrócił na Jaspisy.

– Wrócił?! Żyje! Wiedziałem!

– Ciszej! Jest ranny. Bardzo poważnie. Może został trwale okaleczony. Może być już niezdolny... służyć jako Pryzmat.

– Muszę do niego pójść. Jak... Jak mogę pomóc?

– Pomożesz, nie idąc do niego.

– Co? Dlaczego? To mój ojciec!

Towarzysze Kipa pracowicie zbierali rzeczy, a on chciał zapytać ich, co robią, ale... Jego ojciec!

– Ponieważ będą ścigali cię jego wrogowie. Wrogowie, którzy nawet nie wiedzą, że on żyje.

– Ale chcę...

– Robiąc to, co chcesz, narazisz go na niebezpieczeństwo. Co jest dla ciebie ważniejsze?

Sam chciałem go uratować! Kip nie mógł tego powiedzieć. Obiecał, że to zrobi. Może wziął udział w naciskaniu dziadka, żeby wysłał więcej ludzi na poszukiwania, ale sam nic nie zrobił. Kolejna niedotrzymana przysięga. Tak samo nie udało mu się znaleźć obciążającej informacji na temat Klytosa Niebieskiego, jak prosił ojciec... Jak dawno temu? Rok?

Zbyt wiele rzeczy działo się naraz. Zbyt wiele myśli i zbyt duża presja.

– Gdzie był? Jak go znaleźliście? – dopytywał się. – Nawet nie wiedziałem, że wyjechaliście.

– Uratowaliśmy go przed moją siostrą. Nuqabą. Chciała go oślepić.

– Pańska siostra? Nawet nie wiedziałem, że ma pan... – Kip spojrzał na obraz. To była ładna młoda kobieta o upiętych wysoko włosach przeplatanych klejnotami i żywych piwnych oczach rozpalonych pomarańczowym halo. – Nuqaba to pańska siostra?!

Żelazna Pięść nie odpowiedział na to pytanie.

-i Andross ma rację, wielu albo nawet większość Czarnogwardzistów poszłaby za mną, gdybym ruszył z tobą, choćby do portu. Pomyśl, co się stanie, jeśli doprowadzisz do rozłamu w Czarnej Gwardii. Jak wyglądałoby zwycięstwo? Jeśli nasza połowa zabije pozostałych, co wtedy zrobimy? Zamordujemy Androssa i co potem? Odłożymy broń i damy się stracić? Przejmiemy kontrolę? Sami będziemy rządzić Chromerią? Nie tym jesteśmy.

– To co robimy? Damy mu wygrać? – Kip był wściekły.

Robił dokładnie to, czego ten morderczy pająk chciał, i wydawało się, że nie ma od tego żadnej drogi ucieczki. Nie mógł nawet zwrócić się do jedyne go człowieka, który był w stanie dorównać Androssowi Guile. Jego ojciec wreszcie się tu znalazł... a Kip musiał wyjechać? Teraz? Zanim go zobaczy?

– On to zaplanował! Nie bez powodu robi to w Dniu Słońca. Wszyscy będą mówili tylko o święcie, tegorocznym przyjęciu, o nowym Pryzmacie elekcje i o tym co wiadomo na jego temat, będą hołdy dla Bieli, którą wszyscy kochali, i spekulacje, kto ją zastąpi. Normalnie wybuchłby wielki skandal, bo pozbawił pana dowództwa, a tak... To, że pan i ja zostaliśmy wyrzuceni... Wszystko, co oprócz tego wydarzy się dzisiaj, zniknie w obliczu innych nowin, prawda?

– Jeśli szukasz sprawiedliwości, nie patrz na ziemię, Łamacz.

Żelazna Pięść spojrzał nagle na kryształ zatopiony w ścianie. Zamigotał na żółto, na czerwono i znowu na żółto. Kryształów rzadko używano, system był delikatny, trudny do

naprawienia. Zwykle posługiwano się nim w dniu inicjacji, żeby ogłosić kolory nowych krzesicieli przechodzących przez Młocarnię. I w nagłych wypadkach. Tylko wyżsi rangą luksjaci i Czarnogwardziści powinni mieć do nich dostęp.

– To nie jest nasz kod – powiedział Żelazna Pięść.

– Co? – spytał Kip, ale były dowódca już wybiegał z pokoju.

– Kto idzie z Łamaczem? – zapytał Żelazna Pięść. – Szybko. Ja nie mogę. Czeka mnie inna droga.

Drobny Daelos zebrał się na odwagę, nim zaczął szybko tłumaczyć:

– Łamacz, moi rodzice umarliby, gdybym odszedł. Tylko tego pragnęli dla mnie. To wszystko, czego sam pragnąłem dla siebie. Przepraszam.

– Nie mam do ciebie pretensji, Daelos, ale dowódca miał na myśli tylko drogę do portu... – zaczął Kip.

– Nie, nie to miałem na myśli – przerwał mu Żelazna Pięść. – Jeśli pójdziecie z Łamaczem, wylatujecie z Czarnej Gwardii. Na zawsze. To słowa promachosa.

– Ja pójdę – powiedział Cruixer. Mówił spokojnie, ale wyglądał, jakby umierał.

– Rozetnij szwy przy insygniach – polecił Żelazna Pięść.

– Czeka, co?! – zawołał Kip. – Cruixer, co ty mówisz?

– Ja pójdę – powiedział Ferkudi.

– Wchodzę w to – zadudnił Duży Leo.

– Chwileczkę, co to wszystko znaczy? – dopytywał się Kip.

– Ja też – odezwał się Goss.

– Nie poszłabym nigdzie indziej – powiedziała Teia.

Winsen wzruszył ramionami.

– Brzmi ciekawie. Wchodzę.

– Nie ma czasu! – zawołał Żelazna Pięść. – Ustawcie się. Każde z was znalazło dokument w plecaku. Podpiszcie go.

– Przestańcie! – zaprotestował Kip. – Co wy wyprawiacie? Pracowaliście całe życie, żeby zostać Czarnogwardzistami. Jesteście o włos od celu. Ja muszę odejść, ale po to, żebyście wy mogli zostać. Moje odejście znaczy, że nigdy nie będę musiał z wami walczyć.

– Łamacz – odezwał się Cruixer – nie rozumiesz? Wszyscy jesteśmy dość dobrzy, żeby zostać Czarnogwardzistami. Dowódca zaoferował każdemu z nas awans. Chcieliśmy jednak zostać Czarnogwardzistami nie dla ubrań i podziwu...

– Ja uważałam, że ubrania i podziw są całkiem fajne – wtrąciła Teia.

– Mnie się podobają ubrania i podziw – poparł ją Ferkudi.

– Ferkudi! – warknął Cruixer.

– No co? Przecież ona powiedziała to samo... Auć! Ben, za co ta sójka w bok?

– Wszystko to jest cudowne – mówił Cruixer – ale chcieliśmy zostać Czarnogwardzistami, bo pragnęliśmy służyć wyższemu celowi.

– A jeśli nie jestem... – zaczął Kip.

– To nie ma nic do rzeczy – odparł Cruixer, ale Kip nie był pewien, czy pozostali zgadzali się z nim. – Jaki mamy tu cel? Służyć złym ludziom?

– Na co nam oznaki honoru, kiedy honor umarł? – dodał Benhadad.

– Mimo to nadal podobają mi się oznaki – mruknął Ferkudi.

Z zalem obracał kadecki złoty żeton walki w dłoni.

– Łamacz – powiedziała Teia – uwielbiamy to miejsce. Nie chcemy odchodzić. Ale chcemy iść z tobą.

A on myślał, że wszystko to straci. Kip poczuł przenikające go ciepło, jakby jego ciało napełniło się światłem.

– Znajdziecie dwie pary czarnych strojów w swoich torbach – powiedział Żelazna Pięść.

– Słyszałem, że niektórzy z was dołączyli przede wszystkim dla ubrań.

Nikt się nie zaśmiał. Czarne mundury nie tylko były niewyobrażalnie drogim podarkiem – miękkie i opinające, wygodne, luksusowe i praktyczne – były też ostatecznym symbolem elitarnej Czarnej Gwardii, tego co oddział porzucał. To, że dowódca dawał im czarne stroje, mówiło, że uważa ich za godnych tego zaszczytu i braterstwa, które postanowili poświęcić.

Żelazna Pięść warknął:

– Co, mam zarekwirować chusteczki do nosa? Do szeregu!

Kipowi zaszkliły się oczy. Jednak drużyna natychmiast stanęła, a on zajął miejsce na końcu szeregu.

– Nie jesteście już Czarnogwardzistami – powiedział Żelazna Pięść.

Przeszedł wzdłuż szeregu, wziął od każdego podpisane zrzeczenie i oderwał im insygnia od rękawów. Kip był ostatni. Czuł się tak, jakby Żelazna Pięść wyrywał mu serce.

– Lem – powiedział Żelazna Pięść. – Zanieś te papiery na biurko sekretarzy, niech zrobią trzy kopie, a potem wprowadź do akt. – Podał mu dokumenty i Lem po prostu zniknął.

Żelazna Pięść pogrzebał w torbie.

– Możecie nazywać się teraz jak chcecie. Zróbcie sobie własne, jeśli te wam się nie podobają. Promachos nazwał was „Mocarze”.

Żelazna Pięść znowu przeszedł wzdłuż szeregu i klepieniem nałożył na lewe ramię każdego nowe insygnia. To był czarny zarys mocarnego mężczyzny na czerwonym polu, stojącego w lekkim rozkroku, z pochyloną głową, rękami wzdłuż boków i mocą promieniującą z obu dłoni. Przypominał Kipowi czas spędzony w dżungli, kiedy usuwał pijawki.

– A teraz idźcie, niech Orholam nad wami czuwa – powiedział Żelazna Pięść. – Może jeszcze się spotkamy. Jeśli nie na tym śmiertelnym padole, to w raju.

Podeszli do drzwi, a Kip odwrócił się, kiedy pozostali znaleźli się na korytarzu.

– Dowódco, jeśli mogę zapytać, skąd ma pan te naszywki?

– Andross Guile kazał je zrobić.

– Właśnie tyle?

Żelazna Pięść skinął głową.

– Dołożył broń. I zapasy. Wszystko prócz czarnych strojów.

Niewiarygodne. Już kiedy Kip poczuł się wygodnie w swojej nienawiści do tego starego mordercy, Andross oddał mu jego drużynę. Dał im nie tylko broń i sprzęt, ale i załatwił odejście tak, żeby nie musieli zwracać pieniędzy otrzymanych przy podpisaniu kontraktu, które wszyscy już wydali albo oddali swoim rodzinom lub byłym właścicielom. Andross Guile szczodry?

– Sir – odezwał się Kip – dokąd pan pójdzie?

– Na inny front tej samej wojny.

– Stać! – rozległ się głos w korytarzu, gdzie znajdowała się reszta drużyny. – Który z was to Kip?

– Ja – odezwał się głośno Goss. – A co ci do tego?

Kip usłyszał wystrzał z muszkietu.

ROZDZIAŁ 93

W pierwszym wstydlwym odruchu Kip chciał uciec, byle dalej od muszkietu, ale to minęło, kiedy tylko zobaczył minę Żelaznej Pięści. On także walczył z pierwszym odruchem. Tyle że w jego wypadku była to chęć pobiegnięcia w kierunku strzału.

Żelazna Pięść nie zobaczył strachu na twarzy Kipa.

– Nie mogę – powiedział. – Nawet jeśli to znaczy... Idź, Łamacz, idź.

Pchnął Kipa w stronę windy, a sam pobiegł w przeciwnym kierunku.

Sam ruch wyrwał Kipa z niezdecydowania. Pobiegł w stronę windy, ale zanim tam dotarł, niecałe dziesięć sekund po wystrzale, czterej Świetlani Gwardziści już leżeli. Dwaj krzyczeli, jeden pełzył z rozerwanym gardłem, krew tryskała strumieniami, przez co kamienna posadzka stała się śliska.

Wszyscy z drużyny nadal stali. Winsen i Duży Leo podeszli do dwóch krzyzących, umierających gwardzistów i podcięli im tętnice szyjne. Pełznący padł. Całą czwórką szarpały drgawki pośmiertne.

– O, w mordę – powiedział Ferkudi. – Goss, oberwałeś? Myślałem...

Goss zamrugął.

– Na jaja Orholama – powiedział – nie mam pojęcia, jak mógł spudłować. Kula musiała wypaść z muszkietu przed wystrzałem albo coś takiego. Kiepsko przybił... – I padł.

Cruker ledwie zdążył go złapać i odłożyć ciało na posadzkę. Goss już nie żył. Miał dziurę w samym środku piersi.

– Przyszli nas zamordować – powiedział Cruker. Zamknął Gossowi oczy. – Bez ostrzeżenia. To nie była próba schwywania.

– Musimy ruszać – odezwała się Teia.

Kiedy tylko to powiedziała, usłyszeli głośny huk w szybie windowym. Duży Leo nie zwrócił na to uwagi. Podniósł ciało Gossa.

– Nie mogę go tak zostawić. Dogonię was.

Łomot trwał i Kip dobiegł do szybu w samą porę, żeby zobaczyć wielkie żelazne drzwi, które zatrzaśkiwały się na każdym poziomie szybu.

– To część systemu obronnego w każdej wieży – wyjaśnił Cruker. – Rodzice mówili mi o tym. Zawiasy są tak umieszczone, żeby dało się wysłać żołnierzy w górę, ale nikt nie może zjechać.

– Z pewnością moglibyśmy wykrzesać jakieś dźwignie, wielokrażki czy coś takiego – zasugerował Benhadad.

– Szacuje się, że na przebicie się przez każde piętro krzesiciel potrzebuje pięciu minut. Musimy zbiec schodami dla niewolników. Możliwe, że wyjścia zagrodzono, ale możemy się przebić. Za mną!

Benhadad się skrzywił. Ewidentnie uważał, że przebije się przez każdy poziom w czasie krótszym niż pięć minut. Mimo to wykonał rozkaz.

Dotarli do schodów i odkryli, że drzwi zaryglowano. Benhadad przeszedł naprzód, zlokalizował mechanizm i przyjrzał mu się.

– Przesuńcie się – rozległ się głos za ich plecami.

To był Daelos. Niósł dwa garłacze. Podał jeden Cruxerowi.

– Duży Leo? – zapytał Daelos, podsuwając lont zwalistemu chłopcu.

Ten wykrzesał do palców trochę podczerwieni i zapalił lonty dotykaniem.

– Daelos, przecież mówiłeś, że nie idziesz... – zaczął Kip.

Chłopak wycelował garłaczem w miejsce, w którym po drugiej stronie powinny znajdować się zawiasy. Wystrzelił.

– Zabili Gossa – powiedział. – Idę.

Lont Cruxera źle się zapalił, więc czekali w napięciu, aż go uprzątnie.

– Co wy, żółtodzioby? – zapytał ostro Cruxer. – Obstawić teren! Teia, przynieś nam jeszcze dwa z koszar.

Skarceni wypełnili rozkazy. Kip natychmiast dostrzegł kilka zaciekawionych osób wyglądających na korytarz. Nie wszyscy opuszczali wieżę przed świtem, nawet w Dniu Słońca.

– Wracać do swoich pokojów! – huknął Kip. – Uważajcie na Świetlanych Gwardzistów. Właśnie zabili naszego przyjaciela.

Dwie z trzech głów schowały się natychmiast. Jednakże jeden mężczyzna nadal zerkał. I wtedy Kip go rozpoznał. Preceptor Jens Galden. Ten dupek, który uderzył Kipa w dniu, w którym Kip przybył do Chromerii.

Tamten najwidoczniej też go pamiętał.

– Znam przejście! – zawołał głośno Jens Galden. – Mogę was wszystkich ocalić. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Chodźmy! – powiedział Duży Leo. Odwrócił się do drużyny. – Przestań strzelać do drzwi, możemy pójść tamtędy. Ten preceptor...

Kilkoro z drużyny zaczęło już biec.

Jens Galden poczekał, aż zobaczył, że się zbliżają, i wtedy oznajmił:

– Ale jest z wami Kip, więc wolę, żebyście wszyscy zginęli. – Zatrzasnął drzwi. Usłyszeli,

że po drugiej stronie wsuwa sztabę na miejsce.

Duży Leo spojrział z niedowierzaniem.

Kobieta wyjrzała na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Wracaj do siebie! – ryknął Duży Leo.

Młoda kobieta wytrzeszczyła oczy, coś powiedziała, ale jej słowa zagłuszył ryk garłacza za ich plecami.

Kip wzdrygnął się, chociaż powinien spodziewać się huku. Cruixer nie był z tych, co tracą czas na przeklinanie planu, który nie wypalił.

Cruixer, Benhadad i Winsen pociągnęli podziurawione drzwi. Centralna sztaba nadal tkwiła na swoim miejscu po drugiej stronie drzwi, ale była zakotwiczona tylko w jednym punkcie, więc zdołali szarpnięciem otworzyć drzwi i się przemknąć.

Nadbiegła Teia.

– Oba załadowane – powiedziała.

Rzuciła jeden garłacz Dużemu Leo, a drugi Ferkudiemu.

Przecisnęli się przez drzwi.

– Wolałbym... – zaczął Ferkudi.

– Sza! – przerwał mu Cruixer.

Unosił rękę, dając znać, żeby byli cicho. Drużyna nawet tego nie zauważyła. Pod pewnymi względami utalentowane żółtodzioby to nadal żółtodzioby, pomyślał Kip.

Natychmiast ucichli.

Wtedy wszyscy usłyszeli. Daleko w dole odgłos wielu stóp wspinających się po schodach w ich kierunku. Schody miały niecałe trzy kroki szerokości, zakręcały wokół jednej z wielkich studni świetlnych. Były słabo oświetlone przez kilka małych okienek w samej studni. Wszelki przeciwnik, jakiego mogą napotkać, pozostanie niewidoczny z powodu krzywizny schodów do chwili, kiedy dosłownie na niego wejdą.

Jeżeli Świetlani Gwardziści okażą się dostatecznie bystrzy i zdyscyplinowani, żeby ustawić mur z włóczni albo kilka szeregów muszkieterów, by oddać salwę w drużynę, to już po nich.

Spojrzeli po sobie.

– Jeżeli my słyszymy, jak oni się wspinają, to oni usłyszą, że my schodzimy – powiedział Benhadad.

Atak przez zaskoczenie nie wchodził w grę.

Odlamek drewna z drzwi, przez które właśnie się przecisnęli, wystrzelił na klatkę schodową, kiedy rozległ się strzał z muszkietu. Drzazga trafiła Dużego Leo. Chłopak krzyknął zaskoczony.

– Jedno w dół – rozkazał Cruixer.

Lepiej stawić czoło atakowi z dwóch stron niż z trzech. Kip pozbył się całego zielonego luksynu, wzmacniając drzwi. To nie powstrzyma pościgu, ale go spowolni.

Dogonił pozostałych na następnym półpiętrze, nie natrafiając na żaden opór. Tutaj drzwi także zamknięto. Duży Leo oklepywał tułów, sprawdzając, czy nie ma rany od kuli muszkietu.

– Światło jest tu słabe, niech każdy teraz się napełni – powiedział Cruxer.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, na schodach dla niewolników zrobiło się ciemno. Kip spojrzał na jedno z okienek w studni świetlnej i zobaczył, jak się zamyka, pogrążając ich w całkowitej ciemności.

– Do diabła – mruknął Ferkudi.

– Winsen? – zapytał Cruxer.

Światło żółtego luksynu oświetliło ich słabo.

– Utrzymam to światło najwyżej trzydzieści sekund, kapitanie.

– Musimy wynosić się z tych schodów – powiedział Duży Leo.

– To nasza jedyna droga ucieczki – zauważył Kip. – Jeśli z nich zejdziemy, damy im tylko więcej czasu, żeby nas otoczyli.

Jeden ciąg schodów niżej ktoś zapukał głośno do drzwi. Wszystkie zaryglowano, ale od strony, po której znajdowała się drużyna.

Rozległ się czyjś głos stłumiony przez drewno i odległość:

– Kip? Benhadad? Adrasteia?

Kip nie był pewien, ale głos brzmiał znajomo.

– Nic nie stracimy, schodząc jeszcze kawałek – uznał Cruxer.

Zbiegli schodami i zajęli obronne pozycje, kiedy odsuwali sztabę i otwierali zamek. Drzwi otworzyły się z impetem.

Po drugiej stronie stała kobieta. Sama. Na jej widok drużyna uniosła broń, a ona podniosła rękę.

– Chcę tylko pomóc! – pisnęła.

Przez kolejną chwilę Kip jej nie poznawał. Była po trzydziestce i garbiła się, nadal nosiła zielne okulary na złotym łańcuszku na szyi, ale jej sztywne czarne włosy wyszczotkowano i natłuszczono, tak że błyszcząły. I uśmiechała się.

– Pani preceptor Kadah? – zapytał z niedowierzaniem Kip.

– Odczytałam ich kod w kryształach. Właściwie to żaden kod. To stare morskie sygnały lustrzane. Myślą, że jesteś na jednym z wyższych pięter, i wysłali tylko jeden oddział, żeby się upewnili, czy wszystkie drzwi na schodach dla niewolników są zamknięte. Ale to jedyna droga ucieczki. Wiedziałam, że się zjawicie.

– Pani preceptor Kadah? – powtórzył Kip.

To nie mogła być ta sama kobieta, która go nienawidziła i upokarzała.

– Nie preceptor. Już nie. Teraz zajmuję się badaniami, tak jak zawsze chciałam. –

Uśmiechnęła się i od razu wyglądała dziesięć lat młodziej. Kip nigdy jej takiej nie widział.

– Przyniosłam wam to. To wszystko, co zdołałam znaleźć. – Wręczyła mu torbę. Leżało w nich pół tuzina magicznych pochodni. – A teraz biegnijcie. Są na tym piętrze ludzie gotowi was zdradzić.

– Nie ma innego wyjścia? – zapytał Cruixer, a Teia wyrwała torbę Kipowi i rozdała wszystkim magiczne pochodnie.

– Krążą tylko plotki. O żadnym nie wiem – odpowiedziała Kadah.

– Posłuchajcie się pochodniami – rozkazał drużynie Cruixer. – Napełnijcie się!

Drużyna natychmiast zaczęła przełamywać magiczne pochodnie.

– Pani pre... To znaczy, pani Kadah, dlaczego? Dlaczego nam pani pomaga? – zdumiał się Kip.

Spojrzała na niego.

– Kip, ocaliłeś mi życie. Planowałam samobójstwo. Nawet wybrałam już dzień. A potem Biel mnie wezwała. Przez ostatnie pięć miesięcy obmyślałam, jak ci podziękować.

Kip nawet nie myślał o preceptorce Kadah, odkąd opuścił jej klasę. Poza tym, że cieszył się, że już się u niej nie uczy.

– Nie ma czasu! – ponaglił go Cruixer. – Dziękujemy! Ale musimy biec!

– Ma rację – powiedziała Kadah. – Idź! Niech Orholam cię broni!

Zaryglowali drzwi. Drużyna już zajęła pozycje na półpiętrze, wszyscy przepełnieni luksynem.

– Łamacz – powiedziała Benhadad – WWSPZ?

– Co? – zdumiała się Teia.

– Wielkie Wspaniałe Sprężyste Pociski Zagłady – wyjaśnił Benhadad.

– Zwane też Zielonymi Sprężystymi Pociskami Zagłady – dodał Kip. – To lepsze niż WSZPZ – Wielkie Sprężyste Zielone Pociski Zagłady – dorzucił z roztargnieniem; już napełniał się zielenią.

Winsen korzystał z żółtej pochodni i napełniał się luksynem, by rzucać bomby rozbliskowe. Przytrzymał pochodnię tak, żeby Kip też mógł napełnić się tym kolorem. Mimo najlepszych wysiłków pani Phoebe Kip nie był nawet w połowie tak biegły w krzesaniu stałego żółtego, żeby wykrzesać cokolwiek natychmiastowo, podczas walki, ale potrafił przygotować broń wcześniej.

Kip nasiąknął nieco żółtym i machnął ręką w dół, krzesząc, starając się stworzyć żółty miecz, co ćwiczył tysiące razy.

– Szybko – ponagliła go Teia. – Szybko.

Kip szamotał się z luksynem, rozproszył się przy jednym z subtelnych punktów zazębienia żółtego luksynu. Żółty miecz rozpadł się przy rękojeści i niezapieczętowany rozbryznął się w światło.

Kip zaklął. Dlaczego Andross Guile nasłał na niego ludzi? Było zdecydowanie za wcześnie. Zdradził Kipa czy coś poszło nie tak?

Andross włożył tak wiele wysiłku w plan, że Kip wątpił, by próbował teraz doprowadzić do jego śmierci. Może Świetlana Gwardia chciała zaskarbić sobie łaski Androssa, zabijając jego „wroga”. A może to kolejna zdrada człowieka, który się w nich specjalizował.

Cruker podsunął mu niebieską i zieloną magiczną pochodnię.

– Kolce i tarcze? – zapytał.

Spojrzenie Kipa padło na insygnia Mocarzy – człowieka z wyciągniętymi dłońmi, które promieniowały mocą w postaci rozchodzących się kółka fal.

– Mam lepszy pomysł.

Wykrzesał zieleń z pochodni, jakby to była woda tryskająca ze studni.

– Będziecie wszyscy musieli biec za mną najszybciej, jak zdołacie. Podnieście mnie. Teraz.

Podczas gdy Benhadad i Cruker złapali go pod ramiona, Kip wykrzesał pod stopami zielony dysk.

– Och, nie, potrzebuję trochę pomarańczowego. Ale te pochodnie kosztują fort...

Teia otworzyła pomarańczową magiczną pochodnię.

– Życie albo śmierć, Łamacz.

Nie sprzeciwiał się. Wykrzesał zieloną platformę, pod nią pomarańczowy smar, potem znowu zielony luksyn, zaczynając zakreślać łuk.

– Ach! Słyszałem o nich! – ekscytował się Benhadad. – Starożytni nazywali je wodnymi kulami? Krzesali je z niebieskiego, żeby móc wyglądać na zewnątrz. A potem wychodzili na rzeki albo jeziora...

– Kroki! Nad nami i pod! – wykrzyknął Duży Leo.

Ktoś z drużyny wystrzelił z garłacza w górę schodów. Kip usłyszał łomot – ktoś padł na ziemię. Wystrzelił kolejny garłacz. Przekleństwa, wyzwiska i krzyki. Kip próbował się od tego odciąć, chociaż, kiedy zieleń w nim huczała, miał ochotę zmiażdżyć wroga, zatkać mu usta. W kilka chwil wykrzesał bańkę. Spryskał pomarańczowym luksynem wnętrze bąbla, zanim wreszcie go zamknął. Zapieczętował go od środka, umieszczając węzeł blisko powierzchni, żeby móc się potem wydostać.

Znajdował się wewnątrz półprzezroczystego zielonego bąbla. Miał zamiar stać, pozwalając się stopom ślizgać na pomarańczowym smarze, i utrzymać się w ten sposób w pionie. Natychmiast zorientował się, że to się nie uda.

– Właśnie zdałem sobie sprawę, że wcale nie muszę być wewnątrz bańki – powiedział

Kip. – Właściwie to bardzo kiepski pomysł.

Kiedy zamknął bąbel, luksyn stłumił dźwięk. Nie słyszeli go.

Kip pomachał do Cruxera, który uznał to za znak gotowości.

Cruxer i Benhadad dźwignęli kulę w stronę schodów.

Kip natychmiast upadł. Pomarańczowy luksyn. Śliski.

Wydawało mu się, że Cruxer próbował złapać kulę i zatrzymać go, ale Benhadad, myśląc, że taki jest plan, pchnął mocniej Wielką Zieloną Sprężystą Kulę Zagłady Kipa.

I Kip podskoczył. Kula poturlała się po schodach, początkowo powoli, poskakując i odbijając się. Potem uderzyła o następne półpiętro i wzleciała w powietrze. Poturlał się po zewnętrznej krzywiznie klatki schodowej – i wpadł na wysokości twarzy na grupę dziesięciu, może dwunastu Świetlanych Gwardzistów wbiegających po schodach. Kula miała jakieś sześć stóp średnicy, a schody miały dziewięć, może dziesięć szerokości. Kip nie powinien wpaść na wszystkich, ale wpadł.

Kip na chwilę został obrócony w górę i zobaczył, że drużyna pędzi za nim, tnąc rozrzuconych, przewracanych Świetlanych Gwardzistów, stara się nie potknąć o ciała i uniemożliwić przeciwnikowi biegnięcie za nimi. A potem przy następnym podskoku Kip znowu stracił oparcie.

Nawet nie widział następnej grupy Świetlanych Gwardzistów, poczuł tylko wstrząs przy zderzeniu. I teraz nabrał takiej szybkości, że drużyna nie miała szansy za nim nadążyć. Wylądował do góry nogami przy następnym odbiciu i tylko zakrzywienie kuli uratowało go przed skręceniem durnego karku. Kolejne zderzenie – tym razem tak silne, że aż zadzwoniły mu zęby – i kula odbiła się w przeciwnym kierunku.

Kip wylądował na płask na plecach i zerknął przez ledwie przezroczystą kulę, zastanawiając się, ilu Świetlanych Gwardzistów musiał zabić przy tym zderzeniu.

Żadnego. Zahaczył o brzeg wgłębionych drzwi na jednym z półpięter. Jego kula odbiła się rykoszetem w górę schodów i teraz znowu turlała się powoli ku schodom prowadzącym na dół.

Mimo zniekształcenia zielonego luksynu Kip zobaczył młodą twarz na dole. Świetlany Gwardzista zdumiony widokiem chłopca w kuli. Brzydki mężczyzna trzymał muszkiet w ręku, ale przystanął. W okamgnieniu dołączyło do niego kilkunastu gwardzistów. Oni też zatrzymali się zdumieni.

Kip pomachał do nich przyjaźnie. To zadziało ten jeden raz na rzece.

Niestety, żaden z gwardzistów nie pomachał do niego.

I wtedy zrozumiał coś innego. Nie zrobił żadnych dziurek w kuli. Zaczynało mu brakować powietrza. Nie słyszał, co mężczyźni mówią, ale nie brzmiało to przyjaźnie.

Oficer dołączył do swoich ludzi.

– Strzelać! – rozkazał.

To Kip usłyszał.

Mężczyźni unieśli muszkiety. Kip już raz zatrzymał kule z muszkietu zielonym luksynem. Jednak wtedy to był otwarty luksyn z całą stojącą za nim mocą szaleństwa. A teraz Kip leżał na plecach, a luksynowa bańka nie była dość gruba, żeby zatrzymać kule.

Dlaczego nie zrobiłem jej tak grubej, żeby zatrzymywała kule?

Myślenie to była niewłaściwa czynność. Myślenie trwało.

Ryk przebił się nawet przez ścianki bąbla i Kip zobaczył krótki rozbłysk Dużego Leo biegnącego po schodach szybciej, niż można zbiegać po schodach. Opuścił ramię i uderzył w luksynową kulę całą swoją masą.

Bańka z Kipem wystrzeliła w twarze Świetlanych Gwardzistów pośród ognia z muszkietów.

Gdzieś między zderzeniem, podskakiwaniem i brakiem powietrza świat poczerwieniał, poczerniał i Kip wszystko stracił.

Jakiś czas potem odzyskał przytomność, gwałtownie łapiąc powietrze. Teia stała nad nim z nożem, a on był cały w pyłe z zielonego luksynu. Potrzebował kilku głębokich oddechów, zanim się otrząsnął. Musiał zemdleć.

Teia przecięła pieczęć na zielonym luksynie. Drużyna mówiła do niego, ale on nic dla nich nie miał. Nie rozumiał.

Pomogli mu wstać.

– Gdzie jest Daelos? – zapytał.

Poza nim chyba nikogo tu nie brakowało. Gdziekolwiek się znajdowali. Może na dole schodów dla niewolników? Benhadad i Ferkudi ładowali garłacze, przygotowując się do wyłamania drzwi.

– Złamał kostkę, przeskakując nad ciałami – powiedział Cruixer. – Musieliśmy go zostawić.

– Zostawiliście go?! – zapytał ostro Kip.

– Daliśmy mu płaszcz i tunikę Świetlanej Gwardii. Konsyliarze pomogą mu i będzie mógł uciec. Czarna Gwardia mu pomoże, Kip – odpowiedział Cruixer.

Bronił się. Też nie mógł znieść myśli, że kogoś zostawił.

Niech to Orholam przeklnie. Jesteśmy dziećmi. Nawet Cruixer.

– To była słuszna decyzja – powiedziała Teia. – A teraz zamknij się i chodźmy.

– Na trzy, ognia! – oznajmił Benhadad.

Ferkudi wystrzelił, zanim ktokolwiek zdążył zasłonić uszy.

– Przepraszam, usłyszałem „ognia!”.

Benhadad wystrzelił zaraz po nim i skrzywił się z powodu huku.

– Zasłużyłem na to – powiedział.

– Przeładować – polecił Cruixer. – Pozostali przygotować luksyn.

Kip zrobił krok, żeby przyjąć pozycję do obrony na schodach i omal znowu się nie przewrócił, kiedy pokryta pomarańczowym luksynem stopa odjechała spod niego. Kip, cały był w pomarańczowym paskudztwie, miał je nawet we włosach. Ktoś podał mu zapaloną pomarańczową pochodnię magiczną. Wykrzesał do dłoni kupkę pomarańczowego luksynu, a potem wykorzystał go, żeby wyssać cały otwarty luksyn z ciała i włosów. Prawie cały.

Zlustrował się szybko. Zielone okulary były całe, a etui na lewym biodrze szczęśliwie osłoniło pozostałe kolory.

Nasłuchiwał odgłosówze schodów. Chyba usłyszał jęki rannych i umierających powyżej, może też odległy hałas schodzącego wsparcia. Dzięki hukowi strzałów Świetlana Gwardia zorientowała się, gdzie znajduje się drużyna. Teraz mogli skupić wszystkie siły. Pętla się zaciskała.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Kip.

Błyskawicznie napełnił się zielonym luksynem, a potem zmienił okulary i wciągnął niebieski, korzystając z jednej z białych magicznych pochodni. Pochodnie już przygasały, a Kip czuł siniaki, które jutro mu wyskoczą. Pod warunkiem, że czeka go taki luksus jak ujrzenie jutra.

– Na parterze – wyjaśnił Ben-hadad. – Główny hol powinien znajdować się za trzecimi drzwiami na lewo.

– Skąd to wiesz? – spytał Kip.

– Nigdy się nie gubię – odparł Benhadad. – Skończyłem osiem lat, zanim odkryłem, że to w ogóle dla niektórych możliwe.

– Dokąd poszedł Żelazna Pięść? – zapytał Kip. – Znaczy on też opuszcza Chromerię, nie?

– Nie ma czasu – przerwał im Cruixer. – Chodźmy.

Kip ruszył za nimi, ale nie mógł otrząsnąć się z tej myśli. Żelazna Pięść też opuszczał to miejsce. A nie poszedł w stronę windy.

Zatem znał inną drogę wyjścia.

Kip jednak nie miał pewności. Może Żelazna Pięść zatrzymał się na którymś z pięter, wstąpił gdzieś po jakieś osobiste rzeczy i ugrzązł po niewłaściwej stronie. Może zamierzał uciec później. Może zamierzał ominąć Świetlaną Gwardię, blefując.

Pędzili pustymi korytarzami. Rozbiegli się wachlarzem, wyciągnęli broń. Wszyscy oprócz Kipa byli solidnie poobijani. Duży Leo miał lewą rękę na prowizorycznym temblaku zrobionym w połowie z ubrań, a w połowie z luksynu, skóra na jego przedramieniu się wybrzuszała. Paskudne złamanie, ale najwyraźniej na razie go nie odczuwał.

Cruxer miał zakrwawiony nos, rozcięcie na czole i krew sączyła mu się z ust. Ferkudi wykrzesał coś, co wyglądało jak rękawica do walki na lewą dłoń. Pewnie połamał kości, uderzając kogoś. Winsen szczyrzył zęby w uśmiechu. Wyglądał jak wariat. Niósł łuk z założoną strzałą o grocie jak szydło. Teia otarła krew z twarzy, ale uważała, żeby wytrzeć się w szary strój kadeta, nie w migotliwy płaszcz. Teraz przybrał kolor metalicznej szarości, inny niż mdły odcień peleryny kadeta. Może to był jego prawdziwy kolor, o ile coś takiego istniało. Na plecach płaszcz Kip zauważył ledwie stykające się kręgi, jeden biały, drugi czarny, czarny nachodził nieco na biały, jak przy zaćmieniu księżyca.

– Wiedzą o płaszczu – oznajmiła. – A przynajmniej dość. Powiedziałam im, kiedy straciłeś przytomność.

– Nie powiedziałbym, że wiemy dość – wtrącił z naciskiem Ben-ha-dad. – Mam od groma...

– W tym momencie wiemy dość – przerwał mu Cruxer. – Dość, żeby się nią posłużyć. Teia, na szpicę.

Przeszła. Kiedy przemierzali korytarz, pochodnie zaczęły przygasać.

– Napełnić się – szepnął Cruxer.

Jednakże wszyscy krzesali na tyle długo, żeby ten rozkaz nie był konieczny. Każde z nich wciągnęło tyle luksynu, ile zdołało, zanim pochodnie się wypaliły.

Kiedy dotarli do następnych drzwi Teia machnęła do Cruxera – zwiady? Skinął głową, a ona przyłożyła dłoń do szczeliny między dwuskrzydłowymi drzwiami, pochyliła głowę i rozszerzyła źrenice.

Stała tak może z minutę. Potem wróciła.

– Piętnastu, może dwudziestu. Muszkieterzy w półkolu wokół drzwi. Śmiertelna pułapka.

Kipowi krew ścięła się w sercu i wiedział, że wszyscy myślą o tym samym. Nie biegli dostatecznie szybko. Jeśli Świetlana Gwardia u podnóża Wieży Pryzmata wiedziała, że nadchodzą, to możliwe, że nie była to jedyna pułapka. Świetlana Gwardia mogła też odciąć ich od Łodygi Lili. Przy takiej liczbie ludzi i muszkieterów w przewężeniu umiejętności drużyny nie miały znaczenia.

– Mogę przemienić się w zielonego golema – zaproponował Kip. – Już to kiedyś robiłem. Zatrzymywałem nawet raz kule.

– Jesteś pewien, że będziemy mogli na tobie polegać? – zapytał Ben--hadad. – Potrafisz odróżniać przyjaciela i wroga, kiedy jesteś golemem?

– Nie – przyznał niechętnie Kip.

– Jest inne wyjście – odezwał się Ferkudi. – Moi rodzice raz o nim wspomnieli. Usłyszałem przypadkiem. Jakiś sposób, żeby dostać się bezpośrednio na Armatnią Wyspę.

Bez łodzi.

– Gdzie? – zapytał Cruixer.

– Nie wiem – powiedział Ferkudi. – Przejście jest ukryte, tyle wiem.

– Nieszczególnie nam to pomaga, co? – warknął Duży Leo.

Ból fatalnie złamanej ręki chyba zaczynał przebijać się przez pierwszy wstrząs. Duży Leo rzadko się irytował.

– Łamacz? – zapytała Teia.

– Wiem, że istnieje inne wyjście – powiedział Kip. – Ojciec mi powiedział. Nie wyjaśnił tylko gdzie. Musi jednak znajdować się gdzieś na niższych poziomach, skoro przechodzi pod zatoką.

– Jeśli chcemy zejść na niższe poziomy, nadal musimy przejść główny korytarz – powiedział Cruixer. – Schody niewolników tam nie sięgają. Jedyne przejście jest po drugiej stronie.

– To dopiero głupie rozplanowanie. – Benhadad westchnął. – Dlaczego schody dla niewolników nie schodzą na sam dół?

– Ze względów strategicznych – odparł Cruixer – i jak widzisz, to się sprawdza.

– Łamacz, nie to miałam na myśli – nalegała Teia, rzucając mu znaczące spojrzenie.

– Hę? – zdumiał się Kip.

– No wiesz – powiedziała, kiwając głową.

– Nie. Co?

– Zdjęłam ci to. No wiesz...

-To?

– Z twojej...

– To się zaczyna robić intrygujące – wtrącił Winsen.

– Ze skóry, Winsen! Z jego skóry!

– A! – wyrwało się Kipowi.

Karty. Pytała, czy nie widział w kartach niczego, co wskazałoby mu drogę ucieczki. Zważywszy, że karty były najpotężniejszymi ludźmi na świecie, miało sens, żeby kilkoro z nich znało drogę ucieczki.

– Nie... nie pamiętam niczego pomocnego.

Nie miał żadnych przebłysków – pobłysków? zabłysków? – z kart przez ostatnie pół godziny. Oczywiście wcale za tym nie tęsknił. Nadal bolała go głowa, chociaż trochę mniej.

Najwyraźniej to słowa uruchamiały karty, zgadza się? Ucieczka, pomyślał. Wieża. Wieża Pryzmata. Armatnia Wyspa. Rejterada. Odwrót.

Nic.

– Sprawdźcie pozostałe drzwi na tym poziomie. Może uda nam się dotrzeć do schodów

na dół okrężną drogą albo wydostać na zewnątrz. Już! Nie, nie ty, Łamacz. Ty masz myśleć.

Rozbiegli się we wszystkich strony, z wyjątkiem dwuskrzydłowych drzwi. Kip starał się myśleć. Wchłonał karty. Wszystkie karty. Coś powinno do niego przyjść. Jedna z nich musiała znać sekret. Każdy z Czarnogwardzistów powinien to wiedzieć, prawda?

Niestety, żadna nie powracała do niego. Niezależnie od tego co myślał. Nie mógł ich przywołać.

Co jest, do diabła?! Co za pożytek z tych przeklętych kart, jeśli nie powracają do niego, kiedy ich potrzebuje? Tuż po wyjściu z Wielkiej Biblioteki karty wyskakiwał tak szybko, że nie był w stanie ich powstrzymać. Wyzwalało je byle co.

Jestem Guile, powinienem wszystko pamiętać!

Nie mógł jednak przypomnieć sobie żadnej karty. Poza tą, której jeszcze nie doświadczył. Karty Bieli. Karty zagadki. Doskonale. Jakby Kip właśnie teraz potrzebował zagadek, kiedy z każdą sekundą Świetlana Gwardia była coraz bliżej. Co powiedziała? „Nie tylko Pryzmaci ulatują?”. Racja. To właśnie. Jednak co to, u diabła, znaczyło? Wiedziała o latającej maszynie Gavina, kondorze? Karris też latała na kondorze. Może zgłosiła to Bieli. Jednak, nawet jeśli Biel o tym wiedziała, to co z tego? Gavin był jedyną osobą na świecie, która znała dokładny projekt kondora i potrafiła go wykrzesać tak, żeby działał, a po całym roku ćwiczeń i prac nadal uważał to za niesamowicie trudne i niebezpieczne. Nawet gdyby ktoś dał Kipowi kondora, on nadal nie byłby w stanie z niego skorzystać.

– Nie tylko Pryzmaci ulatują.

Co to mogło...

Ach, ulatują w sensie uciekają.

Tępaku! Biel zna tajne wyjście! Oczywiście, że zna!

To musi być w jej karcie.

– Zabarykadowane! – krzyknął Duży Leo, biegnąc do nich.

– Moje też! – zawołała Teia.

– Ludzie schodzą schodami. Szybko! – krzyknął Ferkudi.

– Wszystkie drzwi są zamknięte – powiedział Cruxer. – Kip, co masz?

– Potrzebuję światła z pełnym spektrum! – odpowiedział Kip.

– Schody są na nic – powiedział Ferkudi. – Jedyne rozwiązanie, żeby mieć dostęp do naturalnego światła, to wyjść z wieży.

– Na pewno mamy białą pochodnię magiczną – wtrącił Leo. – To by wystarczyło, nie?

– Teia?

Już grzebała w torbie, jakby to mogło coś zmienić.

– Nie ma. Nic nie zostało.

– Moglibyśmy wejść po schodach jedno piętro i skorzystać ze światła na którymś z balkonów – zaproponował Duży Leo.

– Za nic nie wejdem wyżej – sprzeciwił się Cruixer. – Próbujemy uciec, a wszystkie wyjścia są na dole. Wespnijmy się, a będziemy musieli przebić się przez dwa razy tyle Świetlanych Gwardzistów.

Wreszcie wrócił Benhadad. Dyszał.

– Dobiegłem, dobiegłem aż do windy. Da się przecisnąć. Ale widziałem front. Tuż za główną bramą Łodygi Lilii jest zasadzka. Czterdziestu, pięćdziesięciu Świetlanych Gwardzistów. Muszkietrzy.

– Idziemy na górę – orzekł Kap.

Spojrzeli na niego, jakby oszalał. Bo oszalał. Nawet gdyby dotarli do windy, odsłoniliby się na ogień z głównego holu do chwili, kiedy zdołaliby pojechać w górę.

– Łamacz, na górę? – zapytał z naciskiem Cruixer.

Winsen wypuścił z łuku strzałę. Mężczyzna czterdzieści kroków od nich zatoczył się i padł, kiedy wyskoczył przez drzwi prowadzące ze schodów dla niewolników. Winsen już założył nową strzałę i zdążył ją wypuścić.

– Biegiem! – krzyknął Cruixer.

W czasie biegu Winsen błyskawicznie posłał cztery kolejne strzały w głąb korytarza, a potem sięgnął do kołczanu i odkrył, że więcej nie ma.

Benhadad przeprowadził ich przez małe drzwiczki, gdzie przewrócił wielgachną komodę, żeby móc się przecisnąć.

– Nie siłą – wyjaśnił – ale stosując dźwignię.

Przecisnęli się przez maleńkie pokoje w amfiladzie, wszystkie puste. Kolejny wąski korytarz. Benhadad wskazał:

– Ten prowadzi do zabarykadowanych drzwi, które sprawdzałeś, kapitanie. A ten do kuchni. Te drzwi wychodzą na zewnątrz, ale o tej porze jest za nimi ściana. W tym kłopot z obracającymi się wieżami: jak zaprojektować drzwi w obrębie wyspy, która się nie obraca, żeby dało się z nich korzystać przez cały dzień. Projektant rozwiązał ten problem kilka lat później, ale do tego czasu wzniesiono już podstawę Wieży Pryzmata. Nieudolne, zgadzam się.

Kip wiedział, co Benhadad ma na myśli, sam doświadczył tego na dole w łaźniach, ale zauważył, że inni nie. Oczywiście nie było teraz czasu, żeby pytać o rzeczy, które nie dotyczyły bezpośrednio ich przetrwania.

– Ten korytarz prowadzi do pomieszczeń dla niewolników – mówił Benhadad – a dalej do drzwi w bok od zasadzki. Zyskamy pewną przewagę przez zaskoczenie. O ile chcemy

zaryzykować...

– Moim zdaniem powinniśmy – powiedziała Teia. – Wykorzystam moją sztuczkę i narobię zamieszania. Jeśli sprawimy, że odpalą salwę na oślepienie, odsłonią się. Zaatakują mnie, kierując się w drugą stronę, a wtedy wy zajdziecie ich od tyłu.

– Dwudziestu ludzi? Nasza siódemka? – zapytał Benhadad. – Jesteśmy dobrzy, Teia, ale nie wiem, czy aż tak.

– Dlaczego w ogóle dyskutujemy? – wtrącił Winsen. – Mamy strukturę dowodzenia.

– Tak? – zapytał Duży Leo. – Wylecieliśmy z Czarnej Gwardii, Win. Może wszyscy powinniśmy mieć prawo głosu.

– Dość tego – przerwał im Cruixer. – Łamacz, jesteś pewien?

– Jeśli mamy czekać, aż nabierzemy pewności, to mamy przerąbane.

– Do diabła, Kip! – zdenerwowała się Teia. – Nie ma czasu na niezdanie...

– Łamacz – poprawił ją Cruixer.

– Łamacz – powtórzyła Teia – widziałam, co to z tobą zrobiło. Jeśli spojrzysz w następną kartę, to może cię zabić. To może potrwać pół godziny i w górę? Goss zginął, żebyśmy mogli zejść. A ty chcesz, żebyśmy wracali na górę?

– Biel musiała mieć drogę ucieczki. Powinna znajdować się w pobliżu jej apartamentów.

– Chcesz, żebyśmy wrócili na samą górę? – pytał z niedowierzaniem Ferkudi.

– Mówię ci, dajcie mi światło, a... – zaczął Kip.

– Dość! – krzyknął Cruixer. – Dość! Kip, Łamacz, jesteśmy z tobą, bo w ciebie wierzymy.

Jak ktoś wątpi, to niech idzie do diabła. Zdecydujcie się.

– Jestem z tobą – powiedziała Teia, ale cicho.

Poddawała się. Zgadzała się na śmierć. Zginie, żeby udowodnić swoją lojalność, ale uważała, że Kip się myli. Wszyscy inni zgodzili się.

– Tak tylko pytałem – mruknął Ferkudi.

– No to chodźmy – powiedział Cruixer. – A, Łamacz, jak następnym razem zapytam, czy jesteś pewien, skłam.

Kip odetchnął głęboko. Pokładali ogromną wiarę w jego intuicję. Jeśli się myli...

Jeśli się myli, oni wszyscy zginą, zamiast tylko większość, do czego doszłoby, gdyby zaatakowali główny hol.

Dotarli do następnego korytarza.

– Tędy do windy – wskazał im kierunek Benhadad. – Tamten prowadzi do muru, który za pół godziny zmieni się w otwarte drzwi. Wieża powinna obrócić się dość, żebyśmy zdołali się precyzyjnie... za może dziesięć, piętnaście minut. Wtedy znajdziemy się poza Wieżą Pryzmata, ale nadal będziemy musieli przebić się przez Świetlaną Gwardię na dziedzińcu.

– Ilu jest tych łajdaków? – zapytała Teia.

– Pięćset osiemdziesięciu dwóch – odpowiedział Ferkudi.

Spojrzeli na niego. To było pytanie retoryczne.

– W każdym razie tylu było w zeszłym tygodniu – dodał Ferkudi. – No co? Ja jeden sprawdzam listy kuchenne? – Jego głos ociekał sarkazmem.

– Ja pierdołę, Ferkudi – mruknął Duży Leo.

– Co? Chciałem wiedzieć, czy na przyjęciu z okazji Dnia Słońca podadzą tyrejskie pomarańcze.

Kip nie wiedział, czy bardziej powinien zdumiewać go fakt, że do Ferkudiego nie dotarło, że tyrejskie gaje pomarańczowe znajdują się w rękach wroga, wraz z resztą Tyrei, czy też to, że ten skończony ciołek wyliczył, że określona ilość jedzenia oznacza dokładnie pięćset osiemdziesięciu dwóch Świetlanych Gwardzistów, a potem to zapamiętał.

– Próba utrzymania korytarza przez kwadrans przeciwko muszkietierom to samobójstwo – orzekł Cruxer. – Idziemy na górę.

ROZDZIAŁ 94

– Wszyscy gotowi? – szepnął Cruixer.

Znajdowali się za i nieco w obok od windy, ale odsłonią się przed muszkieterami Świetlanej Gwardii, kiedy do niej pobiegną.

– Może światło jest dość dobre, żeby Łamacz spróbował tutaj? – zapytała Teia.

– Teia, mówisz poważnie? – zapytał Benhadad.

– Przepraszam.

– Gotowi – odpowiedział Kip Cruixerowi. – Teia, może mogłabyś... Może mogłabyś posłużyć się peleryną i osłonić nas wszystkich?

– Nie. Ledwie udaje mi się samej z niej korzystać.

Naciągnęła ciasno kaptur na twarz i mimo braku widocznych sznurowań czy innych zapięć materiał przywarł dokładnie i tylko jej oczy pozostały widoczne. Twarz zamigotała i zniknęła, zostawiając coś jakby dziurę i jedynie oczy unosiły się na tle ciemności. Teia odwróciła się i Kip zobaczył, że dwa dyski przesuwają się na płaszczu. Czarny przesunął się po białym jak w czasie zaćmienia. Biały rozbłysnął przelotnie wokół czarnego, a potem cały płaszcz zamigotał i Teia zniknęła.

Drużyna zaklęła pod nosem.

– Jeśli wyjdziemy z tego żywi, naprawdę muszę przebadać tę pelerynę – powiedział Benhadad.

Naturalne światło, które zwykle zalewało to pomieszczenie, zostało odcięte, okna zasłonięto.

Najwyraźniej Świetlana Gwardia starała się zminimalizować przewagę Mocarzy.

Mocarzy? Naprawdę tak zamierzamy siebie nazywać?

Światło było słabe, ale zawierało całe spektrum. Dzięki okularom Kip mógł krzesać, co zechce. Jednak większy wybór w ograniczonym czasie nie znaczy, że możesz zrobić wszystko. Znaczy, że można zrobić cokolwiek, a więc pewnie nie zrobisz nic sparalizowany niezdecydowaniem. Ile czasu potrzeba Świetlanej Gwardii, żeby wybiec za nimi ze schodów, potem korytarzami i dopaść ich tutaj?

Kip wrócił więc do starych rozwiązań, chociaż z większą wprawą, niż zdołałby przed treningami z Karris. Wykrzesał odpowiednik tarczy z zielonego luksynu do lewej ręki i nabrał jeszcze trochę zielni, choć z trudem, dzięki okularom. Krzesał wolno, ale to musiało

wystarczyć.

I nagle, mimo że krzesał zieleni, obleciał go strach. Nie chciał się ruszyć. Nie chciał znaleźć się na muszce kilkudziesięciu muszkietów.

Co jest, do diabła? Zieleni zawsze sprawiała, że czuł się niezwykły, strach stawał mu się obcy.

Oto czym jest dorastanie. To znaczyło wyjść poza ślepią namiętność, nienawiść, zielony luksyn czy hormony walki. To oznaczało wiedzę, co trzeba zrobić, i robić to, nie czując przemożnego pragnienia, straszliwej nienawiści czy wielkiej miłości. To znaczyło stawiać czoło strachowi, nago. Bez zbroi patosu czy przerysowanej męskości. Tylko obowiązek i miłość do towarzyszy. Nie miłość odczuwana, zmuszająca do działań bez zastanowienia, ale wybrana z rozmysłem. „Ja jestem najlepszą osobą do tego zadania”, mówiła, „choć wykonując je, mogę zginąć”.

„Pójdę”, mówiła, z czystym wzrokiem i bez namiętności, a jednak to była miłość, mimo wszystko miłość.

Narkotyk, jakim był zielony luksyn, nie rządził nim, mimo to Kip wziął głęboki wdech i pobiegł.

Biegł na palcach, najciszej jak się dało. I dzięki temu prawie dobiegł do windy niezauważony.

Strzał rozległ się, kiedy Kip rzucił się do windy. Był tam biały kamień oświetlony lustrami powyżej, co dało mu nieco powolnej zieleni, kiedy leżał i unosił bokiem tarczę, tworząc wał z zielonego luksynu.

Reszta drużyny biegła tuż za nim. Winsen rzucił bombę rozbłyskową i trafił dokładnie przed szereg Świetlanych Gwardzistów. Idealny rzut, idealna bomba rozbłyskowa. Kilku śmiertelnie przerażonych Świetlanych Gwardzistów zacisnęło palce na spustach. Ryk broni i echo strzałów odbijające się od kamiennych ścian tylko powiększyły zamieszanie wśród Świetlanych Gwardzistów, którzy odwrócili się w samą porę, żeby dać się osłepić.

Tylko jeden, może dwóch oddało strzał z grubsza w kierunku drużyny. Wizg rykoszetów rozległ się wśród ścian.

Cruker przeskoczył nad tarczą Kipa, zrzucił przeciwwagi, ignorując niebezpieczeństwo i już miał pchnąć dźwignię, kiedy Kip krzyknął:

– Cruker, nie! Ben!

Benhadad padł. Podniósł się natychmiast, ale znowu upadł. Kolano miał czerwone i kiedy stanął, obróciło się w kierunku, w jakim kolano nie powinno się obracać.

Ferkudi natychmiast się poderwał. Przeskoczył nad szeroką tarczą Kipa i pobiegł. (Strzały zaterkotał) o tarczę Kipa, który zmarł. Wał był z otwartego luksynu, jeśli go wypuści, wszyscy będą odsłonięci. Mogli zginąć.

To było jego zadanie. Teraz, w tej chwili, tylko tyle mógł zrobić. Jeśli spróbuje odegrać bohatera, jego przyjaciele zginą. Mogą zginąć nawet niezależnie od jego wysiłków.

Zadrzał, kiedy kolejni Świetlani Gwardziści otrząsnęli się i niektórzy unieśli broń, jedni celując w Kipa, drudzy w windę, jeszcze inni w Ferkudiego wyskakującego z windy do Benhadada leżącego na podłodze.

Garłacz pojawił się znikąd, kawałek w bok od półkola Świetlanych Gwardzistów. Kurek opadł, a wtedy iskry, ogień i stopiona śmierć wystrzeliły, zmiatając ludzi z pierwszego szeregu. To mogła być tylko Teia. Kip natychmiast rozszerzył oczy do podczerwieni i przyszła mu do głowy niedorzeczna myśl – nie potrafiłem rozszerzyć oczu tak szybko jeszcze pół roku temu. Postęp!

Zobaczył Teię rzucającą pustą bronią w Świetlanych Gwardzistów. Potem podniosła drugi garłacz, który opierała o lewą nogę, i strzeliła do drugiego szeregu.

Padły jeden, dwa strzały z grubsza w jej kierunku, zanim znowu wystrzeliła. Potem odbiegła, jej nogi migały przelotnie, kiedy płaszcz kołysał się wokół nich. Jednak żaden ze Świetlanych Gwardzistów tego nie zauważył. Atak znikąd był zbyt zaskakujący, zbyt dezorientujący. Omał się nie załamali.

Kip wyraźnie dostrzegł tę chwilę. Jeszcze jedno muśnięcie, podpowiadał mu umysł Guile'a, a ci ludzie uciekną.

Tyle że on trzymał zieloną tarczę i nie mógł...

Ferkudi dźwignął Benhadada do windy, a Teia – teraz już widoczna – wskoczyła chwilę potem. Cruixer szarpnął dźwignię.

Winda śmignęła w górę. Zatrzymała się gwałtownie na pierwszej blokadzie, a oni wzlecieli w powietrze. Potem opadła na parter.

Rozległy się krzyki niepokoju, bólu, słabości i wściekłości wśród Świetlanej Gwardii. Kip wstał, upuszczając zieloną tarczę, a Cruixer siłował się z przeciwwagami.

Jakiś mężczyzna pędził ku nim. Kip wykrzesał zielony kolec i dźgnął go w twarz. Świetlany Gwardzista padł na niego, ale nadal żył, nadal walczył. Kip przyłożył mu łokciem w nos i mężczyzna padł. Następny już pędził ku nim z garłaczem w jednej ręce.

Kip wystrzelił następnym kolcem, ale spudłował, kiedy tamten poślizgnął się na kałuży krwi.

W poślizgu dojechał prawie do windy. Nie próbował wstać, zamiast tego sięgnął po garłacz. Z tej odległości załatwi pół drużyny.

Winsen natychmiast dopadł go z nożem w rękę.

Nóż wchodził i wychodził z brzucha mężczyzny jak igła w rękę szybko szyjącego krawca. Jedno pchnięcie, drugie, trzecie, czwarte – Winsen nie przestawał i było to zimne i gorące, krwawe, śliskie, mokre, brudne, makabryczne i konieczne. Mężczyzna nadal

walczył, celując z garłacza prosto w twarz Winsena.

Ferkudi skoczył na nich i pchnął lufę w stronę szarżujących Świetlanych Gwardzistów. Winsen szarpnął kurek i garłacz wystrzelił, zasypując Świetlanych Gwardzistów tym, co siedziało w lufie; tamci jednak byli zbyt daleko, żeby pociski ich zabiły.

Zdrową ręką Duży Leo ściągnął mężczyznę ze stosu i wyrzucił z windy. Jednak następny już nadbiegał; twarz miał zakrwawioną, ale mimo to nie zatrzymywał się. Kip wystrzelił zieloną pięścią; zbryzgała go fontanna zębów i krwi. Gwardzista wpadł w szczelinę między windą a podłogą, a Cruixer znowu pchnął dźwignię.

Polecieli w górę, a Świetlany Gwardzista podfrunął razem z nimi wzdłuż szybu windy. Wrzeszczał, kiedy jego ciało blokowało wznoszenie windy, wciśnięte między podłogę windy i ścianę szybu.

Krzyczał jednak tylko chwilę, póki pękały mięśnie, kości i kolczuga. Została tylko połowa mężczyzny, kiedy lecieli w górę, a potem, kiedy przebijali się przez jednokierunkowe zapory na każdym poziomie, uwięzione ciało ścierało się i z każdym piętrem było go coraz mniej i mniej. Połowa, jedna trzecia, głowa z ręką, hełm z głową w środku, a potem już nic nie zostało z tego, co dziesięć sekund temu było człowiekiem.

Kip klapnął na tyłek i gapił się z przerażeniem na człowieka znikającego w paszczy wojny.

Z brzękiem przebijali się przez kolejne poziomy. Cruixer ustawił tyle przeciwwag, że nigdzie nie zatrzymywali się na dłużej. Kilka razy widzieli zdumione straże, które nawet nie strzeliły z muszkietu.

A potem drużyna wylądowała na ostatnim poziomie.

Żadne z nich nie przeładowało broni w czasie drogi na górę. Brak doświadczenia, obrażenia albo zwykła groza przewyciężyły szkolenie. Kip nie wykrzesał więcej luksynu.

Nie było Świetlanej Gwardii na posterunku, a Czarnogwardziści rozpoznali ich i zaraz nadbiegli. Cruixer zachował zimną krew i było to błogosławieństwo Orholama, bo z nich wszystkich jeszcze tylko Winsen zachował też spokój. We dwóch wyciągnęli pozostałych z windy.

– Świetlani Gwardziści – powiedział do stacjonujących Czarnogwardzistów Cruixer. – Ścigają nas. Nie możecie z nimi walczyć, bo zaczniecie wojnę. Ale proszę, proszę pomóżcie nam.

– O w mordę! – krzyknął Kip. – Gdzie jest Teia?

– Jestem tutaj – odezwała się za jego plecami. – Cruixer poczekał, aż dobiegnę do windy.

Czarnogwardziści byli zbici z tropu. Mimo to kobieta, Nerra, natychmiast podeszła do Benhadada i obejrzała jego nogę.

– Co wy wygadujecie? – zapytał Fujarka. – Co się dzieje? Widzieliśmy, że ścienne

kryształy zwariowały, ale to nie był żaden z naszych kodów i nie mogliśmy opuścić posterunków. Dowódca niczego nam nie wyjaśnił.

– Dowódca Żelazna Pięść został wyrzucony z Czarnej Gwardii – powiedział Kip.

Olśniło go wtedy, że powinien był kłamać, że kłamstwo ułatwiłoby przeciągnięcie tej dwójki na swoją stronę.

– Na Orholama, co oni ci zrobili? – wypytywała Benhadada Nerra. – Kto za tym stoi?

– Mój dziadek – powiedział Kip. – Nasłał na nas Świetlaną Gwardię, i to on zwolnił Żelazną Pięść.

– Co? Co?! – wykrzykiwał Fujarka. Nie był wysokim mężczyzną, ale za to był szeroki; miał ogoloną głowę, przenikliwe piwne oczy z połówkami halo w kolorze żółtym i pomarańczowym.

– Dowódca zgodził się odejść bez szumu. Nie chciał zaczynać wojny między Czarną Gwardią i Świetlaną Gwardią. Powiedział, że promachos wykorzystaliby to jako pretekst, żeby rozwiązać Czarną Gwardię.

– Do diabła z tym! – zaklął Fujarka. – Już ja... ja...

– Zamknij się – przerwała mu Nerra. – Zatrzymamy ich, dzieciaki. Co planujecie?

– Musimy dostać się do pokoju Bieli. Możemy? – zapytał Kip.

Tamci mogli im zabronić.

Czarnogwardziści spojrzeli po sobie. Bez słów doszli do porozumienia. Kochają się, podpowiedziała Kipowi intuicja, kiedy zobaczył, jak się rozumieją.

– Na pewno nie muszę tego mówić, ale muszę to powiedzieć – odezwał się Fujarka. – Biel nadal tam jest. Nie żyje. Nie zakłóćcie jej spokoju.

– Oczywiście – zapewnił go Cruixer. – Benhadad da radę iść? Ben, nadal chcesz z nami uciekać?

– Nigdy więcej nie będzie walczył – powiedziała Nerra. Spojrzała na Benhadada. – Już po kolanie. Przykro mi to mówić, ale takie są fakty.

Benhadad zgarbił się.

– Mogę iść? Proszę – zwrócił się do Cruxera. – Nie chcę... Nie chcę zostać. Nie jestem Daelosem, rozumiesz? Ta drużyna to dla mnie wszystko.

Nerra skinęła głową, tak samo jak Cruixer, który powiedział:

– Będę cię niósł, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Zapewnimy wam tyle czasu, ile zdołamy bez walki – obiecała im Nerra. – Idźcie i niech Orholam was osłania.

Pobiegli korytarzem i w górę po schodach, mijając dwóch czarnogwardzistów, którzy stali przy drzwiach Bieli. Kip rozpoznał Gilla Greylinga, ale tamci udawali, że ich nie widzą.

Kip wyszedł na balkon. Nadal trwał wczesny ranek. Na brodę Orholama, jakim cudem nadal był wczesny poranek? Miał wrażenie, że od świtu minęło tysiąc lat.

Pogrzebał w torbie w poszukiwaniu karty, którą schował niecałe półgodziny temu. Zerknął na łoże Bieli, gdzie leżały jej zwłoki. Pocałował kciuk i dwa palce i posłał jej szybkie błogosławieństwo.

Znalazł kartę w kieszeni na piersi. Zamknięto ją między dwiema taflami szkła. Kip pięknie je potłukł w czasie turlania po schodach, ale karta się nie zniszczyła. Wyciągnął ją i, błyskawicznie zmieniając okulary, wykrzesał naraz wszystkie siedem kolorów.

– Nie mam pojęcia, ile to potrwa. Po prostu... Po prostu osłaniajcie mnie. Wróć najszybciej jak się da.

– Wytrzymamy – zapewnił go Ferkudi w imieniu wszystkich.

W tej chwili Kip czuł obezwładniającą miłość do tych ludzi.

Nie zawiedzie ich.

Trzymając kartę w lewej ręce, wciągnął kolory do prawej i dotknął pięciu punktów. Pac, pac, pac, pac, pac, pac.

– Mam – powiedział.

Podniósł wzrok, zastanawiając się, czy którekolwiek z nich będzie jeszcze żywe, czy zdążył na czas.

– He? – mruknął Ferkudi.

Kip patrzył na lewy nadgarstek. Tatuaz powrócił, ale już blednął, jakby barwy były połączone z kolorami, które krzeszał. Podniósł wzrok.

– Co to za „he?”

– Ehm, nic nie zrobiłeś – powiedział Cruixer.

– Co widziałeś? – zapytała Teia.

– Nie... Nie... Nie pamiętam.

– Co?! – wykrzyknął Benhadad. – Chcesz powiedzieć, że to już zadziałało? I nic nie pamiętasz?

– Benhadad, kocham cię na śmierć i życie, ale zamknij pysk – powiedział Cruixer. – Łamacz, co robimy?

– Nic nie pamiętam... – zaczął Kip.

– Przyszliśmy tutaj, żebyś niczego nie pamiętał?! – wściekł się Duży Leo. Potrafił być strasznym dupkiem, kiedy go bolało.

– To się dzieje poza czasem – powiedział Kip. – To... Teraz niczego nie pamiętam. Ale przypomnę sobie w przyszłości. Chyba. Poza... Poza jedną rzeczą. Musimy iść na górę.

– Nie ma żadnej góry. Z wyjątkiem dachu – powiedział Cruixer. – Raz kozie śmierć, idziemy na dach!

Wybiegli z pokoju. Ferkudi i Cruixer pomagali Ben-hadadowi. Minęli Czarnogwardzistów, którzy popatrzyli za nimi zdziwieni. Poszli do drzwi prowadzących na schody na dach.

– Przynajmniej nie ma tych Świetlanych Gwardzistów – powiedział Duży Leo. – Oczywiście nie ma tu też niczego innego.

– Duży Leo, Winsen, Ferkudi, pilnujcie drzwi – rzucił Cruixer. – Kip? Proszę, błagam, powiedz, że coś masz.

-To... – Kip zacisnął powieki.

Coś było. Coś o przestrzeni. Niemal czuł smak tych wspomnień. Wiedział, jakimś cudem, że widział całe życie Bieli, każdą jej decyzję, każdy żal, każdy manewr, a jednak... nie mógł tego chwycić.

Och, dajże spokój! Jaki sens mają moce, jeśli nie działają, kiedy są potrzebne?

– Teia – odezwał się. – Coś tu jest. Jestem tego pewien.

– Coś? W jakim sensie? Znaczy, wejście do sekretnego tunelu Bieli? – spytała Teia. – Kip, wątpię, żeby tu było miejsce na wejście do tunelu.

-Teia, nie wiem!

– To rzeczywiście był tunel – odezwał się Ferkudi, nagle podekscytowany. – To, o czym mówili moi rodzice. To znaczy, tunel pod morzem.

Na Armatnią Wyspę. Tunel. – Wskazał w dół, jakby nie chwyтали oczywistości. – Ale, ale, wątpię, żeby ktoś zaczynał tunel tutaj. Może raczej w piwnicy?

– Ferk, przegapiłeś całą rozmo... Nieważne. – Kip westchnął.

Teia uniosła rękę, osłaniając oczy przed słońcem, kiedy rozszerzyła je do parylu. Zamrugowała w intensywnym świetle.

Z wieży dobiegł krzyk. To Czarnogwardziści, ale Kip wiedział, że po prostu robią, co mogą, żeby ostrzec jego i pozostałych Mocarzy.

– Da się zamknąć drzwi na klucz? – zapytał Cruixer.

Winsen pokręcił głową.

– Tylko od wewnątrz. Ma ktoś strzały? Psiakrew. A ktoś potrafi krzesać strzały?

Nikt się nie odezwał.

Duży Leo mimo ręki na temblaku zaparł się całym ciężarem o drzwi.

– Powiedzcie mi, proszę, że nie mają muszkietów.

Nadal cierpiał z powodu złamania, ale teraz ogarnęła go już rezygnacja.

Zrezygnowani szybko giną. Oto, co ściągnąłem na swoich przyjaciół.

– Łamacz – powiedziała Teia – okulary. Przymierz je. Przymierz wszystkie.

Kip wyciągnął podczerwone. Nadal zdumiewały – nakładały na obraz podczerwieni, ale patrzący nie tracił nic z widzialnego spektrum. Pewnie dzieło samego Lucidoniusa. Ale

niezbyt pomocne. Schował je do etui i wyciągnął nadfioletowe – one też lepiej się sprawdzały niż zwięzienie źrenic do nadfioletu, bo mógł patrzeć jednocześnie w widzialnym spektrum. Rozejrzał się, nie wiedząc, czego szuka.

Drzwi zadygotały i skoczyły, jakby ktoś próbował je z impetem otworzyć.

Nie spodziewał się oporu. Spróbował raz jeszcze.

– Nie zważaj na to! – krzyknęła Teia. – A tam?

Duży Leo przykucnął przy drzwiach, nadal zapierając je ramieniem, ale trzymał się najniżej, jak to możliwe.

Rozległy się dwa strzały, drewno rozłupało się na wysokości głowy i ramienia człowieka. Gdyby Leo nie przykucnął, już by nie żył.

Winsen przepchnął maleńką bombę rozbłyskową przez dziurę po muszkiecie.

– Kip! – zawołała Teia. – Coś widzę!

Spojrzał w miejsce, które wskazywała. Coś tam było, ledwie widoczne w nadfiolecie. W kształcie klucza. Kip nacisnął to miejsce mocno i zapadło się.

Pojawił się tekst płonący bielą na samym skraju wieży. Napisany w języku, którego Kip nie znał.

– Ehm... Ktoś to przeczyta? Co to jest? – zapytał drużynę Kip. Cruixer zerknął.

– To archaiczny paryjski. Tu jest napisane, ehm... To wołacz, coś w rodzaju „O, Bieli, czy wzlecisz?”.

Obok pojawił się następny klucz, większy.

– Tak! – wykrzyknął Kip. – To jest to!

Obok tekstu znajdował się następny klucz. Kip pchnął go całą dłonią. Panel odsunął się i ukazała się długa dźwignia. Kip spojrzał podekscytowany na Teię.

Drewno eksplodowało o włos od twarzy Dużego Leo. Drzazga rozcięła mu policzek.

– Na co czekacie?! – ryknął.

Kip szarpnął dźwignię. Pociągnął ją tak mocno, aż dotknęła kamienia. Usłyszeli zgrzyt. Rozejrzeli się, spodziewając się dziury.

– Gdzie jest wejście? Myślicie, że to jakaś rynna? – zapytała Teia.

– Ehm, tu jest wichajster – odezwał się Ferkudi, wskazując na coś. Od wewnętrznej strony blanek pojawiła się śruba oczkowa. Przez ucho przewleczono stalową linę, która zniknęła w jarzących się kamieniach pod ich stopami.

– Nie stawaj na tym! – krzyknęła Teia.

– To... To dźwignia od mechanizmu zapadkowego – powiedział Ben--hadad.

– Co? – zapytała Teia.

Kip zrozumiał. Pchnął dźwignię naprzód i znowu pociągnął.

– Mamy mało czasu! – krzyknął Duży Leo.

– To nie do przyjęcia! – odkrzyknął Cruixer. – Przypał ich!

Kto wrzeszczy: „To nie do przyjęcia!”?

Z każdym pchnięciem dźwigni więcej liny wynurzało się z kamienia, powoli przecinając całą średnicę wieży.

– Jak to działa? – zapytał Kip. – Gdzie jest ta przekłeta dziura? Musi być jakaś rynna, nie?

Usłyszał dźwięk ciskanego luksynu, krzyki, strzały z muszkietu i trzask pękającego drewna, ale nie miał czasu, żeby się tym przejmować. Świat skurczył się do jego zadania, do tego miejsca. Wreszcie stalowa lina całkiem wynurzyła się z podłoża. Owijała się wokół czegoś, co wyglądało jak krążek na słupku na krawędzi wieży.

Kip pociągnął raz jeszcze i tym razem nic się nie stało. Pchnął dźwignię i pociągnął, nie czując oporu. Skończyło się, cokolwiek to było.

– To tyle! – zawołał. – Co mamy?

– To nie rynna – powiedział Ferkudi, wyglądając poza krawędź.

– Kapitanie! Możesz utrzymać drzwi bez Ferkudiego? Potrzebuję go! – zawołał Benhadad.

– Tak! Idź! – odpowiedział Cruixer.

Założył okulary i ciskał luksynem przez dziury w drzwiach. Drzwi ledwie trzymały się na zawiasach, potrzaskane i podziurawione przez kule muszkietowe.

Nagle zapadła cisza.

– Ferkudi, zanieś mnie tam – poprosił Benhadad.

Ferkudi zrobił to natychmiast, stając obok Kipa przy krawędzi. Stalowa lina oderwała się nie tylko od szczytu wieży, ale i od jej boków, ukryta pod zaprawą i kamieniem od setek lat. Odsunęła się od szczytu wieży na jakieś dziesięć kroków, nie więcej.

– Orholamie, zlituj się. Popsute – powiedziała Teia. – Patrz.

Na kamieniach pod jej stopami, dokładnie pod słupkiem, widniały słowa w archaicznym języku paryjskim.

– Co tu napisano? – dopytywał się Kip. – Ktoś ma pojęcie? Cruixer jest zajęty.

– Napisano „ostrowie”. Albo „wyspa”. Właściwie nie wiem, jaka to różnica – powiedział Ferkudi.

Oczywiście Ferkudi znał archaiczny paryjski. No jasne.

Spojrzeli na Armatnią Wyspę, która – kiedy spojrzano się z tego miejsca – leżała niemal dokładnie na zachód od nich.

– Tam też jest słupek.

Miał rację. Dokładnie taki sam słupek wyskoczył na Armatniej Wyspie. Na nim też nawinięto stalową linę, która ciągnęła się w ich stronę.

– Jaki to ma sens? – zapytał Kip. – To miała być kotwica dla jakiejś magii? Kto w ogóle może krzesać na taką odległość?

– Nie, nie, nie – odezwał się Benhadad. – Stalowa lina powinna je łączyć. To jednak wymagałoby gigantycznej przeciwwagi, żeby lina nie obwisła i pozostała napięta.

– Potrzebuję tu pomocy! – krzyknął Cruixer.

Znowu podjęto walkę. Cruixer robił co w jego mocy, żeby wzmocnić drzwi luksynem, ale jego wysiłki były skazane na przegraną. Czerwony i podczerwony Duży Leo nie był żadną pomocą.

– Ja pójdę – powiedział Ferkudi.

Wyjął z torby dwa rogi z prochem i podbiegł do drzwi.

– Przeciwwaga. Musiałaby być ogromna, rozumiecie, żeby wyrwać linę z... Ach! Patrzcie! – Wskazał w bok, gdzie otworzyła się kolejna blanka, ukazując komorę wypełnioną maszynerią z krążków i pasów. Załóż coś takiego na linę i możesz zjechać prosto na Armatnią Wyspę.

– Lina nie sięga do wyspy! – powiedział Kip. – Donikąd nie sięga!

– Wobec tego coś jest nie tak. Musimy uwolnić przeciwwagę.

Przerwał im Cruixer:

– Potrzebujemy pocisków do garłacza! Ma ktoś coś, czego da się użyć?

Zwykle kładło się cokolwiek – kamyki, gwoździe, kule muszkietowe. Jednak na dachu wieży niczego nie było. Żaden luksyn z wyjątkiem idealnie wykrzesanego zestalonego żółtego nie przetrwałby wystrzału, więc to rozwiązanie odpadało.

– Monety – powiedział Kip. – Nasza zapłata! Nie wydamy jej martwi!

Przez chwilę patrzyli na niego jak na wariata. A potem wszyscy rzucili patyki z monetami Dużemu Leo, który siedział na ziemi, zapierając się plecami o drzwi. Zsunął danary i kwintary z patyków do lufy.

Górna jedna trzecia drzwi zniknęła.

– Zaraz nas popędzą – powiedział Cruixer wyglądając przez dziurę. – Pośpiesz się, proszę.

– Śpieszę się! – odpowiedział Duży Leo, upychając oddarte kawałki chusteczki w zastępstwie przybitki.

Kip podbiegł do dźwigni i pociągnął ją znowu. Przekręcił, pociągnął, obrócił i proszę! Zaskoczyła i Kip raz jeszcze szarpnął.

Poczuł, jak coś ustąpiło w wieży, i nagle stalowa lina popruła w dół. Odwrócił głowę i zobaczył całą blankę, wielgachny kawał kamienia, który odłamał się od wieży i spadł. Zawieszona na kolejnym słupku raptem stopę od muru przeciwwaga zanurkowała, napinając linę z niewiarygodną siłą.

Kip podbiegł do krawędzi Wieży Pryzmata od strony wyspy, żeby zobaczyć swoje dzieło. Benhadad był przybity.

– Oto dlaczego – powiedział inżynierowie muszą myśleć o wszystkim.

Stalowa lina wyszła idealnie z ukrycia wzdłuż ściany Wieży Pryzmata, ciągnęła się wzdłuż dachu napowietrznego chodnika między Wieżą Pryzmata i wieżą podczerwoną, oraz nad małym skrawkiem lądu, a potem zanurzała się w wodzie. Jednakże, zamiast połączyć się bezpośrednio z odległą Armatnią Wyspą, schodziła prosto do wód zatoki.

– Poprowadzili linę po dnie morskim setki lat temu – wyjaśnił Ben--hadad. – Od tamtego czasu porosła korałem i Orholam wie, czym jeszcze. Całe dno morskie mogło się przesunąć. Przeciwwaga nie waży teraz dostatecznie dużo.

Kip spojrzał na kąt, pod jakim opadała lina. Gdyby po niej zjechali, wpadliby do wody z niewiarygodną prędkością, i to nawet nie w połowie drogi na Armatnią Wyspę. Spadek był zbyt ostry. Nie przeżyliby.

Usłyszeli huk garłacza, kiedy Cruxer strzelił, ale nie widzieli niczego za połamanymi drzwiami i czarnym dymem.

– Moglibyśmy może... wykrzesać hamulce – zaproponował Ben-ha-dad. – Jednak ci z nas, którzy są ranni... Łamacz, w żadnym razie nie dam rady tyle przepłynąć.

– Naprawdę nie chcę krytykować, kiedy jesteśmy o krok od śmierci i w ogóle – odezwała się Teia – ale co nam da przedostanie się na Armatnią Wyspę?

– Zyskamy kolejne pół godziny życia? – powiedział Kip. Skrzywił się.

– Wycofują się! – krzyknął Cruxer.

– Statek kotwaczy po drugiej stronie Wielkiego Jaspisu – powiedział Teia. – Myślisz, że zdołamy zjechać po linie, powiosłować stamtąd, dostać się na Wielki Jaspis i przebiec aż do portu, zanim przechwyci nas pięciuset osiemdziesięciu dwóch Świetlanych Gwardzistów?

– Teraz jest ich już mniej niż pięciuset osiemdziesięciu dwóch – wtrącił Ferkudi. – Zabiliśmy co najmniej...

– Złapią nas z łatwością, a gdy zabraknie nam takiego przewężenia jak te drzwi, to już po nas.

– Teia, nie pomagasz! – zbeształ ją Kip. – Czeka! Teia! Jesteś genialna!

-Tak?

– Teia, chodź tutaj! – zawołał Kip, grzebiąc w okularach, sprawdzając każde po kolei. Szukał. – Paryl!

– Nadchodzą! Mają coś w rodzaju ściany tarcz! – zawołał Winsen.

– Czego szukamy, Łamacz? – zapytała Teia.

– Tutaj napisano „Na wyspę”. Po co podpisywać cel, jeśli jest tylko jeden?

– Mogłabym cię ucałować!

Spojrzeni po sobie i zaraz odwrócili wzrok.

Winsen strzelił z muszkietu.

– Trafiłem jednego! Ale to nie wystarczy. Nadchodzą posiłki!

– Tam – powiedziała Teia. Podbiegła, pchnęła drugi klucz i pojawił się kolejny napis z kluczem. Kip pchnął go, nie przejmując się tłumaczeniem. Brakowało im czasu. Otworzył komorę i zaczął poruszać dźwignią.

– Szybciej! – krzyknął Cruixer.

– Nie, czekaj! – powiedział Benhadad.

Kip zamarł.

-Ta lina prowadzi aż do północnej części Wielkiego Jaspisu – wyjaśnił pośpiesznie Benhadad. – Musi ciągnąć się przez kilka ulic, które dzisiaj są pełne ludzi! Jeśli lina zacznie wyrywać się z bruku z całą siłą, może zabić dziesiątki ludzi. Musisz dać im czas, żeby się odsunęli.

– Ratujemy życie Powiernikowi Światła! – krzyknął Cruixer. – Do roboty! To rozkaz!

Przeładował garłacz najszybciej jak zdołał.

Kip pociągnął i blanka-przeciwwaga odpadła od boku wieży i spadła. Ta była dużo większa od poprzedniej. Zanurkował, a stalowa lina zabrzęczała. W końcu przeciwwaga uderzyła w grunt u podstawy Wieży Pryzmata, daleko w dole, i przebiła się do rozległych podziemnych dziedzińców treningowych, co najwyraźniej zostało zaplanowane.

Kip miał tylko nadzieję, że nikt nie zginął na dole.

Ze swojego miejsca nie mógł dojrzeć, co się działo w mieście. Zastanawiał się, czy właśnie zabił jakichś ludzi. Zanim jednak będzie mógł podejść do krawędzi i sprawdzić, musi przeciąć linię ognia ze ściany na kołach, którą pchali przed sobą Świetlani Gwardziści. Niedługo dotrą do samych drzwi i ich pole rażenia obejmie niemal cały dach wieży.

Zakładając czerwone okulary, podbiegł zająć pozycję obok Cruxera. Nabrał tyle czerwieni, że aż go rozsadzała. Wyrzucił ręce przed siebie i wystrzelił czerwienią strumieniem tak mocnym i skupionym, jak tylko zdołał. Strumień rozbryzgał się na ścianie, pod nią i wokół niej, sięgając w głąb korytarza.

Świetlani Gwardziści wiedzieli, co znaczy czerwony luksyn. Pięciu z mężczyzn, którzy popychali ścianę do przodu, spanikowało i czmychnęło.

Panika jest zaraźliwa, ale nie wszyscy są na nią wrażliwi. Zza ściany tarcz wyszedł wielki mężczyzna, ścierając z twarzy nieco ogniożelu. Uniósł muszkiet... Ale nie zdążył oddać strzału. Kiedy przysunął do siebie płonący lont, zajął się czerwony luksyn na jego twarzy.

Strzelił w sufit i dźwięk rykoszetu uprzedził huk gwałtownie rozprzestrzeniającego się ognia. Mężczyzna wrzasnął.

Kip przebiegł obok drzwi i płomieni do Benhadada, który umieszczał mechanizmy kołowe na stalowej linii.

– Nikogo nie zabiła – powiedział. – Oderwała się od murów miejskich. Pomysłowe. Kto leci pierwszy?

– Ja – powiedział Kip.

– Łamacz nie pojedzie pierwszy – orzekł Cruxer. – To urządzenie może nie działać. Ja pojedę pierwszy. Winsen, ty drugi. Odlicz do dziesięciu, żeby dać mi trochę czasu. Może będę musiał walczyć na drugim końcu. Następnie Ferkudi. Potem ranni: Duży Leo, ty pierwszy, Ben--hadad drugi. Potem Kip. Teia, ty zamykasz tyły. Mam robić coś specjalnego? – zapytał Benhadada.

– Tylko się trzymaj. – Benhadad zablokował mechanizm na linii. Cruxer stanął szybko na dwóch końcach odwróconego „T” i złapał się drążka. – Ale myślę...

Cruxer zeskoczył z krawędzi Wieży Pryzmata i zjechał po linii. Coraz bardziej się rozpędzał. Pierwszy odcinek to był niemal spadek swobodny. W dziesięć sekund znalazł się prawie za morzem i nad Wielkim Jaspisem.

– Chciałem powiedzieć – zaczął znowu Benhadad – że na siedząco będzie to dziesięć razy bezpieczniejsze. Trzeba usiąść okrakiem.

Winsen zrobił tak, siadając na samej krawędzi wieży.

– Jak obiję sobie klejnoty... – zaczął, ale nie skończył groźby, bo Duży Leo go zepchnął.

Potem poleciał Ferkudi; następny był Duży Leo, który dał Kipowi pistolet.

– Zero celności, załadowałem go danarem. Ale lepsze to niż nic. Benhadad upewnił się, że Kip uważał i wie, jak należy zablokować mechanizm na linii, kiedy przygotował swój własny.

– Ehm, to ostatni? – zapytał Kip.

– Nie, nie, jest ich mnóstwo w drugiej komorze – zapewnił go Ben--hadad.

I pofrunął.

Teia pobiegła do drugiej komory, podczas gdy Kip pracowicie mocował własne koło i sprawdzał wszystko dwa razy.

– Łamacz?! – zawołała. W jej głosie brzmiało napięcie. – Kip?! Zerknął na nią. Wyjęła koło ze skrzyni. Było tak skorodowane, że ledwie rozpoznawalne.

– Co to? – zapytał.

Nie chciał zrozumieć.

– W komorze była dziura. Przez całe lata, może dziesiątki lat, lała się tu deszczówka.

– No to weź inne – powiedział Kip. – Pośpiesz się, Teia, słyszę głosy w korytarzu. Mają

krzesiela do ugazszenia ognia.

– Łamacz. Wszystkie są zniszczone.

Spojrzelili po sobie.

– Ty weź moje – powiedział Kip. – Ja wykrzeszę sobie kopię i pojedą zaraz za tobą.

– Nie jesteś aż tak dobrym krzesicielem, oboje to wiemy.

– Dam radę.

-Kip.

– Nie mamy czasu na kłótnie, Teia.

– Kip! Ja zostanę. Mogę stać się niewidzialna... – Zaczęła naciągać kaptur.

– Będą ich tu dziesiątki. Wszyscy się tu zwałą. Do diabła, Teia, namacają cię.

– Łamacz, Goss zginął, żebyś mógł się tu dostać. Nie odrzucaj tego.

– Nie zrzucaj tego na mnie!

– To ty nie zrzucaj tego na mnie! Mamy rozkazy.

– Coś ci powiem o grubych dzieciakach!

– Co? No co?!

– Kiedy nie chcemy się ruszyć, to się nie ruszymy. – Rzucił jej krzywy uśmiech. – Chodź tu, mam pomysł. – Włożył żółte okulary. – Oboje pojedziemy.

Usiadł okrakiem na odwróconym T, dość blisko krawędzi wieży, ale nie na tyle, żeby Teia mogła go po prostu zepchnąć.

– To za żadne skarby nie utrzyma nas obojga – orzekła Teia.

– Siadaj mi na kolana, ale już!

Teia złapała się drążka i przerzuciła jedną nogę, siadając na „T” naprzeciwko Kipa.

Zrobiła wielkie oczy, kiedy się usadowiła, ale nie dlatego, że usiadła mu na kolanach.

– Kip! Jedź! Kip, teraz! Już, już, już! Aram!

Zamiast pomóc mu odepchnąć się, pochyliła się w lewo, na tę samą nogę, którą Kip próbował odepchnąć się do przodu. Zdał sobie sprawę, że Teia próbuje wyciągnąć pistolet, który wsunął za etui z okularami, ale broń utknęła pod nimi.

Muszkiet wystrzelił za jego plecami, a Kip poczuł, że coś się przesuwa. Nie został trafiony. Spojrzał na Teię; ona też była cała, ale patrzyła w górę. Spojrzał w tym samym kierunku. Kula trafiła w mechanizm, gdzie odwrócone „T” łączyło się z kołem. Kip i Teia patrzyli, jak koło stacza się po linie bez nich.

Siedzieli teraz splątani na drążku, który w żaden sposób nie łączył się z liną.

– Uwierzyłybyś, że celowałem w twoją głowę? – powiedział Aram. – Szczęśliwe pudło dla ciebie, co? Rzecz w tym, że dużo lepiej radzę sobie z włócznieą.

Sto dwadzieścia jeden. Sto dwadzieścia dwa. Kip nigdy nie zdołał wykrzesać zestalonego żółtego luksynu szybciej niż w sześć sekund. Za każdym razem, gdy robił to szybciej,

luksyn się rozpadał.

Teia wreszcie dosięgła do pistoletu. Pociągnęła, ale ugrzązł. Pociągnęła mocniej. Poddała się. Zaczęła wstawać...

Sto dwadzieścia trzy. Sto dwadzieścia...

Kip przytulił Teię do siebie i zeskoczył z krawędzi wieży.

Teia chwyciła się go mocno, obejmując go rękami i nogami, kiedy spadali. Zaciskała powieki. Spadali i spadali... A potem śmignęli nad murem Chromerii i ponad morzem.

Spojrzała w górę zdumiona. Kip wykrzesał prostą pętlę z żółtego luksynu wokół liny i zdublował drążek, na którym siedzieli. Zmienił okulary i krzesał stały strumień pomarańczowego smaru w miejsce, gdzie żółty luksyn tarł o linę. Żółte iskry sypały się nieprzerwanym strumieniem, ale pętla wytrzyma. Wytrzyma dostatecznie długo.

Teia spojrzała ze zdumieniem na Kipa. Potem znowu objęła go mocno, ale tym razem z radości. W idealnym świetle poranka przelecieli nad morzem i brzegiem. Przelecieli nad Szafirową Zatoką. Przelecieli nad porannymi paradami i luksynowymi fajerwerkami. Teia machała do zdumionych tłumów, a wielu odpowiadało im ze śmiechem.

Biel też lata, w rzeczy samej.

Lina ciągnęła się nad wschodnią częścią Wielkiego Jaspisu, wysoko ponad domami, magazynami, statkami i murem.

Teia spojrzała na Kipa, a on na nią. Promieniała radością i porannym światłem, jej skóra była olśniewająca, oczy błyszczały milionem kolorów, jakich Kip nigdy nie widział. I lecieli, i obejmowali się, i byli bezpieczni, żyli i oddychali czystą chwałą, spojrzenie Oka Orholama spoczywało na nich z aprobatą, którą znają tylko młodzi kochankowie i w tej chwili Kip poznał różnicę między miłością a zadurzeniem, miłością a głodem, miłością a tęsknotą, by nie być niekochanym. I nie chciał już znać niczego innego, pragnął zatrzymać tę chwilę na wieczność, wszelka myśl szezła.

Pocałował ją. A ona jego. I to było zauroczenie, i głód, i tęsknota, by być kochanym, i wszechogarniający ogień tak gorący, że pożarł zmartwienia, samotność, strach, czas, istnienie i samą myśl. Całowali się, obejmowali i lecieli. Przez sto uderzeń serca nie było wojny, śmierci, bólu, niczego trudnego, strasznego, istniało jedynie ciepło i akceptacja.

A kiedy już zwalniali, Kip odsunął się od Teii i spojrzał jej w oczy. I zrozumiał wreszcie różnicę między miłością a koniecznością.

ROZDZIAŁ 95

– Niniejszym otwieram synod – oznajmił Najwyższy Luksjat Amazzal. – Nikt nie może wejść. Nikt nie może wyjść.

Karris zastanawiała się, czy ze wszystkich Najwyższych Luksjatów wybrano Amazzala tylko ze względu na jego głos, który był dudniący i basowy. Nosił zaplataną brodę w ataskim stylu. Była ogromna i nieskazitelnie biała, przeplatana białym jedwabiem i perłowymi paciorkami.

Z powagą, która przepajała każdą prostą czynność znaczeniem, uniósł koniec grubego żelaznego łańcucha. Pół tuzina młodych luksjatów trzymało liczne zwoje. To był pojedynczy, długi łańcuch. Amazzal nieśpiesznie podszedł do głównych drzwi i owinał łańcuch wokół klamek. Jakiś dźwięk zaalarmował zmysły Czarnogwardzistki w Karris. Ale może tylko pomyślała o Gavinie zakutym w podobne łańcuchy. Gavinie, który był tutaj. Znowu w domu. Gavinie, jej miłości, być może złamanym.

Młody pomocnik przyniósł Najwyższemu Luksjatowi Amazzalowi wielgachną kłódkę, którą ten zapiął. Powtórzył tę czynność przy wszystkich drzwiach, odwijając łańcuch z rąk kolejnych młodych luksjatów, którzy nie kryli ulgi, podchodząc nieśpiesznie, porządnie przeplatając łańcuch. Zanim dotarł do ostatnich drzwi, ostatni pomocnik trząsał się ze zmęczenia. Spływał potem, najwyraźniej przerażony, że ośmieszy się, upuszczając łańcuch. Wreszcie wrócili bocznym przejściem między ławkami, okrążając arystokratów i krzesiocieli siedzących w auli.

Karris zdała sobie sprawę, że powinna się modlić. Jeszcze nie doszła do siebie. Widok jej syna – jej syna? – był większym szokiem niż się spodziewała. On też się na nią gapił.

Nie tylko patrzył. Nosił też koronę. Był jej synem, który został Pryzmatem elektem. Nie wyobrażała sobie, że Andross Guile zażąda wyboru nowego Pryzmata elekta, póki Pryzmatem był jego własny syn. To oznaczałoby utratę władzy dla jego rodziny. Rzecz nie do pomyślenia. A przynajmniej powinno to znaczyć dla Guile'ów utratę władzy. Karris wiedziała, że Andross nie przekazałby takiej władzy Kipowi. Nie trzymał go w garści, nie kontrolował go. Przynajmniej na razie, chociaż bez wątplenia nad tym pracował.

Jednak cała ta sytuacja była jak grom z jasnego nieba. Zawiodł ich wywiad, zawiodła przemyślność.

Andross miał drugiego Guile'a w zanadrzu – Zymuna. Trzymał go na podorędziu, aż

nadeszła chwila wprowadzenia go do gry. Karris nie wiedziała, że Andross wie o jej synu. A on nie tylko wiedział, ale i wkręcił się jakoś do jego życia. Jedyna rzecz gorsza niż stawienie czoła porzuconemu synowi, to stawienie go już po tym, jak Andross wziął go niczym porzuconą zabawkę i przejął na własność.

Nie mogła teraz o tym myśleć. Nie rozpoznawała nawet tej ceremonii, a jakimś cudem siedziała w pierwszym rzędzie.

Psiakrew, cały bok bolał ją po tym idiotycznym upadku do wody. Była pewna, że jutro nie będzie w stanie wyjść z łóżka.

Jednakże, siedząc z przodu nie mogła nawet spróbować pomasować ramienia. Gdyby tylko lord Bran Rozłożysty Dąb nie lubił jej tak bardzo. Był już stary, ale nadal nienagannie dystyngowany. Znała ten ród od dziecka. Wtedy było sześciu synów. Jeden został na krótko Pryzmatem. Teraz wszyscy nie żyli: najazdy, gorączka, wojny. Kiedy miała dwanaście, trzynaście lat, lord Bran miał nadzieję, że poślubi jego najmłodszego syna, Gracchosa. To był dobry chłopak, bardziej poeta niż wojownik.

Zginał bohaterską śmiercią, która niczego nie zmieniła w przebiegu bitwy, która o niczym nie przesądziła.

Karris znowu spojrzała na Zymuna. Nie mogła się powstrzymać. Było w nim coś, co przyciągało oko jak magnes żelazo, czy to tylko na nią tak działał? Nie, nie. Był bardzo przystojny. Był Pryzmatem elektem. Wszyscy co rusz przynajmniej na niego zerkali. I tylko Karris patrzyła nań z zaciskającym się żołądkiem.

Przeniosła wzrok na pozostałe Kolory siedzące razem z nim na podwyższeniu. Delara Pomarańczowa wyglądała na trzeźwą po raz pierwszy od miesiący, o ile Karris dobrze pamiętała. Jej spojrzenie przyciągnęły dwa Kolory, których nie znała: Caelia Zielona i nowa Podczerwień, Cathan. Karlica Caelia Zielona z nowej Tyrei wydawała się naturalną sojuszniczką. Gavin będzie potrzebował sojuszników w nadchodzących dniach. Karris już powinna była zawrzeć z nią znajomość. Cathan Złota Róża to najnowszy Kolor, zastępujący Arys Podczerwoną, która zmarła podczas porodu, spokrewniony z Arys Greenveil i Elą Jorvis, a co za tym idzie, z Aną Jorvis, którą Gavin zrzucił z balkonu.

Jeśli Karris szukała kogoś, kogo widok uspokoi jej umysł, to patrzyła w złym kierunku. Spojrzała na Zymuna i znowu odwróciła wzrok. Dobry Orholamie.

Pewnego razu, kiedy polowali z Gavinem na podczerwonego koloraka, natrafili na rodzinę, która walczyła krótko z kolorakiem i go przepędziła. Podczas kolacji ojciec zachowywał się dziwne, ale zaprzeczał, jakoby został zraniony. Następnego ranka wstał i krzyknął. Oberwał ogniowym kryształem w pachwinę. To go pozbawiło męskości, więc zawstydzony ukrywał ranę. Ogniowy kryształ przyżegł ranę, która się zamknęła, dopóki infekcja nie sprawiła, że przy wstawaniu skóra pękła i wszędzie trysnęły krew i ropa.

Umarł, rzecz jasna. Nie zdołaliby go uratować, nawet gdyby wiedzieli o ranie.

Patrząc na Zymuna, czuła to samo. Żołądek jej napęczniał jak groteskowa ciąża. Szesnaście lat wstydu i porażki wzduło jej brzuch, napełniło trucizną.

Czy o matce nie świadczy sposób, w jaki dba o dziecko? Karris porzuciła tego chłopca. Ani razu nie dała mu piersi. Nawet na niego nie spojrziała, jakby był potworem albo gorzej: jakby spojrzawszy na niego, mogła go pokochać.

A teraz patrzyła na niego i było już za późno. Jej serce umarło.

Sukces, Karris. Twoje lęki były bezpodstawne. Jesteś twardsza i zimniejsza niż myślałaś.

Ból brzucha tylko się pogorszył. Nie mogła patrzeć na Zymuna. Musiała zebrać myśli, a to nie pomagało.

Wiedziała, że to uprzejme ze strony lorda Rozłożystego Dębu, że oddał jej swoje miejsce, ale wolała, żeby tego nie robił. Tu czuła się odsłonięta. Ludzie patrzyli na nią, jakby czegoś się po niej spodziewali. Nie wiedzieli o Zymunie, prawda?

– Dziecię – powtórzył Najwyższy Luksjat Amazzal.

Patrzył na Karris.

Teraz już wszyscy na nią patrzyli.

-Tak?

– Wystąp, proszę.

Zamrugła zaskoczona, próbując przypomnieć sobie, czego dotyczyło kazanie. Nie miała pojęcia. On z pewnością o tym nie wiedział, prawda? Nie zawstydzi jej publicznie? Za to tylko, że nie uważała? Na pewno nie.

Wstała i wystąpiła naprzód z całą gracją, jaką była w stanie w sobie znaleźć.

Najwyższy Luksjat wskazał, żeby stanęła po jego lewej, ale, idąc, dostrzegła, że na zuchwie Androssa grają mięśnie. Ogarnęła ją fala ulgi. Nie bardzo wiedziała, co się dzieje, ale jeśli Andross był z tego powodu zły, to ona nie zostanie ośmieszona. Zajęła swoje miejsce i wreszcie zaczęła myśleć.

– Ismene Crassos – oznajmił Najwyższy Luksjat.

Arystokratka w średnim wieku wstała z innego miejsca w pierwszym rzędzie i stanęła obok Karris. W drugim rzędzie jej kuzynka o końskiej twarzy, Aglaia, promieniała z dumy.

Jedno po drugim Najwyższy Luksjat wypowiedział imiona tych, którzy siedzieli w pierwszym rzędzie, i wszyscy stanęli w szeregu.

– Eva Złota Róża. Naftalie Delara.

Następni będą Jason Jorvis, potem Akensis Azmith i na końcu Croesos Ptolos.

Karris знала ich wszystkich. Niektórych z czasów nauki, innych ze słyszenia. Wszyscy to krzesiciele. Każde z rodziny ważnej teraz lub niegdyś. Nawet ona zaliczała się do tej

drugiej kategorii, jak przypuszczała. Nie powinna jednak stać razem z nimi. i zanim padło ostatnie imię, Karris zrozumiała. Ledwie zdusiła okrzyk, a przecież gdyby uważała podczas ceremonii, byłoby to oczywiste. Jednak, co ona tu robiła?

Gdyby składała tę listę, każda pozycja byłaby do przyjęcia prócz jej samej. Krzesiciele z najważniejszych rodzin w satrapiach, które nadal opierały się Księciu Barw, ze szczególnym naciskiem na Ruthgar i Parię. Miejsce Karris powinien zajmować ktoś z rodu Malargos, ale Tisis zniknęła, więc oddano je lordowi Rozłożystemu Dębowi, który był tak słabym niebieskim krzesicielem, jak tylko można, żeby nadal przejść próbę. To dlatego dożył sędziwego wieku – nigdy nie krzesał. Nie widział potrzeby.

Nie zebrali się tutaj z powodu kazania.

– Panie i panowie – oznajmił Najwyższy Luksjat Amazzal – przedstawiam wam śmietankę Siedmiu Satrapii. Przedstawiam wam najlepszych, siedmiu kandydatów, spośród których Orholam wybierze nową Biel.

Rozległy się oklaski, ale zaciekle, rywalizujące. Wyraźnie rysowały się stronnictwa.

Zebrali się tu, by wybrać nową Biel. Kandydatów wskazywali Najwyżsi Luksjaci, ale Biel wybierał sam Orholam w losowaniu.

Ale Karris? Co...

„Nie zawsze chodzi o coś większego”, powiedziała jakiś czas temu Biel.

To była dwuznaczność w jej stylu. Brzmiało to jak zaprzeczenie, ale ona wcale nie zaprzeczała, prawda? To, że nie zawsze chodzi o coś większego, nie znaczy, że tym razem tak nie jest.

Biel była kiedyś w jednej klasie razem z lordem Branem, wieki, wieki temu. Byli dobrymi przyjaciółmi. Bran zasługiwał na miejsce w pierwszym rzędzie, ale można go było przeoczyć ze względu na wiek. Gdyby został Bielą, wytrzymałby pewnie rok, może dwa. Dlatego Andross nie uwzględniał go w planach, jakiegokolwiek były. Jednak, kiedy Bran poczekał aż do początku ceremonii, żeby opuścić miejsce i oddać je Karris, Andross Guile nic nie mógł na to poradzić.

A kilka chwil później zostali tu zamknięci. Nawet niewolnikom nie wolno było wchodzić i wychodzić.

Biel ułożyła to tak, żeby Karris się tu znalazła.

Cała jej nauka temu służyła. Dziesiątki mniejszych misji w minionych latach. Niemalże samobójcza misja w Tyrei. Powolne przejmowanie sieci szpiegowskiej Bieli. Te sprawdziany, które Karris odbierała jako tak wymagające, tak niepotrzebne, byłyby wymagające i niepotrzebne w przypadku każdej innej pozycji niż stanowisko Bieli. Co znaczyło, że Biel chciała, by Karris ją zastąpiła. Nie, ta myśl była zbyt ambitna, zbyt arogancka, zbyt bezczelna.

A jednak Karris stała tutaj.

Biel chciała, żeby ona została następną Bielą.

Może Karris nie była jedyną kandydatką Bieli. Pięcioro ze stojącej tu siódemki mogło mieć poparcie Bieli.

Kiedy Karris się rozejrzała, nabrała pewności, że to nie wchodziło w grę. To była strategia w stylu Androssa Guile: kupić wszystkich, więc ktokolwiek wygra, on też zwycięży. Biel obstawiała inaczej – stawiała całe pieniądze na to, co było mało prawdopodobne. Orea Pullawr chciała, żeby Karris została następną Bielą.

Oczy jej się zaszkliły. Nie mogła powstrzymać łez. Ta gniewna stara kobieta przeprosiła ją nawet za to z wyprzedzeniem.

Przez cały ten czas Biel uczyła Karris, przygotowywała do przyjęcia obowiązków. A Karris nigdy tego nie dostrzegła? To nie najlepiej wróżyło jej karierze w roli Bieli, prawda?

Wszyscy mamy słabe punkty, ale źle, gdy czyjąś słabością jest osoba. Karris miała dwie takie – Biel, której nie doceniała, ale którą kochała, i Gavina, którego nie doceniała i którego pokochała, kiedy zaczęła go doceniać. Dzięki Orholamowi, że obie jej słabości były dla niej dobre.

Karris miała tylko jedną szansę na siedem, żeby wypełnić życzenie Bieli. I nagle zapragnęła tego połową serca.

Nikt rozsądny nie mógł chcieć zostać Bielą. Jednak Karris nie chciała, żeby Bielą została marionetka Androssa Guile. Jeśli ona była jedyną przeszkodą na jego drodze, to niech i tak będzie.

Jeśli taka twoja wola, Orholamie, to posłuż się mną.

Ale jak tego dokonać? Czy Biel ufała Orholamowi, że poprowadzi Karris przez resztę drogi?

O, znowu. Odległy dźwięk, który sprawił, że nadstawiła uszu. Pierwszy był głośniejszy, ale zagłuszył go brzęk łańcuchów. Wystrzał z muszkietu. Liczne wystrzały stłumione przez grube drzwi i kamień, dochodzące może z innego piętra? A może słyszała strzały przez okno? Czy ktoś na balkonie kilka pięter niżej świętował Dzień Słońca?

Oczywiście nie wolno było świętować w taki sposób, ale to nie powstrzymywało ludzi na Wielkim Jaspisie. Zwykle jednak powstrzymywało ludzi w Chromerii. Karris spojrzała na Czern, który siedział w drugim rzędzie, ale Carver Czarny najwyraźniej nie usłyszał strzałów, albo udawał lepiej niż go podejrzewała.

Z kolei Andross... Andross to ucieleśnienie pozorów, zwodów. Karris spojrzała na niego, chociaż znajdował się razem z nią na podwyższeniu i jej spojrzenie było oczywiste. A co ją to obchodziło? Nie mogli odebrać jej pozycji kandydata z powodu nieokrziesania towarzyskiego.

I wtedy to dostrzegła. Nie wiedziała, dlaczego akurat teraz po raz pierwszy. Widziała po tysiäckroć, jak działa Gavin, on jednak zawsze był kimś wyjątkowym. Teraz dostrzegła, co dla niej oznacza władza. Dla niej oznaczała nie tylko działanie poza normami społecznymi – zawsze tak działała – ale także ich lekceważenie. To znaczyło, że mogła gapić się na człowieka dłużej, niż wypada, i zamiast samej czuć się niezręcznie, sprawiać, że wszyscy inni tak się czuli. To panowanie, ta wolność kosztem innych były upajające.

Dla kogoś, kto zawsze sympatyzował z niebieskimi cnotami porządku i harmonii, kto ustawiał talerz dokładnie z przykazami książki napisanej przez jakiegoś od dawna martwego księcia drobiazgowej pompatyczności, władza była objawieniem. Władza nie w rękach innych, lecz jej własnych. A to, co upaja, ostatecznie zatruwa.

Andross Guile odwzajemnił jej spojrzenie ze spokojem. Nie sprawiał wrażenia złego. To było przecucie, raczej intuicja niż podpowiedź wyczytana z wyrazu twarzy. Wyczuwało się w nim wyczekiwanie. A oczekiwanie w przypadku Androssa Guile to oczekiwanie zwycięstwa. Był cierpliwy, bo wiedział, że wygra.

Karris uśmiechnęła się do niego, jakby знаła tę grę, jakby podobało jej się to, że on spodziewa się zwycięstwa. Uśmiechnęła się, jakby była lepsza od niego. Zamrugał zaskoczony i przez twarz przemknął mu ledwie cień wątpliwości. Opuściła głowę skromnie i uśmiechnęła się do swoich słodkich sekretów.

Miał plan. Do diabła. Andross Guile nie był człowiekiem, który zostawia cokolwiek przypadkowi. Nie zamierzał ryzykować, nawet kiedy miał sześć szans na siedem. Nawet jeśli miał w kieszeni całą szóstkę, mógł mieć faworyta.

Jednakże w jaki sposób mógł oszukiwać? Ceremonię na pewno tak pomyślano, by oszustwo było niemożliwe.

Tyle że Andross doskonale znał zabezpieczenia. Czym lub kim są.

Karris spojrzała na Najwyższego Luksjata Amazzala. Czy brał w tym udział?

– Orholamie, wszechmogący Panie Panów – mówił – wejrzyj na nas. Najwyższy Panie i Najwyższy Boże, do ciebie się uciekamy. Wejrzyj na nas i pobłogosław nam swym światłem, życiem, swoją łaską. Tego dnia, Orholamie, Panie nasz i Królu Najwyższy, Cesarzu nad Cesarzami, Dzierżycielu Wagi, Potężny i Sprawiedliwy, Honorowy i Czysty, Niepojęty w swojej Mocy, Godziwy w swej Łasce, odwołujemy się do twojej woli, nie naszej. Szukamy dziś Bieli, twojego światła, twojego antidotum na noc. My, twoje satrapie, prosimy, by twoja dłoń spoczęła na nas lekko, na naszych posłusznych sercach, które potrzebują jedynie wskazówki, nie przymusu, tylko podpowiedzi, ponieważ to twojemu celowi pragniemy służyć, nie własnemu. Wychwalamy cię, Panie Światłowładców, Panie Narodów, Głosie w Bezruchu, Przewodniku Ślepców, Ścieżko Łaski dla Nieoświeconych. Patrz i działaj, Boże.

Za każdym razem, gdy mówił „Boże”, następowała tradycyjna pauza, chwila wahania i szacunku. To była miara jego pobożności albo zwyczajnie doświadczenia, bo dzięki niemu tradycja wydawała się żywa, jakby sam uważał, że nawet tyle okazanego szacunku to ciągle za mało.

– Kandydaci – powiedział – wystąpcie. Od tej chwili krzesanie jest zakazane. Krzesanie to narzucanie naszej woli światu. Każdy, kto będzie krzesał albo zgodzi się na to, żeby ktoś pomógł mu krzesaniem, zostanie zdyskwalifikowany i stracony jako heretyk. Rozumiecie? Jeśli tak, powtórzcie: Pod Niedającym Się Zwieść Okiem Orholama rozumiem i zgadzam się.

Powtórzyli chórem. A potem poszli za nim do koła na podłodze. Młodzi luksjaci przynieśli dla każdego składane parawany i rozstawili je szybko. Luksjat Karris był pryszczatym zarumienionym młodzieńcem, który miał nie więcej niż osiemnaście lat.

Najwyższy Luksjat przemówił do nich:

– Ceremonia musi być niepodważalna, dlatego, ponieważ w odległych czasach zdarzali się tacy, którzy próbowali zniszczyć jej świętość, zadbaliśmy o zabezpieczenia. Żadnych soczewek. Żadnych luster. Żadnej biżuterii. Nawet skrawka materiału w waszym kolorze. Nic. Nawet wasze włosy zostaną zasłonięte. Abyśmy się upewnili, że wszyscy przestrzegacie poleceń, macie się rozebrać. Zostaniecie przeszukani i otrzymacie identyczne stroje, przypadkowo wyznaczone. Wszystko to odbędzie się na oczach Czarnej Gwardii, luksjatów i waszych wzajemnie. Bez wyjątku. Nawet Biel podporządkowuje się prawu. Jeśli nie odpowiadają wam te reguły, możecie się teraz wycofać. Jeżeli nie zgłosicie sprzeciwu teraz, a okaże się, że pogwałciliście reguły, zostaniecie skazani na Światłość Orholama. Rozumiecie?

Rozumieli.

– Jeśli uznacie, że zauważyliście, że któryś z kandydatów naruszył zasady, to zwróćcie uwagę luksjatów. Zostanie mu wyznaczony nowy Czarnogwardzista i luksjat, i zostanie przeszukany ponownie. Ponadto stosowna kara zostanie wymierzona heretykowi i Czarnogwardziście, który zezwolił na herezję. Mam na myśli karę śmierci.

Odszedł, a Karris się rozebrała. Jej czerwieniący się luksjat był o wiele bardziej zakłopotany niż ona. Potem zauważył siniaki. Lądowanie bokiem w rzece sprawiło, że cała lewa strona jej ciała wyglądała, jakby Karris już umarła i zaczęła sinieć. Poruszył ustami, ale najwyraźniej zabroniono mu się odzywać. Karris zignorowała to. Lata w Czarnej Gwardii odrapały konieczną nagość ze wstydu. Poza tym odczucia związane z własnym ciałem oderwałyby ją od gry, którą prowadził Andross, a nie można grać z Androssem i mieć nadziei na zwycięstwo, jeśli nie skupi się na rozgrywce całkowicie.

Najwyższy Luksjat stał przed siódmką Czarnogwardzistów. Każdy wylosował numer z

miski i ruszył do jednego z rozbierających się lordów lub dam. Trener Fisk – teraz kapitan straży Fisk – podszedł do Karris. Prawie niezauważalnie wzruszył muskularnymi ramionami.

– Kobiety miały przeszukiwać kobiety, a mężczyźni mężczyzn, ale ponieważ jest nas tak mało, powiedzieli... Na brodę Orholama, co ci się stało w...

– Rób swoje – przerwała mu Karris.

I zrobił. Nie miał dużo do roboty. Większość czasu zajęły mu włosy, chociaż miały być zakryte. Potem sprawdził obie jej dłonie, oczy, pachy, plecy, rowek między pośladkami, stopy. Kontrabanda była pierwszym oczywistym celem, drugim ukrywanie luksynu. Fisk był zawodowcem i poruszał się szybko z twarzą jak maska.

Siedmiu kolejnych Czarnogwardzistów obserwowało przeszukujących i luksjatów, upewniając się, że nic między nimi nie przewędruje. Przypadkowość doboru strażników – zakładając, że naprawdę był przypadkowy – powinna zniweczyć wszelkie próby manipulacji ze strony Androssa. Karris obserwowała pozostałych.

Nie dostrzegła niczego poza oczywistym skrępowaniem. Zastanawiała się, czy komuś coś podano – ale co właściwie? Barwione soczewki. Krzesicielowi zawsze przydadzą się soczewki. Są małe, niepozorne i śmiertelne w działaniu.

Jednak nie zauważyła niczego niewłaściwego.

Luksjaci przynieśli stos szat i przynajmniej dwóch Czarnogwardzistów przeszukało każdą, zaginając szwy, szukając ukrytych kieszeni i przerzucając stos losowo. Potem Najwyższy Luksjat rozdał je osobiście. Stroje nie różniły się rozmiarami, co oznaczało, że Karris tonęła w swoim, a Jason Jorvis ledwie zdołał się zakryć.

Najwyższy Luksjat podszedł do każdego, kiedy się ubierali, podsuwając drewnianą miskę.

– To zdecyduje o kolejności, w jakiej będziecie losować – powiedział.

– Losujemy porządek losowania? – zapytała z powagą Karris.

Westchnął.

– Czy zdumiałby cię fakt, że zdarzały się w przeszłości problemy w związku z pierwszeństwem? Jedyńka idzie pierwsza, siódemka ostatnia.

Karris wzruszyła ramionami i wylosowała. Szóstka.

W głębi ducha cieszyła się, że idzie tak późno. Do tego czasu wybór będzie już ograniczony.

– Zobaczcie siedem kamieni. Posłuchajcie głosu Orholama. On wami pokieruje. Każdy może wrócić tylko z jednym kamieniem. Ostrzegam, że pomalowano je rozlicznymi warstwami farby i nie sposób powiedzieć, jak głęboko kryje się prawdziwa barwa. Wracacie z kamieniem i wrzucacie go do misy wypełnionej rozpuszczalnikiem. Wtedy

okaże się, kto ma kamień Bieli.

– Co ma znaczyć, że z nim „wracamy”? – zdumiała Karris. – Dokąd się wybieramy?

– To wszystko? – spytał Jason Jorvis. – Żadnych innych reguł?

– Naprawdę nie pamiętasz? – zapytała Ismene Crassos.

– Mojej rodziny nie było na Jaspisach ostatnim razem.

– i nie słyszałeś historii?

– Po prostu próbuję dobrze zrozumieć reguły.

Karris z okresu, kiedy na Biel wybrano Oreę Pullawr, pamiętała tylko chłopca imieniem Amestan Niel, który spędzał lato w sąsiedniej posiadłości. Ledwie wypowiedziała do niego dwa słowa przez cały ten czas. Jej najlepsza przyjaciółka, której Karris powiedziała o swoim trwającym całe lato zauroczeniu, pocałowała go w wieczór przed jego wyjazdem. To była wtedy druzgocąca zdrada. Z tego co ostatnio słyszała, Amestan Niel był teraz trzecim największym eksporterem wełny w Parii.

Gdzieś w wieży coś zadudniło. Coś wielkiego.

– To była część... ceremonii? – zapytała Karris.

Ośłupienie na twarzy Najwyższego Luksjata mówiło jej, że nie.

– Będziemy kontynuować – powiedział.

Luksjaci zabrali parawany, a kandydatów zaprowadzono do koła.

– Przygotujcie się – uprzedził publikę Najwyższy Luksjat. – Często mocno wieje.

Wieje?

Na dany sygnał, którego Karris nie dostrzegła, wszystkie okna w pokoju zsunęły się w szpary, jak szyby w oknach Gavina piętro wyżej. Powiał zimny wiatr, ale ustał po pierwszym powiewie. Poranek był bezwietrzny i ciepły.

I wtedy podłoga się poruszyła. Karris natychmiast opadła w szerokim rozkroku jak przy walce, obniżając środek ciężkości. Poruszała się podłoga pod nią i pozostałymi kandydatami. Ismene spojrzała na nią i uśmiechnęła się szeroko, jakby mówiła: „Ekscytujące, prawda?”.

Krąg o średnicy pięciu kroków, na którym stali, uniósł się. Wzory na posadzce zapadły się, odsłaniając tory, i cały dysk z kandydatami zaczął sunąć ku otwartemu oknu.

– Czy tylko mnie wydaje się to naprawdę kiepskim pomysłem? – zapytała Karris.

– No to zeskakuj – odparł Jason Jorvis.

Stała na samej krawędzi dysku i rozważała, czy nie skoczyć, dopóki tego nie powiedział.

Dysk wysunął się za okno, podparty w powietrzu przez szerokie ramie wystające z Wieży Pryzmata dwa piętra niżej. Odsunęli się na dziesięć, potem dwadzieścia kroków od wieży, a wielkie okna auli zatrzasnęły się z brzękiem.

Och. Teraz Karris rozumiała. Każdy mógł widzieć, co się dzieje, ale nikt nie mógł

krzesać, żeby wpłynąć na wynik. Arystokraci wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć, ale spojrzenie Karris powędrowało nagle w górę.

Jedna z potężnych blanek na szczycie Wieży Pryzmata odpadła i spadła kilka pięter. To był ten grzmot, który słyszała. Ogromny kawał kamienia wisiał na stalowej linie. Karris była na szczycie wieży setki razy. Nie było tam stalowych lin ani potężnych śrub oczkowych w blankach. Jednak precyzja pęknięcia sprawiała, że wyglądało to jak coś zamierzonego. Próbowwała dojrzeć coś więcej – dokąd sięgała ta lina? – kiedy platforma znowu zadygotała. Siedem dodatkowych mniejszych okrągłych platform wysunęło się spod większej. Siedem okręgów zatopiło zęby w brzegu większej platformy i zaczęło powoli wokół krążyć.

Na każdym mniejszym kręgu znajdował się wąski piedestał, a na nim pośród teku i aksamitu biała kula. Wszystkie wyglądały identycznie. Okręgi okrążyły kandydatów raz i zatrzymały się.

Naftalie Delara wylosowała numer jeden.

– Nie ma chyba sensu zwlekać – powiedziała. Spojrzała w niebo. – Orholamie, prowadź mnie. Pobłogosław mój wybór.

Podeszła do jednego z piedestałów i wzięła białą kulę.

Na balkonach wszystkich siedmiu wież stały zespoły składające się z Czarnogwardzisty i luksjata; obserwowali siebie wzajem, inne zespoły, i pilnowali, żeby nikt nie wyszedł na balkon i nie zakłócił ceremonii.

Jakiegokolwiek oszustwo zaaranżował Andross, bez wątpienia już się dokonało. Zaaranżował, kto ma wygrać, i w jakiś' sposób powiedział tej osobie, który kamień jest właściwy. Mechanizm oszustwa pozostanie niewidzialny, a wybór Karris – dopiero szósty – najpewniej nie będzie miał znaczenia. Wybierze między dwoma kamieniami, z których na pewno żaden nie będzie właściwym. Bezsensowne i jałowe, jak wiele lat jej życia.

Eva Złota Róża potrzebowała więcej czasu, ale dość szybko dokonała wyboru.

Jeden Orholam wie, ile Biel poświęciła, żeby wprowadzić tu Karris, a mimo to przegrał). Karris nawet nie wiedziała, która z uśmiechniętych twarzy należy do kłamcy. Może cała szóstka oszukiwała. Andross Guile zawsze miał plany awaryjne, prawda?

Karris znowu usłyszała strzał z muszkietu i wiedziała, że rozległ się na dachu Wieży Pryzmata. Parę osób gapiło się na kandydatów z okien, ale żadna nie wyszła na balkon i nikt nie był uzbrojony, z tego co Karris widziała. Co tu się, do diabła, dzieje? Czarnogwardziści na wieżach też sprawiali wrażenie zaniepokojonych, ale byli uwiązani na swoich posterunkach.

Akensis Azmith wybrał swój kamień. Croesos Ptolos potrzebował więcej czasu, wahał się długo przed jednym, modlił się, a potem wybrał inny. Potem przyszła kolej Ismene

Crassos. Przyglądała się przez długi czas pozostałej trójce. Wracała do jednego trzy razy i wreszcie go wzięła.

To znaczyło, że Karris zostały dwa kamienie.

Posłuchaj woli Orholama.

Podeszła do pierwszego kamienia. Biały, okrągły, dość mały, żeby wygodnie zmieścił się w jej dłoni. Z jakiegoś powodu nie wydawał się właściwy.

To było dziwne. Podeszła do drugiego, przyjrzała mu się uważnie i poczuła silną chęć, żeby natychmiast wziąć go do ręki.

Skrzyżowała ręce na piersi. Powiedziała Bieli, że chciała, by Orholam przemawiał do niej w oczywisty sposób, i oto przemówił, a jej się to nie podobało. Jeśli głosem Orholama był wymierzony policzek, to jaką wartość miały jej uszy? To w jakiś sposób dewalowało jej intelekt – intelekt, którym obdarzył ją sam Orholam. Powinna uczestniczyć w sposobie, w jaki Orholam się nią posługuje.

Powinna? A może to arogancja?

Płomienna zielono-czerwona krzesicielka, którą była do niedawna, podjęłaby decyzję i niech wszystko wezmą diabli. Orholam mógł zrobić swoje albo nie. Jeśli to był jego wielki plan, to niech sam to załatwi. Zresztą, pewnie i tak to wszystko nie miało znaczenia, właściwy kamień już zabrano.

Jednakże Karris nie była już tamtą dziewczyną, która była niemądra. Popełniała czyny, za które nadal się nienawidziła. Próbowwała wypalić się na popiół i okazała się za dobra, żeby umrzeć. Próbowowała wymazać słabość pożyczonym od Czarnej Gwardii celem. Teraz ból i rozczarowanie były jej częścią w równym stopniu jak namiętność i dzikość. Nie była stworzeniem składającym się z wyizolowanych skrajności, nieciągłą dichromatką. Już nie. Była rodzącą się całością, zintegrowaną.

Nie zważając na arystokratów czekających w oknie i kandydatów na dysku, Karris zwróciła się ku porannemu słońcu. Idealna, płonąca kula traciła odcienie czerwieni, wznosząc się, i stawała się złota.

Karris rozłożyła nagie ramiona, pozdrawiając słońce, nasiąkając światłem w pełnym spektrum, przyjmując je i radując się nim.

Jesteśmy historiami, które o sobie opowiadamy. Kiedy jednak te historie są kłamstwami, to my jesteśmy najbardziej zaskoczeni ze wszystkich.

Kiedy prosisz o chleb, Karris, czy dałbym ci kamień?

I gdy uniosła ręce, upajając się światłem, usłyszała dźwięk – coś ogromnego odpadło i wielgachna kamienna blanka spadła dokładnie przed nią.

Z trzaskiem bicia rozwinęła się lina doczepiona do wielkiego kamienia. Drugi koniec napiął się przy krążku na szczycie Wieży Pryzmata, a kamień spadał coraz niżej i niżej.

Uderzył w ziemię i przebił się przez nią, jakby grunt właśnie tak miał go przepuścić, i spadł na wielki podziemny dziedziniec. W tym samym czasie stalowa lina rozwinęła się z czubka wieży. Wyskoczyła z wody między Wielkim i Małym Jaspisem, wyrwała się z murów otaczających wschodnią stronę Wielkiego Jaspisu i napięła się, kreśląc prostą linię od szczytu Chromerii niemalże do portu.

– Czy dałbym ci kamień? – Karris wybuchnęła śmiechem.

A kiedy się obróciła (wszyscy patrzyli na linę), dostrzegła zielony rozbłysk kątem oka. Co? Spojrzała na horyzont, ale wiedziała – wiedziała! – że zielone rozbłyski pojawiają się tylko o zachodzie słońca. I wtedy znowu go dostrzegła. Spojrzała w stronę Wielkiego Jaspisu.

Na wieżach Tysiąca Gwiazd obracały się lustra, oświetlając świąteczne, rozdokazywane tłumy. Jedno odbiło zieloną wieżę i błysnęło przelotnie w stronę Karris.

Karris się roześmiała. Pokręciła głową do Orholama, a potem patrzyła zaszokowana, jak młody człowieka zlatuje na linie ze szczytu wieży. Wydawało jej się, że go poznaje, ale za szybko zniknął. Cruixer?

Wróciła do kamieni. Jej wybór miał znaczenie. Teraz wiedziała. Orholam nie doprowadziłby jej do miejsca, w którym jej wybór byłby pozbawiony znaczenia. Przyjrzała się każdemu i znowu poczuła przyciąganie do jednego i odpychanie od drugiego. Jednak nie dotknęła żadnego. Zamiast tego przyklęknęła przy piedestale, na którym leżał jeden z kamieni. Niczego nie widziała. Przesunęła po nim paznokciem... i najcieńsza skorupka zestalonego pomarańczowego luksynu pękła i rozpadła się.

I natychmiast pragnienie wybrania tej kuli zniknęło. Urok. Zakazana magia grożąca karą śmierci w Światłości Orholama. Ale z drugiej strony, za każde oszustwo przy wyborze Bieli groziła taka sama kara, więc kto by się tym przejął?

Andross – o ile to był Andross – znalazł nadzwyczaj utalentowanego pomarańczowego krzesiciela wytrenowanego w zakazanych sztukach i w jakiś sposób pokonał wszelkie możliwe zabezpieczenia luksjatów, ominął kontrole, które miały za zadanie upewnić się, że nikt nie rzucił uroku.

To jednak był problem na inny dzień. Podeszła do drugiej kuli, zadrapała paznokciem urok i pogroziła palcem w stronę okna, za którym siedział Andross Guile. Niegrzeczny, niegrzeczny chłopiec! Wzięła kulę.

Jakiś szósty zmysł ostrzegł ją, może dźwięk pośpiesznych kroków ponad szumem wiatru i wystrzałów muszkietów rozbrzmiewających na dachu. Karris obróciła się na pięcie i zrobiła unik, kiedy dobiegł do niej Jason Jorvis. Uratowało ją tylko to, że chciał zabrać jej kulę, zamiast po prostu zepchnąć ją z dysku.

Obróciła się razem z nim, wykorzystując przeciwko niemu jego własny pęd i posłała go

ku krawędzi, ale on złapał ją za słabą lewą rękę i pociągnął za sobą.

Wyrwała się z jego uścisku silnym ruchem, przy którym wykręciła mu nadgarstek. Stracił chwyt, ale złapał znowu, tym razem za pasek jej szaty.

Potknął się, jedna jego stopa wylądowała poza dyskiem. Upuścił własną kulę, kiedy wykręcił się, żeby się ratować. Zieleń w Karris nie mogła znieść spętania. Jedną ręką wyrwała pasek z dwóch szlufek w talii, a drugą popuszczała go tak, żeby Jason nadal balansował na krawędzi całkowicie zależny od paska.

Znowu usłyszała kroki. Plan awaryjny do planu awaryjnego. No jasne. Wszyscy w sali widzieli, ale nie istniały stosowne reguły. Ktokolwiek wróci z właściwą kulą, zostanie Bielą i nie będzie ścigany za morderstwo.

Pięść przebiła dokładnie to miejsce, w którym chwilę wcześniej była głowa Karris. Kolejny cios, ten jednak zablokowała samą kulą. Kiedy Akensis stał zamrożony bólem strzaskanej pięści, Karris rzuciła kulę w powietrze. Mając teraz wolną rękę, zawiązała na pasku luźną pętlę i przerzuciła go do ręki Akensisa, kiedy ten patrzył na lecącą kulę. Czując w dłoni sznurek, szarpnął ręką i pętla się zacisnęła.

Karris zanurkowała, wypuszczając pasek, przeturla się i zerwała się na równe nogi. Złapała kulę.

Akensis nie od razu napiął pasek, więc Jason Jarvis zawisł równolegle do platformy, na której stali. Trzymał jednak stopy na krawędzi. To był nieprzeciętnie mądry ruch. Większość ludzi, spadając, spanikowałaby i zaczęła wymachiwać kończynami. A on, napinając ciało, dał sobie szansę.

Akensis pociągnął za sznurek, żeby samemu się ratować, krzycząc, kiedy węzeł zacisnął mu się na nadgarstku. Złapał sznur obiema rękami, utrzymując chwiejną równowagę.

Przez chwilę Karris zastanawiała się, czy im nie pomóc. Jednak to byli duzi mężczyźni, ciężcy i silni. A jej nie wolno było krzesać, to była jedyna zasada. Jeśli im pomoże, wspólnie spróbują ją zabić. Z powodu obrażeń na lewym boku za nic nie dałaby rady im obu. Czy ktoś inny się wtrąci? A jeśli tak, to po czyjej stronie stanie? Ilu ludzi będzie musiało zginąć, żeby uratować tych dwóch zdrajców?

Jest czas na łagodne spojrzenie Orholama i jest czas na gniewne.

Z okrzykiem, który był elegią na jej życie, który wyrażał furię z powodu zdrady wobec samego Orholama, na jaką tamci się wazyli, oraz rosnącą dumę, ponieważ wiedziała, że cały jej ból, trening i nawet niesforność zostały odkupione, Karris wyprowadziła boczne kopnięcie, szczyt czarnogwardyjskiej perfekcji. Dzięki takiemu kopnięciu drobna kobieta może posłać mężczyznę w powietrze. I tak się stało.

Obaj zlecieli z platformy i spadli w ramiona śmierci.

Wszyscy patrzyli w milczeniu na Karris.

Okna otworzyły się i dysk wsunął się na miejsce. Karris wrzuciła swój kamień do przezroczystej misy i nie patrzyła nawet, jak rozpuszczalniki robią swoje, żeby odsłonić kolor kamienia pod spodem. Wiedziała.

Odwróciła się i przemówiła do oszołomionej publiki Kolorów, promachosa i najważniejszej arystokracji z resztek po Siedmiu Satrapiach.

– Trwa wojna – powiedziała nowa Biel. – Zacznijmy więc stosownie się zachowywać.

ROZDZIAŁ 96

Zanim Kip i Teia uderzyli o ziemię, zobaczyli, że drużyna jest bezpieczna, i że dołączył do nich nikt inny jak Wibrująca Pięść.

Kip nigdy w życiu nie ucieszył się tak na czyjś widok.

– Które nabrzeże? – zapytał Wibrująca Pięść.

– Czerwone, miejsce piąte.

– Mam dobrą wiadomość i złą – odparł Wibrująca Pięść. – Między nami i tamtym miejscem znajduje się około dwustu Świetlanych Gwardzistów. Mają wielki dom, który wykorzystują jako koszary. Odebrali sygnał lustrzany, że macie zostać zabici. I wszyscy na obu wyspach dobrze wiedzą, gdzie wylądowaliście.

– Skąd to wiedzą? – zapytał Ferkudi.

– Bo wielka stalowa lina wskazuje prosto na nas? – podsunął mu Leo.

– Och. Fakt.

– Zna pan ich kody? – zapytał Benhadad.

– Proszę, niech pan powie, że to już wszystkie złe wiadomości – powiedział Cruixer.

– Owszem.

– A dobra?

– Nie lubię Świetlanych Gwardzistów. – Wibrująca Pięść uśmiechnął się i z jakiegoś powodu Kip uznał, że uda im się.

– Sir, zanim ruszymy – powiedział Cruixer – już nie jesteśmy Czarnogwardzistami.

Zostaliśmy wyrzuceni, wygnani.

Wibrująca Pięść spojrzał na niego.

– Ruszajmy – powiedział.

I ruszyli. Jeszcze pół roku temu Kip umarłby po dwóch kwartałach biegu w takim tempie, nie wspominając już o tym, co byłoby rok temu. Benhadad nie mógł biec z powodu rozwalonego kolana, więc Kip i Duży Leo – który sam był ranny – nieśli go. I biegli.

Požerali dystans potężnymi haustami, zmieniając się przy Ben-ha-dadzie. Pomagał im fakt, że większość ludzi stłoczyła się na głównych ulicach, więc boczne były wolne od typowego porannego ruchu. Potem jednak natknęli się na czterech biegnących Świetlanych Gwardzistów.

Drużyna rozniosła ich, zanim tamci zdążyli oddać jeden strzał.

Zaraz znaleźli się przy murze. Przebiegli dwie przecznice wzdłuż tej krętej budowli i dotarli do małej bramy, ledwie dość dużej, żeby przeszła przez nią jedna osoba. Ulice wyznaczono zgodnie z rozkładem promieni światła z Tysiąca Gwiazd, ale mury postawiono zgodnie z kształtem Wielkiego Jaspisu. A ten był stworzony do dziwnych zakamarków i zakątków.

– Wystrzelcie ogień w powietrze – powiedział Wibrująca Pięść. – Naróbcie hałasu. Chcemy ich tu przyciągnąć.

Kip założył czerwone okulary, cisnął luksyn w powietrze i go podpalił. Inni też strzelili swoimi kolorami w niebo.

W każdy normalny dzień coś takiego w jednej chwili przyciągnęłoby tysiące gapiów, ale dzisiejszy dzień nie był zwykły. W Dzień Słońca krzesiciele, którzy specjalizowali się w podobnych sztuczkach, zjeżdżali się tu z całych Siedmiu Satrapii. Jednakże większość z nich stała wzdłuż trasy parady, licząc na rzucane przez tłum monety.

Wibrująca Pięść wyjął klucz i otworzył furteczkę.

– Łamacz, nałóż wolnopalny ogniożel na zamek. Niech wygląda jak wypalony.

Kip wypełnił polecenie.

Kiedy się tym zajmował, Wibrująca Pięść powiedział:

– Prowadzi tędy wąska ścieżka wzdłuż urwiska. Kiedyś schodzono nią nad wodę, ale osunęła się do morza dawno temu. Teraz to ślepy zaułek. Każdy, kto tędy pójdzie, już nas nie dopadnie.

A potem, zamiast wyjść przez furtkę, pobiegli dalej wzdłuż muru. Po kolejnych paru przecznicach znaleźli następną bramę. Wibrująca Pięść wyjął kolejny klucz. Przeszli przez nią, a Wibrująca Pięść zamknął ją za nimi.

Po kilkuset krokach ta ścieżka też się urywała i Wibrująca Pięść wyprowadził ich przez bramę z powrotem na ulice miasta. W ciągu kilku minut dotarli do portu i wreszcie musieli zwolnić. Było tu tłoczno od ludzi, którzy w ostatniej chwili przybyli na Dzień Słońca, i setek kupców rozładowujących i sprzedających wszelkie możliwe towary. W południe to się uciszy, ale nie wcześniej. A najważniejsze, że nigdzie nie było widać Świetlanych Gwardzistów.

Zanim dotarli do czerwonego nabrzeża, zobaczyli przestępującego z nogi na nogę luksjata i wyszykowaną Tisis Malargos, która wyglądała, jakby na coś czekała.

– Udało ci się! – ucieszyła się. – To ty? – Wskazała na podniebną linę, a Kip wyszczerzył zęby.

Zobaczył, że Teia się garbi. Tisis spojrzała na Teię, a potem na Kipa. Nie wyglądała na zadowoloną.

– A zatem – powiedziała – zrobimy to?

– Co musimy zrobić? – zapytał Kip.

– Podpisać trzy kopie kontraktu i wypowiedzieć słowa w obecności luksjata. To wszystko. Wie, że musi okroić ceremonię do tego co niezbędne.

– Daj mi kontrakt – powiedział Benhadad. – Jedną kopię. Szybko!

– Chyba nie zamierzasz naprawdę tego czytać? – spytała. – Teraz?

– Nie, nie zamierzam, ale tylko dlatego, że fatalnie czytam. Duży Leo, przeczytaj mi to.

Tutaj.

– To standardowy ruthgarski kontrakt ślubny – powiedział luksjat.

Podał kopię i Leo zaczął czytać na głos Ben-hadadowi.

– Naprawdę mamy na to czas? – zapytał Winsen.

On i pozostali obserwowali tłum, starając się nie wyglądać groźnie i podejrzanie, co nie bardzo im wychodziło.

– Jak mówi stare porzekadło – odezwał się Cruxer. – Pośpieszny ślub, długi żal!

– Hm – mruknęła Teia.

– Z pewnością to nie kwalifikuje się jako pośpieszny ślub – odparł Wibrująca Pięść.

Trudno było orzec, czy to sarkazm, czy żart.

– Słuchaj, taka była umowa – powiedział Kip.

– Umowa? – zapytał Duży Leo, przerywając lekturę na głos. – Czy częścią umowy było także to, że Andross spróbuje nas wszystkich zabić?

To Aram, pomyślał Kip. Aram działał przeciwko życzeniom Androssa. Tak myślę. Powiedział jednak:

– Nie zawarłem umowy z Androssem. – Kłamał, ale tuż obok stała Tisis. – Zawieram umowę tylko z ludźmi, którzy mogą mnie przed nim chronić: Tisis i rodziną Malargos.

– Leo, czytaj dalej! – nalegał Benhadad.

– Kip – odezwała się Teia. – Łamacz.

– O, w mordę – mruknął Wibrująca Pięść.

– Co? – zapytali jednocześnie Kip i Cruxer; Kip zwracał się do Teii, Cruxer do Wibrującej Pięści.

– Naprawdę to zrobisz? – zapytała Teia.

– Mówiąc to, masz na myśli to czy ucieczkę z wyspy?

– Jedno i drugie.

-To sygnał – odpowiedział Cruxerowi Wibrująca Pięść. – Świetlana Gwardia ma kontrolę nad stanowiskiem artyleryjskim u wyjścia z portu. Zatopią nas, jeśli spróbujemy odpłynąć.

– Tak – odpowiedział Teii Kip.

Zranił ją i chociaż zaraz ukryła ból, całkiem nie zniknął.

– Zostaję – powiedziała. – Pomogę ci uciec, ale zostaję.

– Czy to z powodu... – Kip wskazał linię, po której razem zjechali.

– Co robimy? – spytał Cruixer.

– Jakie są wytyczne waszej misji? – zapytał go Wibrująca Pięść.

Cruixer zdziwił się, że Wibrująca Pięść oddaje mu dowodzenie.

– Uratować Łamacza – odpowiedział szybko. – Nic innego się nie liczy.

– Nie, nie chodzi o to – odrzekła Teia. – Słyszałeś... ją. Nie zwolniła mnie.

Miała na myśli Biel. Nie chciała o tym mówić, nawet przy drużynie. To był aż tak wielki sekret.

– Mam misję. Cel większy od tego, czego pragnę, i zadanie, które tylko ja mogę wykonać.

– Co? Jakie zadanie? – przerwał jej Benhadad.

Oboje spojrzeli na niego.

– Przepraszam. Poza tym kontrakt jest w porządku. Odrobinę archaiczny, „wróg twojego wroga” i takie tam, ale... Przepraszam!

– Teia, nie musisz tego robić – powiedział Kip.

– Nie, nie muszę. Ale taki jest mój wybór.

Szarpnęła za wisiorek – małą fiolkę oliwy. Zawsze unikała pytań na ten temat. Teraz zerwała sznurek, upuściła fiolkę i zmiażdżyła ją piętą.

– Łamacz – warknął Wibrująca Pięść.

– Tak, sir? – odpowiedział Kip, odwracając się od luksjatów i kobiet, i... Psiakrew! Czy wszystko musiało dziać się naraz?

Wibrująca Pięść spojrział mu w oczy.

– Dziękuję – powiedział.

Jego usta drgnęły w uśmiechu. Rodzinne podobieństwo do Żelaznej Pięści nigdy nie było bardziej widoczne.

– Dziękuję? Za co?

– Zajmę się tymi działami – powiedział Wibrująca Pięść. – Twój statek będzie bezpieczny. Kroc w świetle, Łamacz.

– Pośpieszcie się, ludzie! – ponaglił ich Cruixer. – Widzę Świetlanych Gwardzistów. Mnóstwo. Trzydzieści sekund. Może.

Kip odwrócił się do luksjata, który pobladł. Ktoś włożył Kipowi do ręki pióro i podsunął kontrakty z podłożoną deseczką. Kip złożył podpis raz, drugi, trzeci.

– Mamy wszystko? – zapytała Tisis.

– Tak – odpowiedział luksjat. – Dłonie.

– Pozycja obronna! – rozkazał Cruixer.

Kip i Tisis podsunęli ręce, a luksjat wziął dzban i obmył je symbolicznie z grzechu.

Kiedy zobaczył, że dłonie Kipa są dosłownie uwalane krwią, przełknął nerwowo ślinę. Kip poczuł, że Ferkudi założył mu coś na głowę, i zobaczył, że chłopak wykrzesał dla nich obojga korony z zielonego luksynu.

– Jesteście tu z własnej woli? – zapytał luksjat.

– Tak – odpowiedzieli szybko Kip i Tisis.

Kip zdał sobie sprawę, że prawie na nią nie spojrział, odkąd tu dotarł.

– Czy któreś z was zostało obiecane komuś innemu?

– Nie – odpowiedziała Tisis.

– Nie – odpowiedział Kip jedno uderzenie serca później.

– Zetknijcie prawe dłonie i przeplećcie palce.

– Chwileczkę! – przerwał im Benhadad. Wymachiwał rękami i prawie się przewrócił, musiał skakać na zdrowej nodze, żeby utrzymać równowagę. – Ruthgarski ślub można unieważnić, jeśli zabraknie ognia. Woda, wino i ogień, żeby uświęcić małżeństwo. Potrzebujemy wszystkich trzech.

Cała drużyna zaczęła szukać pochodni. Jak trudne może być znalezienie pochodni pośród tysiąca kupców?

– Ach, do diabła – westchnął Kip.

Otworzył się na słońce i uniósł lewą rękę, pozwalając, by moc napełniła go z rykiem. Ogień buchnął z jego dłoni w niebo.

Musiał być trochę spięty, bo płomień skoczył o wiele wyżej niż Kip zamierzał. Słup ognia wyciągnął się na dziesięć kroków, zanim Kip go przydusił.

– Motyla noga! – zaklął Ferkudi.

– Ferkudi! – krzyknął Cruixer. – Na pozycje! I morda w kubel!

– Naprawdę Powiernik Światła – mruknął Duży Leo.

– Kontynuujmy – ponaglał Kip.

Jeśli Świetlana Gwardia nie wiedziała do tej pory, gdzie dokładnie go szukać, to teraz z pewnością się zorientowała.

Luksjat podniósł kielich. Upuścił go, kiedy Kip pomalował niebo ogniem. Nalał wina z bukłaka.

– To wino to dar Orholama. Wspólny kielich oznacza radości i smutki życia, które będziecie dzielić. – Dał znać, żeby każde się napiło, trzymając niezręcznie kielich w splecionych dłoniach. – Nawet zakłopotanie, które czujecie, to symbol waszej nowej...

– Po prostu wypijcie i wypowiedzcie przysięgę – przerwał mu Cruixer.

– Kipie Guile, Łamaczu – powiedziała Tisis, nie potrzebując podpowiedzi od luksjata i patrząc Kipowi w oczy – Twoje życie będzie moim przez wszystkie świty, południa, zmierzchy i noce, jakie da nam Orholam. Moje światło należy do ciebie. Swoim ciałem

będę cię czcić.

Kip zamrugął, bo mówiła szczerze.

-Tisis Antonio Malargos... – Och, Orholamie, czuł, że znajduje się poza własnym ciałem. Widział Świetlanych Gwardzistów przepychających się przez tłum. Znajdowali się teraz w zasięgu muszkietów. – Twoje życie będzie moim przez wszystkie świty, południa, zmierzchy i noc, jakie da nam Orholam. Moje światło należy do ciebie. Swoim ciałem będę cię czcić.

I stało się. Kip musiał nagiąć do tego wolę. Koniec. Ożenił się.

Luksjat powiedział szybko:

– Niech nigdy ciemność nie zapadnie między wami. Ogłaszam was mężem i żoną.

– Biegiem! – krzyknął Cruixer. – Na statek, już, już!

Kip zauważył, że Teia naciągnęła kaptur, zasłaniając wszystko oprócz szklących się oczu, a potem odwróciła się, czarny i biały dysk na jej płaszczu nasunęły się, zaćmienie i ciemność.

Kip i Tisis pobiegli w przeciwną stronę. Duży Leo przerzucił sobie Benhadada przez ramię i już pędził po pomoście, prawie nie zwalniając z powodu dodatkowego ciężaru. Kip pobiegł za nim, ale miał wrażenie, że świat został pozbawiony dźwięków. Pędzili nabrzeżem, a za nimi biegli Świetlani Gwardziści. Kip wylał na całą szerokość nabrzeża pas czerwonego luksynu. Nawet bijące serce ucichło w jego uszach.

Świetlani Gwardziści przystanęli przed czerwonym luksynem. Żaden z nich nie był krzesicielem, żaden z nich nie chciał umierać. Strzelili z muszkietów, drewno tryskało drzazgami wokół biegnącej drużyny. Kip odwrócił się i wyciągnął pistolet, ale zobaczył tłumy niewinnych przechodniów za Świetlaną Gwardią. Jeśli spuści...

Schował pistolet i wbiegł po trapie na galeas. Świetlani Gwardziści znaleźli kilka desek, które rzucili na luksyn, i przebiegli po nich. Wreszcie zebrali się na odwagę albo myśleli, że Kip nie zdoła rzucić luksynu na taką odległość. Przebiegli resztę odcinka nabrzeżem, błyskawicznie zbliżając się do odpływającego statku.

Kip stał na rufie i strzelił z pistoletu do Świetlanych Gwardzistów. Cisnął luksynem, a drużyna krzyczała, żeby padł, nazywali go wariatem. Tylko jedno słowo przedarło się: Teia. Kip spojrzał w podczerwieni i zobaczył Teię poruszającą się wśród Świetlanych Gwardzistów.

Żadnego nie zaatakowała. Tylko tu trąciła kogoś łokciem, kiedy oddawał strzał, tam zgasła lont, plątała się między szeregami biegnących mężczyzn, przez co paru się przewróciło.

Kip ciskał śmiercią prosto w nią.

Cruixer ściągnął go na dół, gromiąc, że naraża się bez potrzeby, ale Kip nawet go nie

słyszał. Teia.

Ich statek minął wieżę artyleryjską strzegącą zatoki i wtedy zobaczyli Świetlanych Gwardzistów błyskających lusterkami w jej stronę. Niewątpliwie dawali sygnał do salwy. Mimo to, działa milczały. Milczały, aż nagle cała bateria wybuchła z hukiem, który wstrząsnął ziemią i morzem.

Wybuch po wybuchu, w kolejnych warstwach. Działa i muszkiety, i walące się mury. Karta za kartą. Przemknęły w okamgnieniu.

– Wibrująca Pięść, nie – powiedział Kip.

I co dziwne, na dźwięk własnego głosu powrócił. Znowu słyszał, jego oczy przestały patrzeć z intensywną, zogniskowaną na walce koncentracją. Zobaczył swoją drużynę: Cruxera, Ferkudiego, Benhadada, Dużego Leo i Winsena. Teia odeszła, a na jej miejscu znalazła się Tisis. Zobaczył samego siebie, zabijającego w szaleństwie wroga, z którym wcale nie musiał walczyć. Zobaczył swoje dwie twarze: dziecka i wojownika, człowieka i przywódcy. Kipa, który chciał usiąść, popłakać się i który pragnął, żeby ktoś się nim opiekował. Łamacza, który był odpowiedzialny za innych. Karris powiedziała, że wybranie tego drugiego nie znaczy, że trzeba zaprzeczać istnieniu pierwszego.

Kip odetchnął głęboko, a potem rozciągnął szyję w prawo i w lewo aż strzeliły kręgi. A kiedy się odwrócił, był Łamaczem.

– Łamaczu, panie mój, jakie są rozkazy? – zapytał Cruxer.

– Ten statek płynie do Rath, ale kiedy tam dotrze, nas na nim nie będzie – oznajmił Łamacz.

– Co? – zdziwiła się Tisis.

– Ben, byłeś na ślizgaczach i morskich rydwanach. Zaprojektuj taki, który będzie dostatecznie duży dla drużyny. Tisis, masz swoich ludzi na statku?

– Oczywiście. Ale co...

– Zatem wybór należy do ciebie. Możesz popłynąć z nami albo popłynąć beze mnie i zawieźć podpisany kontrakt Eirene. Nasz sojusz i małżeństwo nadal obowiązują, ale nie zamierzam dać się uwięzić w Ruthgarze. Pomogę twojej rodzinie, ale nie będę zakładnikiem. Pomogę twojej rodzinie, broniąc waszej satrapii. Udajemy się do Krwawej Puszczy. Powstrzymamy Księcia Barw. Mocarze ruszają na wojnę.

ROZDZIAŁ 97

Kiedy nikt nie otworzył drzwi w domu konsyliarzy, Żelazna Pięść je wyważył. W środku nikogo nie zastał. Ani konsyliarzy, ani Czarnogwardzistów, ani Gavina Guile. Nie było listu, znaku walki.

– Zniknęli – rozległ się głos za jego plecami. – Czekałem na ciebie. Grinwoody wszedł do domu.

– Grinwoody – powiedział Żelazna Pięść.

Tamten machnął ręką.

– To nie jest konieczne. Nie tu, nie dziś.

– Wuju – powitał go Żelazna Pięść z uśmiechem.

Objęli się.

– Rozumiesz, że nie mogłem nic zrobić w tej sprawie – powiedział Grinwoody.

Wskazał pusty dom.

– Żyje? – zapytał Żelazna Pięść.

– Gavin tak. Czarnogwardzista, który go strzegł i konsyliarze, nie. Andross pewnie...

Nie, nawet po tak wielu latach nie wiem, co Andross robi z Gavinem. Będzie go więził tak długo, aż Gavin się załamie? Zabije go, kiedy Gavin okaże mu brak szacunku, co z pewnością się stanie? Wywyższy go z jakiegoś powodu? Nie mam pojęcia. Nadal.

Powiedział to z podziwem przepojonym frustracją, jakby mówił o przeciwniku, który walczył z nim od tak dawna i tak dobrze, że stali się niemal przyjaciółmi.

– Byłem tam, raptem kilka kroków od tego starego skorpiona. Mogłem... Czy zawiodłem cię, wuju? Czy zawiodłem moją Ulta? Po tak długim czasie, gdy tak wysoko zaszedłem. – Westchnął.

– Masz to?

– Biel ukryła to tam, gdzie powiedziałeś. – Żelazna Pięść wręczył szkatułkę z polerowanego drewna ziricote, nie szerszą niż dłoń i raptem na kilka kciuków głęboką. – Nie znalazłem klucza.

– Twoja szpilka dowódcy – powiedziała Grinwoody.

Żelazna Pięść podał mu ją, a Grinwoody złamał ją w dwóch palcach. Żelazna Pięść się wzdrygnął, ale Grinwoody jeszcze nie skończył. Szpilka nie pękła w przypadkowy sposób. Wziął jedną połówkę i włożył do zamka. Pasowała.

Linia wokół pudełka zajarzyła się przelotnie.

– Odrzucenie własnego życia dla śmierci jakiegoś arystokraty nigdy nie było twoją Ulta.

Pojawiły się... wątpliwości co do twojej lojalności. Wątpliwości, które teraz się rozwiały. – Uchylił pudełeczko, odetchnął z nabożeństwem, a potem je zamknął. – Nazywają nas mistrzami tajemnicy, a jednak w oślepieniu oka kłamliwym światłem Chromeria nie ma sobie równych. Mówią, że jesteś Czarnogwardzistą, bo twoja skóra jest czarna, bo twoje ubrania są czarne, bo nie nosząc koloru, pokazujesz, że nie sprzyjasz żadnemu Kolorowi. Mówią, że jesteś Czarnogwardzistą, bo oddajesz światło własnego rozsądku, żeby służyć jak niewolnik, że jesteś jak odziany w czerń luksjat przyjmujący pokorę bezbarwności. Mówią, że służysz w ciemno. Mówią setkę rzeczy, które są prawdziwe, a wszystko, żeby przesłonić jedną, centralną prawdę: nazywacie się Czarną Gwardią, bo strzeżecie czerni. Czarnego krystalicznego załączka. Do którego można dotrzeć tylko dzięki współpracy Bieli i dowódcy Czarnej Gwardii. Oto broń, która zabija Pryzmatów i gasi luksyn. Oto narzędzie, dzięki któremu odbudujemy Zakon. Oto pióro, które na nowo napisze historię. Oto twoja Ulta. Udało ci się. Dokonałeś więcej dla Zakonu Złamanego Oka niż ktokolwiek inny w ciągu trzech stuleci.

Dlaczego więc Żelazną Pięść ogarnął wstyd? Wstydził się, że Grinwoody mu nie ufał. Wstydził się, bo przez kilka ostatnich miesięcy myślał, że nie musi wybierać strony, że może dopełnić obu przysiąg, nie łamiąc i żadnej, że starożytni wrogowie mogą stać się sojusznikami w walce ze wspólnym wrogiem, że jego Ulta to może być zabicie Księcia Barw. Zdjął ghotrę. Za późno na to teraz. Orholam wyciągnął rękę do Żelaznej Pięści, a on splunął mu w twarz.

– Co teraz robimy? – zapytał beznamiętnie Żelazna Pięść.

– To, jak pokierujemy zasobami Zakonu, zależy od twojej odpowiedzi na jedno pytanie, moja prawa ręko: po tym wszystkim, co widziałeś, powiedz, kim jest Kip Guile?

Żelazna Pięść spojrzał na wuja, niewolnika, ukrytego Starca z Pustyni, głowę Zakonu Złamanego Oka, i prawie widział, jak ważą się losy, kiedy on dobiera słowa.

– To Kip Delauria, bękart. Nie jest też Kipem Guile. Jest Łamaczem, jest Powiernikiem Światła, jest naszym Diakoptesem, który przyszedł znowu.

– Zatem idź. Wypełniłeś swoją Ulta, zatem wypełnienie następnego zadania musi płynąć nie z przysiąg, lecz z serca. Idź i skieruj wolę Łamacza tak, żeby nie chciał nas zniszczyć jak ostatni Diakoptes. Idź i służ mu, idź i ocal go, albo idź i zabij go, a wraz z nim cały świat.

EPILOG 1

Ryk odległego wybuchu pędził przez szerokie aleje i studnie świetlne Wielkiego Jaspisu, przez łuki Tysiąca Gwiazd, obok pobielonych domów i jaśniejących kopuł. Wiwatujące tłumy zamilkły i wszyscy spojrzeli ku horyzontowi, a Żelazna Pięść jako pierwszy.

Jego gorzkie żale i introspekcje odleciały wraz z ostatnimi echem potężnego wybuchu. Marszcząca się chmura podniosła się gdzieś w pobliżu portu, tak potwornie rozgrzana i ogromna, że wywinęła się jak kapelusz grzyba. Było tylko jedno miejsce po tej stronie wyspy, gdzie trzymano dość dużo prochu, by doprowadzić do tak ogromnej eksplozji. Żelazna Pięść ruszył biegiem.

Przy jego wzroście, nieustannym treningu i znajomości każdej uliczki na tej wyspie półtorej mili przebył w okamgnieniu. Tłumy zmierzające w różnych kierunkach spowolniły go, kiedy dotarł na wąski półwysep. Świetlana Gwardia promachosa Androssa Guile próbowała obstawić okolicę i zgodnie z przewidywaniami, radziła sobie fatalnie.

Kiedy Żelazna Pięść zbliżył się do linii – czy ci idioci uniemożliwiali dostęp konsyliarzom? – nie mógł nie spojrzeć na rozwiewającą się czarną chmurę i gruzowisko pod nią. Wybuch nastąpił w wieży artyleryjskiej, która strzegła portu. Magazyny z prochem znajdowały się głęboko w skale, więc nawet ogień wrogiej floty nie mógł ich osiągnąć. Carter Czarny, zawiadujący obroną wyspy, skrupulatnie sprawdzał, czy wszyscy przestrzegają stosownej dyscypliny przy magazynowaniu i pracy w pobliżu takiej ilości prochu.

Oczywiście, odkąd władzę przejęła Świetlana Gwardia, ci niezgrabni idioci pewnie zaczęli magazynować proch powyżej powierzchni ziemi. Upuszczona lampa, podkuty but – jeśli odpuścisz dyscyplinę choćby na chwilę, dochodzi właśnie do takich wypadków.

W głębi duszy Żelazna Pięść wiedział, że to nie był wypadek.

Świetlani Gwardziści próbowali go zatrzymać, ale on powiedział:

– Dowódca Żelazna Pięść, przepuście mnie.

Naprawdę zapomniał, że to już nie jest prawda, dopóki słowa nie padły z jego ust. Był dowódcą od tak dawna, że nie potrafił inaczej o sobie myśleć.

Rozstąpili się natychmiast. Czyli jeszcze nie usłyszeli.

Sama wieża nadal stała. Wzmocnione żelazem i Orholam wie jakiego rodzaju luksynem zewnętrzne ściany popękały w paru miejscach, ale poza tym stały nietknięte. Podmuchał

więc, zatrzymany we wnętrzu, wystrzelił z piwnicy przez pięć kondygnacji, wyrzucając wszystko górą, przekształcając wieżę artyleryjską w działo wymierzone w niebo. To, co znajdowało się w środku, zostało wystrzelone w niebo – szerokie kamienie chodnikowe, którymi wyłożono piętra, spękane drewno, szmaty, a bliżej samej wieży leżały nawet masywne działa.

Wejściowe drzwi zostały wystrzelone do portu, ciężki dym nadal buchał kłębami ze środka. Cywile i Świetlana Gwardia otoczyli wieżę, szukając ocalałych, sprawdzając straty, licząc martwych. Żelazna Pięść zobaczył trupa bez nóg i zwęglonego, z którego całe ubranie zdmuchnął wybuch. Inne kołysały się na wodzie. Jednakże z większości zmarłych prawie nic nie zostało. But tu, kawałek nierozpoznawalnego mięsa tam. Krwawe rozbryzgi.

Żelazna Pięść znalazł trupa, ale ten człowiek nie zginął od wybuchu. Miał poderżnięte gardło. Możliwe, że dostał szrapnelem, ale nie miał też żadnych poparzeń ani śladów obrażeń od fali uderzeniowej. Kiedy doszło do eksplozji, leżał tu już martwy.

To oznaczało sabotaż. Żelazna Pięść spojrzał na horyzont. Była tam flota? Nie. I musieliby otrzymać jakieś ostrzeżenie, gdyby przypląnęła.

W takim razie, dlaczego taki cel? Z pewnością Książę Barw nie marnowałby ludzi i bogactw, żeby wysadzić wieżę bez powodu.

Krzyk rozległ się wśród grupy Świetlanych Gwardzistów nad wodą. Żelazna Pięść podszedł tam, kiedy wyciągnęli z wody człowieka. To był Paryjczyk, wysoki, potężnie umięśniony i miał na sobie tylko czarne spodnie. Stracił tunikę i chustę z głowy. To był jego brat.

Wibrująca Pięść. Dobry Orholamie, nie. Serce Żelaznej Pięści zamarło. To nie mogło... nie mogło... A jednak ta imponująca postać, mniejsze bliźniacze odbicie ciała Żelaznej Pięści, nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

– On żyje! – krzyknął ktoś.

Żelazna Pięść przebił się przez szeregi gapiących się Świetlanych Gwardzistów.

– Odsunąć się! – ryknął. – To mój brat! Z drogi!

Po sekundzie trzymał brata w ramionach. Musiał wypaść przekonująco, bo wszyscy odsunęli się o dobre dziesięć kroków.

Natychmiast stało się oczywiste, że coś jest nie tak. Na ciele brata Żelazna Pięść nie widział żadnych ran, ale mężczyzna miał otwarte oczy i białka tak przekrwione, że niemal całkiem czerwone. Jeśli miał tego rodzaju obrażenie głowy...

Nie. Żelazna Pięść nie chciał uwierzyć w to, co mówiło mu doświadczenie.

– Harrdunie – odezwał się jego brat, patrząc na niego.

– Hanishu.

Prawie nie używali swoich prawdziwych imion odkąd przyjęli czarnogwardyjskie imiona, bo było w nich tyle dumy, podczas gdy w prawdziwych tyle bólu.

– Żałuj, że nie widziałeś, jak walczyłem – powiedział Hanishu. – Dwudziestu siedmiu ludzi. W niecałą minutę. I ani jednego zadrapania. Posłużyli się nawet... hmm... Muszkietami. Orholam mi przebaczył, Harrdunie. Za Aghbalu. Jego święty oddech był na mnie w czasie tej walki. Przeszedłem całą wieżę.

Żelazna Pięść nadal dochodził do siebie, słowa uderzały o siebie jak kakofonia dzwoniących garnków i patelni.

– Ty to zrobiłeś? – szepnął z napięciem. – Myślałem, że może to atak Księcia...

– Uratowałem Powiernika Światła. Chcieli zatopić jego statek. – Złapał dłoń Żelaznej Pięści i uściskał. – Dotarłem do piwnic. Podpaliłem lont, uciekłem. Ale zamknęli drzwi na klucz. Przeszedłem więc całą wieżę, walczyłem i zeskoczyłem z góry, kiedy wybuchła. Wylądowałem w wodzie. Idealnie. Wynurzyłem się, płynąłem do brzegu, kiedy ten przeklęty kamień spadł z nieba. Nie miałem pojęcia, że będą w powietrzu tak długo. Mam całkiem rozwalony środek.

Sądząc po oczach, skok nie udał się tak dobrze, jak sobie wyobrażał. A uderzenie w głowę może wszystko zmienić. To i tak nie miało znaczenia, prawda?

– Już niedługo – powiedział Hanishu. – Mam jednak pytanie, starszy bracie.

– Odpowiem na każde – zapewnił go Żelazna Pięść.

– Nie chodzi o mnie. To pytanie dla ciebie. Będziesz potrzebował czasu na odpowiedź.

– O co chodzi?

– Zanim opuściłeś dom, żeby tu przybyć, spotkałeś pewnych ludzi. Złożyłeś im przysięgę.

– Jakich ludzi? – Ale Żelazna Pięść wiedział i serce mu się zacisnęło, bo Wibrująca Pięść też wiedział.

– Nie chciałem pokazywać się w Chromerii, sam wiesz, po tym co zrobiłem w Aghbalu. Przyjechałem jednak dla ciebie. Fakt, że złożyłeś przysięgę Zakonowi... To... To nie dawało mi spokoju. Z radością zabiłbym się, ale nie mogłem odejść, kiedy tobie groziło niebezpieczeństwo. Zabawne. Przyjazd tutaj, żeby ocalić ciebie, ocalił mnie. Zjawiłem się, żeby pewnego dnia, kiedy w grę będzie wchodziła twoja dusza i będziesz musiał zdecydować, której przysięgi dotrzymać, być przy tobie. Nie dam rady, bracie. Tak wiele wysiłku, tak wiele czasu... – Zaczął płakać. – Zawiodłem cię.

Jakby to on zawiódł.

Nie zostało już nic do powiedzenia, nic, co pokonałoby łzy płynące po policzkach Żelaznej Pięści.

– Po upadku Ru inni opowiedzieli mi, jak się modliłeś – powiedział Wibrująca Pięść. – To musiał być pierwszy raz, kiedy modliłeś się od śmierci naszej matki, hę?

Żelazna Pięść skinął głową.

-i on odpowiedział.

-Tak.

Cudowny strzał z działa na odległość pięciu tysięcy kroków, żeby uratować przyjaciół, których równie dobrze mógł tym strzałem zabić.

– Zatem złożyłeś przysięgę, której nie można złamać nieprzejednanemu wrogowi. Jedną Dzierżycielowi Światła, a drugą Stworzycielowi Światła. Musisz więc zdecydować beze mnie, bracie. Którym człowiekiem jesteś?

Żelazna Pięść nie znał odpowiedzi. Szukał pocieszenia w bracie, którego powinien pocieszać. Tak jak życie, tak i śmierć Wibrującej Pięści nie były lekkie.

EPILOG 2

Gavin obudził się zmarznięty i nagi. Leżał na brzuchu na twardej podłodze. Pusty oczodół fachowo opatrzone, ale on sam był cały posiniaczony.

Nie pamiętał, jak się tu dostał. Gdziekolwiek się znajdował. Przeturlał się na bok z grymasem, kiedy liczne głosy bólu zaśpiewały jak chór w Dzień Słońca. Otworzył oczy.

To było małe pomieszczenie, zakrzywiające się wokół niego w krąg, o kształcie spłaszczonej kuli. W górze znajdowała się dziura do wrzucania chleba, a na dole dziura na nieczystości. Nie widział koloru, ale migoczące krystaliczne fasety mówiły mu, że to ta sama niebieska cela, którą stworzył dla brata.

Naprawiono ją.

W spokojnej perfekcji beznamiętnego więzienia Gavin poczuł grozę i odrazę, jakich nigdy nie zaznał. Ból przeszył mu pierś. Zacisnęła się. Z trudem walczył o oddech.

Jego sekrety wydały się, wszystkie naraz przed ostatnią osobą, jaką kochał, i jedyną, o której wiedział, że nie zrozumie.

Naprawa znaczyła, że to ojciec go tu zamknął. Znalazł celę, znalazł je wszystkie. To znaczyło, że wiedział o wszystkim – o fałszywym zwycięstwie pod Strzaskaną Skałą, o tym, że Dazen podszył się pod Gavina, że ostatecznie zamordował najstarszego i ulubionego syna Androssa Guile w żółtej celi.

To znaczyło, że Andross zamierzał dopilnować, aby Dazen za wszystko zapłacił.

Odarty z ubrań, tytułów, przywilejów, mocy, wizji i wolności, odarty teraz nawet z fałszywego imienia, Dazen spojrział w ponure odbicie w lśniącej ścianie. Wyglądało jak martwy człowiek.

SPIS POSTACI

Adrasteia (Teia): uczennica w Chromerii. Jest niewolnicą lady Lucretii Verangheti z Veranghetich ze Smussato. Stara się o przyjęcie do Czarnej Gwardii i jest paryłową krzesicielką.

Aheyad: pomarańczowy krzesiciel, wnuk Tali. Obrońca Garristonu, projektant tamtejszego Muru ze Słonecznej Wody; nazwany przez Pryzmata Gavina Guile Aheyadem Słoneczną Wodą.

Ahhanen: Czarnogwardzista.

Aklos: niewolnik lady Aglaih Crassos.

Amestan: Czarnogwardzista walczący w bitwie o Garriston.

Aram: szczeniak w Czarnej Gwardii. Jego rodzice byli Czarnogwardzistami i szkolono go w sztukach walki, odkąd nauczył się chodzić.

Arana: uczennica krzesania, córka kupca.

Aras: uczeń Chromerii, szczeniak w Czarnej Gwardii.

Arash, Javid: jeden z krzesicieli, który bronił Garristonu.

Aravind, lord: satrapa Atashu. Ojciec Katy Hamhaldity, corregidora Idoss.

Arias, lord: jeden z doradców Księcia Barw. Jest Atashaninem. Jego zadaniem jest rozprzestrzenianie wieści na temat Księcia Barw.

Arien: preceptor w Chromerii. Krzesze pomarańczowy i poddaje Kipa próbie na rozkaz Światłowładcy Czerni.

Ariss Nawigator: legendarny badacz i odkrywca.

Artylerzysta: ilytański pirat. Jego pierwszym poważnym stanowiskiem w załodze była pozycja kanoniera na statku Aved Barnyah. Później został kapitanem.

Asif: młody Czarnogwardzista.

Asmun: szczeniak w Czarnej Gwardii.

Atagamo: preceptor, który naucza właściwości luksynu w Chromerii. Jest Ilytaninem.

Atiriell, Karris: księżniczka z pustyni. Została Karris Wrogiem Cieni, zanim poślubiła Lucidoniusa.

Ayrad: złoty krzesiciel. Był szczeniakiem w Czarnej Gwardii wiele lat przed tym, jak Kip zaczął szkolenie. Zaczął jako ostatni w klasie (czterdziesty dziewiąty) i doszedł aż na szczyt, walcząc ze wszystkimi po kolei. Okazało się, że złożył śluby. Został dowódcą

Czarnej Gwardii i przynajmniej raz ocalał czterech różnych Pryzmatów, zanim został otruty.

Azmith, Caul: paryjski generał, młodszy brat paryjskiej satrapki.

Balder: szczeniak w Czarnej Gwardii, który wziął się na Kipa.

Bas Prostaczek: tyrejski polichromata (niebiesko-zielono-nadfioletowy), przystojny, ale niezbyt bystry, który poprzysiągł zabić zabójcę rodziny Białodębów.

Benhadad: ruthgarski uczeń w Chromerii. Nieco wcześniej niż Kip został przyjęty do Czarnej Gwardii. Niebiesko-żółty dichromata, który stworzył własne okulary z mechanizmem pozwalającym używać niebieskich lub żółtych soczewek; niezwykle inteligentny.

Białodąb, Karris: Czarnogwardzistka; czerwono-zielona dichromatka; pierwotny powód Wojny Fałszywego Pryzmata.

Białodąb, Koios: jeden z siedmiu braci Białodębów; brat Karris Białodąb.

Białodąb, Kolos: jeden z siedmiu braci Białodębów; brat Karris Białodąb.

Białodąb, Rissum: Światłowładca, ojciec Karris i jej siedmiu braci; słynął z wybuchowego charakteru, ale uważano go za tchórza.

Białodąb, Rodin: jeden z siedmiu braci Białodębów; brat Karris Białodąb.

Białodąb, Tavos: jeden z siedmiu braci Białodębów; brat Karris Białodąb.

Biegnący Wilk: generał Gavina z okresu Wojny Fałszywego Pryzmata. Trzy razy pokonały go mniejsze siły dowodzone przez Corvana Danavisa.

Biel: głowa Spektrum. Jest niebiesko-zieloną dichromatką, ale obecnie powstrzymuje się od krzesania, żeby przedłużyć życie. Nazywa się Orea Pullawr, ale rzadko kiedy używa się jej imienia. Poślubiła Ulbeara Rathcore'a.

Borig, Janus: staruszka. Jest łysa, pali długą fajkę i najwyraźniej jest Zwierciadłem.

Burshward, Gillan: brat kapitana Burshwarda.

Burshward, kapitan: angarski kapitan (spoza Wrót Mroku).

Caelia: służąca-karlica Trzeciego Oka.

Carver Czarny: niekrzesiciel, jak zgodnie z tradycją przystało na Czerń. Jest głównym administratorem Siedmiu Satrapii. Chociaż ma głos w Spektrum, nie może brać udziału w głosowaniach.

Carvingen, Odess: bierze udział w obronie Garristonu w szeregach krzesicieli.

Cavair, Paz: dowódca Niebieskich Łajdaków pod Wielką Piramidą w Ru.

Cezilia: służąca/strażniczka Trzeciego Oka.

Clara: służąca/strażniczka Trzeciego Oka.

Coran, Adraea: błogosławiona. Powiedziała „Wojna to horror”.

Cordelia: smukła Czarnogwardzistka.

Corfu, Ramia: niebieski krzesiciel. Jeden z ulubieńców Księcia Barw.

Corzin, Eleleph: abornejska niebieska krzesicielka, bierze udział w obronie Garristonu.

Crassos, Aglaia: młoda arystokratka i krzesicielka w Chromerii. Jest najmłodszą córką w ważnym ruthgarskim rodzie i sadystką, która uwielbia zadawać ból swoim niewolnikom.

Crassos, gubernator: starszy brat Aglaii Crassos; ostatni gubernator Garristonu.

Cruixer: szczeniak w Czarnej Gwardii. Przedstawiciel trzeciego pokolenia z jego rodziny, które wstępuje do Czarnej Gwardii. Jego rodzice to Inana i Stalowy Chwył.

Daelos: szczeniak w Czarnej Gwardii.

Dagnar Zelan: jeden z pierwszych Czarnogwardzistów. Służył Lucidoniowskiemu po nawróceniu się na jego sprawę.

Dalekowzroczny, Horas: kolejny ze sprzymierzeńców Dazena, król bandytów – Niebieskookich Demonów. Gavin Guile zabił go po Wojnie Fałszywego Pryzmata.

Danavis, Aliviana (Liv): córka Corvana Danavisa. Jest żółtą i nadfioletową dichromatką z Tyrei. Jej kontrakt należy do Ruthgarczyka i czuwa nad nim Aglaia Crassos.

Danavis, Corvan: czerwony krzesiciel. Potomek wielkiego ruthgarskiego rodu, także jeden z najznakomitszych generałów swoich czasów i główny autor sukcesów wojennych Dazena.

Danavis, Ell: druga żona Corvana Danavisa. Została zamordowana przez zabójcę trzy lata po ich ślubie.

Danavis, Erethanna: zielona krzesicielka, służy hrabiemu Nassosowi w zachodnim Ruthgarze; kuzynka Liv Danavis.

Danavis, Qora: tyrejska arystokratka; pierwsza żona Corvana Danavisa, matka Aliviany Danavis.

Delara Pomarańczowa: ataska członkini Spektrum. Reprezentuje Oranż i jest czterdziestoletnią pomarańczowo-czerwoną dichromatką, która zbliża się do końca życia. Poprzedniczką na tym urzędzie była jej matka, która obmyśliła rotacyjny system zarządzania Garristonem.

Delara, Naftalie: kobieta, którą Andross zamierzał „pozwolić” Gavinowi poślubić.

Delariowie: rodzina w Rektonie.

Delauria, Katalina: matka Kipa. Z pochodzenia Paryjka lub Ilytanka, uzależniona od mgiełki.

Delclara, Micael: pracownik kamieniołomu i mieszkaniec Rektonu.

Delclara, panna: głowa rodziny Delclarów w Rektonie. Miała sześciu synów, którzy pracowali w kamieniołomie.

Delclara, Zalo: pracownik kamieniołomu i jeden z synów panny Delclary.

Delelo, Galan: starszy sierżant w armii Omnichroma. Odprowadza Liv do bram Garristonu.

Delmarta, Gad: młody generał w armii Dazena, który zajął miasto Ru i publicznie dokonał masakr)' na królewskiej rodzinie i dworzanach.

Delucia, Neta: członkini rady rządzącej Idoss (tj. matka miasta).

Dębowa Tarcza, Zee: praprababka Androssa Guile, zielona krzesicielka. Była założycielką rodu Guile ów, chociaż nazwisko wywodzi się z innej gałęzi rodu.

Djur: Czarnogwardzista; razem z Ahhanenem pełni służbę, kiedy Karris i Gavin opuszczają statek uchodźców.

Doradca: Postać legendarna. Autor „Królewskiego doradcy”, książki, która zaleca tak okrutne metody sprawowania władzy, że nawet on ich nie stosował w czasie własnych rządów.

Droose: jeden z towarzyszy z załogi Artylerzysty.

Drżąca Pięść: Czarnogwardzista. Młodszy brat Żelaznej Pięści, niegdyś dej Aghbalu.

Duży Ros: niewolnik Aglaii.

Elessia: Czarnogwardzistka.

Elio: szkolny tyran z koszarów Kipa. Kip łamie mu rękę.

Erato: szczeniak w Czarnej Gwardii. Ona także ma na pieńku z Kipem.

Essel: Czarnogwardzistka, która połamała palce ataskiemu arystokracie, kiedy potraktował ją bez należytego jej szacunku.

Euterpe: przyjaciółka Teii, która była niewolnicą. Jej właściciele stracili wszystko w czasie suszy i wynajęli ją do burdelu przy kopalniach srebra w Laurionie. Nigdy nie doszła po tym do siebie.

Farjad, Farid: arystokrata i sprzymierzeniec Dazena, odkąd Dazen obiecał mu ataski tron w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata.

Feli: Czarnogwardzistka, najdrobniejsza osoba w oddziale, doskonała akrobatka.

Ferkudi: szczeniak w Czarnej Gwardii, niebiesko-zielony dichromata, doskonały w mocowaniu się.

Filozof: twórca zasad filozofii naturalnej i etyki.

Finer: Czarnogwardzista widziany na jednej z kart.

Fisk, trener: szkoli szczeniaki, ćwiczy musztry i dba o ich kondycję. Z trudem pokonał Karris w czasie ich własnych prób, gdy starali się o przyjęcie do Czarnej Gwardii.

Fujarka: pomarańczowo-żółty dichromata i Czarnogwardzista.

Gaeros: jeden z niewolników lady Aglaii.

Galaea: pokojówka Karris Białodąb i zdrajczyni.

Galden, Jens: preceptor w Chromerii; czerwony krzesiciel.

Galib: polichromata z Chromerii.

Gallos: stajenny w Garristonie.

Garadul, Perses: wyznaczony satrapa Tyrei po tym, jak Ruy Gonzalo został pokonany przez siły Pryzmata w Wojnie Fałszywego Pryzmata. Perses był ojcem Raska Garadula. Starał się wyplenić bandytów, którzy dręczyli po wojnie Tyreę.

Garadul, Rask: satrapa, który ogłosił się królem Tyrei; jego ojcem był Perses Garadul.

Gazzin, Griv: zielony krzesiciel, który walczył razem z Zee Dębową Tarczą.

Gerain: starzec z Garristonu, który nawoływał ludzi, by dołączyli do króla Garadula.

Gerrad: uczeń z Chromerii.

Gevison: poeta (od dawna nieżyjący).

Gonzalo, Ruy: tyrejski satrapa, który stanął po stronie Dazena w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata.

Goss: paryjski szczeniak w Czarnej Gwardii. Jeden z najlepszych wojowników.

Gracia: Paryjka z gór, szczeniak w Czarnej Gwardii. Jest wyższa od większości chłopców.

Grazner: szczeniak w Czarnej Gwardii. Kip przełamuje jego wolę w czasie walki.

Greenveil, Arys: Poczerwień w Spektrum. Pochodzi z Krwawej Puszczy i jest kuzynką Jii Tolver, a jej siostrą jest Ela, matka Any Jorvis. Jej rodzice zginęli w czasie wojny z rąk braci Lunny Zielonej. Ma dwanaścioro dzieci z dwunastoma różnymi mężczyznami.

Greyling, Gavin: nowy Czarnogwardzista. Brat Gilla Greylinga, nazwany na cześć Gavina Guile. Przystojniejszy z braci.

Greyling, Gill: nowy Czarnogwardzista. Starszy brat Gavina Greylinga, inteligentniejszy z nich dwóch.

Grinwoody: główny niewolnik Androssa Guile i jego prawa ręka. Ledwie potrafi krzesać, ale Andross pociągnął za odpowiednie sznurki, żeby dostał się na szkolenie do Czarnej Gwardii, gdzie zdobył przyjaciół i poznał różne sekrety. Przeszedł całe szkolenie i w dniu złożenia przysięgi zdecydował się służyć lordowi Guile; Czarna Gwardia nie zapomniała mu tej zdrady.

Guile, Andross: ojciec Gavina, Dazena i Sevastiana Guile. Krzesze od żółtego po podczerwony, chociaż głównie znany jest z krzesania czerwieni, ponieważ zajmuje urząd Czerwieni w Spektrum. Zajął go, chociaż pochodzi z Krwawej Puszczy, która już miała swojego przedstawiciela, twierdząc, że kwalifikują go do tego jego nowe ziemie w Ruthgarze.

Guile, Darien: pradziadek Androssa Guile. Poślubił córkę Zee Dębowej Tarczy w ramach postanowień pokojowych kończących ich wojnę.

Guile, Dazen: młodszy brat Gavina. Zakochał się w Karris Białodąb i zapoczątkował

Wojnę Fałszywego Pryzmata, kiedy rzekomo spalił jej rodzinną posiadłość, zabijając wszystkich tam obecnych.

Guile, Draccos: ojciec Androssa Guile.

Guile, Felia: żona Androssa Guile. Matka Gavina i Dazena, kuzynka ataskiej rodziny królewskiej, pomarańczowa krzesicielka. O jej matkę zabiegał Ulbear Rathcore, dopóki nie spotkał Orei Pullawr.

Guile, Gavin: Pryzmat. Dwa lata starszy od Dazena, został wyznaczony w wieku lat trzynastu.

Guile, Kip: syn z nieprawego łoża Gavina Guile i Kataliny Delaurii. Jest superchromatą i polichromatą z pełnym spektrum.

Guile, Sevastian: najmłodszy z braci Guile. Został zamordowany przez niebieskiego koloraka, kiedy Gavin miał trzynaście lat, a Dazen jedenaście.

Ham-haldita, Kata: corregidor Idoss. Syn ataskiego satrapy.

Harl, Pan: szczeniak w Czarnej Gwardii. Jego przodkowie byli niewolnikami przez ostatnie osiem z dziesięciu pokoleń.

Helel, mistrzyni: udawała nauczycielkę z Chromerii i próbowała zamordować Kipa.

Hena: preceptorka z Chromerii, która prowadzi zajęcia z luksusowych konstrukcji.

Hezik: Czarnogwardzista, którego matka dowodziła pirackim statkiem w Cieśninie. Potrafi całkiem celnie strzelać z działa.

Holvar, Jin: kobieta, która wstąpiła do Czarnej Gwardii w tym samym roku co Karris, ale jest o kilka lat od niej młodsza.

Idus: szczeniak w Czarnej Gwardii.

Inana: matka Cruxera i Czarnogwardzistka. Wdowa po Stalowym Chwycie, Czarnogwardziście.

Incaros: jeden z osobistych niewolników lady Aglaidy Crassos.

Isabel (Isa): ładna młoda dziewczyna z Rektonu.

Izem Czerwony: obrońca Garristonu pod komendą Gavina Guile. Walczył po stronie Gavina w Wojnie Fałszywego Pryzmata. Paryjski czerwony krzesiciel, niesamowicie szybki. Nosi ghotrę w kształcie kaptura kobry.

Izem Niebieski: legendarny krzesiciel i obrońca Garristonu pod komendą Gavina Guile.

Jalal: paryjski sprzedawca kofi.

Jednooki: najemnik z kompanii o nazwie Rozszczepiona Tarcza.

Jevaros, lord: młody idiota, który mógłby zostać nowym dowódcą Czarnej Gwardii i narzędziem w rękach Androssa Guile.

Jorvis, Ana: nadfioletowo-niebieska dichromatka, uczennica w Chromerii, jedna z kobiet, którą Andross Guile pozwoliłby Gavinowi poślubić.

Jorvis, Demnos: ojciec Any Jorvis, szwagier Arys Greenveil, mąż Eli Jorvis.

Jorvis, Ela: siostra Arys Greenveil, żona Demnosa Jorvisa z Krwawej Puszczy, matka Any Jorvis.

Jumber, Norl: Czarnogwardzista.

Jim: szczeniak w Czarnej Gwardii, partner Ulara w czasie próby, w ramach której szczeniaki mają przenieść przez miasto pieniądze.

Kadah: preceptorka w Chromerii, zielona krzesicielka, która uczy podstaw krzesania.

Kalif: Czarnogwardzista.

Kallikrates: ojciec Teii. Przemierzał jedwabny szlak jako kupiec, zanim stracił wszystko z powodu wystawnego życia swojej żony.

Kefitar, Graystone: zielony krzesiciel i szczeniak w Czarnej Gwardii. Jest wysportowanym, ciemnoskórym synem z bogatej rodziny, która opłacała mu trening przed przybyciem do Chromerii.

Klytos Niebieski: Błękit w Spektrum. Reprezentuje Ilytę, chociaż jest ze wszech miar Ruthgarczykiem. Tchórz i narzędzie w rękach Androssa.

Konus: paryjski Czarnogwardzista.

Koturn: razem z Tugertent i Tlatig najlepszy łucznik, jakim dysponuje dowódca Żelazna Pięść na Półwyspie Ruckim.

Kwestorka: najważniejsza doradczyni Omnichroma. Nieustannie coś liczy na swoim małym liczydło i zarządza jedną trzecią żołnierskich żetonów na usługi prostytutek.

Laya: Czarnogwardzistka, która krzesze czerwony, uczestniczka bitwy o Garriston.

Lem (Will): Czarnogwardzista, wariat albo bardzo prosty człowiek, niebieski krzesiciel o niewiarygodnie wielkiej sile woli.

Leo: potężnie umięśniony szczeniak w Czarnej Gwardii.

Lśniąca Włócznia: oryginalnie nazywał się El-Anat. Kiedy nawrócił się na Światło, został Forushalzarishem, a potem Lśniącą Włócznią, żeby miejscowi byli w stanie wymówić jego imię.

Lucia: szczeniak w Czarnej Gwardii. Najładniejsza dziewczyna w klasie i partnerka Cruxera. Łączy ich bardzo zażyła przyjaźń.

Lucidonius: legendarny założyciel Siedmiu Satrapii i Chromerii, pierwszy Pryzmat. Poślubił Karris Wroga Cieni i założył Czarną Gwardię.

Lunna Zielona: Zieleń w Spektrum. Ruthgarka, kuzynka Jii Tolver. Jej bracia zabili rodziców Arys Greenveil w czasie wojny.

Lytos: Czarnogwardzista, tykowaty ilytański eunuch.

Malargos, Aristocles: stryj Eirene i Tisis Malargos; niewróciłzwojny.

Malargos, Dervani: ruthgarski arystokrata, ojciec Tisis Malargos, przyjaciel i poplecznik

Dazena w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata. Jest zielonym krzesicielem, który zaginął na długie lata w ostępach Tyrei.

Kiedy próbował wrócić do domu, Felia Guile wynajęła piratów, żeby go zabili, by nie wyjawiał sekretów Gavina.

Malargos, Eirene (Młodsza): starsza siostra Tisis Malargos. Przejęła sprawy finansowe rodziny, kiedy jej ojciec i stryj nie wrócili z wojny.

Malargos, Eirene (Pryzmatka): Pryzmatka przed Alexandrem Rozłożystym Dębem (poprzedzającym Gavina Guile). Przetrwała czternaście lat, ale Gavin pamięta ją tylko jak przez mgłę z rytuałów w Dniu Słońca z czasów swojego dzieciństwa.

Malargos, Tisis: oszałamiająco piękna Ruthgarka, zielona krzesicielka. Jej ojciec i stryj walczyli po stronie Dazena. Jej starszą siostrą jest Eirene Malargos, po której najprawdopodobniej odziedziczy fortunę z wielkiego imperium handlowego.

Marissia: osobista pokojówka Gavina; rudowłosa, pochodzi z Krwawej Puszczy; została schwytana przez Ruthgarczyków w czasie wojny Dazena. Służyła Gavinowi przez dziesięć lat, odkąd ukończyła osiemnasty rok życia.

Marta, Adan: mieszkanka Rektonu.

Martaens, Marta: preceptorka w Chromerii. Jest jedną z zaledwie garstki żyjących paryłowych krzesicieli; uczy Teię.

Matka Towarzyszek: szefowa gildii prostytutek przy armii Omnichroma.

Mchobrody: conn nadmorskiej wioski w Krwawej Puszczy, w pobliżu Zatoki Ruckiej.

Miecznik: kapitan straży w Czarnej Gwardii. Prowadzi jeden ze ślizgaczy do bitwy przy Półwyspie Ruckim wraz z Gavinem i kapitanem straży Tempusem.

Migotliwy Płaszcz, Gebalyn: była partnerka Voxa Migotliwego Płaszcza. Wydaje się, że zginęła w pożarze w czasie wykonywania zadania.

Migotliwy Płaszcz, Niah: zabójczyni. Jest partnerką Voxa i potrafi rozszczepiać światło.

Migotliwy Płaszcz, Vox: zielony krzesiciel i zabójca. Został wyrzucony z Chromerii; czci Atirat.

Młody Byk: niebieski krzesiciel, który walczy razem z Zee Dębową Tarczą.

Mori: żołnierz w armii Omnichroma.

Naheed: satrapka Atashu. Została zamordowana przez generała Gada Delmartę w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata.

Nassos: ruthgarski hrabia z zachodniego Ruthgaru. Służy mu kuzynka Liv Danavis.

Navid, Phips: kuzyn Payama Navida. Dorastał w Ru, a później dołączył do armii Omnichroma. Jego ojciec i starsi bracia zostali powieszoni po Wojnie Fałszywego Pryzmata, kiedy on miał raptem dwanaście lat. Chce się zemścić na lordzie Aravindzie.

Nerra: Czarnogwardzistka, która obmyśla wybuchowe dyski do zatapiania statków.

Niebieskookie Demony: najemnicy, którzy walczyli w armii Dazena.

Niedźwiadek: olbrzymi jednooki łucznik. Służył Zee Dębowej Tarczy.

Niel, Baya: zielony krzesiciel i Czarnogwardzista.

Nuqaba: strażniczka ustnej tradycji Paryjczyków, niesłuchanie potężna osobistość.

Rezyduje w Azūlay.

Omnichrom, lord (Księżę Barw): przywódca rebelii przeciwko rządowi Chromerii.

Niewielu zna jego prawdziwą tożsamość, ponieważ na nowo uformował niemal całe swoje ciało za pomocą luksynu. Jest polichromatą z pełnym spektrum, wierzy raczej w wolność i władzę niż w Lucidoniusa i Orholama. Znany jest także jako Księżę Barw, Kryształowy Prorok, Mistrz Polichromata, Upiorny Oświecony i lord Tęcza. Wcześniej był Koiosem Białodębem, jednym z braci Karris Białodęb. Doznał potwornych poparzeń w pożarze, który zapoczątkował Wojnę Fałszywego Pryzmata.

Orholam: bóstwo monoteistycznych Siedmiu Satrapii, znane także jak Ojciec Wszystkich i Pan Światła. Jego kult rozprzestrzenił w Siedmiu Satrapiach Lucidonius czterysta lat przed rządami Gavina Guile.

Orlos, Maros: bardzo religijny ruthgarski krzesiciel. Brał udział zarówno w Wojnie Fałszywego Pryzmata, jak i w obronie Garristonu.

Or-mar-zelatir: jeden z pierwszych Czarnogwardzistów, który służył Lucidoniusowi.

Oro, bracia: dwóch szczeniaków w Czarnej Gwardii.

Oszczep: dowódca Czarnej Gwardii, w czasie, kiedy Gavin dopiero co został Pryzmatem.

Pay am, Parshan: młody krzesiciel w Chromerii, który próbuje uwieść Liv Danavis w ramach zakładu. Jego porażka jest dość spektakularna.

Pevarc: udowodnił, że świat jest okrągły, dwieście lat przed rządami Gavina Guile, a potem został zlinczowany za stwierdzenie, że światło to brak ciemności.

Phyros: członek armii Omnichroma. Ma siedem stóp wzrostu i walczy dwoma toporami.

Pip: szczeniak w Czarnej Gwardii.

Płomiennoręki: ilytański krzesiciel, obrońca Garristonu.

Pots: Czarnogwardzista.

Powiernik Światła: kontrowersyjna postać z prorocstw i mitów. Fakty, co do których większość jest zgodna, mówią, że będzie (lub był) mężczyzną, bogo – i królobójcą, tajemniczego urodzenia, geniuszem magii, wojownikiem, który zmiecie (lub zmiotł) wszystkich przed sobą, obrońcą biednych i uciskanych, wielkim od młodości, Tym, Który Niszczy. To, że większość prorocstw zapisano w języku staroparyjskim, a znaczenie słów zmieniło się w sposób, który trudno wysledzić, nie pomaga. Istnieją trzy zasadnicze obozy, głoszące, że: Powiernik Światła ma dopiero nadejść; Powiernik Światła już nadszedł i był nim Lucidonius (pogląd, który teraz podtrzymuje Chromeria, chociaż nie zawsze tak było);

oraz – wśród niektórych uczonych – że Powiernik Światła to metafora tego, co w nas wszystkich najlepsze.

Presser: Czarnogwardzista.

Ptolos: satrapka Ruthgaru.

Pullawr, Orea: patrz: Biel.

Rados, Błogosławiony Satrapa: ruthgarski satrapa, który walczył z Krwawą Puszczą, chociaż wróg miał przewagę liczebną dwa do jednego. Zasłynął spaleniem mostu Rozanos za swoją armią, żeby uniemożliwić jej odwrót.

Rajgras, Evi: krzesicielka, biorąca udział w obronie Garristonu. Zielono-żółta dichromatka z Krwawej Puszczy, także superchromatka.

Ramir (Ram): mieszkaniec Rehtonu.

Rassad, mistrz Shayam: niewidomy, jeśli chodzi o widzialne światło; podobno poruszał się dzięki widzeniu w podczerwieni i parylu. Szkolił w krzesaniu parylu nauczycielkę Marty Martaens.

Rathcore, Ulbear: zmarły mąż Bieli, nie żyje od dwudziestu lat. Zręczny gracz w Dziewięć Króli.

Rig: czarnogwardyjski potomek. Jest czerwono-pomarańczowym dichromatą.

Rozłożysty Dąb, Alexander: Pryzmat poprzedzający Gavina. Prawdopodobnie uzależniony od maku, większość czasu spędzał w swoich apartamentach.

Rud: szczeniak w Czarnej Gwardii. Przysadzisty Paryjczyk z wybrzeża, który nosi ghotrę.

Sadah Nadfioletowa: reprezentantka Parii, nadfioletowa krzesicielka, często mająca rozstrzygający głos w Spektrum.

Samite: jedna z najlepszych przyjaciółek Karris. Czarnogwardzistka i strażniczka Kipa; jedna z najsilniejszych kobiet w Czarnej Gwardii.

Sanson: chłopak z Rehtonu.

Satrapa Atashu: patrz: Aravind, lord.

Sayeh, Meena: kuzynka Samili Sayeh. Miała raptem siedem lat, kiedy zginęła w masakrze królewskiej rodziny z Ru urządzonej przez Gada Delmartę.

Sayeh, Samila: niebieska krzesicielka z armii Gavina. Walczyła w obronie Garristonu pod komendą Gavina Guile.

Selene, lady: tyrejska niebiesko-zielona dichromatka. Zarządza w Garristonie zielonymi, którzy mają dragować kluczowe kanały nawadniające.

Sendinowie: rodzina z Rehtonu.

Sharp, pan: jeden z agentów Androssa Guile. Nosi naszyjnik z ludzkich zębów.

Shayam, lord: jeden z lordów powietrza, wyznaczony do nadzorowania redystrybucji

dóbr Garristonu pod rządami Księcia Barw.

Siluz, Rea: czwarty podsekretarz w chromeryjskiej bibliotece i słaba żółta krzesicielka. Zna Janus Borig i kieruje do niej Kipa.

Spadający Liść, Deedee: zielona krzesicielka. Jej słabnące zdrowie zainspirowało wielu krzesieli-weteranów, żeby wziąć udział w Uwolnieniu w Garristonie.

Stalowy Chwył: nieżyjący Czarnogwardzista. Jego synem jest Cruxer, a wdową po nim Inana, także Czarnogwardzistka.

Sworrinowie: rodzina z Rehtonu.

Tala (Młodsza): żółto-zielona dichromatka nazwana na cześć bohaterki Wojny Fałszywego Pryzmata. Jest doskonałą krzesicielką, chociaż jeszcze nie najlepiej walczy.

Tala: krzesicielka i wojowniczką biorąca udział w Wojnie Fałszywego Pryzmata. Broniła także Garristonu. Jej wnuk to Aheyad Słoneczna Woda, a jej siostra to Tayri.

Talim, Sayid: jeden z poprzednich Pryzmatów. Czterdzieści siedem lat temu niemal doprowadził do przyznania mu tytułu promachosa, gdy miał stawić czoło nieistniejącej armadzie, która – jak twierdził – czekała za bramami.

Tamerah: szczeniak w Czarnej Gwardii, niebieska monochromatka.

Tana: szczeniak w Czarnej Gwardii, potomek Czarnogwardzistów.

Tanner: szczeniak w Czarnej Gwardii.

Tarkian: krzesiciel polichromata.

Tayri: paryjska krzesicielka i obrończyni Garristonu. Jej siostrą jest Tala.

Tazerwalt: księżniczka paryjskiego plemienia Tlaglanu. Poślubiła Hanishu, de ja Aghbalu.

Temnos, Dalos Młodszy: krzesiciel, który walczył zarówno w Wojnie Fałszywego Pryzmata, jak i w obronie Garristonu pod komendą Gavina Guile.

Tempus: Czarnogwardzista, który dowodził zielonymi krzesicielami w czasie bitwy przy Półwyspie Ruckim.

Tep, Usef: krzesiciel, który walczył w Wojnie Fałszywego Pryzmata. Znany jest także jako Fioletowy Niedźwiedź, ponieważ jest nieciągłym dichromatą – krzesze czerwony i niebieski. Po wojnie on i Samila Sayeh zostali kochankami, chociaż walczyli po przeciwnych stronach.

Tiziri: uczennica w Chromerii. Ma zamię na lewej połowie twarzy.

Tizrik: syn de ja Aghbalu. Odpada w czasie prób do Czarnej Gwardii, zanim jednak odejdzie, Kip łamie mu nos w odpowiedzi na jego złośliwości i próby zastraszenia.

Tlatig: jedna z najlepszych łuczniczek w Czarnej Gwardii.

Tolver, Jia: Żółć w Spektrum. Abornejska krzesiciela, kuzynka Arys Greenveil (Podczerwieni).

Tristaem: autor „Na fundamencie rozumu”.

Trzecie Oko: Jasnowidz, przywódczyni mieszkańców Wyspy Jasnowidzów.

Tufayyu r: szczeniak w Czarnej Gwardii.

Tugertent: jedna z najlepszych łuczniczek w Czarnej Gwardii.

Ular: szczeniak w Czarnej Gwardii, partner Juna.

Usem Dziki: krzesiciel i obrońca Garristonu.

Valor: szczeniak w Czarnej Gwardii. Jest partnerem Pipa w czasie jednej z prób. Obaj

nie wykonują zadania, kiedy na ich drodze pojawiają się zbiry.

Vanzer: Czarnogwardzista i zielony krzesiciel.

Varidos, Kerawon: superchromatka, preceptorka i główna egzaminatorka w Chromerii.

Krzesze pomarańczowy i czerwony.

Varigari, lord: hazardzista z rodziny Varigari, wywodzącej się z rybaków, zanim awansowała społecznie po Krwawych Wojnach. Przez nałóg stracił całą rodzinną fortunę i ziemię.

Vecchio, Pash: najpotężniejszy z pirackich królów. Jego okręt flagowy to Gargantua.

Vena: przyjaciółka Liv i uczennica w Chromerii. Nadfioletowa krzesicielka.

Verangheti, Lucretia: sponsorka Adrasteii w Chromerii. Wywodzi się z ilytańskiej linii

Veranghetich ze Smussato.

Vin, Taya: najemniczka z kompanii Rozszczepiona Tarcza.

Wędrowca: legendarna postać, której Gevison poświęcił wiersz „Ostatnia podróż wędrowca”.

Wil: zielony krzesiciel i Czarnogwardzista.

Winsen: Paryjczyk z gór, szczeniak w Czarnej Gwardii.

Wit, Rondar: niebieski krzesiciel, który staje się kolorakiem.

Wróg Cieni, Karris: żona Lucidoniusa i później wdowa po nim. Była drugim Pryzmatem.

Patrz też: Atirieli, Karris.

Zid: kwatermistrz w armii Omnichroma.

Zielony, Jerrosh: wraz z Dervanim Malargosem jeden z najlepszych zielonych krzesicieli w armii Omnichroma i członek Krwawych Szat.

Ziri: szczeniak w Czarnej Gwardii.

Złota Róża, Eva: kobieta, którą Andross zamierzał pozwolić Gavinowi wybrać sobie na żonę.

Złotogłóg: preceptorka w Chromerii. Zaledwie trzy lata starsza od swoich uczniów, uczy w klasie nadfioletowych.

Złotooka, Tawenza: żółta krzesicielka. Co roku uczy tylko trójkę najbardziej utalentowanych żółtych w Chromerii.

Zymun: młody krzesiciel i członek armii Omnichroma.

Żelazna Pięść, Harrdun: dowódca Czarnej Gwardii, trzydziesto-ośmioletni niebieski krzesiciel.

SŁOWNICZEK

Aghbalu: paryjskie miasto. alkadesa: tyrejski termin odpowiadający burmistrzowi miasteczka lub wodzowi wioski.

Anat: bóstwo gniewu, łączone z podczerwienią; patrz: Dodatek „O starych bogach”.

Angar: kraj poza Siedmioma Satrapiami i Wrotami Mroku. Tamtejsi wprawni żeglarze niekiedy przemykają się przez Wrota Mroku i wpływają na wody Morza Lazurowego.

aristeia: pojęcie obejmujące geniusz, cel, doskonałość.

Armatnia Wyspa: mała wyspa z minimalnym garnizonem, znajdująca się między Wielkim Jaspisem i Małym Jaspisem.

Aslal: stolica Parii. atasifiista: najpotężniejsze pod względem grubości pnia drzewo na świecie, uważane za wymarłe po Wojnie Fałszywego Pryzmata. Jego soki mają takie same właściwości jak skoncentrowany czerwony luksyn; jeśli spuszczać je powoli, mogą podtrzymywać płomień przez setki lat, o ile drzewo jest dostatecznie duże. Samo drewno jest białe jak kość słoniowa. Niewielka ilość drewna z niedojrzałego drzewa może ogrzewać dom przez długie miesiące.

Atirat: bóstwo żądzy, łączone z zielenią; patrz: Dodatek „O starych bogach”.

Aved Barayabi legendarny statek. Jego imię oznacza Ognisty Oddech.

Azülay: nadmorskie miasto w Parii; siedziba Nuqaby.

Bal Światłowładców: doroczny bal odbywający się na dachu Wieży Pryzmata.

Belphegor: bóstwo lenistwa, łączone z żółcią; patrz: Dodatek „O starych bogach”.

Biała Gwardia: pierwotna nazwa osobistej straży Omnichroma. bich'hwa: „skorpion”, sztylet o rękojeści w kształcie pętli lub pierścieni na palce i wąskim, podwójnie zakrzywionym ostrzu. Niekiedy dokłada się do niego pazury. binokular: dwie lunety połączone tak, by móc patrzeć na oddalone przedmioty obydwójmiem oczu.

Bitwa pod Grzbietem Iwora: bitwa w czasie Wojny Fałszywego Pryzmata, którą Dazen wygrał głównie dzięki talentom Corvana Danavisa.

Bitwa pod Strzaskaną Skałą: ostateczna walka Gavina i Dazena w pobliżu małego tyrejskiego miasteczka nad Umbrą. blindaż: osłona na otwartym pokładzie okrętu, używana podczas walk. bomba rozblyskowa: broń stworzona przez żółtych krzesicieli. Nie tyle wyrządza krzywdę, ile oślepia i odwraca uwagę przeciwnika dzięki rażącemu światłu z parującego żółtego luksynu. caleen: zdrobnienie określające niewolnicę, odpowiednik

słowa „dziewczyzna”, tyle że odnosi się do niewolnicy w każdym wieku, cavendish: tytoń podobny do „owocowej skórki”, choroba świetlna: skutki zbyt dużej ilości krzesania. Tylko Pryzmat nigdy nie cierpi na chorobę świetlną.

Chromeria: ciało rządzące Siedmioma Satrapiami; także określenie szkoły, w której kształcą się krzesicieli.

Uczniowie Chromerii: ci, którzy uczą się bądź ukończyli naukę w Chromerii, w szkole krzesania na Małym Jaspisie leżącym na Morzu Lazurowym. System nauczania w Chromerii nie kwalifikuje uczniów na podstawie wieku; o ich postępach i przyjęciu na dany rok decydują zdolności i zdobyta wiedza. Dzięki temu trzynastolatek, który jest wyjątkowo biegły w krzesaniu, może być płomykiem, czyli uczniem z trzeciego roku, podczas gdy osiemnastolatka, która dopiero zaczęła pracę nad krzesaniem, szarakiem.

- ciemniacy: teoretycznie zwani „suplikantami”, to potencjalni krzesiciele, których dopiero czeka w Chromerii próba ich zdolności; po niej mogą zostać przyjęci do szkoły.
- szaracy: pierwszy rok (co za tym idzie najniżej stojący) uczniów w Chromerii.
- skierki: uczniowie drugiego roku.
- płomyki: uczniowie trzeciego roku, którzy są już dość zaawansowani.
- promienie: uczniowie czwartego roku. ciemne światło: inna nazwa parylu. ciemniacy: patrz: Uczniowie Chromerii.

Cierniowe Spiski: seria intryg, które rozegrały się po Wojnie Fałszywego Pryzmata.

Cieśnina: przewężenie Morza Lazurowego między Aborneą a leżącym na kontynencie Ruthgarem. Abornejczycy dławią handel w Cieśninie, pobierając wysokie myto od kupców próbujących podążać jedwabnym szlakiem albo po prostu płynących z Parii do Ruthgaru. cocca: rodzaj statku kupieckiego, zwykle niewielka jednostka, conn: określenie burmistrza lub przywódcy wioski w północnym Atashu.

Corbine, ulica: ulica w Wielkim Jaspisie, która prowadzi do Wielkiej Fontanny Karris Wroga Cieni. corregidor: tyrejski termin określający głównego urzędnika; wywodzi się z Tyrei i przyjęto go we wschodnim Atashu.

Czarna Gwardia: osobista straż Bieli. Czarna Gwardia została także ustanowiona przez Lucidoniusa, żeby chronić Pryzmata przed zewnętrznymi zagrożeniami, ale też, by zapobiec uzurpowaniu sobie przez niego zbyt wielkiej władzy. czepiec kolczy: zwykle wykonany z kolczej plecionki i doczepiany do hełmu chronił kark, szyję i ramiona.

Dagnu: bóstwo obżarstwa, łączone z czerwienią; patrz: Dodatek „O starych bogach”.

Damy: cztery posągi, zawierające bramy do Garristonu. Wbudowane w mury, wyrzeźbione w rzadkim paryjskim marmurze i zapieczętowane w niemalże niewidzialnym żółtym luksynie. Uważa się, że przedstawiają różne aspekty bogini Anat. Lucidonius oszczędził je, ponieważ uznał, że ukazują coś prawdziwego. Są to Wiedźma, Kochanka,

Matka i Strażniczka. danar: środek płatniczy w Siedmiu Satrapiach. Za jednego danara w drogim zajeździe na Jaspisie można kupić filizankę kopi. Przeciętny robotnik zarabia około danara dziennie, podczas gdy niewykwalifikowany pracownik fizyczny może oczekiwać zapłaty ok. pół danara dziennie. Monety mają kwadratową dziurkę w środku i często są noszone na patykach o kwadratowym przekroju. Można je przeciąć na pół i nadal zachowują swoją wartość. cynowy danar: jest wart ośmiu zwykłych danarów. Patyk z cynowymi danarami zawiera zwykle dwadzieścia pięć monet, czyli równowartość dwustu danarów. srebrny kwintar: jest wart dwudziestu danarów, a moneta jest nieco szersza niż cynowy danar, ale o połowę cieńsza. Patyk srebrnych kwintarów zawiera zwykle pięćdziesiąt monet, czyli równowartość tysiąca danarów. den: jedna dziesiąta danara. dawat: paryjska sztuka walki.

Deimachia: Wojna Bogów lub Wojna z Bogami. Teologiczny termin określający bitwę Lucidoniusa z pogańskimi bogami starego świata o supremację. dej/deja: paryjski tytuł odpowiednio dla mężczyzny i kobiety. Niemal absolutny władca miasta i otaczającego go obszaru.

Demiurgos: inne określenie Zwierciadła; półtwórca. dichromata: krzesiciel, który potrafi krzesać dwa różne kolory. Dolina Hass: miejsce, w którym plemię Ur wciągnęło Lucidoniusa w pułapkę. dozorczy gwiazd: znani też jako wieżowe małpki; są to drobniutcy niewolnicy (zwykle dzieci) obsługujący liny, które pozwalają kierować lustrami na Wielkim Jaspisie i rozsyłać po całym mieście światło potrzebne krzesicielom. Chociaż, jak na niewolników dobrze się ich traktuje, całe dni spędzają, pracując w dwuosobowych zespołach od świtu i do zmierzchu, często bez chwili wytchnienia z wyjątkiem momentów, kiedy zamieniają się ze swoim partnerem.

Drzewni Ludzie: plemię, które żyje (żyło?) głęboko w lasach Krwawej Puszczy. Posługują się zoomorficznymi wzorami i najwyraźniej potrafią kształtować żywe drewno. Prawdopodobnie spokrewnieni z pigmejami. dyscypułowie: liczba mnoga (odnosząca się także do grup mieszanej płci) terminu określającego tych, którzy studiują religię i magię.

Dzieci Ama: archaiczny termin określający mieszkańców Siedmiu Satrapii.

Dzielnica Ambasad: dzielnica w Wielkim Jaspisie znajdująca się najbliżej Łodygi Lili i, co za tym idzie, najbliżej samej Chromerii. Znajdują się tam także pijalnie kofi, tawerny i domy publiczne.

Dzień Słońca: święty dzień zarówno dla wyznawców Orholama, jak i pogan, najdłuższy w roku. Dla Siedmiu Satrapii to dzień, w którym Pryzmat Uwalnia tych krzesicieli, którym wkrótce pęknie halo. Ceremonie odbywają się zwykle na Jaspisach. Wtedy światło Tysiąca Gwiazd zostaje skierowane na Pryzmat, który je absorbuje i rozszczepia, podczas gdy zwykły człowiek spłonąłby albo wybuchł od takiej ilości światła. efa: jednostka miary

objętości ziarna, wynosząca w przybliżeniu ok. trzydziestu trzech litrów.

Elrahee, elishama, eliada, eliphalet: paryjska modlitwa.

Ergion: ataskie obwarowane miasteczko dzień podróży od Idoss.

Fałszywy Pryzmat: inne określenie Dazena Guile, który twierdził, że jest Pryzmatem, chociaż jego starszy brat został już słusznie uznany za wybranego przez Orholama i wprowadzony na urząd Pryzmata.

Ferrilux: bóstwo pychy, łączone z nadfioletem; patrz: Dodatek „O starych bogach”. gada: gra, która polega na kopaniu i podawaniu sobie piłki ze zwiniętych skór. galeas: wielki statek kupiecki napędzany wiosłami i żaglami. Terminem tym posługiwano się później dla statków zmodyfikowanych do celów wojskowych, co wiązało się z dodaniem kaszteli na dziobie i rufie, oraz dział strzelających we wszystkich kierunkach.

Gargantua', okręt flagowy pirackiego króla Pasha Vecchio. garłacz: krótki muszkiet o lejkowato rozszerzonym wylocie lufy, który można naładować siekańcami, gwoździami itp.; użyteczny tylko na krótki dystans, na przykład w walce z tłumem.

Garriston: była stolica handlowa Tyrei znajdująca się u ujścia Umbry do Morza Lazurowego. Pryzmat Gavin Guile wznosił wokół niego Mur ze Słonecznej Wody dla ochrony miasta, ale jego obrona padła i Garriston został zajęty przez lorda Omnichroma, Koiosa Białodęba.

Gatu: paryjskie plemię pogardzane przez innych Paryjczyków z powodu sposobu, w jaki wplekli stare zwyczaje religijne do kultu Orholama. Teoretycznie ich wierzenia są herezją, ale Chromeria nigdy nie zdecydowała się walczyć z nią niczym poważniejszym niż ostrym słowem. ghotra: paryjska chustka, którą nosi większość Paryjczyków jako przejaw swojej czci dla Orholama. Większość nosi ją, kiedy słońce jest wysoko na niebie, ale niektórzy nawet nocą. giist: kolokwialne określenie niebieskiego koloraka. gladius: krótki obosieczny miecz, poręczny do cięcia i dźgania w walce na krótki dystans. główny dziedziniec: dziedziniec u podnóża wież Chromerii. granaty luksynowe: materiały wybuchowe z luksynu, którymi można cisnąć we wroga po luksynowym łuku albo z działa. Często wypełnione kartaczami, zależnie od rodzaju granatu. Mniejsze granaty często nosi się w pasach. granaty: dzbany napełnione prochem zatkane kawałkiem drewna i szmatką unurzaną w prochu, pełniącą rolę lontu.

Grzech Yicianana: wydarzenie, które znaczyło kres przymierza między Ruthgarem i Krwawą Puszcza, habia: długa męska szata.

Idoss: ataskie miasto, którym rządzi rada matek miasta i corregidor.

Inura, góra: góra na Wyspie Jasnowidzów, u stóp której rezyduje Trzecie Oko. jambu: drzewa, na których rosną różowe owoce. Spotykane na Wyspie Jasnowidzów.

Jaspisy: wyspy na Morzu Lazurowym, na których znajduje się Chromeria.

Jaszczury z Kazakdoon: latające gady z angarskiego mitu. **jatagan:** biała broń o wąskim, lekko wygiętym do przodu ostrzu, jednosiecznym na prawie całej długości.

Jeziro w Kraterze: jeziro w południowej Tyrei, gdzie znajduje się dawna stolica Tyrei, Kelfing. Okolica słynie z lasów i wytwórstwa cisowych łąków. **ka:** sekwencja ruchów pozwalająca trenować równowagę, gibkość i panowanie nad ciałem w walce. Często wykorzystują kombinacje ruchów, które można wykorzystać bezpośrednio w walce. **Swego** rodzaju ćwiczenie medytacyjne. **kapitan portu:** urzędnik miejski czuwający nad poborem ceł i organizacją ruchu w porcie, wejściem i wyjściem z niego statków.

Karsos, góry: tyrejskie góry wznoszące się nad Morzem Łazurowym, **kata:** uzależniający stymulant, którego liście po przeżuciu farbują zęby; szczególnie często używany w Parii. **katar:** ostrze, które zamiast tradycyjnej rękojeści ma uchwyt przedłużony po obu stronach dłoni, dzięki czemu osłania ją oraz przedramię. Dzięki wzmocnionemu czubkowi i możliwości trzymania go w zaciśniętej pięści doskonale nadaje się do ciosów zadawanych pięścią i przebijania zbroi.

Kazakdoon: legendarne miasto/ład na dalekim wschodzie, za Wrotami Mroku.

Kelfing: dawna stolica Tyrei leżąca nad Jeziorem w Kraterze, **kij do parowania ciosów:** broń głównie do obrony, pozwalająca blokować ciosy zadawane bronią białą. Niekiedy w połowie długości znajduje się sztylet, pozwalający na ripostę po blokadzie. **kiyah:** okrzyk w walce na wydechu, dodający energii ruchom. **Kochanka:** posąg, który zawiera wschodnią bramę do Garristonu. Przedstawia kobietę około trzydziestki, leżącą na plecach wygiętych nad rzeką, z kolanami wznoszącymi się nad jednym brzegiem (i tworzącymi jedną wieżę) oraz rękami wsuniętymi we włosy i uniesionymi łokciami tworzącymi wieżę na drugim brzegu. Odziana jest w same welony. Przed Wojną Pryzmatów można było opuścić z jej wygiętego ciała kraty sięgające rzeki, a żelazu i stali nadano taki kształt, by wydawały się przedłużeniem owych welonów. W zachodzącym świetle lśni jakby była z brązu. Do miasta prowadzi kolejna brama znajdująca się w jej włosach. **kofi:** uzależniający stymulant, popularny napój. Gorzki, ciemny, podawany na gorąco. **kolorak:** krzesiciel, który doprowadził do tego, że pękło mu halo. Koloraki często przerabiają własne ciała za pomocą czystego luksynu, odrzucając Pakt między krzesicielem a społeczeństwem.

Kolory: siedmiu członków Spektrum. Początkowo każdy reprezentował jeden z siedmiu świętych kolorów i potrafił go krzesać, a każda satrapia miała w Spektrum jednego swojego przedstawiciela. Od czasu stworzenia Spektrum ta praktyka podupadła, w miarę jak satrapie zaczęły walkę o władzę. Dlatego reprezentant satrapii (choć przeważnie są oni wyznaczani na kolor, który odpowiada ich umiejętnościom) może zostać na przykład Światłowładcą Zielenią, a tak naprawdę nie krzesać zielonego. Na tej samej zasadzie jedna satrapia może utracić reprezentanta, a inne mogą mieć dwóch lub trzech w danym

momencie, zależnie od istniejącego układu politycznego. Urząd jest przyznawany dożywotnio. kolubryna: rodzaj działa; przydatna przy strzałach na długie dystanse dzięki ciężkim kulom i długiej lufie.

Komnata Młocarni: pomieszczenie, do którego są wzywani kandydaci ubiegający się o przyjęcie do Chromerii, by sprawdzić ich zdolność krzesania. konsyliarz: ten, który zszywa rannych i studiuje anatomię.

Korona Wiedźmy: wieża nad zachodnią bramą Garristonu.

Kostur Wiedźmy: wieża nad zachodnią bramą Garristonu. kościana okaryna: rodzaj okaryny zrobionej z kła pekari z wydrążonymi dziurkami, które po zakryciu palcem pozwalają wydobywać różne dźwięki. koty: życzliwe, choć nieco obraźliwe przezwisko świeżo upieczonych kadetów Czarnej Gwardii. krawiec-krzesiciel: profesja, która zniknęła z dnia na dzień w czasie dzieciństwa braci Guile. Ci krawcy potrafili, posługując się dostatecznie silną wolą, stworzyć luksyn na tyle giętki, żeby po zapieczętowaniu dało się go nosić jak ubranie. kris: paryjski sztylet o falistym ostrzu.

„Królewski doradca”: rękopis słynący z tego, że zaleca wyjątkowo bezwzględne traktowanie przeciwników.

Krwawa Wojna: ciąg bitew, prowadzonych od Grzechu Viciano, który skłócił niegdyś bliskich sojuszników: Krwawą Puszcę i Ruthgar. Wojna często cichła i wybuchała na nowo, dopóki ostatecznie nie zakończył jej Gavin Guile po Wojnie Fałszywego Pryzmata. Wydaje się, że wrogość między sąsiadami wygasła. Znane także jako Krwawe Wojny wśród uczonych rozróżniających poszczególne kampanie wojenne.

Krwawe Równiny: dawny termin obejmujący Ruthgar i Krwawą Puszcę, stosowany od czasów Grzechu Viciano, który zapoczątkował Krwawą Wojnę między tymi sąsiadami. krzesiciel: ten, który potrafi narzucić światłu fizyczną formę (luksyn) i ją kształtować. krzesiwo (bateria): w zamkach skałkowych kawałek metalu w kształcie litery „L”, o który trze krzemień (skałka). Metal jest umieszczony na zawiasach, na których przy strzale odchyła się, co pozwala iskrom dotrzeć do prochu. kubit: jednostka objętości, odpowiednik objętości sześcianu o krawędzi jednej stopy. kurek: element zamka lontowego, do którego mocuje się lont. Laurion: region we wschodnim Atashu znany z rud srebra i ogromnych niewolniczych kopalni. Średnia życia niewolników-górników jest krótka, a groźby wysłania do kopalni używa się, żeby trzymać innych niewolników w karbach. leszcz: określenie kadeta Czarnej Gwardii. loci damnata: świątynie fałszywych bogów. Mara. Uważano, że miały magiczne właściwości, w szczególności odnośnie do krzesicieli. lont: sznur, zwykle nasączony saletrą, który zapala się, by doprowadzić do wybuchu prochu w broni palnej. lontownica: pręt z uchwytem do lontu; używany do odpalania dział, pozwala artylerzyście znaleźć się poza zasięgiem odrzutu.

Lord Pryzmat: tytuł, jakiego używa się, zwracając się do Pryzmata. **lordowie powietrza:** termin, jakim posługuje się Omnichrom odnośnie do swoich najbardziej zaufanych niebieskich oficerów. **luksjat:** kapłan Orholama. Luksjat nosi czerń, przyznając w ten sposób, że najbardziej ze wszystkich potrzebuje światła Orholama. Stąd często nazywa się ich czarnymi szatami. **luksorzy:** urzędnicy upoważnieni przez Chromerię do niesienia światła Orholama niemal każdym koniecznym sposobem. W różnych okresach ścigali między innymi krzesicieli parylu i heretyckich rozszczepiaczy światła. Nad sztywnością ich teologicznych poglądów oraz prawem do zabijania i torturowania gorąco dyskutowano zarówno wśród wyznawców Orholama, jak i odstępców. **luksyn:** materiał tworzony ze światła w czasie krzesania. Patrz: Dodatek.

Lustrzana Gwardia: żołnierze w armii króla Garadula, którzy noszą lustrzaną zbroję, żeby chronić przed luksynem. Lustra sprawiają, że luksyn rozpada się, kiedy wchodzi z nimi w kontakt.

Łasicza Skała: dzielnica w Wielkim Jaspisie, w której dominują wąskie zaułki.

Łodyga Lilii: luksynowy most między Dużym i Małym Jaspisem. Wzniesiono go z niebieskiego i żółtego luksynu, więc wydaje się zielony. Znajduje się poniżej poziomu przyływu i słynie z ogromnej odporności na fale i sztormy, które nim targają. **machikuły:** otwory w swego rodzaju gankach wystających poza lico muru, z których żołnierze mogli strzelać, rzucać bronią, pociskami, luksynem czy płonącym materiałem. Często spotykane w zamkach i na miejskich murach. **magiczna pochodnia:** często używana przez krzesicieli jako źródło światła w nocy; płonie dając pełne spektrum barw. Za wygórowaną cenę tworzy się także barwione magiczne pochodnie, które – jeśli zostały prawidłowo wykonane – dają krzesicielowi światło dokładnie z jego spektrum, dzięki czemu może zrezygnować z okularów i natychmiast krzesać.

Małego Jaspisu, zatoka: zatoka przy Małym Jaspisie. Chroni ją wał nadmorski, dzięki czemu jej wody pozostają spokojne.

Mały Jaspis: wyspa, na której znajduje się Chromeria. **mara:** stary termin ptarsyjski, najprawdopodobniej oznaczający świątynię albo święte miejsce, chociaż według Lucidoniusa Paryjczycy tłumaczyli go jako „ohydę”.

Matka: posąg, który strzeże południowej bramy Garristonu. Przedstawiono ją jako nastolatkę w zaawansowanej ciąży z obnażonym sztyletem w jednej ręce i włócznią w drugiej. **mgiełka:** narkotyk wpływający na stan świadomości. Często palony w fajce, wydziela mdłosłodki odór. **miernota:** ci, którzy nie potrafią krzesać. Obrażliwe. **migotliwy płaszcz:** płaszcz, który sprawia, że noszący go jest właściwie niewidzialny – jest widoczny tylko w nadfiolecie i podczerwieni, **mila:** jednostka długości wynosząca 202 kroków.

Młocarnia: próba inicjacyjna dla kandydatów starających się o przyjęcie do Chromerii.

Molokh: bóstwo chciwości, łączone z oranżem; patrz: Dodatek „O starych bogach”.

monochromaci: krzesiciele, którzy krzeszą tylko jeden kolor.

Morze Lazurowe: morze leżące w centrum Siedmiu Satrapii.

Mot: bóstwo zazdrości, łączone z błękitem; patrz: Dodatek „O starych bogach”.

Mroczna Puszcza: region w Krwawej Puszczy, gdzie mieszkają pigmeje. Zdziękowani przez choroby sprowadzone przez najeźdźców nigdy nie odzyskali dawnej liczebności; izolują się i często są wrodzy.

Mur ze Słonecznej Wody: jego budowa była heroicznym wyczynem. Mur zaprojektował Aheyyad Słoneczna Woda, a wybudował Pryzmat Guile w Garristonie na kilka dni przed atakiem i w trakcie ataku wojska Omnichroma. muszkiet z zamkiem lontowym: broń palna, która działa przez opuszczenie zapalonego lontu na panewkę, co powoduje zapłon. Następnie zapala się proch w lufie i wynikający z tego wybuch wyrzuca kamyk lub ołowianą kulę z lufy z ogromną prędkością. Tego typu broń jest celna na pięćdziesiąt do stu kroków, zależnie od umiejętności rusznikarza, który ją skonstruował, i użytej amunicji. nakładki na oczy: wyspecjalizowany rodzaj okularów. Te barwne soczewki mocuje się bezpośrednio w oczodołach, przylepiając do skóry. Jak okulary, umożliwiają krzesicielowi widzieć w preferowanym kolorze i ułatwiają krzesanie. nao: mały trzymasztowy statek.

Niebieskookie Demony: słynna szajka bandytów, których króla zabił Gavin Guile po Wojnie Fałszywego Pryzmatu. niekrzesiciel: ten, kto nie potrafi krzesać. niszcyciel kadłubów: luksusowy dysk napełniony kartaczami. Ma lont i klejącą się ściankę, dzięki czemu można go przykleić do kadłuba statku, a sam dysk wybucha, kiedy żołnierze zdążą się już oddalić. Odess: miasto w Abornei znajdujące się nad Cieśniną, ogniowy kryształ: określenie trwałego podczerwonego luksynu, chociaż ogniowy kryształ nie jest zbyt stabilny, gdy zostanie wystawiony na działanie powietrza. ogniożel: czerwony luksyn, który, raz zapalony, pochłonie wszystko, co się do niego przykleiło.

Opatrzność: wiara w to, że Orholam troszczy się o Siedem Satrapii i ich mieszkańców. orałam: kolejna nazwa parylu, oznacza „ukryte światło”, pajęcza nić: inna nazwa parylu.

Pakt: od czasów Lucidoniusa Pakt regulował funkcjonowanie Siedmiu Satrapii. Jego istota sprowadza się do tego, że krzesiciele zgadzają się służyć społeczeństwu i korzystać ze wszystkich przywilejów płynących z ich statusu (i niekiedy bogactw) w zamian za swoją służbę, ale decydują się także umrzeć tuż przed albo zaraz po tym, jak pęknie im halo.

Pałac Guile'ow: pałac rodziny na Wielkim Jaspisie. Andross Guile rzadko odwiedza dom; odkąd Gavin został Pryzmatem, woli rezydować w Chromerii. Pałac jest jednym z nielicznych budynków, na których budowę pozwolono, nie zważając na funkcjonowanie Tysiąca Gwiazd. pekari: wyśmienita zwierzyna łowiecka; olbrzymie pekari są rzadko

spotykane. Oba gatunki mają kły i racice, prowadzą nocny tryb życia. petasos: ruthgarski kapelusznik o szerokim rondzie, zwykle słomkowy, chroniący twarz przed słońcem. piekielne ogary: psy nasączone czerwonym luksynem i wołą krzesiciela w takim stopniu, by po podpaleniu rzuciły się na wroga.

Piekielny Kiel: tajemnicze ostrze, znane też jako Wysysacz Szpiku i Oślepiający Nóż. Jest białe z czarnymi żyłkami i ma siedem barwnych klejnotów w klindze. piekliszce: zabobonna nazwa obsydianu, który jest rzadszy niż diamenty i rubiny, ponieważ tylko nieliczni wiedzą, gdzie ocalały obsydian jest tworzony lub pozyskiwany. To jedyny kamień, który potrafi wyssać luksyn z krzesiciela, jeśli zetknie się bezpośrednio z jego krwią. pilum: wyważony oszczep do rzucania, którego szyjka grota łatwo wygina się po wbiciu w tarczę, uniemożliwiając ponowne wykorzystanie broni przez przeciwnika i zwiększając znacząco ciężar tarczy. Ten rodzaj broni jest coraz rzadziej spotykany i zamienia się powoli w broń o charakterze ceremonialnym. pistolet z zamkiem kołowym: pistolet wykorzystujący mechanizm z kołem, którego obrót powoduje zapłon – to pierwsza próba stworzenia mechanizmu, który zapala proch. Wersje stworzone przez niektórych rusznikarzy są mniej zawodne niż broń z zamkiem skałkowym i pozwalają na kilka wystrzałów. Większość jednak jest o wiele bardziej zawodna od i tak zawodnych zamków skałkowych. pistolety ze sztyletami: pistolety z zamkiem skałkowym i dołączonym ostrzem, pozwalającym właścicielowi strzelać w walce na odległość, a w walce wręcz lub w razie niewypału posłużyć się klingą.

Płomień Erebos: znaczek, który otrzymują wszyscy Czarnogwardziści; symbolizuje służbę i poświęcenie, płomyki: patrz: Uczniowie Chromerii. pochodnia: czerwony kolorak. polichromata: krzesiciel, którzy potrafi krzesać więcej niż dwa kolory.

Połamany Człowiek: posąg w tyrejskim gaju pomarańczowym; być może relikwiarz ptarsyjski.

Powstanie na Czerwonych Klifach: rebelia w Atashu po zakończeniu Wojny Fałszywego Pryzmata. Bez wsparcia ze strony rodu królewskiego (który zmasakrowano) trwała bardzo krótko.

Półwysep Rucki: półwysep zdominowany przez ogromne klify, z których rozciąga się widok na ataskie miasto Ru i zatokę. Na szczycie klifów znajduje się fort, który chroni Ru przed inwazją. prawie-polichromata: ten, kto potrafi krzesać trzy kolory, ale nie potrafi ustabilizować trzeciego koloru na tyle, żeby być prawdziwym polichromatą. preceptor: nazwa nauczyciela krzesania i religii w Chromerii. promachia: wprowadzenie osoby na urząd promachosa. Daje ogromną, niemal absolutną władzę na czas wojny. promachos: tytuł przyznawany Pryzmatowi w czasie wojny. Daje on władzę absolutną i może zostać przyznany tylko rozkazem całego Spektrum. Promachos ma między innymi prawo

dowodzić wojskiem, przejmować własność, wynosić pospólstwo do rangi arystokracji. Jest to starożytny termin, oznaczający „Ten, Który Walczy Przed Nami”, promienie: patrz: Uczniowie Chromerii.

Pryzmat: istnieje tylko jeden Pryzmat w każdym pokoleniu. Wyczuwa on równowagę w magii na świecie, potrafi ją przywrócić, może rozszczepiać w sobie światło. Pełni głównie funkcję ceremonialną i religijną, nie polityczną, jeśli nie liczyć przywracania równowagi w magii na świecie, dzięki czemu nie pojawiają się koloraki i nie dochodzi do katastrof, przeciętniak: osoba, która nie potrafi krzesać. Obrażliwe. przesilenie letnie: inne określenie Dnia Słońca, najdłuższego dnia w roku. przyjaciel ognia: nazwa podczerwonych krzesicieli, jaką sami się posługują. psalterium: muzyczny instrument strunowy, raka: wyjątkowa obelga, sugerująca indolencję zarówno umysłową, jak i moralną.

Rath: stolica Ruthgaru leżąca u początku delty Wielkiej Rzeki uchodzącej do Morza Lazurowego.

Rathcaeson: mityczne miasto; Gavin Guile oparł projekt Muru ze Słonecznej Wody na rysunkach przedstawiających Rathcaeson.

Rekton: tyrejskie miasteczko na Umbrą, blisko pola bitwy pod Strzaskaną Skałą. Przed Wojną Fałszywego Pryzmata ważny ośrodek handlowy.

Rozanos, most: most na Wielkiej Rzece między Ruthgarem i Krwawą Puszcza; spalił go błogosławiony satrapa Rados.

Rozdroże: najdroższa pijalnia kofi, restauracja, tawerna i oberża na Jaspisach, a na parterze podobno znajduje się równie drogi burdel. Znajduje się w pobliżu Łodygi Lili w budynku dawnej ambasady tyrejskiej, w samym centrum dzielnicy ambasad, wygodnie umieszczonym dla ambasadorów, szpiegów i kupców negocjujących z różnymi rządami. równowaga, badanie równowagi: podstawowe zadanie Pryzmata. Kiedy Pryzmat krzesze na szczycie Chromerii, wyczuwa wszelkie zaburzenia równowagi w magii i może wykrzesać dość przeciwnego koloru, by zapobiec pogłębianiu się nierównowagi, które doprowadziłyby do katastrofy. Przed nadejściem Lucidoniusa w historii świata wielokrotnie dochodziło do zaburzeń równowagi, prowadzących do katastrofalnych pożarów, głodu i wojen pociągających za sobą śmierć tysięcy, jeśli nie milionów. Nadfiolet równoważy podczerwień, błękit – czerwień, a zieleń – oranż. Żółć z natury rzeczy zawsze pozostaje w równowadze.

Ru: stolica Atashu, niegdyś słynęła ze swojego Zamku, nadal słynie z Wielkiej Piramidy. sala główna Chromerii: znajduje się pod Wieżą Pryzmata; raz w tygodniu jest przekształcana w miejsce kultu, a wtedy lustra z innych wież kierują do niej światło. Znajdują się w niej filary z białego marmuru i największa kolekcja witraży na świecie. Przez większość czasu wypełniona urzędnikami, ambasadorami i tymi, którzy prowadzą

interesy z Chromerią. sala główna Pałacu Trawertynowego: o niezwykłości tej sali stanowi osiem ogromnych kolumn ustawionych w kształt gwiazdy i zbudowanych z drewna wymarłych drzew atasifusta. Podobno to dar od ataskiego króla. Drzewa te miały najgrubsze pnie na świecie, a ich soki pozwalają płomieniom wiecznie płonąć, nawet pięćset lat po ścięciu, satrapa/satrapka: tytuł władcy jednej z siedmiu satrapii.

Sharazan, góry: góry na południu Tyrei, nie do przebycia, siekance: małe pociski (czasem z luksynu) o zastrzonym końcu i brzechwie, dzięki czemu stabilnie lecą. siódemeczka: jednostka masy, równa jednej siódmej siódemki. siódemka: jednostka masy równa wadze jednego kubita wody. skierki: patrz: Uczniowie Chromerii. słoneczna woda: płynny żółty luksyn.

Służ jednemu panu: motto Danavisów. spektrum: określenie rozkładu światła (więcej na temat luksynowego spektrum patrz: Dodatek) albo (dużą literą) rada w Chromerii, która stanowi jedną z gałęzi rządu Chromerii.

Spękane Ziemie: obszar zniszczonych terenów na dalekim zachodzie Atashu. Są to niebezpieczne ziemie, które są w stanie przebyć tylko najtwardsi i najbardziej doświadczeni kupcy. splamiony: ten, któremu pękło halo, nazywany także kolorakiem. stary świat: świat przed tym, jak Lucidonius zjednoczył Siedem Satrapii i położył kres kultom pogańskich bogów. stopa: niegdyś jednostka miary o zmiennej wielkości, oparta na długości stopy aktualnego Pryzmata. Później znormalizowano ją do długości dwunastu kciuków (długość stopy Pryzmata Sayida Talima).

Strażniczka: kolos stojący okrakiem nad wejściem do zatoki Garristonu. Trzyma włócznię w jednej ręce i pochodnię w drugiej. Żółty krzesiciel dba, by pochodnia cały czas płonęła żółtym luksynem, który powoli rozpada się, wydzielając światło, przez co posąg pełni w pewnym sensie funkcję latarni morskiej. Patrz też: Damy. stroiciele kolorów: określenie na superchromatów w całym spektrum barw. Niekiedy są zatrudniani w ogrodach satrapów.

Strzaskana Skała: bliźniacze góry w Tyrei wznoszące się naprzeciwko siebie i tak podobne, że wyglądają, jakby były jedną wielką skałą, którą przecięto na pół. subchromaci: krzesiciele, którzy cierpią na ślepotę barwną, zwykle mężczyźni. Subchromaci mogą funkcjonować, nie tracąc swoich zdolności – o ile ślepota barw nie dotyczy kolorów, które krzeszą. Subchromata nieodróżniający koloru zielonego od czerwonego nadal może być doskonałym żółtym albo niebieskim krzesicielem. Patrz: Dodatek. superchromaci: ludzie wyjątkowo wrażliwi na kolory. Luksyn, który zapieczętują, raczej nie okaże się zawodny. Zdecydowanie częściej to krzesicielki niż krzesiciele.

Szafirowa Zatoka: zatoka przy Małym Jaspisie. szaracy: patrz: Uczniowie Chromerii. szczawie: na wpół obraźliwe określenie kadetów Czarnej Gwardii. szcurze ziele:

toksyczna roślina, której liście często są palone ze względu na ich silnie stymulujące właściwości. Powoduje uzależnienie.

Szklana Lilia: inna nazwa Małego Jaspisu albo całej Chromerii jako zbioru budowli.

światłowładca: nazwa członka Spektrum.

światłne studnie: szyby w wieżach Chromerii tak rozmieszczone, żeby wpuszczać światło, które dzięki lustrom trafia u schyłku dnia do wnętrza wież lub na ich ciemną stronę. tańce w przesilenie letnie: wiejski odpowiednik obchodów Dnia Słońca. thobe: długa do kostek koszula, zwykle z długimi rękawami.

Thorikos: miasto pod kopalniami w Laurionie nad rzeką płynącą do Idoss. Jest to punkt zborny dla przybywających i odjeżdżających niewolników, ośrodek administracyjny dla trzydziestu tysięcy niewolników, ośrodek wymiany handlowej, obejmującej wszelkie niezbędne dla kopalni zaopatrzenie oraz miejsce wysyłki w dół rzeki rudy srebra.

Tiru: plemię paryjskie.

Tlaglanu: plemię paryjskie, znienawidzone przez innych Paryjczyków, z którego Hanishu, dej Aghbalu, wybrał sobie małżonkę, Tazerwalt. transluksynizacja, wymuszona: patrz: wytrącenie woli.

Trawertynowy Pałac: jeden z cudów starego świata. Zarówno pałac, jak i fortecę wzniesiono z rzeźbionego trawertynu (kamienia w odcieniu delikatnej zieleni) i białego marmuru. Wyróżnia się podkowiastymi łukami, geometrycznymi wzorami na ścianach, paryjskimi runami i posadzkami w szachownice. Ściany są grawerowane tak, by kamień przypominał płótno. Pałac to pozostałość z czasów, kiedy połowa Tyrei była paryjską prowincją.

Tysiąc Gwiazd: lustra na Wielkim Jaspisie, które pozwalają światłu dotrzeć do każdej części miasta tak długo, jak pozwala na to dzień.

Umbra: siła napędowa Tyrei. Jej wody pozwalają uprawiać wszelkie rośliny w tamtejszym gorącym klimacie; służy na niej umożliwiający handel w całym kraju przed Wojną Fałszywego Pryzmata. Jej brzegi roją się od bandytów.

Umiejętność, Wola, Źródło i Ruch/Skupienie: cztery kluczowe elementy dla krzesania.

Umiejętność: najbardziej niedoceniany element krzesania, zdobywany przez praktykę. Obejmuje znajomość własności i zalet krzesanego luksynu, zdolność widzenia i dobierania odpowiedniej długości fal.

Wola: narzucając wolę, krzesiciel może krzesać; może nawet pokryć błędy w krzesaniu, jeśli ma dostatecznie silną wolę.

Źródło: zależnie od tego, jakich kolorów krzesiciel może używać, do krzesania potrzebuje albo światła tego koloru albo przedmiotów, które odbijają ten kolor światła. Tylko Pryzmat może zwyczajnie rozszczepić białe światło w sobie i krzesać dowolny kolor.

Skupienie (bezruch): ironiczne. Krzesanie wymaga ruchu, chociaż bardziej wprawni krzesiciele potrzebują go w mniejszym zakresie.

Ur: plemię, które wciągnęło Lucidoniusa w pułapkę w Dolinie Hass. Zwycięzył wbrew wszelkim oczekiwaniom, głównie dzięki heroicznym czynom El-Anata (który od tamtego czasu zwany był Forushalzarishem albo Lśniącą Włócznią) i Karris Atiriel. urum: przybór z trzema ząbkami używany przy jedzeniu.

Uwolnieni: ci krzesiciele, którzy akceptują Pakt Chromerii i decydują się na rytualną śmierć, zanim pęknie im halo i oszaleją. (Bliskość tego terminu do określenia „Wolni” i „Wyzwoleni” to część lingwistycznej wojny między poganami i Chromerią, gdzie poganie próbują przechwycić terminy, które od dawna mają inne, zniekształcone ich zdaniem, znaczenie).

Uwolnienie: rytuał uwolnienia tych, którym ma pęknąć halo od rodzącego się szaleństwa; przeprowadzany co roku przez Pryzmata w Dzień Słońca.

Varig i Green: bank mający filię na Wielkim Jaspisie. Vechevoral: sierpowato zakrzywiony miecz o rękojeści dłuższej jak przy toporze i jednosiecznej półksiężycowatej klindze z ostrzem po wewnętrznej stronie łuku.

Yoril: miasteczko znajdujące się dwa dni drogi od Ru. wcielenie: termin oznaczający włączenie luksynu bezpośrednio do ciała.

Weedling: nadmorska wioska w pobliżu Półwyspu Ruckiego. wieczna noc: termin często używany jako przekleństwo, odnoszący się do śmierci i piekła. Raczej metafizyczna i teologiczna rzeczywistość niż namacalna, reprezentuje to, co wiecznie będzie obejmować i będzie obejmowane przez pustą, całkowitą ciemność, noc w swojej najczystszej, najbardziej złej formie.

Wiedźma: ogromny posąg zawierający zachodnią bramę Garristonu. Nosi koronę i opiera się ciężko na kosturze. Korona i kostur są wieżami, z których łucznicy strzelając do najeźdźców. Patrz też: Damy.

Wielka Pustynia: inna nazwa Rubieży Tyrei.

Wielka Rzeka: rzeka między Ruthgarem i Krwawą Puszcza, miejsce wielu walk między tymi dwoma krajami.

Wielki Jaspis (wyspa): wyspa, na której leży miasto Wielki Jaspis, położone naprzeciwko Chromerii; znajdują się tam ambasady wszystkich satrapii.

Wielki Łańcuch (istot): pojęcie teologiczne oznaczające porządek stworzenia. Pierwszym ogniwem jest sam Orholam, a od niego odchodzą wszelkie następne ogniwa.

Wieża Pryzmata: centralna wieża w Chromerii. Mieszkają w niej Pryzmat, Biel i nadfioletowi (nie jest ich na tyle wielu, żeby potrzebowali osobnej wieży). Pod wieżą znajduje się główna sala, a na szczycie kryształ, którym Pryzmat posługuje się,

wprowadzając równowagę między kolorami na świecie. Odbywa się tam doroczny Bal Światłowładców.

Wigilia Dnia Słońca: wieczorne obchody poprzedzające najdłuższy dzień w roku i Uwolnienie następnego dnia. wiśniowe skierki: slangowe określenie krzeszących czerwień uczniów drugiego roku.

Wiwurgh: paryjskie miasto, w którym zamieszkało wielu uchodźców z Krwawej Puszczy po Krwawej Wojnie. wodne targi: koliste jeziora połączone z Umbrą, znajdujące się w centrum wiosek i miast Tyrei, powszechne w tyrejskich miasteczkach. Wodny targ jest regularnie dragowany, żeby zachował równą głębokość, dzięki czemu łodzie z wyrobami mają łatwy dostęp do centrum osady. Największy targ wodny znajduje się w Garristonie.

Wojna Dazena: inna nazwa Wojny Fałszywego Pryzmata, którą posługują się zwycięzcy.

Wojna Fałszywego Pryzmata: popularna nazwa wojny między Gavinem i Dazenem Guile. wojownicy-krzesiciele: krzesiciele, którzy pracują przede wszystkim walcząc dla różnych satrapii lub Chromerii.

Wolni: ci krzesiciele, którzy odrzucają Pakt Chromerii i dołączają do armii Omnichroma, decydując się ostatecznie doprowadzić do pęknięcia halo i zostać kolorakami. Zwani są także Wyzwolonymi. wrażliwi na kolory: patrz: superchromata.

Wrota Mroku: cieśnina łącząca Morze Lazurowe z oceanem leżącym dalej. Podobno zostały zamknięte przez Lucidoniusa, ale wiadomo, że angarskie statki od czasu do czasu przepływają przez Wrota.

Wybraniec Orholama: jedno z określeń Pryzmata. wytrącenie woli/ złamanie woli: kiedy krzesiciel wejdzie w kontakt z niezapieczętowanym luksynem, który sam potrafi krzesać, może posłużyć się swoją wolą, żeby przełamać kontrolę sprawowaną nad luksynem przez drugiego krzesiciela i zapanować nad nim samemu.

Wyzwolony: nazwa zwolenników Omnichroma; ci krzesiciele, którzy decydują się zerwać Pakt i żyć po tym, jak pęknie im halo.

Zagórze: dzielnica Wielkiego Jaspisu.

Zakon Złamanego Oka: słynna gildia płatnych zabójców. Specjalizowała się w zabijaniu krzesicieli i została wykorzeniana i zniszczona przynajmniej trzy razy. Uważa się, że za każdym razem powstawała na nowo, nie mając żadnego związku z poprzednimi wcieleniami Zakonu. Niektórzy mówią, że paryłowi krzesiciele współpracowali z Zakonem setki lat temu. Migotliwe Płaszczki są dumą Zakonu i zawsze pracują w parach.

Zamek Ru: niegdyś duma Ru, został zniszczony przez pożar w czasie rzezi na królewskiej rodzinie urządzonej przez generała Gada Delmartę w czasie Wojny Pryzmatów. zarękawie: część zbroi płytowej chroniąca przedramię. Istnieje także wersja ceremonialna – z tkaniny.

Zęby Atańa: góry na wschodzie Tyrei. zguba światła: patrz: mara.

Zielona Przystań: stolica Krwawej Puszczy.

Zielona Puszcza: zbiorcza nazwa Krwawej Puszczy i Ruthgaru w czasie setek lat pokoju między oboma krajami, zanim położył im kres Grzech Viciana.

Zielone Równiny: dominujący obszar geograficzny w Ruthgarze. Zielone Równiny zawsze były preferowane przez zielonych krzesicieli. zielony błysk: rzadki rozbłysk widywany czasem podczas zachodu słońca; nad jego znaczeniem toczą się dyskusje. Niektórzy wierzą, że ma to znaczenie teologiczne. Biel uważa, że to Orholam mruga porozumiewawczo do ludzi.

Zielony Most: znajduje się niecałe trzy mile powyżej Rektonu; został wykrzesany przez Gavina Guile w kilka sekund, kiedy zmierzał na miejsce bitwy z bratem pod Strzaskaną Skałą. zigarro: zrolowany tytoń, forma wygodna do palenia. Niekiedy luźny tytoń zawija się w sznurze ziele.

Zjednoczenie: założone przez Lucidoniusa i Karris Wroga Cieni Siedmiu Satrapii czterysta lat przed rządami Pryzmata Gavina Guile. złoty wzorzec: dosłownie standardowa odważniki i miary wykonane ze złota, według których ocenia się wszystkie inne odważniki i miary. Oryginały przechowywane są w Chromerii, a zatwierdzone kopie znajdują się w każdej stolicy i głównym mieście, by rozsądzać z ich pomocą spory. Kupcy, u których wykryto niewłaściwe odważniki lub przykrótkie miary, są surowo karani.

Zwiastun: miecz Corvana Danavisa, który odziedziczył po śmierci starszych braci.

żelazne dzioby: nazwa nasączonych luksynem i wolą ptaków, które atakują odległego wroga, a potem eksplodują.

DODATEK

O monochromatach, dichromatach i polichromatach

Większość krzesicieli to monochromaci – potrafią krzesać tylko jeden kolor. Krzesieli, którzy potrafią krzesać dwa kolory dostatecznie dobrze, żeby stworzyć stabilny luksyn obu barw nazywa się dichromatami. Każdego, kto potrafi krzesać stały luksyn w trzech lub więcej kolorach, nazywa się polichromatą. Im więcej kolorów jest w stanie krzesać polichromata, tym jest potężniejszy i tym bardziej pożądane są jego usługi. Polichromata z pełnym spektrum to taki, który potrafi krzesać wszystkie kolory spektrum. Pryzmat jest zawsze polichromatą z pełnym spektrum.

Jednakże sama umiejętność krzesania koloru nie jest jedynym kryterium rozstrzygającym o tym, na ile krzesiciel jest cenny czy wykwalifikowany. Niektórzy krzesiciele są szybsi w krzesaniu, inni bardziej wydajni, jedni mają silniejszą wolę, drudzy lepiej radzą sobie w tworzeniu trwałego luksynu, a jeszcze inni są bystrzejsi albo bardziej twórczy w stosowaniu luksynu.

Nieciągli dichromaci/polichromaci

W spektrum podczerwień graniczy z czerwienią, czerwień graniczy z oranżem, oranż z żółcieniem, żółcień z zielenią, zieleń z błękitem, a błękit z nadfioletem. Większość dichromatów i polichromatów krzesze po prostu w większym wycinku tego kontinuum niż monochromaci. To znaczy, że dichromata najprawdopodobniej będzie krzesał dwa kolory, które przylegają do siebie (niebieski i nadfioletowy, czerwony i podczerwony, żółty i zielony, itd.)-Jednakże zdarzają się niekiedy krzesiciele, którzy są nieciągłymi dichromatami. Jak można domyślać się z tej nazwy, kolory tych krzesicieli nie graniczą ze sobą. Usef Tep był słynnym przykładem: krzesał czerwień i błękit. Karris Białodąb także jest taką dichromatką: krzesze zieleń i czerwień. Nie wiadomo dlaczego pojawiają się nieciągli krzesiciele i jak to możliwe. Wiadomo tylko, że zdarzają się rzadko.

Kolory spoza spektrum

Istnieje niewielki i kontrowersyjny ruch, który twierdzi, że istnieje więcej niż siedem kolorów. Rzeczywiście, ponieważ kolory tworzą kontinuum, można twierdzić, że ich liczba jest nieskończona. Jednakże twierdzenie, że istnieje więcej niż siedem krzesalnych kolorów, dla niektórych jest bardziej skomplikowane teologicznie. Powszechnie akceptuje się fakt, że istnieją inne punkty rezonansu poza siedmioma obecnie akceptowanymi, ale są

one słabsze i znacznie rzadziej krzesane niż kluczowa siódemka. Wśród kandydatów jest kolor znajdujący się daleko poniżej podczerwieni zwany parylem. Inny, znajdujący się równie daleko nad nadfioletem, nazywa się chi.

Jeśli jednak kolory mają być tak szeroko definiowane, by obejmowały te, które może krzesać tylko jeden krzesiciel na milion, to czy nie powinno się podzielić żółtego na płynny żółty i stały żółty? Gdzie się w tym plasuje (mityczny) czarny i biały luksyn? Jak takie (nie)kolory mają się do spektrum?

Dysputy, chociaż gorzkie, są czysto akademickie.

O subchromacji i superchromacji

Subchromatą jest ktoś, kto ma kłopot z różnicowaniem między przynajmniej dwoma kolorami, co potocznie nazywa się ślepotą barwną. Subchromacja nie musi przypieczętować losu krzesiciela. Na przykład, niemożność odróżnienia czerwieni od zieleni nie musi znacząco utrudniać pracy niebieskiemu krzesicielowi.

Superchromacja to większa niż przeciętna zdolność różnicowania między subtelnymi odcieniami kolorów. Superchromacja w dowolnym kolorze odzwierciedla się w stabilniejszym krzesaniu, ale najbardziej pomocna jest przy krzesaniu żółci. Tylko żółty krzesiciel superchromata może mieć nadzieję na wykrzesanie stałego żółtego luksynu.

O luksynie

(z ustępami poświęconymi fizyce, metafizyce, wpływom na osobowość, legendarnym kolorom i nazewnictwu kolokwialnemu)

Podstawą magii jest światło. Ci, którzy posługują się magią, nazywani są krzesicielami. Krzesiciel potrafi przetransformować kolor światła w fizyczną substancję. Każdy kolor ma swoje własności, ale zastosowanie tych podstawowych cegiełek jest równie nieograniczone jak wyobraźnia i umiejętności krzesiciela.

Magia Siedmiu Satrapii funkcjonuje z grubsza odwrotnie niż płonąca świeca. Kiedy płonie świeca, namacalna substancja (wosk) zostaje przekształcona w światło. W chromaturgii światło zostaje przekształcone w namacalną substancję – luksyn. Każdy kolor luksynu ma swoje własności. Jeśli został prawidłowo wykrzesany (mieści się w obrębie wąskiego zakresu), luksyn będzie stabilny i przetrwa dni, a nawet lata, zależnie od koloru.

Większość krzesicieli (osób posługujących się magią) potrafi posługiwać się jednym kolorem. Krzesiciel musi być wystawiony na światło w swoim kolorze, by móc krzesać (to znaczy, że zielony krzesiciel może spojrzeć na trawę i być w stanie krzesać, ale jeśli znajdzie się w pomalowanym na biało pokoju, to już nie). Każdy krzesiciel nosi zwykle okulary, więc jeśli w otoczeniu nie ma jego koloru, nadal może posługiwać się magią.

Fizyka

Luksyn ma masę.

Jeśli krzesiciel krzesze luksynową furmankę nad głową, to przede wszystkim ten wóz go zmiażdży. Luksyn od najcięższego do najlżejszego: czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, podczerwony*, nadfioletowy, podczerwony*. Dla porównania: płynny żółty luksyn jest tylko odrobinę lżejszy od wody o tej samej objętości.

Luksyn wiąże się z wrażeniami dotykowymi.

Podczerwony: ponownie najtrudniej go opisać ze względu na łatwopalność, ale często jest określany jako wrażenie podmuchu gorącego wiatru.

Czerwony: mazisty, kleisty, lepki, zależnie od krzesania. Może być gęsty jak smoła albo bardziej przypominać żel.

Pomarańczowy: wilgotny, śliski, mydlany, oleisty.

Żółty: w płynnym, bardziej powszechnym stanie skupienia przypomina pianistą, musującą wodę, chłodną w dotyku, prawdopodobnie gęstszą od wody morskiej. Stały jest idealnie gładki, sztywny i niewiarygodnie twardy.

Zielony: chropowaty; zależnie od umiejętności i celów krzesiciela, szorstkość waha się od nierówności garbowanej skóry po guzowatość kory drzewa. Jest elastyczny, sprężysty, często porównywalny do zielonych gałęzi żywego drzewa.

Niebieski: gładki, chociaż źle wykrzesany niebieski luksyn będzie szorstki i łatwo się pokruszy – jak kreda, ale rozpadając się na kryształki.

Nadfioletowy: jak pajęczka nić, cieniutki i leciutki tak, że niemal niedostrzegalny.

Luksyn ma zapach.

Bazą zapachu luksynu jest woń żywicy. Zapachy opisane poniżej to przybliżenia, ponieważ każdy kolor luksynu ma swój własny aromat.

* Podczerwony luksyn jest trudny do precyzyjnego zważenia, ponieważ wystawiony na działanie powietrza gwałtownie rozpada się i płonie. Dla określenia powyższego porządku włożono podczerwony luksyn do hermetycznego pojemnika, zważono i odjęto ciężar pojemnika. W praktyce często widuje się, że podczerwone kryształy szybują w powietrzu, zanim się zapalą.

Spróbujcie wyobrazić sobie, że opisujecie zapach pomarańczy. Powiecie, że to aromat cytrusowy i ostry, ale to nie do końca to. Pomarańcza pachnie jak pomarańcza. Jednakże poniższe przybliżenia są dość trafne.

Podczerwony: węgiel drzewny, dym, spalenizna.

Czerwony: liście herbaty, tytoń, suchy zapach.

Pomarańczowy: migdały.

Żółty: eukaliptus i mięta.

Zielony: świeży cedr i żywica.

Niebieski: mineralny, kredowy, prawie niewyczuwalny aromat.

Nadfiolet: słaby zapach, trochę jak goździki.

Czarny*: brak zapachu/lub zapach gnijącego ciała.

Biały*: miód i lilie.

Metafizyka

Każde krzesanie jest miłe dla krzesiciela. Wrażenia euforii i bycia niezwyciężonym są szczególnie silne wśród młodych krzesicieli i tych, którzy krzeszą po raz pierwszy. Ogólnie rzecz biorąc, z czasem ten efekt mija, chociaż krzesiciele, którzy wstrzymują się od magii przez pewien czas, często poczuja je ponownie. Dla większości krzesicieli efekt jest podobny do wypicia filiżanki kofi. Niektórzy krzesiciele – co jest dość dziwne – reagują alergicznie na krzesanie. Toczą się ożywione dyskusje nad tym, czy wpływ na osobowość powinien być traktowany jako metafizyczny czy fizyczny.

Niezależnie od właściwego ich przypisania i tego, czy powinny leżeć one w obszarze zainteresowań preceptora czy luksjata, same skutki pozostają niekwestionowane.

Wpływ luksynu na osobowość

Nieoświeceni przed Lucidoniusem wierzyli, że namiętni mężczyźni stają się czerwonymi krzesicielami, a wyrachowane kobiety żółtymi lub niebieskimi. W rzeczywistości przyczyna i skutek plasują się tu odwrotnie.

* Mityczne; te aromaty wymieniano w opowieściach.

Każdy krzesiciel, jak każdy człowiek, ma wrodzone usposobienie. Dopiero potem kolor, który krzesze, sprawia, że staje się skłonny do zachowań opisanych poniżej. Osoba, która jest impulsywna i która od lat krzesze czerwony, prędzej zbliży się do „czerwonego charakteru” niż z natury chłodna i uporządkowana, która krzesze czerwień przez równie długi okres.

Kolor, którego używa krzesiciel, z czasem wpłynie na jego osobowość. Nie czyni to jednak z niego więźnia koloru ani nie oznacza, że nie ponosi odpowiedzialności za czyny popełnione pod jego wpływem. Zielony, który stale zdradza żonę, nadal jest rozpustnikiem. Podczerwony, który morduje wroga w przyływie gniewu, nadal jest mordercą. Oczywiście z natury gniewna kobieta, która jest także czerwoną krzesicielką, będzie bardziej podatna na wpływ koloru, ale istnieje wiele opowieści o wyrachowanych czerwonych i wybuchowych, gwałtownych niebieskich.

Kolor nie zastępuje człowieka. Uważajcie ze stosowaniem tych uogólnień. Niemniej uogólnienia bywają użyteczne: grupa zielonych krzesicieli prędzej będzie dzika i hałaśliwa niż grupa niebieskich.

Biorąc pod uwagę te uogólnienia, z każdym kolorem łączy się także określona cnota i przywarę. (Cnota rozumiana była przez pierwszych luksjatorów nie jako wolność od pokusy

czynienia zła w określony sposób, ale jako przewyżczenie własnych skłonności do pewnego rodzaju zła. Dlatego obżarstwo połączono z umiarem, chciwość z miłosierdziem itd.).

Podczerwoni krzesiciele: podczerwoni są namiętni pod każdym względem, większość po prostu reaguje najbardziej emocjonalnie ze wszystkich krzesicieli, najszybciej reaguje wściekłością lub płaczem. Podczerwoni uwielbiają muzykę, bywają impulsywni, obawiają się ciemności mniej niż inni krzesiciele i często cierpią na bezsenność. Są emocjonalnie niestabilni, nieprzewidywalni, nielogiczni, kochający, wielkoduszni. Podczerwoni mężczyźni często są bezpłodni.

Powiązana przywara: Gniew.

Powiązana cnota: Cierpliwość.

Czerwoni krzesiciele: Czerwoni są porywczy, pełni wigoru i kochają zniszczenie. Są także ciepłi, porywający, arogancy, heroiczni, ekspansywni, jowialni i silni.

Powiązana przywara: Obżarstwo.

Powiązana cnota: Umiarkowanie.

Pomarańczowi krzesiciele: Pomarańczowi są artystami, geniuszami w rozumieniu emocji i motywów innych ludzi. Niektórzy posługują się tym, żeby przeciwstawić się oczekiwaniom lub je przekroczyć. Wrażliwi, skłonni do manipulacji, indywidualiści, szczwani, charyzmatyczni, emfatyczni w wypowiedziach.

Powiązana przywara: Chciwość.

Powiązana cnota: Miłosierdzie.

Żółci krzesiciele: Żółci zwykle klarownie myślą, a ich intelekt i uczucia pozostają w idealnej równowadze. Pogodni, mądrzy, bystrzy, wyważeni, czujni, beznamiętni, spostrzegawczy, niekiedy brutalnie szczerzy, doskonali kłamcy. Myśliciele, nie ludzie czynu.

Powiązana przywara: Lenistwo.

Powiązana cnota: Pracowitość.

Zieloni krzesiciele: Zieloni są dzicy, wolni, elastyczni, łatwo się adaptują, są opiekuńczy i przyjacielscy. Nie tyle nie szanują autorytetów, ile ich nie uznają.

Powiązana przywara: Żądza.

Powiązana cnota: Samokontrola.

Niebiescy krzesiciele: Niebiescy są uporządkowani, dociekliwi, racjonalni, spokojni, chłodni, bezstronni, inteligentni, muzykalni. Struktury, zasady i hierarchia są dla nich ważne. Niebiescy są często matematykami i kompozytorami. Idee, ideologia i poprawność często liczą się dla nich bardziej niż ludzie.

Powiązana przywara: Zazdrość.

Powiązana cnota: Życzliwość.

Nadfioletowi krzesiciele: Nadfioletowi często mają dystans do rzeczywistości. Obiektywni, doceniają ironię, sarkazm i grę słów, często są zimni, patrzą na ludzi jak na łamigłówki do rozwiązania albo szyfr do złamania. Irracjonalność urąga nadfioletowym.

Powiązana przywara: Duma.

Powiązana cnota: Pokora.

Legendarne kolory

Chi (wymowa: „ki”): postulowany odpowiednik parylu z górnej części spektrum. (W opowieściach często mówi się o nim, że znajduje się równie „daleko nad nadfioletem, jak paryl pod podczerwienią”). Nazywa się go także objawicielem. Jego główne rzekome zastosowanie jest niemal identyczne jak parylu – pozwala przenikać wzrokiem przeszkody, chociaż ci, którzy wierzą w chi, mówią, że jego moce dalece przewyższają paryl w tej kwestii, ponieważ chi przenika ciało, kość i nawet metal. Jedynym, w czym opowieści są zgodne, jest to, że krzesiciele chi żyją krócej niż inni krzesiciele: pięć do piętnastu lat, niemal bez wyjątku. Jeśli kolor chi rzeczywiście istnieje, byłby to przede wszystkim dowód, że Orholam stworzył światło dla wszechświata albo swoich własnych celów, a nie tylko na użytek człowieka, i zmusiłoby to teologów do zarzucenia obecnego antropocentryzmu.

Czerń: zniszczenie, pustka, próżnia, to, co nie jest i nie może być napełnione. Mówi się, że obsydian to kości czarnego luksynu po jego obumarciu.

Paryl: nazywany także pajęczą nicią jest niewidzialny dla wszystkich prócz parylowych krzesicieli. Znajduje się w spektrum tak daleko od podczerwieni, jak większość podczerwieni od widzialnego spektrum. Uważany za mityczny, ponieważ soczewka ludzkiego oka nie może przybrać kształtu koniecznego do widzenia takiego koloru. Domniemany kolor ciemnych krzesicieli, tkaczy nocy i najemnych zabójców, ponieważ to światło (rzekomo) jest dostępne także nocą. Zastosowanie nie jest znane, ale łączy się z morderstwem. Trujący?

Biel: surowe słowo Orholama. Materia stworzenia, z której uformowano wszelkie inne luksyny i wszelkie życie. Opis ziemskiej formy tej materii (równie osłabionej w stosunku do formy pierwotnej jak rzekomo obsydian w stosunku do czarnego luksynu) ukazuje ją jako promienną, jasną niczym kość słoniowa albo czysty, biały opal, emitującą światło obejmujące całe spektrum.

Nazwy kolokwialne

Uczniów w Chromerii zachęca się do używania właściwych nazw dla każdego koloru, ale najwyraźniej nie da się wyplenić skłonności do wymyślania własnych nazw. W niektórych przypadkach nazwa oddaje precyzyjnie stan rzeczy: ogniozel jest gęstszym i dłużej

płonącym czerwonym luksynem, który będzie palił się dostatecznie długo, żeby zamienić ciało w proch. W innych wypadkach opisuje dokładnie swoje przeciwieństwo: „słoneczna woda” była początkowo nazwą płynnego żółtego luksynu, ale Mur ze Słonecznej Wody wzniesiono ze stałego żółtego luksynu.

Oto kilka najpowszechniejszych nazw potocznych:

Podczerwony: ogniowy kryształ.

Czerwony: ogniożel, piroklej.

Pomarańczowy: oranżel.

Żółty: słoneczna woda.

Zielony: boże drewno.

Niebieski: szronoszkło, szkło.

Nadfioletowy: niebiańska nić, nić duszy, pajęcza nić.

Czarny: piekliszcze, antykamień, włókno nocy, żużel, hadon.

Biały: światłość, gwiazdna krew, anachrom, lucyton.

O starych bogach

Podczerwień: Anat bogini gniewu. Ci, którzy ją czczą, podobno przeprowadzają rytuały związane z ofiarą z niemowlęcia. Znana także jako Pani Pustyni, Ognista Dama. Centrum jej kultu były Tyrea, południowe krańce Parii i południowa Ilyta.

Czerwień: Dagnu, bóg obżarstwa. Był czczony we wschodnim Atashu.

Oranż: Molokh, bóg chciwości. Kiedyś czczony w zachodnim Atashu.

Żółcień: Belphegor, bóg lenistwa. Przed nadejściem Lucidoniusa głównie czczony w północnym Atashu i południowej Krwawej Puszczy.

Zieleń: Atirat, bogini żądz. Centrum jej kultu znajdowało się przede wszystkim w zachodnim Ruthgarze i na większości obszarów Krwawej Puszczy.

Błękit: Mot, bóg zazdrości. Centrum jego kultu znajdowało się we wschodnim Ruthgarze, północno-zachodniej Parii i Abornei.

Nadfiolet: Ferrilux, bóg pychy. Centrum jego kultu znajdowało się w południowej Parii i północnej Ilycie.

O technice i broni

Siedem Satrapii doświadcza obecnie ogromnego skoku w technice i jej rozumieniu. Pokój od czasu Wojen Pryzmatów i osłabienie piractwa, które potem nastąpiło, pozwoliły na swobodniejszy przepływ towarów i idei przez satrapie. Tanie, wysokiej jakości żelazo i stal są dostępne w każdej satrapii, co owocuje bronią wysokiej jakości, wytrzymałymi kołami przy wozach i wszystkim pomiędzy. Chociaż tradycyjne rodzaje broni, jak ataska bichhwa albo paryjskie kije do parowania, nadal są w użytku, teraz rzadko wytwarza się je z rogu albo utwardzanego drewna. Luksynu często używa się do wytwarzania broni w

prowizorycznych warunkach, ale tendencja większości luksynów do rozpadania się po dłuższym wystawieniu na światło i rzadkość żółtych krzesicieli, którzy potrafią tworzyć stały żółty luksyn (nierozpadający się pod wpływem światła) oznacza, że metalowa broń dominuje w zwykłych armiach.

Wielki skok nastąpił w konstrukcji broni palnej. W większości wypadków każdy muszkiet jest wytworem innego rusznikarza. To oznacza, że każdy człowiek musi umieć naprawić własną broń i że części trzeba wytwarzać indywidualnie. Wadliwego kurka albo panewki nie da się po prostu wymienić na nowe, ale trzeba je wymontować i nadać im właściwy kształt. Próbowano rozwiązać ten problem w Rath, gdzie zapoczątkowano produkcję na wielką skalę z setkami rusznikarzy-praktykantów i wytwarzano części tak identyczne, jak się da, ale powstające w ten sposób muszkiety były zwykle niskiej jakości, a łatwość naprawy uzyskano kosztem celności i wytrzymałości. Z kolei rusznikarze z Ilyty poszli w innym kierunku, wytwarzając najwyższej jakości na świecie muszkiety na zamówienie. Ostatnio wprowadzili mechanizm zwany zamkiem skałkowym. Zamiast mocować płonący lont, który zapala proch w panewce i potem proch w lufie, przymocowali krzemień, który uderza o krzesiwo, a iskry trafiają prosto do lufy. To oznacza, że muszkiet lub pistolet jest zawsze gotowy do strzału, a żołnierz nie musi wpierw zapalić lontu. Wynalazek nie rozpowszechnił się, z powodu częstych niewypałów – jeśli krzemień nie uderzy o krzesiwo w odpowiedni sposób albo iskry nie polecą idealnie, broń nie wypali.

Do tej pory zastosowanie luksynu w broni palnej w większości prób się nie sprawdziło. Odlanie idealnie okrągłych kul z żółtego luksynu było możliwe, ale niewielka liczba żółtych krzesicieli stanowi wąskie gardło dla produkcji. Kule muszkietowe z niebieskiego luksynu często roztrzaskują się od siły wybuchu prochu. Wybuchający pocisk z żółtego luksynu wypełnionego czerwonym (który zapali się i wybuchnie, kiedy żółty się roztrzaska, uderzając w cel) zademonstrowano Nuqabie, ale dokładne określenie, jak gruba powinna być warstwa żółtego luksynu, żeby kula nie wybuchła w lufie, ale żeby zarazem roztrzaskała się uderzając w cel, jest tak trudne, że tylko nieliczni rusznikarze próbowali skopiować ten pomysł, co prawdopodobnie skutecznie zablokuje jego powszechne użycie.

Niewątpliwie w całych Siedmiu Satrapiach prowadzi się także inne eksperymenty i kiedy wysokiej jakości, trwała i w dostatecznym stopniu celna broń palna zostanie wprowadzona, oblicze wojny zmieni się raz na zawsze. W obecnej sytuacji wyszkolony łucznik strzela dalej, szybciej i celniej.

PODZIĘKOWANIA

Kłopot z wymogami polega na tym, jak im sprostać. Podziękowania są zwykle równie nużące jak EULA. Gdzie mogę to przewinać i nacisnąć już przycisk „akceptuję”? A kiedy przyciskasz „akceptuję”, popełniasz krzywoprzysięstwo, bo zapewniasz, że „Tak, przeczytałem” wszystkie warunki wypisane maleńkim drukiem, podczas gdy wcale ich nie czytałeś. Co? Nie wierzysz, że czytam dwanaście tysięcy słów na minutę? Mówię ci, jestem Harriet Klausner i przeczytałem wszyściutkie słowa licencji. AKCEPTUJĘ!

Postawiałem sobie wymóg. Uważałem, że podziękowania są nudne. Moje będą nienudne. Staną się nowym gatunkiem literackim, po który czytelnicy sięgną tłumnie! Nowi czytelnicy będą kupować moje książki nie z zamiarem czytania powieści fantasy, o, nie! Nawet zatwardziali czytelnicy kryminałów po osiemdziesiątce będą kupować moje książki w nadziei, że ujrzą moje dowcipne apoftegmaty na różne tematy, głównie na temat zmiennych kolei losu na rynku wydawniczym. (Czytelnicy kryminałów od razu zrozumieli. Bystrzaki. Wielbiciele fantasy, otrzymujecie ostrzeżenie).

Ale. Bo czyż nie zawsze jest jakieś „ale”? I o ile świetnie bawiłem się, nie zaczynając zdania od spójnika parataktycznego, dopóki nie będę potrafił bezbłędnie napisać „spójnik parataktyczny” [Uwaga dla korekty: Sprawdźcie pisownię dwa razy, dobrze? Byłby straszny wstyd, gdybym zrobił błąd ortograficzny w samym środku apoftegmatu], [a, i sprawdźcie też interpunkcję, zawsze mam wątpliwości, co postawić przy wtrąconych uwagach w nawiasach!], o tyle raz na jakiś czas trzeba w swoim życiu zacząć zdanie od I Ale Jednak Lub Przeto Ani. KPW? (Osiemdziesięcioletni fani kryminałów, dzieciaki od fantasy natychmiast rozszyfrowały ten skrót. Otrzymujecie ostrzeżenie).

Ale. Po napisaniu podziękowań do sześciu książek zaczynam dostrzegać, jak ta mordega zniszczyła dusze większe ode mnie. Prawda jest taka, że w pewnym momencie dodawanie błyskotliwych linijek do kodu źródłowego jako smakowitego kąska dla tego drugiego programisty, który rzeczywiście będzie czytał fragment od linii numer 3,5 miliona do 3,6 miliona, jest jak proch rzucony na wiatr. Proch. Na. Wiatr. Ponieważ lista ludzi do podziękowań tylko rośnie. A wiecie, komu przyjdzie dodać dramatyzmu do odczytywania listy nazwisk? Zapytajmy zespół pracujący przy The Bible Experience, Biblii w wersji audio i zdobywcy Grammy, czyli całą książkę telefoniczną afroamerykańskich aktorów. Oczywiście Samuel L. Jackson załapał się na księgę Ezechiela 25:17 – miejmy nadzieję, że

tym razem na prawdziwe wersy, a nie te z Ewangelii Quentina. A kto się załapie na czytanie rodowodów?

Jak sukces, tak i powieść ma wielu ojców, oto więc współrodzice:

Dziękuję Ci, moja żono, Kristi. Za to, że wierzyłaś na początku i nadal wierzysz. Dziękuję córce, która robiła co w jej mocy, żeby poczekać z urodzeniem się, aż jej tata skończy pierwszy szkic, a potem grzecznie spała, żeby tata zdołał przeredagować tego molocha.

Dziękuję asystentowi redakcyjnemu, E.dub, za znoszenie niekończących się przezwisk: Monie, CAPSLOCK i innych, zbyt dobrych, żeby się nimi dzielić. Twój powróż od kozy nadal tu leży. Poważnie, chociaż robisz okrutne rzeczy, na przykład zmuszasz mnie do pracy, jesteś mi wielką pomocą. Nasze życie – a co za tym idzie moje pisanie – jest lepsze dzięki pracy, jaką odwalasz.

Dziękuję Devi (zaciekła przyjaciółka i niezrównana kusicielka, gdy w grę wchodzi zdradzenie zwrotów w fabule), Aline, Alexowi, Timowi, Susan, Ellen, Lauren, Laurze, Jamesowi i Rose z Orbit Books US i UK. Dziękuję Donowi Maassowi, Cameron McClure i reszcie pracowników z agencji Donald Maass Literary Agency. Wiem, że takimi rzeczami się zajmujemy, ale dzięki Wam ta część pracy, która wymaga rzeczywistej pracy, przebiega tak gładko, jak to możliwe, a Wy wydobywacie z niej więcej sztuki, niż wydaje się to możliwe w przypadku jakiegokolwiek mojego dzieła.

Szczególnie dziękuję moim pierwszym czytelnikom roboczej wersji: Mary Robinette Kowal, Heather, Andrew, Timowi, Jacobowi i Johnowi. Nadal w pewnym sensie was nienawidzę, ale moja wdzięczność wzrośnie w miarę, jak wspomnienie bólu, jaki mi zadaliście, osłabnie. Podwójnie dziękuję Timowi i Johnowi za to, że ponownie rzucili się w słowne okopy.

Dzięki dla Arystotelesa za idee tak wielkie, że nie zdołałem przed nimi uciec nawet w drugorzędnym świecie fantasy.

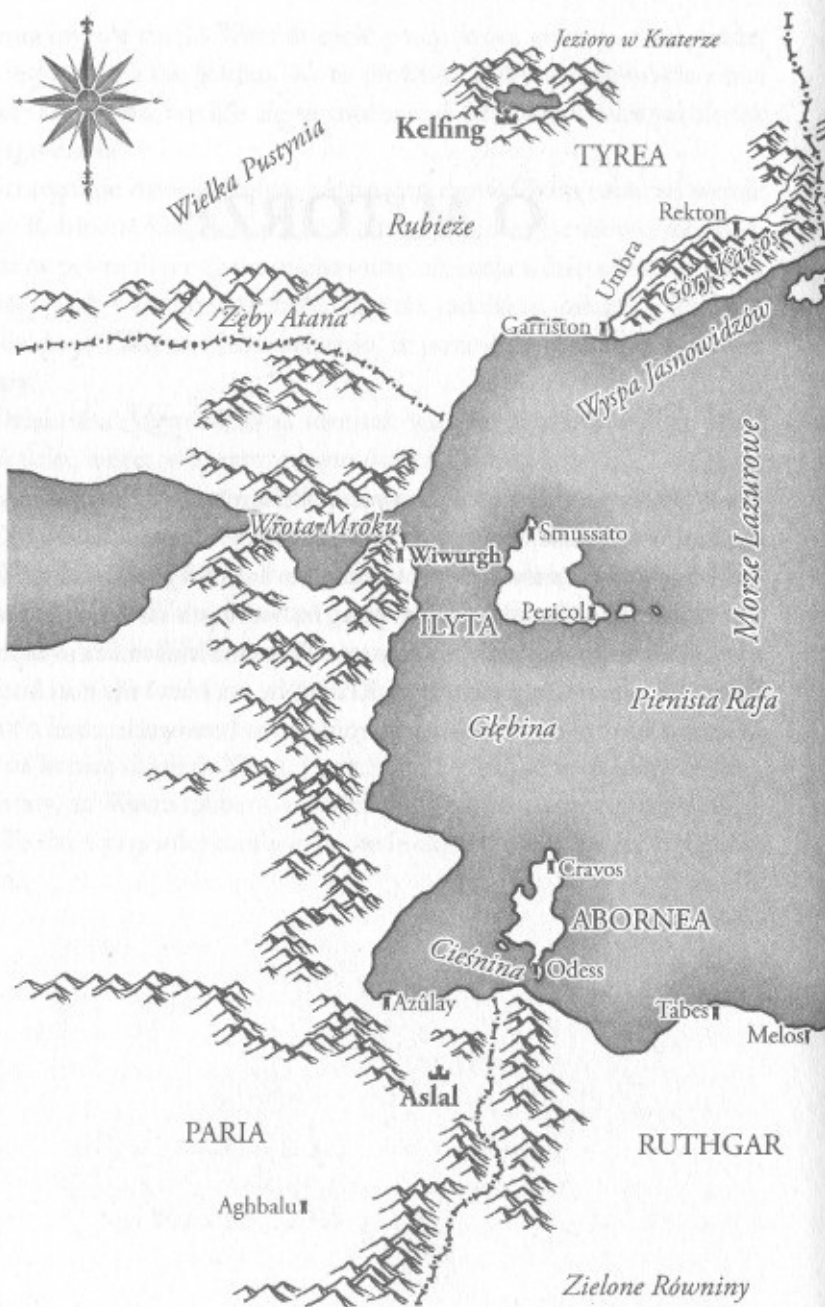
Dziękuję dr J. Kleinowi, byłemu współlokatorowi, za trwający kompleks niższości na punkcie etyki pracy i za tłumaczenia na ostatnią chwilę. Wszelkie nadużycia w kwestiach filozoficznych lub translatorskich wynikają albo z faktu, że o coś go nie zapytałem, albo zignorowałem jego rady. Jeśli to Wasz profesor, to zapytajcie go o przepływanie Hellespontu i wspinaczkę na wieżę. A przynajmniej poproście o parodię Bruce'a Lee.

I na koniec dziękuję Wam, Czytelnicy. Dziękuję, że dzielicie ze mną te światy, za Wasze zachęty, za dzielenie się mną z innymi czytelnikami. To dar i przywilej zarabiać na życie czymś, co się kocha. Dziękuję Wam.

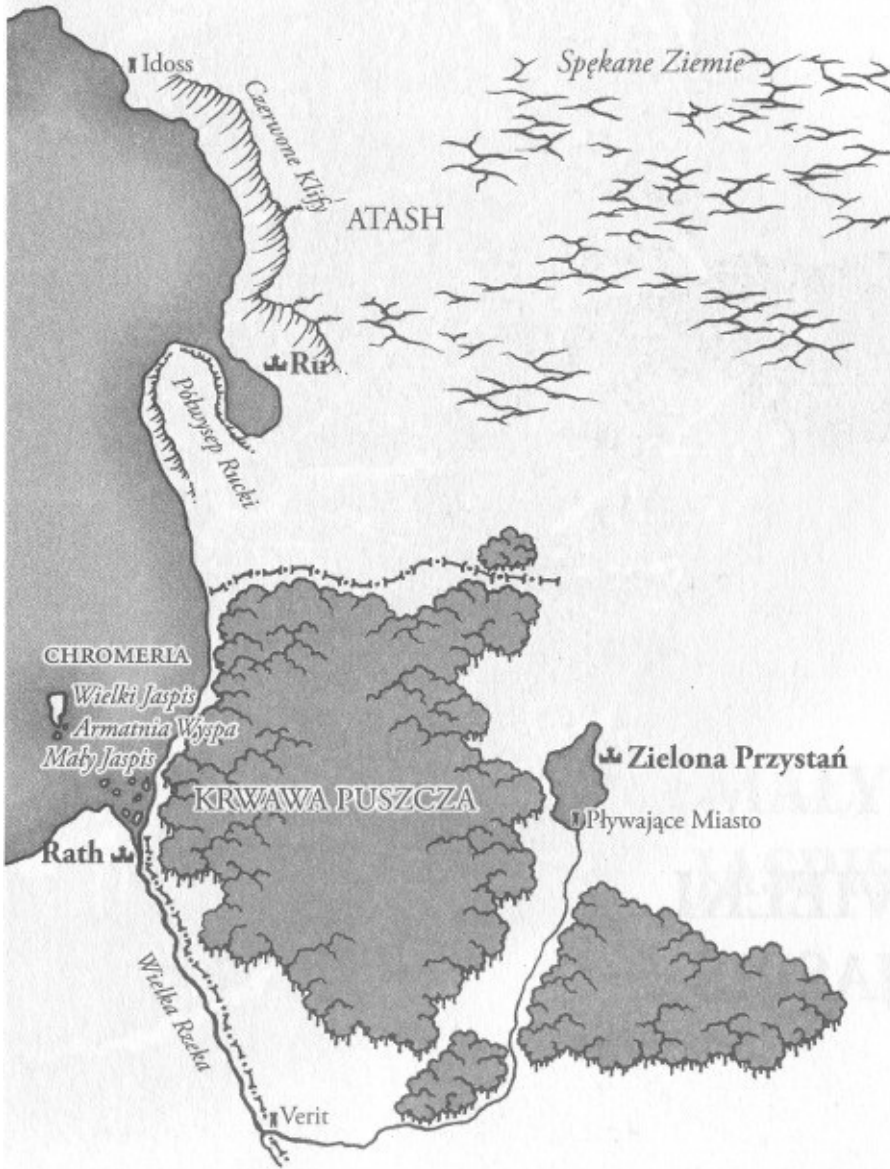
Brent Weeks

O AUTORZE

Brent Weeks urodził się i wychował w Montanie. Po tym jak otrzymał dyplom w Hillsdale College, chodził po świecie niczym Caine z „Kung Fu” i dorywczo zajmował się prowadzeniem baru i deprawowaniem młodzieży (nie jednocześnie). Zaczął pisać na barowych serwetkach, potem na planach lekcji, a później na cały etat. W końcu ktoś mu za to zapłacił. Brent mieszka w Oregonie z żoną Kristi. Nie ma kota i nie nosi kucyka. Więcej o autorze dowiedzie się na stronie www.brentweeks.com.

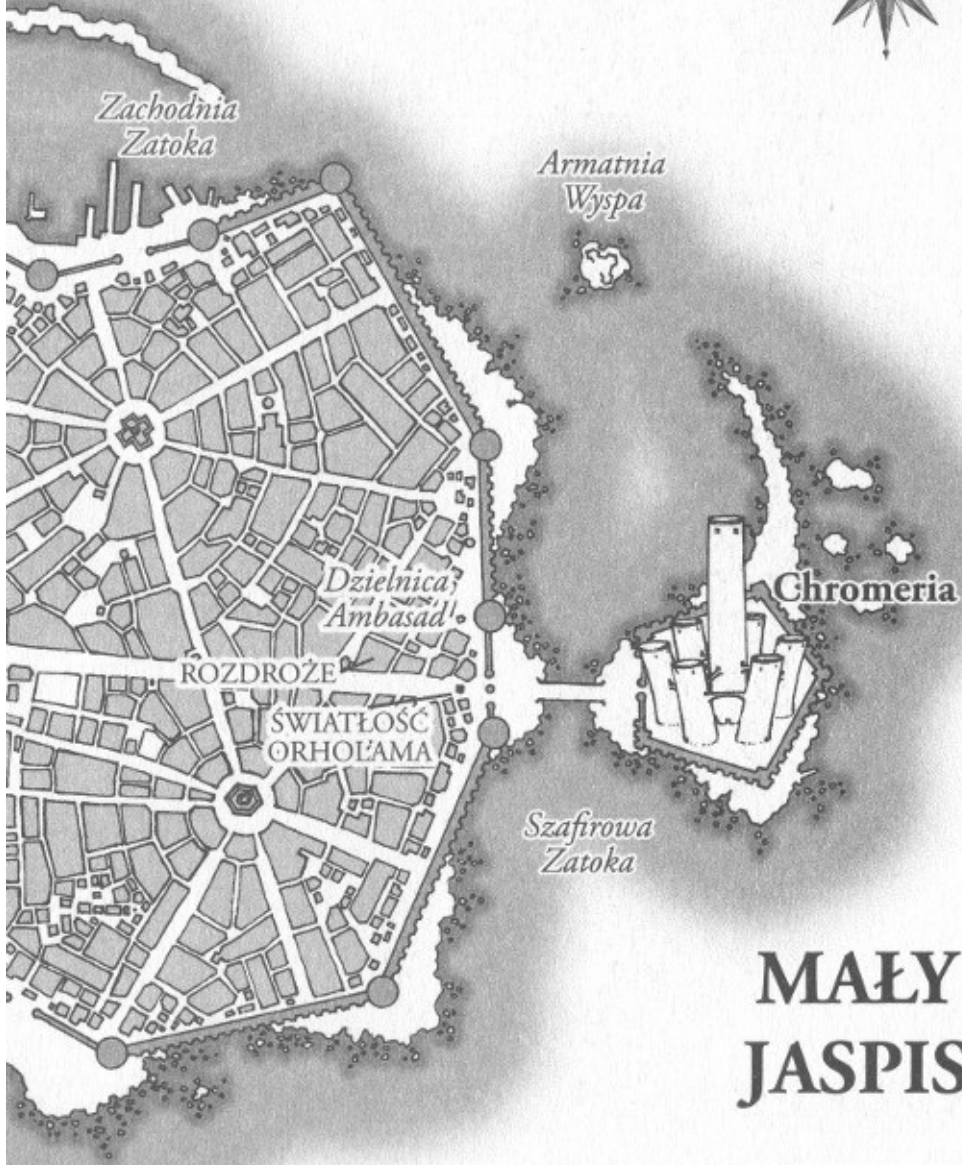
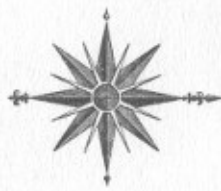


SIEDEM SATRAPII



WIELKI JASPIS





MAŁY JASPIS